

Edward Rutherford



# ROSJA

POWIEŚĆ

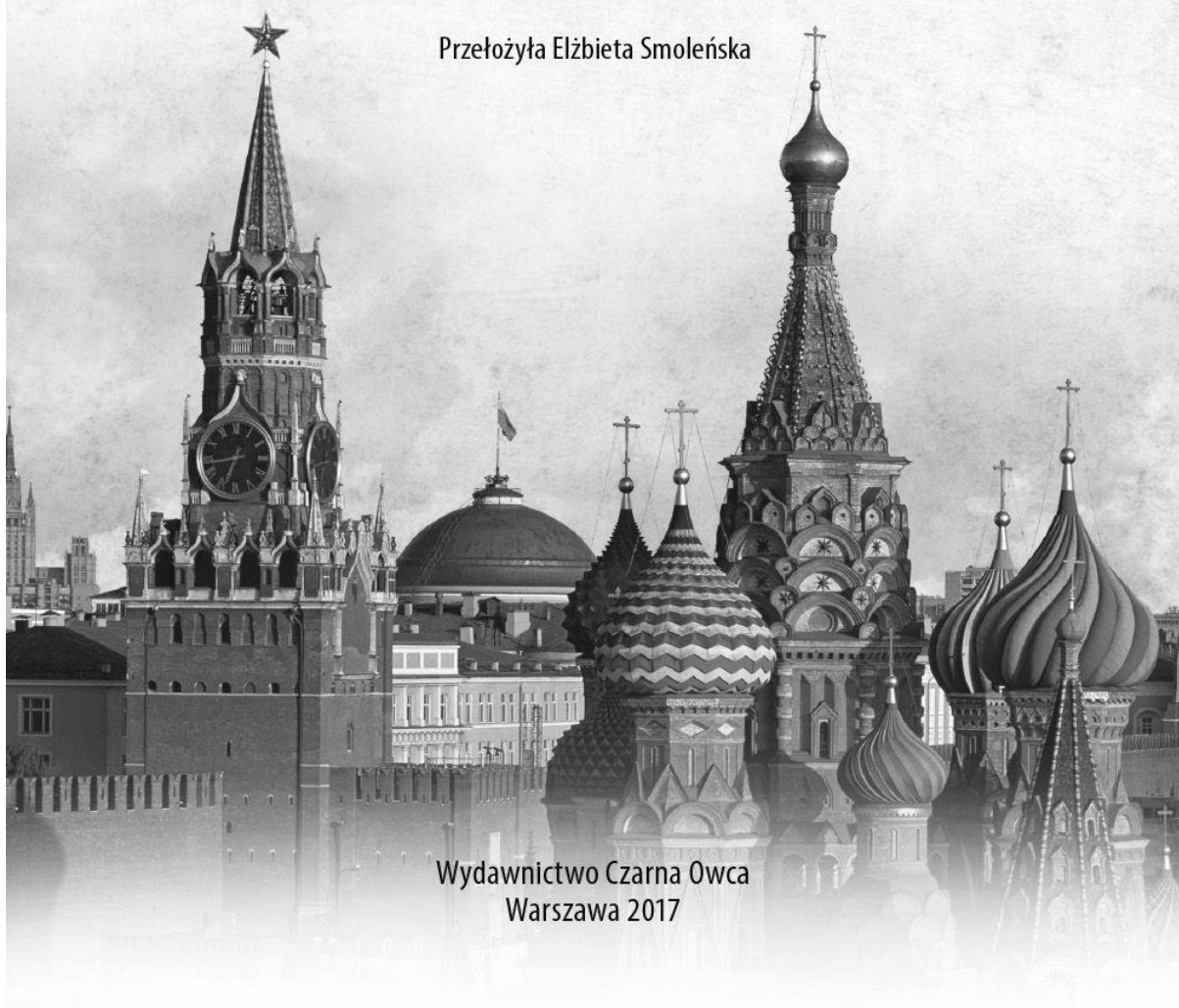


Edward Rutherford



# ROSJA

Przełożyła Elżbieta Smoleńska



Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2017

*Z największym szacunkiem dedykuję swoją książkę wszystkim tym, którzy odbudowują klasztorną społeczność Pustelni Optyńskiej.*

## Przedmowa

### *Ruska jako miejsce*

Obie miejscowości pod nazwą Ruska występujące w książce – jedna na południu, a druga na północy – są fikcyjne, chociaż miasteczko o takiej nazwie rzeczywiście kiedyś istniało. Te wymyślone miejscowości mają cechy okolic, w których się znajdują. W Rusce na północy, gdzie toczy się główna akcja, jest klasztor i stare miasto, przypominające, choć w mniejszej skali, pradawny Suzdał, w którym powstała część książki. Magiczne wiosny widziałem na własne oczy przy starej twierdzy w Izborsku na północnym zachodzie Rosji. A wiejski dom Bobrowów przypomina majątek Puszkina.

### *Powieść Rosja*

*Rosja* jest powieścią historyczną. Co prawda występujące w niej rody – Bobrowów, Suworinów, Romanowów, Iwanowów, Karpieńków, Popowów – jak też postać Piniegina, są fikcyjne, jednak opowiadając ich dzieje, umieściłem je wśród postaci i zdarzeń historycznych.

Mimo że na Zachodzie rośnie fascynacja Rosją, większości czytelników historia i geografia tego ogromnego kraju jest – z wielu powodów – słabo znana. Dlatego w możliwie dużym stopniu starałem się przedstawić kontekst historyczny, który – mam nadzieję – ułatwi lekturę i nie będzie zbyt dużym obciążeniem. Dążąc do uproszczenia narracji, w kilku miejscach pozwoliłem sobie na kondensację wydarzeń – mam nadzieję, że nie pogwałciło to prawdy historycznej.

Żeby oddać niezwykle bogactwo i wyjątkowy charakter kultury rosyjskiej, czerpałem obficie z rosyjskiego folkloru i literatury. Odpowiedzialność za efekty tych zabiegów – udane i nieudane – biorę wyłącznie na siebie. Liczę jednak na to, że osoby obeznane z tą tematyką rozpoznają na kartach książki dawnych przyjaciół.



## Wprowadzenie

Książka powstawała w latach 1987–1991. Nieraz odwiedzałem wtedy Rosję i w sumie spędziłem w tym kraju wiele miesięcy. Byłem oczywiście w Moskwie i Leningradzie, ale w swoich samodzielnych podróżach dotarłem aż do wyspy Kiży na północnym zachodzie, na wybrzeże Morza Bałtyckiego, widziałem krąg średniowiecznych miast otaczających Moskwę, widziałem także Kijów, Czernihów i inne miasta na Ukrainie. Wędrując na południe, dotarłem do Odessy, na Krym, na kozackie terytoria nad Donem, na Kaukaz, a także do leżących na pustyni Chiwy i Samarkandy. Dzięki znajomym odwiedziłem miasto Guś-Chrystalnyj położone w regionie, w którym usytuowałem fikcyjną północną Ruskę. Członkowie Związku Pisarzy zabrali mnie do Riazania oraz pokazali miejsce, gdzie pierwotnie wzniesiono miasto o tej nazwie, zniszczone później przez Mongołów – było to niezwykle doświadczenie.

Jednak dla mnie najważniejszy okazał się dzień, w którym dzięki Związkowi Pisarzy mogłem odwiedzić świeżo zrekonstruowany klasztor Pustelnia Optyńska. Przyjechaliśmy tam niedługo po tym, jak mnisi odkryli szczątki ojca Ambrożego, swojego słynnego dziewiętnastowiecznego starca. Akurat trafiliśmy na poranne uroczystości upamiętniające to wydarzenie. Ceremonia była niezwykle prosta, ale mnie, człowiekowi z zewnątrz, pozwoliła zobaczyć przeblysł prawdziwej Rosji. Odtąd raz na zawsze nabrałem przekonania, że jeśli chcemy zrozumieć teraźniejszość, a być może i przyszłość tego niezwykłego kraju, to rzeczą najwyższej wagi jest zanurzenie się w jego przeszłości.

## Podziękowania

Jestem głęboko zobowiązany doktor Lindsey Hughes ze School of Slavonic and East European Studies na University of London oraz Cathy Potter z Yale University i University of Wisconsin, które przeczytały cały rękopis książki i poprawiły zauważone w nim błędy. Za błędy pozostałe należy winić tylko i wyłącznie mnie.

Wyrazy podziękowania należą się też profesorowi Paulowi Bushkovitchowi z Yale University, który zachęcił mnie do tego przedsięwzięcia.

Jestem niezwykle wdzięczny panu Edwardowi Kasinecowi oraz personelowi Slavonic Division z New York Public Library, personelowi Butler Library przy University of Columbia, a także pracownikom London Library za pomoc i uprzejmość. Szczególne podziękowania składam nowojorskiemu Synodowi Biskupów Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego poza granicami Rosji oraz personelowi St Vladimir Seminary w Crestwood za pomoc w uzyskaniu wielu książek.

Podziękowania należą się też Johnowi Robertsonowi, który pomógł mi nawiązać cenne kontakty, oraz Władimirowi Stabnikowowi ze Związku Pisarzy w Moskwie za to, że ułatwił mi podróżowanie po Rosji i udzielił wielu cennych rad. Dziękuję pracownikom Państwowego Muzeum Ermitażu w Leningradzie, którzy umożliwili mi zwiedzanie jego sal w pojedynkę.

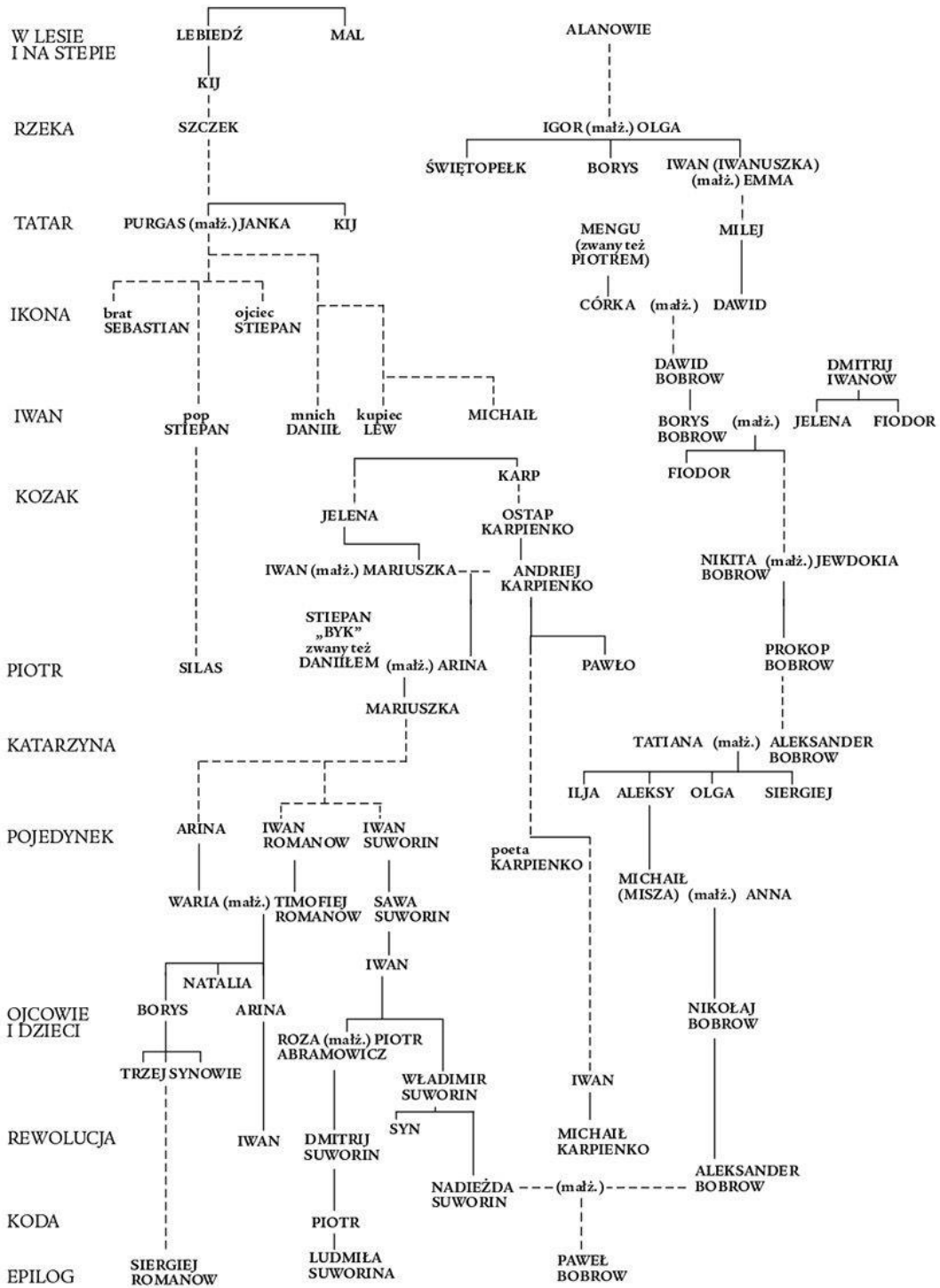
Jest też wiele innych osób – zbyt licznych, by je tutaj wymienić – zarówno na Zachodzie, jak i w Rosji, które pomagały mi i gościły mnie nieoficjalnie. Jestem im za to do zgonnie wdzięczny.

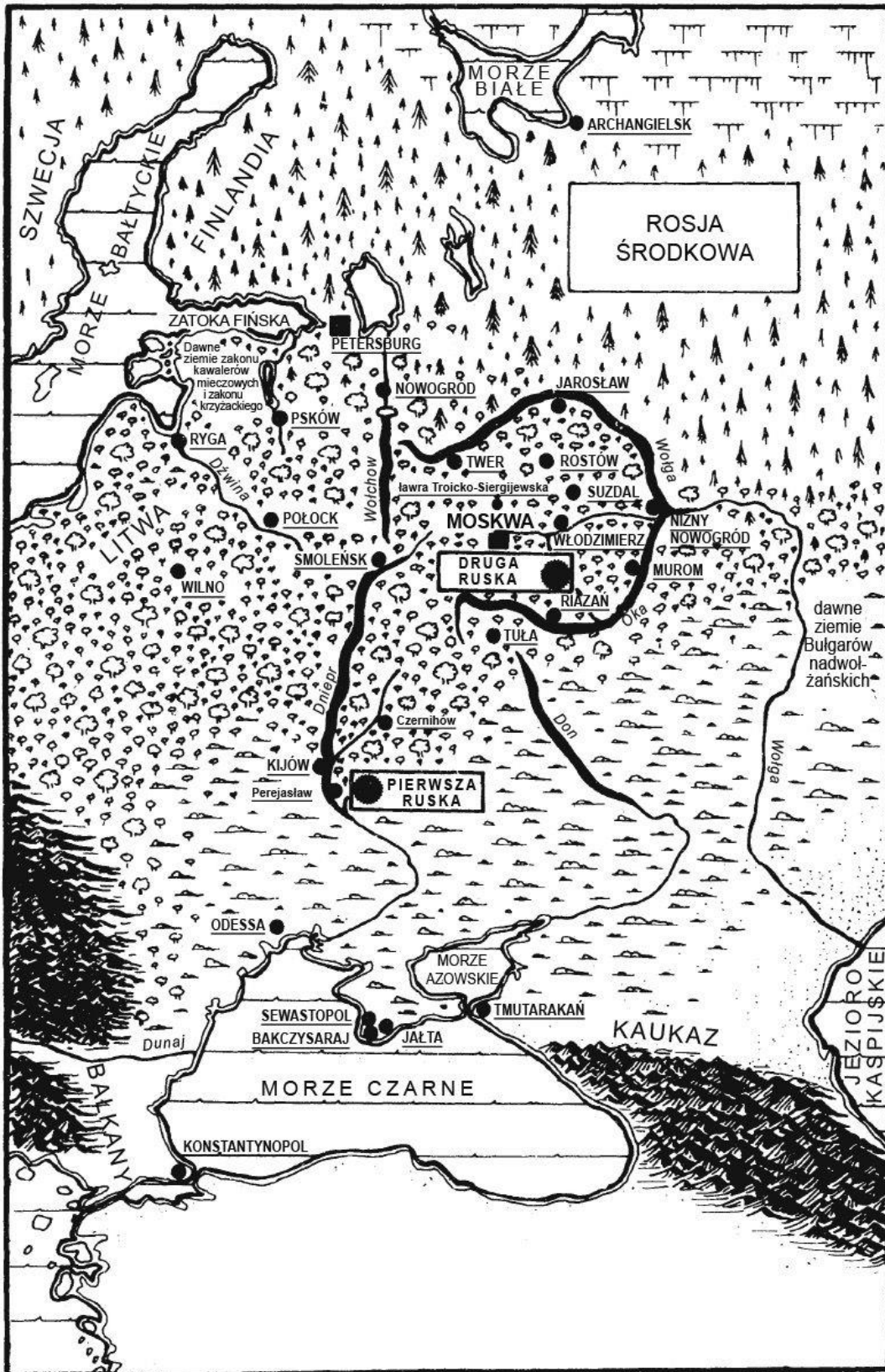
Mogę się uważać za szczęściarza, mając Gill Coleridge jako agentkę oraz dwie redaktorki, Betty Prashker z Crown Publishers i Rosie Cheetham z Century, których cierpliwość, zaangażowanie, a także hojna pomoc umożliwiły powstanie tej książki.

Jestem głęboko wdzięczny swojej żonie Susan za dobroć i cierpliwość, jakie mi okazywała podczas długiego procesu rodzenia się tej powieści. No i ponownie składam szczególne podziękowania Alison Borthwick za jej wspinającą mapę.

Na koniec chciałbym wyrazić specjalną wdzięczność archimandrycie i mnichom z Pustelni Optyńskiej – to oni pokazali mi niezapomniany obraz Rosji.

## DRZEWO GENEALICZNE







## W lesie i na stepie

### *Rok 180*

Tej nocy na stepie było cicho. W lesie też.

Ponad ziemią płynął lekki wiatr.

W jednej z sześciu chat przycupniętych nad rzeką spała kobieta z dzieckiem.

Nie przeczuwała niebezpieczeństwa.

Wysoko na rozgwieżdżonym niebie, błyszcząc delikatnie w świetle wędrującego na południe półksiężyca, przesuwały się w jakiejś leniwej procesji blade obłoki.

Białe i skłębione, niczym jeźdźcy podążały ze wschodu, znad bezkresnych stepów – płynęły majestatycznie nad dachami chat stojących wzdłuż brzegu rzeki, a potem zmierzały ku ciemnym lasom, które też zdawały się nie mieć końca.

Wioska leżała na południowo-wschodnim brzegu. Dęby, lipy, sosny i brzozy rosły tu rzadziej, stopniowo ustępując miejsca polanom i coraz szerszym połaciom łąk stanowiącym granicę stepu. Po drugiej stronie, na brzegu północno-zachodnim, las był gęsty, ciemny i nieprzebyty.

Mijało piąte lato, odkąd osiedliły się tu trzy rodziny. Znalazłszy nad rzeką opuszczone miejsce otoczone starym, porośniętym krzewami wałem ziemnym, przybysze oczyścili je, wzniesli drewnianą palisadę i niski szaniec ziemny, a w środku postawili sześć chat. Nieopodal dwa pola wcinały się nieregularnymi pasami w rzadki las. Jeszcze dalej wyłaniały się chaotyczne plamy karczowisk.

Kilkaset metrów w dół rzeki teren robił się podmokły. Mokradła ciągnęły się jeszcze parę kilometrów dalej.

Ponad ziemią płynął lekki wiatr. Gdy muskał czubki drzew, liście migotały blade w świetle gwiazd. W lesie pobłyskiwały lustro wijącej się rzeki i moczary.

Oprócz szelestu liści słyhać było od czasu do czasu jedynie małe zwierzęta albo jelenie przemierzające las. Gdzieś obok mokradła wprawne ucho umiałoby wychwycić na tle monotonnego skrzeczenia żab trzask gałązek pod łapami idącego wzdłuż krawędzi lasu niedźwiedzia. Ale nad wioską unosił się tylko nieregularny szelest, gdy wiatr głaskał długie pole jęczmienia i wzbudzał na nim drżącą falę.

Wiatr poruszał się, a jednocześnie stał w miejscu. Chwilami pole nieruchomiało albo przechylało się w drugą stronę, jakby podmuchy ze wschodu ustawały, by znowu otrzeć się o dojrzałe kłosa.

Był rok 180, choć właściwie ta data jeszcze nie istniała. Dopiero przyszłość miała wprowadzić taką miarę czasu, wówczas kalendarz chrześcijański nie był jeszcze w użyciu. Daleko na południu, w rzymskiej prowincji Judea, uczeni żydowscy rabini twierdzili, że jest 3940 Rok Świata. Od zburzenia Jerozolimy upłynęło sto dziesięć lat. W innych miejscach potężnego Imperium Rzymskiego był to dwudziesty i ostatni rok panowania Marka Aureliusza oraz pierwszy rok rządów Kommodusa. W Persji obowiązywał 491 rok epoki Seleucydów.

A zatem który to był rok w małej wiosce na skraju lasu? Dla historii żaden. Minęło

pięć lat od śmierci poprzedniego starszego wioski. O wielkich systemach określania czasu, znanych w cywilizowanym świecie i utrwalonych w księgach, nikt tu nie słyszał. A gdyby nawet słyszał, nie miałyby znaczenia.

Te ziemie miały w przyszłości nosić nazwę Rosja.

Ponad ziemią płynął lekki wiatr.

Leżała obok małego chłopca. Dokuczliwe myśli z całego dnia opuściły we śnie jej umysł niczym blade obłoki znikające nad lasem za rzeką. Spała spokojnie.

W chatce spało dwanaścioro osób. Pięcioro, w tym Lebiedź i jej dziecko, ułożyło się na szerokiej półce biegnącej w poprzek izby ponad wielkim paleniskiem. Tej ciepłej letniej nocy ognia nie rozpalano. Powietrze było aż gęste od słodkawego, ziemistego zapachu – całkiem przyjemnego – jaki wydzielają ludzie pracujący cały dzień przy żniwach. Mieszał się on ze świeżą wonią traw wpływającą z wiatrem przez kwadratowy otwór okienny.

Jako najmłodsza żona spała na samym końcu drewnianej półki, na poślednim miejscu. Choć w wieku dwudziestu siedmiu lat nie była już młoda. Miała okrągłą twarz, na jej biodrach zdążyły się pojawić oznaki otyłości. Gęste jasne włosy zsunęły się z krawędzi półki.

Tuż obok, w zagięciu jej pulchnego ramienia, leżał pięcioletni chłopczyk. Był wszystkim, co miała, bo poprzednie dzieci umarły.

Wyszła za męża, mając piętnaście lat. Od początku wiedziała, że mąż wziął ją tylko dlatego, że była silna – dobra do pracy. Nie skarżyła się jednak. Mąż nie traktował jej źle. Był wysokim, przystojnym czterdziestolatkiem, jego ogorzała twarz miała w sobie jakąś łagodność, a niebieskie oczy rozbłyskiwały pogodnym rozbawieniem, gdy wołał: „Proszę, idzie moja Mordwinka!”.

Dla niego było to wyrazem czułości. Dla innych już nie.

Lebiedź nie była bowiem pełnoprawną członkinią wspólnoty. Klan męża uważał ją za mieszańca. W końcu jej matka pochodziła z lasów. Z ludu Mordwinów.

Od niepamiętnych czasów lasy i mokradła ciągnące się setkami kilometrów na północ były zamieszkałe przez plemiona ugrofińskie, do których należała też jej matka. Ludzie ci, o okrągłych twarzach i mongoloidalnych rysach, zajmowali się łowiectwem i rybołówstwem na ogromnych, bezludnych terenach, a mieszkali w prymitywnych chatach i ziemiankach. Podczas przesilen słońecznych stawali w kole i śpiewali wysokimi, nosowymi głosami pieśń do Słońca, które na Dalekiej Północy nie pokazywało zimą swojej twarzy, a latem pozbawiało ziemię nocnego odpoczynku, zalewając świat długim białym świtem i rozpalając na horyzoncie drzące rozbłyski.

Od jakiegoś czasu plemię jej męża – jasnowłosey lud posługujący się jednym z języków słowiańskich – zakładało w lasach na północy i na wschodzie małe kolonie. A niektórzy, jak klan znad rzeki, uprawiali pola i hodowali bydło. Spotkania Słowian i Finów na tych rozległych terenach rzadko prowadziły do konfliktów. Ziemi i terenów łowieckich starczyłoby nawet dla dziesięć razy liczniejszej ludności. Zawierano małżeństwa, takie jak jej matki. Ale mimo to mieszkańcy wioski patrzyli z góry na leśne szczepy.

Mąż nazywał ją dla żartu nie imieniem małego plemienia jej matki, ale wielkiego

ludu Mordwinów, który zamieszkiwał ziemie daleko na północy. Czuła się przez to bardziej obca, choć przecież była pół-Słowianką. W tej nazwie była też łagodna kpina. I jak zauważyła ze smutkiem, przyzwolenie dla reszty klanu, by traktować ją z wyższością.

Zwłaszcza teściowa patrzyła na nią z góry. Przez blisko trzynaście lat jej potężna postać niczym groźne, niskie chmury rzuciła na życie Lebidź mroczny cień. Czasem – a zdarzało się, że i przez całe dni – lwia twarz starej kobiety o szerokich kościach policzkowych wydawała się łagodna, wręcz przyjacielska. Ale wystarczył jakiś drobny błąd – upuszczone wrzeciono, rozlana śmietana – a rozpętywała się wściekła burza. Inne żony spuszczały wtedy wzrok albo spoglądały na Lebidź ukradkiem. I cieszyły się, że ta złość spadła na nią, na obcą. Po każdym takim wybuchu wściekłości teściowa kazała jej wracać do pracy i wzruszając ramionami, zwracała się do reszty: „No ale czego można się spodziewać po Mordwince?”.

Lebidź znosiłaby to lepiej, gdyby miała pomoc swojej rodziny. Ale rodzice zmarli rok wcześniej, zostawiając ją samą z młodszym bratem. I to on doprowadził ją poprzedniego dnia do łez.

Nie chciał jej zrobić przykrości. Nieustannie jednak wdawał się w spory z wioskową starszyszą. Na jego okrągłej, nieco głupkowatej twarzy zawsze widniał uśmiech, nawet gdy był pijany. I wydawało się, że w życiu liczą się dla niego tylko dwie rzeczy: polowanie i sprawianie przyjemności siostrzeńcowi.

– Kij cię nie potrzebuje – powtarzała bratu. – I ja też, jeśli nie chcesz słuchać starszyszy.

Ale nie przynosiło to skutku. Mal nienawidził pracy w polu, znikał na całe dni w lasach – reszta wieśniaków utyskiwała na to pod nosem – a potem nagle z zarośli wyłaniała się jego krzepka postać. Miał kilkanaście skór przytroczonych do pasa, a na twarzy swój zwykły głupkowaty uśmiech. Starszy wioski go przeklinał, a teściowa patrzyła na nią z takim wyrzutem, jakby to była jej wina.

A wczoraj w bezbrzeżnej głupocie Mal zapowiedział chłopcu:

– Kijaszk, z następnego polowania przyniosę ci małego niedźwiadka. Będiesz mógł go przywiązać na podwórku.

– Mal, jeśli jeszcze raz okażesz nieposłuszeństwo starszemu wioski, wygnają cię – przypomniała. Rzeczywiście taką miałby ponieść karę, gdyby znów wybrał się w tym roku na polowanie.

Ale jej brat jedynie opuścił swoją dużą głowę, nic nie mówiąc i uśmiechając się jak zwykle.

– Może wreszcie zmądrzejesz i weźmiesz sobie żonę?! – wrzasnęła rozeźlona.

– Jak sobie życzysz, siostró Lebidź. – Skłonił głowę z uśmiechem.

Najwyraźniej chciał ją rozzłościć, bo w wiosce nikt nie używał jej pełnego imienia. Na chłopca wołali zdrobniale Kijaszek. Do niej mało kto zwracał się Lebidź. Od dzieciństwa nazywano ją czułym przezwiskiem Łabądek. Mal też miał swój przydomek, którego ludzie używali, gdy byli na niego źli: Leniuch.

– Ty, Leniuch – odparła ze złością. – Lepiej się ustatkuj i weź do roboty.

Ale Mal ani myślał. Wolał mieszkać samotnie w małej chatce z dwoma starcami,

którzy nadawali się już tylko do drobnych polowań. Razem upijali się miodem, polowali i łowili ryby, a kobiety odnosiły się do nich z kąpiącym lekceważeniem.

Wczoraj chodziła do niego dwa razy, za drugim razem nawet się rozplakała, próbując go przekonać, by porzucił swój głupi plan. Bo choć przysparzał jej jedynie kłopotów, kochała go. I czułaby się samotna, gdyby go wygnano.

Ale mimo jej zażawionych oczu on jedynie się uśmiechał i pot ściekał mu po twarzy, gdy taszczył na stos kolejne beły siana.

Właśnie dlatego długo nie mogła zasnąć. A gdy w końcu osunęła się w nieświadomość, w jej umyśle zaczęły się kłębić złe przeczucia.

Jednak noc wypłukała z niej wszystkie myśli. Jej piersi unosiły się i opadały rytmicznie pod szorstką koszulą. Wlatujący przez okno wiatr delikatnie poruszał jej włosy.

Nikt się nie obudził, gdy przesunęły się dwa cienie, a śpiący przy drzwiach pies przysiadł wyczekująco. Nikt z wyjątkiem chłopca, który na chwilę otworzył oczy. Na jego twarzy pojawił się senny uśmiech, a gdyby matka czuwała, poczułaby, że ciało Kija drży od tłumionej ekscytacji. Zamknął oczy, wciąż się uśmiechając.

Wiedział, że to już niedługo.

Ponad ziemią płynął lekki wiatr.

Ale gdzie leżała ta wioska, rzeka i las?

Żeby opisać znaczenie tego magicznego miejsca, potrzebne jest dłuższe wyjaśnienie.

Już dawno geografia umownie podzieliła ogromny ląd Eurazji na dwie części: Europę na zachodzie i Azję na wschodzie. Jednak jest to myląca umowność. Znacznie bardziej naturalny byłby podział na północ i południe.

Oto bowiem przez ten ogromny kontynent – od północnej Europy przez Rosję i mroźne pustkowia Syberii aż po tereny na północ od Chin, niemal dotykające Alaski – ciągnie się największa równina świata.

Wielka równina eurazjatycka ma z zachodu na wschód ponad jedenaście tysięcy kilometrów, biegnie od Atlantyku do Oceanu Spokojnego, a tworzy ją ciąg zachodzących na siebie płyt pokrywających jedną szóstą lądowych obszarów Ziemi – zajmuje powierzchnię większą niż Stany Zjednoczone i Kanada. Od północy równina graniczy głównie z lodowatym Oceanem Arktycznym. Między nim a południową granicą równiny rozpościera się pas tundry, lasów, stepów i pustyń, szeroki w niektórych miejscach na trzy i pół tysiąca kilometrów. I właśnie ta południowa granica tak naprawdę rozdziela Eurazję na dwie części.

Eurazja północna to jedna wielka równina, a Eurazja południowa składa się z ogromnych regionów – Bliskiego Wschodu, starożytnej Persji, Afganistanu, Indii, Mongolii i Chin. Północ i południe oddziela od siebie potężne półkole łańcuchów górskich z najwyższymi szczytami świata – od Alp na zachodzie Europy aż po Himalaje w Azji.

Naprawdę trudno zrozumieć, dlaczego Eurazja została podzielona przez geografów na wschód i zachód.

Mniej więcej w jednej trzeciej wielkiej równiny, powyżej Afganistanu, leży pasmo

prastarych wzgórz ciągnące się z północy na południe – od tundry po krawędź pustyni. To Ural. Zgodnie ze współczesną konwencją „góry” te uważa się za granicę oddzielającą Europę od Azji.

Jednak prawda jest taka, że z wyjątkiem kilku niewielkich szczytów te zaokrąglone pagórki wznoszą się na wysokość jedynie kilkuset metrów nad poziomem morza. Trzeba wielkiej wyobraźni, by zobaczyć w nich granicę dwóch kontynentów: są zaledwie łagodną falą na wielkim lądowym oceanie. Nic nie oddziela Europy od Azji, wielka równina jest jednością.

Biegając przez północ Europy, równina jest wąska, ma zaledwie sześćset pięćdziesiąt kilometrów szerokości. Ale dochodząc do wschodniej Europy, rozszerza się w kształt klina. Jej północną granicą jest Morze Bałtyckie, nad którym zwiesza się krzywizna Skandynawii. Granicę południową stanowią potężne góry, Bałkany i Karpaty, stojące na straży północnej Grecji. A potem równina rozlewa się szeroko.

Rosja – tam, gdzie równina wydaje się bezkresna.

Rosja – tam, gdzie wschód spotyka się z zachodem.

Na zachodnim skraju Rosji północna granica wielkiej równiny dochodzi do Morza Arktycznego. Na tych ziemiach zaczyna się największy las świata – zimne, ciemne królestwo jodeł nazywane tajgą, które ciągnie się kilka tysięcy kilometrów na wschód aż po wybrzeże Oceanu Spokojnego. Schodząc na południe, tajga przemienia się w połowie równiny w las mieszany, a jeszcze dalej pojawiają się bezkresne trawiaste stepy, które akurat w tym miejscu dochodzą nie do pustyni czy gór, lecz do słonecznego wybrzeża przypominającego wybrzeże Morza Śródziemnego.

Bo południową granicą centralnej Rosji jest ciepłe Morze Czarne.

Morze Czarne, leżące powyżej północnego krańca Morza Śródziemnego, bardziej przypomina ogromny rezerwuar. Od południa opasuje je potężna półkolistą tama gór: na południowym zachodzie greckie Bałkany, na południu góry dzisiejszej Turcji, na południowym zachodzie strzelisty Kaukaz. Pomiędzy Bałkanami i tureckimi górami biegnie wąski kanał łączący Morze Czarne z większym siostrzanym morzem. W części bliższej Morzu Czarnemu kanał ów nazywany jest Bosforem, a na południowym krańcu – Dardanelami.

Samo morze jest duże – z zachodu na wschód ma blisko tysiąc kilometrów, a z południa na północ ponad sześćset. Zasilają je liczne rzeki, między innymi majestatyczny Dunaj mający ujście w zachodniej części na północ od Grecji. W jego wodach znajdują się śladowe ilości siarki i zapewne stąd wzięła się kiedyś nazwa Czarne.

Na środku północnego rosyjskiego wybrzeża daleko w ciepłe wody Morza Czarnego wcina się duży półwysep. To Krym. Po jego obu stronach, w odległości czterystu kilometrów od siebie, funkcjonują dwa wielkie systemy rzeczne, podążające przez stepy aż z dalekich lasów. Na zachodzie płynie szeroki Dniepr, na wschodzie – majestatyczny Don.

I właśnie pomiędzy tymi dwiema rzekami, od wybrzeży Morza Czarnego przez stepy aż po lasy północy, rozciąga się ogromne prastare serce Rosji.

Rosja to także pogranicze.

Bo wielka równina rozpościera się jeszcze dalej ku wschodowi. Na wschód od



Morza Czarnego jej południową granicę tworzy ogromny łańcuch Kaukazu, mający blisko tysiąc kilometrów długości. Kaukaz słynie z wina oraz z wojowników – Gruzinów, Ormian i innych – a jego lśniące szczyty są o tysiące metrów wyższe od szczytów Alp czy Gór Skalistych.

Pasma kończy się niezwykłym zjawiskiem – jest nim jeszcze jedno morze położone wewnątrz ogromnego półkola gór. Ciągnie się z północy na południe – kształtem przypomina Florydę, ale jest dwa razy dłuższe – a góry schodzą tu stromo w dół, żeby zrobić mu miejsce. To Morze Kaspjskie.

Tak naprawdę jest to największe jezioro świata, nie ma bowiem żadnego odpływu. Otaczają je stepy, góry i pustynie, a wody pozbywa się dzięki parowaniu. Od północy zasila je najsłynniejsza rosyjska rzeka.

Matka Wołga.

Wołga zaczyna swoją podróż daleko, w lasach centralnej Rosji. Biegnie stamtąd wielką pętlą przez lasy północy, zmierzając ku południowi. Wziąwszy w objęcia północ, zakręca, płynie przez równinę ku wschodowi, potem znów na południe, aż w końcu podąża powoli przez wietrzne stepy ku odległym pustynnym wybrzeżom Morza Kaspjskiego.

A wielka równina ciągnie się dalej na wschód i staje się coraz mniej gościnna. Na południu rozpościerają się groźne pustynie. Na północy panowanie przejmują mroczna tajga i wieczna zmarzlina. Nawet dziś te ogromne tereny są rzadko zamieszkane. A stąd jest jeszcze pięć i pół tysiąca kilometrów do wybrzeży Pacyfiku.

A gdzie na tej równinie leży wioska nad rzeką?

Łatwo na to pytanie odpowiedzieć. Leży na granicy stepu, kilkadziesiąt kilometrów na wschód od Dniepru i prawie pięćset kilometrów na północ od ujścia tej wielkiej rzeki w północno-zachodniej części ciepłego Morza Czarnego.

Mimo to, gdyby jakiś ówczesny podróżnik z obcego kraju spytał, jak tam dotrzeć, nie miałby mu kto odpowiedzieć.

Bo rosyjskie państwo wówczas nie istniało. Starożytne cywilizacje Wschodu – Chiny, Indie, Persja – leżały daleko, poniżej górskiego półkola stanowiącego południową granicę równiny, która dla nich była pustkowiec. Potężne Imperium Rzymskie usadowiło się na zachodzie, na wybrzeżach Morza Śródziemnego, a na północy ciągnęło się aż po Brytanię. Jednak Rzym nigdy nie posunął się na wschód dalej niż do obrzeża lasów porastających eurazjatycką równinę.

A cóż Rzymianie mogli wiedzieć o lasach? Jedynie to, że tereny za Renem były zamieszkane przez wojownicze plemiona germańskie, a na północy, nad Bałtykiem, żyły prymitywne ludy – Bałtowie, Łotysze, Estończycy, Litwini – o których prawie nic nie słyszeli. To wszystko. Niewiele wiedzieli o słowiańskich ziemiach leżących za terenami Germanów, a o ludach ugrofińskich zamieszkujących lasy ciągnące się za Wołgą nie mieli w ogóle pojęcia. Wieść o tureckich i mongolskich plemionach żyjących w głębi Syberii nie dotarła jeszcze do lasów, jedynie nad stepem rozlegały się pierwsze szepty.

I cóż Rzymianie mogli wiedzieć o stepie? Owszem, w swojej ekspansji na wschód dotarli aż do Armenii na południe od Kaukazu, od kilku stuleci znali małe porty położone na północnym wybrzeżu Morza Czarnego, gdzie żeglarze kupowali przywożone z głębi

łądu futra i niewolników albo spotykali się z karawanami, które przybyły przez pustynie z tajemniczego Orientu. Ale cała ogromna równina była *terra incognita*, ziemią nieznaną, zamieszkaną przez barbarzyńskie plemiona, pokrytą groźnym stepem i poprzecinaną trudnymi do przebycia rzekami. Jej linie i nazwy na mapach starożytnego świata – stworzonych przez Herodota, Ptolemeusza czy Pliniusza – rozpływały się w niesprawdzonych pogłoskach albo po prostu zanikały.

Wieśniacy też nie umieliby powiedzieć, gdzie się znajdują.

Nawet dziś, ku zaskoczeniu cudzoziemców, mieszkańcy Rosji mają problem ze wskazaniem drogi. Rosjanin, zapytany, czy droga biegnie na wschód czy na zachód albo ile ciągnie się kilometrów, nie umie odpowiedzieć. Bo po co mu ta wiedza, skoro w tym bezkresnym krajobrazie horyzont nieustannie się oddala i ciągle jest taki sam?

Ale Rosjanin umie powiedzieć, jak płynie rzeka.

Dlatego wieśniacy wiedzieli, że ich nieduża rzeczka wpada do większej rzeki, która po jakimś czasie łączy się z wielkim Dnieprem. Wiedzieli też, że gdzieś daleko, za południowym stepem, Dniepr wpada do morza.

To wszystko. Zaledwie pięcioro z nich widziało Dniepr na własne oczy.

Wówczas Rosja jeszcze nie istniała, nie było też żadnego układu odniesienia pozwalającego określić położenie wioski. Moglibyśmy jedynie powiedzieć, że leżała na północ od Morza Czarnego, gdzieś na wschód od Dniepru i na zachód od Donu, nieco na wschód od lasów i na zachód od stepów, nad jedną z wielu nieoznaczonych na mapach rzek. Większa dokładność na tych niezbadanych przestrzeniach i tak nie miałyby sensu.

Ponad ziemią płynął lekki wiatr, nad bezkresną równiną rozpościerała się letnia noc. Nad zachodnim skrajem równiny zapadał zmrok. Tu, w wiosce, zaczęła się gwiazdzista noc, choć daleko na północy, na skraju Arktyki, wciąż błyszczały blade światła zorzy polarnej. Na wschodzie, na zboczach Uralu, noc była głęboka. W środkowej Syberii budził się świt, na wybrzeżu Pacyfiku wstawał ranek, a jeszcze dalej, na północno-wschodnim skraju ogromnego, dochodzącego do Alaski łądu, było już południe. Wielkie układy atmosferyczne zanikały ponad równiną. Trzy tysiące kilometrów na północny wschód szalała nad lasem burza z piorunami, a tu, w wiosce, ludzie spali spokojnie. I nikt nie wiedział, jakie burzowe chmury zbierają się nad lasami, kto rozstawia namioty na stepie, ile ognisk rozbłyska na bezkresnej ziemi.

Chłopiec uśmiechnął się, gdy tylko otworzył oczy.

Przez okno wpadał lekki wiatr, promienie słońca malowały na glinianym klepisku jasny prostokąt.

– Już się obudziłeś, ptaszku?

Twarz matki tuż obok jego twarzy. W izbie krzątali się już inni ludzie. W rogu, na zakrzywionym długim kiju przymocowanym do krokwi, wisiła kołyska.

Izba była duża. Ściany z gliny nałożonej na drewnianą ramę pokrywała sadza. A to dlatego, że chata, podobnie jak pozostałe domy w wiosce, miała kryty darnią dach bez komina. Dym z dużego paleniska najpierw wypełniał izbę, a potem wydostawał się przez okienko w dachu, otwierane w razie potrzeby. Dzięki temu izbę można było szybko nagrzać. A ciemne ściany kojarzyły się mieszkańcom z czymś znanym i przyjaznym. Jednak dziś ognia nie rozpalono. Powietrze było czyste, w izbie panował miły chłód.

Chata składała się z dwóch części. Za paleniskiem znajdował się korytarzyk, przez który wchodziło się do chaty – po jego przeciwnej stronie była druga, nieco większa izba, służąca za warsztat i magazyn. Stało tu krosno, rozmaite beczki i beczułki, leżały motyki i sierpy, a na honorowym miejscu wisiał topór należący do pana domu. Cała budowla, obramowana dębowymi podporami, była wkopana na czterdzieści centymetrów w głąb ziemi, więc żeby wyjść na zewnątrz, trzeba było wspiąć się na schodek.

Matka umyła chłopcu twarz wodą zaczerpniętą z glinianego garnka. Patrzył na jasną plamę słońca na klepisku. Ale jego myśli błądziły zupełnie gdzie indziej.

Uśmiechnęła się, podążając za jego spojrzeniem.

– Co się mówi o słońcu? – spytała cicho.

– „Słodkiego mleka jasna plama, ani jej czym zmyć, ani nożem zdrapać” – wyrecytował posłusznie, spoglądając w okno. Wpadający przez nie lekki wiatr poruszył mu włosy.

– A co się mówi o wietrze?

– „Piękny ogier, piękna grzywa, nic na świecie go nie powstrzyma”.

Znał już kilkanaście takich wierszyków. Kobiety znały ich setki – zagadek i przysłów, porównujących światło do rozlanego mleka czy wiatr do ogiera. Te niezliczone powiedzonka były często grą słów oddającą właściwości ich słowiańskiego języka.

Za chwilę matka pozwoli mu wyjść. Korciło go, by wybiec na dwór. Czy niedźwiadek już na niego czeka?

Szybko obejrzała mu zęby. W miejsce dwóch mleczaków wyrosły już nowe. Kolejny mleczak lekko się ruszał. Ale żadnego zęba nie brakowało.

– Jak białe kury na dwóch grzędach – mruknęła z zadowoleniem i pozwoliła mu wyjść.

Chłopiec wbiegł do korytarzyka prowadzącego do wyjścia.

Naprzeciwko chaty znajdował się zagon warzyw, z którego poprzedniego dnia pomógł matce wyrwać wielką rzepe. Na prawo od grządki jakiś mężczyzna ładował narzędzia na drewniany wózek z kołami wyciętymi z kawałków litego drewna. Nieco dalej na lewo, nad rzeką, stała mała łaźnia. Zbudowano ją trzy lata temu, lecz nie dla obecnych mieszkańców wioski, którzy mieli większą, ale dla przodków. Kij wiedział doskonale, że umarli lubią chodzić do bani tak samo jak żywi, nawet jeśli nikt ich nie może zobaczyć. I jak mu wszyscy mówili, przodkowie bardzo się złościли, gdy się ich zaniedbywało.

„Przecież ty też byś nie chciał, żeby zapomniano o tobie po twojej śmierci, prawda?” – zapytała go kiedyś jedna z ojcowskich żon. Pomyślał wtedy, że nie, nie chciałby, by o nim zapomniano i by wykluczono go z wioskowej wspólnoty.

Wiedział, że umarli są wszędzie, że go obserwują. I wiedział też, że w ziemi, w rogu obory naprzeciwko chaty starszego wioski, mieszka drobny, pomarszczony domowej – dziadek jego ojca – duch, który przewodzi wszystkim zmarłym członkom społeczności.

Wyszedł na zewnątrz. Nic. Rozejrzał się w prawo i w lewo. Łaźnie i chaty wyglądały tak samo. Ani śladu niedźwiadka. Twarz mu posmutniała. Nie mógł w to

uwierzyć – przecież widział, jak Mal i starzec wymykają się pod osłoną nocy.

Mężczyzna przy wózku, brat jednej z jego przybranych matek, spojrział na niego.

– Czego szukasz, mały?

– Niczego, wujku. – Wiedział, że nie wolno mu się zdradzić.

Poczuł zimny ucisk w żołądku, poranne letnie niebo nagle poszarzało. Miał ochotę się rozplakać, ale Mal kazał mu zachować tajemnicę, więc zagryzł usta i ze smutkiem wrócił do chaty.

W środku babka besztala inne kobiety, ale do tego zdążył już przywyknąć. Zauważył wiszący w kącie tamburyn matki. Był pomalowany na czerwono. Uwielbiał czerwień, która wydawała mu się ciepła i przyjazna. I nic dziwnego, bo w słowiańskim języku słowo *krasny* oznaczało zarówno czerwony, jak i piękny. Zerknął na twarz babki. Jej puciołowate policzki przypominały mu kawałki sadła. Zauważyła jego spojrzenie, popatrzyła groźnie, a potem dała znak jego matce, że chłopiec przeszkadza.

– Idź na dwór, Kijaszk – powiedziała matka posłusznie.

Gdy wyszedł, zobaczył Mala.

To nie była dla Mala dobra noc. Razem ze starym myśliwym zastawił w lesie pułapkę na niedźwiadka i o mało go nie złapał. Miałby go teraz ze sobą, gdyby w ostatniej chwili nie stracił głowy. Wystarczył jeden fałszywy ruch i musiał zmykać przed rozwścieczoną niedźwiedzicą. Czerwienił się na samą myśl o tej ucieczce.

Zamierzał pomóc dziś innym mężczyznom przy zwózce siana – mógłby udobruchać w ten sposób starszego wioski, a przy okazji uniknąć krępującej rozmowy z Kijem.

Chłopcu nie przyszło nawet do głowy, że wuj pospiesznie mija chatę, żeby się z nim nie spotkać. Podbiegł do niego i spojrział mu wyczekująco w twarz.

Mal rozejrzał się z poczuciem winy. Na szczęście wokół nich nie było nikogo.

– Masz go?! Gdzie on jest?! – zawołał Kij. Widok wuja dał mu nową nadzieję.

Mal zawahał się.

– Jest w lesie – wymyślił na poczekaniu.

– Kiedy go tu przyniesiesz? Dziś? – Oczy chłopca błyszczały z podekscytowania.

– Niedługo. Gdy przyjdzie zima.

Na buzi chłopca pojawiły się zdziwienie i zawód. Zima? Przecież do zimy było jeszcze pół życia.

– Dlaczego?

Mal zastanawiał się przez chwilę.

– Już go miałem. Prowadziłem go na sznurze. Ale potem wiatr go zabrał. Nic nie mogłem poradzić.

– Wiatr?

Chłopiec posmutniał. Wiedział, że wiatr jest najstarszym z bogów. Wuj często mu powtarzał: „Bóg słońce jest wielki, ale wiatr jest starszy i potężniejszy”. Wiatr wiał w dzień, a także w nocy, gdy słońce gdzieś odchodziło. Wiatr wiał, gdzie chciał, po całej bezkresnej równinie.

– A gdzie on teraz jest?

– Daleko, w lesie.

Chłopiec był zrozpaczony.

– Ale śnieżki go oddadzą – pocieszył go wuj. – Zobaczysz.

Dlaczego kłamał? Spojrzał na przepelnionego ufnością chłopca. Kłamał z tego samego powodu, dla którego zamieszkał z dwoma starcami i ignorował zakazy starszyzny. Bo wszyscy nim pogardzali, a co gorsza – on też się siebie wstydził. Dlatego nie mógł wyznać chłopcu prawdy. Jestem beznadziejnym głupcem, myślał. I do tego leniwym. Zamierzał dziś ciężko pracować w polu, ale teraz brała go chęć, żeby uciec do lasu i schronić się tam przed przykrą prawdą o sobie. Czuł, jak jego poranne postanowienie powoli słabnie.

Mimo to został jeszcze cień nadziei.

– Ale wiem, gdzie wiatr go schował – powiedział.

– Naprawdę? Wiesz? – Twarz Kija się rozpromieniła. – Gdzie?

– Daleko, za siedmioma górami, za siedmioma lasami.

– Można tam dojść?

– Tak, ale trzeba znać drogę.

– A ty znasz? – Na pewno taki myśliwy jak jego wuj wie, jak trafić do zaczarowanej krainy. – W którą stronę trzeba iść?

Mal uśmiechnął się.

– Na wschód. Daleko, daleko na wschód. Ale ja dałbym radę dojść w jeden dzień – powiedział chętnie. I przez chwilę nawet w to uwierzył.

– Przyrowadzisz go? – spytał błagalnie chłopczyk.

– Może kiedyś. – Mal spowaźniał. – Ale to będzie nasza tajemnica. Ani słowa nikomu.

Mały skinął głową.

Mal odszedł, zadowolony, że udało mu się uniknąć wstydu. Może za kilka dni spróbuje zastawić nową pułapkę na niedźwiadka. Siostrzeniec mu ufał, więc Mal nie chciał sprawić mu zawodu. Tak, na pewno znajdzie jakiś sposób.

Poczuł się lepiej. Gotów był nawet przepracować cały dzień na polu.

Kij patrzył za nim ze smutkiem. Zamyślił się. Już kiedyś słyszał, jak kobiety śmiały się z wujka, a mężczyźni na niego kłęli. I nazywali go Leniuchem. Może rzeczywiście nie można mu ufać? Spojrzał na rozległe poranne niebo, zastanawiając się, co robić.

Kobiety szły przez złote pole jedna za drugą, ustawione w kształt szerokiej litery V jak klucz jaskółek latem.

Przewodziła im na środku wielka postać teściowej Lebidź, uchodzącej za najbardziej wiekową kobietę w osadzie, odkąd zimą zmarła żona starszego.

Dzień był upalny. Pracowały już od kilku godzin, zbliżało się południe. Do żniw kobiety ubierały się jedynie w proste, luźne suknie z lnu, na stopach miały bezkształtne buty z brzozy kory. Każda trzymała w dłoni sierp.

I gdy tak posuwały się powoli wzdłuż długiego pola jęczmienia, cały czas śpiewały. Najpierw najstarsza podawała pierwszy wers, a potem reszta do niej dołączała. Ich wysokie, nosowe głosy dźwięczały raz ostro, a raz żałośnie.

Lebidź była złana potem. Mimo to dobrze się czuła, pracując rytmicznie w pełnym słońcu. Kobiety czasem traktowały ją pogardliwie, ale każda z nich – jedna z żon, siostra



któreś żony, siostry jej męża i ich córki, ciotki i kuzynki tych córek – była jakoś z nią spokrewniona. Do każdej należało się zwracać, używając odpowiedniego tytułu, który oddawał skomplikowany stopień pokrewieństwa i wyrażał stosowny szacunek. Tytuły miały zazwyczaj zdrobniałą formę, tak lubianą przez Słowian, dzięki czemu okazywano przez nie czułość i sympatię. „Mateczka”, „kuzyneczka” – czy można inaczej mówić o małych człowieczych pyłkach rozsianych po bezkresnej równinie?

To było jej plemię. Nazywali ją Mordwinką, ale była częścią ich wspólnoty: na południu ta wspólnota nazywała się *rod*, a na północy *mir*. Ziemia i wioska były wspólną własnością, jedynie dobytek domostwa stanowił własność prywatną. A słowo starszego wioski było prawem.

Teściowa zaczęła nawoływać kobiety po imieniu.

– Dalej, moje córki, moje łabędzice! – wołała śpiewnie. – Żnijmy jęczmień!  
– Nawet do Lebidź zwróciła się łagodnie: – Dalej, Łabędziczko.

Synowa kochała ją na swój sposób. „Jedz, co ci dają, słuchaj, co ci mówią” – napominała ją surowo stara kobieta. Ale pomiędzy napadami gniewu bywała też dobra i łagodna.

Lebidź rozejrzała się dookoła. Na łące, w odległości kilkuset metrów, jej mąż i inni mężczyźni ładowali na wózek siano. Był z nimi jej brat. Trzy stare kobiety odpoczywały na skraju pola. Szukała wzrokiem Kija. Jeszcze niedawno siedział obok kobiet, ale pewnie pobiegł przyglądać się mężczyznom.

Na niebie słońce się złoci,

Nic nie wyczerpie Matki Ziemi wilgoci.

Kobiety śpiewały w rytm zamaszystych ruchów sierpami, pochylając się jakby w modlitwie do największej bogini, która wszystkich żywiła: Wilgotnej Matki Ziemi.

Właśnie w tych okolicach wielka bogini Słowian przejawiała się w najwspanialszej formie. Oto wioska leżała na skraju pasma najlepszej gleby na wielkiej równinie – czarnoziem.

Na całej równinie eurazjatyckiej nie było lepszej ziemi.

Na północy podłożem dla tundry był torfiasty glej niezdatny do uprawy. Lasy rosły na piaszczystych glebach nazwanych podzołami – szarymi tam, gdzie dominowały brzozy i osiki, a brązowymi dalej na południe, gdzie rosły też buki, dęby, graby i lipy. Także na tej glebie plony były słabe. Dopiero bliżej stepu pojawiała się zupełnie inna gleba. Czarnoziem – lśniący, miękki, zwarty, pożywny jak miód. Ciągnął się setkami kilometrów na wschód od zachodniego wybrzeża Morza Czarnego aż po Syberię. Słowianie, którzy osiedlali się na krawędzi lasów, musieli jedynie oczyścić pole, by potem przez wiele lat zbierać bogate plony z żyznej czarnej ziemi. Gdy po jakimś czasie gleba jałowiała, zostawiali ją, by zarosła trawą, i przygotowywali nowy kawałek gruntu. Była to dość prymitywna i rabunkowa forma rolnictwa, ale czarnoziem zapewniał wiosce pożywienie na długo, bez konieczności przenoszenia się w inne miejsce. Poza tym ani las, ani równina nie miały kresu.

Gdy kobiety przerwały na chwilę śpiew, Lebidź zauważyła idącego w ich kierunku Mała. Miał czerwoną, spoconą twarz.

– Proszę, Leniuch szuka sobie pracy! – zawołała żartem jedna z kobiet.

Nawet teściowa się roześmiała. Nieco zawstydzona mina Mała mówiła wyraźnie, że odłączył się od mężczyzn pod jakimś pretekstem. Lebidź zdziwiła się tylko, że nie było przy nim Kija.

– Gdzie jest Kij? – spytała.

– Skąd mam wiedzieć? Nie widziałem go od rana.

Zmarszczyła brwi. Gdzież ten chłopak się podziewa? Odwróciła się i zawołała do teściowej:

– Mogę poszukać Kija?! Gdzieś się zawieruszył.

Tęga kobieta nawet się nie zatrzymała, patrząc obojętnie na Lebidź i jej brata wałkonia. Potrząsnęła przecząco głową. Robota czeka.

– Idź i zapytaj starych kobiet, gdzie poszedł chłopak – powiedziała do Mała.

Posłusznie ruszył wolnym krokiem ku miedzy.

Zawsze bawiło go porównywanie, jak toczą się losy mieszkańców wsi. Na przykład życie mężczyzn było może barwniejsze, ale za to krótsze. Mężczyzna, nieważne, gruby czy chudy, wraz z wiekiem nabierał sił. A gdy te w końcu go opuszczały, nagle umierał. Z kobietami było zupełnie inaczej. Najpierw rozkwitały – z jasną cerą, szczupłe, wdzięczne jak łanie. A potem wszystkie bez wyjątku tyły, najpierw w biodrach tak jak jego siostra, potem w talii i w nogach. Z roku na rok robiły się coraz pełniejsze i okrągłejsze, ogorzałe od słońca niczym jabłka i gruszki, a te wyższe nabierały majestatycznej postury, jak teściowa Lebidź. Potem powoli, wciąż zachowując swoje krągłości, zaczynały maleć, kurczyły się stopniowo, by wreszcie na starość pomarszczyć się jak ziarno w skorupce. Stare kobiety, babuszki z pociemniałymi, pobrużdżonymi twarzami i błyszczącymi niebieskimi oczami, dożywały powoli swoich dni, aż w końcu, tak naturalnie jak spadający z drzewa orzech, zanurzały się w ziemi. To dotyczyło wszystkich kobiet. Jego siostra Lebidź też podążyła tą drogą. Gdy patrzył na jakąś babuszkę, zawsze ogarniała go czułość.

Na skraju pola siedziały właśnie trzy babuszki. Uśmiechając się grzecznie, zamienił z każdą po kolei kilka słów.

Lebidź obserwowała go, dziwiąc się, że trwa to tak długo.

W końcu Mał wrócił.

– Są już stare i nie bardzo wiedzą, co się dzieje – wyjaśnił. – Jedna mówi, że Kij wrócił do wioski z innymi dziećmi. Druga uważa, że poszedł nad rzekę. A trzecia twierdzi, że do lasu.

Westchnęła. Kij nie miał powodu iść do lasu, nie sądziła też, by oddalił się aż nad rzekę. Pozostałe dzieci wróciły już do chaty, gdzie miały zająć się maluchem. Zapewne jest razem z nimi.

– Sprawdź, czy jest w wiosce – poprosiła.

Mał chętnie się zgodził, zawsze to lepsze niż praca na polu.

A kobiety nadal śpiewały. Lebidź kochała tę piosenkę – była wolna i smutna, ale miała piękną melodię, która pozwalała jej zapomnieć o troskach.

I na ciebie przyjdzie kres;

Ciągnij pług przez skiby.

Nie pocieszysz cię na koniec

Ani woda, ani ogień  
I wiatr też nie będzie  
Twoim przyjacielem.  
W ziemi w końcu spoczniesz,  
Ziemia cię przytuli.

Kobiety posuwały się powoli w swoim szyku i pochylone ścinały jęczmień z ciężkimi kłosami. Nad polem słyhać było cichy szelest sierpów przecinających brązowiejące łodygi. Kurz z padającego zboża unosił się nisko nad ziemią, wydzielając słodki zapach. A Lebiedź nie po raz pierwszy doświadczyła dziwnego uczucia, miłego i smutnego jednocześnie – jakby utraciła jakąś część samej siebie, nie mogąc uciec od tego powolnego, ciężkiego życia w ciszy bezkresnej równiny. Smutnego, bo czuła się jak w pułapce, a miłego, bo przecież była wśród swoich. Czyż nie tak właśnie powinno wyglądać życie?

Minęło trochę czasu, zanim Mal wrócił. Na twarzy miał swój zwykły bezmyślny uśmiech, ale Lebiedź zauważyła w nim ślad niepokoju.

– Nie ma go?

– Nie, dzieciaki go nie widziały.

Dziwne. Była przekonana, że jest z nimi. Poczwała lęk. Znów zawołała do teściowej:

– Kija nie ma w domu! Mogę go poszukać?

Ale stara kobieta spojrzała na nią z lekceważeniem.

– Dzieciaki zawsze gdzieś znikają. Niedługo wróci. Niech twój brat go poszuka. I tak nie ma nic do roboty – dodała złośliwie.

Lebiedź ze smutkiem spuściła głowę.

– Idź nad rzekę, Mal. Sprawdź, czy go tam nie ma – powiedziała. I zauważyła, że tym razem jej brat oddalił się znacznie szybszym krokiem.

Praca posuwała się do przodu. Zaraz przyjdzie czas na odpoczynek. Lebiedź przypuszczała, że teściowa specjalnie wydłuża pracę. Spojrzała na rozległy horyzont. Wydawało jej się, że teraz widnokrąg kpi z niej okrutnie i przypomina tak jak teściowa: „Nic na to nie poradzisz, bogowie zapisali już wszystko w przeznaczeniu”. Pochyliła się nad zbożem.

Tym razem Mal wrócił po kilku minutach. Wyglądał na zatroskanego.

– Nad rzeką go nie ma.

– Skąd wiesz?

Wyjaśnił, że spotkał starca, z którym polował, a on spędził nad rzeką całe przedpołudnie. I na pewno zauważyłby chłopca, gdyby się tam pojawił.

Dźgnął ją lęk.

– Według mnie poszedł do lasu – stwierdził Mal.

Do lasu? Wcześniej chodził tam tylko z nią. Spojrzała na brata z uwagą.

– Dlaczego tak myślisz?

Mal był wyraźnie speszony.

– Nie mam pojęcia.

Kłamie, to widać. Wiedziała jednak, że lepiej nie przyciskać go do muru.

– W którą stronę miałby pójść? – spytała.

Mał zamyślił się. Przypomniał sobie słowa rzucone lekkomyślnie w rozmowie z chłopcem.

– Chyba na wschód. – Zaczerwienił się. – Zresztą nie wiem.

Popatrzyła na niego pogardliwie.

– Bierz! – Wcisnęła mu w rękę sierp. – I do roboty – rozkazała.

– Ale to praca kobiet – zaprotestował.

– Do roboty, głupcze! – krzyknęła i podeszła do teściowej. Pozostałe kobiety wybuchnęły śmiechem. – Pozwólcie mi poszukać Kija – poprosiła raz jeszcze. – Mój brat wysłał go do lasu.

Teściowa spojrzała na łąkę. Mężczyźni zakończyli już pracę, kilku z nich, w tym mąż Lebidź i starszy wioski, szło w ich kierunku.

– Odpoczynek! – zawołała do kobiet. – A ty możesz iść – zgodziła się.

Mężczyźni byli już przy nich, więc w kilku słowach wyjaśniła, co się stało. Starszy wioski był potężnym człowiekiem z siwą brodą i małymi, niespokojnymi oczami. Sprawa mało go obeszła. Ale twarz męża nieco się zafrasowała.

– Też mam pójść? – spytał starszego.

– Chłopak się znajdzie. Nie mógł daleko odejść. Niech ona go poszuka – powiedział tamten znudzonym tonem.

Zauważyła, że mąż odetchnął z ulgą. Rozumiała to. Przecież miał też inne żony i inne dzieci pod opieką.

– Pójdę już – powiedziała cicho.

– Jeśli cię długo nie będzie, ruszę za tobą – oznajmił mąż z uśmiechem.

Skinęła zgodnie głową.

Las był miły i przyjazny. Wysoko na błękitnym niebie płynęły rzadkie kłębiaste obłoki, błyszcząc w świetle przedpołudniowego słońca. Ciągnęły ze wschodu, znad bezkresnych suchych stepów. Chłopiec szedł skrajem lasu, wysokie trawy szeptały coś, poruszane lekkim wiatrem. W cętkowanej plamie cienia pasło się kilka krów.

Minęło już trochę czasu, odkąd Kij oddalił się od trzech starych kobiet. Szedł wesoło znajomą ścieżką prowadzącą do lasu. Nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

Przez cały ranek rozmyślał o niedźwiadku. Wujek Mał powiedział, że trzeba go szukać w czarodziejskiej krainie daleko na wschodzie. I że można tam dojść w jeden dzień. Tylko że Kij, choć mały, wiedział doskonale, że wujek tam nie pójdzie. I im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większą miał pewność, co powinien zrobić.

Poranny upał się wzmagał, powietrze nad polem jęczmienia, gdzie pracowały kobiety, zaczęło błyszczeć. Chłopiec chodził w tę i z powrotem, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, aż w końcu, jakby prowadzony jakąś niewidzialną dłonią, ruszył w kierunku lasu.

Znał drogę. Na wschód oznaczało z dala od rzeki, wzdłuż ścieżki, przy której jego matka i inne kobiety zbierały grzyby. Późnym latem przychodzili tu na jagody. Na wschód, czyli tam, skąd płynęły chmury.

Nie wiedział, jak daleko będzie musiał iść, ale skoro wujek dotarłby tam w ciągu jednego dnia, to on też.

No, najwyżej w ciągu dwóch dni, pomyślał odważnie.

Z dziwną determinacją szedł ścieżką wśród sosen. Był pulchny, jak wiele dzieci w jego wieku. Miał na sobie białą koszulkę z paskiem, kapcie z łyka, w dłoni ścisnął pęk zerwanego na polu jęczmienia.

Po pięciuset metrach dotarł do polanek, na których kobiety zazwyczaj zbierały grzyby. Uśmiechnął się z zadowoleniem, rozpoznając okolicę. Nigdy jeszcze nie był sam tak daleko w lesie, mimo to ani na chwilę się nie zatrzymywał.

Wąska dróżka schodziła zboczem w dół – w jednych miejscach była pokryta sosnowymi igłami, gdzie indziej biegła wśród poskręcanych korzeni – aż docierała do młodniaka. Kij zauważył, że wśród dębów i buków jest coraz mniej sosen, za to coraz więcej jesionów. Z wysokich gałęzi obserwowały go z uwagą wiewiórki. Jedna, ta najbliższej ścieżki, w pierwszej chwili chciała uciec, ale zmieniła zdanie i przysiadła czujnie, chrupiąc jakąś łuskę. Po pewnym czasie młodniak się przerzedził, na ścieżce pojawiła się trawa. Po kolejnych kilkuset metrach ścieżka zakręcała w prawo, a potem w lewo. Kij zauważył następną kępę sosen.

Był szczęśliwy. I podekscytowany wyprawą w nieznaną.

Wędrował tak prawie kilometr, zanim w końcu ścieżka dotarła do gęstszej ściany lasu i znacznie się zwężyła. Kij szedł jednak dalej, aż korony drzew zamknęły się nad jego głową. Poczłł słodki, błotnisty zapach.

Po prawej stronie zobaczył ciemny staw.

Staw nie był duży – miał dziesięć metrów długości i trzydzieści szerokości. Otoczona drzewami tafla wody stała nieruchomo. Ale w pewnej chwili zmarszczył ją słaby podmuch wiatru. Fala uderzyła z lekkim pluskiem o brzeg porośnięty kępami paproci.

Kij wiedział, co to oznacza. Rozejrzał się bojaźliwie.

„W spokojnym stawie diabeł mieszka”.

Tak mawiali mieszkańcy wioski. I na pewno mieszkwały tu też panny wodne, rusałki. Gdy ktoś nie był wystarczająco ostrożny, mogły go dopaść i załaskotać na śmierć. „Nie daj się złapać jakiejś rusałce – przestrzegała go ze śmiechem matka. – Masz takie łaskotki, że poradzą sobie z tobą w jednej chwili”.

Nie spuszczać wzroku z powierzchni wody, chłopiec obszedł dookoła groźną sadzawkę. Na szczęście ścieżka zaczęła się od niej oddalać. Wkrótce las zamienił się w dąbrowę, a za nią pojawiła się otwarta polana. Wysokie trawy kołysały się łagodnie. Na prawo rosła kępa brzoź.

Kij przystanął.

Wokół panowała cisza. Nad sobą miał puste, milczące niebo. W którą stronę pójść?

Odczekał kilka minut, aż na niebie pojawił się obłok. Obserwował go uważnie, żeby wyznaczyć kierunek.

Wschód miał na wprost przed sobą. Ruszył dalej.

Po raz pierwszy pożałował, że jest sam. Rozejrzał się kilkakrotnie po polanie. Może zobaczy gdzieś mamę? Wydawało mu się naturalne, że powinna być tam gdzie on.

Znów zagłębił się w las, a po dziesięciu minutach zorientował się, że ścieżka znikła. Niskiej trawy rosnącej pod wiązami nie przecinały żadne ślady, ani zwierząt, ani ludzi.



Było tu dziwnie pusto. Zatrzymał się zaniepokojony. Może powinien zawrócić? Znajome pola i rzeka wydawały się tak daleko. Nagle zapragnął być znowu u siebie. Przypomniał sobie jednak, że jeszcze raz musiałyby minąć mroczny staw z rusałkami.

Drzewa rosły tu blisko siebie, ogromne i groźne. Sięgały wysoko i tłumiły światło, przez zasłonę liści widać było jedynie małe skrawki nieba, jakby ktoś roztrzaskał błękitną czarę firmamentu na tysiąc kawałków. Chłopiec spojrział w górę i znów się zawahał. Ale co z niedźwiadkiem? Nie, nie zrezygnuje. Zacisnął zęby i ruszył dalej.

I nagle mu się wydało, że słyszy głos.

– Kij! – Wołanie matki odbijało się wśród drzew łagodnym echem. – Kij, mój ptaszku!

A więc jest tutaj. Buzia mu pojaśniała. Odwrócił się. Nikogo. Teraz on zawołał, a potem wsłuchiwał się przez chwilę, czekając na odpowiedź.

Cisza. Jedyne lekki wiatr zaszeleścił liśćmi i poruszył mniejsze gałązki. Może to wołanie było tylko zawodzeniem wiatru? A może to rusałki ze stawu robią sobie z niego żarty?

Ze smutkiem ruszył dalej.

Szedł w cieniu koron wysokich drzew, jedynie od czasu do czasu wąski promień słońca muskał jego włosy. Chwilami zdawało mu się, że obserwują go czyjeś oczy, jakby milczące istoty, szare i brązowe, przemykały w cieniu. Ale choć rozglądał się nieustannie, niczego nie zauważył.

Po pięciu minutach zatrzymał się, wypatrując jakiegoś poruszenia wśród drzew, gdy nagle nad jego głową rozległ się głośny skrzek. Przerażony uniósł wzrok i zobaczył wśród liści wzbijający się w górę dziwny kształt.

– Baba-Jaga! – wrzasnął.

Każde dziecko bało się Baby-Jagi. Wiedźma latała w wielkim moździerzu, miała ogromne stopy i rozczapierzone szponiaste dłonie, którymi łapała dzieci, zabierała je ze sobą, a potem gotowała w wielkim kotle. Kij patrzył w górę z przerażeniem.

Na szczęście to był tylko ptak, który wznosił się wśród gałęzi, głośno uderzając skrzydłami. Mimo to chłopiec trząsł się na całym ciele. Płacząc, usiadł na ziemi i zaczął wołać matkę. Ale gdy kolejne minuty mijały bez odpowiedzi, jakoś zapanował nad łzami i powoli się uspokoił.

Przecież to tylko ptak. Co mówił wujek? „Myśliwy, jeśli tylko jest ostrożny, nie ma się czego w lesie bać. Tylko kobiety i dzieci lękają się lasu”.

Kij stanął powoli na nogi. Z wahaniem ruszył dalej.

Niedługo potem zauważył, że okolica po lewej stronie jakby się zmieniła. Las stał się rzadszy, przez gałęzie przedostawało się więcej światła. A jeszcze dalej wydawało się, że drzewa błyszczą złotym światłem. Skierował się w tamtą stronę.

Było tu znacznie cieplej. Drzewa nie rosły tak wysoko. Pod stopami zieleń się bujna trawa, pojawiały się krzewy. Na ziemi widać też było kępy mchu. Kij poczuł na twarzy słońce, usłyszał bzyczenie much, nawet ugryzł go jakiś komar. Chłopcu wrócił dobry humor. Spod stóp uciekła mu mała zielona jaszczurka.

Tak się ucieszył, że tu dotarł, iż nawet nie zauważył, w którą idzie stronę.

Nie mógł tego wiedzieć, ale wędrował już ponad godzinę. Było południe. Nie czuł

pragnienia ani głodu, a radość z wydostania się z ciemnego lasu stłumiła zmęczenie. Zerknął za siebie, ale lasu już nie było widać. Zatoczył wzrokiem półkole. Zalany słońcem krajobraz wydał mu się obcy. Nieopodal lśniła biała kora brzoź. Niewielki ptak na gałęzi patrzył na niego tak, jakby nie chciało mu się ruszać w tym upale. I nagle, może też z powodu gorąca, Kij poczuł, że cały ten dzień staje się nierzeczywisty. Gdzieś przed nim, w gęstniejącym poszyciu, pojawiła się linia niskich trzcin.

I wtedy zobaczył błysk światła.

Wydobywało się z ziemi, spod splątanych korzeni. Było tak jaskrawe, że aż zmrużył oczy. Zrobił krok do przodu. Światło nadal migotało. Światło w ziemi. Przysunął się jeszcze bliżej, a wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl.

A może to światło wskazuje drogę do innego świata?

Tak, to możliwe. W języku Słowian słowa „świat” i „światło” brzmiały bardzo podobnie. I Kij wiedział doskonale, że domowej i inni przodkowie mieszkają pod ziemią. A tu rozbłyskiwało światło, w czarodziejskim miejscu, w środku ziemi. Więc może tam naprawdę jest wejście!

Dopiero gdy chłopiec podszedł bliżej, okazało się, że światło pochodzi z gładkiej powierzchni ukrytego w zaroślach strumyka, w którym odbija się południowe słońce. Strużka wiła się w leśnym podszyciu, czasem znikwała w jakimś zagłębieniu, by pojawić się w wysokiej trawie kilka metrów dalej. Jednak dla chłopca było to tak samo magiczne. Gdy patrzył na mknącą wodę, na brzozy dookoła, na bujną trawę, w jego główce pojawiła się jeszcze bardziej ekscytująca myśl. Jestem na miejscu! Tak, dotarł do granicy magicznego królestwa za siedmioma lasami. Na całym świecie nie ma bardziej czarodziejskiego miejsca niż to.

Z zachwytem podążył za strumykiem, który poprowadził go do stojących pięćdziesiąt metrów dalej dwóch głazów. W rozpadlinie między nimi rosła leszczyna. Kij zatrzymał się i dotknął skały: była ciepła, niemal gorąca. Zachciało mu się pić. Zawahał się, bo nie wiedział, czy wolno mu pić z magicznego źródła, ale pragnienie zwyciężyło, ukląkł na trawie i nabrał w dłonie krystalicznie czystej wody. Była orzeźwiająca i miała niemal słodki smak.

A potem, żeby lepiej rozejrzeć się po okolicy, zaczął się wspinać na jeden z głazów. Tuż nad nim była szeroka skalna półka. Podniósł rękę, starając się czegoś chwycić.

Poczuł pod palcami ciało węża.

Nie wiedział, jak to się stało, ale w ułamku sekundy znalazł się trzy metry od skały, drżąc na całym ciele jak osika. Poruszał konwulsyjnie głową, wypatrując na drzewach, w strumieniu i na głazach gotowych do ataku węży. Gdy źdźbło trawy musnęło mu nogę, podskoczył jak oparzony.

Jednak wąż na skale leżał nieruchomo. Kij widział jego ogon przewieszony przez krawędź. Trzęsąc się, odczekał jeszcze dwie minuty. Na ziemi nic się nie poruszyło, jedynie gdzieś w koronach drzew bezszelestnie przemknął myszołów.

Gdy w końcu ciekawość przeważyła nad strachem, chłopiec podkraść się ostrożnie do skały.

Wąż był martwy. Leżał zwinięty na półce. Gdyby go rozciągnąć, byłby dwa albo nawet trzy razy większy. W jednym miejscu był przecięty na pół – zapewne przez orła.

Kij od razu rozpoznał żmiję – w tych okolicach żyło kilka gatunków żmij – i aż zadrżał, choć gad był martwy.

Nagle coś sobie uświadomił. Niemal się uśmiechnął. Tak, to jest magiczna kraina. Wąż leży w cieniu krzewu rosnącego w rozpadlinie pomiędzy dwiema skałami. Leży w cieniu leszczyny.

– Teraz na pewno znajdę niedźwiadka – powiedział na głos.

Bo martwy wąż mógł mu zdradzić jedną z największych tajemnic: tajemnicę czarodziejskiego języka.

Magicznego języka nie dało się słyszeć. Mówiły nim wszystkie drzewa i rośliny, kamienie i strumyki, a czasem też zwierzęta. Tę tajemnicę można było osiąść na kilka sposobów – powiedziała mu to sama babka. „Pierwszy sposób polega na tym, że musisz uratować węża z pożaru albo ocalić złowioną rybę, wtedy one mogą ci ten język przekazać. Drugi sposób to znaleźć nasienie paproci w najkrótszą noc w roku. Trzeci to złapać żabę podczas orki i włożyć ją sobie do ust. Poznasz także ten język, jeśli pod krzakiem leszczyny znajdziesz martwego węża, upieczesz go i zjesz jego serce”.

Gdybym mógł rozmawiać z drzewami i zwierzętami, od razu by mi powiedziały, gdzie jest mój niedźwiadek, pomyślał. I popatrzył z zadowoleniem na węża. Ale miał jeden problem: jak go upiec? Nie umiał rozniecić ognia. Przyszło mu do głowy, że może zabrać węża do wioski.

Nie spuszczał gada z oczu. Wąż leżał zaledwie dwa metry od niego i był martwy od niedawna. Gdyby nie oderwana głowa, można by sądzić, że za chwilę się poruszy. Kij poczuł przez łykowe buty ciepło skały i zadrżał, uświadomiwszy sobie, że to samo ciepło ogrzewa też węża.

Nie, nie da rady zaciągnąć go do wioski.

Jednak po chwili wpadł na wspaniałą w swojej prostocie pomysł. Miał wrażenie, że pojawiła się przed nim szeroka ścieżka przez pusty las. Przyprowdzi tu wujka Mała, a on upiecze węża!

Przecież to takie proste! Czuł się tak, jakby jego podróż dobiegła końca, a on szczęśliwie dotarł do domu. Zsunął się z ulgą ze skały i zaczął szukać swoich śladów nad strumykiem. Okolica nie wydawała się już taka magiczna, za to bardziej znajoma.

Dopiero po paru minutach pojął, że się zgubił.

Od strumienia skręcił do lasu, ustalając kierunek według płynących na niebie chmur. Tylko dlaczego to miejsce wyglądało tak obco? Drzewa były wyższe, rosły coraz gęściej. Tu i ówdzie pojawiały się krzewy, leżały porozrzucone głazy. Nie, wcześniej był w zupełnie innym lesie. A teraz ucieszyłby się na widok groźnego stawu zamieszkanego przez rusałki. Znów spojrzał na chmury. Nie wiedział jednak, że po południu wiatr zaczął zmieniać kierunek.

Dopiero teraz ogarnęła go panika. Mijały minuty, a on miał coraz większą pewność, że się zgubił. Zrobiło mu się zimno. Zatrzymał się i rozglądał na wszystkie strony, ale wszędzie widział jedynie niezliczone pnie drzew.

Nie wiedział, dokąd iść. Pięć razy zawołał matkę po imieniu, ale jego głos zginął wśród drzew. Tak jakby ten dzień postanowił schwytać go w pułapkę, uwięzić w lesie pod bezkresnym błękitnym niebem, a teraz przyglądał mu się drwiąco z wysoka. A jeśli nigdy

nie wróci do domu? Kij przysiadł przy zwałonym drzewie. Zalewały go fale rozpacz, siedział nieruchomo, zbyt zmęczony i zniechęcony, by iść dalej. Zaczął płakać.

Zawołał jeszcze dwa razy, ale nie usłyszał odpowiedzi. Obok niego rósł duży grzyb. Pogłaskał jego miękką kapelusz, szukając jakiegoś ukojenia. Płacz rozgrzał go, powieki zaczęły mu ciążyć. Głowa opadła na pierś.

Gdy zobaczył niedźwiadka, w pierwszej chwili wydawało mu się, że śni.

Miś musiał się oddalić od matki, bo biegł teraz w długich susach, próbując ją dogonić. Minał Kija w odległości piętnastu metrów.

Chłopiec wstał, przecierając oczy, i uszczypnął się, żeby się upewnić, że nie śni. Czyżby rzeczywiście znalazł niedźwiadka? Aż nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Zwierzę wciąż było na horyzoncie, biegło za jakimś brązowym kształtem widocznym sto metrów dalej, pewnie za matką. Brązowy kształt zniknął za drzewem.

Chłopiec ruszył za nimi bez wahania. Miał tylko jedną myśl: zobaczyć, dokąd one idą. Biegł ile sił w nogach.

Dotarli do polany, minęli ją i zagłębili się w następny las. Kij nawet się nie zastanawiał, dokąd idą. Gdy widział niedźwiedzie, zamierał w bezruchu, żeby go nie zauważyły. Głównie jednak kierował się odgłosami łamanych gałęzi i szuraniem łap. Nie wiedział, jak daleko jest od domu ani jak znajdzie powrotną drogę. Był zbyt blisko celu swoich poszukiwań, by się nad tym zastanawiać. Szedł wytrwale przed siebie.

Kilka razy o mało nie stracił ich z oczu. Nagle w środku bezkresnego, jak mu się wydawało, zagajnika dębów czy jesionów otaczała go martwa cisza. Wszystkie drzewa wyglądały jednakowo. Zatrzymywał się wtedy, robił kilka kroków, znów się zatrzymywał, aż w końcu znów dobiegał go głośny szelest.

Nie czuł żadnego zagrożenia. Po otrzymaniu tylu magicznych znaków – ukryty staw, światło z innego świata wychodzące ze strumyka, wąż pod leszczyną – uwierzył, że to czarodziejski dzień i że duchy lasu prowadzą go do celu.

Właśnie w jednej z tych chwil ciszy zauważył po prawej stronie, za ścianą brzóz, plamę światła, która mogła oznaczać polanę. Może niedźwiadek tam właśnie poszedł? Kij ruszył w tamtym kierunku.

I wtedy na skraju polany zobaczył wśród drzew błysk światła. Niezbyt wysoko. Coś migotało na niższych gałęziach. Nie widział dokładnie przez rząd brzóz, ale promienie słońca tańczyły na czymś, wystrzeliwując we wszystkie strony czerwone, złote i srebrne błyski. Co to takiego?

Nagle zalała go fala radości. Przecież to oczywiste! Cóż innego może tak błyszczeć na drzewie? Co stoi na straży skarbów poszukiwanych przez człowieka, a teraz najwyraźniej pilnuje niedźwiadka? Jedynie najrzadszy i najwspanialszy ze wszystkich cudów lasu.

Żar-Ptak.

Żar-Ptak miał pióra we wszystkich kolorach. Nawet w ciemności błyszczał i migotał. A ten, komu udałoby się podkraść i chwycić jedno pióro z ogona, miałby wszystko, czego by zapragnął. Żar-Ptak oznaczał ciepło i szczęście. A niedźwiadek na pewno czeka teraz przy nim. Kijowi się zdawało, że migotliwe światło wabi go i przywołuje.

Zbliżył się do czarodziejskiej istoty na odległość dziesięciu metrów. Nie widział wyraźnie, ale Żar-Ptak nie poruszał się i cały czas jasno świecił. Czekał na niego. Z okrzykiem radości Kij przebiegł między brzozaami i wypadł na polanę.

Patrzący na niego jeździec miał nieruchomą twarz. Kolorowe klejnoty ozdabiające krawędź jego hełmu błyszczały w słońcu jak Żar-Ptak. Mężczyzna odznaczał się śniadą cerą i dużym orlim nosem. Na ramiona spływała mu kaskada czarnych włosów. Ale jego ciemne, skośne oczy patrzyły zimno. Przez ramię miał przewieszony długi, zakrzywiony łuk.

Chłopiec stał przed nieznanym jak skamieniały. Wierzchowiec, którego ten dosiadał, był czarny i miał bogato zdobioną uprząż. Skubał trawę rosnącą w cieniu drzew, a teraz podniósł leniwie łeb, żeby popatrzeć na Kija.

Jeździec trwał nieruchomo.

A potem nagle ruszył do przodu.

Południowe słońce zawieszono wysoko na bezkresnym błękitnym niebie mocno prażyło ziemię. Suchy jęczmień, poruszony lekkim powiewem dusznego wiatru, zaszeptał cicho i jakby na pożegnanie musnął talię Lebidź. Zapach zboża docierał aż do skraju lasu. Z pola wybiegła mała mysz i schowała się w korzeniach drzewa.

Może chłopiec chciał się tylko schronić w cieniu? Lebidź szła wzdłuż lasu, cicho nawołując:

– Kij, mój ptaszku! Kij, mój gołąbku!

Pasące się krowy spojrzały na nią, ale nawet nie ruszyły się z miejsca. Po drugiej stronie pola wisiał w powietrzu myszołów, wypatrując zdobyczy. Kija jednak nie było.

Skręciła na ścieżkę prowadzącą do miejsc, gdzie zbierali grzyby. W południe panowała w lesie taka sama cisza jak na polu, słońce pokrywało wszystko ostrym światłem. Lebidź znów zawołała:

– Kij! Kij, moja kaczuszeko!

Na jej szyi wisiał na sznurku mały talizman, który dostała kiedyś od matki – gęś wyrzeźbiona z kawałka drewna. Wyjęła ją zza koszuli i pocałowała.

Przeszukała polany, dokąd chodzili na grzyby. I tu Kija nie było.

Doszła do stawu. Może wpadł do wody? Może kryje go teraz ciemna, nieruchoma tafla? Nie, nie ma najmniejszego powodu, żeby miał wpaść do sadzawki, pocieszała się w myślach.

Jej głos dźwięczał donośnie.

Dotarła ścieżką do następnej polany. Tu też zawołała kilka razy. Czyżby poszedł jeszcze dalej?

Stanąła przed kępą brzoza po drugiej stronie polany i skłoniła głowę. Brzoza była drzewem świętym i przyjaznym, pomagała temu, kto się do niej modlił. Lebidź ruszyła dalej. Kierowała się na wschód, nie wiedząc, że chłopiec, nieświadomy zmieniającego się wiatru, podążył za obłokami w inną stronę. W pewnej chwili zauważyła parę wilków stojących przy drzewie jak dwa szare cienie. Serce jej załomotało. A jeśli Kij też je spotkał? Mogła się jedynie pocieszać, że latem, gdy zwierzyny było w bród, wilki rzadko atakowały ludzi.

Gdy tak szła, w jej umyśle pojawiały się uporczywe obrazy, dziwne postacie

z legend opowiadanych w wiosce: ptaki radości i smutku, ptaki drapieżne. A potem przez dziesięć minut wypełniały ją obrazy ognia – ognia na palenisku, który dawał ciepło i bezpieczeństwo, oraz ognia w lesie, budzącego lęk. Te dwa obrazy zachodziły na siebie, aż w końcu nie umiała ich odróżnić.

Czasem drzewa wyglądały przyjaźnie, jakby otoczyły chłopca opieką, a teraz chciały go jej oddać. A chwilami były mroczne i groźne. Gdy szła przez dąbrowę, wydawało jej się, że słyszy głos Kija dobiegający gdzieś z lewej strony – zawołała, ale znów nie usłyszała odpowiedzi.

Jak będzie wyglądać jej życie bez niego. Wyobraziła sobie puste miejsce obok siebie na półce ponad paleniskiem. Jak uda jej się wypełnić tę dojmującą pustkę? Mąż ją wypełni? Nie. Jeszcze jedno dziecko? Widziała w wiosce inne kobiety, które straciły swoje dzieci. Płakały, usychały z tęsknoty, ale w końcu czas leczył rany. Rodziły kolejne dzieci i znów niektóre traciły. Tak toczyło się życie plemienia. Ale na co jej teraz ta wiedza? Sama nieraz doświadczyła matczynego niepokoju, lecz lęk nigdy wcześniej nie był tak silny. Dziś kąsał ją i dręczył, wywołując ból nie do zniesienia.

Gdyby mogła wlecieć jak Baba-Jaga ku kopule nieba, widziałaby z góry wszystko, co się rusza w lesie i na stepie. O, gdybyż mogła zobaczyć chłopca i czarami przenieść go do domu!

Gdy tak wędrowała, przyszły jej do głowy dwie myśli. Pierwszą było to, że chłopiec nie dałby rady dojść dużo dalej. A zatem, o ile wciąż żył, powinien być w lesie po prawej albo po lewej. Niestety, nie umiała zgadnąć gdzie.

Dругa myśl była bardziej przerażająca.

Las na wschodzie niedługo się kończył. A tam pojawiała się nowe niebezpieczeństwo: step.

Wyobraziła sobie, jak Kij wchodzi w wysokie trawy. Nic by go tam nie chroniło przed palącym słońcem. Trawy zamknęłyby się za nim, nie umiałby znaleźć wyjścia, ona zaś nie mogłaby go zobaczyć. A dzikie zwierzęta? Było mało prawdopodobne, by niedźwiedź czy wilk zaatakowały dziecko w środku lata, ale na stepie mieszkaly żmije, dzikie psy i tchórze.

Postanowiła dotrzeć do granicy lasu, a potem pójść wzdłuż jego krawędzi i nawoływać po drodze. Jeśli Kij zawędrował aż tak daleko, to pewnie jest zmęczony i może odpoczywa gdzieś w cieniu. Przyspieszyła kroku.

Po pięciu minutach minęła ostatnie drzewa.

Przed sobą miała wielki, otwarty step. Południowa cisza sięgała aż po horyzont i jeszcze dalej. Słońce prażyło ziemię, nad którą unosiło się falujące powietrze. Spalone niskie trawy i turzyce tylko w niektórych miejscach były jeszcze zielone. Tak zaczynał się step. Dalej ciągnęła się ostnica piórkowata – nazywana tak z powodu wyrastających wiosną pierzastych wiech. Jej wyblakłe kłosa mieszały się i zacierały w oddali, przez co żółknięte łądygi wyglądały tak, jakby ktoś je przysypał białym puchem. Jeszcze dalej równina robiła się brunatna, a tuż pod linią horyzontu przybierała kolor bzu. W pierwszej chwili można było odnieść wrażenie, że palące słońce uspiło swoim żarem wszystkie żywe istoty.

Ale było to tylko złudzenie. Tuż obok stopy Lebiedź cykał konik polny. Po prawej

unosił się na niebie skowronek, wyśpiewując w upale swoje trele. Na skraju lasu dostrzegła kilka zwiędniętych irysów i hiacyntów. Ciemnozielona plama na żółtej trawie zdradzała obecność kolonii świstaków.

Wołała kilka razy, ale bez skutku. Skręciła w lewo, szła teraz wzdłuż lasu na północny wschód. Przed sobą, nieco na prawo, jakieś trzy i pół kilometra w głąb stepu, zauważyła niewielkie, choć wyraźne wzniesienie. Był to kurhan – grobowiec – choć nie wiedziała, kto go usypał ani kiedy. Jej plemię nie budowało takich wzniesień.

Minęło trochę czasu, ale kurhan, zawieszony w rozgrzanym powietrzu, wcale się nie zbliżał. Wiedziała, że step zna wiele takich sztuczek, lecz dziś wydawał się ponury, wręcz złowrogi. W oddali dostrzegła żurawia stepowego – z czarnoniebieską szyją i białym grzbietem – który zmierzał szybko do ukrytego w trawie gniazda. Kilkakrotnie zagłębiała się w las, szukając Kija, i znów wracała na zalany słońcem step.

W końcu kurhan zaczął się przybliżać. Jednocześnie dotarła do miejsca, w którym las wcinał się wąskim pasem w step. Weszła między drzewa.

Po drugiej stronie leśnego cypla jacyś jeźdźcy rozłożyli obóz. Zobaczyła ich dopiero z odległości stu kroków.

I zobaczyła też, że mają jej syna.

Pięć wozów miało zadaszanie z kory. Ustawione w półkole, rzucały na rozpaloną ziemię gorące, zakurzone cienie. Kilku jeźdźców zsiadło z koni i leżało obok wozów.

Dwóch konnych stało nieco dalej. Jeden był jasnowłosy, drugi miał włosy ciemne. I ten drugi zwracał się do pierwszego jak do dowódcy.

– Mówię ci, bracie, poszukajmy tej wioski.

Jasnowłosy jeździec patrzył na chłopca, którego jego towarzysz posadził sobie przed siodłem. Chłopiec był blady i rozglądał się dookoła przerażonym wzrokiem. Całkiem ładny chłopczyk.

Długie, kruczoczarne włosy jeźdźca błyszcząły w słońcu niemal tak samo jak boki czarnego rumaka.

Do wioski nie mogło być daleko. Zabraliby kilku młodzieńców i kilkoro dzieci płci męskiej, protesty na nic by się zdały. A potem wyćwiczyliby ich na wojowników – nie na niewolników, ale członków własnego klanu. Dwóch jeźdźców odpoczywających przy koniach też pochodziło ze słowiańskich wiosek. Co za dziwni ludzie, pomyślał jasnowłosy, nie mają boga wojny, a wyrastają na znakomitych, dzielnych wojowników. Ten chłopiec też byłby dobrym nabytkiem dla jego klanu.

Jednak tego upalnego popołudnia nie chciał napadać na wioskę.

– Przybyłem tu w innym celu – powiedział.

Ciemny jeździec pochylił głowę.

– Twój dziad nie dożył starości – powiedział z powagą. – Nie bez powodu nazywano go Jeleniem.

To była największa pochwała dla jeźdźców stepu. Mężczyzna, który dożył starości, tracił honor – odważni wojownicy ginęli w walce w kwiecie wieku.

Nieco wcześniej, gdy słońce stało w zenicie, jasnowłosy wojownik zatrzymał się na szczycie samotnego kurhanu i wbił w niego długi miecz. To był grób jego dziadka, który zginął tu w potyczce. Pamiętała o nim tylko rodzina, co kilka lat oddając mu w tym

na wół zapomnianym miejscu należną cześć. Miecz wciąż tu był, jego metalowa rękojeść błyszczała w słońcu, przypominając o klanie szlachejnych wojowników.

Kij wpatrywał się w jeźdźca. Nigdy wcześniej nie widział takich ludzi, ale o nich słyszał. Domyślał się, że ten na czarnym koniu to Scyta.

„Jeśli Scyta cię złapie – przestrzegaj go kiedyś ojciec – to obedrze cię żywcem ze skóry i zrobi z niej uprząż”. Kij patrzył z niepokojem na wodze. Twarde spojrzenie ciemnych oczu kazało mu się spodziewać najgorszego, a teraz podejrzewał, że rozmawiają, jak go pociąć. Trzął się na całym ciele. A jednocześnie, patrząc w twarz jasnowłosego wojownika, czuł nikłą nadzieję. Pomimo przerażenia nie mógł oprzeć się myśli, że nigdy jeszcze nie widział tak wspaniałej postaci.

W odróżnieniu od Scyty, swojego brata krwi, mężczyzna nosił krótko obcięte włosy. Miał pociągłą twarz o regularnych, niemal delikatnych rysach. Ale gdy jego niebieskie oczy rozpałały się gniewem, budził przerażenie jeszcze większe niż Scyta. O tym mrożącym krew w żyłach spojrzeniu mężczyzny z jego plemienia wspominało kilku starożytnych pisarzy.

Należał do Alanów – największego ludu sarmackiego – i pochodził z potężnego, dumnego klanu, którego członkowie nazywani byli jasnymi albo promiennymi.

Stepowi jeźdźcy napływali ze wschodu od niepamiętnych czasów – z ziem azjatyckich leżących za ogromnym półkolem górskich łańcuchów tworzących południową granicę eurazjatyckiej równiny. Pokonywali przełęcze północnych Indii i Persji, wyłaniali się z mgieł zalegających górskie zbocza i zalewali równinę. Jechali z pustyń, okrążali Morze Kaspijskie, docierali do Wołgi, a stamtąd wędrowali ku stepom na północ od Morza Czarnego, na ziemi nad Dnieprem i Donem. Wdarli się nawet na wybrzeże Morza Śródziemnego i na Bałkany.

Najpierw w odległej starożytności pojawili się Kimerowie, jeźdźcy epoki żelaza. Następnie, około 600 roku przed naszą erą – Scytowie, lud indoeuropejski z domieszką krwi mongolskiej, posługujący się językiem irańskim. I wreszcie około 200 roku przed naszą erą jeszcze potężniejszy lud irańskojęzyczny, Sarmaci, podbił Scytów i zepchnął ich na małe terytoria.

Te klany wojowników ze szlachejnymi książętami przybyły z południa. Irańskie słowo *don*, oznaczające wodę, znalazło się w nazwach wielkich rzek: Donu, Dniepru, a nawet płynącego dalej na zachodzie Dunaju. Alanowie byli wędrownymi wojownikami, panami stepów.

Słowianie bali się ich i podziwiali jednocześnie. Jedne plemiona pracowały dla nich, inne płaciły im daniny. Alanowie wędrowali po całej równinie – jak mówiły ich bohaterskie legendy, przemierzali stepy od krainy ciepłego słońca po ziemię, gdzie słońce chowało się za horyzontem.

Alan zerknął w niebo. Wciąż panował upał, ale za chwilę mężczyźni w obozie obudzą się i czas będzie ruszyć w drogę.

– Dziś wracamy – powiedział cicho. – Możesz zatrzymać chłopaka.

Kij nie mógł oderwać oczu od wojownika. W odróżnieniu od Scyty Alan używał strzemion. Miał buty z miękkiej skóry i falujące jedwabne spodnie. Przy boku wisiały mu miecz i arkan, ulubiona broń jego ludu, do nogi zaś przymocowany był sztylet



z pierścieniem na szczycie rękojeści. Obok jednego z wozów leżały kolczuga i spiczasty hełm związane w tobolek, a także dwie długie włócznie, którymi Alanowie atakowali w bitwach. Wojownik miał na sobie kaftan ozdobiony złotymi trójkątami, szyję otaczał mu naszyjnik ze złotego drutu uplecionego na kształt małych smoków. Z ramion spływała wełniana peleryna spięta broszą wysadzaną wschodnimi klejnotami. To były wszystkie jego ozdoby.

Scyta prezentował się zupełnie inaczej. Kij czuł na plecach drapanie złotych i srebrnych ornamentów naszytych na skórzany serdak. Na przytrzymującym chłopca ciemnym ramieniu widniała bransoleta z wygrawerowanymi zwierzętami i bogami. Kij nie miał pojęcia, że to wspaniałe dzieło pochodzi z Grecji, wiedział tylko, że odbijające się w nim światło słońca razi go w oczy. Przy pasie Scyty zauważył bułat z rękojeścią z greckimi ornamentami.

Największe jednak wrażenie zrobiły na drżącym chłopcu konie. Nie widział czarnego rumaka w całości, ale siedząc okrakiem na jego szyi, czuł siłę zwierzęcia. A wierzchowiec Alana wydawał mu się wręcz bogiem.

Koń był srebrnosiwym, miał czarną grzywę, czarny pas na grzbiecie i czarny ogon. Alanowie mówili o tak szlachetnie umaszczonych koniach „oszronione”. Poruszał się lekko, jakby ledwo dotykał ziemi. Kij pomyślał, że takie stworzenie nie galopuje, lecz lata.

I wcale się nie mylił. W oczach alańskich plemion nie było szybszego wierzchowca. Szlachetne zwierzę nosiło imię Trajan, po rzymskim cesarzu, którego bohaterska sława rozeszła się wokół Morza Czarnego i którego Sarmaci uznawali za boga. Trzykrotnie Trajan ratował życie swojego właściciela, unosząc go z pola bitwy. Kiedyś, gdy Alana raniono podczas walki, wyrwał się tym, którzy chcieli go pojmać, i odnalazł swojego pana. Dlatego ludzie często mówili: „Ten wojownik kocha Trajana bardziej niż żonę”, a te słowa miały być wyrazem największego uznania.

Trajan stał nieruchomo, jedynie złote kółka przy uździe pobrzękiwały cicho, poruszone lekkim wiatrem. Na każdym kółku wryta była tamga – znak klanu, do którego należał także koń. Tamgą tego klanu był Trójzab – święty znak wiszący nad paleniskiem w wieży rodowej, oddalonej o setki kilometrów na wschód.

Scyta także patrzył na Trajana. Westchnął lekko. Zgodnie ze zwyczajami jego ludu taki boski wierzchowiec zostałby pochowany razem z właścicielem w kurhanie. Jednak Alanowie, choć byli znakomitymi jeźdźcami, zadowalali się pochówkiem z siodłem i uprzężą.

Ojciec Scyty i ojciec Alana walczyli razem jako najemnicy dla Rzymian, a oni jeszcze jako mali chłopcy zostali braćmi krwi. Była to najświętsza więź – nic nie mogło jej zerwać. Od lat wędrowali razem, walczyli jeden przy drugim. Nigdy Scyta nie zawiódł Alana. A gdyby zaszła taka potrzeba, gotów byłby oddać za niego życie.

Jednak gdy jego twarde spojrzenie po raz tysięczny spoczęło na Trajanie, w oczach pojawił się szczególny, marzycielski wyraz. Gdyby nie był moim bratem, myślał czasem, to dla takiego konia zabiłbym jego i stu innych.

Koń popatrzył na niego dumnie.

– Bracie, pozwól mi wziąć dwóch ludzi – powiedział Scyta. – Najedziemy wioskę

i dogonimy was jutro przed zachodem słońca.

Alan pogładził końską szyję.

– Nie prosź mnie o to teraz, bracie – odparł.

Scyta zamyślił się. Obaj wiedzieli, że Alan nie mógł odmówić bratu niczego – żaden dar, żadna przysługa czy ofiara nie wydawały się zbyt wielkie. Była to kwestia tradycji i honoru. Gdyby Scyta oficjalnie poprosił o Trajana, Alan musiałby go oddać. Ale żaden z braci nie nadużywał tego prawa – obaj wiedzieli, kiedy nie należy prosić. Ciemnowłosy mężczyzna skłonił jedynie głowę, jakby propozycja najechnia wioski nigdy nie padła.

Kij oderwał wzrok od wierzchowca i krzyknął.

Zbliżała się do nich w rozgrzanym powietrzu. Wysoka, pożółkła trawa drapała jej bosc nogi.

Nie wiedziała, czy ją zabiją, czy nie, ale nie miała nic do stracenia. Gdy podeszła bliżej, coś jej podpowiedziało, że dowódcą jest jasnowłosy Alan. Obaj mężczyźni patrzyli na nią obojętnie. Nawet konie się nie poruszyły.

Kij odruchowo próbował się wyrwać, ale ramię Scyty trzymało go w żelaznym uścisku. Mimo to chłopcu nie przyszło do głowy, że groźni jeźdźcy mogą go nie oddać matce.

– Kij! – zawołała.

Odpowiedział. Ale dlaczego jeźdźcy ją ignorują?

Lebiedź podniosła wzrok. Dwoje czarnych i dwoje niebieskich oczu patrzyło na nią twardo. Scyta przesunął dłoń w kierunku bułata, ale zatrzymał ją przed chłopcem i oparł na końskiej grzywie.

Dzieliło ją od nich dziesięć kroków. Widziała wyraz twarzy Kija – najpierw radość na jej widok i nadzieję, a potem bezsilną rozpacz, gdy nie mógł do niej podbiec. Zauważyła, że mężczyźni i konie przy wozach też na nią patrzą, ale bez szczególnego zainteresowania. Zatrzymała się i skrzyżowała ręce na piersi.

Wysoka trawa zafalowała od wiatru, przynosząc słodkawy zapach. Słońce prażyło im głowy. Hełm Scyty rzucał jasne błyski. Nikt się nie odezwał.

Alan znał kilka słów w języku Słowian.

– Czego chcesz? – zapytał szorstko.

Lebiedź nawet na niego nie spojrziała. W milczeniu patrzyła na syna trzymanego przez Scytę.

– Wracaj do wioski. Chłopak jest nasz.

Unikała wzroku dziecka. Zerknęła na jego policzki, na jego małe, pulchne palce wczepione w czarną grzywę. Nadal jednak się nie odzywała.

Bo czasem milczenie ma większą moc niż słowa.

Alan nie odrywał od niej oczu. Cóż ona wie, pomyślał, o losie, który czeka chłopca za horyzontem? Co wie o ruchliwych greckich i rzymskich portach nad Morzem Czarnym? O szarych, lśniących niczym stopiony popiół klifach nad południowymi morzami? O gładkich, zgarbionych cyplach wyglądających jak wielkie niedźwiedzie, które przysły do wodopoju? Co ta biedna Słowianka z lasu wie o ożywionym handlu zbożem prowadzonym na Krymie, o wędrujących na wschód karawanach, o ośnieżonych

szczytach Kaukazu, o kuźniach na przełęczach, gdzie hartowano żelazo, o winnicach na niżej położonych stokach? Nigdy nie widziała wielkich stad wspaniałych koni, które niczym bogowie zamieszkują góry, ani dumnych kamiennych wież jego ludu.

Za kilka lat chłopiec będzie wojownikiem i być może dosiądzie takiego konia jak Trajan. Będzie jednym z nich, jasnych Alanów, których taktykę ataków i udawanych odwrotów naśladowali nawet Rzymianie. Przecież niedawno sam cesarz Marek Aureliusz zaniechał prób podbicia tego dzielnego ludu. Co więcej, Rzymianie z zadowoleniem przyjmowali jego pomoc w walce z okrutnymi Partami.

Chłopak mógłby tyle rzeczy zobaczyć na szerokim świecie: zawitałby do królestwa Kimerów albo Scytów na Krymie, prowadziłby rozmowy z osiadłymi w portach Grekami, Rzymianami, Persami i Żydami, poznałby irańskie i azjatyckie ludy z najdalszych zakątków ziemi. Zyskałby sławę, walcząc z Persami na wschodzie albo z Gotami z północy. Ale przede wszystkim poznałby smak wielkiej wolności na bezkresnym stepie – uniesienie podczas galopu, braterstwo krwi.

Jakie życie czekało go wśród Słowian? Mieszkałby w lesie i płacił daniny albo przeniósłby się na południe, żeby uprawiać ziemię dla władców stepu. A jako członek ich klanu sam byłby panem dla innych.

Te wszystkie myśli przebiegały wojownikowi przez głowę, gdy patrzył na kobietę domagającą się swojego syna.

– Chłopak należy do nas.

Usłyszawszy to, Kij spojrzał najpierw na Alana, a potem na matkę. Czy jasnowłosa jeździec chce go zabić? Gdyby miał taki zamiar, to już dawno by to zrobił. Ale co się stanie z nim samym? Już nigdy nie zobaczy matki? Poczul ostry zapach końskiej sierści, ciepłe łzy zatarły kontury świata.

Przy wozach zaczął się ruch, zaprzęgano konie. Alan przeniósł wzrok na step. Lebieź nie ruszała się z miejsca.

Scyta patrzył na nią zimno jak wąż. Jego wierzchowiec potrząsnął głową. Do wioski musi być naprawdę blisko, pomyślał wojownik. Mogliby ją najechać. Zaproponował to już dwa razy, ale jego brat krwi przyjął to niechętnie.

Ścisnął chłopca mocniej.

– Czas na nas, bracie – powiedział cicho.

Alan zatrzymał się. Właściwie bez żadnego powodu. Ale skoro czekała ich długa podróż, a schwytane właśnie dziecko miało zacząć nowe życie, chciał się zdobyć na jakiś akt życzliwości, żeby uspokoić patrzącą na nich matkę. Podjechał bliżej, zdjął z piersi mały amulet i zawiesił go chłopcu na szyi. Był to talizman z wizerunkiem czarodziejskiego ptaka Simurga, którego jedno oko widziało teraźniejszość, a drugie przyszłość. Skinął głową na Scytę i obaj zawrócili konie.

Buzię Kija wykrzywił grymas. Chłopiec szarpnął się, usiłując spojrzeć za siebie ponad żelaznym ramieniem Scyty.

– Mamo!

Zatrzęsa się. Każdy mięsień jej ciała chciał się poruszyć, rzucić na ciemnego jeźdźca. Wiedziała jednak, że gdy się na to odważy, on powali ją jednym uderzeniem. Poczula, sama nie wiedząc dlaczego, że bezruch i milczenie są jej jedyną nadzieją.

– Mamo! – Znowu ten krzyk.

Odjechali już na trzydzieści kroków.

Nie poruszyła się. Jeźdźcy powoli zanurzali się w wysokich trawach stepu. Siedemdziesiąt kroków. Sto. Patrzyła na małą, pyzată twarz z wielkimi oczami, dziwnie pobladłą ponad czarnym końskim grzbietem.

– Mamo!

Nie odrywała wzroku od twarzy syna. Wysokie trawy zaczynały ją zasłaniać.

Wozy też ruszyły w asyście pozostałych konnych. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

Modliła się od chwili, gdy ich zobaczyła. I wciąż nie przestawała, mimo że jej prośby okazały się daremne. Modliła się do boga wiatru, którego czuła na swojej twarzy. Modliła się do boga gromów i błyskawic, do boga słońca, który wciąż zsyłał z góry żar. Modliła się do boga bydła. I do Wilgotnej Matki Ziemi, która była wszędzie. Modliła się do wszystkich znanych jej bogów. Ale puste błękitne niebo spoglądało na nią z góry, nie dając niczego. Było twarde jak stal, jak oczy jeźdźców.

Wozy oddalały się w falującej trawie. Po jakimś czasie nie pozostał po nich nawet obłok kurzu. Miała wrażenie, że niebo też powoli się od niej oddala. I chociaż, tak jak to robił jej lud, wciąż się modliła, opuściła głowę w milczącej rezygnacji: los tak chciał.

Gdy wjechali na niewielki pagórek, Alan odwrócił się i ją zobaczył. Mała postać wciąż za nimi patrzyła.

Ogarnęła go litość. Bo dziwnym zbiegiem okoliczności on też stracił tego roku jedyne syna.

Gdy Scyta usłyszał jego słowa, oczy mu rozbłysły.

– Dwukrotnie wspomniałem o najechaniu wioski, a ty powiedziałaś, bym cię o nic nie prosił – odparł. – Ale ty wiesz, że bardzo cię kocham i że dam ci wszystko, czego zapragniesz. Czyż nie zanurzyliśmy ostrzy naszych mieczy w czarze z krwią? Czy nie przysiągłem na wiatr i swój bułat, że bratem ci będę, choćbym miał zginąć? – Lekkim ruchem podał Alanowi chłopca. – Jest twój.

I czekał.

Alan miał ochotę westchnąć, ale honor mu na to nie pozwalał, więc zdobył się na nikły uśmiech.

– Mój wierny bracie, przejechałeś ze mną szmat drogi, by okazać cześć mojemu dziadkowi. Spełniłeś każdą moją prośbę, nie tylko dzisiaj. I nie chciałeś niczego w zamian. Dlatego powiedz, co mogę ci podarować, żeby okazać swoją miłość.

Wiedział, że był mu to winien. I wiedział, jaką cenę przyjdzie mu zapłacić.

– Bracie mój – zaczął Scyta z powagą. – Proszę cię o Trajana.

– Koń jest twój.

Te słowa zabolowały go niemal fizycznie. A jednocześnie poczuł dumę – tylko prawdziwie szlachetny człowiek potrafi oddać takiego rumaka.

– Przejadę się na nim ostatni raz – rzucił lekko.

Nie czekając na odpowiedź, zawrócił Trajana i dosłownie muśnięciem strzemion zmusił go do galopu.

Kij spojrział na niego ze zdziwieniem, instynktownie wczepiając palce w końską grzywę.

– Wracasz do swoich, chłopcze – odezwał się Alan. – Ale już do końca życia będziesz mógł mówić: „Siedziałem na grzbiecie Trajana, najwspanialszego rumaka jasnych Alanów”.

Kij nie wiedział, że jasnowłosy jeździec ma w oczach łzy. Nigdy jeszcze nie czuł takiej radości i szczęścia jak teraz.

A Lebidź, wpatrując się w pusty step, zobaczyła, że Trajan pędzi ku niej przez trawy, jakby to sam bóg wiatru unosił się nad ziemią. Alan rzucił jej chłopca pod nogi i odjechał bez słowa.

Przytuliła malca do siebie, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało.

I nawet nie zwróciła uwagi, że po chwili Kij odwrócił się gwałtownie i wskazując na znikającą postać, krzyknął:

– Pozwól mi z nim jechać!

Chwyciła go na ręce, mocno objęła, jakby się bojąc, że znów go straci, i wbiegła między drzewa.

Nie wróciła do wsi od razu. Najpierw znaleźli ciche miejsce nad rzeką. Niedaleko rósł święty dąb. Złożyła mu podziękowanie, a potem, pragnąc w samotności nacieszyć się dzieckiem, usiadła w cieniu i patrzyła na Kija, który pobawił się trochę nad wodą, a później zapadł w drzemkę.

Gdy wyłonili się z lasu, było późne popołudnie. Duże pole już opustoszało. Żniwa się skończyły. Zgodnie ze zwyczajem zostawiono w rogu snopek jęczmienia – był to dar dla Wołosa, boga obfitości. Na skraju pola grupka dziewczynek stała w kółku, śmiejąc się i klaszcząc. Gdy Lebidź i Kij weszli do wioski, gęsi chodzące przy chatach powitały ich głośnym gęganiem.

Pierwszą osobą, którą Lebidź zobaczyła, był jej mąż. Twarz mu się rozradowała, gdy wziął chłopca na ręce i podniósł wysoko w górę. Po chwili z chaty wyszła teściowa, witając ją oschłym skinieniem głowy.

– Szukałem cię – powiedział mąż.

Zapewne. Nie miała wątpliwości, że w swojej dobroci gotów byłby ich szukać przez wiele dni, ale nie pozwoliłyby mu na to inne obowiązki.

– Znalazłam go – oznajmiła krótko.

Potem opowiedziała o jeźdźcach, a gdy poszli do chaty starszego wioski, musiała powtórzyć swoją opowieść jeszcze raz.

– Jeśli pojawiają się tu znowu – stwierdził starzec – przeniesiemy się na północ.

Pięć lat wcześniej przywędrowali w to miejsce, bo nie chcieli płacić daniny jeźdźcom ze stepu.

Dziś jednak nie pozostało im nic innego, jak tylko świętować zakończenie żniw.

Młodzi chłopcy i dziewczęta wywijali na trawie koziołki. Kobiety kończyły lepić ze zżętego jęczmienia małą postać starego człowieka. Namaszczały miodem jego długą, wijącą się brodę. Był to bóg pola, którego zaraz miano postawić na skraju lasu.

Dopiero gdy wieśniacy zaczęli się gromadzić, Mał wyszedł na próg chaty. Zawahał się na widok Lebidź i Kija, ale chłopiec natychmiast do niego podbiegł.

– Widziałem niedźwiedzia! – zawołał. – Widziałem.

Mał zaczerwienił się, gdy siostra bez słowa odciągnęła malca.

Wieśniacy ruszyli na pole. Lebiedź wyczuła, że ma obok siebie męża. Nie spojrzała na niego, choć z pewnością na to liczył, ale doskonale wiedziała, co wyraża jego łagodna twarz. Oczy pałały mu podnieceniem, to też wiedziała. Wziął ją za ramię i lekko ścisnął. To był znak.

Nie zatrzymywała się. Przypuszczała, że inne kobiety też zauważyły ten gest. Ramię męża było silne, choć nieco kościste. Miała nadzieję, że jakoś udało jej się ukryć własny brak entuzjazmu. Po prostu dawał znak, że w nocy do niej przyjdzie. Popchnęła chłopca przed sobą, by oboje mogli na niego patrzeć. To była ich bliskość.

Gdy słońce skryło się za drzewami, a długie cienie ułożyły się na zżętych polu, wieśniacy zaczęli śpiewy i tańce. Kobiety, które przez cały dzień ścinały jęczmień, stanęły w kręgu i zaśpiewały, prowadzone głosem teściowej Lebiedź:

Ściernisko letnie, rżysko miłe,  
Oddaj mi, proszę, moją siłę.  
Jęczmień ścięty, ja zmarniałam,  
A przede mną zima cała.  
Ściernisko letnie, rżysko miłe,  
Oddaj mi, proszę, moją siłę.

Krople miodu skapujące z brody słomianego bożka zaświeciły w promieniach zachodzącego słońca.

Trzy babuszki, za stare, żeby śpiewać i tańczyć, przyglądały się wszystkiemu ze skrajnego pola. Lebiedź uśmiechnęła się na ich widok. Ona też podążyła tą drogą. Ludzie mówią, że bóg pola kurczy się po żniwach i przybiera postać małego staruszka. Ludzie także się kurczyli i w końcu spoczywali w ziemi, zamieszkując w podziemnym świecie jak rodziny domowej. Takie jest przeznaczenie. Nie da się władać naturą – ludzie mogą jedynie przyjąć, że jest czas siewu i czas żniw. Jej los, jej życie nie są ważne. Nawet utrata dziecka. Tyle już dzieci w wiosce zmarło. Nikt ich nawet nie liczył. Ale inne przeżyły. I jedynym, co będzie trwało wiecznie na tej bezkresnej ziemi, co przetrwa surowy, bezlitosny cykl pór roku, jest *rod*.

Kobiety skończyły śpiewać, więc podeszła do Kija. Siedział na ziemi, obracając w palcach talizman, który dostał od jeźdźcy. Myślami był na szerokim stepie. Nawet nie podniósł wzroku.

Po chwili stanął przed nią mąż, jego sylwetka górowała nad chłopcem. Uśmiechał się z pełnym podniecenia wyczekiwaniem.

On też był niezbędny – w określonym czasie, w określonej porze roku – i pragnęła go. Ale choć była mu podległa, choć wioską rządzili mężczyźni, kobiety były silne i to one umiały wszystko przetrwać. To kobiety, podobnie jak sama Wilgotna Matka Ziemia, chroniły zasiane ziarno, żeby z czasem zebrać plon dla boga słońca i dla mężczyzny z pługiem.

Uśmiechnął się.  
– Dziś w nocy.

Gdy zapadł zmrok, zapalono żywiczne drzazgi i przy ich świetle w chacie starszego wioski rozpoczęła się uczta. Z rąk do rąk krążył puchar wypełniony musującym miodem pitnym. Z każdego dania – ryby, chleba z mąki jaglanej, mięsa – odkładano trochę na

talerz i oddawano dla domowoją, który, jak wierzone, wyszedł ze swojej nory, żeby się przyłączyć do biesiadników.

Jedzenie się skończyło, ale cała wieś nadal piła i tańczyła. Kij zauważył, że matka wzięła do ręki czerwony tamburyn i zaczęła tańczyć przed ojcem. Patrzył na nią jak urzeczony, aż w końcu głowa opadła mu na pierś i zasnął.

Już dwa razy mąż ją szturchnął, mrużąc: „No chodź”. I dwa razy potrząsnęła odmownie głową. Nie chciała przerywać zabawy. Ona też piła, może nie tak dużo jak inni, ale jej ciało przenikał żar. Podniecona własnym tańcem, też zaczęła pragnąć jego. Ale piła i wirowała nadal, chcąc doprowadzić się do stanu, w którym pojawi się prawdziwe pożądanie.

Pijane kobiety i mężczyźni powoli wytaczali się z chaty w ciemność nocy, więc i Lebidź nie protestowała, gdy mąż objął ją w pasie i wyprowadził na dwór. Wszędzie dookoła, przy chatach, tam gdzie zaczynało się pole, spółkowały pary – nikt nie wiedział, kto legł z kim. Ale też i nikt by tego nie pamiętał. I jeśli w wyniku tych aktów przychodziły na świat dzieci, nikt się nie zastanawiał, które jest czyje. Nie miało to znaczenia. *Rod* trwał dzięki tej naturalności.

Poszli ku rzece, mijając po drodze wysokie trawy, w których błyszcząły świetliki. Patrzyli na wodę odbijającą promienie księżyca. Nazwa, jaką wieśniacy dali rzece, wywodziła się od budzących lęk stepowych jeźdźców. Słowianie dobrze wiedzieli, że najznamienitsi Alanowie mówią o sobie *Rus*, co w ich irańskim języku oznacza „światło” albo „lśnienie”. A ponieważ słowo to brzmiało w słowiańskich uszach przyjemnie, kobieco i doskonale pasowało do rzeki, nazwali migotliwą rzeczkę *Rus* – lśniącą.

Piękna nazwa. I z pewnością byliby ucieszeni, gdyby się dowiedzieli, że to samo irańskie imię nosiła w tamtych wiekach potężna rzeka płynąca daleko na wschodzie, którą w późniejszych czasach nazwano Wołgą.

W ten sposób rzeczka otrzymała nazwę *Rus*, a leżąca nad nią wieś została *Ruską*.

Noc była cicha i bezwietrzna. Lśniącą wodą płynęła, a jednocześnie stała w miejscu. Legli w trawie. Wysoko na rozgwieżdżonym letnim niebie sunęły blade obłoki, jak jeźdźcy w niespiesznym pochodzie, połyskując lekko w blasku oddalającego się na południe półksiężyca. Być może gdzieś w leśnej gęstwinie przemykał w ciemności lis albo niedźwiedź, wilk albo Żar-Ptak, a daleko na stepie jacyś jeźdźcy rozłożyli się z obozem przy ognisku.

Ale Lebidź słyszała jedynie szept liści poruszanych lekkim wiatrem.

## Rzeka

### *Rok 1066*

W styczniu roku Pańskiego 1066 pojawił się na niebie straszny znak. Widziano go w całej Europie.

W anglosaskim królestwie Anglii, zagrożonym najazdem Wilhelma z Normandii, zapisano go w kronikach, opatrując złowróżbnym znaczeniem. Znak widziano we Francji, w Niemczech i wokół całego Morza Śródziemnego. Na wschodzie Europy, w nowo powstałej Polsce i na Węgrzech, znak pojawiał się każdej nocy. A jeszcze dalej, na wschodnim pograniczu, gdzie las stykał się ze stepem, a szeroki Dniepr wpadał do Morza Czarnego, czerwona kometa wisiała co noc nad białym, uśpionym krajobrazem. Ludzie zachodzili w głowę, jakie nowe plagi spadną na świat.

A świat zdążył się bardzo zmienić. Podczas dziewięciu burzliwych stuleci, które minęły od czasów Trajana i Marka Aureliusza, zachodnia cywilizacja przeszła od antyku do średniowiecza, czemu towarzyszyła seria doniosłych wydarzeń. Rzym przyjął chrześcijaństwo, ale niedługo potem to rozległe imperium, podzielone na dwie części ze stolicami w Rzymie i Konstantynopolu, zapadło się pod ciężarem najazdów barbarzyńców.

Barbarzyńcy przybywali falami ze wschodu, z mongolskich ziem leżących na północ od Wielkiego Muru Chińskiego, przekraczali południowe półkole górskich łańcuchów i wylewali się na pustynie i stepy ogromnej równiny eurazjatyckiej. Jedni byli biali, inni mieli mongoloidalne rysy, a większość posługiwała się jakąś odmianą języka tureckiego. Najpierw Attyla i jego Hunowie, potem Awarowie, wreszcie Turcy. Ale to nie ich napady ani ogromne, choć nietrwałe imperia na stepach przyczyniły się do upadku Cesarstwa Rzymskiego, lecz potężna reakcja łańcuchowa, jaką były wędrówki ludów, spowodowane zderzeniem się najeźdźców z plemionami wschodniej Europy. Właśnie te migracje przywiodły Franków do Francji, Bułgarów, potomków Hunów – do Bułgarii, a Sasów i Angłów do Brytanii, i nadały wielu regionom nazwy plemion, jak choćby Burgundia czy Lombardia.

Proces ten doprowadził do rozpadu starego świata – Rzym upadł. Zachodnia Europa, choć barbarzyńcy powoli nawracali się na chrześcijaństwo, pozostawała chaotyczną mozaiką plemiennych i dynastycznych regionów. Resztki starego porządku utrzymały się jedynie na wschodnich wybrzeżach Morza Śródziemnego i Morza Czarnego. Tu właśnie, na północ od Grecji, w pobliżu wąskiego kanału łączącego jedno morze z drugim, leżało majestatyczne miasto Konstantynopol, zwane także Bizancjum. Niezdobyte, strzegące klasycznej kultury i wschodniego chrześcijaństwa, zachowujące bardziej grecki niż łaciński charakter, trwało niezmiennie: przez całe średniowiecze zasiadał tu na tronie cesarz wschodniorzymski.

Ale nie był to koniec kłopotów świata zachodniego. Oto w roku 622 miała miejsce hidzra proroka Mahometa z Mekki – zaczęła się wybuchowa ekspansja islamu. „Do raj, muzułmanie, nie w ogień!” – z takim okrzykiem na ustach muzułmańscy dowódcy



zachęcali swoich żołnierzy do walki, bo na poległych czekało już miejsce w niebie. Z Arabii wojska muzułmańskie wkroczyły na Bliski Wschód, potem ruszyły dalej, do Persji i Indii, na zachodzie załyły północną Afrykę i dotarły nawet do Hiszpanii. W jednym z kolejnych najazdów stanęły u bram Konstantynopola. I jeszcze przez wiele wieków chrześcijańska Europa miała drżeć na dźwięk imienia proroka.

A jakby tego było mało, pojawili się również wikingowie.

Ci skandynawscy podróżnicy – piraci, kupcy, osadnicy i awanturnicy – wdarli się na scenę historii około 800 roku. Zajęli większą część środkowej Anglii, założyli kolonie na Islandii i Grenlandii, a nawet dotarli do wybrzeży Ameryki Północnej. Powołali do życia państwo pod nazwą Normandia i dopłynęli aż nad Morze Śródziemne.

Pewna grupa szwedzkich wikingów, założywszy osady handlowe wokół Morza Bałtyckiego, zaczęła zapuszczać się rzekami coraz dalej w głąb lądu, na ziemie Słowian.

Nazywano ich Waregami. Stworzyli ogromną sieć handlową ciągnącą się z północy na południe – zabierali towary ze słowiańskiego Nowogrodu na północy, a potem żeglowali w dół Dniepru, Donu i Wołgi. Nad Morzem Czarnym, niedaleko ujścia Donu, założyli faktorię nazwaną Tmutarakań. I czy to dlatego, że mieli jasne włosy, czy dlatego, że walczyli ramię w ramię z jasnowłosymi Alanami, a może z jakiegoś innego powodu, o którym nie mamy pojęcia, świat południowej cywilizacji, do którego przybyli, nadał im starodawną irańską nazwę, z dumą noszoną przez niektórych Alanów: *Rus*, co miało oznaczać „światło” albo „lśniący”.

I tak powstało nowe państwo – Ruś.

Chłopiec stał na szczycie palisady i patrzył na wielką czerwoną gwiazdę. Jego umysł ogarnęło gorączkowe podniecenie.

W oddali, w ciemności, płynął szeroki Dniepr; lód na brzegach odbijał niewyraźnie krwistoczerwone światło gwiazdy. Za plecami chłopiec miał uspijony Kijów.

To pradawne słowiańskie miasto nad Dnieprem już od dwóch wieków było stolicą Rusi. Położone wśród pagórkowatych lasów, o dzień drogi od granicy stepu na południu, stało się punktem zbiorczym dla całego handlu z północnych lasów, który wędrował rzeką do odległego Morza Czarnego i jeszcze dalej.

Co gwiazda zwiastuje miastu? – zastanawiał się chłopiec. To na pewno jakiś znak od Boga.

Bo Ruś była teraz krajem chrześcijańskim. W błogosławionym roku Pańskim 988 książę Kijowa Włodzimierz został ochrzczony, a jego ojcem chrzestnym był sam cesarz rzymski z Konstantynopola. Czyż to nie z powodu tego nawrócenia wielu ludzi uważało Włodzimierza za świętego? I czyż nie mówiono, że jego dwaj synowie, Borys i Gleb, dołączyli do grona błogosławionych?

Opowieść o ich śmierci sprzed pół wieku szybko stała się legendą i zaczęła krążyć wśród ludu. Oto bowiem ci dwaj młodzieńcy książęta, stanąwszy w obliczu zamachowców nasłanych przez ich nikczemnego starszego brata, poddali się bez walki i zapewniając się o braterskiej miłości, powierzyli swoje dusze Bogu. Tragizm ich śmierci i wzajemna dobroć tak wzruszyła Słowian, że Borys i Gleb stali się ukochanymi bohaterami Rusi. Nazywano ich Chrystusowymi męczennikami.

Kijów stał się miastem cerkwi. Na ulicach słyszeć było nie tylko nawoływania

z kupieckich łodzi na rzece, ale także śpiewy mnichów i księży. Pękate, kryte złotem bizantyjskie kopuły na największych świątyniach ciepło błyszcząły w słońcu. „Pewnego dnia – twierdzili miejscowi notable – dorównamy samemu Carogradowi”. Tą nazwą określali często rzymski Konstantynopol. Owszem, nawet klasztorni kronikarze przyznawali, że liczni chłopci wciąż woleli dawne pogańskie wierzenia, ale było tylko kwestią czasu, by i oni dołączyli do wielkiej wspólnoty chrześcijańskiego świata.

A cóż gwiazda miała oznaczać dla jej młodego obserwatora? Niebezpieczeństwo? Wystawienie na próbę?

Nadchodzący rok miał być najważniejszy w jego życiu. Chłopiec skończył już dwanaście lat. Wiedział, że ojciec szuka dla niego miejsca na dworze jednego z książąt, krążyły też pogłoski o bliskich zaręczynach. Ale najbardziej ekscytujące było to, że latem ojciec wysyłał na wschód karawanę, a on już od wielu tygodni prosił, by pozwolił mu z nią jechać. Dotarłby aż nad Don! Matka była oczywiście przeciwna tym niebezpiecznym planom, ale tydzień wcześniej ojciec zapowiedział, że się nad tym zastanowi, więc chłopiec o niczym innym nie mógł myśleć. A kiedy wróce, zostanie wojownikiem, obiecał sobie. Tak jak jego szlachetnie urodzony ojciec.

Był tak pogrążony w myślach, że zauważył dwie postacie dopiero, gdy stanęły obok niego.

– Obudź się, Iwanuszka, bo zapaścisz tu korzenie jak drzewo.

Miał na imię Iwan, ale nazywano go zdrobniale Iwanuszką. Uśmiechnął się lekko, nie odrywając wzroku od gwiazdy. Wiedział, że bracia chcą sobie z niego pożartować. Młodszy Borys, sympatycznie wyglądający szesnastolatek, miał jasne włosy i zaczątki zarostu. Starszy Świętopełk cechował się poważną, pociągłą twarzą i ciemnymi włosami. Ukończył osiemnaście lat i do tego był już żonaty. Przez dłuższą chwilę Borys próbował namówić Iwanuszkę do powrotu do domu, aż w końcu Świętopełk szturchnął go z całych sił.

– Przestań tu marznąć. Myślisz, że jesteś śnieżną panną?

Borys zatupał filcowymi butami, żeby się rozgrzać; Świętopełk zaklął pod nosem. Zaraz jednak poszli.

Czerwona gwiazda wciąż wisiała milcząco na niebie. Iwanuszka obserwował ją już czwartą noc z rzędu, stał na wałach sam i nie słuchał wezwań do powrotu do domu. Był marzycielem. Czasem ktoś z rodziny zostawiał go w jakimś miejscu, a gdy wracał, chłopiec wciąż tam był, z delikatnym uśmiechem na okrągłej twarzy i błękitnymi oczami wpatrzonymi w to samo miejsce. Nikt nie umiał mu tego zakazać – te dziwne kontemplacje były dlań niezbędne. Należał do ludzi, którym wydawało się, że cała natura mówi wprost do nich. Mijały minuty, a on wciąż stał bez ruchu, wpatrując się w gwiazdę.

– Iwanuszka. – Tym razem to była jego matka. – Ty głuptasie. Masz lodowate ręce.

Zauważył, że okrywa go futrzanym płaszczem. I choć nie odrywał oczu od gwiazdy, poczuł na dłoni lekki uścisk. Dopiero teraz odwrócił się i uśmiechnął.

Łączyła ich wyjątkowa więź. Ileż to szczęśliwych godzin spędził z nią przy ogniu w ich wielkim drewnianym domu, słuchając opowieści o dzielnych wojownikach – bogatyrah – albo bajek o Babie-Jadze i Żar-Ptaku.

Olga była szczupłą, wysoką kobietą o ciemnych włosach, szerokim czole

i drobnych, delikatnych rysach twarzy. Jej rodzina wywodziła się od wielkich wodzów Siewierzan, pradawnego plemienia słowiańskiego. Gdy wyspiewywała te baśnie swoim cichym, jakby nieobecny głosem, Iwanuszka patrzył na nią jak zaczarowany. Często miał przed oczami jej piękną, delikatną twarz. Ten obraz nosił ze sobą przez całe życie jak ikonę.

Gdy śpiewała dla ojca, jej głos brzmiał zupełnie inaczej. Opadał do ochryplego kontraltu, a jej zachowanie wyrażało żartobliwe lekceważenie. Domyślał się wtedy, że jej smukłe ciało o jasnej skórze ma ukrytą moc, że jest w nim coś, co doprowadza jego ojca do szaleńczego pożądania. Być może, jak wszystkie dzieci, miał naturalne wycucie takich spraw.

Czasem czytali razem święte księgi, pochylali się nad nimi i przejęci odczytywali tryumfalnie, choć z niejakim trudem, słowiańskie słowa zapisane wyraźnym pismem uncjalnym na kartach Nowego Testamentu i opowieści apokryficznych. Poznawał kazania wielkich kaznodziejów Kościoła wschodniego – Jana Chryzostoma czy świętego Bazylego, a przede wszystkim słowiańskiego kaznodziei Hilariona. Nauczył się też kilku ballad sławnego śpiewaka Bojana, którego znał jego dziadek. Iwanuszka recytował je bezbłędnie, ku uciesze ojca.

Łączyło go z matką jeszcze jedno podobieństwo. Drobny, typowy dla niej gest. Wykonywała go, gdy rozmawiała z kimś, stojąc – powoli podnosiła ramię w kierunku rozmówcy, jakby przepuszczała go w drzwiach. Był to miękki ruch, niemal smutny, mający w sobie dziwną łagodność, jak pieśczoła. Spośród trzech braci tylko Iwanuszka przejął ten gest po matce, choć nie wiadomo, czy go odziedziczył, czy nieświadomie naśladował.

I zawsze pamiętał o jednej ważnej rzeczy: w odróżnieniu od ojca matka była Słowianką. A więc ja jestem pół-Słowianinem, myślał.

Co to znaczy być Słowianinem? Wiedział, że Słowianie są wielkim ludem. Przez wieki zasiedlili rozległe ziemie. Słowianami byli Polacy na zachodzie, a także częściowo Węgrzy i Bułgarzy; dalej na południu, w górach Grecji, też żyli Słowianie. I choć ich język oddalił się od tego, którym mówili Słowianie na Rusi, to podobieństwa między nimi były łatwo zauważalne.

Stanowili odrębną rasę? Trudno powiedzieć. Nawet na ziemiach ruskich żyło wiele słowiańskich plemion. Ci z południa już dawno temu wymieszali się z najeźdźcami ze stepu. Ci z północy byli częściowo Bałtami i Litwinami. A ci ze wschodu stopili się z ugrofińskimi ludami zamieszkującymi lasy.

Ale kiedy Iwanuszka patrzył na swoją matkę i porównywał ją z ojcem i innymi cudzoziemskimi poddanymi bohaterskiej skandynawskiej dynastii, od razu widział, że jest Słowianką. Chodziło o jej muzykalność? Albo o zmienność nastrojów, o to, że raz była smutna, a po chwili wesoła? Nie, chodziło o inną cechę, która wyraźnie kojarzyła mu się ze Słowianami. Widział ją też u chłopów. Bo nawet gdy wpadali w złość i stawali się agresywni, w jednej chwili potrafili się uspokoić. Po prostu mieli łagodne usposobienie.

Matka zbierała się do odejścia. Iwanuszka jeszcze raz spojrzął na gwiazdę. Co ona mu mówi? Część księży uważała, że to znak końca świata. On też wiedział, że koniec świata nadchodzi, ale przecież jeszcze nie teraz.

Przypomniął sobie kaznodzieję, którego usłyszał zaledwie miesiąc wcześniej i który wywarł na nim głębokie wrażenie. „To prawda, Słowianie, drodzy bracia w Chrystusie, przybyli późno, by pracować w winnicy naszego Pana – mówił duchowny. – Ale czyż nie czytamy w przypowieści, że ci, którzy byli ostatnimi, zostaną tak samo wynagrodzeni jak pierwsi? Bóg przygotował wspaniałe przeznaczenie Słowianom, swojemu ludowi, który go słusznie wychwala”.

Te słowa przyprawiały go o dreszcz. Przeznaczenie. Ta kwestia ostatnio mocno go zajmowała, może dlatego, że zaczynał dorastać. On też jest częścią przeznaczenia. I modlił się tylko, by dzień Sądu Ostatecznego nie przyszedł zbyt szybko, by on, Iwanuszka, też miał szansę dokonać wielkich czynów, do jakich był przecież przeznaczony.

Nie wiedział jednak, że w tej właśnie chwili jego los został przesądzony.

Igor miał za sobą ciężki dzień. Po południu okazało się, że z niewiomego mu powodu zaręczyny, które planował dla Iwanuszki, nie dojdą do skutku. Rodzina – bardzo zacna – nagle się wycofała. Zirykowało go to, ale w innych okolicznościach szybko by się otrząsnął.

Lecz zdarzyło się coś jeszcze. Patrzył w milczeniu na siedzącego przed nim mężczyznę.

Igor był wysoki i potężny. Miał długi, prosty nos, głęboko osadzone oczy i zmysłowe usta. Jego egzotyczną urodę podkreślało to, że przy kruczoczarnych włosach miał całkiem siwą brodę. Na szyi wisiał mu łańcuch z niewielkim metalowym kółkiem, na którym wyryto tamgę jego klanu: Trójzab.

Trudno było się domyślić pochodzenia Igora, podobnie jak i wielu innych szlachetnie urodzonych mieszkańców Kijowa. Nawet wśród ruskich książąt, którzy wywodzili się od wikingów, byli zarówno czarnowłosi mężczyźni o oliwkowej cerze, jak i blondyni. Ale Igor pochodził od Alanów.

Alanowie przybyli ze wschodu. Ojciec Igora wraz z innymi członkami klanów alańskich i czerkieskich dołączył do walecznego księcia Rusi i brał udział w wyprawach aż za Don. Walczył dzielnie – trudno było o lepszego jeźdźca – więc przyjęto go do drużyny, książęcej rady. Gdy książę postanowił wrócić do ojczyzny, alański wojownik ruszył razem z nim. I tak przez stepy, przez rzeki i lasy dotarł na ruskie ziemie. Ożenił się z dobrze urodzoną Skandynawką, a teraz Igor, jego syn, służył w drużynie księcia Kijowa.

Igor był wojownikiem, ale poza tym prowadził rozległe interesy. A w takim mieście jak Kijów było czym handlować. Zboże z żyznych czarnoziemów na południu wysyłano do miast leżących w lasach północy; rzekami transportowano do Konstantynopola futra i niewolników. Z Czech sprowadzano srebro, a z krajów leżących jeszcze dalej na zachód – frankońskie miecze. Z Polski i zachodnich rubieży Rusi przywożono tak pożądaną sól. Ze wschodu zaś, rzeką albo karawanami wędrującymi przez stepy, przybywały najrozmaitsze cuda Orientu: jedwabie, adamaszki, klejnoty i przyprawy.

Handlowe imperium Rusi rozwijało się wspaniale. Wzdłuż sieci rzek, które płynęły z północy, z zimnych lasów na wybrzeżach Bałtyku, ku stepom schodzącym do ciepłego Morza Czarnego, stały liczne faktorie, a nawet duże miasta. Na północy leżał Nowogród.

W pół drogi na południe, nad Dnieprem, znajdował się Smoleńsk, a na zachód od niego Połock. Na północ od Kijowa był Czernihów, na południe zaś, jak ostatni bastion na granicy stepów – Perejasław. Każde z tych miast miało tysiące mieszkańców. Prawie trzysta procent ludności zajmowało się handlem i rzemiosłem – znacznie więcej niż w feudalnej Europie. Te tętniące życiem ośrodki handlowe i finansowe były rozsiane na rozległych terenach, na których królowały łowiectwo i prymitywne rolnictwo. A władcami byli tu kupieccy książęta.

Po rozczarowaniu, jakie przeżył na wieść o odwołaniu zaręczyn, Igor miał nadzieję, że wieczorne spotkanie w domu jego współnika poprawi mu humor. Już od dłuższego czasu planował wyprawę karawany przez step na południowy wschód. Bo tam, za wielkim Donem, gdzie Kaukaz schodził z nieba ku wodom Morza Czarnego, leżała osada na cyplu – Tmutarakań. Po przeciwnej stronie przesmyku, na Półwyspie Krymskim, znajdowały się ogromne słone pustynie. W ostatnich latach handel z Tmutarakaniem został osłabiony przez Połowców, potężne plemię stepowych najeźdźców. Jednak Igor stwierdził: „Jeśli uda nam się przywieźć duży ładunek soli, zarobimy fortunę”.

Już wcześniej ustalono szczegóły. Z początkiem lata pierwsze transporty miały dotrzeć do położonej na granicy stepu niewielkiej placówki handlowej o nazwie Ruska, gdzie współnik Igora utrzymywał swój skład. A stamtąd miała wyruszyć karawana w eskorcie żołnierzy.

– Najchętniej sam bym z nimi pojechał – powiedział Igor szczerze.

A potem z zakłopotaniem wyjawiał swoją prośbę.

Mężczyzna, który siedział naprzeciw niego, był o kilka lat młodszy. Ustępował Igorowi wzrostem, ale był równie potężny. Miał ciężki podbródek, lekko obwisłą dolną wargę, duży, zakrzywiony turecki nos, opadające powieki nad czarnymi oczami, czarne włosy i brodę przyciętą w kształt szerokiego klina. Z tyłu głowy przysiadła mu niepewnie jarmułka. Był Chazarem i nazywał się Żydowin.

Chazarowie byli dziwnym ludem. Ci tureccy wojownicy przez kilka stuleci panowali nad stepowym imperium ciągnącym się od pustyni nad Morzem Kaspijskim aż do Kijowa. Kiedy muzułmanie zalali Bliski Wschód i próbowali przedostać się przez Kaukaz na wielką równinę eurazjatycką, na drodze stanęli im waleczni Chazarowie wspierani przez Gruzinów, Ormian i Alanów. „To dzięki nam Kijów nie jest dziś muzułmański” – przypominał często Igorowi Żydowin.

Imperium Chazarów podupadło, ale chazarscy kupcy i wojownicy wciąż wyprawiali się na step ze swojej odległej pustynnej bazy, a w Kijowie, niedaleko tak zwanej Bramy Chazarskiej, żyła duża chazarska społeczność. Żydowin jak nikt inny umiał zorganizować karawanę i poprowadzić ją przez stepy. I nikomu Igor nie ufał tak jak jemu. Miał do niego tylko jedno zastrzeżenie.

Żydowin był żydem.

Wszyscy Chazarowie byli żydami. Przeszli na judaizm w okresie największego rozkwitu ich imperium, gdy władca uznał, że prymitywne pogaństwo jego poddanych nie jest godne statusu państwa. A ponieważ kalif w Bagdadzie był muzułmaninem, a cesarz w Konstantynopolu chrześcijaninem, pan stepu – nie chcąc wyglądać jak niższy rangą sojusznik któregoś z nich – rozsądnie wybrał jedyną znaną sobie religię nieuznającą

wielobóstwa. W ten sposób państwo chazarskich watażków nawróciło się na judaizm. Dlatego Żydowin mówił w języku Słowian i Turków, ale zapisywał je za pomocą alfabetu hebrajskiego!

– Zabierzesz z karawaną mojego Iwanuszkę?

Igor nie chciał niczego więcej. Dlaczego więc Chazar się zawahał? Przecież dobrze znał chłopaka, syna swojego współnika. Ale odpowiedź była prosta: Żydowin się bał.

Już to sobie wyobrażam, myślał. Jeśli napadną nas Połowcy i zabiją chłopaka, nikt nie będzie miał do mnie pretensji. Ale ja go znam. Gdzieś się zawieruszy, wpadnie do rzeki i się utopi albo zrobi jakieś inne głupstwo. A wtedy to będzie moja wina.

Dlatego dał wymijającą odpowiedź.

– Iwanuszka jest jeszcze za mały. Może któryś z jego braci?

Igor zmrużył oczy.

– Odmawiasz mi?

– Ależ skąd. – Chazar się zmieszał. – Jeśli jesteś pewien, że tego właśnie chcesz...

Teraz Igor poczuł się niezręcznie. W innych okolicznościach po prostu powiedziałby Żydowinowi, że tak ma być, i sprawa byłaby skończona. Ale mając świeżo w pamięci upokorzenie związane z zaręczynami, poczuł zalewającą go falę wstydu. Chazar dobrze znał się na ludziach. On też nie chciał Iwanuszki. Igora ogarnęła nagła złość na syna. Nie lubił porażek.

– Nie ma o czym mówić. – Wstał z miejsca. – Masz rację. Jest za młody. – Sprawa była zamknięta.

Choć nie do końca. Wychodząc z domu przyjaciela, nie mógł się powstrzymać, żeby nie zadać mu pytania.

– A co ty myślisz o Iwanuszcze i jego charakterze?

Żydowin zastanawiał się przez chwilę. Lubił chłopaka. Przypominał mu jego własnych synów.

– To marzyciel – powiedział uprzejmie.

Wracając do domu, Igor prawie nie patrzył na czerwoną gwiazdę. Był człowiekiem bardzo religijnym, więc nie miał wątpliwości, że Bóg przekazuje ludziom jakąś wiadomość. A jego obowiązkiem było przyjęcie wszystkiego, co nadejdzie. Pomyślał jednak o Iwanuszcze. Chazar nazwał go marzycielem. Doskonale wiedział, co mówią o chłopcu jego bracia. Świętopełk nazywa go głupcem, przypomniał sobie ze smutkiem.

A co należy zrobić z głupcem? Nie miał pojęcia.

Trzy dni później czerwona kometa zniknęła z firmamentu. Tej zimy na niebie nie pokazały się już żadne inne znaki.

Wiosna. W tym żyznym kraju na początku każdego roku ziemię pokrywała woda. Woda ze wzbierających rzek. A Kijów był miastem nad rzeką. Za chwilę mieli je zobaczyć. Długa łódź sunęła równo szerokim, spokojnym nurtem Dniepru. Czterech mężczyzn pociągało za wiosła, kierując łódź ku miastu. Iwanuszka i jego ojciec stali na rufie, wysoki mężczyzna obejmował chłopca za ramię.

Łódź miała aż sześć metrów długości, ale wykonano ją z jednego pnia.

– Tylko na Rusi są takie wielkie drzewa – mawiał Igor do syna. – Wystarczy siekiera, a z ogromnego dębu można wydłubać nawet mały statek.

Czując bliskość ojca, chłopiec miał wrażenie, że jest to najwspanialszy poranek jego życia.

Iwanuszka miał na sobie zwykłą lnianą koszulę i spodnie, a na wierzchu brązowy wełniany kaftan, bo poranki były jeszcze zimne. Włożył buty z zielonej skóry, z których był bardzo dumny. Jasne włosy miał krótko obcięte, jak paż.

Popłynęli w górę rzeki o świcie, żeby przejrzyć pułapki, przy których rybacy czekali na połów. Teraz wracali do domu na śniadanie. A potem... Iwanuszka poczuł w brzuchu drżenie ekscytacji. To będzie wielki dzień.

Podniósł wzrok na ojca. Ileż to razy widział go na jakiejś strażnicy na drewnianych murach obronnych nad rzeką! Ojciec patrzył wtedy przed siebie jak milczący orzeł szybujący nad podmokłą okolicą. A gdy stał teraz na rufie, otulony długim czarnym płaszczem, wydawało się, że za chwilę rozłoży ramiona i wzniesie się ponad rzeką i lasami ku niebu, a potem spadnie na nieszczęsną ofiarę.

Iwanuszka czuł na sobie ciężar ojcowskiego ramienia. Ale nie była to tylko siła mięśni. Bo stojąc obok Igora, wyczuwał inną moc, płynącą z dalekiej przeszłości: niepokojącą jak echo pamięci, a jednocześnie rozlewającą się w nim jak ciepła rzeka. „W twoich żyłach płynie krew potężnych wojowników i wspaniałych jeźdźców, jak mój ojciec i wielu przed nim – powtarzał mu często ojciec. – Nasi przodkowie cieszyli się sławą, zanim przybyli tu Chazarowie, w czasach gdy góry były jeszcze młode. Pamiętaj, jesteś jednym z tych wojowników, oni zawsze będą przy tobie”. A potem serce Iwanuszki zaczynało mocniej bić, gdy ojciec dorzucał: „Pewnego dnia przekazesz to swoim synom i ich potomkom”.

A dziś, był tego pewien, podąży śladami ojca i starszych braci, zostanie wojownikiem, bogatyrem.

Już mnich o to zadba.

Łódź bezszelestnie sunęła z prądem. W porannej ciszy rzeka rozlewała się szeroko ku południowi. Powietrze było rześkie, bez powiewu. Resztki mgły unosiły się nad powierzchnią wody, której ruch był ledwo zauważalny. Na południu szaroniebieska rzeka i bladoniebieskie niebo zlewały się na horyzoncie w jedną płynną miękkość, nierozróżnialną z oddali, na wschodzie zaś złote słoneczne światło rozpraszało się we mgle.

Teraz mieli już miasto w zasięgu wzroku. Iwanuszka westchnął cicho. Kijów był taki piękny!

Miasto przysiadło po prawej stronie rzeki. Na stromym brzegu wznoszącym się ponad trzydzieści metrów nad wodą stała wysoka palisada, która ciągnęła się na trzy i pół kilometra, górując nad okolicą.

Miasto składało się z trzech części. Na północy, na skromnym kurhanie, wznosiła się stara solidna warownia. Mieścił się w niej książęcy zamek i duża cerkiew ufundowana osiemdziesiąt lat wcześniej przez samego błogosławionego Włodzimierza – cerkiew Dziesięcinna. Nieco dalej na południowy zachód, oddzielona jedynie małym jarem, stała nowa warownia, znacznie większa, zbudowana przez wielkiego syna świętego Włodzimierza, Jarosława Mądrego, który stworzył zbiór praw zwany Ruską Prawdą. Trzecia część, jeszcze większa, schodziła ku rzece i ją też otaczało drewniane ogrodzenie.

Było to podzamecze – padół – na którym mieszkali drobni kupcy i rzemieślnicy. A nad samą rzeką znajdowały się przystanie, gdzie cumowano ciężkie, omasztowane łodzie.

W obu warowniach wiele budynków zbudowano z cegły. Na podzameczu wszystkie domy, oprócz kilku cerkwi, wzniesiono z drewna. Miasto otaczały piękne lasy liściaste, porastające nawet opadające ku rzece strome zbocze.

W całym mieście lśniły w porannym słońcu złote kopuły i złote krzyże z dodatkową poprzeczną belką, która w kościołach wschodnich symbolizowała oparcie dla nóg Chrystusa. Miasto wyglądało jak wielki błyszczący statek unoszący się na wodzie.

Bo w okolicach Kijowa prawy brzeg był wysoki, a lewy niski. I tak jak w wielu innych miejscach Dniepr występował tu z brzegów. Rozlewał się na pola, które przyjmowały jego wody i żyzny muł. Dzięki tym zalewom każdej wiosny życie budziło się od nowa.

Chłopiec poruszył się niespokojnie. Od jakiegoś czasu nawiedzały go bóle w kolanach. Ale przede wszystkim nie umiał ukryć podniecenia. Bo zaledwie przed tygodniem Igor oznajmił: „Najwyższy czas postanowić, co z tobą będzie. Pojedziemy do ojca Łukasza”.

Co za zaszczyt! Ojciec Łukasz był duchowym przewodnikiem Igora, który nigdy nie podejmował ważnych decyzji, dopóki nie zasięgnął jego rady. A mówiąc o starym mnichu, z szacunkiem ściszał głos. „On wie wszystko” – twierdził. I zawsze jeździł do niego sam. Nie zabierał nawet starszych synów. Nic dziwnego, że Iwanuszka, słysząc to, najpierw się zaczerwienił, a potem pobladł.

Wiele razy wyobrażał sobie tę scenę. Dobrotliwy wysoki starzec z gęstą długą brodą, szeroką anielską twarzą i oczami błyszczącymi jak słońca od razu zauważy, że ma przed sobą bohatera. Położy mu dłonie na głowie, pobłogosławi go i ogłosi: „Z woli bożej, Iwanie, zostaniesz wielkim wojownikiem”. Tak właśnie będzie. Chłopiec z ufnością spojrzał na ojca, a potem na szańce.

Igor patrzył na syna. Nie wiedział, czy podjął słuszną decyzję. Chwilami wydawało mu się, że tak, ale jednocześnie czuł, że zdradza Iwanuszkę.

Członkowie rodziny prezentowali się wspaniale. Iwanuszkę aż przeszedł dreszcz szczęścia, gdy na nich spojrzał. Zebrali się w największej izbie dużego drewnianego domu. Światło słoneczne sączyło się przez szyby zrobione nie ze szkła, ale z wydobywanego w okolicy przezroczystego krzemienia zwanego miką. Promienie padały na wyłożoną żółtymi glinianymi płytkami podłogę, przez co wydawało się, że całe pomieszczenie jest skąpane w świetle.

Ze stołu nie posprzątano jeszcze po śniadaniu. Przy oknie stał duży piec, w rogu naprzeciwko wisiała niewielka ikona z wizerunkiem świętego Mikołaja, a przed nią na trzech srebrnych łańcuszkach była zawieszona gliniana lampka. Na skrzyni pod prawą ścianą ustawiono dwa duże miedziane świeczniki. Osadzone w nich świeczki były zgaszone. Na środku izby, w ciężkim, rzeźbionym dębowym fotelu, tak wywoskowanym, że aż lśnił, siedziała matka.

– I jak, Iwanuszka, jesteś gotowy? – spytała. Był gotowy. Patrzył na nią radośnie.

Matka miała na sobie długą do kostek suknię z ciemnoróżowego brokatu i wyszywany złotem pas. Szerokie rękawy odsłaniały szczupłe ramiona otulone białym



jedwabiem. Na nadgarstku mieniła się srebrna bransoleta wysadzana kamieniami – zielonymi ametystami z Azji i żółtymi bursztynami znad Bałtyku. W uszach miała kolczyki z pereł. O tak, szlachetnie urodzone Rusinki ubierały się jak greckie damy z Konstantynopola.

Jej szerokie czoło odznaczało się jasną karnacją, dłoni w eleganckiej pozie spoczywała na oparciu fotela wyrzeźbionym w kształcie lwiej głowy, smukłe palce ze złotymi pierścieniami wdzięcznie opadały w dół. Jakże ona była piękna, piękna i dobra! Jednak wydawało się, że na jej twarzy maluje się smutek. Z jakiego powodu miałyby być smutna?

W izbie byli też starsi bracia, obaj ubrani w długie koszule ze strojnymi pasami i sobolowymi kołnierzami. Świętopełkowi towarzyszyła śliczna młoda żona pochodząca z Polski. Iwanuszka starał się kochać ich obu po równo, ale Świętopełka trochę się bał. Mówiono, że jest on podobny do ojca, ale czy naprawdę? W spojrzeniu Igora była czasem jakaś powściągliwość i rezerwa, ale na twarzy jego najstarszego syna często malowała się złość i gorycz. Z niewiadomych powodów. Młodszy, Borys, także czasem poszturchiwał Iwanuszkę, ale jakoś dziwnie kuksańce Świętopełka zawsze bolały bardziej.

Na polecenie ojca Iwanuszka włożył jedynie lniane spodnie i prostą lnianą koszulę przewiązaną paskiem. Wbrew woli matki pozwolono mu zostać w zielonych skórzanych butach. Musiał jednak dokładnie umyć ręce i twarz w miedzianej misce, która stała na umywalni.

Igor był ubrany podobnie, jego koszula różniła się od chłopskiego odzienia jedynie misternym haftem na brzegach. „Bogate ozdoby tam nie przystoją” – oznajmił z powagą. Iwanuszce błyszczały oczy. Był tak rozemocjonowany, że zjadł tylko kawałek chleba z odrobiną kaszy owsianej. Ucałował matkę i braci i wybiegł na zewnątrz, a chwilę później siedział już na swoim kucu, czując na policzkach chłodne, wilgotne powietrze poranka.

Ulice były błotniste. Większość szlachty mieszkała w drewnianych domach, parterowych lub jednopiętrowych, z wysokimi, podobnymi do namiotów dachami i z zabudowaniami gospodarskimi w głębi. Każda siedziba zajmowała niewielką parcelę otoczoną płotem z drewnianych palików. Ziemia była tak nasiąknięta wodą z roztopionego śniegu i wiosennych deszczów, że drogę ze stajni do furty wyłożono deskami. W kilku miejscach na ulicy też leżały deski, ale na ogół końskie kopyta tonęły w grząskim błocie.

Iwanuszka na białym kucu jechał posłusznie za ojcem. Igor prezentował się wspaniale. Ramiona okrywała mu prosta czarna opończa. Chłopiec patrzył z bezgranicznym podziwem na jego dumnie wyprostowane plecy. Ojciec dosiadał wspaniałego czarnego wierzchowca, który nosił pradawne imię, przejęte do języka Słowian w nieco zmienionej przez kolejne pokolenia formie. Koń nazywał się Trojan.

Mijani po drodze prości ludzie przykładali na ich widok prawą dłoń do serca i kłaniali im się w pas. Nawet księża w szatach duchownych pochylali z szacunkiem głowy. A to dlatego, że Igor był mężem, szlachetnie urodzonym. Gdyby go zamordowano, sprawca musiałby wypłacić jego rodzinie rekompensatę w wysokości czterdziestu srebrnych hrywien, podczas gdy zabicie wolnego chłopca, czyli smerda,

kosztowało zaledwie pięć hrywien.

Klasa panów wyróżniała się też imionami. Książęta oraz ich najbardziej zasłużeni podwładni nosili „królewskie” imiona zakończone na -sław, -mir lub -mierz. Włodzimierz Wielki miał więc syna Jarosława. Wśród szlachty wciąż były popularne imiona skandynawskie, jak Ruryk czy Oleg. Nawet żona Igora, choć pochodziła ze szlacheckiej słowiańskiej rodziny, nosiła imię Olga, które było ruską wersją skandynawskiej Helgi. Natomiast chłopom nadawano stare słowiańskie imiona, takie jak Ilja, Szczek czy Mal.

Jednak szlachtę wyróżniał przede wszystkim sposób, w jaki się do niej zwracano. Chłop był zwyczajnym Ilją, ale szlachcic dodawał do tego imię ojca, patronimik. A zatem mały Iwan, syn Igora, nazywał się Iwan Igoriewicz. A do tego Igor był nie tylko szlachcicem, ale także cenionym członkiem drużyny samego księcia kijowskiego.

Na ziemiach ruskich panowało wielu książąt. Każde miasto handlowe leżące na jednym z wielkich szlaków wodnych miało swojego księcia protektora, a wszyscy oni wywodzili się od wikinga imieniem Oleg, który przed dwoma wiekami odebrał Kijów Chazarom. Synowie ostatniego księcia kijowskiego, Jarosława Mądrego, sprawowali władzę w największych miastach handlowego imperium. Obowiązywała ich szczególna zasada dziedziczenia – najstarszy żyjący brat przejmował Kijów, a pozostali byli mu winni posłuszeństwo i zgodnie z porządkiem starszeństwa władali coraz mniejszymi miastami. Pan Igora był obecnie wielkim księciem kijowskim, a leżący na północy Czernihów należał do jego młodszego brata Świętosława. Rozważny Wsiewołod, jeszcze młodszymi, otrzymał położony na południu Perejasław. Gdy któryś z braci umierał, dziedziczył po nim nie jego syn, ale kolejny brat, tak więc każdy miał szansę przenieść się do większego miasta.

Igor podlegał samemu księciu Kijowa. Co więcej, należał do ścisłej rady książęcej. Bracia Iwanuszki też już byli w drużynie, choć Borys służył dopiero jako paź, więc najmłodszego aż dreszcz przechodził na myśl, że niedługo do nich dołączy.

– Z koni!

Chłopiec drgnął, gdy szorstki głos ojca przerwał mu rozmyślenia. Przejechali dopiero kilkaset metrów, ale Igor zsunął się z siodła i szedł długimi krokami przed siebie. Iwanuszka rozejrzał się. Już wiedział, że dojechali do soboru. Westchnął. Sobory wzbudzały w nim lęk.

W warowni Jarosława Mądrego było wiele wspaniałych budowli: piękne drewniane domy szlachty, klasztory, cerkwie, szkoły oraz dostojna Złota Brama wzniesiona z kamienia. Brama była wyjątkowa, bo na jej szczycie stała niewielka cerkiew Zwiastowania zwieńczona złotą kopułą. Jednak na całej ziemi ruskiej nic nie mogło się równać z majestatycznym soborem, który Iwanuszka miał teraz przed oczami. Jak błogosławiony Włodzimierz zbudował w starej warowni ogromną cerkiew Dziesięciną, tak Jarosław wznosił w nowszej części miasta swoją cerkiew katedralną.

Nazwał ją soborem Mądrości Bożej – nie mógł inaczej, skoro wszyscy wiedzieli, że największa świątynia Wschodniego Cesarstwa Rzymskiego, siedziba patriarchy Konstantynopola, nosi taką właśnie nazwę. Sofia – dla Greków: Mądrość Boża.

Bo choć ten nowy naród Północy z dumą głosił: „Jesteśmy Rusinami”, to pod wieloma względami naśladował cywilizację grecką. Najwyżsi duchowni byli Grekami.

Nawet jedyny Słowianin, wielki kaznodzieja, który dekadę wcześniej stał na czele Kościoła Rusi, przyjął greckie imię Hilarion. Dzieci ze szlacheckich rodzin otrzymywały na chrzcie dwa imiona, słowiańskie lub skandynawskie oraz chrześcijańskie. Jarosław czy Borys miał więc na drugie Andrzej, Dymitr, Aleksander albo Konstantyn. A wszystkie te imiona cechowały się greckim rodowodem.

Katedra była ogromna. Zbudowano ją z długich, cienkich pasów czerwonego granitu powiązanych warstwami różowej zaprawy. Ogromny, niemal kwadratowy, czerwonoróżowy blok świętej fortecy miał przypominać wszystkim o potędze nowo przyjętego chrześcijańskiego Boga. Pośrodku górowała wielka lśniąca kopuła w kształcie spłaszczonego hełmu – podobna do tej w Konstantynopolu – a otaczało ją dwanaście mniejszych. „One symbolizują naszego Pana i jego dwunastu apostołów” – powiedział kiedyś Igor synowi. Katedra była niemal gotowa. Jedynie z boku, gdzie stało niewielkie rusztowanie, wykańczano zewnętrzne schody.

Iwanuszka wszedł z drzeniem do środka.

Z zewnątrz katedra wyglądała jak forteca, ale jej wysokie, mroczne wnętrze było rozległe niczym wszechświat. Tak samo jak inne wielkie świątynie Imperium Rzymskiego, ciągnęła się z zachodu na wschód szeroką linią pięciu naw – nawa główna miała z obu stron po nawie bocznej. Od wschodu każdą nawę zamykała półkolista apsyda, a od zachodu usytuowane były galerie, na których modlili się książęta i ich dworzanie, spoglądając z góry na swój lud. Pośrodku świątyni, pod wielką kopułą, otwierała się rozległa przestrzeń – to tam kapłani w lśniących szatach stawali przed wiernymi i tam niebiosa spotykały się z ziemią.

Ale w tym dudniącym wnętrzu to nie kopuła, nawy czy potężne kolumny były najważniejsze, tylko mozaiki.

To one przyprawiły Iwanuszkę o dreszcz. Pokrywały ściany od podłogi aż po wysoki sufit. Najświętsza Panna z rękami rozłożonymi we wschodnim geście modlitwy, Ojcowie Kościoła, Zwiastowanie, Eucharystia – błękity i brązy, czerwienie i zielenie na lśniącym złotym tle. Ogromne, jasne, pociągłe twarze z dużymi czarnymi oczami patrzyły smutno i obojętnie na maluczkich, którzy zamieszkiwali ten przemijający świat. A z samej góry, z głównej kopuły, spoglądał Pantokrator, Wszechwładca – jego wielkie greckie oczy widziały wszystko i nic; znał ludzkie istoty na wylot, sam pozostając niepoznawalnym, poza wszelką ziemską mądrością.

W świątyni ziemia spotykała się z niebem, w półmroku migotały setki świec, złote mozaiki lśniły przerażającym blaskiem, rozświetlając ciemności tego padołu.

Rozległ się monotonny śpiew:

– *Gospodi, pomiluj*. Panie, zmiłuj się nad nami.

Popi śpiewali w języku cerkiewnosłowiańskim – nieco bardziej nosowej odmianie języka mówionego – zrozumieliśmy, ale tajemniczym, bo należącym do kapłanów.

Igor zapalił świecę i zamarł w cichej modlitwie przed ikoną wiszącą obok jednej z ciężkich kolumn. Iwanuszka rozglądał się wokoło.

Wszyscy znali historię nawrócenia błogosławionego Włodzimierza. Wysłał posłańców, by zdobyli dla niego wiedzę o trzech wielkich religiach – islamie, judaizmie i chrześcijaństwie. A ci po powrocie z Konstantynopola oznajmili, że będąc w greckiej

cerkwi, „nie wiedzieli, czy są na ziemi, czy w niebie”.

W takich właśnie katedrach cesarze Konstantynopola – a teraz także naśladowający ich książęta Kijowa – sprowadzali widzialne niebiosy na ziemię i przypominali poddanym, że oni, władcy modlący się wysoko na galeriach, są namiestnikami wiecznego Boga, który choć niepoznawalny, jest wśród nich obecny.

Igor, ze swoim orientalnym rodowodem, odnajdywał spokój w kontemplowaniu tej absolutnej, niepoznawalnej mocy. Iwanuszka, pół-Słowianin, instynktownie cofał się przed takim Bogiem, tęskniąc za bóstwem cieplejszym i łagodniejszym. To dlatego drżał, jakby mu było zimno.

Ucieszył się, gdy po kilku minutach wyszli z cerkwi i ruszyli w kierunku bramy, za którą otwierał się leśny trakt do klasztoru. I do jego przeznaczenia.

W końcu stanęli przed klasztorną furką.

Droga z warowni była tak piękna, że Iwanuszkę przepelniała radość. Za murami trakt prowadził najpierw wśród rozrzuconych z rzadka chat pospólstwa, a potem skręcał na południe ku małemu wzniesieniu zwanemu Bieriestowo, gdzie święty Włodzimierz zbudował sobie jeszcze jedną siedzibę. Po lewej, pomiędzy dachami, przeświecało w dole lustro rzeki, a dalej, po drugiej stronie szerokiego rozlewiska, ciągnęła się porośnięta lasami równina. Pierwsze listki na dębach i bukach okryły okolicę miękką jasnozieloną mgłą ścielącą się pod bladoniebieskim niebem. W nieruchomym powietrzu wiosennego poranka nic nie zakłócało cichego śpiewu ptaków. Iwanuszka jechał radośnie za ojcem w kierunku oddalonego o trzy i pół kilometra wzniesienia, na którym mieszkali mnisi.

Ale cały czas nie wiedział, jaki jest cel tej podróży.

Igor milczał, pogrążony w myślach. Zadawał sobie pytanie, czy słusznie postępuje. Ta poranna wyprawa była niezwykłym posunięciem, nawet jak na bojara tak surowego i pobożnego jak on. Oto bowiem postanowił przeznaczyć Iwanuszkę do stanu duchownego.

Ta decyzja nie przyszła mu łatwo. Żaden bojar nie chciał, by jego syn został mnichem czy księdzem. Życie w ubóstwie było niemal hańbą i ci spośród szlachetnie urodzonych, którzy wybierali tę drogę, robili to wbrew woli rodziny. Owszem, bojar taki jak Igor mógł poświęcać na modlitwę kilka godzin dziennie, a książę na łożu śmierci – prosić nawet o mniśią tonsurę. Ale żeby młodzieniec dawał się pogrzebać za życia, przyjmując śluby ubóstwa?

Ta myśl zaświtała w umyśle Igora niedługo po pojawieniu się czerwonej gwiazdy.

– Nie twierdzę, że Iwanuszka jest głupcem – powiedział do żony. – Ale jest marzycielem. A tamtej nocy znalazłem go wpatzonego w kometę. Gdybym go nie przyprowadził do domu, zamarzyłby na śmierć. Powinien zostać mnichem.

Jemu samemu udało się osiągnąć wysoką pozycję, był wojownikiem i należał do drużyny, ale doskonale wiedział, ile wysiłku to wymaga.

– Nie sądzę, żeby Iwanuszcze też się udało – przyznał ze smutkiem.

– Powinieneś dać mu więcej czasu – odparła Olga.

Brakowało mu cierpliwości? Może. Ale jaki ojciec będzie tolerował słabość syna? Nawet jeśli jest to jego ukochane dziecko. Choć jednocześnie jakiś wewnętrzny głos powtarzał mu cicho: „Ten chłopiec jest taki jak ty”.

Ale gdy mijały tygodnie, a przed chłopcem nie otwierały się żadne możliwości, zaczął się zastanawiać: „Może to sam Bóg domaga się, by chłopak został Jego sługą wbrew mojej woli?”. I powoli się do tego przygotowywał.

Zaczął od rozmowy z ojcem Łukaszem, któremu zwierzył się ze swoich przemyśleń. No, może trochę przesadził z religijnością Iwanuszki. I ubłagał starego mnicha, by ten porozmawiał z chłopcem i zachęcił go do wkroczenia na duchową ścieżkę, gdyby się okazało, że ma powołanie. Był przekonany, że jeśli propozycja padnie z ust samego ojca Łukasza, Iwanuszka chętniej ją przyjmie.

Powiedział o tym żonie zaledwie poprzedniego dnia. Jej twarz zbladła.

– Błagam cię, nie odtrącaj Iwanuszki! – prosiła.

– Nie mam takiego zamiaru – odpowiedział. – Jeśli nie będzie chciał, to nie pójdzie do klasztoru.

– Ale będziesz go do tego zachęcał.

– Pokażę mu jedynie klasztor, to wszystko.

Olga była zrozpaczona. Ona też dobrze знаła najmłodszego syna. Kto wie, co przemówi do jego wyobraźni. A jeśli da się łatwo przekonać do klasztornej życia? Wtedy utraci go na zawsze.

– Przecież nie musi wyjeżdżać z Kijowa – zauważył Igor.

Był jednak ambitny, więc w tajemnicy liczył, że chłopak wyjedzie na jakiś czas do jednego z wielkich greckich klasztorów na dalekiej górze Athos – to by mu dało szansę na wysokie stanowisko kościelne. A nuż chłopak zostanie drugim Hilarionem! Nie zdradził się jednak z tymi nadziejami.

– Już go nigdy nie zobaczę – rozpaczła Olga.

– Każdy syn musi kiedyś opuścić matkę – przekonywał. – Poza tym jeśli taka jest wola boża, musimy jej być posłuszni. Zresztą kto wie? Może życie duchowne da mu prawdziwe szczęście? Może nawet będzie szczęśliwszy niż ja? – Nie zdawał sobie z tego sprawy, ale to stwierdzenie, choć mało taktowne, było bliskie prawdy. – Zabiorę go dziś do katedry i do klasztoru. Porozmawia z ojcem Łukaszem. To wszystko.

Miał nadzieję, że chłopak, gdy zobaczy klasztor, nabierze zainteresowania życiem duchownym. Wtedy on mu powie, że nigdy nie zostanie bojarem. Sprawi tym chłopcu wielki ból. Ale przynajmniej znajdzie jakieś rozwiązanie.

I tak oto Iwanuszka pojawił się tego ranka w klasztorze.

Był tutaj po raz pierwszy.

Dotarli na szczyt wzniesienia i znaleźli się na polanie przed mocną drewnianą furką. Gdy przez nią przejeżdżali, uklonił im się mnich w czarnym habicie. Iwanuszka, pobladły z podniecenia, rozglądał się dookoła.

Miejsce nie wyglądało szczególnie imponująco. Była tu niewielka drewniana kaplica, kilka domków mieszkalnych oraz dwa niskie, podobne do stodół budynki – w jednym mieścił się refektarz, gdzie mnisi jedli posiłki, w drugim – przytułek dla chorych. Klasztor w niczym nie przypominał wspaniałej katedry, co trochę rozczarowało Iwanuszkę. W ogóle miejsce wydawało mu się bardzo smutne.

Słońce stało już wysoko na niebie, ale drewniane chaty wciąż pokrywała poranna rosa, jakby chłodna, wilgotna ziemia wniknęła w ściany tutejszych domów. Pomiędzy

drzewami leżały głązy, tu i tam widniały plamy brązowego błota. I pomimo początków wiosny unosiła się atmosfera jesieni, jakby liście wciąż spadały z drzew.

Minęło ledwo dwadzieścia lat, odkąd mnich Antoni, wracając z dalekiej Grecji, ze świętej góry Athos, natrafił na tutejsze jaskinie. Wkrótce dołączyli do niego inni i w ten sposób powstała wspólnota kilkunastu pustelników, którzy wykopali pod ziemią sieć maleńkich cel i łączących je przejść. Iwanuszka poczuł się dziwnie, uświadomiwszy sobie, że mnisi siedzą w swoich norach jak króliki, nie wiedząc nic o jego obecności.

Jeśli chodzi o mnicha Antoniego, żył samotnie w jaskini, z dala od klasztornej społeczności. Na światło dzienne wychodził z rzadka, i to jedynie z ważnej przyczyny – tak jak wtedy, gdy poprosił księcia kijowskiego, by przekazał wzniesienie mnichom – a potem znów zniknął w swojej samotni. Mówiono jednak, że jego święty duch unosi się nad klasztorem jak zwoje mgły. A tymczasem pobożni mnisi pod przewodnictwem dobrotliwego Teodozjusza, wśród nich ojciec Łukasz, zbudowali nad ziemią i pod ziemią klasztor.

Iwanuszka i Igor zsiadli z koni, które odprowadził jeden z mnichów. Drugi, po krótkiej, prowadzonej szeptem rozmowie, zniknął w małej chatce.

– Tam jest wejście do pieczar – wyjaśnił ojciec.

Czekali. Upłynęło kilka minut. Dwóch starszych mnichów i towarzyszący im młody braciszek minęli ich powoli i weszli do drewnianej kaplicy. Iwanuszka zauważył, że jeden ze starców ma na szyi ciężki łańcuch i porusza się z dużym trudem.

– Po co mu ten łańcuch? – spytał szeptem.

Ojciec spojrzał na niego tak, jakby to było głupie pytanie.

– Żeby umartwiać ciało – odpowiedział ostro. – On jest blisko Boga – dodał z szacunkiem.

Iwanuszka milczał. Policzek otarł mu słaby oddech chłodnego wiatru.

A potem drzwi chaty naprzeciwko otworzyły się powoli, a mnich, który się w nich ukazał, przytrzymał je dla jakiejś niewidocznej osoby. Iwanuszka usłyszał szept ojca.

– Idzie!

Wstrzymał oddech. W progu ukazał się kawałek szaty. A więc za chwilę ta wspaniała postać odsłoni przed nim jego przeznaczenie.

I wtedy z chatki wyszedł niski, wychudły starzec.

Jego siwe włosy były przyczesane, ale niezbyt czyste, podobnie jak czarny habit przewiązany skórzanym pasem, który pokrywały kropki pleśni. Za to brodę miał nieprzystrzyżoną i potarganą. Szedł ku nim, powłócząc nogami. Młody mnich postępował tuż za nim, gotowy w każdej chwili go podtrzymać.

Ojciec Łukasz miał pomarszczoną, trupio bladą twarz, niemal przesłoniętą brwiami, może dlatego, że mocno się garbił. Zrobiwszy kilka kroków, otworzył usta, jakby rozluźniał zeszytwniałe mięśnie, przygotowując je do uśmiechu, który – w swoim mniemaniu – był winny przybyszom. Iwanuszka zauważył, że mnich ma liczne braki w pożółkłym uzębieniu. A jego oczy – wbrew temu, co sobie wyobrażał – wcale nie lśniły jak słońca. Były to stare, zażawione oczy, do tego lekko zezujące. Wydawało się, że starzec jest najbardziej zaabsorbowany patrzeniem na własne brudne stopy w skórzanych łapciach, tak dziurawych, że niemal się rozpadały. Ale było coś gorszego niż jego wygląd,

na co Iwanuszka nie był przygotowany.

Zapach.

Bo ludzie żyjący pod ziemią nabierali nie tylko bladej cery, niczym trupy, ale także okropnej woni. Ta woń, wyprzedzając ojca Łukasza, dotarła właśnie do chłopca. Nigdy wcześniej nie czuł takiego zapachu – w jego umyśle zamajaczył niewyraźny obraz mokrej gliny, martwych ciał i gnijących liści.

Mnich zatrzymał się obok niego.

Chłopiec usłyszał głos ojca:

– To jest właśnie Iwanuszka.

Pochylił głowę.

A więc tak wygląda ojciec Łukasz. Nie mógł w to uwierzyć. Miał ochotę uciec. Jak własny ojciec mógł go tak okrutnie oszukać? Żeby on mnie tylko nie dotknął, modlił się w duchu.

Kiedy podniósł wzrok, zauważył, że ojciec i mnich cicho ze sobą rozmawiają. Oczy mnicha, który od czasu do czasu zerkał na niego, były niebieskie, bystrzejsze i bardziej badawcze, niż mu się na początku wydawało.

Obaj mężczyźni rozmawiali rzeczowo o całkiem doczesnych sprawach – o handlu i polityce Tmutarakania, o cenie soli, o zbudowaniu nowego klasztoru Świętego Dymitra w warowni. Iwanuszka uznał to za dziwne i raczej nudne. Dlatego był zaskoczony, gdy ojciec Łukasz nagle skinął w jego kierunku głową.

– Więc to jest ten młodzieniec, o którym mi wspominałeś?

– Tak, to on.

– Iwan – mruknął ojciec Łukasz jakby do siebie, jednocześnie uśmiechając się do chłopca. – Chrześcijańskie imię, bardzo odpowiednie dla młodego człowieka.

W owych czasach niewielu Rusinów miało na pierwsze imię Iwan, które było słowiańskim odpowiednikiem Jana. Jednak Igor, który swoim starszym synom dał po dwa imiona – słowiańskie i chrześcijańskie – z jakiegoś powodu najmłodszemu dał tylko jedno, podczas chrztu.

Iwanuszka zauważył, że ojciec uśmiecha się do niego zachęcająco, jakby chciał mu dodać otuchy, choć widać było, że tak naprawdę niepokoi się, czy syn zrobi odpowiednie wrażenie. I jak zawsze w podobnych okolicznościach Iwanuszka poczuł, jak coś się w nim zaciska, a w umyśle rodzi się jeden wielki zamęt. Kolejne pytanie mnicha jedynie pogłębiło ten stan.

– Podoba ci się tutaj?

I jak miał odpowiedzieć? Był smutny i zawiedziony, a pytanie ojca Łukasza wydobyło te uczucia na powierzchnię. Ze łzami w oczach, niemal wściekły na ojca, a jednocześnie odrętwiały z rozczarowania, nie mogąc spojrzeć im w twarz, wybuchnął:

– Nie!

Nieomal poczuł, jak ojciec sztywnieje z oburzenia.

– Iwanie!

Podniósł wzrok i napotkał pełne złości spojrzenie Igora. Jednak mnich nie był oburzony.

– Co tutaj widzisz? – zapytał spokojnie.

To pytanie też go zaskoczyło. Było tak proste, że choć nie mógł zebrać myśli, odpowiedział bez najmniejszego zastanowienia:

– Gnijące liście.

Usłyszał gniewne parsknięcie ojca, a potem ze zdziwieniem zauważył, że mnich wyciąga bladą, kościstą rękę i łagodnie bierze Igora za ramię.

– Nie złość się – upomniał go cicho. – Chłopiec powiedział prawdę. – Westchnął.  
– Jest za młody, żeby tu zostać.

– Ale przecież przyjmowaliście innych chłopców – zaproponował ojciec.

Mnich skinął głową, ale bez większego zainteresowania.

– Owszem, przyjmowaliśmy. – Odwrócił się do Iwanuszki. – A więc, Iwanie, chciałbyś zostać kapłanem?

Kapłanem? O czym ten starzec mówi? Chciał zostać bojarem, bohaterem. Patrzył na mnicha ze zdumieniem połączonym z lękiem.

– Jesteś pewien, mój przyjacielu? – zwrócił się do Igora ojciec Łukasz, z cierpkim uśmiechem na twarzy.

– Myślałem, że tak będzie najlepiej. – Igor zmarszczył brwi. Był zły i zakłopotany jednocześnie.

Iwanuszka spojrział na ojca. Początkowo nie potrafił zrozumieć, o co tutaj chodzi, ale powoli zamęt w jego umyśle zaczął ustępować. Skoro ojciec widział go jako duchownego, to znaczy, że jego zdaniem nie nadaje się na bojara. Wciąż czuł bolesne rozczarowanie, wywołane odkryciem, że ten wspaniały ojciec Łukasz to tylko zaniedbany starzec, a do tego jeszcze uświadomił sobie dwie rzeczy. Nie mówiąc mu o swoich planach, ojciec go zdradził. I odtrącił.

Ojciec Łukasz otworzył książkę, którą wyciągnął spod kołdry habitu.

– To jest liturgia świętego Jana Chryzostoma – oznajmił. – Umiesz to przeczytać?  
– Pokazał chłopcu modlitwę.

Iwanuszka zaczął dukać, a ojciec Łukasz spokojnie przytakiwał. Potem wyjął jeszcze jedną niedużą książkę, ale w tej pismo było inne i chłopiec pokręcił głową.

– Święty Cyryl wymyślił ten alfabet dla Słowian – wyjaśnił starzec. – Wielu mnichów wciąż używa tego pisma, w którym jest kilka hebrajskich liter. Jednak dziś posługujemy się alfabetem wymyślonym przez następców Cyryla, wzorowanym na greckim i błędnie nazywanym cyrylicą. Kapłan powinien znać oba.

Iwanuszka w milczeniu zwiesił głowę.

– W naszym klasztorze – ciągnął cicho ojciec Łukasz – obowiązuje reguła ustanowiona przez opata Teodozjusza. Bardzo mądra reguła. Mnisi poświęcają czas głównie na śpiewy i modlitwę w kaplicy, ale zajmują się też pożytecznymi pracami, jak opieka nad chorymi. Oczywiście niektórzy przyjmują surowszą dyscyplinę i na długi czas zamykają się w celach albo w jaskiniach. Ale to ich wybór.

– Święty wybór – wtrącił Igor z szacunkiem.

Na ojcu Łukaszu nie zrobiło to wrażenia.

– Nie dla wszystkich. – Westchnął, choć zabrzmiało to raczej jak urwane syknięcie. Iwanuszce wydawało się, że starzec zużywa mniej powietrza niż inni. – Życie mnicha jest nieustannym zbliżaniem się do Boga – ciągnął cicho, nie wiadomo, czy kierując swoje



słowa do Igora, czy do jego syna. – W tym czasie ciało usycha, ale duch zostaje nakarmiony i może wzrastać w połączeniu z Bogiem. – Jego cichy głos brzmiał dla Iwanuszki jak opadanie liści.

Ojciec Łukasz zakasłał chrapliwie. On jest jak zakopana w ziemi łupina, pomyślał Iwanuszka.

– W ten sposób ciało umiera, żeby dusza mogła żyć.

Iwanuszka wiedział, że przygotowując się do śmierci, część mnichów wstawia do swoich cel trumny.

Zauważył, że ojciec Łukasz przygląda mu się beznamiętnie, obserwując jego reakcję na te słowa. On jednak nie umiał ukryć zawodu ani pragnienia ucieczki od tego obrazu śmierci.

– Ale to nie jest śmierć – ciągnął mnich, jakby czytając w jego myślach. – Bo Chrystus śmierć pokonał. Trawa usycha, lecz słowo Pana naszego trwa na wieki. A więc nawet w tej śmiertelnej powłoce nasze dusze żyją w świecie ducha, w pokorze przed Bogiem. – Jeśli te słowa miały Iwanuszkę pocieszyć, to bynajmniej nie odniosły tego skutku.

Ascetyczny ideał umartwiania ciała był bardzo stary. Już od wieków praktykowali go najbardziej zdeterminowani pustelnicy w chrześcijańskiej Syrii. Nie zadawali sobie okrutnego bólu jak zachodni biczownicy, ale pozbawiali się życiowych soków, powoli osłabiali ciało, sprowadzając je do beużytecznej skorupy, która nie przeszkadza w życiu duchowym i służbie bożej.

– Jednak takich skrajnych przypadków jest niewiele – mówił ojciec Łukasz, obserwując go uważnie. – Większość mnichów wie o prostym życiu, poświęcając się służbie Bogu i współbraciom. Taką właśnie regułę zalecał nasz opat Teodozjusz.

W odczuciu Iwanuszki nawet to nie zabrzmiało pociesząco.

– Chciałbyś służyć Bogu? – spytał nieoczekiwanie starzec.

– O tak!

Miał niemal łzy w oczach. Zawsze chciał służyć Bogu. I często wyobrażał sobie, jak z imieniem Boga na ustach pędzi konno po stepie, walcząc z poganami.

Starzec chrząknął.

– Chłopak jest jeszcze młody. Kocha swoje ciało. – Powiedział to spokojnie, bez złości, ale stanowczo. Odwrócił się plecami do Iwanuszki.

– A więc nie nadaje się na mnicha? – spytał z niepokojem Igor.

– Bóg przyzywa człowieka do siebie we właściwym czasie. Nie wiem, co się jeszcze wydarzy.

– A więc nie powinien się przyuczać do stanu duchownego? – dopytywał się Igor.

Jednak ojciec Łukasz bez słowa odwrócił się do Iwanuszki i w geście, który mógł być błogosławieństwem, położył mu dłoń na głowie.

– Widzę, że wyruszysz w podróż – powiedział. – I z niej powrócisz.

W podróż? Myśli Iwanuszki zaczęły szaleńczo galopować. Chodzi mu o podróż nad wielki Don? Na pewno. I nic nie wspominał o zostaniu kapłanem. A więc nie wszystko jeszcze stracone.

Tymczasem mnich patrzył surowo na Igora.

– Za dużo pościsz – rzucił nagle.  
– Przecież post jest dozwolony – zdziwił się Igor.  
– Post to dziesięcina należna Bogu. A dziesięcina oznacza jedną dziesiątą, nie więcej. Powinieneś ograniczyć swoje posty. Jesteś dla siebie zbyt surowy.

– A moje modlitwy?

Iwanuszka wiedział, że ojciec długo modli się o świcie, a potem w ciągu dnia jeszcze trzy albo cztery razy.

– Możesz się modlić, ile chcesz, jeśli tylko nie zaniedbujesz przez to swoich spraw – odparł mnich ostro. – To zamiłowanie do postów przybyło do nas z łacińskiego Zachodu przez Morawy. Nie należę do tych, którzy potępiają Zachód, ale nadmiar postów wśród ludzi świeckich to głupota. Jeśli chcesz to robić, lepiej przyłącz się do Rzymian i wygłaszaj ich *Credo* – dorzucił z lekkim uśmiechem.

Od ponad dziesięciu lat trwał rozdźwięk między Kościołem wschodnim a zachodnim, między Konstantynopolem a Rzymem. Punktem spornym było tytułowanie Boga i Trójcy Świętej w *Credo*, lecz kryły się pod tym także inne różnice teologiczne. Papież uważał się za najwyższą władzę, z czym Kościół wschodni nie chciał się zgodzić. Jednak do rozłamu jeszcze nie doszło.

Ta łagodna drwina mnicha miała jedynie przypomnieć Igorowi, że jako duchowy syn ojca Łukasza winien mu posłuszeństwo.

– Zrobię, jak mi każecie – odparł bojar. – Ale skoro chłopak nie zostanie duchownym, to co z nim będzie?

Starzec nawet nie spojrzał na Iwanuszkę.

– Bóg jeden wie.

*Rok 1067*

Złoty Kijów. Ruś miała problem. Oto jej władcy wymyślili system polityczny, który się nie sprawdzał. Szkopuł tkwił w sukcesji.

Kiedy panujący klan postanowił, że miasta będą przechodziły nie z ojca na syna, lecz z brata na brata, nikt nie przewidywał konsekwencji, które okazały się katastrofalne.

Przede wszystkim każdy księżę mógł przekazać synom rządy w mniejszych miastach na swoich ziemiach, jednak po jego śmierci synowie musieli oddać władzę kolejnemu księciu w linii sukcesyjnej, często bez żadnej rekompensaty. Co gorsza, jeśli któryś z książęcych braci umierał, zanim otrzymał jakieś miasto, jego dzieci wypadły z łańcucha dziedziczenia. Takich książąt bez ziemi i jakichkolwiek widoków na przyszłość było wielu. Nazywano ich tak samo jak wszystkich ludzi wywłaszczonych lub nieposiadających żadnej własności – izgojami.

I nawet jeśli w danej linii dziedziczenia nie było izgojów, to i tak system doprowadzał do sytuacji absurdalnych.

Ruscy książęta byli bowiem długowieczni i mieli wielu synów. I zdarzało się tak, że najstarszy syn miał już dorosłe dzieci, które wojowały i rządziły krajem, a jego najmłodszy brat był jeszcze małym chłopcem. Mimo to owi wojownicy i mężowie stanu w razie śmierci ojca musieliby uznać zwierzchnictwo małoletniego stryja. Nic dziwnego,

że budziło to ich złość.

I gdy na świecie pojawiały się kolejne pokolenia, coraz trudniej było ustalić, kto ma prawo do czego, nie mówiąc już o zgodzie poszczególnych stronnictw. Klan władający Rusią Kijowską przez wiele pokoleń wprowadzał jedynie doraźne zmiany do systemu, który był błędny w całym swoim założeniu. Niestety, samego problemu nigdy nie udało się rozwiązać.

Złoty Kijów. Jednak ostatnio Iwanuszka miał wrażenie, że nad miastem zawisło dziwne światło. W powietrzu unosił się zapach zdrady. Rok po pojawieniu się na niebie strasznego znaku jego znaczenie dla ruskich ziem stawało się coraz bardziej jasne.

Początkowo Iwanuszka obawiał się o ojca.

Książę połocki szczególnie wyróżniał się spośród wszystkich ruskich książąt. Ludzie mówili, że był wilkołakiem. Rzeczywiście wyglądał przerażająco.

– Urodził się z kawałkiem czepka przykrywającym oko – mówiła matka Iwanuszki. – I ten kawałek zachował się do dziś.

– On jest naprawdę taki zły? – dopytywał się chłopiec.

– Jeszcze gorszy niż Baba-Jaga – odpowiadała matka.

Bunt księcia Połocka był typowym sporem dynastycznym. Ten wnuk błogosławionego Włodzimierza, chociaż nie był pozbawionym ziemi izgojem, został wyłączony z głównej linii sukcesji: otrzymał Połock leżący na zachodzie, blisko polskich ziem, ale nie miał szans na odziedziczenie Kijowa, Nowogrodu, Czernihowa ani żadnego z największych miast Rusi.

Przez jakiś czas, gdy inni książęta izgoje wzniecali zamieszki na odległych terenach, książę połocki milczał. A potem nagle w samym środku zimy uderzył na wielki Nowogród. Śnieg pokrywał ziemię grubą warstwą, gdy Igor i jego dwaj starsi synowie wyruszyli na północ pod komendą księcia kijowskiego i jego braci.

Jakże Iwanuszka żałował, że nie może im towarzyszyć! Rok, który minął od wyprawy do klasztoru, był dla niego straszny. Z obawy przed napadami Połowców na stepach podróż karawany Chazara Żydowina została odłożona. Igor próbował umieścić syna w domu któregoś z członków rodziny książęcej, ale bezskutecznie. I kilkakrotnie pytał go, czy nie chciałby jeszcze raz pojechać do klasztoru. Jednak on zwieszał tylko głowę, więc Igor wruszał ramionami i dawał mu spokój.

A teraz ojciec wyruszył z braćmi na wyprawę przeciwko wilkołakowi.

– Ojcie, zabij go! – wołał za nimi Iwanuszka, gdy odjeżdżali. Choć w głębi serca nie był co do tego taki przekonany.

Minęły trzy tygodnie. Nadeszły wieści, że na zachodzie zbuntowane miasto Mińsk upadło i że wojska posuwają się coraz dalej na północ. A potem zapadła cisza.

Aż któregoś popołudnia na początku marca, gdy śnieg jeszcze nie stopniał, Iwanuszka usłyszał na podwórzu stukot końskich kopyt. Wybiegł na zewnątrz. Z konia zsiadała jakaś wysoka postać.

To był jego brat Świętopelk. Ależ on podobny do ojca!

Świętopelk spojrział na Iwanuszkę.

– Wygraliśmy – oznajmił sucho. – Ojciec jest jeszcze w drodze razem z Borysem. Wysłał mnie przodem, żebym uprzedził matkę.

- A wilkołak?
- Poniósł klęskę i uciekł. Już po nim.
- A co się stało w Mińsku?

Świętopełk uśmiechnął się. Dlaczego jego uśmiech miał w sobie gorycz? I dlaczego brat uśmiechał się tylko wtedy, gdy mówił o cierpieniu innych ludzi?

- Wyrznęliśmy wszystkich mężczyzn, a kobiety i dzieci sprzedaliśmy w niewolę.
- Zaśmiał się. – Było tylu niewolników, że cena spadła do pół hrywny za głowę.

Iwanuszka ruszył za nim do domu. W progu Świętopełk zatrzymał się i spojrzał do tyłu przez ramię.

- Aha, mam dla ciebie dobrą wiadomość – rzucił niedbale.
- Dla mnie? – Iwanuszka zaczął gorączkowo myśleć, co by to mogło być.
- Bóg jeden wie, dlaczego cię to spotyka – powiedział Świętopełk. – Niczym sobie na to nie zasłużyłeś. – Zabrzmiało to żartobliwie, ale Iwanuszka wiedział, że brat mówi poważnie.

– Jaką wiadomość? Powiedz!

– Ojciec ci powie. – Najwyraźniej Świętopełk nie był zadowolony z tej dobrej wiadomości. – Pomęcz się, dopóki ojciec nie wróci. – Uśmiechnął się blado i wszedł do domu.

Iwanuszka usłyszał radosny okrzyk matki. Kochała Świętopełka, bo był podobny do ojca.

Więści, które ojciec przywiózł następnego dnia, były tak wspaniałe, że chłopiec aż nie mógł w nie uwierzyć.

Młodszy brat księcia kijowskiego, książę Wsiewołod, władał Perejaślawiem – wspaniałym miastem położonym sto kilometrów na południe od stolicy. Wsiewołod zawarł małżeństwo, które zaimponowało ruskiej szlachcie, poślubił bowiem księżniczkę z rodu Monomachów, królewskiej rodziny Konstantynopola. A ich syn Włodzimierz był tylko o rok starszy od Iwanuszki.

– Musimy urządzić chłopcom spotkanie – obwieścił Igor z dumą. – Zaprzyjaźniłem się z Wsiewołodem na wyprawie, a on w zasadzie zgodził się, by Iwan został paziem małego Włodzimierza.

– Wiesz, że to wielka szansa – powiedziała matka do Iwanuszki. – Mówią, że Włodzimierz jest utalentowany i ma przed sobą wspaniałą przyszłość. Towarzyszyć mu od tak młodego wieku... – Rozłożyła ręce tak, jakby chciała pokazać, że skarby Kijowa i cesarskiego Konstantynopola zlały się w jedno.

Iwanuszka nie posiadał się z radości.

- Kiedy? Kiedy? – dopytywał natarczywie.
- Zabiorę cię do Perejaślawia na Boże Narodzenie – oznajmił Igor. – Do tego czasu musisz się dobrze przygotować. – Co powiedziawszy, kazał chłopcu odejść.
- Smutno mi, że Iwanuszka odjedzie – przyznała Olga. – Będę za nim tęsknić.
- Taki już los kobiet – zauważył chłodno Igor, nie przyznając, że on też będzie tęsknił.

Igor i jego żona byliby jednak bardzo zaniepokojeni, gdyby wiedzieli o pewnym drobnym wydarzeniu, do którego niedługo potem doszło w stajni.

Byli tam trzej bracia. Borys z szerokim uśmiechem klepnął Iwanuszkę w plecy, przyjacielsko, ale na tyle mocno, że chłopak rozciągnął się na ziemi jak długi. Ale potem dał mu na szczęście całą srebrną hrywnę i pojechał na padół. Świętopełk i Iwanuszka zostali sami.

– No i co, bracie, nie mówiłem, że przyjdą dobre wieści? – powiedział cicho Świętopełk, patrząc z uwielbieniem na swojego konia.

– Mówiłeś. – Iwanuszkę ogarnęło dziwne przeczucie, że brat chowa w zanadrzu coś nieprzyjemnego.

– Udało ci się lepiej niż mnie czy Borysowi – dorzucił Świętopełk.

– Naprawdę? – Wiedział, że otworzyła się przed nim wspaniała możliwość, ale nie myślał o tym w ten sposób.

– Naprawdę? – przedrzeźnił go Świętopełk, wciąż patrząc na konia.

Iwanuszka patrzył na niego ze zdziwieniem, nie wiedząc, co się dalej stanie.

Nagle Świętopełk się odwrócił. Z jego ciemnych oczu biła nienawiść i pogarda.

– Niczym sobie na to nie zasłużyłeś. Miałeś pójść do klasztoru.

– Tak, ale ojciec...

– Wiem, ojciec. Ale nie myśl, że uda ci się mnie oszukać. Przejrzałem cię, chłopczyku. Jesteś ambitny. Chcesz być lepszy od nas. Przywdziewasz maskę marzyciela, ale tak naprawdę myślisz tylko o sobie.

Iwanuszka był tak zaskoczony tą niespodziewaną napaścią, że nie wiedział, co powiedzieć. Ambitny? Nigdy mu to nie przyszło do głowy. Patrzył zmieszany na brata.

– Widzę, że prawda boli – ciągnął Świętopełk cierpko. – Ale dlaczego się do tego nie przyznasz jak my wszyscy? Bo jesteś od nas gorszy. Jesteś małym intrygantem, małą zmiją. – Ostatnie słowo syknął tak, że uderzyło w Iwanuszkę jak bolesny cios. Czuł się coraz pewniej. – I co, pewnie czekasz, aż ojciec umrze? – dorzucił.

Iwanuszka nie miał pojęcia, ku czemu to zmierza.

– Jak myślisz, ile ojciec musiałby zapłacić, gdybyś został mnichem? – mówił Świętopełk. – Pewnie kilka darowizn dla klasztoru. Ale gdy pójdziesz na dwór Wsiewołoda, pewnego dnia odziedziczysz tyle samo co my. A więc odbierzesz mi moje pieniądze.

Iwanuszka poczerwieniał na twarzy, w oczach miał łzy.

– Nie chcę, żeby ojciec umarł. A ty możesz wziąć moją część. Weź wszystko.

– Świetnie. Łatwo ci się mówi, skoro uniknąłeś klasztoru. Ale jeszcze zobaczymy.

Iwanuszka wybuchnął płaczem.

A to był dopiero początek jego kłopotów.

*Rok 1068*

Iwanuszka nie posłuchał ojca. Ale w mieście działy się takie zadziwiające rzeczy. Od dwóch lat chłopiec miał nieodparte wrażenie, że urok złej gwiazdy działa.

Nigdy nie spotkał się z młodym księciem Włodzimierzem. Mówiono, że powodem była śmierć jego matki, greckiej księżniczki.

– Włodzimierz i jego ojciec są pogrążeni w żałobie – oznajmił Igor. – To nie jest

najlepszy czas. Ale w przyszłym roku okoliczności będą bardziej sprzyjające.

Czemu więc, zanim jeszcze upłynął rok, ojciec Włodzimierza wziął sobie nową żonę z ludu Połowców?

– To polityka – tłumaczył Igor. – Jej ojcem jest wielki połowiecki wódz, a książę chce zabezpieczyć Perejasław przed atakami ze stepu.

Tylko że kilka miesięcy później Połowcy zaczęli grabić i palić ziemie ruskie z jeszcze większą siłą.

A ojciec Włodzimierza wciąż nie wspominał o spotkaniu chłopców. Złożył obietnicę, lecz teraz o niej zapomniał, więc Iwanuszka wciąż trwał bez zajęcia w Kijowie.

Może więc Świętopelk mówił prawdę, gdy pewnego chłodnego wiosennego poranka syknął mu do ucha:

– Nigdy nie będziesz paziem Włodzimierza. Już się dowiedzieli, że jesteś do niczego.

A gdy Iwanuszka zapytał głośno, kto mógłby im coś takiego powiedzieć, brat uśmiechnął się i szepnął:

– Może ja?

No i do tego jeszcze sprawa księcia Połocka. Książę Kijowa, pokonawszy brata, zaoferował mu list żelazny na rodzinny zjazd. A potem wtrącił go do lochu w Kijowie. Gdy jednak Iwanuszka zapytał ojca, czy taki zdradziecki postępek nie jest grzechem, w odpowiedzi usłyszał jedynie, że czasem trzeba skłamać. Chłopiec nie umiał się w tym rozeznaczyć.

Wreszcie pojawili się groźni Połowcy. Nie upłynął jeszcze tydzień, kiedy dzielni Rusini wyruszyli w środku nocy, żeby zadać stepowym najeźdźcom decydującą klęskę pod Perejasławiem. I przegrali. A co gorsza, ojciec i książęta wycofali się do Kijowa i schronili w otoczonym murami zamku. Do tego drużynę ogarnęła dziwna apatia. Każdego dnia Iwanuszka miał nadzieję, że ojciec i bojarzy znów staną do walki. Ale nic się nie działo. Czyżby opanował ich strach? Czyżby zamierzali zostawić ludzi na łasce najeźdźców, a samemu schronić się za bezpiecznymi murami? Na pewno są pod urokiem złej gwiazdy, uznał chłopiec.

A tego wrześniowego poranka w całym mieście panowało zamieszanie. Przerażeni posłańcy przynieśli wiadomość, że Połowcy są coraz bliżej. Na padole zebrał się wiec, jak Słowianie nazywali zgromadzenie mieszkańców.

Mówiono o buncie.

Właśnie dlatego, zamiast pozostać z rodziną w książęcym pałacu, Iwanuszka wymknął się na zewnątrz, przeszedł przez most nad wąwozem łączący starą warownię z nową i minawszy sobór Świętej Sofii, skierował się na padół.

W nowej warowni było dziwnie cicho. Domy szlachty stały puste, w domu jego ojca nie było nawet koni ani stajennych. Ulicami przemykali z rzadka duchowni i kobiety z dziećmi, wydawało się, że wszyscy mężczyźni poszli na wiec.

Iwanuszka wiedział, czym jest wiec. Nawet książę Kijowa bał się takich zgromadzeń. Zazwyczaj przebiegały one spokojnie, a przewodniczyli im najwięksi kupcy. Jednak w czasach kryzysu każdy wolny mieszkaniec miasta miał na wiecu prawo głosu.

– A kiedy wiec ogłosi bunt, dzieją się rzeczy straszne – opowiadał synowi Igor.  
– Nawet książę i drużyna nie są w stanie ich powstrzymać.

– Czy teraz ludzie są źli? – pytał chłopiec.

– I to jak! Nie wolno ci wychodzić na zewnątrz.

Idąc przez warownię, Iwanuszka był tak przerażony, że niemal zapomniał o swoim nieposłuszeństwie wobec ojca. Wbiegł przez bramę na rynek.

Było tu tłoczno. Jeszcze nigdy w życiu nie widział tylu ludzi. Przybyli nawet z odległych miasteczek – kupcy, rzemieślnicy, wolni handlarze, wyrobnicy. Kilka tysięcy zgromadzonych. Po obu stronach rynku stały cerkwie. Jedna przysadzista, ceglana, z bizantyjską spłaszczoną kopułą pośrodku, a druga mniejsza, drewniana, z niewielką ośmiokątną wieżą. Wydawało się, że sprawują pieczę nad zgromadzeniem, nadając mu religijną sankcję. Na samym środku placu wzniesiono drewniany podest i to tam skierowane były oczy tłumu. Na podeście stał potężny kupiec z ciemną brodą, w czerwonym kaftanie. W ręce trzymał laskę i niczym groźni prorocy ze Starego Testamentu piętnował władcę.

– Dlaczego książę panuje w Kijowe?! – krzyknął. – Dlaczego jego krewni panują w innych miastach? – Zawiesił głos, dopóki tłum się nie uciszył. – Bo zaprosiliśmy tutaj ich przodków! – Uderzył laską w podest. – Waregowie przybyli z północy do nas, Słowian, bo ich tu zaprosiliśmy!

Taka właśnie, narosła przez wiele pokoleń wersja historii służyła obu stronom – wikingom, bo legitymizowała ich pirackie rządy, i ich słowiańskim poddanym, którym pozwalała zachować dumę.

– A dlaczego ich sprowadziliśmy? – Spojrzał groźnie dookoła, jakby chciał pokazać, że nawet potężne cerkwie nie mogą mu przerwać. – Żeby za nas walczyli. Żeby bronili naszych miast. Po to tutaj są!

Tkwiło w tym ziarno prawdy. Relacje między książętami a rządzonymi przez nich miastami były niejasne. Książę chronił miasto, ale nie był jego właścicielem, tak samo jak nie był właścicielem ziemi, która wciąż należała do wolnych chłopów albo komun. W Nowogrodzie na północy zdarzało się, że ludowe wiece nie zgadzały się na jakiegoś księcia i nie pozwalały, żeby ich protektor przejmował ziemię na własność. Dlatego słowa kupca nie zdziwiły Iwanuszki. Zaczerwienił się z dumy, słysząc, że ojciec i jemu podobni nazywani są obrońcami Rusi.

– Ale nie obronili nas! – ryknął kupiec. – Zawiedli! Połowcy obracają nasze ziemie w perzynę, a książę i jego świta nie robią nic!

– To co mamy robić? – rozległy się pojedyncze głosy.

– Znaleźć nowego wodza! – krzyknął ktoś.

– Znaleźć nowego księcia! – wrzasnął inny.

Iwanuszka aż wstrzymał oddech. Przecież oni mówią o księciu kijowskim! Jednak ten pomysł przypadł tłumowi do gustu.

– Czyli kogo? Kogo? – spytał zgodny chór.

Kupiec jeszcze raz uderzył laską w podest.

– Wszystko zaczęło się od zdrady! – ryknął. – Synowie Jarosława złamali słowo i wtrącili księcia połockiego do lochu! – Wskazał na warownię. – A książę jest niewinny.

Nie musiał mówić dalej. Iwanuszka miał wrażenie, że wielu ludzi na placu tylko czekało na tę chwilę.

– Połock! Chcemy księcia połockiego! – wrzeszczał tłum.

Iwanuszka nie umiał potem opowiedzieć, jak potoczyły się wypadki. Pamiętał tylko, że tłum, jakby wiedziony jedną wolą, ruszył do warowni, pociągając go ze sobą. Przed soborem Świętej Sofii ludzka rzeka rozdzieliła się na dwie odnogi. Jedna skręciła na lewo, w kierunku niskiego drewnianego budynku, gdzie trzymano dziwnego księcia z bielmem na oczach. Druga ruszyła przez most do zamku.

Przecież trzeba uprzedzić rodzinę, ostrzec ją przed niebezpieczeństwem! Iwanuszka próbował wyprzedzić tłum sunący mostem ku starej warowni, ale szybko się zorientował, że jest za późno.

Kiedy wychodził z domu, nie przyszło mu do głowy, że nie będzie mógł się tam dostać z powrotem. Ale dotarłszy na plac przed siedzibą książęcą, pojął, w jak trudnym znalazł się położeniu. Po lewej stronie miał wysoki mur, po prawej szerokie kamienne schody prowadzące do zasłoniętych kratą grubych, dębowych drzwi. Rząd okien ciągnął się na wysokości sześciu metrów, znacznie poza jego zasięgiem. Przed sobą miał wieże z wąskimi, nieregularnie rozmieszczonymi oknami, patrzącymi z wysoka na tłum. Dwoje drzwi na dole było zaryglowanych. Nawet gdyby udało mu się przedrzeć przez ciżbę, nie dostałby się do wnętrza.

Ludzie zaczęli miotać wyzwiskami.

– Zdrajcy! Tchórze! Rzucimy was na pożarcie Połowcom!

Wysokie czerwone mury pałacu odpowiadały im wyniosłym milczeniem.

Mijały minuty. Gdzieś niedaleko rozdzwoniły się dzwony wzywające mnichów na modlitwę. Iwanuszka zerknął na błyszczące kopuły cerkwi Dziesięcinnej. Tłum uciszył się, ale tylko na chwilę.

I właśnie wtedy zobaczył w jednym z okien twarz obserwującą wszystko z góry. Był to Izjasław, książę kijowski. Tłum też go dostrzegł. I z rykiem zrobił krok do przodu. Twarz znikła.

Wtedy Iwanuszka pojął, że gdy ludzie zorientują się, kim jest – synem jednego z bojarów Izjasława – znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie. Muszę się dostać do środka, myślał gorączkowo. Była tylko jedna droga: przez dziedziniec na tyłach zamku. Co oznaczało, że będzie musiał przemknąć bocznymi uliczkami do samej bramy. Zaczął się przeciskać przez tłum, ale nie było to łatwe. Ludzie napierali ze wszystkich stron, niemal zwalając go z nóg. Upłynęło kilka minut, a on posunął się zaledwie o parę metrów.

Wciąż był daleko od krańców placu, gdy nagle gdzieś w tłumie podniósł się pomruk, który szybko przerodził się w głośny zgiełk i wreszcie w ryk:

– Nie ma ich! Uciekli!

Patrzył zaskoczony, jak jakiś mężczyzna, wspiąwszy się na ramiona innych, dosięgnął jednego z okien, a potem zniknął z oczu. A trzy minuty później drzwi do zamku się otworzyły i tłum, nie napotkawszy żadnego oporu, wpadł do środka.

Książę i jego drużyna opuścili zamek. Musieli uciec przez tylny dziedziniec. Iwanuszka znieruchomiał. A więc jego rodziny też już tam nie ma. Zostawili go samego!

Tłum wlewał się teraz do opustoszałego zamku. W oknach pojawiły się jakieś



postacie. Nagle zobaczył złoty błysk. Ktoś zrzucił z góry w ręce znajomego złoty puchar. Po chwili tą samą drogą poleciało sobolowe futro. Iwanuszka, wstrząśnięty, uświadomił sobie, że tuszcza plądruje książęcy pałac!

Nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić, ale wiedział, że musi się wydostać z placu. Może odnajdzie rodzinę w pobliskich lasach. Tłum napierał na pałac, a on przedzierał się w przeciwnym kierunku. W końcu dotarł na jakąś opustoszałą uliczkę.

– Iwanie Igoriewiczu!

Odwrócił się. Biegł ku niemu jeden ze stajennych ojca.

– Wasz ojciec kazał mi was odszukać. Chodźcie ze mną.

– Zaprowadzisz mnie do nich? – spytał z nadzieją.

– To niemożliwe. Wyjechali. Wszystkie drogi są zamknięte.

Jakby na potwierdzenie jego słów przebiegła obok nich grupa mężczyzn, krzyżąc:

– Książę Połocka jest wolny!

Iwanuszka spojrzął w dół ulicy, skąd pędziło cwałem kilkunastu jeźdźców. A wśród nich, nie było co do tego żadnej wątpliwości, jechał sam wilkołak.

Był potężniejszy niż reszta i dosiadał czarnego konia. Miał na sobie obszerną brązową opończę, niezbyt czystą. Z jego twarzy o wydatnych kościach policzkowych i z całej jego postaci emanowała władcza siła. Ale uwagę Iwanuszki przykuły jego oczy.

Rzeczywiście jedno przykrywał fałd skóry. Ale wbrew wyobrażeniom nie wyglądało to potwornie. Przeciwnie, jedna połowa twarzy księcia miała w sobie dziwny bezruch, jakby pozostawała bez kontaktu ze światem, co czasem widać u ludzi niewidomych, za to druga była pełna życia, inteligentna i ambitna, a patrzyło z niej przenikliwe błękitne oko, przed którym nic nie mogło się ukryć.

Fascynująca twarz, przystojna i tragiczna jednocześnie. Iwanuszka zdał sobie nagle sprawę, że spojrzenie księcia spoczęło na nim.

– Tędy! Szybko! – Stajenny odciągnął go na bok. – Nie daj Bóg, żeby was ktoś rozpoznał.

Książę i jego eskorta pojechali dalej. A Iwanuszka miał dziwne wrażenie, że ten wilkołak, niczym stworzenie obdarzone nadludzkimi mocami, zauważył go i rozpoznał.

– Dokąd idziemy? – spytał.

– Zobaczycie. – Stajenny poprowadził go pospiesznie na padół.

Drewniany dom Chazara Żydowina, choć nie tak duży jak dom Igora, był solidnym jednopiętrowym budynkiem ze stromym dachem. Od frontu znajdowały się dwie izby, a na tyłach podwórze. Dom stał w pobliżu Bramy Chazarskiej, niedaleko murów otaczających warownię Jarosława.

– Zaopiekują się tu wami przez parę dni – wyjaśnił stajenny. – Dopóki nie da się bezpiecznie wywieźć was z miasta.

Watahy mężczyzn już szukały w mieście krewnych członków książęcej drużyny.

– A jeśli mnie tu znajdą? – spytał Iwanuszka.

– Traficie do lochu.

– Tylko tyle?

Stajenny spojrzął na niego dziwnie.

– Obyście nigdy nie trafili do więzienia – powiedział wolno. – Kto się tam

znajdzie... – Wykonał gest, jakby przekręcał klucz. – Ale nie martwcie się tym teraz – dorzucił lekko. – Żydowin się wami zajmie.

Po chwili już go nie było.

Iwanuszce podobało się u chazarskiej rodziny. Żona Żydowina była przysadzistą kobietą o śniadej cerze i posturze niemal tak potężnej jak jej mąż. Całymi dniami bawił się w domu z czworgiem ich dzieci, nieco młodszych niż on.

– Nie wychodź jeszcze na dwór, to niebezpieczne – ostrzegał go Żydowin.

Czasem Iwanuszka opowiadał im bajki. A raz, ku rozbawieniu Chazara, dzieci uczyły gościa czytać Stary Testament po hebrajsku, później zaś on udawał, że tłumaczy ten fragment, jako że znał go na pamięć w języku słowiańskim.

Kłopoty pojawiły się trzeciego dnia. Z samego rana Żydowin przybiegł do domu z ponurą wieścią.

– Księżę kijowski udał się do Polski. Będzie prosił tamtejszego króla o pomoc.

Iwanuszka spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Czy to znaczy, że mój ojciec też pojechał do Polski?

– Tak przypuszczam.

Iwanuszka zamilkł. Polska leżała daleko na zachodzie. Nagle poczuł się opuszczony i osamotniony.

– Czy Polacy mogą nas najechać? – spytała z niepokojem żona Żydowina.

– To możliwe. – Chazar skrzywił się. – Polski król jest krewnym Izjasława. – Znów spojrział na Iwanuszkę. – Jest jeszcze jeden kłopot. Pojawiły się pogłoski, że w chazarskim kwartale ktoś ukrywa bojarskie dziecko. Chcą się zabezpieczyć, na wypadek gdyby sprawy z Izjasławem i Polakami ułożyły się nie po ich myśli, więc... – Zawahał się na chwilę. – Więc chcą mieć zakładników. A teraz przeszukują warownię.

Nagle w izbie zrobiło się cicho. Iwanuszka poczuł na sobie spojrzenie całej rodziny. Najwyraźniej jego obecność stała się bardzo niewygodna. Krew odpłynęła mu z twarzy, nie wiedział, co powiedzieć. A zerknąwszy na wyrazistą twarz żony Żydowina, od razu pojął, że gdyby miał stanowić zagrożenie dla jej wygodnego życia, pozbyłaby się go bez wahania.

I to właśnie ona odezwała się pierwsza.

– On nie wygląda na Chazara. Ale coś się da z tym zrobić. – Roześmiała się, patrząc na Iwanuszkę.

I tak oto jeszcze tego samego dnia w domu Chazarów pojawiła się nowa postać.

Chłopiec miał czarne, dokładnie ufarbowane włosy. Soki z odpowiednich roślin przyciemniły mu skórę. Ubrany był w kaftan, a na głowie nosił małą turecką myckę. Umiał nawet, dzięki wskazówkom Żydowina i jego żony, powiedzieć kilka słów po turecku.

– To jest wasz kuzyn Dawid z Tmutarakania – oznajmiono dzieciom.

I następnego dnia strażnicy wilkołaka, wszedłszy do domu Chazara, zobaczyli wśród innych dzieci milczącego, zamyślonego chłopca.

– Podobno w Kijowie nadal jest jeden z Igoriewiczów – zwrócili się do żony Żydowina. – A twój mąż ma z Igorem interesy.

– Mój mąż ma interesy z różnymi ludźmi.

– Przeszukamy dom – rzucił ostro dowódca.

– Proszę bardzo.

Żołnierze rozeszli się po wszystkich pomieszczeniach. W izbie pozostał jedynie dowódca.

– A ten co za jeden? – spytał nagle, wskazując na Iwanuszkę.

– Krewny z Tmutarakania – odparła spokojnie.

Dowódca przyglądał się mu uważnie.

– Dawidzie, podejdź bliżej – rzuciła po turecku.

Iwanuszka wstał, ale strażnik odwrócił się ze zniecierpliwieniem.

– Nieważne – warknął.

Po paru chwilach żołnierze wyszli.

I oto w roku 1068 Iwanuszka stanął wobec niepewnej przyszłości.

*Rok 1071*

Wiosna. W małej wiosce Ruska było cicho i spokojnie.

Rzeka Rus wystąpiła z brzegów, więc patrząc na teren poniżej osady, trudno było powiedzieć, gdzie są bagna, a gdzie pola.

Leżąca na wschodnim brzegu wioska składała się z dwóch krótkich, błotnistych uliczek przeciętych prostopadle dłuższą. Chaty zbudowane były z drewna, gliny i wiklinowej plecionki. Dachy jednych pokrywała dań, inne miały słomiane strzechy. To skupisko domów otaczała drewniana palisada – stanowiła co najwyżej ogrodzenie dla zwierząt gospodarskich, bo już żadnych napastników nie mogłaby powstrzymać. Na północ od wioski ciągnął się niewielki sad wiśni i jabłoni.

Na kawałku ziemi, gdzie woda była płytsza, sterczały małe tyczki. Uprawiano tutaj warzywa. Najpierw wiosenne powodzie nawadniały grunt, potem w odpowiedniej kolejności pojawiały się kapusta, groch, cebula i rzepa. Hodowano też czosnek i dynie.

Po zachodniej stronie rzeki stała zupełnie inna budowla. Tam, gdzie zalesiony brzeg wznosił się w najwyższym miejscu na dziesięć metrów, wyrastał wał obronny zwieńczony solidnym dębowym murem. Te umocnienia, obejmujące powierzchnię ponad ośmiu tysięcy metrów, powstały prawie pięćdziesiąt lat wcześniej. Stały tu długie, niskie baraki dla żołnierzy, stajnie, dwa duże składy używane przez kupców oraz niewielka drewniana cerkiew. Cały fort, podobnie jak większość ziemi, należał do księcia Perejaśławia.

W odległości pięćdziesięciu metrów od wioski znajdował się cmentarz, gdzie składano prochy zmarłych. Pilnowały go dwa dwumetrowe kamienne filary pokryte rzeźbami, które wyglądały jak wysokie czapy z futrzanym obszyciem. Były to dwa najważniejsze bóstwa wioski: Wołos, bóg obfitości, oraz Perun, bóg gromów. Bo pomimo starań książeńcych kapłanów we wsiach takich jak Ruska wciąż kwitło pogaństwo. Nawet starszy wioski miał dwie żony.

I właśnie tego wiosennego popołudnia obok cmentarza szła smutna postać.

Ktoś, kto nie widział Iwanuszki przez ostatnie trzy lata, z pewnością by go teraz nie rozpoznał. Był niemal tak wysoki jak jego brat Świętopełk, ale znacznie chudszy

i bledszy. Miał podkrążone oczy, był wycieńczony i wyniszczony.

Lecz to nie jego wygląd sprawiał najbardziej wstrząsające wrażenie, ale aura, która go otaczała. Zwieszona głowa, spuszczone wzrok, niepewny chód, wszystko to zdało się mówić: „Nie obchodzi mnie, co sobie myślicie. Nie dbam o to”. A jednocześnie ten sam cichy głos dodawał: „Ale nawet mój opór na nic się nie zda”.

W ciągu ostatnich trzech lat nic nie poszło po jego myśli.

Najpierw jedno ważne wydarzenie dało mu powód do nadziei. Gdy po miesiącu ukrywania w Kijowie Żydowin wywiózł go potajemnie z miasta, Iwanuszka mógł wreszcie dołączyć do rodziny w Polsce. Okazało się, że jego ojciec, zrażony tchórzostwem i zdradą księcia kijowskiego, skorzystał z należnego mu prawa zmiany pana i przeniósł się ze swoją drużyną do Wsiewołoda, brata księcia, który władał przygranicznym Perejasławiem.

Wyglądało to na wielki łut szczęścia. Wsiewołod uchodził za najmądrzejszego z panujących braci, a do tego miał ze swoją grecką żoną syna Włodzimierza, u którego Iwanuszka mógł być paziem. Wszystkim wydawało się, że Włodzimierz przyśle po niego, skoro Igor służył jego ojcu.

Ale żadne wieści nie nadchodziły. Nawet Igor był zdziwiony.

– Za krótko służyć u Wsiewołoda, żeby go o to prosić – przyznawał ze smutkiem.

Świętopełk służył przy ojcu, a Borys był na dworze w Smoleńsku. Ojciec próbował znaleźć Iwanuszcze miejsce w Czernihowie, w Smoleńsku, a nawet w odległym Nowogrodzie, ale bez skutku.

Chłopiec domyślał się powodów. To wszystko przez Świętopełka, wzdychał.

Gdziekolwiek pojechał, ludzie odnosili się do niego z chłodną uprzejmością, co tylko utwierdzało Iwanuszkę w przekonaniu, że mają go za głupca. Kiedyś nawet zapytał Świętopełka wprost:

– Dlaczego niszczysz moją reputację?

Ale brat jedynie spojrzał nań z udawanym zdziwieniem.

– Jaką reputację? Przecież nic, cokolwiek bym o tobie powiedział, złego czy dobrego, nie zmieni tego, jak ludzie cię widzą.

I z czasem ta domniemana głupota zaczęła otaczać Iwanuszkę jak wysoki mur. Zaczął nawet, jakby otumaniony krążącymi o nim opiniami, mówić i zachowywać się głupio. W Perejasławiu czuł się jak w pułapce, a solidne umocnienia ziemne potęgowały wrażenie uwięzienia.

Dopiero gdy wyjeżdżał na wieś, był szczęśliwy.

Rok po przeniesieniu się do Perejasławia Igor przejął dowództwo nad obroną granicy południowo-wschodniej. I właśnie na tym terytorium leżał mały fort Ruska.

Było to miejsce pozbawione większego znaczenia – ot, jeden z kilkunastu fortów rozsianych wzdłuż granicy. Zapewne Igor przeprowadziłby tam jedynie pobieżną inspekcję, gdyby nie Żydowin, który przypominał mu, że tamtejsze składy mogłyby służyć jako użyteczny magazyn dla karawan wysyłanych w przyszłości na wschód.

Iwanuszka lubił jeździć do Ruski. Pomagał naprawiać umocnienia albo wędrował po lasach, rozkoszując się ich ciszą. A ponieważ Igor nie miał dla niego lepszych zajęć, od czasu do czasu wysyłał go do Żydowina, który w dniach dostaw towarów potrzebował

pomocnika.

I to właśnie było powodem dzisiejszego smutku Iwanuszki. Żydowin wyjechał, więc sam musiał przyjąć rano partię futer. Słyszał, jak wieśniacy i dostawcy się śmieją, zauważył, że patrzą na niego z rozbawieniem. A potem okazało się – choć zupełnie nie mógł pojąć, jak do tego doszło – że brakuje dwóch zwojów cennych bobrowych skórek. Chazar miał niedługo wrócić, a on nie wiedział, co mu powie.

I gdy rozważał tę niewesołą kwestię, zauważył chłopca.

Szczek był przysadzistym mężczyzną średniego wzrostu, z okrągłą twarzą, piwnymi oczami i aureolą kręconych czarnych włosów, które sterczały jak na szczotce. Ubrany w lniane spodnie i lnianą koszulę przewiązaną skórzanym paskiem, miał na nogach łapcie z łyka. Jednak w jego krępej, mocnej postaci było coś, co wskazywało na łagodny, choć nieco uparty charakter. Stał na rogu cmentarza, uważnie obserwując Iwanuszkę.

Głowę zaprzętała mu tylko jedna myśl: podobno to głupek, ale ważniejsze jest, czy ma pieniądze. Bo Szczek znalazł się na krawędzi przepaści.

Był wolnym chłopem. Owszem, zajmował dość skromny szczebel drabiny społecznej. Sama nazwa grupy, do której przynależał – smerdzi – oznaczała „brudni”. Ale był człowiekiem wolnym i przynajmniej teoretycznie mógł mieszkać, gdzie chce, i pracować dla dowolnego pana. I na własne nieszczęście mógł też zaciągać długi.

Przeliczył je szybko w myślach. Najpierw koń. Nie było w tym jego winy – koń okulał, a potem zdechł. A ponieważ w razie wojny obowiązkiem chłopca było dostarczenie konia dla książęcego wojska, Szczek musiał kupić następnego. Ale to był dopiero początek. W Perejasławiu zaczął pić. I grać w kości. Powodowany wyrzutami sumienia kupił żonie srebrną bransoletkę. I uparcie pożyczał nowe sumy, żeby się odegrać.

A teraz, jako członek wiejskiej komuny, był winien zarządcy podatek od pługów, na co po prostu nie miał pieniędzy.

Przysunął się ostrożnie do młodzieńca.

Dowiedziawszy się po powrocie o utracie futer, Żydowin jedynie pokręcił głową. Lubił Iwanuszkę, ale nie widział dla niego przyszłości. I choć obyło się bez wyrzutów, chłopiec czuł, że nie będzie w Rusce mile widziany.

Chazara zaciekało jednak co innego. Umiał sobie wytłumaczyć kradzież futer, ale jak to się stało, że z pieniędzy, które zostawił Iwanuszce, brakowało dwóch srebrnych hrywien? On sam zapewniał, że je zgubił, ale nie brzmiało to wiarygodnie.

Jednak Iwanuszka w ogóle się tym nie przejął. Po zniknięciu futer i tak stał na straconej pozycji. Zrobiło mu się żal wieśniaka. Przynajmniej on będzie mógł teraz zapłacić podatek.

I szybko zapomniał o tym incydencie.

*Rok 1072*

Podobno dziś wydarzy się cud. Ludzie czekali na niego z wielką nadzieją. I to bardzo uzasadnioną. Bo oto mieli oddać cześć szczątkom dwóch męczenników – synów wielkiego świętego Włodzimierza – Borysa i Gleba, których Słowianie także już obwołali

świętymi.

Od ich śmierci minęło pół wieku. A teraz szczątki miały zostać przeniesione na miejsce wiecznego spoczynku, do nowo zbudowanej drewnianej cerkwi w miasteczku Wyszogród na północ od Kijowa.

Czy cud naprawdę się zdarzy? Na pewno. Ale jak będzie wyglądał? Wprawdzie w wysokich kręgach szlachty i duchowieństwa mówiło się, że grecki metropolita Jerzy ma wątpliwości co do świętości męczenników, ale czego się można spodziewać po Greku? Zresztą i tak musiał odprawić ceremonię, nawet jeśli nie wierzył w świętość braci.

Wszyscy już byli na miejscu: trzech synowie Jarosława, wnukowie samego świętego Włodzimierza – książe Izjasław z Kijowa oraz jego bracia, książęta Czernihowa i Perejasławia – a także metropolita Jerzy, biskupi Piotr i Michał, Teodozjusz z klasztoru oraz wielu innych spośród największych dygnitarzy ziem ruskich.

Procesja wspinała się powoli na szczyt wzgórza. Drobną mżawka osiadała miękko na głowach pielgrzymów kroczących po błotnistej ścieżce. Mimo deszczu było ciepło. Był dwudziesty maja.

Na przedzie szli mnisi, osłaniając dłońmi świece. Tuż za nimi – trzech synowie Jarosława, ubrani w proste brązowe peleryny. I jak zwyczajni ludzie nieśli na ramionach drewnianą trumnę ze szczątkami swojego stryja Borysa. Za nimi sunęli, machając kadzielnicami, diakoni, księża, a jeszcze dalej sam metropolita Jerzy i biskupi. Z tyłu, w odpowiedniej odległości, maszerowały szlacheckie rodziny.

– Woleli umrzeć niż sprzeciwić się bratu. A teraz ich światło jaśnieje nad całą Rusią.

– Borysie, spójrz na mnie, grzesznika.

– Panie, zmiłuj się nad nami.

Te i inne pobożne okrzyki tłumu dochodziły do uszu wysokiego, ponurego chłopaka, idącego wraz z rodziną za trumną.

– Obyśmy dziś zobaczyli cud.

– Chwała niech będzie Bogu najwyższemu.

Cud. Może i Bóg ześle cud, ale nie w mojej obecności, pomyślał Iwanuszek. Przy mnie nic dobrego nie może się stać. Z opuszczonymi ramionami, krok za krokiem wspinał się na wzgórze.

W ciągu ostatniego roku jego położenie jeszcze się pogorszyło. Kilka tygodni po żenującym incydencie w Rusce usłyszał przypadkiem rozmowę rodziców.

– Iwanuszek to dobry chłopak – mówiła matka. – Pewnego dnia będziesz z niego dumny. On jeszcze czegoś dokona.

– Nie dokona – odparł Igor. – Tego jestem pewien. – Westchnął. – Nikt nie chce go do siebie przyjąć. I wcale się nie dziwię. Ja sam mu nie ufam.

Iwanuszek usłyszał, jak matka mówi coś cicho, a potem znów odezwał się ojciec:

– Owszem, kocham wszystkie swoje dzieci. Ale trudno jest kochać syna, który nieustannie sprawia zawód.

To prawda, pomyślał chłopak z rozpaczą, nie ma powodu, żeby ktoś mnie kochał.

Zaczął prosić rodzinę o różne rzeczy – matkę o pieniądze, ojca o konia – żeby przekonać się, jak zareagują i czy go kochają. Jednak wkrótce weszło mu to w nawyk.

Zrobił się leniwy, unikał wszelkich działań z obawy, że znów mu się nie powiedzie.

Często wałęsał się po rynku w Perejasławiu. Zawsze był tam duży ruch. Co dzień przywożono różne towary – wino i oliwę z Konstantynopola, żelazo wydobywane na pobliskich bagnach i wysyłane do Kijowa. Były tu warsztaty szklarzy, w których wyrabiano szkło tak piękne jak w innych częściach Rusi, były stragany kupców sprzedających ozdoby z brązu, były stoiska z jedzeniem.

Ale z czasem Iwanuszką zaczął też dostrzegać podskórne życie targu. Jeden ze straganiarzy zawsze wydawał za mało reszty, inny nie dowoził towaru. Banda wyrostków kręciła się wokół stoisk i bezczelnie kradła – a to rybę z lady, a to pieniądze z kieszeni kupujących. I gdy przyglądał się temu wszystkiemu, przepełniony podziwem dla sprawności i zręczności złodziei, wykiełkowała mu myśl: ci ludzie nie są na niczym utrzymaniu, a gdy zabierają innym, są wolni jak jeźdźcy na stepie.

Raz, próbując udowodnić samemu sobie, że to wcale nie jest trudne, ukradł kilka jabłek.

Jednak pustka własnego życia wciąż doprowadzała go do rozpacz. I cały czas czuł w sobie to samo niejasne pragnienie, które pamiętał jeszcze z dzieciństwa: pragnienie spotkania swojego przeznaczenia.

I tak oto na trzy miesiące przed uroczystością na cześć Gleba i Borysa, przekonawszy się, że wszystkie inne nadzieje całkiem się rozwiały, Iwanuszką oznajmił rodzicom:

– Chcę zostać mnichem.

Bo przecież i tak wszyscy uważali, że do niczego innego się nie nadaje.

Wywołało to piorunujący efekt.

– Jesteś pewien? – spytał ojciec tonem wskazującym, że obawia się tylko, by syn nie zmienił zdania.

Nawet matka, mimo wewnętrznego niepokoju, nie protestowała.

A on poczuł, jakby narodził się na nowo. Jeszcze tego samego wieczoru ojciec ułożył plan.

– Iwanuszką pojedzie na górę Athos w Grecji. Mam przyjaciół i tam, i w Konstantynopolu, pomogą mu. A to – Igor uśmiechnął się z satysfakcją – może być dopiero początek wielkiej kariery.

Następnego dnia wziął syna na stronę.

– Nie musisz się obawiać o podróż, Iwanie. Dopilnuję, żebyś miał wystarczające środki. Zabierzesz też dar dla klasztoru.

Nawet Świętopełk – niewątpliwie uradowany, że brat zniknie mu z oczu – odezwał się do niego pozornie przyjacielskim tonem:

– No cóż, bracie, chyba wybrałeś odpowiednią drogę. Któregoś dnia będziemy z ciebie dumni.

Byli z niego dumni już teraz. A za dwa dni miał wyruszyć w podróż. Dlaczego więc, wchodząc na wzgórze razem ze szczątkami świętych, czuł taki sam smutek jak zawsze?

Uśmiechnął się tylko raz, gdy mijali krzew kaliny.

Wszyscy wyczekiwali na cud.

Iwanuszka nigdy nie widział cudu. I może odzyskałby wiarę, gdyby Bóg go zesłał. Pogrzebię się żywcem w klasztorze, rozmyślał ponuro. A za kilka lat każą mi mieszkać w jakiejś pieczarze. I na pewno umrę młodo, jak wszyscy mnisi.

Naprawdę warto? Gdyby tylko Bóg do niego przemówił, podniósł go na duchu, dodał mu pewności, gdyby dał jakiś znak!

Procesja stanęła. Trumnę Borysa wniesiono do drewnianej cerkwi. Sarkofag ze szczątkami Gleba miano wciągnąć po odprawieniu modłów. Mżawka zgęstniała. Z wnętrza świątyni dochodził monotony, przytłumiony śpiew.

I wtedy stało się.

Z kościoła wydobyło się coś w rodzaju lekkiego westchnienia, które usłyszał cały zgromadzony tłum. Śpiew urwał się nagle, a potem powrócił z nową siłą. Przez tłum przeszedł pomruk. Iwanuszka spojrział w niebo i zobaczył ze zdziwieniem, że mżawka ustała, a spomiędzy chmur prześwieca słońce.

Co się może wydarzyć? Tłum czekał w napięciu.

W drzwiach cerkwi pojawiła się wysoka postać metropolity, który popatrzył w górę, a potem padł na kolana. Iwanuszka stał na tyle blisko, by zauważyć, że Grek zapłakał.

– Cud został nam dany! – rozległ się jego głos.

Tłum zaszemrał, ludzie zaczęli czynić znak krzyża na piersi. A ci stojący najbliżej usłyszeli jeszcze słowa metropolity:

– Boże, wybacz mi moje zwątpienie.

Bo oto gdy otworzono trumnę, rozszedł się słodki zapach, który Bóg daje tylko swoim świętym.

Kilka minut później przywieziono szczątki Gleba. Były zamknięte w kamiennym sarkofagu, zbyt ciężkim, żeby go nieść, więc zgodnie z pradawnym ruskim zwyczajem ciągnięto go na płozach.

I znów na oczach Iwanuszki Bóg zesłał znak. Gdy ludzie ciągnący sarkofag dotarli do drzwi cerkwi, sanie utknęły. Nie drgnęły nawet wtedy, gdy tłum rzucił się do pomocy i zaczął je z całej siły pchać.

I wówczas metropolita zawołał:

– Odmówcie *Kyrie eleison!*

Iwanuszka zaczął się modlić na cały głos wraz z innymi:

– Panie, zmiłuj się nad nami, Panie, zmiłuj się nad nami.

Po chwili sanie lekko ruszyły.

Iwanuszka poczuł, jak włosy stają mu dęba, a ciałem wstrząsa dreszcz. Rozejrzał się. Świętopełk też drżał.

Dzięki tym znakom, które zostały zapisane w kronikach, mieszkańcy Rusi już na zawsze wiedzieli, że Borys i Gleb są prawdziwymi świętymi.

Właśnie wtedy Iwanuszka zobaczył ojca Łukasza.

Stary mnich był wcześniej w świątyni, ale teraz wyszedł na zewnątrz. Iwanuszka poznał go natychmiast, ale aż nie mógł uwierzyć własnym oczom.

W ciągu tych lat, które upłynęły od jego wizyty w klasztorze, duchowy opiekun ojca bardzo zniedołężniał. Skurczył się. Poruszał się z trudem o lasce, niemal ciągnąc za



sobą bezwładną nogę. Jego oczy, dawniej załzawione, patrzyły przed siebie ślepo i bezradnie. Przypominał brązowego owada, który wyczołguje się ku światłu, gdzie bez wątpienia ktoś na niego nadepnie.

Igor ukłonił mu się z szacunkiem, ale ojciec Łukasz nikogo nie widział. Iwanuszka przyglądał mu się uważnie. I cała euforia związana z cudem gdzieś się ulotniła.

Uświadomił sobie z przerażeniem, co to znaczy być mnichem.

Iwanuszce wydawało się, choć nie był tego pewien, że znalazł się w lasach niedaleko Ruski.

Tak przynajmniej sądził, gdy później przypominał sobie ten sen.

Było późne popołudnie. Cienie robiły się coraz dłuższe, ale jasne niebo wskazywało, że jest lato. Jechał jakąś ścieżką, prowadzącą chyba na wschód. Miał wrażenie, że mijane drzewa, głównie nakrapiane światłem dęby i buki, rozmawiają ze sobą. Dosiadał czarnego konia.

Czegoś szukał. Ale nie wiedział czego.

Niedługo potem minął sadzawkę. Powierzchnia wody lekko błyszcząca. Usłyszał cichy okrzyk, ni to jęk, ni to śmiech. Pojął, że to może być stawowa rusalka, więc spiął konia ostrogami i popędził przed siebie. Las zrobił się ciemny.

Był już kolejny ranek, a on wciąż krążył po lesie. Z jakiegoś powodu jego koń był teraz siwy. Ścieżka prowadziła na polanę, gdzie rosły srebrne brzozy. Na skraju polany droga dochodziła do rozstajów. Stała tam drobna brązowa postać, wyglądała dość znajomo. Podjechał do niej powoli.

Był to ojciec Łukasz. Jego oczy – już nie oczy ślepeca – patrzyły bystro.

Iwanuszka skłonił mu się z szacunkiem.

– Ojcze, w którą stronę powinienem się udać? – zapytał.

– Masz do wyboru trzy drogi – odparł starzec. – Jeśli pojedziesz w lewo, zachowasz ciało, ale stracisz duszę.

– A jak pojedę w prawo?

– Zachowasz duszę, ale stracisz ciało.

Iwanuszka zamyślił się. Ani jedno, ani drugie go nie pociągało.

– A jeśli pojedę prosto?

– Tam jeżdżą tylko głupcy – odpowiedział mnich.

Nie brzmiało to zachęcająco, ale czy miał jakiś inny wybór?

– Nazywają mnie głupim Iwanuszką – stwierdził. – To droga w sam raz dla mnie.

– Jak sobie chcesz – rzucił ojciec Łukasz i zniknął.

Iwanuszka ruszył więc przed siebie, choć nie wiedział dokąd. Wydawało mu się, że słyszy na niebie ochryply dźwięk dzwonów, a jego koń z niewiadomej przyczyny znów zmienił kolor z siwego na dereszowaty.

Taki sen śnił Iwanuszka na dzień przed swoją podróżą.

Był jeszcze wczesny ranek, ale po szerokiej rzece płynęły już dwie łodzie, jedna załadowana towarami, druga wiozła tylko kilku podróżnych. Wysoko w górze rozpościerało się jasnyniebieskie niebo. Po prawej stronie ciągnęły się piaszczyste skarpy, nad którymi to tu, to tam pasło się bydło. Tam, gdzie żółty brzeg był najbliżej, Iwanuszka mógł dostrzec w skarpie mnóstwo małych otworów, wokół których fruwały ptaki. Daleko

na lewym brzegu ciągnęła się jasnozielona równina usiana z rzadka drzewami.

Ojciec dobrze go wyposażył. U pasa zwisała mu sakiewka wypełniona srebrnymi hrywnami. „Dostałeś swój spadek jeszcze przede mną, tylko dlatego, że zostałeś mnichem” – rzucił sucho Świętopełk na pożegnanie.

A teraz wielki Dniepr niósł Iwanuszkę na południe ku jego przeznaczeniu.

Płynęli tak cały ranek i gdy chłopiec chciał zamknąć oczy na południową drzemkę, z przedniej łodzi rozległ się okrzyk:

– Połowcy!

Podróżni wyteżyli wzrok. Niestety, śniade tureckie twarze w łodzi, która właśnie odbijała od prawego brzegu, mogły należeć tylko do Połowców. Co było dziwne, zazwyczaj bowiem o tej porze roku Połowcy odpoczywali w swoich obozach daleko na stepie. Poza tym nigdy nie atakowali na wodzie – woleli zacząć się daleko na południu, przy bystrzach, gdzie napadali na karawany przenoszące towary lądem.

– Kazali wiosłować Słowianom – mruknął jakiś głos.

Rzeczywiście, dopiero teraz Iwanuszka zauważył, że przy wiosłach siedzą biedni słowiańscy chłopci. Jeden z Połowców podniósł długi, zakrzywiony łuk. Strzała śmignęła nad wodą, jeden z ludzi w łodzi z towarami opadł bezwładnie na burtę.

– Za wami! – rozległ się okrzyk.

Iwanuszka obejrzał się. Druga łódź odcinała im drogę ucieczki w górę rzeki.

– Zostaje nam jedynie lewy brzeg! – zawołał kapitan łodzi.

Ale lewy brzeg był bardzo daleko. Prawie na horyzoncie, pomyślał Iwanuszka, patrząc na błękitną wodę. Wioślarze pracowali ciężko, pomrukując z wysiłku.

Spojrząwszy w drugą stronę, Iwanuszka zorientował się, że łódź z towarami jest stracona. Miał tylko nadzieję, że Połowcy zadowolą się takim łupem. Jednak po chwili okazało się, że druga łódź zaczęła ich gonić.

– Tam dalej jest niewielki dopływ – powiedział kapitan. – A kilka kilometrów w górę strumienia stoi fort. Spróbujemy tam dotrzeć.

Iwanuszka zaczął się bezgłośnie modlić. Dobrze znał ten fort.

Dziwnie się czuł, będąc znowu w Rusce. Żydowin dokądś wyjechał, ale żołnierze przyjęli ich gościnnie. Połowcy dość szybko zaniechali pogoni, jednak podróżni woleli odczekać w forcie parę dni, żeby nie kusić losu.

Obszedł fort dookoła, zajrzał do wioski, wędrował leśnymi ścieżkami i czuł się dziwnie szczęśliwy. Dotarł nawet do granicy stepu, skąd w oddali, ponad pierzastymi trawami, widać było prastary kurhan.

Trzeciego dnia podróżni wyruszyli w dalszą drogę.

Ale Iwanuszki z nimi nie było.

Nie wiedział, dlaczego tak postąpił. Przekonywał sam siebie, że opatrność dała mu czas do namysłu. Tłumaczył sobie, że zatrzyma się tu na trochę, zastanowi nad swoim życiem i przygotuje się do dalszej drogi. Odsuwał na bok myśl, że wszystkie decyzje już zapadły i że nie może przerwać podróży.

Czwartego dnia, pokonany zmęczeniem, zasnął.

Nazajutrz spotkał Szczeka. Chłop był jeszcze chudszy niż kiedyś, ale ciepło przywitał Iwanuszkę. A na pytanie, czy spłacił swoje długi, uśmiechnął się głupkowato.

– Tak i nie – odparł. – Jestem zakupieńcem.

Był to surowy nakaz. Człowiek, który nie mógł się wypłacić swoim wierzycielom, musiał dla nich pracować jako niewolnik, dopóki nie uregulował długu. Ale ponieważ przez cały czas do długu doliczano odsetki, ci nieszczęśnicy rzadko odzyskiwali wolność.

– Książęcy zarządca przejął moje długi – tłumaczył Szczek. – I teraz pracuję dla księcia.

– To kiedy będziesz wolny?

Szczek uśmiechnął się ponuro.

– Za trzydzieści lat. A co tam u was, młody panie? – zapytał.

Iwanuszka wyjaśnił, że podróżuje do Konstantynopola i do Grecji i że ma zostać mnichem. Szczek wysłuchał go uważnie i ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Czyli wy też nie będziecie wolni – zauważył. – Zupełnie jak ja.

Iwanuszka spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami. Wcześniej to porównanie nie przyszłoby mu do głowy. On ma chyba rację, pomyślał. Ja też jestem więźniem swojego losu. Sięgnął do sakiewki, dał Szczekowi srebrną hrywnę i poszedł w swoją stronę. Żałował trochę, że nie dał mu więcej. Ale ja też potrzebuję pieniędzy na podróż, pocieszał się w myślach.

Dzień później wyruszył z Ruski na piechotę, kierując się ku Dnieprowi.

Po rozstaniu z Iwanuszką Szczek opuścił wioskę i skierował się na step.

Odkąd powstał fort, znaczenie starej wioski Ruska nieco wzrosło, ale nadal było to miejsce zapomniane przez Boga i ludzi. Trzy i pół kilometra na południe znajdowała się jedna z książęcych posiadłości, na wschodzie ciągnął się step, a na północy nie było nic, jedynie w odległości dwudziestu pięciu kilometrów leżała podobna wioska i fort.

Szczek był w całkiem dobrym humorze. Od kiedy został zakupieńcem, jego życie nie było łatwe. Zarządca kazał mu ciężko pracować. Żona, wstydząc się jego upadku, zrobiła się zrzędliva. Ale ten niespodziewany dar od młodego szlachcica był jak uśmiech losu. Srebrna hrywna była warta więcej niż trzy miesiące pracy.

Skręcił w leśną ścieżkę prowadzącą na polanę, gdzie kobiety zbierały grzyby. Minął ją, a potem staw, w którym, jak powiadali ludzie, mieszkały rusalki. Kawalek dalej doszedł do rozstaju. Dróżka na prawo wiodła do posiadłości księcia, a ta na lewo – na północ. Ale ponieważ mijala miejsce, w którym jeden z wieśniaków został zabity przez dziką, ludzie bali się tamtędy chodzić, wierząc, że będzie ich za to prześladował pech.

Nie zastanawiając się, Szczek skręcił w lewo. Ten Iwanuszka przyniósł mi szczęście, pomyślał. Nie mam się czego bać.

Na północ od Ruski rzeczka tworzyła szeroki zakręt wokół niskiego, gęsto zalesionego wzgórza. Właśnie tam zginął nieszczęsny wieśniak. Wzgórze otaczał pas gęstych zarośli, głównie jeżyn i ciernistych krzewów. Nie było to przyjazne miejsce. I pewnie by się tu nie zatrzymał, gdyby nie to, że w odległości stu metrów przed sobą zobaczył nagle lisa, który bezgłośnie zniknął wśród zarośli.

Ciekawe, czy ma tam gdzieś norę, pomyślał Szczek. Lisie futro było bardzo cenne. Najciszej jak mógł, cierpiąc z powodu zadrapań, przedarł się pomiędzy krzewami, aż w końcu zaczął się wspinać na wzgórze. Po paru minutach, niemal zapomniawszy o lisie, uśmiechnął się z zachwytem.

Całe wzgórze, gęsto porośnięte dębami i sosnami, na które nikt nie zaglądał, było jednym wielkim skarbcem pełnym pszczelich rojów. Wszędzie rozchodził się intensywny zapach miodu. Rozglądając się wśród gałęzi, naliczył ponad dwadzieścia gniazd. Roześmiał się głośno.

– Ten Iwanuszka nawet nie wie, ile mi przyniósł szczęścia! – zawołał.

Nie zamierzał nikomu o tym mówić. Wiedział, jak to znalezisko wykorzysta. I pewnego dnia, pomyślał, będę wolnym człowiekiem.

*Rok 1075*

W roku 1075 niewielu ludzi na całej Rusi mogło się cieszyć takim szczęściem jak bojar Igor.

Jego pan, książę Wsiewołod, obsypywał go podarunkami. Nikt inny w książęcej drużynie nie cieszył się takimi przywilejami jak on.

Najwyżej urodzeni uzyskali obecnie nowy status. Dawniej rodzina zamordowanego szlachcica otrzymywała od zabójcy rekompensatę w wysokości czterdziestu hrywien, a dziś życie wielmoży wyceniano na osiemdziesiąt. Kara za obrazę takiego pana była cztery razy wyższa niż kara za zabójstwo smerda.

Igor otrzymał tę najwyższą rangę. A do tego jeszcze książę Perejasławia z wdzięczności za wierną służbę przekazał mu władzę nad rozległymi terenami przy południowo-wschodniej granicy księstwa. To właśnie tam leżała wieś Ruska.

Przekazywanie ziemi było nowym sposobem wynagradzania najwierniejszych popleczników. Tańszym niż wypłata pieniędzy, ziemi bowiem było w bród. Owe ziemskie nadania rozpoczęły proces, w którym określenie „bojar”, oznaczające początkowo sługę albo szlachetnie urodzonego członka drużyny, stało się z czasem synonimem właściciela ziemskiego.

Bojar Igor miał powody, by czuć się szczęśliwy. Uchodził za człowieka powściągliwego i pracowitego, ale krył się za tym jakiś smutek. A osoba postronna, widząc go w towarzystwie jego posiwialej żony, mogłaby pomyśleć, że oboje lubią milczeć. Jednak przyczyna ich milczenia była inna – każde z nich obawiało się, że cokolwiek powie, wydobędzie na powierzchnię ukrywaną rozpacz współmałżonka.

Pewnego zimowego dnia Borys zginął w potyczce na granicy stepu. Zgodnie ze zwyczajem przywieziono jego ciało na saniach.

Igor zapamiętał ten dzień na całe życie. Śnieg padał tak gęsto, że wirujące płatki chwilami przesłaniały sanie wciągane na wzgórze, ku bramom miasta. W tamtym czasie Igor modlił się całymi godzinami przed ikoną i szukał pocieszenia u ojca Łukasza.

Jednak ta rana mogła się z czasem zagoić.

Utrata Iwanuszki była niezagojoną raną.

Gdzie on przepadł? Miesiąc po jego wyjeździe do Konstantynopola przyszła wieść od Żydowina, że widziano go w Rusce. Ale co się z nim stało potem? Nie stawiał się w Konstantynopolu, o czym donieśli tamtejsi kupcy. Przez rok nie mieli o nim żadnych wiadomości. Potem dały się słyszeć pogłoski, że widziano go w Kijowie, podobne niesprawdzone słuchy dochodziły ze Smoleńska, z Czernihowa, a nawet z odległego

Nowogrodu. Podobno uprawiał hazard, podobno pił, podobno żebrał. Wieści pojawiały się rzadko i nie były do końca wiarygodne.

Sam Iwanuszka przez trzy lata nie przysłał rodzicom żadnego listu.

– On czegoś szuka – orzekła matka, gdy doniesiono im, że ktoś widział go w Kijowie.

– Jemu jest wstyd – stwierdził Igor ze smutkiem.

– Możliwe – przyznał Świętopełk. – Ale skoro tak postępuje, to znaczy, że nas nie kocha.

I gdy minął trzeci rok bez wieści, nawet matka zaczęła wierzyć, że Iwanuszka jej nie kocha.

Na przystani panował ruch. Nieco powyżej zakurzona piaszczysta droga przecinała ukośnie wysokie umocnienia Perejasławia. W kilku miejscach brunatne wały pokryte były zielonymi plamami przywędłej jesiennej trawy. Lato już minęło, miasto otaczała aura zmęczenia. Szeroka brunatna rzeka też wyglądała ponuro, ciągnąc się w dal jak monotonne echo pod stalowoszarym niebem. Na skraju przystani stała łódź gotowa do odbicia – nie zwróciłaby niczyjej uwagi, gdyby nie drobny incydent, do którego doszło za sprawą pewnego młodego mężczyzny.

Sprawiał dziwne wrażenie. Był brudny, a jego brązowa opończa, którą próbował się otulić, i chłopskie łapcie z łyka niemal się rozpadały.

Siedział bezradnie na małej beczce na skraju pomostu.

– Idziesz wreszcie czy nie?! – wrzeszczał na niego kapitan łodzi.

Mężczyzna skinął lekko głową.

– A niech to szlag! No to wsiadaj!

Młodzieniec kiwnął głową, ale się nie poruszył.

– Głupcze, ja już odbijam! – krzyknął kapitan z wściekłością. – Chcesz zobaczyć Carogród czy wolisz gnić w Perejasławiu?

Żadnej reakcji.

– Obiecałeś, że mi zapłacisz. Mogłem wziąć kogoś innego. Oddawaj mi moje pieniądze!

Przez moment wydawało się, że mężczyzna wstaje, ale nie, wciąż siedział na beczce. Klnąc na cały głos, kapitan wydał rozkazy i pękata łódź z pojedynczym masztem i rzędem wioślarzy wypłynęła na środek ospałej rzeki, po czym skierowała się na południe.

Iwanuszka nadal się nie poruszył.

Miał za sobą długą wędrówkę. Pierwszego roku kilka razy wyruszał na południe. Znalazł nawet kupców, którzy mieli go ze sobą zabrać, ale skończyło się na tym, że tylko obejrzał ich łodzie. Za każdym razem powstrzymywała go jakaś niewidzialna siła. I jak napięcie powierzchniowe przytrzymuje przedmiot wyciągany z wody, tak samo jakaś podziemna moc nie chciała wypuścić Iwanuszki z ojczystej ziemi, nie pozwalała mu popłynąć wielką rzeką ku duchowemu życiu. Czasem miał wrażenie, że ciągnie się za nim jakiś fizyczny ciężar bezwładu.

Gdy wydał wszystkie pieniądze, zaczął uprawiać hazard.

Jeśli wygram, tłumaczył sobie, to znaczy, że Bóg chce, bym poszedł do klasztoru.

Ale jeśli stracę pieniądze na podróż, to znaczy, że Bóg ma inne plany. Brzmiało to rozsądnie i Iwanuszka nie potrzebował dużo czasu, żeby przegrać.

Nie odwrócił się od Boga świadomie, miał jedynie nadzieję, że tą pokrętną drogą zbliży się do niego w sposób bezbolesny. Ale w miarę upływu czasu pograżał się w coraz większej apatii, przerywanej coraz częstszymi napadami picia. Włóczył się od miasta do miasta, nie mogąc ani wyruszyć na południe, ani wrócić do domu. W drugim roku zaczął kraść.

Kradł jedynie małe sumy, a co dziwne – udało mu się przekonać samego siebie, że to wcale nie jest kradzież. No bo przecież, mówił sobie w duchu, zabieram bogatemu. A czy nasz Pan nie przyzwolił swoim uczniom na zrywanie kłosów zboża z pól bogaczy? I często przed kradzieżą Iwanuszka wzbudzał w sobie pełną złości pogardę. Powtarzał w duchu, że to on jest blisko Boga, a ci, których zamierzał okraść, to godni pogardy chciwcy, co zasłużyli na karę. Kupował potem jedzenie i picie i z nieco pełniejszym żołądkiem włóczył się całymi dniami po okolicy, a lekkie uniesienie brał za stan łaski.

Najgorsze były zimy. Nawet kradzieże nie pomagały, gdy nie dało się spać na świeżym powietrzu. Wędrował więc od cerkwi do cerkwi, od klasztoru do klasztoru jako izgoj, licząc na jałmużnę. I kilka razy o mało nie zamarł na śmierć.

Raz widział ojca. Któregoś wiosennego dnia wędrował lasami niedaleko Czernihowa, gdy nagle usłyszał stukot kopyt, a po chwili zobaczył kawalkadę jeźdźców.

Ukrył się za dębem. Byli to panowie ze służbą. Zobaczył wśród nich księcia Włodzimierza, a tuż obok niego ojca i Świętopelka. Igor trzymał na przedramieniu jastrzębia. Miał na sobie sobolową czapę i z ironicznym uśmiechem przysłuchiwał się jakiejś opowieści młodego księcia.

Ku swojemu zdziwieniu Iwanuszka zauważył, że przestraszył się ich jak zwykły chłop. Przestraszył i zawstydził. Dobry Boże, modlił się w duchu, oby mnie tylko nie zobaczyli. Dręczący go głód i łachmany na plecach były najlepszym dowodem, że jest nieudacznikiem, wygnańcem z tego świata pełnego blasku. Gdyby go rozpoznali, nie zniósłby ich zakłopotania i obrzydzenia. Ten świat jest już dla mnie zamknięty, pomyślał.

A jednocześnie nie mógł oderwać od nich wzroku.

Prawie go minęli, gdy na samym końcu zobaczył coś, co wyrwało mu z piersi głośnie westchnienie. Kawalkadę zamykały dwie młode kobiety, jedna była jeszcze niemal dzieckiem.

Ubrane były z przepychem. Dosiadały koni z wdziękiem i lekkością. Obie miały niebieskie oczy i jasne włosy, jaśniejsze niż wszystkie znane mu kobiety. I kiedy tak siedział przykucnięty za drzewem, przyszło mu nagle do głowy, że ma przed sobą nie książęcy orszak, ale samo niebo. To są dwa anioły, mruknął pod nosem, zastanawiając się, skąd przybyły.

Po paru chwilach orszak zniknął. Lecz wspomnienie dwóch młodych kobiet już go nie opuszczało, przypominając mu nieustannie bolesną prawdę: jesteś jedynie marnym zwierzęciem z lasu.

Wiosną, znalazłszy się przypadkiem niedaleko Ruski, podjął ostatnią próbę wyprostowania swojego życia. Poczul, że tak dalej być nie może. Albo skończę ze sobą, pomyślał, albo pójdę do klasztoru. Perspektywa śmierci przerażała go. Uznał więc, że

każda reguła zakonna będzie lepsza od jego obecnego życia.

Był tylko jeden problem. Nie miał już pieniędzy.

Wstał ciepły wiosenny poranek. Żydowin wyrzął ze swojego składu i zobaczył, że po przeciwnej stronie ulicy wałęsa się jakaś obdarta postać. W Rusce tego dnia panowała cisza i spokój, niepilnowany przez żołnierzy fort był niemal pusty.

Żydowin rozpoznał go niemal od razu, ale jako człowiek rozważny nie dał tego po sobie poznać. Dopiero koło południa przybysz podszedł do niego powoli, nieco sztywnym krokiem.

– Wiecie, kim jestem?

Głos był cichy, ale miał w sobie jakąś szorstką, wręcz pogardliwą nutę.

– Tak, Iwanie Igorowiczu.

Chazar nie poruszył się, nie wykonał żadnego gestu. Iwanuszka skinął powoli głową, jakby coś rozważał.

– Zawsze byliście dla mnie dobrzy.

Żydowin nie odpowiedział.

– Mógłbym dostać coś do jedzenia?

– Oczywiście. – Żydowin uśmiechnął się. – Wejź do środka.

Zaczął się zastanawiać, jak mógłby go zatrzymać. W pojedynkę nie dałby mu rady, ale po południu w składzie miało się pojawić dwóch pracowników. Z ich pomocą dałby radę zawieźć go bezpiecznie do Perejasławia. Zostawił więc Iwanuszkę w składzie, a sam poszedł przez dziedziniec do domu. Wrócił po paru minutach z miską kwasu chlebowego i talerzem placków z prosa.

Ale Iwanuszka zniknął.

Żydowin zachował się nierozważnie, zapomniał bowiem, że Iwanuszka wie, gdzie jest schowek z pieniędzmi. Nie było tego dużo, ale na podróż do Konstantynopola wystarczyło. Przynajmniej zobacze to miasto, pomyślał chłopak.

Mimo wszystko miał wyrzuty sumienia. Próbował je zagłuszyć. Tak naprawdę to nie jest kradzież, mówił sobie, bo Żydowin odzyska pieniądze od ojca. A ojciec na pewno się ucieszy, że w końcu wyruszyłem na południe. Bo wędrując przez las, Iwanuszka nie miał najmniejszych wątpliwości, że nareszcie dotrze do greckich klasztorów.

Żydowin przeklinał swoją głupotę i zastanawiał się, co ma powiedzieć rodzicom chłopaka. Rozważał to przez dłuższy czas, w końcu uznał, że nie powie nic. Bo każde słowo mogło im co najwyżej sprawić ból.

I tak oto Iwanuszka siedział samotnie na przystani, wpatrując się tępo w wodę. Łódź była jego ostatnią szansą na dotarcie do cesarskiego miasta przed zimą. Pragnął tam jechać. Tak mu się przynajmniej wydawało. Ale latem zaszła w nim przerażająca zmiana: stracił całą wolę działania.

Nie był w stanie nic robić, najczęściej siedział bezradnie i całymi godzinami patrzył przed siebie. A tego dnia rano zauważył, że zostało mu już tylko osiem srebrnych hrywien, tyle co na podróż. Przywłókł się na przystań z głębokim postanowieniem, że ostatnie pieniądze wyda na drogę. Ale ku swojej rozpaczycy po prostu nie mógł się ruszyć z miejsca.

Teraz to naprawdę koniec, pomyślał. Po tej upokarzającej klęsce nie widział dla

siebie żadnego innego rozwiązania, jak tylko pójść nad rzekę i skończyć ze sobą.

Dopiero po chwili usłyszał za plecami gwar dochodzący z grupy niewolników, którzy siedzieli na ziemi i czekali, by zabrano ich na plac targowy. Spojrzał obojętnie w tamtym kierunku. Jeden z mężczyzn był bardzo pobudzony. Ale Iwanuszka jedynie wzruszył ramionami i znów skierował wzrok na rzekę.

– Iwanie Igoriewiczu!

Odwrócił się.

Szczek obserwował go od jakiegoś czasu. Ale teraz był już pewien. Tak się ucieszył, że aż zapomniał, iż ma skrępowane ręce. Tam jest syn bojara! Ten, którego nazywają głupcem.

– Iwanie Igoriewiczu! – zawołał znowu.

Wydawało się, że dziwny młody człowiek go rozpoznaje.

Szczek znalazł się w niewesołym położeniu. Miał iść na sprzedaż. A co gorsza, przed chwilą jeden z więźniów przekazał szeptem przerażającą wiadomość: „Handlarze niewolników szukają ludzi do wiosel”. Wszyscy wiedzieli, co to oznacza: katorżniczą pracę na rzece, przenoszenie łodzi przez bystrza, a może nawet niebezpieczny rejs po morzu. A potem i tak zostaną sprzedani na którymś z greckich targów. Niewolnikowi wszystko mogło się przytrafić.

Jednego mógł być pewien: już nigdy nie zobaczy Ruski.

Zgodnie z obowiązującym prawem Szczek nie powinien był trafić w to miejsce. Zakupieńców odpracowujących długi nie wolno było sprzedawać jak zwykłych niewolników. Ale reguły często łamano, a władze przymykały na to oko.

Mógł to przewidzieć. Już dwa miesiące temu stało się jasne, że jego żona spodobała się – z wzajemnością – członkowi starszyny z pobliskiej wioski. Ale zdradziecki cios padł tak nagle, że Szczek nie miał szans się obronić.

Zaledwie tydzień temu wczesnym rankiem pojawił się w jego chacie starszy wioski z kilkoma kupcami i razem dosłownie wywlekli go siłą z łóżka.

– To jest zakupieniec – oznajmił szorstko starszy. – Możecie go sobie wziąć.

I zanim Szczek zdążył ochłonąć, już płynął rzeką do Perejasławia. Całkiem bezsilny. Wśród niewolników na przystani było pięciu innych dłużników takich jak on.

A największa ironia losu polegała na tym, że gdyby miał więcej czasu, spłaciłby cały dług i odzyskał wolność. I to zaledwie za dziesięć lat.

Jego tajemnicą był miód z leśnych barci. Szczek umiejętnie robił użytek z tego ukrytego skarbu – sprzedawał po parę plastrów wędrownym kupcom, a czasem zabierał trochę do Perejasławia. Musiał być bardzo ostrożny, bo nie miał do tych drzew żadnego prawa. Ale sprzedając miód po trochu, odłożył aż dwie srebrne hrywny.

Wydrążył też kilka nowych barci. Ukryty las stał się jego skarbcem. I choć nie mógł otwarcie czerpać zysków z tej dodatkowej pracy, to przynajmniej dawała mu ona jakiś cel w życiu. Poczul się wręcz strażnikiem tego miejsca. Pilnie strzegł swojej tajemnicy. Od czasu do czasu rozsiewał pogłoski, że na ścieżce prowadzącej na wzgórze widział czarownicę albo węża. Las otaczała coraz gorsza opinia, więc nikt tam nie chodził.

A teraz ten dziwny młody szlachcic zbliżał się do niego powoli.

– To ja, Szczek! – zawołał niewolnik. – Pamiętacie mnie?



Iwanuszka wyglądał tak mizernie, że chłopu zrobiło się go żal. I gdy młodzieniec z nieobecny wyrazem twarzy stanął obok niego, Szczek, nie mając nic lepszego do roboty, opowiedział mu swoją historię.

Wysłuchawszy jej, Iwanuszka patrzył przez dłuższą chwilę pod nogi.

– Dziwne – mruknął. – Ja też straciłem wszystko.

– Ale i tak życzę wam szczęścia – powiedział Szczek z uśmiechem. Z jakiegoś powodu czuł sympatię do tego szlachcica w łachmanach. – A wy pomódlcie się czasem za mnie.

– Tak, pomodłę się – odparł Iwanuszka, ale myślami był gdzieś daleko. – Przypomnij mi, ile jesteś im winien? – spytał w końcu.

– Dziś musiałbym oddać księciu siedem srebrnych hrywien.

– I wtedy odzyskałbyś wolność?

– Tak.

Iwanuszka powoli odwiązał wiszącą u pasa sakiewkę i dał ją Szczekowi.

– Weź ją – powiedział. – Jest w niej osiem hrywien. Mnie nie są już potrzebne.

I odszedł, zanim zaskoczony chłop zdążył się odezwać.

Skoro ja i tak mam odejść z tego świata, myślał Iwanuszka, niech chłop weźmie sobie te pieniądze.

Żołnierz pilnujący niewolników nie był złym człowiekiem, więc gdy po paru minutach wrócił ze straganu z napitkami, szczerze się ucieszył z odmiany losu Szczeka. Wiedział, że biedny chłop jest zakupieńcem, i było mu go żal.

– Panna Święta miała cię w swojej opiece! – zawołał, gdy rozciął Szczekowi więzy.

– Wielki szczęściarz z ciebie, mój synu – dorzucił. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Musimy zawiadomić zarządcę na rynku. – Spojrzał przed siebie. – O, proszę, oto i on we własnej osobie.

Szczek nigdy wcześniej nie widział wysokiego, ciemnowłosego mężczyzny, który wszedł na przystań, ale od razu zauważył, że nie jest on w dobrym humorze. Gdy żołnierz opowiedział, co się stało, zarządca spojrział ze złością na chłopca.

– Na pewno ukradł te pieniądze – powiedział zimno.

– Inni niewolnicy wszystko widzieli – zaprotestował żołnierz.

Szlachcic spojrział na nich z obrzydzeniem.

– Ich słowo się nie liczy.

– Jak mogłem coś ukraść, panie, skoro mam związane ręce? – spytał Szczek.

Szlachcic posłał mu wściekłe spojrzenie. Było mu wszystko jedno, czy ten chłop umrze, czy przeżyje, ale właśnie powiedział kupcowi, że ma na sprzedaż dwudziestu niewolników, a teraz jednego by mu brakowało. Nie lubił, gdy ktoś mu przysparzał kłopotów.

– A gdzie niby jest ten człowiek, który miał ci dać pieniądze?

Szczek rozejrzał się. Iwanuszka zniknął.

Zarządca odwrócił się do żołnierza.

– Zabrać mu sakiewkę – rozkazał.

Ale niemal w tej samej chwili rozległ się okrzyk.

– Patrzcie! – Jeden z niewolników pokazywał z ożywieniem na brzeg poniżej

miasta. W odległości pięciuset metrów wyłoniła się z kępy drzew samotna postać. – To on!

– Przyprować go! – rozkazał zarządca.

I tak oto kilka minut później Świętopełk patrzył z osłupieniem na Iwanuszkę. Młodszy brat przyglądał mu się nieobecny wzrokiem, nie mówiąc ani słowa.

– Puścić chłopca wolno, on spłacił swój dług – oznajmił Świętopełk spokojnie.

– A tego włóczęgę – wskazał na Iwanuszkę – zamknąć w lochu.

Jego umysł pracował gorączkowo.

Zapalono świece. Ikona w rogu świeciła miękkim blaskiem, Matka Boska spoglądała ze swojego złotego świata w mrok dużej izby. Niewolnicy uprzątnęli ze stołu resztki jedzenia.

Igor siedział na ciężkim dębowym krześle. Miał pochyloną głowę, otwarte, czujne oczy i ponurą minę. Obok siedziała jego żona. Można się było domyślić, że przed godziną płakała, ale teraz jej twarz, na wyraźne polecenie męża, była surowa i obojętna.

Świętopełk z trudem hamował wściekłość.

Co za pech, że ojciec musiał wyjść na mury akurat wtedy, gdy on prowadził milczącego Iwanuszkę do małego lochu, gdzie łatwo mógł się go pozbyć! Do tej pory mój brat zdążyłby się utopić, myślał. Nie wiedząc, że Iwanuszka i tak chciał się targnąć na życie, zamierzał zaprowadzić go nocą nad rzekę i własnoręcznie przytrzymać pod wodą. Przekonywał siebie, że tak będzie lepiej nie tylko dla niego, ale i dla rodziców. Znajdą jego ciało, planował, pomyślał, że sam się zabił, i tak się skończy udreka, jakiej im przysparzał nieudany syn. A poza tym ten głupiec znowu chciałby od nich pieniędzy.

Jednak los pokrzyżował te plany.

Owszem, ojciec na widok Iwanuszki przybrał ponurą minę. Potem przyprować go do domu niczym więźnia. A teraz, przy wieczerzy, kazał mu się ze wszystkiego wytłumaczyć.

Świętopełk nawet nie musiał go oskarżać. Iwanuszka, jękając się i zacinając, oskarżył sam siebie. Dlatego Świętopełk uznał, że najlepiej będzie, jeśli nie wystąpi przeciwko bratu wprost.

– Mój młodszy brat zupełnie się pogubił – oświadczył. – Omal nie utracił swojej duszy. Może jako mnich będzie mógł ją odzyskać. – Mnisi najczęściej umierali młodo.

Igor zadawał pytania, a Olga słuchała w milczeniu.

Tylko raz Świętopełk pozwolił sobie na uwagę:

– Czy taki syn w ogóle kocha swoich rodziców?

Ale reszta przesłuchania toczyła się bez jego pomocy. Na koniec przemówił surowy ojciec:

– Oszukałeś mnie, oszukałeś nas wszystkich. Roztrwonileś pieniądze, które ci dałem. A nawet dopuściłeś się kradzieży. Nie dałeś nam najmniejszego znaku życia, sprawiając tym matce wielki ból. Teraz ukradłeś jeszcze raz, a na dodatek oddałeś pieniądze obcemu człowiekowi i próbowałeś oddalić się z miasta, w którym mieszkają twoi rodzice.

Dla Świętopełka zabrzmiało to jak najcięższe oskarżenie. Patrzył na rodziców z zadowoleniem.

I wtedy Igor przebaczył swojemu synowi.

W okresie największych mrozów ruska zima może być straszna. Ale to także czas radości. A dla Iwanuszki był to też czas powrotu do zdrowia.

Początkowo, w jesiennych miesiącach zaraz po powrocie do domu, jego ciało i duch doznały zapaści. Gehenna dobiegła końca i organizm się poddał. Dopadło go przeziębienie, które rozwinęło się w poważną chorobę: gardło mu opuchło, bolało go całe ciało, a w głowie dudniło tak, że przestawał cokolwiek widzieć.

– Jakieś diabły wałą młotami w kowadło – jęczał.

Ocaliła go matka. Zapewne dlatego, że wszystko rozumiała. Kiedy ojciec chciał posłać na książęcy dwór po któregoś z ormiańskich czy syryjskich lekarzy znających sztukę starożytnej medycyny, Olga zaprotestowała.

– My mamy swoje ludowe lekarstwa, lepsze od greckich czy rzymskich – oświadczyła stanowczo. – Ale możesz posłać do klasztoru i poprosić mnichów o modlitwy.

A potem zamknęła drzwi do izby, w której leżał syn, i nikomu nie pozwalała tam wchodzić.

Kiedy Iwanuszka rzucał się w gorączce, ocierała mu czoło, doglądała go, prawie milcząc. Kiedy zaś się uspokajał, siadała przy oknie i patrzyła w niebo, czytała Księgę Psalmów albo zapadała w lekki półsen. Rozmawiała z nim, gdy miał na to ochotę, ale o nic go nie wypytywała, nawet na niego nie patrzyła. Była przy nim, lecz się nie narzucała, spokojna i zrównowazona.

Na dworze nie ustawały jesienne deszcze, grunt zamienił się w gęste czarne błoto, a cała przyroda przypominała zmokniętego, zmęczonego ptaka. Szare niebo wisiało nisko, horyzont przesłaniały mgły. A gdzieś daleko na wschodzie czaił się już wielki, biały mróz.

Potem przyszedł śnieg. Pierwszego dnia pokrył step bezkresną pomarańczową poświatą, spadł na wilgotne ulice dużymi szarymi płatkami. Iwanuszka, wpatrując się w błądą, spokojną twarz matki, miał wrażenie, że sama przyroda zamyka im dostęp do rozświetlonego nieba. Ale jakoś mu to nie przeszkadzało. Drugiego dnia przyszła śnieżycą. Wiatr wył, jakby bezkresny step wysłał nieprzeliczone armie małych szarych demonów, które rzucały się z furią na warownię. Za to trzeciego dnia nastąpiła zmiana, śnieg padał miękko, a w samo południe niebo przejaśniło się na tyle, że przez chmury przebiły się słabe promienie słońca. Iwanuszka zaczął wracać do zdrowia.

Tak naprawdę ruska zima wcale nie jest taka straszna. Każda, nawet najmniejsza chata ma duże palenisko, przy którym jest gorąco.

Tydzień po tym, jak spadły śniegi, w piękny słoneczny dzień Iwanuszkę opatulono w futra i zaniesiono na wysokie mury Perejasławia.

Cała okolica się skrzyła, złote kopuły cerkwi błyszczały w słońcu na tle czystego błękitnego nieba. Poniżej białego brzegu płynęła rzeka, a w oddali, po drugiej stronie, ciągnęła się ciemna, połyskliwa linia lasu. Na wschodzie i zachodzie, za kępami drzew pokrytych świeżym śniegiem, widać było step: bezkresny, migotliwy biały dywan.

Ta gruba śniegowa pierzyna chroni ziemię przez całą zimę.

I tak samo Iwanuszkę chroniła przez zimowe miesiące matka.

Czasem wydawało mu się, że znów jest dzieckiem. Siadali koło ognia albo przy oknie, czytali bajki albo recytowali byliny, które znał na pamięć już jako mały chłopiec.

Bajki o Żar-Ptaku, o śnieżnych pannach, o niedźwiedziach w puszczy, opowieści o książętach wyruszających na poszukiwanie bogactw albo miłości – dlaczego teraz, gdy był już dorosły, odkrywał w tych dziecięcych baśniach wielką mądrość? Ich język z delikatnym wyczuciem ruchu, ich kpiący dowcip, łagodna ironia skrzyły się życiem i kolorami jak niezmierny las.

Tej zimy śmierć raz nawiedziła rodzinę, gdy żona Świętopelka zachorowała i zmarła. I choć Iwanuszka prawie jej nie znał, to gotów był pójść i pocieszyć brata, lecz ten nie wyrażał na jego wizytę specjalnej ochoty.

Zima powoli mijała, a Iwanuszka w swojej cichej przystani dzień po dniu wracał do zdrowia. I na początku wiosny, gdy na ziemi leżał jeszcze śnieg, gotów był na spotkanie ze światem.

Miał jasne czoło, bystre spojrzenie i choć czasem popadał w zadumę, czuł się silny i zadowolony.

– Dzięki tobie odrodziłem się na nowo – mówił do matki.

Włączył się w życie Perejasławia, które toczyło się wartkim nurtem.

Inni książęta walczyli o Złoty Kijów, a rozważny Wsiewołod nie wypuszczał z ręki Perejasławia, wówczas już ważnego nadgranicznego miasta. Perejasław nie mógł się oczywiście równać z Kijowem, miał tylko kilka pięknych cerkwi, a większość domów wzniesiono tu z drewna. Ale ta mocna, kwadratowa twierdza stanowiła siłę, z którą należało się liczyć. Przede wszystkim jednak tutejszy kościół był tak potężny i tak lojalny wobec patriarchy Konstantynopola, że metropolita Perejasławia cieszył się w cesarskim mieście większymi względami niż jego kijowski odpowiednik.

Idąc przez szeroki rynek i patrząc na cerkiew Marii Panny przy książęcym pałacu albo na kaplicę budowaną nad bramą, Iwanuszka czuł, że los się do niego uśmiechnął. Zaglądał do warsztatów szklarzy i z lubością patrzył na barwne płytki przeznaczone do cerkwi albo domów wielmożów. Znalazł nawet warsztat, w którym wyrabiano brązowe klamry do książek, i kupił jedną matce. To naprawdę były szczęśliwe dni.

Ale jednocześnie towarzyszył mu dziwny niepokój. Nie potrafił go dokładnie określić, było to coś na kształt niejasnej intuicji. Jednak w miarę upływu czasu miał coraz mocniejsze wrażenie, że ktoś knuje przeciwko niemu intrygę, że w pokrytej śniegiem ziemi ryje pod nim niebezpieczne tunele.

Początkowo próbował odganiać od siebie te podejrzenia. Zwłaszcza że ojciec przyniósł wspaniałą wiadomość.

– Udało się! – oznajmił z dumą żonie. – Wiąże mnie z księciem Wsiewołodem taka przyjaźń, że mogłem go nawet poprosić o miejsce dla Iwanuszki. Dołączysz wreszcie do młodego księcia Włodzimierza – zwrócił się radośnie do syna. – Świętopelk jest w jego drużynie i świetnie sobie radzi. Teraz ty będziesz miał swoją szansę.

Iwanuszka rozpromienił się ze szczęścia.

A dwa dni później ojciec rzucił lekko:

– Aha, kiedy chorowałeś, ja i twój brat spłaciliśmy wszystkie długi, jakie zaciągnąłeś. Twoje imię zostało oczyszczone.

Sądząc, że chodzi o Żydowina i może dwóch innych wierzycieli, Iwanuszka podziękował ojcu i przestał zaprzętać tym sobie głowę. Ale gdy następnego dnia matka niechętnie wspomniała o jego długach, postanowił poprosić ją o całą listę.

I wtedy zrozumiał. Lista była zdumiewająca.

Na pierwszym miejscu widniał dług u Żydowina. Ale kolejne nazwiska wprowadziły go w osłupienie. Ludzie, których nie znał, z miast, w których nigdy nie był, twierdzili, że albo ich okradł, albo pożyczył od nich pieniądze. Wszystkie zarzuty, z wyjątkiem dwóch, były fałszywe.

– Kto znalazł tych dłużników? – zapytał.

– Świętopelk – odparł ojciec.

A więc to był ten mroczny labirynt, który ktoś rył pod nim przez całą zimę.

Jego brat był bardzo skrupulatny. Odwiedził chyba wszystkie ruskie miasta. I działał sprytnie. Należne sumy nie były duże, ale liczba wierzycieli zadziwiała.

– Jesteś winien bratu wielką wdzięczność – napomniął go ojciec surowo. – Nalegał, że sam spłaci połowę.

– On się czuje za ciebie odpowiedzialny – dodała matka.

Iwanuszka pojął wszystko. Jednak ciężkie życiowe doświadczenia co nieco go nauczyły.

– Obawiam się, że mój brat został oszukany – zauważył ze smutkiem.

Ale ponieważ nikt nie wierzył jego słowom, umilkł. Sprawa była zamknięta.

Następnego dnia ojciec zabrał go w końcu na spotkanie z młodym księciem, którego ze względu na matkę Greczynkę ludzie nazywali Włodzimierzem Monomachem.

Spotkanie odbywało się w największej komnacie książęcego pałacu. Z powodu małych okien, umieszczonych wysoko w grubych murach, wewnątrz przypominało cerkiew.

Gdy Iwanuszka wraz z ojcem przekroczyli próg, książę czekał pod przeciwległą ścianą. Otaczało go kilku możnowładców w pełnych uszanowania pozach.

Książę był ubrany w długi aż do ziemi płaszcz, obramowany sobolowym futrem i wysadzany drogimi kamieniami, błyszczącymi pomimo półmroku. Na głowie miał czapkę z gronostaja. Ręce opuścił luźno wzdłuż boków.

Po matce Greczynce odziedziczył regularne rysy, prosty nos i ciemne oczy, które patrzyły przed siebie z uważnym spokojem. Czekał na nich jak ksiądz przed ołtarzem, nieruchomy, jakby jego godność nie pochodziła od niego samego, tylko od władzy ustanowionej w innym świecie.

Ojciec i syn ukłonili się, zrobili kilka kroków do przodu i znów złożyli ukłon. Spojrzawszy w ciemne, nieruchome oczy, Iwanuszka pomyślał, że książę wygląda jak wizerunki świętych w cerkwi. Ukłękął i pocałował ozdobione klejnotami buty Monomacha.

– Witaj, Iwanie Igoriewiczu – powiedział książę z powagą.

Ruskie dwory różniły się od dworów europejskich. Książęta Rusi, odwrotnie niż władcy Czech i Polski, nie pragnęli przyłączyć się do skomplikowanej sieci feudalnej, nie interesowały ich europejskie zwyczaje ani nowa moda na rycerskie konwenanse. Patrzyli raczej w kierunku Orientu. Bo przecież wszyscy władcy ogromnych ruskich ziem

pochodzili ze wschodu.

Panujący na pogranicznych terenach zawsze byli despotami z dalekich krajów – wywodzili się od starożytnych Scytów i Alanów, których wciąż można było spotkać w książęcej drużynie, od Hunów i Awarów, którzy gdzieś zniknęli, od potężnych Chazarów. A w tej części świata nie było bardziej cywilizowanej potęgi niż cesarstwo Konstantynopola.

Dlatego ruscy książęta otaczali się orientalnym przepychem i naśladowali kapłański ceremoniał dworu wschodniochrześcijańskiego cesarstwa. Monomach wysłał te upodobania z mlekiem matki.

Teraz jednak, ku zaskoczeniu Iwanuszki, książę uśmiechnął się ciepło.

– Mówiono mi, że dużo świata zwiedziłeś – powiedział.

Po tych słowach wśród dworzan rozległ się śmiech. Igor się zaczerwienił. Wszyscy już wiedzieli o włóczędze głupiego Iwanuszki.

– Nie śmiecie się – skarcił ich Włodzimierz. – Jeśli nasz przyjaciel miał oczy i uszy szeroko otwarte, to wie o Rusi więcej niż ja.

Tym jednym zdaniem zaskarbił sobie dozgonną wdzięczność Iwanuszki. Nie bez powodu poddani bali się księcia i kochali go jednocześnie.

Monomach odprawił gestem dłoni Igora i innych wielmożów. Widząc zdenerwowanie Iwanuszki, zaczął coś opowiadać, cicho i spokojnie, aż w końcu młodzieniec odzyskał pewność siebie. Włodzimierz wypytywał go o szczegóły wędrówek, a Iwanuszka opowiadał o wszystkim z całkowitą szczerością.

Co dziwne, młody książę przypominał mu ojca. Szczególnie silne wrażenie robiła jego surowa samodyscyplina. Szybko stało się jasne, że poświęcał dużo czasu na modlitwę, mówił z powagą i spokojem, zupełnie jak Igor. Ale przy jednym temacie jego twarz nabrała niemal chłopięcego wyrazu.

– Lubisz polować? – zapytał.

Iwanuszka przytaknął.

– To świetnie. – Książę uśmiechnął się szeroko. – Przed śmiercią chcę zapolować we wszystkich lasach Rusi. Przyjdź jutro – dorzucił. – Chcę ci pokazać swoje jastrzębie.

Ale zanim rozmowa dobiegła końca, znowu spoważniał.

– Jesteś tutaj nowy – powiedział cicho. – Inni przybyli na dwór przed tobą. – Umilkł na chwilę. – Między innymi twój brat. – Zabrzmiało to jak ostrzeżenie. Ale choć Iwanuszka bacznie obserwował twarz Monomacha, nie umiał z niej nic wyczytać. – Dlatego zajmuj się swoimi sprawami i nie wchodź nikomu w drogę. A ja będę cię sądził po czynach.

Spotkanie było skończone. Iwanuszka ukłonił się z wdzięcznością. Włodzimierz wrócił do swoich dworzan.

I wtedy Iwanuszka ją zobaczył.

Weszła do komnaty tuż za swoją panią. Nie była już dziewczynką, ale młodą kobietą. Obie miały tak jasną skórę i jasne włosy, że wyglądały jak istoty nie z tego świata. Od razu przypomniał sobie, że już je kiedyś widział – dwa lata wcześniej, kiedy jechały z dworem przez las, a on schował się za drzewem.

– Kto to jest? – zapytał jednego z wielmożów.

– Nie wiesz? Ta starsza to żona Monomacha. A druga to jej służąca.

– Skąd pochodzą?

– Z Anglii oczywiście. Gytha jest córką saskiego króla Harolda, którego Normanowie zabili pod Hastings dziesięć lat temu. A dziewczynie na imię Emma. Jest sierotą po jakimś wielmoży i księżna ją ze sobą przywiozła.

Po tym, jak w roku czerwonej gwiazdy Wilhelm, książę Normandii, podbił Anglię, na Ruś przybyło wielu uchodźców. Część wojowników dotarła aż do Konstantynopola i dołączyła do elitarnej gwardii cesarskiej. Inni zawędrowali do wschodniej Europy. A księżna i jej towarzyszką trafiły do Kijowa i w ten sposób saska krew królów Anglii zmieszała się z krwią ruskiego domu panującego.

Iwanuszka patrzył na nią z zachwytem.

Wielmoża uśmiechnął się.

– Ojciec Gythy był jak promień słońca, a ona narodziła się z kryształowego światła, tak o niej mówimy.

– A co mówicie o jej dwórcę?

– To samo. Nie jest z nikim zaręczona – dorzucił lekko.

Minęło pięć dni. Był pogodny ranek. Po porannych modłach Igor wezwał synów do siebie na śniadanie.

Zastali go samego. Wydawało się, że jest zadowolony, jednak gdy się zamyślił, Iwanuszka zauważył w jego oczach cień niepokoju.

– Podjąłem postanowienie – oznajmił. – Najwyższa pora, by każdy z was miał zapewnione dochody odpowiednie do waszego stanu.

Najwięksi kijowscy bojarowie mogli się nawet pochwalić małymi dworami. A honor rodziny nakazywał, by synowie Igora żyli na stosownym poziomie.

– Jak zapewne wiecie – ciągnął – książę Perejasławia sownie wynagrodził moją służbę. W żadnym razie nie jestem biedakiem. – Zawiesił głos. – Ale po odejściu od księcia kijowskiego doznałem kilku finansowych niepowodzeń. Dlatego nie jesteśmy tak bogaci, jak się spodziewałem, a koszt utrzymania posiadłości zwiększa się z każdym rokiem. Świętopełku, masz już rodzinę, a ty, Iwanuszka, pewnie wkrótce się ożenisz. Dlatego poczyniłem następujące postanowienia.

Bracia słuchali go z największą uwagą.

– Połowę dochodów z posiadłości ofiarowanych mi przez księcia zachowuję dla siebie. Drugą połowę oddaję synom. – Westchnął. – Zgodnie ze zwyczajem większa część powinna przypaść Świętopełkowi, a mniejsza Iwanuszce. Ale ponieważ Świętopełk ma już znaczne dochody u księcia Włodzimierza, a Iwanuszka nie ma prawie nic, i ponieważ mogę wam dać tylko tyle, postanowiłem rozdzielić majątek na dwie równe części. – Umilkł, jakby podjęcie tej trudnej decyzji go zmęczyło.

Iwanuszka patrzył na niego, nie mogąc uwierzyć w to szczęśliwe zrzęczenie losu. Po chwili Świętopełk odezwał się z lodowatym spokojem.

– Ojczy, dziękuję ci i chylę czoło przed twoją wolą – powiedział cicho. – Od dawna służę księciu i służę swojej rodzinie. Ale czy słusznym jest, pytam, że Iwanuszka, który sprowadził na nas jedynie hańbę i którego długi właśnie spłaciłem, dostanie tyle samo co ja?

Igor nie odpowiedział, ale Iwanuszka podejrzewał, że jego też musiało to dręczyć. Zwiesił głowę. Świętopełk powiedział prawdę. Nie zasługuję na to, pomyślał. Rozumiał gniew brata. Gdyby nie jego powrót – właściwie z zaświatów – cały majątek Igora przypadłby Świętopełkowi. A teraz Świętopełk dostanie o połowę mniej, niż oczekiwał, i to przez głupiego darmozjada.

– Decyzja zapadła – oznajmił Igor surowo.

Rozmowa była skończona.

Gdy wychodzili z komnaty, Świętopełk spojrział na Iwanuszkę. Nie było wątpliwości, co ten wzrok wyrażał. Śmierć.

Iwanuszka powziął postanowienie następnego dnia, siedząc w rogu rynku.

Rozmowa z ojcem, a potem spojrzenie Świętopełka wstrząsnęły nim do głębi. Czy brat może mnie aż tak nienawidzić tylko z powodu pieniędzy? – myślał. I przypomniał sobie z pełną jasnością to, co zrozumiał podczas rekonwalescencji. Kiedy włóczył się po świecie, kradnąc i marznąc na mrozie, nie miał nic. Na koniec chciał się zabić. Dopiero gdy wrócił do domu, gdy poczuł miłość rodziny, wróciła mu chęć do życia. A więc kaznodzieje mają rację, pomyślał. Bez miłości świat nic nie jest wart. I z tych rozmyślań powoli wyłoniło się nowe przekonanie: życie jest równoznaczne z miłością, brak miłości oznacza śmierć. Po prostu.

Dlatego rozważywszy wszystko, doszedł do następującego wniosku: po co mi te pieniądze, skoro jedynie wywołają nienawiść w rodzinie? Nie chcę ich. Najlepiej będzie, jeśli odrzucę spadek. Niech Świętopełk weźmie wszystko. Bóg się o mnie zatroszczy.

Zadowolony ze swojej decyzji, wstał, żeby przejść przez rynek.

W tym momencie poczuł szarpnięcie za rękaw i ze zdziwieniem zauważył tuż obok przysadzistego chłopca.

– O, to chyba tobie dałem kiedyś pieniądze? – powiedział z uśmiechem.

– Zgadza się – odparł Szczek wesoło. – Ale czemu, o ile wolno mi spytać, jesteście tacy zafrasowani, mój panie?

Szczek był szczęśliwym człowiekiem i miał ku temu powody. Nie tylko odzyskał wolność, ale też żywił nadzieję, że ukryty skarb pozwoli mu zarobić trochę grosza. Ucieszył się na widok dziwnego młodzieńca, choćby dlatego, że mógł mu podziękować. A ponieważ połączyła ich już jakaś więź, Iwanuszka opowiedział mu, co go spotkało.

Z tego możnego pana jest dobry człowiek, pomyślał Szczek, słuchając jego opowieści. Ma miękkie serce. A ja jestem mu winien wolność.

Dlatego gdy Iwanuszka skończył, Szczek wiedział, jak powinien postąpić.

– Nie rezygnujcie ze wszystkiego, mój panie – poradził. – Do waszego ojca należy majątek Ruska. Na razie nie przynosi dochodów, ale ja wiem, jak się na nim wzbogacić. Jeśli chcecie, zrezygnujcie ze swojej części, ale poproście ojca o Ruskę razem z lasem leżącym na północ od wioski.

Iwanuszka skinął głową. Lubił Ruskę. Spodobał mu się ten pomysł.

I gdy jeszcze tego samego wieczoru oznajmił swoje postanowienie przed ojcem, Świętopełk nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Ruska? – spytał Igor. – Chcesz zachować tylko tę nędzną wioszczynę? Jak uda ci się przeżyć?



– Jakoś sobie poradzę – odparł Iwanuszka pogodnie.

– Jak sobie życzysz – westchnął Igor. – Tylko Bóg wie, co z tobą począć.

Chwała niech będzie Panu, pomyślał Świętopełk. Mój brat to naprawdę głupiec.

I z łagodnym uśmiechem podszedł do Iwanuszki i pocałował go w policzek.

A dwa dni później Iwanuszka zadziwił ojca śmiałą prośbą.

– Ojcze, idź do księcia Włodzimierza i poproś go w moim imieniu o rękę dwórki jego żony, sieroty po saskim szlachciu. On jest jej opiekunem.

Igor patrzył na niego, nie wiedząc, co powiedzieć. Chłopak odrzucił prawie cały majątek, a Monomach, roztoczywszy nad dziewczyną ojcowską troskę, na pewno nie wyda jej za nędzarza. Łatwo było się tego domyślić. Ale to nie wszystko...

– Mój ty biedaku – zaczął ojciec ze smutkiem. – Nie wiesz, że wczoraj Świętopełk poprosił o jej rękę?

Iwanuszka się zasepił.

– Mimo to porozmawiaj z księciem – powiedział po chwili zastanowienia.

– Jak chcesz – zgodził się Igor. Ale gdy Iwanuszka wyszedł, westchnął ciężko.

– Obawiam się, że on naprawdę jest głupcem.

Odpowiedź od Monomacha nadeszła po dwóch dniach. Jak zawsze była uprzejma i rozważna.

„Dziewczyna zostanie zaręczona na Boże Narodzenie. Sama będzie mogła wybrać męża spośród zaaprobowanych przeze mnie zalotników. I niniejszym akceptuję obu synów Igora, wiernego bojara mojego ojca. Jednakże – ciągnął książę – zalotnik, który nie przedstawi dowodu, że jest wolny od długów oraz że dysponuje rocznym dochodem w wysokości trzydziestu srebrnych hrywien, zostanie odrzucony”.

Usłyszawszy to, Świętopełk się uśmiechnął. Jego dochód wynosił ponad pięćdziesiąt hrywien, a brat mógł liczyć na co najwyżej dwadzieścia.

Iwanuszka się nie odezwał.

Dwa dni później pojawił się w Rusce jako jej nowy pan.

W powietrzu czuć było wiosnę. Z ziemi unosiła się ciepła poświata. Pierwsze kwiaty wiśni nieśmiało pokazywały się na gałęziach, a jadąc w kierunku brodu, usłyszał brzęczenie pierwszej pszczoły.

Akurat tego dnia Szczek popłynął w dół rzeki, więc Iwanuszka kazał starszemu wioski oprowadzić się po majątku. Największego dochodu mógł się spodziewać z podatków płaconych przez każde domostwo. Jedną trzecią miał oddawać księciu, resztę wolno mu było zachować, jednak z tych pieniędzy musiał też utrzymać fort. Gdyby znalazł więcej siły roboczej albo kupił niewolników, mógłby zagospodarować więcej ziemi, ale to wymagało czasu i pieniędzy, a on nie miał ani jednego, ani drugiego. I nawet przy wielkim szczęściu nie udałooby mu się zarobić więcej niż dwadzieścia hrywien rocznie.

Ten przeklęty wieśniak zadrwił sobie ze mnie, pomyślał, wróciwszy po południu do fortu. A po paru godzinach, gdy Szczek się pojawił, był już na niego porządnie zły.

– Jutro o świcie coś wam pokażę – uspokajał go Szczek.

I następnego dnia, gdy słońce stało jeszcze nisko nad horyzontem, Iwanuszka zobaczył ukrywany przed wszystkimi skarb Ruski.

Przez całą wiosnę i lato Iwanuszka był bardzo zajęty.

Sumiennie służył Włodzimierzowi, ale gdy na dworze spotykał się ze Świętopełkiem, atmosfera gęstniała, więc księżę pozwalał mu często jeździć do Ruski. A ludzie powiadali, że dziwny młodzieniec w swoim majątku pracuje na polu razem z chłopami.

Na początku lata księżę Włodzimierz wyruszył na wyprawę, żeby wspomóc Polaków w wojnie z Czechami. Świętopełk pojechał razem z nim. Wkrótce do Iwanuszki dotarły wieści o męstwie brata i choć był z niego dumny, to nie mógł się też oprzeć smutnym myślom.

– Obawiam się, że w porównaniu z nim wypadam naprawdę żałośnie – zwierzył się matce.

W ciągu tych miesięcy rzadko widywał swoją wybrankę. Jasnowłosa dwórka większość czasu spędzała przy księżnej, która była w ciąży.

Jednak prace w Rusce posuwały się w szybkim tempie.

Przez całe lato pan i chłop zajmowali się troskliwie miodowym lasem. Było tam teraz tysiąc drzew, sto dębów i dziewięćset sosen. Osiedliło się ponad sto rojów. A Szczek wybudował w Rusce solidny magazyn na wosk. Miał teraz dwóch ludzi, którzy pomagali mu pilnować skarbu, bo wieść o nim dotarła aż do Perejaśławia.

– Jeśli nie będziemy go dobrze strzec, ktoś nas obrabuje – ostrzegał Iwanuszkę.

A Iwanuszka mógł być pewien, że las zapewni mu wystarczający dochód.

Nie wiedział jednak, czy on sam zaskarbi sobie względy dziewczyny.

Podczas rzadkich wizyt na dworze udało mu się wszakże zamienić z nią kilka słów i przypuszczał – nie, był pewien – że go polubiła. Musiał jednak przyznać, że oprócz Świętopełka ma wielu innych konkurentów, którzy stanowili znacznie lepszą partię.

– Naprawdę jej chcecie? – spytał z ciekawością Szczek. Postępowanie możnych panów wydawało mu się czasem dziwne.

– Tak. – W to nie wątpił.

Dlaczego? Nie wiedział. Chodziło o jej baśniową urodę? Nie, o coś więcej. W oczach dziewczyny błyszczała dobroć, a w jej kroku było coś nieokreślonego, coś, co mówiło, że ona cierpi. I to właśnie bardzo go pociągało. Wydawało mu się, że umie sobie wyobrazić, jak wyglądało jej życie: sierota skazana na tułaczkę z pozbawioną dziedzictwa księżniczką, dumna młoda kobieta, która musiała nauczyć się pokory nakazanej ludziom zależnym od innych. Podczas tych krótkich rozmów wyczuł w niej znajomość bolesnych stron życia, co rzadko się zdarzało u dumnych, lecz zabezpieczonych pod każdym względem córek bojarów.

– Tak, to ta jedyna – potwierdził.

Plony były w tym roku dobre, a barcie dały dużo miodu. Iwanuszka miał zapewniony odpowiedni dochód. Jesienią jeszcze kilka razy udało mu się porozmawiać z dziewczyną. Jednak Boże Narodzenie się zbliżało, a on wciąż nie wiedział, czy może liczyć na jej względy.

W wyznaczonym dniu przed Włodzimierzem Monomachem stawilo się czterech konkurentów do ręki dwórki księżnej. Wśród nich dwaj synowie Igora.

Cały dwór był zadziwiony powodzeniem Iwanuszki.

– Jego brat walczy, a ten spryciarz tymczasem gromadzi miód – zauważył ktoś cierpko.

Ale młodzieńcowi udało się spełnić warunek postawiony przez księcia.

Jeszcze bardziej zadziwiające było to, że Emma, podziękowawszy grzecznie wszystkim zalotnikom za uczyniony jej zaszczyt, szepnęła do księcia, że wybiera Iwanuszkę.

– Jak sobie życzysz – odparł, ale żeby być lojalnym wobec Świętopełka, dodał: – Jego starszy brat jest jednym z najlepszych towarzyszy w mojej drużynie. A o Iwanuszcze mówią, że to głupiec.

– Wiem – odpowiedziała. – Ale ma dobre serce.

I tak oto następnego dnia Iwanuszka, syn Igora, i Emma, córka saskiego szlachcica z Anglii, wzięli ślub.

Włodzimierz wydał z tej okazji wspaniałą ucztę, na której podawano pieczone koguty, a gdy młoda para udawała się na spoczynek, biesiadnicy obsypali ją chmielem. Jeśli Świętopełk miał wobec brata jakieś ukryte zamiary, to doskonale je ukrył pod maską wyniosłej godności.

Kiedy rozgrywały się te drobne wydarzenia, tak ważne dla Iwanuszki, oczy całego dworu zwrócone były ku scenie politycznej.

Dwudziestego siódmego grudnia zmarł książę kijowski. Kijów przejął Wsiewołod z Perejaśławia.

– To wielki awans dla twojego ojca – słyszał zewsząd Iwanuszka. – Igor jest teraz bojarem wielkiego księcia Kijowa.

Co oznaczało, że władzę w Perejaśławiu przejmie Włodzimierz Monomach, a Iwanuszka i Świętopełk też będą mieli znacznie bogatszego pana. Radość na dworze była tym większa, że saska księżniczka urodziła syna.

Jednak dla Iwanuszki nie miało to znaczenia.

Ożenił się. I podczas srogiej zimy odkrył szczęście, o jakim nie miał wcześniej pojęcia. Czasem tylko, patrząc na jasnowłosą postać u swojego boku, aż nie mógł uwierzyć, że nikt mu tego szczęścia nie odbiera. Mijały tygodnie, a jego radość trwała. Iwanuszka odnalazł więc w końcu nie tylko szczęście, ale i poczucie spełnienia, którego od dawna poszukiwał, choć nie był tego świadomy.

– Kiedy byłem mały – opowiedział Emmie – chciałem się wyprawić nad Don. Ale teraz wolę być przy tobie. Jesteś wszystkim, czego pragnę.

– Czy aby na pewno? – spytała z uśmiechem. – Naprawdę nie ma żadnej innej?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Oczywiście, że nie.

A w marcu Emma oznajmiła, że jest w ciąży.

– Czegóż więcej mógłbym chcieć od życia! – zawołał uradowany.

Kilka dni później pojechał do Ruski.

Był wczesny ranek, trzy dni od jego przybycia. Iwanuszka wyszedł z fortu, gdy tylko słońce wyłoniło się zza drzew, i przysiadł na kamieniu, patrząc na południe.

Panowała głęboka cisza. Niebo było bladoniebieskie i tak krystalicznie czyste, że gdyby ktoś mógł wznieść się wysoko w górę, pomyślał Iwanuszka, to dotknąłby krawędzi niebios. Zaśnieżony krajobraz ciągnął się jak wzrokiem sięgnąć, ciemniejsze linie drzew

bladły w oddali, łącząc się w jedno z bezkresnym stepem.

Lód na brzegach rzeki zaczynał topnieć. Wszystko topniało. Po trochu, powoli, niemal niezauważalnie, ale nieuchronnie. A gdy ktoś się wsłuchał uważnie, mógł usłyszeć słabe trzaski, szept ogarniających cały kraj roztopów.

Kiedy słońce świeciło na śnieg i lód, Iwanuszka niemal wyczuwał działanie podziemnych sił. Cały ogromny kontynent – a dla niego przecież cały świat – powoli się roztopiał, śnieg, ziemia i powietrze. Teraz ten odwieczny proces zamarł na moment w lśniącym bezruchu.

I nagle Iwanuszce wydało się, że wszystko, wszystko jest na swoim miejscu. Żyzna czarna ziemia – tak żyzna, że chłopci musieli ją tylko zorać; fort z solidnymi drewnianymi umocnieniami; świat podziemi, w którym ojciec Łukasz i inni mnisi postanowili żyć i umrzeć. Wszystko to było konieczne, choć nie rozumiał dlaczego. Ale widział teraz, że tak samo konieczna była jego kręta ścieżka życia. Ojciec Łukasz zobaczył to już przed laty, gdy mówił, że każdy śmiertelnik ma swoją własną drogę do Boga.

Świat był taki miękki, taki lśniący. A on kochał nie tylko swoją żonę, ale też wszystko i wszystkich. Nawet samego siebie, chociaż był zaledwie niegodnym człowiekiem. Kocham siebie, myślał, bo jestem częścią Stworzenia. I to było jego Objawienie.

*Rok 1111*

Ponad bezludną ziemią płynęły cicho ciemne chmury. Potężna armia przeszła wzdłuż granicy lasu, minęła drewniane umocnienia będące częścią pasma małych fortów patrzących w pustkę i wypełzła na otwarty step, gdzie rozłożyła szyki. Gdy słońce w ogromnych słupach światła przebijało się przez chmury, poszczególne oddziały rozbłyskiwały przytłumionym blaskiem.

Armia rozlewała się na stepie na pięć kilometrów. Z góry, gdy obłoki się rozpląwały i popołudniowe słońce świeciło jaśniej, wyglądała jak sunący w trawach cień wielkiego ptaka z rozłożonymi skrzydłami.

Powietrze wypełniał brzęk oręża i kolczug, jakby na całym stepie rozdzwoniły się metalicznie cykady.

Świętopełk miał ponurą twarz. Gdy padały na niego promienie słońca, widać było jego oczy, twarde i bystre, wpatrzone w horyzont. Ale jego umysł pogrążony był w mroku.

Jechał sam, choć należał do drużyny księcia kijowskiego. Nikt tego nie zauważał, ale od czasu do czasu spoglądał na brata jadącego w pewnym oddaleniu. I za każdym razem szybko odwracał wzrok, jakby ogarniał go lęk albo poczucie winy. A poczucie winy sprawia, że człowiek dumny staje się niebezpieczny.

Był rok 1111. Z Rusi wyruszyła na wschód największa chyba konna wyprawa wojenna. Prowadził ją książę Kijowa, a towarzyszyli mu kuzyni, książę Czernihowa i Włodzimierz Monomach, książę Perejasławia. Ich celem było pokonanie Połowców.

Ogromne siły czekały tylko na ocieplenie, by ziemia obeschła. Piechota i konni, z długimi mieczami, bułatami, wygiętymi łukami i włóczniami, w futrzanych czapach

i kolczugach. Na przedzie szła orkiestra z gongami, trąbkami, drewnianymi fujarkami i bębnami, śpiewacy, tancerze i księża niosący ikony, a za nimi wszystkimi potężna eurazjatycka armia posuwała się majestatycznie ze Złotego Kijowa na wschód, ku bezkresnym stepom.

Świętopełk przyglądał się towarzyszącym mu mężczyznom. Było to typowe ruskie wojsko złożone z wielu różnych nacji. Po prawej stronie miał dwóch młodzieńców z drużyny, obu o czystym skandynawskim pochodzeniu, choć jeden z nich ożenił się z Połowczanką. Po lewej jechali najemnik z Niemiec i rycerz z Polski. Świętopełk szanował Polaków. Dochowywali wprawdzie posłuszeństwa papieżowi w Rzymie – co w jego oczach stanowiło wadę – ale byli dumni i niezależni. Ten zaś był odziany we wspaniałą brokat.

Tuż za nim maszerował duży oddział słowiańskich piechurów. Świętopełk zerknął na nich z pogardą. Byli odważni, żwawi i niezwykle wytrwali. Nie wiedział, dlaczego nimi gardzi, ale inaczej nie umiał.

Przed nim jechało siedmiu alańskich jeźdźców, którzy mieli u boku Bułgarów nadwołżańskich – dalekich potomków straszliwych Hunów o wschodnich rysach twarzy i czarnych, prostych włosach. Bułgarzy byli muzułmanami i chętnie opuścili swoją fortecę nad Wołgą, żeby pomóc w pokonaniu pogańskich najeźdźców ze stepu.

– Ale gdybym był Połowcem – odezwał się Świętopełk do pazia – to najbardziej bałbym się „czarnych czapek”.

Książęta ruscy od dawna zachęcali stepowych wojowników do osiedlania się na południowych granicach, traktując ich jak zabezpieczenie przed najazdami Połowców. Ale ci Turcy byli szczególnie. Mieli własnych oficerów, a nawet własny garnizon w Kijowie. Nienawidzili Połowców i utrzymywali żelazną dyscyplinę. Uzbrojeni w łuki i lance, dosiadali karych koni. Pod czarnymi czapami widać było okrutne, zacięte twarze. Świętopełk podziwiał bezwzględność i determinację Turków. Byli silni.

Jeszcze raz spojrzął na brata, który jechał obok Monomacha.

Iwanuszka miał już ponad pięćdziesiąt lat, przybrał na wadze i cera mu ogorzała, ale wciąż był sprawny. Jak to jest, zastanawiał się Świętopełk, że oczy tylu ludzi zdradzają koleje ich życia, że spojrzenie od razu mówi, czy są przebiegli, chytry, dumni czy po prostu zmęczeni, a niebieskie oczy Iwanuszki są wciąż tak jasne i czyste jak w czasach młodości? Na pewno nie z powodu głupoty. Bo człowiek, którego kiedyś znano jako głupiego Iwanuskę, dziś był nazywany mądrym Iwanem. I do tego jest bogaty, zżymał się Świętopełk. Szczęście się do niego uśmiechnęło.

Rzadko się widywali. Dwadzieścia lat temu, po śmierci starego księcia Kijowa i kolejnej zmianie następców tronu, Świętopełk opuścił Monomacha i dołączył do księcia kijowskiego, licząc na lepszy zarobek. Iwanuszka natomiast pozostał w Perejasławiu przy Monomachu.

A teraz byli w tej samej armii.

I tylko jeden z nas, przysiągł sobie w duchu Świętopełk, wróci z tej wyprawy żywy.

– A więc w końcu wyruszę nad Don – powiedział Iwanuszka do synów.

Dziwne, dopiero teraz, gdy skończył pięćdziesiąt sześć lat, Bóg pozwolił mu spełnić dziecięce marzenie. Ale też dał mu wiele innych rzeczy.

Majątek Ruska zapewnił rodzinie dobrobyt. I chociaż najazdy Połowców kilkakrotnie zniszczyły wioskę, pszczeli las ani razu nie ucierpiał. Do tego doszły też inne majątki.

Bo ziemie ruskie ciągle się powiększały. Na południu książęta handlowali i walczyli. Jednocześnie kolonizowali ogromne, nieznane tereny na północnym wschodzie, wdzierając się tam, gdzie zawsze mieszkwały prymitywne fińskie plemiona – do rozległych lasów nad dopływami wielkiej Wołgi. Ruś miała w tych stronach liczne osiedla – wielkie miasta, takie jak Twer, Suzdał, Rianzań czy Murom, i małe ufortyfikowane wioski, jak Moskwa.

Książę Perejasławia sprawował władzę nad ziemiami w okolicach Rostowa i Suzdala i właśnie tam znajdował się drugi majątek Iwanuszki.

I chociaż tamtejsza ziemia nie była tak żyzna jak czarnoziem na południu, to w północno-wschodnich lasach łatwo było o futra, miód i wosk. No i mieszkańców nie nękali najeźdźcy ze stepów. „Pamiętajcie – powtarzał Iwanuszka swoim trzem synom. – Waszymi przodkami byli promienni Alanowie, stepowi jeźdźcy, ale nasze bogactwo płynie z lasu, który nas także chroni”. Bóg okazał mu swoją dobroć na wiele sposobów. I dał mu najlepszego pana w osobie Włodzimierza Monomacha.

Monomacha nie dało się nie kochać. Ten książę z grecką krwią w żyłach był wyjątkowy pod wieloma względami. Wojownik odważny w bitwie i śmiały w pogoni, a jednocześnie pokorny chrześcijanin. Przez całe dziesięciolecia robił wszystko, by utrwalić jedność książęcego rodu. Wielokrotnie zwoływał zjazdy zwaśnionych książąt, prosząc ich: „Przebaczcie sobie nawzajem. Panujmy wspólnie nad naszymi ziemiami i zjednoczmy się przeciwko Połowcom, którym nasza niezgoda jest na rękę”.

Iwanuszka modlił się, by pewnego dnia Monomach zasiadł na kijowskim tronie.

Perejasław był dziś pięknym miastem. Dwadzieścia lat wcześniej tutejszy biskup kazał otoczyć je kamiennym murem. Powstało kilka nowych murowanych cerkwi, a nawet kamienne łaźnie, dzięki czemu Iwanuszka mówił z dumą: „Druga taka łaźnia jest dopiero w Carogrodzie”.

Dwóch synów Iwanuszki służyło Monomachowi, a trzeci jego synowi, który władał teraz Nowogrodem na północy, i angielskiej księżnej.

Iwanuszka wystawił silny kontyngent. Z Ruski przybył oddział Słowian pod dowództwem Szczeka, który mimo zaawansowanego wieku koniecznie chciał towarzyszyć swojemu panu. Z majątków na północy pochodzili łucznicy – konni i piesi – z fińskiego ludu Mordwinów. Małomówni, gburowaci, stronili od innych, a wieczorami zbierali się wokół swojego wróżbity, bez którego ani myśleli wyruszyć.

Oprócz synów Iwanuszka miał też w swoim zastępie młodego Chazara z Kijowa. Nie chciał go zabierać, mimo że ojciec chłopaka – i wieloletni wspólnik w interesach Iwanuszki – bardzo nalegał.

– On nie umie władać bronią – tłumaczył się Iwanuszka. – A poza tym – przyznał w końcu – boję się, że coś złego mu się przytrafi.

Zgodził się dopiero wtedy, gdy za młodzieńcem wstawił się jego dziadek, stary Żydowin.

– Trzymajcie się blisko tego chłopaka – polecił synom. – A my – zwrócił się do

swoich ludzi – zgniemy Połowców, żeby się już nigdy nie podnieśli.

Walczył z Połowcami, od kiedy sięgał pamięcią.

Na południu, wzdłuż granicy stepu, wzniesiono pomiędzy małymi fortami solidne umocnienia z ziemi i drewna, dzięki czemu powstała niemal nieprzerwana zapora przeciwko najeźdźcom. Ale i tak zdarzało się, że Połowcy przerywali tę linię obrony albo wędrowali daleko przez step, okrążali umocnienia i nieoczekiwanie napadali od północy.

Dziesięć lat temu Rusini zaatakowali ich z ogromną siłą, zabijając dwudziestu połowieckich książąt. Cztery lata później watażkowie pod wodzą Boniaka zwanego Parchatym odpowiedzieli mocnym uderzeniem i spalili w Kijowie kilka cerkwi. A teraz Rusini zamierzali zadać im w odwecie ostateczną klęskę. Iwanuszka nie miał wątpliwości, że taki był boży zamiar.

– Wiemy, gdzie są ich pastwiska i gdzie obozują zimą – tłumaczył synom.

– Dopadniemy ich.

Była to niebezpieczna wyprawa, jednak patrząc na swoich silnych synów i potężną armię trzech książąt, był pewny zwycięstwa.

Udało mu się w końcu spełnić marzenie o wyprawie nad Don, ale mimo to czuł smutek. Głównym powodem tego przygnębienia był stary ojciec, co wydawało się zrozumiałe. Jednak pod tym kryło się coś jeszcze, jakiś nieokreślony niepokój. Nastrój dodatkowo się pogłębił, gdy wyjechali na step. Monomach zwrócił się wtedy do Iwanuszki ze słowami:

– Ludzie powiadają, że twojego brata coś dręczy.

Dzień za dniem wędrowali przez step na południe i na wschód. Na obeschłej ziemi zieleń się trawa. Bezkresna równina ciągnęła się w dal tysiącami kilometrów, a hen, za horyzontem, gdzie step dotykał gór albo zamieniał się w pustynię, słońce już prażyło delikatne wiosenne kwiaty, które wkrótce miał pochłonąć piasek.

Po paru dniach napotkali pierwsze kwitnące wiechy traw i niedługo mieli przed sobą świetlistą białą powłokę, która zawisała nad czarną żyzną ziemią jak bezkresna mgła. Wśród łądyg ostnicy jeźdźcy i piesi poruszali się z sykiem niczym tysiące węży, a tam, gdzie trawa była niższa, dźwięczało dudnienie ich kroków. Przed tą sunącą armią śmigły stada zaniepokojonych ptaków, a czasami zawisał nad nimi orzeł, niebieskoszara plamka na wysokim niebie.

Iwanuszka jechał w milczeniu na swoim najlepszym siwku Trojanie. W południe słońce świeciło tak jasno, że wydawało się, jakby wierzchowca, całe wojsko i wszystko wokół zalał jakiś mrok.

Monomach był w doskonałym nastroju. Trzymając na przedramieniu ukochanego sokoła, często ruszał cwałem do przodu, żeby zapolować na stepie. A wieczorami siadywał pośród bojarów przy swoim namiocie i słuchał pieśni grającego na lirze minstrela.

O szlachetni Rusini,

Niech mnie śmierć zabierze,

Jeśli szat swych nie zamoczę,

Jeśli wody nie zaczerpnę

Z błękitnego Donu.

O szlachetni Rusini,  
Pędźmy szybciej niżli wilcy,  
Śmiglej niż sokoły.  
Niech orły dziobią kości Połowców  
Nad błękitnym Donem.

I właśnie gdy zbliżała się noc, gdy ognie przygasały i czuwali jedynie wartownicy, Iwanuszkę ogarniał największy smutek. Był pewien, że już nigdy nie zobaczy ojca.

Przed wyprawą wybrał się do Kijowa, żeby się z nim pożegnać. Znalazł go w złym stanie. Po wylewie, który miał poprzedniego roku, Igor był częściowo sparaliżowany. Uśmiechał się słabo jednym kącikiem ust, ale mówił bardzo niewyraźnie.

– Niedługo oboje odejdziemy. Ale nie wpadaj w rozpacz – pocieszała go żona.  
– Spójrz tylko, ile darów dostaliśmy od Boga. Bądźmy za nie wdzięczni.

Stary bojar wciąż był przystojnym mężczyzną, miał gęste siwe włosy. I jak wielu innych ludzi, którzy korzystając z bogactwa ówczesnej Rusi, dobrze się odżywiali, zachował niemal wszystkie zęby. Patrząc na jego szlachetną, pociągłą twarz, Iwanuszka wahał się, czy wyruszyć na wyprawę, lecz Igor, domyśliwszy się widocznie, co synowi chodzi po głowie, uśmiechnął się z wysiłkiem i szepnął:

– Jedź.

Iwanuszka pożegnał ojca czułym pocałunkiem.

I gdy przepełniony smutkiem jechał teraz przez step, często wracał pamięcią do tamtego poranka, kiedy jako dwunastolatek płynął z ojcem po Dnieprze, z głową wypełnioną największymi nadziejami. Teraz niemal czuł na ramieniu dłoń Igora, słyszał za sobą bicie jego serca. I zadawał sobie w myślach pytanie, czy ojciec wciąż jest wśród żywych. Czy wspomina tamten dzień i w marzeniach obejmuje syna? A może przeniósł się już do wielkiego zimna?

Siedząc przy obozowym ognisku, Iwanuszka przypominał sobie ojcowskie przebaczenie i uzdrawiającą czułość matki.

Świętopełk jechał w pewnym oddaleniu, z księciem Kijowa, ale łatwo go było rozpoznać po sztandarze z Trójzębem. Iwanuszka dużo rozmyślał o bracie. I nie chodziło o jego zaciętą, pełną goryczy twarz – pod tym względem wcale się nie zmienił – ale o dziwne, nieobecne spojrzenie. Poznawszy w młodości smak rozpaczy, Iwanuszka bez trudu je rozszyfrował. Świętopełk zawsze chłodno się do niego odnosił, ale teraz w jego zachowaniu pojawiło się jakieś napięcie, które mogło oznaczać tylko jedno: niebezpieczeństwo.

Iwanuszka dwukrotnie do niego podjechał. Raz żeby zapytać: „Czy czymś cię uraziłem?”, a drugi raz, wiedziony dziwnym niepokojem, chciał się upewnić, czy nic mu nie dolega. Ale Świętopełk jedynie odkłaniał się chłodno i z sarkastyczną uprzejmością sam pytał o zdrowie.

Starszemu bratu dobrze się w Kijowie powodziło, jego synom również. Co go tak dręczy? – zastanawiał się Iwanuszka.

Gdy Świętopełk zapadał w sen, męczyły go koszmary.

Na jawie gryzł się jedynie wyliczeniami. Ale we śnie władzę przejmowały demony. Jak mógł wpaść w takie długi? Nawet teraz trudno mu było w to uwierzyć.



Gdyby dopuścili mnie do ścisłej rady książęcej, powtarzał sobie, byłbym dziś bogaty. Na tym właśnie polegał problem.

W Kijowie wszyscy spekulowali. Większość kupców i bojarów. Nawet drobni handlarze i rzemieślnicy, o ile było ich na to stać. A największe spekulacje prowadził sam książę.

Najlepiej zarabiano na soli. W dawnych, dobrych czasach, kiedy Igor był w pełni sił, przywożono ją karawanami wędrującymi przez step znad Morza Czarnego. Teraz jednak Połowcy opanowali szlak handlowy z południa, więc sól można było sprowadzać jedynie z zachodu, z leżącej na południowym zachodzie prowincji Galicja, z Polski lub z Węgier. Książę kijowski umyślił sobie, że skupi w swoich rękach cały handel solą na ruskich ziemiach.

Przedsięwzięcie to zajmowało go bardziej niż wyprawa przeciwko Połowcom. Latami przygotowywał odpowiedni grunt – jedną córkę wydał za króla Węgier, a drugą za króla Polski.

– Nic go nie powstrzyma – mawiał często Świętopełk. – A potem podniosą ceny i zbiją na tym fortunę.

Nawet teraz precyzja tego planu napełniała go chłodną radością.

Niestety, jego do tego przedsięwzięcia nie dopuszczono. Mimo że dobrze służył księciu Kijowa – nikt mu nigdy nie zarzucił zaniedbywania obowiązków – nie został zaproszony do ścisłej rady, a z biegiem czasu widział coraz wyraźniej, że jego wpływy maleją. „On nie jest taką wybitną postacią jak jego ojciec – mawiali ludzie. – Albo jego brat” – dodawali czasem. I właśnie ten ostatni komentarz najbardziej ranił duszę Świętopełka. A jednocześnie sprawiał, że gotów był zrobić wszystko, by pokazać światu, na co go stać.

Skoro książę nie pomógł mu się wzbogacić, to trzeba było znaleźć inne sposoby.

Zaczął od kilku nietrafionych inwestycji. Próba sprowadzenia soli znad Morza Czarnego zakończyła się fiaskiem. Nikt nie wiedział, co się stało z chazarskimi kupcami i ich wielbładami, którzy przepadli gdzieś na południowych rubieżach stepu. Potem próbował wydobywać żelazo z mokradeł leżących na jego ziemiach. Przez dwa lata zmuszał swoich ludzi do ciężkiej pracy, żeby na koniec się przekonać, że koszt pozyskania żelaza był wyższy niż cena, za jaką mógł je sprzedać. Nic mu się nie udawało, ale w im większą biedę popadał, tym wystawniej żył w Kijowie. Ja im jeszcze pokażę, zarzekał się.

Jedynie, co mu się udawało, to ukrywanie własnych strat. Wykorzystując swoją reputację i dobre imię ojca, dostawał kredyt u wszystkich kupców, nawet w Konstantynopolu. Teraz jednak przygniotła go góra długów – ich wielkości nikt się nawet nie domyślał, ani ojciec, ani brat, ani dzieci.

I co noc dręczyły go we śnie demony.

Czasem dług przybierał postać orła. Wielki brązowy ptak szybował nad szczytami Kaukazu, przelatując nad kośćmi jego wielbładów na stepie, wznosił się nad lasem, by go wypatrzeć, a w końcu spadał w dół, z rozstawionymi szponami i szeroko rozłożonymi skrzydłami. Wtedy Świętopełk budził się z krzykiem.

A któreś nocy, wędrując we śnie po lesie, natknął się na nagą dziewczynę leżącą na ziemi. Podeszedł bliżej, zauważył, że jest to najpiękniejsza kobieta pod słońcem,

piękniejsza nawet od saskiej dwórki, którą odebrał mu brat. Kiedy jednak się pochylił, żeby jej dotknąć, zamieniła się w szczerę złoto.

Uszczęśliwiony, podniósł ją i wsadził na swojego konia. Ruszyli przez las, a gdy dotarli do małej chatki, postanowił odpocząć.

Chatka była pusta. Wniósł złotą dziewczynę do środka i położył na stole. „Zabiorę cię do Kijowa i przetopię” – mruknął i odwrócił się, żeby poszukać wody. Ale gdy znów spojrzał na stół, dziewczyny nie było.

Na jej miejscu siedziała teraz Baba-Jaga z chytrym uśmieszkiem na pomarszczonej twarzy.

Świętopełk zbladł, zrobiło mu się zimno. Baba-Jaga wyciągnęła po niego rękę.

– Zostaw mnie! – wrzasnął.

Ale starucha tylko się roześmiała, a jej rechot był tak suchy jak trzask orzechowych skorup. Izbę wypełnił drażniący, zatęchły zapach gnijących grzybów.

– Najpierw spłać swój dług – powiedziała.

Potem otworzyła drzwi pieca i chwyciwszy Świętopełka długą, kościstą dłonią, przyciągała go powoli ku płomieniom, a on płakał we śnie jak przerażone dziecko.

Ale najgorszy był trzeci sen. Ciągle go prześladował. Zaczynał się zawsze we wnętrzu jakiegoś budynku – było ciemno, więc Świętopełk nigdy nie mógł poznać, czy to cerkiew, stodoła czy książęcy pałac. Próbował się stamtąd wydostać, szukając w nieprzeniknionych ciemnościach śladu okna albo drzwi. Ale gdziekolwiek spojrzał, wydawało mu się, że puste wnętrza ciągnie się w nieskończoność.

Po chwili rozlegał się dźwięk.

Ciężkie kroki uderzały w podłogę z hukiem, który wznosił się echem aż pod sufit. Gdy Świętopełk zawracał i próbował uciec, okazywało się, że kroki idą mu naprzeciw.

Wiedział doskonale, że ten przerażający potwór to jego dług. Zbliżał się coraz bardziej. A on nie miał żadnej drogi ucieczki.

Wreszcie ujrzał go przed sobą. Potwór był wielki i szeroki jak dom. Miał na sobie długi ciemny habit, przez co jego stopy, z pewnością zrobione z żelaza, były niewidoczne. Ale najbardziej przerażająca wydawała się twarz, a właściwie brak twarzy. Na jej miejscu wyrastała gęsta siwa broda. Żadnych ust ani oczu. Potwór był ślepy i głuchy. Mimo to doskonale wiedział, któredy ma się posuwać za swoją ofiarą, aż w końcu Świętopełk padał bezsilny na żelazną podłogę i budził się złany zimnym potem, z okrzykiem przerażenia na ustach.

– Jest tylko jedno wyjście – powtarzał sobie.

Testament Igora był prosty i jasny. Zgodnie z książęcą praktyką dziedziczenia bojar nie uwzględniał w nim wnuków, lecz jedynie synów.

Cały majątek Igora, dość pokaźny, miał zostać równo podzielony między dwóch żyjących synów, na których spadał obowiązek opieki nad matką aż do dnia jej śmierci. I to wszystko. Gdyby jeden z synów zmarł przed wykonaniem testamentu, drugi dziedziczyłby całość. Był to testament typowy dla owych czasów.

Świętopełk wiedział z grubsza, ile jest wart majątek Igora. Połowa wystarczyłaby na spłacenie długów. A całość zapewniłaby mu skromne dochody do końca życia.

Szczek czuł niepokój, choć nie umiał powiedzieć, co jest jego powodem.

Po południu zwiadowcy przynieśli dobre wieści. Udało im się odnaleźć zimowe siedziby Połowców. Największa ich horda udała się już na letnie pastwiska, gdzie mieszkali w namiotach. Stała siedzibę zimową – miasto otoczone murami – mieli teraz przed sobą.

– Miasto jest w połowie puste – donieśli zwiadowcy. – Pozostał w nim jedynie niewielki garnizon.

– W takim razie uderzymy z samego rana – postanowił książę.

Wszyscy w obozie byli rozradowani. Minęła już cała wieczność, od kiedy step się za nimi zamknął, ale teraz mogli w końcu zdobyć połowieckie miasto. I jeśli dopisze im szczęście, sownie się obłowić. W ciemnościach letniej nocy, pod rozgwieżdżonym niebem, przy każdym ognisku rozlegał się cichy śpiew.

Mimo to Szczek wciąż był czymś zaniepokojony. Może obawiał się czekającej ich bitwy, ale miał też niedobre sny. Gdy zapadła noc, odciągnął młodego Chazara na bok.

– Trzymaj się blisko pana Iwana – przykazał. – I dobrze go pilnuj.

– Dziś w nocy?

Szczek zmarszczył brwi. Co ten chłopak ma na myśli? W pobliżu rosły nieliczne drzewa i kilka kęp wysokiej trawy, która kołysała się w lekkim wietrze. Czyżby tam przyczaili się jacyś Połowcy?

– Tak. Pilnuj go dzisiaj, jutro, co dzień.

A może to na wpół opuszczone miasto to pułapka? Nie ufał Połowcom. Nienawidził ich. Cztery lata temu zabili jego młodą żonę i jedno z czworga dzieci. Zabili bez powodu, dla przyjemności. Między innymi dlatego uprosił pana, by zabrał go ze sobą.

Czego się boję? – powtórzył w myślach pytanie. Nie miał pojęcia. Ale bez wątpienia czuł dziwne, wszechobecne niebezpieczeństwo, jakby w powietrzu unosił się zapach podstępnej zdrady.

Bitwa nie trwała długo. Miasto otaczał prostokąt niskich murów z wypalanej gliny. Stojąca pod nimi armia musiała stanowić przerażający widok. Połowcy wylegli na mury i stawiali zaciekły opór, ale dziesiątkowały ich chmary strzał wystrzeliwane przez atakujących. Późnym popołudniem, straciwszy zaledwie kilku ludzi, Rusini zobaczyli, że bramy miasta się otwierają i wychodzi z nich delegacja na rokowania, z darami w postaci wina i ryb.

Miasto było opustoszałe, mimo to w niskich domach z gliny i drewna znaleźli znaczne ilości pięknych jedwabi ze wschodu, złoto i drogie kamienie, a także wino z wybrzeży Morza Czarnego i z Kaukazu. Ucztowali tego wieczoru w mieście i w obozie, który rozbili tuż pod murami.

Słońce było już nisko, gdy Iwanuszka ze Szczekiem i młodym Chazarem oddalili się od obozu. Jechali wzdłuż małego strumienia okrążającego miasto. Bojar dosiadał Trojana, młody Chazar pięknego karego wierzchowca. Szczek musiał się zadowolić znacznie skromniejszym zwierzęciem.

Dojechali do cmentarzyska Połowców. Iwanuszka się zatrzymał.

Na grobach połowieckich wojowników stały dziwne kamienne rzeźby – miały po sto dwadzieścia, a niektóre nawet sto osiemdziesiąt centymetrów wysokości i przedstawiały mężczyzn o okrągłych twarzach i wydatnych kościach policzkowych,

z długimi wąsami, krótkimi szyjami i podobnymi do misek hełmami na głowach. Większość miała zamknięte oczy. Ich ciała były nieco zniekształcone: o szerokich biodrach i krótkich nogach, z nienaturalnie długimi, zgiętymi w łokciach ramionami oraz dłońmi splecionymi na brzuchu albo na wysokości ud.

Mimo nienaturalnego kształtu te kamienne postacie miały w sobie dziwne życie, jakby tylko na krótki czas znieruchomiały we śnie, podróżując bez końca po wielkim stepie.

– Oni są martwi – odezwał się Iwanuszka do młodego Chazara. – A ty boisz się śmierci?

Młodzieniec zebrał się w sobie.

– Nie, panie – odparł.

Iwanuszka uśmiechnął się.

– A ty, Szczek?

– Nie za bardzo. Kiedyś może tak, ale teraz już nie – odrzekł ponuro wdowiec.

Iwanuszka tylko westchnął. A ja się boję śmierci, pomyślał.

Ruszyli dalej.

Był sam środek nocy. Na niebie świecił półksiężyc, ale nie uniósł się jeszcze zbyt wysoko, a do tego często przesłaniały go długie, postrzępione chmury. Lekki wiatr poruszał trzciniami, które kołysały się jak fale na wodzie. Poza tym na stepie panowała cisza. Cały obóz pogrążony był we śnie.

Trzej Połowcy bezszelestnie posuwali się wzdłuż płytkiego strumienia. Od czasu do czasu słychać było jedynie cichy plusk albo dźwięk kropli spływających z broni i spadających do wody. Ale ściana trzciny wszystko tłumiła. Połowcy mieli ze sobą miecze i sztylety. Uczernione twarze były w ciemnościach ledwo widoczne.

Zatrzymali się, dotarłszy do miejsca, gdzie mogli się wspiąć na piaszczystą skarpe. A potem bardzo powoli, rozsuwając trzciny jeszcze delikatniej niż wiatr, wydostali się na brzeg. I nikt pewnie nie zauważyłby ich przybycia, gdyby nie to, że jeden z nich, doskonale udający głosy zwierząt, odpowiedział na godowe zawołanie żab.

Szczek znieruchomiał. Jeszcze nie zapadł w mocny sen. Serce zaczęło mu walić jak szalone. Znał głosy wszystkich ptaków i zwierząt na stepie. Umiał rozpoznać nawet najdoskonalsze ludzkie naśladownictwo. Usiadł wyprostowany i wyteżając w ciemności wzrok, wpatrywał się w trzciny.

Obserwowali go. Przywódca całej trójki leżał w trawie w odległości zaledwie kilkunastu kroków.

Szczek wstał. Trącił lekko młodego Chazara, żeby go obudzić, a potem, wzięwszy do jednej ręki włócznię, do drugiej zaś długi nóż, zaczął się skradać ku trzcinom. Niecierpliwym machnięciem powstrzymał chłopaka, który chciał pójść za nim.

– Zostań z panem Iwanem – szepnął.

Właśnie ten szept obudził bojara.

Iwanuszka zobaczył, jak Szczek zbliża się do trzciny. Zerwał się na równe nogi. Jego umysł pracował gorączkowo.

– Szczek, wracaj – syknął. Sięgnął po miecz.

Ale Szczek, skupiony na swoim celu, odszedł już na kilkanaście kroków.

Nawet nie zdążył zauważyć Połowca u swoich stóp. Poczuł jedynie oślepiający, przeszywający ból w brzuchu, jakby jakiś ogromny wąż uniósł się nagle i zatopił w jego ciele zęby jadowe.

Szczek wydał z siebie głośny okrzyk i ze zdziwieniem zauważył, że jego ręce stały się nagle bezużyteczne, a spadające z nieba gwiazdy przygniotły go do ziemi. Potem załała go czerwień. A po niej dziwna, zimna biel, świecąca jak poranna mgła.

Dwaj pozostali Połowcy rzucili się do przodu, a ten, który powalił Szczeka, niczym szary wilk skoczył w kierunku Iwanuszki i młodego Chazara.

Chłopak zamierzył się na niego, ale napastnik łatwo go ominął i podniósł zakrzywiony miecz na Iwanuszkę. Ten jednak odparował cios. Połowiec zrobił wokół niego kółko, sprytnie starając się uderzyć w nogi. Chazar coś krzyknął, a jego głos poniósł się echem po obozie. Jeden z Połowców rzucił się na niego z mieczem, lecz chłopak jakimś szczęśliwym zrzędzeniem losu odbił uderzenie. Znow krzyknął głośno.

A Połowiec, ku jego zaskoczeniu, się zawahał.

Młody Chazar zaatakował wściekle, poczuł, jak ostrze ociera się o ramię napastnika. Wyprowadził jeszcze jeden cios. Ale Połowca już nie było. Słyszając zbliżające się głosy, razem z towarzyszami rzucił się biegiem ku trzinom.

Chłopak się odwrócił. W świetle księżyca zobaczył Iwanuszkę walczącego z trzecim Połowcem. Nie dało się ocenić, kto ma przewagę.

Pokażę, ile jestem wart, pomyślał. Zacisnął dłoń na rękojeści miecza i ruszył na napastnika.

Ale ten, o dziwo, także się odwrócił i zaczął uciekać.

Chłopak rzucił się za nim, złapał go za rękaw, a gdy mężczyzna się zachwiał, chciał go chwycić za nogi. I wtedy poczuł na sobie żelazny uścisk.

Ramiona, które go unieruchomiły, należały do Iwanuszki.

– Już go miałem, panie! – zawołał. – Miałem go. Jeszcze damy radę go dogonić.

– Nie w takich ciemnościach. – Iwanuszka wciąż nie zwalniał uścisku. – Jeszcze by ci podcięli gardło. Niech uciekają. Jutro zabijesz wielu Połowców.

Rzeczywiście, miał rację. Uścisk zelżał.

– Ci Połowcy to tchórze – mruknął chłopak.

– Być może – odparł cierpko Iwanuszka. – Ale zabili biednego Szczeka – dodał z żalem.

Nie mylił się. Ciało Szczeka leżało nieruchomo. Na oświetlonej promieniami księżyca trawie ciemniała plama krwi.

Ani teraz, ani później młody Chazar nie umiał pojąć, dlaczego Iwanuszka pozwolił ostatniemu Połowcowi uciec. A Iwanuszka nigdy nie zdradził, kim był napastnik.

Kilka dni później natknęli się na główne siły Połowców zgromadzone nad rzeką. Iwanuszka i Włodzimierz patrzyli na długą, groźną linię. Własne wojsko ulokowali na niewielkim wzniesieniu, co dawało im przewagę. Po prawej stronie stały wozy i lekkie rydwany, tworząc dwa wielkie okręgi, do których nieprzyjaciel mógł się w razie konieczności wycofać.

Jeszcze nigdy Iwanuszka nie widział tak wielkiej armii – jak okiem sięgnąć ciągnęły się szeregi uzbrojonych we włócznie i łuki jeźdźców, którzy atakowali na stepie

z szybkością sokołów. Wojownicy mieli na sobie skóry albo metalowe zbroje.

– Doliczyłem się ponad dwudziestu książąt – stwierdził Włodzimierz. Dobrze znał Połowców.

– Jest z nimi Boniak?

Boniak Parchaty budził największy lęk.

– O tak! – odparł radośnie Monomach. – On też tu jest.

Obie armie patrzyły na siebie w milczeniu.

I wtedy Iwanuszka coś zauważył. Zmiana była tak powolna, tak łagodna, że nawet bystrooki Monomach jej nie dostrzegł.

Wiatr zmieniał kierunek.

Iwanuszka dotknął książęcego ramienia, wskazując głową na kołyszące się trawy.

– Spójrzcie.

– Chwała niech będzie Panu – powiedział Monomach.

Ich strzały miały polecieć na wrogów wraz z wiatrem. Bóg zamierzał ukarać armię pogan.

Bitwa, która rozegrała się tego dnia, na długo zapisała się w pamięci Rusinów.

– Nasze strzały wprost płynęły w powietrzu – opowiadał później Iwanuszka Emmie. – Szybowały jak stada jaskółek.

Bitwa zakończyła się masakrą, bo Monomach, hojny w czasach pokoju, na wojnie bywał straszny. Jego pogarda dla Połowców, których często oskarżał o łamanie przysięg, nie miała granic. Żaden wróg, który znalazł się w zasięgu jego miecza, nie mógł liczyć na miłosierdzie.

– Próbowali wszystkich swoich sztuczek – ciągnął Iwanuszka. – Udawali nawet, że się wycofują. Ale my trzymaliśmy szyki, aż wreszcie osaczyliśmy ich nad rzeką.

Ruskie wojska odniosły całkowite zwycięstwo.

Lecz Iwanuszka nie wspomniał nikomu o pewnym wydarzeniu. Miało ono miejsce tuż przed zakończeniem bitwy i nikt inny nie był jego świadkiem.

Podczas walki nie myślał o swoim bracie. Nie miał na to czasu. Ale nagle, spojrzawszy w lewo, zauważył ruskiego bojara otoczonego przez trzech Połowców. Od razu rozpoznał Świętopelka.

Bez chwili namysłu popędził w jego kierunku, nawet nie oglądając się na synów. Połowcy przyparli Świętopelka do rzeki, tylne kopyta jego konia niepewnie chwyciły równowagę na błotnistym gruncie. W pewnym momencie jeździec, mając Połowców coraz bliżej, odważnie rzucił się do przodu. Udało mu się strącić z konia jednego z napastników. Ale jego własny wierzchowiec, uderzony w nos, stanął dęba. Świętopelk zleciał z siodła i stoczył się z trzymetrowego brzegu do skłębionej rzeki.

Drugi z Połowców uciekł. Trzeciego Iwanuszka dopadł od tyłu i zabił jednym ciosem. Spojrzał na rzekę. Świętopelk był już w odległości kilku metrów. W pierwszej chwili zdezorientowany, teraz walczył z silnym, wartkim prądem, próbując wydostać się na brzeg, ale kolczuga ciągnęła go na dno. Spojrzał bezradnie w górę, lecz ujrzawszy brata, odwrócił głowę. Po chwili skrył się pod wodą.

Na ułamek sekundy Iwanuszka się zawahał. Rzeka była głęboka. Świętopelk zniknął. Jeśli skoczy za nim do wody, jego własna kolczuga też go zatopi. Nagle

przypomniały mu się słowa ze Starego Testamentu.

– Czyż jestem stróżem brata mego? – mruknął.

Patrząc na spienioną wodę, po raz pierwszy od wielu lat poczuł lęk.

– Mam oddać życie za brata, który chciał mnie zabić? – zadał sobie pytanie.

Rozejrzał się wokół. Bitwa oddaliła się w kierunku wozów. Nad rzeką było dziwnie cicho. I wtedy zdjął hełm i skoczył.

Nikt nigdy się nie dowiedział, jak bardzo tamtego dnia Iwanuszka otarł się o śmierć.

Zimna tafla wody zamknęła się nad jego głową, miał wrażenie, że w dół ciągną go dwie potężne siły, prąd rzeczny i ciężar kolczugi. Z największym wysiłkiem wypłynął na powierzchnię, zaczerpnął powietrza i znów się zanurzył.

Ale udało mu się odnaleźć Świętopełka. Brat miał już zsiniałą twarz, zaplątał się w trzciny, które owinęły się wokół niego i trzymały jak nieustępliwe, natrętne rusalki. Iwanuszka nie miał pojęcia, jak udało mu się go uwolnić. Płynął z nim potem kawałek z prądem, aż w końcu wyciągnął go na brzeg i wypchnął mu wodę z płuc.

Przez długą chwilę leżeli wyczerpani na ziemi. Żaden z nich się nie odzywał. Słońce świeciło wysoko na niebie, ptaki śmigały nad wysoką trawą. Odgłosy bitwy całkowicie umilkły.

– Dlaczego mnie uratowałeś?

– Bo jesteś moim bratem.

Cisza. Iwanuszka czuł, że Świętopełk przymierza się do następnego pytania.

– Ale przecież... wczoraj w nocy... Wiedziałaś?

– Wiedziałem.

Świętopełk jęknął.

– A teraz będę musiał jeszcze nieść ciężar twojego przebaczenia – mruknął bez cienia urazy w głosie. Wydawało się, że jest jedynie straszliwie zmęczony.

– Zapominasz, że ja też grzeszyłem – powiedział cicho Iwanuszka. – Może nawet bardziej niż ty, bo włoczyłem się i kradłem. Wróciłem do domu z pustymi rękami, a mimo to ojciec przyjął mnie pod swój dach i wszystko wybaczył. Powiedz mi, bracie, co cię do tego skłoniło?

Świętopełk poczuł, że nie potrafi już dłużej nienawidzić. Bo to właśnie nienawiść, która zjadała go całymi latami, która pchała go do działania niczym okrutny jeździec poganiający ostrogami konia, to nienawiść i rozpacz w końcu pozbawiły go sił. Powoli, słowo po słowie, patrząc w błękitne niebo, opowiedział bratu całą historię.

– Mogłeś poprosić mnie o pomoc – napomniał go łagodnie Iwanuszka.

– Mężczyzna o nic nie prosi.

– Jesteś na to za dumny – zauważył brat z uśmiechem.

– Duma sprowadziła na mnie jedynie rozpacz i śmierć – westchnął Świętopełk.

– Księża zawsze to powtarzają – odparł Iwanuszka.

I tego lata, zobaczywszy w końcu wielki Don, spłacił wszystkie długi brata.

Mieli tryumfalny powrót. Ale jeszcze tego samego roku, gdy nastąpiła ciepła jesień, mądry doradca wielkiego Monomacha po raz pierwszy od wielu lat dał ludziom powód, by mówili: „Ten Iwan to jednak głupiec”.

Postanowił zbudować cerkiew.

Wielu bojarów to robiło, ale on postanowił zbudować cerkiew murowaną. Zresztą nawet tak ekstrawagancki pomysł zyskałby uznanie, gdyby cerkiew miała stanąć w Perejaślawiu. Albo chociaż w forcie w Rusce.

Ale nie. Iwanuszka postanowił wzniesć ją poza murami fortu, na niewielkim wzniesieniu spoglądającym na wieś ze wschodniego brzegu rzeki.

– A ponieważ widzę dziś, że bez pomocy każdy człowiek jest stracony – ogłosił – ofiaruję tę świątynię Matce Bożej proszącej syna o odpuszczenie grzechów świata.

I tak oto Iwanuszka rozpoczął budowę małej cerkwi pod wezwaniem Opieki Matki Bożej.

Była to skromna świątynia.

Jej ściany z cegieł, kamieni i żwiru tworzyły z grubsza sześcian. Nad środkową częścią znajdował się niski ośmioboczny bęben zwieńczony płytką kopułą – tylko trochę głębszą niż odwrócony spodek – z małym gzymsem. Tylko tyle – sześcian z dziurą u góry.

Gdyby ktoś spojrział na niego z nieba, zanim położono dach, zauważyłby cztery kolumny tworzące na środku mniejszy kwadrat i dzielące wnętrze na dziewięć równych kwadratów. Na tych właśnie kolumnach spoczywały bęben i kopuła.

Jednak wewnątrz ten prosty podział wyglądał inaczej: wydawało się raczej, że cerkiew jest podzielona poprzecznie na trzy części. Pierwszą, gdy wchodziło się do świątyni od strony zachodniej, było coś w rodzaju przedsionka. Dalej, pod kopułą, mieściła się część centralna – nawa, gdzie zbierali się i modlili wierni. W głębi znajdowało się prezbiterium, ołtarz oddzielony od części środkowej ikonostasem. W ołtarzu stał tron, a na nim krzyż i siedmioramienny świecznik podobny do żydowskiej menory. Po lewej stronie znajdował się stół ofiarny, na którym przygotowywano chleb i wino do liturgii.

Żeby złagodzić surowość wnętrza i wskazać kierunek geograficzny, po wschodniej stronie umieszczono trzy niewielkie apsydy.

Sufit był ciągiem sklepień beczkowych opierających się na murach i środkowych kolumnach. Jedynie w części środkowej, gdzie wznosiła się kopuła, sklepienia były otwarte. W ścianach wykuto długie, wąskie okna, a w ośmiokątnej bębnie małe okienka.

Tak wyglądała typowa świątynia bizantyjska. Największe prawosławne cerkwie i katedry, jak choćby sobór Mądrości Bożej w Kijowie, z wieloma arkadami kolumn i licznymi kopułami, były jedynie rozwinięciem tego prostego porządku.

Należało tylko rozwiązać problem techniczny: jak wesprzeć ośmioboczny bęben na kwadracie utworzonym przez cztery środkowe kolumny.

Utalentowani rusczy budowniczości doskonale sobie radzili z pracami murarskimi, jednak istota problemu leżała gdzie indziej. Można go było rozwiązać na dwa sposoby, oba pochodzące ze wschodu. Jednym była perska trompa, rodzaj sklepienia wachlarzowego, lecz Rusini najczęściej wybierali pendentyw, który wymyślono osiem wieków wcześniej w Syrii.

Był to tak zwany żagielek – element w kształcie litery V albo trójkąta, który wyglądał tak, jakby ktoś stojący wewnątrz kuli wyciął z niej niewielki fragment. Taki



sferyczny trójkąt, skierowany jednym z wierzchołków ku dołowi, na górze stanowił podparcie dla ośmiobocznego bębna.

Dzięki prostym i eleganckim pendentywom miało się wrażenie, że kopuła, lekka niczym niebo, unosi się w powietrzu nad głowami wiernych.

Budując swój kościół, Iwanuszka wzorował się na największych cerkwiach Kijowa – naprzemienne warstwy cegieł i żelaza łączyły pasy zaprawy wymieszanej z ceglany pyłem, dzięki czemu cały budynek nabierał miękkiego, różowawego blasku.

Na zewnętrznych krawędziach trzech zaokrąglonych dachów z beczkowatymi sklepieniami dodano niewielki gzyms, który jak potrójna brew pięknie podkreślał potrójną falę dachu.

I tak oto uchodzący za dziwaka bojar wybudował rusko-bizantyjską cerkiew. Świątynia była naprawdę mała, mieściło się w niej niewielu wiernych. I gdyby wszyscy mieszkańcy wioski byli chrześcijanami, nie starczyłoby w środku miejsca dla każdego. Prace zaczęły się jesienią 1111 roku, a ponieważ Iwanuszka sumiennie ich doglądał, skończyły się rok później.

*Rok 1113*

Pierwsza rosyjska rewolucja – a dokładniej mówiąc, pierwsze zorganizowane powstanie ludu przeciwko wyzyskującym go kupcom – wybuchła w roku 1113. I zakończyła się sukcesem.

Pretensje i skargi zwykłych ludzi miały mocne uzasadnienie, a ich powodem było uciążliwe połączenie czegoś na kształt wolnego rynku z wszechobecną korupcją i monopolizowaniem handlu. A do tego wszystkiego przykładali rękę panujący książęta.

Powszechna spekulacja, która wpędziła Świętopełka w długi, przybierała na sile. Przewodził jej książę kijowski, który wraz z wiekiem nie nabywał mądrości, tylko stawał się coraz bardziej leniwy i zachłanny.

Korupcja kwitła wszędzie. Udzielano kredytów na wyniszczający procent, przez co drobnu rzemieślnicy stawali się zakupieńcami. Podobny los spotkał wielu smerdów. Wierzyciele zyskiwali w ten sposób tanią siłę roboczą. A gdy w odległych majątkach przyjaciele księcia ignorowali prawo i sprzedawali zakupieńców jako niewolników, on przymykał na to oko. Ta jawna niesprawiedliwość budziła coraz większy gniew.

Jednak najgorsze były porozumienia zawiązywane przez wielkich kupców. Cel takich działań był oczywisty: monopol na handel podstawowymi towarami i podnoszenie cen. A największe było porozumienie dotyczące handlu solą.

Książę kijowski odniósł sukces. Jego plan polegający na przejęciu kontroli nad dostawami soli z Polski powiódł się i ceny poszybowały w górę.

„Mamy witać naszych gości jedynie chlebem?” – pytali z ironią poddani. Bo od niepamiętnych czasów Słowianie witali każdego przybysza chlebem i solą.

Lecz książę był człowiekiem cynicznym i skorumpowanym. Nadużycia się pogłębiały.

I nagle szesnastego kwietnia 1113 roku książę zmarł.

A następnego dnia wydarzyło się coś niesłychanego.

Wiele lat wcześniej, po zamieszkach z 1068 roku, księżę Kijowa kazał przenieść wiece z padołu na plac przed pałacem, gdzie mógł mieć na wszystko oko. A wiece odbywały się tylko na wezwanie metropolity kijowskiego albo bojarów. Teraz jednak te środki ostrożności na nic się nie zdały. Ludzie sami zwołali wiec, nie pytając nikogo o zgodę. I było to bardzo burzliwe zgromadzenie.

– Wolnych ludzi skazują na niewolę! – protestowano. – Zmawiają się, żeby wszystkich puścić z torbami. – To drugie dotyczyło porozumień zawieranych przez kupców.

– Trzeba powrócić do praw ustanowionych przez Jarosława! – podniosły się głosy.

Bo chociaż stworzona przez Jarosława Mądrego i jego synów Ruska Prawda – zbiór praw Rusi – przede wszystkim wymieniała kary za szkody i krzywdy wyrządzone bojarom i książęcym sługom, to zawierała też przepis chroniący zakupieńca przed sprzedaniem w niewolę.

– Zwróćmy się do jedyne go sprawiedliwego księcia, który będzie przestrzegał prawa! – wołano.

Na całej Rusi był tylko jeden taki mąż. Dlatego wiec, który zebrał się w Kijowie w 1113 roku, zaoferował tamtejszy tron Włodzimierzowi Monomachowi.

– Chwała niech będzie Panu!

Iwanuszka miał nadzieję, że nareszcie na Rusi zapanuje porządek. Wieść o śmierci księcia Kijowa zastała go w Perejasławiu. Nie wzywał nawet swoich synów, tylko bez zbędnej zwłoki popędził co koń wyskoczy do stolicy.

Rządy księcia już od dawna budziły w nim niesmak. Ruska i pozostałe jego majątki na północnym wschodzie były dobrze zarządzane, przestrzegano w nich prawa. Jednak takie miejsca były wyjątkiem. Iwanuszka nie cenił też braci panującego księcia, więc kierując się zarówno zdrowym rozsądkiem, jak i poczuciem osobistej lojalności, oświadczył:

– Tylko Monomach może zaprowadzić porządek w kraju.

A po przybyciu do stolicy przekonał się, że uczestnicy wiecu doszli do tego samego wniosku.

I zanim udał się do domu brata, pchnął stajennych z wiadomością dla Monomacha: „Iwan Igoriewicz czeka na was w Kijowie. Przybywajcie i przyjmijcie to, co zaproponował wam wiec”.

Zasmuciło go więc, że Świętopełk, który zajmował dawną rodową siedzibę, jest w ponurym nastroju.

– To się nie może udać – powtarzał, kręcąc głową.

Po wyprawie na Połowców stosunki między braćmi stały się poprawne, co obu im odpowiadało. Nie zaprzyjaźnili się, ale nienawiść Świętopełka, tłąca się przez całe życie, w końcu wygasła. A on sam poczuł się stary i zmęczony. Dzięki Iwanuszce miał się z czego utrzymać. Żył w samotności. Jego synowie przenieśli się do innych miast, lecz on wolał zostać w Kijowie, gdzie cieszył się szacunkiem należnym bojarowi oraz opinią – niestety, niezasłużoną – człowieka biegłego w interesach. Na świat patrzył z pesymizmem.

– Powiadam ci – powtarzał – że Monomach nie zostanie wielkim księciem.

Dwa dni później wydawało się, że Świętopełk się nie myli. Do Kijowa dotarły wieści, iż Monomach odmówił.

W pewnym sensie nie mógł uczynić inaczej. Zgodnie z zasadami sukcesji to nie on był następny w kolejce do tronu – miał przed sobą potomków innych gałęzi książęcego rodu. A czyż nie walczył całe życie o to, by przestrzegać porządku dziedziczenia i zachować w kraju pokój? Z jakiego powodu miałby teraz odstąpić od swoich zasad, zwłaszcza że propozycja wypłynęła od niższych warstw, które – co wiedział jako książę – powinny znać swoje miejsce? Nie pojechał do Kijowa.

I wtedy zaczęła się rewolucja.

Tego nieszczęsnego ranka Iwanuszka udał się na przejażdżkę przez lasy do klasztoru w pieczarach. Wracając do miasta, nie miał pojęcia, na co się zanosi, dopóki nie zobaczył słupów dymu wznoszących się nad domami. Ponaglił konia. Chwilę później natknął się na kupca na wozie. Mężczyzna był zlany potem i ile sił poganiał batem konia.

– Co tam się dzieje?! – zawołał Iwanuszka.

– Mordują nas, panie – odpowiedział kupiec. – Kupców i możnych. Lepiej zawróćcie, panie – dorzucił. – Tylko głupiec by tam jechał.

Iwanuszka uśmiechnął się ponuro i ruszył przed siebie. Wjechał na padół. Na ulicach było pełno ludzi biegających we wszystkie strony. Wyglądało na to, że powstanie jest spontaniczne i że rozlewa się na całe miasto. Część drobnych kupców zabarykadowała się w swoich domach, lecz na ulicach zbierały się już uzbrojone grupy. W wielu miejscach z trudem dało się przecisnąć przez zbity tłum.

Na jednej z bocznych uliczek Iwanuszka natknął się na taki dwudziestoosobowy oddział.

– Spójrzcie! – krzyknął ktoś. – To bogacz!

Rzucili się na niego z takim impetem, że z trudem udało mu się uciec.

Tłum parł do serca miasta. Iwanuszka zauważył płomienie unoszące się nad fortem Jarosława. W głowie miał tylko jedną myśl: ostrzec Świętopełka.

Ale widok, który ujrzał przy Bramie Chazarskiej, kazał mu zapomnieć o bracie.

Tłum liczył co najmniej dwustu ludzi. Szczelnie otoczyli dom. Rebelianci, których widział do tej pory, byli rozgniewani albo pobudzeni, natomiast na tych twarzach malowało się okrucieństwo. Niektórzy wręcz uśmiechali się na myśl o karze, którą mieli za chwilę wymierzyć.

Dom należał do starego Żydowina, Chazara.

W tłumie rozległ się pomruk zniecierpliwienia.

– Przypiec ich trochę! – wrzasnął ktoś.

Odpowiedział mu zgodny aplauz.

– Miejsce prosiaka jest na rożnie! – ryknął gruby mężczyzna.

Kilku ludzi z płonącymi pochodniami w dłoniach zaczęło podkładać ogień z boku domu, ale ich miny wskazywały wyraźnie, że nie chcą go spalić, tylko wykurzyć dymem mieszkańców.

– Łajdacy! – krzyknął jakiś mężczyzna.

– Żydzi! – dorzuciła stara kobieta.

Tłum podchwycił okrzyk.

– Dalej, Żydzi, wyłazić, koniec z wami!

Iwanuszka od razu pojął, co się święci. Większość chazarskich Żydów była uboga, niemal wszyscy przywódcy zniechęconych związków kupieckich byli chrześcijanami o słowiańskich lub skandynawskich korzeniach, jednak o tych faktach jakby zapomniano. W ferworze walki rozgniewani buntownicy, szukając kozła ofiarnego, przypomnieli sobie, że ich ciemiężcy są cudzoziemcami. To wszystko przez Żydów! Okrucieństwo znalazło swoje usprawiedliwienie.

Iwanuszka zauważył w jednym z okien czyjąś twarz.

To był Żydowin. Patrzył z przerażeniem, nie wiedząc, co robić.

Jeden z rebeliantów stanął przed tłumem. Trzymał w ręku długą, cienką włócznię.

– Dawać tu waszych mężczyzn! – wrzasnął.

– U Żydów nie ma mężczyzn! – odkrzyknął ktoś.

Odpowiedział mu śmiech.

Iwanuszka domyślał się, że w domu oprócz Żydowina jest tylko służba.

– No to dawać wasze kobiety! – zawołał inny głos.

Motłoch zarechotał.

Iwanuszka zebrał się w sobie i zaczął napierać koniem na tłum. Ludzie odwracali się, rozległy się okrzyki pełne gniewu.

– Co tam się dzieje?!

– To jakiś przeklęty bogacz!

– Jeszcze jeden wyzyskiwacz!

– Zrzucić go z konia!

Poczuł, jak czyjeś dłonie chwytają go za stopy. Obok twarzy przeleciała mu włócznia. Miał ochotę strzelić w nich biczem, ale wiedział, że wystarczy jeden nieostrożny ruch, a będzie stracony. Powoli, uparcie popychał konia do przodu między rozstępujący się tłum. Stanąwszy przed domem, odwrócił się.

Patrzył na nich, a oni na niego.

I ku swojemu zdziwieniu poczuł lęk, jakiego dotąd jeszcze nie doświadczył.

Nigdy nie stał naprzeciwko rozwścieczonego tłumu. Wcześniej miał przed sobą całą hordę Połowców i kilka razy patrzył śmierci w oczy. Ani razu jednak nie natknął się na mur nienawiści. Było to przerażające doznanie. A co gorsza, poczuł nagłe odrętwienie. Nienawiść tłumu spadła na niego jak jakaś siła nie do zatrzymania. Wydawało mu się, że jest nagi, ogarnął go strach i dziwny wstyd. Ale czego miałby się wstydzić? Owszem, był szlachcicem. Lecz przecież nie wyrządził tym ludziom żadnej krzywdy. Dlaczego ich gniew wywołuje w nim poczucie winy? A jednak siła ich połączonej nienawiści była jak cios w splot słoneczny.

Tłum umilkł.

Iwanuszka zebrał wodze i poklepał konia po szyi, żeby się nie spłoszył. Dziwne, przetrwał wojnę z Połowcami, a zabije mnie rozsierzona tłuszczka, pomyślał.

Mężczyzna z włócznią celował w niego. Jak większość pozostałych miał na sobie brudną lnianą bluzę ze skórzanym paskiem, niemal całą twarz pokrywała mu czarna broda, długie włosy sięgały ramion.

– Hej, szlachciuro, powiedz nam, jakie masz ostatnie życzenie przed śmiercią!

– zawołał.

Iwanuszka spojrział na niego spokojnie.

– Nazywam się Iwan Igoriewicz – odpowiedział mocnym, pewnym głosem. – Służę księciu Monomachowi, którego wyglądacie. Wysłałem do niego posłańca, w moim i waszym imieniu, prosząc go, by jak najszybciej przybył na wiec do Kijowa.

Przez tłum przeszedł pomruk niedowierzania. Mężczyzna z włócznią zmrzył oczy. Iwanuszce wydawało się, że za chwilę w niego rzuci. I nagle rozległ się czyjś głos:

– To prawda. Ja go znam. To człowiek Monomacha.

Napastnik odwrócił się w kierunku, skąd dochodził głos. Na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju rozczarowania.

Ale fala nienawiści zaczęła się cofać.

– Witaj, sługo Monomacha – odezwał się człowiek z włócznią. – Kim są dla ciebie ci Żydzi?

– Są pod moją ochroną. Moją i Monomacha – oznajmił Iwanuszka. – Nie zrobili nic złego.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Może i nie. – A potem, czując, że nadszedł odpowiedni moment, by podreperować nadwerżone przywództwo, rozejrzał się po tłumie i wrzasnął: – Za Monomacha! Poszukajmy innych Żydów!

Pociągnął tłum za sobą.

Iwanuszka wszedł do domu. W środku był jedynie stary Chazar i dwie służące. Został z nimi prawie do wieczora, kiedy w mieście zrobiło się spokojniej. Dopiero wtedy wyruszył do domu brata.

Spełniły się jego najgorsze przeczucia. Rozwścieczona ciżba stanęła pod drewnianym domem wczesnym popołudniem. Wszystko wskazywało na to, że Świętopełk nawet nie próbował uciekać. Tłuszcza wdarła się do środka i mając bojara za bogatszego, niż w istocie był, zabiła go, splądrowała dom i podłożyła ogień.

Iwanuszka odnalazł zwęglone szczątki brata, zmówił nad nimi modlitwę i w zapadającym zmroku schronił się, tak jak kiedyś, w domu Chazara.

Czuł się nieco dziwnie, znów, po tylu latach, siedząc przy blasku świec ze starym Żydowinem.

Chazar doszedł już do siebie po ataku tłumu. A Iwanuszka, choć poruszony śmiercią Świętopełka, nie popadł w głęboki smutek.

Zjedli razem kolację, niewiele mówiąc. Jednak widać było, że starzec, wciąż myśląc o tym, co się stało po południu, chce coś z siebie wyrzucić. Dlatego Iwanuszka nie zdziwił się, gdy po skończonym posiłku Żydowin oznajmił ostro:

– Nigdy by do tego nie doszło, gdyby nasz kraj był dobrze rządzony.

– A co dokładnie macie na myśli? – spytał Iwanuszka z szacunkiem.

– Waszych ruskich książąt – odparł Chazar pogardliwie. – To głupcy. Żaden z nich nie ma pojęcia o władaniu imperium. Nie mają odpowiednich praw, nie mają planu.

– Ależ mamy prawa.

Żydowin jedynie wzruszył ramionami.

– Zwyczajowe prawa Słowian i wikingów. Owszem, prawo kościelne jest lepsze,

ale to prawo greckie i rzymskie, rodem z Konstantynopola. A kto zajmuje się bieżącym administrowaniem? Głównie Chazarowie wespół z Grekami. Dlaczego wasz naród podniósł bunt? Bo książęta albo łamią prawo, albo nie umieją go egzekwować. Albo w ogóle nie ma praw, które chroniłyby lud przed ciemiężcami.

– To prawda, kraj nie jest dobrze rządzony.

– Bo brakuje wam dobrego prawa. Książęta nie potrafią uzgodnić skutecznych zasad sukcesji, więc ciągle ze sobą walczą, a to osłabia państwo.

– Musicie jednak przyznać – zaprotestował Iwanuszka – że przekazywanie korony z brata na brata pochodzi nie od Waregów, ale od ludów tureckich. Wzięliśmy ten system od was, Chazarów.

– Zapewne. Tyle że wasi ruscy władcy nie umieją utrzymać porządku. Chyba nie zaprzeczysz. Dom książęcy pograżył się w chaosie.

W słowach starego Chazara było ziarno prawdy. Mimo to Iwanuszka jakoś nie potrafił przyznać mu racji. I chociaż dzisiejsze zachowanie tłuszczy, te wszystkie nienawistne wrzaski budziły w nim obrzydzenie, nadal myślał po swojemu: Żydzi się mylą. Z tym swoim bezbrzeżnym przywiązaniem do praw i systemów zostali daleko za nami.

Westchnął ciężko.

– Prawo to nie wszystko, dobrze o tym wiesz.

Żydowin spojrzał mu w oczy.

– Nic innego nie mamy – powtórzył z uporem.

Iwanuszka pokręcił głową. Jak miał to wytłumaczyć?

Bo przecież istniała znacznie lepsza droga. Chrześcijaństwo.

Zapewne nie umiałyby tego ubrać w słowa, ale nie miało to znaczenia. Bo czyż nie zostało to już powiedziane w najświetniejszym kazaniu w dziejach ruskiego Kościoła?

Kazanie zostało wygłoszone tuż przed jego narodzinami, ale zapisano je tak wiernie, że już w dzieciństwie znał duże fragmenty na pamięć. Pochodziło od wielkiego słowiańskiego duchownego Hilariona i powstało na cześć świętego Włodzimierza. Nosiło tytuł *Słowo o zakonie i lasce*, a jego przesłanie było bardzo proste. Żydzi przekazali ludzkości boskie prawo. Ale potem pojawił się Syn Boży, przynosząc prawdę bardziej doniosłą – o władzy łaski i miłości bożej, która jest większa niż ziemskie prawa. Nowy słowiański Kościół miał rozpowszechnić ten cudowny przekaz po lasach i bezkresnym stepie.

Ale jak Iwanuszka miał powiedzieć o tym Żydowinowi? Przecież Żydzi i tak tego nie przyjmą.

Czyż całe jego życie nie było jedną wielką pielgrzymką w poszukiwaniu bożej miłości? Przecież właśnie on, głupi Iwanuszka, doświadczył bożej miłości bez znajomości ksiąg z prawami.

Nie pragnął świata rządnego systemem praw. Było to sprzeczne z jego naturą. Z bożą pomocą da się znaleźć jakieś prostsze rozwiązanie.

– Jedyne, czego nam trzeba – oznajmił – to mądry i bogobojny człowiek, prawdziwy książę i silny władca.

To średniowieczne złudzenie miało się stać przekleństwem całych dziejów Rosji.

– Na szczęście – ciągnął – Bóg dał nam Monomacha.

Ale wychodząc, na znak sympatii ofiarował starcowi mały podarunek: był to niewielki metalowy krążek, który nosił na łańcuszku na szyi, z wizerunkiem Trójzębu, herbu jego klanu.

– Przyjmij go – powiedział. – Niech ci przypomina, że nawzajem uratowaliśmy sobie życie.

A kilka dni później książęta pokłonili się przed wiecem, co zapoczątkowało rządy jednego z największych monarchów w historii Rusi – Włodzimierza Monomacha.

Radość Iwanuszki była tym większa, że jeszcze tej samej jesieni – a wyglądało to naprawdę na cud – udało się dokończyć budowę małej cerkwi w Rusce.

Często wyprawiał się na wieś, zostawał tam na kilka dni, udając, że przeprowadza inspekcję majątku, ale tak naprawdę rozkoszował się spokojem okolicy.

A gdy dzień zmierzał ku końcowi, lubił patrzeć na swoje małe dzieło. Cerkiew jaśniała łagodnie w popołudniowym świetle, ostatnie promienie odchodzącego słońca ogrzewały jej różową fasadę. I kiedy słońce powoli chyliło się ku zachodowi, Iwanuszka długo patrzył na kościółek na trawiastym wzniesieniu nad rzeką, mając za plecami mroczniejący las.

Czy nad złotą bizantyjską kopułą, świecąca w ostatnich rozbłyskach zachodu, unosiła się atmosfera zagrożenia albo smutku? Nie. Iwanuszka był przepelniony ufnością. Wydawało mu się, że nic nie zakłóci spokoju tego małego Domu Bożego stojącego nad rzeką na granicy lasu.

Cała przyroda trwała w bezruchu w bezkresnej ruskiej ciszy.

A kiedy czasem stał na brzegu rzeki przy cerkwi, wydawało mu się, że rozległe niebo nad stepem – bez względu na to, w którą stronę przesuwiają się chmury – wygląda jak wielka rzeka, nieruchoma, a jednocześnie nieustannie niknąca w dali.

I często, nawet w letnie dni, ponad ziemią płynął lekki wiatr ze wschodu.

## Tatarzy

*Grudzień 1237 roku*

Szeroka, mongolska twarz jeźdźca, ogorzała od wiatru i słońca, przybrała brunatny kolor.

Jego czarna, rzadka broda i wąsy zwisały w strąkach.

Była zima, więc jeździec miał na sobie grube futra, ale pod nimi bieliznę z najlepszego chińskiego jedwabiu. Stopy okrywały mu filcowe onuce i ciężkie skórzane buty. Głowę chroniła przed mrozem futrzana czapa.

Liczył sobie dwadzieścia pięć lat, ale z powodu wiatru, niesprzyjającej pogody i ciężkiego życia na stepie wyglądał starzej.

Przy pasie miał bukłak ze sfermentowanym mlekiem klaczy, kumysem, ulubionym napojem jego ludu. Do siodła przytroczył skórzany worek wypełniony suszonym mięsem. Mongolscy wojownicy zawsze podróżowali z tym, co było konieczne do przeżycia.

Czyli także z żoną. Ona i dziecko jechali w wielkiej karawanie wielbłądów, które niosły cały ciężki ekwipunek.

Tylko jedna cecha fizyczna odróżniała tego jeźdźcę od współtowarzyszy. Cztery lata wcześniej włócznia omal nie ugodziła go w lewe oko – grot pozostawił po sobie głębokie rozcięcie od kości policzkowej do ucha, zamiast którego sterczał jedynie poszarpany kikut. „Ale miałem szczęście!” – zauważył wtedy wojownik i szybko zapomniał o całym zdarzeniu.

Na imię miał Mengu.

Armia sunęła powoli po zamarzniętym stepie. Jak zwykle była podzielona na pięć kontyngentów jednakowej wielkości: na obu skrzydłach jechała przednia i tylna straż, a środkiem poruszał się pojedynczy oddział.

Mengu został przydzielony na prawe skrzydło. Za sobą miał setkę swoich ludzi. Była to lekka jazda – każdy z wojowników, wyposażony w dwa łuki i dwa kołczany, mógł strzelać nawet w galopie. Łuki budziły lęk – duże i mocne, z siłą naciągu przekraczającą siedemdziesiąt kilogramów, były bronią znacznie potężniejszą niż słynne długie łuki angielskie. Miały trzystumetrowy zasięg. Mengu, podobnie jak wszyscy jego rodacy, zaczął się uczyć strzelania z łuku, gdy skończył trzy lata.

Po swojej lewej stronie miał oddział ciężkiej kawalerii uzbrojonej w szable i lance, topory wojenne lub maczugi oraz w arkany.

Mengu dosiadał czarnego jak smoła konia – dzięki czemu od razu można się było domyślić, że należy do czarnej brygady w elitarnej gwardii władcy. W stadzie zapasowych koni na tyłach miał cztery inne wierzchowce, wszystkie czarne.

Był zadowolony, że żona i pierworodny syn towarzyszą mu w tej wyprawie. Chciał, żeby byli świadkami jego tryumfu. Po raz pierwszy dowodził tak dużym oddziałem.

Mongolska armia – i całe imperium, które dzięki niej wyrosło – była oparta na systemie dziesiętnym. Najmniejszy oddział miał dziesięciu ludzi, następny stu. Wyżsi



rangą dowodzili tysiącem, a generałowie dziesięcioma tysiącami żołnierzy. Mengu miał pod sobą setkę. „Zanim wyprawa się zakończy, będę dowodził tysiącem” – zapewniał żonę. A gdy już podbiją resztę ziem na zachodzie, które – jak opowiadali mu kupcy – ciągnęły się aż po kres równiny, być może zasłuży sobie nawet na dziesięć tysięcy.

Bardzo pragnął awansu. Ale wiedział, że musi zachować ostrożność i rozwagę.

Bo choć w służbie u wielkiego chana wszyscy byli równi, a awans zależał od zasług, to najważniejsze było wyczucie i dobra ocena sytuacji. Jak mówiło stare azjatyckie przysłowie: „Jeśli wiesz za dużo, powiesz cię, a jeśli jesteś zbyt skromny, zadcpczą”.

Korzystne było też to, że należał do klanu, któremu dobrze się wiodło. „Jestem z tej samej kości co dwóch generałów” – powtarzał sobie, nawiązując do mongolskiego wyrażenia. Dzięki temu dostał się do gwardii władcy.

I było jeszcze coś, co mogło przyspieszyć awans.

Jego siostra została wyróżniona w jednym z konkursów piękności, które wielki chan regularnie organizował i na które wysyłano córki najznamienitszych mongolskich rodów. „Ta dziewczyna jest podobna do księżycy” – zauważył wielki chan. Te słowa były największą pochwałą. Dziewczyna została konkubiną samego Batu-chana. Mengu kilka razy widział ją przy jego namiocie.

Już ona się postara, żeby mnie zauważył, myślał z ufnością. Jego zacięta, niezdradzająca uczuć twarz z zadowoleniem patrzyła na horyzont.

Wiedział, że niedługo dotrą do skraju lasów.

Według używanego przez Mongołów dwunastoletniego zwierzęcego kalendarza do roku Szczura brakowało dwóch lat. A do końca roku Szczura wszystkie ziemie ruskie miały zostać podbite. Był tego pewien tak samo jak tego, że słońce wszędzie, a gwiazdy zaświecą.

Bo Mongołowie zamierzali podbić cały świat.

Tak przepowiedział Czyngis-chan. To on, z racji urodzenia przywódca jednego z wyższych klanów, zaledwie trzydzieści lat wcześniej, w 1206 roku, zjednoczył wszystkie mongolskie klany i odebrał starożytnym tureckim imperiom leżącym na azjatyckiej równinie tytuł chana. Czyngis – czyli Wszechpotężny.

Przed nim inni też nosili tytuł chana, ale nikomu nie udało się zbudować imperium.

Mongolscy wojownicy, od dziecka oswojeni z siodłem i łukiem, wyruszyli z rodzinnych pastwisk leżących na północ od pustyni Gobi i skierowawszy się na południe, przekroczyli Mur Chiński, wdzierając się do Chin, innych państw Azji Środkowej oraz Persji. A były to państwa potężne, umiejące się bronić. Rozgorzały zaciekle walki, lecz Czyngis wszystkich pokonał. Po kilku latach poddało się miasto Pekin, a do 1220 roku w rękach Czyngis-chana była niemal cała Persja. Wreszcie Mongołowie, jak wszyscy zdobywcy ze wschodu, przekroczyli górski półksiężyc i wylali się na wielką, otwartą równinę eurazjatycką.

Każde azjatyckie imperium stawiało sobie za cel przejęcie kontroli nad szlakami handlowymi prowadzącymi na zachód, zapewniało to bowiem duże zyski. Jednak Czyngis-chan nie zamierzał na tym poprzestać – chciał utworzyć państwo obejmujące cały świat. Uważał to nie tylko za swoją misję, ale i obowiązek.

„Tengri, bóg Wielkiego Błękitnego Nieba, przekazał mi władzę nad wszystkimi ludami mieszkającymi w filcowych namiotach” – ogłosił. Wprawdzie odnosiło się to jedynie do ludów koczowniczych, ale on rozszerzył ten nakaz na cały świat. I podobnie jak podbici przez niego chińscy cesarze utrzymywał, że to polecenie z nieba.

Jego celem – o czym historia, nie bez powodu, często zapomina – było zaprowadzenie światowego pokoju. Zasady nowego porządku zawierała *Jasa* – prawo ustanowione przez Czyngis-chana – której kopia była przechowywana w mongolskiej stolicy w sekretnym miejscu i z dala od ludzkich oczu, jak tablice z dziesięcioma przykazaniami.

„Wszyscy ludzie są sobie równi – głosiła *Jasa* – i wszyscy, tak jak umieją, mają służyć Wielkiemu Chanowi”. Podobną formułą posługiwano się też w innych imperiach, chociażby w Chinach. „Starcy i biedacy mają być otaczani opieką” – nakazywała *Jasa*. I rzeczywiście, imperium Czyngis-chana było w pewnym sensie państwem opiekuńczym.

A będąc mądrzejszym niż większość despotów, Czyngis-chan dopuścił wolność religijną. „Możecie wierzyć, w co chcecie – słyszały podbite narody – ale musicie się modlić za Wielkiego Chana”. A wszystko to zawierało się w prostej formule: „Jest jeden bóg na niebie, a na ziemi jeden władca, Wielki Chan”.

W 1227 roku Czyngis-chan zmarł. Wielu wierzyło, że wzleciał wprost do nieba jak sokół, który był symbolem jego klanu. Ale imperium trwało. I przez wiele stuleci kolejni chanowie mieli być wybierani spośród jego licznych potomków z królewskiego rodu.

Imperium, które Czyngis-chan zostawił swoim synom, podzielono na cztery części. W świecie Orientu każdy kierunek miał swój kolor: północ była czarna, południe czerwone, wschód niebieski, a zachód biały. Dla królewskiego centrum zarezerwowany był kolor złoty.

Dlatego potomkowie Czyngis-chana nazywani byli Złotym Rodem.

On sam dał swoim synom jeden rozkaz: powiększania imperium. I pozostawił im w spadku nie srebro i złoto, ale armię.

Na czele ogromnych wojsk, które w 1237 roku wyruszyły na zachód, stał Batu-chan, wnuk Czyngis-chana. Jego prawą ręką był wielki mongolski dowódca Subedej. Rada klanu wielkiego chana postanowiła, że armia, choć należąca do zachodniej części imperium, zostanie wzmocniona oddziałami z pozostałych regionów. Ocenia się, że liczyła blisko sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi, głównie Mongołów, ale także Turków z podbitych ziem centralnej Azji.

Armia oraz imperium, którym władała, przeszły do historii jako Złota Orda. Właściwie nazwa ta była skutkiem błędnego odczytania tekstu napisanego kilka wieków później. Rozległych mongolskich ziem na zachodzie nie nazywano złotymi – do zachodu przypisany był kolor biały. A wojska pochodzące z tej białej części, które miały podporządkować sobie Ruś, zwano Wielką Ordą.

Mongołowie byli doskonale poinformowani. Za czasów Czyngis-chana wysyłali ekspedycje aż za Don, jednak Rusini nie mieli pojęcia, kim są ci przybysze. Potem pojawiali się szpiedzy, wiedzę czerpano też z opowieści kupców wędrujących z karawanami. Wieści na stepie rozchodziły się szybko. Władcy potężnego imperium przygotowywali swój plan, podczas gdy Rusini nawet nie wiedzieli o ich istnieniu.

– To nie będzie długa wyprawa – zapewniał Mengu żonę.

Miał rację. Mongolska rada była przekonana, że podbój całego chińskiego imperium może potrwać sześćdziesiąt lat, ale podbój Rusi – zaledwie trzy.

O granicach i charakterze państwa ruskiego zdecydowały jego największe rzeki. Układają się one z grubsza w kształt wielkiej litery R.

Z północy na południe – z zimnych rejonów leżących nad Morzem Bałtyckim aż do szerokiego Dniepru i dalej, przez lasy i południowe stepy, do ciepłych wód Morza Czarnego – ciągnęła się wielka sieć szlaków wodnych. Tworzyła ona pionową nogę wielkiego R, na której leżały takie miasta jak Nowogród na północy, Smoleńsk pośrodku i Kijów tuż na granicy stepu.

Prawą nogę R, ciągnącą się ze środka na południowy wschód aż do wschodniego rogu Morza Czarnego i Tmutarakanii, tworzył wielki Don.

Pętlę R uformowały dwie rzeki: majestatyczna Wołga na górze, która zaczynała bieg w mrocznych północno-zachodnich lasach, a potem zakręcała na południe, oraz leniwa Oka, wypływająca ze środka R i zakręcająca na północ, by dalej wpaść do Wołgi. Z tego miejsca, leżącego mniej więcej w połowie brzucha R, Wołga znów kierowała się na wschód, płynąc przez bezkresną eurazjatycką równinę.

W tej ogromnej pętli R – na ziemiach, gdzie dominowały lasy i mokradła, od niepamiętnych czasów zamieszkiwanych przez prymitywne ludy fińskie – powoli powstawały miasta: Suzdań w części środkowej, nieco dalej na północ Rostów, a nad Oką Riazan i Murom.

Cztery wielkie rzeki: Dniepr, Wołga, Oka i Don. Ponad tysiąc pięćset kilometrów z zamarznętej północy do ciepłego Morza Czarnego. Prawie dziewięćset z zachodu na wschód, w poprzek brzucha R. Kształt ruskiego państwa wyznaczały wielkie rzeki.

W stuleciu, które nadeszło po panowaniu Włodzimierza Monomacha, na Rusi zaszła ważna zmiana. Jej władcy coraz bardziej interesowali się terenami położonymi wewnątrz pętli obrysowanej przez Okę i Wołgę. Powstały nowe miasta, między innymi Jarosław i Twer. Monomach osobiście założył potężne miasto w okolicach Suzdału i nazwał je swoim imieniem – Włodzimierz. W tym samym czasie na południu działo się źle. Połowcy wciąż najeżdżali kraj, a w wyniku nieudanych krucjat, które niemal doprowadziły do zniszczenia Konstantynopola, czarnomorski handel znacznie osłabł, przez co Kijów zaczął powoli tracić swoją świetność.

Wszystkie te wydarzenia sprawiły, że centrum życia politycznego Rusi przesunęło się na północny wschód, do środka rzecznej pętli. Dumni potomkowie Monomacha woleli tereny zalesione, dokąd nie zapuszczali się połowieccy najeźdźcy. Najstarszy członek królewskiego rodu przyjął tytuł wielkiego księcia włodzimierskiego, a Złoty Kijów, jak sławna kobieta, która mimo upływu lat wciąż jest piękna, stał się jedynie posiadłością, przedmiotem dumy bogatych i potężnych książąt.

Wielcy książęta włodzimierscy rzeczywiście byli potężni. Władali Nowogrodem i mieli w swoich rękach ożywiony handel z hanzeatyckimi miastami, a nawet z dalej położonymi krajami. To do nich przybywały duże karawany wędrujące przez stepy i lasy z Orientu i z ziem Bułgarów nadwołżańskich.

Żeby nadać nowej północnej stolicy także znaczenie religijne, przywieziono

z Grecji świętą ikonę Matki Bożej i umieszczono ją w nowej katedrze. Żaden inny święty obraz nie cieszył się na Rusi takim uwielbieniem jak Włodzimierska Ikona Matki Bożej.

Ruskie państwo miało jednak poważną słabość: nie było zjednoczone. I chociaż przy obsadzaniu tronu wielkiego księcia wciąż obowiązywał porządek braterskiej sukcesji, to poszczególne miasta powoli zamieniały się w ośrodki władzy dla różnych gałęzi licznych rodów panujących. Trwały między nimi nieustanne spory. Żadnemu z władców Włodzimierza nie udało się narzucić jedności.

Ruś była rozbita. I Mongołowie o tym wiedzieli.

*Rok 1239*

Janka obudziła się o świcie. Niebo zaczynało blednąć.

Cichutko zsunęła się z ciepłej półki nad paleniskiem i podeszła do drzwi. Słyszała oddechy rodziców i brata. Nikt się nie poruszył.

Włożyła futra i grube filcowe buty, otworzyła drzwi i wyszła na skrzypiący śnieg.

W półmroku świtu wioska wydawała się szara. Po prawej stronie, w odległości kilku metrów, na śniegu widniała czarna plama. Przyjrzała się jej. Były to jedynie psie odchody zamarzniete nocą na kamień. Powietrze stało nieruchomo, z kurnych chat rozchodził się zapach drzewnego dymu. Janka ruszyła przed siebie.

Nie było żadnego szczególnego powodu, dla którego miałaby pójść o świcie do lasu. Chyba tylko ten, że po bezsennej nocy miała ochotę znaleźć się na otwartej przestrzeni, z dala od wsi. Podążała teraz ścieżką między drzewami.

Miała siedem lat. Była cichą, spokojną dziewczynką o piwnych oczach i płowych włosach. W porównaniu z innymi dziećmi w Rusce mogła się uważać za szczęściarę: rodzina jej matki pochodziła od Szczeka, który w czasach bojara Iwana i wielkiego księcia Monomacha był bartnikiem. W chwili śmierci Szczek był właścicielem wielu barci, a kilka pokoleń później matka Janki mogła się pochwalić bogatym posagiem, w którego skład – oprócz tradycyjnej kądzieli, skrzynki na sól i maselnicy – wchodziło też kilka leśnych uli. Matka, wesola i dowcipna, odziedziczyła po przodkach gęste ciemne włosy i krępą sylwetkę. Uwielbiała śpiewać. Janka widziała, że czasem rodzice się kłóca, usłyszała nawet, jak matka mówi coś pogardliwie. Mimo to ich dom można było uznać za szczęśliwy.

Słońce miało niedługo wzejść. Pierwsze promienie rozświetliły pojedynczą białą chmurę. Janka szła coraz dalej. Poczowała słaby, ziemisty zapach lisa, który musiał przebiec przez ścieżkę. Rozejrzawszy się, zobaczyła go między drzewami w odległości trzydziestu kroków.

– Dzień dobry, lisie – powiedziała cicho.

Lis oddalił się bezszelestnie, zostawiając na śniegu ślady łap.

Czas wracać. Ale wcale nie miała na to ochoty. Coś przyzywało ją na step. Popatrzę na wschód słońca nad stepem, pomyślała. A potem wrócę do domu.

Ruska była coraz bardziej odcięta od świata. Fort nadal stał, ale powoli niszczał, bo książę nie mieszkał już w Perejasławiu. Rodzina bojara od dawna nie przyjeżdżała do wsi. Wnuk Iwanuszki, także Iwan, ożenił się z Połowczanką, a ich syn, jasnowłosy

młodzieniec imieniem Milej, z błękitnymi oczami osadzonymi w twarzy o wydatnych kościach policzkowych, nie interesował się Ruską. Wieśniacy nazywali go Turkiem, chociaż w porównaniu z innymi ruskimi książętami, w których żyłach płynęło siedem ósmych połowieckiej krwi, Turkiem wcale nie był. Rodzina bojara miała też duże posiadłości na północnym wschodzie, nad Oką, a sam bojar mieszkał w Muromie. Od czasu do czasu we wsi pojawiał się jego zarządca i pobierał zyski z barci. Ród zachował też mały kościół, choć przez większość czasu opiekował się nim jedynie stary, na wpół ślepy ksiądz.

Za krótkiego życia Janki Ruska popadła w stan łagodnego letargu – mieszkańcy zbierali plony, podkradali miód z barci, oszukiwali nieobecnego bojara, latem wysiadali na dworze, wieczorami długo śpiewali na skraju stepu.

Wiedzieli jednak, że za horyzontem czai się niebezpieczeństwo.

Janka nie bardzo je rozumiała. Rok wcześniej na północy miał miejsce duży najazd. Połowcy – albo jacyś inni napastnicy – wyrządzili wiele szkód. A tej jesieni zarządca się nie pojawił. Ludzie zachodzili w głowę, co to może oznaczać. „Ale ty nie musisz się martwić – powtarzał jej ojciec. – Ze mną jesteś bezpieczna”.

Gdy dotarła do skraju lasu, słońce rozjaśniło już horyzont. Wydawało się, że białe śniegi ciągną się bez końca na wschód, a słońce wyłania się zza pochyłości ukrytej w odległych pustkowiach. Janka patrzyła jak zauroczona na wspaniałą złotą kulę, która wznosiła się na błękitnym niebie niczym wszechpotężny władca.

Powietrze było czyste i nieruchome. Nieco na lewo, w odległości półtora kilometra, niewielki pagórek wskazywał miejsce, w którym znajdował się prastary kurhan. Daleko na południu między stepem a lasem ciągnęły się warstwy długich szarych chmur z błyszczącymi złotem brzegami.

Janka wyszła spomiędzy drzew na równinę. I natychmiast ogarnęła ją bezmierna, pusta cisza stepu. Uśmiechając się, dziewczynka wciągnęła do płuc lodowate powietrze. Mogła już wracać do domu.

Ale zanim zdążyła się odwrócić, jej bystry wzrok dostrzegł daleko na horyzoncie maleńką kropkę. Przysłoniła dłonią oczy przed słońcem, nie będąc pewna, czy rzeczywiście coś tam jest. Punkt się nie poruszał. Robił się coraz większy? Po kilku chwilach uznała, że nie. Dziwne, pomyślała. To pewnie drzewa rzucające długi cień.

Ruszyła w drogę powrotną, a słońce, pan błękitnego nieba, przejęło władzę nad porankiem.

Mengu ją obserwował.

Wyjechał z obozu o brzasku i wkrótce dotarł na niewielkie wzniesienie, skąd roztaczał się rozległy widok. W odległości piętnastu kilometrów widział wyraźnie linię drzew, a nawet maleńką postać, która wyłoniła się z lasu.

Janka miała ostry wzrok, ale nie mógł się on równać ze wzrokiem Mengu.

W przejrzystym powietrzu poranka, zanim podniesie się mgła lub kurz, mieszkańcy stepów i pustyń potrafią zobaczyć ludzką postać z odległości piętnastu kilometrów. A wytrawny wojownik dostrzeże rękę człowieka chowającego się za skałą z odległości dziesięciu kilometrów.

Dlatego Mengu swoim sokolim wzrokiem wyraźnie widział dziewczynkę, która

wyszła na step, a potem wróciła do lasu.

Uśmiechnął się. Do tej pory wszystko szło im gładko. Miasta na północy – Rianzań, Murom, Włodzimierz – poddały się. Armia wielkiego księcia została zniszczona. Żałował jedynie, że wiosenna aura kazała im zawrócić, zanim dotarli do Nowogrodu. Nieszczęsne ruskie grody, mimo wysokich murów, były bez szans. Mongołom, którzy wcześniej oblegali potężnie ufortyfikowane chińskie miasta, wydawały się słabe i bezbronne.

A teraz Mongołowie wrócili zimą, żeby podbić południe Rusi. Także w tym przejawiała się ich mądrość.

Bo powszechne przekonanie, że zima jest dla Rusi ochroną, było błędne. Zima to najodpowiedniejsza pora do ataku na Ruś. Wiosną i jesienią ziemia robi się tam zbyt błotnista, latem trzeba się przeprawiać przez wielkie rzeki. Ale zimą rzeki skuwa lity lód, więc jeśli ktoś dobrze znosi chłody i umie wędrować po śniegu, step stoi przed nim otworem. Surowe zimy nie były Mongołom obce. Wręcz je lubili.

Mengu patrzył w zamyśleniu na odległą linię drzew, gdzie zniknęła dziewczynka. Na razie wyprawa przebiegała pomyślnie, nie miał na co narzekać. Był tylko jeden problem: nadal nie zyskał uznania generała.

Siostra wstawiła się za nim u Batu-chana, ale wieści nie były pocieszające. Gdy Batu-chan dowiedział się o nadziejach Mengu, oznajmił krótko: „Świetnie. Niech się czymś wykaże”.

Dlatego Mengu potrzebował jedynie sprzyjającej okazji, chociażby niewielkiej potyczki, która rozegrałaby się na oczach dowódcy. Z zadumą pokiwał głową. Taka okazja nadejdzie. I to całkiem niedługo.

Przeczesał wzrokiem las. Skoro dziewczynka zawędrowała na skraj stepu, to znaczy, że wioska jest niedaleko.

Dotrą tam przed południem.

Janka obudziła się i jej twarz zbladła z przerażenia.

Byli wszędzie. A ona została sama.

Stała przy oknie, drżąc konwulsyjnie na całym ciele. Byli tak blisko, że czuła zapach końskiego potu. Jeźdźcy w grubych futrach, z dużymi łukami zawieszonymi na plecach, niemal ocierali się o okapy dachów. Kilku miało w dłoniach zapalone pochodnie.

Gdzie są wszyscy?

Nie do końca rozbudzona ze snu, spojrzała za siebie. W chacie nie było nikogo. Przez chwilę zbierała myśli.

Przypomniała sobie, że wczesnym przedpołudniem ojciec zaprzął do sań starą klacz i pojechał w dół zamrzniętej rzeki do sąsiedniej wioski. Czyste poranne niebo zaciągnęło się po paru godzinach. Jeszcze przed odjazdem ojca powoli napłynął z południa wał chmur, rzucając na wszystko brązowawy cień. Zapanował smutny, przytłaczający nastrój. Nic się nie działo, więc matka postanowiła pójść do fortu. Janka została w domu i zasnęła.

Nie usłyszała pierwszych krzyków.

A teraz jawa była gorsza niż najstraszniejszy koszmar. Stukot końskich kopyt na zamrzniętym śniegu odbijał się w izbie głośnym echem.

Janka nie mogła tego wiedzieć, ale wieśniacy uciekli zaledwie kilka minut

wcześniej. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Nagle na skraju pola pojawił się jeździec. Potem trzech. A gdy ludzie zaczęli krzyczeć, była ich już cała setka. Tak jakby wszystkie drzewa zamieniły się w jeźdźców i zbliżały się do wsi uzbrojone w łuki i włócznie.

Mongolskie wojsko wtopiło się w lasy i posuwało w pięciu wielkich grupach frontem szerokim na pięć kilometrów. Ruska leżała mniej więcej pośrodku tej linii. A teraz Mongołowie wylewali się na śnieg jak ciemne wody wezbranej rzeki.

Wieśniacy byli tak zaskoczeni, że mogli się jedynie ratować ucieczką. Ktoś uderzył kilka razy w drzwi domu Janki, ale uznawszy, że chata jest pusta, pobiegł dalej. Ludzie uciekali przez zamarzniętą rzekę jak zwierzyna łowna szukająca schronienia. Część skierowała się do fortu, inni pobiegli do cerkwi, jeszcze inni woleli się ukryć w lesie.

Matka Janki spojrzała ku wsi spod bramy fortu, gdy tylko rozległ się pierwszy krzyk. Poczowała ucisk w gardle, a potem serce zaczęło jej bić jak szalone.

Wieśniacy uciekali bezładnie – małe, żałosne postacie biegły po szarawym lodzie. Gdzie jest Janka?

Po chwili dotarło do niej, że nikt z mieszkańców wioski nie zdaje sobie sprawy z ogromu ciągnącej się wzdłuż rzeki linii mongolskich wojsk.

Jeszcze raz spojrzała uważnie na uciekających pobratymców – gdzie jest Janka?

Rzuciła się biegiem w dół stoku, ku rzece i mongolskim jeźdźcom, którzy zdążyli już dotrzeć na przeciwny brzeg. Nie mogła widzieć, że chwilę później wieśniacy nierozważnie zamknęli za sobą bramy fortu.

Mengu aż nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, gdy po zamknięciu bram podjechał do niego dowódca. Był to przysadzisty mężczyzna, gburowaty i małomówny. Podniósł rękę i wskazał biczem drugi brzeg rzeki.

– Zdobyć ten fort – rzucił.

Mengu nareszcie mógł się wykazać. W umyśle przemknął mu obraz siostry. Doskonale zdawał sobie sprawę, że w otoczeniu wielkiego chana wszystko, nawet pozornie nieistotna zwłoka ma znaczenie. Myślał gorączkowo, oceniając sytuację.

Zatrzymał się jedynie na chwilę, żeby potwierdzić przyjęcie rozkazu, a potem zawrócił konia i wydał dwie krótkie komendy, które zabrzmiały jak warknięcia. Najbliższe oddziały ustawiły się w rozwidloną linię i ruszyły przez rzekę, żeby otoczyć fort i cerkiew.

Mengu przywołał dziesiętnika.

– Jedna maszyna oblężnicza. Katapulta – rozkazał.

Dziesiętnik odjechał po zamarzniętej rzece.

Ciężki sprzęt wojenny przewożono kilkaset metrów dalej na północ, gdzie las był rzadszy.

Mongolskie oblężenia przypominały polowania wielkiego chana. Z okrażonej twierdzy nie było żadnej możliwości ucieczki. Gdy jakieś znaczące miasto zamierzało się długo bronić, Mongołowie wznosili wokół niego drewnianą ścianę, jakby chcieli oznajmić: „Wydaje wam się, że wasze mury was chronią. Patrzcie, zostaliście uwięzieni przez nasze”. A potem powoli, bez pośpiechu, rozprawiali się z obroną twierdzy. Albo zasypywali fosę i budowali ponad murami mosty. Nigdy nie odstępowali. Los oblężonej

twierdzy był przesądzony.

Mengu spojrzął na żałośnie mały drewniany fort. Głupcy, zamknęli bramy. Gdyby zostawili je otwarte, napastnikom nawet nie przysłoby do głowy, żeby spalić warownię.

Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Teraz z łatwością będzie mógł się wykazać.

Najważniejsze, by działać szybko. Dowódca nie byłby zadowolony ze zwłoki w przemarszu.

– Pospiesz się! – krzyknął za dziesiętnikiem, lecz ten był zbyt daleko, by go usłyszeć.

Mengu, zniecierpliwiony, zmarszczył brwi.

Janka się zawahała.

Jeźdźcy wyjechali z wioski. Podpalili dwie chaty, ale resztę zostawili w spokoju. Jakiś rozkaz kazał im ruszyć szybko nad rzekę. Nagle zrobiło się cicho.

Może jej bliscy są gdzieś niedaleko. Może leżą nieżywi. Albo uciekli, zostawiając ją na pastwę losu. Co robić? Bała się jeźdźców, ale jeszcze bardziej ją przerażało, że jest sama.

Wyszła na zewnątrz.

Jeźdźcy byli już nad rzeką. Dotarłszy na skraj wioski, zobaczyła dwie linie jazdy posuwające się kłusem po lodzie. Najwyraźniej zamierzali okrążyć fort. Po lewej stronie, za starym cmentarzem, stał trzystuosobowy oddział piechoty. Żołnierze mieli na sobie osłony z grubej skóry, ich szeregi pobłyskiwały ostrzami długich włóczni. Po prawej kilku jeźdźców czekało obojętnie na brzegu. Tuż przed sobą, na skraju lodu, dostrzegła pojedynczego jeźdźca. To chyba on wydawał rozkazy. Nikt jej nie zauważył.

Nagle zobaczyła jeszcze coś. I miała ochotę krzyknąć z radości.

Pierwszy zauważył ją Kij, jej brat.

On i ojciec wracali właśnie ze swojej wyprawy. Dojeżdżali do ostatniego zakrętu rzeki przed wsią, gdy ojciec zawołał nagle:

– A niech to diabli! Patrz tam! Połowcy!

Kij spojrzął na prawo. Nad brzegiem, pomiędzy drzewami, ujrzał trzech jeźdźców. Po chwili zauważył dziesięciu. Potem pięćdziesięciu. Ojciec szarpnął lejcam. Sanie skręciły gwałtownie.

– Są za nami?

Kij spojrzął do tyłu.

– I to ilu! Przejeżdżają przez rzekę.

Ojciec zaklął.

– A mama i Janka?! – zawołał chłopiec.

Ojciec nie odezwał się i z całej siły uderzył lejcam w zad klaczy. Wzdrygnęła się, szarpnęła gniewnie łbem i popędziła w kierunku zakrętu.

– Boże, spraw, żeby ich tam nie było – mrucał ojciec pod nosem.

Małe sanie śmięły po lodzie. Ojciec i syn wstrzymali oddech. Napastników było bardzo dużo. Kij zaczął się w duchu modlić. Gdy mijali zakręt, wydawało im się, że brzeg jest pusty, ale po chwili dosłownie wpadli na mongolskich wojowników.

Tuż przed nimi linia jeźdźców przeprowiała się kłusem przez zamarznąłą rzekę. Kij nie zauważył matki, ale gdy ojciec skręcił saniami w prawo, żeby szukać ucieczki



w lesie, krzyknął:

– Tam jest Janka! Na brzegu! Zobaczyła nas!

Ze zdziwieniem usłyszał, jak ojciec mruczy pod nosem:

– A niech to diabli. Zabiją nas wszystkich przez ciebie.

A potem zobaczył, jak jego siostra biegnie w kierunku Mongołów.

Bo Janka dostrzegła także matkę, która zbliżała się do niej po lodzie pomiędzy dwoma strumieniami jeźdźców. Dziewczynka otworzyła usta, żeby zawołać, ale jak w sennym koszmarze wydała z siebie jedynie cichy szept, którego nikt nie usłyszał. Zrobiła kilka kroków do przodu. Dopiero wtedy matka ją zobaczyła.

Jankę zalała fala ulgi. Była bezpieczna. Bez chwili zastanowienia pobiegła do matki na zamarznąłą rzekę, nie zważając na stojącego pomiędzy nimi mongolskiego jeźdźca.

Mengu patrzył uważnie. Co ta chłopka robi?

Czekał z niecierpliwością na machinę oblężniczą. Za chwilę powinna zająć odpowiednią pozycję. Zerknął na swoich żołnierzy. Pierścień wokół fortu niemal się zamknął. To będzie jego dzień. Świadomie starał się nie patrzeć w kierunku najwyższego dowódcy.

– W ciągu godziny fort będzie nasz – mruknął.

Był podekscytowany, choć jego twarz nie wyrażała emocji. Czuł się jak na obławie podczas królewskiego polowania. Ale dzisiaj obława należała do niego. Przez najbliższą godzinę to on będzie najwyższym wodzem, prawie księciem. Ja im wszystkim pokażę, pomyślał chępliwie.

Ale kim jest ta chłopka?

Nagle przypomniał sobie opowieść zasłyszaną kilka miesięcy wcześniej. Kiedy Mongołowie podpalali Rianzań, jakaś wieśniaczka, zapewne podobna do tej, rzuciła się na młodego oficera. „Uważajcie na ich kobiety” – brzmiało ostrzeżenie. Z irytacją zmarszczył brwi. Kim ona jest, że zakłóca królewskie łowy? Nie pozwoli, by jakaś ruska chłopka zagroziła jego karierze.

Kobieta rzuciła się biegiem, kierując się wprost na niego.

Lekko ścisnął kolanami boki konia. Wierzchowiec ruszył do przodu. Mengu wyciągnął szablę, zamachnął się i zadał jeden cios. Kobieta skuliła się i osunęła na lód.

Odwrócił się i spojrzał wyczekująco tam, gdzie miała się pojawić machina.

– Mamo!

Obrócił się gwałtownie. Nowe zagrożenie? Zareagował odruchowo: podniesiona szabla, spięta twarz, wyszczerzone zęby.

Błada jak śnieg, przerażona dziewczynka uklękła obok kobiety. Z szerokiej rany płynęła krew. Kobieta miała otwarte oczy, patrzyła na dziecko, usiłując coś powiedzieć.

Przez ułamek sekundy Mengu też zapomniał o całym świecie. Widział jedynie twarz matki i jej córki.

– Janka!

Jeszcze jeden okrzyk. W odległości dwustu metrów zobaczył mężczyznę i chłopca w saniach. Wcześniej zasłaniali ich przeprawiający się przez rzekę jeźdźcy.

– Janka!

Wieśniacy stali przy saniach, nie wiedząc, co robić, naprzeciwko kilkuset

łuczników, którzy mogliby ich zabić w jednej chwili.

Oczy kobiety zrobiły się szkliste. Odeszła.

Końskie kopyta zastukały na lodzie. Mongolski jeździec pochylił się, jedną ręką chwycił dziewczynkę i popędził w kierunku sań, wzniesając za sobą tuman śniegu. Rzucił dziewczynkę na ziemię. Spojrzał z pogardą na chłopca i jego ojca, a potem gestem dłoni kazał im odjechać.

Po chwili sanie zniknęły wśród drzew.

Mongołowie nie mieli zwyczaju zabijania chłopów na podbitych ziemiach. Wieśniacy uprawiali rolę, płacili podatki i zapewniali rekrutów. Mongołowie zabijali jedynie tych, którzy byli na tyle głupi, by im się przeciwstawić.

Mengu zawrócił. Całe zdarzenie nie trwało nawet minuty, więc przypuszczał, że nikt go nawet nie zauważył.

Wojownicy zajęli już swoje pozycje. Katapulta była coraz bliżej, jej obsługa czekała na rozkazy. Wyrzucił z pamięci przykre zdarzenie. W głębi duszy było mu wstyd, że zabił tę kobietę. A jeśli idzie o dziewczynkę... Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Skinieniem głowy dał znak, że katapulta może zaczynać.

Mieszkańcy Ruski nigdy nie widzieli takiej maszyny. Jej zasada działania była prosta – potężna przeciwwaga na jednym końcu dźwigni pozwalała wyrzucać z drugiego ogromne kamienie. Machina miała niezwykłą moc. Chińscy mechanicy skonstruowali urządzenie, do którego ładowano kamień podnoszony przez czterech ludzi, a potem miotano nim z niszczącą celnością na odległość prawie czterystu metrów.

Pierwszy pocisk niemal całkowicie zniszczył gzyms nad bramą. Drugi zmiażdżył samą bramę.

Na rozkaz Mengu Mongołowie włączyli się do fortu. Poruszali się szybko, ale metodycznie. Mocnym kopniakiem otwierali kolejne drzwi, przeszukiwali każdą izbę, każdą szparę. Mieli włócznie i szable. Umiejętnie zarzynali wszystko, co się ruszało, mężczyzn, kobiety i dzieci. Byli tak szybcy i sprawni, że poza krótką chwilą przerażenia ich ofiary prawie nie cierpiały.

W forcie udało im się znaleźć trochę świeżej żywności oraz dziesięć ton zboża, które wywieźli wozami zabranymi z wioski. Nie tknąwszy nawet ciała, podłożyli ogień pod wszystkie budynki i pod drewniane mury.

Pożar na małym wzgórzu rósł błyskawicznie. Wkrótce cały fort stał w ogniu, teraz otoczony murem płomieni strzelających w niebo i wyrzucających ponad lasem dym i roje iskier. Mongołowie przyglądali się temu z dołu, wszędzie rozlegał się ryk, trzask i jęk zniszczenia.

Mengu odwrócił się do dziesiątnika.

– Dwudziestu łuczników z ogniowymi strzałami – rozkazał. – Otoczyć cerkiew.

Chwilę później pod murami świątyni ustawili się Mongołowie w skórzanych bezrękawnikach. Każdy trzymał w ręku zakrzywiony łuk. Gdy Mengu skinął głową, wyjęli długie, ciężkie strzały, które zamiast grotów miały zwoje szmat umoczone w smole.

– Ognia!

Podpalone strzały poszybowały przed siebie i przez wąskie okna wpadły do

wnętrza cerkwi. Pojawił się dym, a po nim płomienie.

Mengu pomyślał, że ukryci w środku ludzie będą próbowali wydostać się drzwiami, więc na wszelki wypadek ustawił tam łuczników. Ale drzwi, choć aż zadrżały od siły ognia, pozostały zamknięte.

Wkrótce zawaliła się z trzaskiem kopuła. Nikt nie mógł pozostać tam żywy. Cerkiew zamieniła się w piekło. Żarzyły się nawet cegły. Runęła jedna ściana, potem druga. Bardzo dobrze. Jeśli po incydencie z dzieckiem dowódca pomyślał, że Mengu jest zbyt łagodny, to teraz miał dowód na jego bezwzględność.

Gdy późnym popołudniem kilkoro wieśniaków wyszło z lasu, zamiast fortu i małej cerkwi zobaczyło jedynie poczerniałe zgliszcza, nad którymi z ciekawością szybowały ptaki.

Jeszcze tego wieczoru dowódca złożył Batu-chanowi zwięzły meldunek.

– Rozproszył się, bo podbiegła do niego kobieta. Powinien był zauważyć ją wcześniej i kazać swoim ludziom zabić albo usunąć. Ale tego nie zrobił. Począł, aż się do niego zbliży, i dopiero wtedy ją zabił. I przez ten czas nie był skupiony na zadaniu.

– Co potem?

– Ta dziewczynka. Podniósł ją i wyrzucił.

– Strata czasu. Co dalej?

– Zdobył fort. Spalił go.

– Bardzo dobrze. Coś jeszcze?

– Spalił cerkiew.

– Wewnątrz fortu?

– Nie, poza murami.

– Cerkiew się broniła?

– Nie.

– Błąd. Wielki chan szanuje wszystkie religie.

– Według mnie brakuje mu opanowania – zakończył dowódca.

Tej nocy potężny Batu-chan zmienił zdanie i nie przywołał do łoża siostry Mengu.

Tej samej nocy Janka, zasypiając w kryjówce urządzonej naprędce przez ojca i brata w pszczelim lesie, pamiętała jedynie twarz Mongoła, który zabił jej matkę: miał bliznę na jednym policzku i brakowało mu ucha.

Nigdy go nie zapomni. Nigdy.

*Rok 1246*

Tratwa sunęła bezgłośnie przez poranną mgłę. Jeszcze miesiąc temu, żeby nikt ich nie zauważył, podróżowali jedynie po zmierzchu, posuwając się powoli w górę rzeki, a przed każdą wsią, na wypadek patroli, wysyłali przodem zwiad. Pewnej księżycowej nocy o mało nie wpadli na oddział wojowników, którzy rozłożyli się z obozem nad rzeką.

Był sierpień. Płynąc krętymi rzekami na północ, pokonali do tej pory prawie dziewięćset kilometrów. Zajęło im to trzy miesiące.

W ostatnim miesiącu musieli przedostać się łodem do innego systemu rzeczno-łódz, którą wcześniej podróżowali – wydłubana z jednego wielkiego pnia drzewa – była

za ciężka, więc ją zostawili. Kiedy dotarli do następnej rzeki, zbudowali tratwę. Była wystarczająco użyteczna, jako że teraz płynęli z prądem. Nastrój też im się poprawił, bo podróżowali za dnia. Nadal jednak zachowywali ostrożność.

Bo Janka, jej ojciec i ich towarzysze zdecydowali się na bardzo niebezpieczne przedsięwzięcie: ucieczkę przed Tatarami.

Rusini stali się częścią imperium, o którym tak naprawdę niewiele wiedzieli. Nie dostrzegając ze swojej perspektywy znaczenia mongolskiej elity, mylili Mongołów z ich tureckimi poddanymi i żołnierzami. Dlatego nadali ordzie turecką nazwę, która już na zawsze weszła do języka – Tatarzy.

Przewidywania mongolskiej rady okazały się trafne. Ruś padła po trzech latach. Ogromna armia, która przetoczyła się przez Ruskę, niedługo potem całkowicie zniszczyła Perejasław. Po dwunastu miesiącach poddał się Czernihów, a Złoty Kijów stał się miastem wymarłym.

Państwo ruskie zostało podbite.

Dla własnej wygody Mongołowie podzielili je na dwie części. Pod ich bezpośrednim zwierzchnictwem znalazły się tereny na południu – ziemie wokół Kijowa i południowe stepy. Północ – ziemie wewnątrz wielkiej pętli ruskiego R oraz ciągnące się dalej lasy – pozostała we władaniu ruskiego rodu panującego, z tym jednak zastrzeżeniem, że książęta sprawowali władzę jedynie jako przedstawiciele wielkiego chana. Ich zadaniem było zapewnienie spokoju w kraju i pobieranie daniny dla chana.

Kroniki z tamtych czasów głosiły – i chętnie się z tym zgadzało wielu Rusinów – że Tatarzy, choć groźni, to po prostu jeden z wielu stepowych ludów. Najeźdźcy, których wielki książę musi na razie przekupywać.

Jednak rzeczywistość była zupełnie inna. Wielcy kniaziowie byli wzywani na wschód, często aż do Mongolii, gdzie otrzymywali jarłyk – potwierdzenie swojej władzy. Rządzili tylko z woli chana. „Pamiętajcie, teraz należycie do nas” – przypominano wszystkim książętom. Nie tolerowano najmniejszego nieposłuszeństwa. Gdy pewien zuchwały książę z południowego zachodu odmówił złożenia pokłonu przed posągiem wielkiego chana, został ścięty na miejscu. Mongołowie natychmiast narzucili swoje rządy we wszystkich dziedzinach życia. Nie pozbyli się ruskich książąt tylko dlatego, że bogactwo północnych lasów nie zrobiło na nich wrażenia – rzeczywiście w porównaniu z bogactwami karawan i azjatyckich miast było ono żałosne – więc doszli do wniosku, że ziemie te nie są warte kosztów związanych z bezpośrednią administracją.

Należy przypuszczać, że gdyby Mongołowie nie zatrzymali swojej ofensywy na czas wyboru nowego wielkiego chana, zajęliby całą Europę. A nowy chan postanowił najpierw skonsolidować swoje zachodnie imperium: nad Wołgą, w jej południowym biegu, zbudowano nową stolicę Saraj, a dowódcy wojsk otrzymali rozkaz „czekać”.

Także w tej kwestii Mongołowie wykazali się wielką mądrością. Dostrzegli bowiem fakt o ogromnym znaczeniu.

Ruś była prawosławna, zachód – katolicki.

W czasach Monomacha spór między Rzymem a Kościołem wschodnim dotyczył liturgicznych niuansów, jednak z czasem rozdzwięk się pogłębiał. Pojawiła się kwestia zwierzchnictwa. Czy patriarcha Konstantynopola – oraz inni patriarchowie – jest gotowy

uznać zwierzchność papieża? Czy Kościół wschodni wykazuje wystarczające zainteresowanie papieskimi krucjatami? Wzajemna wrogość rosła. Kiedy Rusini wysyłali do zachodnich chrześcijan rozpaczliwe wezwania o pomoc w walce z pogańskimi Mongołami, odpowiadało im milczenie. Zachód patrzył wręcz z zadowoleniem, jak na prawosławnych spada kara za ich błąd. Co gorsza, nie dość, że katolicycy Szwedzi zaatakowali Ruś od północy, to jeszcze połączone dwa zakony rycerskie, inflancki i krzyżacki, z przyzwoleniem papieża zaczęły najeżdżać ziemie Nowogrodu. „Niech poganie ich zmiażdżą – mawiali katolicy na zachodzie – a wtedy my ich pożremy”. „Tym z zachodu nie wolno ufać” – twierdzili Rusini z coraz większym przekonaniem. „Najpierw przejmujemy Ruś. Zachód może poczekać. Teraz Ruś należy do Azji” – kalkulowali sprytnie mongolscy wodzowie.

Ojciec Janki był całkiem przystojnym mężczyzną.

Nieco wyższy od innych, jasnowłosa, z rzadką brodą i łysiejącym czołem. Miał kościstą twarz o drobnych, regularnych rysach. Jego niebieskie oczy na ogół spoglądały życzliwie, chociaż czasem patrzył na ludzi tak, jakby coś sobie w myślach obliczał. Nie zwracał szczególnej uwagi. I czasem za dużo pił.

Zdarzało się, że za złe zachowanie karał Jankę biciem. Zawsze działało się to wieczorem – stawał się wtedy przerażający. Jednak inni ojcowie w wiosce byli jeszcze surowsi.

Sam doszedł do wniosku, że dawniej poświęcał córce mniej uwagi niż Kijowi. Ale wszystko się zmieniło po strasznym tatarskim najeździe. Teraz, gdy podróżowali rzekami, widział wyraźnie, że to ze względu na nią zdecydował się na ucieczkę.

Był pewien, że jeśli nie wyjadą, Janka umrze.

Zaraz po potwornych zniszczeniach wieś pogrążyła się w dziwnej ciszy. Nadeszły wieści o upadku Perejasławia i Kijowa. I to wszystko. Bojar nie przysyłał żadnych wiadomości z północy. Może już nie żył. Tymczasem w wiosce nadszedł czas siewu, a potem żniwa. Ojciec Janki związał się z przysadzistą, ciemnowłosą kobietą, ale się z nią nie ożenił. A ona nauczyła Jankę haftować. Kij był zdolnym snycerzem. Lecz w zeszłym roku spadł na nich straszny cios.

Pewnego jesienno dnia pojawił się we wsi mały tatarski oddział pod dowództwem urzędnika wysłanego przez baskaka, nowo mianowanego gubernatora. Wieśniaków ustawiono w szeregu.

– To jest spis ludności – oznajmił urzędnik. – Baskak chce zliczyć wszystkich mieszkańców.

Potem mężczyzn podzielono na dziesięcioosobowe grupy.

– Każda dziesiątka stanowi jednostkę podatkową i ma pilnować, by nikt nie ubył z jej składu – oznajmiono.

Chłop, który w swojej głupocie próbował protestować, został wychłostany. Okazało się też, że wieś miała zyskać na znaczeniu.

Wszystkie zakątki imperium wielkiego chana łączyła sieć pocztowa. Korzystali z niej posłańcy chana oraz wybrani kupcy. Co czterdzieści kilometrów rozmieszczano stacje, na których trzymano klacze i owce na kumys i mięso. Trzymano także konie. Dojeżdżający do stacji posłaniec obwieszczał swoje przybycie dzwonkami, dzięki czemu

czekał na niego świeży wierzchowiec, na którego przeskakiwał, nawet się nie zatrzymując. Baskak uznał, że zniszczony fort świetnie się nada na taką stację. A oddelegowany tu urzędnik będzie przy okazji pilnował wieśniaków.

– Co oznacza – szepnął jeden z chłopów – że staniemy się niewolnikami.

Ale najgorsze było to, co stało się chwilę później.

Urzędnik zwrócił się nagle do sołtysa:

– Kto tu jest najlepszym snycerzem?

Sołtys wywołał pięciu mężczyzn. Najmłodszy był piętnastoletni Kij.

– Weźmiemy chłopaka – warknął Mongoł. Bo wielki chan kazał sobie przysłać rzemieślników.

Janka długo patrzyła na step, gdzie małe postacie nikły powoli w oddali, zamieniając się w ledwo widoczne cienie, które lada chwila miało pochłonąć czerwieniejące morze.

Po tej stracie ojciec i córka popadli w przygnębienie. Jego opuściła kobieta. Kilka razy, żeby ukoić własny ból, upił się, przez co wzbudził w dziewczynce jeszcze większy strach. A ona dziwnie zapadła na zdrowiu. Zimą chudła coraz bardziej, niewiele jadła, prawie się nie odzywała. A gdy przyszła wiosna i jej stan się nie poprawiał, ojciec się poddał.

– Nie wiem, co robić.

I wtedy pewna rodzina z sąsiedniej wioski wyznała, że zamierza uciec.

– Pojedziemy na północ – opowiadali. – Na północy, w tajdze, po drugiej stronie Wołgi, jest mnóstwo ziemi – tłumaczyli. – Ludzie są wolni, nie mają nad sobą pana. Zamierzamy tam dotrzeć.

Były to Czarne Ziemie. Tak naprawdę ziemia należała do księcia, któremu osadnicy płacili niewielki czynsz. Ale im dalej na północ i na wschód, tym władza księżęca była słabsza. Taka wolność przyciągała, choć oznaczała też życie pełne trudów.

– Chodźcie z nami – zaproponowali. Jeden z nich był w młodości na północy. I twierdził, że zna drogę.

– A jeśli nas złapią?

Sąsiad wzruszył ramionami.

– Zaryzykuję – powiedział.

Rzeczna droga, którą wybrali, nie była trudna. Posuwali się w górę wielkiego R. Najpierw płynęli Dnieprem, później skierowali się na wschód i po krótkiej wędrówce łodem dotarli do niedużej rzeki, która doprowadziła ich do dolnej części północnej pętli – do leniwej Oki. A tam byli już na ziemiach wielkiego księcia, na które nie zapuszczały się tatarskie patrole.

Jakże przyjemnie płynęło się im po Ocie! Ryb było w bród, a podczas niebezpiecznej podróży Janka najwyraźniej zapomniała o swojej rozpaczy, bo znów zaczęła jeść. Któregoś dnia udało im się nawet złapać jesiotra. Posuwając się coraz dalej na północny wschód, zauważyli, jak zmienia się roślinność. Coraz mniej było drzew liściastych, za to pojawiało się coraz więcej jodeł i modrzewi. A przewodnik zwrócił ich uwagę na coś jeszcze.

– Wkraczamy na tereny starych fińskich plemion, między innymi Mordwinów

– wyjaśnił. – Nazwy miejscowości też są fińskie.

Jak chociażby Oka, Rianzań czy Murom.

Pewnego dnia mijali niewielki dopływ Oki.

– Ta rzeczka też ma dawną fińską nazwę, Moskwa – powiedział przewodnik.

– A co jest tam dalej? – spytał ojciec Janki.

– Miasteczko o nazwie Moskwa. Nic szczególnego.

Ojciec Janki długo rozważał, co powinni zrobić. Pociągały go dalekie ziemie, gdzie ludzie byli wolni. Ale był człowiekiem ostrożnym. Osadników czekało wiele trudów. Miał ze sobą trochę pieniędzy, które pieczołowicie ukrył. Wszędzie mógłby zacząć nowe życie. Uznał jednak, że najlepiej będzie znaleźć właściciela ziemskiego potrzebującego dzierżawcy.

Powziął więc prosty plan.

– Gdy dopłyniemy do Muromu, postaram się odnaleźć bojara Mileja. Jeśli nie zechce nam pomóc albo jeśli się okaże, że nie żyje, to chyba ruszymy na północ.

Bojar Milej, potężny mężczyzna obdarzony pięcioosobową rodziną, był bardzo dumny ze swojej siły fizycznej. I z przebiegłości.

Osiem lat wcześniej, gdy z dolnego biegu rzeki dotarła wieść o mongolskiej napaści na Rianzań, nie czekał na wezwanie do walki.

– Jeśli wielki książę włodzimierski zechce walczyć z Tatarami, to każe nam się przyłączyć – zauważył. – Ale jeśli napastnicy staną pod Muromem, to nic dla nas nie zrobi.

W swojej ocenie stosunku wielkiego księcia do książąt z Muromu miał całkowitą rację.

Niewielkie księstwo muromskie leżało na wschodnim skraju brzucha ruskiego R. Na zachód od siebie miało ziemię suzdalską rządzoną przez wielkiego księcia włodzimierskiego.

Kiedyś Murom był znaczącym miastem większym od Riazania. Ale w poprzednim wieku Rianzań bardzo się wzbogacił, księstwo suzdalskie urosło w potęgę i teraz to władcy Muromu wykonywali polecenia wielkiego księcia. Bojar Milej też. Oczywiście o ile było to dla niego korzystne. Dlatego w obliczu nadciągającego zagrożenia Milej po cichu wyjechał wraz z całą rodziną do swojego najbardziej odległego majątku, gdzie rozsądnie pozostał do końca roku.

Majątek rzeczywiście leżał na odludziu.

W połowie brzucha wielkiego ruskiego R płynęła z zachodu na wschód rzeczka Kłaźma. Nad Kłaźmą, nieco na wschód od środka pętli, Monomach założył stołeczne miasto Włodzimierz, a w północnej części leżały inne duże miasta: Suzdał, Rostów i Twer. Część południową – poza Riazaniem i Muromem nad Oką – pokrywały lasy i mokradła z porzysiewanymi tu i ówdzie wioskami. Właśnie tam, pomiędzy Kłaźmą a Oką, bojar Milej miał swój majątek. Płynął stąd strumień wpadający na północy do Kłaźmy. A kilka kilometrów dalej toczyła wody inna rzeka, zmierzająca na południe i uchodząca do leniwej Oki.

Dziad bojara Mileja, który otrzymał tę posiadłość, stwierdził, że nie podoba mu się jej barbarzyńska fińska nazwa – dlatego przemianował zarówno strumień, jak i leżącą nad

nim osadę. Od tamtej pory strumień nazywał się Rus, a leżąca nad nim osada – Ruska, tak jak jego ukochany majątek na południu.

W ten sam sposób wiele miejscowości na północy przyjęło nazwy z południa.

Okolice były całkiem przyjazne. A spędziwszy tu zimę, bojar Milej się przekonał, że miejsce ma więcej zalet, niż mu się wydawało.

– Doszedłem do wniosku – oznajmił żonie – że możemy czerpać z Ruski spory zysk. Potrzebujemy tylko więcej ludzi.

Jednak znalezienie odpowiedniej liczby chłopów było odwiecznym problemem ruskiej szlachty.

Kiedy bojar wrócił wiosną do Muromu, okazało się, że jego dom stojący poza murami miasta spłonął, ale ukryta pod podłogą skrzynia z pieniędzmi ocalała. Na razie trzeba było odbudować zniszczenia pozostawione przez mongolskich najeźdźców. Lecz Milej często myślał o Rusce.

– Zajmiemy się tym, gdy znajdziemy więcej czasu – mawiał.

A pod koniec lata 1246 roku ze zdziwieniem, ale i z radością zobaczył przed sobą dwoje wieśniaków z majątku na południu.

Po najeździe Mongołów znalezienie chłopów, którzy mogliby obrabiać jego ziemię, okazało się jeszcze trudniejsze niż zwykle. Do tej pory udało mu się sprowadzić do Ruski jedynie trzy rodziny Mordwinów.

– A dwie z nich i tak są bez przerwy pijane – poskarżył się przygnębiony zarządca.

Patrząc na wysokiego, potężnego mężczyznę z lekko siwiejącą brodą, Janka dostrzegła w szerokiej, tureckiej twarzy jedynie życzliwość. Jego niebieskie oczy promieniały.

– Mam dla was odpowiednie miejsce – oznajmił. – Ruskę na północy.

– Ale my nie mamy pieniędzy – skłamał ojciec.

Bojar spojrzał na niego, nie dając się zwieść.

– Bardziej mi się opłaci, gdy dam wam ziemię, a wy będziecie ją dla mnie uprawiać – odparł. – Możecie zbudować sobie dom, inni we wsi wam pomogą. Mój zarządca zawiezie was na miejsce i da pieniądze na wszystko, czego wam potrzeba. Oddacie mi później.

Zaczął ich wypytywać o podróż, a gdy się dowiedział, że wraz z nimi przybyła inna rodzina z dwoma silnymi synami, natychmiast i jej złożył taką samą propozycję.

Oni jednak odmówili.

– To dobra propozycja – powiedzieli ojcu Janki. – Ale my nie chcemy mieć nad sobą pana. Może jednak pojedziecie z nami dalej – dodali zachęcająco.

– Nie. – Ojciec pokręcił głową. – Wolimy tu zostać. Powodzenia.

Następnego dnia ich dotychczasowi towarzysze podróży wyruszyli w dalszą drogę.

– Bóg jeden wie, co ich spotka nad Wołgą – mruknął ojciec. – W wiosce będzie bezpieczniej.

Ruska na północy bardzo różniła się od tej na południu.

Jedynym podobieństwem było to, że tak jak większość ruskich osad również powstała nad rzeką.

W miejscu, gdzie leżała osada, koryto rzeki zakręcało w kształcie litery S.



Ponieważ zachodni brzeg był o czterdzieści pięć metrów wyższy niż wschodni, krzywizna rzeki utworzyła po zachodniej stronie wysoki cypel, natomiast na przeciwległym, osłoniętym brzegu powstała łąka.

Kiedyś osada znajdowała się właśnie tam, ale ze względów bezpieczeństwa przeniosła się na wyniesiony brzeg. Stało tu teraz kilkanaście drewnianych chat otoczonych mocnym ogrodzeniem. Ku zachodowi ciągnął się płaski teren. Przy płocie rosły warzywa, a pomiędzy drzewami kuliły się dwa nędzne poletka.

Cerkwi nie było.

Tak wyglądała północna Ruska.

Najbliższa wieś leżała pięć kilometrów dalej na południowy wschód, także nad rzeczką Rus. Tuż za nią wznosiło się pasmo niskich, zalesionych wzgórz. U ich podnóża, nad brzegiem rzeki, ziemia była podmokła, dlatego pierwsi słowiańscy osadnicy nazwali swoją kolonię Gnojowiskiem i ta nazwa już do niej przyłgnęła. Do kolejnej wioski było stąd ponad dziesięć kilometrów.

Na pierwszy rzut oka Jance wydało się, że w lesie rosną same jodły. Ale po krótkiej przechadzce okazało się, że to nieprawda. Były tu też modrzewie, brzozy, lipy, dęby, sosny i wiele innych gatunków. A nad Oką, w okolicach Riazania, widziała nawet jabłonie i wiśnie. Tu ich jednak nie dostrzegła. Grządki warzywne też nie były szczególnie zadbane. Rosły na nich głównie ogórki i groch. Zauważyła też, że tutejsze konie są niskie i drobne.

Domy we wsi miały ściany i dach z dużych, solidnych bali. Nie widziała znanych na południu domów z gliny krytych strzechą.

Ale przede wszystkim inni byli ludzie.

– Są tacy niemrawi – szepnęła do ojca, gdy pierwszego dnia rozglądali się po wsi.  
– Jakby zamarli.

Mieszkańcy wioski tworzyli dziwną mieszankę. Zanim pojawiła się tu rodzina bojara, ziemię zasiedlali Słowianie z plemienia Wiatyczów. „Pogańskie zwierzęta”, tak o nich mówiono, bo byli najbardziej zacofani ze wszystkich Słowian. Obecnie we wsi mieszkało sześć wiatyckich rodzin. Poza tym były też trzy rodziny przybyszów z południa, które przeniosły się tu w poprzednim pokoleniu, oraz sprowadzone przez bojara trzy rodziny Mordwinów z fińskimi wydatnymi kośćmi policzkowymi i skośnymi oczami.

Owszem, różnili się od siebie, ale dla Janki byli jednakowi pod jednym istotnym względem. Słowiańscy wieśniacy z południa byli wylewni, kłótlivi, dowcipni, natomiast ludzie na północy okazali się milczący, powściągliwi i powolni. Na południu chłopcy siadali w słońcu i rozmawiali. Tutaj chronili się w ciepłe swoich chat.

Nie byli jednak nieżyczliwi. Rano na polecenie zarządcy pojawiło się kilkunastu mężczyzn z siekierami.

– Zbudujemy wam dom – oświadczyli i pokazali im kawałek ziemi na południowym skraju wioski.

Potem zabrali się do pracy.

I Janka musiała zmienić o nich zdanie.

Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała. Właściwie znikąd pojawiły się nagle

ogromne kłody drewna. Silne koniki ciągnęły pnie tak grube, że dałoby się z nich wydłubać łódki. Jako fundamenty domu ułożono grube belki dębowe, a na nich sosnowe, łatwiejsze w obróbce.

Plan domu był taki sam jak na południu: na środku korytarz, po jednej stronie pomieszczenie na narzędzia i zapasy, a po drugiej izba mieszkalna. Dużą część ściany pomiędzy korytarzem a izbą zajmował gliniany piec.

Wieśniacy używali jedynie mocnych siekier o szerokich ostrzach i krótkich, prostych uchwytach – zarówno Słowianie, jak i Finowie posługiwali się nimi z równą biegłością. Poszczególne pnie obrabiano i łączono ze sobą tak dokładnie, że często nie trzeba było nawet wypełniać szczelin mchem.

Do budowy nie użyto ani jednego gwoźdźca.

Janka była zadziwiona nie tylko dokładnością ich pracy, ale i szybkością. Ludzie na południu też się nie lenili, lecz w tej zaciekłości miejscowych było coś heroicznego. Pracowali nawet po zmierzchu, przy świetle ognisk i pochodni zapalonych przez kobiety. A późnym wieczorem w chacie brakowało jedynie pieca i dachu.

Janka z ojcem spędzili noc u zarządcy i jego żony. Chata była gotowa w południe następnego dnia.

– Oto wasz dom – oznajmili mężczyźni. – Da wam ciepło i będzie stał przez trzydzieści trzy lata.

Nowi mieszkańcy podziękowali sąsiadom, a potem zarządca poprowadził ich na przeznaczoną dla nich działkę.

Gawędzili po drodze i Janka z wielkim podziwem mówiła o pracy mężczyzn.

– Z takimi ludźmi Rusini mogą wszystko – powiedziała, rozglądając się dookoła i wyobrażając sobie powstające w lasach miasta.

Zarządca, niski mężczyzna o przebiegłej twarzy, roześmiał się.

– Tu jest północ. Tu można zrobić wszystko, ale tylko na bardzo krótki czas. – A widząc jej zdziwione spojrzenie, uśmiechnął się i wskazał na otaczające ich lasy. – Na północy jest inaczej. Owszem, staramy się jak możemy, ale cokolwiek zrobimy, las i tak nam przypomni, że ziemia, zima i sam Bóg zawsze będą od nas silniejsi. Dużo wysiłku idzie na marne. Dlatego nie pracujemy ciężko, chyba że trzeba natychmiast wykonać jakąś konkretną robotę.

Dziewczynka się roześmiała, biorąc to za żart. Ale on dorzucił:

– Sami się przekonacie.

Potem wyjaśnił im, że leżący po obu stronach rzeki majątek zalicza się do średnich – zajmuje powierzchnię czterystu dziesiątyn, czyli około czterystu hektarów. Tylko niewielką część z tego obecnie uprawiano.

Wielu właścicieli ziemskich wolało oddawać odległe majątki w dzierżawę i pobierać za to od chłopów skromny czynsz, zazwyczaj w naturze. Zupełnie inaczej niż w dawnych czasach na południu, gdzie właściciele sami zarządzali majątkami i dostarczali plony na targ.

– Przekonacie się, że tu życie jest prostsze – tłumaczył zarządca.

Ale bojar Milej miał wystarczająco dużo pieniędzy, by kupić sobie niewolników i wynająć siłę roboczą.

– Zamierza sprowadzić tutaj więcej ludzi, zbudować dom i sam uprawiać część ziemi – ciągnął zarządcę. – Niedługo zajdą tu duże zmiany.

Jedna rzecz zaniepokoiła Jankę.

– My jesteśmy chrześcijanami. Reszta to poganie?

Za płotem zauważyła wcześniej dziwne groby, które nie wyglądały na chrześcijańskie.

– Słowianie z południa są tacy jak wy. Mordwini – roześmiał się – to Mordwini. A Wiatycze, choć Słowianie, są poganami. Mają swoje mogiły za płotem.

– Będzie tu kiedyś cerkiew?

– Bojar ma zamiar ją postawić.

– Kiedy?

– Może niedługo.

Janka postanowiła wrócić do domu, a ojciec poszedł dalej z zarządcą, żeby obejrzyć przydzieloną mu działkę.

Była to typowa działka dzierżawna o powierzchni trzydziestu czetów, czyli prawie piętnastu hektarów. Porastał ją rzadki las, który trzeba było wykarczować. Jednak czynsz za tę ziemię nie był wysoki, a do tego należny dopiero po roku. Zarządcę miał im także wypłacić niewielką zaliczkę za drobne prace, które mieli w przyszłości wykonać dla bojara.

I tak oto Janka i jej ojciec zaczęli nowe życie.

Dla Janki był to czas odkryć. Tego roku jesień była piękna, prawdziwe babie lato. Janka często przechadzała się po okolicy, czasem sama, a czasem z żoną zarządcy. Ta drobna kobieta była raczej chłodna w obejściu, ale starała się zrobić wszystko, żeby dziewczyna była przydatna w majątku, więc chętnie ją uczyła różnych rzeczy.

Pokazywała jej na przykład, gdzie się zbiera zioła – dziurawiec, bukwicę, babkę lancetową – i lecznicze gatunki paproci. Chodziły też przez sosnowy zagajnik na południe, a tam, nad rzeką, rosły wśród mchów czarne jagody i borówki. Stara kobieta zatrzymywała się od czasu do czasu przy jakimś drzewie, mówiąc:

– Gdzieś u góry wiewiórka zrobiła sobie dziuplę. Spójrz.

I pokazywała na drobne ślady pazurków pozostawione przez zwierzę, które w tę i z powrotem biegło po pniu, znosząc do swojego gniazda zapasy na zimę.

– Mamy specjalne drewniane kolce, które zakłada się na stopy – tłumaczyła.

– W takich kolcach będziesz mogła wspiąć się na drzewo, żeby ukraść wiewiórkom orzechy albo podebrać miód z barci. Zupełnie jak niedźwiedź Miszka. – Zaśmiała się sucho.

Janka szczególnie upodobała sobie miejsce leżące niecały kilometr na południe od wioski. Tam, gdzie wysoki brzeg odsuwał się od rzeki o jakieś dziesięć metrów, powstała otoczona drzewami polana, do której można było dotrzeć ścieżką biegnącą nad brzegiem. A z góry, z wysokości sześciu metrów, spływał strumyk krystalicznie czystej wody, chłodnej nawet w najbardziej upalne lato. Rozdzielał się on na trzy małe wodospady, które tańczyły na omszałej skarpie i płynąc po szarych skałach, znikwały wśród paproci.

– Jeden wodospad jest na miłość, drugi na zdrowie, a trzeci na bogactwo

– powiedziała żona zarządcy.

– Ale który jest na co?

– A kto to wie? – padła cudowna ruska odpowiedź.

Na koniec stara kobieta dała Jance radę, która przypomniała jej pracę wieśniaków przy budowie domu:

– Tego roku mamy bardzo długie lato. Ale nie myśl, że tak będzie zawsze. Tutejsze lato jest krótkie, więc dopóki trwa, trzeba ciężko pracować. Ciężej niż na południu.

– A co potem?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nic.

Zaszła też inna zmiana – Janka stała się kobietą.

Ciało powiedziało jej to już jakiś czas temu. Podczas podróży jej piersi wyraźnie rozkwitły i zaczęły ją nawiedzać dziwne, nieokreślone pragnienia. Czasem czuła się przez to bardziej pewna siebie, a czasem czerwieniła się bez powodu, nagle czymś onieśmielona. Miała piękną, jasną cerę z delikatnie zaróżowionymi policzkami i długie płowe włosy, z których była dumna.

Ale czasem cera robiła się tłusta, na policzkach pojawiały się wypryski albo plamki, włosy wydawały się matowe i brzydkie. Zaciskała wtedy usta w wąską linię, marszczyła czoło i starała się nie wychodzić z domu.

Za to była zadowolona ze swojego ciała, które latem ładnie się wypełniło. Wciąż była szczupła, ale biodra nabrały zmysłowej krągłości, która pewnego dnia, tak przypuszczała, zachwyci jakiegoś mężczyznę.

Na razie jednak zbliżała się zima, a Janka była dumna, że urządza ojcu prawdziwy dom.

Kiedy on pracował w polu z innymi mężczyznami albo budował dla nich wózki, ona pracowicie tkła płótno, gromadziła zapasy, wędziła ryby i starała się, jak mogła, by wieczorem zobaczyć uśmiech ojca i usłyszeć:

– Wijesz tu prawdziwe gniazdo, mój mały ptaszku.

Jemu też poprawił się nastrój. Ciężką pracą i życie w nowym miejscu ojciec potraktował jak wyzwanie. Emanowała z niego nowa siła i moc, która sprawiała jej zadowolenie. Gdy wracał po pracy do domu, z twarzą oświetloną promieniami zachodzącego słońca, mówiła w duchu: „Oto mój ojciec, mężczyzna, z którego jestem dumna”.

Inni mężczyźni w wiosce nie budzili w niej zainteresowania.

I to właściwie od pierwszych dni. Pamiętała, jak któregoś wczesnego popołudnia ojciec wpadł do domu i oparłszy się o ciepły piec, wykrzyknął:

– Widziałas ich pola?! – Ale nie czekał na odpowiedź. – Wypalają! Nic, tylko wypalają. Mordwini! Poganie! Nie mają nawet porządnego pług.

– Nie mają pług?

Parsknął pogardliwie.

– A po co im pług na takiej ziemi! Chodź, sama zobaczysz.

Problem, o którym mówił ojciec, już zawsze miał nękać Ruś, a potem Rosję.

Bo ziemie na północy były bardzo słabe.

Na wielkiej rosyjskiej równinie są dwa rodzaje gleb: ługowe i nieługowe. W tych

pierwszych woda paruje wolno, przez co sole mineralne są wypłukiwane do głębszych warstw, a na wierzchu pozostaje dość licha kwaśna ziemia o niewielkiej wartości rolniczej. Tego rodzaju gleby zwane są podzólami, leżącymi pod zołą, czyli pod popiołem.

Na glebach nieługowych parowanie przebiega szybciej, sole mineralne nie są wypłukiwane, przez co ziemia ma odczyn neutralny lub zasadowy. Najżyźniejsze gleby nieługowe to czarnoziemy leżące na południu.

Pomiędzy tymi dwiema kategoriami jest trzecia, tak zwana szara ziemia – również podzół, ale lepiej nadający się pod uprawę.

Żyzne czarnoziemy spotyka się w południowej części Rusi, na stepie, szarą ziemię w części centralnej, od Kijowa do Oki. Ale w wielkiej pętli ruskiego R, a także dalej na północ, aż po torfiastą, nasiąkniętą wodą tundrę, jest tylko marny podzół, który daje słabe plony. To nieurodzajna ziemia i chłodny klimat sprawiały, że na północy kraju rolnictwo nigdy nie mogło dobrze się rozwijać.

Do uprawy takiej ziemi nie trzeba ciężkich, żelaznych pługów, które od wieków wykorzystywano na żyznych czarnoziemach na południu. Chłopi na północy używali soch – drewnianych, lekkich pługów z małymi żelaznymi radlicami – które zaledwie rozdrapywały cienką warstwę nieurodzajnej ziemi.

I właśnie te małe pługi i na wpół jałowa gleba wzbudziły taką niechęć ojca. A już prawdziwą pogardą napełnił go sposób, z jakim wieśniacy obchodzili się z dzierzawioną ziemią.

Zamiast podzielić ją na trzy części i stosować na niej płodozmian, wieśniacy posługiwali się starą techniką: karczowali kawałek ziemi, wypalali na nim drewno, uprawiali go przez kilka lat, a potem zostawiali, by zarósł na nowo. Ten stary system pozwalał im przetrwać.

– Poganie – powtórzył ojciec z pogardą. Ale jako nowo przybyły niewiele mógł na to poradzić.

To ten prymitywny sposób gospodarowania potwierdził zdanie Janki o wieśniakach i sprawił, że nie budzili w niej zainteresowania.

Zarządca, sługa bojar, był formalnie niewolnikiem. Wiatycze – nie dość, że nieokrzesani, to jeszcze najbiedniejsi we wsi – nie płacili stałego czynszu, ale oddawali bojarowi trzecią część swoich plonów. Mordwini byli najemną siłą roboczą, obrabiali ziemię, którą bojar chciał zachować dla siebie. Pozostałe słowiańskie rodziny zdążyły przejąć prymitywne zwyczaje i chętnie posługiwały się techniką wypalania pól.

Przypadek zrządził, że i tak nie było wśród nich młodych niezonatych mężczyzn. Najbliższy wiekiem był jedenastoletni chłopczyk. Trzej młodzi Mordwini i dwaj Wiatycze odnosili się do niej uprzejmie, ale nie zwracała na nich uwagi.

Co za prymitywne miejsce! – myślała. Na pewno nie wyjdę za mąż za nikogo stąd.

A trzy dni później ojciec dokonał odkrycia, które rozgniewało go jeszcze bardziej.

– Tu jest dobra ziemia – mówił wieczorem zniechęcony. – Czarnoziem. Ale nie pozwalają mi jej uprawiać.

– Gdzie?

– Niedaleko wioski, którą nazywają Gnojowiskiem. Dasz wiarę? Byłem tam dziś

z jednym z tych przeklętych Mordwinów.

Matka natura – a właściwie cofające się lodowce podczas ostatniego zlodowacenia – pozostawiła w krainie podzołów skrawki żyznej ziemi. Jeden ciągnął się na północ od Włodzimierza, aż do Suzdała, a drugi, znacznie mniejszy, znalazł się w pobliżu Ruski.

– Bojar trzyma tę ziemię dla siebie. A nam daje same nieurodzajne kawałki.

Pas czarnoziemiu składał się z trzech części. Jedna, nieco na północ, należała do majątku wielkiego księcia. Kilka lat wcześniej tamtejszą wieś zniszczyła zaraza, ale za jakiś czas książę na pewno zrobi z niej użytek. Część leżąca na wschodzie, tak zwane Czarne Ziemie, formalnie była własnością księcia Muromu, ale wydzierzawiano ją wolnym chłopom.

Część najbliższa i najmniejsza należała do bojara Mileja.

Bojar nie wspominał o czarnoziemiu Jance i jej ojcu. Szkoda mu było najlepszej ziemi dla samotnego mężczyzny z córką. Uznał rozsądnie, że lepiej poczekać, co przyniesie przyszłość.

Tymczasem postanowił uprawiać część żyznej ziemi rękami niewolników, których udało mu się znaleźć.

– Może nam trochę wydzierzawi? – podsunęła Janka.

– Nie. Już pytałem o to zarządcę. On szuka jedynie wyrobników, takich jak Mordwini. A do tego się nie zniżę.

Objęła ojca i pocałowała go, czując delikatny smak potu na jego koszuli. Nie lubiła, gdy był taki przygnębiony.

– Możemy przecież wyjechać – zaproponowała. – Mamy pieniądze.

Monety, które ze sobą przywieźli, zostały bezpiecznie ukryte pod podłogą.

– Możemy. Ale nie w tym roku.

– Słusznie. Nie w tym roku. – Zima była zbyt blisko.

Mimo różnych wad życia w wiosce Janka umiała docenić spokój tej okolicy.

– Może tu jest nudno – powiedziała pewnego deszczowego dnia, przeciągając się leniwie – ale przynajmniej jesteśmy daleko od Tatarów.

Ku zaskoczeniu wszystkich ciepłe dni ciągnęły się aż do połowy października. A Janka przywykła do spokojnego, wiejskiego rytmu. Chodziła z innymi kobietami do lasu zbierać orzechy, a gdy któregoś dnia mężczyźni zabili łosia, pomagała przygotować wspaniałą ucztę.

Szedł wzdłuż ścieżki. Woda spływająca z drzew osiadała mu na futrzanym kołnierzu albo spływała po karku. Poniżej, u podnóża małej skarpy, tryskał strumyk i pomiędzy paprociami sączył się ku rzece. Mężczyzna zatrzymał się jedynie na krótką chwilę, żeby spojrzeć na drugi brzeg.

I dwa razy zaklął głośno.

Do diabła z tą dziewczyną!

Czym pachnie to jej świeże, młode ciało? Różami? Dzikimi goździkami? Orzechami. Palonymi orzechami. Naprawdę ma taki zapach?

Do diabła, czy ona mnie nie widzi? Te słowa niemal wypowiedział na głos. Przyszło mu do głowy, że może ona po prostu nie wie, ale od razu odrzucił tę myśl. O nie, ona dobrze wie. Kobiety wiedzą wszystko.

Co to znaczy? O co jej chodzi? Nie zdaje sobie sprawy, co on czuje, kiedy są w izbie sami, a z dachu spływają wodospady deszczu? Po co się pręży i wypina swoje młode piersi, skoro wie, że on na nią patrzy? Po co odwraca się do niego całym tym młodym ciałem i mówi mu cichym głosem, że się nudzi?

Drażni się ze mną? A może mną gardzi?

Udaje, że niczego nie rozumie. To jej sposób. I jej broń. Była dla niego taka dobra. Kochała go. W każdym razie kiedyś. Była jego, a jednocześnie do niego nie należała. Jakby wszystko rozumiała, jakby chciała się dla niego otworzyć, ale wymykała się za każdym razem, gdy czuła, że się do niej zbliża.

No i jest jego córką.

A więc o to chodzi. To wystarczający powód, przynajmniej teoretycznie. Nie wolno im. Wiedzieli oboje.

Ale przecież po tym wszystkim, przez co razem przeszli... Czyż nie połączyła ich szczególna więź? Czy jej pełne spokoju oczy, które patrzyły na świat ze smutną wyrozumiałością, nie mówiły wyraźnie: „Tak, wiem, co jest między nami”?

Te opadające kąciki jej ust – trochę smutnych, trochę cynicznych i... tak, zmysłowych, bardzo zmysłowych, gdyby ktoś je obudził. Czy te wargi, smutne, uparte i lekko wydęte, bardzo lekko, bo zawsze starała się trzymać wszystko pod kontrolą – otworzą się przed nim, gdy zechce je rozchylić? A może tylko uśmiechną się i otworzą dla innego? Ta myśl była dla niego udręką.

Jest jej ojcem! Szedł, tupiąc z gniewem. Słyszał jednak, że inni ojcowie...

Poza tym mają tylko siebie. Tylko siebie w tym zapomnianym przez Boga miejscu.

– Postąpię z nią jak ojciec. A jak będzie chciała się bawić ze mną w kotka i myszkę, przywołam ją do porządku – mruknął.

Był tak pogrążony w myślach, że nie zauważył, gdzie jest ani jak daleko odszedł od wioski. Nagle jego wzrok przykuł dziwny widok.

Niedźwiedź. Mężczyzna stanął jak wryty. Zwierzę było duże. I stare. Poruszało się z trudem, przecinając ścieżkę jakieś dziesięć metrów przed nim. Zauważyło go, ale najwyraźniej nie było nim zainteresowane.

I wtedy zrozumiał: niedźwiedź umiera. Szuka miejsca, żeby odejść.

Ostrożnie ruszył do przodu.

– No, Miszka – mruknął. – Możesz mi się przydać.

Niedźwiedź spojrzał na niego nienawistnie, ale był zbyt wyczerpany, by czymkolwiek mu zagrozić. Wyglądał staro i smutno, miał przemoczoną, zmierzwioną sierść, która cuchnęła stęchlizną. Mężczyzna przysunął się jeszcze bliżej i wyjął długi nóż myśliwski. Przyszedł mu do głowy dobry pomysł.

Da Jance futro na zimę. Ona na pewno się ucieszy. Niewielu mężczyzn może powiedzieć: „Zabiłem dla ciebie niedźwiedzia”.

To wymagało nie lada umiejętności. Wprawdzie zwierzę szło ostatkiem sił, ale wystarczyłby nagły przyływ energii życiowej, jedno uderzenie potężnej łapy, a myśliwy byłby skończony. Mimo to postanowił zaryzykować.

Podkradł się do niedźwiedzia i skoczył mu na grzbiet.

Zaskoczone zwierzę zaczęło się wspinać na tylne łapy, a wtedy napastnik rozpruł

mu gardło ostrym nożem.

Niedźwiedź stanął prosto i próbował się dobrać do wczepionego w niego człowieka. Ale ten jeszcze raz zagłębił ostrze w gardle bestii, starając się natrafić na tchawicę i duże naczynia krwionośne. Po chwili był pewien, że mu się udało. Zeskoczył na ziemię i ukrył się za drzewem.

Usłyszał niedźwiedzi charkot. Zwierzę opadło powoli na cztery łapy. Z gardła lała mu się krew. Wydawało się, że zauważyło człowieka, ale się nie poruszyło. Stało żałośnie, jakby wiedząc, że to już koniec. A potem opadło na krzaki.

Po godzinie ojciec Janki zdjął z niego skórę.

Jesienne deszcze działały na Jankę przygnębiająco. A jej nastrój jeszcze się pogorszył, gdy pewnego dnia, korzystając z tego, że deszcz przestał padać, poszła do Gnojowiska.

Cóż za przerażające miejsce! Kilka chałup przycupniętych nad brzegiem rzeki. Mieszkający tu chłopcy byli właściwie wolni, bo teren był częścią Czarnych Ziemi. A co więcej, wieś leżała na czarnoziemiu.

Jednak wszystko było tu odpychające. Przesiąknięta wodą gleba pachniała bagnem. A rozmawiając z miejscowymi kobietami, Janka zauważyła, że prawie wszystkie cierpią na jakąś dziwną dolegliwość – ich skóra na głowie była gąbczasta, a włosy tłuste i matowe.

Odruchowo cofnęła się o parę kroków.

Czym prędzej wróciła do domu, dołożyła drewna do pieca i przeczesła palcami włosy. Były miękkie i lekkie.

Wieczorem ojciec wrócił do domu z pięknym futrem ze skóry niedźwiedzia, uszytym przez jedną z mordwińskich kobiet. Trzymał całą rzecz w tajemnicy. A teraz z uśmiechem wręczył jej futro.

– Zabiłeś niedźwiedzia? Dla mnie? – Była zachwycona i przestraszona jednocześnie. – Mogłeś zginąć.

Roześmiał się.

– Będzie ci ciepło.

Pocałowała go. Uśmiechnął się, ale nie powiedział ani słowa.

Trzy dni później spadł śnieg. Mimo mrozu w chacie było bardzo ciepło. Ale kiedy zima odcięła wioskę od świata, smutna prawda stała się jeszcze bardziej przygnębiająca: Janka umierała z nudów.

Nie miała żadnych przyjaciół. Wydawało jej się, że we wsi jest cicho jak w grobie. Nie utrzymywali kontaktów z sąsiadami, więc zdarzało się, że całymi dniami z nikim nie rozmawiała. Nie było tu nawet cerkwi, w której ludzie mogliby się zbierać.

Żeby jakoś zabić czas, zaczęła haftować duży płócienny obrus. Na białym tle wyszyła czerwoną nicią duże, geometryczne ptaki, tak jak w dzieciństwie nauczyła ją kobieta ojca.

I tak w odległej wiosce na północy powstał haft wywodzący się z prastarych orientalnych wzorów, znanych irańskim jeźdźcom stepowym tysiąc lat wcześniej.

Minął listopad.

A w pierwszej połowie grudnia całe życie Janki się zmieniło.



Ostatnio ojciec był dla niej bardzo dobry. Wiedział, że boi się go, gdy zdarza mu się za dużo wypić, więc od jesieni prawie nie tykał miodu. A przez ostatnie dwa dni odnosił się do niej ze szczególną czułością, przytulał ją i całował delikatnie.

Ale któregoś wieczoru się napił. Szyja mu lekko poczerwieniała. Spojrzała na niego z niepokojem, lecz uznała, że nie wypił aż tyle, by wpaść w przygnębienie. I nawet się ucieszyła, widząc na jego twarzy uśmiech zadowolenia. Zauważyła ojcowskie dłonie oparte o blat stołu. I z jakiegoś powodu dostrzegła na nich jasne włoski, które napełniły ją dziwną czułością.

A potem zrobiła coś bardzo głupiego.

Podgrzewała na piecu czerwony barwnik do nici – ciecz niemal zawrzała, więc postanowiła ją zestawić.

Ojciec siedział w milczeniu przy stole, nie odzywał się już od kilku minut. Nawet na niego nie patrzyła, choć przechodząc obok z garnkiem, miała w oczach jego mocarne plecy i siwiejące włosy.

Spojrzała na czubek jego głowy i przez nieuwagę zahaczyła stopą o nogę ławy, na której siedział. Rozpaczliwie próbowała chwycić równowagę, jakimś cudem udało jej się nie upaść i jedynie wylała na stół kwartę wrzącego płynu.

– A niech to diabli!

Rzucił się w tył, przewracając ławkę.

Przerażona spojrzała na niego, a potem na płamę farby na stole.

– Wylałam ci na ręce?

– Chcesz mnie ugotować? – Zamachał dłońmi, z grymasem bólu na twarzy.

Pospiesznie odstawiła garnek na piec.

– Pokaż. Zaraz ci to opatrzę.

– Bezmyślna idiotka! – ryknął. Ale nie pozwolił jej się do siebie zbliżyć.

Była przerażona i zmartwiona.

– Zaraz ci pomogę. Przepraszam.

Wziął głęboki wdech i zacisnął zęby. I wtedy stało się.

– Przepraszam mnie na pewno – powiedział nagle bardzo cicho.

Poczuła lód w żołądku.

Znała ten ton. Pamiętała go z dzieciństwa. Oznaczał: „Przekonasz się wieczorem”.

Zadrzała. Więż, która powstała między nimi w ciągu ostatnich kilku miesięcy, nagle się zerwała. Janka znów była małą dziewczynką. I jako mała dziewczynka wiedziała, co ją czeka. Kolana zaczęły jej się trząść.

– Patrz, jak leziesz, kiedy niesiesz garnek wrzątku – powiedział zimno.

Ból, który mu sprawiła, tak bardzo ją zasmucił, że gotowa była przyjąć karę. Nie bił jej od dwóch lat, odkąd zabrano Kija. Ale czuła się dziwnie upokorzona, że znów potraktował ją jak małe dziecko.

– Kładź się na ławie.

Położyła się na ławie na brzuchu. Usłyszała, jak ojciec rozpina pasek. A potem poczuła, jak podciąga do góry jej koszulę. Przygotowała się na uderzenie.

Ale uderzenie nie nastąpiło.

Zamknęła oczy i czekała. Nagle, ku swojemu zaskoczeniu, poczuła na sobie jego

dłonie. A po chwili, tuż przy uchu, jego oddech.

– Tym razem cię nie ukarzę, moja żonko – powiedział cicho. – Ale możesz coś dla mnie zrobić. – Jego dłonie zaczęły się przesuwac po jej nogach. Zmarszczyła brwi. Co on robi? – Ciiii – szepnął. – Nie chcę cię skrzywdzić.

Twarz zalał jej rumieniec gniewu. Nie wiedziała, co robić. Nawet teraz nie do końca rozumiała, co się dzieje.

Jego dłonie posuwały się coraz wyżej. Jeszcze nigdy nie czuła się tak obnażona. Chciała krzyknąć, wybiec, ale palący wstyd sprawił, że była bezsilna. Dokąd miałyby pobiec? Co by powiedziała sąsiadom?

A tymczasem ten mężczyzna, jej ojciec, w tej rozgrzanej izbie miał wobec niej jakieś dziwne zamiary. I w jednej chwili zrozumiała, co się dzieje.

Jego dotyk ją przeraził. Wypreżyła się i zeszywniała. Usłyszała jego sapnięcie.

– O, właśnie tak, moja żonko.

A chwilę potem, po nagłym skurczu bólu, rozległ się jego jęk.

– Ach, moja ptaszyno, wiedziałaś. Wiedziałaś od początku.

Wiedziała? Czy jakiś cichy wewnętrzny głos mówił jej, że tak się stanie, że jest w tym także jej udział?

Chciało jej się płakać, ale nie umiała.

Nie umiała go nawet nienawidzić. Musiała go kochać.

Oprócz niego nie miała nikogo.

Następnego ranka wyszła wcześniej na śnieg.

Zapowiadał się pogodny dzień. Niebo było niebieskie. Założyła rakiety śnieżne na grube filcowe buty i z trudem powlokła się na wysoki brzeg rzeki.

Po drugiej stronie wznosiło się słońce. Las był skąpany w jego złotym świetle.

Zbliżała się ku niej postać w łachmanach. Był to jeden z Wiatyczów. Mocno pochylony, ciągnął za sobą na małych sankach stos grubych polan. Wpił w nią wzrok ciemnych oczu patrzących spod grubych, siwych brwi. On wie, pomyślała. Wszyscy we wsi będą wiedzieli, co się stało poprzedniej nocy.

Brodaty mężczyzna minął ją w milczeniu jak stary, ponury mnich.

Powietrze stało niemal nieruchomo, lecz było bardzo zimno. Grube futro chroniło ją przed mrozem, ale miała dojmujące wrażenie, że pod spodem jej ciało jest nagie i obolałe.

Odwróciła się.

Kilka metrów przed nią rosła brzoza z ogołoconymi przez zimę gałęziami. Srebrzysta kora lśniła w porannym słońcu. Czarne pręgi przypominały Jance smugi czarnej żyznej ziemi na południu. Wyglądasz, jakby cię zrobiono z lodu i śniegu, pomyślała, ale w środku jesteś ciepła.

Brzozy były odporne. Rosły wszędzie, w każdych warunkach, zajmując miejsce drzew, które ścięto lub wypalono. I ja też taka będę, przysięgła sobie Janka. Przetrwam mimo wszystko.

Powoli wróciła do chaty. Jakaś kobieta przypatrywała się jej ze swojego progu.

– Może wie, a może nie. – Janka nawet nie zauważyła, że wypowiedziała te słowa na głos.

Przyrzekła sobie, że jeśli jej tajemnica wyjdzie na jaw, nie będzie się tym przejmować.

Weszła do domu.

Ojciec siedział na ławie i jadł kaszę. Podniósł na nią wzrok, ale żadne nie odezwało się ani słowem.

Powtórzyło się to kilka dni później. A potem znów następnego dnia.

Zaskoczyła ją jej własna reakcja.

Na początku próbowała się opierać. I po raz pierwszy w życiu mogła zobaczyć, a właściwie poczuć, jego siłę fizyczną, wobec której była bez szans. Nie zadał jej bólu, nie musiał. Po prostu unieruchomił jej ręce, a ona była zdana na jego łaskę. Oczywiście mogła kopać i gryźć, ale co z tego? W takiej walce pokonałby ją z łatwością. Miała uciec ze swojego jedyne go domu?

Była uważna, starała się nie wchodzić mu w drogę, ale na próżno.

A gdy ulegała jego sile, myślała o brzozie w białym śniegu, o brzozie, która przetrzyma wszystko, wszystko.

Przez następne tygodnie popadała w coraz większe pomieszanie. I nic dziwnego. Ojciec nigdy nie posunął się do przemocy. A ciało, wbrew jej woli, odpowiadało na jego pieszczoty.

Przestał ją nazywać „żonką”. Byłoby to zbyt jawnym odniesieniem do ich wspólnej tajemnicy. I w obecności innych ludzi już jej nie obejmował jak kiedyś.

A ona zaczęła go traktować tak, jak kobieta traktuje męża.

Wciąż go kochała. Nauczyła się rozróżniać rytm jego ciała. Kiedy siadał przy stole z zeszywniałym karkiem albo zaciskał dłonie w pięści, było jej go szkoda. Podobnie czuła w dzieciństwie, ale teraz nie myślała już, że potrzeba mu jakiejś pociechy. Wiedziała, że to jedynie fizyczne symptomy, którym pomagają zaradzić równie proste środki.

Czasem podchodziła do niego, gdy tak siedział – wzdychała wtedy bezgłośnie, bo wiedziała, co potem nastąpi – lecz nie zarzucała mu rąk na szyję jak kiedyś, tylko uciskała mięśnie karku i pleców.

Był to dziwny związek. Z niej wyparowała cała bez troska. Nie mierzwiła mu włosów, nie żartowała z nim tak, jak żartowałyby z przyjacielem czy mężem. Zawsze była przy nim nieco spięta. Onieśmielona, ale rozsądna.

Zimowe miesiące mijały, a między nimi wytworzyła się nowa, dziwna więź. Dla świata zewnętrznego byli jak ojciec i córka. I nawet jeżeli ktoś z mieszkańców wioski coś wiedział albo podejrzewał, nikt nie puścił pary z ust. A ponieważ razem strzegli tej tajemnicy, narodziło się między nimi poczucie wspólnoty: oboje mieli w tym swój udział.

Oboje byli współwinni. Oboje o tym wiedzieli.

A stąd był już tylko mały krok ku czemuś, czego się w skrytości ducha obawiała. Gdy nadszedł styczeń, kilka razy oddała się mu z rozkoszą.

Dlaczego tak sobie wyrzucała, że na króciutką chwilę jej młode ciało znalazło przyjemność i ukojenie w czymś, do czego zostało stworzone? Dlaczego te zbliżenia miałyby być gorsze od tych wcześniejszych?

Już od bardzo dawna nie rozmawiała z duchownym, ale dobrze wiedziała dlaczego.

Dostała się w posiadanie diabła. Nie tylko grzeszyła, ale jeszcze radowała się swoim grzechem.

I wtedy zaczęła się osuwać w otchłań obrzydzenia do samej siebie.

– Jestem jak te kobiety w Gnojowisku – jęczała.

Miała wrażenie, że jej włosy też zmatowiały, że cała jest nieczysta.

I w tej rozpaczy, gdy była sama, zwracała się do smutnej twarzy z ikony stojącej w rogu izby.

– Ocal mnie, Matko Boża – modliła się. – Uratuj mnie od moich grzechów. Wyprowadź z tej ciemności.

Bojar Milej był sprytny i rozważny. Miał trzy córki i dwóch synów i chciał im zapewnić bogactwo. Nie ufał nikomu. I chociaż służył księciu panującemu nad niewielkim wschodnim księstwem muromskim, robił to z wyrachowania.

Już od długiego czasu bojarowie nie służyli na co dzień na książęcym dworze, zostawiwszy to synom albo ubogim kuzynom. Mimo że, jeśli wymagały tego okoliczności, teoretycznie byli do dyspozycji władcy, myśleli głównie o własnym interesie. W znacznie większym księstwie rizańskim bojarzy byli znani ze swojej niezależności, a książęta mieli czasem problemy z wyegzekwowaniem od nich posłuszeństwa. W innych księstwach – chociażby w dalekiej Galicji, nie mówiąc o ziemiach leżących przy granicy z Polską – szlachta była tak silna, że książę, podejmując szczególnie ważne decyzje, musiał prosić ją o zgodę.

Był jeszcze jeden istotny czynnik.

Wprawdzie rody książęce wciąż nazywały się panującymi – bo wywodziły się od świętego Włodzimierza – ale stawały się coraz liczniejsze. Za czasów świetności Kijowa każdy książę władał ogromnym terytorium, jednak obecnie niektórzy książęta rządili jedynie niewielkimi miastami, a ich dzieci i wnuki miały otrzymać mniej ziemi niż najwięksi bojarzy. Apanaże, jak nazywano książęce dochody, były naprawdę niewielkie, przez co bojarowie tacy jak Milej ze znacznie większą pewnością siebie myśleli o własnej pozycji. Obserwując zmienne szczęście i niepewny los książąt z pomniejszych miast, Milej przekonywał się, że świat polityki nie jest tak stały i jednoznaczny jak w czasach jego przodków.

Książęta muromscy, którym Milej podlegał, byli jedynie marionetkami w rękach wielkiego księcia, a temu, zdaniem bojara, nie należało ufać.

– Tak czy inaczej – mawiał złośliwie – nawet wielki książę jest jedynie sługą tatarskich chanów, choć najchętniej udaje, że to nieprawda.

A więc gdzie się kryły jego mocne strony? Na czym mógł się wzbogacić?

Dla Mileja najbardziej znaczące nie było to, że wielki książę musiał odbywać upokarzającą podróż przez stepy na dwór chana. Ani nie to, że Tatarzy zniszczyli miasta – te można było odbudować. I nawet nie to, że książę Czernihowa został skazany na śmierć.

Milej mądrze zauważył, że chan Tatarów, w odróżnieniu od rosyjskich książąt od czasów wielkiego Monomacha, bije własne monety.

– Teraz Tatarzy mają w swoich rękach worki z pieniędzmi – tłumaczył synom.

– Nie zniszczą handlu, bo i po co, tylko będą zgarniać z niego zyski.

Po tatarskiej inwazji cała prowincja mocno podupadła. I chociaż Milej miał niewolników wyrabiających rękodzieło na sprzedaż, chociaż jego wsie dostarczały mu tkanin i dużych ilości futer, to nie widział wielkich możliwości rozwoju.

– Musimy zająć się ziemią – postanowił.

Znał kilku bojarów, którzy wyjeżdżali do swoich majątków na wiele miesięcy. Wcześniej mieszkali w mieście, prowadzili handel i zbierali czynsz w gotówce, a teraz byli zmuszeni utrzymywać się z ziemi.

– Może nie zgarniam srebrnych monet – przyznał mu jeden z nich. – Ale gdy zjawia się jakiś mój chłop i zamiast czynszu przynosi mi dwa worki ziarna, ser tak wielki, że aż trudno go unieść, kopę jajek i cały wóz drewna na opał, to jestem bardzo zadowolony. Może gdy przebywam na wsi, wyglądam na chłopca – zaśmiał się – ale dobrze mi się żyje.

Właśnie dlatego Milej zaczął przemyśliwać o Rusce.

Jak duży był ten jego majątek?

Niech granica na zachodzie

I tak samo na północy i południu

Będzie tam, gdzie dosięgnie

Topór, pług i kosa.

Tak brzmiała zwyczajowa formuła. I tylko miejscowi, od dawna znający okolicę, mogli dokładniej określić, którędy biegną granice pól.

Jednak w tych trzech kierunkach ciągnęła się jałowa gleba, podzół, dlatego dla Mileja znacznie ważniejszy był teren leżący na wschodzie – żyzny czarnoziem. A tam, gdzie majątek stykał się z książęcymi Czarnymi Ziemiami, granice były dokładnie wytyczone.

Nie liczył na to, że książę muromski przekaze mu te ziemie, dlatego kilka razy zaproponował, że odkupi od niego Gnojowisko. Wprawdzie oferta nie została przyjęta, jednak zarządca przypomniał mu, że tylko część należącego doń czarnoziemowi jest uprawiana.

– Przyślijcie mi więcej niewolników – powiedział – a ja wam zapewnię dobre zyski.

I właśnie z tą myślą bojar Milej pojawił się pod koniec sierpnia w Rusce.

Trawa była już skoszona i na nadrzecznej łące wysokie kopy siana rzucały długie cienie. Milej uprzedził o swoim przyjeździe zarządcę, więc czekał na niego solidny nowy dom z wysokim, stromym dachem i ogrodzonym kawałkiem ziemi dookoła. Bojar przyjechał sam, w towarzystwie tylko jednego sługi, i natychmiast poprosił o paszę dla swoich wspaniałych wierzchowców.

Kiedy zarządca zaczął znosić siano, od razu został ofuknięty.

– Dawaj owies, głupcze! To nie są jakieś wiejskie szkapy.

Rzeczywiście konie były niemal dwa razy większe od wytrzymałych kuców, jakich używano do pracy w polu.

Milej zjadł szybko, wygłaszając kilka zgryźliwych uwag o rzepie, którą mu podano, a potem od razu udał się na spoczynek. Gdy jednak żona zarządcy zaczęła narzekać na zły humor pana, mąż odparł krótko:

– To dobry znak. Już ja go znam. – A widząc jej zdziwioną minę, dorzucił: – Nie złościłby się, gdyby nie myślał poważnie o naszej wsi.

Miał rację.

Następnego dnia Milej wstał o świcie, żeby objechać swoje włości. Uprzejmym skinieniem głowy witał wieśniaków, którzy szli już na pole.

Największe plony dawało tu jare żyto, które zebrano już w lipcu. A tego dnia zbierano jęczmień.

Milej, z zarządcą u boku, objechał każdy kawałek majątku. Najbardziej zainteresował go czarnoziem.

– Czy my tu siejemy pszenicę?

– Teraz nie, panie.

– No to powinniśmy spróbować. – Zaśmiał się. – Będzie z czego wypiekać chleb na liturgię bożą.

Chleb na liturgię? A więc bojar chce tu postawić cerkiew. Zarządca uśmiechnął się. Chyba rzeczywiście ma wobec wsi poważne zamiary.

Milej wydał też kilka nowych poleceń. Kiedy był chłopcem, na południu zaczęto uprawiać grykę. Tutaj też chciał jej spróbować. Najwyraźniej bardzo mu nie posmakowała rzepa, którą poczęstowano go poprzedniego dnia.

– Paskudne chłopskie jedzenie – powiedział z obrzydzeniem. – Wy tu prawie nie uprawiacie grochu.

– Nie, panie.

– Macie siać więcej grochu i soczewicę. I konopie. Razem z grochem. Nasiona konopi mają dużo oleju. Będą was zimą rozgrzewać.

– Tak, panie. – Po co bojarowi to wszystko? Czyżby zamierzał się tu przenieść?

– To wszystko będzie dla was, panie? – spytał nierozważnie.

– Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy i rób, co ci każą – ofuknął go bojar.

Zarządca natychmiast skłonił się głęboko. A więc rzeczywiście ma taki zamiar, pomyślał uszczęśliwiony.

Milej był zadowolony z uprawy lnu.

– Ale ma być go więcej – oznajmił.

Len stanowił podstawowe włókno wytwarzane na północy Rusi i tak naprawdę jedyny towar, który można było z zyskiem dostarczać na targ. Leżący na północnym zachodzie Psków wysyłał nawet len za granicę.

Owce we wsi chowały się całkiem nieźle, zresztą sam bojar je tu sprowadził. Ale na widok bydła pokręcił ze smutkiem głową. Krowy miały nie więcej niż metr wysokości w kłębie, a gdy zima się kończyła, człowiek w pojedynkę dawał radę wynieść je z obory na pastwisko.

Milej nawet nie chciał o nich mówić.

Wrócił do wioski dopiero po południu. Zjadł coś i zasnął. A wczesnym wieczorem postanowił obejrzeć wiejskie chaty i chłopów.

Nie był ucieszony tym, co zobaczył.

– Brudna, żałosna gromada – burknął ze złością do zarządcy. – I tylko mi nie mów, że to ja ich tu przywiozłem – dorzucił z ponurym uśmiechem.

Jednak nastrój wyraźnie mu się poprawił, gdy na sam koniec dotarł do chaty ojca i córki, którym rok wcześniej pozwolił się tutaj osiedlić.

– Nareszcie jakaś czysta chałupa – powiedział z zadowoleniem.

Ale to nie wszystko. Nad piecem wisały pęki świeżych ziół, w izbie unosił się słodki zapach. Stojący na stole pucharek w kształcie kaczki był małym dziełem sztuki. W typowym dla ruskich chat czerwonym kącie z ikonami płonęła świeca, po przeciwnej stronie wisały trzy pięknie haftowane obrusy.

Tyle udało się Jance osiągnąć przez osiem miesięcy najczarniejszej udręki.

Milej widział przed sobą ojca i córkę, którzy mogli być wzorem dla innych. Mężczyzna, choć przez cały dzień pracował na polu, miał schludnie przyczesaną brodę, na cześć bojara włożył czystą koszulę, uśmiechał się z szacunkiem, ale pewnie, jak człowiek, który ma czyste sumienie.

A dziewczyna była prawdziwą perłą. Czysta, schludna i – co należało przyznać – ładna. Nawet na cynicznym Mileju zrobiło to wrażenie.

– Dobry człowiek zasługuje na taką troskliwą córkę – powiedział z uśmiechem.

Dziewczyna wyglądała o wiele lepiej niż przed rokiem. Wciąż była szczupłą, ale dojrzewająca kobiecość wypełniła jej kształty. Miała cudownie gładką, choć nieco bladą cerę.

Przyjrzał się jej uważnie. Czyżby zauważył w oczach jakiś cień?

A potem, przypominając sobie własne córki, pomyślał, że dziewczęta w tym wieku zawsze mają jakiś powód do zmartwień.

– Ładny dziewiczy kwiatek do zerwania – mruknął do siebie, gdy wyszedł już na zewnątrz.

Następnego dnia pojechał do Gnojowiska, a potem ogłosił, że wyjeżdża, ale niedługo pojawi się znowu.

– Możecie się mnie spodziewać każdego dnia! – zawołał do zarządcy na pożegnanie.

Nie było go przez cały miesiąc.

Kiedy wrócił we wrześniu, miał ze sobą cztery łodzie, które jego ludzie ciągnęli na linach w górę rzeki.

W pierwszej łodzi była rodzina niewolników.

– Obawiam się, że to Mordwini – powiedział do zarządcy. – Ale już ty ich nauczysz pracować!

W pozostałych było bydło. Milej sprowadził z okolic Riazania cielęta.

– Powinny wyrosnąć na duże krowy – oznajmił. – Na zimę dwie dasz pod opiekę temu chłopu z córką. Oni się nimi dobrze zajmą.

Rozgościł się w domu i zapowiedział, że za tydzień zbierze czynsz, a potem wyjedzie.

– Wybieram się w interesach do Nowogrodu. Nie będzie mnie aż do wiosny – oznajmił zarządcy.

Tym razem nie objeżdżał całych włości, tylko chodził po polach i przyglądał się pracującym wieśniakom.

A najbardziej lubił obserwować młockę.

Młocka odbywała się na kawałku oczyszczonego terenu, obok pieców, gdzie suszono ziarno.

Snopki młócono na dwa sposoby. W jedne walono kijami i cepami – to była robota mężczyzn. Druga metoda była bardziej delikatna i dlatego tę pracę wykonywały kobiety – uderzały kłosami o kłodę drewna ułożoną poziomo na dwóch podpórkach. Ziarno z kłosów wysypywało się, a długą słomę można było wykorzystać do tkania i plecenia. Do wyrobu lin nadawała się szczególnie słoma żytnia: długa i miękka, a jednocześnie mocna.

Milej często tamtędy przechodził i patrzył na kobiety. Początkowo były trochę przestraszone obecnością pana o tureckich rysach, jasnych włosach i twardym spojrzeniu, jednak szybko do niego przywykły. Zwłaszcza że nie przyglądał się im z jakąś szczególną uwagą.

Ale Janka wiedziała, że jest inaczej. Czowała to.

Zawsze była schludnie ubrana. Drugiego dnia Milej zauważył, że jej sukienkę ozdabia na przedzie ptasi haft, a pasek jest zawiązany ciasniej niż zwykle, przez co gdy się pochylała albo unosiła ręce, wyraźnie ukazywał się zarys jej sylwetki.

Milej był człowiekiem bywałym w świecie, mimo to nawet dla niego ta wiejska scena miała w sobie coś z magii.

Nie było go w domu już od bardzo dawna. Wciąż nie brakowało mu sił, ale wiedział, że się starzeje. A ta dziewczyna była wyjątkowa.

Czuł się przy niej dziwnie ożywiony, jakby magiczna wczesna jesień w tej odległej wiosce pozwoliła mu na kilka dni zapomnieć o upływie czasu.

Nie odezwał się do niej ani razu, ona do niego też nie. Ale oboje wyczuwali swoją obecność i jedną myśl, nieuchronną jak nadejście zmroku, która łączyła ich w rześkiej ciszy popołudnia.

Czwartego dnia, wczesnym wieczorem, kiedy Milej stał samotnie, patrząc na czerwieniejące pola na drugim brzegu rzeki, podeszła do niego, uśmiechnęła się i minęła go bez słowa.

Na dzień przed wyjazdem bojar Milej przyjmował należny mu czynsz.

Chłopi przynosili worki ze zbożem i prosięta. Zazwyczaj połowę świń zarzynano jeszcze przed zimą. Przyprawiano młode owce i kozy. Jedna rodzina, która wolała uiszczać czynsz w pieniądzu, a nie w naturze, złożyła przed bojarem stos oficjalnie ostemplowanych króliczych skórek, które w owych czasach służyły jako waluta.

Znoszono też bobrowe skóry, dobre na sprzedaż.

Był to dość przygnębiający widok, kiedy chłopi ciągnęli za sobą świnię i bydło. Bydło wciąż miało na szyjach drewniane dzwonki, które zawieszano zwierzętom przed wypuszczeniem ich na wypas po żniwach. W powietrzu rozchodziło się melancholijne pobrzękiwanie, gdy krowy i owce stawały przed bojarem i były naznaczone na śmierć.

Milej był zadowolony z zebranego czynszu, ale ze smutkiem myślał o tym, że zaraz przyjdzie mu wyjeżdżać. Na zakończenie, gdy już prawie zapadał zmierzch, wstał, dał zarządcy znak, że chce być sam, i poszedł na ostatnią przechadzkę nad rzekę.

Cienie były już długie, stojące w milczeniu drzewa wydawały się wyższe niż zwykle.



Niedługo potem zobaczył na ścieżce dziewczęcą postać. Zdziwiło go to, ale i sprawiło przyjemność. Pod nimi słała się szklista tafla rzeki. Domyślił się, że dziewczyna chce mu coś powiedzieć.

Tym razem patrzyła wprost na niego tymi dziwnymi, na wpół smutnymi oczami.

– Zabierzcie mnie ze sobą, panie.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Dokąd mam cię zabrać?

– Do Nowogrodu. Czyż nie tam jedziecie?

Skinął głową.

– Nie podoba ci się tutaj? – spytał spokojnie.

– Muszę stąd wyjechać.

Popatrzył na nią z zaciekawieniem. Co jej doskwiera?

– Ojciec źle cię traktuje?

– Może tak. A może nie. Co wam do tego? – Zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Zabierzcie mnie ze sobą.

– Chcesz zobaczyć Nowogród?

– Chcę jechać z wami.

W jej słowach dźwięczała jakaś desperacja. Nie zauważył jej wcześniej, a gdyby był młody, pewnie by się przestraszył. Przypominała mu rusałkę, która wabi ludzi do siebie. A jednocześnie była całkiem opanowana.

Pomyślał o jej ciele.

– A co na to twój ojciec?

Wzruszyła ramionami.

A więc o to chodzi. Domyślił się. Spojrzał na nią z nową otwartością.

– Co dla mnie zrobisz, jeśli cię zabiorę?

– Wszystko.

To była jej jedyna szansa. Bojar nie mógł tego wiedzieć, ale gdyby jej odmówił, gotowa byłaby się zabić.

– Zgoda.

Ruszył do wsi. Rzeka była jak wstęga bladego światła, ale las pogrążył się już w ciemności.

Czekała ich daleka droga – prawie siedemset pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód aż do nadbałtyckich ziem. Ale gdy tylko opuścili Ruskę – bojarowi towarzyszyła kilkusobowa świta – Janka poczuła ekscytację.

Na początku podróż nie była wygodna. Bojar odesłał wcześniej łodzie, więc teraz mieli się przemieszczać konno.

– Chyba umiesz jeździć? – zapytał.

Owszem, umiała jeździć na wiejskich konikach, ale chłopci nigdy nie udawali się w długą podróż inaczej niż na łodziach. Pod koniec pierwszego dnia w siodle była obolała. A trzeciego dnia przeżywała tortury.

– Jeszcze ktoś pomyśli, że cię pobitem i zgwałciłem – zażartował bojar rubasznie.

Był potężnym mężczyzną, a gdy dosiadał konia, wyglądał jeszcze dostojniej. Miał na sobie płaszcz obramowany futrem i czapkę z brylantem. Szeroka twarz o wydatnych

kościach policzkowych, szeroko rozstawione oczy o twardym spojrzeniu, gęsta jasna broda – wszystko to zdawało się mówić: „Mam władzę, jestem nietykalny dla zwykłych chłopów, którzy nic dla mnie nie znaczą”.

Patrzyła na niego z uczuciem dumy.

– Oto mój bojar – mówiła do siebie półgłosem.

Nie tracił czasu. Kochał się z nią już pierwszej nocy po opuszczeniu wioski.

Na początku, przez krótką chwilę, przestraszyła się rozmiarów jego męskości, ale ten silny mężczyzna, z którym miała dzielić namiot, był zaskakująco delikatny.

Okazał się świetnym kochankiem. A ona miała nadzieję, że potrafi go zadowolić.

I był dla niej dobry. Wystarczyło kilka pytań, by opowiedziała mu o ostatnich miesiącach z ojcem. Umiał ją pocieszyć.

– Nie dziwię się, że chciałaś stamtąd wyjechać – powiedział łagodnie. – Ale nie myśl o nim źle, ani tym bardziej o sobie. Uwierz mi, w małych wioskach z dala od świata takie rzeczy zdarzają się często.

Ku jej zaskoczeniu ojciec nie sprzeciwiał się wyjazdowi. Wprawdzie byli wolnymi ludźmi i Milej nie mógł mu odebrać córki, lecz gdy potężny bojar wezwał go do siebie i oznajmiwszy swoją decyzję, spojrzawszy na niego przenikliwie, ojciec poczerwieniał na twarzy.

Ale do końca nie stracił rezonu.

– Dziewczyna jest dla mnie dużą pomocą, panie – powiedział ostrożnie. – Bez niej będę znacznie biedniejszy.

Milej zrozumiał.

– O ile biedniejszy?

– Moja ziemia jest bardzo jałowa. A sami wiecie, że dobry ze mnie rolnik. Dajcie mi trochę czarnoziemiu.

Milej zastanawiał się przez chwilę. Cóż, akurat ojciec Janki dobrze by tę ziemię uprawiał.

– Zgoda. Pięć czetów. Będziesz płacił uczciwy czynsz. Porozmawiaj z zarządcą.

Odprawił go gestem dłoni.

Żegnając się z ojcem, Janka miała łzy w oczach. Rozumiała, co sam czuje, i było jej go żal.

Jechali na północ aż do rzeki Kłazmy.

Janka chętnie zobaczyłaby na własne oczy leżący niedaleko stołeczny Włodzimierz oraz słynną ikonę Matki Bożej. Usłyszała kiedyś, że namalował ją sam święty Łukasz Ewangelista. Ale Milej pokręcił głową i mały orszak skierował się na zachód. Przez dziesięć dni poruszali się wzdłuż brzegu Kłazmy, aż wreszcie znaleźli się na północ od małego miasta o nazwie Moskwa. Tu skierowali się na północny zachód.

Spadł deszcz, ale na szczęście dotarli do Tweru leżącego u podnóża wzgórz Wałdaj nad brzegiem górnej Wołgi. Twer był niewielkim miastem, takim jak Moskwa. Znaleźli sobie gospodę i dziesięć dni czekali na poprawę pogody. A potem przyszedł śnieg.

Dwa tygodnie później Janka wsiadła do dużych, wygodnych sani. Zaczynała się ostatnia, magiczna część jej podróży.

Sanie miękko i cicho zsunęły w dół zbocza niedaleko Tweru, a potem przejechały

przez zamarznąłą Wołgę. Mknęły przez śniegi, czasem przez skute lodem rzeki, albo zanurzały się w mroczne lasy, gdzie podążały niekończącymi się szlakami wśród drzew.

Czasem musieli się przedzierać przez śnieżycę. Ale w inne dni słońce świeciło ponad roziskrzonym krajobrazem północy.

Zauważyła, że w lasach na zachód od Moskwy znów zaczęły przeważać drzewa liściaste, tak jak na południu. Ale im dalej posuwali się na północny zachód, tym częściej pojawiały się wysokie jodły typowe dla tajgi.

Pod koniec listopada krajobraz zaczął się zmieniać. Rozciągnęła się przed nimi szeroka, otwarta przestrzeń przetykana zagajnikami i kępami drzew. Janka często miała wrażenie, że suną po lodzie, a nie po ziemi – rzeczywiście pod nimi były zamarznęte moczary. Wzniesienia stawały się coraz niższe, chyba zbliżali się do morza.

Milej był w dobrym nastroju. Gdy mknęli przez równinę, uśmiechał się do siebie, podśpiewując bylinę o Sadce, kupcu z Nowogrodu. W końcu któregoś popołudnia wyciągnął przed siebie rękę i oznajmił:

– Jego wysokość Nowogród.

Z dużej odległości miasto wyglądało zwyczajnie, bo fort wznosił się zaledwie na sześć metrów nad nurtem rzeki. Dopiero gdy podjechali bliżej, Janka mogła docenić ogrom miasta.

– Jest takie wielkie!

Roześmiał się.

– Poczekaj, aż wjedziemy do środka.

Potężny Nowogród rozłożył się nad powolną rzeką Wołchow, nieco na północ od jeziora Ilmen. Miasto składało się z dwóch części zbudowanych po obu stronach rzeki, otoczonych ogromną drewnianą palisadą i połączonych dużym drewnianym mostem. Pośrodku zachodniej części wznosił się fort z grubymi kamiennymi murami.

Wjechali do miasta od wschodu i przeprawili się mostem na drugą stronę rzeki.

Janka wydała okrzyk zachwyty.

Most rzeczywiście był potężny – mogły pod nim przepływać statki żaglowe.

– Na całej Rusi nie ma drugiego takiego mostu jak ten – zauważył Milej.

Most kończył się wielką bramą. Niedługo ukazała się przed nimi surowa katedra. Skręcili w prawo, zagłębili się w północną dzielnicę miasta, aż w końcu dotarli do dużego drewnianego budynku, który okazał się gospodą.

Janka niemal cały czas aż wstrzymywała oddech z podziwu.

Bo wszystkie ulice były wykładane drewnem.

Na początku była w Nowogrodzie szczęśliwa.

Milej miał dużo zajęć, ale choć uchodziła tutaj za jego służącą, często pozwalał jej iść za sobą i od czasu do czasu uprzejmie pokazywał coś wartego uwagi.

Część zachodnią, w której stał fort, z racji umiejscowionego tu soboru nazywano Świętą Sofią. Składały się na nią trzy dzielnice: najbardziej na północ znajdował się kwartał rymarzy i garbarzy, przy nim Zagorod, gdzie mieli domy bogaci bojarowie, i wreszcie kwartał garncarzy.

Wszędzie stały piękne, drewniane domy. Wydawało się, że drewniane cerkwie można liczyć na setki, a murowane na dziesiątki.

I wszystko wyglądało na mocne i solidne. Ulice nie były zbyt szerokie, miały może trzy metry, ale utwardzono je grubymi, rozłupanymi wzdłuż pniami, ułożonymi na drewnianych podkładach płaską stroną ku górze. W miejscu, gdzie akurat ulicę naprawiano, zauważyła pod spodem wiele warstw takiej nawierzchni.

– Co oznacza, że ulice Nowogrodu z wolna się podnoszą – powiedziała do Mileja.

– Masz rację – odparł. – Do niektórych starych domów schodzi się jeden stopień w dół.

Każdą ulicę zamykał płot – ale nie było to skromne ogrodzenie, jakie widziała w Rusce, tylko solidna, gruba, przypominająca palisadę ściana, która zdawała się mówić: „Nie zamierzaj się na mnie, bo pożałujesz”.

Kiedy była dzieckiem, ludzie z Kijowa czy Perejasławia z pogardą wyrażali się o mieszkańcach dalekiego Nowogrodu. Nazywali ich cieśłami.

Ona jednak nie widziała najmniejszego powodu, by kpić z ich ciesiołki. Czowała przed nią respekt.

Wielki sobór pośrodku fortu konkurował ze swoim kijowskim imiennikiem, Świętą Sofią.

Podobnie jak cerkiew w Kijowie, miał pięć naw. Ale jego ściany nie były zbudowane z różowych cegieł o łagodnej poświacie, tylko z wielkich, nieregularnych kamieni. Panowała tu surowa, ascetyczna atmosfera. Cerkiew kijowska miała trzynaście złotych kopuł, nowogrodzka pięć pokrytych ołowiem, który rzucał przytłumiony, ciemny blask. Wewnątrz, zamiast migoczących mozaik z ich nieziemskim, bizantyjskim światłem, z wysokich, płaskich ścian spoglądały surowo ogromne freski. Cała budowla miała być wyrazem nie transcendentalnej tajemnicy, ale twardej, nieustępliwej władzy północy. I przypominała każdemu przybyszowi: oto znalazłeś się w Wielkim Nowogrodzie.

– Te malowidła wykonali nowogrodzcy malarze, nie Grecy – tłumaczył Milej. A gdy patrzyła z podziwem na potężne drzwi z brązu ozdobione scenami biblijnymi, dorzucił: – Odebraliśmy je Szwedom, ale zrobiono je w Niemczech, w Magdeburgu.

Kiedy wyszli na zewnątrz, wskazała na stojący w pobliżu okazały drewniany dwór.

– Czy tutaj mieszka książę?

– Nie – odparł Milej. – Mieszkańcy nie zgadzają się na to, by książę mieszkał w mieście. Ma siedzibę w swoim forcie, trochę dalej na północ. A ty patrzysz na pałac arcybiskupa. Nowogrodem rządzi arcybiskup i ludowy wiec. Książę ma bronić miasta, a oni mogą się nie zgodzić na księcia, który nie przypadnie im do gustu.

Zawsze wiedziała, że Nowogród jest wolnym miastem, ale nie zdawała sobie sprawy, że taka wielka władza, której wspaniałe przejawy widziała dookoła, może należeć do ludu.

– A więc oni są naprawdę wolni – zauważyła z podziwem.

– Są naprawdę uparci – odparł szorstko. – Sama się przekonasz – dorzucił, widząc jej zdziwioną minę.

Zdumienie i podziw Janki wzrosły jeszcze bardziej, gdy następnego dnia wybrali się na drugi brzeg rzeki.

Za fortem minęli wielką Bramę Dziewiczą z kamienną cerkwią wzniesioną ponad

łukiem i wjechali na drewniany most. Poniżej mieli zamrożoną rzekę Wołchow, która była częścią starego szlaku handlowego prowadzącego na południe do Dniepru i dalej do Kijowa, a na północy wpływała do wielkiego jeziora Ładoga, łączącego się Newą z Zatoką Fińską i Morzem Bałtyckim.

Przed nimi leżała targowa część miasta.

– Tutaj są dwie dzielnice – mówił Milej, gdy sanie jechały po moście. – Kwartał Słowienów i kwartał cieśli. A pomiędzy nimi mamy targ. I tam właśnie jedziemy.

Nigdy czegoś takiego nie widziała. Obok kolejnej dużej cerkwi ciągnął się rozległy plac sięgający rzecznych nabrzeży.

Był pokryty zamrożonym śniegiem, na którym stały długie rzędy barwnych straganów.

– Chyba jest ich z tysiąc – powiedziała.

– To możliwe.

Milej miał swoje sprawy do załatwienia, więc przez całe przedpołudnie mogła się przechadzać pomiędzy straganami. A to, co zobaczyła, wprawiło ją w osłupienie.

Nowogród był starym emporium ziem północnych. Przewijały się tutaj chyba wszystkie narodowości, nawet zimą: nie tylko Słowianie, ale i Niemcy, Szwedzi, kupcy z Litwy i ziem Łotyszów. A pewien krępy sprzedawca solonych ryb zapewniał ją, że w młodości dotarł na statkach łowiących śledzie aż do leżącej daleko na zachodzie Anglii.

Można tu było kupić wszystko.

Najrozmaitsze produkty spożywcze: miód w wielkich garncach, beczułki soli i foczy tłuszcz. Beczki pełne węgorki, śledzi i dorszy. Szybko zauważyła, że najchętniej kupowano leszcze i turboty. Wszędzie leżały ogromne stosy futer z bobrów, borsuków, lisów, a nawet soboli. Była kolorowa ceramika i niemal hektary pięknie wyprawionych skór.

– A pod koniec lata – tłumaczyła jej jakaś kobieta – przywożą całymi wozami chmiel. Ach, ten jego zapach – uśmiechnęła się.

Na straganach leżały sprowadzane z północnych lasów pięknie rzeźbione ozdoby z kości i rogu renifera, sprzedawano też kły morsów nazywane rybimi zębami.

I były także ikony.

Przyjrawszy się im, zauważyła, że różnią się od ikon, które widywała w dzieciństwie.

Te z Nowogrodu były jaśniejsze, z wyraźniej narysowanymi konturami. Soczyste czerwienie wybuchały radośnie ponad bielą śniegu, jakby w tym rzeńskim północnym klimacie wyłaniały się nad lasami i brzegami rzek i jezior bardziej niesforne bóstwa. Janka właśnie zobaczyła przykłady nowo powstałej nowogrodzkiej szkoły malowania ikon, która wkrótce miała się stać sławna. Jednak te obrazy nie przypadły jej do gustu.

Za to prawdziwe pożądanie wzbudziły w niej wschodnie towary. Kupieckie karawany przywoziły je ze stepów, z ogromnych terenów będących teraz pod panowaniem Tatarów, a potem dostarczały przez miasta księstwa suzdalskiego do wielkiego emporium północy.

Były tu przyprawy, eksportowane jeszcze dalej na zachód. Były bukszpanowe grzebienie i rozmaite paciorki. Oraz zachwycające jedwabie z Konstantynopola.

Przesunęła dłonią po gładkiej tkaninie.

– A teraz wyobraź sobie dotyk tego jedwabiu na skórze – odezwał się sprzedawca. O tak, umiała to sobie wyobrazić.

Przyglądając się potężnemu mężczyźnie, który liczył ostemplowane wiewiórcze skórki służące w Nowogrodzie jako drobna waluta, zauważyła jeszcze coś. Mężczyzna notował coś rylcem na małej woskowej tabliczce. Widziała, jak to robi Milej, ale ten tutaj był zwykłym sprzedawcą. Rozejrzała się po pobliskich straganach. Inni kupcy, a nawet rzemieślnicy, też mieli woskowe tabliczki, a wielu z nich kawałki brzozonej kory, na której coś rysowali i zapisywali.

– Umiecie pisać i czytać? – zwróciła się do kobiety sprzedającej ryby.

– Tak, gołąbeczko. Prawie wszyscy umieją.

Zrobiło to na Jance wielkie wrażenie. W Rusce nikt nie umiał czytać. A ta umiejętność dawała nowe możliwości.

Oni też są Słowianami, pomyślała, ale bardzo się od nas różnią.

I przechadzając się po wielkim placu, na którym także zwoływano wiece, zaczynała powoli rozumieć, na czym polega śmiała, agresywna potęga nadbałtyckiej północy.

Tego wieczoru w gospodzie Milej zaprosił ją do siebie na kolację we dwoje. Był w doskonałym nastroju. Najwidoczniej interesy ułożyły się po jego myśli.

Nigdy jeszcze nie jadła takich frykasów. Były wśród nich ryby, które widziała po raz pierwszy w życiu, soczysta sarnina, przysmaki i łakocie pięknie podane na półmiskach. W pewnym momencie służba postawiła przed nią miskę lśniących ikry.

– Co to? – spytała Janka.

– Kawior. – Milej uśmiechnął się. – Z okonia. Spróbuj.

Słyszała o kawiorze. Wiedziała, że to ikra z okonia, jesiotra lub innej ryby, ale nigdy go nie jadła. Takie dania widywano tylko na bojarskich stołach.

Dolewał jej miodu i patrzył z rozbawieniem na jej zaróżowione policzki.

Pod koniec posiłku drzwi się otworzyły. Stał w nich chudy człowiek, patrząc pytająco na bojara.

Milej skinął przyzwalająco głową, więc mężczyzna wszedł do środka.

Był to minstrel, skaziciel. W ręce trzymał gusli – niewielką harfę używaną przez wędrownych pieśniarzy.

– Co nam zaśpiewasz, skazicielu? – spytał Milej.

– Dwie pieśni, mój panie. Jedną z południa, a drugą z północy.

Mówił z akcentem wskazującym, że sam pochodzi z południa.

– Pierwszą ułożyłem sam – wyjaśnił. – Dałem jej tytuł *Książę Igor*.

Janka uśmiechnęła się. Będąc dzieckiem, słyszała wiele opowieści o szlachetnym Igorze – księciu z południa, który poprowadził wielką wyprawę przeciwko Połowcom. Niestety, wyprawa zakończyła się porażką i książę Igor zginął. Na Rusi wszyscy znali tę historię.

Starzec ułożył naprawdę poruszającą pieśń. Gdy jego smutny, wysoki głos ze wschodnim zaśpiewem wypełnił izbę, Janka niemal czuła zapach bezkresnych trawiastych stepów, niemal miała przed oczami pustą przestrzeń zapamiętaną z dzieciństwa.

Pieśń głosiła proste przesłanie: gdyby ruscy książęta się zjednoczyli, nie pokonałby ich żaden stepowy najeźdźca. Ten przekaz był szczególnie wymowny dziś, po tatarskiej inwazji.

Spojrzała na Mileja. Jego oczy też zaszyły łzami. Przecież to jego przodkowie, Rusini i Połowcy, walczyli ze sobą na stepie.

Milej sięgnął do leżącej za nim skórzanej torby i wyjął z niej niewielki pakunek. Położył go przed Janką.

Był to zwój najpiękniejszego wschodniego jedwabiu.

– Podarunek dla ciebie – powiedział. A widząc jej zaskoczenie, odchylił do tyłu głowę i wybuchnął głośnym śmiechem. – Milej jest hojny dla tych, którzy umieją mu sprawić przyjemność! – zawołał. – Zaśpiewaj drugą pieśń – rozkazał skazitielowi.

Nowogrodzka pieśń o bogatym kupcu Sadce była ruską wersją opowieści o Orfeuszu. Jej bohater, minstrel i kupiec w jednej osobie, oczarował swoją grą mieszkającego na dnie oceanu fińskiego boga mórz i w ten sposób otrzymał prawo powrotu do życia. Historia ta upamiętniała też postać prawdziwego kupca.

Skazitiel nadał jej śpiewną, zmysłową melodię.

Janka leżała u stóp Mileja, powoli przesuwając między palcami miękkiej, lśniącej jedwab. Pieśniarz ciągnął opowieść o Sadce, który swoją harfą uspokajał fale wzbudzone przez boga mórz, a ona wyciągnęła się leniwie, tuląc do siebie zwój jedwabiu i spoglądając w górę na bojara. Pod rozpiętą górą kaftana widać było kręcone jasne włosy na piersi i wiszący na szyi metalowy krążek z trójzębną tamgą, herbem jego pradawnego klanu. Patrzyła mu w oczy tak długo, aż w końcu roześmiał się cicho i gestem dłoni odprawił minstrela.

Tej nocy zatraciła się w objęciach Mileja. Wszystko było na swoim miejscu. A potem, tak jej się wydawało, otworzyło się w niej coś niezemskiego i razem z Sadką – kupcem minstrelem – przeniosła się do pałacu w głębinach północnego morza.

Każdego dnia Janka dowiadywała się czegoś nowego o świecie, ale największe, wprost wstrząsające odkrycie czekało na nią dwa tygodnie później.

Odkąd przyjechali do Nowogrodu, z wielką niecierpliwością wyczekiwała, gdy dane jej będzie zobaczyć owianego sławą księcia Aleksandra.

A był on człowiekiem niezwykłym. Kiedy Ruś drżała ze strachu przed nadciągającymi ze wschodu Tatarami, ten młody potomek Monomacha odnosił oszałamiające zwycięstwa nad zachodnimi wrogami Rusi – w bitwie na lodzie zgniół zakon krzyżacki i powstrzymał Szwedów nad Newą, skąd też wziął się jego przydomek: Aleksander Newski. Nawet w małej Rusce mówiono o tym bohaterze, ale tutaj, gdy Janka wspominała jego imię, ludzie jedynie wzruszali ramionami. Nie umiała tego pojąć.

Odkąd opuściła rodzinną wieś, nie słyszała, by ktoś poruszał w rozmowach kwestie polityczne. Po drodze zadała Milejowi parę naiwnych pytań, lecz on tylko się roześmiał.

Jednak wszystko to poszło w niepamięć podczas uczy, którą wydał bojar.

Zaprosił na nią swoich współników w interesach. Janka miała usługiwać przy stole. Było ich kilkunastu – brodaci, w większości otyli mężczyźni w kosztownych jedwabnych kaftanach. Kilku nosiło ozdoby z dużych kamieni szlachetnych, a jeden był tak gruby, że aż trudno było uwierzyć, iż w ogóle jest w stanie chodzić. Jedni byli bojarami, inni

bogatymi kupcami, a dwóch, w tym mężczyzna o szczupłej, śniadej twarzy, zaliczało się zaledwie do średniej klasy kupieckiej.

Dopiero przysłuchując się ich rozmowie, zdała sobie sprawę z zasobności i wielkości Nowogrodu.

Rozmawiali o dziesiątkach, a nawet setkach majątków leżących w lasach i na mokradłach daleko, daleko na północnym wschodzie. O wydobywaniu żelaza z mokradeł, o złożach soli, o wielkich stadach reniferów wędrujących na skraju tundry. Dowiedziała się, że latem na północnych terenach w ciągu jednego miesiąca w ogóle nie zapada noc, a zimą myśliwi wędrują po pustkowiach, gdzie nie wstaje świt. Nowogrodzcy bojarzy mieli ogromne połacie ziemi, których nawet nie widzieli na oczy, a czynsz za nie pobierali w futrach. Dostarczali je myśliwi, którzy musieli w tym celu pokonać setki kilometrów i którzy w całym swoim życiu ani razu nie dotarli do miasta.

Były to ziemie porośnięte wielką, nieskończoną tajgą.

Kiedy jednak rozmowa zesłała na kwestie polityczne, Janka prawdziwie się zadziwiła.

– Należałoby zapytać, co zamierzacie zrobić z Tatarami – zaczął Milej. – Poddacie się czy będziecie z nimi walczyć?

Po izbie przeszedł pomruk.

– Sytuacja jest dość delikatna – zauważył stary bojar. – Obecny wielki książę nie będzie żył wiecznie.

Janka wiedziała, że poprzedni książę Nowogrodu, ojciec księcia Aleksandra, zmarł w drodze powrotnej z poddańczej podróży do Mongolii. Krążyły pogłoski, że otruli go Tatarzy. Tego roku schedę po nim objął jego brat i wyznaczył Aleksandra na władcę miasta. Mówiono jednak, że nowy wielki książę jest słaby.

– Prawdziwa walka o władzę – rzucił ktoś – rozegra się między Aleksandrem i jego bratem Andrzejem.

Janka słyszała o Andrzeju, ale nic o nim nie wiedziała.

Stary bojar pokiwał głową.

– A my będziemy musieli opowiedzieć się po jednej ze stron.

I wtedy właśnie usłyszała słowa, które wprawiły ją w osłupienie.

– Niektórzy z nas – zaczął kupiec o chudej twarzy – uważają ich obu za zdrajców.

Zdrajców? Książę Aleksander, mężny pogromca Szwedów i Niemców, miałby być zdrajcą? Co gorsza, nikt nie zaprotestował.

– To prawda – przyznał z westchnieniem gruby bojar. – Aleksander nie jest lubiany. Ludzie uważają, że za bardzo sprzyja Tatarom.

– Czy to prawda, że podczas bitwy z niemieckim rycerstwem posłużył się tatarskimi łucznikami? – spytał Milej.

– Tak mówią, ale ja nie daję temu wiary – powiedział gruby bojar. – Musicie jednak pamiętać o jednym: nie dość, że ludziom nie podoba się jego przyjaźń z Tatarami, to w Nowogrodzie, a jeszcze bardziej w Pskowie, są tacy, którzy ucieszyliby się z niemieckiego panowania.

Po tych słowach zapadło krępujące milczenie.

Od czasu przybycia do Nowogrodu Janka wiele razy słyszała, że gdy książę



Aleksander odnosił swoje zwycięstwa, władcy Pskowa stali po stronie Niemców.

– Jak pewnie wiecie, po powrocie do Nowogrodu Aleksander kazał powiesić niemieckich stronników – wyjaśnił Milejowi gruby bojar. – Więc teraz nawet jeśli ktoś żywi takie sympatie, to się z nimi nie zdradza.

I znów w izbie zaległa ciężka cisza.

– Krążą wieści – zaczął cicho jeden z młodych kupców – że ksiązę Andrzej potajemnie sprzyja katolickim Niemcom i Szwedom. Dlatego my, drobni kupcy, jesteśmy zdania, że żadnemu ruskiemu księciu nie wolno ufać.

Czy to możliwe? W swojej prostocie Janka dopuszczała myśl, że jedni książęta są silniejsi albo bardziej odważni od innych, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że którykolwiek prowadzi cyniczną grę, posługując się w niej ruskimi ziemiami.

Rozmowa trwała jeszcze przez jakiś czas, rozważano rozmaite, mniej lub bardziej korzystne wersje rozwoju wypadków. W końcu gruby bojar zwrócił się do Mileja:

– Widzicie więc, że trudno nam dojść do jednego wniosku. Dlatego chętnie wysłuchamy zdania bojara z Muromu.

Spojrzeli na niego z zaciekawieniem, a on milczał przez chwilę. Janka też czekała niecierpliwie na jego słowa. Co też powie jej potężny protektor?

– Przede wszystkim – odezwał się w końcu – rozumiem obóz sprzyjający katolikom. Macie blisko do Szwecji, do Polski i do kupieckich miast Hanzy. A oni wszyscy są katolikami, z których siłą należy się liczyć. Dlatego ksiązę Galicji z południowego zachodu jest przekonany, że z pomocą papieża powstrzyma Tatarów. Jednak to katolickie stronnictwo jest w błędzie. Dlaczego? – Rozejrzył się po twarzach słuchaczy. – Bo Tatarzy są o wiele silniejsi, a na papieżu i katolickich potęgach nie można polegać. Gdy tylko ksiązę Galicji próbuje wzmocnić swoją władzę, Tatarzy zadają mu klęskę.

Rozległ się pomruk aprobaty. Słowa o Galicji były prawdą.

– Nowogród jest potężny – ciągnął Milej. – Ale nie wobec Tatarów. Jeśli zechcą, w ciągu paru dni zgniotą wasze fortyfikacje, tak samo, jak zrobili to we Włodzimierzu, w Riazaniu i w samym Kijowie. Mielicie szczęście, że zawrócili, zanim się za was wzięli.

– Tatarzy przeminą, tak jak Awarowie, Hunowie, Pieczyngowie czy Połowcy – zauważył ktoś.

– Nie przeminą – odparł Milej. – Ten właśnie błąd popełnia połowa ruskich książąt. Nie chcą zobaczyć prawdy, więc wolą zamknąć oczy. Tatarzy to nie Połowcy. Mają imperium, jakiego świat nie widział. A jeśli im się sprzeciwiacie – zawiesił głos dla lepszego efektu – to zgniotą was jak muchy.

– Czy to oznacza – odezwał się ze smutkiem młody kupiec – że waszym zdaniem ksiązę Aleksander ma rację i musimy poddać się tym poganom?

Milej spojrzał na niego z niechęcią. W jego oczach pojawił się błysk, który Janka już wcześniej widziała, ale miała zbyt mało wiedzy, by zrozumieć, że jest on wyrazem pradawnego, cynicznego sprytu.

– Moim zdaniem – powiedział cicho Milej – Tatarzy są naszymi najlepszymi przyjaciółmi.

– Właśnie! – wybuchnął gruby bojar. – Od razu wiedziałem, przyjacielu, że jesteś mądrym człowiekiem.

Janka osłupiała. O czym on mówi?

– Aleksander ma oczywiście rację – ciągnął Milej. – Nie mamy wyboru. Zapamiętajcie sobie moje słowa: za kilka lat będą rządili nami wszystkimi. Ale nie to jest najważniejsze. Kto prowadzi karawany ze wschodu, z którym handlujecie? Tatarzy. Kto bije monety i pilnuje, by na stepie nie było Połowców? Tatarzy. Gdzie nasi synowie znajdują korzystną służbę i okazję do zdobycia łupów? U Tatarów. Moi alańscy przodkowie służyli u Chazarów, zanim w ogóle powstała Ruś. Bo co innego nam pozostaje? Rusczy książęta? Wielki książę, który nawet palcem nie kiwnął, żeby pomóc Riazaniowi czy Muromowi w walce z Tatarami? Tatarzy są silni i kochają zyski z handlu. Dlatego będę z nimi współpracował.

Janka była blada jak ściana.

Przed oczami przesunął jej się obraz umierającej matki. I Tatara z odciętym uchem. A potem brata znikającego w mroczniejącym stepie.

A więc Milej chce trzymać z Tatarami.

Wcześniej tego nie wiedziała. Bo i skąd? Była jedynie biedną słowiańską chłopką z małej wioski. Dlatego nie pojmowała, że już od ponad tysiąca lat Sarmaci, Chazarowie, wikingowie i Turcy, ludy ze stepów, znad rzek i mórz, ci wszyscy potężni zdobywcy, traktowali ruskie ziemie i ich mieszkańców jedynie jako środek do zdobywania coraz większych łupów.

Starsi mężczyźni kiwali mądrze głowami.

Na szczęście stała w samym kącie izby, właściwie zapomniana przez wszystkich, bo tak osłupiała, że nie była w stanie się odezwać.

Ale w tej właśnie chwili czuła się bardziej zbrukana nocami spędzonymi z Milejem niż tym, co w dniach jej najgłębszej rozpaczony zaszło między nią a ojcem.

Tydzień później zaczęła podejrzewać, że jest w ciąży.

Nic mu o tym nie powiedziała. Ani nikomu innemu. Nie miała tu bliskiej osoby. W pierwszej chwili poczuła bezradność. Snuła się po Nowogrodzie, próbując coś postanowić.

Szukała cichych miejsc, wąskich uliczek oddalonych od ruchu i gwaru, zaglądała do położonych na uboczu klasztorów, wędrowała po terenach łowieckich księcia na północ od miasta. I coraz lepiej poznawała okolicę.

Ale im lepiej znała Wielki Nowogród, tym mniej lubiła to miasto. Nawet pobliski klasztor Świętego Jerzego, gdzie miała nadzieję doznać ukojenia, okazał się kwadratowym soborem tak wysokim i surowym, że wydawał się niemal okrutny.

Poszła do cerkwi pod wezwaniem najłagodniejszych chyba świętych, Borysa i Gleba, ale zobaczyła jedynie wielką, bogatą budowlę, w której stały wyniosłe dębowe trumny bogatej szlachty.

– Ten kościół zbudował Sadko, kupiec z byliny – wyjaśniła jej jakaś stara kobieta. A widząc, że Janka rozgląda się po imponującym wnętrzu, dodała: – O tak, był bardzo bogaty.

Z każdym dniem Janka coraz wyraźniej widziała, że w Nowogrodzie liczy się

jedno: ile kto ma pieniędzy.

Na targu, w gospodzie, na ulicy – każdy, z kim rozmawiała, mówił jedynie o swoich sąsiadach i oceniał ich poprzez stan posiadania. Dla nich nie jestem człowiekiem, myślała, tylko określoną sumą pieniędzy. I w miarę upływu czasu ten bezwzględny świat coraz bardziej ją odstręczał. To nie jest miejsce dla mnie, myślała. Nie chcę tu zostać.

Było jej coraz trudniej – w nocy musiała się kochać z bojarem, w dzień wychodziła na spotkanie z bezlitosnym światem. Dawny wizerunek samej siebie – srebrnej brzozy, która przetrwa najgorsze śniegi i mrozy – już jej nie pomagał. Gdy w nocy zamykała oczy, żeby go przywołać, wydawał się blady i odległy. W dzień była przygnębiona i apatyczna, w nocy czuła, że zasługuje tylko na nienawiść. Nigdzie nie znajdowała ukojenia.

Czasem zachodziła do mniejszych kościołów. Było ich w mieście wiele, drewnianych i murowanych. Szczególnie piękne były kościółki z kamienia. Na kopułach, tak jak wszędzie na Rusi, widniały greckie krzyże, ale nowogrodzcy budowniczowie zmienili kształt kopuły: zaostrzyli wierzchołek, tak że przypominała hełm, a do tego wprowadzili u dołu lekką wypukłość, przez co kopuły wyglądały jak lśniące cebule.

Małe cerkwie były miniaturowymi wersjami soborów katedralnych: pod głównym pomieszczeniem znajdowała się mniejsza krypta, w której zimą odprawiano nabożeństwa. Te budowle wznoszono z kamienia, ale ich fundatorami byli często bojarzy i kupcy podobni do tych, których zaprosił Milej tamtego straszego wieczoru. Zamiast wysokich galerii, z których książęta obserwowali swoich poddanych, miały na wyższej kondygnacji niewielkie narożne kaplice, gdzie modliła się rodzina fundatora i gdzie on sam, namalowany z ciemną brodą, spoglądał z surową wyższością ze ściennego fresku.

Być może wynikało to z jej nastroju, ale wkrótce i takie miejsca zaczęły napełniać ją odrazą.

Do tego nosiła w sobie dziecko bojara. Nie wiedziała, co robić.

Była pewna, że bojar zapewni dziecku utrzymanie. Ale co z nią? Gdzie będzie mieszkać? Czy kiedykolwiek wyjdzie za mąż? I chociaż zamężnym kobietom w słowiańskich wioskach zdarzał się przypadkowy kontakt cielesny będący ukoronowaniem pijackiej uczty, to młoda żona, która nie była dziewicą, skazywała mężczyznę na hańbę. Gdyby dowiedzieli się o tym jego sąsiedzi, prawdopodobnie pomalowałiby mu framugi, co było sygnałem pogardy. Niezamężna kobieta z dzieckiem nie miała szans na ułożenie sobie życia.

Poza tym nienawidziła Mileja, a dziecko było jego.

Ku swojemu zaskoczeniu zauważyła, że samo dziecko jest jej obojętne. To życie, które w sobie nosiła, należało do bojara i do tego miasta. Los obarczył ją tym ciężarem wbrew jej woli. Chciała się go pozbyć i wyjechać z Nowogrodu na koniec świata.

– Nie chcę tego dziecka – powtarzała półgłosem. – Nie jestem na to gotowa. To by mnie z nim związało.

Kłębilo się w niej mnóstwo żalu, a jednocześnie jakaś część jej jestestwa pragnęła dać życie. Instynkt podpowiadał, że im dłużej ta ciąża będzie trwała, tym straszniejsza okaże się utrata dziecka.

Czasem już sama nie wiedziała, czego chce. I albo chodziła apatycznie bez celu,

albo siadała w samotności, patrząc przed siebie.

Milej widział jej konsternację, więc nie posyłał już po nią tak często, ale też nie pytał o powód.

W styczniu podjęła w końcu decyzję: nie dopuści do narodzin dziecka.

Ale jak? Słyszała, że młode kobiety pozbywają się niechcianej ciąży, skacząc z bramy. Nie umiała się na to zdobyć. Przez dwa dni chodziła ulicami, mając nadzieję, że jakimś zrzędzeniem losu poślizgnie się na lodzie, przewróci i poroni. Poszła nawet pomodlić się przed najświętszą ikoną Nowogrodu – ikoną Matki Bożej „Znak”. Ale chociaż obraz ocalił kiedyś miasto przed wojskami księcia suzdalskiego, jej niewiele pomógł. W końcu zrozpaczona zaczęła rozpytywać na targu. Przecież musi być ktoś, kto się zna na takich rzeczach.

Znalazła ją pewnego popołudnia w połowie stycznia. Oschła stara kobieta z brodawką na dłoni sprzedawała na straganie nad rzeką suszone zioła.

Gdy Janka wyjaśniła, czego szuka, starucha nie wyglądała na zdziwioną. Małe brązowe oczy uważnie przyjrzały się dziewczynie.

– Który miesiąc?

Janka odpowiedziała.

– Dobrze. Ale to będzie kosztować.

– Ile?

Kobieta milczała przez chwilę.

– Dwie hrywny.

Janka zaczerpnęła gwałtownie powietrza. Przecież to majątek!

Stara spojrzała na nią, ale twarz Janki nie wyrażała żadnych uczuć.

– No to jak?

– Jesteście pewna, że...?

– Pozbędziesz się dziecka.

– A czy potem...

– Nic ci nie będzie.

Jeszcze tego samego popołudnia Janka wzięła zwój jedwabiu, który dostała od Mileja, i sprzedała go za dwie hrywny.

– Przyjdź tu o zmierzchu – powiedziała kobieta.

Janka szła za staruchą, która powłóczyła nogami po ścieżce przecinającej południowe obrzeża miasta. Po lewej stronie stały chałupy, po prawej ciągnęła się skuta lodem rzeka. Na zachodzie słońce powoli znikało, odległa czerwona tarcza osiadała w śniegu jak oddech. Palisada ustawiona w poprzek rzeki, na którą padał lodowaty cień, wyglądała na tle czerwonego nieba jak skrzydło kruka.

Kobieta zaprowadziła Jankę do chatynki na końcu wąskiej uliczki. Otworzyła drzwi do niskiej przybudówki i gestem zaprosiła dziewczynę do środka. Pomieszczenie wypełniały rozmaite torby i worki. Przy stole zastawionym garnkami z ziołami, które wydzierały silny zapach, stała ława. Było zimno.

– Usiądź tu i zaczekaj – powiedziała kobieta i znikła.

Po chwili wróciła z małą balią, postawiła ją przed Janką, a potem znów wyszła.

Minęło trochę czasu, zanim pojawiła się z wiadrem gorącej wody, którą następnie

wlała do balii. Uniósł się kłęb pary. Kobieta przytaszczyła jeszcze dwa wiadra i napełniła balię do połowy.

Teraz brała ze stołu kolejne garnki, wylewała ich zawartość do balii i mieszała długą drewnianą łyżką. W izbie rozszedł się ostry, gryzący zapach, od którego Jance pociekły łzy.

– Co to takiego?

– Nieważne. Zdejmij buty, podciągnij koszulę i włóż stopy do balii – rozkazała kobieta.

Janka zrobiła posłusznie, co jej polecono, i aż krzyknęła, gdy gorąca woda zapiekła ją w stopy.

– Przyzwyczaisz się – powiedziała kobieta. – A teraz wstań.

Dziewczyna wstała i o mało się nie przewróciła. Pieczenie było nie do zniesienia.

Kobieta podtrzymała ją, a potem podciągnęła jej koszulę jeszcze wyżej, obnażając brzuch.

Nagle Janka poczuła się bezradna jak mała dziewczynka, kiedy ojciec kazał jej się kłaść na ławie. Dławiły ją gryzące opary z balii. Spojrzała w dół – miała czerwone już nie tylko stopy, ale i całe nogi.

– Zaraz się ugotuję – jęknęła.

– Może – mruknęła stara, dolewając jeszcze więcej wrzątku.

Mijały minuty. Pieczenie w nogach narastało, a potem zamieniło się w odrętwienie. Janka przywykła do dziwnego zapachu, choć oczy wciąż jej łzawiły. Gdy już myślała, że się przewróci, kobieta kazała jej się oprzeć na wysokiej lasce. I wciąż dolewała gorącej wody i dodawała ziół.

Minęła godzina. W końcu Janka zemdląła.

Gdy odzyskała przytomność, starucha nacierała jej nogi i stopy maścią.

– Będą trochę bolały. Nie są poparzone, choć tak wyglądają – powiedziała spokojnie.

– A dziecko?

– Przyjdź do mnie na targ pojutrze o zachodzie słońca.

Nazajutrz Janka spała do późna. A dzień później zjawiała się na targu. Kobieta spojrzała na nią beznamiętnie.

– No i co?

Janka skinęła głową.

– Podziałało. Już wszystko w porządku.

– Przecież ci mówiłam. – Stara kobieta odwróciła się, jakby przestało ją to interesować.

Nic jej w życiu nie zostało. Na pewno nie w Nowogrodzie. Z obawy, że znów zajdzie w ciążę, próbowała unikać Mileja. Ale co dalej?

Wkrótce okazało się, że choć śniegi wciąż zalegają na drogach, bojar zamierza wyruszyć z powrotem na wschód. A co z nią?

I mimo wszystko tęskniła za ojcem. Nigdy więcej nie zamieszkałaby z nim pod jednym dachem, ale chętnie by go zobaczyła. Bez niego była całkowicie samotna.

Ale jak miałyby wrócić? Czy bojar ma wobec niej jakieś plany? A może planuje ją

zostawić w jakimś mieście albo w jakiejś gospodzie? Ponieważ sama nie wiedziała, czego chce, nie zadawała żadnych pytań.

Wtedy właśnie znalazła miejsce, które dało jej ukojenie. Odkryła je trzy dni po spędzeniu płodu.

Był to niewielki kościół w kwartale garncarzy, cały z drewna, pod wezwaniem Świętego Błażeja.

Świątynia była typowym przykładem dostosowania się chrześcijaństwa do zwyczajów i uczuć prostych Finów i Słowian, którzy odeszli od pogaństwa. Święty Błażej chronił zwierzęta, dlatego łatwo go było utożsamić z dawnym słowiańskim Wołosem, opiekunem bydła, bogiem obfitości i pomyślności.

W tym ciemnym drewnianym kościółku z wysokim spadzistym dachem czuła się jak w domu. Z zewnątrz przypominał trochę stodołę, ale w środku – za sprawą niskiego sufitu, ciemnych ikon i płonących świec – miał specyficzne ciepło wiejskiej chaty. Wzniesiono go z wielkich bali, był mocny jak twierdza. Nieustannie krzątający się starzy księża, przysadziste kobiety, które cierpliwie zamiatały podłogę albo polerowały porozstawiane wszędzie świeczniki – wszyscy tam byli bardzo przyjaźni. I gdy tak stała, czasem nawet godzinę, przed ikoną świętego Błażeja, miała wrażenie, że widzi w swoim smutnym, bezsensownym życiu iskierkę nadziei.

– Boże, zmiłuj się nade mną. Boże, zmiłuj się nade mną – powtarzała szeptem.

Gdy któregoś razu odwróciła się od ikony, zobaczyła przed sobą wysokiego, czarnobrodego księdza, który patrzył na nią życzliwie.

– Nasz Pan kocha wszystkie swoje dzieci – powiedział. – A zwłaszcza te, które upadły i okazały skruchę.

Janka poczuła, że ten ksiądz zajrzał w jej duszę. Miała łzy w oczach, więc ukloniła się i pospiesznie wyszła z kościoła.

A kilka dni później poznała młodego mężczyznę.

Na pierwszy rzut oka nie było w nim nic szczególnego. Miał dwadzieścia dwa, może dwadzieścia trzy lata. Był dość wysoki, z ciemną brodą, wydatnymi kośćmi policzkowymi i o nieco skośnych oczach. Zwróciła uwagę na jego dłonie. Były to dłonie robotnika, naznaczone odciskami, a jednocześnie piękne i silne, skrywające w smukłych palcach jakąś wrażliwość. I co dziwne u robotników, miał schludnie przycięte paznokcie. Patrzył na nią z uwagą.

Kiedy zobaczyła go pierwszy raz, stał w pełnej szacunku pozie przed ikoną, ale gdy ruszyła w kierunku drzwi, natychmiast przerwał modlitwę. Uśmiechnęła się do siebie.

Wyszła z kościoła tuż przed nim. Po chwili zrównał się z nią krokiem.

– Pewnie myślisz, że idziesz w moją stronę – powiedziała z lekko filuternym uśmiechem.

– Chcę cię tylko odprowadzić. Dokąd idziesz?

– Do kwartału garbarzy.

– Ja też. Mój pan tam mieszka.

Wydawał się całkiem niegroźny.

Okazało się, że jest niewolnikiem, Mordwinem, który został porwany w wieku dwunastu lat. Nazywał się Purgas. Gdy miał piętnaście lat, kupił go bogaty kupiec

z Nowogrodu i nauczył ciesiołki.

Rozstali się przy gospodzie, ale przedtem powiedziała mu, że zagląda do drewnianego kościółka każdego popołudnia.

Właściwie spodziewała się, że spotka go tam nazajutrz, lecz zdziwiło ją, gdy wyjął z kieszeni malutką rzeźbę. Była to wystrugana z brzozy łódź, nie większa od jego dłoni, z wiosłarzami i żaglem.

Była tak misternie wykonana, że Janka aż wstrzymała oddech, bo przypomniła sobie cuda, które umiał rzeźbić jej brat.

– To dla ciebie – powiedział Purgas. I nalegał, by przyjęła prezent.

Tego dnia też odprowadził ją do domu.

A potem widywali się często. Zawsze odnosił się do niej przyjaźnie i nie mówił wiele. Dostrzegła w nim specyficzną nieśmiałość i powściągliwość, które jej się spodobały. Gdy szli ulicami miasta, od czasu do czasu zatrzymywał się i pokazywał jej jakiś detal budynku, na który nigdy nie zwróciłaby uwagi: małą rzeźbę, kratę przy oknie albo po prostu sposób łączenia grubych belek na rogach.

Jak mogła się przekonać, takich łączeń było bardzo wiele. Kłody były kanciaste albo ociosywane na okrągło, różnie też je układano, jedne miały otwory, a inne nacięcia. To, co dla niej było zbiorowiskiem solidnych, dość prymitywnych drewnianych domów, dla niego było mozaiką skomplikowanych zagadek, które z przyjemnością rozwiązywał.

– Nawet prostą wiejską chatę można zbudować na wiele sposobów – tłumaczył.

– A ciesielscy mistrzowie w Nowogrodzie znają je wszystkie.

Zauważyła jednak, że choć podziwiał to miasto i znał w nim każdy dom, tęsknił za ojczystymi lasami dzieciństwa.

– Mieszkaliśmy w lasach nad Wołgą – opowiadał. I wymieniał nazwy wszystkich drzew i roślin rosnących w tamtych okolicach. O budynkach rozprawiał z żywym zawodowym uznaniem, ale gdy mówił o lasach, w jego oczach pojawiał się nieobecny, marzycielski wyraz. Bardzo mu wtedy współczuła.

Jednak największa niespodzianka spotkała ją czwartego dnia. Zatrzymała się w cerkwi przed ikoną przedstawiającą Chrystusa z otwartą księgą, na której napisano kilka słów.

– „Nie sądźcie z zewnętrznych pozorów, ale wydajcie wyrok sprawiedliwy”

– odczytał Purgas.

Patrzyła na niego zaskoczona.

– Umiesz czytać?

– Tak. Nauczyłem się w Nowogrodzie.

Mordwin, zwykły Fin z lasu, a umie czytać.

I w tej właśnie chwili Janka podjęła decyzję.

Wieczorem poszła do Mileja i powiedziała mu, co postanowiła.

– Dostałeś ode mnie to, czego chciałeś – zakończyła. – Pomożesz mi teraz?

Ku jej zaskoczeniu uśmiechnął się dobrotliwie. A nawet udzielił jej kilku dobrych rad.

– Powiedz mi jeszcze raz, jak nazywa się ten kupiec i gdzie mieszka. Ale wiesz na pewno, że ten młody człowiek chce...?

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Ale myślę, że tak.

Następnego ranka Milej zaczął działać.

– Będzie mnie to kosztowało trochę grosza – przyznał z cierpkim uśmiechem.

– Ale księżom się spodoba.

Rzeczywiście Kościół popierał wyzwalanie niewolników.

Janka doskonale pojmowała, skąd się bierze jego dobroć – tacy ludzie jak on poprzez szczodrość demonstrowali swoją władzę.

I jeszcze tego popołudnia, gdy wyszli z kościoła, zwróciła się do Purgasa:

– Chciałbyś się ze mną ożenić? Mój pan kupi ci wolność.

Wyglądał jak rażony gromem.

– Sam chciałem cię o to zapytać – wyznał. – Ale bałem się, że jako niewolnik...

– Są jednak pewne warunki – ciągnęła. Przemyślała to sobie dokładnie. I to Milej udzielił jej odpowiednich instrukcji. – Wyjedziemy z miasta i zamieszkamy w pobliżu mojej wioski. Ale nie jako chłopci bojara – dodała szybko. Tego właśnie nie chciała.

– Będziemy wolnymi ludźmi. Osiądziemy w Czarnych Ziemiach i będziemy płacić czynsz samemu księciu.

Mimo wszystko pragnęła być blisko ojca. Gdyby stało się coś złego, miałyby się do kogo zwrócić. Ale wolałyby nie mieszkać w tej samej wsi co on. I nie chciała, żeby Milej był jej panem. „W takim razie musicie pojechać na Czarne Ziemie – stwierdził Milej. – Niedaleko Ruski jest dobra gleba, czarnoziem. Księżę chętnie przyjmuje tam chłopów. Będzie wam dobrze”.

Słyszając jej propozycję, Purgas się roześmiał. O tym właśnie marzył najbardziej na świecie.

– A więc wszystko ustalone – powiedział.

Nie wszystko.

– Jest jeszcze coś – zaczęła z wahaniem i opuściła wzrok.

Umilkła, a on czekał.

– Dawno temu... – zaczęła po chwili. – Kiedy byłam małą... Wioskę najechali Tatarzy... I wtedy jeden...

Patrzył na nią, nie mogąc w pierwszej chwili zrozumieć, o co jej chodzi. A potem przytulił ją delikatnie i pocałował w czoło.

Dwa dni później opuścili miasto razem z Milejem, który pozwolił im jechać za sobą w drugich saniach. Rozstali się z nim w miejscu, gdzie do Kłaźmy uchodził strumień płynący z Ruski.

W czasie podróży Milej odnosił się do nich z rezerwą, jak bojar do dwojga prawie niewolników. Ale przy rozstaniu przywołał Jankę do siebie.

Jego twarz wyrażała życzliwość, gdy dyskretnie wcisnął jej do ręki dwie hrywny.

– Przykro mi z powodu dziecka – mruknął.

I zaraz odjechał.

Dzień po tym, jak dotarli do Gnojowiska, przyszły roztopy.

*Rok 1262*



Milej czekał.

Na drugim brzegu rzeki, ponad polem, z którego właśnie zwieziono zboże, wznosiły się wirujące słupy kurzu. Niebo było jaskrawoniebieskie. W oddali pokazały się nieliczne zwiewne obłoki. Ponad lasem, gdzieś na horyzoncie, unosiła się różowawa mgiełka. Powietrze było bardzo suche, pachniało piołunem. Nie wyczuwało się nawet najmniejszego podmuchu wiatru.

Czekał na Tatara.

Przez cały rok w kraju panowało duże napięcie. W każdej chwili mogło dojść do wybuchu.

I dziś rano w Rusce wybuch o mało nie nastąpił. Gdyby nie było go na miejscu, dwaj muzułmańscy poborcy podatków już by nie żyli, co do tego nie miał wątpliwości. Dopiero gdy zagroził wieśniakom, że wyrzuci ich ze swojej ziemi, trochę się uspokoili.

– I raczej mnie za to nie pokochają – mruknął ponuro.

Wszyscy zebrali się teraz w dużej stodole, ładowali ziarno na wozy poborców. Na wszelki wypadek wciąż nasłuchiwał, gotowy zareagować, gdyby znów zaczęli się burzyć.

– Jaka szkoda, że ci poborcy muszą być muzułmanami – westchnął.

Nie pomylił się co do Tatarów – miał słuszość w każdej kwestii. Wszystko potoczyło się tak, jak przedstawił to nowogrodzkim kupcom kilkanaście lat wcześniej. Tatarzy zajęli ziemię na północnym wschodzie. Owszem, ruskim książętom pozwolono zachować korony. Ale potem przeprowadzono spis ludności i pobór do wojska. Północne ziemie zostały podzielone na dziesiątki, setki i tysiące, podobnie jak kiedyś ziemia kijowska. I nikt nie mógł się temu sprzeciwić.

Nawet Nowogród musiał się zgodzić na obłożenie podatkami: Nowogród Wielki został upokorzony. Książę Aleksander podróżował razem z poborcami podatków i pomagał zbierać należną Tatarom daninę. I brutalnie tłumił wszelkie zaczątki buntu.

Milej uśmiechnął się. Ależ szczywany lis z tego Aleksandra! Szybko odkrył, jak przeciągnąć Tatarów na swoją stronę. Wykorzystał ich, by odsunąć od władzy swojego stryja i brata, a teraz był największym księciem na ruskich ziemiach. Nosił nawet wschodni hełm ofiarowany mu przez tatarskiego chana.

Rodacy go nie lubili, lecz jego polityka była nie tylko przebiegła, ale i mądra. Sami Rusini nie daliby rady pokonać Tatarów.

– Spójrzcie tylko, co się stało z jego bratem Andrzejem – przypominał Milej tym, którzy nazywali Aleksandra zdrajcą. – Próbował walczyć z Tatarami, ale oni go zgnetli i splądrowali połowę miast w księstwie suzdalskim.

Wydarzyło się to przed dziesięcioma laty, ale ludzie wciąż o tym pamiętali.

A co się działo, gdy Rusini szukali pomocy za granicą?

– Pomyślcie tylko o tym głupcu księciu Galicji – mawiał Milej.

Książę, który umizgiwał się do papieża, okazał się jeszcze większym głupcem, niż Milej przewidywał. Najpierw przyjął koronę z rąk prymasa. Potem zaczął szukać sojuszników. I kogo wybrał? Pogańskie litewskie plemiona z północy, które napierały na zachodnie ruskie ziemie, ustępując przed zakonem krzyżackim. Władca Litwy przeszedł na katolicyzm i razem z księciem Galicji zaczęli atakować Tatarów.

I jak to się skończyło?

Tatarzy zniszczyli Galicję i kazali jej ruszyć na Litwinów. Na rozkaz Tatarów książę zburzył wszystkie swoje fortyfikacje. Zachodnie katolickie potęgi jak zwykle nie zrobiły nic, a król Litwy znów wrócił do pogaństwa. I podobno tego lata Litwini najechali Galicję, która była praktycznie bezbronna.

– Biedna Galicja jest skończona. Gdyby Aleksander postąpił podobnie – przekonywał Milej – jedną połowę jego ziem zajęliby Tatarzy, a drugą Niemcy.

Aleksander był mądry. I umiał działać prawie niezauważalnie.

Tatarzy z zasady starali się nie szkodzić Kościołowi. A Aleksander, który służył Tatarom, zawarł bliską przyjaźń z metropolitą Cyrylem.

– I co? Każdy mnich i każdy ksiądz stoi po stronie Aleksandra! – wykrzykiwał Milej. – Ludzie go nienawidzą, ale za każdym razem, gdy idą do cerkwi, słyszą, że to bohater narodowy. Księża nazywają go nawet Aleksandrem Newskim, jakby ta potyczka ze Szwedami nad Newą z czasów jego młodości ocaliła całą Ruś.

Polityczna przebiegłość takiej propagandy wielce go bawiła.

Owszem, nie mylił się co do Tatarów. To oni byli panami i jedynie głupiec odmówiłby z nimi współpracy. A on, Milej, współdziałał z Tatarami i z Aleksandrem Newskim od ponad dziesięciu lat.

Czasem nawet uciekał się do intryg.

Gdy brat Aleksandra za sprawą niewiarygodnego szczęścia na krótko zasiadł na włodzimierskim tronie, jakiś niemądry bojar wysłał do Mileja list, z którego wynikało, że książę spiskuje przeciwko Tatarom. Adresat natychmiast przekazał ów list Aleksandrowi. A rok później, gdy ten przejął władzę po bracie, do Mileja doszły słuchy, że może liczyć na względy władcy i jego tatarskich zwierzchników.

Także później miał wiele okazji do podobnych przysług.

Niestety, w ostatnim czasie nie wszystko układało się po jego myśli.

Gdy w Saraju rządził Batu-chan, współpraca była łatwa. Ale obecnie panował nowy chan, który przeszedł na islam.

Nowy chan nie prześladował Kościoła. Ale „wydzierżawił” muzułmańskim kupcom prawo do pobierania podatków w księstwie suzdalskim, a ci bezwzględnie wykorzystywali ten przywilej. Liczni nieszczęśnicy, którym nie udało się spełnić podatkowych żądań, popadali w niewolę. W końcu od Muromu po Włodzimierz zaczęły się rozchodzić wieści o kolejnych buntach.

Milej współczuł prostym ludziom. Ale interes to interes.

– Macie dopilnować, żeby majątki wokół Muromu zapłaciły wszystko, co się należy – przykazał swoim synom. – Ja będę miał oko na Ruskę.

I tym właśnie zajmował się tego ranka.

Miał też inny powód, by pod koniec lipca pojawić się w Rusce. Liczył, że przy odrobinie szczęścia doprowadzi do końca największe przedsięwzięcie swojego życia. Przedsięwzięcie, które miało odmienić Ruskę na zawsze. A gdy już sfinalizuje tę umowę, przekaże interesy synom. Zaczynał się starzec.

Z niecierpliwością wyczekiwał Tatara.

Tatar pojawił się pod wieczór. Milczący mężczyzna w średnim wieku. Wystarczyło

spojrzeć na jego odzienie i wspaniałego wierzchowca, by wiedzieć, że jest człowiekiem bogatym i dość znaczącym. Przybył jednak sam, bez żadnej eskorty, uzbrojony tylko w mongolski łuk i arkan. Ubrany był w kaftan z ciemnoczerwonego jedwabiu i chiński kapelusz z szerokim rondem. Ale jeden szczegół jego stroju zaskakiwał. Srebrny krzyżyk na łańcuszku wiszącym na szyi.

Tatar był chrześcijaninem. Miał na imię Piotr.

Co jednak nie było takie dziwne. Państwo mongolskie nie miało oficjalnej religii. Zajmując kolejne tereny na równinie eurazjatyckiej, Mongołowie stykali się z wieloma wielkimi religiami – buddyzmem na wschodzie, a islamem i katolicyzmem na zachodzie.

Jedną z tych religii był nestorianizm, starożytny Kościół chrześcijański, który przez teologiczne dysputy odciął się od zachodu i już sześć wieków wcześniej rozprzestrzenił z Persji aż po Chiny. I właśnie z tego na wpół zapomnianego Kościoła nestoriańskiego wywodziła się wielka legenda średniowiecznej Europy: że gdzieś na wschodzie leży baśniowa kraina, którą rządzi potężny chrześcijański władca, geniusz ludzkości.

Była to legenda o Janie Prezbiterze.

W dzieciństwie Milej w nią wierzył. Ale w rzeczywistości to legendarne imperium Jana Prezbitera było zwykłą społecznością znaną ludom Orientu. Nawet syn Batu-chana był nestoriańskim chrześcijaninem.

Na samej Rusi niektórzy Tatarzy nawracali się na chrześcijaństwo, podobnie jak niektórzy Tatarzy na wschodzie przyjmowali islam. W Saraju urzędował ruski biskup i było powszechnie wiadomo, że w Rostowie cała rodzina wysokiego tatarskiego urzędnika przeszła na chrześcijaństwo. Mimo to Milej zdziwił się, gdy rok wcześniej spotkał w Muromie nowego tatarskiego baskaka, który – jak się okazało – już od kilku lat był chrześcijaninem.

Od tamtego czasu prowadzili z rzadka wspólne interesy. Zdaniem Mileja baskak był człowiekiem spokojnym, ale bystrym i przebiegłym.

– Pytanie brzmi, jak możemy obrócić tę znajomość na naszą korzyść – oznajmił synom.

Przez kilka miesięcy wytrwale zabiegał o względy Piotra. I dużo się o nim dowiedział. Między innymi tego, że przeszedł na chrześcijaństwo pod wpływem oficjela z Rostowa.

– Najwyraźniej jest ich więcej – opowiadał Milej rodzinie. – Z reguły są urzędnikami niższej rangi w służbie chana, ale mają swoje wpływy. A władze tatarskie są przychylnie temu, by pewni oficjele przyjmowali religię kraju, w którym działają. Moim zdaniem ten człowiek może nam się przydać.

Pierwszy powziął pomysł, gdy się dowiedział, że Tatar ma niezamężną córkę.

Jego najstarszy syn był już wówczas żonaty i miał dwie córki. Ale młodszy Dawid, przystojny dziewiętnastolatek, był wolny.

– No i co ty na to? – spytał chłopaka. – Widziałem tę dziewczynę, całkiem niebrzydka. A ten baskak Piotr ma chyba całkiem pokaźny majątek. I mówią, że jest dobrze ustosunkowany.

Już wcześniej ruscy książęta zawierali małżeństwa z tatarskimi księżniczkami.

– W naszej rodzinie żeniono się chyba ze wszystkimi, była na przykład córka Sasa

i córka Połowca – dodał Milej z uśmiechem. – Czemu więc tym razem nie Tatarka?

Była też inna kwestia warta rozważenia. Bojar usłyszał kiedyś rozmowę o planowanej wyprawie Tatarów w góry Kaukaz na południowym wschodzie.

– Zamierzają najechać Azerbejdżan – opowiadał synowi. – Wiem, że marzy ci się taka wyprawa, a i łupy z niej mogłyby być duże. Jeśli się zwiążemy z tatarską rodziną, łatwiej ci będzie otrzymać dobre stanowisko.

Chłopak nie miał żadnych zastrzeżeń i ku zdziwieniu Mileja Piotr równie chętnie przyjął jego propozycję. Ślub się odbył. Tatar wykazał się wielką hojnością. Przyszłość rysowała się korzystnie.

Ale prawdziwe zaskoczenie Milej przeżył nieco później. Na początku lata Piotr oznajmił mu:

– Mam zamiar ufundować niewielki klasztor dla mnichów, z cerkwią. Może doradzilibyście mi jakieś odpowiednie miejsce?

Klasztor! Nawet on nie zdawał sobie sprawy z majętności Tatarów, nie wiedział też, że jego podejście do religii jest tak poważne.

– Dajcie mi dwa tygodnie – odparł. – Chyba coś znajdę.

Oto spadł mu dar prosto z niebios. Szybko ocenił sytuację i zaczął gorączkowe przygotowania.

Tego mu właśnie było trzeba w Rusce.

Przez te wszystkie lata robił, co mógł, żeby wieś się rozwijała, ale nie było to łatwe. Liczba mieszkańców wzrosła dwukrotnie, zbudowano prostą drewnianą cerkiew. Jednak zatargi z Tatarami w ciągu ostatnich kilku lat sprawiły, że coraz trudniej było znaleźć godnych zaufania osadników. Klasztor mógł w przyszłości przyciągnąć ludzi do wioski, a wraz z nimi także handel.

Udało mu się kupić większą część tamtejszych ziem – przeważnie były to lasy – a dochód czerpał ze sprzedaży futer i miodu.

– Jednak to za mało – tłumaczył Dawidowi. – Piotr mówi, że chce dobrej ziemi, ale dobra ziemia w Rusce to tylko czarnoziem po drugiej stronie rzeki.

I wtedy bojar Milej wpadł na genialny pomysł. Natychmiast wysłano posłańca do samego Aleksandra Newskiego. Zawiózł on list, w którym Milej przedstawiał potrzebę zbudowania klasztoru, wyłuszczał swoją prośbę oraz dyskretnie przypominał własne zasługi z przeszłości.

Nadeszła odpowiedź. Prośba Mileja została spełniona, jednakowoż pod jednym warunkiem: „Wielki Książę ma inne sprawy na głowie. O nic więcej nie prosź”.

– Wielki książę sprzeda mi po bardzo korzystnej cenie kawał swojego czarnoziemiu na północ od Gnojowiska – wyjaśnił bojar synowi. – Będzie tego dwa razy więcej niż to, co mamy w Rusce. – Z radością zatarł ręce. – Jeśli korzystnie sprzedam Tatarowi pod klasztor swoją ziemię, to wystarczy mi na ziemię od wielkiego księcia. I nie wydam na to z własnych pieniędzy ani grosza!

Piękno tego planu tak go zachwyciło, że uśmiechnął się z teatralnym zadowoleniem.

I dlatego teraz z wielką radością przywitał tatarskiego gościa i zaprosił go do swojego domu.

– Jutro rano pokażę wam całą okolicę – powiedział. – Chyba będziecie zadowoleni. Opowiedział mu o napięciach wśród wieśniaków.

– Oczywiście nie mają pojęcia o naszych interesach – dodał ze śmiechem. – Więc pewnie wpadną w przerażenie na wasz widok.

Piotr pokiwał powoli głową, ale się nie uśmiechnął.

– W Suzdalu i innych miastach doszło do poważnych rozruchów – powiedział ostrzegawczo. – W Muromie na razie panuje spokój. Zostawiłem strażnikom odpowiednie instrukcje, ale muszę jutro wyjechać, na wypadek gdyby sytuacja się zaogniła. Chan wpadnie w gniew.

– Aleksander sobie z tym poradzi. Chan ma do niego zaufanie – stwierdził zdecydowanie Milej.

– Chan nie ufa nikomu. I nikt nie jest bezpieczny – oświadczył Piotr chłodno.

Te słowa zmroziły nieco atmosferę. Milej pomyślał z zadowoleniem, że teraz na szczęście łączą go z tymi bezwzględnyimi panami rodzinne więzy.

Na wieczerzę podano świeże ryby z rzeki, słodycze i miód pitny. Bojar starał się, jak mógł, żeby wieczór upłynął w lepszym nastroju.

Następnego dnia wybrali się wcześniej rano na objazd majątku. Milej pokazał z dumą żyzny czarnoziem na wschodnim brzegu rzeki. Tatar obszedł całą wieś i przekonał się, że Milej rzeczywiście zaproponował mu najlepszy teren.

– To dobre miejsce na klasztor – przyznał. – Na początek wyłożę pieniądze na małą cerkiew i utrzymanie kilku mnichów. Ale klasztor będzie się rozrastał.

Milej skinął głową.

– Czy to znaczy, że zamierzacie kupić tę ziemię? – spytał z uśmiechem.

– Ile za nią chcecie?

Milej podał cenę.

Suma była dość wysoka, ale mieściła się w granicach zdrowego rozsądku. Bojar nie był taki głupi, żeby wyjść na chciwca.

– Niech będzie – zgodził się Piotr. I ku zaskoczeniu Mileja wyciągnął sakwę złotych monet, żeby od razu zapłacić.

– Teraz ziemia należy do mnie – stwierdził Tatar.

– Owszem, jest wasza.

Piotr podszedł do swojego konia.

– Nie zostaniecie na noc?

Tatar pokręcił głową.

– Chcę być jutro w Muromie. W mieście jest niespokojnie.

– Jednakowoż – zaczął Milej bez zastanowienia – powinienem sporządzić akt własności.

Było to tak oczywiste, że reakcja gościa wprawiała go w osłupienie.

– Akt własności? A co to takiego?

Milej już otwierał usta do odpowiedzi, ale zamilkł.

– Jaki akt własności? – powtórzył Tatar.

Jak to, wysoki urzędnik nie wie, że na Rusi każda nieruchomość musi mieć akt własności?

Nagle Mileja tknęła myśl, że Tatar wcale nie musi mieć takiej wiedzy.

Bo cały mongolski aparat władzy, bezwzględny w swojej skrupulatności, był jednocześnie całkowicie samowystarczalny. Tatarzy przeprowadzili spis ludności – czego nie uczynił żaden ruski władca – podzielili ziemię na dziesiątki i setki i obłożyli ją podatkami. To wszystko. Ich sposób rządzenia był skuteczny, ale nie miał punktów styecznych z ruskimi normami i zwyczajami. Ten inteligentny Tatar, chrześcijanin, który wydał swoją córkę za Rusina, był w tym kraju obcym. I zapewne nie zależało mu, by to zmienić. Nie miał pojęcia o ruskim prawie ani zasadach kupna ziemi.

Zapłacił za ziemię – ale bez aktu własności ona do niego nie należała.

I tak będę musiał mu ją przekazać, myślał gorączkowo Milej. A jeśli on się kiedyś dowie, że nie dostał ode mnie aktu własności... Mimo to zawahał się. Może da się wycisnąć z tej transakcji coś więcej? Będzie musiał to sobie przemyśleć. A na razie najlepiej zwlekać.

– Wracajcie do Muromu – powiedział z uśmiechem. – Porozmawiamy o interesach, jak przyjedziecie następnym razem.

Piotr ponaglił konia.

– I nie bądźcie dla nich zbyt pobłażliwi! – zawołał za nim Milej, a potem ruszył do wioski, trzymając w ręku worek ze złotem.

Tego ranka w Gnojowisku o mało nie doszło do zabójstwa.

Zapobiegła mu Janka.

Dwaj muzułmańscy kupcy przyprowadzili ze sobą kilkunastu ludzi i trzy duże wozy. Nie byli w dobrych nastrojach.

Mongolskie władze dały im prawo poboru podatków w dowolnej wysokości w zamian za stałą sumę pieniędzy wpłacaną do kasy chana. Spodziewali się z tego dużych zysków, ale na razie ponosili straty.

Wizyta w Rusce poprzedniego dnia nie przyniosła im zadowalających dochodów. Milej był przekonany, że to jego obecność powstrzymała wieśniaków przed zaatakowaniem poborców. Jednak w rzeczywistości kupcy, wiedząc o jego powiązaniach z Tatarami, nie stawiali w Rusce wygórowanych żądań. Teraz chcieli to sobie wynagrodzić.

Gnojowisko – mało znacząca społeczność wolnych chłopów – wyglądało obiecująco.

– Wyciągniemy z nich ostatni grosz – uznali, zbliżając się do wsi.

I właśnie tym zajmowali się całe przedpołudnie.

Wioska miała obecnie piętnaście gospodarstw i zyskała status włości, czyli komuny. Od kilku lat jej mieszkańcom powodziło się coraz lepiej, a to dzięki człowiekowi wybranemu na sołtysa: Purgasowi, mężowi Janki.

Ten młody cieśla, któremu pomogła odzyskać wolność, nie przestawał jej zaskakiwać. Najpierw, kiedy zbudowali swój dom w Gnojowisku i Janka powiesiła w rogu ikonę, Purgas w milczeniu umieścił nad obrazem wianuszek z brzoźowych liści.

– Czemu to zrobiłeś? – spytała zaskoczona. – To pogański zwyczaj.

Speszył się, ale po chwili wyznał:

– Nie jestem chrześcijaninem.

– Przecież ksiądz dał nam ślub.

Wzięli ślub w Nowogrodzie, tuż przed wyjazdem.

Uśmiechnął się łagodnie.

– Wydawało mi się, że to nie ma znaczenia.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, by go zapytać, czy jest chrześcijaninem. Czyż nie poznali się w cerkwi?

– Wszedłem tam za tobą.

– Powinieneś był mi powiedzieć – rzuciła ze złością.

– Bałem się, że cię stracę – wymamrotał.

Ale czy ona też go nie oszukała? Oboje uciekli się do kłamstwa z obawy, że utracą miłość drugiej osoby. To była mocna więź.

– Musisz się ochrzcić – orzekła.

Ale ku jej zaskoczeniu Purgas odmówił.

– Nasze dzieci mogą być chrześcijanami, ale ja zostanę przy swojej wierze – powiedział. – W Nowogrodzie zbyt długo mieszkałem wśród chrześcijan – dorzucił z lekkim poruszeniem.

Rozumiała to. Przyjazd z nią na wieś był dla niego jak powrót do korzeni. Nie dość, że szybko znalazł swoje miejsce w nowej społeczności, to jeszcze zaszła w nim dziwna przemiana.

Chwilami sprawiał wrażenie leśnej istoty. Potrafił stać nieruchomo nad rzeką, z dzidą w rękę, a potem niemal od niechcienia rzucał nią do wody i wyjmował rybę, której ona, leżąc na brzegu i wpatrując się w nurt, nigdy nie mogła zauważyć. Brał wysuszoną hubę, rozcierał ją w dłoniach i po paru sekundach pomiędzy palców wystrzeliwał mu płomień. Umiał wyszukać suche korzenie sosny, które paliły się bezszelestnie, znał rozmaite zioła lecznicze.

Dość szybko się upijał, ale zaraz potem zapadał w sen. Pokłócili się tylko raz, gdy nalegał, by pozwoliła mu zjeść zająca, czego zakazywał Kościół.

– Ja czczę boga Czampasa – tłumaczył. – On może nie jest tak potężny jak wasz bóg, ale mieszka w niebie i ma pod sobą wszystkich ziemskich bogów.

Purgas kochał las, kochał rzekę i to tak, jak ona nigdy by nie potrafiła. Każde drzewo było dla niego wyjątkową istotą. Janka pamiętała, co kiedyś czuła do brzozy i jak chciała przejąć jej siłę. I przyszło jej do głowy, że Purgas podobnie odnosi się do wszystkich roślin i zwierząt. Były to pradawne wierzenia leśnych ludów północy, od których nigdy więcej nie próbowała go odwozić.

Zabierała czasem dzieci do drewnianej cerkwi w Rusce, a on nie protestował. Co ją bardzo cieszyło.

Jej ojciec wziął sobie nową żonę. Była z tego zadowolona. Przyjechał do nich niedługo po ich przybyciu do Gnojowiska. Odwołał ją wtedy na stronę i wcisnął jej w rękę sakiewkę ze srebrnymi monetami, którą przywiózł jeszcze z południa.

– Kij już chyba nigdy nie wróci – powiedział. – To wszystko jest dla ciebie.

Zrozumiała, że w ten sposób chciał też wyrazić skruchę za to, co się stało. Od tamtego dnia żyli ze sobą w przyjaźni.

Pokazała monety Purgasowi, a on obejrzał je uważnie. Zauważył, że niektóre

pochodzą z Konstantynopola i są bardzo stare. Były też monety ruskie z czasów Monomacha. Ale kilka go zaciekało.

– Ten napis wygląda na słowiański – mówił. – Ale co to jest? – Wskazał na dziwne wschodnie pismo. – Chyba widziałem je na jakiejś ikonie.

Było to pismo hebrajskie. A monety pochodziły z Polski, gdzie żyła chazarska społeczność, więc i napisy były w dwóch językach, słowiańskim i hebrajskim.

Ukryli worek pod podłogą. Nie wiadomo, kiedy pieniądze będą mogły im się przydać.

Purgas był nie tylko myśliwym. Ciężko pracował przy uprawie roli, więc nie trzeba było długo czekać, żeby żyło im się całkiem dobrze. Nie miała na co narzekać.

Ale irytowała ją jedna mężowska cecha. Ona też miała ją w sobie, powiedział jej to dawno sołtys, kiedy po raz pierwszy pojawiła się w Rusce. Lecz u jej męża ta szczególna skłonność umysłu była jeszcze silniejsza. Nie umiał planować przyszłości.

– Tylko wrony latają prosto – mawiał, gdy naciskała, by podjął jakąś decyzję.

Według niego każdą porę roku, każdy dzień należało przeżyć do końca, uważnie, jakby to miał być ostatni dzień w życiu.

Po którejś z kolei gorącej dyskusji na ten temat Purgas wyszedł do lasu i wrócił po kilku godzinach z upolowanym jeleniem.

– Czy jego plany na następny tydzień mają jakieś znaczenie? – spytał.

– Ale ja nie jestem zwierzęciem – odparła z irytacją.

Uśmiechnął się jedynie i wzruszył ramionami.

Mimo to bardzo go kochała. Dał jej troje dzieci i dużo szczęścia. A mieszkańcy wioski go szanowali.

Co najmniej raz w roku zarządca bojara Mileja przychodził do nich z coraz bardziej kuszącymi propozycjami przeniesienia się do Ruski. Ale oni zawsze odmawiali.

– Należymy do Czarnych Ziem – mówiła Janka. – I sami dla siebie jesteśmy panami.

Wraz z upływem lat nabierała tuszy. Twarz jej się zaokrągliła. I była szczęśliwą kobietą.

Lecz nawet teraz mąż czasem ją zadziwiał. No bo na przykład co w niego wstąpiło poprzedniego wieczoru?

Oto bowiem mieszkańcy wioski, dowiedziawszy się, co się przytrafiło w Rusce poborcom podatków, postanowili zwabić ich w pułapkę i zabić. A Purgas poparł ten plan.

Wieści o niepokojach w miastach na północy dotarły do nich już kilka dni wcześniej. Wolni chłopci w wiosce byli podekscytowani.

– Oszałeliście! – mitygowała ich. – Ruska się nie zbuntowała.

– Bo bojar trzyma z Tatarami – stwierdził jeden z mężczyzn.

– Ale oni nas wszystkich pozabijają.

Nie dowierzali.

– My się ich nie boimy! – zawołał jakiś młodziak.

– Kiedy byłem mały, w moich okolicach nad Wołgą wierzono, że mężczyzna nie jest gotowy do żeniaczki, dopóki nie zabije człowieka – oznajmił Purgas. – To stary zwyczaj prawdziwych Mordwinów.



– Głupi poganie! – wrzasnęła. – Niczego nie rozumiecie.

I opowiedziała im o niewiarygodnej potędze imperium, na którego skraju przyszło im żyć.

– Zgniotą nas – powtarzała. – Nigdy nam nie wybaczą.

– A więc – zaczął Purgas spokojnie – jesteś teraz po stronie bojara.

Otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Bo co miała powiedzieć? Przypomniała sobie tamten wieczór w zajeździe i słowa Mileja, które tak ją oburzyły. Ale teraz była znacznie starsza i widziała, jak Tatarzy zajmują północną część kraju, więc musiała przyznać bojarowi rację.

– Ukryjcie, co się da – nakazała wieśniakom. – Zapłaćcie im coś, ale udawajcie, że was złupili. Inaczej nas zniszczą.

Posłuchali. Nawet Purgas obiecał, że pójdzie za jej radą.

A dziś wszystko potoczyło się tak, jak przewidywała. Poborcy pojawili się tuż o świcie, licząc, że zaskoczą mieszkańców. Szybko opróżnili do połowy spichlerz ze zbożem i zabrali niemal wszystkie zwierzęta gospodarskie. Ale przed świtem Purgas i inni mężczyźni ukryli resztę dobytku na moczarach, po których kupcy nie umieli się poruszać. A rano przygotowywali się już do odjazdu.

Gdy ładowali zboże na wozy, Janka wyszła na przechadzkę. Nawet się nad tym nie zastanawiając, ruszyła ścieżką prowadzącą do Ruski. Pomyślała, że pójdzie porozmawiać z księdzem.

Był jeszcze wczesny ranek, ale słońce mocno grzało. Ścieżka biegła obok polany, na której sterczało kilka kopców, starych wiatyckich grobów. Roztaczał się stąd piękny widok na Ruskę. Wokół panowała cisza. Nagle Janka stanęła jak wryta.

Nie, to jej się na pewno wydaje.

Tatar Piotr miał tego dnia powody do zadowolenia. Ziemia pod klasztor spełniła jego oczekiwania. Nadszedł czas, by pojednał się z Bogiem. „Człowiek bez wiary nie zazna spokoju” – napominał go urzędnik z Rostowa. Piotr przyznawał mu rację.

Chan w Saraju był teraz muzułmaninem. Nawet wielki chan oszedł od szamańskich wierzeń i kultu nieba, który wyznawał Czyngis-chan. A Kubilaj-chan został wyznawcą buddyźmu, religii powszechnej w Chinach, którymi władał.

Piotr zgadzał się z tym, że wszyscy ludzie powinni składać pokłon wielkiemu chanowi. Ale wraz z upływem czasu, gdy patrzył na intrygi rodu panującego i coraz bardziej gorszące walki o władzę, jego zainteresowanie budową doczesnych imperiów słabło. Nawet wspomnienia z dzieciństwa o Czyngis-chanie, władcy świata, jawiły mu się dziś jak pamięć o świecie dawno minionym, a nie wizja nieba.

Bo w niebie był tylko jeden Bóg, jeden władca świata.

Gdybym zdołał więcej osiągnąć, myślał czasem, gdyby Batu-chan nie umarł, a ja zostałem generałem, może wciąż byłbym żądny doczesnych tryumfów.

Ale jego kariera była skończona. Nie miał szans na dalszy awans. I pogodził się z tym. Dzięki siostrze, kiedy jeszcze żył jej syn, którego miała z Batu-chanem, udało mu się zgromadzić pokaźny majątek.

Tęsknił za stepem. Często myślał przed snem o wielkich przestrzeniach i falujących trawach.

Dwa lata wcześniej pojechał przez stepy aż do Saraju. I kupił tam od jakichś Alanów wspaniałego siwego ogiera, którego teraz dosiadał. Koń miał czarną grzywę i czarny pas na grzbiecie. Pochodził z Kaukazu, gdzie taką szlachetną maść nazywano „oszronioną”.

– Chyba ostatni raz widziałem Saraj – zwierzył się żonie. Jakiś instynkt mówił mu, że dożyje swoich dni na Rusi.

Zatrzymał się na skraju lasu, żeby po raz ostatni spojrzeć na swój nowy nabytek. Zsiadł z konia i wspiął się na jeden z kopców przy ścieżce, skąd mógł mieć lepszy widok.

Rozejrzał się i twarz mu złagodniała.

Machnął od niechcenia ręką, żeby odgonić muchę, która usiadła w miejscu, gdzie kiedyś miał ucho. A potem zmarszczył brwi.

Coś zaniepokoiło jego konia.

Nie umiała później pojąć, co za szaleństwo w nią wstąpiło. Bo szaleństwem była nawet sama myśl o takim postępku.

Nie umiała się powstrzymać. Zawsze przysięgała sobie, że to zrobi. I chociaż w ostatnich latach zajmowało ją tyle innych rzeczy, dawna obietnica w niej przetrwała, zamieniając się w twardą determinację. Pewnego dnia go spotka, nie miała co do tego wątpliwości. I wtedy sięgnie po swoje.

I oto nagle miała go przed sobą, stał na kopcu zaledwie piętnaście kroków od niej. Był odwrócony plecami, mimo to rozpoznała go: Tatar bez ucha!

Był sam. Spojrzała w jedną stronę, w drugą. Ścieżką nikt nie nadchodził.

Co go tu sprowadziło? Podejrzewała, że przybył spotkać się z poborcami podatków, którzy właśnie zbierali się do odjazdu. Ale bez względu na powód tych odwiedzin opatrność jej go wydała, był sam, bez żadnej eskorty. Owszem, to szaleństwo, ale przecież nigdy więcej nie nadarzy jej się taka szansa.

Janka ujrzała nagle twarz matki.

Podkradła się bliżej. Koń stał przy drzewie. Na jego grzbiecie był łuk i kołczan ze strzałami. Sięgnęła po łuk, potem po strzałę i nałożyła ją na cięciwę. Spróbowała naciągnąć łuk. Ależ był sztywny! Ledwo go zgięła. Serce jej waliło. Zaczęła iść w stronę Tatara.

Koń poruszył się i parsknął.

Tatar odwrócił się.

Tak, to on. Blizna biegła aż do ucha. Pamiętała jego twarz, jakby ją widziała wczoraj. Wyglądał na zdziwionego. Uniósł rękę. Nie miał pojęcia, kim jest ta kobieta.

Wzięła głęboki wdech i napięła łuk. Naciągała go ze wszystkich sił, jej twarz wykrzywił grymas, jakby przeszył ją dojmujący ból. Tatar szedł w jej kierunku. Puściła cięciwę.

– Aaaa!

Najpierw usłyszała swój gwałtowny wydech. A potem jego okrzyk.

Wciąż się do niej zbliżał. Jego ręka młóciła powietrze. Janka zaczęła się cofać. On opadł na kolana. Strzała sterczała mu z brzucha.

Co to za dźwięk? Coś do niej syczał. Trzęsła się jak szalona.

Zatrzymał się, zacisnął palce na strzale, próbując ją wyciągnąć. Potem zbladł

i przewrócił się na bok. Dopiero teraz nawiedziła ją straszna myśl. Dopadła do niej z potworną siłą, jak bezdźwięczny grom lęku w nocnym koszmarze: co teraz?

Rozejrzała się i z mdlącym przerażeniem zauważyła, że ścieżką ktoś nadchodzi. Oby zabili tylko mnie, oby zostawili w spokoju moją rodzinę, modliła się w duchu i drżąc na całym ciele, odwróciła się w tamtą stronę.

To był Purgas. Wystarczył mu jeden rzut oka, by pojąć, co się stało. Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

Wskazała na Tatara. Purgas obejrzał go dokładnie.

– On wciąż żyje – powiedział cicho. A potem spokojnie zdjął pasek i udusił rannego.

Ostatni raz w życiu przez krótką chwilę Mengu, zwany Piotrem, poczuł zapach traw falujących na stepie.

– Zdaje się, że zabroniłaś nam zabijać Tatarów – przypomniał Purgas z cichym chichotem. Przyjrzał się Jance. – Znałaś go?

Skinęła głową.

– Czy to on...?

Mówiła mu, że jakiś Tatar zabił jej matkę, ale niemal zapomniała o swoim kłamstwie, że także ją zgwałcił. Skinęła głową.

Purgas rozejrzał się.

– Nie możemy go tutaj zostawić.

– Zabiją nas – szepnęła.

– Wątpię. Poborczy wyjechali. Dlatego szedłem do Ruski. Nikt się nie dowie. – Zamyślił się. – Najpierw – powiedział ze smutkiem – będziemy musieli zabić jego konia. A takiego konia – spojrzał z odrazą na martwego mężczyznę – będę żałował.

Jeszcze nigdy Janka nie śledziła czynności męża z takim podziwem.

Doskonale wiedział, co robić, i działał bardzo szybko.

Najpierw umieścił Tatara na koniu. A potem, przemawiając uspokajająco do zwierzęcia, poprowadził je w głąb moczarów i w ukrytym miejscu, z dala od ludzi, wykopał rów. Spętawszy konia, przywiązał go do drzewa tak, że głowa zwisała nad rowem, i jednym ruchem przeciął mu tchawicę. Zaskoczone zwierzę poruszyło się gwałtownie, próbując się uwolnić, lecz po chwili opadło na kolana. Purgas spuścił mu krew do wykopu, a potem podciął gardło Tatarowi i starannie opróżnił z krwi jego ciało.

Godzinę później wprawnie poćwiartował jedne i drugie zwłoki i zaczął je palić w ognisku. Spalił też całe wyposażenie Tatara, z wyjątkiem płaszcza i arkanu.

W południe został im jedynie stos zwęglonych kości, głowa Tatara – z jakichś powodów Purgas jej nie spalił – i kupka popiołu, którą wrzucili do wykopu. Purgas zasypał dół, wyrównał teren, a potem tak porozrzucał liście i gałęzie, że nawet gdyby ktoś tu trafił, niczego by nie zauważył.

– Teraz potrzebne nam drzewo – powiedział do Janki. – Znam nawet jedno, całkiem blisko.

W odległości dwustu metrów stał potężny dąb. Purgas wskazał na dziurę w górnej części pnia.

– Kiedyś była tam barć – wyjaśnił. – Znalazłem ją w zeszłym roku. Teraz nic tu nie

ma, a głębiej jest wielka dziupla. Schowamy w niej kości.

Przenieśli je w kilku turach, zawinięte w gruby płaszcz.

– A teraz podaj mi arkan – polecił.

Chwilę później siedział na gałęzi przy dziurze. Kazał Jance zawijać po trochu kości w płaszcz i związywać je liną, którą spuścił z góry. Wciągał kolejne ładunki i wrzucał do dziury w pniu. Pół godziny później po kościach nie było śladu.

Na koniec spalił płaszcz i arkan i starannie rozrzucił popiół.

– Tatarzy będą szukali śladów na ziemi i w rzece – powiedział. – Nie przyjdzie im na myśl, żeby szukać na drzewach.

– A jego głowa? – spytała, wskazując leżącą na ziemi twarz bez ucha, która patrzyła na nich pustymi oczami.

Uśmiechnął się.

– Mam pewien plan.

Milej wrócił z Ruski do Muromu dopiero dwa tygodnie później. Przez miasto przetaczały się niepokoje. W wielu wioskach odmówiono płacenia podatków. Doszło do kilku napaści na muzułmańskich poborców. Władze tatarskie wpadły w gniew, więc spodziewano się odwetu. Mówiono, że wielki książę Aleksander Newski zamierza pojechać do chana i poprosić go o wyrozumiałość. Nadeszły ponure czasy.

Do tego baskak Piotr zaginął.

Gdy tylko Milej przyjechał do Muromu, zjawił się u niego setnik z pytaniem, kiedy widział Tatara po raz ostatni.

– Wybierał się prosto do Muromu – zapewnił bojar.

Przeprowadzono drobiazgowy śledztwo. Przepytano mieszkańców we wszystkich wioskach od Muromu do Ruski. A ponieważ tam właśnie widziano baskaka po raz ostatni, przeszukano spory kawał rzecznej nurtu. Niczego jednak nie znaleziono. Późną jesienią podejrzania padły na wioskę leżącą w pobliżu Oki, gdzie doszło do rozruchów, ale nie było żadnego dowodu, by Piotr kiedykolwiek się tam pojawił. Wyglądało tak, jakby rozplynął się bez śladu.

Cztery dni po powrocie Milej dopuścił się wielkiego kłamstwa.

Rozmyślał o tym od chwili przybycia do Muromu. Przypuszczał, że prędzej czy później ktoś zacznie go podejrzewać o zabicie Tatara. Ale ponieważ mógł dowieść, że przez cały czas był wtedy we wsi, postanowił zaryzykować.

Pokusa była wielka.

Gdy przyszedł do niego syn Piotra i uprzejmie zapytał, czy ojciec kupił od niego ziemię pod klasztor, Milej pokręcił głową.

– Niestety, nie. Nie spodobała mu się. Szkoda – dorzucił, patrząc młodemu mężczyźnie prosto w oczy.

– A więc za nic wam nie zapłacił?

Milej pokręcił głową.

– Nie.

Nie mogli mu nic udowodnić. Gdyby kiedykolwiek odnaleźli ciało Tatara, i tak by się nie zdziwili, że nie ma przy nim złota. A za sprawą niezwykłego zrzędzenia losu nie było też żadnego nowego aktu własności!

Syn Piotra wyszedł bez słowa. Co najwyżej mógł zarzucić Milejowi kłamstwo.

Tydzień później za pieniądze z rzekomej sprzedaży ziemi pod Muromem Milej kupił od wielkiego księcia kawał czarnoziemiu niedaleko Ruski.

Los się do niego uśmiechnął.

*Rok 1263*

Niezbadane są wyroki boskie.

Wiosną, zanim jeszcze śniegi stopniały, bojar Milej wybrał się do swojego majątku w Rusce.

Gdy stał na progu domu, po drugiej stronie rzeki widział żyzną ziemię, która teraz należała do niego – ciągnęła się przez wiele kilometrów aż po Gnojowisko.

Tego roku zjawił się w wiosce wcześniej, bo miał wobec niej dużo planów.

Od muzułmańskich poborców podatków kupił kilkoro niewolników. Część z nich popadła w niewolę za niepłacenie podatków. Było to niezgodne z prawem, ale nikt się tym nie przejmował. Jako Słowianie byli pracowitymi chłopami, a właśnie takich zawsze potrzebował.

Spodziewał się ich w Rusce na początku lata.

Miał też nowych osadników. Zamierzał im wydzierzawić część nowo nabytych gruntów. Udało mu się znaleźć trzy rodziny zrujnowane przez podatki i uszczęśliwić je obietnicą kawałka ziemi na korzystnych warunkach.

– W sumie Tatarzy nie byli dla mnie tacy źli – zachichotał.

Pierwszego kwietnia śnieg zaczął topnieć. Każdego dnia niebo było niebieskie, słońce grzało. Szarą śnieżną breję coraz gęściej przecinały brązowe strumyczki, odsłaniając powoli ziemię. Tam, gdzie lód na rzece był cienki, pojawiały się blade plamy brązu i zieleni. Gdy w środę Milej spojrział od swoich drzwi na drugi brzeg, zobaczył małe garby żyznej ziemi wystające ze śniegu.

Chciał wyjść na zewnątrz, ale przechodząc przez próg, doświadczył czegoś niezwykłego. Jakby ktoś go dźgnął w serce.

Zatrzymał się i przyłożył dłoń do piersi. Chyba serce mu jeszcze nie słabnie. Przecież nie jest taki stary. Zacerpnął głęboko powietrza, ale nie poczuł bólu, mógł oddychać swobodnie. Spojrział na dłonie, sprawdzając, czy nie sinieją mu końce palców, co byłoby znakiem ostrzegawczym. Ale nie, dłonie miał normalne.

Ostrożnie wyszedł za próg, otulił się szczelnie futrem, choć grzało słońce. Nic więcej się nie wydarzyło. Obszedł wioskę, a potem wstąpił do zarządcy. Ten wybierał się właśnie za rzekę, więc Milej postanowił mu towarzyszyć. Wsiedli do małej dłubanki i przybili do pomostu po drugiej stronie.

I wtedy wydarzyło się coś jeszcze dziwniejszego. Milej zszedł na ląd, zrobił dwa kroki i krzyknął z bólu. Miał wrażenie, że wdepnął w ogień.

– Co się dzieje, panie? – Stary zarządca spojrział na niego zaskoczony.

Milej patrzył z przerażeniem w dół.

– Moje stopy... Ciebie też bolą?

– Nie, panie.

Chciał zrobić jeszcze jeden krok, ale ból był zbyt silny.

– Wracamy – mruknął i zdziwiony zarządca musiał ponownie przeprowadzić się przez rzekę.

Zbity z tropu Milej wrócił do domu. Obejrzał sobie stopy. Wyglądały normalnie.

Jeszcze tego samego dnia, gdy wyszedł na dwór i spojrzał na drugi brzeg, poczuł w piersi takie uderzenie bólu, że kolana się pod nim ugięły. Musiał chwycić się framugi, żeby nie upaść.

To samo powtórzyło się następnego dnia. I następnego też. Nie mógł wyjść za próg własnego domu. I nie mógł postawić stopy na drugim brzegu.

– To przez tego przekłętego Tatara – mruknął. – Wrócił, żeby mnie dręczyć.

Nawet nie wiedział, jak bliski jest prawdy.

Nigdy by mu nie przyszło na myśl, że zeszłej jesieni, niedługo po jego wyjeździe do Muromu, którejś bezgwiazdnej nocy zakradł się tu Purgas, fachowo zerwał próg i na głębokości pół metra zakopał głowę Tatara Piotra.

Nawet Janka o tym nie wiedziała.

Gdy skończył, na jego niewidocznej w ciemnościach mordwińskiej twarzy pojawił się wyraz dziwnej, niemal diabolicznej satysfakcji.

– Jeśli kiedykolwiek znajdą czaszkę, to o morderstwo oskarżą ciebie, bojarze – szepnął. – Ciebie, kochanku mojej żony.

Od początku się tego domyślał. A teraz wyrównał z bojarem rachunki.

Milej nie wiedział o czaszce, a potworne bóle przybierały na sile. Każde wyjście z domu było nie do wytrzymania. Może się przenieść na jakiś czas do zarządcy? Ale jak miałby to wytłumaczyć? Powiem, że mam najazd mrówek albo myszy, pomyślał. Był to jednak słaby pretekst. Poza tym po co ma tutaj siedzieć, skoro na swojej najlepszej ziemi nie może nawet zrobić kroku? Wyjadę z Ruski, postanowił.

Następnego dnia rano kazał sobie przyprowadzić konia.

– Wróć latem – zapowiedział zarządca, wskazując na siodło.

Nie ujechał nawet kilometra, gdy koń nagle się spłoszył i zrzucił go tak nieszczęśliwie, że bojar przez chwilę myślał, iż połamał nogi. Koń spojrzał w lewo, zarżał przenikliwie ze strachu i rzucił się do ucieczki.

Milej odwrócił się, żeby sprawdzić, co go tak przestraszyło. I osłupiał, widząc wśród drzew wspaniałego ogiera nienaturalnej wielkości – siwego, z czarną grzywą i czarnym pasem na grzbiecie. Ogier zbliżał się do niego galopem, przeskoczył ścieżkę i popędził za jego wierzchowcem. Kopyta zjawy nie wydawały żadnego dźwięku.

Milej wstał powoli. Przeżegnał się. A potem pokuśtykał do wioski. Teraz wszystko już rozumiał.

Natychmiast wezwał do siebie zaskoczonego zarządcę oraz starego księdza z drewnianej cerkwi.

– Postanowiłem – oznajmił – uczynić dar na chwałę bożą. Na mojej ziemi po drugiej stronie rzeki ufunduję klasztor.

– Co cię do tego pchnęło? – spytał ksiądz. Nigdy nie przypuszczał, że Milej jest skłonny do takiej bezinteresownej hojności.

– Miałem wizję – odparł bojar sucho. I nie było to dalekie od prawdy.

– Bogu niech będą dzięki! – zawołał starzec. Rzeczywiście niezbadane są wyroki boskie.

Milej skinął głową, a potem, niby zatopiony w modlitwie, wyszedł za próg, żeby spojrzeć na ziemię, którą właśnie oddał.

Wrócił po chwili z uśmiechem ulgi na twarzy i od razu zabrał księdza na drugi brzeg rzeki, by osobiście pokazać mu ofiarowany grunt.

I tak oto w roku 1263 ufundowano w Rusce mały klasztor.

Oddano go pod opiekę świętemu Piotrowi i świętemu Pawłowi.

Tego roku miało miejsce jeszcze jedno ważne wydarzenie.

Żeby wyprosić u chana pobłażliwość dla zbuntowanych ruskich podatników, wielki książę Aleksander Newski wybrał się przez stepy do tatarskiej ordy.

– Książę szwankuje na zdrowiu – powiedział Milejowi pewien bojar z Włodzimierza. – Albo zabiją go Tatarzy, albo długa podróż.

– Mam nadzieję, że tak się nie stanie – odparł Milej. – Lud nie popierał jego działań, ale to mądry władca.

– Jego polityka będzie kontynuowana – zapewnił rozmówca. – Lecz książę niechętnie wyruszał w drogę. Czasy są trudne, jego najmłodszy syn ma zaledwie trzy lata, a książę chciał go wprowadzić w dorosłość.

– Rzeczywiście, Danił jest zaledwie małym chłopcem. – Milej niewiele o nim wiedział. – Ciekawe, co przypadnie mu w spadku.

– Podobno gdy chłopak dorośnie, ma dostać Moskwę. Tak Aleksander nakazał rodzinie.

– Moskwę? Przecież to nędzne miasteczko.

– To prawda – zgodził się bojar z Włodzimierza. – Ale ma dobre położenie.

Moskwa. Milej pokręcił głową. Nawet gdyby ten młody książę miał wiele talentów, nic mu się nie uda zrobić z tego podrzędnego miasta.

W klasztorze Świętego Piotra i Świętego Pawła zwoływano mnichów na nieszpory i choć wiosenny wieczór był chłodny, panowała atmosfera radosnego podniecenia. Jutro czekał ich wielki dzień: przybywali bojar i biskup z Włodzimierza. Wszyscy się uśmiechali, gdy Sebastian wprowadził do cerkwi najważniejszą osobę, starego ojca Stiepana. Smuciło ich tylko jedno: brak ojca Józefa.

Przez wiele lat w klasztorze żyło trzech wiekowych mnichów, teraz zostało tylko dwóch. Ojciec Stiepan był niski, Józef wysoki. Stiepan był uznanym malarzem ikon, Józef nie miał żadnych uzdolnień i niektórzy uważali go za głupiego. Ale obaj byli dobrzy, mieli długie siwe brody i bardzo się kochali nawzajem.

Jednak od trzydziestu trzech lat ojciec Józef żył w odosobnieniu. Po drugiej stronie rzeki, na polanie nieopodal źródełek, stały trzy chatki tworzące pustelnię. W poprzednich pokoleniach wielu ruskich mnichów, inspirując się hezychastyczną tradycją ze słynnego klasztoru na górze Athos, poświęcało się głębokiej kontemplacji. Niektórzy, jak błogosławiony Sergiusz z monasteru Świętej Trójcy na północ od Moskwy, zamieszkiwali głęboko w lesie. Mówiło się o nich, że „poszli na pustkowie”. Pustelnia w Rusce leżała na odludziu. Żeby dotrzeć do klasztoru, pustelnicy musieli pokonać półtora kilometra do rzeki, a potem przywołać prom cumujący na drugim brzegu. Ale i tak codziennie przychodzili na nieszpory.

Z wyjątkiem ojca Józefa. Już od roku starca trzeba było nosić. A teraz nawet na to był zbyt słaby. Wszyscy wiedzieli, że jego śmierć jest bliska. Mimo to każdego dnia powtarzał tysiąc razy Modlitwę Jezusową: „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną”.

Nieszpory – początek dnia. Zgodnie ze starą żydowską tradycją Kościół prawosławny zaczynał dzień o zmierzchu. Śpiewano wtedy wieczorny psalm. Podczas wszystkich prawosławnych nabożeństw, nawet bardzo długich, wierni stali. Nie używano też żadnych instrumentów, śpiewały jedynie ludzkie głosy. Było to „słuszne wychwalanie”, jak Słowianie nazywali oddawanie czci Bogu. A śpiewano pięknie: cały rok kościelny był podzielony na sekwencje złożone z ośmiu tonów, przejęte ze starogreckich skal modalnych, dzięki czemu tydzień po tygodniu przewijała się przez kalendarz niekończąca się wariacja dźwięków. Rozpoczynano wielką litanią. Po każdej suplikacji mnich intonował refren *Gospodi, pomiluj* – Panie, zmiłuj się nad nami – a ta krótka fraza, powtarzana raz za razem, brzmiała jak drobne fale rozbijające się o brzeg.

Sebastian, pomocnik ojca Stiepana, rozejrzał się zadowolony. W klasztorze było wiele skarbów. Od czasów gdy ich przodek Dawid ożenił się z Tatarką, rodzina bojara zyskała – oprócz azjatyckich cech urody – także więcej ziemi, między innymi grunty w Gnojowisku. Tamtejsi chłopci, dawniej wolni, a teraz pod władzą zarządcy, nie darzyli bojara miłością, ale klasztor zdołał się wzbogacić. Bojar dał mnichom piękną cerkiew zbudowaną z lśniącego wapienia, z piramidowym dachem, łękami pozornymi



i cebulowatą kopułą. Cerkiew miała też dzwonnice, co było rzadkością na tamtych terenach, a także piękną ikonę świętego Pawła namalowaną przez wielkiego mistrza Rublowa. Ale nic nie mogło się równać z całą ścianą ikon – ikonostasem, który ojciec Stiepan malował od trzydziestu lat i który miał być odsłonięty następnego dnia.

Ikonostas był wspaniały. Oddzielał sanktuarium od reszty świątyni, pięć rzędów ikon niemal sięgało sklepienia. Święta Rodzina i święci. Ostatnia Wieczerza, Zbawiciel, Matka Boża, największe święta, prorocy i patriarchowie – wszyscy byli przedstawieni w lśniących kolorach i złocie. Pośrodku ikonostasu znajdowały się podwójne drzwi, tak zwane carskie wrota, na których przedstawiono Zwiastowanie i ewangelistów. A wszystko namalował stary ojciec Stiepan.

Część ikonostasu wciąż była zasłonięta. Tej nocy starzec dokończy ostatnią, niewielką ikonę przeznaczoną do ostatniego rzędu. A rano, przed ceremonią, Sebastian umieści ją we właściwym miejscu. Dzieło będzie wówczas skończone – na chwałę Bożą.

I na chwałę Rusi. Bo jedno było dla Sebastiana oczywiste: zanim nadejdzie koniec świata, Bóg obdarzy Ruś chwałą.

Bo ileż to Ruś wycierpiała! Od dwustu lat leżała rozczłonkowana pod tatarskim jarzmem. Z każdej strony czaiło się niebezpieczeństwo. Z południa, ze stepów, napływali Tatarzy. Na wschodzie ciągnęły się ogromne dominia tatarskiego chana – Rusini nazywali go carem – i jego wasali, Bułgarów nadwołżańskich. Na zachodzie narodziła się nowa potęga: w próżni powstałej po upadku dawnej Rusi jej zachodnie tereny zajęli Litwini – dawniej poganie, a obecnie katolicy – którzy dotarli aż do samego Kijowa. Nieszczęsna Ruś. Nic dziwnego, że w tamtych czasach nawet ikony Matki Bożej miały w sobie szczególny smutek.

Lecz Ruś powoli się odradzała – dzięki Moskwie.

A rozkwit Moskwy był zdumiewający. Wszystko zaczęło się od tego, że pewien sprytny władca tej niewielkiej dzielnicy ożenił się z siostrą tatarskiego chana i został wielkim księciem. I tak oto moskiewscy książęta, będąc pełnomocnikami chanów, powoli zdobywali przewagę nad swoimi rywalami, aż w końcu wszystkie miasta, Riazzań, Niżny Nowogród, a nawet potężny Twier, musiały uznać ich zwierzchnictwo. I w 1380 roku w bitwie na Kulikowym Polu nad Donem dzięki błogosławieństwu sławnego mnicha Sergiusza Moskwa pokonała tatarską armię. Metropolita Kościoła prawosławnego przeniósł swoją siedzibę do Moskwy. I choć Tatarzy nadal najeżdżali ruskie ziemie i domagali się danin, wielu Rusinów liczyło na to, że pewnego dnia za sprawą Moskwy ich ziemia znów będzie wolna.

Kiedy wybrzmiał ostatni hymn, troparion, Sebastian odprowadził ojca Stiepana do celi. Starzec był bardzo słabowity, Wielki Post nadwątlił jego siły. Pomocnik spojrzał na niego z czułością. Tak się złożyło, że byli dalekimi krewnymi, wywodzili się od wspólnej przodkini, chłopki Janki. Ale Sebastian czuł wobec starego mnicha przede wszystkim wdzięczność. Zawsze był jego uczniem. To od niego dowiedział się w dzieciństwie, co oznaczają dwie dodatkowe belki na prawosławnym krzyżu odróżniające go od krzyża katolickiego – jedna była oparciem dla głowy, a druga dla stóp Chrystusa.

Później nauczył się sztuki malowania ikon. Stary mnich pokazał mu, jak należy wybierać suche drewno olchowe albo brzożowe, jak wygładzać powierzchnię,

zostawiając chropowate obramowanie, jak mocować płótno i pokrywać je rybim klejem i alabastrem, jak nakłuwać rylcem kontury, jak nakładać płatki złota na aureole i jak malować kolejne warstwy, łącząc je żółtkiem jaja i mosiądzem, tak by ikona zyskała swoją cudowną głębię. Na samym końcu, po kilku dniach, ikonę powlekano olejem lnianym wymieszanym z bursztynem, który wsiąkając, nadawał malowidłu boskie ciepło. Bo ikona nie była zwykłym obrazem, tylko obiektem czci.

Ojciec Stiepan odprawił Sebastiana i w samotności usiadł przy stole. Musiał dokończyć ikonę przedstawiającą patriarchę Abrahama – dodać ostatnią warstwę, która odmieni całość. Ikona miała zawisnąć na ikonostasie na czas jutrzejszego nabożeństwa – powłokę ochronną nałoży się później. Ojciec Stiepan był pokornym człowiekiem. „Przy prostym pięknie ikon Rublowa moje są niczym” – mawiał. Ale ikonostas był jego dziełem. Patrząc na niedokończony obraz, zmówił modlitwę.

Często myślał o tym, że jego dzieło przetrwa tylko trzydzieści osiem lat. Bo po wnikliwych obliczeniach Kościół uznał, że ruski rok 7000 – a 1492 według zachodniego kalendarza – będzie końcem świata. Tak, Sebastian jeszcze tego doczeka. Ale kim on był, żeby zaprzętać sobie głowę takimi sprawami. Jego zadaniem jest malowanie ikon do końca, na chwałę bożą.

Pochylił głowę. I wtedy to się stało.

Sebastian nie mógł usiedzieć spokojnie. Sam był człowiekiem pokornym, ale cały klasztor podziwiał dzieło ojca Stiepana i wyczekiwał następnego dnia. Sebastian chodził w tę i z powrotem, nie mogąc myśleć o niczym innym. Mijały godziny, ale on nie miał odwagi przeszkodzić staremu mistrzowi. Nikt się też nie zaniepokoił, gdy Stiepan nie pojawił się na nabożeństwie o północy. A Sebastian wciąż widział przez małe okno celi, że stary mnich siedzi przy stole i pracuje, a jego głowa od czasu do czasu porusza się w przód i w tył. Mijały godziny.

Ojciec Stiepan siedział nieruchomo, zmagając się ze swoim ciałem. Udar, który przeszedł po nieszporach, tylko na chwilę pozbawił go przytomności. Ale teraz mnich nie mógł mówić ani nie mógł poruszać prawą ręką – patrzył bezradnie na leżącą przed nim ikonę. Mijały godziny. Modlił się. Modlił się do Matki Bożej Orędowniczki.

Sebastian obudził się przed świtem i wyszedł na dwór. Świeca w celi ojca Stiepana wciąż się paliła. I pewnie wszedłby do środka, gdyby nie to, że spojrzawszy ponad klasztornym murem, zobaczył w oddali coś przedziwnego.

Jakby z lasu płynęła ku rzece mała łódź z białym żaglem. Przetarł oczy. To niemożliwe. Po chwili okazało się, że to nie łódź, ale człowiek poruszający się z wielką prędkością. A potem, dziw nad dziwy, świecąca postać przeszła po rzece. Sebastian był pewien, że ktoś rzucił na niego urok, bo postać z niezwykłą łatwością uniosła się nad klasztorną bramą i miękko wniknęła do celi ojca Stiepana. A Sebastian rozpoznał w niej ojca Józefa. Trzęsąc się, pobiegł do swojej celi.

I pewnie rankiem przekonałby sam siebie, że był to tylko sen, gdyby nie dziwna okoliczność. Bo chociaż obaj, ojciec Stiepan i ojciec Józef, każdy w swojej celi, odeszli z tego świata, to o świcie dokończona ikona wisiała na właściwym miejscu ikonostasu.

Iwan

*Rok 1552*

Wolno. Wolno.

Nad wodą unosił się melodyjny refren wioseł.

Statki płynęły ze wschodu w górę potężnej Wołgi, matki rzek.

Wysoko na bezkresnym jesiennym niebie przesuwały się obłoki, a statki, niczym ich cienie, przecinały senne wody. Słońce opadło z wolna na odległy brzeg. Potężna Wołga, matka rzek. Statki płynęły ze stepu do macierzystych portów.

Czasem rozpinano na nich żagle, ale przeważnie popychały je wiosła. Na brzegu nie było słyhać ich plusku, ponad falami unosił się jedynie cichy, rytmiczny śpiew marynarzy.

Potężna Wołga, matka rzek.

Borys nie umiał nawet zliczyć statków. Na wschodzie został tylko niewielki garnizon wojsk. Główne siły wracały do nadgranicznego miasta Niżny Nowogród i był to tryumfalny powrót. Oto Rosja podbiła właśnie potężne tatarskie miasto Kazań.

Kazań leżał wiele dni drogi za nimi, na wysokim wzgórzu nad Wołgą, gdzie ta ogromna rzeka skręcała na południe, płynąc dalej przez stepy i pustynie ku Morzu Kaspijskiemu. Kazań – miasto na granicy ziem pradawnych Bułgarów nadwołżańskich, wrota do imperium, którego władcą był kiedyś Czyngis-chan.

A teraz Kazań należał do Rosji.

Każdego dnia o świcie statki podnosiły kotwice i płynęły, dopóki coraz dłuższe cienie nie połączyły ich ze sobą, przemieniając je z korowodu czarnych łabędzi w węże sunące po wodzie rozżarzonej przez zachodzące słońce; czerwone światło z bezkresnego nieba opadało upiornie na gołe czubki brzoź i modrzewi, przez co zdawało się, że niezliczone armie z lancami wychodzą na brzeg na spotkanie floty.

Borys, szesnastolatek średniego wzrostu, siedział w jednej z łodzi. Miał szczupłą sylwetkę, szeroką twarz o nieco tureckich rysach, ciemnoniebieskie oczy, czarne włosy i rzadki zarost. Jako młody kawalerzysta ubrany był w pikowaną wełnianą kurtkę, na tyle grubą, że zatrzymywała strzały. Ramiona otulił futrzanym płaszczem chroniącym przed chłodnym wiatrem znad rzeki. Za nim leżał krótki turecki łuk, a u stóp – topór w pochwie z niedźwiedziej skóry.

Jego pełne imię brzmiało: Borys, syn Dawida, zwany Bobrowem. A gdy go pytano, skąd pochodzi, odpowiadał, że jego majątek leży niedaleko Ruski.

Nikt nie zwracał na niego uwagi, ale gdyby ktoś zadał sobie odrobinę trudu, zauważyłby na jego twarzy nieco nerwowe zamyślenie, widoczne zwłaszcza wtedy, gdy zerkał na pierwszą łódź, za którą podążali na zachód.

Bo tą właśnie łodzią płynął dwudziestodwuletni car Iwan.

Iwan – święty car, samowładca Wszechrusi. Do tej pory żaden panujący nie przyjął takich tytułów. A stolicą Iwana była Moskwa.

Jego państwo, znane w historii jako Wielkie Księstwo Moskiewskie, już było

potęgą. Moskiewska armia zdobywała kolejno wielkie miasta północnej Rosji. Twer, Rianzań, Smoleńsk, a nawet Nowogród Wielki, musiały zrzec się swojej odwiecznej niezależności. A nowe państwo bynajmniej nie było federacją – książe moskiewski okazał się takim samym despotą jak tatarski chan. Tamtejsi książęta wymagali całkowitego posłuszeństwa wobec centralnego ośrodka władzy.

– Tylko w ten sposób – mówili ich zwolennicy – państwo rosyjskie powróci do dawnej chwały.

Jednak droga do tego była jeszcze daleka. Większość ruskich ziem na zachodzie, a także ziemia kijowska na południu, wciąż znajdowała się w rękach wielkiej Litwy. Po drugiej stronie Morza Czarnego narodziła się nowa muzułmańska potęga, Imperium Osmańskie, które zajęło Konstantynopol – nazywany później Stambułem – i z każdym pokoleniem rozrastało się coraz bardziej. Katolicy na zachodzie, muzułmanie na południu. A na wschodzie czaili się Tatarzy, którzy regularnie przekraczali Okę i przez Ruskę docierali aż pod białe mury wielkiej Moskwy.

Borys nienawdził Tatarów nie tylko dlatego, że palili i grabili kraj, ale przede wszystkim za to, że porywali dzieci. Pamiętał z chłopięcych lat, jak stał w klasztorze, drżąc ze strachu i gniewu, a Tatarzy wrzucali schwytane dzieci do ogromnych sakw przewieszonych przez końskie grzbiety. Przed Tatarami miały chronić mieszkańców Rusi kolejne linie obrony: najpierw, po drugiej stronie Oki, osady wasali, którzy sami byli kiedyś wrogami, potem małe forty, drewniane zapory i mocne, otoczone murami miasta z garnizonami wojsk. Jednak Tatarów nie dało się powstrzymać.

Borys uśmiechnął się ponuro. U jego stóp leżeli dwaj Tatarzy ze skutymi rękami. Schwycił ich sam i zamierzał wysłać do swojego biednego majątku Ruska. To powinno ich nauczyć, kto tu jest panem.

A niedługo pewnie będzie miał więcej takich jeńców. Bo ta wyprawa to dopiero początek. Kazań leżał najbliżej tatarskich chanatów. Daleko na południu, w delcie Wołgi, gdzie kiedyś panowali Chazarowie, znajdowała się inna tatarska stolica: Astrachań. A Astrachań był słaby. Niedługo przyjdzie jego kolej.

Potem wyprawia się na władcę wszystkich zachodnich Tatarów, nad samo ciepłe Morze Czarne – na chana Krymu i jego twierdzę Bakczysaraj.

Krymski chan budził lęk. Pałac w Bakczysaraju przypominał słynny pałac Topkapi tureckiego sułtana w Stambule i sami władcy osmańscy woleli mieć chana po swojej stronie. Ale nawet on, a po nim Kazachowie, Uzbekowie, Orda Nogajska, wojownicze, ale podzielone plemiona mieszkające na azjatyckich pustyniach za Wołgą – wszyscy oni mieli ulec potędze Wielkiego Księstwa Moskiewskiego.

Car Iwan miał wielką wizję – oto pewnego dnia chrześcijański władca Rosji będzie panował nad ogromnym eurazjatyckim imperium Czyngis-chana. Przy tym nawet największe ambicje zachodnich krzyżowców wyglądały żałośnie.

Po raz pierwszy w dziejach ludy z lasów miały podbić step.

A kiedy opuszczali Kazań, Borys usłyszał, jak jacyś Tatarzy nazywają Iwana białym – czyli zachodnim – chanem. Nic dziwnego, że z takim podnieceniem spoglądał na statek młodego władcy.

Jego dzisiejszy dobry nastrój miał też inny powód. Tego ranka młody car zaszczycił

go rozmową. Borys wciąż nie mógł w to uwierzyć. Car Iwan nie tylko się do niego odezwał, ale i obdarzył go zaufaniem. Inni wokół niego rozmawiali albo patrzyli na mijany krajobraz, a on wciąż miał przed oczami spotkanie ze swoim bożyszczem.

Ten wysoki, ciemnowłosy młody car, wielki wizjoner, był też prawdziwym bohaterem. Los nie traktował go łaskawie. Mimo to on przewyciężył wszystkie przeszkody. Odziedziczył koronę w wieku trzech lat, a potem, upokorzony, musiał patrzeć, jak rządzący w jego imieniu książęta i bojarowie walczą o panowanie nad Rusią.

Istniały wówczas dwa potężne obozy: książęta, wywodzący się albo z dawnego ruskiego domu panującego, albo od władców Litwy, oraz największe rody bojarskie, prawie trzydzieści pięć klanów, które tworzyły rdzeń bojarskiej dumy.

Iwan musiał pokonać tych możnych spiskowców. Nienawidzili jego matki, bo była Polką. I pogardzali jego żoną. Kiedy bowiem wzorem dawnych chanów wezwał przed swoje oblicze tysiąc pięćset młodych panien, wybrał dziewczynę ze starej wprawdzie rodziny, ale nie z bojarskich rodów. Mimo to zmusił je do uszanowania jego woli. Rządził przy pomocy własnej rady złożonej z ludzi zaufanych, choć niższego pochodzenia. I ożenił się z miłości.

Anastazja. Borys nigdy nie widział carycy, ale często o niej myślał. A myślał o niej dlatego, że po powrocie do Moskwy sam miał się ożenić i w marzeniach wyznaczył swojej przyszłej żonie taką samą rolę, jaką odgrywała piękna Anastazja.

– Ona go pociesza w każdym strapieniu. Jest jego opoką – mówiono. – I jedyną osobą, której car może do końca zaufać.

Rodzina, z której pochodziła, była znakomita, choć nie zaliczała się do największych magnackich rodów. Jej członkowie nosili wówczas nazwisko Zacharyn. Nieco później zmienili je na Romanow.

Borys nie darzył sympatią książąt i magnatów. Dlaczego miałby ich popierać, skoro chcieli zająć wszystkie wysokie stanowiska, a zwykłej szlachcie zostawiali jedynie ochłapy ze swojego stołu? Ale pod panowaniem autokratycznych książąt moskiewskich ludzie tacy jak Borys mogli rosnąć w siłę.

Bo rządy despotycznych książąt dawały nadzieję mało znanym rodom, takim jak Bobrowowie. Moskiewscy władcy podkopywali potężne klany, a jednocześnie wynosili przedstawicieli mniej liczących się rodzin – jak choćby Morozowów czy Pleszczejewów – do wielkich zaszczytów. Dlatego rosyjska szlachta, między innymi Borys Bobrow, w odróżnieniu od szlachty zachodnioeuropejskiej nie sprzeciwiała się despotom, ale sprzyjała im, widząc w tym drogę do zdobycia majątków ponad głowami książąt i magnatów.

Dwa lata wcześniej Iwan wybrał sobie tysiąc towarzyszy – synów bojarów, a nawet ludzi niższego pochodzenia – i rozkazał nadać im majątki w pobliżu Moskwy, tak by mieli do niego blisko. Borys, ku swojemu rozczarowaniu, był wówczas za młody – do takiej służby można było przystąpić po ukończeniu piętnastu lat – ale z zadowoleniem się przekonał, że nie wszystkim wybrancom znaleziono majątki w najbliższej okolicy. A Ruska, choć mało znacząca, leżała niedaleko od stolicy.

Mój majątek jest bliżej Moskwy niż wiele innych, myślał z satysfakcją. Już niedługo sobie o mnie przypomną.

Takie właśnie myśli wypełniały umysł Borysa Bobrowa podczas podróży w górę rzeki.

Obóz wciąż pogrążony był we śnie, statki stały w rzędach przy brzegu, ich cienie zlewały się ze sobą w ciszy przedświt. Nic nie poruszało się na wodzie, niebo było czyste. Nawet nieliczne nocne ptaki nie zakłócały bezgłosu błędnych powoli gwiazd.

Borys zatrzymał się nad brzegiem. Woda w rzece wydawała się czarna, chociaż nieco dalej pas srebrzystej szarości odbijał bladą poświatę rozgwieżdżonego nieba. Chłopak spojrzał na wschodni horyzont, szukając pierwszych oznak świtu, ale nic go jeszcze nie zapowiadało.

Obudził się bardzo wcześnie i od razu wstał. Było zimno, powietrze przesyciła wilgoć. Naciągnął na siebie futro i po cichu wymknął się z namiotu w ciemność. Ruszył ku rzece.

Niemal zawsze o tej porze nawiedzały go szczególne doznania. Najpierw gdzieś w trzewiach odezwał się smutek. W tej ciszy, pod bezkresną czernią nieba, ogarnęło go przedziwne poczucie osamotnienia i żalu. Jakby z łona snu przeniósł się do łona wszechświata, które zdawało się nie mieć końca. Był uwięziony w pułapce i jednocześnie całkowicie samotny.

Zszedł nad samą wodę, gdzie łodzie przy brzegu rzucały długą linię cienia. Przed nim rzeka bezszelestnie podążała w swoją stronę.

Jego smutek miał gorzko-słodki smak. Był jak rozmowa, w której nie pada na głos ani jedno słowo. Jakby mówił: „Dobrze. Przyjmuję swoją samotność. Już zawsze będę podążał nocą po pustych drogach”.

I pomimo tej smutnej uległości wobec wszechświata, wkroczywszy na terytorium, gdzie nie ma już łez, poczuł w trzewiach ciepło, które niczym ulga po płaczu rozlało się w ciele delikatnym drżeniem. Gdzieś w głębi jego istoty zaczęła się sączyć niezwykła radość, wręcz miłość, która dawała o sobie znać jedynie w tych chwilach ciszy przed świtem.

I gdy tak stał w półmroku, myślami powrócił do rodziców.

Ledwo pamiętał matkę – łagodną postać, która szybko zniknęła z jego życia. Umarła, gdy miał pięć lat. Dlatego ojciec był dla niego całą rodziną.

Od jego śmierci minął rok. W pamięci Borysa ojciec zapisał się jako postać tragiczna. Rany, które odniósł w walkach z Tatarami zaraz po narodzinach syna, okaleczyły go na całe życie. Przez dziesięć lat był wdowcem. Kiedyś, co było widać, odznaczał się krzepką posturą, lecz później niebieskie oczy w szerokiej twarzy o nieco tureckich rysach zapadły się, a pod nimi pojawiły się głębokie cienie. Miał wystające żebra i tylko dzięki nadzwyczajnej sile woli panował nad wyniszczonym ciałem, starając się zachować choć pozory godności do czasu, aż syn dorośnie i będzie mógł sam sobie radzić w świecie.

I właśnie ta jego niezwykła wytrzymałość, umiejętność wykrzesania z siebie ostatnich sił odcisnęły na chłopcu najgłębsze piętno. Przykładem heroizmu stała się dla niego krucha postać ojca, a nie jakiś silny wojownik. Tak jakby ten wychudzony człowiek, który się nim opiekował, był jego ojcem i jednocześnie przodkiem zza grobu. I Borys, zaledwie średniego wzrostu i czasem zachowujący się niezdarnie, miał w sobie

jedną wielką pasję: chciał odegrać rolę bohatera, która nie była dana jego ojcu.

– Teraz nasz ród jest w twoich rękach – oznajmił mu ojciec. – A nasz honor zależy już tylko od ciebie.

Zamknawszy oczy, Borys widział swoich przodków – wysokie, szlachetne postacie spoczywające w grobach, znikające w mgłach czasu, wojowników lasów, stepów i gór. I przysiągł sobie, że jeśli na niego patrzą, to nigdy się na nim nie zawiodą. Ród Bobrowów, z tamgą z wizerunkiem Trójzębu, znów powstanie w chwale.

Chyba że śmierć mi na to nie pozwoli, obiecał sobie.

Patrząc na rzekę toczącą wody pod wielkim, pustym niebem, zastanawiał się, czy ojciec go teraz widzi. Czy wie, że pokonali Kazań.

– Jesteś przy mnie – szepnął wzruszony.

Na pewno tak jest. Bóg nie kryłby przed ojcem, że jego syn odbudowuje rodzinne bogactwo, że chce zatoczyć krąg, który byłby zadośćuczynieniem za jego złamane życie. Na pewno tak jest. Gdyby było inaczej, boski wszechświat nie byłby doskonałością.

Bo wszechświat był doskonały. A pewnego dnia, bez względu na to, jakie próby Borys będzie musiał przejść, Bóg obdarzy go powodzeniem, uwolni od samotności i pozwoli, by... – ach, ta myśl o tym, co się wkrótce wydarzy – by przy boku żony odnalazł miłość i przyjaźń, o których zawsze marzył, a których nigdy nie zaznał. Tak, odnajdzie w końcu miłość idealną.

Na pewno tak jest. Uśmiechnął się, wciągając chłodne powietrze przedświt.

Gdzieś za nim rozległy się ciche kroki. Odwrócił się. W pierwszej chwili nie zobaczył nikogo, lecz potem usłyszał lekki szelest i dostrzegł postać wyłaniającą się zza linii statków.

Zmarszczył brwi, zastanawiając się, kto to może być. Cień zbliżał się powoli, ale twarz Borys rozpoznał dopiero, gdy postać znalazła się w odległości trzech kroków. Był tak zaskoczony, że aż wstrzymał oddech. A potem skłonił się głęboko, bo miał przed sobą cara Iwana.

Car był sam. Bez słowa zszedł na brzeg. Stał w milczeniu minutę czy dwie, zanim zapytał Borysa o imię.

Mówił bardzo cicho. Mimo to chłopak zadrżał na dźwięk jego głosu. Car zaczął go wypytywać, skąd pochodzi, kim jest jego rodzina, i chociaż nie czynił żadnych uwag, wydawał się zadowolony z odpowiedzi. A potem zamilkł i stał tak przy młodym wojowniku, patrząc na bezmiar wody, który świecił bladym blaskiem i rozpływał się w ciemności.

Co powiedzieć? – zastanawiał się Borys. Pewnie nic, ale z drugiej strony szkoda zmarnować taką szansę. Po krótkiej chwili odważył się bąknąć:

– Dzięki wam, mój panie i władco, Rosja odzyskuje wolność.

Czy to się spodobało carowi? Borys nie miał odwagi na niego spojrzeć, ale gdy w końcu zerknął w bok, zobaczył na pociągłej twarzy o ostrych rysach delikatne zmarszczenie brwi. Nie ośmielił się odezwać ponownie i czekał w milczeniu. Rzeka, choć taka wielka, płynęła obok nich bezszelestnie.

Minęło trochę czasu, lecz w końcu Iwan się odezwał. Mówił niskim głosem, tak cichym, że Borys ledwo go rozumiał:

– Rosja jest w więzieniu, mój przyjacielu. A Rosja to ja. Wiesz czemu?

Borys milczał z szacunkiem.

– Rosja jest jak niedźwiedź trzymany w klatce dla uciechy gawiedzi. Tkwi w pułapce wrogów. Nie może osiągnąć swoich naturalnych granic. – Car przerwał na chwilę. – Ale nie zawsze tak było. Nie było tak za czasów Monomacha. – Odwrócił się do Borysa. – Powiedz mi: jak Rusini prowadzili handel za czasów Złotego Kijowa?

– Handlowali od Bałtyku aż po Morze Czarne – odpowiedział Borys. – Od Nowogrodu aż po Konstantynopol.

– Ale teraz drugi Rzym okupują Turcy, a czarnomorskimi portami włada chan. Mój dziad Iwan Wielki złamał hanzeatyckich kupców w Nowogrodzie, a mimo to niemieckie psy zajmują nasze wybrzeże na północy.

Borys wiedział, że Iwan Wielki zniszczył znowę kupców w Nowogrodzie. Ale Nowogród, pomimo swojej potęgi, nadal musiał handlować z zachodem poprzez bałtyckie porty, które były w rękach niemieckich zakonów rycerskich albo niemieckich kupców. Rosja miała jedynie porty na dalekiej północy, zamrożone przez połowę roku.

– Rosja nie ma dostępu do morza – powiedział Iwan z goryczą. – Dlatego nie jest wolna.

Jakże to poruszyło Borysa! I nie chodziło jedynie o słowa, ale o ból, który dźwięczał w głosie cara. Ten potężny władca, którego już darzył cziłą, cierpiał tak samo jak on. On też chciał zachować godność – godność Wielkiego Księstwa Moskiewskiego – tak samo jak młody Borys, który musiał znosić ukłucia bezsilnej złości, patrząc na żalosne dziedzictwo w Rusce. O tak, car w swoim gorzkim, szlachetnym gniewie był takim samym człowiekiem jak on. I Borys, zapominając o własnym niskim stanowisku, szepnął z pasją:

– Ale naszym przeznaczeniem jest wolność i wielkość. Bóg wybrał Moskwę na swój trzeci Rzym. I on nas poprowadzi.

Mówił to wszystko z najgłębszym przekonaniem.

Borys poczuł na sobie przenikliwy wzrok Iwana, ale się go nie przestraszył.

– Wierzysz w to, co powiedziałaś?

Jakże mógłby nie wierzyć?!

– Tak, mój panie.

– To dobrze. – Iwan w zamyśleniu skinął głową. – Bóg poprowadził nas do Kazania i oddał go w nasze ręce. Wysłuchał prośb swojego sługi.

Wyprawa aż do wschodniego dorzecza Wołgi przypominała chwilami wielką pielgrzymkę. Nie tylko niesiono przed wojskiem ikony, ale także sprowadzono z Moskwy należący do Iwana krucyfiks z drzazgą z Krzyża Świętego. Księża kropili święconą wodą cały obóz, żeby odegnać złą pogodę utrudniającą obłężenie. A prośby Iwana rzeczywiście zostały wysłuchane. Modlił się tak długo w swoim namiocie, że niektórzy rozpowiadali nawet, jakoby bał się dołączyć do wojsk, ale Borys w to nie wierzył. Bo przecież rosyjskie miny zrobiły wyłom w mocnych, dębowych murach Kazania podczas nabożeństwa, kiedy ksiądz zawołał: „A wrogowie twoi oddadzą ci pokłon!”. I czyż to nie wydarzyło się w dniu Opieki Najświętszej Bogurodzicy?

Nie zwątpił w cara ani na chwilę. I nie wątpił też, że przeznaczeniem Moskwy jest



przewodzenie całemu chrześcijaństwu – Moskwa miała być trzecim Rzymem aż po kres dni. Bóg tak chciał.

Rosjanie byli przekonani, że sześćdziesiąt lat wcześniej – według zachodniej miary w roku 1492 – nastąpi koniec świata. Jest faktem historycznym, że Kościół prawosławny nie zadał sobie nawet trudu, żeby podać datę Wielkanocy na rok 1493, czyli 7001 według ruskiej miary. Gdy jednak koniec świata nie nastąpił, władze kościelne oficjalnie nie kryły zdumienia. Co to mogło oznaczać?

Znamienici duchowni uznali zatem, że to początek nowej epoki, w której przeznaczeniem Moskwy będzie przywództwo. W ten sposób w Wielkim Księstwie Moskiewskim za panowania Iwana Wielkiego i jego następców narodziła się idea, że Moskwa jest trzecim Rzymem.

Cesarski Konstantynopol, drugi Rzym, zajęli Turcy. Cerkiew Świętej Sofii zamieniono na meczet. Rosyjski Kościół czekał cierpliwie, aż grecki patriarcha przejmie dawną władzę, ale on zachowywał się jak marionetka w rękach tureckiego władcy, a w miarę upływu czasu stawało się coraz bardziej jasne, że prawdziwym przywódcą wschodniego prawosławia, nie tylko ze względów praktycznych, jest metropolita moskiewski.

Imperialne przeznaczenie. Dziad młodego cara, Iwan Wielki, ożenił się z księżniczką ze starego cesarskiego rodu z Konstantynopola. Ruska rodzina panująca przejęła wtedy z Bizancjum dwugłowego orła, dawne dumne godło upadłego Rzymu.

Borys spojrzął z szacunkiem na stojącą obok niego postać. Car umilkł i najwyraźniej zatopił się we własnych myślach.

A potem westchnął.

– Przeznaczeniem Rosji jest wielkość – powiedział ze smutkiem. – Ale więcej wrogów będę musiał pokonać w kraju niż poza jego granicami.

Jakże Borys mu współczuł! Wiedział dobrze, że zuchwali książęta Szujscy – o rodowodzie wywodzącym się od samego Aleksandra Newskiego – upokarzali go w dzieciństwie. Wiedział, że oni i wielu innych próbowało zniweczyć dzieło książąt moskiewskich i zastąpić władzę cara władzą magnatów. A kiedy pięć lat temu straszliwy pożar ogarnął Moskwę, tamtejsza tłuszcza oskarżyła o to polskich krewnych matki Iwana, a jego wuja wyciągnęła z soboru Zaśnięcia Matki Bożej i zmasakrowała. Tłum groził nawet śmiercią samemu Iwanowi.

Wrogowie Iwana przeszkadzali mu we wszystkich działaniach. Do Borysa dochodziły słuchy, że wielu wręcz uważało wyprawę na Kazań za marnowanie pieniędzy.

I oto teraz młody car zwracał się do niego, do Borysa Bobrowa z biednego majątku koło Ruski, i stojąc nad ciemnymi wodami Wołgi, mówił cicho:

– Potrzeba mi takich jak ty.

Chwilę później już go nie było, a Borys mógł jedynie szepnąć żarliwie w ciemność:

– Należę do was. – A potem dodał tytuł najwspanialszy ze wszystkich: – Gosudarze. Najwyższy władco.

Stał nad rzeką, drżąc z podniecenia, aż na wschodzie pojawił się słaby blask świtu.

Statki płynęły Wołgą przez cały dzień, a gdy nadeszło popołudnie, Borys był równie podekscytowany jak rano. Do czego doprowadzi to spotkanie z młodym carem?

Czy to zapowiedź zmian dla jego rodziny?

Borys, syn Dawida, zwany Bobrowem. W ciągu kilku ostatnich pokoleń zmienił się zwyczaj nadawania imion. Obecnie jedynie książęta i najwięksi bojarzy używali patronimików zakończonych na „icz”. Car Iwan był Iwanem Wasiljewiczem, ale on, zwykły szlachcic, był jedynie Borysem Dawidowem, synem Dawida, a nie Dawidowiczem. Dla ściślejszego określenia tożsamości Rosjanie dodawali do dwóch imion trzecie, zazwyczaj to, pod którym znany był dziadek. Czasem było to imię otrzymane na chrzcie, na przykład Iwan, które przybierało formę Iwanow. Albo przydomek.

Tak właśnie w XVI wieku, dość późno, pojawiły się w Rosji nazwiska. Bo owo trzecie imię przechodziło niekiedy z pokolenia na pokolenie, choć zależało to od indywidualnej decyzji i każda rodzina, wybrawszy sobie jakieś nazwisko, mogła je potem zmieniać.

Rodzina Borysa była ze swojego dumna. Zawsze powtarzała, że to sam Iwan Wielki nadał pradziadowi Borysa przydomek „Bóbr”, choć nikt nie wiedział, czy to dlatego, że ich przodek lubił chodzić w bobrowym futrze, był pracowity jak ten gryzoń czy też przypominał go wyglądem w oczach monarchy. Zostali jednak przy nazwisku Bobrow. A swojego antenata nazywali z szacunkiem Wielkim Bobrem. Ojciec Borysa ofiarował klasztorowi w Rusce piękną ikonę Rublowa i dbał – za pomocą coraz skromniejszych datków – by mnisi pamiętali o nim i jego przodku w swoich modlitwach.

Niestety, rodzina Bobrowów nie była już tak znacząca jak w dawnych czasach. Jej upadek następował powoli i był typowy dla wielu ruskich rodów szlacheckich.

Przed wszystkim dlatego, że wraz z upływem czasu majątek wielokrotnie dzielono, a trzem ostatnim pokoleniom nie udało się nabyć nowej ziemi. Największy cios spadł na Bobrowów, gdy dziad Borysa, zadłużony jak wielu jemu podobnych w miejscowym klasztorze, przekazał mu Ruskę, dla siebie zachowując jedynie ziemię w Gnojowisku. Rodzina nadal miała we wsi dom, za który monaster pobierał skromny czynsz, a ponieważ w odczuciu Borysa nazwa Gnojowisko nie brzmiała godnie, wolał mówić, że pochodzi z Ruski.

Miał nadzieję, że pewnego dnia rozwinie Gnojowisko i zmieni jego nazwę na Bobrów.

Jednak na razie ta nędzna wioska była wszystkim, co miał.

Mimo to mógł mówić o szczęściu. Majątek w Gnojowisku, choć znacznie okrojony przez kolejne podziały, leżał na dobrej glebie, a on był jedynym dziedzicem. Ziemia była też wotczyzną – jego absolutną własnością dziedziczną. Przez ostatnie pół wieku coraz mniej ziem miało status wotcziny, za to coraz więcej trafiało w ręce albo zubożałych właścicieli ziemskich, albo nowych właścicieli jako pomiestija – dożywotnie nadania w zamian za służbę dla księcia. I choć w praktyce pomiestija często przechodziły na następne pokolenie w rodzinie, zawsze zależało to od książęcej woli. Dochody Borysa jednak ledwo wystarczały mu na kupno koni i zbroi oraz na całoroczne utrzymanie. Jeśli ród Bobrowów ma wrócić do dawnej chwały, on musi zdobyć przychylność cara.

Spotkanie z carem było najważniejszym wydarzeniem jego życia. Wprawdzie Iwan znał teraz jego imię, ale Borys wiedział, że musi zrobić coś, by zwrócić na siebie uwagę

władcy. Tylko co?

Późnym popołudniem minęli obszar na lewym brzegu, gdzie lasy ustąpiły miejsca długiemu pasowi stepu. I kiedy przepływali obok, Borys dostrzegł w odległości mili pstrokatą grupę domów. Parsknął gniewnie, gdy zauważył, że się poruszają.

– Tatarzy – mruknął.

Tatarzy na granicach Wielkiego Księstwa Litewskiego mieszkali w dziwnych, ruchomych domach. Nie były to znane na zachodzie Europy cygańskie wozy, tylko raczej drewniane chaty z małymi kołami. Bo stałe domy Rosjan, przyciągające szczury i inne szkodniki, Tatarzy uważali za chlewy.

Zdaniem Borysa te ruchome domy stanowiły dowód, że Tatarzy są zmienni i niegodni zaufania.

Na widok tych włóczęgów wrócił myślami do pojmanych Tatarów. Spojrzał na nich. Byli to dwaj krępi, ogoleni na łyso mężczyźni. Mieli niskie, donośne głosy.

Ryczą jak osły, pomyślał.

I są muzułmanami.

Choć wyprawa była krucjata, car wyznawał zasadę, że podbici przez niego Tatarzy mają być nawracani perswazją, a nie siłą. Carscy wysłannicy zaś, chcąc osłabić opór Tatarów, chętnie rozpowiadali, że na terenie moskiewskiego imperium istnieją muzułmańskie społeczności, którym car pozwala wyznawać ich wiarę. Było jednak oczywiste, że gdy jakiś Tatar chciał wstąpić na służbę do księcia, musiał przejść na chrześcijaństwo. Bo Iwan był bardzo pobożny.

Jeśli mam zrobić na carze wrażenie, myślał Borys, też muszę wykazać się pobożnością.

Tego wieczoru jego dwaj Tatarzy mieli się nawrócić. A on sam, był tego pewny, już niedługo dołączy do grona wybrańców, carskich druhów.

Popołudniowe niebo było zachmurzone, ale daleko przed nimi przez wyrwę w chmurach spływały wspaniałe snopy światła i padając na las, nadawały mu niemal nadnaturalny blask. A Borys, patrząc z niecierpliwością ku zachodowi, miał wrażenie, że ten rozjaśniony słońcem skrawek ziemi, pragnący wyrwać się z bezkresnego, matowego zastoju równiny, zamienił się w sadzawkę złocistego ognia, przyciąganego do nieba niczym wielki słup modlitwy.

Następnego dnia o świcie jeden z popów towarzyszących wyprawie ochrzcił Tatarów Borysa, zgodnie z ruskim zwyczajem trzykrotnie zanurzwszy ich w Wołdze.

Młody car musiał to zauważyć.

Dwa dni później przybyli do Niżnego Nowogrodu.

Miasto leżało na wzgórzu, przy ujściu Oki do Wołgi. Ostatni wschodni bastion Rosji. Dalej na wschód ciągnęły się rozległe lasy, w których mieszkali Mordwini. Na zachodzie było Wielkie Księstwo Moskiewskie. Wysokie mury i białe cerkwie spoglądały ponad eurazjatycką równiną, jakby mówiły: „Oto ziemie Świętego Cara”.

W Niżnym Nowogrodzie wznosił się okazały klasztor Świętego Makarego, sąsiadujący z ogromnym targiem. Idąc ulicami miasta, Borys się uśmiechał. Dobrze być w domu.

Armie przywitano bardzo ciepło. W przeszłości Tatarzy często dawali się

mieszkańcom we znaki, a do tego Kazań był ich konkurencją w handlu ze wschodem. Ludzie więc na każdym kroku okazywali żołnierzom wdzięczność.

Było późne popołudnie, koniec zwykłego dnia pracy, gdy Borys zauważył dziewczynę. Stała przed długim drewnianym budynkiem, w którym mieściła się publiczna łaźnia. Wyglądała jak inne kobiety z jej warstwy. Kobiety z wyższych sfer były trzymane w zamknięciu i skrywały oblicza, natomiast kobiety z ludu lubiły wystawiać się na pokaz.

Miała ubieloną twarz, jaskrawoczerwone usta i szeroko rozstawione skośne oczy. Przypuszczał, że w połowie musi być Mordwinką. Brwi umalowała sobie na czarno. Ubrana była w długą haftowaną suknię, zapewne drogą, spod której wystawały czerwone trzewiki, dla zabicia czasu wystukujące jakiś rytm. Na głowie miała czapeczkę z czerwonego aksamitu. Oczy patrzyły ze znudzeniem, bo nic się nie działo, ale gdy zauważyła, że Borys jej się przygląda, spojrzenie zrobiło się czujne, a potem figlarne. Kiedy do niej podszedł, uśmiechnęła się. Miała czarne zęby.

Zęby czerniono rtęcią; Borys słyszał gdzieś, że ten zwyczaj przejęto od Tatarów. Gdy po raz pierwszy miał do czynienia z jedną z tych kobiet, ciemne zęby go odpychały, ale szybko do nich przywykł.

Zatrzymali się na chwilę przy straganie z wódką. Lubił ten trunek, który łagodnie służył do brzucha, choć w owych czasach raczyły się nim głównie niższe warstwy. Wódka przybyła do Rosji z zachodu przez Polskę w poprzednim stuleciu. A jej nazwa wzięła się z tego, że rosyjscy kupcy błędnie wymawiali jej łacińską nazwę *aqua vitae*.

Wypili. Kiedy prowadziła go do siebie, poczuł, jak jego ciało ogarnia fala ciepła.

Dziewczyna była czuła i zaskakująco zwinna.

Na koniec, gdy już jej zapłacił, zapytała, czy jest żonaty. A usłyszawszy, że dopiero zamierza wziąć sobie żonę, zaśmiała się wesoło.

– Zamykaj ją na klucz! – zawołała. – I nigdy nie ufaj.

A potem oddaliła się lekkim krokiem, w swoich czerwonych bucikach, coś do siebie nucąc.

Borys odwrócił się i ku swojemu przerażeniu zauważył grupkę ubranych w futra ludzi, którzy właśnie wyszli z cerkwi po drugiej stronie ulicy. Chyba nie chcieli zwracać na siebie uwagi, mimo to od razu dostrzegł wśród nich wysoką postać.

Wiedział doskonale, że car Iwan zachodzi do każdej mijanej cerkwi. Najwyraźniej teraz też się modlił. Ale czy pobożny władca widział go w towarzystwie dziewczyny? Spojrzał na niego nerwowo.

Tak, na pewno widział. Jego przenikliwy wzrok podążył za nieznajomą, a potem wpił się w Borysa. Młodzieniec aż wstrzymał oddech.

I wtedy Iwan się roześmiał – ostrym, nosowym śmiechem – i szybko oddalił ze swoją świtą.

Borys nie miał wątpliwości, że został rozpoznany: przed wzrokiem Iwana nic się nie ukryło. Ale czy ten incydent zmieni nastawienie władcy do niego? Czy wpłynie na jego szanse na przyszłość? Tego nie mógł wiedzieć.

Dwa dni przed końcem października dotarli do Moskwy.

To była ekscytująca podróż. Z Niżnego Nowogrodu przemieszczali się już łądem

przez sam środek Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Najpierw dotarli do starego, otoczonego wysokimi murami Włodzimierza, gdzie się dowiedzieli, że żona cara Iwana właśnie urodziła syna.

A Iwan, choć spieszył się do stolicy, pojechał z dużym dworem najpierw do pobliskiego Suzdala, a potem do wielkiego monasteru Świętej Trójcy, sześćdziesiąt kilometrów na północ od Moskwy, żeby w obu miejscach odpowiednio podziękować Bogu.

Podążając za carem do warownych klasztorów i starych, potężnych miast, leżących wśród łąk i lasów, Borys nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jaśniej niż do tej pory widzi boskie zamiary i przeznaczenie młodego cara.

O tak, myślał, bezkresne stepy zostaną w końcu podbite przez mężne serce Rosji.

Tego dnia padał leciuteńki śnieg, tak drobny i rzadki, że wydawało się, jakby płatki nie spadały, lecz jedynie tańczyły w powietrzu, beztrąsko muskając dachy.

Miasto było pięknie położone u zbiegu dwóch rzek, Moskwy i Jauzy, mając za sobą pasmo Worobiowych Wzgórz. Jego wielkość wciąż była dla Borysa przytłaczająca.

Nie mógł tego wiedzieć, ale Moskwa była wówczas jednym z największych miast Europy – dorównywała Londynowi czy Mediolanowi. Jej przedmieścia ciągnęły się aż do okolicznych wiosek, więc trudno było nawet powiedzieć, gdzie zaczyna się miasto. Najpierw przybysz napotykał wielkie obwarowane monastery, za którymi pojawiały się rzadziej zaludnione przedmieścia z młynami, sadami i ogrodami. Potem wyrastał wielki wał obronny, otaczający Ziemne Miasto, w którym mieszkało spóółstwo. Kolejny pierścień murów okalał Białe Miasto, dzielnicę klasy średniej. Zamieszkane przez bogaczy centrum nazywane było Kitaj-gorodem i dotykało wysokich murów Kremla.

Dotarli dopiero do przedmieść, a ulice już były pełne ludzi. Wszędzie rozbrzmiewał dźwięk dzwonek. Na tle nieba zasnutego śnieżną mgłą widać było zarysy wielkich budowli – murów obronnych, wież i złotych klasztornych kopuł.

W pewnym momencie, jakby na ich powitanie, śnieg przestał padać, odsłaniając majestatyczne miasto, które jarzyło się niesamowitym blaskiem pod pomarańczowym światłem śniegowych chmur.

Ten widok zaparł Borysowi dech w piersi. Kawalerzyści w spiczastych hełmach albo wysokich futrzanych czapach zmierzali dumnie ku bramom miasta. Po ich obu stronach maszerowała nowa doborowa piechota cara – strzelcy – oraz halabardnicy, którzy z coraz większym trudem powstrzymywali gęstniejący, rozradowany tłum wylewający się przez miejskie bramy.

Cóż za obraz! Jaka moc! Na murach w równych odstępach wyrastały potężne wieże – ich czterospadał dachy wyglądały jak spiczaste namioty. A za murami rozlewało się morze drewnianych domów, z którego wylaniały się kamienne wieże i kopuły.

Moskwa – miasto carów. Podczas koronacji na głowę Iwana założono czapkę z futra i złota, która kiedyś miała należeć do Monomacha, największego z książąt dawnej Rusi. Ale moskiewscy władcy poszli jeszcze dalej i dokonali czegoś, o czym Monomachowi nawet się nie śniło. Książęta z podbijanych przez nich miast stawiali się sługami państwa, a najważniejszych bojarów przesiedlano do innych prowincji. Gdy dziad młodego cara zdobył Nowogród, odebrał miastu nawet dzwon zwołujący

mieszkańców na wiece, co miało być znakiem, że dawne wolności odeszły w niepamięć. Moskiewscy władcy stworzyli drzewo genealogiczne, w którym wywodzili swój ród od cesarza Augusta z czasów Chrystusa. Na Kremlu, obok cebulastych kopuł i wież starych cerkwi i monasterów, pojawiły się wspaniałe sobory zaprojektowane przez włoskich architektów, przez co w imperium leżącym w lasach północy można było się poczuć jak we florenckim *palazzo*.

Moskwa – stolica Kościoła i stolica państwa. Wielu duchownych uważało, że władza kościelna i władza państwowa powinny rządzić razem i nawzajem się wspierać. Był to bizantyjski ideał dawnego Wschodniego Cesarstwa Rzymskiego. I ideał ten obowiązywał w Moskwie. Oto Iwan rozpoczął dwa wielkie plany reform, jeden dla administracji, a drugi dla Kościoła. Młody car nie zamierzał tolerować magnatów, którzy ciemnieżyli lud, ani rozwiązłych, niemoralnych duchownych. Oba jego kodeksy liczyły po sto rozdziałów. Iwan lubił taką wielką symetrię.

Moskwa – serce i umysł Rosji. W obrębie okalających miasto murów mieszkali kupcy i przyjezdni z innych krajów. Ale nie wolno im było kłaść serc i umysłów ludów północy. Katolicy i protestanci mogli odwiedzać miasto, ale nie mogli nawracać. Prawosławni Rosjanie wiedzieli, że lepiej nie ufać zdradzieckim przybyszom z zachodu. A Żydom, którzy dość licznie zamieszkiwali ziemię kijowską, w ogóle zabronili przyjeżdżać na północ.

Wielkie Księstwo Moskiewskie dążyło do przejęcia bałtyckich portów umożliwiających swobodne kontakty z zachodem, a potężne miasto miało stać na straży rosyjskiego ducha, chronić go za potężnymi, niezniszczalnymi murami. Ani Tatarzy z ogniem i mieczem, ani zdradzieccy katolicy, ani podstępni Żydzi nie mieli tu wstępu. W ten sposób Rosja broniła się przed strachem.

Od strony miejskich bram zbliżała się wielka procesja. Na czele duchownych podążał metropolita. Wyszli poza miejskie mury w lśniących felonionach, z chorągwiami i ikonami, nad nimi wznosiło się szaropomarańczowe niebo, a bicie tysięcy dzwonów i dzwonek rozdzierało powietrze. Wyszli, żeby powitać cara.

– Chwała zdobywcy i zbawcy chrześcijan.

Tego właśnie dnia Borys usłyszał, że żołnierze nadali carowi Iwanowi nowe imię. Iwan Groźny.

Gdy nadszedł dzień ślubu, ziemię pokrywał już śnieg.

Kilku przyjaciół poznanych w ciągu ostatniego roku przyjechało po niego do małego domku w Białym Mieście. Silili się na wesołość, ale Borys czuł się bardzo samotny.

Tryumfalny powrót do Moskwy, choć miał miejsce zaledwie miesiąc wcześniej, powoli zacierał się w jego pamięci.

Cóż to był za dzień! Najpierw metropolita Makary wygłosił mowę powitalną, a po nim przemówił Iwan, porównując jarzmo tatarskie do niewoli Żydów. Nawet Borys czuł się jak bohater, gdy przez miejskie bramy dotarli na Plac Czerwony i do potężnego Kremla.

Czuł się jak bohater, pijąc w gospodach z innymi młodzieńcami. Czuł się jak zdobywca, gdy w nocy dumnie obchodził twierdzę.

Ogromny Plac Czerwony był niemal pusty. Latem stały tu stragany, ale zimą targ przenosił się na zamarzną rzekę. Wielka przestrzeń otwierała się przed Borysem niczym step. Obok wznosiły się grube, niezdobyte mury carskiej twierdzy z wysokimi wieżami. Najwyższa wystrzeliwała w gwiaździste niebo na sześćdziesiąt pięć metrów, a gdzieś w głębi zamkniętej fortecy mieszkał car. Pewnego dnia, pomyślał Borys z zadowoleniem, ja też zostanę zaproszony do środka.

Kiedy dotarł do kwartału położonego po wschodniej stronie Kremla, upojny nastrój go opuścił.

Był to Kitaj-gorod – otoczona murami dzielnica zamieszkała przez znaczącą szlachtę i najbogatszych kupców. Stały tu nawet murowane domy. A bogata szlachta świętowała. Na ulicach było tłoczno od dużych sań zaprzęzonych we wspaniałe konie. Woźnice pili i gawędzili ze sobą. Nawet w świetle pochodni Borys widział w saniach stosy kosztownych futer i wschodnich kilimów, mających zapewnić wygodę krzepkim bogaczom, którzy umoszczą się na nich we właściwym czasie.

Zdał sobie sprawę, że jego przyszły teść musi być gdzieś niedaleko. To prawda, nie mieszkał tu – miał obszerny drewniany dom w Białym Mieście – ale z pewnością został zaproszony na biesiadę przez jakąś ważną osobistość. I ta myśl przypomniała Borysowi o czymś decydującym w jego życiu. Był biedakiem.

Przyszły teść Dymitr Iwanow powiedział wprost, że oddaje mu trzecią córkę tylko dlatego, że w dawnych latach przyjaźnił się z jego ojcem. Małżeństwo nie było szczególnie korzystne, ale nieszczęsnemu Dawidowi Bobrowowi nie udało się zaaranżować nic lepszego.

Natomiast dla Dymitra było to poświęcenie. Dla szlachcica takiego jak on trzy ładne córki stanowiły poważny atut. Trzymano je w odosobnieniu, w kobiecej części domu na pierwszym piętrze, by we właściwym czasie wydać za mąż z korzyścią dla całej rodziny. Młody Borys nadawał się na zięcia z racji urodzenia, ale to wszystko. Dlatego posag, który Dymitr dał córce Jelenie, był bardzo skromny, co Borysowi kazało się zmierzyć z prostą prawdą: „Im jesteś bogatszy, tym bardziej ludzie czują się wobec ciebie zobowiązani”.

Własne uczucia wobec Jeleny budziły w nim ekscytację i niepewność. Ojciec zaaranżował te zaręczyny już dawno temu, ale on miał okazję po raz pierwszy zobaczyć ją tuż przed wyprawą na Kazań.

Pamiętał to doskonale. Pojawił się w wielkim drewnianym domu wczesnym przedpołudniem. Został powitany, zgodnie ze zwyczajem, chlebem i solą, potem podszedł do ikon w czerwonym kącie i pokłonił się trzykrotnie, mrużąc: „Panie, zmiłuj się”. Dopiero gdy się przeżegnał z prawa na lewo, do izby wszedł ojciec z córką.

Dymitr był niski, gruby i łysy. Miał na sobie olśniewający niebiesko-złoty kaftan. Wąskie oczy w okrągłej twarzy zdradzały, że w jego żyłach płynie krew tatarskiej księżniczki, którą jego przodek poślubił kilka pokoleń wcześniej, z czego Dymitr był bardzo dumny. Gęsta ruda broda spływała obficie aż do wystającego brzucha, na którym rozkładała się szeroko jak wachlarz.

Jelena stała obok niego. Ubrana w długą różowoczerwoną suknię z haftem, złote włosy miała zaplecione z tyłu w długi warkocz. Jej głowę zdobił skromny diadem, a twarz

skrywał welon.

Z cichym pomrukiem zadowolenia Dymitr zdjął jej welon i oto Borys miał przed sobą swoją przyszlą żonę.

Ani trochę nie była podobna do ojca. Młodzieniec od razu zauważył niebieskie, łagodne oczy, dość szeroko rozstawione i z lekka skośne. Ale tylko to wskazywało na jej pokrewieństwo z niskim mężczyzną o okrutnej twarzy. Miała wąski nos, a nozdrza poruszały się nieco nerwowo nad pełnymi wargami. Była blada i spięta.

Pewnie się boi, że mi się nie spodoba, pomyślał. Napełniło go to czułością. Nawet nie zdaje sobie sprawy z własnej urody, dodał w myślach. Bardzo dobrze.

I gdy tak się jej przyglądał, poczuł coś jeszcze: pragnął jej. Pragnął jej najprostszą namiętnością, która mówi: „Będzie moja i będzie mnie słuchać. A ja uczynię ją piękną”.

– Niedawno miałem dla niej korzystną propozycję – powiedział Dymitr szczerze. – Ale przysiągłem twojemu ojcu na krzyż, więc sprawa jest skończona.

Borys nie mógł oderwać od niej wzroku. O tak, jest piękna. Zaczął się uśmiechać.

I wtedy zdarzyło się coś, co sprawiło, że w dniu ślubu wcale nie czuł się pewnie. Przekonywał sam siebie, że to drobiazg, nic znaczącego. Jelena po prostu spuściła wzrok. Ale co oznaczał ten cień, który przemknął po jej twarzy? Czyżby rozczarowanie? A może niechęć? Przyglądał się jej uważnie, nie mógł jednak niczego pojąć. Przecież gdyby jej się nie spodobał, to powiedziała by o tym ojcu, prawda? A w takiej sytuacji on, Borys, nie wymagałby od Dymitra spełnienia dawnej obietnicy. Chyba że zachowała milczenie z poczucia obowiązku.

Podczas kilku następnych spotkań próbował dać jej do zrozumienia, że jeśli ma jakieś obawy, to powinna mu o tym powiedzieć, ale ona skromnie go zapewniała, że jest zadowolona.

Wszystko jest dobrze, powtarzał sobie, gdy zbliżali się do domu Dymitra. Wszystko będzie dobrze.

A gdy już stali przed księżmi, pomyślał, że przecież inaczej być nie może.

Prawosławne nabożeństwo zaślubin trwało długo. Długie, cienkie świece, ozdobione skórkami kun, rozświetlały cerkiew, powietrze było ciężkie od zapachu wosku, brodaci popi w ciężkich szatach ozdobionych perłami i szlachetnymi kamieniami, z powagą odprawiający ceremonię, wyglądali jak jakieś nieziemskie istoty; chór śpiewał monotonie. Płomienie świec, kadzidło, godziny spędzone na stojąco – po zakończeniu każdego prawosławnego nabożeństwa „człowiek wiedział, że był w cerkwi”.

Borys złożył przysięgę, a obrączkę, zgodnie z prawosławnym zwyczajem, założył Jelenie na palec serdeczny prawej ręki. Ale największe wzruszenie przeżył pod koniec nabożeństwa, gdy panna młoda uklękła i się przed nim pokłoniła, na znak podporządkowania dotykając czołem jego stóp.

I chodziło o prawdziwe podporządkowanie i posłuszeństwo. Jak wszystkie kobiety z wyższych klas miała żyć w odosobnieniu. Była to sprawa honoru dla nich obojga. Borys obiecywał sobie, że jego żona nigdy nie zniży się do tego, by pokazać się publicznie, jak widywane na ulicach kobiety z pospólstwa.

Dla niej zaś punktem honoru było posłuszeństwo. Inaczej okazałaby się nielojalna, niczym żołnierz, który nie posłuchałby rozkazu dowódcy. A zaprzeczenie mężowi



w obecności innych osób byłoby zachowaniem prostackim.

Niektórzy mężowie twierdzili wręcz, że żonę należy bić, a żony uważały to za dowód miłości. Słynny poradnik życia rodzinnego *Domostroj*, opracowany przez jednego z najbliższych doradców cara, mówił, że żonę powinno się chłostać, zamiast bić kijem, a także nakazywał mężowi potem czule do niej przemawiać, tak aby nie zniszczyć więzi małżeńskiej.

Borys patrzył na młodą kobietę u swoich stóp – ledwie ją znał, ale już bardzo jej pożądał. I nie umiał sobie wyobrazić, by mógł ją uderzyć. Pragnął jedynie się z nią połączyć, wziąć ją w ramiona i – choć nie do końca to sobie uświadamiał – dostać od niej ciepłą miłość, której nigdy nie zaznał.

Poczuł gwałtowne wzruszenie, gdy – jak nakazywał zwyczaj – narzucił na nią skraj swojej szaty na znak opieki.

Będę ją kochał i będę chronił, przysięgł sobie w cichej modlitwie. I wydało mu się, że w tej właśnie chwili, przy płonących świecach, naprawdę stał się mężczyzną.

Pod koniec ceremonii ksiądz podał im puchar. Najpierw oboje się z niego napili, a potem – znów zgodnie z ruskim zwyczajem – pan młody roztrzaskał go butem.

Gdy wychodzili z cerkwi, goście – niemal wszyscy ze strony panny młodej – obrzucili ich chmielem. Borys odetchnął z ulgą. Byli już mężem i żoną.

I tylko jeden mały incydent z uczyty weselnej zepsuł mu wspomnienie tego szczęśliwego dnia.

Gości było wielu i – jak to przy takich okazjach – odnosili się do niego przyjaźnie. Ponieważ było to doniosłe rodzinne zgromadzenie, dopuszczono do niego także kobiety. Borys złożył głęboki ukłon przed starą matką Dymitra Iwanowa, która – jak powiadano – rządziła całą rodziną ze swoich wspaniałych komnat na pierwszym piętrze. Skinęła mu głową, ale się nie uśmiechnęła.

Stoły aż uginały się od jedzenia. O tej porze roku podawano przede wszystkim gęsi i łabędzie, dobrze przyprawione szafranem. Były też bliny ze śmietaną i kawiozem, pierożki z mięsem, był łosoś i najróżniejsze słodczyce – jedzenie obfite i tuczące, które doprowadziło do otyłości wiele obecnych przy stole kobiet i mężczyzn.

Borys zauważył na stole jeszcze coś – czerwone i białe wina francuskie.

Wprawdzie mieszkańcom Moskwy nie wolno było wyjeżdżać za granicę – wyjazd bez stosownego pozwolenia mógł oznaczać śmierć – ale szlachta i bogaci kupcy, choć nie mieli pojęcia o życiu w obcych krajach, doskonale znali pochodzące stamtąd przedmioty zbytku. Tylko wyższe sfery mogą sobie pozwolić na takie wina, pomyślał Borys. W domu zazwyczaj pił miód.

I pomimo swojej dumy, pomimo że był biedny i zasługiwał tylko na niewielki posag, poczuł zadowolenie, że dołączył do grona ludzi niewątpliwie bogatych.

Goście zasiedli do uczyty, młoda para zajęła honorowe miejsca. Na samym początku podano wino. Borys napił się i znów poczuł zalewające go ciepło. Po kilku kolejnych łykach spojrzał na żonę z lekkim podnieceniem i uśmiechnął się do siedzących obok gości.

Wszystko szło dobrze. Prawie. Nie darzył szczególnym uczuciem Dymitra Iwanowa, ale wśród gości była jedna osoba, której prawdziwie nie lubił. Niestety,

posadzono ich naprzeciwko siebie.

Fiodor, brat Jeleny, sprawiał dziwne wrażenie. Starszy syn Dymitra był bardzo podobny do tęgiego, rudowłosego ojca, natomiast dziewiętnastoletni Fiodor był szczupły i jasnowłosy jak Jelena. Miał krótko przyciętą kręconą brodę. Krążyły plotki, że kazał sobie wyrywać włosy na całym ciele. Czasem lekko pudrował twarz, ale tego dnia się powstrzymał ze względu na doniosłość okazji. Jednak widać było wyraźnie, że policzki ma wymasowane i pokryte jakąś maścią. I nawet przez stół Borys czuł zapach pachnidła.

W Moskwie było wielu takich elegantów: nadawali ton modzie mimo surowej religijności cara. Wielu, choć nie wszyscy, miało skłonność do własnej płci. Ale Fiodor poinformował go już przy pierwszym spotkaniu:

– Dla mnie nie ma znaczenia, chłopiec czy dziewczyna. Biorę to, co piękne. I to, na co mam ochotę.

– Owce i konie pewnie też – zauważył Borys cierpko. Podobno znajomi Fiodora uprawiali różne praktyki.

Ale Fiodor wcale się nie spieszył. Utkwił w Borysie twarde spojrzenie.

– Próbowalesz? – zapytał z udawaną powagą, a potem wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem. – Może powinienesz.

Borys zbagatelizował to. Ale w Fiodorze, oprócz poczucia humoru i chwil dobrego nastroju, było jakieś okrucieństwo, więc wołał go unikać.

Z jakichś powodów Jelena miała do niego słabość. Tak jakby nie widziała jego podłości i złośliwości. Chyba że sama akceptowała takie zachowania. Borys nawet nie chciał o tym myśleć.

Teraz jednak trwała weselna uczta. Będzie musiał pokochać ich wszystkich. Dlatego gdy Fiodor wzniósł za niego toast, ujął posłusznie swój puchar.

Cios jednak przyszedł i był zupełnie nieoczekiwany.

W połowie biesiady Fiodor, przyglądając mu się spokojnie, powiedział:

– Pięknie oboje wyglądacie. – I zanim Borys zdążył odpowiedzieć, dodał: – Ciesz się, że możesz tu dzisiaj siedzieć. Bo obawiam się, że później będziesz musiał zajmować znacznie gorsze miejsce przy stole niż my. – Zabrzmiało to jak ironiczny żart, ale wypowiedziany tak głośno, by wielu gości mogło go usłyszeć.

Borys poruszył się gwałtownie.

– Wątpię. Bobrowowie są równi Iwanowom.

Fiodor roześmiał się.

– Mój drogi Borysie, chyba nie myślisz, że ktoś z tu obecnych chciałby pod tobą służyć.

To była zniewaga: największa i doskonale przemyślana. Nie rzucona od niechcenia uszczypliwa uwaga, nie prostackie wyzwisko. Borys nie mógł go nawet za to uderzyć. Fiodor wygłosił po prostu opinię, którą można było łatwo zweryfikować w księgach. I Borys obawiał się, że te słowa o jego rodzinie mogą być prawdą.

Bo wszyscy członkowie rodów rosyjskiej klasy wyższej, nawet zubożali szlachcice jak Borys, mieli odpowiednią rangę wynikającą z pochodzenia i znaczenia ich przodków. Na tym polegało miastnicestwo. Nie był to jednak prosty system, podobny do wciąż istniejącego w Anglii, w którym jasno określona struktura stanowisk, rang i tytułów

pozwała wszystkim przedstawicielom klasy wyższej i klasy urzędniczej zająć odpowiednie miejsce w hierarchii i nie pozostawia miejsca na spory. W rosyjskim systemie ranga konkretnej osoby nie zależała od jej dokonań, tylko od rangi wszystkich jej przodków porównywanych z przodkami kogoś innego. A zatem szlachcic mógł odmówić zajęcia pośledniego miejsca przy stole, a nawet wypełnienia rozkazu, jeśli udowodnił, że jakiś jego stryjeczny dziadek zajmował wyższą pozycję niż dziadek oponenta. Miestniczystwo miało ogromny zasięg. Każda rodzina szlachecka dostarczała bardzo skomplikowane i imponujące drzewa genealogiczne osobom, które zajmowały się sporządzaniem wykazów. Ten uciążliwy system, ku któremu skłaniała się większość arystokracji, rozwinął się w poprzednim stuleciu i osiągnął taki stopień absurdu, że car Iwan kazał go zawieszać na czas prowadzenia kampanii wojennych. Tylko w ten sposób można było wymóc wykonywanie rozkazów.

Zdarzało się, że podczas oficjalnych uroczystości wielcy magnaci nie chcieli zajmować wyznaczanych im miejsc nawet na polecenie cara – woleli narazić się na niezadowolenie władcy niż ustąpić. Bo gdy jakaś rodzina raz ustąpiła miejsca innej, stawało się to precedensem w systemie miestniczestwa i mogło obniżyć pozycję rodziny w przyszłych pokoleniach.

Borys wiedział od ojca, że Bobrowowie dzięki swojej dawnej służbie nie muszą w niczym ustępować Iwanowom, mimo że są od nich biedniejsi. Czy to możliwe, że ojciec miał niewłaściwą wiedzę albo wprowadził go w błąd? Borys nigdy tego nie sprawdzał.

Czyżby klan z tamgą z Trójzębem, klan wojowników z czasów świetności Kijowa, miał tak niską rangę w Wielkim Księstwie Moskiewskim?

Spojrzał na Fiodora – pewnego siebie, kpiącego – i zaczął tracić śmiałość.

– Nie czas na roztrząsanie takich kwestii. – Głos Dymitra Iwanowa przedarł się przez szum rozmów i choć raz Borys był wdzięczny teściowi. Ale już do końca wieczoru nie opuszczało go uczucie zakłopotania, jakby ktoś usunął mu ziemię spod nóg.

Późnym wieczorem przyjaciele Borysa odwieźli młodą parę do domu. Był to niewielki dom, a ponieważ należał do księdza, pomalowano go na biało, co znaczyło, że właściciel nie płaci podatków. Borys miał szczęście, że znalazł choć takie lokum.

Wszystko było gotowe. Zgodnie ze zwyczajem rozrzucił na swoim małżeńskim łożu snopek pszenicy. I wreszcie został sam na sam z Jeleną.

Spojrzał na nią. Wyglądała na zamyśloną? A może smutną? Uśmiechnęła się nieco nerwowo. Zdał sobie sprawę, że nie ma dostępu do jej myśli.

O czym mogła myśleć ta nieśmiała czternastolatka o złotych włosach?

Myślała, że gotowa jest pokochać tego młodego mężczyznę, że w jej oczach jest znacznie lepszym człowiekiem niż brat, choć nie ma tak ostrego dowcipu. Ale jako młoda i niedoświadczona bała się, że nie będzie umiała go zadowolić.

Widziała, że jest samotny. To się rzucało w oczy. Ale zauważyła w nim też jakąś kruchość. Chciała go pocieszyć, pomóc mu wydostać się z tego chorobliwego – tak to czuła – stanu, lecz instynkt podpowiadał jej, że gdy przyjdzie mu się zmagać z wrogim światem, zasklepi się w swojej samotności i będzie chciał, by mu w tym towarzyszyła. I właśnie to poczucie zagrożenia, ta ciemna chmura na horyzoncie sprawiały, że poddawała mu się z wahaniem.

Ale na początek małżeństwa i na kolejne noce wystarczyło, że dwoje młodych ludzi odkryło w sobie namiętność.

Za dwa tygodnie mieli jechać do Ruski.

Był iskrzący się zimowy poranek. Borys i Jelena, opatuleni w futra, zbliżali się do Ruski w saniach ciągniętych przez trzy konie.

W tym samym czasie na targu w Rusce rozpoczęło się niewielkie, ale znaczące zgromadzenie.

Nikt by się nie domyślił, że biorący w nim udział mężczyźni – pop, chłop, kupiec i mnich – są krewnymi. A spośród nich jedynie pop wiedział, że pochodzi od Janki, chłopki, która zabiła Tatara Piotra.

Największy niepokój okazywał Michaił, chłop z Gnojowiska. Był krzepkim, barczystym mężczyzną z niebieskimi oczami i aureolą ciemnych kręconych włosów, które sterczały mu sztywno na głowie. Na jego pogodnej zazwyczaj twarzy malowało się zatroskanie.

– Jesteś pewien, że ona ma mały posag?

– Tak – potwierdził wysoki pop.

– To niedobrze. Bardzo niedobrze. – Michaił z rezygnacją spuścił wzrok.

Stiepan popatrzył na niego ze współczuciem. Od czterech pokoleń, czyli odkąd jego pradziad otrzymał imię po ich krewnym, ojcu Stiepanie, malarzu ikon, najstarsi synowie w jego rodzinie też dostawali to imię i wstępowali do stanu duchownego. Jego żona także była córką popa. Stiepan, wysoki, postawny dwudziestodwulatek, miał starannie przyciętą ciemną brodę i poważne niebieskie oczy. Otaczała go aura godności, przez co wydawał się starszy. Jego informacje na temat Jeleny były wiarygodne. Miał znajomych w Moskwie, a ponieważ potrafił czytać i pisać – niezwykła umiejętność u popa w owych czasach – mógł też korespondować ze stolicą.

– Żona bez pieniędzy! Tylko pomyślcie, co to znaczy! – lamentował Michaił.  
– Wyciśnie ze mnie wszystkie soki. I co ja mam począć?

W jego pytaniu nie było urazy czy niechęci. Wszyscy wiedzieli, w czym tkwi problem. Borys miał jedynie Gnojowisko. A żeby zapewnić godne życie żonie i być może niedługo też dzieciom, będzie musiał ściągać z chłopów jak najwięcej. Za czasów jego niedomagającego ojca wszystko było łatwiejsze, ale kto wie, co się teraz zmieni?

– Wy obaj macie szczęście – zwrócił się do Stiepana i do mnicha. – Jesteście duchownymi. A ciebie to w ogóle nie dotyczy. – Uśmiechnął się do kupca ponuro, choć nie bez złośliwości. – Ty mieszkasz w Rusce.

Kupiec Lew był przysadzistym trzydziestopięcioletkiem z zaczesanymi do tyłu rzadkimi ciemnymi włosami. Miał zacięte tatarskie rysy i gęstą brodę. W jego czarnych mongolskich oczach kryła się przebiegłość, choć czasem, jak teraz, spoglądały z lekkim rozbawieniem, zwłaszcza gdy prości ludzie, tacy jak jego kuzyn Michaił, uważali, że w interesach posługuje się głównie perfidnym sprytem.

Handlował przede wszystkim futrami, ale rozszerzył działalność w kilku kierunkach. A największe zyski przynosiło mu pożyczanie pieniędzy.

Największymi pożyczkodawcami były w Rosji klasztory, którym udało się zgromadzić najznaczniejszy kapitał. Ale w ciągu ostatnich stu lat dzięki rozwijającej się

gospodarce również wielu kupców mogło udzielać kredytów, a w Rosji zaciągali je wszyscy. Zamożny kupiec z miasteczka mógł być wierzycielem magnata czy nawet księcia. Pożyczano na wysoki procent. Niektórzy kazali sobie płacić sto pięćdziesiąt procent lub więcej. Michaił był pewien, że jego bogaty kuzyn pójdzie po śmierci do piekła, ale teraz mu zazdrościł. Wszyscy ludzie w Rusce są tacy sami, myślał, bogaci i bezwzględni.

Ruska bardzo się rozrosła, od kiedy przeszła w ręce klasztoru. We wsi stało kilka rzędów chat, niektóre całkiem duże, z izbą mieszkalną na pierwszym piętrze, co chroniło przez cały rok od wilgoci. Wzmocniono mury – klasztorne po drugiej stronie rzeki też – a w ich obrębie mieszkało prawie pięćset osób. Nad bramą wjazdową wznosiła się wysoka wieża ze spiczastym drewnianym dachem. Służyła jako strażnica dla wsi i monasteru, wartownicy ostrzegali przed atakiem Tatarów albo rozbójników, którzy w poprzednim roku kilka razy pojawiali się w okolicy.

Wieś była ruchliwa, zamożna i panował w niej porządek. Na targu, obok którego wznosiły się dwie cerkwie, stara drewniana i nowa murowana, stały równe rzędy straganów. Zjeżdżali się tu ludzie ze wszystkich okolicznych wiosek i osad. Miejscowy poborca ściągał od handlarzy należne cła, ale towary dostarczane przez klasztory były wolne od podatków i to stanowiło największy impuls do rozwoju targu. Można tu było kupić sól przywożoną z północy lugrami oraz kawior. A miejscowa wieprzowina, miód i ryby uchodziły za wyborne. Z Riazania płynęła na południe pszenica.

Jednak Ruska była znana przede wszystkim z ikon. Przy monasterze działał mały warsztat. Pracowało w nim dziesięciu mnichów z pomocnikami, zapewniając targowi w Rusce nieprzerwany napływ świętych obrazów. Na straganach wystawiano też rękodzieło – nie tylko religijne – wytwarzane przez rzemieślników sprowadzonych przez klasztor i osiadłych we wsi. Przyjeżdżali tu ludzie z Włodzimierza, a nawet z samej Moskwy.

Lew odwrócił się do Michaiła i objął go ramieniem.

– Nie przejmuj się – pocieszył. A potem powiedział coś, czego jedynie Michaił nie zrozumiał. – Jeśli jego plan się powiedzie – wskazał na mnicha – twój młody pan Borys nie będzie się długo cieszył swoim majątkiem.

Spod płóz wydobywało się ciche, radosne skrzywienie. Jechali lśniącym korytem zamarzniętej rzeki Rus, pomiędzy dwoma szpalerami przykrytych śniegiem drzew. A dalej, za zakrętem, brzegi rozlały się w szerokie białe łąki.

W pierwszych saniach jechał Borys z Jeleną. W drugich – pięciu tatarskich niewolników, służąca Jeleny i ogromna ilość bagażu.

Nareszcie mieli przed sobą Ruskę i stojący obok niej klasztor. Wokół panowała cisza. Niebo było niebieskie i przejrzyste, drewniany dach wieży strażniczej błyszczał w słońcu. Borysowi przyszło na myśl, że wygląda jak wysoki, przewiązany u góry snopek pszenicy czy jęczmienia zostawiany po żniwach na polu. Ścisnął Jelenę za rękę i westchnął z zadowoleniem, czując wokół siebie znajomy spokój tych okolic.

Wieża była jak symbol lata i spełnienia zawieszony na zimowym niebie.

Jelena też się uśmiechnęła. Dzięki Bogu, pomyślała, że wieś nie jest tak mała, jak się obawiała. Może znajdzie się tam kilka kobiet, z którymi będzie mogła porozmawiać.

Wkrótce byli już na wzgórzu i mijali bramę. Gdy wjechali na główny plac, zauważyła na środku czterech mężczyzn. Na widok sań odwrócili się i uklonili z szacunkiem. Chyba przyglądali się jej z uwagą. Wyglądali na życzliwych. Gdy sanie się do nich zbliżyły, zasłoniła twarz futrem. Zauważyła, że jeden z mężczyzn jest księdzem, a drugi mnichem.

Mnich Daniil miał gęstą czarną brodę, nad którą widać było jedynie małe oczy, spoglądające czujnie na świat, i niewielkie skrawki policzków pokrytych bliznami po ospie. Z powodu tej brody trudno było odgadnąć wyraz jego twarzy.

Był raczej niski i krępy i miał nieco zaokrąglone ramiona. Zgarbiona sylwetka świadczyła o uległości właściwej jego religijnemu powołaniu. Mówił na ogół cicho, ale dziwny wyraz jego ciemnych oczu oraz widoczna czasem gwałtowność ruchów zdradzały, że albo ukrywa, albo wypiera swoją namiętą naturę.

Przyglądał się bacznie młodej parze.

Pop Stiepan współczuł Borysowi i Jelenie. Lubił ojca Borysa i podziwiał jego długą walkę z chorobą. Pochował go z poczuciem osobistej straty. Dobrze życzył Borysowi.

I nie pochwałał postępowania Daniila.

– Ludzie mówią, że kocham pieniądze – powiedział mu kiedyś Lew. – Ale pod tym względem nie mogę się nawet równać z naszym mniszkiem.

Co było prawdą. Kupiecka zachłanność miała swoje granice. W interesach handlowych obowiązywała wymiana. Za to mnich Daniil, choć nie miał nic na własność, niemal obsesyjnie gromadził bogactwo dla klasztoru.

– Jest chciwy w imieniu Boga – westchnął wtedy Stiepan. – A to zbrodnia.

Spór pomiędzy tymi, którzy uważali, że Kościół powinien zrezygnować z bogactw, a tymi, którzy utrzymywali, że powinien je gromadzić, trwał już od wielu pokoleń. Wielu duchownych głosiło, że obowiązkiem Kościoła jest prostota i ubóstwo – twierdzili tak zwłaszcza wyznawcy świątobliwego mnicha Nila Sorskiego, którzy żyli w skromnych wspólnotach w głębokich lasach za północną pętlą Wołgi. Stronictwo to, wspierane przez surową „zawołańską starszyznę”, przeszło do historii jako Niezachłanni.

Jednak ich idea przegrała. Niedługo po roku 1500 lokalny sobór, któremu przewodniczył opat Józef, ogłosił, że ziemie i bogactwa Cerkwi dają jej ziemską władzę i są bardzo pożądane. Wszyscy, którzy mieli odmienne poglądy, narażali się na zarzut herezji.

Pop Stiepan w głębi ducha opowiadał się za ubóstwem. Ale jego kuzyn Daniil był tak sprawny w prowadzeniu interesów, że opat monasteru Świętego Piotra i Świętego Pawła zlecił mu nadzorowanie spraw klasztoru. Gdy się słuchało, jak Daniil opowiada o upadku Kazania, można go było wziąć za kupca albo poborcę podatków. „Możemy przejąć część handlu idącego przez Niżny Nowogród oraz tego z południa – tłumaczył z zapalem swoim cichym głosem. – Jedwabie, perkale, kadzidło, mydła... – wyliczał na palcach. – Może by się nam udało sprowadzić też rabarbar”. Z jakiegoś powodu ten luksusowy towar wciąż przywożono ze wschodu.

Ale życiową misją Daniila – choć nieujawnianą – było powiększenie klasztornych ziem.

I wiele wskazywało, że mu się to uda. Już od wielu pokoleń Kościół był jedyną

częścią społeczeństwa, która powiększała swój stan posiadania. Dwa lata wcześniej Iwan podjął próbę powstrzymania tej tendencji, nakazując, żeby klasztory i cerkwie zwracały się do niego z prośbą o pozwolenie na przyjęcie albo zakup nowej ziemi. Jednak egzekwowanie tych przepisów było trudne. W środkowych rejonach Wielkiego Księstwa Moskiewskiego Kościół zgromadził w swoich rękach jedną trzecią ziemi.

A w okolicy znajdowały się dwa godne uwagi majątki. Jeden niedaleko na północnym wschodzie – był to pas ziemi, który wrócił do rąk książąt moskiewskich. Może Iwan zechce go ofiarować klasztorowi, bo pomimo niedawnych prób ograniczenia Kościoła sam nadawał mu grunty hojną ręką. Drugim majątkiem było Gnojowisko.

Ojcu Borysa udało się ten majątek utrzymać, ale czy da sobie z nim radę młodzieniec ze skromnym posagiem żony? Danił uśmiechnął się. Raczej nie. Albo przekażą ziemię klasztorowi w zamian za prawo dożywotniej dzierżawy, co robiono całkiem często, albo sprzedadzą grunt od razu. Lub będą coraz bardziej popadać w długi, aż w końcu monaster i tak przejmie cały majątek. Wówczas potraktują Borysa życzliwie. Ze względu na długoletnią więź jego rodziny z klasztorem. Z godnością dożyje swoich dni. A po jego śmierci mnisi będą się modlić za duszę szlachetnego dobroczyńcy, który przekazał ziemię na służbę bożą. „Zajmiemy się nim” – mawiał Danił.

Mnisi przewidywali tylko jeden problem. Wiedzieli, że młody człowiek, znając zamiary monasteru, będzie próbował ze wszystkich sił zachować niezależność, tak jak jego ojciec. I będzie robił wszystko, żeby nie pożyczać od klasztoru pieniędzy.

– I tu jest rola dla ciebie – powiedział Danił do Lwa poprzedniego dnia. – Gdy Borys zwróci się do ciebie o pożyczkę, zgodzisz się, a ja będę poręczycielem. I już moja w tym głowa, żebyś na tym nie stracił.

Słyszając to, Lew się roześmiał, a jego tatarskie oczy rozbłyły rozbawieniem.

– Ach, wy mnisi... – odparł.

A młody człowiek właśnie się do nich zbliżał.

Jelena była zdziwiona, bo kiedy sanie przejeżdżały przez plac, jej mąż zaklął pod nosem. Co za dziwny, humorzasty człowiek. Spojrzała na niego, a on uśmiechnął się ponuro.

– To moi wrogowie – szepnął. – Są ze sobą spokrewnieni. – Czterej mężczyźni wydawali się całkiem nieszkodliwi. – Zwłaszcza popa trzeba się strzec.

Lęk Borysa przed księdzem wynikał z jednego: Stiepan umiał czytać. A on potrafił rozszyfrować jedynie kilka słów. Wielu szlachciców na carskim dworze też umiało czytać; mnisi i księża w największych klasztorach i cerkwiach pisali i czytali we własnym języku liturgicznym. Ale po co książki popu z niewielkiej wiejskiej parafii? Zdaniem Borysa było to osobliwe i podejrzane. Katolicy albo dziwni niemieccy protestanci, którzy handlowali w Moskwie, też pewnie czytali książki. A co gorsza, czytali także Żydzi.

Borys doskonale wiedział, że żydowskie zagrożenie czai się wszędzie. Jednak zagrożeniem tym nie była żydowska religia ani sami Żydzi, tylko chrześcijańscy heretycy znani jako judaiści.

Tworzyli specyficzną grupę. W Kościele prawosławnym pojawili się na krótko w poprzednim stuleciu i zostali wyplenieni za panowania Iwana Wielkiego. Część z nich, tak jak Żydzi, uważała Jezusa za proroka, a nie za mesjasza. Ale nawet współcześni nie

do końca rozumieli istotę ich herezji. Niemniej kolejne pokolenia religijnych Rosjan, takich jak Borys, wiedziały jedno: ci ludzie odwołują się do logiki, subtelnych argumentów i ksiąg, a więc nie można im ufać.

Borys zdawał sobie sprawę, że mnich Daniil chce przejąć jego ziemię – to akurat potrafił zrozumieć. Ale nigdy nie wiadomo, co może planować taki Stiepan.

Czterej kuzyni uprzejmie powitali nowo przybyłych. Uśmiechnęli się z szacunkiem do Jeleny. A potem sanie ruszyły w kierunku stojącego za cerkwią małego domku, w którym czekali już zarządca, jego żona i służące.

Jelena uśmiechnęła się, żeby rozweselić męża, ale czuła niepokój.

Następnego ranka Borys pojechał obejrzeć Gnojowisko.

Oprowadzał go stary zarządca, całkiem dobry człowiek, którego Borys znał jeszcze z dzieciństwa. Niski, milczący, z posiwiałymi włosami i bruzdą między brwiami tak głęboką, że wyglądała, jakby ktoś zadał mu kilka ciosów siekierą. I według wszelkiej wiedzy Borysa – uczciwy.

– Wszystko jest w najlepszym porządku, tak jak wasz ojciec zostawił – oznajmił.

Borys rozejrzał się zamyślony.

W pewnym sensie mógł się uważać za szczęściarza. Kiedy po ostatniej reformie podatków carscy taksatorzy przyjechali do Ruski, uważnie obejrzeli majątek Bobrowa. Jego powierzchnia nieco przekraczała sto sześćdziesiąt pięć hektarów.

Bobrowowie mieli podwójne szczęście. Po pierwsze, taksatorzy uprzejmie orzekli, że część ziemi jest słabej jakości, co obniżyło podatki. A po drugie, nie uwzględnili w swoim raporcie całej powierzchni.

Wynikało to z faktu, że rosyjscy taksatorzy nie umieli obliczać ułamków. Oczywiście znali niektóre – połowę, jedną ósmą, nawet jedną trzydziestą drugą; wiedzieli, co to jedna trzecia, jedna dwunasta czy jedna dwudziesta czwarta. Ale nie umieli zapisać jednej dziesiątej. Nie potrafili też dodawać ani odejmować ułamków o innych mianownikach. Gdy wyznaczali wysokość podatku dla żyznego czarnoziemu w Gnojowisku, nie byli w stanie zapisać jednej piętnastej jednostki powierzchni, więc zadowolili się jedną szesnastą, bo taki ułamek znali. Co oznaczało, że ponad półtora hektara ziemi nie zostało obłożone podatkiem.

Bo Rosjanie zawsze umieli się dostosować, gdy zawodziła ich wiedza.

W porównaniu z wieloma innymi, którym car w zamian za służbę nadał majątki jako pomiestija, Borys nie mógł się skarżyć. Większość nie miała nawet połowy tego co on. Tylko że roczny dochód z jego majątku wynosił dziesięć rubli. Sama wyprawa z utrzymaniem koni kosztowała go siedem rubli. Na szczęście miał broń i zbroję. Rocznie płacił cztery ruble podatku, zaciągnął też kilka niewielkich pożyczek w Rusce, w tym jedną u kupca Lwa. I wiele wskazywało na to, że będzie się coraz bardziej osuwał w długi, jeśli car czegoś dla niego nie uczyni.

Nie tracił jednak wiary. Był zdecydowany zaskarbić sobie względy Iwana. Kto wie, jakie to może przynieść mu korzyści. Ale teraz...

– Myślę, że możemy podwoić dochód z majątku – oznajmił zarządca. – Co ty na to? – A gdy starzec się zawahał, rzucił ostro: – Doskonale wiesz, że możemy.

I tego właśnie obawiał się biedny Michaił.



Chłopi mogli wносить swojemu panu dwa rodzaje opłat. Pierwszą był czynsz w gotówce lub w naturze, czyli tak zwany obrok, a drugą praca na pańskim polu, czyli barszczina. Zazwyczaj chłopi łączyli jedno z drugim.

Wieśniacy z Gnojowiska pracowali jeden lub dwa dni na ziemi, którą Borys zatrzymał dla siebie, a do tego płacili mu obrok za tereny od niego dzierżawione. W ciągu ostatnich dwudziestu lat majątek stracił trzech dzierżawców – jeden przeniósł się do innego pana, drugi umarł bezpotomnie, a trzeci został odesłany. Na ich miejsce nie znaleziono nikogo i w ten sposób ojciec Borysa miał dla siebie dodatkowe czterdzieści hektarów żyznej ziemi. Ale chociaż kilkakrotnie podnoszono wysokość czynszu, to i tak te podwyżki nie nadążały za stałym wzrostem cen.

Michaił musiał dostarczać panu ponad siedem korców żyta i tyle samo owsa, a do tego ser, pięćdziesiąt jaj i wagon drewna na opał, oraz płacić osiem diengów. Musiał też obrabiać ponad hektar ziemi Borysa, co zajmowało mu mniej niż jeden dzień w tygodniu. Borys mógł w każdej chwili zmienić te zobowiązania, bo umowa tego nie zakazywała. A cena zboża stale rosła.

– A zatem – oznajmił Borys beztrosko – zmniejszymy chłopom obrok i powiększymy barszczinę.

Zboże, które mógł zebrać ze swojej ziemi – gdyby chłopi pracowali na niej dwa albo trzy dni w tygodniu – miałyby znacznie większą wartość niż pobierany obecnie czynsz. Borys dużo by na tym zyskał. A chłopi naturalnie byłiby stratni.

– Zaczniemy natychmiast, od dwóch dni w tygodniu – powiedział.

Dzięki dodatkowej pracy chłopów i dwóch tatarskich niewolników przyszłość wyglądała zachęcająco.

Dwa miesiące później, na życzenie Borysa, złożył mu wizytę kupiec Lew. Domyślał się powodu zaproszenia.

Niebo było szare, ulice szarobrązowe. Jedyne śnieg leżący na drewnianych płotach przypominał, że nie cały świat jest taki ponury.

Lew był zdziwiony, że młody pan i jego żona nie wrócili jeszcze do Moskwy. Przypuszczał, że muszą się tutaj nudzić. Borys jednak wcale się nie lenił – zrobił dokładny przegląd stanu posiadania majątku.

Biedny kuzyn kupca, Michaił, skarżył się i lamentował:

– Jego ojciec był zupełnie inny. Za to on wszystko zauważy. Jest takim samym Tatarem jak ty.

A kupiec, choć współczuł kuzynowi, podziwiał Borysa. On ich jeszcze zadziwi i nie da sobie odebrać majątku, myślał z cierpkim rozbawieniem.

W gruncie rzeczy specjalnie go to nie obchodziło. Miał swoje zdanie na temat tych wszystkich intryg. Nie czuł się związany z żadną ze stron i wolał, żeby tak pozostało. Udało mu się pokonać własne kłopoty. Dla kupców takich jak on nadeszły dobre czasy. A przy tym energicznym młodym carze mogły się otworzyć jeszcze lepsze możliwości. Wystarczyło spojrzeć na Stroganowów z północy – choć tak jak on wywodzili się z chłopów, stali się kupiecką potęgą, a ich zdanie liczyło się na carskim dworze. Takich ludzi warto było naśladować.

A warunkiem przetrwania było utrzymywanie życzliwych stosunków ze

wszystkimi. W Rusce oznaczało to dobry układ z klasztorem, który był właścicielem wsi. Choć nawet w tym należało zachować ostrożność. Bo moskiewscy carowie patrzyli pożądliwie na małe miasteczka będące własnością Cerkwi i czasem znajdowali powody, by je przejąć. A gdyby tak się stało, młody pan z Gnojowiska, który służył carowi, mógłby się okazać ważną postacią. Nigdy nie wiadomo.

Dlatego wchodząc do solidnego jednopiętrowego domu z szerokimi schodami na zewnątrz, Lew był czujny i ostrożny. Zaprowadzono go do dużego pokoju, w którym czekał już na niego Borys.

Blady i dość zdenerwowany, gospodarz od razu przystąpił do rzeczy:

– Jak pewnie wiesz, tegoroczny dochód z Gnojowiska znacznie wzrośnie. Ale na razie potrzebna mi jest pożyczka.

– Cieszę się, że przyszlście z tym do mnie – odpowiedział Lew uprzejmie, choć dobrze wiedział, że Borys zwrócił się wcześniej do dwóch innych kupców, ale oni zaproponowali bardzo niekorzystne warunki.

– Potrzebuję pięciu rubli.

Lew skinął głową. Suma nie była duża.

– Tyle mogę pożyczyć. Wasz majątek jest wystarczającym zabezpieczeniem. Odsetki od tej pożyczki to jeden rubel za pięć.

Dwadzieścia procent. Borys aż otworzył usta ze zdziwienia. Bardzo łagodne warunki – mniej niż połowa tego, co proponowali inni. Zimą słyszał w Moskwie o kimś, kto musiał płacić jeden procent dziennie!

Lew uśmiechnął się.

– Według moich obliczeń, panie, lepiej mieć przyjaciół niż wrogów – powiedział rozbrajająco. – Mam nadzieję, że pani Jelena miewa się dobrze – dorzucił uprzejmie.

– O tak.

Czyżby po twarzy młodzieńca, która jeszcze przed chwilą wyrażała jedynie ulgę, przemknął jakiś cień? Po mieście krążyły słuchy, że młoda żona Borysa jest dobra i życzliwa. W Rusce widziało ją tylko kilka osób – służba i żona popa. Nie pokazywała się publicznie, nie chodziła nawet do cerkwi, bo Borys, całkiem słusznie, kazał popu odprawiać nabożeństwa w domu, żeby nie wystawiać żony na wścibskie spojrzenia.

Po paru uprzejmościach Lew się pożegnał i wkrótce wracał przez plac targowy do domu.

W połowie drogi zatrzymał się zdziwiony na widok dwóch par dużych sań zaprzęgniętych we wspaniałe konie. Sanie wjechały z brzękiem dzwonek na plac i skierowały się do domu, który on właśnie opuścił. Okrzyki woźniców i kosztowne futra mówiły, że goście przyjechali z Moskwy.

Życie w Rusce wydawało się Jelenie dziwne. Było tu tak cicho i spokojnie. Ale też sama nie do końca wiedziała, czego powinna oczekiwać.

Odwiedzała ją żona popa Anna, ładna dwudziestolatka, matka dwojga dzieci. Była nieco pulchna, miała zadarty nos i rumiane policzki, a gdy opowiadała o mężu, na jej ustach pojawiał się lekki uśmiech, który mówił, że całkiem podoba jej się sposób, w jaki Stiepan okazuje jej miłość.

Borysowi nie przeszkadzały te wizyty. Często Anna przesiadywała u nich w pokoju

na górze aż do późnego popołudnia. I to od niej Jelena czerpała wiedzę na temat wsi i jej mieszkańców. A potem przekonywała Borysa, że nie powinien być taki podejrzliwy wobec popa, który przecież dobrze mu życzy.

Ale było tu tak nudno. Wcześniej jej się wydawało, że jako mężatka będzie miała pełne ręce roboty. Owszem, w domu było trochę zajęć. Ale Borys często wyjeżdżał do majątku albo był w Rusce, więc czas jej się dłużył niemiłosiernie. Trzy razy odwiedziła klasztor ufundowany przez rodzinę męża. Mnisi przyjęli ją ciepło i z odpowiednim szacunkiem. Pojechała też z Borysem obejrzeć Gnojowisko. Przywitano ją głębokimi ukłonami i paroma drobnymi podarunkami. Jednak mieszkańcy niskich chałup najwyraźniej uważali ją za przyczynę narzuconych im nowych zobowiązań, więc nie miała ochoty jechać tam ponownie.

I to wszystko. Cóż za kontrast w porównaniu z gwarem Moskwy i barwnym życiem jej rodziny! Dlaczego tam nie wracają? Co on ma jeszcze do roboty w Rusce, zwłaszcza w środku zimy?

Borys wciąż był dla niej zagadką. Przywykła do napadów złego humoru ojca. Wiedziała, że większość mężczyzn miewa nagłe ataki złości, które należy akceptować, a nawet podziwiać. Jej matka często mawiała o mężu z niejaką dumą: „On tak się potrafi rozgniewać!”, jakby chodziło o jakiś wspaniały wyczyn. Nie zdziwiłoby jej, gdyby Borys też ujawniał takie cechy albo czasem ją uderzył. To by było normalne. Wiedziała na przykład, że kupiec Lew bije żonę raz w tygodniu, dla zasady. „A patrz, ile mają dzieci” – zauważyła kiedyś z cierpkim uśmiechem.

Ale humory Borysa były zupełnie inne. Dla niej zawsze był dobry. A kiedy popadał w przygnębienie, siadał samotnie przy piecu albo przy oknie. Gdy pytała, co się dzieje, jedynie uśmiechał się blado. Wygląda, jakby na coś czekał, myślała, próbując zrozumieć jego zachowanie.

Miała rację: nieustannie czekał. Ale na co? Na coś wspaniałego czy na coś strasznego? Wiedziała, że chciałby, by była dla niego żoną idealną, jak Anastazja dla Iwana. Ale co to miało znaczyć? Robiła wszystko, żeby go zadowolić. Gdy widziała, że jest smutny, obejmowała go. Po powrocie do Moskwy zamierzała poprosić ojca w tajemnicy, żeby wsparł zięcia finansowo.

Ale najwyraźniej w jakiś sposób zawiodła Borysa, bo nie dopuszczał jej do siebie na tyle blisko, by mogła odkryć jego pragnienia. On pewnie sam siebie nie zna, myślała.

A on czekał z lękiem na jakieś nieszczęście – że mu się nie powiedzie w Gnojowisku, że klasztor uknuje jakiś podstęp albo że spadnie nań inny cios. Gdy sprawy szły dobrze, wracał do domu uszczęśliwiony, pełen wielkich planów na przyszłość, pewny przychylności cara. Ale już po kilku godzinach znów wietrzył zdradę albo ruinę. Jakby pojawiał się przed nim widmo ojca – najpierw dodawało mu otuchy, a po chwili odsłaniało własny powolny upadek.

W drugiej połowie zimy zaczęły napływać ze wschodu niepokojące wieści. W Kazaniu zostawiono za mały garnizon i teraz na ziemiach wokół odebranego Tatarom miasta rozlewał się bunt.

– Car Iwan zwołał bojarską dumę, ale oni nie rwą się do działania – opowiadał Borysowi pewien kupiec ze stolicy. – Połowa z nich nawet nie chciała zdobywać Kazania.

I to był powód pierwszej kłótni między Borysem i jego żoną.

– Ci przekłęci bojarzy! – zaklął. – Ci magnaci! Mam nadzieję, że car ich wszystkich zgniecie.

– Ależ nie wszyscy bojarzy są źli – zaprotestowała.

Dymitr Iwanow miał wśród nich przyjaciół i protektorów, a sam nie pochwalał rządów energicznego młodego cara i przestrzegał przed nim swoje córki.

– Wszyscy – warknął Borys. – Ale któregoś dnia pokażemy im, gdzie jest ich miejsce.

Doskonale wiedział, że te słowa są obraźliwe dla jej ojca, ale nie umiał się powstrzymać. A gdy Jelena ze smutkiem wbiła wzrok w ziemię, zirytował się jeszcze bardziej.

W ciągu kolejnych tygodni nie nadchodziły nowe wieści, więc uznała, że ten drobny incydent poszedł w niepamięć. Bo teraz dręczyło ją jedno pytanie: kiedy wreszcie wyjadą do Moskwy?

Zdawała sobie sprawę z ich położenia finansowego, mimo to nie rozumiała, że prawdziwym powodem tej zwłoki są koszty. Nie powiedział jej tego wprost, bo wolał unikać rozmów o pieniądzach; ona zaś, wychowawszy się w wygodnym ojcowskim domu, nie zdawała sobie sprawy, że dla człowieka o skromnych dochodach życie towarzyskie w stolicy jest wielkim obciążeniem. Minał styczeń, zaczął się luty, Jelena myślała tylko o jednym: nadal są w Rusce, a ona czuje się tu samotna.

Dlatego wysłała wiadomość rodzicom.

Nie było to trudne. Anna wzięła od niej list i przekazała go kupcowi zdążającemu do Włodzimierza. A on z kolei dał znajomemu, który wybierał się do Moskwy. Nie musiały nawet mówić o tym Stiepanowi. Wiadomość była krótka: Jelena nie pisała, że jest nieszczęśliwa, skarżyła się jedynie na samotność. Więc może przysłałiby jej kogoś – zaproponowała pewną ubogą kuzynkę – do towarzystwa?

Dlatego w dniu odwiedzin kupca Lwa, widząc przed domem dwoje sań, krzyknęła najpierw z radości, a potem ze zdziwienia, kiedy się okazało, że siedzi w nich nie biedna kuzynka, ale matka i siostra.

Zostały u niej cały tydzień.

Nie można powiedzieć, by były niemiłe. Matka Jeleny, wysoka, postawna kobieta, traktowała Borysa z życzliwą uprzejmością. A jej siostra, skora do śmiechu korpulentna mężatka i matka dzieciom, była zachwycona wszystkim, co wokół widziała. Dwukrotnie odwiedziła klasztor, wyrażając pochlebne uwagi o cerkwi, ikonie Rublowa i w ogóle o szczodrości rodziny Bobrowów.

Oczywiście wiązało się to z dodatkowymi kosztami: wino dla pań i pasza dla sześciu koni. Po tygodniu takiego goszczenia Borys wiedział, że nie wystarczy mu pieniędzy z kredytu od Lwa. Ale nie to było najgorsze.

Najgorsze było to, że czuł się wykluczony.

Ze zrozumiałych powodów Jelena nalegała, żeby pozwolił jej spać z siostrą, matka zaś zajęła drugą izbę na górze. Borys spał na dole, na dużym piecu. Siostrą wydawało się to bardzo zabawne, długo w nocy słyszał ich paplaninę. Oczywiście mógł się nie zgodzić, ale nie miałyby to sensu. Jeśli woli towarzystwo siostry od mojego, myślał

ponuro, niech sobie gadają nawet całą noc.

Jeszcze gorzej czuł się w dzień. Kobiety spędzały każdą chwilę razem, szepcząc coś do siebie na górze. Podejrzewał, że go obgadują.

Borys miał takie samo pojęcie o kobietach jak większość mężczyzn jego czasów. Wśród tych, którzy umieli czytać, krążyły prace bizantyjskich i ruskich autorów, dowodzące, że kobiety są gorsze z natury. Cała wiedza Borysa o kobietach pochodziła z takich właśnie kręgów oraz od ojca, z czasów jego długiego wdowieństwa.

Uważano zatem, że kobiety są nieczyste. Nawet Kościół pozwalał wypiekać chleb liturgiczny jedynie starym wdowom, żeby błuźnicze ręce młodych kobiet nie skały bochenków. Po spółkowaniu z żoną Borys mył się dokładnie, a w tych szczególnych dniach miesiąca starał się jej w ogóle unikać.

Jednak przede wszystkim kobiety były dla niego dziwne i obce. Miewał czasem jakieś przygody, jak ta z dziewczyną w Niżnym Nowogrodzie, ale gdy kobiet było więcej, czuł się zakłopotany.

Co one w Rusce robią? I po co tu przyjechały? Gdy zapytał je o to grzecznie, siostra Jeleny odpowiedziała wesoło, że przyjechały obejrzeć pannę młodą i majątek jej męża i że wyjadą „w mgnieniu oka”.

– Zaprosiłaś je? – spytał Jelenę, gdy mieli okazję być sami, co zdarzało się bardzo rzadko.

– Nie, nie zaprosiłam.

Właściwie była to prawda. Zauważył jednak u niej pewne zakłopotanie.

Ona nie należy do mnie, pomyślał. Należy do nich.

W końcu wyjechały. Przy pożegnaniu matka Jeleny, dziękując mu za gościnę, powiedziała znacząco:

– Nie możemy się ciebie doczekać w Moskwie, Borysie. Mój mąż i jego matka czekają na ciebie z niecierpliwością.

Przekaz był jasny – obietnica pomocy ze strony Dymitra oraz sugestia, że starsza pani poczuje się dotknięta brakiem wizyty Borysa. Uśmiechnął się blado. Ich pobyt kosztował go niemal całego rubla. A jeśli to miała być zapowiedź wydatków w Moskwie, to wołał się nad tym dłużej zastanowić.

Ale co te niegodne zaufania kobiety robiły, podczas gdy opróżniały mu spiżarnię? I jaki miały wpływ na jego żonę?

Początkowo wszystko wyglądało jak najlepiej. Znowu nocę spędzali razem, kochając się namiętnie. Wróciła mu nadzieja.

Jednak dwa tygodnie później miał napad złego nastroju. Właściwie bez ważnego powodu. Zauważył brak kilku narzędzi, a w spichrzach niedobory, które najwyraźniej przeoczył zarządca. Do tego jeden z tatarskich niewolników zachorował i zmarł. Wszyscy okoliczni najemni robotnicy, a było ich niewielu, pracowali dla klasztoru. Musiałby więc albo kupić nowego niewolnika, albo zadowolić się mniejszymi zbiorami. I obawiał się, że będzie potrzebował jeszcze jednej pożyczki od Lwa. Z każdej strony coś krzyżowało mu plany.

– Na pewno dasz sobie radę – pocieszyła go Jelena.

– Może – odparł ponuro. A potem stanął przy oknie i zatopił się w myślach.

Kilka godzin później podeszła, żeby z nim porozmawiać.

– Za bardzo się martwisz, Borysie – powiedziała. – To przecież nic poważnego.

– Ja wiem lepiej, co jest ważne.

– Ale spójrz na swoją ponurą twarz – ciągnęła.

Czyżby w jej głosie dźwięczała kpina, jakby chciała wyśmiać jego zły nastrój? Skąd się wzięła ta jej nagła śmiałość? Wszystko przez tamte kobiety. Spojrzał na nią ze złością.

Miał całkowitą rację. Jelena kilka razy pytała matkę i siostrę, co myślą o Borysie. I to właśnie siostra jej opowiadała: „Kiedy mój mąż ma zły humor, udaję, że w ogóle o to nie dbam. Jestem wesoła i śmieję się z jego nastrojów. I szybko dochodzi do siebie”.

Była energiczną młodą kobietą, zadowoloną z roli starszej doradczyni. Nie przyszło jej jednak do głowy, że Borys i jej mąż bardzo się od siebie różnią.

Gdy więc teraz Jelena starała się pokazać mężowi, że nie traktuje jego humorów poważnie, i zadowolona z siebie próbowała zachować w jego obecności wesołość, pozostała mu tylko jedna myśl: wpoili jej, że ma mną gardzić.

Roztrząsał to ponuro przez kilka godzin, a ona popełniła wtedy wielki błąd. Właściwie była to luźna uwaga, ale wygłoszona w najmniej odpowiednim momencie:

– Borysie, nie bądź głuptasem, przestań się smucić.

Głuptasem? Własna żona go tak nazwała? W nagłym porywie złości zerwał się na równe nogi, z zaciśniętymi pięściami.

– Już ja ci pokażę, co to znaczy śmiać się z moich zmartwień! – ryknął.

Zrobił krok do przodu, prawie nad sobą nie panując. I wtedy rozległo się walenie do drzwi, a zaraz potem do izby wpadł Stiepan.

Zaaferowany nie zauważył Jeleny i nie przeżegnawszy się nawet przed ikoną, wyrzucił z siebie wiadomość, która wyparła z umysłu Borysa wszystkie inne myśli:

– Car umiera!

Michaił widział wokół siebie jedynie troski.

Pan Borys wyjechał z żoną do Moskwy, choć od czasu do czasu wpadał na krótko do majątku. Ale z pewnością wkrótce pojawi się na dłużej i nie wiadomo, co wówczas wymyśli.

Nowa barszczina była dużym obciążeniem. Poza pracą i czynszem dla Borysa musiał też płacić państwowe podatki, które zabierały mu prawie jedną czwartą zbiorów. Trudno było związać koniec z końcem. Jego żona tkala piękne obrusy z ptasim wzorem, które potem sprzedawała na targu w Rusce. To im trochę pomagało. Stosował też własne sposoby na zmniejszanie wydatków – wolno mu było zbierać martwe drewno w pańskich lasach, więc jak wszyscy inni tu i tam zdierał korę z pni, żeby doprowadzić drzewo do śmierci. Ale na koniec roku miał już puste kieszenie, a zapasów ziarna pozostało mu po słabych żniwach ledwie tyle, żeby przeżyć zimę.

No i jeszcze ten problem z Daniilem. Już kilka razy mnich dawał mu do zrozumienia, że jeśli nie będzie się przykładał do pracy w majątku – czyli, mówiąc wprost, będzie potajemnie sabotował starania Borysa – to dobrze na tym wyjdzie.

Ale on, po pierwsze, wcale nie chciał tego robić, a po drugie, gdyby zarządca go na tym przyłapał, konsekwencje byłyby poważne.

– Mogliśmy wyjechać – przypomniała mu żona. – Mogliśmy wyjechać jesienią. Zastanawiał się nad tym. Ale nie mógł się zdecydować.

Prawo mówiące o tym, kiedy chłop może opuścić swojego pana, wprowadził Iwan Wielki pięćdziesiąt lat wcześniej, a jego wnuk, obecny car, je zmienił.

Chłop nie mógł już odejść w dowolnym czasie, lecz jedynie w okresie wyznaczonym przez pana – zazwyczaj były to dwa tygodnie przed i po dwudziestym trzecim listopada. Miało to swoją logikę – dzień świętego Jerzego wypadał po zakończeniu żniw, a jednocześnie w porze najmniej sprzyjającej podróżom. No i za taki wyjazd należało wnieść wysoką opłatę. Ale gdy chłop zawiadomił pana i zapłacił, mógł z rodziną wyjechać i w niedzielnym ubraniu szukać nowego pana. Stąd się wzięło ironiczne rosyjskie powiedzenie: „Wystroił się jak na świętego Jerzego, ale nie ma dokąd pójść”.

I w tym tkwił problem Michaiła. Nawet gdyby było go stać na opłaty, gdzie miałby się podziąć?

Ogromne połacie ziemi były teraz niewielkimi majątkami nadawanymi za służbę. Pomiejściami. Ludzie, którzy nimi władali, wyciskali z chłopów ostatnie soki i zanieczyścili ziemię, którą otrzymali jedynie warunkowo. A właściciele wotcziny przynajmniej dbali o swoje. Michaił mógłby pojechać z rodziną daleko na północny wschód, gdzie były jeszcze wolne ziemie, ale kto wie, co ich czeka w jakiejś odległej wiosce po drugiej stronie Wołgi?

No i była jeszcze Cerkiew.

– Jeśli klasztor nie przejmie majątku, zawsze możemy wydzierzawić kawałek ziemi, który do niego należy – zaproponowała żona.

Ale on miał wątpliwości, czy będzie im tam lepiej. Słyszał, że w innych monasterach też podnoszono czynsze i zwiększano barszczinę.

– Poczekamy i zobaczymy, co dalej – orzekł.

Wiedział, że żona będzie czekała cierpliwie. Była tęgą kobietą z grubymi nogami i zawsze patrzyła wilkiem na obcych przybyszów. Ale za tą surową fasadą kryło się dobre serce – w pewnym sensie współczuła Borysowi i jego żonie, którzy ich tak wyzyskiwali.

– Za pięć lat on umrze albo popadnie w ruinę – wieszczęła. – A my, śmiem twierdzić, wciąż tu będziemy.

Jednak Michaił nie miał takiej pewności co do swoich dwóch synów. Starszy Iwanko był flegmatycznym dziesięciolatkiem z ładnym głosem. Ale młodszy Karp stanowił zagadkę. Miał dopiero siedem lat, był silny i muskularny i zawsze myślał po swojemu.

– Jest taki mały, a ja już nie daję sobie z nim rady – przyznawał zadziwiony. – Po kim ten mały Mordwin to ma? Nawet jak dostanie lanie, to i tak robi, co chce.

Dla takich wolnych duchów nie było miejsca w Gnojowisku. Nie pasowali tu. Więc Michaił, nie wiedząc, co robić, postanowił pójść po radę do kuzyna, popa Stiepana.

Borys patrzył na Moskwę z Worobiowych Wzgórz. Stiepan przysłał mu wiadomość, że wieczorem go odwiedzi. Zostało jeszcze dużo czasu. Dlatego spoglądał w zadumie na rozłożoną niżej ogromną warownię – bez goryczy i bez innych silnych emocji.

Moskwa – potężne serce kraju. Tego pogodnego wrześnieowego dnia nawet rozświergotane ptaki ucichły.

Lato było długie i upalne, takie, jakie bywają tylko w Rosji. Pomalowało na brązowo jęczmień szepczący na okolicznych polach; rozjaśniło srebrną korę na brzozech, aż wyglądała jak roztopiony na biało popiół. Gdy lato było najgorętsze, w lasach wokół Moskwy liście osik, brzoź, a nawet dębów stały się tak lekkie, tak delikatne, że drząc na wietrze, wydawały się przezroczyste i tak zdumiewająco zielone, jakby w tańczącym słońcu migotały miliony szmaragdów i opali. Tylko w Rosji rosły liście, które mówiły: patrzcie, tańczymy w ogniu, kruche i silne jednocześnie, bez żalu wsłuchujemy się w głos nieba, które każdego dnia mówi nam, że umrzemy.

A teraz, na początku jesieni, wszystkie drzewa i samo miasto pokrywał leciutki pył, niczym milcząca, lśniąca chmura – lato powoli odchodziło, odpływało ku bezkresnemu, wiecznie obecnemu, wiecznie znikającemu niebu.

Nad grubymi murami Moskwy, nad ogromnym Kremlm, którego wieże patrzyły groźnie na rzekę, panowała cisza. I kto by pomyślał, że kilka miesięcy wcześniej za tymi murami szalała śmierć i zdrada?

Obwarowane murami miasto zdrady, ciemne serce wielkiej rosyjskiej równiny.

Sprzeniewierzyli się carowi. Nikt tego nie powiedział, ale wszyscy wiedzieli. Na każdej ulicy, w każdym zgromadzeniu wyczuwało się ostrożność i lęk. Borys widział je w geście, którym Dymitr Iwanow gładził brodę, przesuwając dłonią po łysej głowie albo mrużył nabiegłe krwią oczy.

Rozumiał wszystko. Chcieli, żeby car umarł. A on żył.

Choć niewiele brakowało. W marcu Iwan, powalony zapaleniem płuc, był umierający, niemal nie mógł mówić. Na łożu śmierci błagał książąt i bojarów, by zaakceptowali na następcę jego maleńkiego syna. Ale większość była temu przeciwna.

– Czeka nas kolejna regencja pod rządami tych przeklętych Zacharynow, krewnych carycy – mówili.

Był inny wybór? Formalnie rzecz biorąc, tak. Na obrzeżach dworu kręciła się nieszkodliwa, ale żalosna postać – pozbawiony charakteru, rzadko widywany młodszy brat cara. Ale nawet gdy bojarowie sobie o nim przypomnieli, od razu go skreślili z listy pretendentów. A kuzyn cara Włodzimierz? Spośród licznych książąt to on był najbliższym spokrewnionym z panującym władcą i miał też odpowiednie doświadczenie. Na pewno był lepszym kandydatem niż chłopiec w wieku niemowlęcym.

Spierali się o to nad głową umierającego władcy. Nawet najbardziej zaufani przyjaciele Iwana, najbliżsi doradcy, których sam dobrał, szeptali ze sobą po kątach. Iwan patrzył i słuchał, jak go zdradzają, lecz sam nie mógł nic powiedzieć. Co się stanie z Wielkim Księstwem Moskiewskim, gdy jego zabraknie? Kiedy ci przekłęci zdradzieccy magnaci zaczną walczyć o władzę, zapanuje anarchia.

Ale potem car wyzdrowiał. Podniesiona zasłona znów opadła. Dworacy mu się kłaniali i witali go z uśmiechem. O sukcesji Włodzimierza nie wspomniano ani słowem, jakby ta kwestia w ogóle nie wypłynęła. A Iwan nic nie mówił.

Jednak dwór spowijała ponura atmosfera. W maju Iwan wyjechał z rodziną daleko na północ, żeby podziękować za życie w klasztorze, do którego udała się jego matka,



będąc z nim w ciąży. Była to długa droga: hen, przez lasy ku arktycznym pustkowiom. A tam, nad jakąś daleką rzeką, opiekunka niechcący upuściła małego syna Iwana i Anastazji, który po kilku chwilach zmarł.

Tego lata słońce wisiało nad zakurzoną twierdzą jak milczący towarzysz suchego, spieczonego smutku wypełniającego mury. Na północnym wschodzie, w Pskowie, panowała zaraza. Na wschodzie, w Kazaniu, problemy z podbitymi plemionami stawały się coraz bardziej dokuczliwe.

W życiu Borysa te długie miesiące też zabarwił smutek.

W marcu pośpiesznie wyjechali z Jeleną do Moskwy i zajęli swój skromny domek w Białym Mieście.

Jelena codziennie odwiedzała matkę albo siostrę. I codziennie docierały do nich szeptane wieści o mrocznych wydarzeniach na dworze – albo za pośrednictwem ojca Jeleny, albo matki, która miała przyjaciółki wśród wiekowych matron towarzyszącym kobietom z rodu panującego. Borys często czuł się samotny, doskwierała mu beczynność. Żeby zabić czas, chodził na spacer po mieście, zaglądał do cerkwi, gdzie zatrzymywał się na dłużej przed jakąś ikoną i wychodził po zdawkowej modlitwie.

Ale chociaż prowadzili skromne życie, wydatków nie dało się uniknąć. Stajnia dla koni, podarunki, a przede wszystkim metry jedwabnych brokatów i futrzanych wykończeń do kaftanów i sukien, które wkładano na wizyty w domach – jak go zapewniano – przydatnych ludzi.

Mimo to miał pretensję, że musi ponosić nieproporcjonalne do dochodów koszty. Czasem, gdy żona wracała rozradowana od matki i przynosiła mu najnowsze wieści, budził się w nim gorzki gniew – nie dlatego, że zachowywała się wobec niego niestosownie, ale dlatego, że była taka zadowolona. Kiedy więc potem, w nocy, niemal się dotykając, leżeli obok siebie, powstrzymywał pożądanie, bo miał nadzieję, że ta udawana obojętność uczyni wyrwę w otaczającym ją murze zapewnianego przez rodzinę bezpieczeństwa. Jak ona może mnie kochać, myślał, jeśli nie podziela mojego niepokoju?

Tymczasem u Jeleny te oznaki obojętności podsycaly jedynie lęk, że mąż przestaje się nią interesować. Miała ochotę się rozpłakać, ale powodowana dumą odsuwała się od niego albo odgradzała niewidzialną barierą, co z kolei kazało mu myśleć: już rozumiem, ona mnie nie chce.

Szczególny pech sprawił, że któregoś dnia spotkał na ulicy znajomego. Zatrzymali się przy straganie, żeby się napić, a wtedy ów zacny nieżonaty młodzieniec, zapytawszy już o zdrowie Borysa i jego małżonki, zauważył: „Wszyscy mówią, że w każdym małżeństwie z czasem pojawia się obojętność, a potem nienawiść”.

Naprawdę tak jest? Dręczył się tym błahym zdaniem przez wiele tygodni. Czasem kilka nocy z rzędu kochał się z Jeleną i wydawało mu się, że wszystko jest dobrze, ale potem w ich chwiejny związek wkradała się jakaś wyobrażona uraza, więc kiedy leżał obok niej przepelniony skrywaną złością, tamte słowa wracały do niego jak potwierdzenie: a więc rzeczywiście tak jest.

Borys stał na krawędzi przepaści autodestrukcji i wpatrywał się w otchłań.

Czasem, gdy zatrzymywał się przed ikoną w jakiejś cerkwi, modlił się o poprawę losu. Modlił się, by mógł zawsze kochać żonę, a ona jego, i by wybaczyli sobie nawzajem

przewiny. Ale w głębi serca wcale tego nie czuł.

Któregoś razu, stojąc przed ulubioną ikoną w małej cerkwi, wdał się w rozmowę z młodym popem imieniem Filip. Ksiądz miał tyle samo lat co Borys, ale był chudy, z rudymi włosami i surową, poważną twarzą, która podskakiwała w górę i w dół – niczym głowa kurczaka dziobiącego jedzenie – tak jakby mógł uchwycić każdą rozważaną kwestię kilkoma muśnięciami brody. Gdy Borys wyznał, że interesuje się ikonami, a jego rodzina ofiarowała klasztorowi w Rusce dzieło samego Rublowa, Filip bardzo się ożywił.

– Ależ, mój panie, ja sam poświęcam się badaniu ikon! A więc w Rusce mają Rublowa? Nie wiedziałem. Koniecznie muszę się tam wybrać. Może mógłbym wam kiedyś towarzyszyć? Mógłbym? To bardzo łaskawe z waszej strony, bardzo.

I zanim Borys się obejrzał, zyskał – jak mu się wydawało – przyjaciela na całe życie. Od tej pory Filip spotykał się z nim co najmniej raz na dwa tygodnie.

Dopiero w lipcu Jelena powiedziała mu, że jest w ciąży. Dziecko miało się urodzić pod koniec roku.

Oczywiście, że się cieszył. Jakżeby inaczej? Cała jej rodzina mu gratulowała. Wydawało się, że ta wiadomość bardzo ożywiła wszystkie kobiety.

Myśląc o swoim ojcu i o tym, że sam też może mieć syna, który będzie przedłużeniem ich szlacheckiego rodu, Borys czuł jeszcze większe wzruszenie. I silną determinację, by bez względu na cenę przekazać mu majątek w dobrym stanie. Co najmniej.

Ale gdy siedział obok Jeleny i patrzył na jej uśmiech, mówiący: „Teraz na pewno jest ze mnie zadowolony”, nie mógł się powstrzymać od myśli, że pomimo tego uśmiechu skarb kryjący się w jej brzuchu należy tylko do niej. To dziecko zasili ich rodzinę, będzie bardziej należało do nich niż do mnie. A jeśli to będzie dziewczynka? Poniosę wszystkie koszty i nic z tego nie będę miał. I w ten sposób radość, którą według innych powinien czuć, zamieniała się w skrywaną urazę.

Gdy dowiedział się o ciąży, przestał się kochać z Jeleną. Nie umiał. Jej łono nagle wydało mu się tajemnicze i święte – bezbronne, a przez to dziwnie przerażające. Jak ziarno groszku w strąku: tylko potwór może taki strąk otworzyć, zaburzając albo wręcz niszcząc kryjące się w nim życie. A kiedy indziej wydawało mu się, że kobiece łono jest jak mroczne miejsce pod ziemią, że w tych ciepłych, świętych ciemnościach spoczywa ziarno, którego nie wolno tknąć, dopóki we właściwym czasie samo nie wyjdzie na światło.

Zresztą Jeleny i tak często nie było. Jej ojciec miał majątek pod miastem. Wyjeżdżała tam latem, żeby odpocząć w towarzystwie rodziny.

Patrząc tego wrześniego popołudnia na ścielące się poniżej miasto, Borys przekonywał sam siebie, że musi przyjąć wszystko, co los mu przyniesie. Jelena miała wrócić z matką nazajutrz. Będzie dla niej dobry. Popołudnie się wydłużało. Złocista mgła miała w sobie jakąś ciężkość, a jednocześnie na błękitnym niebie widać było zapowiedź jesiennego chłodu. Borys westchnął.

Czego, do diabła, chce od niego ten Stiepan? Czas wracać i samemu się przekonać. Młody, wysoki pop odnosił się doń uprzejmie, wręcz z szacunkiem.

Przybył do Moskwy, żeby odwiedzić dalekiego krewnego, uczonego mnicha, lecz

zanim opuścił miasto, poprosił o krótką audiencję, jak to nazwał, z młodym panem.

Sprawa była bardzo poufna. Dotyczyła chłopca Michaiła.

Borys zdziwił się, ale dał znak, by pop mówił dalej.

– Czy mogę was prosić, panie, byście nie wspominali o tej rozmowie nikomu w klasztorze? – spytał Stiepan.

– Tak sędzę.

Ku czemu to zmierza?

I wtedy ksiądz opisał dylemat biednego Michaiła. Nie powiedział jednak wprost, że zachęcano go do sabotowania prac w majątku.

– W klasztorze z pewnością zrodziła się pokusa, by go wam odebrać – tłumaczył.

– Oni zyskają dobrego pracownika, a wy straciecie najlepszego chłopca, co z pewnością pogorszy sytuację majątku.

– On nie odejdzie – odparł ostro Borys. – Dobrze wiem, że nie stać go na opłatę.

Zgodnie z prawem dzierżawca, który chciał odejść z dniem świętego Jerzego, musiał nie tylko spłacić wszystkie długi wobec pana, ale także uiścić opłatę za korzystanie z opuszczanego właśnie domu. Opłata była wysoka – ponad pół rubla, czyli więcej niż wartość połowy rocznych zbiorów Michaiła. Dlatego Borys miał prawo sądzić, że biednego chłopca na to nie stać.

– On nie ma pieniędzy, ale monaster ma – przypomniał mu Stiepan.

A więc o to chodzi. Na tym polega podstęp. Chcą mu odebrać chłopców, więc dają im pieniądze na odstępnę. Czy mnich Danił ośmieliłby się to zrobić jemu, Bobrowowi? Całkiem możliwe.

– Chcesz powiedzieć, że powinienem zmniejszyć temu chłopcu pańszczyznę?

– Tylko trochę, panie. Żeby Michaił mógł związać koniec z końcem. To dobry chłop i zapewniam, że wcale nie chce od was odejść.

– A po co mi to mówisz? – spytał Borys.

Stiepan umilkł. Miał się przyznać, że jak wielu innych duchownych nie pochwała bogacenia się klasztorów? Powiedzieć, że współczuje Borysowi i jego bezradnej żonie? Że martwi się o synów Michaiła, którzy jeśli będą głodni, to za parę lat mogą zejść na drogę przestępczą albo popełnić jakieś głupstwo? Nie, tego właśnie nie mógł powiedzieć.

– Jestem tylko zwykłym księdzem, przyglądam się wszystkiemu z boku – odparł z kpiącym uśmiechem. – Dajmy na to, że chciałem zrobić jakiś dobry uczynek.

– Będę pamiętał, co mi powiedziałeś – rzekł Borys wymijająco. – Dziękuję ci za troskę i trud, który sobie zadałeś.

Rozstali się – pop z przekonaniem, że dobrze się przysłużył zarówno chłopcu, jak i jego panu.

Po jego wyjściu Borys krążył po izbie, rozważając całą rozmowę, aż zyskał pewność, że dobrze wszystko zrozumiał.

Czy oni mają go za głupca? Czy ten wysoki ksiądz myśli, że on nie zauważył jego chytrego uśmieszku? Niby chciał Borysowi pomóc, ale on był za mądry, żeby w to uwierzyć. Przypomniał sobie zdradzonego przez wszystkich cara Iwana. Przypomniał czterech kuzynów stojących na placu targowym, gdy on i Jelena po raz pierwszy przyjechali razem do Ruski. I własną żonę, która czasem odsuwa się od niego w łóżku.

O nie, nikomu nie wolno ufać, nikomu.

– Sam się z tym uporam – mruknął. – Muszę być sprytniejszy, bardziej bezwzględny i przebiegły niż oni.

O co więc temu popu chodziło? To jasne: zastawiał sidła. Ale on wszystko przejrzał. Jeśli zmniejszy Michaiłowi obciążenia, to kto na tym zyska? Oczywiście chłop, kuzyn Stiepana. A jaki będzie tego skutek? Pozbawią Borysa pieniędzy, tak by musiał coraz więcej pożyczać, aż w końcu klasztor przejmie jego majątek.

– Chcą mnie doprowadzić do ruiny – mruknął.

Przebiegły klecha. Ale jedno, co powiedział, mogło być prawdą. Nie mogąc jeszcze przejąć jego ziem, monaster może próbować podkraść mu Michaiła.

Zaczął się zastanawiać, jak temu zapobiec.

Rozwazał to przez cały miesiąc. I zdziwił się niezmiernie, gdy odpowiedź podsunął mu dziwny pop Filip, ten, któremu podskakiwała głowa i który pasjonował się ikonami. A inspiracją była pałacowa intryga.

Wszystko zaczęło się na Kremlu, w mrocznych zakamarkach carskiego dworu. Sprawa nabrzmiwała przez długi czas i dotyczyła Kościoła, a podsycala ją wzajemna nienawiść dwóch doradców Iwana.

Ponieważ potrzebowano coraz więcej majątków przekazywanych lojalnym zwolennikom cara jako pomiestija, część najbliższych doradców nakłaniała władcę do wsparcia Niezachłannych i przejęcia kościelnych gruntów. Z kolei metropolita szukał sposobu, żeby temu zapobiec. I w tym roku znalazł rozwiązanie.

Antyklasztornej kampanii przewodził pop imieniem Sylwester. Okazał się on na tyle nierozsądny, że zaprzyjaźnił się z człowiekiem, którego można było oskarżyć o herezję. Metropolita uznał, że z tego drobiazgu da się uknuć poważną intrygę. Odszukano innych, znacznie gorszych heretyków: oskarżyciele stworzyli cały łańcuch, oparty na zasadzie, że jeśli pierwszy człowiek znał drugiego, ten drugi trzeciego, a trzeci czwartego, to z pewnością pierwszy i czwarty wspólnie spiskowali. Przy okazji dało się wykazać związek pomiędzy częścią konspiratorów a rodziną księcia Włodzimierza, kuzyna Iwana i możliwego sukcesora.

Metropolita był zachwycony. Nareszcie można było przedstawić niebezpiecznego Sylwestra jako wrogię Iwanowi sojusznika heretyków. Proces pokazowy stanowił ostrzeżenie, że zwolennicy Sylwestra nie będą tolerowani.

Oczywiście część dowodów miała dość wątpliwą wartość. Dwaj oskarżeni byli heretykami, lecz trzeciemu zarzucono jedynie udział w spotkaniu, na którym uzasadniano wyższość prawosławia nad katolicyzmem. Ale i to wystarczyło.

– Bo jeśli ten człowiek potrzebował jakiegoś uzasadnienia – twierdziło oskarżenie – jeśli nie znał właściwej odpowiedzi, to jak może być wyznawcą prawdziwej wiary?

Termin procesu ustalono na koniec października. Cała Moskwa aż huczała od spekulacji. Na rozprawie byli obecni metropolita, car, wysocy dygnitarze Cerkwi i dworu. Zwolennicy Sylwestra już zostali zastraszeni. Głosy domagające się reformy gruntów kościelnych nerwowo ucichły.

Proces pokazowy wystarczył metropolicie, ale nie wystarczył konkurentowi Sylwestra. Wniesiono kolejne oskarżenie, tym razem przeciwko samemu Sylwestrowi,

a powodem były ikony.

Znajdowały się w soborze Zwiastowania w samym sercu Kremla. Wykonano je niedawno pod nadzorem Sylwestra i – jak głosiło oskarżenie – były heretyckie.

Borys nie rozumiał wprawdzie szczegółów oskarżenia, ale jak wszyscy w Moskwie zdawał sobie sprawę, że zarzut jest poważny. Głoszenie herezji było niebezpieczne, ale heretyckie dzieło sztuki... To już było coś trwałego – jakby ktoś w świętym miejscu wznosił posąg pogańskiego bożka z dawnych czasów.

Na kilka dni przed rozpoczęciem procesu pop Filip zaproponował Borysowi, że zaprowadzi go na Kreml i pokaże mu obrazoburcze ikony. Borys chętnie przystał.

Dzień był szary i ponury, a chmury tak gęste i ciężkie jak warowne umocnienia miasta. Dwaj mężczyźni szli przez pusty Plac Czerwony. Pod czujnym spojrzeniem straży minęli wysoką bramę i klucząc wśród baraków, zbrojowni i innych budynków o grubych murach, dotarli wreszcie do centralnego placu Kremla. Był to średniej wielkości obszar wykładany kamieniem, otoczony ze wszystkich stron górującymi nad nim pałacami i cerkwiami. Sobór Zwiastowania, sobór Michała Archanioła, wzniesiona we włoskim stylu Graniasta Komnata, cerkiew Złożenia Szat, dzwonnica Iwana Wielkiego – potężne mury i wysokie lśniące kopuły pośrodku równinnego imperium.

– Chodź, najpierw pokażę ci tron – powiedział Filip, kierując się ku najprostszemu i najbardziej majestatycznemu budynkowi, soborowi Wniebowzięcia.

To dziwne, ale otwierały się przed nim wszystkie drzwi. Zamieniał kilka słów z popem pilnującym wejścia i po chwili wprowadzano ich do środka.

Była to wspaniała cerkiew wzniesiona dla dziadka cara przez włoskiego architekta, ale wzorowana na pięknym starym soborze we Włodzimierzu, prostej katedrze bizantyjskiej z jasnego kamienia z pięcioma kopułami. Chowano tu moskiewskich metropolitów. Borys podziwiał wielkie, nagie ściany i zaokrąglone kolumny z warstwami ogromnych fresków patrzących w przestrzeń, którą objęły w posiadanie. W soborze znajdowała się najświętsza z rosyjskich ikon, Matka Boska Włodzimierska; to właśnie ona w czasach świętego Sergiusza zapewniła moskwanom zwycięstwo nad Tatarami na Kulikowym Polu.

Jednak ta wielka ikona wydała się Borysowi mniej ważna od stojącego z boku wąskiego złotego tronu.

– A więc to tutaj – szepnął z czcią – koronowano mojego cara.

Zamarł w bezruchu na kilka minut, aż w końcu Filip musiał go stamtąd wyciągnąć. Poszli do soboru Zwiastowania.

Ikony, które wzbudziły taki lęk, nie wydały mu się dziwne. Dopóki Filip nie zaczął mówić, Borys nie zauważył w nich niczego niestosownego. Ale poważny młody ksiądz szybko wyprowadził go z błędu.

– Spójrz tutaj. Widziałeś kiedyś coś takiego?

Borys patrzył, ale widział jedynie postać Chrystusa ze skrzydłami i dłońmi złożonymi jak do modlitwy.

– Trochę to dziwne – powiedział w końcu niepewnie.

– Dziwne? Niedopuszczalne! To bałwochwalstwo. Nie widzisz, że malarz to sobie wymyślił? Wymyślił sam dla siebie. Nikt nie zezwolił na przedstawianie naszego Pana

w ten sposób. Chyba że – dodał ponuro – to przyszło z zachodu od katolików.

Borys przyjrzał się ikonie uważnie. Rzeczywiście. Jeśli się nad tym zastanowić, to ikona nosiła indywidualne piętno. Jego rozmyślania przerwało gniewne sapnięcie Filipa.

– A teraz to. – Stali przed kolejną ikoną. – Nasz Pan namalowany jako Dawid i ubrany jak car. A tam – wskazał na jeszcze jedną ikonę – Duch Święty jako gołębica. To niedopuszczalne. Niedopuszczalne w prawosławiu. A ludzie mówią – zwrócił się poufnie do Borysa – że w pałacu są jeszcze gorsze freski. Heretycy! Podstępne diabły! – Jego głowa podskakiwała tak mocno, jakby się bał skalania. – Powiadam ci – ciągnął, z gniewnym wzrokiem utkwionym gdzieś ponad czubkiem swojej brody – powiadam ci, Borysie, ci przekłęci katolicy z zachodu to szubrawcy, ale mieli jeden dobry pomysł. Inkwizycję. Tego właśnie potrzeba nam w Rosji. Trzeba ich wyplenić.

Wyszli w milczeniu, ale po drodze do Bramy Kremłowskiej i nawet dalej pop co kilka kroków pomrukiwał:

– Wyplenić. Wyplenić do żywego.

A gdy znaleźli się na Placu Czerwonym, Borysowi przyszła do głowy pewna myśl.

– Wydaje mi się – powiedział cicho – że takie ikony malują w Rusce.

Pewnego pochmurnego listopadowego dnia pojawili się w Rusce dwaj goście. Twarze siekał im zimny, przenikliwy wiatr, zapowiadający ulewny deszcz, a może nawet śnieg. Filip wolał poczekać na pogodę bardziej sprzyjającą podróży, lecz Borys nalegał, żeby natychmiast wyruszyć w drogę.

Udali się wprost do domu Borysa, który od razu wysłał wiadomość do popa Stiepana z prośbą o wizytę. Zaraz potem kazał służącemu w te pędy przynieść od zarządcy dwa tłuste kurczaki i butelkę wina.

Wprawdzie obaj byli zmarznięci, ale Borys wykazywał nerwowe podniecenie.

Dwie godziny później siedzieli już przy kolacji. Filip wciąż się posilał, cały czas poruszając głową w charakterystyczny dla siebie sposób, gdy w progu stanął Stiepan.

Ucieszył się na widok Borysa, zastanawiając się, czy ta wizyta może oznaczać odmianę losu biednego Michaiła. Nerwowa wesołość Borysa wskazywała, że mógł mieć za sobą jakiś mały kryzys albo załamanie. A ponieważ był przy nim pop, Stiepan domyślił się, że chodziło o kwestie religijne.

Obaj przybysze z Moskwy byli bardzo uprzejmi, pewnie za sprawą wina. Borys wyjaśnił, że jego przyjaciel zgodził się przyjechać na wieś na kilka dni, więc może Stiepan zechciałby pokazać mu wieś i klasztor.

– Bo ze mną w Gnojowisku zanudzi się na śmierć – oznajmił z chłopcym uśmiechem. – To człowiek uczony, tak jak ty – dorzucił życzliwie.

Podczas tej rozmowy Filip mówił niewiele, poświęcając całą uwagę jedzeniu. Teraz jednak odezwał się. Zadał Stiepanowi kilka zwykłych pytań na temat wioski, bąknął parę słów o monotonnym życiu duchownego, a potem zaczął rozprawiać z szacunkiem, ale nie kryjąc ignorancji, o ikonach w swojej cerkwi.

Sympatyczny, raczej prostoduszny człowiek bez szczególnego wykształcenia, pomyślał Stiepan. Obiecał, że nazajutrz oprowadzi go po okolicy.

Po dwóch dniach pułapka była zastawiona. Borys posłał po mnicha Daniila. A gdy ich rozmowa dobiegła końca, oświadczył, że to najradośniejsze, najszczęśliwsze chwile

jego życia.

– Znalazłem się w bardzo trudnym położeniu – zwierzył się mnichowi obłudnie.

Był pewien, tak, był absolutnie pewien, że mnich niczego się nie spodziewa. Jego oczy błyszczały ponad gęstą brodą.

– I nie miałyby to pewnie znaczenia – ciągnął Borys – gdyby nie ostatnie wydarzenia w Moskwie. – Zawiesił głos.

Mnich aż zmarszczył brwi ze zdziwienia.

– Mam oczywiście na myśli procesy o herezję – wyjaśnił przymilnie Borys.

Pierwsze procesy odbyły się dwudziestego piątego października i stały tryumfem metropolity. Przedstawione dowody wystarczyły, by skazać podejrzanych na tortury i dożywotnie więzienie. Na całą Moskwę padł strach.

Danił, jako zagorzały zwolennik poglądów metropolity, był zachwycony. Ale co te procesy mają wspólnego z nim, jego panem i Ruską? Spojrzał pytająco na Borysa.

– Zdaje się – oświadczył Borys z pozorną troską – że mamy herezję u siebie. Tutaj, na miejscu. – Uderzył z dezaprobatą w stół.

Danił patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

Wszystko potoczyło się łatwo, a Borys nie mógł wyjść z podziwu, z jakim sprytem Filip odegrał swoją rolę. Kiwając głową i zadając dość głupkowane pytania, chodził przez cały dzień po Rusce w towarzystwie uczynnego Stiepana. Pytał miejscowego popa o zdanie jedynie w najbardziej trywialnych sprawach. Obejrzał ikony sprzedawane na targu, odwiedził klasztor i obszedł pola leżące przy murach. Można było odnieść wrażenie, że niektóre napotykanne po drodze widoki budzą jego sprzeciw, ale szybko starał się to ukryć. Dopiero gdy przed zachodem słońca stali przy bramie i patrzyli na monaster po drugiej stronie rzeki, Filip jakby się zapomniał i wybuchnął z goryczą: „Mały bogaty klasztor!”.

„Ty też uważasz, że jest bogaty?” – spytał Stiepan z ciekawością.

Filip od razu zrobił się nieufny i spojrzał na niego z niepokojem.

Stiepan uśmiechnął się i wziął go za rękę.

„Rozumiem”.

Filip odetchnął z ulgą.

„Dziś trzeba być bardzo ostrożnym, mój przyjacielu” – powiedział cicho.

„Naturalnie. Należysz zatem do Niezachłannych?”

Pop z Moskwy skinął głową.

„A ty?” – zwrócił się do Stiepana.

„Ja też” – przyznał prostoduszny pop z Ruski.

Niespiesznie wrócili do domu Borysa, objęli się na pożegnanie i Stiepan poszedł do siebie.

Następnego dnia Filip uważnie obejrzał ikony na targu i w klasztorze. A potem przekazał Borysowi swoją opinię.

„Pop sprzyja Niezachłannym. Na razie nie jest jasne, czy należy go uznać za heretyka, ale czyta za dużo i jest głupcem. Nie wiadomo więc, jakiej herezji może łatwo ulec. No i znalazłem cztery ikony, które są po prostu haniebne”.

„Heretyckie?”

„Bez wątpienia. Nie lepsze od tych, które widziałem w Nowogrodzie”.

W oczach niektórych purystów wszystko, co pochodziło z Nowogrodu, było podejrzane, a to z racji bliskości portów bałtyckich, szczególnie zaś sąsiedztwa Litwy, do której docierały z zachodu niebezpieczne wpływy katolickie i protestanckie.

„A więc mógłbym ich oskarżyć?”

„Wręcz powinienes”.

Borys uśmiechnął się.

„Obiecuję uważnie przyjrzeć się całej sprawie” – powiedział.

I oto teraz beznamiętnie wyłuszczył zdziwionemu mnichowi swoje wnioski:

– Bracie Daniile, ikony malowane w klasztorze są heretyckie. A sprzedaje się je na targu pod twoim nadzorem. Tak, tak, obawiam się, że to prawda – dorzucił, widząc konsternację mnicha. – Wiem to z bardzo wiarygodnych źródeł. A w obecnych okolicznościach sprowadza to na monaster, albo przynajmniej na część jego mieszkańców, duże niebezpieczeństwo.

Bez wątpienia Daniil zaczynał się denerwować. Z heretykami już się w Moskwie rozprawiono, ale wciąż rozważano oskarżenia dotyczące ikon. Kto wie, jak to się dalej potoczy.

– Skoro tak się rzeczy mają – zaczął Daniil – to naturalnie weźmiemy sobie wasze słowa do serca.

– Świetnie – przytaknął Borys. – Chociaż zwracanie się z tym do wyższych władz też niesie ze sobą ryzyko.

– Ale nikt nie powinien pomyśleć, że chcieliśmy...

– Bracie Daniile – przerwał mu Borys. – Przybyłem z Moskwy. I powiem ci, że tamtejsza atmosfera...

Rzeczywiście atmosfera była na krawędzi wybuchu. Poddawani torturom heretycy donosili na każdego, z kim mieli okazję kiedykolwiek rozmawiać. Do dalekich lasów na północy wysłano wojsko, które miało pojmać heretyków należących do „zawołzańskich starców”, jak czasem nazywano Niezachłannych.

– Poza tym – wtrącił gładko Borys – mam poważne obawy, że na jaw wyjdą twoje rodzinne powiązania.

– Moje rodzinne powiązania?

– Oczywiście. Wiesz zapewne, że twój kuzyn, pop Stiepan, jest jednym z Niezachłannych.

Daniil zbladł, co było widać mimo jego gęstej brody. Już od dawna domyślał się poglądów kuzyna.

– Ale ja jestem całkowicie przeciwny takim przekonaniom. O ile on rzeczywiście tak myśli – dorzucił ostrożnie.

– Obaj wiemy, że tak jest. I obaj wiemy, że w obecnych czasach, kiedy władze poszukują... nie liczy się prawda, ale to, co się widzi, i to, co się mówi. Władza spojrzy na ciebie, na ikony, na twojego kuzyna, z którym często się spotykasz, i z tego ułoży jej się obraz z jednym słowem: herezja.

Jakież piękno kryło się w tym wywodzie, jaka kunsztowna ironia! Bo chociaż mnich i pop reprezentowali całkiem odmienne poglądy, dzięki sprytnej analizie i syntezie



można było połączyć ich w jedno jak parę przestępców.

Zapadło długie milczenie.

– Nie muszę ci chyba przypominać o szacunku, jaki żywię do was obu. Ani o szacunku mojej rodziny wobec klasztoru, któremu ofiarowaliśmy naszą najświętszą ikonę.

Danił skłonił głowę. Ikona Rublowa rzeczywiście była ich największym skarbem. A rodzina fundatora zawsze udzielała im wsparcia. Zauważył też, że Borys pokazuje mu otwartą furtkę.

– A więc co mamy zrobić? – spytał.

Borys westchnął i się zamyślił.

– Pozostała jeszcze jedna kwestia – zaczął z wahaniem, patrząc na czubki swoich palców. – Nie wiem, czy uda mi się przekonać przyjaciela z Moskwy, że nie powinien przekazywać tego wyżej.

– Rozumiem.

– To on mi o wszystkim powiedział, a on jest bardzo gorliwy.

– A gdybym sam z nim porozmawiał?

– To by było nierozsądne. Wziąłby to za przyznanie się do winy. – Umilkł na chwilę. – I muszę też myśleć o sobie. – Borys odczekał, aż cisza wypełni izbę. – No i byłoby mi bardzo przykro – odezwał się w końcu – gdyby nieszczęście dosięgło taką liczną rodzinę, której przecież dobrze życzę.

Liczną rodzinę. Patrzył na Daniła, który powoli zaczynał pojmować. On sam, pop Stiepan, kupiec Lew, no i oczywiście chłop Michaił, który też był z nimi spokrewniony. Borys czekał, aby się upewnić, że Danił dobrze go zrozumiał.

– Z całą pewnością wszyscy życzymy wam i majątkowi w Gnojowisku wszelkiej pomyślności – mruknął ostrożnie mnich.

Zrozumieli się.

– No cóż, zobaczę, co da się zrobić – rzucił Borys dziarsko. – I nie wracajmy na razie do tego tematu... Aha, bracie Daniile! – zawołał, gdy mnich wychodził. – Jeśli spotkasz gdzieś kupca Lwa, to poproś go, by do mnie zajrzał.

I tego samego popołudnia, w atmosferze całkowitego spokoju i wzajemnego zrozumienia, Borys pożyczył od kupca kolejne osiem rubli na śmiesznie mały procent.

A następnego dnia, jeszcze przed powrotem do Moskwy, zapewnił popa Filipa, że obrazoburcze ikony kazał natychmiast poprawić, a Stiepanowi udzielił ostrej reprymendy. Jednocześnie też zaproponował surowemu przeciwnikowi herezji nieoprocentowaną pożyczkę w wysokości jednego rubla, która zgodnie z przewidywaniami została skwapliwie przyjęta.

Jakże słodki był smak zwycięstwa! Borys wyjeżdżał z Ruski w doskonałym nastroju.

Nie zrobił nic dla Michaiła. Nie było takiej potrzeby, skoro biedny chłop i tak nie miał dokąd pójść.

Zimą, gdy śniegi pokryły ziemię, z Moskwy wyruszyła ogromna wyprawa dowodzona przez najlepszych ludzi Iwana, między innymi przez błyskotliwego księcia Karskiego. Szli na Kazań.

W gronie ambitnych młodych mężczyzn towarzyszących carowi był także Borys.

Miesiąc po jego wyjeździe Jelena zaczęła rodzić. Rodziła długo, a w chwilach największego bólu modliła się: „Wytrzymam każde cierpienie, tylko spraw, Boże, by mnie pokochał”.

Urodziła córkę.

W roku Pańskim 1553 z królestwa Anglii wyruszyły trzy żaglowce, które miały zanieść przesłanie braterstwa od małoletniego króla do każdego, kogo spotkają na swojej drodze. Dowodził nimi wybitny przedstawiciel jednego z najznamienitszych arystokratycznych rodów – sir Hugh Willoughby. Głównym pilotem i nawigatorem ekspedycji był uzdolniony Richard Chancellor. Statki szukały wokół północno-wschodnich wybrzeży Eurazji przejścia, które pozwoliłoby dotrzeć tamtą drogą do Katalaju.

Niestety, na zdradzieckich wodach północy statki się rozdzieliły – Willoughby i marynarze z dwóch jednostek przez wiele miesięcy błąkali się po lodowatych morzach, aż w końcu uwięzieni na małej wyspie niedaleko wybrzeży Laponii, gdy słońce odeszło na całą arktyczną zimę, zamarli na śmierć w straszliwych ciemnościach.

W tym czasie zupełnie inny los spotkał trzeci statek, „Edwarda Bonaventurę”, na którym płynął Chancellor.

Latem „Bonaventura” posuwał się coraz dalej na północ, aż w końcu dotarł na dziwne wody, nad którymi o tej porze roku słońce nigdy nie zachodziło. I właśnie tam w sierpniu Chancellor rzucił kotwicę i wyszedł na ląd, gdzie miejscowi rybacy kłaniali mu się do stóp.

I tak oto pierwszy w dziejach Anglik dotarł do kraju zwanego Wielkim Księstwem Moskiewskim.

George’owi Wilsonowi podobało się w Moskwie. Wcześniej nigdy nie zwracano na niego uwagi, ale tutaj jego i innych marynarzy traktowano jak jakieś znakomitości.

Był drobnym, żyłastym mężczyzną o nieco szczerzym wyglądzie: miał wąską twarz, blisko osadzone oczy, zawsze z wyrazem przebiegłości, i gęstą żółtą czuprynę, którą czasem ci dziwni Rosjanie z ciekawością poklepywali. Rzeczywiście w Moskwie, gdzie większość kobiet i mężczyzn była mocno zbudowana, wyglądał jak szakal wśród krępych niedźwiedzi. Wilson miał trzydzieści lat i wyruszył na tę wyprawę tylko dlatego, że nie powiodły mu się interesy w branży sukienniczej i teraz był właściwie bezrobotny.

Jego kuzyn kapitan ostrzegał go przed północnymi wodami. Mówił, że można się na nich natknąć na kry lodowe wielkie jak góry. I że nie jest to dobre miejsce dla takiego chudzielca jak on. No ale cóż, oto dokąd go los przygnał – do kraju leżącego w połowie drogi do Katalaju, i do tego pełnego niedźwiedzi. Ale sprawy wcale nie wyglądały źle. Aż oczy mu błyszczały, gdy rozglądając się wokół, dostrzegał mnóstwo okazji do zarobku.

Kraj był ogromny – miasta dzieliły od siebie setki kilometrów. Życie ludzkie miało tu niską cenę. Latem obserwował wielkie barki ciągnięte w górę rzeki przez mężczyzn obwiązanych linami. Słyszał ich żałosny śpiew; widział, jak dozorca okładają biczami tych, którzy się przewrócili. I zastanawiał się, ilu nieszczęśników przeżyje taką drogę.

Ale kraj był też niewiarygodnie bogaty. Ponieważ nikt nie wiedział, kim są przybysze ani skąd pochodzą, angielskich marynarzy trzymano w zamknięciu i czekano

na polecenia ze stolicy.

– Gościnność tych ludzi jest tak wspaniała, że czasem nie wiem, czy jesteśmy tu gośćmi, czy więźniami – zauważył ponuro Chancellor.

Dopiero zimą zabrano ich do stolicy. Tym razem Wilson patrzył, jak wyładowany z barek towar rozwożony jest saniami do miast leżących w głębi lądu. Jeszcze nigdy nie widział takiego nagromadzenia tych pojazdów. Co dzień mijały ich setki sań zmierzających do miast wyłaniających się na zaśnieżonych pustkowiach. Przewożono najrozmaitszy towar: zboże, ryby, ale głównie futra, niesłychane ilości futer. Aż nie mógł uwierzyć, że na świecie żyje tyle soboli, gronostajów, bobrów i niedźwiedzi. Nigdy nie słyszał o tak ogromnych lasach.

Ale przede wszystkim jego umysł dokonał innej niezwyklej obserwacji, z każdym zaś przebytym kilometrem to spostrzeżenie ogromniało i potężniało coraz bardziej – oto oddalali się od morza. Ten największy kraj na świecie, myślał, nie ma żadnego wybrzeża.

Jakże różnił się pod tym względem od jego rodzinnego kraju, Anglii, gdzie nie sposób było za bardzo się oddalić od poszarpanej linii brzegowej. A jego mieszkańcy jakże byli odmienni od Francuzów, Niemców czy innych nacji zamieszkujących gwarne porty nad Morzem Północnym i nad Bałtykiem. Ci ludzie z ogromnych, pozbawionych dostępu do morza lasów byli jak odmienna rasa.

– To nieokrzesani barbarzyńcy – stwierdził Chancellor.

A mimo to w Moskwie czekało ich niezwykle powitanie. George Wilson był pod wielkim wrażeniem. Bo oto zaraz po przybyciu zostali wezwani do cara.

Nawet Wilson, człowiek cyniczny i przebiegły, poczuł, że trzęsą mu się kolana, gdy zaprowadzono ich przed oblicze władcy. Już wcześniej ktoś mu powiedział, że w tym wielkim kraju wszyscy ludzie są niewolnikami cara – teraz miał okazję się przekonać, co to znaczy.

Iwan stał pod ścianą w wielkiej sali kremlowskiego pałacu. Po swoich obu stronach miał potężne postacie bojarów ubranych w ciężkie, kosztowne kaftany. Był bardzo wysoki, a spiczasta czapka obramowana futrem jeszcze dodawała mu wzrostu. Błada, jastrzębia twarz, straszne, przenikliwe spojrzenie. To on wydawał rozkazy, to on miał najwyższą władzę. Anglicy oniemieli. Co było zresztą zgodne z zamiarami Iwana, który chciał zaimponować kupcom z dziwnego, odległego kraju. Mogli mu się jeszcze przydać.

Odnosił się do nich życzliwie. Przetłumaczono mu ich list rekomendacyjny napisany po łacinie, po grecku, po niemiecku i w kilku innych językach. A potem zaproszono gości na ucztę.

Uczta przekroczyła ich najśmielsze wyobrażenia. Do stołów zasiadła setka biesiadników – i wszyscy jedli ze szczerozłotej zastawy. Nadziewane ryby, wspaniałe pieczyste, dziwne specjały, jak chociażby mózdzek łosia, kawior czy bliny. Wino nalewano do pucharów wysadzanych drogimi kamieniami. Wszystko było pełne przepychu. Car Iwan siedział oddzielony od zwykłych śmiertelników. Od czasu do czasu posyłał któremuś z gości kęs jedzenia jako wyraz swojej łaskawości. I za każdym razem wszyscy wstawali, wywoływano nazwisko obdarowanego, a potem ogłaszano długi tytuł cara. Wilson zauważył, że pobożny władca żegna się z prawa na lewo za każdym razem, gdy podnosi do ust jedzenie. Zauważył też dziwny zwyczaj: ci potężni, brodacі mężczyźni

wychylali puchary do dna.

Uczta trwała pięć godzin.

– Mam wrażenie, że trafiliśmy na dwór Salomona – szepnął do jednego ze swoich towarzyszy.

– Albo na dwór w Babilonie – usłyszał w odpowiedzi.

Ale dopiero później, gdy oprowadzono ich po carskim pałacu, Wilson utwierdził się w przekonaniu, że to dziwne, potężne imperium nie ma sobie równych.

Pałac był wspaniały, ale jednocześnie niecywilizowany. Ogromne sale następujące jedna po drugiej wyglądały jak niekończący się ciąg przedsionków do cerkwi. Mrok rozświetlały świece. W ich miękkim, migotliwym blasku widać było namalowane na ścianach bujne rośliny, splecione ze sobą jak węże, i tańczące zwierzęta – wszystko w różnych odcieniach czerwieni, ochry i zieleni. Brakowało luster odbijających światło, za to wszędzie wisiały pobłyskujące złotem ikony. Trudno też było dopatrzeć się mebli spotykanych w angielskich pałacach – w salach stały jedynie proste krzesła i ławy, wielkie, nabijane ćwiekami kufry i ogromne paleniska. Pustkę wypełniały orientalne dywany oraz draperie z jedwabiu i brokatu. Mimo to... Mimo to coś budziło lęk zwiedzającego. Jakby nad wszystkim wisiał ciężar ciemnej mocy. W tym kościelnym półmroku Wilsonowi wydawało się, że wymalowane przejścia są jak tunele, a komnaty jak sale w labiryncie. I gdy tak szli coraz dalej i dalej, pałac uporczywie przywodził mu na myśl jakąś podziemną krainę, łono, w którym człowiek może się ukryć. A kto wie, jakie jeszcze przejścia i jakie komnaty kryją się za grubymi murami tłumiącymi każdy krzyk? Ucieszył się, gdy wyszli w końcu na zewnątrz.

Jednak życie angielskich kupców w stolicy było przyjemne. Cieszyli się względami cara. I dość szybko poznali wielki targ, na który trafili przypadkiem.

Moskwa ze swoimi ogromnymi targami na lodzie była znaczącym ośrodkiem handlowym. Ze wschodu, szlakiem Wołgi i Donu, przywożono bawełnę, owce i przyprawę. Co roku Nogajowie z azjatyckich stepów przypędzali tu wielkie stada koni. Z Nowogrodu napływało żelazo, srebro i sól, a z innych miast skóry, oliwa, zboża, miód i воск.

– Tu się kryją niezliczone możliwości – powtarzał podekscytowany Chancellor.

Rosja była bogata w surowce, ale poza bronią wytwarzała niewiele produktów. Wilson był pewien, że można tu sprzedać każdą ilość luksusowych towarów. Nawet czarne angielskie sukno dobrej jakości. A co mógłby sprowadzać do Anglii? Wosk kupię u siebie równie tanio, obliczał w myślach, ale te ich futra... Na futrach dałoby się zarobić fortunę.

Szybko też zauważył, że pomimo groźnego wyglądu rosyjscy kupcy są raczej bierni.

– Oni znają tylko swój kraj – opowiadał Chancellorowi. – Przypominają przejęte czymś dzieci.

– To prawda – przytaknął dowódca. – Ale pamiętaj, że naszym pierwszym i najważniejszym klientem jest car.

Jak się bowiem szybko przekonali, car miał monopol na handel wieloma towarami, w tym także alkoholem. Każda kropla wódki sprzedawana na ulicznych straganach

należała do cara. Całe zboże na eksport, wszystkie sobole, wszystkie surowe jedwabie znajdowały się w rękach carskich pośredników. A cudzoziemscy kupcy najpierw musieli zaoferować swoje towary carowi.

Na tym między innymi polegała centralizacja władzy w państwie moskiewskim.

– Car potrzebuje też składników na materiały wybuchowe – oznajmił któregoś dnia Chancellor. – I chce, żebyśmy mu sprowadzili uczonych. Już mu obiecałem, że następnym razem przywiozę lekarzy i ludzi znających się na górnictwie.

Początkowo te prośby dziwiły Wilsona. Już wcześniej zawarł znajomość z kilkoma niemieckimi kupcami, którym pozwolono osiedlić się w mieście, i wiedział, że mają swojego doktora. Czemu więc, zastanawiał się, car chce ludzi z odległej Anglii, skoro może sobie znaleźć innych nie tak daleko od własnych granic?

Wy tłumaczył mu to jeden z Niemców, tęgi, przysadzisty mężczyzna, który znał trochę angielski:

– Jakieś sześć lat temu, przyjacielu, pewien Niemiec zaproponował carowi, że dostarczy mu różnych ekspertów. Zebrał prawie stu chętnych i przywiózł ich do bałtyckich portów. Gdyby dostarczył ich do Moskwy, car z pewnością uczyniłby go bardzo bogatym człowiekiem.

– Dlaczego więc tu nie dotarli?

Niemiec uśmiechnął się.

– Zatrzymano ich. Zostali aresztowani przez władze. – Spojrzał z powagą na Wilsona. – Przez najwyższe władze. Najwyższe.

– Ale po co?

– Czy ty uważasz, przyjacielu, że zakonowi inflanckiemu, który kontroluje wiele bałtyckich portów, zależy na wzmocnieniu Iwana? Iwan tylko czeka, żeby zająć ziemie łotewskie i estońskie. A czy myślisz, że Litwa z Polską albo cesarz niemiecki chcą, by Rosja urosła w siłę? – Rozejrzał się po targu. – Sam widzisz, że oni są zacofani. Niczego nie wytwarzają, nie kształcą się. Jedzą, piją, płacą dziwkom i modlą się przed ikonami. To wszystko. Mają wielką armię, ale źle wyszkoloną. Gdy próbują przedostać się do portów nad Bałtykiem, wyćwiczone wojska szwedzkie i niemieckie szybko dają sobie z nimi radę. I najlepiej, żeby tak zostało. Komu potrzebna cywilizowana Rosja? Dlatego car Iwan tak się ucieszył z waszego przybycia. Przyplłynęliście od strony dalekiej północy. To długa i niewygodna droga, zamrznięta przez połowę roku, ale jemu wystarczy. Może teraz okrążyć Bałtyk i sprowadzić sobie uczonych. Jesteście dla niego jak kopalnia złota.

Anglicy byli carowi potrzebni, ale on też mógł się im bardzo przydać.

– Szukaliśmy morskiego przejścia do Katalaju – tłumaczył Chancellor Wilsonowi. – Ale coś mi się wydaje, że damy radę dotrzeć na wschód lądem. Nad Wołgą, za ziemiami Tatarów, leży Orient. Na południe od pustyń jest Persja. Dzięki jego protekcji nasi kupcy w końcu tam trafią.

George Wilson szybko doszedł do wniosku, że ten dziwny, wielki kraj stwarza mu wyjątkową okazję do zbiccia majątku. Ale jednocześnie ten kraj budził jego lęk.

I nie chodziło o przemoc, o surowość, a nawet okrucieństwo ludzi. Na takie rzeczy Wilson nie zwracał uwagi. Chodziło o religię.

Bo religia była wszechobecna. Wszędzie widać było popów i mnichów. Ludzie

żegnali się, jak stwierdził Wilson, bez żadnego powodu. W każdym domu wisiały ikony, przed którymi ludzie składali pokłony.

– Ci Rosjanie są zupełnie jak papiści – stwierdził. – Tylko ich skłonność do bałwochwalstwa jest jeszcze większa.

Jak większość jego rodaków Wilson był protestantem. Jeszcze w czasach jego dzieciństwa król Henryk VIII zerwał z papieżem. A teraz na tronie zasiadał syn Henryka i wszyscy uczciwi Anglicy mieli być protestantami. Taka wiara bardzo odpowiadała Wilsonowi – nie tyle z powodu jego głębokich przekonań religijnych, bo sam nie był człowiekiem wierzącym, ile dlatego, że nosił w sobie zakorzenioną, choć skrywaną niechęć do wszelkiej władzy. A także dlatego, że jakaś surowa duma kazała mu z przyjemnością czytać rozprawy atakujące z zażartą logiką nadużycia i teologię starej religii.

– Ci Rosjanie to głupcy – uznał na koniec. Co nie miało specjalnego znaczenia, bo uważał za głupców prawie wszystkich.

A gdy w styczniu Chancellor oznajmił mu, że po powrocie do Anglii zamierza zorganizować kolejną wyprawę do Moskwy, i spytał, czy zechciałby do niej dołączyć, Wilson natychmiast odpowiedział:

– Dołączę.

Tak, tutaj zdobędzie majątek. Poza tym miał też inny powód. Niemiecki kupiec, także protestant, miał jedną niezamężną córkę i nie miał żadnego syna. Dziewczyna była dość tęga, ale ładna. Ładna i pulchna, pomyślał.

Tak, miał powody, żeby tu wrócić.

Jelenie wydawało się, że Borys obrósł drugą skórą.

Tak o tym przynajmniej myślała.

Czasem przychodziło jej do głowy, że w tym nowym pancerzu jest mu niewygodnie, że gdyby tylko umiała się do niego przebić, zdołałaby go odnaleźć. A kiedy indziej znów myślała, że ta nowa, grubsza warstwa przylgnęła do niego i zrosła się z nim na stałe. I nawet jeśli się do niej zbliżał, odnosiła wrażenie, że jej dłonie dotykają dziwnego zwierzęcia o grubej skórze, którego zupełnie nie rozumie.

Zresztą i tak przez kolejne lata rzadko go widywała.

Wojska rosyjskie pod wodzą Kurbskiego i innych zgłuszyły tatarskie bunty w Kazaniu, a potem ruszyły dalej, na ziemie Nogajów na drugim brzegu Wołgi. Nawet chan tatarski w leżącej za Uralem odległej Syberii Zachodniej uznał zwierzchność Iwana. Dwukrotnie większa flota wyruszyła Wołgą na południe, a potem przez stepy na pustynne ziemie Astrachania, aż w końcu i to miasto zostało zdobyte.

Car Kazania, car Astrachania – nowe tytuły Iwana brzmiały bardzo egzotycznie. W kronikach, które wychwalały cara i jego rodzinę, w razie potrzeby zmieniano historię tak, by święta misja rosyjskiego domu panującego nie budziła wątpliwości. Usunięto wszelkie wzmianki wskazujące na to, że rosyjscy książęta podlegali niegdyś władcom tatarskim.

A na Placu Czerwonym metropolita moskiewski nakazał budowę wspaniałych kopulastych wież, które stworzyły przykład nowego rosyjskiego stylu. Ta niepodobna do innych budowla stała się później znana jako sobór Wasyla Błogosławionego.

Iwan chciał teraz wyruszyć przeciwko potężnemu chanowi Krymu, ale na razie był on zbyt twardym przeciwnikiem.

Dlatego car, próbując otworzyć drzwi w swoim pozbawionym dostępu do morza więzieniu, skierował się na północ – ku tak potrzebnym mu inflanckim portom na wybrzeżu Morza Bałtyckiego.

I początkowo wydawało się, że jego wyprawa zakończy się sukcesem.

Nic dziwnego zatem, że Jelena rzadko widywała męża. A życie carskich sług nie było łatwe. Często brakowało im nawet jedzenia. Za to piekielnych upałów i przenikliwego zimna zasmakowali aż nadto. Zanim Borys wyruszył z wojskiem na północ, przybył na krótko do domu, przywożąc z Astrachania skromne łupy – ich wartość wynosiła zaledwie kilka rubli, co starczyło na spłatę części długów. Zjawił się jednak jako twardy, zaprawiony w boju mężczyzna.

Jego stosunki z teściem nigdy nie były ciepłe, a teraz rozluźniły się jeszcze bardziej. I to nie z powodów osobistych – Dmitrij z podziwem śledził karierę zięcia – ale z powodu poglądów politycznych.

Problemy nabrzmiały, gdy Borys wrócił z Astrachania. Pod maską surowości Jelena wyczuwała w nim jakąś radość. Bo oto gdy carskie wojska podbijały stepy i pustynie nad Wołgą, Iwan i jego najbliżsi doradcy przeprowadzali w kraju drugą zwycięską kampanię: reformę państwa.

Podobnie jak inni władcy ówczesnej epoki dążący do centralizacji władzy, Iwan zamierzał zgnieść magnatów i ich popleczników. Dotychczasowe formy zapłaty za służbę, już nie tak korzystne jak kiedyś, zostały zniesione. Dawniej bojar albo pozostający na służbie książę dostawali miasto, z którego mogli się utrzymać, a dziś miastem i okolicą mieli zarządzać miejscowi wybierani przez szlachtę i kupców. Ale przede wszystkim według nowego prawa wszyscy posiadacze majątków – zarówno służebnych pomiestii, jak i dziedzicznych wotczin – mieli teraz świadczyć na rzecz cara służbę wojskową.

– To nauczy tych przeklętych leni, kto jest ich panem – rzucił ponuro Borys w obecności teścia. – Czy wiecie, że połowa właścicieli ziemskich w Twerze nie świadczy nikomu żadnej służby?

– W takim razie wytłumacz mi – odparł kwaśno Dmitrij – jaka jest teraz różnica między majątkiem, który odziedzyczyłeś, a zwykłym pomiestijem. Bo przecież car zazwyczaj wyraża zgodę, by syn przejmował taki majątek po ojcu.

Borys zastanawiał się przez chwilę.

– W sensie formalnym taka różnica istnieje. Ale praktycznie rzeczywiście jej nie ma. Jeśli ktoś odmawia służby, car może mu odebrać majątek.

– I tobie się to podoba?

– Oczywiście. Dlaczego miałbym nie służyć carowi? Wy nie chcecie mu służyć?

Było to podstępne pytanie, gdyż Borys wiedział doskonale, że rodzina jego żony posiada kilka majątków i że nikt nie świadczy z nich służby.

Dmitrij nie odpowiedział, ale pogładził się po łysej głowie z wyraźną irytacją.

– Jeśli ktoś nie chce służyć carowi – ciągnął chłodno Borys – to moim zdaniem należy go zaliczyć do jego wrogów.

– Ależ to zbyt pochopny wniosek! – zagrzmiał Dmitrij.

– Cieszę się, że to słyszę – odparł cierpko Borys.

Matce Jeleny udało się rozdzielić obu mężczyzn. Ale mleko już się rozlało.

I nie chodziło tylko o różnicę poglądów. Jelena doskonale rozumiała, że spór pomiędzy jej ojcem i mężem jest symbolem pogłębiającego się rozdzwienku między zwolennikami wprowadzającego reformy cara a członkami dawnych klas panujących, wielkimi i drobnymi, którym nie podoba się sens rządów Iwana.

W ojcowskim domu rozlegały się szepty – mówiono takie rzeczy, których nigdy by nie powtórzyła Borysowi, a które kazały jej się zastanawiać, jak długo potrwa panowanie młodego władcy.

I tak toczyło się jej życie przeplatane krótkimi wizytami Borysa i wypełnione coraz bardziej gęstniejącą atmosferą podejrzeń.

Gdyby tylko nie był taki odległy, taki nieobecny. Gdyby udało jej się przebić przez ten jego pancerz nieufności.

Rozumiała, w jaki sposób mogłaby uszczęśliwić męża. Powinna urodzić mu syna. Czemu los jej tego odmawia?

Urodziła chłopca, Dawida, ale umarł zaledwie po tygodniu. Borys był wtedy na wyprawie na północy. Potem starała się ze wszystkich sił, ale bez skutku.

Może gdyby carskim wojskom udało się odnieść na północy zwycięstwo... Gdyby Rosja podpisała pokój, a Borys wrócił do domu na dłużej, może wtedy mieliby syna. W końcu była jeszcze młoda. Modliła się o lepsze dni.

Jednak na północy po pierwszych sukcesach przyszły niepowodzenia. Miasta bałtyckie zwróciły się o pomoc do Szwecji, Litwy i Danii. Wydawało się, że wojna będzie trwała wiecznie.

A potem w sierpniu 1560 roku zmarła Anastazja, ukochana żona Iwana, światło jego życia.

Usłyszawszy tę wiadomość, Jelena wpadła w przygnębienie. Kobieca intuicja mówiła jej, że nadchodzą mroczne czasy.

*Rok 1566*

Październik. Nad Ruską rozpościera się zimny, wilgotny, wietrzny dzień; mgliste chmury ścielą się tak nisko, że niemal ocierają o dach strażniczej wieży.

Do bram zbliża się powoli samotny jeździec. Ma czarnego wierzchowca. Przy siodle widać dwa niewielkie emblematy: psią głowę, bo podróżny jest bardzo czujny, i miotłę, bo w razie potrzeby zmiecie wszystkich wrogów swojego pana.

Jeździec ma na sobie czarny strój. Spogląda beztrąsko na boki, bo jest w tej okolicy jedynym władcą. Na jego widok mnich przy bramie chowa się nerwowo. Nawet opat czuje się w jego obecności niepewnie. A w miasteczku i w pobliskim Gnojowisku wszyscy się go boją.

Minął ponad rok, odkąd złożył ślubowania. Brzmiały jak słowa z Biblii, bo przysięgał kochać cara bardziej niż matkę i ojca, syna i córkę. Przysięgał też natychmiast donosić na każdego, kogo podejrzewałby o nielojalność wobec pana.

Potężny mężczyzna w czerni budzi lęk. Ale jego żona wie, że nie jest szczęśliwy.



Choć sam nigdy by się do tego nie przyznał.

Przybył odwiedzić żonę. Przybył do swojego domu. Nazywa się Borys Bobrow.

W końcu Iwan uderzył we wszystkich swoich wrogów. Cios był straszliwy i zaskoczył ich kompletnie.

W grudniu 1564 roku bez słowa wyjaśnienia wyjechał z Moskwy z kolumną wyładowanych sań i przed dniem świętego Mikołaja dotarł do ufortyfikowanej rezydencji myśliwskiej w Słobodzie Aleksandrowskiej, siedemdziesiąt kilometrów na północny wschód od stolicy. Nikt nie wiedział, co ta ewakuacja oznacza.

W styczniu nadeszła wieść: car abdykował.

Czyżby to była jakaś gra?

– Moim zdaniem – tłumaczył Jelenie ojciec – po śmierci Anastazji carowi pomieszało się w głowie. Uznał, że to bojarowie ją otruli, i chce się na nich zemścić. Tak czy inaczej ja w tym wietrzę jakiś podstęp.

Miał rację. Bojarzy, bojąc się gniewu ludu, błagali cara o powrót. A on zgodził się objąć władzę, ale na własnych warunkach.

A warunki te były zadziwiające. Na coś podobnego nie odważył się żaden władca na świecie. Gdy bojarowie i dostojnicy duchowni złożyli mu solenną obietnicę, że wolno mu będzie rządzić bez przeszkód i karać każdego, kogo uzna za stosowne, car Iwan podzielił państwo na dwie części. Większą mieli władać w jego imieniu zaufani bojarowie. Ale mniejszą zamienił w ogromny prywatny majątek, pozostający pod jego osobistym zarządem i zamieszkały przez starannie dobranych popleczników.

To prywatne feudum nazwał opryczniną. Jak na ironię nazwa ta oznaczała „wdowią część”, czyli ziemię, którą otrzymywała wdowa, by mieć się z czego utrzymać po śmierci męża. Carscy słudzy, nazywani oprycznikami, tworzyli ścisły zakon podobny do niemieckich zakonów rycerskich i ubierali się na czarno.

Oprycznicy stanowili państwo w państwie. I to państwo policyjne. Odpowiadali tylko przed własnymi sądami – w rezultacie znaleźli się ponad prawem. Do opryczniny zaliczała się część księstwa moskiewskiego, Suzdań oraz tereny na północ od Oki i na południowy zachód od Moskwy. Ale większość carskich włości leżała na północy, na bezkresnych zalesionych ziemiach ciągnących się powyżej wyznaczonej przez Wołgę pętli, aż po port na północy, w którym wyładowali angielscy kupcy. Ziemie te, usytuowane z dala od dawnych książęcych miast, były krainą skutych lodem klasztorów, futer, wielkich złóż soli i bogatych kupców. Potężny, wywodzący się z chłopów ród Stroganowów natychmiast wysłał do cara petycję z prośbą o włączenie ich do tego „państwa”.

Mogli tam mieszkać jedynie lojalni poddani cara. W każdym majątku znajdował się sąd, w którym zasiadali carscy inkwizytorzy. Jeśli właściciel wykazał się lojalnością, mógł pozostać na swoim. Ale jeśli miał związki z jakimś magnatem albo z którymś z licznych książęcych rodów, musiał się wynosić. Szczęściarz dostawał jakiś biedniejszy majątek poza opryczniną.

W ten sposób oprycznicy otrzymywali wolne majątki, oczywiście jako służebne pomieszczenia.

Wieś Ruska została zaliczona do opryczniny, więc pewnego dnia pojawili się w niej

inkwizytorzy, żeby przesłuchać młodego pana z Gnojowiska.

Na to właśnie Borys liczył.

– Służyłem carowi we wszystkich wojnach – zapewniał. – Dlatego składam prośbę, bym mógł zostać oprycznikiem. Niczego więcej nie pragnę. – A widząc, że jeden z sędziów coś notuje, dodał: – Być może car mnie pamięta. Rozmawiał ze mną któregoś dnia o świcie, gdy wracaliśmy z Kazania.

Inkwizytor uśmiechnął się ponuro.

– Jeśli tak było, to car będzie cię pamiętał. Car niczego nie zapomina.

Przesłuchanie było bardzo szczegółowe. Inkwizytorzy nie dopatrzyli się w rodzinie Borysa niczego niestosownego. Owszem, ród był stary, ale nie miał żadnych podejrzanych koneksji. Był tylko jeden problem.

– A z jakiej rodziny pochodzi twoja żona? – padło pytanie. – Twój teść przyjaźni się z ludźmi, których lojalność budzi wątpliwości. Co możesz o nim powiedzieć?

Borys się zamyślił. Ale nie musiał się długo zastanawiać.

– A co byście chcieli wiedzieć? – spytał spokojnie.

Tydzień później Borysa wezwano do Moskwy, gdzie po krótkiej rozmowie powiedziano mu, że może zatrzymać majątek w zamian za służbę i że przyjęto go do opryczników.

– Car cię zapamiętał – usłyszał.

Niedługo potem Jelena dowiedziała się, że jej ojciec ma jakieś kłopoty. Ale nie domyślała się ich powodu.

Wiatr ustał, popołudnie powoli przechodziło w wieczór, gdy Borysowi podano posiłek.

Ledwie zasiadł za stołem, stary służący postawił przed nim talerz z żytnim chlebem i dzbanek wódki. Patrząc przed siebie, Borys trzy razy napełniał szklaneczkę i za każdym razem wypijał ją jednym haustem, odrzucając do tyłu głowę. Jelena milczała. Dla niej był to prostacki zwyczaj, który mąż musiał przejąć od innych opryczników.

Borys jadł bez słowa. Jelena siedziała po drugiej stronie ciężkiego stołu, skubiąc jakieś jarzyny. Wydawało się, że żadne z nich nie ma odwagi zacząć rozmowy.

Co nie było dziwne. Bo jeśli dochodzące z Moskwy wieści były prawdziwe, to kwestia, którą mieli poruszyć, budziła przerażenie.

Żadne z nich nie przerywało milczenia. Jedynie Borys od czasu do czasu spoglądał na nią uważnie, jakby prowadził w myślach jakieś kalkulacje, których ona mogła być częścią. A raz zwrócił się do niej z pytaniem, jak się miewa kupiec Lew. Usłyszawszy, że miewa się dobrze, skinął głową, nic nie mówiąc. Lew zajmował się teraz zbieraniem lokalnych podatków i tak jak Borys służył opryczninie. W sprawach urzędowych działali ręka w rękę.

– A jak się czuje nasza córka? – spytała w końcu.

Na początku roku dziewczynę wydano za mąż za młodego szlachcica. Młodzieniec nie mieszkał w opryczninie, ale był dość zamożny, a Borys upewnił się, że rodzina jest lojalna wobec cara. Jelena podejrzewała, że chętnie pozbył się córki z domu. Zawsze był dla niej dobry, ale wiedziała, że nigdy nie przebolewał braku syna.

– Ma się dobrze – odparł krótko. – Rozmawiałem z jej teściem.

Dość skąpe wieści, ale nie naciskała.

Borys zerkał na nią od czasu do czasu.

Jelena rzadko jeździła do Moskwy. Wprawdzie jej rodzina nadal tam mieszkała, ale ona nie miała ochoty na takie wyprawy, a i Borys jej nie zachęcał.

Od momentu ustanowienia opryczniny panowało w stolicy napięcie i narastała atmosfera strachu. Ludzie gdzieś znikali, krążyły pogłoski o egzekucjach. Z książęcych miast nadchodziły wieści o masowych konfiskatach, najwięksi książęta i magnaci tracili swoje ziemie i byli wysyłani do małych, nędznych majątków na pograniczu z Kazaniem.

– To wszystko jest obrzydliwe – oświadczył ojciec podczas jednej z nielicznych wizyt Jeleny w mieście. – Połowa ludzi skazanych na śmierć nie jest niczemu winna.

A niedawno usłyszała, że pewien odważny młodzieniec nazwiskiem Gorbaczow, gdy szedł z ojcem na szafot, podniósł głowę rodzica, mówiąc: „Dziękuję Bogu, że obaj umieramy jako niewinni”.

– A wiesz, co jest najbardziej przerażające? – ciągnął ojciec. – Ludzie mówią, że on się pozbywa starych właścicieli po to, żeby zrobić miejsce dla swoich sługusów, tych przeklętych opryczników. Wybacz mi, wiem, że twój Borys do nich należy. Ale patrz uważnie, a zobaczysz, o co im chodzi. Do większości konfiskat nie doszło na ziemiach opryczniny. Tam mieszkają zwolennicy cara. On zniszczy opozycję w całym kraju, a potem poszczuje swoje czarne koszule na nas. To spisek, by się nas pozbyć.

Oprycznicy budzili w niej przerażenie. Część wywodziła się ze szlachty i arystokracji, ale większość niewiele wyrastała ponad chłopów.

– Niektórzy to wręcz cudzoziemcy, zwyczajni najemnicy – oburzała się matka. – Nie mają tu żadnych krewnych, niczego.

Dla Jeleny oprycznicy w czarnych mundurach i czarnych płaszczach wyglądali jak jakiś złowrogi zakon mnichów.

Ojciec powiedział jej o czymś jeszcze.

– A wiesz, jakie są najnowsze rozkazy cara? Gdyby jakiś cudzoziemiec zapytał nas, co się dzieje w kraju, mamy zaprzeczać, że oprycznina w ogóle istnieje. Dasz wiarę? Niedawno byłem u pewnego możnowładcy, którego akurat odwiedził poseł z Litwy. „O co chodzi z tą opryczniną?”, pyta poseł. „Nigdy o niej nie słyszałem”, odpowiada gospodarz. „Ale przecież car zaszył się w jakiejś warowni za miastem”, zaprotestował poseł, „i kim są ci ludzie w czarnych koszulach?” Na co mój przyjaciel odpowiada, że car przebywa w letniej rezydencji, a ci w czerni to jego słudzy, taki nowy regiment. Było nas przy tej rozmowie trzydziestu i nie wiedzieliśmy, gdzie mamy oczy podziać. Ale nikt nie puścił pary z ust.

Wiosną kilku zesłańców otrzymało ułaskawienie. Ale dwóch metropolitów zrezygnowało ze stanowiska – albo zostało do tego zmuszonych – bo nie mogło już znieść terroru w państwie.

A teraz przyszły jeszcze bardziej przerażające wieści.

Borys patrzył na Jelene, analizując każdy szczegół. Była wciąż tą samą młodą kobietą, z którą się ożenił: milczącą, nieśmiałą, gotową zrobić wszystko, żeby go zadowolić. Ale jednocześnie chroniła się przed nim w sieci rodzinnych relacji, z których czuł się wykluczony. No i pojawiło się coś nowego: cierpienie przydało jej godności

i samodzielności, która chwilami budziła jego podziw, a chwilami gniew. Czy ta wyniosła godność miała być dla niego wyrzutem? Albo, co gorsza, wyrażała pogardę?

Dopiero gdy skończył jeść i dalsze odwlekanie tematu wyglądałoby nienaturalnie, spytała cicho:

– A więc co tak naprawdę wydarzyło się w Moskwie?

Właśnie, co tak naprawdę wydarzyło się w Moskwie? Iwan postanowił zwołać Sobór Ziemski. Nie tylko Borys był przekonany, że to dobra decyzja. Oczywiście nie była to reprezentacja narodu, po prostu zgromadzenie czterystu przedstawicieli szlachty, duchowieństwa i co znaczniejszych kupców. Ale już sam fakt powołania takiego ciała został uznany za znaczące ustępstwo na rzecz poddanych.

Wojna na północy zakończyła się niepowodzeniem. Rosja potrzebowała miast nad Bałtykiem, Polacy stali jej na drodze, a car dopominał się pieniędzy. Sobór Ziemski miał dać przyzwolenie na wojnę oraz na wprowadzenie nowych podatków, a także pokazać nieprzyjaciołom, że cały kraj wspiera władcę. Wielkie zgromadzenie zebrało się w lipcu. I zgodziło się na wszystkie propozycje cara.

Był tylko jeden problem. Bardziej zuchwali członkowie zgromadzenia, wspierani przez nowego metropolitę, wystosowali do cara petycję domagającą się zniesienia opryczniny. Iwan wpadł we wściekłość. A potem...

Jelena przyglądała się mężowi uważnie. Czyżby Borys się zawahał? Miał wyrzuty sumienia? Było mu niewygodnie pod grubą ochronną skórą?

– To byli zdrajcy. I car potraktował ich jak zdrajców – powiedział opryskliwie.

– Jest jeszcze wielu zdrajców, wielu Kurbskich, z którymi trzeba się rozprawić.

Właśnie, książe Kurbski. Po śmierci księżnej Anastazji to właśnie jego dezercja pchnęła umysł Iwana na mroczną ścieżkę. Oto w 1564 roku ten zdolny dowódca, z którym Borys wyruszył kiedyś na Kazań, nagle przeszedł na stronę Litwy.

W sensie militarnym jego odejście nie było wielką stratą. Ale Kurbski od dzieciństwa przyjaźnił się z Iwanem. I jego zdrada ugodziła cara w samo serce.

Od tamtego czasu historycy analizowali obszerną korespondencję pomiędzy carem Iwanem a księciem na wygnaniu. Stała się ona osią wielu biografii. Współcześni naukowcy są zdania, że listy te, podobnie jak inne klasyczne dzieło literatury staroruskiej *Słowo o wyprawie Igora*, są znacznie późniejszym falsyfikatem. Jednak bez względu na autentyczność korespondencji faktem jest, że terror w Rosji rozpoczął się kilka miesięcy po ucieczce księcia.

– Czy to prawda, że car uwięził całe zgromadzenie?

– Tylko na sześć dni.

– Ilu ludzi zostało straconych?

– Tylko trzech.

– Publicznie?

– Oczywiście.

– A czy potem kazał pozostałym wydrzeć języki?

– Nie. Pięćdziesięciu wychłostano, to wszystko. Zasłużyli.

– Wydarto im języki?

– Nie. Tylko niektórym. – Umilkł. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. – To

był spisek. Knuli zdradę.

– Czy im to udowodniono?

– Spiskowali. To wszystko. – Wstał od stołu. – Nie będzie już więcej zgromadzeń, zapewniam cię – dodał z dziwnym, urywanym śmiechem.

Jelena nie zadała więcej pytań. Nie zapytała, czy brał w tym udział. Nie chciała znać prawdy. Co miała powiedzieć? Co zrobić? Podeszła do niego, powoli i niepewnie, i objęła go z nadzieją, że może jej miłość uzdrowi w nim zło. On jednak dostrzegł w jej miłości przebaczenie, a nie mogąc mu się poddać, odwrócił się od niej w milczeniu. Jedynie ledwo zauważalne skulenie ramion powiedziało jej, że Borys chce się przed nią ochronić. Och, gdybyż w tym gęstniejącym mroku mogła mu pomóc, gdybyż mogła pomóc sobie... W głębi duszy gotowa była nawet na samopoświęcenie, byle tylko ocalić jego zagubioną duszę. Ale ocalenie duszy wymagało umiejętności, których jej brakowało.

Gdy w nocy leżeli obok siebie, próbowała go nakłonić, by ją posiadał. Ale on, jak zwierzę, które poczuło smak krwi, nie chciał już nic innego. Jak miała zatracić się w dzikiej namiętności, jak miała poddać się zwierzęcej pasji, skoro właśnie tego zwierzęcia bała się w nim najbardziej? A on, szukając drogi wyjścia, szukając towarzyszkę, która mogłaby dorównać mu siłą, jak miał znaleźć pociechę w jej miłości, której towarzyszyła modlitwa?

Spał niespokojnie. A ona, oddawszy mu się ze świadomością, że to jednak za mało, udawała, że śpi.

Przewracał się z boku na bok. O świcie, gdy światło było jeszcze szare, zauważyła, że patrzy przez zasłaniający okno pergamin.

Odwrócił się i widząc, że Jelena nie śpi, bo przecież nie spała już od dawna, oznajmił:

– Jutro wracam do Moskwy.

Powinna go prosić, by został? Nie miała pojęcia. A do tego ogarnęło ją poczucie porażki i wielkie znużenie.

– Żona popa Stiepana jest chora – rzuciła obojętnie. – Zapomniałam ci powiedzieć.

Za każdym razem, gdy Michaił patrzył na swoją rodzinę, wiedział, że powziął słuszny plan. Jego najstarszy syn się ożenił i mieszkał na drugim krańcu wioski. O niego się nie martwił.

Miał też dwoje małych dzieci, zaledwie dziesięciolatków, syna i córkę.

Jego jedynym problemem był Karp.

– Skończył dwadzieścia lat, a ciągle jest nieżonaty – utyskiwał. – I co ja mam z nim zrobić?

– Ty lepiej zapytaj, co ma z nim zrobić połowa mężów w tej okolicy – odpowiadał zarządca.

Młodzieniec miał powodzenie u kobiet. Wysoki, ciemnowłosy, umięśniony – poruszał się z lekkością i wdziękiem, zwykły koń do orki wyglądał pod nim jak rumak, a jego ciemne oczy zawsze wypatrzyły w tłumie jakąś ładną buzię. Jednak kobiety najbardziej pociągała jego wewnętrzna dzikość i wolność, które nie pasowały do wiejskich opłotków. Wiele kobiet na jego widok ogarniał dreszcz. Kilka dziewcząt z Ruski pozwoliło mu się uwieść. Kilka mężatek chętnie uległo. A on był zachwycony,

gdy najpierw je zdobywał, a potem wprawnie i umiejętnie odkrywał z nimi obszary rozkoszy.

A jednak Michaił cieszył się, że Karp wciąż mieszka w domu, bo chłopak był wielką pomocą. Mimo dodatkowej pracy, którą musieli świadczyć dla Borysa, z zebranego zboża osiągnęli całkiem przyzwoity zarobek.

Pojawiło się też inne, dość nieoczekiwane źródło dochodu.

Trzy lata wcześniej Michaił natknął się w pobliskim lesie na małego niedźwiadka, którego matkę zabili myśliwi. Widząc zaledwie kilkutygodniowe stworzenie, nie miał serca go zabić ani zostawić na pastwę losu, więc ku rozbawieniu wsi przyniósł misia do domu. Żona wpadła we wściekłość. „I ja mam go karmić?” – krzyczała.

Ale Karp był zachwycony. Miał niezwykłą rękę do zwierząt. Zanim niedźwiedź skończył półtora roku, Karp nauczył go paru tanecznych kroków i kilku zabawnych sztuczek. I na czas występów odpinał zwierzę z łańcucha.

Często udawało mu się zarobić parę groszy na targu w Rusce. A dwa razy wyprawiał się z niedźwiedziem aż do Włodzimierza, skąd przywiózł parę diengów.

– Misiek nie da nam majątku – mawiał Karp – ale przynajmniej zarobi na swoje utrzymanie i jeszcze dorzuci parę groszy.

Dzięki niedźwiedziowi i innym źródłom dochodu Michaił w tajemnicy, żeby nie wzbudzić podejrzeń i zazdrości, zaczął odkładać pieniądze. Miał jeden cel.

– Zarobię tyle, żeby się wykupić. Zostawię też trochę Iwankowi, żeby za rok czy dwa mógł do nas dołączyć – tłumaczył rodzinie.

Bo zapowiadało się, że w Rusce będzie coraz gorzej. Jego kuzyn Lew, który zbierał w okolicy podatki, wcale tego przed nim nie ukrywał. „Car chce opodatkować resztę księstwa moskiewskiego i zostawić w spokoju opryczninę – tłumaczył. – Ale rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy. Nie będzie lekko”.

Michaił wiedział, że Borys przycisnie go jeszcze mocniej. Musieli wyjechać.

– A gdzie my pojedziemy? – spytał Karp.

– Na wschód – odparł ojciec. – Tam, gdzie ludzie są wolni.

Miał rację. Władza wciąż nie sięgała do wielu nowych osiedli w północnych lasach, a ludzie byli tam poddawani mniejszym ograniczeniom.

– Jak sobie chcecie – zgodził się posłusznie Karp.

Wiosną 1567 roku zmarła żona popa Stiepana.

Zgodnie z prawem kościelnym pop wdowiec nie mógł się ożenić powtórnie, ale wolno mu było wstąpić do klasztoru.

Co też Stiepan uczynił, przenosząc się z domu do celi w klasztorze Świętego Piotra i Świętego Pawła po drugiej stronie rzeki. Nadal jednak odprawiał nabożeństwa w kamiennej cerkiewce w Rusce, gdzie cieszył się dużym szacunkiem. A skoro został mnichem, nie był na tyle głupi ani nieuprzejmy, żeby zdradzać się ze swoimi poglądami na temat klasztornych majątków, choć Danił przez kilka tygodni pilnie nadstawiał uszu, na wypadek gdyby kuzyn pozwolił sobie na jakieś niedopuszczalne wypowiedzi.

Jelena tęskniła za przyjaciółką, która przez tyle lat dotrzymywała jej towarzystwa, i współczuła owdowiałemu popu.

We wrześniu było jasne, że kolejna wyprawa do krajów bałtyckich jest

nieuchronna. Borys nie mógł się jej doczekać.

Latem wiele razy zaglądał do Ruski i spędził nawet kilka szczęśliwych chwil z Jeleną. Może jeszcze doczekam się syna, myślał.

Złożył też wizytę carowi w Słobodzie Aleksandrowskiej.

Było to dziwne miejsce położone w odległości siedemdziesięciu kilometrów od Moskwy, na wschód od drogi prowadzącej do Rostowa. Niedaleko znajdował się wielki klasztor Świętej Trójcy założony przez świętego Sergiusza. A życie w carskiej rezydencji też przypominało klasztor.

Pierwszego wieczoru zaprowadzono go do małej chatki, w której prócz niego spali dwaj inni oprycznicy. Dostał jedynie twardą ławę.

– Obudzą nas wcześniej rano – zapowiedzieli mu z szerokim uśmiechem.

Mimo to nie spodziewał się, że ostry dźwięk dzwonów wyrwie go ze snu na długo przed świtem.

– Modlitwy – pomrukiwali. A potem zaczęli go poganiać. – Lepiej się pospiesz.

W mroku wielkiego dziedzińca widział jedynie swoich towarzyszy i odległy kwadrat światła, który wziął za otwarte drzwi do cerkwi. Gdy się przeżegnali, z góry doszedł go ostry głos splatający się z klangorem dzwonu.

– Do modlitwy, psy. Do modlitwy, moje grzeszne dzieci.

– Co to za głupi mnich? – szepnął.

Nie zdążył nawet dokończyć, gdy czyjaś dłoń zasłoniła mu usta.

– Zamilcz, głupcze – syknął mu do ucha jeden z towarzyszy. – Nie poznajesz? To sam car!

– Módlcie się za wasze dusze – rozległ się głos.

W tym zawołaniu człowieka, który sam skazywał ludzi na śmierć, który bez chwili wahania ścinał zdrajców, było coś tak upiornego, że Borys aż poczuł na plecach lodowaty dreszcz.

Była trzecia rano. Poranna jutrznia trwała aż do świtu. Zdawał sobie sprawę, że car jest wśród nich, może nawet go obserwuje, ale nie miał odwagi się rozejrzeć. Jednak po jakimś czasie rozległ się szelest i obok niego przeszła wysoka ciemna postać, która stanęła w milczeniu przed modlącymi się mężczyznami, od czasu do czasu gładząc długą rudą brodę przetykaną ciemnymi pasmami.

W pewnym momencie car złożył głęboki pokłon, niemal uderzając czołem o posadzkę.

Od czasu tamtego świtu nad Wołgą Borys nie stał tak blisko władcy. Wypełniła go nabożna cześć.

Ale prawdziwego uniesienia doświadczył po mszy świętej i porannym posiłku, gdy wezwano go przed oblicze cara. Był z nim sam na sam.

Iwan miał na sobie prosty, czarny, obrzeżony futrem kaftan ze skromnym haftem. Jego wysoka, szczupła sylwetka i pociągła twarz o ostrych rysach były takie same jak wtedy, gdy wracali spod Kazania, ale władca bardzo się postarzał. Włosy mu się przerzedziły, przez co czoło wyglądało jak koścista, wysuszona czaszka. Borysowi wydawało się też, że pod długimi, zwisającymi wąsami usta Iwana wygięły się w dół, przybierając niemal zwierzęcy wygląd. W połowie ruski książę, w połowie tatarski chan.

Ale było w nim coś jeszcze...

Bo po chwili Borys miał wrażenie, że znów stoi obok młodego władcy, że znów czuje ten sam melancholijny urok, tę wewnętrzną pasję przynależną innemu, mistycznemu światu. A gdy car się uśmiechnął ze smutkiem, w jego ciemnych oczach pojawiła się dobroć.

– No cóż, Borysie Dawidowie, minęło wiele lat, od kiedy się spotkaliśmy nad brzegiem Wołgi.

– To prawda, gosudarze.

– Pamiętasz, o czym wtedy mówiliśmy?

– Pamiętam każde słowo, panie. – Nawet teraz słyszał tamten cichy, pełen smutku, a przecież tak ekscytujący głos, słyszał cichy plusk wody.

– Ja też.

Car umilkł.

Borys poczuł, że drży, że gardło i pierś wypełnia mu niezwykle wzruszenie. Car Iwan pamiętał ich rozmowę. I teraz znowu on i jego władca myśleli o wielkim religijnym przeznaczeniu Rosji.

– Powiedz mi, Borysie – odezwał się cicho car – czy wciąż wierzysz w to, co wówczas mówiłeś?

– O tak, panie.

Tak. Pomimo strasznych wydarzeń z ostatnich lat, mimo zdrad i okrucieństwa, żarliwie pragnął w to wierzyć. Kim był bez tego świętego przeznaczenia? Pustą skorupą w czarnych szatach.

Iwan przyglądał mu się uważnie, wręcz ze smutkiem, jakby Borys przypominał mu jego samego.

– Droga ku przeznaczeniu Rosji jest ciężka – mruknął. – I usłana cierniami. Ostrymi cierniami. Ten, Borysie, kto podaży szlachetną ścieżką, musi cierpieć. Nie da się uniknąć przelewu krwi. Ale nie wolno nam się cofnąć. Zgadzasz się?

Borys skinął głową.

– Oprycznicy często muszą wypełniać surowe rozkazy. – Car nie odrywał od niego wzroku. – A twoja żona nie lubi moich opryczników – zauważył cicho. Zabrzmiało to jak stwierdzenie.

Umilkł, jakby oczekiwał, że Borys będzie chciał zaprzeczyć. I rzeczywiście jakiś impuls go ku temu skłaniał, ale jednocześnie inny wewnętrzny głos nakazywał milczenie.

Iwan czekał bez słowa. A może to wcale nie jest przyjacielska rozmowa, może to spotkanie służy temu, by car mógł go oskarżyć osobiście? A więc to koniec? Borys nadal się nie odzywał.

W końcu car skinął lekko głową.

– Bardzo dobrze. Nigdy mnie nie okłamuj, Borysie – powiedział cicho. Odwrócił się i patrząc na ikonę w rogu, ciągnął smutnym tonem: – Ona ma rację. Myślisz, Borysie, że car nie widzi, kim są jego słudzy? Niektórzy to zwyczajne psy. – Zwrócił się twarzą do rozmówcy. – Ale psy mogą dopaść wilka. A jest wiele wilków, z którymi musimy się rozprawić.

Borys przytaknął skinieniem głowy. Zrozumiał.



– Słudzy cara nie mają myśleć, Borysie – przypomniał mu łagodnie Iwan. – Nie wolno im mówić: „Chcę tego” albo „Tego nie zrobię”. Oni mają słuchać. Pamiętaj, że car sprawuje nad wami władzę z łaski Boga, a nie ze zmiennej woli ludzi.

Iwan umilkł i wyglądało, że audiencja dobiegła końca. Władca znów skierował wzrok na ikonę. Borys wiedział, że powinien wyjść, ale postanowił o coś zapytać.

– Mógłbym tutaj zostać, gosударze? Do czasu następnej wyprawy.

Tego właśnie pragnął najbardziej na świecie – być w tych dniach blisko cara.

Iwan spojrzał na niego. Po skończonej rozmowie jego oczy się zaszklily, jakby wkroczył do innej rzeczywistości. Wielki człowiek potrafi w jednej chwili opuścić zasłonę, która oddziela go od reszty świata, pomyślał Borys. U kogoś innego wzięłoby to za wyraz ostrożności, albo wręcz zakłopotania, chęć ukrycia czegoś przed innymi.

– To nie jest miejsce dla ciebie – powiedział car cicho.

Borys wyszedł.

Po południu Iwan wybrał się na przejażdżkę konną. Wieczorem znów odprawiano długie modły. A następnego ranka odezwały się te same wezwania na nabożeństwo. Przed południem przywieziono do fortu kilku więźniów – wprowadzono ich szybko do solidnego budynku stojącego na uboczu. Niedługo potem Borys wyjechał.

I jadąc do Moskwy, czuł się bardzo podniesiony na duchu, jakby jego oddanie sprawie nabrało nowej siły.

I właśnie w Moskwie pewnego wrześnieowego dnia Borys poznał Anglika. Natknął się na niego przy kremlofskich murach.

Anglik był chudym mężczyzną o blisko osadzonych oczach. Kiedy Borys zobaczył go po raz pierwszy, George Wilson stał nad brzegiem Nieglinki, patrząc z ciekawością na drugi brzeg.

Jego uwagę przykuła nowa budowla, która miała służyć zapewnieniu carowi bezpieczeństwa. Pałac Opryczniny.

Budowla stała naprzeciwko Kremla – był to budzący lęk fort z czerwonej cegły i kamienia otoczony sześciometrowym murem. Na wprost nich znajdowała się wzmocniona żelazem brama, a nad nią posąg Iwa z uniesioną groźnie łapą. Pałacu pilnowali rozstawieni na blankach łucznicy.

Wilson patrzył z podziwem na budowlę, a Borys przyglądał mu się z ciekawością. Dużo słyszał o angielskich kupcach, których można było spotkać w kilku miastach na północy. Stanowili dość dziwne zbiorowisko, ale car najwyraźniej uznał, że mogą mu się przydać. A ten był tak chudy jak najbiedniejszy mnich.

Wilson zastanawiał się właśnie nad złamaniem prawa.

Los mu sprzyjał. Ożenił się z młodą Niemką. Jej pulchne ciało było dlań źródłem zachwyty, a jej okrągła, potulna twarz, jak szybko się przekonał, nabierała czasem tak lubieżnego wyrazu, że aż wybuchał śmiechem z rozkoszy. Mieli dwoje dzieci i czuł się przy niej szczęśliwy.

Nadal był zagorzałym protestantem. Zawsze nosił przy sobie kilka drukowanych traktatów, które służyły mu za talizman przeciwko wszechobecnym duchownym, kadzidłom i ikonom. Czasem zatrzymywały go strażę, zazwyczaj czarne koszule, dopytując się, co to za papiery. Najbardziej im się nie podobało, że broszury są

drukowane. Wilson słyszał kiedyś, że gdy kilka lat temu Iwan sprowadził skromną prasę drukarską, która miała pomóc w propagowaniu jego praw, rozwścieczony tłum pod wodzą skrybów zniszczył maszynę. Barbarzyństwo tych ludzi nieustannie go zadziwiało. A na wszystkie pytania o traktaty odpowiadał z powagą, że to jego modlitwy, pokuta za wszelkie niegodziwości, których się dopuścił. Zazwyczaj taka odpowiedź wystarczała.

Udało mu się zrobić kilka korzystnych interesów, ale żaden nie był tak lukratywny jak ten, o którym właśnie myślał. Szkoda tylko, że w sensie formalnym przedsięwzięcie nie wydawało się legalne.

Problemem nie byli tu Rosjanie, lecz Anglicy. Od powrotu Chancellora do Rosji w 1555 roku cały handel z Anglią został zmonopolizowany przez Kompanię Moskiewską. A handel ów kwitł bujnie. Wilson prowadził aktywną działalność we wszystkich faktoriach od Moskwy aż po odległe wybrzeża na północy. I nie miałby na co narzekać, gdyby nie fakt, że Iwan dotarł nad Morze Bałtyckie i zajął między innymi port w Narwie, a pewien przebiegły Włoch, działając w imieniu kupców z Antwerpii, zaczął rozsiewać w Moskwie obrzydliwe plotki o Anglikach. W rezultacie angielski handel przez północne morza nie był już tak korzystny jak kiedyś.

„Prawda jest taka – tłumaczył Wilson teściowi – że gdybym złamał przepisy Kompanii i wysłał część towarów przez Narwę na własne konto, zgarnąłbym ogromne zyski”. Wśród angielskich kupców nie tylko on rozważał takie plany.

Wilson nie darzył sympatią swoich rodaków. Połowa tych, którzy przybyli do Rosji w ciągu ostatnich lat, poświęcała tyle samo czasu na picie i uganianie się za kobietami, co na handel. A Wilson musiał zdobyć towary w tajemnicy przed innymi kupcami.

Na dodatek czas go gonił. George niepokoił się o przyszłość. Wojna na północy była nieunikniona. Główny przedstawiciel Kompani Moskiewskiej zawiózł niedawno do Anglii pilną prośbę cara o dostarczenie mu wykwalifikowanych ludzi i zaopatrzenia niezbędnego na wojnę z Polską. Fachowcy właśnie przybyli do Moskwy. Dlatego Wilson wiedział, że im szybciej zorganizuje dostawę przez Bałtyk, tym lepiej.

Ale była też inna wiadomość, szeptana plotka, która w ciągu ostatnich kilku dni przetoczyła się przez angielską społeczność niczym fala. To dlatego Wilson przyglądał się z uwagą carskiej fortecy.

Oto bowiem Iwan w sekrecie przekazał posłańcowi Kompanii coś, co natychmiast rozeszło się wśród Anglików. Na wypadek gdyby przyszło mu kiedyś uciekać z Rosji, poprosił królową Elżbietę o azyl.

„Czyżby znalazł się w niebezpieczeństwie? Czy jest coś, o czym nie wiemy?” – zastanawiali się między sobą kupcy.

Tak czy inaczej dziwna prośba Iwana wprowadziła mroczny nastrój. Wilson rozważał, co powinien zrobić. A teraz jeszcze zatrzymał się przy nim jeden z tych odzianych w czerń mężczyzn. Wilson nauczył się trochę rosyjskiego – nie miał innego wyjścia w kraju, w którym nikt nie mówił w żadnym obcym języku. A jako angielski kupiec nie obawiał się opryczników. Dlatego postanowił zagadać do mężczyzny w czarnej koszuli i przekonać się, czy czegoś się od niego nie dowie.

Borys był zaskoczony, ale odpowiadał chętnie i uprzejmie. A Wilson zachowywał ostrożność. Nie zdradził, co sam wie, ale zadając odpowiednie pytania, szybko doszedł

do wniosku, że oprycznik, który odwiedził niedawno carską kwaterę pod Moskwą, nie spodziewa się nadciągającej katastrofy. Borys natomiast dokonał ze swojej strony znaczącego odkrycia. Oto Anglik potrzebował ładunku futer, a co więcej, chciał je kupić bez rozgłosu. Borys miał niewiele skór, ale był pewien, że jakoś zdobędzie sporą ich partię. Nadarzyła mu się naprawdę szczęśliwa okazja.

– Przyjeżdż do Ruski – powiedział. – Angielskich kupców jeszcze tam nie widzieli. Mnich Daniil był bardzo zajęty przez całą wiosnę. Ale niepokój go nie opuszczał. Gryzł się, że traci względy opata.

Sam był sobie winien. Żeby zapewnić zyski klasztorowi, za mocno naciskał kupców w Rusce. Nic się przed nim nie ukryło, a i tak kupcy robili wszystko, żeby go oszukać. W rezultacie mnich i handlarze patrzyli na siebie wilkiem, co źle się odbijało na dochodach monasteru.

Od czasu do czasu docierały tam nieśmiałe skargi na mnicha, ale opat, człowiek wiekowy, przestawał jedynie na łagodnych naganach. A gdy Daniil z kolei zapewniał go, że wszyscy mieszkańcy Ruski to oszuści, chętnie dawał mu wiarę.

I sprawy ciągnęłyby się tak pewnie bez końca, gdyby nie to, że żona Stiepana zmarła, co zmusiło popa do wstąpienia do klasztoru.

Nie minęło wiele czasu, a kupcy zaczęli mówić, że byłoby znacznie lepiej, gdyby to Stiepan nadzorował Ruskę.

Opat nie był chętny do działania. Prawdę powiedziawszy, trochę się bał zdecydowanego braciszka.

– Daniil jest bardzo skuteczny – zwierzał się staremu mnichowi, do którego miał zaufanie. – Jeśli odbiorę mu Ruskę – wzdychał – nie wiadomo, do czego się posunie. Gotów jeszcze wywołać jakąś awanturę.

Ale mimo to wygłaszał drobne, ale niezbyt zręczne aluzje.

– Świetnie się sprawiłeś w Rusce, Daniile. Będziemy musieli znaleźć ci jakieś nowe wyzwanie.

Albo:

– Nie czujesz się czasem zmęczony, bracie Daniile?

Wystarczyły dwie takie rozmowy, a Daniil rzucił się w wir gorączkowej aktywności, przez co opat jeszcze bardziej obawiał się go urazić, a jednocześnie był coraz bardziej przekonany, że powinien się go jakoś pozbyć.

Stiepan widział, co się dzieje, ale się nie wtrącał. Nie czuł lęku przed Daniilem i w głębi ducha nie pochwalał jego działań, ale przecież miał wystarczająco wiele dusz, za które powinien się modlić.

No i musiał się zmagać ze swoimi osobistymi problemami.

Niestety, nie zdawał sobie sprawy z siły i desperacji Daniila.

Nadal był proboszczem małego kościółka w Rusce. A wierni wciąż zwracali się do niego po duchowe przewodnictwo, tak jak ich przodkowie do jego ojca i dziadka. Naturalne było, że nadal odprawiał nabożeństwa w domu Jeleny i odwiedzał ją nieco częściej niż dawniej z tej prostej przyczyny, że zabrakło jego żony, która lubiła dotrzymywać jej towarzystwa. Bóg jeden wie, myślał, jak samotne jest teraz jej życie.

Rzeczywiście czuła się samotna. Jesienią pojechała dwa razy do Moskwy, żeby

spotkać się z matką. Za drugim razem popchnęło ją przecucie, że matkę coś trapi. Nie wiedziała jednak, co to może być. Pewnego dnia matka spytała nieoczekiwanie:

– Czy ten twój Borys nadal nam sprzyja?

A gdy Jelena zawahała się, sama nie znając odpowiedzi, matka dorzuciła szybko:

– Nieważne. To i tak nie ma znaczenia. Ale nie mów mu, że cię o to pytałam – dodała po chwili.

– Mam z tobą na jakiś czas zamieszkać? – spytała Jelena. Niechętnie przyjeżdżała dziś do Moskwy, ale wydawało jej się, że matka potrzebuje towarzystwa.

– Może wiosną – odpowiedziała matka z roztargnieniem.

Jelena nie tylko czuła się samotna. Dręczył ją także niepokój. Dlatego każda wizyta księdza wywoływała na jej twarzy uśmiech.

Nie minęło wiele czasu, a zrodziła się między nimi przyjacielska zażyłość, która mogłaby trwać długo, jeśli tylko żadne z nich nie zdradziłoby się słowem czy gestem, że jest trochę, a właściwie więcej niż trochę, zakochane.

Wysoki pop dobiegał już czterdziestki, w jego ciemnej brodzie pojawiały się pierwsze pasma siwizny, ale to czyniło go w jej oczach jeszcze bardziej atrakcyjnym. Podziwiała go – i trudno się dziwić, bo był bardzo przystojnym mężczyzną. A ponieważ oboje doświadczyli już cierpienia, namiętność, którą przeżywali, była bardziej wyważona i przez to potencjalnie potężniejsza niż gwałtowna pasja właściwa młodym.

Czytał jej teksty nabożeństw. Ona się modliła. A czasami rozmawiali ze sobą, choć nigdy nie dotykali kwestii osobistych.

I gdyby los im pozwolił, byłoby to jak zaloty dwojga poważnych ludzi w cieniu burzliwych wydarzeń, których z racji swojej uczciwości nie umieli do końca przewidzieć.

Cóż za szczęśliwe zrządzenie losu, pomyślał Daniil, że Bóg dał mu umiejętność obserwowania dwóch rzeczy jednocześnie.

Gdyby nie to, z pewnością by przeoczył któryś z drobnych, ale bardzo znaczących incydentów, do jakich doszło na targu pewnego październikowego popołudnia.

Pierwszy wiązał się z angielskim kupcem Wilsonem, który poprzedniego wieczoru przybył do Ruski z Borysem. Obaj spędzili trochę czasu z kupcem Lwem, a potem wyruszyli do Gnojowiska. Daniil nie widział ich później; dopiero gdy płynął promem na drugi brzeg do klasztoru, zauważył na ścieżce Anglika pochłoniętego rozmową z popem Stiepanem.

Nie zszedł z promu na drugim brzegu, wrócił, żeby ich śledzić. Co oni knują?

Oni też spotkali się przypadkiem – Wilson wracał do Ruski przed Borysem, a Stiepan wybrał się na przechadzkę. I zaciekawiony obecnością cudzoziemskiego kupca, zarzucił go pytaniami. A Wilson, który dobrze znał się na ludziach, pomyślał, że z tym wykształconym mnichem można bezpiecznie rozmawiać, więc chętnie udzielał mu odpowiedzi.

Nie trzeba było dużo czasu, by rozmowa zeszła na religię. Teraz Wilson zrobił się czujny, ale ksiądz szybko go uspokoił.

– Wiem, kim są protestanci. Przypominają zawołzańską starszyznę. Nasz Kościół też potrzebuje reform, ale na razie nie należy o tym głośno mówić.

I po długiej rozmowie Wilson pokazał w końcu popu jeden ze swoich drukowanych

traktatów.

Stiepan był zachwycony.

– Powiedz mi, o czym to jest – prosił.

Więc Wilson, ku radości poważnego zazwyczaj księdza, przetłumaczył broszurę najlepiej, jak umiał.

Niewielki traktat był obelżywy. Nazywał katolickich mnichów żmijami, pijawkami i złodziejami, wytykał klasztorom bogactwo i próżność, mówił o bałwochwalstwie w nabożeństwach i stawiał wiele innych zarzutów.

– To wszystko jest przeciwko katolikom – zastrzegł się Wilson, ale pop jedynie się roześmiał.

– Do nas to się też odnosi – powiedział i kazał Wilsonowi ponownie przetłumaczyć tekst słowo po słowie, aż nauczył się go na pamięć.

Zanim jeszcze dotarli do miasteczka, kupiec roztropnie schował traktat pod opończą, ale gdy stanęli na skraju placu targowego, gdzie mieli się pożegnać, w geście przyjaźni wsunął Stiepanowi do ręki kawałek papieru.

A cóż mi szkodzi? – pomyślał. Nawet gdyby umieli czytać, i tak by nie zrozumieli z tego ani słowa.

I właśnie ten gest zauważył Daniil.

A w tej samej chwili po drugiej stronie placu zauważył inny drobny ruch.

Wykonał go Karp, syn tego głupkowatego Michaiła.

Przed chwilą pokazał kupcom przybyłym z Włodzimierza po ikony kilka niedźwiedzich sztuczek. Ci zaś rzucili mu parę drobnych monet – Karp zebrał je pieczołowicie z ziemi i wręczył stojącemu nieopodal ojcu.

I tyle. Wszystko. Karp dał ojcu pieniądze i dokładnie w tym samym momencie angielski kupiec wręczył Stiepanowi zadrukowaną kartkę. Dlaczego to było takie ważne?

Dlatego że spostrzegawczy mnich – i tu właśnie jego geniusz objawił się w pełnej krasie – zauważył wyraz twarzy Michaiła i jego syna.

Nie umiałby opisać tego słowami. Byli w zмовie? Możliwe, ale nie tylko to. W postawie i spojrzeniu Michaiła było coś szczególnego, jakaś przekora. I jeszcze coś. Jakby na krótką chwilę ujawnił się w nim charakter syna. On wygląda, pomyślał Daniil, jak człowiek wolny. To wrażenie było ulotne i nieuchwytne. Ale nie mógł się mylić.

Pojął w ułamku sekundy. Oni w tajemnicy zbierają pieniądze.

Zarejestrował w umyśle oba fakty i postanowił dowiedzieć się czegoś więcej.

W listopadzie 1567 roku car Iwan, ledwie wyruszył na północ przez zimowe śniegi, nieoczekiwanie odwołał wyprawę przeciwko krajom nadbałtyckim i pospieszył do Moskwy. Borys powrócił za nim z całym wojskiem.

Odkryto nowy spisek. Konspiratorzy, z cichym przyzwoleniem polskiego króla, zamierzali zabić Iwana na odległych pustkowiach. Była już lista nazwisk zdrajców. Ale nie wiadomo, ilu jeszcze buntowników brało udział w zмовie.

W grudniu oprycznicy przystąpili do działania. Z siekierami ukrytymi pod opończami, z listami nazwisk w dłoniach krążyli po ulicach Moskwy i pukali do kolejnych drzwi. Jednych skazywano na banicję, innych nabijano na pal.

W połowie grudnia oddział opryczników wpadł do domu łysego, krzepkiego

szlachcica Dmitrija Iwanowa. Nie było wśród nich jego zięcia Borysa. Zaprowadzili Dmitrija do kremlowskiej zbrojowni. Stał tam wielki żelazny gar, pod którym płonął ogień. Usmażyli go w tym garze.

Jego śmierć została zapisana na tajnej liście sporządzonej dla cara. Lista ta, na której znalazło się ponad trzy tysiące nazwisk ludzi zabitych w ciągu kolejnych miesięcy, miała nie ujrzeć światła dziennego, nie wolno było nawet wspominać o jej istnieniu.

Jednocześnie wszystkie klasztory w kraju otrzymały nakaz wysyłania carowi spisywanych u siebie kronik. Iwan chciał mieć pewność, że nie zachowa się żaden ślad ówczesnych potworności.

Mnich Daniil był pewny swego, a nawet wesoły.

Dzięki Bogu, półtora wieku wcześniej mnisi spisali naprawdę wspaniałą kronikę. Nie było w niej nic, co mogłoby przynieść carowi wstyd. Wzmianki o Tatarach były obraźliwe, natomiast walczący z nimi moskiewscy książęta jawili się jak bohaterowie.

Pięć lat wcześniej, żeby uczcić zwycięstwo Iwana nad muzułmańskimi chanatami – kazańskim i astrachańskim – klasztor dodał do krzyży na cerkiewnych kopułach półksiężyc, co miało być symbolem tryumfu wojsk chrześcijańskich nad islamem.

Naszej lojalności nie da się kwestionować, myślał Daniil z zadowoleniem.

Nowe czystki w Moskwie przyniosły korzystny dla niego skutek uboczny. Stary opat był tak przerażony tym, co się dzieje, że z trudem wykonywał codzienne obowiązki, a kwestia administrowania Ruską całkowicie umknęła jego pamięci.

Daniil tym bardziej nabrał pewności, że da radę utrzymać swoją pozycję.

Dlatego wczesną wiosną w jego umyśle odżyło dawne pytanie: jak powiększyć klasztorne włości?

Ziemie Borysa, który należał teraz do opryczników, nie wchodziły w grę. Pozostały jedynie grunty położone nieco dalej na północ i będące własnością samego cara. Czy Iwan da się przekonać?

Pomysł nie był wcale głupi. Iwan mocno ograniczył nabywanie ziemi przez Cerkiew, ale sam pozostał bardzo hojnym darczyńcą.

– Uderza na swoich wrogów, a potem daje Kościołowi kawałek ziemi, żeby ocalić duszę – zauważył cynicznie jeden z mnichów.

Czy ostatnie czystki to dobry moment, by zwrócić się do władcy z taką prośbą?

I właśnie z tą myślą Daniil udał się do braciszka spisującego kronikę i zabrał się do pracy.

Dokument, który wyszedł spod ich rąk – i w lutym został podpisany przez przestraszonego opata – był zmyśleniem doskonałym. Przypominał carowi o wielu przywilejach nadanych Cerkwi, i to jeszcze podczas panowania Tatarów. Część tych przywilejów była zwykłym fałszerstwem, z czego Daniil nie zdawał sobie sprawy. Dokument wykazywał lojalność klasztoru i czystość jego kronik. I zawierał gorącą prośbę o tak potrzebne monasterowi nowe ziemie. Napisany wzniosłym kościelnym stylem, był długi, napuszony i pełen błędów gramatycznych.

Jeśli się uda, myślał Daniil, moja pozycja w klasztorze będzie niepodważalna.

Przed wysłaniem dokumentu opat pokazał go z wahaniem Stiepanowi, ale ten jedynie go przeczytał i uśmiechnął się, nie mówiąc ani słowa.

Rankiem dwudziestego drugiego marca 1568 roku w moskiewskim soborze Wniebowzięcia miało miejsce straszliwe wydarzenie.

Podczas sprawowania Eucharystii metropolita Filip odwrócił się nagle do wiernych i w obecności licznie zgromadzonych bojarów i opryczników publicznie zbeształ cara za mordowanie niewinnych ludzi.

Rozwścieczony Iwan uderzył laską w ambonę, ale metropolita się nie cofnął.

– To są męczennicy – oświadczył.

Był to z jego strony akt wielkiej odwagi moralnej. Bojarzy zadrżeli.

– Niedługo sam się przekonasz, co cię czeka – zapowiedział car.

Po paru dniach metropolita schronił się w klasztorze, a Iwan skazywał na śmierć kolejnych zwolenników dzielnego duchownego.

I tak się nieszczęśliwie dla Daniła złożyło, że dzień po tym wydarzeniu przedstawiono carowi jego prośbę o ziemię dla klasztoru w Rusce.

Odpowiedź cara była natychmiastowa i przerażająca. I gdy Danił ją zobaczył, ani on, ani przestraszony opat nie wiedzieli, co robić.

Nadszedł dzień świętego Jerzego.

Michaił, jego żona, syn Karp, dwoje młodszych dzieci i niedźwiedź byli gotowi.

Żniwa skończyły się już dawno. Nie mieli potem dużo do roboty, bo też i sam Bóg, jakby karząc straszliwe czyny władcy, zesłał na Rosję katastrofalne plony.

Nad szarobrazowym krajobrazem unosiły się niesione lodowatym wiatrem maleńkie płatki śniegu i osiadały na wilgotnej, zamarzającej ziemi. Drewniane domy w Gnojowisku śmierdziały pleśnią. Nagie drzewa i nagie pola, pozbywszy się ostatniej zasłony, czekały, aż pokryje je śnieg. Dzień świętego Jerzego, zapowiedź nadchodzącej ponurej zimy.

Michaił i jego rodzina byli gotowi do wyjazdu. Zebrali pieniądze potrzebne na wykup. I w odróżnieniu od innych chłopów nie mieli długów – Michaił spłacił je dyskretnie miesiąc wcześniej. Miał też konia i pieniądze na podróż. Był wolnym człowiekiem. Mógł wyjechać choćby dziś.

Jego plan był ambitny, ale całkiem prosty. Zamierzali dotrzeć lasami do Muromu. Zatrzymaliby się tam do wiosny, a potem wsiedli na łódź i popłynęli Oką do Niżnego Nowogrodu. Tam znaleźliby jakiś statek płynący Wołgą na wschód, ku nowym ziemiom, gdzie żyli wolni osadnicy.

Wiedzieli, że to nie będzie łatwe. Musieli znaleźć sposób na zdobycie pieniędzy, które zapewniłyby im utrzymanie podczas podróży, ale Michaił wierzył, że jakoś sobie poradzi. Liczył też, że niedźwiedź Misza zarobi dla nich parę kopiejek.

Byli gotowi, dobytek mieli spakowany, ale nie mogli ruszyć się z miejsca. Od tygodnia siedzieli w chacie i czekali. Co dzień Michaił albo Karp chodzili do Ruski i co dzień wracali z ponurą miną.

Dziś wypadła kolej Karpa.

– No i co? – spytał Michaił.

Karp pokręcił głową.

– Nic. Ani widu, ani słyhu. – Z całej siły kopnął drzwi, a Michaił, chociaż aż podskoczył, nie zganił go ani słowem. – Przekłęci oszuści!

– Może innego dnia – powiedziała matka bez przekonania.

– Może – mruknął Michaił.

Ale stracił już nadzieję. Oszukano go.

Zasady opuszczania majątku były proste. Chłop musiał spłacić długi, a tydzień przed dniem świętego Jerzego albo tydzień po nim – poinformować pana o zamiarze wyjazdu i wnieść odpowiednią opłatę. To wszystko.

Jednak był w tym mały haczyk. Prośbę o wyjazd oraz opłatę należało złożyć na ręce pana albo jego zarządcy.

A na kilka dni przed wyznaczonym terminem Borys i jego żona wyjechali nagle do Moskwy. Ich dom zamknięto. Michaił natychmiast popędził do Ruski, żeby odszukać zarządcę, ale wrócił blady z oburzenia.

Zarządca i jego żona w tajemniczy sposób zniknęli.

Nigdy wcześniej nie wyjeżdżali z miasteczka. Nikt nie wiedział, dokąd się udali ani gdzie są. Zostawili pusty dom.

Jeszcze wtedy Michaił nie mógł w to uwierzyć. Słyszał, że niektórzy panowie uciekali się do takiego podstępu, ale w Rusce, pod bokiem klasztoru? Przecież to niemożliwe.

A jednak. Mijały dni, a zarządca się nie pokazywał.

– Oni nie mogli wyjechać daleko – mówił ze złością Karp. – Ten zarządca ma w pobliżu jakąś kryjówkę. A gdy będziemy próbowali opuścić ziemię bez zapłaty, pojawi się nagle znikąd z kilkoma zbrojnymi. Bez dwóch zdań tak będzie. Tylko czeka, żeby za nami ruszyć i aresztować nas jako zbiegów. Razem z naszym przeklętym panem wszystko nam zabiorą. Założę się, że teraz też jesteśmy obserwowani.

Karp miał całkowitą rację. Ale ani jemu, ani Michaiłowi nawet przez myśl nie przemknęło, że za wszystkim stoi ich kuzyn Daniil.

A dla Daniila sprawa była prosta.

Po nadejściu przerażającej wiadomości od cara stało się jasne, że cały klasztor, a Daniil w szczególności, będzie potrzebować przyjaciół i sojuszników. Pierwszym, kto mu przyszedł do głowy, był sługa cara Borys.

Sprytny mnich dość szybko wywęszył, że Michaił spłaca po cichu swoje długi. I jeszcze tego samego dnia, gdy to odkrył, udał się do Borysa, by ostrzec go dyskretnie, że jego najlepszy chłop zamierza wyjechać. Podsunął mu też pomysł, jak temu zapobiec.

Borys okazał mu należną wdzięczność.

– Zawsze byłem waszym wiernym sługą, panie – zapewniał go Daniil.

I choć Borys nie dał się zwieść tym zapewnieniom, uznał, że brodaty mnich może mu się przydać.

– Cieszę się – powiedział łaskawie. – I donoś mi o wszystkim.

Minął dzień świętego Jerzego. A potem następny dzień. I następny.

Siódmego dnia Michaił obudził się wczesnym rankiem. I nie był nawet szczególnie zdziwiony, gdy okazało się, że Karp zniknął wraz z koniem. Na stole leżała niewielka kupka pieniędzy.

A trzy dni później chłop z oddalonej o dziesięć kilometrów wioski przyniósł im wiadomość.



– Niedawno Karp przejeżdżał przez naszą wieś. Ale się nie zatrzymał. Powiedział, że zostawił ci pieniądze za konia. I przeprasza, że tylko tyle.

Michaił skinął głową.

– Mówił, dokąd się wybiera?

– Tak. Na Dzikie Pola.

Michaił westchnął. Tak właśnie przypuszczał. Ale może to było najlepsze miejsce dla jego syna.

Dzikie Pola. Otwarte stepy. Ziemie, na których w ciągu ostatnich dziesięcioleci chronili się krnąbrni młodzieńcy, tacy jak Karp, dołączając do band ni to rozbójników, ni to żołnierzy, którzy nazwali się Kozakami.

Tak, Dzikie Pola były dla niego. Michaił wiedział, że już nigdy nie zobaczy syna na oczy.

– Prosi cię, żebyś się zajął niedźwiedziem – powiedział na zakończenie posłaniec.

A jeszcze tego samego dnia dotarła do Ruski inna wstrząsająca wiadomość.

Ludzie cara Iwana zabili metropolitę.

Jelena nie traciła nadziei. Wciąż jeszcze mogła urodzić syna.

To Stiepan ją do tego zachęcał i dodawał Jelenie otuchy. I choć nigdy nie skarżyła mu się na Borysa, pop z łatwością się domyślił, jak wygląda ich wspólne życie. A im bliżej ją poznawał, tym bardziej jej współczuł. Jednak jako duchowny zawsze udzielał odpowiednich rad.

– Bóg wynagradza nas nie za dążenie do osobistego szczęścia – przypominał – ale za wyrzeczenie się siebie. Pan powiedział, że ziemia należeć będzie do ludzi pokornego serca. Dlatego musimy przebaczać. Musimy znosić cierpienie. Ale przede wszystkim musimy mieć wiarę.

Jelena ją miała. Wierzyła, że mimo wszystko Bóg da jej syna. Wierzyła, że pewnego dnia mąż powróci na dobrą drogę. Po zniknięciu ojca przez jakiś czas wierzyła też, że uda się go ocalić. Ale Borys, który przeprowadził krótkie dochodzenie, powiedział, że ojciec został stracony. Nie wspominał jednak, jaka to była śmierć. A Jelenie wydawało się, że mąż był przerażony tym, czego się dowiedział.

Może to go nawróci na drogę cnoty, myślała. Więc modliła się w jego intencji, ale na razie na próżno.

Jak doczekać się syna? Żona popa wspomniała jej kiedyś, że wiejskie kobiety mają na to swoje sposoby. Trzeba było nacierać sobie ciało, zwłaszcza części intymne, olejem wymieszanym z miodem. „Podobno ten sposób nigdy nie zawodzi” – zapewniała ją przyjaciółka.

I tak oto mężczyzna, którego prawdziwie kochała, udzielał jej duchowego wsparcia, a ona przygotowywała się najlepiej, jak umiała, by poświęcić się dla męża, jako że ocalenie jego mrocznej duszy było jej obowiązkiem.

Wiosna 1569 roku przyniosła chłody i zapowiedź słabych plonów. Znad Bałtyku dotarła wieść, że wróg zdobył ufortyfikowane miasto. Wszyscy byli przygnębieni.

Na początku czerwca Daniil przeprowadził kolejną rozmowę z Borysem.

Mnich bardzo się gryzł. Sprawy w Rusce nie układały się najlepiej. Co nie było do końca jego winą. Wydarzenia z ostatnich lat – coraz wyższe podatki z powodu wojen na

północy, zamęt wywołany wprowadzeniem opryczniny, konfiskata ziem – podkopały rosyjską gospodarkę. A to w połączeniu z nieurodzajem wywołało głęboką recesję. Dochody z Ruski gwałtownie spadły, a stary opat zupełnie nie wiedział, co robić. Jednego dnia narzekał na brak pieniędzy, a następnego mówił: „Może jesteśmy zbyt surowi dla ludzi w tych trudnych czasach”.

Danił kilka razy zauważył, jak po takich rozmowach opat patrzy błagalnie na Stiepana. Coś należało zrobić.

No i była jeszcze ta sprawa z listem do cara, która poprzedniej wiosny bynajmniej nie poprawiła reputacji Daniła.

Bo car ani nie odmówił, ani nie przystał na prośbę o ziemie, tylko przysłał dziwną, wręcz obraźliwą wiadomość. Była nią skóra wołu. Posłaniec, który ją przywiózł, młody mężczyzna w czarnym ubraniu, wypełniając co do joty instrukcję cara, na oczach wszystkich mnichów rzucił skórę pod nogi opata i oznajmił drwiąco:

– Rozłóżcie sobie tę skórę, a car da wam całą ziemię, którą ona obejmie.

– To wszystko? – spytał przerażony opat.

– Nie wszystko. Car przyrzeka, że sam przyjedzie, żeby dać wam ziemię, którą wybierzecie, oraz wszystko, na co sobie zasłużyliście.

„To przez ciebie, Daniile – zauważył ze smutkiem opat po wyjeździe posłańca.

– Musimy zatrzymać tę skórę” – dorzucił z westchnieniem.

Skórę złożono w izbie opata, gdzie stanowiła przykre przypomnienie obietnicy, że któregoś dnia car odwiedzi ich osobiście.

Danił postanowił najpierw pokazać Stiepanowi, gdzie jego miejsce. Co nie było trudne.

– Chyba powinniście wiedzieć, panie – oznajmił Borysowi – że po śmierci żony ten pop spędza w waszym domu coraz więcej czasu. – I na wszelki wypadek dodał: – Kiedyś mi wspomnieliście, że on jest heretykiem. Widziałem, jak brał coś od tego Anglika, który z wami przyjechał. Podobno wszyscy Anglicy to protestanci, a ten dał popu kartkę papieru.

Był pewien, że to wystarczy.

Borys nie odezwał się ani słowem.

Dla Borysa był to rok złowieszczych znaków. Lojalność miast na północy, Nowogrodu i Pskowa, budziła poważne wątpliwości. Na południu osmańska Turcja z krymskimi Tatarami szykowała się do wyprawy na ziemie leżące w dolnym dorzeczu Wołgi. A niedawno nadeszły wieści, że dwie wielkie potęgi, Polska i Litwa, które od pokoleń prowadziły wspólną politykę, formalnie połączyły się w jedno królestwo pod panowaniem katolickiego polskiego króla.

– A to oznacza jedno – tłumaczył Jelenie. – Oto od Kijowa aż po Smoleńsk będziemy mieć pod nosem katolików.

Do tego jeszcze otrzymał ostrzeżenie, że żona może go zdradzać z popem. Nic na to nie odrzekł, ale zastanawiał się nad tym przez wiele godzin.

Właściwie nie wiedział, co o tej sprawie myśleć. Owszem, czuł złość i nienawiść do nich obojga – heretyckiego popa i żony. Ale jeśli Daniłowi się wydawało, że w ten sposób okryje hańbą Stiepana albo przynajmniej zabroni mu wstępu do Ruski, to bardzo

się mylił.

Bo Borys postanowił na razie nie robić nic, nakazał jedynie śledzić dyskretnie oboje podejrzanym.

Miał ku temu dwa powody. Przede wszystkim gdy już otrząsnął się z pierwszej fali zazdrości, rozum zaczął mu podpowiadać, że te oskarżenia wcale nie muszą być prawdziwe. Wizyty księdza w jego domu nie były tu żadnym dowodem. Poza tym Borysem kierowała też przebiegłość: gdyby bowiem dowiódł niewierności żony, to mógłby się z nią z czystym sumieniem rozwieść.

Bo spójrzmy tylko na cara Iwana, myślał. Ożenił się powtórnie i z obu małżeństw miał synów. Car doczekał się dziedzica. Więc może z inną żoną, która nie będzie czuła do niego odrazy...

I tak oto w jego małżeństwie nastał nowy czas.

Jelena nie miała pojęcia o jego rachubach ani rozważaniach. Zresztą jak mogła się ich choćby domyślać, skoro zawsze był dla niej trochę obcy? Podejrzenia, jakoby nie była mu wierna, bolały go i budziły jego wściekłość. A jednocześnie pożądał jej przez to bardziej. Czuł się zatem rozdarty między chęcią trzymania jej – kobiety zbrukanej – z dala od siebie a pragnieniem zawładnięcia nią.

Biednej Jelenie nie pozostało więc nic innego, jak tylko myśleć: Cierpi z powodu swoich mrocznych nastrojów, mimo to czasem jestem dla niego ponętna.

I leżąc obok niej, odgradzony pancerzem ukrywanej niechęci i poczucia odrzucenia, niekiedy pragnął wręcz, choć nie zdawał sobie z tego sprawy, by była mu niewierna. Nie umiałby jednak dociec, czy w ten sposób chce się od niej uwolnić, czy raczej daje wyraz destrukcyjnym skłonnościom swojego charakteru.

I tak minął czerwiec.

Po późnych wiosennych przymrozkach pogoda była zmienna. Zanosilo się na bardzo złe plony.

Pod koniec lipca, pewnego upalnego i niezwykle parnego popołudnia, kiedy wiatr, jakby uznawszy bezsensowność jakiegokolwiek podmuchu, zupełnie ustał, Borys wracał konno z gnojowiska do Ruski. Wjechał właśnie na zakurzony plac, gdy w odległości jakichś stu metrów zobaczył popa Stiepana wolno schodzącego po schodach z pierwszego piętra jego domu. Najwyraźniej wychodził od Jeleny.

Serce Borysa zabiło mocniej.

Plac był pusty. Otaczające go drewniane domy i kamienna cerkiew trwały w tęym bezruchu, jakby wyczekiwały na oddech wiatru, który łagodnym pocałunkiem obudzi je na powrót do życia.

Gdy Borys podjechał do domu, Stiepan już się oddalił, z głową zatopioną w medytacji. Na rogu ulicy skręcił i zniknął.

Borys wszedł po cichu na górę i otworzył drzwi.

Stała przy otwartym oknie. Patrzyła na ulicę, tam gdzie jeszcze kilka chwil temu widziała Stiepana. Jej palce, to zauważył, spoczywały nieruchomo na drewnianej framudze okna, oświetlone snopem słonecznego światła. Miała na sobie prostą suknię z błękitnego jedwabiu. On wracał z pola, więc tym razem nie był ubrany na czarno, tylko w białą lnianą koszulę przewiazaną jak u chłopca grubym pasem.

Serce waliło mu z całej siły, ale oddychał cicho i spokojnie. Zastanawiał się, jak długo ona będzie tam stała, patrząc za innym mężczyzną. Nie poruszając się, próbował dostrzec wyraz jej twarzy. Minęła minuta. A potem następna.

W końcu odwróciła się do niego. Miała spokojną twarz, ale na jego widok drgnęła przestraszona. A kiedy patrzył na nią bez słowa, lekko się zaczerwieniła.

– Nie słyszałam, jak wszedłeś.

– Wiem.

Kochała się z nim? Patrzył, szukając jakichś dowodów: dziwnego rumieńca na policzkach, sukni w nieładzie, nieporządku w izbie. Niczego nie zauważył.

– Kochasz go.

Powiedział to bardzo cicho, nie jak pytanie, ale stwierdzenie – jakby oboje byli co do tego zgodni. A potem ją obserwował.

Zaczerwieniła się, mocniej tym razem, smutna i zakłopotana jednocześnie.

– Nie. Nie jako mężczyznę. Jako księdza.

– A czy on nie jest mężczyzną?

– Ależ jest. Do tego pięknym. Pobożnym.

– On się z tobą kocha.

– Nie. Nigdy.

Przyglądał się jej uważnie. Wierzył jej.

– Kłamiesz.

– Nigdy!

Powiedziała „nigdy”. Mogła użyć innych słów. Mogła zapewnić, że nigdy tego nie chciała. Ale powiedziała „nigdy”. A więc pragnęła tego. I kto wie, czy do tego doszło, czy nie. Rozum podpowiadał mu, że to niemożliwe, ale on był zbyt dumny, żeby jej zaufać, skoro mogła go oszukiwać.

Lecz przecież chciał, by była niewierna – mógłby się wtedy z nią rozwieść, czyż nie? Jednak zapomniał o tym, bo oto patrzył na skromną, dość przeciętną kobietę, z którą się ożenił i która niejednym razem głęboko zraniła jego dumę.

Była teraz blada. I drżała ze strachu.

– Nigdy! Obrażasz mnie.

Świetnie. To nawet możliwe. Lecz w tej samej chwili zobaczył w jej oczach coś, czego wcześniej nie widział: błysk pogardy i złości.

Już on jej pokaże. Niespodziewanie zrobił krok do przodu, zamachnął się i uderzył ją w twarz otwartą dłonią. Jej głowa gwałtownie odskoczyła w tył. Jelena krzyknęła z bólu. Odwróciła się do niego ze strachem i złością. Uderzył ją drugą dłonią.

– Brutal! – krzyknęła. – Morderca!

Dość tego!

Uderzył ją. A potem znowu i znowu. A potem ją zgwałcił.

Następnego ranka wyjechał do Moskwy.

We wrześniu 1569 roku zmarła druga żona cara Iwana. Miesiąc później jego kuzyn, książę Włodzimierz, wciąż możliwy następca tronu, został oskarżony o spisek i zmuszony do wypicia trucizny. Zabito też nieszczęsną rodzinę księcia, między innymi jego starą matkę, która mieszkała w zakonie.

A potem nastąpiły jeszcze straszniejsze wydarzenia. Pod koniec roku Iwan odkrył nowy spisek: Nowogród i Psków chciały się odłączyć.

Mogło tkwić w tym ziarno prawdy. Do dziś wiele szczegółów nie jest jasne. Te dwa niezależne dawniej ośrodki, leżące niedaleko portów bałtyckich, rzeczywiście mogły chcieć dołączyć do nowo powstałej unii polsko-litewskiej, żeby uniknąć w ten sposób coraz dotkliwszych podatków i despotycznych rządów Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Zawsze było im bliżej do ruchliwego bałtyckiego wybrzeża niż do zacofanych ziem moskiewskich.

Tak czy inaczej pod koniec 1569 roku Iwan Groźny w asyście licznych oddziałów opryczników wyruszył potajemnie na Nowogród. Nie chciał, żeby miasto wiedziało o jego wyprawie. Nawet dowódca przedniej straży nie wiedział, dokąd zmierzają. Po drodze zabijano każdego napotkanego wędrowca, tak by nie rozeszła się żadna wieść o wyprawie.

A w styczniu na Nowogród spadła kara.

Do dziś nie wiadomo, ilu ludzi zginęło z powodu tortur, na stosach i pod katowskim toporem. Na pewno wiele tysięcy. Nowogród – miasto cenne dla Rusi przez wiele stuleci – doznał takich zniszczeń, że nigdy się już z nich nie podniósł. Większość co znamienitszych mieszkańców Pskowa Iwan zabił, zanim jeszcze tam dotarł, więc w samym mieście kazał ściąć jedynie czterdziestu ludzi i spalić na stosie kilku popów. A potem wrócił do Słobody Aleksandrowskiej.

Wkrótce w Rusce odnotowano dwa drobne, ale znaczące wydarzenia.

Najpierw Jelena urodziła syna. Borys wciąż nie powrócił z nowogrodzkiej wyprawy, więc ona i pop Stiepan sami wybrali imię: Fiodor. I tak ochrzcili chłopca. Jeszcze tego samego dnia pop wysłał do Borysa list, w którym mu o wszystkim donosił.

Drugie wydarzenie dotyczyło mnicha Daniła, który – wciąż żądny bogactw dla klasztoru – w kwietniu 1570 roku powziął pewien plan.

Plan ów miał związek ze skórą wołu przysłaną przez cara. I był tak chytry i śmiały, że później przez wiele stuleci nazywano go „fortelem Daniła”.

Gdy opat o nim usłyszał, zbladł z przerażenia.

*Rok 1571*

Borys spojrział z niezadowoleniem. I miał ku temu powody. Śnieg na targu w Rusce był tak mocno zdeptany, że stwardniał na kamień. Nieliczne stragany, które otwarto tylko z przyzwyczajenia, już się zamykały. Przez zasłonę chmur nie przebił się nawet najmniejszy promień słońca i wcale się na to nie zanosilo. Stragany zamykano i dzień też się kończył.

Patrzył z niezadowoleniem, bo zobaczył Michaiła i jego rodzinę. Stali przy resztkach ogniska, które rozpalono na środku placu targowego. Michaił spoglądał na niego bez gniewu, ale i bez nadziei. No bo też na co mógł liczyć?

Do Wielkiego Postu został jeszcze tydzień. Ale czy to coś zmieniało w ich życiu, skoro już od trzech lat zbiory były bardzo liche? Rano natknął się w Gnojowisku na rodzinę, która jadła mieloną korę brzozy. Kora drzew – ostatnia deska ratunku dla

chłopów, którym skończyło się ziarno. Niektórzy mieli zapasy pozwalające przetrwać dwa nieurodzajne lata. Trzech nie przetrwał nikt.

Klasztor dawał trochę jedzenia najbiedniejszym, ale i te zapasy powoli się wyczerpywały. W kilku miejscach na południu szerzyła się zaraza. A w zeszłym roku z Gnojowiska uciekły dwie rodziny. W innych wioskach ucieczek było jeszcze więcej.

– Ludzie porzucają swoją ziemię – opowiadał Borysowi jeden z właścicieli ziemskich. – A my nic nie możemy na to poradzić.

Dokąd uciekali? Chyba na wschód. Na ziemię nad Wołgą. Ale ilu z nich docierało tam podczas srogiej, lodowatej zimy?

Michaił i jego przeklęta rodzina. Na pewno go nienawidzą.

Od kiedy Karp uciekł z ich koniem, już się nie dorobili. Kupili sobie wprawdzie nowego konia i jakoś przetrwali drugi z rzędu nieurodzaj, ale mocno uszczuplili swoje zapasy pieniędzy. I przestali liczyć na to, że uda im się wykupić. Nie uciekali, bo – jak podejrzewał Borys – Michaił uznał, że małe dzieci prędzej przeżyją w pobliżu klasztoru niż na wschodnich pustkowiach.

A teraz chłop pierwszy się odezwał:

– Dajcie kopiejkę, panie. Chociażby dla niedźwiedzia.

Zauważył gorzką ironię tej prośby. Niech moje dzieci umierają z głodu, ale ulitujcie się nad zwierzakiem.

– Do diabła z twoim niedźwiedziem – mruknął i ruszył dalej.

Niedźwiedź był tak samo wychudzony jak wszyscy chłopci. I dla Michaiła nigdy nie robił takich sztuczek jak dla Karpa. Gdyby głód mu dokuczył, mógłby być naprawdę groźny. Stał teraz wymizerowany, spętany łańcuchem. Dlaczego go nie zabili?

Borys odwrócił się i spojrzał na szarą wieżę strażniczą wznoszącą się nad bramą. Ostatnio chodził tam co dzień. Bo jakby mało było kłopotów, nadeszły wieści, że z południa należy się spodziewać napaści Tatarów krymskich. Na razie nic się nie działo, ale każdego dnia Borys wpatrywał się z niepokojem w horyzont.

Właśnie wracał z wieży. Pod stromym, spiczastym dachem, patrząc przez okienko od wschodu na bezkresny, płaski krajobraz, mógł być sam ze swoimi myślami. Gdzieś tam, daleko, leżały Wołga i odległy Kazań. I wielkie wschodnie imperium cara. Dlaczego po ich świętej krucjacie w ogarniętym mrozem kraju zapanowały głód i zniechęcenie? I gdy tak patrzył na bezkresną szarość, wydawało mu się, że Ruskę połknęły długie mroki zimy. Na horyzoncie nic się nie poruszało. Śnieg, który zawsze uważał za ochronę dla ziemi, przypominał teraz powłokę nieszczęść utwardzaną przez mroźny, przenikliwy wiatr. Wszystko było szare. Z wysokości wieży widział wielkie pole przy Gnojowisku, które wyglądało jak duży, nieoznaczony grób.

A potem myślał o swojej rodzinie i małym Fiodorze. To też wywoływało na jego twarzy grymas niezadowolenia.

Czy chłopak był jego? To pytanie dręczyło go od półtora roku. Tak, to możliwe. Poczęła dziecko tamtego popołudnia, gdy ją pobił i wziął siłą. Ale jeśli to się nie stało tamtego dnia? Jeśli pop obcował z nią wcześniej albo odwiedził ją nazajutrz? Albo w następny dzień?

Przez kolejne miesiące rozmyślał o tym często. Gdy dziecko przyszło na świat,

otrzymał wiadomość nie od żony, ale od popa, który wybrał chłopcu imię. Co więcej, tak samo miał na imię brat Jeleny, którego nienawidził. Kryła się w tym jakaś ironia? Gdy w końcu Borys wrócił do domu, dokładnie obejrzał dziecko. Do kogo było podobne? Trudno powiedzieć. Nie przypominało mu nikogo. Ale z czasem to się może zmienić. Pojawia się różne cechy, które powiedzą mu prawdę. Tego był akurat pewien.

A tymczasem obserwował ich oboje. Pop pogratulował mu z uśmiechem. Była w tym nuta kpiny? Jelena uśmiechnęła się lekko do popa, który stał obok niej jak jakiś opiekun. Czyżby byli w zмовie?

Im bardziej Borys dopuszczał te myśli do siebie, a nawet je pielęgnował, tym bujniej się pleniły, jak jakieś fantastyczne, chorobliwe rośliny, które kwitnąc, nabierały w jego wyobraźni mrocznego piękna, niczym cudowne, czarodziejskie kwiaty ujawniające się raz w roku w największych głębinach lasu. Patrzył na ten kwiat i troszczył się o niego. I gdzieś w ponurych zakamarkach swojego umysłu zaczął go wręcz kochać, jak człowiek, który nauczył się karmić trucizną, a potem zaczął jej pragnąć.

W grudniu, gdy dziecko miało dziewięć miesięcy, nabrał pewności, że syn nie jest jego. Nie wiadomo, czy był to skutek jego spekulacji, czy ciemne kwiaty rośliny, którą pielęgnował, potrzebowały tego przekonania, by cieszyć się jego całkowitym zachwytem, czy też może skłoniło go do tego coś w wyglądzie chłopca – w każdym razie pozbył się wszystkich wątpliwości. I był coraz bardziej przekonany, że twarz dziecka, gdy patrzeć na nią pod pewnym kątem, jest tak samo pociągła jak twarz popa. I ma te same poważne oczy. No i przede wszystkim uszy, niepodobne do uszu ani jego, ani żony. Nie były takie same jak u Stiepana, ale bardziej przypominały jego uszy niż Borysa. Tak czy owak do takiego wniosku doszedł po kolejnym dokładnym obejrzeniu chłopca.

Tego dnia stał samotnie na wieży, zmagając się ze swoimi myślami i patrząc na bezkresne pustkowia, aż w końcu nabrał pewności. Nie jest ojcem dziecka, które raczkuje po podłodze i uśmiecha się do niego. Nie zdecydował jednak, co z tym zrobić.

Ledwo zszedł na dół, gdy usłyszał przy bramie jakiś krzyk. Odwrócił się, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Danił zauważył ich pierwszy: dwoje dużych sań sunących z północy po zamrzniętej rzece. Każde ciągnęły trzy wspaniałe kare konie.

Sanie wyjechały na brzeg i popędziły ku bramie klasztoru.

Dopiero kiedy znalazły się bliżej, zobaczył, że wszyscy siedzący w nich mężczyźni są ubrani na czarno. A gdy byli tuż przy bramie, rozpoznał twarz wysokiej, szczupłej postaci w futrze, która zajmowała miejsce w pierwszych saniach.

Mnich przeżegnał się i w czystym przerażeniu ugięły się pod nim kolana. Padł na twarde śnieg.

W saniach siedział Iwan.

Jak zwykle wyjechał ze Słobody Aleksandrowskiej potajemnie i bez ostrzeżenia. W lodowatej ciszy lasów ręce konie niosły go, czasem w dzień, a czasem w nocy, od klasztoru do klasztoru.

Jego ludzie nie tracili czasu. Wjechali wprost na klasztorny dziedziniec, mnisi nie zdążyli nawet otrząsnąć się ze zdziwienia, gdy wysoka postać wysiadła z sań i ruszyła powoli do refektarza. Car miał na głowie futrzaną stożkową czapkę. W prawej ręce

trzymał długą laskę ze złoto-srebrną główką i żelaznym czubkiem, który zostawiał w śniegu głębokie dziury.

– Wezwijcie opata. – Niski głos rozniósł się echem po zamrzniętym dziedzińcu.

– Powiedzcie mu, że car przyjechał.

Mnisi zadrżeli.

Pięć minut później wszyscy zebrali się w refektarzu. Stary opat stał na przedzie, a za nim osiemdziesięciu mnichów, wśród nich Daniil. Kilkunastu opryczników wraz z carem usadzono przy drzwiach. Iwan zajął miejsce na ciężkim, dębowym krześle i patrzył na wszystkich ponuro. Nie zdjął z głowy futrzanej czapki. Broda niemal dotykała mu piersi, przez co długi nos częściowo zasłaniał usta. Oczy spoglądały podejrzliwie spod krzaczastych brwi to na jednego mnicha, to na drugiego. Długa laska stała obok niego, oparta pod ostrym kątem o tył krzesła.

Przez jakiś czas car milczał.

– A gdzie jest mój wierny sługa Borys Dawidow Bobrow? – spytał cicho.

– W Rusce – odpowiedział ktoś, a potem zamknął usta, jakby to nie był on.

Iwan nie spojrzał ani w prawo, ani w lewo.

– Przyrowadzić go – rzucił bezbarwnym głosem.

Jeden z opryczników zniknął za drzwiami. Na długo zapadła cisza. A potem świdrujący wzrok spoczął na opacie.

– Dostaliście skórę wołu. Gdzie ona jest?

Stary opat wyglądał na przerażonego, ale nie mniejszy lęk ogarnął teraz Daniila. W tym nowym i strasznym świetle, w obliczu samego cara, jego śmiały plan wydał mu się nagle żaloszny. I bezczelny. Poczł chłód w nogach. Żałował, że nie schował się gdzieś pod ścianą.

– Brat Daniil miał się tym zająć – usłyszał głos opata. – Wszystko wam wytłumaczy.

Mnich poczuł na sobie wzrok cara.

– Gdzie jest moja wołowa skóra, braciszku?

Nie miał innego wyjścia.

– Tak jak nakazaliście, gosudarze, posłużyliśmy się nią, żeby wyznaczyć grunt, który Wasza Wysokość w swojej łaskawości gotów jest oddać wiernemu klasztorowi.

Iwan przyglądał mu się uważnie.

– Nie prosicie o więcej?

– Nie, panie, to nam wystarczy.

Car wstał. Wydawało się, że przytłacza wszystkich wzrostem.

– Pokażcie mi.

Pomysł był właściwie genialny. Wiadomość od cara mówiła jasno: mają użyć skóry do wyznaczenia granic gruntu. Czemu więc nie pociąć jej na pasy? A jeszcze lepiej – czemu nie podzielić tych pasów na cieńsze? A może nawet...

Pod koniec lata Daniil zagonił mnichów do pracy. Za pomocą naostrzonych grzebieni i noży dzień po dniu rozcinali skórę nawet nie na wąskie paski, ale dosłownie na nici. A potem ostrożnie nawinęli tę nić na kawałek drewna – po rozwinięciu można było otoczyć nią co najmniej czterdzieści hektarów. W dniu świętego Mikołaja Daniil



wyznaczył grunt.

I oto teraz brnął przez śnieg z nicią nawiniętą na drewniany klocek. Za nim szli Iwan, opat i oprycznicy. Dotarli do pierwszych palików. Danił zaczął rozwijać nić, gdy usłyszał głos Iwana:

– Dość. Podejdź do mnie.

A więc stało się. Wiedział, że czeka go śmierć. Stał przed carem.

Iwan wyciągnął dłoń i chwycił Daniła za brodę.

– Sprytny mnich – powiedział cicho. – Bardzo sprytny. – Spojrzał ponuro na opata.

– Car dotrzymuje danego słowa. Dostaniecie swoją ziemię.

Obaj mnisi uklonili się nisko, modląc się w duchu żarliwie.

– Zostanę tu na noc – ciągnął Iwan. Z namysłem pokiwał głową. – A zanim odjadę, będziecie mogli dobrze mnie poznać.

Odwrócił się. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Bo oto przez śnieg biegła ku nim ubrana na czarno postać.

– Oto nasz wierny sługa Borys Dawidow! – zawołał car. – Ci mnisi mają mnie lepiej poznać i ty mi w tym pomożesz. – Spojrzał na opata. – Chodźmy, czas na nieszpory.

Na dworze zapadał zmrok, gdy w blasku wszystkich świec, jakie udało im się znaleźć, mnisi śpiewali drżącymi głosami.

Naprzeciwko nich stał car odziany w złote szaty przeznaczone na największe święta i z dziwnym, ponurym uśmiechem dyrygował swoją laską. W pewnej chwili przerażony młody mnich zafałszował, a wtedy Iwan wpił w niego wzrok, uderzył laską w podłogę i nakazał zacząć pieśń od początku.

Nabożeństwo ciągnęło się długo. Dwukrotnie, jakby pod wpływem nagłych konwulsji, Iwan odwracał się, puszczał laskę, która uderzała z trzaskiem o posadzkę, i padał krzyżem, tłukąc głową w kamienne płyty i wołając:

– *Gospodi, pomiluj!* Panie, zmiłuj się!

Po chwili jednak wstawał, brał do ręki laskę i zaczynał dyrygować chórem mnichów, jak gdyby nic się nie stało.

W końcu nabożeństwo się skończyło. Wstrząśnięci mnisi rozeszli się do swoich cel, a Iwan wrócił do refektarza i zażądał jedzenia i picia dla siebie, Borysa i innych opryczników.

Posłał też po opata i Daniła, którym kazał stanąć w progu.

Danił odniósł wrażenie, że car wygląda dziwnie. Jakby nabożeństwo wprowadziło go w stan szczególnego ożywienia. Miał nabiegłe krwią oczy, ale był trochę nieobecny, jakby wkroczył do innego świata, a jego ciało jedynie drwiąco zachowywało pozory ziemskiej egzystencji.

Carowi podano najlepsze wino i całe jedzenie, jakie udało się znaleźć w klasztorze. Przez kilka minut Iwan posilał się w milczeniu. Siedzący obok oprycznicy pierwsi próbowali wszystkiego, by się upewnić, że jedzenie nie jest zatrute. Oni też nic nie mówili, podobnie jak Borys, którego car posadził naprzeciwko siebie.

W końcu Iwan podniósł wzrok.

– A więc, opacie, chcieliście mnie oszukać na czterdzieści hektarów dobrej ziemi – stwierdził ze spokojem.

– Nie oszukać, gosударze – zaczął opat drżącym głosem.

– Ty i ten twój zarośnięty pies – ciągnął Iwan. – Więc teraz nauczycie się, że to car wynosi i car strąca, to car daje i odbiera. – Spojrzał na nich z pogardą. – Zgłodniałem po drodze – powiedział monotonnym głosem. – Ale w lasach nie ma jeleni. Dlaczego?

Opat był zaskoczony.

– Tej zimy jeleni jest mało. Ludziom brakuje jedzenia, więc...

– Nakładam na was karę w wysokości stu rubli – oznajmił Iwan spokojnie. Odwrócił się do Borysa. – Czy można się tu jakoś zabawić, Borysie?

– Miałem chłopą, który pięknie grał i śpiewał, tyle że umarł wiosną. – Borys się zawahał. – Ale jeden z moich ludzi ma niedźwiedzia, który zna kilka sztuczek. Chociaż nie idzie mu za dobrze.

– Niedźwiedzia? – Iwan nagle się rozweselił. – To już lepiej. Weź sanie i przywieź ich tutaj, mój dobry Borysie. I to zaraz.

Borys wstał i podszedł do drzwi. Był już na progu, gdy Iwan, upiwszy łyk wina, zawołał:

– Stać! – Rozejrzał się, żeby zobaczyć reakcję obecnych. – Weź dwoje sań, Borysie. Moje i jakieś inne. W pierwszych posadzisz niedźwiedzia. Odziejesz go w moje futra. I załóż mu moją czapkę. – Zdjął z głowy wysoką czapkę i rzucił ją Borysowi. – Niech car wszystkich niedźwiedzi złoży wizytę carowi całej Rosji.

Ryknął śmiechem, a oprycznicy za nim, waląc talerzami w stół.

– A teraz – odezwał się do opata, a biedny Danił zauważył, że w ułamku sekundy z twarzy cara zniknęło całe rozbawienie – powiedz temu kudłatemu łotrowi, który stoi obok ciebie, żeby mi przyniósł słój pcheł.

– Pcheł, mój panie? – wymamrotał opat. – U nas nie ma pcheł.

– Powiedziałem: słój pcheł! – Iwan wstał nagle i podszedł do nich, stukając laską o podłogę.

Górował nad nimi obydwoma. Danił dostrzegł z przerażeniem, że car ma mocniejszą budowę, niż się wcześniej wydawało. Jego lęk wzmógł się jeszcze bardziej.

– Pcheł! – ryknął Iwan. – Kiedy car rozkazuje, nieposłuszeństwo jest zdradą. Pcheł! – Uderzył laską o podłogę tuż przed opatem. – Pcheł! Siedem tysięcy, ani jednej mniej!

To była jego stara sztuczka: żądać niemożliwego. Opat tego nie wiedział, ale car już wcześniej domagał się pcheł. Starzec zadygotał, a Daniłowi się zdawało, że zaraz dostanie ataku serca i umrze.

– Nie mamy pcheł, panie – odezwał się Danił. Próbował mówić spokojnym głosem, ale z jego gardła wydobył się ochryply szept.

Iwan odwrócił się do niego.

– W takim razie dostajesz karę. Sto rubli – powiedział cicho.

Danił otworzył usta, żeby zaprotestować. Ale przypomniał sobie, że niedawno car kazał przywiązać takiego mnicha jak on do beczułki z prochem, a potem ją podpalić, więc zamilkł, modląc się, by nikt nie zauważył jego pierwszego odruchu.

Car wrócił do stołu, dając znak, że obaj mnisi mają pozostać na miejscu.

A potem, zupełnie ich ignorując, zaczął rozmawiać i śmiać się z ubranymi na czarno oprycznikami. Wspominał coś o innym klasztorze, o czymś – Danił nie usłyszał

dokładnie – co przytrafiło się jakiemuś mnichowi. Oprycznicy wybuchnęli śmiechem, a Danił poczuł na plecach lodowaty powiew.

Minęło pół godziny. Car pił bez przerwy, ale nie tracił nad sobą kontroli. Za każdym razem, gdy podnosił kielich do ust, Danił widział błysk wysadzanych klejnotami pierścieni. Iwan co chwila rozglądał się podejrzliwie, przeszywając wzrokiem cienie w dużej izbie.

– Przynieść więcej świec – rozkazał. – Ma być jasno. – Najwyraźniej nie ufał ciemnościom.

Przyniesiono świeczniki z cerkwi i rozstawiono je w rogach refektarza.

Zaraz potem przy drzwiach zrobiło się zamieszanie i jeden z oprychników oznajmił, że niedźwiedź nadjeżdża. Pod przewodnictwem cara wyszli mu na spotkanie.

Był to groteskowy widok. Na dziedzińcu pojawiło się czterech ludzi z płonącymi pochodniami, a za nimi sanie. Przerażeni mnisi wyglądali ukradkiem przez okna.

W saniach siedział niedźwiedź. Jego wychudzone ciało okrywało wspaniałe sobolowe futro. Na głowie miał stożkowatą czapkę cara. Borys powiesił mu na szyi złoty krucyfiks, który zabrał z kaplicy.

Zbity z tropu Michaił kazał niedźwiedziowi wejść na tylnych łapach do refektarza.

– Kłaniać się! – krzyknął Iwan do mnichów. – Kłaniać się carowi wszystkich niedźwiedzi!

Osobiście zaprowadził zwierzę do swojego krzesła, gdzie kazano mu usiąść. A potem, w szyderczej ceremonii, Iwan nakazał wszystkim, także opatowi, pokłonić się nisko przed niedźwiedziem, który wciąż miał na sobie futro i czapkę.

– Podejdz tu, chłopie – rzucił Iwan ostro do Michaiła. – Pokaż nam parę sztuczek.

Nie było to wielkie przedstawienie. Car i jego ludzie usiedli, a Michaił wydawał zwierzakowi kolejne polecenia. Miska stawał na tylnych łapach, tańczył niezgrabnie i klaskał. Sprawiał żaloszny widok, skóra zwisała mu z wychudzonego ciała. Iwan szybko się znudził i kazał Michaiłowi stanąć z niedźwiedziem w rogu.

Zapadła noc. Zasłona chmur rozerwała się w kilku miejscach, tu i tam zaczęły przeświecać gwiazdy. Iwan popadł w zamyślenie, jedynie od czasu do czasu nakazywał Borysowi dolewać wina.

– Powiadają – mruknął cicho – że abdykuję i pójdę do klasztoru. Słyszałeś o tym?

– Tak, panie. Wasi wrogowie tak mówią.

Iwan pokiwał powoli głową. W początkowym okresie oprychniny wielu bojarów podpowiadało mu to rozwiązanie.

– Ale to prawda – ciągnął cicho. – Ci, których Bóg wybrał, by panowali nad ludźmi, nie otrzymali wolności, ale straszliwe brzemię. Nie pałac, lecz więzienie. – Umilkł. – Żaden władca nie jest bezpieczny, Borysie. Nawet ja, wybrany przez Boga, by rządzić ludźmi zgodnie ze swoją wolą, nawet ja muszę obserwować cienie na ścianie, bo któryś z nich może dzierżyć nóż. – W zamyśleniu napił się wina. – Może życie mnicha jest lepsze.

Siedząc przy carze Iwanie, Borys też czuł przytłaczającą ciszę cieni. Pił do dna, ale wciąż miał jasny umysł. I wkroczywszy do mrocznego świata władcy, którego tak podziwiał, zamiast pomieszania doznawał coraz głębszego smutku. On też, choć

w znacznie mniejszej skali, wiedział, co to znaczy być nękanym przez nocne zdrady i fantasmagorie. Wiedział, że przerażający upiór nocy może się okazać żywy w zimnym świetle świtu.

Zabiją go, pomyślał, jeśli on nie zabije ich pierwszy.

I oto teraz siedział na wprost tego wielkiego, nękanego zgryzotami człowieka, swojego cara, który znów zaszczycał go intymnymi zwierzeniami. Jakże pragnął dzielić życie z tym władcą, tak mu bliskim, a przecież tak potężnym, tak straszliwym, a jednocześnie przenikliwie mądrym! Car umiał wejrzeć w najciemniejsze zakamarki ludzkiej duszy.

Pili w milczeniu.

– Powiedz mi, Borysie: co mamy zrobić z tym mnichem szubrawcem, który ukradł carowi ziemię? – spytał w końcu Iwan.

Borys zastanowił się. Rozumiał, że car czyni mu tym pytaniem zaszczyt. Nie darzył Daniła sympatią, ale wiedział, że musi udzielić mądrej odpowiedzi.

– On się może przydać – odrzekł w końcu. – Kocha pieniądze.

Iwan spojrzał na niego z uwagą. Oczy jeszcze bardziej nabiegły mu krwią, ale wzrok miał nadal przenikliwy. Wyciągnął rękę i dotknął ramienia Borysa.

– Dobrze powiedziane. – Uśmiechnął się ponuro. – Trzeba wytrzepać z niego trochę monet.

Dał znak dwóm oprycznikom, a potem przekazał im szeptem polecenie. Podeszli do mnichów i bez słowa wyprowadzili Daniła na zewnątrz.

Borys wiedział, co się z nim stanie. Zwiążą go, powieszą głową w dół i będą bić, dopóki nie powie, gdzie schował klasztorne pieniądze. Popi i mnisi zawsze mieli ukryte zasoby i dość szybko je oddawali. Borys wcale mu nie współczuł. To była najmniejsza kara wymierzana przez Iwana. Danił zasłużył na więcej.

Ale car dopiero zaczynał.

Wystarczył mały znak, mimowolne mrugnięcie jego lewej powieki, by Borys pojął, na co się zanoszą. Słyszał od innych opryczników, że często dochodziło do tego po nabożeństwie. Ten znak oznaczał, że car jest w nastroju do wymierzania kar.

– Powiedz mi, Borysie – zaczął cichym głosem – czy tu jest ktoś, komu nie wolno ufać.

Borys milczał.

– Przypomnij sobie przysięgę – mruknął Iwan. – Przyrzekłeś mówić swojemu carowi wszystko, co wiesz.

To prawda. Nie powinien się wahać.

– Podobno w klasztorze jest mnich winny herezji.

Stiepan był zaskoczony, gdy czterech obcych mężczyzn przyszło przeszukać jego celę.

Szukali dokładnie. Byli systematyczni i dobrze wyszkoleni. Przetrasnęli kufer, w którym trzymał kilka przedmiotów przyniesionych z dawnego domu. Obejrzelili ławę, na której spał, przepatrzyli skromne odzienie, sprawdzili ściany i pewnie zaczęliby zrywać podłogę, gdyby pomiędzy dwoma balami w ścianie nie znaleźli akurat tego, czego szukali: małej broszurki.

Dziwne. Stiepan niemal zapomniał o jej istnieniu. Nie brał jej do ręki od kilku miesięcy, a trzymał ją tylko dlatego, by przypominała mu od czasu do czasu, co mówią o bogatyh mnichach ludzie, którym wolno się wypowiadać.

Mógłby nawet udawać, że nie wie, co to jest, gdyby jeszcze tego samego dnia, kiedy Wilson mu ją wręczył, nie zapisał na marginesie tłumaczenia, żeby go nie zapomnieć.

Zaciągnęli go do refektarza i pokazali broszurę carowi.

Iwan przeczytał ją powoli. A potem na głos. Od czasu do czasu zatrzymywał się i niskim głosem wykazywał Stiepanowi istotę haniebných herezji zapisanych czarno na białym.

Bo choć protestantów, czyli między innymi angielskich kupców, tolerowano, jako że byli cudzoziemcami, do tego lepszymi niż katolicy, to Iwan czuł się głęboko urażony treścią ich pism. Przecież on, car prawosławia, nie może pochwalać tych wszystkich bezczelnych argumentów sprzeciwiających się autorytarnej władzy. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej, latem, pozwolił jednemu z tych heretyków, husycie z Polski, wyłożyć ich poglądy przed całym dworem. A potem udzielił mu wspaniałej odpowiedzi. Spisano ją na kartach pergaminu i dostarczono niedouczonemu cudzoziemcowi w wykładanej klejnotami skrzynce. W potoczystych zdaniach car prawosławia raz na zawsze zmiażdżył bezczelnego heretyka.

„Módlmy się do naszego Pana Jezusa Chrystusa – zakończył – by chronił Rosjan przed ciemnotą waszych podłych doktryn”.

I oto teraz ten wysoki, poważny mnich ukrywa takie samo plugastwo w klasztorze. Skończywszy czytać broszurę, Iwan spojrzał ze złością na Stiepana.

– No i co ty na to? – spytał. – Wierzysz w te słowa?

Stiepan popatrzył smutno na cara. Co miał mu odpowiedzieć?

– To są poglądy cudzoziemców – powiedział w końcu.

– A mimo to trzymasz je w swojej celi.

– Jedynie z ciekawości.

Była to prawda. W jakimś sensie.

– Z ciekawości. – Car powtórzył to słowo z wyraźnie zamierzoną pogardą.

– Zobaczymy, mnichu, co ciekawego dla ciebie znajdziemy.

Zerknął na opata.

– Trzymasz w swoim klasztorze dziwných mnichów – rzucił.

– Nic o tym nie wiedziałem, panie – odparł starzec żałośnie.

– A mój wierny Borys Dawidow wiedział. I co ja mam myśleć o takim zaniedbaniu? – Zamilkł na chwilę. – Nie potrzebuję kościelnego sądu, żeby się tym zająć, prawda, opacie?

Opat patrzył na niego bezradnie.

– Dobrze uczyniłeś, Borysie – westchnął Iwan – ujawniając tego potwora.

Bo w rzeczy samej nawet Borys osłupiał, słysząc odczytywany przez Iwana tekst broszury.

– Jak my go zatem ukarzymy? – zastanawiał się car na głos, rozglądając się po refektarzu. I nagle, zobaczywszy to, czego szukał, wstał z krzesła. – Chodź, Borysie – powiedział. – Pomożesz mi wymierzyć sprawiedliwość.

Trochę to trwało, ale nawet wtedy Borys nie czuł litości. Wszystko, co zrobili tej straszliwej nocy, ciężkiej od wina i spowitej hipnotyczną mocą cara, wydawało mu się ostateczną, słuszną zemstą za całe zło, które wycierpiał.

Niech ten pop umrze, myślał. Niech ta heretycka żmija umrze na tysiąc sposobów.

Widział wiele znacznie gorszych śmierci. Jednak ten akurat sposób najwyraźniej rozbawił cara.

Cicho, niemal miękko, Iwan podszedł do Michaiła i wyjął mu z ręki łańcuch, na którym prowadzony był niedźwiedź.

– Chodź, Misza – powiedział łagodnie. – Chodź, Misza, carze wszystkich niedźwiedzi. Car Rosji ma dla ciebie zadanie. – I podprowadził go do popa.

Skinął na Borysa głową, a ten szybkim ruchem przypiął drugi koniec łańcucha do paska Stiepana. I teraz człowiek i zwierzę stali związani ze sobą w odległości dwóch kroków.

Car objął Borysa za ramię i zaprowadził go do stołu. A potem zawołał do innych opryczników:

– Niech dobry car niedźwiedzi zajmie się tym heretykiem.

Początkowo nie szło im łatwo. Stiepan opadł bez słowa na kolana, dotknął czołem podłogi, a potem wstał, czyniąc na piersi znak krzyża, i z głową pochyloną w modlitwie znieruchomiał przed niedźwiedziem. Nieszczęsne zwierzę, choć głodne i wychudzone, spoglądało z przestachem na boki.

– Weźcie moją laskę – rozkazał Iwan.

Oprycznicy otoczyli popa i niedźwiedzia, szturchali to jednego, to drugiego, popychali człowieka ku bestii, którą dźgali żelaznym czubkiem laski cara.

– Hajda! Hajda! – krzyczał Iwan. Był to okrzyk tatarskich woźniców, ulubiona zachęta cara. – Hajda!

Dźgali człowieka i zwierzę. Judzili niedźwiedzia tak długo, aż zdezorientowany i rozwścieczony, oślepiiony bólem, ruszył na przywiązanego do niego człowieka, bo nikogo innego nie mógł dosięgnąć. A Stiepan, krwawiąc od ciosów potężnych pazurów, bezskutecznie próbował się przed nimi bronić.

– Hajda! – wołał car. – Hajda!

Ale niedźwiedź wciąż nie mógł go dobić, więc w końcu Iwan dał znak swoim ludziom, by wywlekli Stiepana na dziedziniec i tam dokończyli egzekucji.

Jednak noc jeszcze się nie skończyła. Car Iwan nie miał wcale dość.

– Nalej mi wina – rozkazał Borysowi. – I usiądź przy mnie, mój przyjacielu.

I wydawało się, że car zapomniał o obecności innych ludzi, że zapomniał nawet o popie, którego właśnie kazał zabić. Wpatrywał się markotnie w swoje pierścienie.

– Spójrz, to jest szafir – powiedział. – Szafiry mnie chronią. A to rubin. – Wskazał na duży kamień w pierścieniu na środkowym palcu. – Rubin czyści krew.

– Nie macie diamentów, gosударze – zauważył Borys.

Iwan pochylił się i wziął go łagodnie za rękę, obdarzając uśmiechem, który wyrażał zadziwiającą bliskość i szczerłość.

– Ludzie mówią, że diamenty chronią przed złością i lubieżnością, ale mnie nigdy się nie podobały. Choć może powinny.

Borys aż chciał się uszczypnąć, by upewnić się, że to nie sen – że naprawdę siedzi obok cara i rozmawia z nim jak z bratem, że są sobie bliscy jak kochankowie.

– Proszę. – Iwan zdjął z palca pierścień. – Weź go do ręki, potrzymaj. – Po dłuższej chwili go odebrał. – Wszystko w porządku. To turkus. Gdyby zmienił kolor, to by oznaczało twoją śmierć. A patrz. – Uśmiechnął się. – Kolor jest taki, jak był.

Przez kilka minut car siedział w milczeniu. A Borys nie chciał wytrącać go z zamyślenia.

Nagle Iwan odwrócił się do niego.

– Dlaczego nienawidziłeś tego popa? – spytał.

Borys wstrzymał oddech. W tym pytaniu nie było nieżyczliwości, wręcz przeciwnie.

– Jak to poznaliście, panie?

– Zobaczyłem to na twojej twarzy, przyjacielu, kiedy go wprowadzono. – Znow się uśmiechnął. – Z niego naprawdę był heretyk. Zasłużył na śmierć. Ale i tak zabiłbym go dla ciebie.

Borys opuścił wzrok. Słyszając te słowa w ustach cara, poczuł głębokie wzruszenie. Car może i budził przerażenie, ale był jego przyjacielem. Aż nie mógł w to uwierzyć! Łzy napłynęły mu do oczu. Nawet nie wiedział, jak bardzo czuł się samotny przez te wszystkie lata.

Nagle poczuł wielkie pragnienie, by wyjawić swoje smutne tajemnice carowi, który tak się o niego troszczył. Komu miałby o tym powiedzieć, jeśli nie bożemu pomazańcowi, obrońcy jedyne prawdziwego Kościoła?

– Wy, gosudarze, macie syna, który podtrzyma wasz ród – zaczął. – A ja nie mam.

– Masz jeszcze czas, by spłodzić wielu synów, przyjacielu, jeśli taka będzie wola boża – mruknął car. – A więc nie masz syna? – spytał ze zdziwieniem.

Borys pokręcił powoli głową.

– Tego właśnie nie wiem. Niby mam syna, a jednak wydaje mi się, że go nie mam.

Iwan przyglądał mu się uważnie.

– Chcesz powiedzieć... że ten ksiądz?

Skinął głową.

– Tak mi się wydaje.

Iwan podniósł do ust kielich z winem, nie mówiąc ani słowa.

– Możesz mieć innych synów – powiedział, spoglądając znacząco na Borysa. – Ja miałem dwie żony. Obie dały mi synów. Nigdy o tym nie zapominaj.

Borys zacisnął wargi. Emocje uwięzły mu w gardle. Skinął głową.

Wzrok Iwana przesuwiał się powoli po refektarzu. Oczy miał lekko szkliste. Wydawało się, że odpływał myślami daleko.

Po dłuższej chwili wstał. Borys zerwał się pospiesznie, ale Iwan jednym królewskim gestem nakazał mu paść przed sobą na twarz. A potem łagodnie uniósł skraj swojej szaty i narzucił ją Borysowi na głowę, tak jak pan młody narzuca swój płaszcz na pannę młodą podczas ceremonii ślubnej.

– Car jest twoim jedynym ojcem – oznajmił łagodnie. A potem, zwracając się do pozostałych opryczników, zawołał: – Przynieście nam nasze opończe! I czekajcie tu na

nas! – Włożył sobolowe futro i futrzaną czapkę, po czym odezwał się cicho do Borysa:  
– Chodź za mną.

Na niebie świeciło coraz więcej gwiazd. Noc była głęboka. Szare, poszarpane chmury płynęły wolno ponad klasztorem. Car Iwan, stukając laską w zamarznęty śnieg, parł przez pusty dziedziniec niczym statek z rozwiniętymi żaglami i minawszy bramę, skierował się ku rzece. Borys szedł tuż za nim.

Car kroczył z powagą po ścieżce wydeptanej na grubym lodzie i prowadzącej do miasteczka.

Wokół panowała cisza. Wieża strażnicza ze stromym dachem rysowała się wyraźnie na tle plam rozgwieźdzonego nieba.

Iwan poprowadził go bez słowa ku bramie. Boczna furka, pilnowana nocą przez jednego strażnika, wciąż była otwarta. Wszedł na oświetlony gwiazdami plac targowy.

– Który to twój dom? – zwrócił się do Borysa.

Ledwie Borys pokazał, car natychmiast się odwrócił. Szedł długimi krokami przez puste targowisko; jedynym dźwiękiem w całej wsi był stukot jego długiej laski i cichy szelest szat.

Borys był ciekaw, co Iwan zamierza.

Car dotarł do cerkwi, której kopuła lśniła lekko w świetle gwiazd, ale się nie zatrzymał. Podążał dalej ulicą, aż w końcu Borys rzucił się biegiem, by otworzyć przed nim drzwi swojego domu. Dopiero teraz Iwan się zatrzymał.

– Zawołaj swoją żonę. Niech tu zejdzie bez zwłoki – nakazał donośnym głosem.

Nie mając pojęcia, na co się zanoszą, Borys wbiegł po schodach na górę i otworzył drzwi.

W rogu paliła się pojedyncza lampka. Jelena drzemała, trzymając dziecko w objęciach. Drgnęła, widząc w drzwiach pobladłą twarz Borysa. Ale zanim któreś z nich zdążyło cokolwiek powiedzieć, z dołu rozległ się głos Iwana:

– Każ jej natychmiast zejść. Car czeka.

– Chodź – szepnął Borys.

Zaskoczona i nie do końca rozbudzona Jelena wstała. Miała na sobie jedynie długą wełnianą sukienkę i filcowe kapcie. Trzymając w ramionach śpiące niemowlę, podeszła do szczytu schodów, nie rozumiejąc, co się dzieje.

Patrzyła na Borysa, a potem opuściła wzrok na jego dłonie i zamarła z przerażenia. On też spojrzął w dół.

Wcześniej tego nie zauważył. Musiało się to stać, gdy drażnił niedźwiedzia.

– Masz krew na rękach – krzyknęła.

– Zaszytyletowałem twoje psy. Za głośno szczekały na nocnego gościa – rozległ się z dołu niski głos. Był to stary, gorzki rosyjski żart. – Zejdźcie na dół – dorzucił głos.

Odwróciła się do Borysa.

– Kto to?

– Rób, co ci każe – ponaglił ją szeptem. – Pospiesz się.

Z wahaniem zaczęła schodzić po schodach.

– A teraz zbliż się – rozkazał łagodnie car.

Poczuła na twarzy lodowaty podmuch i próbowała okryć dziecko. Podeszła do



wysokiej postaci, nie wiedząc nawet, jak powinna ją powitać.

– Pokaż dziecko – powiedział Iwan. – Daj mi je na ręce. – I oparłszy łaskę o siebie, wyciągnął ramiona.

Niechętnie podała mu dziecko. Wziął je ostrożnie. Poruszyło się, ale nie obudziło. Pod mrocznym wzrokiem cara Jelena cofnęła się nerwowo o krok.

– A więc, Jeleno – odezwał się z powagą Iwan – czy ty też wiedziałaś, że pop Stiepan był heretykiem?

Zadrżała gwałtownie na całym ciele. I właśnie w tej chwili w chmurach otworzyła się wielka szczelina i całe niebo nad Ruską przejaśniało. Widoczny nad bramą półksiężyc oświetlił ulicę wątlm blaskiem. Iwan widział jej twarz wyraźnie. Borys stał po jego lewej stronie.

– Ten pop heretyk już nie żyje – powiedział car. – Nawet niedźwiedź nie mógł z nim wytrzymać.

Nie mylił się. Widział jej minę. I nie chodziło jedynie o przerażenie, którym wiele kobiet reaguje, słysząc o czyjejś makabrycznej śmierci. Wyglądała tak, jakby otrzymała bolesny cios. Nie miał wątpliwości: kochała go.

– Nie cieszysz się, że wróg cara nie żyje?

Nie umiała na to odpowiedzieć.

Przeniósł wzrok na dziecko. Było to jasnowłose niemowlę niemające nawet roku. I wciąż spało. Przyglądał mu się uważnie w świetle księżyca. Jego rysy nic jednak nie mówiły.

– Jak temu dziecku na imię? – spytał.

– Fiodor – szepnęła.

– Fiodor. – Pokiwał powoli głową. – A kto jest jego ojcem?

Ściągnęła brwi. O czym on mówi?

– Mój wierny sługa czy ten pop heretyk?

– Pop? A kto miałby być jego ojcem, jak nie mój mąż?

– No właśnie, kto?

Wyglądała na niewinną, ale zapewne łągała. Kobiety są kłamliwe. A jej ojciec, przypomniał sobie, był zdrajcą.

– Nie wolno oszukiwać cara – powiedział śpiewnie. – Zapytam jeszcze raz: kochałaś Stiepana, heretyckiego księdza, którego słusznie zabiłem?

Otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, ale ponieważ go kochała, a ta wysoka postać budziła w niej przerażenie, nie umiała wydobyć z siebie słowa.

– Niech zdecyduje Borys – powiedział i odwróciwszy się do niego, spytał: – Jaki jest twój osąd, przyjacielu?

Borys milczał.

Stojąc pomiędzy nimi, patrząc na dziecko, które było mu w połowie obce, czuł w głowie wielki kłęb myśli i emocji. Czyżby Iwan otwierał przed nim drogę wyjścia, rozwód? Niewątpliwie car mógłby to doprowadzić do skutku. Opat wykona każde jego polecenie.

W co ma wierzyć? Kochała popa, a unikała męża. Tak i na wiele innych sposobów go upokarzała, próbowała zniszczyć jego dumę, bez której – jakże miało być inaczej?

– nie istniał. Nagle cały wieloletni żal zalał go jedną wielką falą. Musi ukarać wiarołomną.

Poza tym gdyby teraz się ugiął, gdyby uznał dziecko, ona by wygrała. Odniosłaby nad nim ostateczne zwycięstwo. Śmiałyby się z niego po wsze czasy, a on, dziedzic szlachetnej starej tamgi z Trójzębem, leżałby w piasku u jej przeklętych stóp. A z nim wszyscy jego przodkowie. Na tę myśl zalała go nowa fala gniewu.

A co mu car powiedział? Co mu dał tak znacząco do zrozumienia? „Możesz mieć innych synów”. Oczywiście. Innych synów z inną żoną. Dziedziców. A ten chłopiec... Nieważne, kto jest jego ojcem, niech cierpi. Bo tylko tak można zadać jej ból.

Ukarze ją i dziecko choćby własnymi rękami. W tej ciemnej, nieprzeniknionej nocy czuł, że tego właśnie pragnie.

– Dziecko nie jest moje – powiedział.

Iwan się nie odezwał. Wziął laskę do prawej ręki. Na lewym ramieniu trzymał dziecko, które zaczęło płakać. Przycisnął je do swojej ciemnej brody i ze stukotem laski ruszył ku bramie.

Borys, nie wiedząc, co robić, ruszył w pewnej odległości za nim.

Co się dzieje? Przeżrana i zdezorientowana Jelena powoli zaczynała pojmować sens wypowiedzianych przed chwilą słów. Trzęsąc się z zimna, patrzyła za obydwojma mężczyznami.

– Fiodor! – Jej krzyk wypełnił oblodzony plac. – Fiedia! – Ślizgając się w filcowych kapciach, z trudem chwytając równowagę, rzuciła się szaleńczo za nimi. – Co chcecie zrobić?

Żaden z nich się nie obejrzał.

Dogoniła Borysa, chwyciła go za ramię, ale odepchnął ją tak mocno, że upadła.

Car Iwan doszedł do bramy. Śmiertelnie przeżony strażnik kłaniał mu się nisko z dłonią na sercu.

Iwan pokazał na drzwi wieży.

– Otwieraj!

Wciąż trzymając dziecko na ręku, wszedł do środka i zaczął się wspinać powoli po schodach.

Zagradzali jej drogę. Jej mąż i ten głupi strażnik zagradzali jej drogę u stóp wieży.

Nagle pojęła wszystko. Instynktownie zrozumiała, zobaczyła potworności ukryte w mrocznym labiryncie ich umysłów.

Niepomna na nic, rzuciła się z pazurami na obu i walcząc jak dzikie zwierzę, minęła ich, zatrzasnęła za sobą ciężkie drzwi i zasunęła rygiel.

Wbiegła po schodach.

Słyszała go w ciemności nad sobą – skrzypienie stopni pod jego krokami, stuk żelaznej laski na co drugim schodku. Był już na samej górze.

Z bijącym szaleńczo sercem rozpaczliwie próbowała go dogonić. Słyszała płacz swojego dziecka.

– *Gospodi, pomiluj*. Panie, zmiłuj się. – Słowa same płynęły z jej ust. Ale on był tak daleko, tak wysoko.

W połowie drogi, tam gdzie schody wychodziły na blanki okalające mury, zdała sobie sprawę, że z góry nie dobiega żaden dźwięk.

Iwan stał już w izbie pod spadzistym dachem, skąd małe okienka spoglądały na bezkresną równinę. Patrzyła na wieżę, która się nad nią wznosiła, wyraźna, surowa i milcząca. Drewniany dach rysował się na tle nieba trójkątnym cieniem. Przez chwilę nie wiedziała, co robić.

A potem gdzieś spod wysokiego dachu usłyszała płacz dziecka. Spojrzała w górę i zobaczyła wyciągnięte ręce, które trzymały białe zawiniątko, a potem nagle, przy wtórze jej strasznego krzyku sięgającego, zdawałoby się, gwiazd, cisnęły je jak niepotrzebny śmieć w ciemną noc.

– Fiedia!

Rzuciła się na blanki, w rozpaczliwym geście wychyliła w ciemność, lecz biały kształt, wbijając się w ciszę, przeleciał obok niej i spadł w mrok. Rozległo się jedynie przytłumione uderzenie o lód.

Car wyjechał o świcie. A przed wyjazdem wymógł na przerażonym opacie, by ten udzielił mu tradycyjnego błogosławieństwa.

Kazał dołączyć dwoje sań do swojego orszaku: do jednych załadowano znaczną ilość klasztornych pieniędzy i zastawy, a do drugich dzwon, który rodzina Borysa ofiarowała klasztorowi w dawnych czasach i który car chciał teraz przetopić na armatę.

Niedługo potem nadeszły wieści, że Tatarzy krymscy zbliżają się do rosyjskich ziem. Car, ponownie potwierdzając pogłoski o swoim tchórzostwie, schronił się na północy. Okolice Moskwy zostały spustoszone.

A dwa tygodnie po śmierci dziecka Jelena ze zdziwieniem stwierdziła, że jest w ciąży. Ojcem dziecka, które nosiła w łonie, znów był Borys.

W księgach obrządku prawosławnego jest pewien niezwykle piękny tekst.

To homilia wielkiego świętego Jana Chryzostoma Złotoustego, odczytywana tylko raz w roku, w trakcie nocnego nabożeństwa przed Niedzielą Wielkanocną.

Podczas Jutrznii Paschalnej w 1571 roku w klasztorze Świętego Piotra i Świętego Pawła – na której zjawili się niemal wszyscy, niezbyt liczni już mieszkańcy Ruski i Gnojowiska – wierni spoglądali z niejakim zdziwieniem na pojedynczą postać, która weszła do cerkwi zaraz po rozpoczęciu nabożeństwa i stanęła skromnie z tyłu.

Od początku Wielkiego Postu Borys nie wychodził z domu. Nikt nie wiedział, co to oznacza.

Powiadano, że pości samotnie. Inni mówili, że żona nie chce go widzieć na oczy. Jeszcze inni zapewniali, że słyszeli, jak odzywał się do niej z szacunkiem.

Część wierzyła, że próbował powstrzymać cara i zapobiec śmierci syna, inni przekonywali, że przyglądał się wszystkiemu z boku.

Nic więc dziwnego, że ludzie patrzyli na niego z ciekawością.

Borys stał z pochyloną głową. Zatrzymał się w przedsionku, w miejscu przeznaczonym dla pokutników. Nie podniósł wzroku, nie przeżegnał się nawet ani razu podczas nabożeństwa.

Jutrznia Paschalna, odprowadzana na cześć zmartwychwstania Chrystusa, to nabożeństwo narastającej radości. Po długim poście, niemal ścisłym w ostatnich dniach Wielkiego Tygodnia następującego po Niedzieli Palmowej, wierni znajdują się w stanie osłabionej, oczyszczonej pustki, który sprzyja bardziej przyjmowaniu pokarmu

duchowego niż cielesnego.

Nabożeństwo rozpoczyna się o północy – carskie wrota ikonostasu otwierają się, co ma symbolizować pusty grób, a wierni, z cienkimi świecami w rękach, okrążają w procesji świątynię. W szczytowym momencie stojący przed wiernymi kapłan ogłasza: „*Christos woskresie*. Chrystus zmartwychwstał”. Na co zebrani odpowiadają: „*Woistinu woskresie*. Prawdziwie zmartwychwstał”. Potem rozpoczyna się jutrznia, podczas której śpiewa się pieśni Kanonu Paschy.

Po śmierci Stiepana jego miejsce zajął młody pop. I pierwszy raz stał z krzyżem przed świętymi drzwiami.

Z powodu długiego postu uginały się pod nim kolana, ale patrząc na parafian z płonącymi świecami i wdychając intensywny zapach kadzideł wypełniający wnętrze świątyni, czuł uniesienie.

– *Christos woskresie!*

– *Woistinu woskresie!*

Księdzu wydawało się, że pomimo głodu, pomimo wszystkiego, co ich spotkało, cerkiew wypełnia nieziemska radość. Zadrżał. Tak, oto jest cud Wielkanocy.

– *Christos woskresie!* – zawołał znowu.

– *Woistinu woskresie!*

Zauważył, że samotna postać w przedsionku porusza ustami, jakby dołączając się do radosnego chóru. Nie wiedział jednak, że z gardła Borysa nie wydobył się żaden dźwięk.

A potem przyszła chwila wielkanocnego pocałunku, kiedy ludzie podchodzą pojedynczo, by pocałować krzyż, Ewangelię i ikony. Na koniec witają się pocałunkiem z popem, mówiąc: *Christos woskresie*, a pop każdemu odpowiada: *Woistinu woskresie*. Wreszcie obejmują jedni drugich, bo przyszła Wielkanoc, a taka zwyczajna czułość i miłość jest częścią tradycji prawosławia.

Spośród wszystkich zgromadzonych tylko Borys nie wyszedł do popa.

A po wielkanocnym pocałunku pop zaczął czytać przepiękną homilię Jana Chryzostoma.

Jest to homilia o przebaczeniu. Przypomina wiernym, że Bóg przygotował dla wszystkich ucztę, i mówi o Wielkim Poście jako symbolu głębokiej skruchy.

– Jeśli ktoś dźwigał udręki postu, niechże otrzyma dziś słuszną zapłatę – czytał pop łagodnym głosem.

Kazanie miało w sobie tyle dobroci. Jeśli ktoś się spóźnił, nie musi rozpaczać. Bo Bóg nie odmawia swojej uczy grzesznikom, którzy się do niego zwracają. Okazuje miłosierdzie zarówno pierwszym, jak i ostatnim.

– Jeśli niósł trudy pierwszej godziny – czytał dalej pop – niech sprawiedliwą otrzyma należność. Jeśli ktoś przyszedł po trzeciej godzinie, niechże świętuje z wdzięcznością. Jeśli ktoś dopiero po szóstej godzinie się dołączył, niechże się nie lęka. Jeśli ktoś się spóźnił nawet do dziewiątej godziny, niech przychodzi bez wahania. A jeśli ktoś zdążył dopiero na jedenastą... – I te słowa były przeznaczone dla ostatnich. Pop spojrzął na postać w przedsionku. – Niech wcale nie boi się zwłoki i niech wejdzie.

Nie wiadomo, co się kłębiło w umyśle Borysa – może pojął, że jego żona była

niewinna; może załamywały go wyrzuty sumienia z powodu śmierci Stepana i Fiodora; może załamał się pod ciężarem zła, którym przygniotły go własna duma i lęk przed jej utratą – ale było pewne, że stojąc na miejscu przeznaczonym dla pokutników i słysząc te kojące słowa, w jedenastej godzinie padł na kolana i wybuchnął płaczem.

W 1572 roku oficjalnie zlikwidowano oprychnię. Wszelkie wzmianki o jej istnieniu zostały usunięte.

W 1581 roku wprowadzono pierwsze „zakazane lata”, w których chłopom nie wolno było opuszczać pańskich majątków nawet blisko dnia świętego Jerzego.

I w tym samym roku car Iwan w ataku złości zabił własnego syna.

Kozak

*Rok 1647*

Wolność. Nic ponad wolność.

Zewsząd otaczał go step. Cichy i nieruchomy – złoty, brązowy, fioletowy na horyzoncie, ciągnął się bez końca na wschód. Wysoko na niebie zawisł jastrząb. Małeńki świstak skrył się wśród wysokich, suchych łądyg. Żadnego wiatru. To tu, to tam wyrastał niespodziewanie kłos pszenicy, której nasiona musiał przynieść przed laty wiatr i zasiać wśród niezliczonych dzikich traw na bezkresnej płaszczynie.

Andriej Karpienko jechał powoli konno; zatoczył szeroki łuk od wielkiego pola pszenicy, minął mały kurhan wyznaczający jego koniec, wciął się trzy kilometry w głąb dzikiej równiny i teraz wracał niespiesznie ku rzeczce zwanej Rus, która płynęła przez prastare kijowskie ziemie ku wielkiemu Dnieprowi.

Młody człowiek zaczerpnął głęboko powietrza z takim zadowoleniem, że zabrzmiało to jak westchnienie. Jakże słodko pachniały trawy – chabry, żarnowce miotlaste, dzikie konopie, krzyżownica, a przede wszystkim uschnięta już ostnica pierzasta, która ścieliła się wszędzie. Jakby w tej ogromnej niecce rozrzuciła je wraz z tysiącem innych odmian ręka Boga, a potem na zmianę zwilżała poranna rosa i ogrzewało letnie słońce, by na koniec, w największym skwarze, przybrały swoją ostateczną postać, która w popołudniowym, wczesnojesiennym świetle wyglądała ponad ziemią jak migotliwe opary.

Gospodarstwo jego ojca leżało za linią drzew, półtora kilometra od osady wciąż znanej pod prastarą nazwą Ruska.

Andriej się uśmiechnął. Gdy jego ojciec Ostap przybył w te strony, nazwa go rozbawiła. „Mój ojciec Karp uciekł z Ruski na północy” – opowiadał często synowi. To po tamtym zbiegu dostali typowe ukraińskie nazwisko Karpienko. Ale stary Karp nie wiedział, że powrócił do domu dalekich przodków.

Wolność – prawo przynależne każdemu Kozakowi z racji urodzenia. Wolność i przygoda.

A teraz przyszła kolej na Andrieja. Otwierała się przed nim ekscytująca przyszłość. Poprzedniego dnia w gospodarstwie pojawiło się dwóch mężczyzn. Byli przebrani za wędrownych mnichów, ale gdy Ostap ich zobaczył, uśmiechnął się szeroko i zaprosił do środka.

– Wódki! – krzyknął do żony. – Wódki dla naszych gości! A ty, Andrieju, chodź i słuchaj. Panowie – ciągnął, gdy zajęli miejsca przy stole – jakie wieści przywozicie z obozu na południu?

Mężczyźni byli Kozakami. I gdy przekazali mu wiadomość, Ostap klepnął się po udzie i zawołał:

– Czas na ciebie, Andrieju! Co za wyprawa! Sam miałbym ochotę pojechać.

Pędzić po stepie z Kozakami – o tym Andriej marzył od dzieciństwa. Miał konia i niezbędne wyposażenie.

Był tylko jeden problem.

Andriej, przystojny dziewiętnastolatek, wrócił niedawno ze szkoły w Kijowie, gdzie prawosławni popi nauczyli go czytać i pisać, a do tego poznał trochę prostej arytmetyki i odrobinę łaciny.

Miał czarne włosy, śniadą, smagłą cerę, dość rzadką, jak u Mongołów, brodę, która porastała zaledwie podbródek, ale zapuszczał długie, opadające wąsy. Z jego okrągłej twarzy o wydatnych kościach policzkowych patrzyły nieco skośne oczy. Niektóre cechy odziedziczył po pięknej Tatarce, którą jego dziadek Karp wziął sobie za żonę, ale wysoką sylwetkę i wdzięczne ruchy miał niewątpliwie po nim. Słowiański urok i bezwzględne tatarskie spojrzenie – to przyciągało do niego wiele kobiet.

Był na tyle młody, by żywić przekonanie, że ludzki charakter powinien być jak monolit, dlatego dziwiło go czasem, że ma w sobie dwie walczące ze sobą dusze – jedna była oddana rodzinie i gospodarstwu, a druga, dzika i nieokiełznana, pozbawiona domu i sumienia, tęskniła za włóczęgą po bezkresnym stepie. Andriej był idealnym przykładem młodego Kozaka.

Jakże pragnął pojechać z nimi na południe. Mógłby wyruszyć choćby nazajutrz. Powstrzymało go jedno – pytanie rzucone przez zatroskaną matkę: „Co będzie z gospodarstwem, gdy wyjedziesz?”.

Dojechał powoli do kurhanu. Zatrzymał się tam na kilka chwil, by spojrzeć na pola i step.

Co za wspaniałe ziemie, z długim latem i żyzną, czarną glebą! Jakiś czas temu te pradawne kijowskie tereny zyskały nową nazwę – Ukraina.

Żyzna Ukraina, złote ziemie. Czemu zatem stary Ostap narzekał, patrząc na kołyszące się łąny pszenicy?

„Bóg dał nam najlepsze pola, a potem zesłał plagę szarańczy, która je zniszczyła”.

Wszystko przez to, że Ukrainą władał katolicki król Polski.

Minęły cztery wieki, odkąd przodkini Ostapa, Janka, uciekła z ojcem przed Tatarami na północ. Od tamtej pory Tatarzy stopniowo tracili stare kijowskie ziemie, wypierani przez potężną Litwę. Jednak tereny nad Dnieprem, chociaż bardzo żyzne, wciąż były wyludnione. Osadnicy powoli wracali do wsi i do tego, co pozostało po wielkich niegdyś miastach.

Pogranicze było bardzo niebezpieczne. Co kilka lat wielkie hordy Tatarów krymskich najeżdżały ziemie w poszukiwaniu niewolników. Mniejsze napady były na porządku dziennym. Gdy osadnicy, tacy jak Ostap i jego ludzie, wychodzili orać pola, zabierali ze sobą muszkiety.

Ale były to ziemie ludzi wolnych. Litwini rządili łagodnie. Ziemię na wsi można było zajmować bez przeszkód. Większe miasta, jak Kijów czy Perejasław, mogły rządzić się same zgodnie ze znanym od dawna na zachodzie prawem magdeburskim.

I tym właśnie mogła być Ukraina: bogatym pograniczem zamieszkanym przez Kozaków, słowiańskich chłopów, wolnych mieszczan i drobną szlachtę litewską, wyznających w większości prawosławną wiarę dawnej Rusi.

Ale to się skończyło jakieś osiemdziesiąt lat temu. Polska i Litwa, od dawna połączone wieloma więzami, zawarły unię lubelską, która spoiła oba państwa w jedno.

Szlachta zaczęła przechodzić na katolicyzm, polscy magnaci przejmowali ogromne połacie ziemi nad Dnieprem. I chociaż w miastach nadal obowiązywało prawo magdeburskie, reszta Ukrainy szybko się przekonała, co to znaczy żyć pod panowaniem wzgardliwych polskich panów.

Jak polska szlachta śmiała pogardzać Kozakami! Czyż Kozacy nie byli wolnymi ludźmi?

Kozacy dzielili się na trzy główne grupy. Sześćset pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód, tam gdzie Don wpadał do Morza Czarnego, mieszkali w licznych osadach Kozacy dońscy. Południowe ziemie kijowskie zajmowali Kozacy naddnieprzańscy, dumni i niezależni jak Ostap. A jeszcze dalej na południe, na dzikim stepie poniżej porohów – skalnych progów na Dnieprze – ciągnęły się tereny Kozaków zaporoskich, dzikich, nieprzewidywalnych, żyjących w obozach, do których kobiety nie miały wstępu. Tysiące silnych mężczyzn niepoddanych nikomu.

To właśnie stamtąd przybyli dwaj fałszywi mnisi.

Andriej był dumny, że jest Kozakiem. Już od najmłodszych lat słuchał opowieści o ich bohaterstwie. Kogo wynajęli potężni Stroganowowie, gdy pod koniec panowania Iwana Groźnego wyruszyli na podbój syberyjskich pustkowi? Jermaka i jego kozacką brać. W tym samym czasie, choć Andriej nie mógł o tym wiedzieć, inni kozaccy awanturnicy dotarli do odległego o osiem tysięcy kilometrów wybrzeża, skąd przez wąską cieśninę patrzyli na mroźną Alaskę.

I to właśnie dońscy Kozacy zdobyli turecką twierdzę Azow położoną nad Morzem Czarnym. A Kozacy zaporoscy dwa razy dopłynęli na swoich długich łodziach do Konstantynopola i spalili osmańską flotę tuż pod nosem Turków.

Kozaków bali się wszyscy. Tatarzy na Krymie i Turcy, którzy panowali nad Tatarami. Polska co rusz korzystała z ich usług. Nawet papież wysłał posła do zaporoskiego obozu.

„Bez nas, Kozaków – powtarzał często stary Ostap – car i jego rodzina nigdy nie zasiedliby na moskiewskim tronie”.

Te przechwałki były w połowie prawdą.

Nieszczęsne Wielkie Księstwo Moskiewskie. Ten północny kraj doznał wielkich cierpień. Tuż po śmierci Iwana Groźnego wygasła moskiewska dynastia. Przez jakiś czas wielki bojar spokrewniony z rodem panującym, Borys Godunow, próbował zjednoczyć ziemie, ale ugiął się pod tym ciężarem. A potem nadeszła wielka smuta – na kraj spadły głód i zaraza, pojawiali się kolejni fałszywi pretendenci do tronu, aż w końcu trudno było stwierdzić, czy Rosją w ogóle rządzi jakiś car. Te niesprzyjające okoliczności postanowiły wykorzystać inne potęgi. Na Rosję ruszyli Szwedzi; król Polski, posługując się zdradą i podstępem, próbował przejąć moskiewski tron i zaprowadzić w Rosji katolicyzm.

Ale w końcu Rosja powstała z kolan. Przetrwała terror Iwana, przetrwała zarazę, głód i inwazję nieprzyjaciół. I to nie wielcy książęta czy magnaci, nie zamożni szlachcice zwrócili się potężną falą przeciwko Polakom, ale zwykli chłopci, drobni właściciele ziemscy i poważna brodata starszyzna prawosławna znad Wołgi – dzidami i toporami przegnali katolików.

„A my, Kozacy, pomogliśmy naszym prawosławnym braciom – chwalił się



zgodnie z prawdą Ostop. – Bez nas ponieśliby klęskę” – dodawał, co już do końca prawdą nie było.

Polacy zostali pokonani. Zwołano Sobór Ziemski i wybrano lubiany bojarski ród, który miał zapoczątkować nową dynastię.

I tak oto rodzina pierwszej żony Iwana Groźnego, tak pogardzana przez największych magnatów jeszcze pięćdziesiąt lat wcześniej, zasiadła w 1613 roku na tronie. Zaczęły się rządy dynastii Romanowów.

Andriej żywił mieszane uczucia wobec Moskali. Jak wielu Ukraińców uważał ich za prostaków. I jak wszyscy Kozacy był nieufny wobec wszelkiej autorytarnej władzy. Ale Rosjanie byli jego braćmi z jednej prostej przyczyny: wyznawali prawosławie.

„Wygnali ze swoich ziem Polaków. Może i my wygnamy ich z naszych” – mawiał czasem.

Przez kilka pokoleń Kozacy naddnieprzańscy służyli polskiemu królowi. Niektórzy otrzymali stopnie oficerskie i znaleźli się w specjalnym rejestrze upoważniającym do otrzymywania regularnego żołdu. Jednak większość zlekceważono. A jako niekatolicy mieli mniej praw. Wiele razy się buntowali, usiłując poprawić swój byt. Lecz bunty zgnieciono i w ostatnich latach Kozacy nie mogli nawet służyć pod swoimi dowódcami. Ich hetmana mianowali Polacy, a wielu oficerów pochodziło z drobnej polskiej szlachty. Nic dziwnego, że spotykało się to z niezadowoleniem co zamożniejszych Kozaków.

I teraz najwyraźniej przygotowywano się do nowej wyprawy. Taką właśnie wiadomość przynieśli z zaporoskiego obozu dwaj mnisi. Już oni nauczą tych Polaków. Pozostawało jednak pytanie, czy Andriej wyruszy razem z nimi.

Słońce stało jeszcze wysoko, popołudnie było wciąż rozkosznie ciepłe, gdy wprowadził swojego konia do gospodarstwa. A patrząc na nie, nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

Była to rozległa polana, na której drzewa z trzech stron dochodziły blisko zabudowań. Pośród przybudówek – z bali i wikliny – stał obszerny, solidny dom z ocienionym gankiem. Bielone gliniane ściany i czerwono-zielone okiennice błyszcząły w świetle słońca. Wszystkie budynki były kryte grubą strzechą przypominającą stogi siana zwożone z bezkresnego stepu. Na zakurzonej murawie pasły się krowa i koza, obok nich skubały trawę kury i kilka gęsi.

Na ganku stał ojciec. Andriej uśmiechnął się czule.

Był nieco wyższy od ojca, ale mimo swojej siły wątpił, by udało mu się pokonać go w walce.

„On jest taki szybki” – mówił z dumą do przyjaciół.

Od pierwszego spojrzenia łatwo było poznać, że to ojciec i syn, choć Ostop miał bardziej okrągłą twarz. Golił zarost, zostawiając jedynie wspaniałe siwe wąsy, które opadały mu aż na pierś. Był ubrany w szerokie, luźne spodnie i koszulę z lnu, przewiazaną jedwabną szarfą zamiast pasa. Na stopach miał jedwabne haftowane buty z długimi, zakrzywionymi noskami, a na głowie jedwabną czapkę. Nos sterczący z rumianej twarzy pokrywały drobne znamiona. Palił krótką kozacką fajkę.

Andriej wiedział, że ojciec może umrzeć w każdej chwili. Tym większy szacunek żywił dla jego siły i gwałtownych napadów złości. Zaczerwieniona twarz, oznaki zadyszki

– dni starego wojownika wydawały się policzone. Wiedział o tym, wszyscy o tym wiedzieli, ale z brawurą prawdziwego Kozaka patrzył synowi w oczy, a potem świadomie, jakby wyzywając los, złościł się z powodu jakiejś błahostki. Andriej go za to uwielbiał.

Co się stanie z gospodarstwem, kiedy mnie nie będzie? – zastanawiał się. Pozostał tylko on. Jego dwie siostry dawno wyszły za mąż. Brat zginął przed sześcioma laty męzną śmiercią Kozaka – poległ w walce.

„Umarł jak prawdziwy mężczyzna” – mawiał Ostap, unosząc kieliszek, jakby wcale tego nie żałował. „I jeśli na ciebie przyjdzie taki los, to masz postąpić tak samo” – dodawał surowo, patrząc na Andrieja, byle tylko przystojny młodzieniec się nie domyślił, jak bardzo jego ojciec boi się utracić jedyne syna.

Ale Andriej martwił się nie tylko nadchodzącą śmiercią ojca. Martwił się też długami.

Ostap cenił sobie wystawne życie, jak przystało na dobrze urodzonego Kozaka. A za takiego się uważał. Popijał jak wszyscy Kozacy. Gdy jeździł do Perejasławia w dni targowe, lubił się zabawić. Bo chociaż jako dobry Kozak pogardzał mieszczuchami, zawsze napotykał jakąś bratnią duszę, z którą pił przez całą noc. Nie umiał się też oprzeć widokowi pięknego konia – gdy jakiegoś zobaczył, od razu kupował.

„Skąd ojciec bierze pieniądze?” – pytał Andriej zatroskaną matkę.

„Bóg jeden to wie, ale sobie nie żałuje” – odpowiadała.

W Perejasławiu, a nawet w samym Kijowie, było trochę wędrownych kupców, którzy dołączali do karawan podążających dawnym szlakiem solnym przez step aż na Krym. I oni pożyczali pieniądze. Podobnie jak kupcy w Rusce. Oraz Żydzi. A Ostap pożyczał od wszystkich pod zastaw gospodarstwa.

Gospodarstwo zaś było dobre. Przynosiło obfite plony pszenicy i prosa. Nieco dalej w górę rzeki rósł stary las, w którym Ostap miał sto barci.

„Jesteś potrzebny tutaj – oświadczyła Andriejowi posiwiata matka. – Jeśli ktoś nie będzie zarządzał gospodarstwem, a przy okazji twoim ojcem, stracimy wszystko. Ja sama temu nie podołam”.

Chciał wyjechać. Pragnął tego z całego serca. Ale kiedy znalazł się koło domu, wciąż nie wiedział, co ma robić. Dlatego zmieszał się nieco, gdy rozsiodławszy konia, usłyszał głos ojca:

– Wyruszasz rano. Wszystko ci przygotowałem.

Zanim jeszcze Ostap skończył mówić, Andriej zauważył wychodzącą z domu matkę. Wyglądała na zmartwioną.

Ojciec z zadowoleniem zaciągnął się fajką.

– Andriej. – Matka nie powiedziała nic więcej.

Zawahał się. Myśl o wyjeździe przyprawiała go o dreszcz, ale spojrzał z niepokojem na ojca.

– Co będzie z gospodarstwem, ojcze? – odważył się zapytać.

– A co ma być?

– Dasz sobie radę?

– Dam radę, do diabła! Jesteś gotowy do wyjazdu? – Ostap poczerwieniał,

wyczuwając opór.

Andriej się zawahał. Spojrzał na matkę i zobaczył jej błagalny wzrok.

– Chyba nie. Wyjadę później.

– Co?! – ryknął Ostap. – Chcesz mi się sprzeciwić?

– Wcale nie.

– Zamilcz, draniu! Będziesz słuchał ojca! – Ostap zmarszczył brwi, w jego oczach błysnęła złość. Zesztywniał na całym ciele. – A może – ciągnął groźnie – wychowałem tchórza? Co? Jesteś tchórzem? – Ostatnie słowo wymówił z taką pogardą i nienawiścią, jakby świadomie chciał obrazić syna.

Andriej poczuł, że ciało mu się spina. Aż pobladł z wściekłości. Przez chwilę wydawało się, że ojciec i syn rzucają się na siebie.

Przebiegły stary lis, pomyślał nagle młodzieniec. Specjalnie mnie prowokuje, żebym nie posłuchał matki. I chociaż go przejrzałem, wciąż jestem na niego zły.

– I co mi powiesz?! – ryknął Ostap. – Wychowałem tchórza? Boisz się walczyć? Przyjdzie mi umrzeć w hańbie?

– A umrzyj sobie, jak chcesz! – krzyknął Andriej.

– Tak się odzywasz do ojca? – Ostap był doprowadzony do ostateczności. Rozejrzał się na prawo i lewo, szukając czegoś, czym mógłby uderzyć syna.

I kto wie, jak by się to skończyło, gdyby z lasu nie wyłonili się nagle trzej jeźdźcy. Na ich widok ojciec i syn zamilkli.

Jeden z mężczyzn był wytwornie ubrany i dosiadał wspaniałego gniadosza. Dwaj pozostali mieli na sobie długie czarne płaszcze i jechali na mniejszych koniach. Był to polski szlachcic w towarzystwie dwóch Żydów.

Taka kompania nikogo nie dziwiła. Już od kilku pokoleń Rzeczpospolita Obojga Narodów była jedynym państwem w Europie, w którym Żydzi mogli żyć w pokoju. A władze pozwoliły im nawet na noszenie szabli.

Zatrzymali się przy ganku, nie zsiadając z koni. Polak spojrzał chłodno na kozacką rodzinę, a potem rozejrzał się po gospodarstwie. Złoty brokat na jego wspaniałym żupanie błyszczał w słońcu, długie, arystokratyczne dłonie spoczywały bez ruchu na łęku. Mężczyzna miał owalną, gładko wygoloną bladą twarz z cienkim wąsikiem. Jego duże błękitne oczy świeciły żywym blaskiem. Stanisław, krewny wielkiego polsko-litewskiego magnata Wiśniowieckiego, który posiadał ogromne połacie ziemi na wschodniej Ukrainie, był lokalnym urzędnikiem nadzorującym liczne małe forty na granicy stepu, między innymi Ruskę.

Milczał przez dłuższą chwilę, ale gdy się w końcu odezwał, Andriej popatrzył na niego oniemiały.

– No cóż, Ostapie – oświadczył lekko. – Przejmujemy gospodarstwo.

Zapadła cisza. Byli zbyt zaskoczeni, by cokolwiek powiedzieć.

– Jak to przejmujecie gospodarstwo?! – wybuchnął Andriej. – Przecież jest nasze. Stanisław spojrzał na niego bez szczególnego zainteresowania.

– Nie jest. I nigdy nie było. Jesteście jedynie dzierżawcami.

Andriej był tak zadziwiony, że nie czekał nawet, co powie ojciec.

– Nikomu nie płacimy czynszu za ziemię! – zawołał.

– To prawda. Otrzymaliście ziemię bez żadnych zobowiązań na trzydzieści lat. I ten czas właśnie upłynął.

Andriej spojrział na ojca. Stary Ostap się zmieszał.

– To było trzydzieści lat temu – wymamrotał.

– Właśnie. A teraz Wiśniowieccy sprzedali majątek mnie. Jesteście mi winni służbę.

Takie rzeczy się zdarzały. Żeby przyciągnąć osadników na pogranicze, polscy magnaci dawali im ziemię bez żadnych opłat na dziesięć, dwadzieścia, a nawet trzydzieści lat. Ludzie tacy jak Ostap przyjmowali ziemię, a w miarę upływu czasu zaczęli myśleć o niej jak o swojej własności. Dlatego ojciec nigdy nie wspomniał Andriejowi o prawdziwym statusie gospodarstwa. Chętnie wyparł to z pamięci.

– Mieszkam tu od trzydziestu lat – oświadczył ze złością. – Co oznacza, że ziemia jest moja. – On i wielu innych byli co do tego szczerze przekonani.

– Masz nadanie, które to potwierdza?

– Do diabła! To jest moje nadanie! – Podniósł do góry zaciśniętą pięść, jakby trzymał szablę.

Stanisław patrzył na niego chłodno.

– Jesteście winni pracę za tę ziemię – oznajmił.

– Pracę? – Ostap był na granicy wybuchu.

– Oczywiście – potwierdził Polak.

Andriej nie wierzył własnym uszom. Pracę! Czy ten Polak chce powiedzieć, że jego ojciec, człowiek honorowy, ma pracować na polu jak jakiś chłop pańszczyźniany?

– Nosilem biały żupan, ty polski psie! – Stary Kozak aż kipiał ze złości. – Jestem oficerem. Kozakiem rejestrowym. Nikt nie może mi kazać pracować w polu.

Stanisław pokręcił głową.

– Owszem, kiedyś byłeś w rejestrze. Ale teraz już nie.

Rejestr miał dla naddnieprzańskich Kozaków ogromne znaczenie. Zazwyczaj zawierał około pięciu tysięcy nazwisk Kozaków wziętych na żołąd króla Polski. Byli oni ludźmi wolnymi, traktowanymi z grubsza jak oficerowie. Czasem, po powstaniu kozackim, rejestr powiększano. Ale potem ograniczano go ponownie. Ostap przez krótki czas figurował w nim jako oficer, lecz został wykreślony.

A w oczach polskiego króla każdy Kozak niezapisany w rejestrze był zwykłym chłopem i miał obowiązek świadczenia pańszczyzny.

Przed takim właśnie losem Karp uciekł na południe. Pańszczyzna była upodleniem. Była oburzająca.

„Za panowania Stefana Batorego wszyscy Kozacy dostali szlachectwo” – powtarzał Ostap Andriejowi. I chociaż polski król nigdy nie wydał takiego dekretu, większość Kozaków głęboko wierzyła, że nawet jeśli nie są prawdziwymi szlachcicami, to szlachcie dorównują.

– Kozak to człowiek szlachetnie urodzony, ty polska świnio! – Ostap splunął z obrzydzeniem. – Ale co Polacy mogą wiedzieć o szlachectwie?!

Stanisław patrzył na niego ze skrywanym rozbawieniem. Rozumiał tego starca, ale nim pogardzał.

Bo co też taki Ostap wie o życiu polskiej szlachty, o magnatach nie wspominając? Co ten prosty gospodarz wie o wspaniałych polskich pałacach – wielkich europejskich rezydencjach pełnych francuskich i włoskich mebli, renesansowych obrazów, gobelinów i arrasów; co wie o migotliwym świetle sal balowych, bibliotek, salonów, w których polscy panowie w kosztownych brokatach albo husarskich mundurach kształcą się i pielęgnują dobre maniery, rozmawiając po francusku i po łacinie z taką samą swobodą jak po polsku? Nawet Francuzi uważali, że polscy panowie żyją jak w raju.

I polscy panowie odznaczyli się wielką dumą. Nie byli niewolnikami swojego władcy, tak jak Rosjanie byli niewolnikami cara. Króla wybierali sami, a zakres ich władzy wyznaczał sejm, szlachecki parlament. Nie bez powodu państwo polskie, w którego skład wchodziła Ukraina, nazywało się Rzeczpospolitą Obojga Narodów.

Tyle że Rzeczpospolita była dla szlachty. Stanisław, jak większość polskich panów, patrzył na Kozaków z góry. Owszem, cenił ich za odwagę, ale w jego oczach byli jedynie rozbójnikami i zbiegłymi chłopami, pyszniącymi się bez powodu.

Lecz przede wszystkim Stanisław pogardzał ich wiarą, niezrozumiałym mamrotaniem do ikon.

„To jest właśnie religia dla chłopów pańszczyźnianych” – mawiał z przekonaniem.

Jakże odległe było prawosławie od romantycznego katolicyzmu polskiego szlachcica, który mimo okrucieństwa i pogardy dla chłopów widział siebie jako krzyżowca, dworskiego rycerza!

Religijne podziały między panami i chłopami na Ukrainie pogłębiły się pół wieku wcześniej, gdy Kościół katolicki zawarł wielki historyczny kompromis z biskupami prawosławnymi skupionymi w Kijowie. Zgodnie z tym porozumieniem ci ostatni uznali zwierzchność papieża, który z kolei pozwolił im na odprawianie nabożeństw według prawosławnego rytu.

Tak powstał Kościół greckokatolicki, inaczej unicki.

Jednak wielu wyznawców prawosławia odmówiło uznania tego kompromisu, więc na Ukrainie działały obok siebie trzy Kościoły: katolicki, unicki i prawosławny. A Kozacy opowiedzieli się za prawosławiem. W każdym mieście, a zwłaszcza na wschodniej Ukrainie w okolicach Kijowa, ludność tworzyła bractwa w obronie wiary, budząc w ten sposób potężny ruch religijny sprzeciwiający się Polakom i zawierającym z nimi ugodom.

Stanisław zdawał sobie sprawę, że ten ruch przemawia do serc takich Kozaków jak Ostap. I ani trochę im nie współczuł.

Niedbałym ruchem ręki wskazał na szczuplejszego Żyda.

– To jest Mordechaj – oznajmił. – Wydzierżawiłem mu gospodarstwo, więc będziecie pracować dla niego. On wam powie, co macie robić, prawda, Mordechaju? – rzucił lekko.

Była to największa obraza. Ostap spoglądał to na Polaka, to na Żyda, nie wiedząc, którego nienawidzi bardziej. Jeśli idzie o religię, większą nieufność żywił do katolików. Bo chociaż jego dziadek pochodził z księstwa moskiewskiego, gdzie lęk przed judaizmem był głęboko zakorzeniony, Ostap spędził całe życie na Ukrainie, a tu od czasów Chazarów żydzi i prawosławni tolerowali się wzajemnie. Nienawiść, którą teraz czuł, nie wynikała

z różnic religijnych, ale dotyczyła funkcji, jakie wyznaczali Żydom polscy panowie – poborców podatków, karczmarzy z koncesją na sprzedaż alkoholu, dzierżawców pobierających czynsze. I chociaż Ostap i jemu podobni naprawdę zadłużali się u Polaków, to ich wierzyciele mieli z reguły żydowskie twarze. Taki stan rzeczy odpowiadał Polakom, bo gdy obciążenia były zbyt duże, zawsze mieli na kogo zrzucić winę.

Uważa się powszechnie, że rozlewający się na południu Rosji antysemityzm wyrastał z tego cynicznego polskiego porządku.

A najgorszą jego częścią były dzierżawy. System był prosty: Mordechaj przejmował gospodarstwo na krótki okres, dwa lub trzy lata. Przez ten czas płacił Stanisławowi stały czynsz. Z kolei Stanisław pozwalał mu na wymuszanie na chłopach dowolnych należności zapewniających dodatkowe zyski. Tak więc do trzech lub czterech dni pańszczyzny wymaganych przez Polaka Ostap musiałby doliczyć dodatkową pracę na rzecz pośrednika, co w rezultacie oznaczałoby pięć, a nawet sześć dni pracy w tygodniu nie dla siebie. Ponieważ o sprawiedliwości decydowały polskie sądy, chłopci byli bezradni.

Stary Kozak milczał. Pozornie zachowywał spokój, ale Andriej wiedział, że złość się w nim gotuje.

– Świetnie – odezwał się Stanisław pogodnie. – Zatem wszystko ustalone. – Spojrzał na drugiego Żyda. – Jeszcze jedna sprawa. Jesteś winien Jankielowi za gorzałkę. Podobno nie płacisz mu od dwóch lat. Daj mi rachunek, Jankielu. O, właśnie. – Podał wyliczenie Ostapowi, który wziął je niechętnie, a zobaczywszy sumę, bardzo się zaniepokoił.

– Ten Żyd kłamie – oświadczył stanowczo, ale z tonu jego głosu Andriej się domyślił, że nie jest pewny swego.

Mordechaj był tu obcy, za to Jankiela Andriej dobrze znał. Był to tęgi, wesoły jegomość, który prowadził w Rusce sklep z alkoholem. Prawie wszyscy w okolicy byli mu coś winni. I choć kazał płacić sobie za to procent, nie był zbyt surowy. Miał dwoje dzieci – chłopca i dziewczynkę, a Andriej, znając możliwości ojca, podejrzewał, że żądania Jankiela są uzasadnione.

– No i jak, zapłacisz? – spytał Polak.

– Nie zapłacę – odparł Ostap.

– Jak sobie chcesz. Jankielu – ciągnął – idź do stajni i wybierz sobie najlepszego konia. To powinno wystarczyć.

Jankiel się zawahał. Zwrócił się do Polaka o pomoc, bo przez ponad rok nie mógł się doprosić od Ostapa spłaty długu, ale teraz tego żałował. Wolał nie mieć w tym Kozaku zaprzysięgłego wroga.

– Pospiesz się – rzucił Stanisław ostro.

Zmieszany Jankiel ruszył do stajni. Po paru minutach wrócił z koniem, który na pewno nie był najlepszy.

– Tego wzięłeś? – zdziwił się szlachcic.

– Ten mi wystarczy, wasza wielmożność.

Polak wzruszył ramionami.

– Do zobaczenia – powiedział lekko.

Odjechał, a za nim ruszyli dwaj Żydzi.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał.

– Jutro wyruszam na południe – oznajmił w końcu Andriej.

Ostap skinął głową. Matka nie protestowała. Nie mieli już nic do stracenia.

– Gdy wrócę tu z naszymi braćmi – oświadczył Andriej z lodowatą złością – zabijemy wszystkich Polaków i wszystkich Żydów na Ukrainie. I odzyskamy gospodarstwo.

– I będzie dobrze – odpowiedział Ostap.

Tej nocy musiał zrobić jeszcze jedno. Odczekał, aż z podwórza dobiegnie chrapanie ojca, i dopiero wtedy wymknął się z domu.

Ostrożnie przeszedł przez podwórze. Latem stary Ostap lubił spać na zewnątrz. Owijał się pledem i kładł przed gankiem, patrząc w gwiazdy i nucąc coś pod nosem, dopóki nie zapadł w sen. Przypominały mu się wtedy dawne lata, gdy podczas wypraw spał pod gołym niebem.

„Każdej gwiazdzie daję jakieś imię – opowiadał kiedyś Andriejowi. – Każda z nich to mój dawny towarzysz i staram się, żeby przypominały ich z charakteru. Kiedy patrzę na Wielki Wóz, to myślę sobie: o, tam jest stary Taras, a tam mój przyjaciel Sienko. Bóg jeden wie, ilu Tatarów zginęło z jego mocarnej ręki. Jak go złapali, odarli żywcem ze skóry. – Westchnął. – Widzę ich twarze na nocnym niebie. A potem zasypiam”. Każdego roku, gdy nadchodziła jesień, Ostap zostawał jeszcze kilka nocy na dworze; zawijał się wtedy w baranią skórę i wypijał sporo wódki, żeby nie zmarznąć. W końcu wracał do domu, zataczając się i mamrocząc, że kości go bolą.

Ale teraz noce były jeszcze ciepłe. Ostap chrapał donośnie.

Andriej szedł cicho wąską ścieżką. Nisko nad horyzontem świecił półksiężyc, oświetlając las miękkim blaskiem. Chłopaka przepełniała energia młodości, serce biło mu radośnie, więc nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął biec, z każdym krokiem coraz bardziej ożywiony. Wydawało mu się nawet, że unosi się ponad rozświetloną gwiazdami dróżką.

Minął nieruchomą sadzawkę, w której – jak mówiły dzieci – mieszkały rusałki. Niedługo potem wyszedł na skraj wioskowego pola. Dotarł do Ruski.

Nic się tu nie zmieniło. Owszem, małą cerkiew z czasów Monomacha zburzyli dawno temu Mongołowie, a potem wioska opustoszała na dwieście lat. Ale wszystko było jak kiedyś. Bo na tej ziemi każdy drewniany dom prędzej czy później niszczał w pożarze albo rozpadał się ze starości. Osady i otaczające je pola miały swoją porę siewu i porę zbiorów: tak samo Ruska przez jakiś czas leżała odłogiem, a potem znów zaczęto ją uprawiać. Nawet dziś nie mogła wyglądać inaczej niż w dawnych czasach: po jednej stronie rzeki kilka chałup, po drugiej otoczony palisadą mały fort, a w forcie drewniana cerkiew z niewielką wieżą. Zgodnie z ukraińską tradycją zbudowano ją na planie greckiego krzyża z dużą kopułą pośrodku i mniejszymi kopułami na wschodzie, na zachodzie i nad dwoma transeptami. W wieży wisiał jeden dzwon.

Andriej nie musiał się przeprowiać na drugi brzeg strumienia. Podkraść się po cichu do chaty stojącej na skraju wioski.

Stróżujący pies podniósł głowę, ale wyczuwszy jego zapach, zamachał ogonem i podszedł z cichym skomleniem.

Dom miał jedno piętro. W ścianie szczytowej pod okapem znajdowało się pojedyncze okno z rzeźbionymi okiennicami i niewielkim balkonem. Okiennice były otwarte, by wpuścić do środka nocne powietrze.

Andriej wspiał się lekko na balkon, usiadł okrakiem na balustradzie i zapukał delikatnie we framugę.

– Anno.

Cisza.

– Anno, wchodzę do środka.

Tym razem odpowiedział mu słaby dźwięk. W mrokach izby pojawiła się jaśniejsza postać. Rozległ się cichy śmiech.

– A czego taki dzielny wojownik się spodziewa, nachodząc w nocy młodą dziewczynę? – Głos roześmiał się znowu. – Wynoś się, albo poszczuję cię psami.

Andriej zachichotał.

– Psy nic mi nie zrobią.

– Zawołam ojca.

– Mogłabyś, owszem. Tyle że tego nie zrobisz. – Przełożył jedną nogę przez framugę okna, ale dziewczyna zrobiła szybki krok do przodu, chwyciła go za kostkę i wypchnęła na zewnątrz.

– Ty tego nie zrobisz.

Teraz dopiero ją widział. Aż dech mu zaparło. Anna była córką takiego Kozaka jak jego ojciec, lecz jej matka pochodziła z dalekiego Kaukazu – wieśniacy nazywali ją Czerkieską. Owocem tego związku była dziewczyna niepodobna do żadnej innej w okolicy. Niemal tego samego wzrostu co Andriej, szczupła, z ciemnymi włosami i mleczną cerą. Nosiła głowę wysoko, jakby patrzyła na świat z taką samą dumą jak młody wojownik. Jej wyraziste brwi, prosty nos i wystający podbródek mogłyby należeć do jakiegoś pięknego młodzieńca, jednak cudowne, pełne wargi, dumne, a jednocześnie gotowe się otworzyć do gorącego pocałunku, nadawały jej twarzy niepodważalną kobiecość i sprawiały, że dla wielu mężczyzn była tak kusząca.

Miała szesnaście lat i wciąż była niezamężna.

„Nie wyjdę za mąż, dopóki nie spotkam mężczyzny, który mi się spodoba” – oświadczyła rodzicom i całej wiosce z lekko kpiącym uporem.

Jak wszystkie kozackie dziewczęta zachowywała się swobodnie w obecności młodych mężczyzn z wioski. Któryś nawet mógł jej skraść całusa, ale gdyby próbował posunąć się za daleko, umiałyby sobie z nim dać radę.

Jednak od kiedy Andriej powrócił ze szkół, jej stosunek do niego się zmienił.

Polacy nie poważali Cerkwi, ale w ciągu ostatnich dwudziestu lat zaszły w niej duże zmiany. Za czasów ambitnego młodego duchownego, mołdawskiego szlachcica nazwiskiem Piotr Mohyła, który po przybyciu do Ławry Pieczerskiej został metropolitą Kijowa, powstały liczne szkoły i akademie. Wzorowane były na polskich szkołach jezuickich, ale w najmniejszym stopniu nie odchodziły od prawosławia. Za sprawą Cerkwi pojawiły się prasy drukarskie, co bardzo upowszechniło piśmiennność.

Dlatego Andriej wydawał się Annie niemal szlachcicem. Umiał czytać i pisać. Mówił trochę po polsku i po łacinie. Jego ojciec miał całkiem duże gospodarstwo. No



i był przystojny.

Nie minęło wiele czasu, a ludzie zaczęli szeptać: „To on jest tym wybrankiem”. Albo: „Ładna z nich para”. A ona zauważyła, że wcale jej to nie przeszkadza.

Bo przede wszystkim oprócz uroku i młodzieńczej energii wyczuwała w Andrieju cechę, którą podziwiała ponad wszystko i która ją naprawdę w nim pociągała.

„On jest ambitny” – zwierzyła się kiedyś ojcu.

Dla Kozaka znaczyło to niewiele. Ale Anna zadbała, by jeszcze przed żniwami dotarło do Andrieja, że może liczyć na jej względy.

„Prawie wszyscy Kozacy to głupcy – stwierdziła bez ogródek. – Marzą o wojnach i upijają się do nieprzytomności. Ale niektórzy są mądrzejsi i ci mogą zejść daleko. A niektórzy zostają nawet szlachcicami. Zgadzasz się ze mną?”

Skinął głową. Doskonale ją rozumiał.

I pewnie nakłoniłby ojca, by poprosił rodziców Anny o jej rękę, gdyby nie jedna rzecz.

Najpierw wyruszę na wyprawę, myślał. Zobaczę przed ślubem trochę świata.

A teraz musiał wyjechać. Spojrzał na nią.

Miała na sobie jedynie lnianą koszulę, która rozchyliła się lekko, gdy Anna wstała z łóżka. Widział nie tylko jej sylwetkę, ale niemal całe piersi – niezbyt duże, drobne i wysokie. Przez cieką tkaninę prześwitywały ciemne brodawki. Serce biło mu jak szalone.

Zauważyła, w co on się wpatruje, ale nawet nie próbowała się zasłonić. Chroniła ją duma. Jej ciało zdawało się mówić: „Patrz, jeśli masz odwagę”.

Zduszonym szeptem wyjawiał jej, że wyjeżdża. I że będzie walczył z Polakami. O mało nie wspomniał jej o utracie gospodarstwa, ale nagle się zawstydził.

I tak się niedługo dowie, pomyślał ponuro.

Nie wiedziała, co sądzić o jego wyprawie.

– Kiedy wrócę, ożenię się z tobą – oświadczył.

– Jeszcze czego!

– Przecież ci się podobam.

Zaśmiała się.

– Może. Ale są też inni przystojni mężczyźni.

– Na przykład? Kto jest lepszy ode mnie?

Szukała dobrej odpowiedzi, żeby się z nim trochę podroczyć.

– Na przykład ten Polak Stanisław – powiedziała z żartobliwym uśmiechem. – Jest przystojny. I bogaty.

Aż wstrzymał oddech. Lecz zaraz sobie przypomniał, że ona nic nie wie o dzisiejszym incydencie.

– Ale jest Polakiem – mruknął.

Zaciekawilo ją, dlaczego tak nagle posmutniał.

– Może za ciebie wyjdę, a może nie. A jeśli ty w ogóle nie wrócisz? Co ja wtedy zrobię?

– Wrócę. Wyjdiesz wtedy za mnie? – spytał, orientując się poniewczasie, że właśnie dała mu odpowiedź.

– Może.  
– Wpuść mnie.  
– Dopiero po ślubie.  
– Lepiej mnie wypróbuj. Sprawdź, czy ci się spodoba.  
– Uwierzę ci na słowo.  
– Mogę zginąć, nie kochając się z tobą ani razu. Pozwól mi chociaż raz, niech zabiorę to wspomnienie do grobu.

Roześmiała się.

– Będziesz umierał, myśląc o mnie.

– Może i będę – powiedział markotnie. – To chociaż mnie pocałuj.

– Dobrze.

Pocałowali się. A Andriej miał wrażenie, że przez ten czas księżyc przepłynął połowę rozgwieźdzonego nieba.

Kiedy nieco później obejrzał się za siebie, Anna zamykała okiennice.

*Rok 1648*

Tego kwietniowego dnia w obozie panował ożywiony ruch. Ziemia aż parowała we wczesnowiosennym cieple.

Co dzień przybywały nowe oddziały. W obozie było teraz niemal osiem tysięcy ludzi.

Przyjeżdżali tu tylko Kozacy. Nikt inny nie zapuszczał się na dobrze strzeżoną wyspę leżącą poniżej dniprzańskich progów skalnych. Kilkanaście lat wcześniej, próbując zastraszyć zaporoskich Kozaków, Polacy zbudowali nieco dalej w górę rzeki potężną fortecę. Nazywała się Kudak. Kozacy złupili ją po paru miesiącach.

Na wyspie było tłoczno. Obok chałup z chrustu i bali, krytych końską skórą albo darnią, wzniesiono tymczasowe wiaty i zadaszenia. Ostatni przybysze rozbijali na drugim brzegu rzeki filcowe namioty. Wszędzie widać było wozy towarowe i stada koni zamknięte w zagrodach.

To była kozacka armia. Wstępowali do niej najrozmaitsi ludzie: potomkowie Tatarów, członkowie tureckich plemion ze wschodu, Mordwini znad Oki, polscy renegaci i chłopscy zbiedzy z księstwa moskiewskiego. Byli gospodarze, drobni właściciele ziemscy, a nawet szlachta z Ukrainy. Bogaci i biedni, barwna zbieranina połączona w wojskowym bractwie. A wśród nich ani jednej kobiety.

Ukraińcy, którzy zaliczali się do hordy zaporoskiej, nosili głównie luźne, szerokie spodnie i szerokie szarfy zapożyczone od stepowych Tatarów. Byli tu też ich bracia Kozacy dońscy, którzy przybywali w licznych grupach, często przywożąc ze sobą Kozaków aż spod Kaukazu. Ci wyglądali bardziej jak Gruzini albo Czerkiesi – mieli rozpięte sukmany z ukośnymi kieszeniami i bogatym szamerunkiem. Narzucali na to czarne baranie skóry, a jadąc konno, owijali się szerokimi pelerynami zwanymi burkami, które służyły im też za koce do spania. Spotykało się nawet Kozaków z Syberii i Uralu – ci lubili czerwone koszule i wysokie moskiewskie czapy ozdobione futrem.

Atmosfera była napięta. Mogli wyruszyć w każdej chwili. Ale ponieważ był to obóz

kozacki, w którym obowiązywała demokracja, każdą decyzję podejmowano w głosowaniu.

Kozacy zabijali więc czas i wyładowywali napięcie na różne sposoby. Wielu piło. Zakaz picia obowiązywał po wymarszu, i to pod karą okrutnej śmierci. Tu i tam jakiś Kozak grał na ośmiostrunowej bałajce, a inni przyłączali się do niego, wtórując mu na instrumencie przypominającym niewielkie dudy. Tańczyli też dziko, z przysiadami, wyrzucaniem nóg do przodu i wysokimi wyskokami.

A wśród tego zgiełku i zamieszania, w samym środku obozu, siedł młody zaporoski Kozak z towarzyszem.

Ostap byłby dumny, widząc Andrieja w takiej chwili.

Andriej miał na sobie szerokie spodnie i piękny atłasowy kaftan, do tego jedwabną szarfę i buty z marokinu. Zazwyczaj nosił też wysoką czapkę barania, ale teraz był z gołą głową. Wszystkie włosy miał ogolone z wyjątkiem kosmyka na czubku starannie związanego w kok. U pasa nosił wspaniałą, zakrzywioną szablę.

Jesienią poprzedniego roku, niedługo po przybyciu do obozu, Andriej przeszedł pierwszą inicjację, przepływając łodzią przez niebezpieczne progi skalne na Dnieprze. Był jednak przekonany, że musi wyruszyć na wyprawę, by w końcu uzyskać miano prawdziwego Kozaka. Ale już teraz w jego wyglądzie i zachowaniu pojawiła się jakaś twardość, która w połączeniu z młodzieńczą urodą sprawiała, że wyróżniał się spośród innych.

Jego towarzysz był dziwny – wysoki, także z kokiem na wygolonej głowie jak u Kozaków zaporoskich, ale jego sukmana i czarna barania skóra mówiły, że pochodzi z okolic Kaukazu. Miał też gęstą, ciemną brodę jak Moskale.

„Mój ojciec uciekł nad Don i nie zgolił sobie brody, więc po co ja miałbym to robić? – tłumaczył Andriejowi, który podziwiał jej długość. – To wyraz szacunku” – dodawał z powagą.

Stiepan miał trzydzieści lat. Był niezwykle silny i nikt w całym obozie nie mógł się z nim równać w zapasach. Ale jak wielu siłaczy miał łagodny charakter. Jedynie podczas bitwy wpadał w stan transcendentnego gniewu, a wtedy wszyscy pierzchali na jego widok. Przy całej swojej sile miał umysł dziecka. I był bezgranicznie przesądny. Inni Kozacy nazywali go czule Bykiem.

Niektórzy się dziwili, że wykształcony młodzieniec znad Dniepru zaprzyjaźnił się z tym naiwnym olbrzymem znad Donu, ale oni podziwiali się nawzajem i zwierzali sobie ze wszystkiego.

Choć w obozie obowiązywała wojskowa dyscyplina – Kozacy wyruszali na wyprawę bez kobiet, żeby niepotrzebnie nie zaprzętały ich uwagi – Stiepan dość szybko przyznał się Andriejowi, że kiedy wojna się skończy, chce się ożenić i osiąść gdzieś na stałe.

– Ale ja nie jestem taki jak ty – mówił, patrząc na kosztowne odzienie Andrieja.  
– Mam tylko to, co na sobie.

Rzeczywiście jego ciężki niebieski żupan był już mocno wytarty na brzegach, a w kilku miejscach złoty szamerunek się wypruł.

– Jeśli Polacy odbiorą nam gospodarstwo, też zostanę z niczym – wyznał Andriej.

– Ale nie martw się, stary Byku. Odzyskam gospodarstwo, a ty zabierzesz do domu cały wóz łupów. Powiedz mi jednak – poprosił zaciekawiony – kim jest dziewczyna, z którą chcesz się ożenić.

Stiepan się uśmiechnął.

– To ta jedyna.

– Ale która?

– Ta jedyna. Ta, którą los mi przeznaczył.

– Widziałeś już ją?

– Jeszcze nie.

– A wiesz coś o niej?

– Nic.

– A więc może być Tatarką, Gruzinką, Mordwinką albo – roześmiał się – polską damą?

Stiepan przytaknął z uśmiechem.

– To możliwe.

– Wszystko ci jedno, kim będzie?

– Przecież to nie ja ją wybiorę. Utrzymuję czysty umysł. Niczego sobie nie wyobrażam. Po prostu czekam.

Andriej się uśmiechnął.

– Mówisz tak jak jeden pop z seminarium. Powiedział, że tak się właśnie modli.

– O, to prawda – przyznał Stiepan szczerze. – Tak właśnie jest. I tak wszyscy powinniśmy żyć.

– Masz rację – odparł Andriej. – Ale powiedz mi, ta magiczna dziewczyna... jak ty ją rozpoznasz?

– Będę wiedział.

– Bóg ci podpowie?

– Tak.

– Mój Byku, jak ja cię kocham! – powiedział Andriej i objął go nieoczekiwanie.

Dziś jednak, kiedy szli przez obóz, myśleli zupełnie o czymś innym. W każdej chwili mogli wyruszyć, uderzając w samo serce Ukrainy. A jak Andriej się przekonał w ciągu zimowych miesięcy, tym razem nie było to jakieś małe powstanie. Polacy zgnetli ostatnią kozacką rebelię i od piętnastu lat pod pozorami spokoju tliły się dawne żale i urazy. Dopiero gdy Andriej dotarł do obozu i zobaczył setki mężczyzn takich jak on, zrozumiał, że to, co spotkało jego ojca, działo się wszędzie. Na zachodzie, bliżej Polski, położenie Kozaków było jeszcze gorsze, niemal wszyscy zostali zmuszeni do świadczenia pańszczyzny. A połowa małych majątków na Ukrainie przeszła w ręce żydowskich dzierżawców.

Nadchodzące powstanie przygotowywał człowiek tak samo doświadczony przez los jak Ostap – był wprawdzie bogatszy i lepiej wykształcony, ale nie dość, że odebrano mu bezprawnie majątek, to jeszcze kiedy śmiał protestować, zatłuczono na śmierć jego dziesięcioletniego syna. Nazwisko tego człowieka, czczone od tamtej pory na całej Ukrainie, brzmiało: Bogdan Chmielnicki. Kozacy nazywali go Chmielem.

To Chmiel przyjechał na Zaporozże, prosząc o pomoc. To on przez wiele miesięcy

wysyłał tajnych agentów do wiosek na całej Ukrainie. I to Chmiel – doskonale zdając sobie sprawę z siły i rozmieszczenia polskich wojsk oraz widząc słabości męznej, ale źle wyszkolonej kozackiej kawalerii – wykonał bardzo sprytny ruch. W lutym przejechał przez cały step do Bakczysaraju, siedziby chanatu krymskiego, i podstępem przekonał chana, że Polacy chcą go zaatakować. I właśnie dziś nadeszła wieść, że nazajutrz do obozu dotrą cztery tysiące niszczycielskiej tatarskiej jazdy.

Te połączone siły miały uderzyć w samo serce Ukrainy i wywołać powstanie w całym kraju.

– Damy Polakom nauczkę – przewidywał Andriej. – A potem odzyskam gospodarstwo.

Ale nawet przy tak licznych wojsku plan był bardzo śmiały. Polska mogła wystawić znacznie większą armię i do tego lepiej wyszkoloną. A gdyby nawet Kozacy zwyciężyli, to wciąż pozostawało nierozstrzygnięte pytanie – co dalej? Jakie są ich żądania? O co tak naprawdę walczą?

Tego nie wiedział chyba nikt. Naturalnie polski ucisk musiał się skończyć. Takim ludziom jak jego ojciec powinien zostać przywrócony honor i stan posiadania. No i z pewnością będzie dużo okazji do grabieży – to normalne podczas kozackich wypraw. Lecz co potem? Tego Andriej nie umiał sobie wyobrazić.

Dziwne, ale to prostoduszny Stiepan nie tylko problem przemyślał, ale też potrafił sformułować szczegółową odpowiedź.

– Należy stworzyć wolne państwo kozackie – tłumaczył Andriejowi. – W którym wszyscy będą sobie równi i będą mieli takie samo prawo głosu. Jak u Kozaków dońskich. Bez bogaczy i biedoty. Bez właścicieli ziemskich i chłopów pańszczyźnianych. Bez panów i sług. Nad Donem wszyscy są braćmi.

I choć Andriej wiedział, że to wyobrażenie o państwie Kozaków dońskich jest nieco wyidealizowane, to wiedział też, że kozacka biedota chętnie opowiada się za taką pełną demokracją.

Ileż było w tym szlachetności i tęsknoty za ludzkim braterstwem!

– No i wyrzucimy wszystkich Żydów i katolików – ciągnął Byk. – Oni nie są naszymi braćmi. A potem wszystko już będzie dobrze.

Andriej niby się z tym zgadzał, ale miał też wątpliwości. Czyż nie chciał się wzbogacić? Nie chciał żyć jak szlachcic w swoim majątku z ambitną Anną u boku?

Z zamyślenia wyrwał go huk dochodzący ze skraju obozu. To był sygnał. Zazwyczaj Kozaków zwoływano na zgromadzenie waleniem w kotły, ale przy takiej ilości ludzi strzelano z działa.

W ciągu paru minut na ogromnym placu zebrały się tysiące mężczyzn – w morzu głów kozacka drewniana cerkiewka wyglądała jak niesiona na falach łódź.

Przy głośnych okrzykach tłumu ataman, dowódca obozu, prowadził Chmielnickiego, który miał przemówić do zebranych.

Chmielnicki był potężnym, obcesowym mężczyzną o grubo ciosanej twarzy i z bujną brodą. Wyglądał jak tęgą kozacki wielmoża. Ale gdy ogarniało go podniecenie, ujawniał się jego talent oratorski. W kilku słowach przypomniał teraz swoje ślubowanie i to, w jak haniebnym sposób został potraktowany przez Polaków. Wszyscy znali tę historię,

ale każdy chciał ją znowu usłyszeć: chodziło o formę, a Chmielnicki wiedział, jak nie zawieść słuchaczy.

– Bracia, czy tak się godzi traktować mężnych Kozaków?! – ryknął.

– Nie! – odkrzyknął tłum.

– Gdy przychodzi wojna, proszą o nasze życie, a w czasie pokoju traktują nas gorzej, niż każdy z nas traktowałby psa. Czy to ma być zapłata za naszą służbę?! – zagrział i rozejrzał się na boki. – Mamy już na zawsze cierpieć, mamy patrzeć, jak zarzynają naszych braci, nasze żony, rodziny i dzieci? Czy może będziemy walczyć?

– Będziemy walczyć! – ryknął tłum.

Teraz do przodu wystąpił ataman.

– Mam propozycję, bracia Kozacy! – krzyknął.

– To nam ją przedstaw! – odpowiedział mu chór setek głosów.

Kwestia była już dawno ustalona, ale głosowanie musiało się odbyć.

– Proponuję, by Bogdan Chmielnicki został naszym naczelnym wodzem, reprezentantem wszystkich Kozaków na Ukrainie. Niech zostanie naszym hetmanem. Kto jest za?

– My! – odkrzyknął cały obóz.

– Niech zatem przyniosą buńczuk.

Serce Andrieja zabiło mocniej. Przyniesiono słynny kozacki symbol – koński ogon na długim drzewcu. Bali się go nawet polscy panowie i Turcy, bo pod takim sztandarem Kozacy byli gotowi walczyć do upadłego.

– Wyruszamy o świcie – ogłosił hetman.

W historii wielu krajów zapisały się znacznie gorsze lata niż 1648 rok w Polsce.

Lecz pośród obszernych zapisów ludzkiego okrucieństwa i ludzkiej głupoty, które niestety pozostały niezmiennie, rok ten z kilku względów zasługuje na to, by przyjrzeć mu się bliżej.

Ten rok odmienił również historię Rosji.

W połowie kwietnia kozacka armia – osiem tysięcy ludzi, cztery armaty i cztery tysiące Tatarów tuż za nimi – posuwała się na północ wzdłuż zachodniego brzegu Dniepru. Na przedzie niesiono wielką czerwoną chorągiew z wizerunkiem archanioła.

Wiedząc, że kozacy buntownicy nadchodzą, Polacy poczynili odpowiednie przygotowania.

Dowództwo powierzono Potockiemu, który urządził swoją kwaterę trzynaście kilometrów na południe od Perejasławia. A stamtąd wysłał strażę przednie podzielone na dwie części. Pierwsza, dowodzona przez jego syna, składała się z tysiąca pięciuset Polaków i dwóch i pół tysiąca Kozaków rejestrowych. Drugą stanowił kontyngent niemieckich najemników oraz drugie dwa i pół tysiąca Kozaków rejestrowych. Obie strażę miały zająć Kudak i ufortyfikować go na nowo.

Przekonanie, że wojska te dochowają wierności, było ze strony Potockiego oznaką głupoty albo arogancji, zwłaszcza że szpiedzy Chmielnickiego już dawno je zinfiltrowali.

Na widok buntowników Kozacy z drugiego oddziału zdecydowali w głosowaniu, że się do nich przyłączają. Zabili dwóch oficerów i niemieckich najemników. Następnego dnia, szóstego maja, Kozacy z drugiego oddziału uciekli od Potockiego, a on sam i wierni

mu Polacy zostali zmasakrowani w bitwie nad Żółtymi Wodami.

Dziesięć dni później kozacka armia natknęła się na główne siły polskie w pobliżu miasteczka Korsuń, leżącego zaledwie pięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Perejasławia. Kozacy, wspierani przez Tatarów, zaatakowali.

Bitwa pod Korsuniem zakończyła się ich wielkim zwycięstwem. Pojmano Potockiego i osiemdziesięciu innych polskich panów. W ręce Kozaków, oprócz obfitych łupów, wpadło czterdzieści jeden dział i tysiące koni.

Wiść o tej wiktorii rozniosła się lotem błyskawicy. Bunt rozlał się po całej Ukrainie.

Andriej i Stiepan byli bogaci.

Walczyli ramię w ramię, kładąc pokotem wielu Polaków. Stiepan parł naprzód w ślepej ekstazie gniewu, a Andriej nie tylko bił się mężnie, ale też chronił tyły przyjaciela i mądrze go prowadził, aż w końcu zauważył ich sam Chmielnicki.

– Ten duży jest odważny, a ten młody ma dużo sprytu – oznajmił.

Po zakończeniu bitwy, gdy całe wojsko oddało się orgii pijaństwa i tańca, hetman osobiście do nich podszedł i poza łupami należnymi każdemu Kozakowi dał im po sześć wspaniałych polskich wierzchowców.

– Jeszcze jedna taka bitwa, a będziesz mógł sobie kupić gospodarstwo – powiedział Andriej do Stiepana.

Jednak najbardziej obłowili się Tatarzy. Oddano im wszystkich Polaków, za których mogli żądać okupu. Już teraz wyruszyli z więźniami na Krym.

– Tatarzy zawsze się wzbogacą – stwierdził Stiepan.

– Ale walczą jak wściekli, to trzeba im przyznać – zauważył Andriej z uznaniem.

– Może – powiedział Stiepan markotnie. – Tylko że ja ich znam lepiej. Niedługo sam się przekonasz.

Dla Andrieja był to ekscytujący czas. A on sam czuł się prawdziwym Kozakiem. Nie tylko spełniło się jego marzenie o wielkiej przygodzie, lecz także mógł uczestniczyć w dramatycznych wydarzeniach politycznych.

Powstanie Chmielnickiego wybuchło w bardzo sprzyjającym dla Ukrainy czasie. Niedługo po upokarzającej klęsce Polaków pod Korsuniem zmarł król Polski. Do czasu wyboru nowego władzę w Warszawie przejęli prymas i kanclerz. Chmielnicki zaatakował Rzeczpospolitą w chwili największej słabości.

W całej wschodniej Europie podniosła się dyplomatyczna wrzawa. Ze stolicy Polski wysyłano posłów do Moskwy i do osmańskiej Turcji. Nakłaniano sułtana, żeby przywołał do porządku Tatarów, którzy byli jego wasalami. A do cara zwrócono się z prośbą, by zaatakował chanat krymski, o ile leży mu na sercu pokój z Polską. Polską szlachtę wzywano do wystawienia wojsk w obronie ojczyzny.

Tymczasem kolejne dni po bitwie przynosiły nowe wieści o chłopach buntujących się na całej Ukrainie przeciwko polskim panom. Do kozackiego obozu napływał wielki strumień ludzi gotowych do walki – jedni na koniach i w pełnym uzbrojeniu, inni zaledwie z końską szczęką przywiązaną do kija.

A Chmielnicki spokojnie wysyłał posłów do Polaków i do cara Rosji, nastawiając jednych przeciwko drugim.

– Teraz będzie już zupełnie inaczej – zapewniał Andriej przyjaciela.

– Być może – odpowiadał Stiepan.

W tym sprzyjającym okresie Andriej otrzymał pozwolenie na krótki wyjazd do Ruski. Zabrał ze sobą Stiepana.

Miał dwa powody, by tam jechać: chciał się przekonać, że rodzice są bezpieczni, a przy okazji zostawić w domu łupy i część koni.

Jednak hetman Chmielnicki puścił go chętnie dlatego, że wyznaczył mu ważną misję.

– Wiśniowiecki jest właścicielem twojej wsi, prawda? – spytał. – Doszły mnie słuchy, że zbiera siły, żeby nas zaatakować. Weź dziesięciu ludzi, dowiedz się, czego zdołasz, i wracaj. – Uśmiechnął się do Andrieja zachęcająco. – Podobno chodziłeś do seminarium.

– Owszem, hetmanie.

– To świetnie. Będę ci się przyglądał podczas kolejnej bitwy.

Andriej wiedział, co to oznacza. Może za rok zostanie esaułem, kozackim kapitanem. A jeśli powstanie się powiedzie, droga do sukcesów stanie przed nim otworem.

Wyruszyli w doskonałych nastrojach. Jechali na wschód w ciepłym czerwcowym słońcu wśród przepięknych krajobrazów. Od czasu do czasu napotykali kawałki lasu i niewielkie zagajniki, tu i ówdzie wzdłuż brzegów strumieni rosły wierzby i sosny. Jednak głównie otaczał ich rozległy, otwarty step porośnięty falującą ostnicą. Zwierzyny i ryb było w bród, ale oni jechali przed siebie, pokonując największy dystans rano i wieczorem, a na odpoczynek zatrzymując się w południe.

Andriej miał wspaniałe polskie rumaki, lecz wolał dosiadać swojego mniejszego kozackiego wierzchowca. Te silne, wytrzymałe, niepodkute konie mogły pokonywać dziennie osiemdziesiąt kilometrów z jeźdźcem w siodle. Pod koniec drugiego dnia dotarli do Dniepru i przeprawili się tratwą na drugi brzeg. Nazajutrz powinni być w Rusce.

Późnym rankiem zauważyli pierwsze niepokojące znaki. Mijali niewielki fort, mniejszy niż w Rusce, który służył polskim władzom jako placówka administracyjna. Fort był wymarły i pewnie by się przy nim nie zatrzymali, gdyby Andriej nie zauważył dziwnego kształtu na bramie.

Był to polski urzędnik, co poznali po kosztownych szatach. Został powieszony. Ale ukraińscy chłopcy potrzebowali dać upust swojemu okrucieństwu, dlatego najpierw na jego oczach zabili żonę i dzieci, a potem ich głowy przywiązali mu liną do szyi. Podobny straszliwy koniec spotkał tego lata wielu Polaków.

Godzinę później dotarli do kozackiego gospodarstwa – było spalone i splądrowane. Ale gdy Andriej zaczął przeklinać Polaków, Stiepan go powstrzymał.

– Spójrz. – Podniósł z ziemi strzałę. – To nie Polacy. To Tatarzy wracali do siebie. Andriej skinął głową.

– A my oddaliśmy im polską szlachtę – zauważył ze smutkiem. – Mało im było?

– Tatarom jest zawsze za mało – odparł Stiepan.

– Ruszajmy dalej – ponaglił Andriej. Niepokoił się, co może zastać w Rusce.

Jechali w milczeniu. Wszyscy wyczuwali obawy Andrieja, więc jak mogli



ponaglali konie.

W pewnej chwili drogę przeciął im żbik, który zaraz potem zniknął w wysokich trawach. Stiepan zaklął pod nosem.

– Co się stało, mój Byku? – spytał Andriej.

– Nic – odpowiedział olbrzym, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

– Daj spokój, o co chodzi?

– Czy ten żbik na nas spojrział?

Andriej się zastanowił.

– Chyba nie. A bo co?

– Nic. Może rzeczywiście nie spojrział.

Mimo zaniepokojenia Andriej się uśmiechnął. Żył w przesądnych czasach, w przesądnym kraju, ale nie spotkał nikogo takiego jak Stiepan. Podczas wyprawy wiele razy widział, jak jego przyjaciel obserwuje drzewa, skały, przelatujące ptaki, bo nawet najzwyczajniejsze rzeczy miały dla niego szczególne, magiczne znaczenie.

– A co znaczy w twoich stronach, gdy żbik na ciebie spojrzy? – spytał ze śmiechem.

Stiepan nie chciał powiedzieć.

Późnym popołudniem byli już niedaleko Ruski. Andriej rozglądał się uważnie, wypatrując śladów Tatarów, ale niczego nie zauważył.

Przy moczarach natknęli się na chłopca z lasu. Wysłuchawszy go, Andriej powziął plan.

– Przygotujcie się do walki – rzucił do swoich ludzi. – Najważniejsze, byśmy uderzyli w odpowiednim momencie.

Mały fort w Rusce był zamknięty na głucho. W środku czekał na instrukcje zdeorientowany oddział dwudziestu polskich żołnierzy przysłanych z Perejasławia.

W forcie byli też Jankiel, trzech żydowskich rzemieślników i dwóch kupców, wszyscy z rodzinami. Polacy nie ufali miejscowym chłopom ani Kozakom, więc zostawili ich za murami – niech się sami bronią przed Tatarami.

Gdy opuszczali Perejasław, mówiono im, że Wiśniowiecki zbiera ogromne siły, ale od tamtej pory nie doszły ich żadne słuchy o ruchach tych wojsk. Już od dwóch dni czekali na jakieś wieści.

Słońce powoli zachodziło, gdy na skraju lasu od strony Perejasławia pojawił się niewielki oddział. Osłaniając oczy przed słońcem, strażnicy w forcie z ulgą poznali po lśniących mundurach i wspaniałych wierzchowcach, że to Polacy.

Stiepan, ukryty w zaroślach odległych o sto metrów od bramy fortu, również obserwował żołnierzy.

– Skąd jesteście?! – zawołali obrońcy z murów, gdy oddział podjechał bliżej.

– Macie jakieś wieści?

– Jesteśmy od Wiśniowieckiego – padła odpowiedź. – Główne siły idą zaraz za nami. Otwórzcie bramy.

– Bardzo dobrze – mruknął Stiepan. – Wszystkich zabijemy.

Strażnicy otworzyli bramy.

I wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Oto z kryjówki w zaroślach wyskoczyła

gromada dwudziestu wieśniaków i pod przewodnictwem Stiepana otoczyła jeźdźców od tyłu. Żołnierze na murach zobaczyli ich dopiero przy samej bramie, ale gdy podnieśli alarm, Polacy na koniach, zamiast rzucić się na nich, jeszcze szerzej otworzyli skrzydła bramy.

Dopiero wtedy polski garnizon zorientował się, że wpadł w pułapkę.

Zabiwszy pierwszego Polaka, Andriej zaśmiał się pod nosem. Wspaniałe wierzchowce, które dostali jako łupy, rozmaite polskie mundury, szable i ozdoby zdobyte podczas bitew bardzo im się teraz przydały.

Całe szczęście, że w seminarium nauczyłem się trochę polskiego, pomyślał.

Polacy byli tak zaskoczeni, że zanim w ogóle zrozumieli, co się stało, stracili jedną czwartą ludzi. Jednak szybko się otrząsnęli i stawali bardzo mężnie. Wiedzieli, że nikt nie będzie brał jeńców. Walka toczyła się o każdy dom.

A Andriej o mały włos nie zginął.

Kiedy obok drewnianej chałupy, w której Jankiel sprzedawał gorzałkę, napierał na jakiegoś Polaka, nie zauważył innego, kryjącego się na balkonie. Jedynie okrzyk Stiepana sprawił, że w ostatniej chwili odparował cios przeciwnika, który skoczył na niego z góry. Przewrócił się jednak i straciłby życie, gdyby nie potężna postać przyjaciela, który wyrósł jak spod ziemi i kilkoma potężnymi ciosami powalił przeciwnika.

Podniósłszy się z ziemi, Andriej zauważył, że bitwa się skończyła. Czterech jego ludzi otoczyło ostatnich dwóch Polaków.

– Zostawić ich przy życiu! – zawołał. – Może czegoś się od nich dowiemy.

A potem zauważył jeszcze coś.

Reszta jego ludzi i zebrani przez Stiepana wieśniacy zabijali Żydów.

Andriej się skrzywił. Nie lubił Żydów tak samo jak Polaków i gdyby ci ludzie byli uzbrojeni, nie zastanawiałby się ani chwili. Ale oni byli bezbronni. Jeden próbował osłaniać się kijem, ale nie miał szans. A potem wieśniacy zaczęli wywlekać na ulice kobiety i dzieci.

– Dość tego! – krzyknął Andriej.

Ale oni nie zwracali na niego uwagi. Jedna z kobiet się przewróciła.

– Zostawcie ich! – ryknął. – To rozkaz.

Tym razem Kozacy się zawahali. Ale chłopci robili swoje.

– Do studni żydowski pomiot! – zawołał któryś.

– Nie, ze studni bierzemy wodę – odpowiedział mu jakiś głos.

– No to do rzeki!

Chcieli wszystkich utopić.

Zrozumiawszy, że nie da rady ich powstrzymać, Andriej poczuł odrazę do samego siebie.

– Panie Andrieju! – Z okna domu dobiegł go głośny szept. – Panie Andrieju!

Zajrzał do środka. To był Jankiel. W całym tym zamieszaniu zupełnie o nim zapomniał.

– Poznałem was, panie. Uratujcie nas, szlachetny panie!

Andriej spojrział na niego ze smutkiem.

– Nigdy was nie skrzywdziłem – ciągnął Jankiel żarliwie. – Jesteście moją jedyną

nadzieją.

– Zabrałeś nam konia – rzucił Andriej z rozdrażnieniem, bo sam czuł się bezradny.

– Ale nie najlepszego. Wziąłem takiego, który nie był wart nawet połowy długu waszego ojca. I mogę go wam oddać. – Umilkł na chwilę. – Mnie pošlijcie na śmierć. Zabijcie mnie sami. Ale ulitujcie się nad moimi dziećmi.

– Otwórz drzwi.

Weszli do środka. W izbie panował półmrok, unosił się tu miły zapach wódki. Andriej zobaczył przed sobą starego krępego Żyda, piętnastoletnią dziewczynę i chłopca w wieku ośmiu albo dziewięciu lat. Nagle zdał sobie sprawę, że od czasu wyjazdu do seminarium nie miał żadnej kobiety. A ta była uderzającą pięknoscią o ciemnych włosach, oczach w kształcie migdałów i z lekko zakrzywionym nosem. Chłopcu też nie brakowało urody.

– Zrobię, co będę mógł – mruknął Andriej. – Ale sam nie dam rady. – Odwrócił się do Stiepana. – Byku, pomożesz mi ocalić tych Żydów? – zaczął, ale przerwał, widząc, że przyjaciel go nie słucha, tylko z otwartymi ustami wpatruje się w dziewczynę, jakby zobaczył ducha.

Kilka minut później Jankiel stracił życie, i to z własnej winy.

Poczuł taką ulgę i radość, że Andriej i jego wielki przyjaciel otoczyli ich opieką, że pierwszy wyszedł z domu. Kiedy stojący obok drzwi wieśniacy, jeden z siekierą, a drugi z kosą, rzucili się na niego, Andriej nawet nie zdążył stanąć w jego obronie.

Musiał teraz przepytac dwóch polskich jeńców i coś z nich wydobyć. Oraz wykopać dwa groby, jeden dla Polaków, a drugi dla Żydów. To zlecił wieśniakom. A sam postanowił jechać do rodzinnego domu.

Zabrał ze sobą chłopca.

Słońce akurat zaszło, gdy dotarli do gospodarstwa. Znalazł Ostapa w dobrym nastroju. Burzliwe wydarzenia ostatnich miesięcy sprawiły, że Mordechajowi nie udało się przybyć do gospodarstwa i wymóc na Ostapie należnej pańszczyzny. A Ostap całkowicie ignorował swoje powinności. Pił mniej i spał pod gołym niebem.

– Słyszałem o wszystkim! – zawołał na widok Andrieja. – Przyjechał chłopak z wioski. Szkoda, że nie dałeś mi znać, chętnie sam bym powalczył.

Ucieszył się z koni, ale gdy Andriej wyjawiał mu swoją prośbę, spochmurniał.

– Mam dać schronienie temu małemu Żydowi?

Andriej opowiedział mu o wszystkim.

– Nie mogę go zabrać do obozu – tłumaczył. – A wieśniacy go zatłuką. Nie zostawię go na pastwę losu.

Ostap zmarszczył brwi, by nie przyznać, że ma miękkie serce.

– Niech się nawróci – oświadczył. – Będzie mi pomagał w gospodarstwie.

Andriej podszedł do chłopca.

– To jedyne miejsce, gdzie możesz się czuć bezpieczny. Mojego ojca ludzie nie będą nagabywać. Ale musisz zostać chrześcijaninem.

– Nigdy – zaprotestował chłopiec.

Andriej spojrzał mu uważnie w oczy.

– Obiecałem twojemu ojcu, że cię ocale, i zamierzam dotrzymać słowa. Ale musisz

mi w tym pomóc. Rozumiesz? Dopóki będziesz tu mieszkał, będziesz prawosławnym.

Chłopiec zrozumiał, choć wciąż patrzył prowokująco.

– Nawrócił się – oznajmił Andriej.

Polscy jeńcy niewiele powiedzieli. Kozacy zabrali im wszystko, a potem puścili ich wolno w lesie.

Andriej zostawił w forcie swoich ludzi, którzy mieli przygotować kwaterę na noc, a sam przeprowił się przez rzekę. Chciał się zobaczyć z Anną.

Nie zauważył jej do tej pory, ale tyle się działo, że wcale go to nie zdziwiło. Dlatego aż oniemiał, widząc, że jej dom jest zabity deskami.

– Gdzie oni są? – spytał.

– Ojciec pojechał z synami do kozackiego obozu – wyjaśnił sąsiad. – Jego żona jest u swojej siostry w wiosce koło Perejasławia.

– A co z Anną?

– Z Anną? – zdziwił się mężczyzna. – Nie wiedziałeś? Nie ma jej. Zabrał ją ten Polak. Stanisław. Pojawił się zaraz po wyjeździe jej ojca i braci, został tu parę dni, a potem wyjechał razem z nią. Porwał ją o świcie.

Andriej nie mógł w to uwierzyć. Najpierw ten bezczelny Polak chciał odebrać mu gospodarstwo i upokorzyć ojca, a potem uprowadził jego dziewczynę.

– Dokąd pojechali?

– A kto to wie? Pewnie są już w Polsce.

Andriej wrócił zamyślony do fortu. Czyżby utracił Annę na zawsze?

Odnajdę ją, przysięgł sobie w duchu. A los Stanisława jest przesądzony.

Od ponurego rozpamiętywania straty odciągała go jedynie myśl o tym, co się przytrafiło jego przyjacielowi. Oto bowiem Stiepan spotkał swoją miłość.

Nikt pewnie by nie przypuszczał, że spośród wszystkich kobiet na świecie los podsunie mu żydowską dziewczynę. Mimo własnych zmartwień Andriej aż wybuchnął śmiechem.

– Ale to przecież Żydówka, mój Byku! – zaprotestował, gdy siedzieli w forcie przy ognisku.

– Przechrzcł się – powiedział Stiepan.

– Tak ci powiedziała?

– Wiem, że to zrobi.

– Ale dlaczego akurat ona?

– Nie wiem – przyznał olbrzym. – Ale jestem tego pewny.

– Po prostu ją zobaczyłeś i stwierdziłeś, że tak chce los?

– Tak właśnie było.

Stiepan chodził jak otumaniony. Nawet gdy się z nim rozmawiało, patrzył nieobecny wzrokiem, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej.

– Mój ty biedaku! – mówił Andriej. – I co ty z nią zrobisz? Przecież nie możesz zabrać jej do obozu.

Stiepan pokiwał powoli swoją wielką głową.

– Wiem. Zastanawiałem się nad tym. Znajdę księdza, który da nam ślub. A potem wrócę z nią do domu nad Don.

- Opuścisz mnie?
- Widać los tak chce – oświadczył Stiepan z powagą.
- Lepiej z nią porozmawiaj.
- Słusznie. – Olbrzym podniósł się powoli. – Musimy porozmawiać.

Podszedł do dziewczyny, która siedziała nieco dalej w mroku. W milczeniu przyprowadził ją do ogniska i pokazał, by usiadła obok niego. A Andriej, choć był bardzo ciekawy, co z tego wyniknie, zostawił ich samych. Wtedy Stiepan zaczął coś cicho mówić.

Andriej od czasu do czasu spoglądał w ich stronę. Inni Kozacy też popatrywali z ciekawością. Nie ma co, ten brodaty olbrzym to naprawdę dziwny człowiek.

Dziewczyna mówiła niewiele, obserwując Stiepana dużymi, poważnymi oczami. Jedynie z rzadka rzucała jakieś słowo, jakby chciała go zachęcić. Sprawiała żalodne wrażenie. Miała zaledwie piętnaście lat, widziała ojca zarąbanego na śmierć, a teraz ten dziwny Kozak wbił sobie do głowy, że się z nią ożeni. Zupełnie, pomyślał Andriej, jakby ona była nauczycielką, a Stiepan małym dzieckiem – coś w jej opanowanej, tragicznie młodej twarzy sprawiało, że wyglądała na starszą od niego.

W końcu Andriej poszedł spać. Ale budząc się kilka razy podczas tej krótkiej letniej nocy, widział ich pogrążonych w rozmowie, w blasku żaru niewielkiego ogniska.

Co on jej mówił? Kto wie, jaki potok myśli mógł się wylewać z jego poważnego umysłu. Próbował ją nawrócić? Opowiadał jej o rodzinnych ziemiach za Donem? Snuł historię swojego życia? Roztaczał przed nią opowieści o magii i przesądach, którymi był przesiąknięty? A może opisywał bezkresny, pachnący step albo zwierzał się z przekonania, że wszyscy ludzie powinni być równi. Tego Andriej nie mógł wiedzieć, ale był pewny, że przyjaciel, wierząc, że ta młoda Żydówka jest ucieleśnieniem jego przeznaczenia, postanowił tej nocy otworzyć przed nią duszę.

A dziewczyna słuchała go i słuchała...

Pewnie dowiedziała się o nim więcej, niż niejedna żona dowiaduje się o mężu przez całe życie, pomyślał Andriej z uśmiechem, zasypiając po raz trzeci.

Niebo zaczynało jaśnieć, gdy na wpół obudzony zobaczył, jak Stiepan przeszukuje swoje rzeczy. Zauważył też, że dziewczyna stoi obok ogniska, a na twarzy przyjaciela maluje się dziwne uniesienie, jakby przed chwilą poznał jakąś cudowną, mistyczną tajemnicę. Przyjaciel sprawiał wrażenie bardziej nieobecnego myślami niż zwykle. Andriej w półśnie przypomniał sobie, że widział ich, jak wychodzą z fortu, i że Stiepan wyglądał wtedy jak lunatyk. Ponownie zapadł w sen.

Po paru minutach rozległ się krzyk, który poderwał na nogi cały obóz.

Andriej, całkowicie obudzony, rzucił się biegiem do bramy. Stało tam już kilku strażników. Przepchnął się między nimi i pobiegł ścieżką w dół.

Stiepan stał nad brzegiem. W rękach trzymał pistolet. Dziewczyna leżała martwa na trawie.

Nie poruszył się. Nawet gdy Andriej podszedł do niego, wpatrywał się w ciało dziewczyny z wyrazem pomieszania i zadziwienia. A gdy przyjaciel wziął go za rękę, był całkiem sztywny.

Stali tak przez kilka minut w świetle wczesnego poranka, zanim Stiepan w końcu

pozwoił wyjąć sobie z dłoni pistolet. Jego ciało zwiotczało nagle i ruszył za Andriejem do fortu.

Dopiero gdy usiadł i wypił trochę wódki, mógł opowiedzieć, co się stało.

Podczas długiej nocnej rozmowy dziewczyna najwyraźniej dobrze pojęła prosty, pełen przesądów umysł Stiepana. Powiedziała, że wyjdzie za niego za mąż. On był wniebowzięty. Zaufał jej bezgranicznie. A potem, gdy noc już się kończyła, a Stiepan osiągnął stan, który wydawał się mistyczny, zdradziła mu swoją wielką tajemnicę.

„To prawda, Stiepanie, że los nam siebie przeznaczył. Czekałam na ciebie. – Uśmiechnęła się. – Bo widzisz, ja jestem czarodziejką”.

I powiedziała, że może mu to udowodnić. Muszą tylko odejść gdzieś na bok.

„Możesz wystrzelić z pistoletu wprost w moje serce, a nie zrobisz mi najmniejszej krzywdy – zapewniała go. – Chodź, sam się przekonasz”.

I biedak jej posłuchał.

Ale nawet teraz nie docierało do niego, że jego wiara w przeznaczenie legła w gruzach. Wciąż kręcił z niedowierzaniem głową.

– Może ona tylko zemdląca.

Wśród Kozaków jedynie Andriej zrozumiał, że dziewczyna wolała śmierć, niżby miały ją pohańbić ręce chrześcijanina, nawet jeśli te ręce były pełne dobroci.

Niedługo potem urządzili jej skromny pogrzeb.

Andriej zastanawiał się, czy nie sprowadzić jej brata, ale zaniechał tego pomysłu. Uznał jednak, że chłopiec powinien mieć po siostrze jakąś pamiątkę. Obszukał ją i ze zdziwieniem zauważył na jej szyi łańcuszek ze starym medalikiem przedstawiającym Trójzab. Nie miał pojęcia, co to jest, ale zabrał, by przekazać osieroconemu dzieciakowi.

Dziewczynę pochowano w nieoznaczonym grobie na skraju stepu. Nie mogła wiedzieć, że ziemię nad Donem, dokąd chciał ją zabrać Stiepan, były ojczyzną jej chazarskich przodków.

A przed południem Stiepan wygłosił zagadkowe stwierdzenie:

– To wszystko przez żbika. Widocznie na mnie spojrział. To wszystko przez niego.

W południe wyruszyli w dalszą drogę, nasłuchując wieści o Wiśniowieckim i jego armii.

Rzeź Żydów ukraińskich w 1648 roku niemal wszędzie przebiegała podobnie jak w Rusce. Zachowały się nawet zapiski o zdarzeniach tak dziwnych jak zaloty Stiepana.

Spór, ilu Żydów wówczas zabito, pewnie nigdy nie zostanie rozstrzygnięty, jednak jest niemal pewne, że śmierć poniosły dziesiątki tysięcy ludzi. A ten rok został uznany za początek systematycznych pogromów, które stały się nawracającym nieszczęściem tamtych ziem.

Na początku czerwca Wiśniowiecki przeszedł na zachodnią stronę Dniepru z sześcioma tysiącami ludzi, których udało mu się ściągnąć ze swoich ogromnych majątków. Dowodzona przez niego armia paliła, plądrowała i masakrowała dosłownie każdą ukraińską osadę na swojej drodze, już na zawsze utwierdzając Ukraińców w nienawiści do Polaków, a jednocześnie z niezwykłą tępotą wykazując, że najbardziej wyróżniającymi cechami siedemnastowiecznej Rzeczypospolitej Obojga Narodów były skłonność do osobistej zemsty oraz nieudolność rządów.

W lipcu walki wznowiono. A kilka miesięcy później Andriej otrzymał stopień esaula.

I w kolejnych kampaniach cały czas szukał Anny i Stanisława.

*Rok 1649*

Ten dzień miał zapamiętać na całe życie, oznaczał on bowiem koniec jego szczęśliwej młodości.

Z początku wyglądało na to, że wszystko układa się pomyślnie. Powstanie rozlało się po całym kraju. Pod koniec 1648 roku połowa ludności Ukrainy uważała się za Kozaków. Chmielnicki i jego ludzie odnosili nad Polakami miażdżące zwycięstwa. Zdobyli kolejne sto armat, przechwycili wojskowe wozy, w których znaleźli sto milionów polskich złotych, a wreszcie zwycięscy Kozacy wkroczyli do Kijowa, witani przez wolnych mieszczan i samego metropolitę jako zbawcy Rusi.

Nowy polski król zawarł rozejm; podpisano traktaty przyjaźni z tureckim sułtanem i jego wschodnioeuropejskimi wasalami i przez krótki czas wydawało się, że marzenie o wolnym państwie kozackim może się ziścić.

Ale mimo tych tryumfów Andriej widział, że jego przyjaciel jest nieszczęśliwy.

Po tamtym straszliwym poranku w Rusce Stiepan ani razu nie wspomniał o dziewczynie, jednak Andriej wyczuwał, że zaszła w nim głęboka zmiana. Jego prostoduszna wiara w czekające na niego przeznaczenie najwyraźniej się załamała.

I chociaż nadal walczył ramię w ramię z braćmi Kozakami, to widać było, że przestał wierzyć w ich sprawę. Jego rozczarowanie sprawiło, że obaj przyjaciele zaczęli się od siebie oddalać.

Bo prawda była taka, że idea demokratycznego kozackiego państwa na Ukrainie upadła, zanim nabrała rozmachu.

Były ku temu dwa powody. W pierwszym roku rewolty, gdy Polska znalazła się w bardzo niekorzystnym położeniu, Chmielnicki nie umiał wykorzystać swoich zwycięstw. Chłopi wracali do gospodarstw, a Andriej, patrząc na nich, wcale im się nie dziwił.

„Jesteśmy za słabi, żeby prowadzić długą kampanię bez sojuszników” – stwierdził.

Owszem, liczyli na wsparcie Tatarów. Ale oni, jak wszyscy najemnicy, patrzyli jedynie na łupy. Wiosną odmawiali udziału w bitwach, jeśli nie mieli pewności zwycięstwa, a na początku lata zaczęli się układać z Polakami.

Kozakom przyszło odgrywać w historii zawsze taką samą rolę: mogli złamać jedno państwo, a inne poprowadzić ku zwycięstwu, jednak było ich za mało, by zdołali stworzyć zdolne do życia samodzielne państwo.

Potrzebowali protektora – polskiego króla, chana krymskiego, sułtana albo cara. Mogli jedynie domagać się najlepszych dla siebie warunków. Tylko co te warunki miały oznaczać?

Latem 1649 roku Kozacy zawarli z Rzeczpospolitą porozumienie na warunkach jak dla Polaków wyjątkowych.

Chmielnickiemu i jego Kozakom obiecano państwo w państwie. Do rejestru miało

trafić aż czterdzieści tysięcy ludzi. Dowództwo kozackich regimentów miało mieć siedziby w Kijowie i dwóch miastach, gdzie zakazano wstępu Żydom i jezuitom.

– Warto było o to walczyć – oznajmił uszczęśliwiony Andriej.

Ale Stiepan jedynie ze smutkiem pokręcił głową.

– Poświęciliśmy wszystko, nie zyskując niczego – powiedział. A widząc zdziwione spojrzenie Andrieja, wyjaśnił: – Nie mamy wolnego państwa. Nie mamy równości. Bogaci Kozacy dostali przywileje, a biedniejsi i chłopci nic.

Co było prawdą. Andriej nie mógł nawet zaprzeczyć. Dla ludzi takich jak Chmielnicki – a także Andriej i jego ojciec – warunki porozumienia były doskonałe. Jednak biedni chłopci, którzy – przyciągani obietnicami Chmielnickiego o wolności – przyłączyli się do powstania często nawet bez broni, nie odnieśli najmniejszych korzyści.

Jak na te zarzuty odpowiadali Chmielnicki i jego rada?

„Kozak ma być Kozakiem, a chłop chłopem”.

To proste stwierdzenie, które zostało zapamiętane na długo, mogło służyć jako epitafium dla wolnej Ukrainy.

– Nie po to poszedłem walczyć – stwierdził Stiepan ponuro.

– Więcej nie dało się osiągnąć – pocieszał go Andriej.

Rozumiał jednak dobrze, że jemu to wystarczało. Po co miał się domagać wolności dla chłopów, skoro sam mógł kupić sobie majątek? Zresztą cały ten pomysł był nierealny.

– Nie można mieć całkowitej wolności. To iluzja – stwierdził.

Stiepan pokręcił głową.

– To nie iluzja. Ale wy się boicie wolności – powiedział ze smutkiem.

– Ja po prostu wiem, że to się nie uda. Bo kto miałby nas bronić przed napaścią? Mając wolność, stalibyśmy się bezbronni. Nie widzisz tego?

– Widzę, że ze zdrady rodzi się jedynie zło – odparł olbrzym.

Wydarzenia kolejnych dni przyznały mu rację.

Chłopi, rozwścieczeni, że ich sprzedano, zaczęli się buntować. A teraz to rada kozacka, nie Polacy, podjęła decyzję o zdławieniu powstania. Wydano stosowne rozkazy. Andriej przygotowywał się do wymarszu.

Spotkała go jednak przykra niespodzianka.

Okazało się, że Stiepan jest już gotowy do wyjazdu. Przywitał Andrieja dość opryskliwie, ale najwyraźniej czekał, żeby się z nim pożegnać. Jeden koń stał osiodłany, drugi niósł juki ze skromnym dobytkiem. Nieco dalej czekał zapasowy wierzchowiec.

– A więc słyszałeś rozkaz?

– Słyszałem.

– I wyjeżdżasz?

– Owszem. Nie przyłożę do tego ręki.

Andriej westchnął. Nie zamierzał go odwodzić.

– A zatem wracasz nad Don?

– Może.

Andriej rozejrzał się ze zdziwieniem.

– Gdzie są twoje polskie konie? Gdzie twoje łupy?



– Rozdałem wszystko.

– Rozdałeś? Komu?

– Jakimś chłopom. Oni bardziej potrzebują pieniędzy niż ja.

Zabrzmiało to jak wyrzut, ale Andriej nie poczuł się dotknięty i nie zamierzał się usprawiedliwiać. On wiedział swoje, a Stiepan swoje.

– Niczego sobie nie zatrzymałeś? A twoje gospodarstwo nad Donem?

– Może wcale nie wrócę nad Don.

– Przecież tam żyją wolni ludzie, Byku, nawet jeśli to nie jest Ukraina. To twoje miejsce na ziemi.

Byk milczał przez chwilę. Wydawało się, że coś zaprzęta jego umysł, że już od dawna nad czymś się zastanawia. Pokręcił powoli głową.

– Człowiek nigdy nie jest wolny – mruknął w końcu. – A już na pewno nie wtedy, gdy rządzą nim jego pragnienia.

Andriej spojrzał na przyjaciela. W jego stwierdzeniu dźwięczała jakaś ostateczność, wskazująca, że Stiepan dotarł do końca drogi, którą podążał w myślach, i że postanowił zawrócić przed kolejną podróżą.

– Byku, wciąż masz wiarę w człowieka? – spytał Andriej z tkliwością.

Stiepan nie odpowiedział od razu, a to dowodziło, że jego wiara w słuszność ludzkiego postępowania się rozpadła.

– Wszyscy jesteśmy grzesznikami – burknął.

– Dokąd się więc wybierasz?

– Nie wiem.

– Co będziesz robił?

– Nie wiem.

– W takim razie musiały ci zostać resztki wiary.

– Być może. – Stiepan spojrzał w ziemię. – Kiedyś zostanę popem – dorzucił smętnie. Zerknął na konia. – Muszę ruszać.

Andriej objął go.

– Żegnaj, Byku. Niech Bóg będzie z tobą.

Wiedział, że już go nigdy nie zobaczy.

*Rok 1653*

Był chłodny wiosenny poranek. Andriej jechał na północ z kozackimi posłami.

Mieli rozmawiać z samym carem.

Po odjeździe Stiepana powodzenie nie opuszczało Andrieja. Chmielnicki osobiście zwrócił na niego uwagę i często powierzał mu delikatne misje.

Stary Ostap umarł – i to nie na serce, jak obawiali się Andriej z matką, ale z powodu zarazy, która nawiedziła Ukrainę zaraz po chłopskim buncie. Śmierć ojca zasmuciła Andrieja i przypomniała mu o kruchości własnego życia.

„Najwyższy czas, żebyś się ożenił” – powiedział mu kiedyś Chmielnicki.

Ale on, choć nie mógł narzekać na wzięcie u kobiet, wcale się do tego nie kwapił. Czyżby nie potrafił zapomnieć o Annie? A jeśli tak, to na co liczył? Sam nie wiedział, ale

też był zbyt zajęty, by się nad tym zastanawiać.

Doskonale rozumiał, że obecna misja jest najważniejszym zadaniem jego życia. Listy od hetmana, które wieźli ze sobą, miały tym razem ocalić Ukrainę.

Kraj znalazł się w głębokim kryzysie.

Polska nie chciała się zgodzić nawet na cząstkowe państwo kozackie. A oba Kościoły, katolicki i unicki, nie zamierzały tolerować tryumfu prawosławia na kijowskich ziemiach. Magnaci domagali się zwrotu swoich ziem, szlachta i inni polscy podatnicy byli oburzeni zwiększeniem liczby Kozaków rejestrowych, którzy mogli teraz oczekiwać od Rzeczypospolitej żołdu. Walki wybuchły na nowo. Do polskich wojsk dołączyli niemieccy najemnicy, a Chmielnicki ponosił porażkę za porażką. Jego władza osłabła. Żydzi zaczęli wracać na ukraińskie ziemie. Dwukrotnie Kozacy i chłopcy szukali schronienia za rosyjską granicą.

Co miał w takiej sytuacji zrobić kozacki hetman?

To nadal jest szczwany lis, myślał Andriej z podziwem.

I nie mylił się. Chmielnicki potrafił negocjować jednocześnie z sułtanem, Tatarami, carem i Polakami. Próbował nawet wywalczyć dla swojego syna tron Mołdawii, państwa leżącego na południu nad Dunajem. Jednak z każdym rokiem stawało się coraz bardziej jasne, że Kozacy mogą wiązać nadzieje jedynie z Rosją. Tylko car szanował ich prawosławną wiarę. I tylko on mógł obronić Ukrainę przed potężną Polską.

Szkopuł w tym, że Rosja wcale się do tego nie paliła. Wielkie północne imperium miało swoje problemy i wolało nie ryzykować kosztownej wojny z rozgniewaną Polską. Chmielnicki wysłał więc posłańców, grożąc, że odda Ukrainę sułtanowi, a nawet udzielił schronienia pewnemu awanturnikowi, który uzurpował sobie prawo do rosyjskiego tronu – wszystko po to, by przyciągnąć uwagę cara.

Tej wiosny Polacy wysłali kolejną silną armię, która miała spacyfikować Ukrainę, więc hetman znów zwrócił się do Moskwy. Jednak tym razem wybrał inną taktykę.

– Do tej pory mogliśmy im zaoferować jedynie marny chleb i sól – powiedział do Andrieja, wręczając mu listy. – Ale może znalazłem sposób, żeby ich przekonać.

Andriej skinął głową.

– Kościół?

– Właśnie. – Hetman odchylił się na fotelu i przymknął oczy. – Święta Rosja. Tak lubią myśleć o księstwie moskiewskim. Moskwa jako trzeci Rzym. Pamiętaj, że po panowaniu Iwana Groźnego metropolia moskiewska została przemianowana na patriarchat, taki jak w Konstantynopolu i Jerozolimie. To dla nich bardzo ważne. W Cerkwi i wśród bojarów są bardzo potężni ludzie, którzy uważają, że trzeba bronić prawosławnych braci na Ukrainie. I ci ludzie rosną w siłę.

Chmielnicki otworzył oczy i uśmiechnął się.

– I powiem ci jeszcze coś. Nasi duchowni są o wiele lepiej wykształceni niż rosyjscy. Dowiedziałem się, że nowy patriarcha moskiewski chce sprowadzić naszych księży, żeby trochę ucywilizowali ich duchowieństwo. Ale powinni za to zapłacić, nie sądzisz? – Znów przymknął oczy. – Już mu powiedziałem, że gotów jestem oddać Ukrainę sułtanowi. Wiem oczywiście, że naszemu narodowi to by się nie podobało, bo Turcy są muzułmanami. Ale prawosławni Rosjanie będą temu jeszcze bardziej niechętni.

Chmielnicki dał swoim wysłannikom trzy listy: jeden dla cara, jeden dla bojara Morozowa, jego doradcy, i jeden dla moskiewskiego patriarchy.

– Pchnij do mnie posłańca z wieściami, jak was przyjęto. A jeśli sprawy będą wyglądały obiecująco, zostań w Moskwie i miej oczy szeroko otwarte.

Z takimi właśnie instrukcjami Andriej podążał do Moskwy.

Wielkie Księstwo Moskiewskie. Poselstwu przewodziło dwóch Kozaków, Kondrat Burlaj i Silujan Mużyłowski. Andriej był ich doradcą.

Od Dniepru posuwali się szybko na wschód przez rzadziejące lasy, aż w końcu, zostawiwszy drzewa za sobą, wjechali na otwarty step. Jechali na wschód jeden dzień, a potem skręcili na północ. Zima była długa i sroga. Ziemia jeszcze nie odtajała, tu i tam leżały niewielkie zasy.

Dziwne, rozległe pogranicze. Andriej nigdy wcześniej nie był w tych stronach, choć wiedział, że liczni Kozacy i Ukraińcy uciekli na te ziemie, bo tutaj, przynajmniej teoretycznie, byli pod ochroną rosyjskiego cara.

– A car już dba o to, by zaznaczyć swoją obecność – tłumaczył Burlaj. – W dawnych czasach linia rosyjskich fortów wznoszonych przeciwko Tatarom ciągnęła się daleko na północ, niemal do Oki. Teraz jednak skończyli budowę nowej linii. Biegnie w poprzek stepu. – Roześmiał się. – I robi duże wrażenie.

Rzeczywiście widok, który napotkali następnego dnia, wprowadził Andrieja w wielki podziw.

A więc to jest potężne księstwo moskiewskie!

Nowa linia, zwana białgorodzka, była niezwykle przedsięwzięciem. Biegła przez step od warownego miasta Białgorod aż do odległej Wołgi, gdzie oddalała się ku pustyniom leżącym nad Morzem Kaspijskim. Ogromne wały ziemne poprzedzone transejami, nad tym drewniane palisady, solidne wieże z zastrzonymi palami – oto jak potężną zaporę wzniesiono przeciwko chanowi krymskiemu, który jeszcze sto lat po zdobyciu Kazania przez Iwana Groźnego domagał się od Rosjan daniny.

Patrząc na te olbrzymie umocnienia, młody Kozak miał pierwszy przeblysk zrozumienia, czym jest państwo rosyjskie.

Ten naród jest zupełnie inny niż Polacy, pomyślał nagle. Polacy nigdy by czegoś takiego nie zbudowali. Polska oddała ogromne połacie ukraińskich ziem kilku magnatom, którzy wyzyskiwali je, jak mogli. Owszem, budowali warownie, żeby chronić swoje dochody. Zatrudniali Kozaków, żeby trzymali najeźdźców z daleka. Ale stanowili zbiorowisko wielmożów, którzy byli zainteresowani jedynie ciągnięciem zysków z żyźnego pogranicza, by żyć wygodnie w swoich pałacach na zachodzie.

A te ogromne fortyfikacje nie były dziełem arystokracji, lecz wielkiego imperatora – potężnego, mrocznego władcy, w którego żyłach płynęła słowiańska i tatarska krew. Te umocnienia przypominają tatarskie miasto na stepie, tyle że ogromne, bezkresne, pomyślał Andriej, patrząc na długie, zastrzone pale na gzyskach wież.

A wielka linia zapór zdawała się mówić: „Znamy waszych stepowych jeźdźców, bo w naszych żyłach płynie też wasza krew. Ale popatrzcie, jesteśmy od was lepsi, bo mamy większe serca. Przeniesiemy nasze potężne rosyjskie lasy przez bezkresny step, aż pewnego dnia nawet dumny chan pokłoni się przed Świętą Rosją”.

– Jeśli chcesz zrozumieć Rosjan, Andrieju – zwrócił się do niego Burlaj – to pamiętaj, że kiedy czują się zagrożeni, szukają siły w wielkości.

I tak oto wędrowali coraz dalej w głąb rosyjskiego państwa.

Początkowo Andriej nie zauważył znaczącej różnicy. Lasy liściaste, do których wkrótce dotarli, wyglądały jak te w okolicach Kijowa. Wioski z domami krytymi strzechą i obwarowane palami też sprawiały znajome wrażenie.

Stopniowo jednak zauważał zmiany. Słomiane dachy zanikły, ustępując miejsca dachom z ciężkich bali. Zrobiło się zimniej, na ziemi leżała grubsza warstwa śniegu. Lasy i pola przybrały szarawą barwę.

I jeszcze coś.

Dobrze znał Rosjan, w kozackim obozie było ich wielu. Posługiwali się językiem wielkoruskim zrozumiałym dla Ukraińców. Ale poza tym bardzo się różnili od ludzi z południa. „Ci Rosjanie to prostacy” – mawiali Ukraińcy. I podobnie jak Polacy pogardzali Ukraińcami, tak oni pogardzali swoimi prawosławnymi kuzynami z północy.

Teraz jednak, gdy wjechali do Rosji, Andriej ze zdziwieniem poczuł lekki niepokój. Początkowo nie umiał tego nazwać, ale było to bardzo przytłaczające doznanie.

Las robił się coraz gęstszy i coraz ciemniejszy. Od czasu do czasu napotykali małe osady, których mieszkańcy wyrabiali potaż. I ci wyglądali na całkiem zdrowych. Ale zwyczajni wieśniacy już nie.

– Trzeci rok z rzędu mamy bardzo długą zimę – tłumaczyli. – A nawet w dobrych latach ledwo nam wystarcza. Jeszcze rok takiego nieurodzaju i będziemy głodować.

Andriej oglądał ich wioski i słuchał smutnych opowieści, ale jedno nie dawało mu spokoju.

– Przecież macie duże pola. Powinno wam wystarczyć, nawet gdy plony są słabe – zauważył.

– Niestety, nie starcza.

Dopiero w trzeciej wiosce Andriej zrozumiał, dlaczego tak się dzieje.

– Z każdej zasianej miarki zboża zbieramy trzy – wytłumaczył mu jakiś chłop.

Trzy z jednej? Żaloszny wskaźnik, na żywej Ukrainie nie do pomyślenia.

– Nasza ziemia jest jałowa – powiedział wieśniak ze smutkiem.

I źle uprawiana, powinien był dodać. Trzy miarki z jednej zbierali rolnicy w zachodniej Europie w średniowieczu, tysiąc lat wcześniej.

Bieda małych wiosek poruszyła Andrieja, ale wkrótce miał zobaczyć jej przeciwieństwo.

Osiemdziesiąt kilometrów na południe od pętli Oki dojechali do dawnej zapory granicznej. Nie robiła tak wielkiego wrażenia jak linia biełgorodzka, ale stanowiła jeszcze jeden dowód potęgi państwa moskiewskiego. Solidne drewniane forty i palisady wciąż były nietknięte.

– Ciągną się jeszcze na sto sześćdziesiąt kilometrów aż do Riazania – wyjaśnił Burlaj.

W wielu miejscach przed umocnieniami roztaczały się otwarte łąki, a tam, gdzie ich nie było, wypalono ogromne połacie lasów, żeby Tatarzy nie mieli gdzie się ukryć.

I minąwszy tę linię zapór, dotarli do Tuły.

Andriej nigdy nie widział czegoś takiego – niby miasto, ale niepodobne do miasta. Wszędzie stały długie, solidne domy z drewna lub cegły, z których dochodził odgłos młotów. Wyglądało na to, że połowa domów to kuźnie.

– To miasto przypomina jedną wielką zbrojownię – zauważył.

Ale największe wrażenie robiły duże, ponure budynki z dymiącymi kominami. Wewnątrz mieściły się piece hutnicze.

Były to pierwsze piece hutnicze, jakie pojawiły się w Rosji. Zarządzała nimi holenderska rodzina Viniusów, a postawiono je w Tule, gdzie eksploatowano stare złoża rudy żelaza. Oprócz pieców były tu też niezliczone warsztaty, w których wyrabiano uzbrojenie.

– Więcej broni robią tylko w samej Moskwie – zauważył Burlaj. – Podobno carowie z dynastii Romanowów cały czas sprowadzają cudzoziemców, bo tylko oni umieją obsługiwać te maszyny.

Działa, muszkiety, piki, szable – Andriej widział mnóstwo wyładowanych bronią wozów. Był żołnierzem, więc zrobiło to na nim duże wrażenie, jednak zadymione miasto go przygnębiało. Ucieszył się, gdy ruszyli w dalszą drogę.

Do Moskwy dotarli tydzień później.

To była długa, sroga zima. W Moskwie wciąż leżał śnieg, choć Wielki Post już się zaczął.

Nad rozległym, zasypanym śniegiem miastem wisiało ciężkie, szare niebo. Na ulicach, z których nie odgarnięto śniegu, też królowała szarość, jakby chmury nie przepuszczały białych płatków, a wszystko pokryła smutna warstwa lodowego pyłu i popiołu.

Ale w tym krajobrazie pojawiały się też żywsze barwy. Dachy domów były białe, a kopuły cerkwi nad nimi – złote, srebrne albo pomalowane na jaskrawe kolory. Od czasu do czasu na ulicy można było się natknąć na szlachcica w obszernym czerwonym lub niebieskim płaszczu obramowanym futrem, spod którego wystawał często kawałek brokatu. Na cytadeli przechadzały się patrole strzelców w czerwonych kurtkach, uzbrojone w błyszczące piki. Nawet zwykłe mieszczańki wiązały na głowach kolorowe chusty.

Nic dziwnego, że niedługo po przybyciu do Moskwy Andriej popadł w stan radosnego ożywienia. On, młody Kozak, został tak dobrze przyjęty w stolicy potężnego państwa.

Rzeczywiście przywitano ich ciepło. Gdy dostarczyli swoje listy na Kreml, wysoki urzędnik powiadomił ich, że car i bojarzy są do nich przychylnie nastawieni. A kiedy wyjechali z Kremla i udali się do pałacu patriarchy na Ilince, powiedziano im, że wysoki dostojnik udzieli im za kilka dni osobistej audiencji.

Andriej był pełen nadziei. Po tyłu miesiącach ciężkich walk i niepewności czuł się jak uczeń na wakacjach.

Moskwa wzbudziła jego podziw i szacunek. Lubił chodzić przez rozległy Plac Czerwony w kierunku niezwyklego budynku zwanego już wtedy soborem Świętego Bazylego. Powierzchnia placu była nieco zakrzywiona, przez co sobór zdawał się wyłaniać ponad skróconym horyzontem. Andriej dochodził do trybuny, skąd wygłaszano

obwieszczenia, i patrzył na dziwne, barbarzyńskie, wręcz azjatyckie wieże i kopuły. Pobliskie mury Kremla, wysokie, masywne, obojętne i nieczułe, wyglądały groźnie i jednocześnie opiekuńczo. Na jednej z wież zawisł wielki, zaprojektowany w Anglii zegar, który zdawał się mówić, że mimo głębokiej, grobowej ciszy Kremla nieustannie odlicza każdą minutę przemijającego świata.

Czasem Andriej zapuszczał się na przedmieścia, mijając kolejne uliczki zabudowane niskimi drewnianymi domami, na których wciąż leżała gruba warstwa śniegu. Na każdym rogu stała cerkiew. Z reguły świątynie były drewniane, ze stromym czterospadowym dachem, ale pomiędzy nimi widać było pękate, górujące nad całą dzielnicą sylwetki cerkwi murowanych, z łagodnie lśniącoymi kopułami i rzędami łęków pozornych tworzących piramidę – Rosjanie nazywali to kokosznikami, od ozdobnych nakryć głowy noszonych przez kobiety.

Wędrując po oblodzonym mieście, Andriej słyszał przede wszystkim nieustanne bicie dzwonów. Ile tu musi być cerkwi, żeby ten dźwięk rozlegał się nieprzerwanie? „Ludzie mówią, że czterdzieści razy czterdzieści, i ja im wierzę”.

Zaprzyjaźniony pop zapewnił go, że latem, gdy noce są krótkie, klasztorne dzwony słychać aż do świtu.

– Zupełnie jak słowiki – dodał ze śmiechem.

Rzeczywiście miasto było stolicą i północną warownią Kościoła prawosławnego.

Ale Moskwa była też miastem kontrastów. Zawsze słyszał, że Moskale piją na potęgę i zadają się z ładacznikami. „Upijają się jak Kozacy po zwycięskiej bitwie” – opowiadał mu ojciec. Rzeczywiście, widział wielu pijanych ludzi, często leżących na mrozie pod murami domów. A jednocześnie widział też tłumy idące do cerkwi na modlitwę.

Jak oni się modlili! Popi w bogatych felonionach wychodzili przed ikonostas, a wierni stali całymi godzinami, dłużej nawet niż w wielkim soborze w Kijowie. Jak się okazało, wielu cierpiało na choroby stóp z powodu długotrwałego stania. Niektórzy przejawiali niezwykłą żarliwość, niespotykaną na Ukrainie. Często widywał przy drzwiach cerkwi grupki kobiet. Podejrzewał, że czekają na jałmużnę, ale pewnego dnia zauważył, że zbliża się do nich pijak, a wtedy one rzuciły się na nieszczęśnika z pogardą i brutalnie go przegnały. Rosjankom ani chybi nie można było odmówić pobożności.

Doszedł wtedy do wniosku, że wszystko w Moskwie przyjmuje skrajną postać.

Zauważył jeszcze jedną interesującą rzecz. Na ulicach można było dostrzec nielicznych cudzoziemców ubranych w swoje narodowe stroje. Jedni byli kupcami, ale większość wyglądała na żołnierzy.

Car przyciąga do służby ludzi ze wszystkich krajów, pomyślał z zadowoleniem.

A pod koniec pierwszego tygodnia zawarł nową znajomość.

Poszedł na Kreml, żeby się pomodlić w soborze. Był w beztroskim nastroju. Tego ranka słońce już dwa razy przedarło się przez chmury, a gdy wychodził ze swojej kwatery, spotkało go coś przyjemnego.

Młoda dziewczyna szła szybko ulicą tak blisko muru, że gdy wyszedł za próg, o mało na nią nie wpadł. Miała nie więcej niż piętnaście lat. Ubrana w długi różowy płaszcz obramowany futrem i futrzaną czapkę, dłonie schowała w futrzanej mufce. Miała

jasną cerę, twarz promieniała jej w mroźnym powietrzu, długi jasny warkocz na plecach był związany czerwoną wstążką.

Oddaliła się, zanim zdążył się otrząsnąć z wrażenia. Kiedy skończy się moja misja, pomyślę o ożenku, postanowił z uśmiechem. Może zabiorę ze sobą jakąś ładną Rosjankę.

Mijając Kreml, zatrzymał się na chwilę pod oknem pałacu Tieriemnego, gdzie jeden ze strzelców przyjmował od ludzi petycje.

Wydało mu się niezwykle, że każdy, nawet najpodlejszy chłop, może tu przyjść i włożyć do specjalnej skrzynki swoją petycję, wiedząc, że zostanie ona przekazana urzędującemu w słynnej Złotej Komnacie osobistemu sekretarzowi cara, a ten może nawet przeczyta ją samemu władcy. Potężny despota był jak ojciec dla swoich poddanych. Ojciec dobry i troskliwy. Andriej miał już okazję słyszeć opowieści o carskiej dobroci: o tym, jak władca odwiedzał więzienia i dawał nieszczęsnym skazańcom baranie kozuchy, a nawet spłacał ich długi, zwracając tym samym wolność. „Car jest jak lśniące słońce” – mawiali Rosjanie.

Ruszył w kierunku soborów, gdy usłyszał za sobą przyjazny głos:

– Przecież to jest mój kozacki przyjaciel!

Odwrócił się i zobaczył uśmiechniętego młodego mężczyznę w bobrowym futrze. Przez chwilę szukał w pamięci, gdzie się spotkali, ale zaraz sobie przypomniał: w urzędzie, gdy wraz z towarzyszami dostarczał listy. Tak, to ten młodzieniec ich przywitał i zaprowadził do wyższego oficjela, który przeprowadził z nimi rozmowę.

Przystojny młodzian był równolatką Andrieja. Miał jasną cerę, szerokie, szlachetne czoło i falujące, zebrane z tyłu czarne włosy z przedziałką pośrodku. Górna część twarzy rzeczywiście przywodziła na myśl polskiego szlachcica, jednak pozostałe cechy miały zupełnie inne pochodzenie. Wydatne kości policzkowe, lekko skośne oczy, mimo że niebieskie, wskazywały na tureckich albo tatarskich przodków.

Przedstawił się jako Nikita Bobrow, syn Iwana. Nazwisko to nic Andriejowi nie mówiło.

Szybko nawiązali lekką rozmowę. Urzędnik był najwyraźniej zaciekawiony przybyszem z południa, więc po kilku słowach powiedział serdecznie:

– Przyjdź dziś do mojego domu. Będziemy mogli dłużej porozmawiać.

Andriej chętnie przyjął zaproszenie, widząc w nim okazję do poszerzenia wiedzy o państwie, z którym Ukraina miała się połączyć. Umówili się na popołudnie.

Solidny, drewniany dom Nikity Bobrowa mieścił się w eleganckim Kitaj-gorodzie, ale był skromny, składał się z trzech pomieszczeń na pierwszym piętrze.

Andrieja wprowadzono do głównej izby. Gospodarz nie był sam. Pod ścianą stał mężczyzna w średnim wieku, ubrany w ciężki kozuch. A pod drugą ścianą czekała pulchna kobieta z młodszą od siebie towarzyszką, której twarz kryła się w mroku.

Mężczyzna w kozuchu był średniego wzrostu. Jego zirytowaną twarz, kiedyś pewnie z jasną cerą, pokrywały czerwone plamy. Miał małe ciemne oczy, a rozdzielone przedziałką włosy gładko opadały w dół, przez co wydawały się zrastać z bujną brodą. Wszystko w nim było sztywne – ciało, brwi, całe zachowanie. Wyglądał na drobnego kupca. I był po prostu wściekły.

Nikita przeprosił gościa i zwrócił się do mężczyzny stanowczo i zdecydowanie:

– Iwanie, koniec rozmowy. Postanowiłem. Sam widzisz, że Jelena skrzyła nogę i Maria musi jej pomóc. Jelena nie pójdzie sama na targ. Chyba się nie sprzeciwisz, by twoja żona pomogła swojej matce. A nawet jeśli ty się nie godzisz, to ja już wydałem polecenie i na tym sprawa jest skończona. Wracaj do domu i przyjedź po Wielkanocy z czynszami, których jeszcze nie wpłacono.

– Trzeba było jej tu nie przywozić – mruknął mężczyzna ze złością.

– To już nieistotne. I dopilnuj, żeby zebrać wszystkie należności za dzierżawę, bo inaczej cię wyrzucę – dorzucił Nikita surowo.

Mężczyzna spojrział wilkiem na dwie kobiety, niechętnie położył dłoń na piersi, złożył Nikicie głęboki ukłon i wyszedł. Na schodach rozległy się jego ciężkie kroki. Andriejowi wydawało się, że słyszy stłumiony śmiech którejs z kobiet, ale po chwili one też się ukloniły i zniknęły w sąsiedniej izbie.

– To mój zarządca – wyjaśnił Nikita. – Ciężki przypadek. – Zapraszającym gestem wskazał dwie ławy przy oknie. – Chciałem trochę zaoszczędzić na moskiewskiej służbie, więc przywiozłem z wioski kobietę, żeby prowadziła mi dom – wyjaśnił. – A teraz mam przez to rodzinne kłótnie. Ot, kara za bycie biednym. – Uśmiechnął się. – Ale porozmawiajmy o czymś innym.

Z niejakim zdziwieniem Andriej zauważył, że on i jego gospodarz mają kilka cech wspólnych. Matka Bobrowa, która pochodziła ze Smoleńska, była Polką i to dzięki niej Nikita nauczył się czytać i pisać oraz przyswoił podstawy łaciny – podobne wykształcenie Andriej odebrał w Kijowie, znał nawet kilka polskich dworskich bajek. Ale gdy takie wykształcenie coraz bardziej upowszechniało się na Ukrainie, w Rosji wciąż było rzadkością, więc młody urzędnik ucieszył się ze spotkania z kimś w jego wieku, kto mógł się pochwalić podobnymi osiągnięciami.

I tak jak Andriej się spodziewał, nowy przyjaciel chętnie dzielił się z nim swoją wiedzą o polityce Moskwy.

– Przybyliście we właściwym czasie i przekazaliście listy odpowiednim ludziom – zapewnił go Nikita. – Car i bojar Morozow są wam przychylni, a to bardzo ważne. Ludzie nienawidzą Morozowa, bo ma wysadzany srebrem powóz i nakłada wysokie podatki na chleb i sól. Ale to potężny człowiek. Jego żona jest siostrą carycy, a ich rodzina, Miłosławscy, ma na dworze ogromne wpływy. – Uśmiechnął się. – Morozow jest właścicielem części huty, którą widziałeś w Tule.

– Ale my już wcześniej prosiliśmy cara o protekcję i nic z tego nie wyszło – przypomniał mu Andriej.

– Owszem, jednak od tamtego czasu wiele się zmieniło. Wówczas car był młodszy, a do tego wasz list dotarł w samym środku powstania ludowego. Połowa przedmieść stała w płomieniach i Morozow o mało nie stracił życia. Moskwa nie była gotowa do zobowiązań, które groziły wojną z Polską. Ale teraz jesteśmy silniejsi, a car wzmocnił swoją władzę.

– A Cerkiew? – spytał Andriej, pamiętając o słowach Chmielnickiego.

– Cerkiew chce jedności. Sam patriarcha Jerozolimy przybył do Moskwy, żeby się za wami wstawić. A my bardzo cenimy waszych ukraińskich uczonych.

Andriej wiedział doskonale, że kiedy Chmielnicki tryumfalnie wkraczał do Kijowa,



patriarcha był w mieście i zaraz potem wyruszył na północ. I wiedział też, że grupa ukraińskich uczonych zamieszkała niedawno na Worobiowych Wzgórzach na obrzeżach Moskwy. To były dobre wróżby.

– Waszym najpotężniejszym sojusznikiem nie jest nawet nasz car, tylko moskiewski patriarcha – oświadczył z powagą Nikita. Andriej zauważył, że nieświadomie ściszył przy tym z szacunkiem głos. – Patriarcha Nikon.

Nowy patriarcha został wybrany zaledwie rok wcześniej, ale już teraz ludzie mówili o nim z podziwem.

– To może być nowy Filaret – dorzucił Nikita.

Było to znaczące stwierdzenie. Bo gdy przed czterdziestu laty Sobór Ziemski osadził na tronie Michała Romanowa jako pierwszego cara z nowej dynastii, szybko się okazało, że faktyczną władzę sprawuje jego ojciec, patriarcha moskiewski Filaret. Czy nowy patriarcha, człowiek niskiego pochodzenia, też ma takie wpływy?

– Poczekaj, aż zobaczysz go na własne oczy – powiedział Nikita.

Wydawało się, że Nikon ma prosty cel. Moskwa ma być uznana za najwyższy wśród pięciu patriarchatów Kościoła prawosławnego. Dlatego należało podnieść godność patriarchatu moskiewskiego. Potrzeba było więcej świętych. Zaledwie rok wcześniej ciało metropolity Filipa zamordowanego przez Iwana Groźnego zostało uroczyście sprowadzone do Moskwy. Nikon zdawał też sobie sprawę, że rosyjska Cerkiew jest zacofana, jej księgi sfałszowane, a poziom nauczania żałosny. Chciał to wszystko zmienić i razem z Ukrainą uczynić z pradawnych ruskich ziem potężny bastion przeciwko katolicyzmowi i innym zachodnim religiom.

– Zaczął już reformowanie modlitewnika i liturgii – tłumaczył Nikita. – Okazuje się, że zegnaliśmy się w niewłaściwą stronę.

– Czy on ma jakąś opozycję? – zaciekawiał się Andriej.

– Tak, niewielką. Jego reform nie pochwała mała grupa starych fanatyków religijnych. Ale oni nienawidzą wszelkich zmian. – Roześmiał się. – Niedawno dopadł mnie na Kremlu pewien znajomy z prowincjonalnego miasta... Awwakum, już samo imię wystarczy... i przez pół godziny się nad tym rozwodził. Musiałem mu przerwać. Ale Nikon jest potężny i szybko się upora z każdą opozycją. Zapewniam cię. A potem, mój przyjacielu, Moskwa rzeczywiście będzie trzecim Rzymem – dodał z zapałem.

Andriej chętnie podzielał ten zapał. Kozacy mieli taki sam cel.

Przerwał im na krótko jakiś szelest przy drzwiach. To starsza z kobiet przyniosła jedzenie i ustawiła na stole. Posiłek był skromny: ryba, trochę warzyw i rodzaj piernika, ale bez jajek i mleka, żeby nie naruszać postu. Nikita zamierzał popijać to wódką, która stała się trunkiem wszystkich rosyjskich warstw społecznych.

Gość od niechcienia przyglądał się tym przygotowaniom, zastanawiając się, czy młodsza kobieta też się pojawi. Ale nie przyszła. Usiedli przy stole, a Nikita natychmiast nalał im hojną porcję wódki.

Andriej chciał się dowiedzieć czegoś więcej o swoim gospodarzu. Co to za człowiek?

– Jestem drobnym posiadaczem ziemskim – wyjaśnił Nikita. – Moja rodzina od dawna była szlachtą w służbie władcy, nazywano nas synami bojarów. Mamy niewielki

majątek w okręgu włodzimierskim. Liczę, że poprawię naszą pozycję – wyznał. I wyjaśnił, że jego kolejnym krokiem będzie dołączenie do bardziej elitarnej „moskiewskiej szlachty”, której początkiem było tysiąc wybranych, najbardziej oddanych ludzi Iwana Groźnego. – A kto wie, co potem. Ludzie tacy jak ja zostawali bojarami, to najwyższy możliwy status.

Jego skromne wykształcenie okazało się mocnym atutem i pozwoliło mu zyskać uznanie w jednym z centralnych urzędów.

– Matka nauczyła mnie polskiego, więc przydzielono mnie do tego, a nie innego działu w urzędzie – dorzucił. – Jesteśmy odpowiedzialni za kwestie kozackie.

Andriej wiedział już, że praca w którymś prikazie – jak nazywały się urzędy centralne – była jedną z dróg awansu w carskiej służbie. Zaciekało go to. A Nikita chętnie i z wielką dumą opowiadał mu o swojej pracy. Ale im więcej Andriej się dowiadywał, tym bardziej był zdziwiony.

Bo prikaz Nikity zajmował się nie tylko Kozakami, ale też produkcją miodu, carskimi sokołami i wieloma innymi sprawami zupełnie niezwiązanymi z jego głównym zadaniem. Gdy Andriej zaczął drażnić ten temat, Nikita się uśmiechnął.

– W Moskwie każdy prikaz jest taki sam. Każdy dział został powołany do zajmowania się konkretną sprawą. Ale gdy pojawia się coś nowego, to powierza się to temu, kto akurat jest wolny. Kozakami zajmują się też trzy inne działy.

– To dość mylące.

– Mylące, dopóki nie nauczysz się w tym poruszać. Ale taki system jest też przydatny, bo pozwala maczać palce we wszystkim.

Kiedy Nikita opisywał skomplikowaną rosyjską biurokrację, Andriej był coraz bardziej dezorientowany. Czy z taką rozrośniętą biurokracją, z nachodzącymi na siebie kompetencjami w ogóle da się coś zrobić? Ale im dłużej słuchał, tym trudniej było mu odpowiedzieć na to pytanie. Co wcale nie było dziwne, jako że każdy ówczesny Moskal by mu powiedział, że problemu nadmiernej rządowej biurokracji rozwiązać się nie da.

Wypili wiele toastów: za Ukrainę, za Świętą Rosję, za Kozaków. Nikita chciał się czegoś dowiedzieć o militarnej sile kozackich wojsk, więc Andriej zapewnił go o sprawności armii Chmielnickiego.

– Bo jeśli przyjmujemy Ukrainę, to będziemy musieli iść na wojnę z Polską – oznajmił Nikita z powagą.

Z kolei Andriej chciał się czegoś dowiedzieć o licznych cudzoziemcach, których widział w Moskwie. Kim oni są? Na twarzy Nikity pojawiła się zaciekle złość.

– Przekłęci cudzoziemcy. Potrzebujemy ich i na tym polega problem. A wiesz dlaczego, mój drogi Kozaku?

Andriej nie wiedział.

– Bo ani ty, ani ja nie jesteśmy wystarczająco dobrzy. – Westchnął. – Z takim samym problemem mierzył się Iwan Groźny. Do tej pory naszym wrogiem była kawaleria, głównie ze wschodu. Kozacy, tak jak kiedyś moi przodkowie, wiedzą, jak walczyć z Tatarami. Ale dziś musimy się mierzyć z o wiele potężniejszymi narodami, z Niemcami, Szwedami, z państwami bałtyckimi. Chcemy zdobyć wybrzeże Bałtyku i przejąć handel, ale tamtejsze narody dysponują wiedzą naukową i wojskową, której my

nie mamy. Jak myślisz, dlaczego jestem urzędnikiem w prikazie, skoro moi przodkowie byli wojownikami? Bo car nie potrzebuje na czele swoich wojsk dyletantów, takich jak Bobrow. Potrzebuje holenderskich i niemieckich inżynierów, szkockich najemników, a nawet angielskich awanturników. To oni będą teraz naszymi oficerami. Bo wiedzą, jak walczyć z wyszkoloną piechotą. Wiedzą, jak prowadzić oblężenie, i znają się na nowoczesnej artylerii.

– A strzelcy? – Andriej zawsze słyszał, że słynni muszkietierowie są niepokonani.

– Dobrzy byli kiedyś, w czasach Iwana Groźnego. Są przestarzali, zarówno jeśli idzie o taktykę, jak i uzbrojenie. A do tego się rozleniwili. – Pokręcił ze smutkiem głową.

– Dlatego musimy z pokorą uczyć się od zachodu, przyjacielu. Ich wiedza jest ogromna.

Te słowa wprawiły go w przygnębienie. Andriej też zmarkotniał, bo ten nowy świat również nie wyglądał obiecująco dla niezdyscyplinowanych Kozaków. Nikita nalał im więcej wódki. Wypili do dna. Nalał znowu. A potem nagle poweselał.

– Ale kiedy już zdobędziemy tę przeklętą zachodnią wiedzę, którą nazywamy w Moskwie holenderskim sprytem, pozbędziemy się ich co do jednego.

– O! – przytaknął Andriej z zachwytem. – Za to chętnie wypiję.

I oto ci dwaj młodzi, powierzchownie wykształceni mężczyźni nieświadomie wnieśli toast za największą słabość moskiewskiego państwa.

Bo jak niemal wszyscy moskwianie, w tym także elity, nie zdawali sobie sprawy z istnienia wieloletniej kultury reprezentowanej przez niewygodnych zachodnich sąsiadów. Nie mieli najmniejszej wiedzy o filozoficznych debatach toczonych w średniowieczu. Prawie nic nie wiedzieli o renesansie. Nie interesowali się powolnym rozwojem politycznym i gospodarczym społeczeństw zachodniej Europy. Dostrzegali jedynie jej militarną potęgę i byli przekonani, że gdy zbudują taką samą u siebie, posiadają całą niezbędną wiedzę. W ten sposób nie dotykali sedna rzeczy, ale jedynie tańczących cieni rzucanych na rosyjskie mury.

– A ci cudzoziemscy kupcy? – spytał Andriej. – Widziałem ich wielu w mieście.

Nikita wzruszył ramionami.

– To sami heretycy. Ale patriarcha Nikon wie, jak sobie z nimi radzić. Łatwo ich zauważyć, bo patriarcha nakazał im nosić stroje narodowe, nawet jeśli mieszkają tu od pokoleń. W ten sposób nie mogą się ukryć. A wiesz, że nie wolno im się teraz osiedlać w mieście?

Andriej słyszał już o tak zwanej niemieckiej dzielnicy poza granicami Moskwy, nie zdawał sobie jednak sprawy, że zamieniła się właściwie w getto.

– To także zasługa Nikona – powiedział z uznaniem Nikita.

– Nie widziałem ani jednego Żyda.

– Car nie chce ich mieć u siebie.

– To dobrze.

– Ale nie tylko oni mają zakaz wstępu do stolicy.

– Tak? A kto jeszcze? – zaciekał się Andriej.

– Jak to kto? Anglicy.

– Anglicy? – Młody Kozak z południa niewiele wiedział o tym dalekim narodzie.

– Czy to jacyś straszni heretycy?

– Gorzej. Nie słyszałeś? – Nikita mimowolnie zniżył głos, mówiąc o tej potworności. – Cztery lata temu ścięli swojego króla Karola I.

Andriej spojrział na niego. Jako Kozak uważał ścięcie króla za rzecz przerażającą, jednak nie tak straszną, jeśli ten król nie wyznawał prawosławia.

Ale twarz Nikity już na samo wspomnienie tego ohydneho czynu przybrała wyraz pogardy i nienawiści.

– Zabili bożego pomazańca – powtórzył. A potem powiedział coś, czego Andriej długo nie mógł zapomnieć: – Są nawet gorsi od Polaków. Dzięki Bogu my wiemy, że jesteśmy niewolnikami naszego cara.

Już kilka razy Andriej słyszał to wyrażenie. Zwykli ludzie nazywali siebie sierotami cara, a wyższe warstwy z dumą mówiły, że są niewolnikami władcy. Do tej pory traktował to jako figurę retoryczną, ale patrząc na Nikitę, nie był już tego taki pewny. Dziwne.

Poczuł na sobie jej wzrok, gdy tylko wyszedł na ulicę. Obejrzał się i dostrzegł w oknie twarz.

Należała do dziewczyny mniej więcej w jego wieku – ładna, z delikatnymi piegami i o regularnych rysach. Widział też górną część sylwetki. Z pewnością była szczupła.

Dziewczyna go obserwowała. Uśmiechnęła się do niej. Odpowiedziała tym samym, a potem odwróciła się szybko i zniknęła.

Zmarszczył brwi. Dziwne. Był niemal pewny, że miała podbite oko.

Następnego dnia – może nie do końca przypadkiem – minął dom Nikity i wolnym krokiem poszedł na pobliski targ. Jeśli chciał zobaczyć tu dziewczynę, to spotkała go nagroda, bo już po paru chwilach pojawiła się razem z matką. Od razu spostrzegł, że wbrew temu, co mówił Nikita, matka nie kulała.

Zauważyły go i uprzejmie skinęły głową na powitanie. A gdy podeszły bliżej, upewnił się, że dziewczyna ma podbite oko, choć siniak już zanikał.

Zaczął rozmawiać ze starszą kobietą, co sprawiło jej wyraźną przyjemność, ale cały czas obserwował młodą. Miała w sobie coś – lekkość kroków, nieco kpiące ułożenie warg – co przypomniało mu Annę. Wiedziała, że nie spuszcza z niej wzroku. Próbował skupić się na słowach jej matki.

Nagle drgnął. Co też ona powiedziała? Że pochodzą z Ruski? Zaczął ją wypytywać. Opisała mu wieś i okolicę. Tak, nie było wątpliwości, że nowy znajomy jest właścicielem majątku, z którego uciekł dziadek Andrieja. A to znaczy, pomyślał z uśmiechem, że gdyby dziadek tego nie zrobił, dziś byłbym chłopem Nikity, a nie Kozakiem goszczonym w jego domu.

Chciał o tym powiedzieć, ale jakiś instynkt go powstrzymał. Nikita mógł mu się jeszcze przydać, a nie wiadomo, jak by potraktował wnuka dawnego zbiega. Tak czy inaczej w wiosce musieli zostać jego krewni.

– Może tam kiedyś zajadę – rzucił lekko.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, opowiedział im o swoich towarzyszach i kwaterze, którą im przydzielono, a potem się pożegnali. Zauważył wtedy, że dziewczyna patrzy na niego wymownie.

Dlatego nie zdziwił się specjalnie, gdy następnego dnia natknął się na nią niedaleko swojego domu. Podeszła do niego z uśmiechem. Mimo siniaka pod okiem sprawiała

wrażenie wesołej, wręcz rozpromienionej. Miała lekki, sprężysty krok.

– Mogę przejść z tobą kawałek, panie Kozaku? – rzuciła żartobliwie.

Większość kobiet na ulicy zachowywała się skromnie i powściągliwie. Nawet jeśli miały na głowie kokosznik, zakładały na niego chustę związaną pod brodą. I rzadko się uśmiechały. Ale ona, mimo że też miała na sobie chustę i długi, dość znoszony płaszcz, poruszała się niemal tanecznym krokiem, jak wolne, pewne siebie dziewczyny kozackie na południu.

– Możesz mówić do mnie Mariuszka – powiedziała, używając zdrobnienia. – Każdy tak do mnie mówi.

– W takim razie, Mariuszko, powiedz mi coś o sobie. Dlaczego masz podbite oko?

Roześmiała się. W jej śmiechu brzmiała wesołość, pomieszana kusząco z nutą smutku i śmiałości.

– Takiego pytania nie zadaje się mężatkom – odparła. A po chwili dorzuciła z westchnieniem: – Podobno mam niedobry charakter.

Jej historia była prosta i dość powszechna. Kiedy była młoda, nie chciała wyjść za mąż.

– Był jeden chłopak w Rusce. – Znow się roześmiała. – Bardzo przystojny! Szczupły i ciemny tak jak ty. Ale on ożenił się z inną. Mnie nie chciał. A pozostali chłopcy, no cóż... – Machnęła pogardliwie ręką. – Mój ojciec już nie żył. A matka co dzień mnie namawiała: wyjdź za tego, wyjdź za tamtego. A ja mówiłam „nie”. Jeden był za niski, drugi za wysoki. Krzyczała, że jestem niegodziwa. I że ktoś musi mnie nauczyć rozumu. Że ludzie zaczną gadać. Więc... – Wzruszyła ramionami.

– Więc wyszłaś za zarządcę? Tego, którego widziałem u Bobrowa?

– Żona mu umarła. Powiedział matce, że mnie poskromi. „Daj mi ją”, nalegał.

– Nie odmówiłaś?

– Nie. On był zarządcą i naprawdę mógł nam uprzykrzyć życie. Bo on ma władzę. Takie jest życie. No i wyszłam za mąż. Nie byłam już taka młoda. Miałam prawie dwadzieścia lat.

– I on cię bije?

Wzruszyła ramionami.

– Tak już jest w małżeństwie. Uderza pięścią. Czasem udaje mi się uciec. Ale on jest szybki. – Zaśmiała się ponuro. – Jest bardzo szybki. I tyle.

Andriej wiele razy słyszał, że kobiety na północy Rosji są bardzo źle traktowane przez mężów. Znane mu kozackie dziewczyny, choć ich mężowie mówili, że są słabe, i odnosili się do nich z udawaną pogardą, nigdy by im na coś takiego nie pozwoliły.

– A co na to twoja matka?

– Najpierw mówiła: „Słuchaj go i nie bądź uparta, to nie będzie bił”. Potem mówiła: „Musisz się postarać, żeby cię pokochał. Urodź mu dzieci”. – Z lekkim uśmiechem wzruszyła ramionami. – A wiesz, co mówi teraz? Mówi: „Mariuszka, wszyscy mężczyźni są tacy sami. Bądź posłuszna i uległa, ale miej swój rozum. Mężczyźni są podli, ale nic na to nie poradzisz”. Więc ja jej na to: „Czemu mi o tym wcześniej nie powiedziałaś?”. „Bo chciałam, żebyś wyszła za mąż”. – Roześmiała się głośno. – No i wyszłam za mąż.

– A jak znalazłaś się w Moskwie?

– Podstępem. Miał zawieźć panu pieniądze za dzierżawę. Więc mówię mu: „Zabierz mnie do Moskwy, a zrobię wszystko, co zechcesz”. A jak już przyjechaliśmy, powiadam do matki: „Musisz mnie tu jakoś zatrzymać. Dłużej tego nie zniosę. Co najmniej na miesiąc”. No i matka udała, że skręciła nogę, a pan odesłał go do Ruski beze mnie. – Zaśmiała się radośnie. – Patrz! – zawołała nagle. – Tam jest cerkiew. Chodź, pomodlimy się.

Co za dziwna dziewczyna! Ale zanim się jeszcze pożegnali, Andriej powziął postanowienie: najwyższy czas mieć kobietę. Właśnie tę.

Jednak z powodu natłoku innych spraw musiał tę myśl odłożyć na bok.

Trzeciego dnia natknął się na ulicy na dziwny widok. Wyszedł właśnie z Białego Miasta i skręciwszy na rogu, zobaczył stojący pośrodku ulicy wóz, który najwyraźniej zaatakowała niewielka banda. Ponieważ sądził, że to zwykli rabusie, chciał rzucić się na pomoc, ale w ostatniej chwili zauważył, że napastnikom przewodzi dwóch popów.

– Co tu się dzieje? – spytał jakiegoś gapia.

– To fanatycy. – Mężczyzna się uśmiechnął. – I znaleźli to, czego szukali.

Andriej patrzył ze zdziwieniem, jak napastnicy wyciągają z wozu lutnię, bałałajkę i inne instrumenty muzyczne.

– Do ognia z tym! – krzyknął jeden z popów. – Spalić te bezceństwa.

Chwilę potem wóz stanął w płomieniach. Gęstniejący tłum pokrzykiwał z uznaniem. Poprzedniego dnia życzliwy pop doradził Andriejowi, żeby powstrzymał się od palenia swojej kozackiej fajki, a on sam był świadkiem, jak jakiegoś pijaka ukarano chłostą. Ale co to za kraj, w którym pali się instrumenty? Nie zastanawiając się nawet, zaklął na znak protestu, ale niemal w tej samej chwili poczuł na ustach czyjaś dłoń.

Była to dłoń kobiety. Zza pleców usłyszał cichy, znajomy głos:

– Uważaj na siebie, Kozaku.

Miała dłuższą dłoń, niż mu się wydawało. A zabierając ją, delikatnie musnęła jego wargi koniuszkami palców.

– Zrozum, Kozaku – szepnęła – że ktoś w tym tłumie może cię usłyszeć. I zaraz powie popom, że przeklinasz.

– A co mnie może za to spotkać?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiadomo. Na przykład knut.

Skórzany rosyjski bicz był przerażającym narzędziem.

– Ci fanatycy są tak surowi, że palą instrumenty i każą chłostać knutem za przekleństwa?

– Owszem. A patriarcha to popiera. W Cerkwi są jeszcze surowsi fanatycy. Chcą wypłenić z Rosjan pijaństwo i rozpustę. Zakazane są wszelkie przyjemności. – Roześmiała się. – Nasz pan boi się nawet wrócić do domu, bo pop w Gnojowisku wygłasza podobne kazania. A Bobrow ma ukrytą w domu niemiecką lutnię.

Andriej zmarszczył brwi. Przecież on wcale nie walczy o takie odpychające, fanatyczne prawosławie. Czy wszystko w Moskwie jest takie posępne, takie przygniatające? Niepokój, który poczuł podczas podróży z Ukrainy na północ, powrócił ze zdwojoną siłą.

Mariuszka znów delikatnie dotknęła jego ust.

– Czy u ciebie w domu ktoś teraz jest?

Spojrzał na nią.

– A jeśli nas złapią? Knut?

Uśmiechnęła się.

– Nikt nas nie złapie.

Następnego dnia pojawiło się błękitne niebo i wiosenne słońce. A już przed południem zaczęły się roztopy. I choć w ciągu kolejnych dni niebo często zasnuwało się chmurami, widać było wyraźnie, że zima ma się ku końcowi.

Ulice zrobiły się grzaskie, szare i brunatne. Bałe w drewnianych domach wydzielały intensywny, wilgotny zapach przypominający żywiczne kadzidło. Drewniane mury były niemal czarne. Cienkie jak igły sople zwisały z błyszczących okapów dachów. Tu i tam wśród śnieżnej brei i brunatnych kałuż rozblyskiwały białe ściany cerkwi albo smukły pień brzozy. Dymy z kominów unosiły się i niczym cichy dźwięk dzwonów płynęły ponad rozmokłym miastem, w którym złote kopuły lśniły jak zapowiedź nadchodzącego ciepła i światła.

Wiosna była coraz bliżej, a Andriej kochał się z Mariuszką.

Miała szczupłe, silne ciało. Jasne piegi na nogach i drobnych piersiach stapały się z zaskakująco białą skórą.

Zachodziła do niego po południu. Leżeli na jego łóżku, z pieca wydobywał się niemal żar. Lubiła się rozbierać i czekać na niego naga, zmysłowo wyciągnięta na pościeli. Czasem prężyła się jak kotka, unosiła nogę i patrząc na nią z zachwytem, mówiła:

– No i jak, panie Kozaku, co będziemy dzisiaj robić?

Pierwszego dnia skrzywiła się, gdy jej dotknął, ale widząc jego zdziwienie, uśmiechnęła się cierpko.

– Pamiątka po mężu – wyjaśniła, podnosząc ramię. Miała tam ciemne ślady po męzowskiej pięści. – On jest silny – dodała, a potem, nie zważając na siniaki, przyciągnęła Andrieja łagodnie do siebie.

– Ty też jesteś silna – powiedział później. – Jak kotka.

– Owszem – przyznała. – Jak kotka z pazurami.

Widywali się każdego popołudnia. Szare światło dnia powoli przechodziło w zmierzch, a potem w ciemność. Poza rzadkim tupotem kroków na ulicy i cichym syczeniem gorącego pieca jedynymi dźwiękami były kapanie wody z topniejących sople albo cichy szelest zsuwającego się z dachu śniegu i miękkie uderzenie o ziemię.

Czasem po wszystkim Mariuszka wzdychała.

– Niedługo wyjedziesz, mój Kozaku.

– Nie myśl o tym, moja kotko.

– Łatwo ci mówić. Ty nie siedzisz w pułapce.

Na to nie umiał odpowiedzieć.

– Czasem chciałabym, żeby Iwan umarł – mówiła z zadumą. – Ale co potem? Nie mam dokąd pójść. – Wybuchała krótkim, ironicznym śmiechem. – Każdy by się chętnie wystroił na dzień świętego Jerzego, ale święto nam odebrano. I co ty na to, panie Kozaku?

Często wracała do tego tematu. I to budziło w nim lekki niepokój.

Romans z Mariuszką nie tylko dostarczał mu przyjemności zmysłowych, ale stanowił też ważne źródło wiedzy. Jednak wiedza ta nie była już przyjemna.

Dopiero dzięki znajomości z tą młodą kobietą Andriej zaczął powoli pojmować istotę potężnego państwa moskiewskiego. A im więcej rozumiał, tym bardziej nieswojo się z tym czuł. Najbardziej sprzeciwiał się polityce, która – choć obecna w życiu od dłuższego czasu – niedawno stała się prawem. I właśnie na to prawo Mariuszka narzekała w każdej rozmowie.

Bo nie była już wolną chłopką. Dzień świętego Jerzego został zniesiony.

Taki zapis znalazł się w ogłoszonym cztery lata wcześniej kodeksie prawnym obecnego cara Aleksego. Do tego czasu rosyjski chłop, formalnie wolny od czasów kijowskiej Rusi, mógł raz w roku przejść od jednego pana do drugiego – w praktyce tę możliwość ograniczano, ale teoretycznie istniała. Dawna tradycja dnia świętego Jerzego wciąż obowiązywała.

Takiemu prawu najbardziej sprzeciwiali się posiadacze niewielkich majątków. Zawsze brakowało im pieniędzy, więc nie byli w stanie zaproponować chłopom i dzierżawcom takich samych warunków jak Cerkiew i magnaci. A w Rosji, z powodu powszechnego głodu i epidemii, siły roboczej zawsze brakowało.

Pojedynczo ci drobni szlachcice robili żalosne wrażenie. Ale w dużej masie stanowili wielką siłę. To oni zapewniali w kraju porządek. I to oni w razie potrzeby mogli wystawić z każdej wioski oddział wojska. Mówiąc w skrócie: gdy reszta Europy wkraczała w epokę nowoczesności, zacofane księstwo moskiewskie nadal było feudalnym państwem Świętego Cara i służących mu drobnych posiadaczy ziemskich.

Rozruchy z 1648 roku, kiedy władza o mało nie straciła kontroli nad Moskwą, podsunęły Aleksemu myśl, że powinien zapewnić sobie lojalność szlachty. I rozegrał to znakomicie.

W 1649 roku ogłoszono słynny rosyjski kodeks znany jako *Ułożenie soborowe*. Mówił on między innymi, że chłopom nie wolno przechodzić od jednego pana do drugiego i że pan może rościć sobie pretensje do zbiegłych chłopów bez żadnych ograniczeń czasowych. Jakby tego było mało, zgodnie z nowym kodeksem członkowie niższych stanów w miastach również nie mogli się dowolnie przemieszczać.

Te zmiany nie miały większego znaczenia dla życia większości chłopów z Gnojowiska, którzy przyjęli je apatycznym wzruszeniem ramion.

Ale nie Mariuszka. Dzięki bystrej inteligencji mogła dostrzec skutki nowego prawa. Zrozumiała, że teraz już nikt i nic nie zabroni panu traktować chłopów, jakby byli jego własnością.

Niestety, nie myliła się. Jak pokazała historia, z takim prawem droga do całkowitego poddaństwa rosyjskich chłopów była otwarta. Przez ponad dwa stulecia – czyli dłużej, niż trwało panowanie Mongołów – większość Rosjan rodziła się jako niewolnicy.

– Nie rozumiesz? – oburzała się Mariuszka. – Ja jestem własnością twojego przyjaciela Bobrowa, jego niewolnicą. Jak będzie chciał, to mnie sprzeda. A jeśli ucieknę, do końca mojego życia będzie miał prawo sprowadzić mnie z powrotem. – Zaśmiała się



gorzko. – Wy, Ukraińcy, buntujecie się przeciwko Polakom. A potem chcecie dołączyć do Rosji, która jest jeszcze gorsza! Już lepiej by wam było pod tureckim panowaniem.

Ta myśl od niedawna też dręczyła Andrieja. Ale miał na to jedyną odpowiedź:

– Sułtan nie wyznaje prawosławia.

I to było najważniejsze. Taką przynajmniej żywił nadzieję.

A potem przyszła Niedziela Palmowa, która rozwiała jego wątpliwości.

Ranek był pochmurny, ale niebo zasłaniała jedynie cienka warstwa chmur, poprzecinana lśniącymi złotymi i srebrnymi szczelinami, nad którymi ukrywało się jasne wiosenne niebo.

Nikita zaproponował, że zabierze Andrieja na świąteczne obchody, by potem mogli pójść do soboru Wniebowzięcia na Kremlu. Wyruszyli więc razem do cytadeli, za nimi szła w odpowiedniej odległości Mariuszka z matką. Gdy jednak dotarli na Plac Czerwony, tłum był tak gęsty, że musieli się zatrzymać z dala od kremlowskich murów.

Andriej zerkał od czasu do czasu na starszą kobietę i Nikitę. Domyślają się, co go łączy z Mariuszką? Chyba nie.

Nie musieli na szczęście długo czekać.

Niedzielę Palmową obchodzono w Moskwie bardzo uroczyście. Najpierw spod ogromnego, egzotycznego soboru Świętego Bazylego wyruszała potężna procesja bojarów, oficjeli i duchowieństwa, kierując się ku ustawionej na środku placu niewielkiej trybunie, na której chór chłopięcy śpiewał pieśni. Posępni, bogaci, pełni majestatu, najpotężniejsi ludzie w kraju mieli ciężkie, złote łańcuchy na szyjach, do tego wysokie czapy i płaszcze z soboli albo czarnych lisów. Bojarzy byli przystrojeni we wspaniałe haftowane szaty – tak ciężkie, że wydawało się, iż mogłyby przygnieść zwykłego prostaczka. Jakże imponująco wyglądali brodaci moskiewscy księża w lśniących felonionach wysadzanych złotem i drogimi kamieniami! Od kilku lat prezentowali się jeszcze dostojniej, bo przywdziewali wschodnie nakrycia głowy. W pękaty, wysadzanych klejnotami mitrach biskupów niczym w cerkiewnych kopułach odbijało się niebo, nadając duchownym nieziemski majestat.

Na wozie ciągniętym przez cztery konie stało symbolizujące ten dzień drzewo obwieszone owocami. Strzelcy, ustawieni w otwartej formacji wokół placu, padli na kolana, dotykając czołami ziemi. A na koniec odegrano dla ludu wjazd Jezusa do Jerozolimy – oto sam car szedł w pokorze pieszo, prowadząc za sobą osła, na którym siedział patriarcha.

Procesja zatrzymała się przy małym podeście. Car wygłosił krótkie przemówienie. A potem pochód ruszył przez Plac Czerwony i Bramę Spasską wszedł na Kreml. Car udawał się do soboru na modlitwę.

To jest właśnie, pomyślał Andriej, państwo idealne, w którym Cerkiew i władca stanowią jedno. Jakże to Rosjanie tytułowali swojego monarchę? „Najpobożniejszy, najdobrotliwszy car prawosławia”. Czy nie tego był właśnie świadkiem?

Poszli z Nikitą na Kreml. Ścisk był za duży, by dostać się do soboru Wniebowzięcia, ale stanęli przed świątynią z nadzieją, że uda im się coś zobaczyć.

Ich cierpliwość została nagrodzona. Po skończonym nabożeństwie, przy biciu dzwonów, ujrzeli nie tylko cara Aleksego, ale i piękną carycę, która z odsłoniętą twarzą

wychodziła z cerkwi.

– Patriarcha nalega, by przy takich wyjątkowych okazjach caryca pokazywała się ludowi – szepnął Nikita, gdy składali głęboki ukłon.

Wszystko będzie dobrze, pomyślał Andriej. Widziałem właśnie Świętą Rosję.

Ten dzień zapadł mu w pamięć.

Bo oznaczał także, przynajmniej na jakiś czas, koniec jego romansu. Gdy po południu natknął się na Mariuszkę w domu Nikity, a ona zaproponowała, że przyjdzie do niego nazajutrz, pokręcił głową.

– Nie w Wielkim Tygodniu – powiedział.

Nie mógł przecież grzeszyć w najświętszym tygodniu w roku. Zdziwiło go wręcz, że Mariuszka, przy całej swojej krnąbrnej i buntowniczej naturze, w ogóle mu to zasugerowała.

Wzruszyła smutno ramionami, ale nie powiedziała nic.

Wielki Tydzień minął spokojnie. Dręczony wyrzutami sumienia z powodu swoich grzechów, Andriej zachowywał ścisły post.

Któregoś dnia on, Burlaj i inni Kozacy pojechali do carskiej rezydencji w niedalekim Kołomienskoje. Tworzył ją dziwny zestaw budynków – jedne wzniesiono z drewna, inne z cegieł pokrytych białymi stiukami. Spiczaste dachy, cebulaste kopuły i wieże otoczone wznoszącymi się piramidami kokoszników przywodziły na myśl milczący, potężny spokój emanujący z hinduskich świątyń.

Wracali do stolicy pokrzepieni.

Pod koniec długiej i cudownej Jutrznii Paschalnej odprawianej na Kremlu Andriej czuł fizyczną słabość, ale i uniesienie. Rano na Kremlu widział, jak car uroczyście ofiarowuje jaskrawo pomalowane jajka wielkanocne najwyższym dostojnikom i dowódcom wojskowym. A potem udał się do Nikity na ucztę oznaczającą koniec postu.

Było to radosne wydarzenie. Podano bliny, miodowe ciastka, pierniki i różne inne przysmaki. Mariuszka i jej matka, obie nieco blade po nocnym nabożeństwie, usługiwały zaproszonym gościom. Jak na zawołanie w Niedzielę Wielkanocną niebo się przejaśniło, a Andriej czuł się jak nowo narodzony.

Ale gdy w głowie zaczęły mu szumieć kwas, miód i wódka, którymi go częstowano, gdy poczuł w żołądku rozkoszne ciepło, pobożne myśli z poprzedniego tygodnia zaczęły blednąć.

– Niedługo znów będę się z nią kochał – mruknął pod nosem, patrząc z zadowoleniem na Mariuszkę.

W Rosyjskim Kościele Prawosławnym tydzień następujący po Wielkanocy nazywany jest Tygodniem Paschalnym.

We wtorek kozacka delegacja została w końcu przyjęta przez patriarchę Nikona w jego pałacu.

Dopiero widząc legendarnego duchownego z bliska i bez mitry, Andriej mógł w pełni docenić jego majestat.

Patriarcha miał prawie dwa metry wzrostu. Lata modlitwy i rygorystycznych postów zostawiły ślad na jego twarzy, która podobnie jak ciało była zniszczona, ale władcza. Oczy patrzyły przyjaźnie i przenikliwie.

Do Kozaków odnosił się z życzliwą rzeczowością.

– Chociaż metropolita Kijowa podlega w zasadzie patriarsze Konstantynopola, Święta Rosja chętnie weźmie go pod swoją obronę – oznajmił. – Będę do tego dążył. Bo Cerkiew moskiewska jest zacofana. Dlatego chętnie witam braci z Kijowa, którzy mają nam tyle do zaoferowania. – Spojrzał na nich z powagą. – Nadchodzi świt nowej ery, ery odnowionego i oczyszczonego prawosławia pod przewodnictwem bogobojnej Rosji. Wy, Kozacy, będziecie odgrywali wielką rolę w obronie naszego prawosławnego państwa. Możecie mi zaufać, będę wspierał waszą prośbę o carską opiekę. – Uśmiechnął się. – Nie obawiajcie się, wasza misja zakończy się powodzeniem.

Nie tylko donośnie wypowiedziane słowa, lecz także dźwięczący w nich ton, siła patriarchy napawały wielką otuchą. Opuszczając jego pałac, Andriej poczuł nagle, że już nie jest zwyczajnym buntownikiem przeciwko Polsce, tylko służy wielkiej sprawie.

Następnego dnia pojawił się mąż Mariuszki.

Andriej widział się z nią w domu Nikity, ale mogli ze sobą porozmawiać jedynie przez chwilę. Powiedziała mu, że za trzy dni wracają do Ruski.

– Czyli już nigdy cię nie zobaczę – szepnęła na pożegnanie.

Zdziwiło go, że tak bardzo przejął się tą wiadomością. Zalał go dziwny smutek i spowodowany stratą żal, bardziej przypominający złe przeczucie. Ale dlaczego? Gdyby miał być ze sobą szczery, to musiałby przyznać, że zakończenie każdego romansu wywoływało w nim raczej uniesienie i radość z odzyskanej wolności – które, choć pomieszane z żalem, otwierały przed nim nowe możliwości – a także satysfakcję z udanego podboju.

Jednak tym razem było inaczej. Czuł nieznaną przedtem chłód smutku. I szybko zrozumiał, że to nie dlatego, iż Mariuszka znaczyła dla niego więcej niż inne, ale dlatego, że się o nią obawiał.

Nie, nie chodziło mu o zarządcę ani o to, jak ją może potraktować. Powód jego lęku tkwił w niej.

Nie do końca to sobie uświadamiając, przejmował się losem kobiety, która śmiała się sprzeciwiać w kraju, gdzie wszyscy musieli się podporządkować.

Nie chciał tracić jej z oczu.

Następnego ranka Burłaj ogłosił, że ich misja niemal dobiegła końca i że niedługo będą wracać do domu. A to oznaczało, że będą mieli choć trochę wytchnienia.

– Kiedy wyjeżdżamy? – spytał Andriej.

– Za tydzień.

– W takim razie mam prośbę.

– Zgoda – skinął głową Burłaj, wysłuchawszy, w czym rzecz. – O ile ten twój znajomy nie ma nic przeciwko temu. Rób, co chcesz.

I tak Andriej zaczął się przygotowywać do wyjazdu do Ruski z Mariuszką.

Gdy Andriej powiedział, że chciałby pojechać do Ruski, i wyjaśnił, co go łączy z tamtymi stronami, Nikita Bobrow wydawał się rozbawiony.

– Mój drogi przyjacielu – roześmiał się – chcesz powiedzieć, że twój dziadek uciekł z majątku Bobrowów?

– Chyba tak – przyznał Andriej.

– Szkoda, że nie uciekł później. Gdyby się znalazł w jakimś niedawnym spisie ludności, mógłbym rościć sobie do ciebie prawo.

– Do wnuka?

– W praktyce pewnie by się to nie udało. Ale – uśmiechnął się szeroko – słyszałeś o *Ułożeniu soborowym*?

Prawo, na które narzekała Mariuszka. Andriej wyznał, że nic o nim nie wie.

– W takim razie coś ci pokażę.

Wydrukowano ponad tysiąc dwieście egzemplarzy wielkiego kodeksu – jak na owe czasy była to liczba ogromna – a Nikita Bobrow miał jedną kopię.

Był to niezwykle dokument, napisany nie sztucznym, kancelaryjnym językiem, ale zwyczajną miejscową ruszczyzną, zrozumiałą dla wszystkich.

– Proszę bardzo – powiedział Nikita, pokazując mu księgę. – Rozdział jedenasty.

I Andriej po raz pierwszy zrozumiał, co to znaczy być rosyjskim chłopem.

O chłopach mówiły trzydzieści cztery paragrafy. Obejmowały wszystkie możliwe okoliczności. Bez żadnych ograniczeń w czasie pan mógł rościć sobie prawo nie tylko do chłopca, ale także do jego żony, jeśli chłop się później ożenił. A jeśli chłop miał dzieci, pan mógł sobie rościć prawo także do ich żon i potomstwa.

Panu nie wolno było zabić chłopca z premedytacją. Ale jeśli dopuścił się zabójstwa w ataku gniewu, nie traktowano tego jak poważnego przestępstwa. Jeżeli pod wpływem gniewu zabił chłopca należącego do innego pana, musiał mu wyrównać stratę.

Andriej zapytał, czy może też spojrzeć na inne rozdziały. Dotyczyły one wszystkiego, od bluźnierstwa po fałszerstwo, od ziem klasztornych – których powiększanie było teraz ograniczone – po nielegalne gospody.

Uderzyło go jedno. W wielu miejscach wspomniano o karze chłosty.

– W księstwie moskiewskim to dość częsta kara – zauważył.

Tak naprawdę kara knuta groziła za sto czterdzieści jeden wykroczeń wymienionych w dwudziestu pięciu rozdziałach kodeksu. Za poważniejsze przestępstwa można było dostać karę śmierci. Ale ponieważ pięćdziesiąt razy knutem miało z reguły skutki śmiertelne, kodeks był w rzeczywistości bardziej okrutny niż sama litera prawa.

Czytając ten mroczny, surowy dokument, Andriej uświadomił sobie z niejakim zawstyżeniem, że choć mieszkał w Moskwie przez pewien czas, choć podsuwano mu wiele tropów, to nie zdołał zajrzeć pod powierzchnię życia tego kraju. Dopiero teraz zrozumiał, czym jest poczucie opresji i osaczenia, które go dręczyło, odkąd przekroczyli na stepie linię biełgorodzka. A myśląc o słonecznych, bezkresnych ziemiach Ukrainy, o niepokornych kozackich gospodarzach, o wolnych miastach Kijowie i Perejasławiu, które rządziły się same według zachodnich praw, jedynie pokręcił głową.

– Jeśli car chce wziąć Ukrainę pod swoje skrzydła – zaczął z namysłem – to będzie musiał podpisać układ gwarantujący naszemu narodowi lepsze prawa niż te.

Ale teraz to Nikita pokręcił głową.

– Wiemy, że na Ukrainie obowiązują inne zwyczaje, i one będą respektowane – zapewnił Andrieja. – Ale musisz zrozumieć, że gdy car zgodzi się wziąć was pod swoją opiekę, to nie będzie podpisywał z wami żadnych umów. To by było poniżej jego godności. Musicie zaufać jego dobroci i zrozumieniu.

– Król Polski podpisywał z nami ugody – zaprotestował Andriej.  
– Król Polski jest tylko monarchą wybieralnym. – Nikita uśmiechnął się z pogardą.  
– Kozacy nie są niewolnikami – powiedział Andriej ostrożnie.  
– Nasz najpobożniejszy, najdobrotliwszy car prawosławia został namaszczony przez Boga i może uczynić z nami, co zechce – oświadczył Nikita stanowczo. – Musicie pamiętać – ciągnął z nutą protekcjonalności – że car jest spadkobiercą świętego Włodzimierza, Monomacha i Iwana Groźnego. – Uśmiechnął się ponuro. – A Iwan, uwierz mi, wiedział, jak wymóc posłuszeństwo. Jednego z moich przodków kazał usmażyć żywcem.

Andriej nie mógł się nadziwić, że Rosjanie chlubią się okrucieństwem swoich władców, nawet jeśli sami padali jego ofiarą. Wiele razy słyszał, jak Moskale z podziwem opowiadają o terrorze Iwana, jakby tęsknili za jego powrotem.

Jakże inni byli od nich Kozacy! Na czas wyprawy kozacki wojownik oddawał hetmanowi władzę nad swoim życiem. Ale biada hetmanowi, który próbowałby tę władzę rozciągnąć na czas pokoju!

Ta różnica zdań wywołała między Nikitą a Andriejem lekkie napięcie. Rozładował je Nikita, wybuchając śmiechem.

– No cóż, mój Kozaku, zapraszam cię do swojego skromnego majątku. Nakazałem zarządcy, żeby umieścił cię w moim domu i dobrze się tobą zajął. Szkoda, że nie mogę ci tam towarzyszyć. – Umilkł na chwilę. – A tak przy okazji... – Spojrzał znacząco na Andrieja. – Mam do ciebie zaufanie i wiem, że nie będziesz szerzył swoich kozackich poglądów wśród moich chłopów, bez względu na ich płeć.

A więc wiedział. Andriej z zakłopotaniem spuścił wzrok. Ale gdy się pożegnali, doszedł do wniosku, że w Moskwie nigdy nie wiadomo, co ludzie wiedzą.

Ruska.

Wyglądała tak, jak sobie wyobrażał.

Do miasteczka i do klasztoru przysła wiosna. Gdy zbliżali się na miejsce, las ustąpił rozległym polom. Łagodnie pofalowany teren z pasmami wilgotnej murawy, ciemnej ziemi i szarzejącego śniegu był jak echo odległego bezkresu. Łód zszedł już ze środka strumienia, ale przy brzegu, pod czujnym okiem klasztornych murów, kobiety klęczały nad przerębiami i prały ubrania.

Pod surowym błękitnym niebem zielone pączki liści nieustępliwie otwierały się na drzewach, mimo że z ziemi nie znikły jeszcze ostatnie ślady lodu. Zagroda dla zwierząt tuż za murami Ruski zamieniła się w małe morze błota.

To była dziwna podróż. Mariuszka i zarządca jechali lekką dwukółką, a Andriej wierzchem. Mimo wszechobecnej wilgoci leśne trakty były przejezdne, więc posuwali się całkiem szybko. Zatrzymywali się na noc w wioskach albo małych miasteczkach.

Zarządca był nadąsany. Od czasu do czasu, jakby starając się pokazać z jak najlepszej strony, wciągał Andrieja do rozmowy, lecz ten odpowiadał niechętnie, choć uprzejmie. Mariuszkę też traktował z dystansem.

– To jakiś mruk – gderał zarządca do żony.

Czasem Andriej wypuszczał się kłusem do przodu. A czasem ociągał się i patrzył na nich z tyłu – Mariuszka siedziała sztywno, a głowa zarządcy kiwała się w przód i w tył,

jak podczas drzemki. Na ogół jednak jechał z boku, zerkając raz po raz na Mariuszkę, która uparcie patrzyła przed siebie. Była bardzo blada.

Jednak dwa razy, gdy zarządca poprowadził konie do pobliskiego strumienia, żeby je napoić, podeszła szybko do Andrieja i szeptnęła:

– Teraz, szybko, weź mnie.

Kochali się więc ukradkowo i pospiesznie w wilgotnym chłodzie lasu, a potem wracali na swoje miejsca, pozornie nie zwracając na siebie uwagi.

W Rusce Andriej miał się zatrzymać w domu Nikity niedaleko cerkwi, a zarządca wrócić do Gnojowiska. Gdy dotarli do miasteczka, Mariuszka rzuciła do męża:

– Nie mam ochoty obsługiwać tego przeklętego Kozaka.

– Zrobisz, co ci każę – odparł opryskliwie. – Pan powiedział, żebym się nim zajął. Za dwa dni go nie będzie – dorzucił pocieszająco.

Zrobiła obrażoną minę, ale musiała go posłuchać.

Te dwa dni w Rusce głębiej zapadły Andriejowi w pamięć niż podróż.

Zarządca zabrał go do Gnojowiska. Nadal była to mała wioska, taka sama jak inne spotykane po drodze. Andriej był ciekaw, czy wciąż ma tu jakichś krewnych. Jednak mieszkańcy nic nie wiedzieli o jego dziadku, który uciekł stąd osiemdziesiąt lat wcześniej. Dopiero jakaś stara kobieta przypomniała sobie, że kilka lat przed jej narodzinami jakiś młody chłop przepadł bez wieści. Wnuk tamtej rodziny mieszkał na skraju wioski. I tak oto Andriej stał przed krępyim chłopem o miłej twarzy i z gęstą ciemną czupryną. On i jego czworo dzieci mieszkali w jednej z chałup. Przywitali Andrieja przyjaźnie i słuchając opowieści, patrzyli z podziwem na jego elegancki strój. Andriej zaś od nich się dowiedział, że jest bliżej lub dalej spokrewniony z wieloma mieszkańcami wsi, między innymi z matką Mariuszki.

– Jesteś wolny? Masz swoje własne gospodarstwo? – dopytywali ze zdziwieniem.

Andriej potwierdził, ale sprawiło mu to dziwną przykrość, podobnie jak wyraz życzliwej zazdrości, który pojawił się na twarzy nowo poznanego krewniaka.

Znacznie większą przyjemność sprawiła mu wizyta w klasztorze. Mnisi i rzemieślnicy w Rusce wciąż malowali ikony, ale od paru pokoleń nie nadawali im już własnego stylu, lecz jedynie kopiowali ikony innych.

– Spójrz – powiedział z dumą jeden z mnichów, pokazując Andriejowi miniaturową ikonę namalowaną jaskrawymi farbami i bogato ozdobioną złotem. – To jest Bogurodzica w stylu szkoły Trojanowskiej. – A ta – wskazał na dużą, wspaniałą ikonę Chrystusa Pantokratora – to przykład obecnej szkoły moskiewskiej. Jest przeznaczona do jednej z cerkwi cara.

Andriej podziękował mnichom za gościnę i na pożegnanie zostawił hojny datek.

Ostatnie dwa dni nie były łatwe. Przede wszystkim ktoś mógłby odkryć ich romans.

Nie obawiał się o siebie. Był przecież Kozakiem. Obawiał się, że szaleństwo i desperacja Mariuszki pchną ją do jakiegoś głupiego czynu, za który przyjdzie jej zapłacić.

Ona jednak była sprytna. Przed sąsiadami i innymi mieszkańcami narzekała gburowato, że musi sprzątać i gotować dla Kozaka. Można było zobaczyć, jak pod jego nieobecność z irytacją krząta się po domu, a gdy wracał, często sama ostentacyjnie

wychodzi.

Ale każdego dnia wślizgiwała się wcześniej rano do jego łóżka, a oprócz tego znalazła cztery sposobności, by mogli kochać się krótko, lecz namiętnie, tam gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć.

Jednak wiele razy podchodziła do niego, szepcząc:

- Zabierz mnie ze sobą. Zabierz na Ukrainę.
- Przecież masz męża – przypominał jej.
- Nienawidzę go.
- Ja idę na wojnę.

Kochała go czy chciała jedynie uciec? Nawet się nad tym nie zastanawiał. Bo nawet gdyby ucieczka Mariuszki była możliwa, to on jej nie chciał.

Jednak Mariuszka nie rezygnowała. Prosiła go, oczekiwała kilka godzin i prosiła znowu.

– Mój Kozaku, zabierz mnie stąd. Zabierz mnie ze sobą. Nie musisz się mną zajmować. Odejdę i nie będę ci sprawiała kłopotu. Nie zostawiaj mnie tutaj.

Ta litania szybko zaczęła napawać go lękiem.

Drugiego popołudnia, gdy już myślał, że Mariuszka zacznie od nowa, zwróciła się do niego z pozornym spokojem:

- Kozaku, masz jakieś pieniądze?
- Trochę. A dlaczego pytasz?

Spojrzała na niego poważnie, a potem zaciśnęła usta.

- Bo chyba będę miała dziecko.
- Jesteś w ciąży?
- To nic pewnego, ale... Już jestem spóźniona.
- Jest moje?
- A czyje by miało być?

Opuścił wzrok.

– Wiem, że mnie ze sobą nie zabierzesz. – Jej głos był cichy, monotony i tak smutny jak nigdy przedtem. – Kozakowi wszystko wolno, ale ty mnie nie chcesz. Cóż, to był tylko sen.

Andriej milczał.

- Ale skoro masz pieniądze, to przynajmniej daj mi choć tyle.
- Może nie jesteś w ciąży? – rzucił z nadzieją.
- Może.

Czy to jakiś fortel? Chyba nie.

- Chcesz je urodzić?
- Wolę twoje dziecko niż jego.
- Nie domyśli się?
- Zobaczymy – odparła.

Miał ze sobą dość dużo monet, polskich i rosyjskich. Wyjął rosyjskie i dał jej wszystkie.

– Dziękuję. – Zawahała się. – Ale jeśli chcesz, to możesz je zatrzymać i zabrać mnie ze sobą – powiedziała z cierpkim uśmiechem.

– Nie.

Oboje milczeli przez dłuższą chwilę. Patrzył, jak jej długie palce zaciskają się na sakiewce z pieniędzmi. Widział łzy, ale nie podszedł do niej, bojąc się, że to tylko powiększy ból.

Gdy odezwała się przez łzy, cichy głos brzmiał jak jęk:

– Nawet nie wiesz, Kozaku, czym jest samotność.

– Często jestem sam. – Nie powiedział tego, żeby się usprawiedliwić, ale żeby ją pocieszyć.

Pokręciła głową.

– Jesteś sam, za to masz nadzieję. Mogą cię zabić, ale uczestniczysz w wielkich przedsięwzięciach. Jesteś wolny, Kozaku, wolny jak ptak nad stepem. A ja jestem samotna i nie mam nic, rozumiesz? Nic oprócz nieba i ziemi. Żadnej drogi ucieczki. Świadomość tego jest straszna. Będę sama już na zawsze...

Pomyślał o jej matce, o Gnojowisku, o dziecku.

– Nie jesteś sama – zaprotestował.

Nie odpowiedziała.

– Pójdę już – odezwała się w końcu. – Kiedy wyjeżdżasz?

– O świcie.

Skinęła głową i uśmiechnęła się blado.

– Nie zapomnij o mnie.

I zanim wyszła, jak wszystkie Rosjanki zawiązała na głowie czerwoną chustę.

Poranne niebo było czyste i cudownie błękitne, gdy wyruszył z Ruski, kierując się na południe.

Trzy kilometry za miasteczkiem ciągnęła się duża łąka, o którą od kilkudziesięciu lat dbali mnisi z klasztoru.

Okrążając ją, zobaczył Mariuszkę. Stała na skraju w czerwonej chustce na głowie. Przez chwilę chciał do niej podjechać, ale się powstrzymał. Nie, lepiej niech już tak zostanie.

Po jakimś czasie spojrzął za siebie.

Wciąż tam stała, maleńka plama czerwieni na zielonym tle, samotna postać na bezkresnej równinie. Patrzyła za nim, dopóki nie zniknął jej z oczu.

Andriej jechał na południe. Niedługo znów zobaczy step, chaty kryte strzechą, falujące pola pszenicy.

Co za dziwny, pełen sprzeczności kraj! Świadomość, że opuszcza księstwo moskiewskie, wprawiła go w lepszy nastrój, jakby w ciemnym pokoju ktoś wreszcie otworzył drzwi.

Wrócił we wspomnieniach do dawnych dni, do Anny. A potem nieoczekiwanie pomyślał o Stiepanie Byku. Wiedział, że już go nigdy nie zobaczy.

Tak, wolność jest najważniejsza. Życie jest piękne. A on jest przystojnym mężczyzną. Dotknął swoich kozackich wąsów.

Wzeszło słońce. Szerokie kozackie spodnie Andrieja załopotwały na lekkim wietrze.



Piotr

*Rok 1653*

W długich dziejach Rosji ludziom niejednemu raz się wydawało, że nadchodzi koniec świata. W drugiej połowie XVII wieku też doszło do złowieszczych wydarzeń, które miały zapowiadać apokalipsę i nieuchronne przyjście Antychrysta.

Żeby zrozumieć Rosję, trzeba pamiętać, że w centrum wypadki następują po sobie szybko, pojawiają się nowe idee, ale w głębi kraju zmiany zachodzą bardzo powoli. Stąd duża przepaść między tym, co się mówi, a tym, co się robi. Reakcja bezkresnej prowincji na wydarzenia w stolicy jest tak opóźniona, że wraca niczym echo, kiedy pierwotny dźwięk dawno odszedł w niepamięć, a osoby, która go wydała, nie ma już wśród żywych. To bywa mylące dla badaczy dziejów.

Historycy prowadzą spór o przyczyny katastrofy oznaczającej koniec dawnego księstwa moskiewskiego, jednak dla wielu moskwian początkiem tego końca był rok 1653.

Zacząło się od reform wielkiego patriarchy Nikona. Ich najbardziej widoczny dla wiernych szczegół dotyczył sposobu, w jaki Rosjanie mają czynić znak krzyża.

Pewnie wydaje się to dziwne, więc należy wyjaśnić, że Rosyjski Kościół Prawosławny różnił się od innych prawosławnych Kościołów. Odizolowany od reszty chrześcijaństwa, w ciągu wielu wieków rozwinął własną duchowość i własne praktyki, które według słusznej oceny patriarchy Nikona były nie do pogodzenia z głównym nurtem prawosławia. Na przykład w określonych momentach mszy Rosjanie śpiewali „alleluja” dwa razy zamiast trzech; używali innej liczby chlebów liturgicznych i zbyt często przyklękali na jedno kolano, w swoich księgach niewłaściwie zapisywali imię Jezusa, popełniali też wiele innych błędów. A wśród tych różnic najbardziej rzucało się w oczy to, jak się żegnali.

Prawosławni nie robili znaku krzyża tak jak katolicy, nie dotykali czoła, piersi, a potem lewego i prawego ramienia, lecz z największą starannością i powagą dotykali czoła, następnie piersi na środku, a później machali ręką na prawo, na lewo i znów na prawo – czyli odwrotnie niż w Kościołach zachodnich.

Co więcej, prawosławny Rosjanin, żegnając się albo wykonując znak błogosławieństwa, układał palce w szczególny sposób. Zamiast łączyć czubek kciuka z czubkiem palca serdecznego, trzymając pozostałe palce wyprostowane, składał ze sobą trzy palce: kciuk, serdeczny i mały, a wyprostowane miał dwa palce, środkowy i wskazujący. Rosjanie byli przekonani, że gest ten jest częścią nieskażonej, starej praktyki. Jednak w 1653 roku patriarcha Nikon postanowił to zmienić i jednocześnie wprowadzić stosowne korekty do ksiąg i liturgii.

Jak wielu rosyjskich reformatorów, tak i ten srogi patriarcha – tak podziwiany przez Andrieja – musiał się spieszyć. Poza granicami stolicy rozpoczął budowę wielkiego klasztoru, który nazwał Nową Jerozolimą. Nazwę pobliskiej rzeki zmieniono na Jordan. Nowy monaster był majestatyczny, prosty i surowy. Nikon zamierzał umieścić w nim pięć

tronów, na których pewnego dnia mieli zasiąść wszyscy patriarchowie Kościoła prawosławnego z patriarchą Rosji pośrodku.

Jednak żądza władzy kościelnej doprowadziła Nikona do upadku. Początkowo car Aleksy, który często wyjeżdżał na wyprawy wojenne, na czas nieobecności zostawiał rządy w rękach patriarchy, któremu nawet nadał najwyższy tytuł wielkiego suwerena. Nie trzeba było długo czekać, by Nikon, niczym średniowieczny papież, zaczął dawać do zrozumienia, że Cerkiew i patriarcha powinni mieć zwierzchność nad carem i państwem – a takiego pomysłu ani Aleksy, ani bojarowie nie mogli tolerować. Potężny Nikon musiał udać się na wygnanie – jego władza dobiegła końca.

Ale reformy kościelne przetrwały.

Początkowo, jeszcze w 1653 roku, pojawiła się opozycja. Mała grupa konserwatywnego duchowieństwa – wśród nich najbardziej znany był protopop Awwakum – wystąpiła przeciwko zmianom. Patriarcha zgniótł ich natychmiast i zesłał Awwakuma na daleką północ. Jednak opór nadal trwał.

Zwołany w roku 1666 sobór, który miał doprowadzić do załagodzenia sporu, uznał, że nadmiernie ambitnego Nikona należy pozbawić urzędu, ale jego reformy pozostawić. Między innymi nakazano, by przy znaku krzyża prostować trzy palce, a nie dwa. Ci, którzy się temu nie podporządkowali, jako heretycy mieli zostać obłożeni ekskomuniką.

I tak rozpoczął się wielki konflikt w społeczeństwie rosyjskim znany jako raskoł – rozłam – w którym główną rolę odgrywała nowa, znacząca grupa Rosjan. W XIX wieku zyskali oni nazwę „starowiercy”, jednak wcześniej stosowano określenie właściwe dla religijnych odszczepieńców: raskolnicy, czyli schizmatycy.

Mówi się czasem, że reformatorzy byli postępowi, a do raskolników należeli obskuranczy popi wspierani przez niepiśmienne chłopstwo. Ale nie jest to prawdą. Zleconych przez Nikona nowych tłumaczeń ksiąg dokonywano w takim pośpiechu, że znalazło się w nich mnóstwo niespójności, a on sam upierał się przy szczegółach, które według patriarchów pozostałych Kościołów prawosławnych nie były konieczne. Wśród raskolników zaś napotymano wielu umiejących czytać i pisać kupców oraz zamożnych chłopów.

Raskolnicy podnosili też słuszny argument, na który reformatorzy nie umieli odpowiedzieć: „Skoro Moskwa, jak od dawna głosiła Cerkiew, jest trzecim Rzymem – po którym, jak wiadomo, nie będzie już następnego – to jak to możliwe, że wszystkie nauki i praktyki Kościoła okazują się nagle błędne? Czy należy rozumieć, że praktyki ruskich świętych, cała liturgia potwierdzona na wielkim soborze zwołanym przez Iwana Groźnego to herezja?”.

W Kościele, który zawsze odwoływał się raczej do siły tradycji niż do analizy ksiąg czy dowodów logicznych, takie zastrzeżenia brzmiały przekonująco.

Jednak spór toczył się w stolicy. I nikt nie mógł przewidzieć, jakim echem powróci kiedyś z głębi kraju.

Tymczasem w kolejnych latach przez księstwo moskiewskie przetaczały się inne, potężne grzmoty.

*Rok 1670*

Było lato. W spokojnej zazwyczaj Rusce panowało szalone podniecenie.

Buntownicy podchodzili coraz bliżej.

Mnisi, nie wiedząc, co w takich okolicznościach zrobić, patrzyli wyczekująco na opata, który jednak nie mógł zdecydować, czy bronić klasztoru, czy może raczej zostawić bramę otwartą. W miasteczku i w pobliskim Gnojowisku opinie na ten temat były podzielone. Wielu młodych uważało, że nadchodzi wolność.

– On uwolni chłopów – przekonywali. – Powieszą Bobrowów i ziemia będzie nasza.

Jednak starsi patrzyli na to z pesymizmem.

– Buntownicy będą jak plaga szarańczy – oświadczył jakiś drobny kupiec.

Nikt też wiedział, gdzie ci buntownicy są. Jedni uważali, że po drugiej stronie Wołgi, inni – że w Niżnym Nowogrodzie. A najbardziej zaniepokojeni twierdzili, że już przeprawili się przez Okę.

A ten ich przywódca, szaleńczo odważny Stieńka Razin? W ciągu zaledwie czterech lat jego nazwisko stało się legendą. „On będzie rządził w Moskwie – mówili ludzie. – Jak prawdziwy car”.

Wśród tego podniecenia dzieci z Gnojowiska znalazły sobie nową zabawę. Dokuczali cichej, poważnej szesnastolatce. Starła się nie zwracać na nich uwagi, ale ich uporczywe pytania, którym towarzyszyły chichoty i wybuchy śmiechu, bolały ją bardziej, niż to okazywała. Miała na imię Arina, a pytanie słyszała zawsze to samo: „Arina, czy to prawda, że Stieńka Razin to twój ojciec? Przyjedzie, żeby nas uratować? No jak, Arina, twój ojciec naprawdę tu przyjedzie?”.

Bolało ją to, bo sama nie wiedziała.

Kto był ojcem Ariny? Tego nikt nie umiał jej powiedzieć.

Zanim skończyła pięć lat, za ojca uważała zarządcę, w końcu z nim mieszkały. Był to surowy mężczyzna o zgorzkniałej twarzy i choć czasem brał ją na kolana, wiedziała, że jej nie kocha. Bez wątpienia była to jej wina. Ale gdy miała pięć lat, zarządca umarł, a ona razem ze starą Jeleną przeniosła się do chaty wuja. Niedługo potem jakaś dziewczynka powiedziała jej:

– Twoim ojcem był Kozak.

Nie zrozumiała. A kiedy zapytała o to babkę, Jelena burknęła tylko:

– Co za bzdury!

Jednak Arina szybko zauważyła, że jest z nią coś dziwnego. Coś nie tak. Słyszała jakieś szepty i chichoty. Aż w końcu, gdy skończyła siedem lat, Jelena oznajmiła jej nieoczekiwanie:

– Twoim ojcem nie był zarządca, tylko Kozak. Więcej o tym nie mów.

Więc nie mówiła. Ale tamtego dnia zrozumiała, że w oczach wieśniaków ta obca postać Kozaka z przeszłości ciąży na niej jak piętno.

Kozak. Co to w ogóle znaczy? Nigdy żadnego nie widziała, ale słyszała, że to dzicy i przerażający ludzie. Że każdy ma wąsy i ogon włosów na czubku wygolonej głowy. I że przemierzają step jak Tatarzy. Czy to możliwe, że jeden z nich jest jej ojcem? Raz zapytała z wahaniem babkę, jak wyglądał.

– Jak Kozak. Był ciemny. Zapomnij o nim – usłyszała szorstką odpowiedź.

Dopiero po roku odważyła się zapytać znowu.

– Jak mój ojciec miał na imię?

– Nie wiem. Zresztą to nieważne. – Jelena najwyraźniej się zirytowała. – Co za różnica? On już pewnie umarł, a nawet jeśli żyje, to i tak go nigdy nie zobaczysz. – A widząc rozczarowanie Ariny, dodała łagodniej: – Nie martw się, gołąbeczko, dzięki Bogu masz tu całą swoją rodzinę.

Co było prawdą. Niemal połowa mieszkańców wioski była z nią jakoś spokrewniona, Arina miała też wuja, brata matki. Nawet pop, który odwiedzał niewielką drewnianą cerkiew w Gnojowisku, był jej dalekim kuzynem, podobnie jak dwóch kupców z Ruski. Nie mam powodów, żeby czuć się samotna, myślała czasem Arina.

Życie w wiosce było ciężkie – chłopci wiedzieli, że czeka ich znój i cierpienie. Ich rodzice pamiętali ponure ostatnie dni panowania Iwana Groźnego i czas wielkiej smuty, który potem nastął. W krótkim życiu Ariny dwa razy plony były tak słabe, że omal nie umarli z głodu. A któregoś roku gruchnęła wieść, że ogromna wataha wilków – trzy albo cztery tysiące – wtargnęła do Smoleńska i włóczyła się po ulicach w poszukiwaniu pożywienia.

Jednak najgorsza była wojna. Walki trwały bez końca. Tak jak się obawiano, gdy tylko car wziął Ukrainę pod swoją protekcję, wybuchła wojna z Polską. Od trzynastu lat co roku z Ruski wyruszała nowa grupa mężczyzn wcielonych do wojska. Wielu z nich nigdy nie wróciło.

Wieś miała też pecha pod innym względem. Zaraz po narodzinach Ariny Nikita Bobrow dobrze się ożenił – a co było dobre dla pana, z pewnością nie było dobre dla Gnojowiska.

– On ma teraz inne majątki – utyskiwała Jelena. – Co go obchodzi, że połowa naszych mężczyzn ginie? Oddaje ich Niemcom albo innym heretykom, którzy pędzą ich potem jak stado bydła.

Rzeczywiście, pragnąc za wszelką cenę przypodobać się carowi, Nikita hojnie dostarczał chłopów z wioski, do której sam rzadko zaglądał. A chłopci mieli walczyć pod komendą cudzoziemskich oficerów dowodzących carską armią. Przez całe życie Ariny wioska trwała w stanie odrętwienia, czekając na powrót tych, którzy nigdy nie mieli wrócić.

Lecz wśród tych licznych przeciwności losu jej rodzina nie ucierpiała. Z jakichś powodów wuj Ariny nie trafił do wojska. Ani żaden z jego trzech synów, gdy osiągnęli odpowiedni wiek. Rodzina się bogaciła. Wuj Ariny jedyny w wiosce nie miał u Bobrowa żadnych długów. Mógł nawet wynająć pracownika do pomocy w polu.

Dopiero później Arina się domyśliła, że wuj przekupił zarządcę. Dawny zarządca był chłopem, ale po jego śmierci Nikita Bobrow przysłał w jego miejsce niewolnika. Uświadomiwszy sobie, że wuj zapłacił, by jego synowie nie trafili do wojska, Arina była wstrząśnięta. Zapytała nawet Jelenę, czy tak się godzi.

– Może i nie – przyznała Jelena. – Ale ciesz się, że to zrobił.

– A skąd wujek bierze pieniądze?

– Nie pytaj.

– Jednak to niesprawiedliwe – uznała Arina.

Jelena uśmiechnęła się cierpko.

– Znasz takie powiedzenie: „Kiedy przyjdzie zimna noc, wilk jest blisko, a car daleko”. Nie myśl, co jest dobre, a co złe, najważniejsze to przetrwać.

Rodzina dobrze traktowała Arinę, a ona umiała się odwdziżyć. Myła wielki gliniany garnek, w którym przez noc na piecu gotowało się jedzenie, solila ryby i kisila warzywa na długą zimę. A gdy jeden z jej kuzynów zrobił piękną misę na pierniki, pomogła ją ozdobić wymyślonym przez siebie wzorem z pawiem. Umiała też ładnie haftować.

To dziwne, że mając takich rodziców, była właściwie brzydka. Po Andrieju odziedziczyła ciemne włosy, po matce wdzięczne ruchy – i to wszystko. Miała bladą cerę, zdaniem wszystkich zbyt długi nos, a do tego lekkiego zeza i małe znamię po lewej stronie brody. Jednak braki urody nadrabiała uśmiechem o niezwyklej wprost słodczy.

Jelena wychowywała wnuczkę bardzo surowo, jakby chciała zadośćuczynić za jej nieprawe pochodzenie. Widywano je obie na każdym nabożeństwie w Gnojowisku, w Rusce albo w klasztorze. Szły do cerkwi spiesznym krokiem, z pochylonymi głowami nakrytymi chustką; nie podnosząc niemal wzroku, żegnały się przed drzwiami świątyni i jeszcze raz w środku, a potem zapalały świece i modliły się przy każdej ikonie.

Arina nade wszystko lubiła śpiewać w drewnianej cerkiewce w Gnojowisku – gdy skończyła piętnaście lat, miała piękny kontralt, więc pop mawiał: „To nasz słowiczek”. A wieśniakom często przypominał: „Patrzenie, Bóg nie zechciał obdarzyć tej dziewczyny urodą, ale zamiast tego dał jej piękny głos i piękną duszę, żeby mogła go wychwalać”.

Nic więc dziwnego, że Arina była bardzo pobożna. Babka zresztą oznajmiła jej bez ogródek:

– Ty to nigdy nie wyjdiesz za mąż.

Dobrze o tym wiedziała. Z powodu wojny z Polską na jednego mężczyznę w okolicach Ruski przypadało pięć kobiet.

– I obawiam się, że w kolejce do ołtarza ty będziesz ostatnia – oświadczyła Jelena. Nawet jeśli Arina czuła się rozgoryczona, nigdy tego nie okazywała.

– Dziękuję Bogu – mawiała Jelena do ludzi w obecności dziewczyny – że przynajmniej nie jest tak uparta jak jej matka.

Nieustannie wkładała wnuczce do głowy, że uległość i posłuszeństwo są jej jedyną nadzieją.

W dzieciństwie Arina wiele rozmyślała o swojej matce. Jaka ona była?

Na szczęście Jelena często opowiadała o Mariuszcze. Kochała córkę tak bardzo, że nie mogła się powstrzymać przed wspomnieniami, które mimo upływu lat wciąż były w niej żywe.

– Była piękna, bez dwóch zdań – mówiła, kręcąc głową.

Arina szybko zrozumiała, że największą przewiną jej matki nie był romans z Kozakiem. Owszem, takie rzeczy były naganne, ale się zdarzały. Największym przestępstwem Mariuszki był upór.

– Bo widzisz, zarządca nie miał pojęcia, że nie jest twoim ojcem – tłumaczyła Jelena. I pewnie nigdy by się nie dowiedział, gdyby nie to, że bez przerwy bił Mariuszkę.

– Jak go coś zezłościło, to od razu się na niej wyżywał – wspominała ze smutkiem. – Bił ją pięścią. Powinna była to znosić jak każda kobieta, ale nie, któregoś dnia, niedługo po tym, jak przestała cię karmić piersią, straciła cierpliwość. Powiedziała, co o nim myśli. I wykrzyczała mu, że nie jest twoim ojcem. – Stara kobieta westchnęła. – Ech, Mariuszka, moja gołąbeczka. „W końcu to zrobiłam”, mówi do mnie. „No tak”, ja na to. „Odczeka trochę, a potem mnie zabije. Już ja go znam”. Musiałam przyznać jej rację. „Zaopiekujesz się Ariną?”, pyta nagle. A rano okazało się, że jej nie ma. Nawet się ze mną nie pożegnała.

I tak się zaczęło życie Jeleny z zarządcą. Powiedział bez ogródek, że skoro jej córka go zostawiła, to teraz ona musi się nim zająć. A ponieważ miał nad nimi władzę, nie mogła się nie zgodzić.

– Nawet nie próbuj mnie bić – ostrzegła go. – Nie jestem twoją żoną.

Wówczas wszyscy w wiosce uważali, że Mariuszka uciekła przed mężowską przemocą. O Kozaku nikt by się nie dowiedział, gdyby sam zarządca nie wygadał się podczas jakiegoś pijaństwa.

– Niech będzie przeklęty – zrzędziła Jelena. – Wolał sam się zhańbić, byle tylko oczernić ją w ludzkich oczach. Moja biedna Mariuszka.

– Dokąd poszła? – pytała dziewczynka.

– A skąd ja mam to wiedzieć? Pewnie na step. Albo na drugą stronę Wołgi.

– I teraz tam jest?

– Może. Jeśli wilki jej nie zjadły.

– Wróci tutaj? – pytała Arina z nadzieją.

Tak naprawdę Jelena była przekonana, że Mariuszka nie żyje. Samotna kobieta wyruszająca w nieznaną nie miała wielkich szans na przeżycie. W najlepszym razie jakiś właściciel ziemski mógł ją schwytać i zatrzymać w swoim majątku.

– Nie, ona nie wróci – odpowiadała z goryczą. – Bo i po co?

Dziewczynka wierzyła jednak, choć nie miała odwagi się do tego przyznać, że któregoś dnia jej matka wróci.

Zdarzało się, że podczas żniw, kiedy kobiety wychodziły z sierpami na pole, patrzyła na rząd schylających się postaci i wyobrażała sobie, że na tę krótką chwilę jedna z nich oddala się od reszty, podchodzi do niej i mówi z uśmiechem: „Widzisz, moja gołąbeczko? W końcu do ciebie wróciłam”.

Po żniwach Arina lubiła chodzić na wielką łąkę, która zdawała się ciągnąć aż po horyzont – patrzyła na przysadziste kopy siana rozsiane na otwartej przestrzeni. Z jakiegoś powodu nabierała wówczas przekonania, że jej matka gdzieś tam jest, że ukrywa się za którymś stogiem, więc biegła od jednego do drugiego, obchodziła je ze wszystkich stron, jakby oczekiwała, że natknie się na obcą, a jednak bliską postać, która weźmie ją w objęcia. Ale ta głupia, samotna zabawa za każdym razem kończyła się tak samo: w pustej ciszy bezkresnej łąki Arina znajdowała jedynie słodko pachnące sterty siana i świeże ściernisko, a gdy cienie się wydłużały, surowa wyobraźnia mówiła jej, że nawet Bóg skrył oblicze za obłokami i zostawił ją samą.

Kiedy skończyła dziesięć lat, wieśniacy najwyraźniej zapomnieli o jej rodzicach. W każdym razie nikt już ich nie wspominał. Życie Ariny w Rusce znów toczyło się spokojnie.

Teraz jednak wszyscy czekali z niepewnością na Stieńkę Razina.

To powstanie nie było ani pierwsze, ani ostatnie, jednak żadna rosyjska rewolta nie obrosła taką romantyczną legendą jak powstanie Stieńki Razina z 1670 roku. Być może dlatego, że był to ostatni krzyk dawnego, wolnego rosyjskiego pogranicza.

Powstanie zaczęło się daleko, nad Donem, wśród kochających wolność Kozaków. Bo do 1670 roku nawet ich demokratyczne zasady się załamały, pojawiła się nowa klasa bogaczy, którzy nie troszczyli się o los biedniejszych braci. I oto w 1665 roku ci biedni Kozacy wraz z chłopami po raz pierwszy zgromadzili się wokół śmiałego przywódcy na ziemiach między Wołgą a Donem.

I pewnie skończyłoby się na kilku lokalnych najazdach i grabieżach, niezauważalnych na bezkresnym stepie, gdyby nie charakter Razina. Najazdy szybko zamieniły się w powstanie, a potem w masową rebelię. Razin, obiecując znane wśród tradycyjnych Kozaków wolne zgromadzenia ludowe, posuwał się wzdłuż Wołgi i zdobywał jedno miasto po drugim. Latem 1670 roku ogromna armia buntowników zajmowała już ponad połowę terenów na południowym wschodzie Rosji i wydawało się, że zaraz uderzy na Moskwę i ziemie w głębi kraju.

I właśnie wtedy wieśniacy przypomnieli sobie o Kozaku.

– Ojciec Ariny nadchodzi! – wykrzykiwały małe dzieciaki.

Starsze były bardziej cwane.

– Arina, ile łupów ma Razin? Będiesz teraz bogata?

Dokuczali jej przez trzy tygodnie. A ona aż kuliła się ze wstydu.

I potem nagle przyszedł koniec. Na początku jesieni car wysłał wojsko, które zgłębilo rebeliantów. Bohater demokrata uciekł z powrotem nad Don, gdzie schwytali go bogaci Kozacy i oddali w ręce cara. A w czerwcu następnego roku na Placu Czerwonym wykonano na nim wyrok śmierci. Co praktycznie oznaczało koniec dawnych obyczajów wolnych Kozaków.

– Car zabił ojca Ariny! – wołały dzieciaki beztrąsko.

Próbowała nie zwracać na to uwagi. Ale jeszcze długo po tym, jak przestały z niej drwić, była bardzo smutna. Jakby śmierć zuchwałego Razina była kolejną stratą, przypominającą boleśnie tego drugiego Kozaka, ojca, który zniknął z jej życia wiele lat wcześniej.

Dlatego któregoś wiosennego dnia odważyła się zapytać Jelene:

– Czy ten Kozak... mój ojciec... czy on wiedział, że mama mnie urodziła?

– Chyba wiedział – odparła niechętnie Jelena.

– W takim razie – naciskała – czy nigdy nie przyjechał, żeby ją odwiedzić? Nie chciał mnie zobaczyć?

W pierwszej chwili Arina myślała, że babka nawet nie usłyszała pytania, bo przez dłuższy czas nie raczyła się nawet odezwać.

– Nie – powiedziała w końcu.

Arina milczała. I więcej nie wracała do tego tematu. Najwyraźniej żadne z rodziców jej nie kochało. Uznała, że z jakichś powodów nie zasługuje na ich miłość.

Nie przyszło jej do głowy, że Jelena zwlekała z odpowiedzią, bo nie chciała powiedzieć prawdy.

## *Rok 1654*

W roku 1654 istniały trzy Rosje. Pierwsza, Wielkoruś, obejmowała Wielkie Księstwo Moskiewskie. Drugą stanowiła świeżo dołączona Ukraina, którą Moskale nazywali Małorusią. Trzecia Rosja była pasem ziem o szerokości ponad trzystu kilometrów biegnącym po zachodniej stronie wielkiego R wyznaczanego przez rosyjskie rzeki – a dokładniej mówiąc, ciągnącym się od prastarego Smoleńska na zachód aż po granicę z Polską. Kiedyś władali tymi terenami ruscy książęta, ale od dawna znajdowały się one w rękach Polaków. Moskale nazywali je Białą Rusią.

I właśnie z Białej Rusi Andriej wracał tego późnoletniego dnia w 1654 roku.

Był to dla niego dziwny rok. Chmielnicki i jego rada po pełnych nieufności negocjacjach dołączyli w końcu Ukrainę do księstwa moskiewskiego, zawierając przy tym porozumienie, które zapewniało im ogromne majątki ziemskie. Zwykły ukraiński chłop nie zyskał na tym oczywiście nic.

W marcu Andriej wrócił do Moskwy i był na ślubie Nikity Bobrowa z dziedziczką wielkiej fortuny. Właśnie wtedy Rosjanin wyświadczył Kozakowi ogromną przysługę: ustalono, że Andriej będzie mu towarzyszył podczas wyprawy wojennej na Polskę.

Wojna z Polską – nieuchronna po aneksji Ukrainy przez cara – stanowiła tylko część większego i dłuższego procesu. Cudzoziemscy oficerowie, których Andriej widział w Moskwie, byli elementem szeroko zakrojonych przygotowań. Bo nowa wojna z Polską była jedynie pretekstem do zadania jej znacznie potężniejszego ciosu.

– Zamierzamy przejść Białą Ruś – oznajmił Nikita Andriejowi.

Kampania zakończyła się sukcesem. Na południu uderzyli Kozacy, którzy przeprawili się przez Dniepr. Na północy rosyjska armia wyruszyła z Moskwy na zachód w kierunku Smoleńska.

Zanim jeszcze wojna się skończyła, jasnowłosy, niebieskooki car dwa razy zwrócił się osobiście do Andrieja. A wróciwszy do Moskwy, kazał go poinformować, że nadał mu także majątek.

Andriej i Nikita pojawili się w stolicy dopiero w lipcu.

Nikita zaprosił przyjaciela do swojego nowego, znacznie obszerniejszego domu, ale szybko się okazało, że w mieście pojawiła się zaraza. Początkowo myśleli, że nie dojdzie do wybuchu epidemii, jednak po kilku dniach Nikita wrócił do domu z przygnębiającymi wieściami.

– Chodzą słuchy, że chcą zapieczętować królewskie apartamenty na Kremlu. Caryca i jej dwór wyjeżdżają z miasta. Też powinienem wyjechać. A ty jedź obejrzeć swój nowy majątek na Białej Rusi.

Andriej poszedł za jego radą. Pod koniec lipca opuścił Moskwę i wyruszył w drogę do domu.

Postanowił przejechać przez Ruskę.

Wcześniej nie mógł się niczego dowiedzieć o losie Mariuszki. Nikita, który od ponad roku nie zaglądał do majątku, słyszał coś, że żona zarządcy urodziła dziecko, ale nie był tego pewien. Dlatego Andriej, gdy jechał na wschód w stronę Włodzimierza,



a potem skręcił na południe, wciąż pragnął zaspokoić ciekawość.

Był w dziwnym nastroju. W jego życiu wszystko układało się pomyślnie. Bogacił się. Ale ślub przyjaciela i kilkakrotne bliskie spotkania ze śmiercią podczas wojny przypominały mu, że choć zbliża się do trzydziestki, to wciąż pozostaje samotny. To dziecko, jeśli w ogóle istnieje, jest wszystkim, co dałem światu, myślał. I nawet jeśli nie będę mógł uznać go za swoje, przynajmniej je zobaczę.

Miał ze sobą kilka podarunków.

Nachodził go też smutek. Któregoś razu, minąwszy wioskę nad Kłaźmą, zobaczył tratwę zakotwiczoną na środku nurtu. Miała pojedynczy maszt, z którego zwisała lina. A na tej linie dyndało ciało człowieka z żelaznym hakiem wbitym pod żebrami. Najwyraźniej był to jakiś rabuś, bo w Moskwie za piractwo rzeczne groziła taka właśnie kara. Jednak podjechawszy bliżej, Andriej dostrzegł długie wąsy i szerokie spodnie, co znaczyło, że skazaniec musiał być Kozakiem. Wisiał tak już od tygodnia.

Kozak – brat. A jednocześnie nie brat.

– On był biedny. Ja jestem bogaty – mruknął do siebie.

Z jakiegoś powodu porównanie własnego powodzenia z losem tego nieszczęśnika wywołało w Andrieju poczucie osamotnienia.

Trzy dni później zobaczył w oddali Ruskę.

Był niecały kilometr od miasteczka, gdy natknął się na Jelenę. Szła przez las.

Poznała go od razu, ale jej twarz o grubych rysach nie zdradzała radości ani nawet zainteresowania.

– Czy Mariuszka urodziła dziecko? – spytał po krótkim powitaniu.

– Tak.

– Chłopca?

– Dziewczynkę.

– Gdzie one teraz są?

– Dziecko jest w wiosce. A Mariuszka nie wiadomo. – Jelena opowiedziała mu o ucieczce córki.

Był przerażony.

– Tak po prostu odeszła?

– Tak, do lasu. A może raczej na step. Pewnie już nie żyje.

– Może tak, a może nie.

– Może.

Spojrzał na Jelenę uważnie.

– Muszę zobaczyć dziecko.

– A po co?

Nie umiał tego wytłumaczyć. Wiedział jedynie, że tego chce.

– Trzymaj się od nas z daleka – oznajmiła kobieta. – Zarządca wie o tobie. A jeśli cię zobaczy, to odegra się na mnie i na dziecku.

Andriej niechętnie przyznał jej rację.

Wyciągnął sakiewkę z pieniędzmi. Przywiózł ją dla Mariuszki. Miał też małą złotą bransoletkę, całkiem ładną, z dużym ametystem.

– Daj to wszystko dziewczynie, jak będzie wychodziła za mąż.

Jelena bez słowa wzięła sakiewkę i bransoletkę.

– Żegnaj – powiedziała obojętnie.

Milczał. Patrzył na nią tak, jakby mu było wstyd.

– Przepraszam – powiedział w końcu.

Spojrzała na niego, ale w jej oczach nie było przebaczenia.

– Za co? – Splunęła.

Nie odpowiedział.

– Jedź stąd, Kozaku – powiedziała tonem, w którym nie było nienawiści, jedynie beznamiętna pogarda.

Andriej popatrzył jej w oczy. Słowo „Kozak” – i sposób, w jaki je wypowiedziała – rozzłościły go na ułamek sekundy. Nie będzie mu jakaś rosyjska chłopka obrażała, pomyślał z irytacją.

Najwyraźniej Jelena musiała to odczytać z jego twarzy, bo odezwała się znowu.

– A wiesz, panie Kozaku, czym się różnisz od Rosjanina? – spytała cicho. – Tylko jednym: możesz swobodnie odjechać. – Splunęła znowu. – Zarządca upija się i bije Mariuszkę. Ty odjeżdżasz w step, a ona zostaje w ciąży. My, kobiety, cierpimy, ale trwamy w tym samym miejscu, jak ziemia. Depczecie nas, ale bez nas jesteście niczym. – Wzruszyła ramionami. – Bóg sprawił, że was pragniemy. Ale gdy na was patrzymy, gardzimy wami.

Andriej skinął głową. Zrozumiał. Tak brzmiał głos rosyjskich kobiet.

Dosiadł powoli konia i odjechał bez słowa. Nie wierzył, że kiedykolwiek zobaczy córkę. Dopiero po kilku kilometrach uświadomił sobie, że zapomniał zapytać o jej imię.

Jelena nigdy nie powiedziała Arinie o tym spotkaniu, choć pieniądze i bransoletkę starannie ukryła pod podłogą. Po co sprowadzać na siebie kłopoty? – myślała. Jeśli zarządca dowie się o pieniądzach, od razu wyciągnie po nie rękę. A Arina niech lepiej w ogóle nie zaprzęta sobie głowy tym Kozakiem. I widząc w miarę upływu lat, że dziewczynka jest dość pospolitej urody, myślała w skrytości ducha: Ta biedaczka nigdy nie wyjdzie za mąż. Po co jej posag?

Dała więc pieniądze synowi, a on dzięki temu mógł przekupić zarządcę.

*Rok 1677*

Nie można jej było niczego zarzucić. Dlaczego więc Arina czuła lęk?

Miała dwadzieścia trzy lata i wciąż była panną. Doskonale wiedziała, że ślub nie jest jej pisany. Po okresie dojrzewania zbrzydła jeszcze bardziej. Znamię na brodzie urosło. Nie było szczególnie szpetne, nie zniekształcało jej rysów, ale rzucało się w oczy. Przekonywała więc samą siebie, że oto Bóg w swojej nieskończonej mądrości uczy ją w ten sposób pokory. Modliła się co dzień. Była pomocna. W Rusce ani w Gnojowisku nie miała żadnych wrogów. Ale w jej umyśle zawsze czał się dręczący lęk. Bała się, że odbiorą jej religię.

Te obawy nie były bezpodstawne. Arina bowiem należała do raskolników.

Religijne podziały zachodziły w Rusce tak samo jak w wielu innych wsiach i miasteczkach na prowincji – bardzo powoli.

Nowe modlitewniki patriarchy dotarły do klasztoru w Rusce dopiero po dwóch latach. A i tak opat odłożył je w kąt swojej celi i nie zdradzał nikomu, że je w ogóle dostał. Większość mnichów nigdy się o nich nie dowiedziała.

Pod wieloma względami opat podziwiał Nikona. Czyż patriarcha nie opowiedział się za godnością Cerkwi? Czy nie sprzeciwił się carowi, gdy ten próbował ograniczyć ilość ziem ofiarowywanych Kościołowi? Bez wątpienia Nikon był wielkim duchownym. Ale opat miał też przyjaciół wśród tych, którzy nie zgadzali się na jego reformy i despotyzm. Nie ufał sprowadzonym przez niego uczonym, zwłaszcza ukraińskim. Zazdrościł im wpływów i zarzucał nadmierną polskość i katolickość.

Opat wolał zachować wierność dawnej liturgii i dawnym sprzymierzeńcom. W niewielkim klasztorze Świętego Piotra i Świętego Pawła mnisi nadal więc odprawiali nabożeństwa i żegnali się po staremu, a ponieważ przyjeżdżało tu niewielu gości z Moskwy, nikt nie przywiązywał do tego wagi.

Z wyjątkiem kilku mnichów. Bo nawet w takim zaścianku dowiedzieli się w końcu o nowych zaleceniach dotyczących nabożeństw i zaczęli wypytywać opata, co mają robić. Ale musiał minąć jeszcze jeden rok, by opat pokazał nowe modlitewniki najstarszym i najbardziej zaufanym braciom. A zaraz potem przykazał, by byli mu we wszystkim posłuszni. Kiedy więc w klasztorze pojawiał się Nikita Bobrow albo jakiś znaczący duchowny, nabożeństwa odprawiano zgodnie z nowym rytym. Ale po ich wyjeździe wszystko wracało do normy. Działo się tak do wielkiego soboru, który odbył się w 1666 roku.

Potem już nawet w małym klasztorze w Rusce nie dało się niczego ukryć. Opat, choć niechętnie, podporządkował się nowym zaleceniom i to samo polecił mnichom. Władza to władza. Sobór szedł ręką w rękę z carem. I wszyscy musieli być mu posłuszni.

Lecz nie w Gnojowisku.

Nikt o tym nie wiedział. Opat, nawet jeśli się domyślał, nie mówił nic. Nikita Bobrow, choć był właścicielem wioski, nie miał o niczym pojęcia. Wiedzieli miejscowi chłopci, ale czy z nimi ktoś rozmawiał?

Bo niewielkiej społeczności wiernych w Gnojowisku przewodził spokojny i małomówny pop Silas.

Jego dziadek był synem popa Stiepana, którego uśmiercił Iwan Groźny. Od tamtego czasu Silas jako pierwszy mężczyzna w rodzinie wstąpił do stanu kapłańskiego. Jego ojciec był skromnym kupcem w Rusce.

Z zamyślanej twarzy i niebieskich oczu przypominał swojego przodka, ale był zaledwie średniego wzrostu i z powodu jakiegoś wypadku w dzieciństwie lekko utykał. Nie wyróżniał się wyglądem, lecz jego spokojna, żarliwa determinacja sprawiła, że cieszył się wśród chłopów dużym autorytetem.

Z popami przeciwnymi wprowadzeniu reform zetknął się w Niżnym Nowogrodzie, dokąd pojechał uczyć się na księdza. Co nie było dziwne. Stare miasto u zbiegu Wołgi i Oki było nie tylko dużym ośrodkiem handlowym, ale także wciąż stanowiło coś w rodzaju rubieży. Zaraz za Niżnym Nowogrodem wjeżdżało się w dzikie, bezkresne lasy, a tam, w odludnych miejscach, można było się natknąć na niewielkie wspólnoty albo pustelników. W lasach tych mieszkali prawdziwi, prości Rosjanie, którzy tylko przy

użyciu siekiery potrafili zbudować dom i którzy każde uderzenie ostrza ofiarowywali na chwałę bożą.

Spod Niżnego Nowogrodu pochodziła też rodzina wielkiego przeciwnika reform, Awwakuma. A Silas, gdy był tam diakonem, poznał krewną zapalczego popa i się z nią ożenił.

Silas nie był człowiekiem wykształconym. W Niżnym Nowogrodzie nauczyli go czytać, ale jego sprzeciw wobec reform nie wynikał z jakiegokolwiek wiedzy. Gdyby nie pokrewieństwo żony z Awwakumem, w wielu kwestiach nie umiałby się opowiedzieć ani za popem, ani za patriarchą.

Jego niepokój miał znacznie głębsze korzenie. Był instynktowny. I dotyczył samej istoty rosyjskiej Cerkwi, a właściwie istoty samej Rosji. Wynikał z poczucia, że dokonał się najazd na serce Rosji, że jej dusza została wypaczona. A wszystko to było dziełem cudzoziemców. „Po co carowi tylu obcych? – pytał. – Dlaczego naszym wojskiem dowodzą Niemcy? Dlaczego car sprowadza rzemieślników i pozwala bojarom trzymać w domach instrumenty muzyczne?”

I choć początkowo Silas nie umiał się rozeznac w formalnych zawiłościach kościelnej dysputy, to zanim jeszcze w 1666 roku zwołano wielki sobór, nie miał żadnych wątpliwości, co jest złem. „Najpierw pozwolili Polakom i Grekom grzebać w naszej liturgii, a teraz wszystko przejęli cudzoziemcy! – wykrzykiwał przed żoną. Potem z przerażeniem zniżał głos. – Słyszałem nawet, że niektóre fragmenty tłumaczyli Żydzi”.

A wiernym w Gnojowisku mówił:

– Bracia i siostry w Chrystusie, dla nas, Rosjan i zwykłych chrześcijan, jest tylko jedna ważna rzecz. Nie światowa wiedza, bo gdzie ta wiedza i przebiegłość cudzoziemców nas zaprowadzi, jeśli nie do grzechu? To nie jest jakiś trudny do pojęcia spór, bo jak nasza mądrość prostych ludzi może się równać z mądrością bożą? Chodzi o pobożność, o oddanie. O tę błogosławioną właściwość każdego z nas, o święty gorący zapal do służenia Bogu wiernie i bogobojnie, jak nauczył nas nasz Pan i święci. Tylko to się liczy. – I w tym miejscu używał słowa, które na długo miało pozostać bliskie sercu każdego Rosjanina. – Musimy przeżyć nasze życie z błagocestijem.

Błagocestije – czyli pobożność, żarliwa religijność, wierność i oddanie. W dawnym Wielkim Księstwie Moskiewskim określenie to zawsze wiązało się z carem – bogobojnym carem. A dla ludzi takich jak Silas oznaczało przede wszystkim wierność dawnym zwyczajom i świętej tradycji. Oznaczało pokorną miłość i nabożną cześć rosyjskiego chłopca przeciwstawianą dumnemu, racjonalnemu, opartemu na prawie światu zachodniemu, do którego władze zamierzały teraz wciągnąć naród. Oznaczało świat ikony i siekiery.

Dlatego w Gnojowisku Silas odprawiał nabożeństwa po staremu: „alleluja” odśpiewywano dwa razy i żegnano się dwoma palcami.

Co było niebezpieczne. Władza w Moskwie wymagała posłuszeństwa. Kiedy opat monasteru Sołowieckiego nad Morzem Białym zakazał swoim mnichom stosowania nowej liturgii i zabronił im modlić się za cara, wojsko otoczyło upartych buntowników i dokonało masakry.

Nikt nie wiedział, w ilu parafiach robiono to samo, ale podziemny ruch rósł w siłę.

Jedni opozycjoniści, tak jak Silas, kierowali się jedynie pobożnością, inni narzekali na wysokie podatki nakładane przez cara i ciężkie warunki życia. Tak czy inaczej opór narastał i w Moskwie dobrze o tym wiedziano.

Na razie mała parafia w Gnojowisku nie przyciągnęła zainteresowania władz. Ale jak by postąpili Silas i jego niewielka owczarnia, gdyby tak się stało? Nikt nie mógł tego przewidzieć i Arina miała uzasadnione podstawy do obaw.

Wiosną tego samego roku, pewnego zimnego, wilgotnego dnia, w Rusce pojawił się obcy.

Jak każdy podróżny udał się do klasztoru, gdzie mnisi dali mu jedzenie i nocleg. Powiedział, że ma na imię Daniil, ale więcej nie chciał zdradzić. A kiedy mnisi pytali, skąd przybywa, odparł krótko:

– Z Jarosławia.

Kiedy doniesiono o tym opatowi, ten się uśmiechnął.

– To widać. Tam mieszkają prawdziwi Rosjanie.

Jarosław był starym miastem. Jak inne na północnym wschodzie – Włodzimierz, Rostów czy Suzdal – powstał w tych samych czasach co Kijów. Leżał w pętli wielkiej Wołgi, dalej na północ była już tylko bezkresna tajga ciągnąca się aż do arktycznej tundry. Miasto miało w herbie niedźwiedzia trzymającego topór.

Na tamtych terenach żyli dzielni ludzie – to oni podczas wielkiej smuty kosami i siekierami wygnali Polaków z Wielkiego Księstwa Moskiewskiego.

Przybysz był jednym z owych dzielnych Rosjan. Potężny, z bujną czupryną, gęstą szpakowatą brodą i dużym nosem, który w miarę upływu czasu rozrastał się coraz bardziej i teraz rozlewał się na jego twarzy jak wielka plama. Często siadał nieruchomo, patrząc przed siebie albo karmiąc ptaki na wyciągniętej dłoni. Mimo łagodnych ruchów widać było, że musi być niezwykle silny.

Co on tutaj robi? Wszyscy zadawali sobie to pytanie. Miał trochę pieniędzy. Nie wyglądał na zbiegłego chłopca. Miał też malutką ikonę, poczerniałą ze starości, i niewielki psalterz, z którego najwyraźniej umiał czytać. Mimo to powiedział, że nie jest duchownym.

Trzeciego dnia pobytu w klasztorze zachorował. Dostał takiej gorączki, że mnisi obawiali się najgorszego. Ale wyzdrowiał i wkrótce widywano go, jak spaceruje po okolicy.

Tydzień po pierwszej przechadzce odbył z opatem rozmowę w cztery oczy, po której mnisi dowiedzieli się dwóch rzeczy. Pierwszą było to, że podczas gorączki jakiś głos nakazał mu pozostać w Rusce. A drugą – że umiał malować ikony. Zapytał opata, czy mógłby dostać jakiś kąs i dołączyć do drugiego malarza.

I tak oto Daniil zamieszkał w Rusce.

Był dobrym rzemieślnikiem, ale choć pod okiem innych malował różne fragmenty ikon, nigdy nie odważył się namalować żadnej postaci: mówił, że na to nie starcza mu umiejętności. Ikony, o których mowa, sztapowe kopie wytwarzane przez klasztor na sprzedaż, nie były dziełami sztuki. Ale skromność Daniila spodobała się innym malarzom.

Trzymał się na uboczu. Nie tylko umiał malować, ale był też doskonałym cieślą. Ścisłe przestrzegał każdego postu, kilka godzin dziennie spędzał na modlitwie

i pokłonach. Wypełniając co do joty nakazy Starego Testamentu, nie jadł zakazanych rodzajów mięsa: cielęciny, królików i zajęcy.

Zauważono też, że w niedzielę Daniil chodzi do małej cerkwi w Gnojowisku, gdzie nabożeństwa odprawiał Silas. Ale ponieważ bywał na nabożeństwach także w klasztorze, nikt nie miał mu tego za złe.

Wieśniacy w Gnojowisku szybko przywykli do dziwnego, milczącego przybysza. Mężczyźni nie mieli nic przeciwko niemu, kobiety zaś nawet go polubiły, bo uchodził za pracowitego, a do nich odnosił się życzliwie, wręcz z szacunkiem. Uznały więc, że ma w sobie jakąś świętość. A pewna staruszka stwierdziła:

– To wędrowiec. Któregoś dnia rozejrzycie się dookoła, a jego już nie będzie.

Rzeczywiście było w nim coś, co nie pozwalało się do niego zbliżyć.

Jednak przede wszystkim wieśniacy słuchali Silasa, który wiele razy rozmawiał po cichu z brodatym malarzem ikon i który stwierdził stanowczo:

– To pobożny człowiek. I ma w sobie prawdziwe błagocestije.

Przez dwa lata dziwny przybysz przychodził co tydzień do Gnojowiska, trzymając się zawsze na uboczu i z nikim nie rozmawiając. I cały czas niewiele o nim wiedziano, z wyjątkiem tego – co zauważono z zadowoleniem – że żegna się dwoma palcami.

*Rok 1684*

Dla Nikity oznaczało to katastrofę.

Może cała sprawa zakończyłaby się dobrze, gdyby nie kłótnia z tym przeklętym Tołstojem.

– A teraz zupełnie wypadliśmy z łask – żalił się żonie.

Pytanie, czy da się jeszcze temu zaradzić. I wtedy żona rzuciła dziwną propozycję.

Było to podwójnie irytujące, bo odkąd na tron wstąpili Romanowowie, rodzinie powodziło się dobrze. Pierwszy Romanow wynagrodził Nikitę na dwa sposoby. Pozwolił mu przekształcić dawny majątek – za czasów Iwana Groźnego należący mu się za służbę jako pomiestije – w dziedziczną wotczinę, której nie można było odebrać, i jeszcze powiększył jego posiadłość o żyzne ziemie leżące obok klasztoru. Dzięki małżeństwu Nikita stał się posiadaczem kolejnych majątków. Umiejętnie nimi zarządzał. Jego chłopci mieli do odpracowania trzy dni barszczyny i płacili mu skromny czynsz w gotówce i w naturze. Jak przypuszczał, nie byli ani bogatsi, ani biedniejsi od większości chłopów. Kupił też kilka niewielkich działek na skraju stepu na południe od Oki, w prowincji rizańskiej, gdzie ziemia była bardzo żyzna. Jego zarządcy korzystali tam z pracy niewolników – ludzi, którzy nie spłacili swoich długów, i tatarskich jeńców. Czerpał z tych ziem znaczne zyski.

Dobrze mu się powodziło. A rodzina osiągnęła status wysoki jak nigdy przedtem. Bo mimo że car w końcu zniósł wykazy miestniczestwa – które choć bardzo niewygodne, gwarantowały Bobrowom pewną pozycję – Nikita zdołał dołączyć do upragnionego grona moskiewskiej arystokracji. A to oznaczało, że mieszkał w Moskwie, niedaleko cara, a nawet ośmielał się marzyć o jakimś prowincjonalnym gubernatorstwie. Gdyby tylko udało mu się jeszcze bardziej wkraść w łaski władcy, byłby bogatym człowiekiem.

I choć oboje z żoną poznali tak powszechny w Rosji smak bólu po stracie dzieci, dzięki Bogu w 1668 roku urodził im się zdrowy chłopiec. Dali mu na imię Prokop.

Zbliżając się do pięćdziesiątki, Nikita optymistycznie patrzył na świat. Cieszył się dobrym zdrowiem i wysoką pozycją. Nabrał wagi, ale wciąż prezentował się elegancko. Musiał jedynie zwrócić na siebie życzliwą uwagę cara.

W stolicy zaszły duże zmiany. Dwór Aleksego zrobił się bardziej kosmopolityczny, bardziej zachodni. Wielcy ludzie, tacy jak przyjaciel cara Matwiejew, wprowadzali zachodnie maniery. A niektórzy z najbliższego otoczenia władcy nawet zgolili brody.

Jako człowiek ambitny i nieco wykształcony Nikita ciążył ku tamtym kręgom. Matwiejew polubił go i został jego mentorem. A Nikita, choć nie pozbył się do końca nieufności wobec cudzoziemców, od czasu do czasu zamieniał kaftan na polski kontusz. W domu Matwiejewa miał też okazję słyszeć niemieckich muzyków. Czasem chodził do cerkwi, w której chór śpiewał częściowo na głosy na zachodnią modłę. A w roku 1673 nakazał żonie bywanie na przedstawieniach, stanowiących nową formę rozrywki wprowadzoną przez cara.

Co wcale jej się nie podobało.

Żona Nikity miała na imię Jewdokia, a jej pełne nazwisko brzmiało: Jewdokia Pietrowna Bobrowa. Bobrowa dlatego, że jak wszystkie Rosjanki przyjęła nazwisko po mężu. Patronimik pochodził od imienia jej ojca Piotra, którego wspominała z wielką czcią. Ludzie zazwyczaj zwracali się do niej z szacunkiem: Jewdokio Pietrowna.

Była potężna, krępa, o ciemnych włosach i okrągłej twarzy, której łagodna dobroć była całkowicie sprzeczna z charakterem tej kobiety. Jewdokia miała surowe, konserwatywne poglądy i nigdy nie zapominała ani o swoim bogactwie, ani o tym, że jej zmarły ojciec był w wojsku wysokim dowódcą. Gdy w ich domu pojawiali się goście, nie pokazywała się, dopóki nie została wezwana, by po posiłku podać panom brandy. Witła się z gośćmi, wypełniała swój obowiązek i dyskretnie wychodziła. Ale na osobności, przy innych kobietach albo w obecności męża, bez wahania wyrażała swoje opinie. I w żadnej kwestii nie były one tak stanowcze jak w kwestii zmian popieranym przez dwór. Cudzoziemiec bez brody, oznajmiła mężowi, wygląda jak świeżo oskubany kurczak. Muzyka i przedstawienia są świętokradztwem.

– Chodzę do cerkwi, żeby usłyszeć Słowo Boże, a nie jakieś polskie zawodzenie – mówiła.

Ale przede wszystkim, pielęgnując pamięć o zmarłym ojcu, z lekceważeniem odnosiła się do carskiej armii dowodzonej przez cudzoziemców.

– Co ci Niemcy wiedzą? Wiedzą, jak wydawać rozkazy. Proszę bardzo. – Wstawała i naśladowała nieszczęsnego chłopca z muszkietem, zmieszanego i zakłopotanego. – Oficer coś krzyczy. Nikt go nie rozumie. Więc krzyczy znowu. O, teraz rozumieją. Jeden odwraca się w lewo. Drugi maszeruje na prawo. Jeszcze inny pali z muszkietu. Jeden atakuje, drugi się cofa. Nie wiedzą, co robią. A dlaczego? Bo oficer, który ich musztrował tydzień wcześniej, miał zupełnie inną metodę. Imbecyle!

Nikita wybuchał wtedy śmiechem, bo była to prawda. Oficerowie z różnych krajów przywozili ze sobą własne podręczniki musztry – zupełnie do siebie niepasujące – i za nic nie chcieli ich zmienić.

Sytuację w armii – i wiele innych kwestii – Jewdokia konkludowała zawsze tak samo:

– Za czasów Iwana Groźnego było lepiej. On umiał sobie ze wszystkim poradzić.

Mimo to nie popierała wojen prowadzonych przez cara. Wchłonięcie Ukrainy i zajmowanie polskich terytoriów na zachodzie oznaczało dla Nikity chwałę Rosji. Ale nie dla jego praktycznej żony.

– Wojna oznacza nędzę dla naszych chłopów – mówiła.

Nawet Nikita musiał przyznać jej w tym rację. Armia liczyła obecnie sto tysięcy ludzi. Wojsko pochłaniało sześćdziesiąt dwa procent państwowego budżetu, a ciężar podatków jak zawsze spadał na chłopów.

– Jeśli to się nie zmieni, czeka nas kolejne powstanie, takie samo jak Stieńki Razina – prorokowała Jewdokia.

Uparła się, żeby co roku przeprowadzali inspekcję swoich wsi, co dla Nikity było po prostu nudne. Osobiście rozmawiała z chłopami i często dawała im pieniądze.

– Mamy tylu chłopów do wykarmienia, ale na szczęście jesteśmy bogaci – mawiał cierpko.

Ale ona nie zwracała na to uwagi.

Nikity wcale nie dziwiło, że przy swoich konserwatywnych poglądach jego żona sprzyja raskolnikom. Wśród ówczesnych arystokratek nie była w tym odosobniona. Pierwsza żona cara również ich popierała. Niewielka grupa znaczących dam – w tym jedna z wielkiej bojarskiej rodziny Morozowów – nie tylko wspierała zwolenników Awwakuma, ale nawet poszła za to do więzienia. Jednak wśród wyższych klas takie poglądy stawały się coraz bardziej anachroniczne i coraz bardziej niebezpieczne. Dlatego Nikita przykazywał Jewdokii, by zatrzymywała swoje przekonania dla siebie.

Był pewien, że go posłuchała.

Kłopoty Nikity Bobrowa zaczęły się od zmiany na dworze – car Aleksy zmarł nagle, zostawiając dwór podzielony na dwie frakcje.

Z pierwszą żoną miał kilka córek i dwóch synów: sympatycznego, ale chorowitego Fiodora oraz Iwana, nieszczęśnika opóźnionego w rozwoju umysłowym, z fałdami skóry zarastającymi oczy. Druga żona, kobieta skromnego pochodzenia, pozostała z dwojgiem dzieci – dziewczynką w wieku niemowlęcym i trzyletnim chłopcem.

Chłopiec miał na imię Piotr.

Potężni Miłosławscy, krewni pierwszej carycy, nie byli zadowoleni z pojawienia się rodziny drugiej żony, skromnych Naryszkinów. Ale przede wszystkim nienawidzili zaprzyjaźnionego z carem Matwiejewa.

Wszystko potoczyło się zgodnie z oczekiwaniami i w sposób typowy dla księstwa moskiewskiego. Młody Fiodor został carem. Piotra i jego matkę potraktowano łagodnie, ale Miłosławscy przejęli wszystkie stery władzy. I szybko znaleźli pretekst do aresztowania Matwiejewa. Ten wykształcony szlachcic był na tyle nierozważny, że dał się złapać z podręcznikiem algebry, który – znaleziony w jego bagażu – został oczywiście uznany za książkę o czarnej magii. Nawet Nikita, usłyszawszy o uwięzieniu swojego mentora, jedynie pokręcił głową.

– Sam się w to wpakował. I po co mu w ogóle takie księgi?



Ale choć utracił wpływowego patrona, zmiany na dworze nie oznaczały jego końca. Był za mało znaczący, by Miłosławscy martwili się jego osobą. Miał przyjaciół. I z czasem mógł dalej awansować.

Gdyby nie te nieprzemyślane słowa, które skierował do Tołstoja.

Pałac Kołomienskoje stał na niewielkim wzniesieniu nad rzeką, niedaleko za granicami Moskwy.

Był to niezwykle kompleks budynków. Przez wiele pokoleń służył carom jako letnia rezydencja, ale Aleksy dostawił do kamiennych cerkwi i dzwonnicy wielkie skupisko drewnianych domów, tak samo egzotycznych i rzucających się w oczy jak poskręcane kopuły soboru Świętego Wasyla na Placu Czerwonym. Wielkie pękate kopuły, wysokie czterospadowe dachy z oknami, duże cebulaste ściany szczytowe i masywne schody zewnętrzne – prawdziwa orgia rosyjskich kształtów doprowadzonych do skrajności. Pałac – jak większość architektury sakralnej z czasów panowania Aleksego – był bogaty i niezwykle ozdobny. Tak jakby niektórzy rosyjscy budowniczowie, po raz pierwszy zobaczywszy rosyjską architekturę z zachodniej perspektywy, postanowili wykorzystać tradycyjne formy i się zabawić, wykręcając je, ustawiając jedną na drugiej, aż wreszcie ich dzieło wyglądało jak dziwna dekoracja teatralna, gigantyczny moskiewski plaster miodu przesycony imponującym bogactwem i zadziwiający ogromem.

I właśnie pewnego letniego dnia, kilka lat po objęciu władzy przez Fiodora, podczas przechadzki w ogrodach pałacu Kołomienskoje Nikita poznał Piotra Tołstoja.

Dlaczego już od pierwszej chwili poczuł do niego niechęć? Tołstoj, niewątpliwie silny mężczyzna z czarnymi krzaczastymi brwiami i niebieskimi oczami o przenikliwym spojrzeniu, był inteligentny. Może zbyt inteligentny, a może tylko sprytny. Był też o dziesięć lat młodszy od Nikity, ale wiedział znacznie więcej niż on. I obaj zdawali sobie z tego sprawę. Jego rodzina nie jest lepsza od mojej, myślał ze złością Nikita. Ale coś w nowym znajomym mówiło mu, że ten człowiek pnie się na szczyt.

Dlatego gdy Tołstoj zrównał się z nim krokiem, najwyraźniej zamierzając mu towarzyszyć, Nikita poczuł irytację. Starał się go ignorować – na tyle, na ile to możliwe, żeby nie wyjść na gbura. Słuchał go z roztargnieniem. I dopiero po kilku minutach nagle się zorientował, że ten przeklęty jegomość mówi o Jewdokii, jego żonie.

Zaczął się przysłuchiwać. Co ten Tołstoj mówi? Schizmatycy? Zagrożenie? Dopiero teraz się skupił. A słowa, które padły, sprawiły, że aż się zatrzęsł.

Bo oto najwyraźniej Jewdokia była gadatliwa. Za zamkniętymi drzwiami i dzięki Bogu tylko w obecności kobiet, ale mimo to mówiła. I jak to miała w zwyczaju, stawała po stronie raskolników.

A Tołstoj, cicho i spokojnie, jak ugrzeczniony dworzanin i dyplomata, ostrzegał. Oczywiście to tylko kobieca gadanina, ale mimo wszystko... Gdyby to dotarło do niewłaściwych uszu...

– My, mężowie, zawsze dowiadujemy się ostatni – zauważył Tołstoj z uśmiechem. Ale najwyraźniej wiedziała już o tym cała Moskwa.

Gdy Nikita spojrział na spokojną, obojętną twarz swojego rozmówcy, zalała go nagła wściekłość. Po co ten Tołstoj to mówi? Z życzliwości? A może kryje się w tym groźba, że tę drobną informację da się w przyszłości wykorzystać? Czyżby chciał

pokazać, że ma nad nim władzę?

Ale najgorsze, że Nikita wyszedł przy nim na głupca. Nie, nie miał wątpliwości, że Tołstoj mówi prawdę. Jewdokia nie posłuchała jego polecenia, a teraz ten młody człowiek sugeruje, że Nikita nie ma władzy nawet nad własną żoną. Mimo to udałoby mu się zapanować nad sobą, gdyby nie pewien drobiazg.

Zatrzymali się. Urażony Nikita wpatrywał się w ziemię, ale gdy poczuł, że Tołstoj mu się przygląda, podniósł wzrok. I napotkał spojrzenie rozmówcy.

Jedną z najbardziej nieroztropnych rzeczy na świecie jest posłać znaczące spojrzenie komuś, kogo się dobrze nie zna. Można być wówczas pewnym, że zostanie ono źle zinterpretowane. Zazwyczaj dlatego, że ta druga osoba dostrzega w nim odbicie swoich myśli. I tak się właśnie stało teraz. Nieco cynicznym spojrzeniem Tołstoj chciał powiedzieć Nikicie: „Ech, mój drogi przyjacielu, babskiego gadania nie da się wytłumaczyć”. Ale Nikita zobaczył: „Boże, ależ z ciebie głupiec! Wiemy o tym obaj”. To była kropla, która przelała czarę.

– Ty podły młody łajdaku – wybuchnął nagle Nikita. – Myślisz, że cię nie przejrzałem? Jeśli chcesz rozsiewać plotki o mojej żonie, to zapłacisz za to, przekonasz się. – A potem dorzucił cichym głosem: – Zapamiętaj to sobie, albo pożałujesz.

To było bardzo głupie. Wiedział to, zanim jeszcze skończył mówić. Ale widząc na twarzy Tołstoja grymas zdziwienia, wziął go za dowód pogardy i odwrócił się na pięcie.

Z kolei Tołstoj – który tak naprawdę chciał wyświadczyć przysługę komuś, kto mógł mu być pomocny – od razu doszedł do wniosku, że Nikita jest jego wrogiem. Na tyle istotnym, by mu zagrażać, więc któregoś dnia trzeba będzie go unieszkodliwić.

– Jak mogłem być takim głupcem! – jęczał później Nikita sam przed sobą.

Bo Tołstojowie, choć nie należeli do wielkiej arystokracji, wżenili się w rodzinę potężnych Miłosławskich.

Nikita służył carowi wiernie i nie tracił nadziei. Zaprzyjaźniał się z ludźmi na wysokich stanowiskach. Zawarł nawet znajomość z wielkim księciem Wasilijem Golicyńcem – potężnym arystokratą hołdującym zachodnim obyczajom – w którym chętnie widział swojego patrona. O Tołstoju nie dochodziły go żadne słuchy, więc incydent z Kołomienskoje puścił w niepamięć. Przy odrobinie szczęścia za kilka lat może rzeczywiście dostanie gubernatorstwo.

Na początku lata 1682 roku wyjechał z miasta do odległego majątku. Gdy dotarły do niego wieści o nieoczekiwanej tragedii, natychmiast ruszył w drogę powrotną, ale sprawy potoczyły się tak szybko, że gdy dotarł do stolicy, już było po wszystkim.

Biedny car Fiodor zmarł. Nie miał dzieci, więc następców do tronu było dwóch: nieszczęsny Iwan, młodszy syn Aleksego i jego pierwszej żony, oraz dziewięcioletni zaledwie Piotr, syn Naryszkiniej. Czyli albo niedorozwinięty półślepy kaleka, albo mały chłopiec; albo potężny klan Miłosławskich, albo nuworyszowscy Naryszkinowie.

Ale był też inny element, którego Nikita nie brał pod uwagę: biedny Iwan miał siostrę.

Księżniczka Zofia nie grzeszyła urodą. Była gruba, o nadmiernie dużej głowie i widocznym owłosieniu twarzy, a z czasem na jej nogach pojawiły się czyraki. Jako księżniczka powinna była mieszkać w odosobnionej części pałacu. Ale Zofia była

inteligentna i ambitna. Nie miała zamiaru ani się wycofać, ani pozwolić, by Naryszkinowie odsunęli od władzy jej krewnych, Miłosławskich.

Po serii zaskakujących wydarzeń – i wykorzystując nieoczekiwany bunt w szeregach moskiewskiego regimentu strzelców – Zofia kazała posiekać Naryszkinów na kawałki, i to w samym pałacu Kremłowskim. Do tej przerażającej egzekucji doszło na oczach małego Piotra i jego matki. Było to straszliwe przypomnienie, że stare Wielkie Księstwo Moskiewskie jest tak samo mroczne i makabryczne jak za czasów Iwana Groźnego.

Potem Zofia ogłosiła, że Piotr i Iwan będą panować na carskim tronie wspólnie – a siebie mianowała regentką.

Dziwna koronacja odbyła się pod koniec czerwca. Nikita Bobrow był na niej obecny. Obaj chłopcy, ubrani w szaty mieniące się złotem i ciężkie od pereł – jeden ślepy i półniemy, a drugi zaledwie dziecko – zostali po kolei, z pełną powagą, koronowani tak zwaną czapką Monomacha. A za ich plecami stała Zofia. Po raz pierwszy w historii Rosji władzę przejęła kobieta.

Przeglądając się ceremonii, Nikita przypomniał sobie coś, co przepęliło go strachem. Oto gdy Zofia zaczęła walkę o władzę, w kwaterze strzelców pojawili się dwaj jeźdźcy, którzy mieli podsycać bunt. Jednym był Aleksander Miłosławski, a drugim Piotr Tołstoj.

– Mój drogi Nikito Michajłowiczu, mój drogi przyjacielu. Musimy porozmawiać.

W całej Rosji nie było bardziej wytwornego człowieka niż księżę Wasilij Golicyn, którego Zofia wyznaczyła na swojego pierwszego ministra. Krążyły słuchy, że księżę jest także jej kochankiem. Czy to możliwe? Tego akurat Nikita nie mógł wiedzieć. Ale był przekonany, że Golicyn, który rzeczywiście miał ogromną władzę, patrzy na niego przychylnie.

Kiedy więc wezwano go na Kreml przed oblicze księcia, liczył, że jest to dobra wiadomość. A teraz, widząc zbliżającego się do niego Golicyna i słysząc te życzliwe słowa, nawet nie zauważył innych osób obecnych w sali, nie mówiąc już o wyrazie ich twarzy. Widział jedynie księcia i jego uśmiech.

Bo nawet komuś tak znaczącemu jak Bobrow księżę wydawał się postacią olśniewającą. Był pierwszym spośród wielkich kosmopolitycznych rosyjskich arystokratów, którzy jeszcze przez kolejne dwa stulecia imponowali nawet najznakomitszym osobistościom w Europie. Gdyby chodziło o kogoś innego, Nikita pewnie byłby wstrząśnięty, bo Golicyn nie tylko znał łacinę, nie tylko pił niewiele, a w swoim domu miał zachodnie obrazy, meble i nawet gobeliny, ale do tego wszystkiego przyjmował u siebie cudzoziemców, w tym także – czego Nikita dowiedział się z niejakim przerażeniem – budzących lęk jezuitów. Jednak nikt nie mógł zaprzeczyć, że księżę jest prawdziwym Rosjaninem. Wywodził się z jednego z najstarszych, najszlachetniejszych rodów. Ale przede wszystkim miał cudowną cechę – co Nikita musiał przyznać teraz, gdy księżę się do niego zbliżał – którą Bóg obdarzył wszystkich członków tej wspaniałej rodziny: niezwykle urok osobisty.

Golicyn ubrany był nie w rosyjski kaftan, ale w dopasowany polski kontusz. Jego broda, zamiast spływać bujnie aż na pierś, była schludnie przystrzyżona. A spokojna

twarz o nieco tureckich rysach sugerowała subtelną, być może nawet ukrytą inteligencję.

Łagodnie wzięwszy Nikitę pod ramię, poprowadził go pod ścianę wielkiej sali.

– Wiesz dobrze, mój przyjacielu, że miałem nadzieję widzieć cię na stanowisku gubernatora – powiedział cicho.

Serce Nikity zabiło. Co to oznacza? Jakiś inny awans?

Jednak Golicyn, widząc jego podniecenie, westchnął.

– Chciałbym, mój przyjacielu, byś dla dobra nas obu zachował spokój – mruknął.

– Powiedziałem, że miałem nadzieję. Ale, niestety, nie będzie to możliwe. Bo widzisz, nasza lokalna administracja nie jest, jak zapewne wiesz, do końca idealna.

Mimo zdenerwowania Nikita musiał się uśmiechnąć, słysząc to niedomówienie. Lokalna administracja była przeżartym korupcją pobojuwiskiem.

– Dlatego – ciągnął ksiązę – musimy mieć pełne zaufanie do naszych gubernatorów. Poza nimi nie mamy nikogo. Niestety, najmniejszy cień sprawia, że dla pewnych kręgów kandydat jest nie do zaakceptowania. – Zawiesił głos. – Jak zapewne wiesz, jednym z najpilniejszych zadań każdego gubernatora jest pomoc Cerkwi w pozbyciu się tych heretyckich raskolników. Regentka Zofia jest w tej kwestii bardzo stanowcza.

Milczał przez chwilę, żeby dać Nikicie czas na zastanowienie.

– Krążą plotki... i zapewniam cię, że nie ma znaczenia, czy są oparte na jakichś podstawach... otóż w wysokich kręgach krążą plotki, które sugerują – słowa gładko spływały z jego ust – że gdybyś musiał postawić raskolników przed sądem, to znalazłbyś się w niezręcznej sytuacji. Z pewnością rozumiesz, co mam na myśli. – Umilkł, a potem uśmiechnął się do Nikity. – Nie wpadaj w rozpacz, Nikito Michajłowiczu, jutro możesz znów wspiąć się na szczyt. A ja mogę spaść na dno. Ale dziś nie jestem w stanie ci pomóc.

Nikita z trudem przełknął ślinę. Miał sucho w gardle.

– Co powinienem zrobić?

– Nic.

– Zawsze będę gotowy wam służyć – powiedział Nikita, starając się zachować resztki godności.

– Oczywiście możesz pozostać w Moskwie – odezwał się Golicyn po chwili milczenia. – Ale jeśli zechcesz, to bardzo proszę, nic nie stoi na przeszkodzie, byś się udał do swoich majątków.

A więc to naprawdę koniec. Nie chcą go w Moskwie. Przez chwilę – nie umiał się powstrzymać – miał łzy w oczach, ale zamrugnął i szybko się ich pozbył.

– Pozwól, drogi przyjacielu, odprowadzę cię do wyjścia – powiedział uprzejmie Golicyn.

Dopiero gdy przechodzili przez salę, Nikita rozejrzał się i zauważył, że przygląda się im prawie trzydzieści osób. A w jednym z rogów dostrzegł dwóch Miłosławskich, którzy obserwowali wszystko z kamienną twarzą. Obok nich stał Piotr Tołstoj.

Pojął wtedy, że była to publiczna egzekucja.

I tak właśnie wybitny przodek wielkiego rosyjskiego pisarza rozprawił się z Nikitą Bobrowem.

Na karb ludzkiej natury należy złożyć, że przez kolejne dni Nikita miał największy

żał nie do swojego młodego wroga, ale do uprzejmego Golicyna. A więc dokonał na mnie egzekucji, żeby zrobić przyjemność Tołstojowi i Miłosławskim, myślał ponuro. No cóż, taki człowiek dla władzy zrobi wszystko. Dlatego Nikita zaczął sobie wyobrażać – z pewnymi szczegółami – jak może wyglądać relacja Golicyna z regentką Zofią, poświęcając przy tym szczególną uwagę znanym niedostatkom jej urody, a kilka innych wymyślając.

Nikita był skończony, jego kariera legła w gruzach. Co miał teraz zrobić? Jak miał zadbać o interes rodziny, jak zatroszczyć się o przyszłość Prokopa?

Prokop był całkiem sympatycznym młodzieńcem. Z wyglądu bardzo przypominał ojca – tak jak on miał szerokie czoło i ciemne włosy. I wykazywał niejaką skłonność do porywów entuzjazmu, może nieco nadmiernych. Ale ten jego zapał był zaraźliwy i dodawał mu uroku. Byłoby tragedią, gdyby chmury zbierające się nad rodziną zamknęły mu drogę do wspaniałej kariery.

Ku zaskoczeniu Nikity to Jewdokia podsunęła najlepsze rozwiązanie.

– Po księżniczce Zofii nie możemy się niczego spodziewać – przekonywała. – Dlatego musimy zaryzykować i postawić na następnego władcę, to nasza jedyna nadzieja. Niech Prokop idzie na służbę do małego Piotra.

Do Piotra? Nikt nie wiedział niczego o tym chłopcu. Czy Zofia i intrygi Miłosławskich w ogóle dopuszczają go do władzy?

– To nasza jedyna szansa – powtórzyła Jewdokia. – Najlepiej zostaw wszystko mnie.

Ku zdziwieniu Nikity nie minęło wiele czasu, a Jewdokię wezwano do matki małego cara. Wróciła do domu z zaproszeniem dla Nikity od Piotra.

Nikita miał jechać nie na Kreml, ale do małej wioski Preobrażenskoje niedaleko stolicy.

Dwa miesiące później, gdy liście zaczęły spadać z drzew, Nikita i Jewdokia przybyli do Ruski.

Prokopa udało się umieścić przy Piotrze. Nikita nie był w Moskwie nikomu potrzebny, więc postanowił objechać swoje majątki.

Okazało się, że jego dom w miasteczku wymaga remontu, więc natychmiast posłał po odpowiednich ludzi. Złożył wizytę w klasztorze i ofiarował mnichom trochę pieniędzy, by odprawili msze za jego ojca. Uważnie obejrzał Gnojowisko. A Jewdokia, jak zawsze, gdy była na wsi, też się wszystkiemu przyglądała. Dzięki temu udało jej się znaleźć „odpowiedniego człowieka”, jak to ujęła, do wykonania bardziej wymagających prac stolarskich.

– On się zajmuje malowaniem ikon – tłumaczyła – ale jest też doskonałym stolarzem. Musisz go poznać, Nikito. Na imię ma Daniil. A jego żona to prawdziwy skarb.

Nikita spotkał się z nimi. Mężczyzna wyglądał jak olbrzym, a kobieta była bardzo niepozorna. Ale Jewdokia często z nimi rozmawiała. A po dwóch tygodniach uważała chyba, że z ich oczu bije słoneczne światło. Nikita zupełnie nie mógł pojąć, co ona w nich widzi.

Niektórzy sądzą, że milczenie dodaje człowiekowi mocy. W odniesieniu do Daniila na pewno było to prawdą. Bo choć mówił niewiele i nie zwracał na siebie uwagi,

mieszkańcy Ruski bardzo się z nim liczyli.

Nie znali go dobrze. Nawet teraz, po siedmiu latach, wciąż był tajemnicą. Ale niczym wielki, stary dąb dawał poczucie stałości i krzepiącej równowagi, która wydawała się pochodzić wprost z ziemi.

On nawet wyglądał jak drzewo, myślała z czułością jego żona. Wraz z nadejściem zimy owijał się w gruby ciemnobrązowy płaszcz, który przypominał mnisi habit. Gdy wkładał na głowę wysoką stożkową czapkę obramowaną futrem, żona, zerkając na wieżę z wysokim dachem, mówiła: „Po co nam wieża strażnicza, skoro mamy tu mojego męża?”.

A kiedy wyłaniał się z zawiei śnieżnej, wyglądał jak pradawny bóg zimy przychodzący z bezkresnej szarości lasów.

W jego obecności zawsze czuła się idealnie spokojna. Znała go tak dobrze, jak można znać drugą ludzką istotę. Wiedziała też, że w głębi tego potężnego dębu mieszka człowiek wielkiej mądrości. A gdy spali ze sobą, sama często nie tylko doświadczała oceanicznego uczucia połączenia ze wszystkim, ale też miała wrażenie – jak wszyscy naprawdę proszą ludzi – że on posiadał nieskończone życie.

A jednocześnie nie znała jego przeszłości. Wiedziała, że z powodów, których nigdy nie wyjawiał, nie był wcześniej żonaty i że dzięki Bogu zmienił zdanie.

Wiedziała też, że coś go dręczy.

Nie zamierzał się żenić, gdy przybył do Ruski. Jestem nic niewart, powtarzał sobie. Jak mogę prosić kogoś, by dzielił ze mną życie, skoro sam jestem zagubiony i przesiąknięty grzechem? I pewnie ruszyłby w dalszą drogę, gdyby nie Silas.

I nie chodziło tylko o to, że Silas żegnał się dwoma palcami. Wiejski pop instynktownie zrozumiał jego skołatana duszę.

– Pamiętaj – napominał go łagodnie. – Przyszliśmy na ten świat, żeby cierpieć, ale nie wolno nam wpadać w rozpacz. Jeśli świat przysparza ci trosk, to tym bardziej powinieneś się radować w Zmartwychwstałym Panu.

I gdy tak stał w drewnianej cerkiewce, gdy patrzył na prostych wieśniaków i czuł wielkie ciepło, które jest cechą charakterystyczną rosyjskiego Kościoła, powoli zaczął zauważać, że po raz pierwszy od wielu lat nic nie popycha go do wędrówki. Bo gdziekolwiek pójdę, wszędzie będzie tak samo, rozważał w myślach. Czy na bezkresnej rosyjskiej równinie znajdę coś lepszego niż ciepło małej wiejskiej społeczności, tak związanej ze sobą, a jednocześnie nagiej wobec Boga?

Minęły dwa lata i oto pewnej niedzieli stary Silas podszedł do niego i powiedział:

– Chyba już czas, żebyś się ożenił.

Danił darzył popa wielkim szacunkiem, ale musiał mu się sprzeciwić.

– Jestem na to za stary, mam ponad pięćdziesiąt lat – zaprotestował. – I nie jestem tego godny.

Jednak Silas był stanowczy.

– Nie tobie oceniać, czy jesteś godny, czy nie.

– Ale ja nawet tego nie oczekiwałem. I z kim miałbym się ożenić? Kto mnie zechce?

Silas uśmiechnął się.

– Jeśli taka jest wola Boga, a tak właśnie sędzę, to sam będziesz wiedział.  
– A widząc, że Danił nic z tego nie rozumie, ciągnął: – Powinieneś się ożenić z tą, która jest piękna nie w oczach ludzkich, lecz w oczach Boga. Powinieneś ożenić się z tą, która należycie chwali Pana. – Znów się uśmiechnął. – Będziesz miał przewodnictwo.

Danił zastanawiał się nad tym przez cały tydzień, a potem jeszcze przez następny. Czuł niepewność, ale i ekscytację. Przypominał sobie wszystkie kobiety z Ruski i Gnojowiska, lecz nie umiał nic postanowić.

W trzecią niedzielę, gdy stał w drewnianej cerkiewce w Gnojowisku, jedna osoba przykuła jego uwagę. Dlaczego powoli odwrócił w tamtą stronę głowę? Dlatego że ona śpiewała. Śpiewała niewiarygodnie pięknym głosem. A potem, patrząc na jej pospolitą bladą twarz ze szpecącą brodawką – twarz, która byłaby wręcz brzydka, gdyby nie cudowny wyraz religijnego uniesienia – zrozumiał, co pop miał na myśli.

Zaraz po nabożeństwie rozmówił się z jej wujem i starą babką.

I tak oto ku zaskoczeniu Jeleny Arina – mimo że miała już dwadzieścia pięć lat – wyszła za mąż za Daniła.

W dniu ślubu Jelena wręczyła wnuczce złotą bransoletkę z dużym ametystem. Nie powiedziała, skąd ją ma. A potem razem z resztą rodziny odprowadziła Arinę do malutkiego domu Daniła w Rusce.

Oboje, mąż i żona, aż nie mogli uwierzyć w swoje szczęście. Żadne nie liczyło już na małżeństwo, żadne nie miało w sobie najmniejszej próżności. Mogli jedynie, z pewną pokorą, starać się dać szczęście drugiej osobie. Dlatego ich miłość rozwijała się w szalonym tempie.

Danił był głęboko wzruszony widokiem tej niepozornej kobiety, która nie miała nawet nadziei na miłość. Naturalna delikatność, którą do tej pory tłumił jego brak wiary w siebie, nagle znalazła swój wyraz. Teraz już nic nie mogło jej powstrzymać: pop powiedział mu, że jego obowiązkiem jest kochać.

Był czuły i wytrwały. Przyglądał się Arinie, obserwował ją, wnikał w jej ukryte wątpliwości, rozpraszał obawy, aż w końcu zobaczył, że niczym drzewo po zimie z drżeniem budzi się do życia.

Jak większość Rosjan nie zwracali się do siebie po imieniu, ale zgodnie ze starym zwyczajem używali patronimików.

– Mój prawdziwy ojciec był Kozakiem – wyznała Arina na samym początku, lekko się rumieniąc. – Nie znam jego imienia. Ale mój przybrany ojciec miał na imię Iwan.

Danił był synem Piotra, więc ona zawsze zwracała się do niego per Piotrowicz, a on do niej – Iwanowna.

I czasem przechodziło mu przez myśl, że jego osobiste szczęście jest zapowiedzią nadejścia lepszych czasów.

Dręczony przez grzeszną przeszłość, wiele lat wędrował po Rosji, szukając ukojenia i nigdzie go nie znajdując. Próbował dotrzeć do świętych mężów. Ale napotkał ich dopiero w Jarosławiu. Tam właśnie, na dzikich Czarnych Ziemiach po drugiej stronie Wołgi, odnalazł surowych zawołańskich pustelników i ich wyznawców. Ci prości, pobożni, mieszkający w lasach ludzie byli prawdziwymi rosyjskimi chrześcijanami. Tak jak starożytni Izraelici, uważali, że codzienne życie przybliży ich do Boga. Niektórzy byli

prorokami. Trzymali się z daleka od złego świata, który widzieli dookoła. Byli wstrząśnięci zmianami w Cerkwi tak samo jak Awwakum i raskolnicy, ale z przekonaniem większym niż oni głosili, że te wszystkie przejawy nikczemności są zapowiedzią nadejścia Antychrysta.

„Módlcie się i poście, bo koniec świata jest bliski” – mówili.

A Daniil, odnalazszy swoje szczęście w Rusce, myślał czasem, że może pustelnicy znad Wołgi nie mieli racji. Tak się złożyło, że rok po jego ślubie – i po wielu srogich zimach – klimat w północnej Rosji złagodniał: chłodna pora roku trwała krócej, a zbiory były lepsze. Czy to był optymistyczny znak? Ale kiedy po czterech latach jego żona wciąż nie mogła zajść w ciążę, stwierdził ze smutkiem: to zapewne znak, że świat robi się zbyt podły, by sprowadzać na niego dzieci.

Jeśli ktoś potrzebował potwierdzenia, że świat jest pełen nikczemności, to otrzymał je w 1684 roku.

Edykt regentki Zofii wyjął raskolników spod prawa. Podejrzani o herezję mogli być torturowani, a tym, którzy udzielali im schronienia, odbierano własność. Najbardziej upartym groziła kara śmierci. Tego dnia, gdy wiadomość dotarła do Ruski, Silas pojawił się w małym domku Daniila przy placu targowym i odbył z nim godzinną rozmowę. A potem wyszedł, z ponurym wyrazem twarzy.

Arina zostawiła ich samych na czas rozmowy, a gdy odważyła się wrócić, zastała Daniila pogrążonego w tak głębokiej modlitwie, że nawet jej nie zauważył. Nigdy wcześniej nie był tak poruszony. Ze łzami w oczach leżał krzyżem przed poczerniałą małą ikoną, walił głową w podłogę i mruczał:

– Boże, miej miłosierdzie. Oddal ode mnie ten kielich.

Żeby mu nie przeszkadzać, Arina zaczęła się wycofywać z izby.

Ale zanim wyszła, usłyszała słowa, które wydały jej się bardzo dziwne. Bo oto Daniil, patrząc z rozpaczą na ikonę, zawołał:

– Ale kim ja jestem, Panie, by prosić o łaskę, skoro zabijałem, nie raz, lecz wiele razy?

Arina patrzyła na niego osłupiała. Co to znaczy? Na pewno nie należy rozumieć tego dosłownie, nie umiała sobie bowiem wyobrazić, by jej mąż mógł skrzywdzić muchę, a co dopiero zabić człowieka! Co on miał na myśli? I wtedy dotarło do niej z siłą większą niż zwykle, że tak niewiele wie o człowieku, którego pokochała bez zastrzeżeń. A bez tej wiedzy, myślała, jak mogę mu pomóc, kiedy tego najbardziej potrzebuje?

Wieczorem, gdy byli sami, Daniil opowiedział jej o rozmowie z Silasem. W obliczu wielkiego zagrożenia, jakim był nowy edykt, nawet stary pop nie wiedział, co robić.

– I uczynił mi zaszczyt, prosząc mnie o radę – powiedział Daniil z powagą.

– Co mu powiedziałaś, Piotrowiczu?

– Ze względu na moje grzechy poradziłem mu, żeby się nie poddawał. – Spojrzał na nią udręczonym wzrokiem. – Ale jeśli nadal będziemy robić to samo, nawet potajemnie, to może spaść na nas wielkie nieszczęście, i na ciebie też, Iwanowno – przyznał.

Pochyliła głowę. Bez względu na to, jakie cierpienie będzie im pisane, chciała je



dzielić z nim.

– Nie mam nic oprócz wiary – wybuchnął nagle Danił. – Przez całe życie wędrowałem, szukając prawdy. I nie mogę się teraz od niej odwrócić.

Arina, uznawszy, że nadszedł odpowiedni moment, ośmieliła się poprosić:

– Opowiedz mi coś o swojej przeszłości, Piotrowiczu.

Dziwna to była historia. Opowiedział jej, jak w samotnych wędrownkach przemierzył całą Rosję. Opowiedział o starszyźnie, którą spotkał w Jarosławiu.

– A wcześniej byłem przez jakiś czas konwensem w klasztorze. Tam nauczyłem się czytać.

Wtedy Arina powiedziała mu, co usłyszała.

– Co miałeś na myśli, Piotrowiczu, mówiąc, że zabijałeś? – spytała łagodnie.

A on, ku jej zdziwieniu, odpowiedział ze smutkiem:

– To prawda. Zabijałem.

Po tym wyznaniu umilkł na dłuższą chwilę, a później ciągnął powoli:

– Bo widzisz, już od dzieciństwa miałem zamiłowanie do sprawiedliwości. Gdy w moich dziecięcych oczach coś wyglądało na niesprawiedliwość, czułem się tym tak dotknięty, że udawałem głupka, jakbym nie wiedział, co się dzieje. Dlatego inni chłopcy uważali mnie za tępego. – Uśmiechnął się z żalem. – Dziś oczywiście rozumiem, że sprawiedliwość należy jedynie do Boga, a dobro można znaleźć tylko w modlitwie. Ale kiedy byłem młody, uważałem, że ludzkie rządy mogą zaprowadzić sprawiedliwość. I kiedy nie mogłem jej znaleźć, wpadłem w złość.

– Co zrobiłeś?

– Poszedłem na wojnę. Dołączyłem do Stieńki Razina.

– Byłeś w jego powstaniu?

Skinął głową.

– Zabijaliśmy, Iwanowno. Bóg mi świadkiem, w imię sprawiedliwości zabiliśmy nie tylko wielu żołnierzy i podłych urzędników, ale też wielu niewinnych ludzi. Wówczas wydawało mi się to słuszne. Dziś mogę jedynie paść do stóp Boga i błagać go o miłosierdzie.

– Byłeś więc Kozakiem?

– Tak. Walczyłem też pod Chmielnickim. Zabijanie nie robiło wtedy na mnie żadnego wrażenia. – Zawiesił głos. – A później tak bardzo chciałem zerwać ze złą przeszłością, że nawet zmieniłem imię, tak jak przy przyjmowaniu święceń.

– A jak nazywałeś się wcześniej?

– Stiepan. – Uśmiechnął się. – Ale ponieważ bracia Kozacy uważali mnie za wielkiego, silnego głupka, dali mi przyzwisko Byk.

*Rok 1698*

Prokop Bobrow był zapaleńcem. Miał już trzydzieści jeden lat, ale dla matki wciąż był dużym dzieckiem. Jewdokia często mówiła:

– Wysłanie go do Preobrażenskoje było najgorszą rzeczą, jaką w życiu zrobiłam.

A kiedy miła, rozsądna żona, którą mu znalazła, skarżyła się, że ją niegodnie

zaniedbuje, Jewdokia wzdychała ze współczuciem i pocieszała ją:

– Zrobię, co będę mogła, moja miła. Ale to wszystko przez tego przekłętego Piotra. Tak w prywatnych rozmowach nazywała cara.

Preobrażenskoje było ładnym miejscem – skromna, drewniana rezydencja myśliwska z dużymi stajniami, zaledwie pięć kilometrów od moskiewskich murów i niedaleko niemieckiej dzielnicy. Dookoła ciągnęły się otwarte łąki usiane srebrnymi brzoźami. Nieco dalej stała biała cerkiew, której niebieskie kopuły wyglądały niemal radośnie na tle jaśniejszego błękitu nieba. Właśnie tam szesnastoletni Prokop Bobrow poznał niezwykłego dwunastoletniego chłopca, niemal tak wysokiego jak on.

Sieć kobiet w rodzinie Jewdokii sprawiła się znakomicie. Naryszkińska, matka młodego cara, z wielką wdzięcznością przyjęła towarzysza dla swojego syna, zwłaszcza że pochodził z solidnej rodziny. Sama znalazła się w położeniu godnym pożałowania: Piotra całkowicie ignorowano, chyba że musiał się pokazać na jakiejś oficjalnej uroczystości. Przydzielono jej tak skromne fundusze, że musiała prosić patriarchę o dodatkowe pieniądze. A bojąc się o swoje i syna bezpieczeństwo, chętnie mieszkała w Preobrażenskoje, gdzie nikt nie zwracał na nich uwagi.

– O Piotrze nie da się powiedzieć ani jednego dobrego słowa! – wykrzykiwała z pogardą Jewdokia. – To przecież najzwyczajniejszy... – szukała odpowiedniego słowa – najzwyczajniejszy niemiecki prostak.

Że też w ogóle wysłała syna do Preobrażenskoje! Od tego zaczęły się wszystkie kłopoty. A winę za to ponosiła matka Piotra. Nie pilnowała go odpowiednio, pozwoliła mu biegać bez nadzoru i bratać się ze wszystkimi. Jadł jak chłop, nawet Prokop to przyznawał. I ciągle bawił się z przyjaciółmi w żołnierzy. A Prokop razem z nim.

Preobrażenskoje – od nazwy wsi pochodziła nazwa nowego regimentu cara: Lejb-Gwardyjskiego Pułku Preobrażeńskiego. Prokop był w nim jednym z oficerów. Jakże Jewdokia pogardzała żołnierzami tej jednostki i ich cudzoziemskimi mundurami! I te dziecinne upodobania Piotra, te jego zabawy w żołnierzy – teraz przekształciły się w prawdziwą wojnę.

A jej się wydawało, że nie ma nic gorszego niż rządy Zofii i tego straszego Golicyna – Polaka, jak go nazywała.

Wojny, które toczyli, doprowadziły do ich upadku. Taki Golicyn, miłośnik cudzoziemskich zwyczajów – to przecież on parł do zgody z Polakami i w zamian za kolejny traktat pokojowy nierozsądnie obiecał im pomoc w walce przeciwko Turkom i ich wasalowi, chanowi Krymu.

Wojna z Tatarami na stepie zakończyła się katastrofą i pochłonęła wiele pieniędzy. Elity państwa zwróciły się więc do Piotra i w 1689 roku Zofia i jej faworyt stracili władzę: ona poszła do klasztoru, a on trafił na zesłanie.

Piotr miał siedemnaście lat. I chociaż formalnie dzielił tron z biednym Iwanem, musiał przejąć całe rządy.

– Ale jak on rządzi? Czy on się zachowuje jak mężczyzna? – pytała z furią Jewdokia. – Nie, bawi się jak niesforne dziecko. Bo też jest dzieckiem.

Przez krótki czas miała jakieś nadzieje. Stary patriarcha, usunąwszy w końcu Golicyna, był zdecydowany pozbyć się ze Świętej Rosji wszystkich cudzoziemskich

wpływów. Ale wkrótce umarł, a Piotr zaczął swoje dziwne panowanie.

Bo rzeczywiście było dziwne. Jego matka i kilku członków rodu Naryszkinów stworzyli nieformalną radę regencyjną, bo niezdarny chłopak w ogóle nie interesował się sprawami imperium. Dużo czasu spędzał w Preobrażenskoje. Ale co gorsza, coraz więcej czasu spędzał też w niemieckiej dzielnicy, wśród cudzoziemców. I nie trzeba było długo czekać, by zaczął zachowywać się skandalicznie.

– Niemieckie przedmieścia! Jakich ludzi można tam spotkać? – komentowała Jewdokia z pogardą. – Patrzcie, jak ci heretycy się zabawiają!

Nie dało się zaprzeczyć, że zachowanie Piotra i przyjaciół – niektórzy mogliby być jego dziadkami – budziło oburzenie. I choć historycy próbowali je tuszować, nazywając błazenadą wieku dojrzewania albo upatrując w nich przemyślanych działań politycznych, to mimo wszystko trudno było zrozumieć jego postępowanie.

Główne miejsce na dworze zajmowała tak zwana Wesoła Kompania – grupa przyjaciół, która w różnych momentach liczyła od kilkunastu do dwustu członków. Było wśród nich wielu cudzoziemców, między innymi błyskotliwy awanturnik, Szwajcar Lefort, i szkocki generał Gordon, człowiek skądinąd rozsądny.

I nie chodziło o wielodniowe popijawy – to doskonale pasowało do rosyjskiej natury. Ani o to, że członkowie kompanii mogli wejść do twojego domu i roztrzaskać ci wszystkie meble, bez względu na to, czy byłeś kupcem, czy szlachcicem. Rosjanie byli w zasadzie dumni z takich carów jak Iwan Groźny, którzy w sposób straszny odpłacali się za najmniejszy grymas niezadowolenia. Rosjanie umieliby nawet wybaczyć to, że Piotr – gdy był trzeźwy – zachwycał się zagranicznym rzemiosłem oraz studiował podstawy matematyki i nawigacji, choć te zainteresowania uznawano za ekscentryczne.

Ale jak należało rozumieć jego otwarte i obraźliwe kpiny z religii?

Bo oto młody car zwołał Pijany Synod – Najśmieszniejszy, Najbardziej Pijany Synod Głupców i Błaznów. Jeden z jego kompanów od kieliszka – dawny gubernator – został księciem patriarchą, który to tytuł zmieniono później na księcia papieża. Ubrany w szaty duchowne i ze stosownymi insygniami, mianował kardynałów, biskupów, opatów i popów. A potem, przedrzeźniając liturgię i w sprośny sposób błogosławiąc kompanów, pod przewodnictwem Piotra wyprowadzał wszystkich na całonocne pijatyki. Biesiadowali nie tylko za zamkniętymi drzwiami gdzieś w dzielnicy niemieckiej. Młody car i jego przyjaciele wychodzili na ulice Moskwy, nawet podczas Wielkiego Postu, i z premedytacją obrażali uczucia religijne poddanych. Nawet ambasadorowie zachodnich państw – przywykli do szaleństw młodych arystokratów i sporadycznych, zaplanowanych wybryków studentów w starych miastach uniwersyteckich – doszli do jedyne wniosku: młody car nie interesuje się państwem, a do tego w tych swoich wybrykach nie jest zabawny, lecz jedynie wulgarny.

Ten przedziwny reżim utrzymywał się przez kilka lat. Nikt nie umiał zapanować nad krnąbrnym młodzieńcem. Matka znalazła mu żonę, podobnie jak Jewdokia Prokopowi. Ale Piotr rzadko ją widywał. Potem matka umarła, a jego dziwny okres dojrzewania trwał nadal.

Co ten młody car sobie wyobrażał?

W miarę upływu czasu Jewdokia coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że

gdy Piotr jest trzeźwy, myśli jedynie o dwóch rzeczach. Jedną była wojna.

– Oraz okręty. Dla niego liczą się tylko okręty – zrzędziła Jewdokia. A gdy Prokop przypominał jej ze śmiechem, że Rosja jest krajem rzek, strofowała go z irytacją: – Wiesz dobrze, o czym mówię. Chodzi o te przeklęte statki pływające po morzach. Rosjanie nie potrzebują wypływać na morze.

– Wręcz przeciwnie. Dawni Rusini wypływali. I przez Morze Czarne dotarli aż do Konstantynopola. My też to zrobimy.

– Najpierw był chan Krymu i jego Tatarzy, a teraz chcecie zaatakować samego sultana – mówiła cierpko.

– Właśnie.

Bo Piotr mógł się dziwacznie zachowywać, ale bez wątplenia od samego początku marzył o podbojach. I były to całkiem naturalne marzenia.

Bo kto dla Rosji był wzorem największych bohaterów? Czyż nie takie wspaniałe postacie jak święty Włodzimierz, Jarosław Mądry i potężny Monomach władający prastarym Kijowem? Czy za ich czasów państwo ruskie nie prowadziło swobodnego handlu od wybrzeży Morza Bałtyckiego aż po ciepłe wody Morza Czarnego? Czy nie pokonało stepowych plemion na południu? Czy Tmutarakań, osada położona u ujścia Donu, nie należał do Rusi? I czy w samym cesarskim Konstantynopolu nie było ruskiej kolonii? A teraz Rosja miała jedynie mizerny skrawek ziemi na północnym, zamarzniętym wybrzeżu Morza Bałtyckiego, a bogate bałtyckie porty należały do Szwedów i Niemców. Rosjanie utracili dostęp do ujścia Donu, strzeżonego przez turecką twierdzę Azak, a turecka flota panowała całkowicie na Morzu Czarnym. Jednak największą zniewagą było to, że kilkaset lat po zrzuceniu tatarskiego jarzma chan Krymu wciąż wysyłał na step wojska, które porywały z ukraińskich wiosek tysiące Słowian i sprzedawały ich na bliskowschodnich targach niewolników. Chan miał nawet czelność domagać się od cara daniny. I choć żądania te były ignorowane, rosyjski rząd uznał – co było upokarzające – że roztropniej będzie wysyłać chanowi cenne dary.

Nic więc dziwnego, że Piotr, podobnie jak przed nim Iwan Groźny, chciał się przedrzeć dalej na północ i na południe.

Odpowiedzią na to marzenie były prawdziwe okręty. Młody Piotr dowiedział się o nich od cudzoziemców z dzielnicy niemieckiej. Zbudował nawet jeden dla siebie. Daleko na północy widział cudzoziemskie żaglowce, które docierały do Archangielska albo kursowały po Bałtyku.

Piotr potrzebował floty, która przedarłaby się obok Azaku na ciepłe wody Morza Czarnego. Przyszedł czas, żeby zamienić wojenne zabawy w rzeczywistość. Młody car zamierzał najpierw zbudować galery do żeglugi po Donie, a potem prawdziwe statki morskie.

Dziwne, ale Nikita Bobrow był tak samo podekscytowany tym przedsięwzięciem jak jego syn. Bo chociaż jako sześćdziesięcioletni były urzędnik nie mógł już się przydać na wojnie, to dostrzegł w tym pomyslnie widoki na przyszłość. Car potrzebował drewna do budowy floty, a zwłaszcza jesionów na maszty.

– Sprowadzają trochę z Tuły, ale my w naszych majątkach mamy drewna pod dostatkiem – oświadczył radośnie. I nie zwlekając, podarował carowi jeden ze swoich

lasów.

A gdy w 1696 roku przysłała wiadomość, że turecka twierdza Azak się poddała, wpadł w ekstazę.

– Nie czujesz?! – wykrzykiwał do Jewdokii. – Ja czuję. Ciepły wiatr wiejący do naszych północnych lasów, ciepły wiatr z południa.

Podczas wyprawy na Azak wydarzyło się coś jeszcze: kaleki brat przyrodni Piotra zmarł. To wydarzenie samo w sobie nie było istotne, ale oznaczało, że po zwycięskim powrocie do Moskwy Piotr zasiądzie na tronie sam.

– Może on jest szalony – przekonywał Nikita żonę – ale będziemy teraz świadkami rzeczy wielkich.

Jednak nawet Nikita był wstrząśnięty tryumfalnym wjazdem Piotra do miasta.

Odbył się on w październiku 1696 roku. Był piękny, słoneczny dzień. Nad brzegiem Moskwy wzniesiono rzymski łuk tryumfalny z dwoma wielkimi posągami po bokach, Marsa i Herkulesa. Poniżej stała figura tureckiego paszy w kajdanach.

Na czele pochodu szedł ubrany w zbroję guwerner Piotra – ten sam, który na Pijanym Synodzie odgrywał rolę księcia papieża. Za nim, w złoconej karecie, jechał Szwajcar Lefort, a dalej kolejne karety i wóz ze zdrajcą, który podczas kampanii, wiedziony głupotą, pomagał Turkom. Obok niego leżały narzędzia zapowiadające tortury i egzekucję.

Dopiero na końcu procesji, ciągnącej się ponad sześć kilometrów, pojawił się Piotr.

Dla tych, którzy wcześniej nie mieli okazji go zobaczyć, przedstawiał niezwykle widok. Był zbudowany jak siłacz. Miał bujne ciemne włosy, kozackie wąsy, przenikliwe spojrzenie i całe dwa metry wzrostu.

Ale ten rosyjski olbrzym nie miał na sobie rosyjskiego stroju. Ubrany był w niemiecki mundur – czarny płaszcz i wielki trójgraniasty kapelusz, w którym beztrząsco zatknął długie białe pióro.

W procesji nie brał udziału ani jeden duchowny.

Na przedzie nie niesiono ikon ani kościelnych chorągwi. Patriarcha nie wygłosił powitalnego przemówienia, nie dzwoniły cerkiewne dzwony. Do Moskwy przyjechał rzymski cesarz w niemieckim mundurze; do stolicy Świętej Rosji wjechała pogańska procesja.

– Nawet Rzymianie mieli swoich bogów – mruknął Nikita. – Nawet Czyngis-chan, chociaż poganin, nie pogardzał Cerkwią. – I patrząc na ten pochód, miał wrażenie, że oto wzeszło nowe, ostre słońce, gotowe wypalić wszystkie ciemności.

Jewdokia patrzyła na to wszystko z pełnym złości obrzydzeniem.

– Kiedy umierała mu matka, a jego nie było nawet przy jej łożu śmierci, powiedziałam, że jest nieludzki – stwierdziła. – Teraz jednak zobaczyłam twarz czystego zła.

Ale nawet tamten koszmar był niczym w porównaniu z tym, co się działo teraz.

W 1698 roku Piotr znowu zrobił coś, czego nie zrobił nigdy żaden władca Rosji.

Wyjechał za granicę. I zabrał ze sobą Prokopa.

Podczas ich nieobecności Jewdokia z rzadka odwiedzała Moskwę. Miasto wydawało jej się ohydne. Większość czasu spędzała samotnie w Rusce, a przez długie

godziny towarzyszyli jej Silas i Daniil z rodziną.

Ale teraz Piotr i jej syn wrócili. A w Moskwie rozpętało się piekło.

Daniil zbliżał się do Moskwy, czując jednocześnie ciekawość i strach.

Czy pogłoski, które do niego dotarły po nagłym powrocie Piotra z zagranicy, mogły być prawdą? Minęło wiele czasu od jego ostatniego pobytu w stolicy, ale gdy dostał wezwanie od tej pobożnej kobiety Jewdokii Michajłowny, nie wahał się ani chwili i od razu przyjechał razem z żoną i małą córeczką.

Bo on i Arina – zawsze go zadziwiało, że w tych niegodziwych czasach Bóg zesłał mu taki dar – po piętnastu latach małżeństwa, gdy już właściwie stracili nadzieję, doczekali się córki. Urodziła się w 1693 roku, kiedy Arina miała trzydzieści dziewięć lat, a on ponad sześćdziesiąt. I oto teraz on, siedemdziesięciolatek, przyjechał do miasta z żoną i sześciolatkiem dzieckiem.

Początkowo, gdy razem z Ariną przyglądali się dziecku, które cudem pojawiło się na świecie, byli zaskoczeni, że mała w ogóle nie jest podobna do żadnego z nich.

Dopiero Jelena, uśmiechając się z zachwytem, rozwiła tajemnicę.

– I kto by pomyślał, że przed śmiercią będzie mi to dane – mruknęła. – Przecież to moja Mariuszka, jota w jotę.

Tak właśnie dali jej na imię, Mariuszka. A Jelena przez ostatnie trzy lata swojego życia zajmowała się dzieckiem z taką dumą, jakby było jej.

Ale choć Mariuszka pojawiła się w ich życiu jak promień słońca, sama urodziła się w czasach mrocznych i posępnych. W całej Rosji, a zwłaszcza na północy, władza stawiała raskolników przed sądem. Jedni wybierali męczeństwo, wyrażając sprzeciw otwarciu, inni odprawiali nabożeństwa potajemnie.

Szczególnie trudne były pierwsze lata po wydaniu edyktu. Nikt nie wiedział, co robić. Ale Silas i Daniil porozumieli się z przyjaciółmi Awwakuma i doszli do mądrego wniosku.

– Otwarte sprzeciwianie się władzy i ściąganie na siebie jej gniewu nie jest żadną zasługą – oznajmił Daniil rodzinie. – Edykt jest błędny, ale może w przyszłości zostanie wycofany. Będziemy nadal się modlić w tajemnicy tak, jak nas nauczono. Nie chcemy się prosić o kłopoty, ale gdy nas postawią przed sądem, będziemy musieli przez to przejść, pewni, że Bóg ma nas w opiece.

W tym wielkim kraju podobną drogą podążyły setki, a nawet tysiące małych parafii. I nikt, ani rząd, ani wierni, nie wiedział, ile ich było.

Co rozumiało, Daniil zachowywał ostrożność, zbliżając się do Moskwy. Stolica była nie tylko miejscem największych represji, ale też miejscem niebezpiecznym. Bo latem tego roku, gdy młody car wciąż był za granicą, strzelcy znów wznieśli rewoltę.

Czy podburzyła ich Zofia, skazana na zesłanie w klasztorze? Nie wiadomo. Na szczęście dla Piotra jego doradcy szybko stłumili bunt. Jednak car tak czy inaczej wrócił pospiesznie do domu i teraz, miesiąc po jego przybyciu, cała Rosja wyczekiwała, co zrobi.

Gdy wjechali na przedmieścia, wydawało się, że w stolicy panuje spokój. Mały wóz Daniila dotoczył się powoli do zewnętrznych murów, przejechał przez bramę i w końcu dotarł do Kitaj-gorodu, gdzie Bobrowowie mieli duży dom. Późnym popołudniem, gdy słońce grzało przyjemnie w plecy, Daniil wjechał z żoną i córką na zakurzony obszerny

dziedziniec.

Dom był drewniany, jednopiętrowy, z masywnymi schodami na zewnątrz. Daniil i jego rodzina mieli się zatrzymać w jednym z mniejszych budynków stojących wokół dziedzińca.

Nowo przybyły uklonił się nisko, kładąc rękę na sercu, gdy Nikita z siwą brodą wyszedł, by się z nim uprzejmie przywitać. Chwilę później z pierwszego piętra zeszła z uśmiechem Jewdokia. Służąca o miłej twarzy niosła przed nią chleb i sól.

– Witaj, wierny patriarcho – powiedziała Jewdokia.

Daniil poczuł ciepło w sercu. Na jego poważnej zazwyczaj twarzy pojawił się uśmiech. Słowo „wierny” wiele dlań znaczyło. Choćby to, że mimo różnej pozycji społecznej są przyjaciółmi. I że ona spodziewa się po nim emocjonalnego wsparcia. Wiedział o tym. Ale znaczyło też coś jeszcze, o czym nigdy nie wspominali w obecności jej męża.

– Moja droga Jewdokio Michajłowna – powiedział żarliwie, składając głęboki ukłon.

Wcześniej widywał ją jedynie w Rusce. Tam ubierała się skromnie. Ale tu, w stolicy, miała na sobie wspaniałe szaty z kosztownego czerwonego brokatu, a na głowie stroik wysadzany perłami. I choć pogardzał wszelkimi oznakami światowego bogactwa, musiał przyznać, że Jewdokia wygląda w tym stroju pięknie.

Znajdowali się w samym sercu Moskwy, ale wokół panowała popołudniowa cisza. Ulicą nie przechodził prawie nikt. Drzewo morwy rzucało w rogu dziedzińca cień, ale w taki miły jesienny dzionek nie był on potrzebny. Koń zaprzężony do wozu, czując, że to koniec podróży, opuścił łeb i poruszał nerwowo chrapami, gdy obsiadały go muchy.

I oto bogaty właściciel ziemski i biedni rzemieślnicy rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami, wymieniając najnowsze wieści. Bo nawet Nikita, odkąd zaczął się starzeć, w obecności tych prostych ludzi ze wsi czuł się dziwnie podniesiony na duchu.

I gdy tak sobie gawędzili, Daniil, który akurat pomyślał, że czas wyprząc konia, zauważył, że Jewdokia sztywnieje, a na twarzy Nikity pojawia się wyraz zakłopotania.

Zorientował się wówczas, że za jego plecami ktoś wchodzi przez bramę na dziedziniec. I niemal w tej samej chwili Nikita Bobrow zawołał głosem, którego serdeczność nie była do końca naturalna:

– Proszę! Przyszedł mój syn Prokop.

Daniil odwrócił się i ze zdumienia otworzył szeroko oczy.

Prokop był czarujący – tak zawsze uważał Piotr – i inteligentny.

Do przyjaciół młodego cara w Preobrażenskoje zaliczali się rozmaici ludzie. Przedstawiciele starych rodów książęcych i bojarskich, synowie bogatej szlachty, jak Prokop, drobni szlachcice, a nawet ludzie niskiego pochodzenia, jak faworyt cara Mienszykow, który podobno jako dziecko sprzedawał na ulicach pierożki.

Łączyło ich wszystkich jedno: oddanie dla cara.

Oprócz nich byli też cudzoziemcy z dzielnicy niemieckiej.

Prokop miał to szczęście, że dzięki poczuciu humoru nie tylko należał do gwardii, którą car trzymał na wsi, ale był też zabierany przez Piotra na częste biesiady w stolicy. Pozwoliło mu to zbliżyć się do młodego władcy i otworzyło przed nim zupełnie nowy

świat.

Dzielnica niemiecka była zupełnie niepodobna do reszty Moskwy. Szerokie, równo wytyczone ulice, domy głównie z cegieł lub kamienia, wypielęgnowane ogródki. Zbór wydawał się jasny i przestronny w porównaniu z mrocznymi, mieniącymi się od złota moskiewskimi cerkwiami. Mówiąc krótko, była to mała europejska oaza, oaza mieszczańskiego porządku i kultury, czystości i dyscypliny, odgradzona pasem łąk od wielkiego, azjatyckiego bałaganu Moskwy.

Część spośród kilku tysięcy mieszkających tu kupców i żołnierzy była imigrantami w drugim lub trzecim pokoleniu. Ale dla Rosjan – o ile nie nawrócili się na prawosławie i nie podjęli wysiłku, by się całkowicie zrusyfikować – byli jedynie zasługującymi na pogardę, głupimi cudzoziemcami. W języku potocznym niemiecką dzielnicę często nazywano *kokuj*, co było też nazwą dzielnicy lupanarów.

Mieszkali tu Anglicy, którzy znali się na broni i taktyce współczesnej wojny, mieszkali Niemcy, którzy wcale nie byli „niemi”, co sugerowała rosyjska nazwa ich nacji, ale mówili wieloma językami, mieszkali Holendrzy, którzy wiedzieli, jak się buduje statki morskie, i poznali tajniki nawigacji.

O tych wszystkich cudach Rosjanie nie tylko nie mieli pojęcia – oni nawet nie byli ich ciekawi. Prokop widział na własne oczy, jak któregoś dnia pewien wierny generał, pragnąc sprawić przyjemność małemu wówczas carowi, z dumą przywiózł z zagranicy astrolabium, który to przyrząd, jak wyjaśnił, służył sprytnym cudzoziemcom do nawigacji na podstawie położenia słońca i gwiazd. Piotr był zachwycony. Nikt wcześniej czegoś takiego nie widział. „Jak to działa? – wypytywał. – Jak?” Generał był całkowicie skonsternowany. „Nie pomyślałem, żeby zapytać” – odparł.

Nie wiedzieli też, że astrolabium było już używane od prawie dwóch tysięcy lat.

Ale na Prokopie największe wrażenie zrobiło to, że młody car nie tylko znalazł Holendrów, którzy wytłumaczyli mu działanie astrolabium, lecz także całymi dniami ślęczał nad książką, dopóki nie opanował całej wiedzy matematycznej potrzebnej do obsługiwanego instrumentu.

„Podziwiam go jako cara, bo za jego szaleństwem kryje się coś budzącego szacunek – tłumaczył Prokop ojcu. – I kocham go jako człowieka. Nie tylko z powodu ciekawości, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem. Jakże on ciężko pracuje! Patrzyłem, jak wgryzał się w matematykę. Wcale mu to łatwo nie przychodziło, lecz się nie poddawał. I to właśnie mi się w nim podoba. Popełnia błędy, ale idzie dalej”.

Prokop dobrze poznał niemiecką dzielnicę. I choć nie miał takiego zapału do zdobywania wiedzy jak Piotr, to powoli zaczynał rozumieć jej wartość. I zaczynał myśleć o sobie jako o człowieku postępowym, wyprzedzającym swoją epokę.

Dopóki nie wyjechał za granicę.

Wielka wyprawa Piotra, cara Rosji, do Europy Zachodniej obrosła taką legendą, że o jej prawdziwej istocie często się zapomina.

Legenda mówi, że Piotr, spragniony zachodnich porządków, zwiedził Europę, a potem wrócił, żeby ucywilizować własny kraj i upodobnić go do reszty Europy.

Ale to nieprawda.

Zasadniczy powód, dla którego Piotr wyruszył w podróż, nie pozostawia cienia



wątpliwości. Chodziło o przygotowania do wojny – na początek z Turcją. Na płaszczyźnie dyplomatycznej misja miała przekonać państwa zachodnie do stworzenia sojuszu antytureckiego. A praktyczną korzyścią była nauka budowania statków, tak by Rosja mogła dysponować własną flotą morską.

I już w 1696 roku, niedługo po zwycięstwie pod Azakiem, Piotr wysłał pięćdziesięciu przerażonych Rosjan – samych, bez rodzin – do Europy Zachodniej, gdzie mieli się nauczyć budowania statków i nawigacji. Co zaskakujące, był wśród nich pięćdziesięciodwuletni Tołstoj, któremu mimo bliskich związków z Miłosławskimi, wrogami Piotra, udało się zaskarbić życzliwość cara.

Dlatego niedługo potem wyruszył z własną misją.

Ale dlaczego Piotr wyjechał razem z nim i dlaczego uczynił to incognito, oficjalnie jako niższy rangą członek delegacji kierowanej przez ambasadorów?

Co do tego nie ma pewności. Być może chciał z większą swobodą włączyć się po dokach w zachodnich portach. Wiadomo, że przez kilka miesięcy pracował jako cieśla okrętowy, poznając budowę statków od podszewki.

Taki sposób podróży dawał też temu wielbicielowi Pijanego Synodu i Wesołej Kompanii okazję do częstych pijatyk. Z czego on i jego przyjaciele chętnie korzystali. W Londynie zostali zakwaterowani w pobliżu doków, w domu wybitnego pamiętnikarza Johna Evelyn, i tak skutecznie zdewastowali dom i ogród, że sir Christopher Wren, który przeprowadzał później inspekcję, ocenił straty na zawrotną ówczesnie sumę trzystu pięćdziesięciu funtów. Podłoga nadawała się do wymiany, z holenderskich pieców obtłuczono płytki, wyłamano mosiężne zamki w drzwiach, porozcinano materace z pierzem, całkowicie zniszczono trawniki i dumę londyńskiego ogrodnictwa – długi na sto trzydzieści metrów i wysoki na trzy metry żywopłot z ostrokrzewu.

Tak właśnie w latach 1697–1698 car Piotr zdobywał wiedzę o europejskiej cywilizacji.

Bałtyk. Port w Rydze. Niemiecka Brandenburgia i Hanower. Holandia. Anglia. Wiedeń Habsburgów. Polska.

To nie były, jak po latach wspominał Prokop, inne kraje. To był zupełnie inny świat.

Prokop nigdy do końca nie pojął, jak wielka to była różnica. I nie wynikało to z jego niedostatków inteligencji. Ogromna, licząca sobie dwa tysiące lat tradycja filozoficznych dociekań, od Sokratesa do Kartezjusza, wspaniałości renesansu, początki nowoczesnej nauki, ale przede wszystkim złożone i tolerancyjne społeczeństwa zachodnie ze starymi instytucjami, zawodami, z kodeksem prawnym i moralnym oraz ze wspaniałą kulturą – wszystko to, mimo książek i mebli sprowadzanych na carski dwór, pojmowała jedynie garstka Rosjan. Nikt ze świty Piotra nie rozumiał naprawdę, co ma przed oczami. Sam Piotr tego nie rozumiał, bo też i nie mógł.

Mimo to Prokop był pod wielkim wrażeniem, a to, czego nie ogarniał umysłem, wyczuwał intuicyjnie.

Podziwiał statki i wielkie porty. Działa, które widział na statkach, wprawiły go w wielką ekscytację, zwłaszcza że – jak się później dowiedział – na Zachodzie można było kupić proch doskonałej jakości.

Kiedy po powrocie ojciec go wypytywał, który kraj podobał mu się najbardziej, odparł bez zastanowienia:

– Holandia.

– Dlaczego? – zaciekawiał się Nikita. – Z powodu statków? Z powodu handlu?

Prokop pokręcił głową.

– Nie. Chodzi o... – Szukał odpowiedniego słowa. – Chodzi o ich porządek.

– A widząc zdziwienie Nikity, ciągnął: – Oni nawet poskromili morze. Widziałem u nich wielkie zapory, nie jak nasze drewniane umocnienia na stepie, które mają powstrzymać Tatarów, ale prawdziwe mury z kamienia, którymi powstrzymują morze. Nazywają je groblami. Zabrali ziemię morzu i urządzili na niej pola uprawne. Mają takich pól tysiące, wszystkie porządnie wytyczone między groblami w trójkątach i prostokątach. Aż trudno uwierzyć, że to dzieło człowieka. Mają też kanały, proste jak strzała, które ciągną się aż po horyzont.

Na Nikicie nie zrobiło to wrażenia.

– W Rosji nie potrzeba nam takich rzeczy. U nas ziemia ciągnie się po horyzont.

– Wiem. Ale zrozum, nie o to chodzi – kontynuował podekscytowany Prokop. Myślał nad tym, od kiedy zobaczył te wszystkie cuda. – Oni poskromili naturę. Narzucili swój wzór i porządek ziemi, a nawet morzu. – Zamilkł, a potem z niezwykłą intuicją dorzucił: – Tak jakby uporządkowali samych siebie, swoje serca i umysły.

Nikita się roześmiał.

– Jakoś nie umiem sobie wyobrazić, żeby Rosjanie chcieli porządkować siebie.

A ty?

Prokop musiał się z nim zgodzić.

– Też nie. Ale możemy narzucić porządek z góry. Innego wyjścia nie ma, car mówił mi to wiele razy.

Nikita westchnął.

– Chcesz powiedzieć, że ty i car powróciliście z zamiarem narzucenia swojej woli Matce Naturze? – spytał z cierpkim uśmiechem. – Mój biedny Prokopie, rosyjska przyroda jest potężniejsza niż wszyscy carowie. Jej nie da się niczego narzucić. A ziemia jest bezkresna.

Teraz Prokop się uśmiechnął.

– Poczekaj, a sam się przekonasz – powiedział oschle.

Te wypowiedzi przygnębiały Nikitę, bo uważał je za bezsensowne, ale Jewdokia była nimi poruszona do głębi.

– Przyrodę stworzył Bóg – ostrzegała syna. – A jeśli wy chcecie narzucić swój porządek naturze, to przemawia przez was pycha. Ty i ten twój car szerzycie zło.

Prokop widział, że matka coraz bardziej się od niego oddala, co napawało go wielkim smutkiem.

Ale co najdziwniejsze, te trzy punkty widzenia – religijny konserwatyzm Jewdokii, fatalizm Nikity, a zwłaszcza optymizm młodego Prokopa – były tak samo rosyjskie. Bo Prokop, zobaczywszy daleki świat i jego porządek, choć nie rozumiał jego złożonych podstaw, uznał, że podobnie jak wieśniacy w Rosji potrafią zbudować dom w jeden dzień, tak silny przywódca może narzucić z góry nowy porządek. To przekonanie już na zawsze

stało się tragedią Rosji.

Co zatem osiągnęła zagraniczna misja cara?

Tak naprawdę bardzo wiele. Piotr chciał się nauczyć budowania statków – on i inni posiadli tę wiedzę dość dogłębnie. Chciał nowego uzbrojenia, prochu, który nie gaśnie, oraz wiedzy o nowoczesnych sposobach prowadzenia wojny, zwłaszcza na morzu. I wszystko to uzyskał. Otworzył też kilka nowych szlaków handlowych.

Jednak rosyjska dyplomacja poniosła klęskę. W owym czasie nikt nie chciał walczyć z sułtanem. Ale gdy jego starania o dostęp do południowych mórz utknęły w martwym punkcie, Piotr zauważył, że może nawiązać sojusze, które otworzą przed nim inny szlak handlowy: Morze Bałtyckie.

Najistotniejsze okazały się jednak długofalowe konsekwencje jego misji. Tacy ludzie jak sprytny Piotr Tołstoj nie nauczyli się wiele o budowie statków, jak im kazano, ale wrócili z mnóstwem obserwacji, znajomością języków obcych i jakąś wiedzą o europejskiej kulturze i edukacji. Oni właśnie byli pierwszymi zeuropeizowanymi Rosjanami, których prekursorem był doradca Zofii, Golicyn. I to oni w dłuższej perspektywie mieli otworzyć w Rosji okno na Zachód.

Czy Prokop Bobrow też był takim człowiekiem? Niezupełnie. Ale choć brakowało mu chęci do zdobywania gruntowanego wykształcenia, widział wystarczająco dużo, by stwierdzić, że jego ojczyzna jest zacofana o setki lat.

Co miało jeden smutny skutek.

Bo po tym, jak religijna pryncypialność Jewdokii oddaliła ją od syna, Prokop zauważył także barierę między nim a ojcem. I nic nie mógł na to poradzić.

Dla Nikity syn stał się kimś obcym. Nawet nie przez swój zachodni sposób ubierania się ani przez podróże. W lekkiej, ale zauważalnej rezerwie w zachowaniu Prokopa, w jego chłodnym spojrzeniu było coś, co mówiło Nikicie, że jego syna interesują zupełnie inne rzeczy. Że on wie coś, czego nie wiedzą jego rodacy. Tak samo niemieccy i rosyjscy oficerowie patrzyli na rosyjskich żołnierzy.

On już nie jest Rosjaninem, myślał Nikita. I jako człowiekowi, który zawsze uważał się za bardziej wykształconego od reszty arystokracji, najtrudniej było mu się pogodzić z myślą, że syn w skrytości ducha nim pogardza.

I właśnie ten młody człowiek wszedł teraz na dziedziniec, a Danił patrzył na niego z niedowierzaniem.

Prokop ubrany był w elegancki zielony mundur, dobrze dopasowany, zapinany z przodu na niemiecką modłę. Nogi okrywały mu bryczesy i pończochy. Jeśli nie liczyć schludnie przyciętych wąsów, miał gładko ogoloną twarz.

W dawnych czasach na Ukrainie Danił, nazywany wtedy jeszcze Bykiem, często widywał Kozaków bez zarostu. Ale tutaj, na północy? I posunął się do tego syn Nikity Bobrowa! Danił patrzył na to zadziwiony.

Widząc jego spojrzenie, Nikita uśmiechnął się przepaszająco.

– Przyjaciele cara wrócili ze swoich podróży gładko ogoleni – powiedział.

– Car osobiście zgolił bojarom brody na dworze – przypomniał mu Prokop.

– Stwierdził, że nie będzie tolerował u siebie ludzi o prymitywnym wyglądzie. Tak właśnie mi dzisiaj powiedział.

Prymitywnym! Daniił aż się skrzywił, słysząc to słowo. Zauważył, że Jewdokia drgnęła, jakby ją ktoś spoliczkował, a potem odwróciła wzrok. Prokop dopuścił się świadomej zniewagi.

Wydawało się, że Nikita zignorował tę niegrzeczność. Jakby coś innego chodziło mu po głowie. Spojrzał na syna pytająco.

– Wracasz z Preobrażenskoje?

Prokop skinął głową.

– No i co? – dopytywał się Nikita.

– To już postanowione. Niektórzy się przyznali. Egzekucje zaczną się jutro.

– Wziął ojca pod rękę. – Chodź, wszystko ci opowiem. – Weszli razem do domu.

Dopiero teraz Jewdokia spojrzała na Daniıla. W oczach miała łzy.

– Dzięki Bogu! – zawołała zdławionym głosem. – Dzięki Bogu, że przyjechaliście.

Dopiero po jakimś czasie Daniił uświadomił sobie całą grozę tego, co się działo. Zima mijała, a on zaczynał rozumieć, dlaczego Jewdokia tak nalegała na jego przyjazd. Nie wiedział jednak, jak ją pocieszyć.

Tak jak zapowiedział Prokop, egzekucje zbuntowanych strzelców rozpoczęły się dzień po przyjeździe Daniıla.

Zaczęłyby się wcześniej, gdyby przesłuchania – przeprowadzane w Preobrażenskoje – poszły gładko. Bo tylko nieliczni zbuntowani żołnierze chcieli mówić, i to pomimo silnych nacisków.

W ówczesnej Rosji stosowanie knuta w celu wydobycia przyznania się do winy było normalną procedurą w podobnych sprawach. W owych latach w większości krajów stosowano tortury podczas przesłuchań, ale rosyjska metoda wymaga wyjaśnienia.

Uważa się często, że słynny rosyjski knut jest rodzajem bicia, podobnie jak angielski kańczug. Ale gdy w Anglii skazany po otrzymaniu nawet tysiąca razy mógł przeżyć, pięćdziesiąt uderzeń knutem oznaczało śmierć. I chociaż Bobrowowi zdarzało się czasem wychłostać chłopca z majątku za jakieś wykroczenie, to robił to batogiem, a nie knutem.

Knut był wykonany ze skóry i miał ponad metr długości. Był znacznie grubszy niż batog i o wiele cięższy. W rezultacie po uderzeniu – przy którym kat, biorąc silny zamach, wyskakiwał do przodu – powstawała na plecach skazanego rana głęboka na centymetr. Skóra zamieniała się w miążgę. Przy każdym razie tryskały w powietrze krew i kawałki ciała. Po drugim uderzeniu knut docierał do kości.

Żeby w pełni docenić skrupulatność Rosjan w tej kwestii, należy dodać, że w najcięższych przypadkach skazanemu wiązano ręce na plecach, a następnie wciągnano go na linie i wieszano na belce. Wisiał wtedy na wprost kata, do tego miał wywichnięte barki. Kiedy go opuszczano, siłą wciskano mu ramiona na powrót do stawów.

Większość więźniów w Rosji przesłuchiowano za pomocą knuta.

Car Piotr był bardzo zaniepokojony buntem strzelców. W dzieciństwie widział na własne oczy, jak rozsiekali jego stryja, i zdawał sobie sprawę, że są w stanie zrzucić go z tronu i oddać władzę Zofii. Dlatego tak się spieszył z przesłuchaniami. Chłóście poddano nie tylko strzelców, ale także dwie pokojówki Zofii – gdy okazało się, że jedna jest w ciąży, Piotr zgodził się łaskawie, by wykonano na niej zwykłą egzekucję.

Car osobiście nadzorował i chłostę, i wymuszanie zeznań na kole tortur, i smażenie więźniów na ogniu. Mimo to strzelcy tak uparcie milczeli, że w trakcie jednego z ostatnich przesłuchań Piotr, próbując przerwać milczenie buntownika, wyłamał mu zaciśnięte szczęki laską.

Prokop Bobrow był przy niektórych przesłuchaniach.

Miał ku temu szczególny powód. Gdy tylko wrócili do kraju, Piotr przydzielił go do nowego urzędu. Urząd nazywał się Prikaz Preobrażeński i tak naprawdę był tajną policją.

– Strzelcy nie chcą mówić – relacjonował Prokop ojcu. – Ale wiemy, że zamierzali zdetronizować Piotra oraz zabić wszystkich cudzoziemców w Rosji. Damy sobie z nimi radę.

Tej jesieni egzekucje odbywały się przez trzy tygodnie, od ostatniego dnia września do osiemnastego października.

Nie przerwał ich nawet gęsty śnieg, który spadł dwunastego października, wypychając Moskwę w objęcia zimy.

Danił był świadkiem kilku egzekucji. Skazani umierali na wiele sposobów, choć najczęściej wieszano ich lub ścinano. Piotr zażądał, by w wykonywaniu wyroków śmierci pomagali bojarzy i ich przyjaciele, a Danił usłyszał któregoś wieczoru, jak Prokop mówi do ojca:

– Jutro car chciałby zobaczyć ścięcie głowy na europejski sposób, mieczem, a nie toporem. Masz może jakiś miecz, który mógłbyś mi pożyczyć?

A następnego dnia Danił zobaczył Prokopa przy pracy. Ktoś w tłumie powiedział mu, że car osobiście ściał kilku skazańców.

Danił patrzył na te wydarzenia ze smutkiem, ale nie z przerażeniem. Chłosta knutem, egzekucje – cóż, należało się spodziewać, że strzelcy poniosą karę.

Przerażenie poczuł dopiero tego dnia, gdy na egzekucję wprowadzono wojskowych kapelanów.

Odbywało się to na Placu Czerwonym. Przed wielkimi, osobliwymi wieżami soboru Świętego Wasyla ludzie Piotra ustawili ogromne rusztowanie – nie było to jednak zwykłe rusztowanie, miało kształt krzyża. Wprowadzono na nie księży. Danił przygotował się na najgorszą potworność.

Ale to, co wydarzyło się później, niemal odebrało mu mowę. Bo oto pojawił się dworski błazen w przebraniu popa i to on miał powiesić skazańców.

Tego samego dnia w ogrodach klasztoru Nowodziewiczego, tuż przed oknami Zofii, powieszono na szubienicach stu dziewięćdziesięciu pięciu strzelców.

Ich ciała miały tam wisieć – jak straszliwe, zamrożone upiory – przez pięć długich zimowych miesięcy.

Co Danił o tym myślał? Wydawało mu się, że już wie. A w miarę upływu czasu nabierał coraz większej pewności. Wolał jednak, by kto inny wyraził tę myśl.

Po co Jewdokia go wezwała? Bo potrzebowała pociechy. Danił szybko pojął, że nikomu innemu nie mogła zaufać.

Jej syn był bezbożnikiem. A mąż, któremu zależało jedynie na powiększaniu majątku rodziny, nie mówił nic.

– Sam widzisz, co nas wszystkich spotkało – zwierzała się. – Pomóż mi, drogi Daniile, bo nie wiem, co robić.

Oficjalnie przybył do domu Bobrowów jako cieśla. I rzeczywiście wykonał wiele tak pięknych prac stolarskich, że nawet Nikita przestał się denerwować na żonę za nagłe sprowadzenie go do Moskwy. Bobrow z dumą pokazywał swoim gościom dzieła Daniila, który miałby wiele zleceń, gdyby tylko chciał pracować dla innych.

Jewdokia i Nikita, każde na swój sposób, cieszyli się z obecności nowych domowników. Ona była oddana rodzicom, on z upodobaniem zajmował się dziewczynką.

Mała Mariuszka była uroczym stworzeniem. Z jasną, piegowatą buzią i błyszczącymi oczami w sposób naturalny była przekonana, że wszyscy na świecie są jej przyjaciółmi.

– Ależ ona jest krucha i delikatna – zachwycał się Nikita. – Mogłaby być tancerką.

Nawet Prokop, który nie zawsze umiał ukryć zniecierpliwienie na widok Daniila, nosił ją na rękach za każdym razem, gdy przychodził do domu. Miał żonę i dwoje własnych dzieci.

– W takim razie ty będziesz moją ukochaną – mówił.

– Gdzie jest twoja broda? – pytała bezceremonialnie. – Dlaczego nie masz brody?

– Car mi ją wyrwał – odpowiadał ze śmiechem.

Mariuszka darzyła ojca szacunkiem. Zorientowała się już, że jest starszy niż ojcowie innych dzieci, więc uznała, że jest kimś nadzwyczajnym. Gdy była bardzo malutka, przez jakiś czas myślała, że Daniil i Bóg Ojciec to jedna osoba.

Dziewczynka była dla Nikity rozrywką, natomiast Jewdokia znalazła tak upragnioną pociechę u Daniila i Ariny. Każdego dnia przychodziła do nich, żeby się pomodlić. Gdy Daniil pracował w domu, często stawała obok niego i przyglądała mu się w milczeniu. A on od razu zauważył, że jest jej niezbędny. Co sama potwierdziła w rozmowie.

– Całe życie byłam silną kobietą – zwierzała mu się. – Ale w tym nowym świecie czuję się tak, jakby cała mądrość została mi odebrana. Nie opuszczaj mnie jeszcze, wierny przyjacielu.

Gdy mogła wymknąć się z domu niepostrzeżenie, wkładała zwykłe chłopskie odzienie i szła z Daniilem i jego rodziną na potajemne nabożeństwo.

– Pomyślą, że jesteś moją żoną, Arina naszą córką, a Mariuszka wnuczką – powiedział, pozwalając sobie nawet na uśmiech.

Zdziwiło ją, czego Daniil się dowiedział w pierwszym tygodniu pobytu: nabożeństwa raskolników były odprawiane w ukryciu w całej Moskwie. Najczęściej wierni spotykali się w prywatnych domach, a nie w cerkwi. W izbie jakiegoś skromnego rzemieślnika wyjmowali swoje ikony, poczerniałe od działania czasu i dymu, wieszali je na ścianach i modlili się żarliwie, żegnając się dwoma palcami.

Daniil rzeczywiście przyniósł Jewdokii pociechę, ale sam nie umiał jej zaznać.

Egzekucje strzelców wciąż odbywały się za dnia, a nocami widywano Piotra w niemieckiej dzielnicy. Wszyscy wiedzieli, że na biesiady zabiera ze sobą Annę, swoją kochankę, natomiast żona, choć urodziła mu syna, widywała go bardzo rzadko. Pod koniec października egzekucje ustały na jakiś czas. Piotr pojechał nad Don, gdzie budował

nową flotę. Podczas postu adwentowego w stolicy panował spokój. Ale Piotr wrócił na Boże Narodzenie. On i jego szyderczy Synod urządzili na ulicach Moskwy i niemieckiej dzielnicy paradę w dwustu saniach, szaleńczo wyśpiewując kolędy, czego Daniil, który akurat się modlił, na szczęście nie widział.

W styczniu nadeszło święto Epifanii, a potem karnawał. Publiczne egzekucje także wznowiono. Trzeciego lutego Piotr nakazał, by wszyscy cudzoziemcy mieszkający w Moskwie przychodzili na egzekucje trzystu strzelców, którzy wcześniej zamierzali ich zabić.

W tym samym czasie Piotr na poważnie rozpoczął kampanię narzucania dworowi zachodnich ubiorów, osobiście ucinając podczas uczty długie kaftany bojarów, tak samo jak kilka miesięcy wcześniej poobcinał im brody.

Dla dopełnienia swoich politycznych i osobistych zapędów nakazał Zofii oficjalnie wstąpić do zakonu, a żonę, która tak go nudziła, wysłał do klasztoru w Suzdału, nie zważając na jej nieśmiałe protesty. Ich syn, którym Piotr w ogóle się nie zajmował, musiał dołączyć do siostry i dostał niemieckiego guwernera.

Ale dopiero w ostatnim tygodniu karnawału rodzina Daniila zobaczyła całą grozę Pijanego Synodu.

Tłum hulaków udawał się właśnie do okazałego domu Leforta. Na czele jak zwykle kroczył dawny guwerner Piotra przebrany za patriarchę. Obok niego szedł ktoś odgrywający rolę Bachusa, boga wina. On też miał na głowie biskupią mitrę. I nic więcej. Oprócz tego był całkiem nagi. Jedni uczestnicy pochodzenia nieśli wino i miód, inni ogromne miski z odrażającym, grzesznym tytoniem. Jeszcze inni wymachiwali kadzielnicami, w których nie paliło się jednak kadzidło, ale tytoń. Daniil dowiedział się od Prokopa, że podczas pobytu w Anglii car dał lordowi Carmarthenowi monopol na sprowadzanie do Rosji tej bezecnej rośliny. I oto teraz Piotr i jego kompani napełnili nią kadzielnice!

Gdy niedługo potem rozniosła się wieść o nagłej śmierci Leforta, Daniil powiedział krótko:

– Stała się wola boża.

W kwietniu, jakby Bóg postanowił zesłać kolejną karę, w Moskwie zaczęło brakować żywności i ceny poszybowały w górę.

Jednak to wszystko, jak Daniil mógł się wkrótce przekonać, było jedynie zapowiedzią jeszcze większego zła.

Do tej pory car skupiał uwagę na swoim dworze i strzelcach. Ale już niedługo miał skierować przerażający wzrok na zwykłych poddanych. Daniil pograżył się w bolesnej rozpacz.

Zaczął się pewnego wieczoru, gdy Prokop wszedł na dziedziniec i zobaczywszy Daniila, rzucił lekko:

– Ej, Daniile, jutro masz zgolić brodę. – A widząc jego zaskoczenie, wyjaśnił:

– Nie słyszałeś? Będziesz wyglądał tak samo jak ja. Jutro rano car wyda ukaz.

Ukaz, czyli edykt. Wszyscy carowie je wydawali, ale za panowania Piotra edykty płynęły szerokim strumieniem. A ukaz wydany w 1699 roku był druzgocący. Wszyscy poddani – nie tylko bojarzy, ale także zwykli ludzie jak Daniil, a nawet chłopci – mieli zgolić brody.

– Nie bój się – dorzucił Prokop z uśmiechem. – Jeśli nie chcesz, możesz zapłacić karę.

Ukaz był prosty: wszyscy mężczyźni z wyjątkiem duchownych muszą się ogolić. Kto odmówi, będzie musiał zapłacić karę, a do tego nosić na szyi łańcuch z brązowym medalem. Wysokość grzywny była ustalona z rozmysłem. Chłop pańszczyźniany musiał zapłacić skromne pół kopiejki. Ale dla człowieka wolnego, rzemieślnika, a nawet woźnicy, kara była wysoka: trzydzieści rubli; dla kupca wynosiła zabójcze sześćdziesiąt rubli. Szlachta mogła się wykupić za sto.

Dla Daniła taka suma była nieosiągalna.

Chociaż wygląd Prokopa zawsze go oburzał, wydawało mu się, że szlachta dworska żyje w innym świecie. Teraz jednak to się zmieniło.

– Nie wiem, jak przyjmują to szlachetnie urodzeni, ale zwykły człowiek nie może mieć wątpliwości – oznajmił Arinie. – Zgolenie brody jest grzechem śmiertelnym. Nie zrobię tego.

– Słusznie – zgodziła się Arina.

Mała Mariuszka patrzyła na nich ze zdziwieniem. Nie umiała wyobrazić sobie czcigodnej postaci ojca bez brody.

W rodzinie Bobrowów carski ukaz też wywołał burzę.

– Nigdy! – krzyknęła Jewdokia. – To nie do pomyślenia. – A gdy Nikita mruknął coś o wysokości kary, zezłościła się jeszcze bardziej. – Wolę oddać cały swój majątek niż pozwolić na coś takiego.

Następnego dnia Nikita pojawił się przed nią jedynie z wąsami. Patrzył tryumfująco, ale był trochę zmieszany. Jewdokia odwróciła się na pięcie i przez miesiąc nie pozwoliła mu się do siebie zbliżyć. A gdy próbował się skarżyć, odpowiadała zimno:

– Możesz mnie zbić, jeśli jesteś prawdziwym mężczyzną, ale ja zdania nie zmienię.

Potajemnie przyniosła Daniłowi krążek z brązu, nalegając, by go przyjął.

– Przynajmniej będziemy mieli w domu choć jedną osobę, która wygląda bogobojnie – oświadczyła stanowczo.

I tak mijał ten straszny rok. A w grudniu miały miejsce wydarzenia, które doprowadziły Daniła na skraj otchłani.

Prokop był w dobrym nastroju. I miał wiele zajęć. Strzelcy zostali zmiażdżeni i władza cara była niepodważalna.

Prokop mógł się też cieszyć swoją pozycją na dworze: car był jego przyjacielem.

– A jeśli car ci ufa – opowiadał ojcu – to jest dla ciebie najlepszym człowiekiem na świecie.

Należało przyznać, że przy swoim okrucieństwie Piotr był tolerancyjny dla ludzkich słabości.

– Wybacz ci niemal wszystko, o ile nie będziesz kłamał – mówił Prokop. – Kiedyś spóźniłem się na paradę. Car był zły i myślałem, że każe mnie wychłostać, ale gdy się przyznałem, że piłem przez całą noc i obudziłem się dopiero przed chwilą, roześmiał się i powiedział, żebym na przyszłość się pilnował.

Prokop był w dobrym nastroju głównie dlatego, że Piotr przygotowywał wielką wyprawę – chciał zająć porty nad Bałtykiem.



To była tajemnica. Szwedzi mieli silną armię i należało wziąć ich z zaskoczenia. Brandenburgia, Dania, Saksonia, wszyscy chcieli zaatakować Szwedów i podzielić między siebie nadbałtyckie ziemie zamieszkałe przez Litwinów, Łotyszy i Estończyków. Jednak Piotr nie mógł uderzyć na północy, dopóki nie uzyska pewności, że na południu nie zaatakuje go osmańska Turcja. Dlatego przez cały rok zapewniał szwedzkich posłów, że jest ich przyjacielem, a jednocześnie jego wysłannik do Konstantynopola starał się zawrzeć korzystny traktat z sułtanem.

W tym czasie Rosja się zbroiła.

Nowe angielskie karabiny skałkowe były nieporównanie lepsze od dawnych, bardzo zawodnych muszkietów, w które uzbrajano strzelców. Równie imponujące były nowe bagnety sprowadzane z Francji.

– Patrzcie, jak to jest zrobione – tłumaczył Prokop ojcu i Daniłowi. – Z muszkietu najpierw się strzela, potem wkłada do lufy bagnet, który znów trzeba zdjąć przed kolejnym strzałem. A ci sprytni Francuzi wymyślili, żeby nasadzać bagnet po zewnętrznej stronie lufy. W ten sposób da się strzelać bez jego zdejmowania.

Żaden z mężczyzn nie widział nigdy podobnej broni i nawet Danił, dawny Kozak, przyznał, że broń jest świetnie wykonana.

Ale państwo potrzebowało na to dużo pieniędzy.

– Zamierzamy obłożyć podatkami wszystko, co się tylko da – oznajmił Prokop. – Nawet męskie brody. – Roześmiał się. – A ponieważ handel się ożywi, gdy przejdziemy porty nad Bałtykiem, to i od kupców coś wyciągniemy.

– W jaki sposób? – zainteresował się Nikita.

– To proste. Przeprowadzimy reformy administracyjne.

I wyjaśnił, że Piotr zamierza całkowicie uniezależnić kupców i rzemieślników od władzy gubernatorów prowincji, a do tego pozwolić im wybierać własnych urzędników.

– To powinno ich ucieszyć – zauważył Nikita. Bo choć kiedyś sam miał nadzieję zostać gubernatorem, doskonale zdawał sobie sprawę z korupcji w administracji.

– Niezupełnie. – Prokop uśmiechnął się szeroko. – Bo ich podatki wzrosną dwukrotnie.

Wiele reform Piotra służyło dobru Rosji, jednak prawdą jest, że większość miała na celu przede wszystkim skuteczne zwiększanie dochodów.

Car potrzebował nie tylko pieniędzy, ale i ludzi. Prokop nalegał, by Nikita wystawił ze swoich majątków, w tym także z Ruski, odpowiednio liczny oddział żołnierzy.

– I dopilnuj, żeby wszyscy byli ogoleni – przypomniał.

A gdy Nikita zaczął się zastanawiać, dlaczego chłopscy rekruci mieliby zostać pozbawieni zarostu, Prokop szybko mu przerwał:

– W ten sposób łatwo poznamy dezertersów.

Car znalazł jeszcze jedno źródło rekrutów.

– Chłopom, którzy dostali wolność od swoich panów, bynajmniej się nie upiecze – tłumaczył Prokop. – Muszą się zameldować u urzędnika prowadzącego pobór albo stracą wolność.

– Czyli będą wolni, ale w wojsku?

– Właśnie.

Widząc tę bezwzględną skuteczność, Nikita pokręcił jedynie głową.

Jednak Nikitę najbardziej nurtowało, co te zmiany oznaczają na przyszłość.

Bieżące wydarzenia nie oburzały go tak mocno jak Jewdokię czy Daniła. I chociaż poczucie wyższości emanujące z Prokopa sprawiało mu przykrość, starał się zachowywać pokorę i wykazywać zainteresowanie. Poszedł zobaczyć całe regimenty wojska ubrane w niemieckie mundury. Widział, jak Prokop wychodzi z domu z żoną ubraną w niemiecką suknię, której najwyraźniej się wstydziła. Widział kpiny z Kościoła, patrzył, jak jedyne dziecko syna cara odbiera się matce i daje pod opiekę cudzoziemcom.

– A ja bym chciał jedynie wiedzieć – wybuchnął przy Prokopie, gdy któregoś dnia przed Bożym Narodzeniem byli tylko we dwóch – chciałbym jedynie od ciebie usłyszeć, ku czemu to zmierza! Czy mamy już nie być Rosjanami? O to chodzi? Podobno car wolałby, żebyśmy wszyscy mówili po holendersku.

Na szczęście w tej kwestii syn mógł go pocieszyć.

– Do tego car się nie posunie, choć ośmielam się sądzić, że byłby zachwycony, gdybyśmy znali holenderski. – Prokop się zaśmiał. – Musisz jednak wiedzieć, ojcze, że aby pojąć to, co się teraz dzieje, trzeba by spoglądać nie na Rosję, ale na świat.

– A po co?

– Bo w Rosji nikt nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jesteśmy zacofani. Gdybyś pojechał do Londynu albo Amsterdamu, od razu byś to zobaczył. Czy za twoich czasów car Aleksy nie sprowadzał z zagranicy oficerów i nie korzystał z ich metod? I czy nie był prawdziwym Rosjaninem?

– Był – przyznał potulnie Nikita.

– My, Rosjanie, musimy wziąć od cudzoziemców to, co nam przyniesie korzyść, a resztę odrzucić.

– Ale dlaczego car tak nienawidzi religii?

– To nieprawda. Problem w tym, że Cerkiew jest tak zacofana, tak pełna przesądów, tak niechętna wszelkim zmianom, że nie można z nią współpracować.

– Prokop umilkł na chwilę. – Car Piotr jest jak olbrzym wciągający wielką armię na szczyt wzgórza. Tylko że ta armia patrzy w niewłaściwą stronę i ciągnie go w dół. Dlatego car musi być silny. Musi być stanowczy. Jeśli chce coś osiągnąć, musi postępować tak jak Iwan Groźny. Tylko tak przywróci Rosji potęgę.

– A więc nie będziemy się musieli upodobnić do tych z zachodu? Będziemy mogli pozostać Rosjanami, gdy już ich dogonimy?

Prokop położył dłoń na ramieniu ojca.

– Oczywiście. W zeszłym tygodniu car powiedział mi wprost: „Prokopie Nikitowiczu, będziemy potrzebowali Europy przez dwadzieścia lat, a potem będziemy mogli odwrócić się do niej plecami”.

*Rok 1700*

I wtedy przyszła rzecz straszna.

Nastąpił koniec dawnej Rosji.

Dla wielu ludzi był to prawdziwy kataklizm, jakby niebo rozpadło się na dwoje.

I widząc ten przerażający znak, Daniil uznał, że – tak jak od dawna się obawiał – nadchodzi koniec świata. Przywołał do siebie Jewdokię, Arinę i małą Mariuszkę i powiedział im poważnie:

– Apokalipsa się zaczęła. Antychryst jest wśród nas.

To był rzeczywiście świt nowej epoki.

Bo oto w grudniu 1699 roku car Piotr postanowił zmienić kalendarz.

Żeby zrozumieć znaczenie tego wydarzenia, należy pamiętać, że w ówczesnej Rosji był rok 7207 liczony od dnia stworzenia świata. Rosjanie trwali przy tym kalendarzu od czasów pradawnego Kijowa.

Trzeba też wiedzieć, że zgodnie z tym systemem rok zaczynał się nie w styczniu, ale we wrześniu.

Dla każdego Rosjanina miało to sens. Przecież w *Księdze Rodzaju*, w opowieści o Adamie i Ewie, jest mowa o jabłku zerwanym z drzewa. A zatem świat zaczął się na jesieni, to przecież oczywiste!

Fakt, że reszta świata używała innego kalendarza, stanowił jedynie kolejny dowód na bezbożność innych krajów.

I właśnie ten kalendarz car Piotr postanowił zmienić w grudniu 1699 roku. Wydał w tym celu ukaz, że od następnego miesiąca zacznie się nowy rok i nowe stulecie. I tak oto w styczniu nadszedł rok 1700.

Piotr uczynił tylko jedno ustępstwo na rzecz rosyjskiej wrażliwości. Nieco wcześniej katolickie kraje Europy przyjęły nowoczesny kalendarz gregoriański. Anglicy, jako protestanci, wciąż używali starszego kalendarza juliańskiego. Niewielka rozbieżność w wyliczeniu dni w roku sprawiła, że z każdym kolejnym stuleciem różnica między oboma kalendarzami coraz bardziej się powiększała. W owych czasach kalendarz juliański był o jedenaście dni za gregoriańskim. Ale lepiej się trochę spóźnić, niż przyznać rację papieżowi! Dlatego Piotr postanowił przyjąć kalendarz juliański, przez co aż do roku 1918 Rosjanie byli opóźnieni w stosunku do Zachodu o dwa tygodnie.

I właśnie tę nową epokę Piotr przyniósł do Rosji. Wydał też dekret nakazujący, by dla uczczenia nowego roku przez pierwszy tydzień stycznia nad każdymi drzwiami wisiała gałąź sosny albo jałowca.

Dla Daniila i jemu podobnych było to ostateczne potwierdzenie najgorszych obaw.

Przekonanie o zbliżającym się końcu świata – choć zawsze obecne wśród ludzi – za życia Daniila bardzo się upowszechniło. Nie tylko raskolnicy tak uważali. Jeszcze przed schizmą krążył po Ukrainie zbiór traktatów zatytułowany *Księga Cyryla*, w którym przewidywano koniec świata. Uczniowie Kapitona, których Daniil poznał nad Wołgą, już w czasach jego młodości nakazywali chłopom przygotowywać się do apokalipsy. A pewien mnich powiedział mu wprost: „Po soborze nawet Nikon doszedł do wniosku, że kres już jest bliski”.

Koniec nadchodził. Pozostawało jednak pytanie o konkretną datę. Kiedy Daniil przybył do Moskwy, panowało powszechne przekonanie, że koniec świat jest tuż-tuż.

Dokonywano nieustannych obliczeń dokładnej daty, a celowali w tym zwłaszcza raskolnicy. Do naszych czasów przetrwało tysiąc rozpraw na ten temat. Wszystkie wychodziły z tego samego założenia, że liczbą Antychrysta jest 666, ale jedni dokonywali

obliczeń od czasu rozłamu między Kościołem katolickim a prawosławnym, inni twierdzili, że przez tysiąc lat Antychryst tylko czekał na tę liczbę, i w swoich obliczeniach wskazywali rok pomiędzy 1666 a 1691.

Jeszcze w Rusce Daniil był rozdarty. Obawiał się, że koniec świata jest blisko, ale szczęście, które znalazł w swojej małej rodzinie, dało mu nową nadzieję. Jednak w Moskwie ta nadzieja się rozwiąła.

O dziwo, w tej kwestii przekonał Daniila były mnich, który przyłączył się do raskolników. Był to człowiek poważny, drobnej postury, a poznali się na jednym z potajemnych spotkań modlitewnych. Mnich był malarzem ikon i to ich do siebie przyciągnęło, a poza tym miał wspaniały zbiór pamfletów religijnych. Miał też wiele rycin przedstawiających cara Aleksego i Nikona jako rogi Antychrysta albo Nikona jako bestię apokalipsy.

Doskonale znał Księgę Objawienia, potrafił cytować kolejne fragmenty, wyjaśniając ich związek z obecnymi wydarzeniami.

Z każdym dniem Daniil był coraz bardziej zbulwersowany tym, co się dzieje w Moskwie, a jednocześnie jego umysł coraz bardziej wypełniał się formułami i cytatami przytaczanymi przez mnicha. To bardzo wykształcony człowiek, stwierdził Daniil. I chyba wszystko, co mówi, jest prawdą.

Ale jeśli rzeczywiście przyszedł koniec świata, to Antychryst też musiał zejść na ziemię. Wielu ludzi tak uważało. Kto nim był?

Jedni twierdzili, że car Aleksy. Inni – że Nikon, który dla wielu był także Żydem!

Jednak także w tej kwestii mały mnich wiedział lepiej.

– Powiedz mi: kto jest prawdziwym ojcem Piotra?

– Car Aleksy.

– Być może. Ale w takim razie dlaczego on jest taki wysoki i ciemnowłosy? Nikt inny nie przychodzi ci do głowy?

Daniil patrzył, nie rozumiejąc.

– Mój przyjacielu, dobry z ciebie człowiek i nie umiesz dostrzec zła. Powiadam ci, ojcem Piotra jest nie kto inny, tylko nikczemny Nikon. A ten ohydny potomek z nieprawego łoża nie może być naszym carem. Czy on postępuje jak prawdziwy car?

Daniil mógł jedynie przyznać, że nie.

– To Piotr jest Antychrystem – zakończył mnich tryumfalnie. – To on ma rozpocząć apokalipsę. Strzeżcie się!

Bóg świadkiem, że z każdym mijającym miesiącem Piotr dostarczał swoim poddanym dowody potwierdzające takie przekonanie. A ostatecznym dowodem, o ile ktoś go w ogóle potrzebował, był haniebny dekret o zmianie sposobu liczenia lat.

– Bo czyż nie zostało powiedziane, że Antychryst zmieni czas? – przypomniał mnich Daniilowi. – Czy nie zostało powiedziane, że boska miara czasu zostanie zniesiona i zastąpiona miarą szatana?

– Tak, to prawda – przytaknął Daniil.

– W takim razie musimy dawać świadectwo, że to jest Antychryst – napomniał Daniila mnich.

Święto Epifanii – Objawienia Pańskiego, które wypada szóstego stycznia

i wywodzi się z dawnego żydowskiego Święta Świąteł – obchodzone jest w Rosji wyjątkowo uroczyście. Celebryje się wtedy chrzest Jezusa w Jordanie.

To bardzo piękne i subtelne święto, przywołujące na myśl obraz wody, światła i spływającej z nieba gołębiczy.

Zgodnie ze zwyczajem podczas święta Epifanii świeciło się w Rosji wodę, a w Moskwie ceremonia ta przebiegała szczególnie pięknie.

Dlatego Mariuszka była bardzo podekscytowana, gdy ojciec zapowiedział jej, że z samego rana pójdą nad rzekę obejrzeć uroczystość.

Już od trzech tygodni wyczuwała napięcie. Widziała, jak pani Jewdokia i rodzice często ze sobą rozmawiają, słyszała wypowiedziane półgłosem słowa, takie jak „niegodziwość” czy „Drugie Przyjście”. Widziała zielone gałązki nad drzwiami i słyszała, że przyszedł Nowy Rok. Ale ponieważ ojciec stanowczo powiedział, że Nowego Roku nie ma, uznała, że wszyscy inni muszą się mylić.

Lecz dziś wszystko zapowiadało się pięknie. Wiał ledwo wyczuwalny wiatr. Niebo przesłaniała cienka warstwa wysokich chmur, przez które czuło się promienie słońca. Na ulicach było tłoczno, nad rzeką zebrał się już wielki tłum. Mariuszka widziała nawet ludzi siedzących na stromych dachach domów. Po zamarznętej rzece przeszła z rodzicami na drugi brzeg, gdzie wszyscy troje zajęli miejsca naprzeciwko wysokich murów Kremla.

Na środku rzeki, na ogrodzonej dużej przestrzeni, stał niewielki drewniany budynek przypominający kaplicę, gęsto zawieszony ikonami. Przed nim wyrąbano okrągły, podobny do studni przerębel. Wokół stali młodzi księża i diakoni.

Mariuszka spojrzała na ojca. Rozumiała już, co to znaczy być raskolnikiem, ale miała nadzieję, że przyglądanie się ceremonii odprawianej w zwykłej cerkwi nie jest niczym zdrożnym. Z radością zauważyła, że Daniil z aprobatą patrzy na rzekę, więc uradowana wzięła matkę za rękę.

Wiedziała też, że niedługo zobaczą na własne oczy cara i patriarchę, którzy z ustawionych na łodzie bliźniaczych tronów mieli oglądać poświęcenie wody. Była tak zafascynowana, że aż przestała patrzeć na rodziców.

Dostrzegła czoło zbliżającej się procesji. Powiewająca chorągiew, migotanie wysadzanych klejnotami mitr. Byli coraz bliżej.

Ale nagle rozległ się inny dźwięk – werbli i piszczałek – dziarski, wesoły, ale nieprzyjemnie przenikliwy. Na łód zaczęły wchodzić jedna za drugą kolumny równo maszerujących żołnierzy. Mieli na sobie dopasowane niemieckie mundury, czerwone, niebieskie i zielone, getry i trójgraniaste kapelusze. Na ramionach nieśli karabiny skałkowe. Wszyscy byli gładko ogoleni. Przed każdą kompanią maszerował człowiek ze sztandarem. A na czele pierwszej kolumny szedł wysoki, potężny mężczyzna w zielonym mundurze. Przy warkocie bębnow i pisku fujarek dwanaście tysięcy cudzoziemsko wyglądających żołnierzy uformowało duży czworokąt wokół miejsca, z którego księża mieli święcić wodę.

Dopiero gdy wojsko zajęło miejsca, na łodzie pojawili się duchowni.

Nareszcie. Ależ to była dostojna, wspaniała procesja! Zaraz za wielkim złotym krzyżem dwunastu księży niosło na ramionach ogromną latarnię, w której za okienkami z miki paliły się jasno grube świece. Dalej szło pięciuset duchownych w złotych szatach

i mitrach ozdobionych klejnotami: arcybiskupi, biskupi, archimandrycy, popi i diakoni. Gdy zajęli swoje miejsca, zapalono setki cienkich długich świec. Na specjalnym podwyższeniu stanął diakon, trzymając wysoko w górze wielką chorągiew ze złotym wizerunkiem dwugłowego orła carów rosyjskich. Patriarcha zasiadł na tronie. Oto był przepych dawnej Rosji w pełnej krasie.

Mariuszka rozejrzała się, szukając cara. Dlaczego patriarcha siedzi sam?

– Gdzie jest car Piotr? – szepnęła.

– Tam – odparła Arina.

Mariuszka zmarszczyła brwi. Tam, ale który?

Rozpoczęła się ceremonia. Pop w mitrze zamachał kadzielnicą nad przerębem: raz, drugi, trzeci. A potem zanurzono tam długie świece. Wody zostały poświęcone.

To był święty moment. Mariuszka od razu zrozumiała, że wody rzeki zostały w sposób niepojęty przemienione w Jordan. Tak, to była Święta Rosja.

Przez cały ten czas wojsko stało w milczeniu. W najważniejszych momentach ceremonii pop na podwyższeniu powiewał sztandarem z dwugłowym orłem, na co wojskowe sztandary natychmiast odpowiadały mu tym samym. Na zakończenie przyniesiono chorągwie nad przerębem, gdzie zostały skropione świętą wodą.

Uroczystość dobiegła końca. Duchowni zaczęli się odwracać. I wtedy nagle niebiosa jak gdyby rozpekły się z hukiem.

Przez chwilę Mariuszka miała wrażenie, że świat się skończył. Niebo wypełnił potężny grzmot, a potem ryk. Dziewczynka drgnęła tak gwałtownie, że nieomal podskoczyła. A gdy huk armatniego wystrzału wciąż się przetaczał echem nad zamarznąłą rzeką, rozległ się łoskot – to dwanaście tysięcy żołnierzy podniosło strzelby i wypaliło w powietrze. Po chwili oddali jeszcze jeden strzał, i jeszcze jeden.

Przestraszona Mariuszka zaczęła płakać.

To był wkład cara Piotra w obchody święta Objawienia.

Dopiero później rodzice wytłumaczyli jej, że tamten wysoki mężczyzna w mundurze, stojący z dala od patriarchy, to był car, a huk wystrzałów miał być dodatkiem do radosnych uroczystości.

Daniłowi po raz pierwszy wydawało się, że zobaczył twarz Antychrysta.

Była zacięta. Była zimna. I niepodobna do niczego, co istniało wcześniej w Rosji. Bo oto Danił zrozumiał, że Antychryst, car Piotr, jest tym samym co państwo bez religii. I przypomniał sobie zdanie, które zaledwie tydzień wcześniej usłyszał od jednego z raskolników i którego wówczas nie rozumiał.

– A więc to tak – mruknął. – Antychryst ma pełnię władzy, bo ludzie mu się podporządkowali.

Piotr był nowym państwem. I chodziło mu jedynie o władzę.

Tydzień później przyjaciel Daniła, mały mnich, zniknął.

Podobno zabrano go do Prikazu Preobrażeńkiego na przesłuchanie. A po dziesięciu dniach wśród raskolników rozeszła się wieść, że mnich nie żyje. Przyznał się do głoszenia, że Piotr jest Antychrystem. Powiedział nawet strażom, że nie wolno im słuchać cara. Nie wydał jednak współbraci. Skazano go na śmierć znaną w Rosji jako kopczenie – biedna ofiara wędziła się powoli jak kawał mięsa.

Tydzień po tych wydarzeniach Daniil wyjechał do Ruski.

*Rok 1703*

Andriej był szczęśliwy, że znów jedzie do Moskwy. Zwłaszcza że – jak się dowiedział z listów – jego stary przyjaciel Nikita Bobrow wciąż żył.

I chyba wzbogacił się tak samo jak ja, myślał z uśmiechem.

Musiał przyznać, że los był dla niego łaskawy. Owszem, zesłał mu też cierpienie, śmierć trojga dzieci i pierwszej żony. Ale dał mu też szczęśliwe drugie małżeństwo i troje nowych dzieci, z których największą pociechą był dla niego syn Pawło.

Pawło – przystojny, odważny młodzieniec, prawdziwy Kozak.

No i Andriej dorobił się też kilku majątków.

– No i właśnie dlatego – mawiał – jestem dobrym Rosjaninem.

Po śmierci Chmielnickiego i przyłączeniu do Wielkiego Księstwa Moskiewskiego Ukraina wiele wycierpiała. Nastął okres nazwany Ruiną – Polska i Rosja toczyły ze sobą wojny o ukraińskie ziemie, a różne frakcje kozackie prowadziły walki wewnętrzne.

Ale to się na szczęście skończyło. Po żmudnych rozmowach Rosja podpisała z Polską traktat pokojowy. Polska zatrzymała ziemie na zachód od Dniepru z wyjątkiem Kijowa, a Rosja zajęła tereny na wschód od Dniepru zwane Lewobrzeżem. Jednocześnie kijowskie duchowieństwo, dotychczas podległe Konstantynopolowi, przeszło pod zwierzchnictwo patriarchy moskiewskiego. Towarzyszyło temu pewne niezadowolenie, Ukraińcy bowiem nadal uważali się za bardziej wykształconych od Moskali.

Rosja znalazła wówczas nowego hetmana, który miał władać Lewobrzeżem. Był to szlachcic wykształcony, o doskonałych manierach, który przez pewien czas pozostawał na służbie polskiego króla. Nazywał się Iwan Mazepa, a jego imię stało się na Ukrainie tak samo sławne jak imię Chmielnickiego.

Mazepa miał kilka prostych celów: rządzić w imieniu Rosji, wzmocnić kozacką armię, nie zmieniać położenia chłopów i biednych Kozaków, no i oczywiście zdobyć majątek. Jego polityka była skuteczna, choć ściągnęła na niego nienawiść zwykłych ludzi.

W ciągu trzydziestu lat Iwanowi Mazepie udało się zgromadzić prawie dwadzieścia tysięcy majątków – wyczyn rzadko spotykany nawet w czasach największego rozkwitu feudalizmu. Dawał też majątki swoim najwierniejszym oficerom, między innymi Andriejowi i jego synowi.

– Dzięki Mazepie mamy dziesięć posiadłości – przypominał Andriej Pawłowi.

– I zobacz, jak on sprytnie umiał się zaprzyjaźnić z carem Piotrem.

To prawda, Mazepie udało się nawiązać bliską i przynoszącą duże korzyści więź z carem, który ufał mu bardziej niż swoim dworzanom.

A Pawło, dzięki Bogu, cieszył się względami Mazepy. Pierwszy raz poszedł z nim na wojnę, gdy Kozacy pomogli w zdobyciu Azaku. Miał wówczas zaledwie siedemnaście lat, ale zwrócił na siebie uwagę samego cara Piotra. Naprawdę czekała go wspaniała przyszłość. Mógł nawet zostać hetmanem.

Teraz Pawło był przystojnym, ciemnowłosym dwudziestopięcioletkiem, nieco niższym od Andrieja w jego wieku, ale potężniej zbudowanym. Miesiąc wcześniej złamał

przy upadku rękę i na czas rekonwalescencji pojechał odwiedzić rodziców. Początkowo niecierpliwił się swoją bezczynnością, ale Andriej oznajmił mu nieoczekiwanie:

– Wydaje mi się, że wyjdzie to nam na dobre.

Były to naprawdę ekscytujące czasy. Rosja rozpoczęła wojnę ze Szwecją. Karol XII, młody i odważny król szwedzki, był pewien, że pokona źle wyszkolonych Rosjan, i z całym spokojem zaatakował także Polskę. A dla prawdziwego Kozaka mogło to oznaczać jedno: okazję do walki i zdobycia nowych bogactw.

– Do prowadzenia wojny na północy car potrzebuje odpowiednich ludzi. A Mazepa chce go poprosić o pozwolenie na odebranie Polakom ziem po drugiej stronie Dniepru – tłumaczył Pawło ojcu. – Tak czy inaczej nie mogę się doczekać, aż będę gotowy wyruszyć.

– Poza wojną są inne sposoby na zdobycie awansu i majątku – zauważył Andriej.

– Spójrz tylko na Mazepę.

Pawło nie mógł sobie wymarzyć lepszego momentu na podróż do Moskwy i polecenie swojej osoby carowi.

Na razie wszystko zapowiadało się obiecująco: Mazepa dał mu list do Piotra, a Andriej się dowiedział, że syn jego starego przyjaciela Nikity Bobrowa jest w najbliższym otoczeniu cara. Dlatego z wielkimi nadziejami jechał przez Rosję na północ. Niewiele wiedział o młodym carze. Biedni Kozacy go nienawidzili. Podziwiali jego podboje na południu i to, że przestał płacić daniny chanowi krymskiemu, ale byli głęboko przeciwni nowinkom religijnym – wielu przyłączyło się do raskolników – i wojnie na północy. Ze swoją dzikością i brakiem dyscypliny byli zupełnie bezużyteczni w starciu z dobrze wyszkoloną piechotą szwedzkiego króla. I ponosili wysokie straty.

– Jesteśmy mięsem armatnim dla angielskich i niemieckich oficerów – mówili nie bez słuszności.

Ale Andriej bynajmniej się tym nie kłopotał. Kozacki właściciel ziemski to zupełnie co innego niż biedni chłopci zmuszani do wojaczki.

Wyjeżdżali z Kijowa wiosną. Robiło się ciepłej, rzeki wytyczały sobie nowe koryta. Każdego roku podczas roztopów wezbrane wody niosły tyle gałęzi, lodowej kry, kamieni i mułu, że ich bieg nieco się zmieniał. W jednym miejscu brzeg się osuwał, w innym gromadził się muł, zwalone drzewa kierowały strumienie w nowe łożyska, łąka zamieniała się w mokradło. Każdego roku ta sama rzeka wyglądała nieco inaczej.

Andriejowi przemknęło przez myśl, że on też odbywa tę samą podróż co przed pół wiekiem, tę samą, ale przecież inną i do tego z synem.

Nie narzekał na zdrowie, ale jakiś wewnętrzny głos mówił, że to będzie jego ostatnia długa wyprawa. Siły wciąż mu dopisywały, ale miał siedemdziesiąt cztery lata. Dlatego ze smutkiem przygotowywał się na pożegnalne spotkanie z Moskwą.

Przed oczami przesuwało mu się tyle wspomnień: młodość, Byk, Mariuszka. Twarze, których nigdy już nie zobaczy po tej stronie rzeki życia.

W roku 1703 Bobrowowie mieszkali w nowym domu w Moskwie.

Był solidny, obszerny, jednopiętrowy, do tego murowany. Miał niezbyt wysokie, lecz duże pokoje. Podłogi były zrobione z grubych, wypolerowanych desek. Przy



ścianach stały proste meble – ciężki stół, kilka drewnianych krzeseł. A w głównej izbie – oprócz wiszącej w rogu ikony – honorowe miejsce zajmował wysoki, kanciasty piec wykładany holenderskimi płytkami.

Prokop Bobrow przez pół roku musiał przekonywać ojca do sprowadzenia tych płytek, ale gdy piec już stanął, Nikita był z niego dumny.

– Owszem, są holenderskie – mówił, pokazując je gościom.

I właśnie do tego pieca Nikita Bobrow prowadził teraz starego przyjaciela Andrieja i jego syna Pawła.

– Co za radość! Po tylu latach! – mówił uszczęśliwiony. – Jak widzisz, wiele się zmieniło od czasu twojego ostatniego pobytu – dorzucił, wskazując gestem na piec i cały dom.

Rzeczywiście zmiany były duże.

Andriej był naprawdę zdziwiony, widząc przyjaciela bez zarostu, jedynie z wąsami, i do tego w obcisłym niemieckim mundurze.

– Mój drogi Nikito, wyglądasz prawie jak Kozak! – zawołał ze śmiechem.

– A i owszem. – Nikita był trochę zakłopotany, ale i dumny. – Sam rozumiesz, carskie rozkazy.

Bo rok po nałożeniu podatku od bród Piotr uderzył znowu. Tym razem wszystkie klasy powyżej chłopstwa miały nosić węgierskie albo niemieckie krótkie kurtki zamiast długich kaftanów, które – choć cieplejsze na rosyjską zimę – uznał za staromodne i niepraktyczne. Kazał nawet powiesić przy bramach miejskich stosownie ubrane manekiny, żeby poddani wiedzieli, jak mają się nosić.

– Dziś wszystko jest u nas bardzo zachodnie – ciągnął Nikita. – Młodym ludziom wolno się spotykać ze sobą jeszcze przed ślubem. Kobiety nie muszą żyć w odosobnieniu. Car nakazał nawet, żeby pojawiały się na dworze razem z mężami. Postęp na każdym kroku, że tak powiem.

Ale Jewdokia, gdy już pokazała się gościowi, miała na sobie długą rosyjską suknię i przywitała go z tradycyjnym szacunkiem.

– Moja żona zachowuje w domu dawne zwyczaje – zauważył Nikita z nutą zażenowania.

Ale obu Ukraińcom te dawne zwyczaje bardziej się podobały.

Andriej był zafascynowany wszystkim, co zobaczył i czego się dowiedział w ciągu następnych dni.

Nikita, uradowany przyjazdem Karpieńków, nalegał, by zatrzymali się w jego domu, i chętnie oprowadzał ich po mieście. Ale Andriej zauważył przede wszystkim nie tyle nowe oblicze Moskwy, ile subtelną zmianę postaw i zachowań.

W czasach młodości Nikita był surowy wobec cudzoziemców, dziś natomiast w jego głosie pojawiła się pochwalna nuta.

– Bo wiesz, mamy teraz w mieście aptekarzy – opowiadał. – Oraz gazetę.

Albo mówił:

– Tu jest nowa szkoła nawigacji, a niedługo ruszy szkoła języków obcych. Ale pewnie w Małorusi przywykliście do takich rzeczy.

A innego razu oznajmił z pokorą:

– Car usankcjonował protestantów. Myślisz, że postąpił słusznie?

Bo Nikita widział też, że Cerkiew nie ma już takiej władzy.

Stworzono nowy urząd do spraw kościelnych, ale tym razem, jak wywnioskował Andriej, car umiał skutecznie odebrać Cerkwi część dochodów i przekazać je na rzecz państwa.

– Kazał też przetopić wiele kościelnych dzwonów na armaty – wyjaśnił Nikita.

Bo stary patriarcha zmarł trzy lata wcześniej. A ponieważ był także ich patriarchą, prawosławni na Ukrainie zastanawiali się, kto zajmie jego miejsce. Na razie mianowano jedynie tymczasowego następcę. Jednak gdy Andriej zapytał swojego gospodarza, kto jego zdaniem powinien objąć to stanowisko, Nikita pokręcił głową.

– Nic nie rozumiesz. Chodzą słuchy, że nie będzie żadnego. Piotr nie potrzebuje patriarchy.

– Jak to? Przecież car nie może znieść patriarchatu. Nie jest Bogiem.

Nikita znów pokręcił głową.

– Wy go jeszcze nie znacie – powiedział cicho.

Te kwestie działały na Andrieja przygnębiająco, ale wieści o wojnie poprawiły mu humor. Po kilku nieudanych próbach Piotrowi udało się zdobyć punkt zaczepienia nad Bałtykiem. Nie zajął jeszcze żadnego ważnego portu jak Rewal czy Ryga, ale poprzedniego roku odzyskał fort nad jeziorem Ładoga, tam gdzie wiele stuleci wcześniej legendarny Aleksander Newski stawiał skuteczny opór odwiecznym wrogom Rosji.

– W tamtych rejonach jest jeszcze jeden fort, u ujścia Newy do morza – tłumaczył Nikita. – Gdy go zdobędzie, będzie miał dostęp do Bałtyku. Może niezbyt duży, ale wystarczający, by ogłosić zwycięstwo – dodał z uśmiechem.

Tydzień później pojawiły się nowe wieści. Przyniósł je Prokop.

– Car zdobył nadmorski fort. Wygrał też bitwę na Newie ze szwedzką flotyllą. I ma swój przyczółek na północy.

To prawda. Miejsce było odludne i podmokłe – po fińsku *neva* oznacza mokradła. Nie było tam nic oprócz fortu. Ale Newą można było dopłynąć do jeziora Ładoga, a stamtąd jeszcze dalej do wielkiego systemu rzecznojeziornego Rosji. Jednak w porównaniu z Rewalem czy Rygą fort był niczym.

Lecz w 1703 roku Piotr miał tylko to. I był zachwycony. Przyznał sobie i swojemu faworytowi Mienszykowowi Order Świętego Andrzeja, który właśnie ustanowił. Rozesłał wieść, że w czerwcu wkroczy tryumfalnie do Moskwy. I od razu przystąpił do budowy nowego, lepiej umocnionego fortu nad Newą, zaczynając od solidnego domu z bali dla siebie.

– Jak się będzie nazywał ten nowy carski fort? – spytał Nikita.

– Twierdza Pietropawłowska – odparł Prokop. – Kiedy wyjeżdżałem, car planował zbudować tam miasto. Znasz pewnie te jego nagłe pomysły.

– Miasto? Na mokradłach?

– Wiem, że to brzmi bezsensownie. Może zmieni zdanie.

– A jak on chciałby to miasto nazwać? – zaciekał się Nikita.

Prokop uśmiechnął się szeroko.

– Chyba Petersburg.

Nie zdążyli omówić niedorzeczności tego planu, gdy pojawił się posłaniec z wiadomością, która wypłoszyła z głowy Nikity wszelkie myśli o drobnym zwycięstwie Piotra.

Z Ruski przyjechał zarządca.

Najwyraźniej tamtejsi mieszkańcy całkowicie poszaleli.

Danił przez cały czas wiedział, że to się tak skończy.

Wiedział to już trzy lata wcześniej, gdy zmarł pop Silas. Było to latem, zaledwie pół roku po jego powrocie z Moskwy.

To zadziwiające, że ich niewielka społeczność przetrwała tak długo. Nie byłoby to możliwe bez przyjaciół.

Przed wszystkim bez opata. Danił zawsze podejrzewał, że opat im sprzyja, ale Silas powiedział mu o tym dopiero pod koniec życia.

– Wie, co robimy, ale nic nie mówi. Dlatego nikt nas nie niepokoi – tłumaczył Silas.

Zagrożenie mogłoby przyjść ze strony zarządcy, ale on też należał do raskolników i uczył na potajemne nabożeństwa.

Trzecim, równie ważnym sojusznikiem była Jewdokia Bobrowa.

Swoje zainteresowanie religijną wspólnotą musiała utrzymywać w tajemnicy. Wiedzieli o tym jedynie Silas oraz Danił i jego rodzina. Wieśniacy niczego się nie domyślali. Gdyby Nikita się dowiedział, na pewno by to ukrócił. Ale gdy potrzebowano jakiejś ikony, modlitewnika albo świec, Danił i Silas w jakiś tajemniczy sposób zawsze znajdowali na to pieniądze.

– Pamiętamy o tobie w naszych modlitwach, pani – zapewniał ją Danił.

Klasztor dostosował się do nakazów Cerwki, ale był pobłażliwy. O ile za czasów poprzedniej władzy Bobrowowie byli na cenzurowanym, o tyle teraz cieszyli się zaufaniem. Poza tym Ruska była zaściankiem. Przez ponad dwadzieścia lat – gdy wielu raskolników uciekało ze stolicy na północ i chroniło się na dalekim pograniczu, gdy w Niżnym Nowogrodzie albo nad Donem wybuchały zamieszki – władze były przekonane, że w Rusce panuje spokój. A o Gnojowisku nikt nawet nie słyszał.

Wczesną wiosną 1703 roku Silas oznajmił Daniłowi, że umiera.

– Odejdę latem. A ty musisz mnie zastąpić.

– Jestem za stary – zaprotestował Danił.

– Tylko ty możesz ich poprowadzić.

– Ale kto mnie wyświęci na księdza? – spytał Danił.

Bo to był największy problem raskolników.

Stanowili prawdziwy Kościół, ale byli poza Kościołem. Nie przyłączył się do nich żaden biskup, więc nikt nie mógł – przynajmniej oficjalnie – wyświęcać księży. I gdy ostatni popi – tacy jak Silas – którzy otrzymali święcenia przed rozłamem, wymierali, nie miał kto ich zastąpić.

Jedni raskolnicy gotowi byli przyjąć nawet popa, który odszedł od nowego Kościoła, pod warunkiem że przejdzie rytualne oczyszczenie. Inni odwoływali się do dawnego obyczaju, z niechęcią traktowanego przez Cerkwie, i sami wybierali swojego proboszcza. W dawnych czasach taki człowiek udawał się do biskupa po wyświęcenie. A teraz, gdy biskupów nie było, pełnił posługę uznawany jedynie przez swoją parafię.

Po śmierci Silasa oficjalnie postanowiono, że wierni z Gnojowiska będą chodzili do cerkwi w Rusce – chociaż pop z klasztoru miał też od czasu do czasu odprawiać w wiosce nabożeństwo zgodnie z nowymi zaleceniami.

Jednak po każdej wizycie popa malutką cerkiew w Gnojowisku starannie myto i oczyszczano, a raskolnicy pod przewodnictwem Daniła nadal odprawiali swoje potajemne nabożeństwa.

Pod koniec roku wydarzyło się kolejne nieszczęście. Zmarł zarządca.

A jeśli Bobrow przyśle kogoś, kto nie będzie podzielał ich przekonań?

Danił natychmiast napisał list. A Nikita zdziwił się nieco, gdy kilka dni później Jewdokia oznajmiła:

– Pozwól mi znaleźć nowego zarządcę do Gnojowiska. Znam ten majątek znacznie lepiej niż ty.

Nikita, jako że miał na głowie wiele spraw, chętnie się zgodził. A przed Bożym Narodzeniem Danił radośnie przywitał w małej cerkwi w Gnojowisku nowego młodego zarządcę.

Jednak największe zagrożenie wcale nie minęło.

Czasem uważa się, że Piotr był tolerancyjny w kwestiach religijnych. W pewnym stopniu jest to prawda. W 1702 roku nie tylko usankcjonował obecność protestantów i pozwolił im na swobodne wyznawanie wiary, ale też ogłosił zasadę tolerancji religijnej – do tej pory żadnemu carowi nawet nie przyszło to do głowy.

W tym samym roku, natknąwszy się na północy na całą okolicę zamieszkaną przez raskolników, oświadczył, że mogą odprawiać nabożeństwa po swojemu, pod warunkiem że będą dostarczać określoną ilość żelaza na potrzeby wojenne. Co nie przeszkadzało mu pomstować na nich i ich przestarzałe obyczaje. Z niejaką pogardą wydał też prawo, które pozwalało raskolnikom na dawne praktyki, ale jednocześnie kazało płacić podwójne podatki. Musieli też nosić na ubraniach żółte znaki.

Była to wolność dość ograniczona, ale niektórzy chętnie na nią przystali.

Jednak dla wielu raskolników Piotr nie zrobił nic. Z prostej przyczyny: nie mogli okazać całkowitej lojalności ani posłuszeństwa wobec cara i jego zeświecczonego państwa, a tego Piotr bezwzględnie wymagał od wszystkich poddanych. No bo jak mogli mu być posłuszni, skoro widzieli w nim samego Antychrysta?

A przede wszystkim nie mogli się podporządkować jednemu nakazowi.

– Nie możemy z czystym sumieniem modlić się o zdrowie dla cara – oznajmił Danił. – To niemożliwe. Robiąc to, zanegowalibyśmy wszystko, w co wierzymy.

Tego ranka, gdy zmarł opat, Mariuszka wraz z innymi dziećmi z Ruski łowiła ryby po drugiej stronie rzeki, przy klasztorze.

Kiedy zobaczyli mnichów wybiegających z bramy i zwołujących wiernych z pól, wiedzieli, że coś się stało. Chwilę później zaczął bić cerkiewny dzwon.

Wszyscy się spodziewali, że któregoś dnia opat umrze. Był już bardzo stary. Ale zmarł właściwie nagle, osunął się w klasztornej bibliotece, stąd to zaskoczenie i zamieszanie. Zaciekawione dzieci pobiegły pod bramę. W pierwszej chwili mnisi nie zwracali na nie uwagi. Ale ktoś z wiernych powiedział im, co się stało. Mariuszka natychmiast pobiegła do domu.

Zobaczywszy wyraz twarzy Daniila, Arina od razu zrozumiała, że śmierć opata oznacza coś naprawdę poważnego.

Początkowo Mariuszce wydawało się, że lubi nowego opata. Był sympatycznym mężczyzną po pięćdziesiątce, miał okrągłą twarz, jasnoniebieskie oczy i często się zatrzymywał, żeby porozmawiać z dziećmi z Ruski.

Był jednak obcy.

Zaraz po śmierci dawnego opata pojawiła się w klasztorze kościelna wizytacja. A to, co zobaczyli duchowni inspektorzy, nie zrobiło na nich dobrego wrażenia. Wybór następcy unieważniono i ku irytacji mnichów przysłano odpowiedniego człowieka aż z Włodzimierza.

Pojawił się w Rusce na początku maja. A dwa tygodnie później zaczął podejrzewać, że w Gnojowisku dzieje się coś niedobrego. Nie minął kolejny tydzień, a do klasztoru przybyli dwaj obcy i przez jakiś czas naradzali się z nim na osobności.

Dla Mariuszki cerkiew zawsze emanowała ciepłem.

Była to prosta drewniana świątynia z ośmiokątną wieżą pośrodku. Na zadaszony ganek przy drzwiach po zachodniej stronie wchodziło się zewnętrznymi drewnianymi schodami. Pod ziemią mieściła się krypta z piecem, w której wierni zbierali się podczas srogiej zimy.

Wewnątrz cerkwi drewniany sufit zasłaniał wieżę, ale pomieszczenie było wysokie, a przez otwarte okna wpadały snopy światła. Znajdował się tu mały ikonostas z czterema rzędami ikon, choć ostatni rząd, proroków, był tak blisko sufitu, że umieszczono go pod kątem. Wszystkie malowidła wykonali miejscowi artyści, niektóre dość nieudolnie, mimo to sprawiały przyjazne wrażenie.

Było ciepło, wczesnoletnie popołudnie. Słońce łagodnie oświetlało ikony miejscowych świętych obok carskich wrót. W rogach, przed ciemniejszymi ikonami, paliły się świece.

W cerkwi była cała wieś. Małeńkie cząsteczki kurzu tańczyły w długich słupach światła wokół nieruchomych postaci. Gdy wierni pogrążali się w modlitwie tak jak teraz – mężczyźni z długimi brodami, kobiety w chustkach na głowach – Mariuszce wydawało się, że są poza czasem, jakby sama terażniejszość, gdy już została zapowiedziana, stała się wspomnieniem, czymś na kształt snu.

To była jej rodzina. Wśród tych ludzi miała – o ile taka będzie wola boża – żyć i umrzeć. Dlatego należeli do siebie, mała cerkiew łączyła ich łagodną, ciepłą więzią.

Nabożeństwo odprawiał jej ojciec. Miała już dziewięć lat, ale wciąż uważała go za patriarchę – tak samo niezachwianego, tak samo wiecznego jak prorocy z ikonostasu. Wiedziała, że on też kiedyś umrze jak Silas. A jednocześnie będzie żył wiecznie. I zawsze będzie przy niej. Stała obok matki. Arina śpiewała responsoria, a w jej pięknym głosie dźwięczał smutek.

Akurat zaczęli litanie, gdy Mariuszka zauważyła, że do cerkwi wchodzi dwóch obcych. Inne głowy też się odwróciły w tamtym kierunku.

Zobaczyła, że się kłaniają, robią znak krzyża dwoma palcami, a potem stają z szacunkiem z tyłu.

Ojciec też ich dostrzegł. Zaczynając modlitwy, przez ułamek sekundy się zawahał.

Spojrzał jednak w górę, jakby szukając wskazówki, i modlił się dalej.

Mariuszka próbowała się skupić. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zerkać do tyłu i nie sprawdzać, co robią dziwni przybysze.

Czy ojciec modlił się bardziej żarliwie niż zwykle? Czy głos matki nie miał dziś w sobie szczególnego smutku, a jednocześnie niezwykłego ciepła?

Gdy Daniil wzniósł dłoń do ostatniego błogosławieństwa, dwaj mężczyźni nieoczekiwanie wystąpili do przodu.

– Przerwać nabożeństwo! – zawołał jeden.

– To obraza dla Cerkwi i dla cara – oznajmił drugi.

Daniil dokończył błogosławieństwo, powoli i z rozmysłem. A potem, patrząc na obcych, zapytał:

– Chcecie mi coś powiedzieć?

– Żegnasz się dwoma palcami! – krzyknął pierwszy.

Daniil milczał.

– Dlaczego się nie pomodliłeś za jego wysokość cara? – spytał drugi.

Na to Daniil też nie odpowiedział.

Jak on wspaniale wygląda, pomyślała Mariuszka. To przecież sam prorok Eliasz.

Wierni stali nieruchomo.

– Pójdiesz z nami – oznajmił pierwszy mężczyzna.

– Nie, zostanę tutaj.

Jedno proste zdanie. Przybysze rozejrzeli się. Wokół nich stało kilkunastu brodatych mężczyzn, których twarze mówiły, że Daniil nigdzie nie pójdzie.

– Zobaczymy, czy się sprzeciwisz carskim żołnierzom – rzucił jeden groźnie. – Już oni cię przekonają, żebyś się modlił za cara.

Daniil pokręcił powoli głową.

– Car to Antychryst – powiedział.

Nieznajomym aż odebrało na chwilę mowę.

– Jak śmiesz!

Patrzył na nich niewzruszenie. Tak, te słowa w końcu padły. To było nieuchronne. Nie miał innego wyboru.

– Ojczy, mamy ich załatwić? – zawołał stojący z tyłu młody mężczyzna. – Możemy ich utopić.

Daniil skierował na niego wzrok.

– Oby Bóg ci wybaczył taką myśl – powiedział cicho. – Niech odejdą w pokoju.

Odprowadzając przybyszy spojrzeniem, Mariuszka poczuła, że ludzi ogarnia lęk. Wszyscy odwrócili się do Daniila, czekając na jakieś wskazówki.

– Moje dzieci – odezwał się. – Musimy się modlić dalej z nadzieją na zbawienie. Ale musimy także być gotowi. Bo godzina cierpienia nadchodzi.

Godzinę później napisał list, który – jak ustalono – zarządca miał zawieźć do Moskwy.

Nikita Bobrow aż się pienił ze złości.

Już same wiadomości, które ten nikczemnik przywiózł, były wystarczająco złe. A do tego jeszcze list! Nie wyśniłby tego w najgorszym koszmarze.

– Na miłość boską, i co nas teraz czeka? – wykrzykiwał. I nagle, po raz pierwszy od wielu, wielu lat, w jego umyśle pojawiła się sprytna, szydercza twarz Piotra Tołstoja. – Ty łotrze! – wrzasnął Nikita do pustego pokoju. – Chcesz mnie upokorzyć po raz drugi!

Młody zarządca rzeczywiście wpadł w panikę. Choć sprzyjał raskolnikom, to nie miał w sobie takiej niezłomności jak Daniil i inni. Nie należał też do ich społeczności. Gdy w wiosce pojawili się szpiedzy, szczerze się przeraził. W pierwszej chwili chciał uciekać do lasu, uznał jednak, że to bezsensowne.

Rozmyślał akurat, jak się z tego wywinąć, gdy przyszedł do niego Daniil z listem.

– Zawieź go pani Jewdokii – nakazał. – Jesteś zarządcą. Jeśli wyruszysz natychmiast, nikt cię nie zatrzyma.

To polecenie przyszło w samą porę. Niczego więcej nie potrzebował. Ruszył w drogę na długo przed świtem. Ale co ma powiedzieć, gdy dotrze do stolicy? Co ma zrobić?

Postanowił zobaczyć, co jest w liście. Ostrożnie go otworzył, przeczytał całość powoli i znów zapieczętował. Tak właśnie podejrzewał. Daniil w krótkich słowach zdawał Jewdokii relację z tego, co się stało, prosił o pomoc, gdyby mogła jej udzielić, i kończył wyznaniem ich wspólnej wiary.

I ja się do nich przyłączyłem, myślał ponuro. Dobiorą się do niej tak czy inaczej, bez względu na jej pochodzenie. Umrze razem z nimi. I ja też.

Miał tylko jedną szansę. Oddać list Nikicie.

Może wielmożny pan coś poradzi, myślał zarządca. Tylko on może mnie ochronić.

I tak oto zrozpaczony młodzieniec pojawił się w domu Nikity i wręczył mu list.

Nic dziwnego, że Nikita wpadł we wściekłość.

– Co cię opętało! – krzyczał do żony. – Przez dwadzieścia lat nikt z naszej sfery nie interesował się tymi przeklętymi ludźmi!

– Może to nie jest dobrze widziane, ale ja postąpiłam słusznie – odparła sztywno.

– Słusznie? Uważasz, że odrzucanie modlitwy za cara i nazywanie go Antychrystem jest słuszne? Zrozum wreszcie, nie chodzi jedynie o religię. Ten twój cieśla nie tylko przystał do raskolników, on się dopuścił zdrady!

– Tak mu kazała jego wiara.

– Cara nie interesuje jego wiara. On widzi zdradę! – wrzasnął Nikita.

Właśnie, pomyślała Jewdokia. To dlatego tylu Rosjan uważa go za Antychrysta.

– Car nie będzie zachwycony, że nasza rodzina jest w to uwikłana – ciągnął Nikita.

– Gdybyśmy o niczym nie wiedzieli, przymknęliby oczy na fakt, że jacyś nasi chłopcy to zdrajcy. Ale to... – zamachał listem – to jest dowód, że braliśmy w tym udział. Mnie i może nawet ciebie czeka knut. Odbiorą nam majątki. Kariera Prokopa jest skończona. Twoje poglądy to twoja sprawa, ale nie pojmuję, jak mogłaś to zrobić swojej rodzinie, i to drugi raz. – Miał wrażenie, że poczuła się niezręcznie, gdy wspomniał o jej współodpowiedzialności za jego dawne niepowodzenia. – I cokolwiek zrobimy, musimy działać szybko – zakończył ponuro.

Jeszcze tego wieczoru Nikita odbył naradę z Prokopem, Andriejem i jego synem. Od razu wyjawiał, że potrzebuje ich rady. I jak później przyznał, bardzo się ucieszył, że stary Kozak stał się takim przebiegłym człowiekiem.

Zanim zapadł zmrok, z Moskwy wyruszyli czterej mężczyźni.

Prokop i zarządca udali się do odległego majątku Bobrowa.

Andriej i Pawło spieszyli się tak bardzo, że zabrali ze sobą zapasowe konie.

Zmierzali do Ruski.

Opat nie był złym człowiekiem, ale nie zamierzał pozwalać, by takie rzeczy odbywały się tuż pod jego boki, w wiosce niedaleko klasztoru.

Nie chciał wyjść na głupca.

Co więcej, podejrzał, że kilku mnichów potajemnie sprzyja odszczepieńcom. Z pewnością poprzedni opat traktował ich pobłaźliwie. No cóż, czas dać im nauczkę.

Sam nie żywił najmniejszej sympatii do raskolników. Miał zaledwie sześć lat, gdy sobór ich potępił. Wiedział jedynie, że odciągali wyznawców od prawowiernego Kościoła.

– Oni są jak niepotrzebny cień w naszym cieple – oznajmił mnichom.

Oburzyło go, gdy rok wcześniej car Piotr dał do zrozumienia, że mógłby tolerować ich istnienie. Ale szybko zwrócił się przeciwko nim, gdy zobaczył ich zawziętość, pomyślał przenikliwie.

Usłyszawszy relację dwóch inspektorów, po których posłał aż do Włodzimierza, odetchnął z ulgą.

– Dzięki Bogu, ich zdrada wyszła na jaw.

Teraz mógł posłać po wojsko.

Mieszkańców Gnojowiska ogarnęła rezygnacja.

Łamali prawo od dwudziestu lat i przez ten czas docierały do nich wieści o odległych parafiach, w których wierni stali się męczennikami za wiarę.

Teraz do wioski zbliżało się wojsko. Nadeszła ich kolej.

Nie mogli liczyć na miłosierdzie. Wiedział o tym każdy Rosjanin. Zbuntowani mnisi w monasterze Sołowieckim zostali wyrżnięci co do jednego. Później podobny los spotkał dziesiątki parafii. Przywódców czekały okrutne tortury.

Nic więc dziwnego, że w ciągu ostatnich dziesięcioleci niektóre zagrożone wspólnoty, zamiast oddać się w ręce władz, wolały wyjść na spotkanie losu po swojemu.

W Gnojowisku ludzie od razu zabrali się do pracy. W dzień po przybyciu dwóch obcych pokryli smołą dach cerkwi. A potem wypełnili kryptę słomą. Jeszcze więcej snopków znieśli do samej cerkwi. Jednocześnie kilku mężczyzn, pod czujnym okiem Daniła, umieściło w oknach dopasowane okiennice i porąbało schody prowadzące do głównego wejścia. Na koniec przygotowano pięć drabin.

Wystarczył jeden pracowity dzień, by wszystko było gotowe.

Wierni w Gnojowisku zamierzali dokonać samospalenia.

Rytualne samospalenie było częstą praktyką wśród raskolników.

Zdarzało się w całej Rosji, najczęściej na północy. Ocenia się, że w latach sześćdziesiątych XVII wieku dziesiątki tysięcy ludzi odebrało sobie w ten sposób życie. Czasem był to akt świadomego męczeństwa, a czasem jedyny sposób na uniknięcie jeszcze straszliwszego losu z rąk władz.

Praktyka ta utrzymywała się co najmniej do 1860 roku.

Mariuszka przyglądała się przygotowaniom i nie umiała rozeznaczyć się w swoich



uczuciach. Miała dziewięć lat. Rozumiała, czym jest śmierć.

Ale nie wiedziała, co ona oznacza. Wiąże się z bólem? I co to znaczy przestać istnieć? Czeka ją wieczna ciemność i nicość? Aż kręciło jej się w głowie od tych myśli. Jak będzie wyglądać ta nieświadoma podróż przez bezkresną równinę?

Najważniejsze, że będzie miała przy sobie rodziców. Ta myśl była dla niej jak promień słońca rozświetlający i ocieplający zmrozoną ciemność. Matka i ojciec – nawet teraz, u progu śmierci, jej największym pragnieniem było nie uniknięcie ognia, ale trzymanie ich za rękę.

Z pewnością miłość jest silniejsza niż śmierć. A nawet jeśli nie, Mariuszka nie miała nic innego.

Właściwie nie opuszczali wioski. Gdy słońce padało na małą cerkiew gotową na ich przyjęcie, modlili się i czekali.

Andriej i Pawło pędzili co koń wyskoczy. Minęły dwa dni. Trzy. Byli coraz bliżej celu.

Andriej był podekscytowany. Miał okazję przeżyć jeszcze jedną przygodę. I myślał z zadowoleniem, że jednocześnie pomoże staremu przyjacielowi.

– W końcu ani ty, ani ja nie mamy nic do stracenia – oznajmił synowi. – Ale jeśli nam się uda, Bobrow będzie naszym dłużnikiem.

Dziwne, że pod koniec życia miał jeszcze raz zobaczyć miejsce związane z młodością, i to w tak nieoczekiwanych okolicznościach. Kręte są drogi przeznaczenia.

– A wiesz, Pawło, że w wiosce, do której jedziemy, miałem kiedyś dziecko? Córkę – rzucił od niechcienia drugiego dnia.

– Na Boga, naprawdę? Jak miała na imię?

– Nie wiem.

– Co się z nią stało?

– Bóg jeden wie. Może już nie żyje.

– Albo należy do raskolników.

– Może. Nic na to nie poradzę.

– No cóż, nasze zadanie jest jasne.

– To prawda.

Mieli prawo sądzić, że Prokop Bobrow zdążył już się pozbyć nieszczęsnego zarządcy, który wiedział za dużo.

„Zabij go, a ciało wrzuć do bagna – doradzał Andriej. – A gdyby ktoś o niego pytał, to powiesz, że uciekł”.

Był równie twardy w kwestii misji do Ruski.

„Pod żadnym pozorem się tam nie pokazujcie – tłumaczył Nikicie. – O niczym nie wiecie. My się wszystkim zajmujemy”.

Ich plan – o ile mieli słuszość, myśląc, że wieśniacy nic nie wiedzą o roli Jewdokii – mógł się powieść.

A plan był prosty. Nie wolno dopuścić do torturowania Daniila ani jego rodziny. Nie wolno dopuścić do żadnych zeznań.

Trzeba ich zabić.

Zapadał zmierzch. A o tej porze roku na północy noce są krótkie.

Chmury zasnuły niebo. Powietrze było ciężkie i parne, jakby zanosilo się na burzę. Wioska gotowała się do snu.

Ale Mariuszka nie mogła zasnąć.

Co noc wymykała się z domu i stawała w ciemności nad rzeką, chłonąc w siebie ostatnie zapewne chwile wolności. I teraz też stała na skraju wioski, patrząc na północ.

Mimo parnego powietrza chmury rzedły. Tu i tam na niebie ukazały się pasy gwiazd, jakby chciały jej oświetlić drogę.

Rosjanie mówili na to „wróbla noc”. Na horyzoncie pojawiały się bezgłośnie rozbłyśki błyskawic podobne do migotania odległych białych płomieni, jakby chciały pokazać, że w taką noc bezkresna równina, mimo swojego ogromu, łączy się w jedno – od arktycznych pustkowi aż po ciepłe stepy – by być świadkiem rozedrganego spektaklu.

Jakież to piękne, pomyślała Mariuszka. Jakby ziemia chciała ją pożegnać.

Minęła godzina, a ona wciąż nie spała. Potem następna. I jeszcze jedna.

I wtedy na rzece pojawiła się łódka. Jakiś chłopiec wiosłował z całych sił.

– Nadchodzą! – krzyknął. – Żołnierze.

Odwróciła się i zaczęła biec.

Andriej i Pawło zabłądzili. Stary Kozak był pewien, że Ruska leży nad tą rzeką, ale po tylu latach pomylił drogę.

Był już wieczór, gdy w końcu zrezygnowali i rozbili obozowisko na noc.

Jednak godzinę przed świtem obudziły ich jakieś krzyki i tupot kroków.

Jak prawdziwi Kozacy w okamgnieniu zerwali się z bronią w rękę. Andriej pobiegł do koni, żeby je uspokoić, a Pawło wypatrywał, co się dzieje.

Odgłosy dochodziły z drugiego brzegu rzeki. To żołnierze maszerowali w półmroku. W słabym świetle gwiazd Pawło dostrzegł ostrza bagnetów. Dwaj mężczyźni, zapewne oficerowie, rozmawiali cicho, jednak ich głosy niosły się nad wodą.

– Już coś takiego robiłem, pod Jarosławiem – mówił jeden. – Najważniejsze to zaskoczyć ich o świcie. Wyłapiemy całą wieś, zanim się zorientują.

Tupot nie ustawał. Pawło przypuszczał, że maszerowało czterdziestu, pięćdziesięciu ludzi. Odczekał, aż go miną.

Nie mieli czasu do stracenia. Wieś musiała być bliżej, niż im się wydawało.

Szybko osiodłali konie i popędzili w dół strumienia.

– Pojedziemy tym brzegiem, wyprzedzimy ich i dopiero wtedy przeprawimy się na drugą stronę – powiedział Andriej.

Ale niełatwo było jechać szybko w ciemności. Gdy dotarli do Ruski, żołnierze właśnie ją mijali. I wtedy Andriej zauważył na rzece małego chłopca w łódce.

Danił podązał od domu do domu i budził mieszkańców.

Wymykali się w szarość przedświt, zdezorientowani i przestraszeni, niektórzy owinęli się w ciepłe odzienie, jakby tej upalnej nocy chcieli się ochronić przed porannym chłodem.

Danił wchodził po cichu do każdego domu, budził gospodarza i mówił spokojnie:

– Już czas.

Mariuszka stała w izbie i patrzyła na matkę. I chociaż przez całą ciepłą noc miała na sobie jedynie lnianą koszulę, dopiero teraz zaczęła drzeć.

Arina sprawiała wrażenie spokojnej. Przy blasku świecy włożyła sukienkę i wsunęła na stopy bezkształtne łapcie z łyka. Ramiona owinęła długim szalem, zawiązała chustkę na głowie. A potem przyglądała dłońmi uda. Ten drobny gest wykonywała zawsze przed wyjściem do cerkwi.

Ale dziś, co drżąca dziewczynka zauważyła od razu, zrobiła jeszcze coś.

Powoli, jakby w zamyśleniu, dotknęła lewego nadgarstka, na którym zawsze nosiła złotą bransoletkę z pojedynczym dużym ametystem. Mariuszka wiedziała, że matka jest do niej bardzo przywiązana. Arina zdjęła ją ostrożnie i położyła obok pieca.

– Co robisz? – szepnęła dziewczynka.

Arina uśmiechnęła się do niej z miłością.

– To są rzeczy doczesne, Mariuszko – powiedziała łagodnie. – A my idziemy teraz do królestwa niebieskiego.

Potem podeszła do kąta izby, skąd przyniosła małą buteleczkę.

Kilka dni wcześniej Mariuszka widziała, jak kobiety idą do lasu i wracają po kilku godzinach z dziwnymi jagodami. Potem znów zamknęły się na kilka godzin w jednej z chat, coś z jagód przyrządzały, a Arina przyniosła do domu buteleczkę. Nie chciała jednak powiedzieć Mariuszce, co w niej jest.

Teraz nalała trochę płynu na drewnianą łyżkę i podała córce.

– Wypij to.

Ciecz miała ciemny kolor.

– Co to jest?

– Nieważne. Wypij.

Płyn miał dziwny smak. Jak gorzki sok.

Arina patrzyła na nią uważnie.

– Zaraz przestanieś się trząść.

– Inne dzieci też to dostały?

– Tak. I niektórzy dorośli.

W rosyjskich lasach rosło wiele jagód. Niektóre miały szczególne właściwości. A jeden gatunek był używany przez raskolników w takich właśnie okolicznościach.

Matka i córka wyszły na zewnątrz.

Wieśniacy opuszczali chałupy i szli w milczeniu w stronę cerkwi. Mariuszka rozejrzała się, szukając żołnierzy, ale żadnego nie zauważyła.

Kilku mężczyzn ustawiało drabiny w odpowiednich miejscach. Zobaczyła ojca, który obserwował gęstniejący tłum.

Czekali jeszcze przez kilka minut. Danił i trzej inni starcy obeszlili wszystkie chaty, żeby sprawdzić, czy nikt nie został. A kiedy wrócili, zobaczyła, jak ojciec skinął z powagą głową.

Czas był najwyższy.

Powoli, w milczeniu, wieśniacy wspinali się po drabinach i znikali we wnętrzu cerkwi. Mariuszka z matką szły jedne z ostatnich. Dziewczynka rozejrzała się. Ani śladu żołnierzy.

Czterej mężczyźni mieli pozostać na zewnątrz, na dany sygnał podpalić słomę w krypcie, wspiąć się szybko po drabinach, wciągnąć je za sobą i zabarykadować drzwi

od środka. Po kilku chwilach cerkiew powinna stanąć w płomieniach. Żołnierze cara mogliby jedynie patrzeć na tę ofiarę.

Jeden mężczyzna stał na dachu jako czujka. To on miał dać ostatni sygnał.

Prawie wszyscy wieśniacy byli już w środku. Mariuszka podeszła z matką do drabiny. Zauważyła ze zdziwieniem, że już nie drży. Spokojnie wspięła się po szczeblach. A wchodząc do cerkwi, poczuła w środku dziwne, przyjemne ciepło.

W środku paliły się świece, więcej niż zazwyczaj. Wokół siebie widziała same znajome twarze, blade i napięte.

Niedługo potem pojawił się Daniil. Stał przed wrotami małego ikonostasu.

– Bracia i siostry – zaczął z powagą. – Przyszedł nasz czas. Ci, którzy się boją, niech pamiętają, że czeka nas śmierć nieporównanie lżejsza niż to, co by nas spotkało w innym wypadku. A wszystkim wam powiadam: Bóg czeka na nas w swoim królestwie. On już jest wśród nas. Otwiera przed nami ramiona. To nasz ojciec i nareszcie zabiera nas z tego świata zła. A zatem przygotujcie się. Przez doskonałą miłość Chrystusa wejdziemy do jego królestwa wiekuistej światłości.

Zaczął czytać modlitwy.

Wszystko wydawało się Mariuszce znajome i dziwne jednocześnie. Obok siebie miała matkę. Jej słodki głos był taki cudowny, tak kojący. Świece paliły się niezwykłym blaskiem. Jakże piękne i łagodne są ich ciepłe płomyki. Zakręciło jej się w głowie.

Jagody zaczęły działać. Mariuszka miała pierwsze halucynacje.

Nadeszli. W bladym świetle świtu mężczyzna na dachu zauważył postacie przepływające się przez rzekę.

Zawahał się przez chwilę, zaczerpnął głęboko powietrza i zawołał do mężczyzn na dole.

Wiedział, że musi od razu zejść z dachu. Musi się dostać do środka. Ale zwlekał jeszcze przez chwilę, wpatrzony w coraz bliższe postacie.

Zmarszczył brwi, wyęzając wzrok. Powinno być ich więcej. Ale nie, do wioski nie wjeżdżał oddział żołnierzy, tylko zaledwie dwóch ludzi. I mimo półmroku wcale nie wyglądali na carskich urzędników.

To byli Kozacy.

Spojrzał w dół. Trzej mężczyźni zeszli już z pochodniami do krypty, czwarty podążał za nimi.

– Stać! – zawołał. – To nie żołnierze.

Może mimo wszystko to był fałszywy alarm, może czeka ich ułaskawienie? A ci Kozacy mogą wręcz być raskolnikami!

– Nie podpalać! To nie wojsko – zawołał jeszcze raz gorączkowo.

Dopiero w wiosce Andriej i Pawło zrozumieli, co się dzieje.

– Dobry Boże – mruknął Andriej. – Oni chcą się spalić.

– Ktoś inny wykona naszą robotę.

Andriej skinął głową.

– Pod warunkiem, że Daniil zginie z nimi. Musimy być pewni.

Powoli ruszyli dalej.

I wtedy ludzie zaczęli wychodzić po drabinach z cerkwi.

Tego jednego Daniil nie przewidział. Fałszywego alarmu. Nie miał tego w planie. Dlatego nie docenił skutków, jakie wywarło to na części wiernych. Bo stanąć twarzą w twarz ze śmiercią wśród swoich pobratymców to jedno. Ale gdy pojawia się możliwość ocalenia, pojawia się też wahanie.

Ponad jedna trzecia zgromadzonych – ci, którzy stali najbliżej wyjść – słysząc okrzyki na zewnątrz, ruszyła do drabin.

Arina też była zaskoczona. Ludzie przepychali się koło niej, a ona nadal śpiewała. Po kilku chwilach Daniil przerwał modlitwę. I wtedy zauważyła, że matki nie ma obok niej.

Pod cerkwią zapanowało wielkie zamieszanie.

Mężczyźni w krypcie próbowali ugasić wzniecony przed chwilą ogień. Ale to nie było łatwe, bo przyniesiono dobrze wysuszoną słomę.

Kilka osób zatrzymało się przy jednej drabinie, patrząc na Kozaków, którzy przyglądali się im ze spokojem.

Najwyraźniej nikt nie zauważył małej dziewczynki.

W wielkim zamieszaniu w cerkwi, gdy ludzie tłoczyli się pod oknami, znalazła się na drodze potężnego mężczyzny, który przepychał się do wyjścia. Widząc przed sobą małe dziecko, bez zastanowienia wziął je na ręce i wyniósł na zewnątrz. A potem zostawił.

I teraz Mariuszka błąkała się wśród chat, nie wiedząc nawet, gdzie jest.

– Gdzie Daniil? – krzyknął Andriej.

– W środku – odpowiedziało kilka głosów. – Czego od niego chcecie? Kim jesteście?

Andriej zastanawiał się, co odpowiedzieć, gdy nagle z dachu rozległ się okrzyk:

– Żołnierze! Widzę ich!

A więc przybyli.

Andriej podniósł wzrok i zobaczył potężną postać schodzącą w dół po jednej z drabin.

To musi być Daniil, pomyślał, doskonale pasuje do opisu Nikity. Gdy tylko mężczyzna stanął na ziemi, widać było wyraźnie, że choć jeszcze chwilę wcześniej głosił podniosłe słowa, teraz wpadł we wściekłość.

– Na drabiny! – ryknął do ludzi, którzy ośmielili się zejść. – Na górę, głupcy, to pułapka.

Rzuciwszy gniewne spojrzenie na Kozaków, z zadziwiającą szybkością ruszył do wejścia do krypty.

– Podłożyć ogień! – krzyknął. – Żołnierze już są. Szybciej!

Ludzie znów wspinali się po drabinach. Daniil, zadowolony z widoku buchających płomieni, wskazywał mężczyznom z krypty drabinę prowadzącą do głównego wejścia.

– Na górę! – krzyknął. – I zaryglujcie drzwi.

Spod wiejskiej bramy rozległy się okrzyki. Żołnierze wkroczyli do Gnojowiska.

Andriej spojrział na Pawła.

– Lepiej nie ryzykować – mruknął. Ponaglił konia i wyciągnął szablę.

Płomienie obejmowały już jeden bok cerkwi. Z krypty wydobywał się dym.

Andriej patrzył, jak drabiny znikają we wnętrzu, słyszał trzask zamykających się ciężkich drzwi i rygli w zamkach.

Danił szedł szybko do ostatniej stojącej drabiny. Andriej był tuż przy nim.

Gdy potężny olbrzym odwrócił się i spojrzał na Kozaka z uniesioną szablą, na jego twarzy nie było lęku, lecz jedynie gniew i pogarda. Które nie zniknęły nawet wtedy, gdy zaskoczony Andriej krzyknął:

– Mój Boże, przecież to Byk!

I gdy dwaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy, na górze pojawiła się blada kobieta. Pokazywała coś, krzycząc, a gdy Andriej spojrzał w tamtym kierunku, wydało mu się przez chwilę, że to musi być sen.

Wszystko się kołysało. Ale przynajmniej wiedziała, dokąd ma iść. Nareszcie widziała płomienie.

Ogień. Jak na wielkiej świecy. Kojący. Tak, pragnęła go.

Ruszyła w tamtym kierunku. Przyjazne płomienie, cerkiew, rodzice. Ale dlaczego cerkiew się porusza? Zmarszczyła brwi, lecz szła przed siebie.

Tak, słyszy trzask płomieni. Czuje ich ciepło. Musi tylko znaleźć drabinę, jedynie tyle.

– Mariuszka!

Głos matki. Uśmiechnęła się. Czy to nie ojciec stoi z kimś przy bramie? Tak! Wnieście ją po drabinie. Zawołała, próbując do niego pobiec.

– Mariuszka!

Męski głos. Ale nie ojca. Dlaczego ten obcy mężczyzna na koniu woła ją po imieniu? Dlaczego ten wielki koń na nią pędzi?

Nagle poczuła, że coś ją porywa z ziemi. Siedziała na koniu obok jeźdźca.

Dlaczego on się oddala od ognia? Dlaczego wjeżdżają w ciemność?

Majątek Bobrowa w Gnojowisku został całkowicie zniszczony. To znaczy zniszczeniu uległo to, co stanowiło jego główną wartość – chłopci.

Gdy pojawili się żołnierze, drabin już nie było. Zdążyli jeszcze zobaczyć potężną postać, która posławszy im ostatnie gniewne spojrzenie, zniknęła za drzwiami.

Byli bezradni wobec płomieni, które ogarnęły już całą świątynię.

I tak oto sprawa umarła. Opat był zadowolony. Władze też. Nikita Bobrow, gdy mu o wszystkim powiedziano, okazał największe zdziwienie i przerażenie.

Przez pewien czas Andriej trzymał Mariuszkę z dala od ludzkich oczu. Nikt nie wiedział, że przeżyła. Ale po powrocie oddał ją Nikicie.

Nie przyszło mu to łatwo. W końcu była jego wnuczką. Bez cienia wątpliwości. Nie dość, że odznaczała się zadziwiającym podobieństwem do babki – przez co Andriej miał wrażenie, jakby cofnął się o pięćdziesiąt lat – to jeszcze ubłagała go, by wrócili do jej chaty po jedyną pamiątkę po matce. Kiedy więc żołnierzy już nie było, pojechali do opustoszałej wsi. Bransoletka wciąż leżała obok pieca. Andriej rozpoznał ją od razu. Ta sama, którą dał kiedyś Jelenie. Widocznie żołnierze byli tak wstrząśnięci tym, co zobaczyli, że nawet nie splądrowali wioski.

I chociaż Andriej wyznał Mariuszce, kim dla niej jest, i zaproponował, że ją ze sobą zabierze, dziewczynka pozostała niewzruszona.

– Pozwól mi zostać z panią Jewdokią – prosiła.

Zrozumiał. To było jedyne ogniwo łączące ją ze zmarłymi rodzicami, jedyna przyjazna dusza.

Nie wspomniał jednak, że za zgodą Nikity miał ich wszystkich zabić.

I tak w 1703 roku mała Mariuszka wróciła do Moskwy, do domu Nikity Bobrowa.

Dziadek zostawił jej trochę pieniędzy, żeby gdy dorośnie, mogła wykupić sobie wolność.

*Rok 1710*

Był blady, zimny, wilgotny wiosenny dzień.

W Petersburgu lód pękał późno. Czasami ten dźwięk był tak donośny, że przypominał armatnie strzały. Potem przychodziła wiosna – niekiedy tak ponura i przygnębiająca, że nikt nie umiał się nią cieszyć. Po wiosnie nastawało ciepłe, mdłe lato z dniami tak długimi, że nawet podczas trzech godzin niby-nocy nie zapadał zmrok, a na horyzoncie tańczyła zorza.

Najpierw stanęła potężna, ponura twierdza Pietropawłowska. A potem pod kierunkiem cara rozpoczęła się budowa miasta.

Miasto powstawało na mokradłach. W bagnie zatopiono niewiarygodne ilości drewnianych pali. Wykopano kanały. Tak jakby na tym odludziu Piotr postanowił wznieść nikomu niepotrzebny nowy Amsterdam.

Ale w odróżnieniu od ziem wydartych holenderskiemu morzu to miasto otaczały nie żyzne pola, lecz zimne bagna. Nie było tu pastwisk dla bydła, tylko pustkowie, z którego wybiegały wilki szukające w mieście pożywienia.

I właśnie tutaj przed trzema laty przywieziono Mariuszkę.

Nienawidziła tego miejsca.

Dlaczego Piotr musiał zbudować miasto właśnie tutaj? I dlaczego musiał uczynić z niego swoją stolicę?

Gdyby wojna na północy potoczyła się pomyślnie, stolicą Rosji byłby zapewne jeden z wielkich portów bałtyckich na terenie dzisiejszej Łotwy, Estonii albo Litwy.

Ale wojny na północy przeciągały się, a Piotr jak zwykle był niecierpliwy.

I dlatego wbrew wszystkim radom uparł się, żeby zbudować miasto w tym niegościnnym miejscu.

Od samego początku zachęcał bliskich mu ludzi do budowania domów w nowym mieście. W 1708 roku zmusił do przeprowadzki wszystkich wysokich urzędników. A rok później zaczął siłą przenosić do rodzącego się miasta całe wioski.

Zbudowano fortecę z grubymi kamiennymi murami. Nieco bliżej morza, po drugiej stronie rzeki, powstała Admiralicja – wielka, ufortyfikowana stocznia z wysoką drewnianą iglicą z wiatromierzem. Na podmokłych brzegach wyrastały liczne budynki: tu cerkiew, tam pałac albo magazyn. Wielki szwajcarsko-włoski architekt Trezzini miał mnóstwo pracy zarówno w fortecy, jak i w innych miejscach. Jednak wciąż jeszcze miasto składało się głównie z chałup z bali i wikliny. I było przygnębiające.

Budowa napotykała dwa poważne problemy: na okolicznych mokradłach rosło

niewiele drzew, które mogły służyć jako budulec, nie było też żadnych kamieniołomów. Wszystkie materiały trzeba było sprowadzać z innych portów, czasem odległych o sto pięćdziesiąt kilometrów.

Ale Piotr i tak założył swoją nową zachodnią stolicę.

W Petersburgu był lodowaty wiosenny dzień. Prokop Bobrow w grubym wełnianym płaszczu zarzuconym na mundur szedł szybkim krokiem wzdłuż Newy.

Wilgotny, słony wiatr znad morza burzył wody rzeki i wiał w plecy, aż idącemu uszy poczerwieniały i zdrętwiały z zimna.

Wokół nie było nikogo. Ale on od czasu do czasu rozglądał się i zerkał za siebie, mimo że wiatr smagał go wtedy po twarzy. I nawet gdy Prokop mrużył oczy, wypatrując czegoś jak marynarz na bocianim gnieździe, coś w jego zachowaniu mówiło, że jest zakłopotany.

Bał się, że Mariuszka może go zobaczyć.

Szedł jeszcze kawałek, nieustannie się odwracając, by sprawdzić, czy ona go nie śledzi.

Co za irytujące utrapienie! Za każdym razem, gdy już się wydawało, że da mu wreszcie spokój, musiała go wpędzić w jakąś kłopotliwą sytuację. A jednocześnie umiała tak przekonująco prosić, że...

I tak, dręczyło go sumienie.

Mariuszka. Wszyscy byli dla niej dobrzy. Nie mogła się skarżyć.

Pierwsze kilka lat spędziła w Moskwie u Bobrowów. Nawet jeśli nie była szczęśliwa, to przynajmniej mogła żyć w spokoju.

Po tragedii, która wydarzyła się w Gnojowisku, Nikita rządził domem żelazną ręką. O raskolnikach nie wolno było wspomnieć nawet słowem. Rodzina chodziła do właściwej cerkwi. A Jewdokia była tak wstrząśnięta, że nawet na osobności nie rozmawiała z dziewczynką na zakazane tematy. Jedynie z rzadka, już po śmierci Nikity, opowiadała coś czule o rodzicach Mariuszki.

Potem Jewdokia umarła i opiekę nad dziewczynką przejął Prokop.

Wcale nie miał na to ochoty. Ale obiecał matce, że będzie się zajmował dziewczyną i wyda ją za męża, więc zabrał podopieczną ze sobą do nowego miasta nad Newą.

Prokop miał duży dom. Jak wszystko w Petersburgu, jego wielkość była wyznaczona przez cara. Ponieważ Prokop miał pięciuset chłopów, jego dom musiał mieć jedno piętro i być zbudowany na angielską modłę z drewnianej konstrukcji wypełnionej cegłą. Dlatego przeciekał. Każdej wiosny wody w Newie podnosiły się i zalewały piwnicę.

Dwa domy w pobliżu zniszczył pożar. Wszyscy w mieście – kupcy, szlachta, nawet sam Piotr – należeli do straży pożarnej. Przy jednym z tych pożarów car pojawił się osobiście z toporem w rękę i uratował okoliczne budynki. Za drugim razem akurat był na wojnie, a ludzie mogli jedynie patrzeć, jak płomienie zajmują jeszcze trzy domy, niszcząc je doszczętnie.

Mariuszka bardzo tęskniła za Ruską i Gnojowiskiem.

Niestety, w Gnojowisku nie mieszkał już nikt.

Po utracie wszystkich chłopów Bobrowowie chcieli przenieść tam rodziny z innych



majątków, żeby na nowo zaludnić wieś.

– Przecież mamy pod dostatkiem dusz gdzie indziej – zauważył Prokop.

Ale to i tak nie wystarczyło. Z powodu niekończących się wojen cara.

Jak później obliczono, w ciągu ponad dwudziestu lat panowania Piotr mógł się pochwalić tylko dwoma miesiącami pokoju. Wojny na północy trwały bez końca. Odczuli to wszyscy. Szlachta, kupcy, chłopci – cały ogromny kraj biedniał coraz bardziej. W kolejnych latach, gdy Bobrowowie kazali zarządcom wybierać ludzi do Gnojowiska, dostawali oto odpowiedź, że wolnych rąk do pracy nie ma, bo wszystkich wcielono do wojska.

– Nie możemy doprowadzić do ruiny trzech innych majątków tylko po to, żeby jeden przywrócić do życia – stwierdził Prokop.

Ale był też inny powód, dla którego Mariuszka nigdy nie miała zobaczyć Ruski.

– Ktoś mógłby ją rozpoznać – wyznał Prokop żonie. – I choć powiązania Daniła z moją matką to dawna sprawa, mimo wszystko mogłaby nam przysporzyć kłopotów.

Co miał z nią zrobić? Andriej zostawił jej trochę pieniędzy. Dziewczyna miała być wolna. Liczył, że wyda ją za mąż za jakiegoś rzemieślnika albo kogoś z tej klasy. Na razie zamieszkała w ich domu jako służąca jego żony. I wyglądała na zadowoloną. A on lubił ją na swój sposób.

W ciągu kilku ostatnich lat Prokop zrobił się zgorzkniały. Częściowo był to skutek udziału w wieloletnich wojnach. Ale nie tylko wojny go wyczerpały.

– To jest także mój kraj – mówił ze smutkiem.

Dlaczego wszystko tu napotykało taki opór? Dlaczego nie dało się zaprowadzić porządku na tych rozległych, zacofanych ziemiach?

– Car jest prawdziwym tytanem! – wykrzykiwał Prokop z podziwem. – Ale ten kraj jest jak uparte morze.

Czasem nawet się zastanawiał, kto tak naprawdę popiera cara. Zwykły lud na pewno nie. Wielu duchownych oficjalnej Cerkwi, o raskolnikach nie wspominając, uważało go za Antychrysta. Bogatsi kupcy zaczęli go nienawidzić, bo podatkami dosłownie doprowadzał ich do ruiny. Szlachta i inni, którym Piotr kazał się przenieść do Petersburga, mieli go dość i najchętniej wróciliby do moskiewskich wygod. Nie znosili morza, nowe domy kosztowały ich majątek, ceny żywności, sprowadzanej z miejsc odległych o setki kilometrów, były wygórowane. Nawet budowa drogi do Moskwy przez podmokłe pustkowia nie była łatwa.

Na południu wybuchły dwa kozackie bunty – jeden nad Morzem Kaspijskim, w Astrachaniu, a drugi nad Donem, pod wodzą Buławina, który wielkością niemal dorównał Stieńce Razinowi.

Kto więc popierał Piotra? Ludzie tacy jak on, ci, którzy mu służyli – nowa arystokracja.

Bo Piotr zaczął tworzyć w Rosji coś w rodzaju nowego państwa opartego na służbie, w którym każdy mógł awansować. Nawet Iwan Groźny się na to nie odważył. Piotr rozdawał tytuły szlacheckie tym, którzy zasłużyli się w jego oczach. A ten łotr Mienszykow, dawny uliczny sprzedawca pierożków, został księciem!

Prokop dobrze się przysłużył carowi. Nie mógł się uskarżać. Bał się jedynie dwóch

rzeczy. Że utraci łaski cara i że car umrze.

– On nieustannie się naraża. To cud, że jeszcze nie zginął – utyskiwał. – A gdy Piotr zejdzie z tego świata, to nie wiem, co się z nami stanie. Na jego syna nie mam co liczyć.

Carewicz Aleksy. Niewiele ludzi darzyło go sympatią, ale to on był następcą tronu. I nikt nie umiał go przejrzeć.

Miał w sobie coś dziwnego. Niewiele mówił, ale w tym wysokim, posępnym młodzieńcu było coś przerażającego. Miał dwadzieścia lat. Po wysłaniu jego matki do klasztoru Piotr dał mu niemieckiego guwernera, a potem wychowaniem carskiego potomka zajął się Mienszykow. Z Aleksego nie udało się zrobić żołnierza. Jego ulubionym zajęciem było pijaństwo.

Jednak Prokop wcale się nie dziwił, że chłopak jest taki skryty i nosi w sobie urazę.

Piotr traktował go bardzo surowo, a do tego wziął sobie nową żonę – litewską chłopkę, która urodziła mu więcej dzieci. Zwykłą chłopkę pojmaną podczas wojny. Zmieniła imię na Katarzyna. Teraz ona była carycą. Piotr otwarcie okazywał jej uwielbienie. A matka Aleksego, który nawet nie mógł jej widywać, wciąż żyła zamknięta w klasztorze w Suzdalu. Nic dziwnego, że chłopak miał trudny charakter.

– Najgorsze, że nie wiadomo, co on myśli o reformach – tłumaczył Prokop żonie. – Nie ośmieli się sprzeciwić ojcu, ale z pewnością wolałby mieszkać w Moskwie razem ze zwolennikami matki i tymi przekłętymi Miłosławskimi. Nie wolno mu ufać.

Piotr zamierzał wysłać syna za granicę. Chciał mu znaleźć w Niemczech żonę.

– Im szybciej wyjedzie, tym lepiej – stwierdził Prokop. – Może małżeństwo odmieni go na lepsze.

Tymczasem miał inne sprawy na głowie. Wydawało się, że w wojnie nastąpi decydujący zwrot. W zeszłym roku Szeremietiew z trzydziestoma tysiącami wojsk zaczął oblężenie Rygi. Prokop chciał tam dotrzeć przed upadkiem miasta. Piotr nie lubił, gdy jego przyjaciele wymigiwali się od walki.

Powinien wyjechać najdalej za dwa dni. Ale najpierw musi się uporać z tą przykrą sprawą. Szedł wzdłuż rzeki. Gdzież to ona go zobaczyła?

Mariuszka się zakochała. Po prostu i całkiem naturalnie.

Gdy go zobaczyła, poczuła spokój i szczęście połączone z niezwykłą lekkością ducha. A najcudowniejsze było to, że on poczuł to samo. Nawet nie musieli nic mówić.

Młodzieniec był chłopem z majątku Bobrowów leżącego na zachód od Moskwy. Miesiąc wcześniej wysłano go do Petersburga z sześciorgiem sań wyładowanych zapasami żywności.

Prokop zaniepokoił się, gdy mu powiedziała, że chce wyjść za mąż.

– Przecież to chłop – zaczął.

– Nie szkodzi – zapewniła szybko. – Przywykłam do życia na wsi.

Twarz Prokopa się rozjaśniła. W swojej niewinności Mariuszka nie pomyślała nawet, iż Prokop obawia się jedynie, że musiałby dać wolność przydatnemu młodzieńcowi.

– W takim razie zgoda. Jeśli naprawdę tego chcesz, będziesz mogła wyjechać na wieś, gdy tylko moja żona znajdzie kogoś na twoje miejsce – powiedział.

Dał Mariuszcze jedną trzecią pieniędzy, które zostawił Andriej. Nie dlatego, że chciał zagarnąć resztę. Uznał po prostu, że dla chłopki taka duża suma mogłaby się okazać szkodliwa.

A Mariuszka była zakochana i szczęśliwa. Za kilka dni miała wyjechać z Petersburga na zawsze. Często myślała o swoich rodzicach, ale wspomnienia bolesnej przeszłości bladły, gdy patrzyła w przyszłość.

Poprzedniego dnia zobaczyła nad Newą mężczyzn kopiących rów. Nie był to niezwykły widok. Setki takich nieszczęśników – chłopów, rekrutów, jeńców wojennych – tworzyło armię siły roboczej, która na rozkaz cara budowała nową stolicę.

I pewnie nawet by nie spojrzała na tych biedaków, gdyby nie to, że jeden z nich wpatrywał się w nią nieruchomym wzrokiem.

Przyjrzała mu się.

W szerokim, na wpół zamarzniętym rowie stał ciemnowłosa mężczyzna średniego wzrostu, który kiedyś musiał być przystojny. Nawet teraz próbował przystrzyc swoją siwiejącą brodę, ale bez powodzenia. Brakowało mu kilku zębów. I gdy tak patrzyli na siebie, Mariuszka zauważyła, że mężczyzna drży.

To był Pawło, jej kozacki krewny.

Nie miała co do tego wątpliwości. Była wtedy mała, ale nigdy nie zapomniała twarzy dwóch mężczyzn, którzy ocalili ją od śmierci w płomieniach i przywieźli do Moskwy, do Bobrowów.

– Pawło.

– Mariuszka.

– Jak się tu znalazłeś?

Próbował się uśmiechnąć, ale gdy zaczął poruszać ustami, zrozumiała, że trudno mu mówić. Wydobyły się z nich jakieś niezrozumiałe słowa, a potem dopadł go atak kaszlu.

Spróbował jeszcze raz.

– Mazepa.

Teraz zrozumiała.

W ciągu ostatnich lat wszystko się na Ukrainie zmieniło. A dla Rosjan już po wsze czasy nazwisko Mazepy miało oznaczać jedno: zdradę.

Powody, dla których Piotr poróżnił się z ukraińskimi Małorusinami, były nieuchronne i tragiczne zarazem. Przede wszystkim Ukraińcy go zawiedli. Liczne oddziały Kozaków, które miały mu pomóc w wojnie ze Szwedami, nie mogły się równać z doskonale wyszkolonymi żołnierzami z północnej Europy. Kozacy ponosili ogromne straty – często ginęła ich ponad połowa. W rezultacie Piotr zaczął nimi gardzić. Nie tylko wyznaczył im rosyjskich i niemieckich oficerów, ale też przystąpił do rozmieszczania swoich wojsk na Ukrainie. A tego właśnie Ukraińcy nie mogli znieść. Dlaczego mieli się zgadzać na takie upokorzenia? I co mieli wspólnego z wojną cara na dalekiej północy?

Do kryzysu doszło jesienią 1708 roku. Wojna toczyła się dla Piotra niepomyślnie. Nikomu nie przyszło nawet do głowy, że mógłby ją wygrać. Europejskie potęgi, wyśmiewając nową stolicę na lodowatych mokradłach, wyczekiwały upadku imperium i liczyły na jego rozbiór.

Wtedy właśnie zwycięski król Szwecji Karol XII ruszył razem z Polską na nieszczęsną Rosję. Mieli zaatakować Moskwę, co oznaczałoby koniec panowania Piotra. Ale król Szwecji zmienił zamiar i skierował się na południe przeciwko Ukrainie.

A Mazepa do niego dołączył.

Czy można to nazwać zdradą? Bez wątplenia tak. Czy Mazepa knuł spisek, już od wielu lat prowadząc rozmowy z wrogami Piotra? Z pewnością. Był w końcu hetmanem kozackim. Czy zatem Piotr był bez winy?

Nie był. Nie dość, że bezwzględnie traktował Małorusinów, to jeszcze w najbardziej kryzysowym momencie wysłał im wiadomość, że muszą się bronić bez jego pomocy. I chociaż sam się znajdował w trudnym położeniu, Ukraińcy całkiem słusznie uznali, że jest to złamanie porozumienia zawartego w czasach Chmielnickiego i mówiącego, że Rosja będzie ich chronić. Mazepa zrobił to, co musiał, żeby ocalić swój kraj.

Był to błąd. Faworyt Piotra Mienszykow błyskawicznie uderzył na stolicę Hetmanatu i wyrznął jej ludność w pień, nie patrząc, kto żołnierz, a kto cywil.

Ukraińcy się zawahali. Rosjanie stanęli. Część Kozaków dołączyła do Mazepy, ale większość się powstrzymała.

A wiosną doszło do bitwy pod Połtawą.

Bitwa była największym tryumfem Piotra. On sam walczył nieustraszenie. Pierwsza kula muszkietu strąciła mu kapelusz, inna trafiła w siodło, a jeszcze inna utkwiała w srebrnej ikonie, którą miał na szyi. Ale tego dnia potężna szwedzka armia została rozgromiona.

Europa osłupiała. Ekscentryczny młody car mimo wszystko zwyciężył, pokonał wielkie szwedzkie siły. W ciągu jednego dnia zmieniła się mapa Europy – wyłoniła się nowa, olbrzymia Rosja. I przestraszona Europa przestała się śmiać.

To zwycięstwo zmieniło na Ukrainie wszystko. Car zaczął prowadzić wobec niej nową, bezwzględną politykę. Południe miało być zrusyfikowane. Pojawili się wielcy rosyjscy właściciele ziemscy, między nimi Mienszykow. Kozackie okręgi przydzielono Rosjanom. Objęto nadzorem ukraińskie oficyny wydawnicze, by żadne nieprawomyślne publikacje nie mogły się ukazać. I wkrótce, zamiast płynącej na północ rzeki kozackich żołnierzy, pojawiły się długie kolumny tysięcy rekrutów, którzy mieli pracować na carskich budowach.

Piotr postanowił być twardy. Jak powiedział swoim doradcom, w ujarzmianiu Ukrainy kierował się przykładem Cromwella i jego polityki względem Irlandii.

W pewnym sensie Pawło miał szczęście. Gdyby nie powaliła go gorączka, wyruszyłby z Mazepą. A wtedy albo trafiłby na wygnanie do Szwecji, albo zostałby pojmany i powieszony.

Gdy wojskowi inspektorzy odnaleźli go w Perejasławiu, nie mieli wątpliwości. Sprawę przekazano samemu Piotrowi. Jego odpowiedź była zwięzła i jasna:

*Ten oficer dostarczył mi kiedyś list. To bliski towarzysz Mazepy i nie zasługuje na zaufanie. Odebrać mu majątki, a jego samego odesłać z rekrutami do Petersburga.*

I tak oto razem z setką innych Pawło kopał rów. W tym samym czasie Prokop Bobrow wyruszył na jego poszukiwania.

I co, do diabła, mam zrobić, gdy już go znajdę? – zastanawiał się.

Sytuacja była drażliwa. Mógł oczywiście zignorować błagania dziewczyny o pomoc. Ale z drugiej strony ich rodziny się przyjaźniły i... tak, było mu wstyd. Co miał jednak zrobić? Poprosić cara o łaskę? Nie odważyłby się. Piotr wybaczał wiele rzeczy, ale zdrady nigdy. Samo nazwisko Mazepy doprowadzało go do wściekłości.

Może uda się przekupić strażnika pilnującego Pawła? Ryzykowne, a do tego Kozak wiedział za dużo o związkach jego rodziny z raskolnikami.

Nie miał pojęcia, co robić, ale jednocześnie nie chciał, by dziewczyna się dowiedziała, że nie zrobił nic.

O, to tutaj. Zajrzał do rowu, wędrując wzrokiem po kolejnych twarzach. Jednak żadna nie przypominała Pawła.

Przywołał nadzorcę i najlepiej, jak mógł, opisał mu Kozaka. Nadzorca skinął głową.

– Owszem, panie, mieliśmy takiego. Ale, prawdę mówiąc, musiałem mu przemówić do rozumu.

– Dlaczego?

– Zauważyłem, że rozmawia z obcymi. Z dziewczyną konkretnie.

– Rozumiem. I nie ma go dzisiaj?

– Nie, panie.

– A jutro?

– Chyba też nie, panie.

Prokop spojrział na niego badawczo.

– Był słabszy, niż myślałem – wymamrotał nadzorca.

– Czy to znaczy, że on nie żyje?

– Obawiam się, że tak. Czy to źle?

O nie. Bardzo dobrze.

Tak naprawdę nikt tego nawet nie zauważył. Bo choć nie wiadomo dokładnie, ilu robotników podczas budowy Petersburga zmarło z wycieńczenia, chorób i głodu, to z pewnością liczba ta mogła sięgnąć setek tysięcy.

Kolejny poranek, dość ciepły, dwa dni później.

Lekki wiatr wznosił na Newie krótkie, poszarpane fale.

Mariuszka nareszcie wyjeżdżała z Petersburga. Wiadomość o śmierci Pawła była jak zerwanie ostatnich więzi z przeszłością. Wiedziała, że teraz musi patrzeć jedynie w przyszłość. Czego jednak mogła się spodziewać? Miała nadzieję, że u boku męża odnajdzie szczęście. Ale czym jest szczęście na rozległych ziemiach Rosji?

Chmury płynęły wysoko na niebie. Dzień wypełniała dziwna, przejrzysta szarość. Nieco dalej na wschód, obok twierdzy Pietropawłowskiej, wysoko nad wodą latały trzy mewy. Gdy zawracały jedna za drugą szerokim łukiem, ich pióra lśniły w niezwykłym świetle.

Podążyła wzrokiem wzdłuż nurtu Newy. I z jakiegoś powodu poczuła nagle obecność ojca. Stary Daniil. Uśmiechnęła się na tę myśl.

Ale po chwili uśmiech się rozpląnął. Gdy wiatr owiewał jej twarz, patrzyła na surową geometrię miasta i miała wrażenie, że naprzeciwko ojca wyłania się inna postać

– przerażająca, posepna jak mongolski chan z dawnych czasów.

A potem je zobaczyła.

Olbrzymie słońce, rażące w oczy, ale zimne jak lód. Wznosiło się nieubłaganie z północnego morza ku bezkresnemu rosyjskiemu niebu. Czuła, że swoimi strasznym promieniami wyssie z niej ostatnią kroplę krwi.

Mając tę wizję przed oczami, zrozumiała, że – tak jak mówił jej ojciec – nadeszły potworne dni apokalipsy.

A Antychryst miał na imię Piotr.

W 1718 roku carewicz Aleksy, który wcześniej spiskował przeciwko ojcu, okazał się na tyle głupi, że – skuszony obietnicą darowania win – dał się namówić na powrót z wygnania do Rosji.

Przekonał go do tego stary już, ale sprytny dyplomata Piotr Tołstoj.

Niedługo potem carewicz zmarł po torturach w twierdzy Pietropawłowskiej.

Co nie miało znaczenia. Byli inni następcy tronu.

W roku 1721 na mocy traktatu w Nystad ziemie leżące nad Bałtykiem, między innymi dzisiejsza Łotwa i Estonia, formalnie przeszły w ręce Rosji. I miały pozostać w jej granicach przez dwa stulecia, do 1918 roku.

Nowo utworzony rosyjski Senat nadał carowi Piotrowi pompatyczne tytuły: *Pater patriae, Imperator, Maximus*. Ojciec Ojczyzny, Imperator, Wielki.

W 1722 roku, po nieoczekiwanej śmierci Prokopa Bobrowa, jego syn postanowił przywrócić do życia wieś Gnojowisko leżącą niedaleko Ruski. Przeniósł tam połowę mieszkańców innego majątku.

Wśród nich była kobieta z trojgiem dzieci. Miała na imię Mariuszka.

Katarzyna

*Rok 1786*

Aleksander Bobrow siedział przy biurku, wpatrując się w dwie kartki papieru. Jedną zapełniały liczby zapisane jego własną ręką. Drugą był list przyniesiony pół godziny wcześniej przez służącego w liberii. Patrzył na nie, a w końcu pokręcił ze zdumieniem głową i mruknął:

– No i co ja mam teraz zrobić?

Za oknami Kolegium, jak nazywali je ministrowie, było już ciemno, bo w Petersburgu grudniowy dzień trwał zaledwie pięć i pół godziny. Większość ludzi poszła już do domów. Rosjanie zazwyczaj jedli obiad o drugiej po południu, ale Bobrow często zostawał w biurze do późna, bo lubił się stołować w dzielnicy angielskiej, a tam jadano o piątej.

Szum lodowatego wiatru nie wdzierał się do środka, bo w pałacu wstawiano podwójne okna i uszczelniano szpary.

Od wielu miesięcy Bobrow prowadził najtrudniejszą i najbardziej niebezpieczną grę swojego życia. I oto teraz, gdy nagroda była w zasięgu ręki, nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Na jednej kartce znajdował się wykaz jego długów, a na drugiej propozycja małżeństwa. A właściwie żądanie.

– Przecież musi być jakieś inne wyjście – mruknął znowu.

Na razie jednak przychodziło mu do głowy tylko jedno.

Z westchnieniem odsunął od siebie kartki i zawołał w stronę przedpokoju. Natychmiast pojawił się mężczyzna ubrany w rządowy mundur: jasnoniebieską kurtkę z żółtymi guzikami i białe bryczesy do kolan.

– Powiedz lokajowi, żeby przywołał sanie. Wychodzę.

– W tej chwili, *wasze wysokorodije*. – Mężczyzna zniknął.

*Wasze wysokorodije*. Ten honorowy tytuł nie odnosił się do przodków Bobrowa, choć byli szlachtą, ale mówił, że w wieku zaledwie trzydziestu paru lat osiągnął oszałamiające wyżyny piątej rangi w czternastostopniowym systemie wprowadzonym przez Piotra Wielkiego. Szlachectwo można było zdobyć dzięki służbie. Niższe rangi miały tytuły *wasze blagorodije* i *wasze wysokoblagorodije*. Gdyby kariera Bobrowa rozwijała się w takim tempie jak dotychczas, mógłby otrzymać tytuł najbardziej pożądaną: *wasze wysokopriewoschoditielstwo*, najwyższa ekscelencja.

Aleksander Prokofiewicz Bobrow był przystojnym mężczyzną nieco ponadprzeciętnego wzrostu. Miał raczej okrągłą, gładko ogoloną twarz z szerokim czołem, lekko opadające powieki i wąskie usta, które kiedy się poruszały, mogłyby uchodzić za zmysłowe, gdyby nie gościł na nich delikatny ironiczny grymas. Włosy, zgodnie z modą ówczesnej dekady, były upudrowane i ułożone jak peruka. Loki zwisające nad uszami kręcił co rano za pomocą gorących szczypiec. Miał na sobie surdut z prostej tkaniny: dopasowany, do kolan, skrojony na angielską modłę. Do tego haftowaną kamizelkę i białe bryczesy z niebieskim pasem. Krótko mówiąc, był ubrany zgodnie

z najlepszą europejską modą.

Ten zadbany wygląd skrywał cechy charakteru. Z profilu twarz Bobrowa, z długim, haczykowatym nosem, miała nieco tureckie rysy i można się było w niej dopatrzeć wyrazu okrucieństwa. Ale gdy widziało się go w towarzystwie, gdy zbliżając się do drugiej osoby, wykonywał delikatny, wręcz pieszczotliwy gest, trudno było uwierzyć w jego bezwzględność.

W złotych czasach Katarzyny Wielkiej nie było w całym eleganckim Petersburgu hazardzisty o szczęśliwszej ręce niż Aleksander Prokofiewicz Bobrow. Nie grał dla pieniędzy. Choć często widywano go przy karcianych stolikach w najlepszych domach, stawiał tylko niewielkie stawki. „Jedynie głupcy albo łajdacy chcą się na kartach dorobić majątku” – mawiał. Sam nie był ani jednym, ani drugim. Bobrowa hazardzistę interesowała znacznie większa i toczona potajemnie gra: gra o władzę. A nawet o coś więcej. Jak trafnie zauważył jeden z jego znajomych: „Aleksander gra w karty z samym Bogiem”. I na razie wygrywa.

Ale też ciężko zapracował na swój sukces. Niewiele brakowało, a skończyłby jako miernota, jak wielu innych prowincjonalnych szlachciców. Gdy był dzieckiem, jego edukacja w rodzinnym majątku niedaleko Tuły sprowadzała się do czytania Psalterza Prawosławnego oraz nauki bajek i rosyjskich piosenek od chłopów. I pewnie by na tym poprzestał, gdyby nie szczęśliwe zrządzenie losu. Kiedy miał dziesięć lat, przyjaciel ojca, najwyraźniej pod wpływem nastroju chwili, zapałał do niego sympatią i zaprosił do siebie do Moskwy, gdzie Aleksander mógł pobierać nauki wraz z jego dziećmi. To była duża szansa, niczego więcej nie potrzebował. „Od tamtej pory wszystko było moją zasługą” – mawiał z dumą. Pracował jak szalony, wprawiając nauczycieli w zdumienie. Choć był zaledwie chłopcem, polecał się osobom z moskiewskiego uniwersytetu i innym wpływowym ludziom. Został wybrany do elitarnego korpusu paziów na petersburskim dworze. I gdy większość młodzieńców uprawiała hazard, piła i uganiała się za kobietami, uczył się tak samo pilnie jak wcześniej, aż wreszcie – i to był jego największy sukces – jako jeden z nielicznych został wysłany na uniwersytet w Lipsku. Ci, którzy myśleli, że otrzymał to wyróżnienie za nic, bardzo się mylili. Ceną była moja młodość, myślał czasem.

Co go tak pchało do przodu? Ambicja. Wszystko zawdzięczał ambicji, ale była ona bezwzględna nauczycielką. Poganiała go, lecz gdy opadał z sił, wskakiwała mu na plecy jak jakiś potwór, obrzucała go wyzwiskami, a potem przygniatała niczym góra, wyciskając z niego resztki życia. Jednocześnie dawała mu jakąś czystość. Cokolwiek Bobrow robił, jakkolwiek przebiegle rozgrywał karty, zawsze służył jednemu, potajemnemu celowi.

Ale czego tak naprawdę chciał? Jak większość ambitnych ludzi nie umiał tego nazwać. Chciał całego świata. Albo nieba. Albo jednego i drugiego. Chciał być nawet dobroczyńcą ludzkości.

Gdy jednak tego grudniowego popołudnia patrzył na pokrytą liczbami kartkę papieru, dręczyło go tylko jedno pytanie. Od dawna wiedział, że ma kłopoty, ale ciągle tę myśl od siebie odsuwał. A teraz kłopoty dopadły go same.

Aleksander Bobrow był całkowicie zrujnowany.



Zdawał sobie sprawę, że i tak miał więcej szczęścia niż inni. Pomimo podziału rodzinnych dóbr w kolejnych pokoleniach ojciec zostawił mu trzy majątki: jeden niedaleko Tuły, drugi na żyznych glebach prowincji riaszańskiej na południe od Oki, a trzeci w Rusce niedaleko Włodzimierza. W dwóch innych miał częściowe udziały. W sumie był właścicielem pięciuset dusz, jak nazywano pełnoletnich chłopów pańszczyźnianych płci męskiej. Może nie było to wielkie bogactwo, bo w tym stuleciu liczba ludności rosła, ale taki spadek trzeba było uznać za przyzwoity. Niestety, to nie wystarczało.

„Połowa moich znajomych ma długi” – mawiał beztrąsko. To prawda, zadłużeni byli zarówno bogacze, jak i biedacy. Władze podchodziły do tego wyrozumiale; stworzono nawet specjalny bank – oczywiście tylko dla szlachty – który udzielał pożyczek na korzystnych warunkach. A ponieważ o zamożności szlachcica świadczyła liczba posiadanych przez niego chłopów, wysokość zabezpieczenia dla kredytów wyrażano nie w rublach, ale w duszach. Całe szczęście, że w tym roku limit pożyczki został zwiększony z dwudziestu do czterdziestu rubli za jedną duszę. Dzięki temu Aleksander utrzymał się na powierzchni przez ostatnie miesiące. Jednak prawda była taka, że majątek w Tule, gdzie się wychował, będzie musiał sprzedać, pozostałe trzysta dusz wpisano jako zastaw za kredyty, a do tego nawet nie miał pojęcia, ile jest winien kupcom.

Ostateczny cios przyszedł tego ranka, gdy majordomus poprosił go o pieniądze na zakup jedzenia na targu. Bobrow, stwierdziwszy, że jest bez grosza, polecił służbie, żeby zrobiła zakupy za swoje, a sam poszedł do banku. Ku jego zaskoczeniu odmówili mu kolejnej pożyczki. Oburzające! W biurze zmusił się do zrobienia rachunków i z przerażeniem odkrył, że same odsetki przekraczają jego dochody! To oczywiste, był bankrutem. Gra skończona.

– Niedobrze – westchnął. – Tymi kartami już nie da się grać.

Znowu spojrzął na list. Furtka bezpieczeństwa: ślub z młodą Niemką. Jak, do diabła, można się od tego wymigać?

Już raz był żonaty, dawno temu. Jednak zaledwie po roku żona zmarła podczas porodu. Wpadł w rozpacz. I choć to było tak dawno, od tamtej pory się nie ożenił. Miał za to uroczą kochankę. Tak naprawdę Niemka była jednym z obiektów przypadkowych zalotów, które od kilku lat traktował jako polisę ubezpieczeniową na przyszłość. Jej rodzina – potomkowie rycerzy zakonu krzyżackiego – wywodziła się z nadbałtyckiej szlachty, która po aneksji tamtejszych ziem dokonanej przez Piotra Wielkiego wstąpiła na służbę rosyjską. Dziewczyna miała piętnaście lat. A najgorsze, że się rozpaczliwie w nim zakochała. Choć za to akurat powinien być wdzięczny, bo była dziedziczką majątku. Miała na imię Tatiana.

Przez cały rok niewinna dziewczyna naciskała na ojca, żeby wyraził zgodę na jego konkury. Mijały tygodnie i miesiące, a gdy sytuacja Bobrowa stawała się coraz bardziej niepewna, on sam był zmuszony z tym większą mocą udowadniać swoje zaangażowanie. Jeśli sprawy potoczą się niepomyślnie, oceniał, nie mogę sobie pozwolić na stratę tej panny. Obawiał się też, że jej ojciec dowie się prawdy o długach i zakończy zaloty. A wtedy zostanie z niczym, wzdychał. Dni mijały, a on starał się zyskać na czasie. I właśnie dziś musiał przyjść ten przedziwny list.

List był absolutnie szczery. Tatiana wyrzucała w nim Aleksandrowi, że unika jej od trzech tygodni. A ojciec ma na uwadze innych kandydatów. I kończyła stanowczo:

*Jutro wieczorem zapytam ojca, czy miał od Pana jakieś wiadomości. Jeśli nie, to nie chcę Pana więcej widzieć.*

Jak na ówczesne czasy list był zdumiewający. Młoda kobieta pisze osobiście do mężczyzny – było to złamanie wszystkich zasad etykiety. Bobrow aż nie mógł uwierzyć, że się do tego posunęła. Nie umiał nawet ocenić, czy jest tym wzburzony, czy w skrytości ducha podziwia jej śmiałość. Ale jedno było pewne: dziewczyna nie rzuca słów na wiatr.

Wyciągnął się na oparciu krzesła i zamknął oczy. A jeśli ulegnie? Czy to takie straszne? Dzięki pieniądzom Tatiany mógłby zatrzymać swój piękny dom w Petersburgu i wszystkie majątki. Byłby bogaty, zabezpieczony, szanowany. Ludzie uznaliby, że postąpił słusznie.

– Trzeba wiedzieć, kiedy wstać od karcianego stolika – mruknął.

Co go więc powstrzymuje? Czemu nie chwyta liny ratunkowej rzuconej przez los? Otworzył oczy i spojrzał przez okno w zimową ciemność. Miał jeszcze jedną, ostatnią szansę. Ostatni, niebezpieczny rzut kostką. Staruchę.

Westchnął. Diabelnie ryzykowne. Nawet jeśli ona się zgodzi, to i tak potem może zmienić zdanie. A wtedy straci wszystko – pieniądze, reputację, a nawet możliwość odegrania się. Będę żebrakiem, pomyślał. A mimo to...

Przez kilka kolejnych minut hazardzista Aleksander Bobrow siedział przy dużym biurku, rozważając swoje szanse. W końcu wyprostował się z cierpkim uśmiechem na twarzy. Postanowił zaryzykować.

Jeszcze dziś wieczorem pojedę do tej staruchy i zapytam, pomyślał.

Bo hazardzista Bobrow potajemnie prowadził grę o znacznie wyższą stawkę niż majątek Tatiany.

Grał o Petersburg.

Petersburg był prawdziwym cudem. Stolica Rosji – położona na tej samej szerokości geograficznej co Grenlandia i Alaska, prawie dwa tysiące kilometrów dalej na północ niż Boston, w bliższej odległości od koła polarnego niż od Londynu – była drugą Wenecją. Piękna i prosta zarazem, powstała wokół szerokiej niecki, gdzie Newa, zbliżając się do ujścia, opływa z dwóch stron dużą, trójkątną Wyspę Wasilewską, której wierzchołek skierowany jest w głąb lądu, a patrząca ku ujściu szeroka podstawa chroni miasto przed furią morza.

Dla Bobrowa nie było większej radości, niż wpłynąć statkiem w szeroką odnogę Bałtyku znaną jako Zatoka Fińska i minąwszy boje, znaleźć się najpierw w wąskim kanale okalającym wyspę, a potem na wodach rzeki, która rozlewała się przed nim jak ogromna, spokojna laguna.

Czy w całej północnej Europie był piękniejszy widok? Oto niemal w połowie nurtu znajdował się wierzchołek wyspy, Striełka, z domami i magazynami przypominającymi starożytne świątynie. Trochę dalej na lewo, w połowie północnego brzegu, wznosiła się stara twierdza Pietropawłowska. Znajdował się tam teraz piękny sobór zbudowany przez Trezziniego i ozdobiony przez Rastrellego. Złota, podobna do igły wieża świątyni wystrzeliwała w górę na ponad sto metrów, łącząc nabrzeża miasta z bezkresnym niebem.

Na prawo, na południowym brzegu, stały budynki Admiralicji, barokowe i klasycystyczne fasady Pałacu Zimowego i Ermitażu. Emanował z nich niebywały spokój – odległe stiuki, pomalowane w tamtych czasach głównie na żółto, różowo albo brązowo, miękko mieszały się z szarością wód.

„Oto miasto doskonałe – wzdychał Bobrow. – Jest zarówno kobietą, jak i mężczyzną”.

Miasto Piotra – to on je wytyczył. Trzy wspaniałe aleje, z których największy był Newski Prospekt, zbiegały się nie przy pałacu, ale przy Admiralicji, przypominając tym nieustannie o wojskowym pochodzeniu miasta. Mimo to cała jego topografia i miękkie linie były wyraźnie kobiece. A co dziwniejsze, po śmierci Piotra miastem rządziły niemal wyłącznie kobiety.

Najpierw wdowa po carze, potem jego niemiecka siostrzenica – caryca Anna, a potem przez dwadzieścia lat córka Piotra, Elżbieta. Wszyscy mężczyźni następcy tronu albo zmarli, albo zostali odsunięci od władzy po kilku miesiącach.

Bobrow przyszedł na świat za panowania carycy Elżbiety. Wspominał tamte czasy z uśmiechem jako lata zbytowej ekstrawagancji. Podobno caryca miała piętnaście tysięcy sukien i nawet francuski kapelusznik w końcu odmówił jej kredytu. Ale talentów nie można było władczyni odmówić: zbudowała Pałac Zimowy, a w licznym gronie jej kochanków znalazły się tak wielkie postacie jak Szuwałow, założyciel moskiewskiego uniwersytetu, czy Razumowski, miłośnik muzyki – ludzie, którzy nie tylko zainicjowali w Rosji wspaniałą epokę, ale stanowili też ozdobę europejskiej kultury. Petersburg stał się miastem kosmopolitycznym, szukającym inspiracji na olśniewającym dworze francuskim.

A potem nadeszła złota epoka.

Petersburg, miasto Katarzyny. Nikt by nie pomyślał, że ta niewiele znacząca młoda księżniczka z pomniejszego niemieckiego dworu zostanie jedyną władczynią Rosji! Przybyła jako skromna, potulna żona Piotra, następcy tronu i siostrzeńca Elżbiety. I taka by pozostała, gdyby mąż nie okazał się osobą niezrównoważoną. Bo Piotr, choć poprzez matkę pochodził od Piotra Wielkiego, był Niemcem i okazywał to w sposób niemal chorobliwy. Za swój wzór uważał króla pruskiego Fryderyka Wielkiego. Uwielbiał musztrować żołnierzy. Nienawidził Rosji i mówił to wprost. A biedną, wyróżniającą się anielską cierpliwością żoną nie interesował się w ogóle.

Stanowili wielki kontrast – gwałtowny młodzieniec i milcząca, zamyślona dziewczyna; następca tronu nienawidzący swojej sukcesji i cudzoziemska księżniczka, która przeszła na prawosławie i pilnie uczyła się rosyjskiego. Wprawdzie doczekali się dziedzica, ale Piotr ignorował żonę, brał sobie kochanki i praktycznie sprowokował ją do podobnego postępowania. Czy podświadomie dążył do samounicestwienia? Bobrow gotów był się z tym zgodzić. W każdym razie gdy ten powszechnie znienawidzony młodzieniec został wkrótce po koronacji zamordowany przez gwardię pałacową pod dowództwem kochanka Katarzyny, nie tylko Bobrow odetchnął z ulgą.

Kto powinien zająć miejsce tego potwora? Któż by inny, jeśli nie jego lubiana młoda żona, matka kolejnego następcy tronu, kochająca wszystko co rosyjskie? I tak oto szczęśliwym zrzędzeniem losu zaczęło się wspaniałe panowanie Katarzyny II.

Katarzyna Wielka. Godna następczyni Iwana Groźnego i Piotra Wielkiego, których dzieło miała doprowadzić do końca. Rosja zrzucała z siebie ostatnie kajdany. Na zachodzie odzyskała od osłabionej Polski resztę Białej Rusi. Na południu zmiotła turecką flotę. Zagrożenie na stepach ze strony Tatarów ustało, bo Katarzyna pozbyła się chana krymskiego i zajęła wszystkie jego ziemie. Na wschodzie Rosja zagarnęła całą eurazjatycką równinę aż po Pacyfik. Rosyjskie wojska wdarły się na azjatyckie pustynie, docierając do granic starożytnej Persji. A Bobrow słyszał nawet, że na wybrzeżu Alaski, po drugiej stronie Cieśniny Beringa, powstała rosyjska kolonia. I być może wkrótce Rosja zajmie też ziemie na zachodzie Ameryki!

Ale Katarzyna miała jeszcze śmielsze plany. Chciała zdobyć Konstantynopol, serce Imperium Osmańskiego – starożytną stolicę Rzymu i ojczyznę prawosławia! Zamierzała utworzyć tam siostrzane imperium. Swojemu drugiemu wnukowi nadała nawet imię Konstanty, szykując go na władcę czarnomorskiego mocarstwa.

Katarzyna reformatorka. Podobnie jak Piotr chciała uczynić z Rosji nowoczesną, świecką potęgę. Słowianie, Turcy, Tatarzy, Finowie, niezliczone plemiona – wszyscy byli teraz Rosjanami. Żeby wesprzeć kolonizację rozległych stepów, sprowadzała niemieckich osadników. W carskim Petersburgu wyznawcy ośmiu religii, mówiący w czternastu różnych językach, cieszyli się wolnością wyznania. A na terenach odebranych Polsce mieszkali nawet Żydzi. Odebrano wszystkie ziemie Kościołowi i przekazano pod kontrolę państwa. Zamknięto klasztory o mniej surowej regule. Powstawały dziesiątki nowych miast, przynajmniej na papierze. Caryca próbowała nawet zreformować przestarzałe rosyjskie prawo i stworzyć ciała przedstawicielskie szlachty i kupców.

Katarzyna oświecona. W końcu była to epoka oświecenia. W XVIII wieku w całej Europie szerzyły się liberalne poglądy polityczne i filozofia racjonalizmu. W Ameryce, która w wyniku wojny o niepodległość wyzwoliła się spod angielskiego panowania, zaczęła się nowa epoka wolności. I oto teraz, ku zaskoczeniu całego świata, oświecona kobieta rządziła ogromnym krajem lasów i stepów.

Katarzyna prawodawczyni. Katarzyna edukatorka. Katarzyna zwolenniczka wolności słowa, protektorka filozofów, którzy ją chwalili. Sam Wolter, największy francuski wolnomyśliciel, pisał do niej niekończące się listy. Katarzyna mędrzec. I kobieta, która miała wielu kochanków. Należał do niej cały Petersburg ze wszystkimi pełnymi luksusów pałacami.

Nikt nie zauważył postaci w grubym płaszczu czekającej przy wejściu do Kolegium. Schodzenie ludziom z oczu to była jego wielka umiejętność.

Mógł wejść do środka. Przywitano by go z szacunkiem. Ale tego właśnie nie chciał. Wolał też nie przekazywać wiadomości przez służącego i miał ku temu powody.

Ale nareszcie się doczekał. W drzwiach pod latarnią pojawił się radca stanu Bobrow – miał na sobie grube futro i najwyraźniej szykował się do domu. Wyglądał dość blado. Z jakiegoś powodu jego sanie nie były jeszcze gotowe i lokaj pobiegł, żeby je przywołać.

Milcząca postać wyszła szybkim krokiem z cienia. Gdy podeszła bliżej, Bobrow przyjrzał się jej i aż drgnął ze zdziwienia. Mężczyzna dał mu gestem znak i ledwo zauważalnym ruchem wręczył wiadomość. Potem, bez jednego słowa, wycofał się i po

chwili zniknął za rogiem.

Bobrow stał nieruchomo. Wokół było pusto, nikt ich nie widział. Przełamał pieczęć i szybko przeczytał list w świetle latarni. Wiadomość była krótka.

*Zapraszam na specjalne spotkanie braci w różowym domu. Jutro o szóstej.*

*Kołowion*

Nic więcej. Co najwyżej stu ludzi w całej Rosji wiedziałoby, co to znaczy, ale dla Aleksandra Bobrowa wiadomość miała ogromną wagę. Zniszczy ją, gdy tylko wróci do domu; wszelkie ślady kontaktów należało palić. Na razie jednak wsunął kartkę do kieszeni. A potem mruknął z westchnieniem:

– Głos sumienia.

Pojawiły się jego sanie. Miał na ten wieczór tyle do zrobienia.

Przed Aleksandrem, na wielkim mahoniowym stole, stało kilka dań: kurczak kupiony tego ranka na targu, miska kiszzonej kapusty, żytni chleb, kawior z bielegi i kieliszek niemieckiego wina. Ale on ledwo tknął jedzenie. Przebrał się już na wieczór w niebieski aksamitny żakiet i choć był zdenerwowany, na jego twarzy malowała się obojętność hazardzisty.

Rozejrzał się po dużym, wysokim pokoju. Na ścianach pokrytych ciemnozieloną tapetą wisiały sceny biblijne przedstawione w tradycyjnej manierze na ciemnym tle. W rogu stał duży piec z czerwonych i zielonych kafli. Jednak powagę wnętrza przełamywały dość toporne i w większości sprośne żarty umieszczone na kaflach. Te świadectwa rosyjskiego poczucia humoru widziało się wszędzie, nawet w oficjalnych komnatach carskich pałaców. Najdalszą ścianę zajmował portret jego pradziadka Prokopa, przyjaciela Piotra Wielkiego. Prokop spoglądał poważnie i miał raczej orientalny wygląd. Aleksandrowi od małego wpajano pełen czci szacunek dla tego człowieka.

– Ciekaw jestem, czy odważyłbyś się na coś takiego – mruknął.

Najwyższy czas iść na spotkanie z hrabiną Turową.

Chociaż imperialna hierarchia – czternaście rang – była w zasadzie otwarta dla każdego, to niektóre rodziny cieszyły się specjalnym statusem poza oficjalnym systemem. Była więc skromna liczba starych bojarskich i szlacheckich rodów – takich jak Bobrowowie – którym udało się przetrwać przez burzliwe stulecia. Byli posiadacze starych kniaziowskich tytułów – dalecy potomkowie chanów tatarskich albo samego świętego Włodzimierza – i posiadacze tytułów cudzoziemskich, zazwyczaj wywodzący się ze Świętego Cesarstwa Rzymskiego. A dziś pojawiły się rodziny z nowymi tytułami stworzonymi przez Piotra i jego następców dla najbliższych faworytów – książęta, hrabiowie i baronowie. Jednym z nich był hrabia Turow, człowiek niezwykły. Zostawił po sobie wdowę, której Aleksander – co sam przyznawał – po prostu się bał.

Była jego kuzynką ze strony ojca. Straciła dwoje dzieci, a mąż zapisał jej w testamencie znaczną część ogromnego majątku do własnej dyspozycji. „Może z nim zrobić, co tylko zechce – mówił ojciec Aleksandra. – Może uda ci się coś z tego uszczknąć. Choć lepiej nigdy na nią nie licz – dorzucał. – Zawsze była ekscentryczna”.

Jednak Aleksander musiał zaryzykować. Nie mógł poprosić jej o pieniądze wprost. Pokazałaby mu drzwi. Spadek to co innego. Spodziewało się go także kilku innych

krewnych, ale jemu wystarczyłaby jedna czwarta majątku hrabiny, a nawet jedna ósma. Bobrow westchnął. Umizgiwał się do niej od lat, lecz nadal nie wiedział, na co może liczyć. Czasem dawała mu dowody życzliwości, czasem zaś drwiła z niego.

A gdyby dzisiaj powiedziała „tak”? Jego kalkulacje były proste. Hrabina miała ponad siedemdziesiąt lat i perspektywa spadku pozwoliłaby mu kontynuować grę o najwyższą stawkę. Znał kilku lichwiarzy, którzy daliby mu kredyt niejako na poczet spadku, a wtedy mógłby przetrwać jeszcze jeden rok. Odrzuciłby propozycję młodej Niemki, spalił za sobą mosty i czekał na rozwój wydarzeń.

Mimo to ryzyko było ogromne. Mogło się okazać, że jednak źle obstawił. Co będzie, jeśli hrabina Turowa da mu obietnicę, a potem zmieni zdanie? Albo będzie żyła do dziewięćdziesiątki?

– Stara suka! – zaklął nagle.

Jednak podjął decyzję i zamierzał się jej trzymać. Wymacał w kieszeni srebrną monetę. Po przybyciu do hrabiny chciał nią rzucić. „Jeśli wypadnie orzeł, ożenię się z tą Niemką. A jeśli reszka i ta starucha obieca mi spadek, zaryzykuję”. Lubił takie zakłady. W podejmowaniu życiowych decyzji na podstawie rzutu monetą było coś religijnego. Uśmiechnął się. Jeden z jego znajomych karciarzy mawiał, że hazard jest jak modlitwa.

Sanie pędziły po oblodzonych ulicach Petersburga, blask latarni i oświetlonych okien rozmywał się w mdłej poświacie. Na niebie błyszczało kilka gwiazd.

Wspaniałe sanie były właściwie powozem na płozach. Dwóch lokajów jechało z tyłu, w budce z przodu siedział stangret – potężny mężczyzna w grubym kożuchu, wielkich butach ocieplanych flanelą i futrzanej czapce na głowie. Jak wszyscy rosyjscy chłopcy miał gołą szyję. I jak wszyscy Rosjanie, dawniej i później, pędził na złamanie karku. Choć o tej porze na ulicach było prawie pusto, zawsze znalazł powód, żeby krzyknąć:

– Na prawo! Z drogi, żołnierzu, niech cię diabli! Uważaj, babuszko!

Obok sań jechał konno chłopak. On i stangret niemiłosiernie okładali konie batem. A co im szkodziło? Konie i tak nie należały do Bobrowa. Radca stanu miał swoje wierzchowce, ale jak większość mieszkańców Petersburga do zwykłych przejazdów wykorzystywał konie wynajęte. Nieszczęsne zwierzęta służyły każdemu, dopóki nie padły, a wtedy z typową rosyjską niedbałością zastępowano je nowymi.

Bobrow opadł na miękkie siedzenie. Trzy koncentryczne kanały dzieliły południowy brzeg Petersburga na trzy półokręgi: wewnętrzny, środkowy i zewnętrzny. Zewnętrzny kanał, słynna Fontanka, stanowił granicę bogatego śródmieścia. Dom Bobrowa stał w modnej dzielnicy Admiralicji, w środkowym kręgu. Wkrótce sanie wyjechały na granitowe nabrzeże nad zamarzną Newą. Mknęli na wschód, po lewej stronie mieli rzekę, a po prawej duże, solidne domy angielskich kupców. Już niedługo znajdą się w samym sercu stolicy.

Wyjął monetę i trzymał ją w dłoni. Co za zdumiewający zakład! Rzuci monetą o całe Imperium Rosyjskie!

O taką stawkę prowadził od lat potajemną grę. Właśnie z tego powodu nie chciał się zenić i dlatego musiał choć przez jakiś czas zachować finansową wydolność. Bo wygrana była już tak blisko, niemal w zasięgu ręki, dzieliło go od niej zaledwie kilka

miesiący. Był o krok od najwyższego stanowiska w państwie rosyjskim.

Bo Aleksander Bobrow zamierzał zostać oficjalnym kochankiem Katarzyny Wielkiej.

Nie było to nierealne marzenie. Od wielu lat ostrożnie manewrował w kierunku wybranego celu. I oto teraz – a wiedział to z najlepszego źródła – był pierwszy w kolejce. Stanowisko obiecał mu człowiek, który niemal na pewno w tajemnicy wziął z Katarzyną ślub.

Na dworze Katarzyny Wielkiej istniało kilka ścieżek do władzy. Ale komuś o wielkich ambicjach żadna nie dawała takich możliwości jak te, które otwierały się przed mężczyzną dzielącym łożę z carycą.

Katarzyna, często przedstawiana jako potwór wykorzystujący mężczyzn, była tak naprawdę sentymentalna. Jej listy jasno pokazują, że po małżeńskich upokorzeniach przez resztę życia szukała miłości i idealnego mężczyzny. Nie była też szczególnie rozwiązła. Zapiski historyczne wymieniają nazwiska jej dwudziestu kochanków.

Przed tym, kto zajmował to miejsce, otwierały się niemal nieograniczone możliwości. Kochankami Katarzyny byli na ogół mężczyźni z zacnych rodzin, tacy jak Aleksander Bobrow, choć zdarzali się też prawie nieznanymi. Ich nazwiska zapamiętała historia. Orłow, dzielny gwardzista, który zdobył dla niej tron i którego brat zabił jej zniechęconego męża. Sałtykow, czarujący arystokrata, który według wielu miał być prawdziwym ojcem jedyneprawowitego dziedzica Katarzyny. Poniatowski, którego uczyniła królem Polski! A największym z nich był dziwny, humorzasty geniusz, jednooki Potiomkin, który jako potężny prokonsul krymski budował teraz dla niej nową prowincję cesarstwa, większą niż niejedno królestwo.

Nowo wybrany kochanek mógł po pierwszej nocy liczyć na prezent w wysokości stu tysięcy rubli. A potem... Powiadano, że Potiomkin dostał prawie pięćdziesiąt milionów! Czy cesarzowa potajemnie poślubiła go wiele lat temu? Nie wiadomo. Ale bez względu na to, czy był jej mężem, czy nie, jedno nie ulegało wątpliwości. „To Potiomkin mianuje nowych kochanków” – szeptali dworzanie.

Aleksander dość łatwo zaprzyjaźnił się z Potiomkinem, bo szczerze go podziwiał i był jednym z jego najbardziej lojalnych ludzi. A gdy młody kochanek Katarzyny, Łanskoj, zmarł nieoczekiwanie dwa lata wcześniej – jak mówiły dworskie plotki, zabiły go eliksiry miłosne – Aleksander dojrzał swoją szansę i niezwłocznie udał się wprost do Potiomkina.

Był już tak blisko. Tuż przed nim wprowadzono na audiencję młodego oficera gwardii i to on znalazł poparcie. Ale Potiomkin miał o Bobrowie jak najlepsze zdanie i zachował go sobie na przyszłość. Przede wszystkim dlatego, że wierzył w jego lojalność. „Nawet ja mam wrogów – wyznał kiedyś Aleksandrowi. – Najchętniej widzieliby na tym miejscu kogoś, kto by wystąpił przeciwko mnie”.

Wiele razy Aleksander roztrząsał tę kwestię ze swoim protektorem. „Jeśli tylko będzie okazja – obiecywał Potiomkin – wezwę cię, żebyś mógł się z nią spotkać. A potem...”

To było rok temu. Aleksander wyczekiwał niecierpliwie. Trochę znał młodego oficera i skrzętnie zbierał o nim nawet najmniejsze strzępy informacji. Miał na dworze

kilku przyjaciół. I od nich się dowiedział, że młodzieniec rzuca miłosne spojrzenia jakiejś damie dworu i że jest zmęczony swoim stanowiskiem. Co oznaczało, że w ciągu kilku miesięcy mógłby je utracić. A wtedy, mój Boże, wtedy nadejdzie moja kolej, myślał Aleksander. Ależ on ją zadziwi! W mężczyznach podobała jej się śmiałość i inteligencja, a jemu nie brakowało ani jednego, ani drugiego. Był pewien, że ją oczaruje.

Niepokoili go tylko jedna myśl: czy będzie umiał ją zadowolić. Cesarzowa nie była szczególnie piękna. To prawda, miała dość ładną twarz o mocnych, niemieckich rysach, ale była niska i po prostu tęga. Miała pięćdziesiąt siedem lat i – jak mówiono – czasem brakowało jej tchu.

Ale była też Katarzyną, cesarzową Rosji. Na całym świecie nikt nie mógł się z nią równać. Jej władza, jej heroiczna praca, jej niezwykły umysł sprawiały, że w oczach takich ludzi jak Bobrow, pragnących wspiąć się na sam szczyt, była najbardziej pożądaną kobietą. A jeśli pojawi się w łóżku jakiś problem, będę umiał sobie z nim poradzić, pocieszał się w myślach. Był silny, sprawny i niezbyt wrażliwy. Po dobrym jedzeniu zawsze staje na wysokości zadania, przypominał sobie.

A potem... ależ czeka go przyszłość! Będzie miał u stóp Matuszkę Rosję i całe potężne imperium, będzie należał do najściślejszego kręgu rządzącego wraz z cesarzową. Na całym świecie nie było lepszego stanowiska. Musi tylko jeszcze trochę wytrzymać.

Obok niego przesuwiał się w milczeniu wielki, magiczny Petersburg. Wjeżdżali na rozległy plac Piotra Wielkiego przed Admiralicją. Po lewej stronie Bobrow widział długi most pontonowy, który prowadził na Wyspę Wasilewską. Most nie był w zasadzie potrzebny, bo podczas zimy zamrożona Newa zamieniała się w ruchliwą aleję. Odbywały się tam wielkie targi. Rzekę przecinało kilka dróg wytyczonych na lodzie przez ścięte drzewa i latarnie, które świeciły blado i niknęły w ciemnościach na północnym brzegu. Na wierzchołku wyspy płonęło ognisko. Nieco dalej, naprzeciwko Pałacu Zimowego, na tle nieba wylaniał się zarys smukłej iglicy soboru Świętego Piotra i Świętego Pawła.

Ale gdy wyjechali na plac, co innego przykuło wzrok Aleksandra. Otworzył okienko, twarz owionęło mu lodowate powietrze, a on patrzył wzrokiem tak dziwnym, jakby był zahipnotyzowany.

Jeździec z brązu.

Ten ogromny posąg, którego wykonanie zajęło francuskiemu rzeźbiarzowi Falconetowi wiele lat, już stał się sławny w całej Rosji, choć odsłonięto go niedawno. Ustawiony na wielkim postumencie z granitu wspaniały wierzchowiec – trzy razy większy niż w naturze – wspinał się na zadnich nogach. Pod nim leżał wąż. A na koniu siedział Piotr ubrany w rzymską togę. W lewej ręce trzymał wodze, a prawą, wyprostowaną, wskazywał władczy gestem aż za szeroką Newę.

Mówiono, że nigdzie na świecie nie ma większego granitowego bloku. Nigdzie nie wykonano tak ogromnego odlewu. Wspaniały wierzchowiec, wzorowany na najlepszych koniach ze stajni Katarzyny, potężnym skokiem wzbijał się w górę niemal ku niebu. Widok posągu za każdym razem zapierał Aleksandrowi dech. Wszystkie jego marzenia i ambicje wyrażały się w tym brązowym hymnie na cześć rosyjskiej potęgi. Posąg musiał być wielki. W Moskwie odlano największe działo i największy dzwon, jaki widział świat.



Więc Petersburg musiał mieć największy brązowy posąg. I chociaż popi o ciasnych horyzontach krytykowali pogańskie, rzymskie szaty Piotra, to zdaniem Bobrowa francuski rzeźbiarz uchwycił samą istotę imperialnego przeznaczenia, które Piotr ofiarował swojemu krajowi i które geniusz Katarzyny miał teraz dopełnić. Oto Rosja swoją niepokonaną wolą wykona ostatni wielki krok i będzie rządzić połową świata.

Na ogromnym cokole z granitu widniało tylko jedno zdanie:

Dla Piotra I

od Katarzyny II

Posąg górował nad słabo oświetlonym placem jak jakaś zjawia. Był niedostępny. I wydawało się, że przemawia do Aleksandra niczym wewnętrzny głos jego własnych ambicji: „I co, mały człowieczku, chcesz się teraz cofnąć?”

Nie, pomyślał Aleksander, nie cofnę się. Za daleko zaszedłem. Lepiej zagrać jeszcze raz – i wygrać imperium albo stracić wszystko.

Spojrzał na srebrną monetę, którą trzymał w dłoni, po czym wyrzucił ją przez okno w ciemność nocy.

– Drogi Aleksandrze! – Hrabina uśmiechała się. – Tak się cieszę, że przyszedłeś.

– Dario Michajłowna! – Pochylił się, żeby ją ucałować. – Pięknie wyglądasz.

Rzeczywiście hrabina wyglądała nieźle. Kiedyś musiała być piękną kobietą. Jej drobna twarz, nieco zbyt mocno umalowana, zawsze przypominała mu wesołego ptaka, zwłaszcza teraz, gdy wraz z wiekiem jej haczykowaty nos bardziej rzucał się w oczy. Żywe niebieskie oczy słały wokół szybkie spojrzenia. Miała na sobie starodawną suknię do ziemi – z fioletoworóżowej marli, ozdobioną białą koronką i różowymi wstążkami – w której wyglądała jak postać z ubiegłowiecznego francuskiego dworu. Cienkie włosy, mimo że upudrowane, miały po bokach żółtawy odcień, jak zaśniedziałe srebro. Ułożono je w dziwną wysoką fryzurę wykończoną loczkami i ozdobioną perłami oraz bladoniebieską wstążką.

Hrabina Turowa witała gości, siedząc na połączonym fotelu pośrodku salonu zajmującego całą kondygnację nad marmurową klatką schodową. Salon – jak większość pomieszczeń w rosyjskich pałacach – był duży i wspaniały. Wysoki na sześć metrów, miał lśniący parkiet ułożony z kilkunastu rodzajów drewna. Z sufitu zwieszał się ogromny kryształowy żyrandol.

Goście wciąż przybywali. Niektórych Aleksander znał. Niemiecki profesor, angielski kupiec, dwaj młodzi pisarze, wybitny starszy generał, a nawet wiekowy książę – jedną z zalet Petersburga było to, że w takim arystokratycznym otoczeniu spotykało się ludzi wszystkich warstw i nacji. W domach rosyjskiej szlachty panowała cieplejsza, luźniejsza atmosfera niż w domach w Europie Zachodniej.

Stało się już tradycją, że raz w tygodniu tacy ludzie przybywali do wielkiego domu Turowów na Wyspie Wasilewskiej. Hrabia był człowiekiem wyjątkowym. Przed trzydziestu laty wsparł starania Szuwałowa zmierzające do założenia moskiewskiego uniwersytetu. Pisarze z połowy XVIII wieku – pierwsza taka grupa intelektualistów w Rosji – uważali go za przyjaciela. Odwiedzał go nawet Łomonosow, pierwszy rosyjski filozof i naukowiec. Turow dużo podróżował – był z wizytą u samego Woltera – i zgromadził wiele skarbów europejskiego malarstwa, rzeźby, wspaniałą porcelanę,

imponującą bibliotekę, a wszystko to wciąż znajdowało się w tym okazałym pałacu. Hrabina, która przez całe ich wspólne życie niczym sroka zbierała strzępy najróżniejszych idei i poglądów, trzymała się ich teraz zawzięcie, choć niewiele z nich rozumiała. Prowadziła dom otwarty dla intelektualistów, którzy częściowo z przyzwyczajenia, a częściowo rozbawieni jej ekscentrycznością, wciąż ją odwiedzali. „Polegają na mnie – mawiała. – Jestem ich opoką”. I nie zmieniała przekonania.

A najbardziej nieugięta była w oddaniu dla obiektu swojego największego uwielbienia. Poważała zmarłego męża, ale dla tamtego bohatera stworzyła prawdziwą świątynię. Jej cały dom zdawał się mówić: tutaj oświeceni składają hołd swojemu mistrzowi.

Wolter. Jego wizerunki były wszędzie. Jedno popiersie stało na postumencie w wielkim marmurowym holu, drugie na zakręcie szerokich schodów. W galerii wisiał portret, a jeszcze jedno popiersie zajmowało róg salonu. Wielki filozof był jej bożyszczem. Jego nazwisko nieustannie przewijało się w rozmowach. Jeśli ktoś wyraził właściwą opinię, hrabina mówiła stanowczo: „Sam Wolter mógłby to potwierdzić”. Albo gdy chciała być bardziej serdeczna: „O, widzę, że czytał pan Woltera”. Bobrow był pewien, że sama nigdy tego nie zrobiła. Zdziwiająco, jak potrafiła sprowadzić dowolną rozmowę na osobę filozofa i przywołać jego autorytet. Jej się chyba wydaje, że on ma wpływ nawet na pogodę, myślał Aleksander.

Z szacunku dla Woltera, Diderota i innych francuskich filozofów oświecenia u hrabiny Turowej mówiło się tylko po francusku.

I należało uważać na słowa. Niewiarygodne, co ta kobieta słyszała i co wiedziała. Uwielbiała prowokować ludzi. Po przywołaniu świętego nazwiska Woltera padało jej ulubione zdanie wypowiedziane ostrym tonem: „Proszę uważać, *monsieur*. Bo ja śpiam z otwartymi oczami”. Nikt nie wiedział, czy to figura retoryczna, czy należy to rozumieć dosłownie.

Teraz jednak rozpromieniona poklepała Aleksandra po ramieniu.

– Nie oddalaj się ode mnie zanedo, *mon cher*. Będę cię dziś potrzebować.

Zaciekawiło go, co to może znaczyć.

– Ale na razie możesz iść. Zdaje się, że ktoś na ciebie czeka.

Aleksander odwrócił się. I zaraz się uśmiechnął.

Dom hrabiny Turowej był bardzo dużą budowlą z klasycystycznym portykiem między dwoma skrzydłami. Pokoje sutereny znajdowały się niemal na poziomie ulicy i choć wielu arystokratów wynajmowało takie pomieszczenia eleganckim kupcom i sklepikarzom, hrabina wolała zachować cały dom dla siebie i służby.

Z jednym wyjątkiem. Pozwoliła owdowiałej Francuzce, madame de Ronville, zająć apartament we wschodnim skrzydle. Była z tego zadowolona, bo nie płaciła Francuzce za dotrzymanie towarzystwa, ale wynajęła jej mieszkanie za tak niską cenę, że madame czuła się zobowiązana być niemal na każde zawołanie starej damy. „To dla niej taka wygoda, że ma mnie blisko” – mówiła hrabina.

To rozwiązanie odpowiadało też Aleksandrowi Bobrowowi. Bo madame de Ronville była jego kochanką.

W całym Petersburgu nie było bardziej uroczej istoty niż ona. W jej obecności

Aleksander czuł zawsze dreszcz młodzieńczej niemal radości i podniecenia. Byli kochankami od dziesięciu lat i jeszcze się sobie nie znudzili. Ona dobiegała już pięćdziesiątki.

Madame de Ronville miała na sobie różową jedwabną suknię, nieco krótszą niż kreacja hrabiny, z ciasno zebraną w talii krynoliną. Stanik sukni ozdabiały jedwabne kwiatowe aplikacje, które eleganczy Francuzi nazywali „niedyskretnymi skargami”. Usztywnione i upudrowane włosy były uroczo udekorowane dwiema małymi kiściami brylantów. Gdy stała obok niego w milczeniu, niemal go dotykając, myślał jedynie o jej szczupłym ciele. Jej oczy rzucały błyski rozbawienia, gdy mu wyjaśniała, co się stało.

– Dwie gwiazdy dzisiejszego wieczoru nie przybędą – szepnęła. – Radiszczew i księżna Daszkowa. – Uśmiechnęła się. – Więc ty będziesz musiał być jej gwiazdą i gladiatorem. Powodzenia!

Teraz również Aleksander miał powód, żeby się uśmiechnąć. Nic lepszego nie mogło mu się przytrafić. Tak ją zadowolę, myślał, że na pewno mi coś zapisze.

W całym oświeceniowym Petersburgu nie było bardziej olśniewającej postaci niż księżna Daszkowa. Niemal dorównywała samej Katarzynie. Była nieustraszoną obrończynią wolności i to jej cesarzowa powierzyła kierowanie Akademią Rosyjską. Aleksander dobrze znał też Radiszczewa i czytał jego błyskotliwe eseje. Hrabina musi się czuć upokorzona ich nieobecnością. Ale dla niego to wielka szansa.

Bo pomimo wielu starań Aleksander nie był do końca pewny, czy hrabina traktuje go poważnie. Jego artykuły spotykały się z dużym uznaniem. Podobnie jak Radiszczew publikował anonimowe rozprawy na tak śmiałe tematy jak demokracja czy zniesienie pańszczyzny – nawet w oświeczonej Rosji Katarzyny kwestie te były zbyt radykalne, by je dyskutować publicznie. Kiedyś pokazał te teksty hrabinie, zdradzając, kto jest ich autorem, ale mimo to nadal nie wiedział, czy wywarł tym na niej jakiegokolwiek wrażenie. A dziś los dał mu szansę.

Rola gladiatora, jak nazywali ją stali goście hrabiny, wyglądała zawsze tak samo. Gdy w innych salonach kultywowano łagodną sztukę cywilizowanej debaty, hrabina Turowa chciała oglądać rzeź. Ofiarą był zawsze niczego niepodważający nowicjusz o konserwatywnych poglądach, który stawał naprzeciwko człowieka oświecenia – jej gladiatora. A ten z kolei miał pokonać i upokorzyć przeciwnika na oczach hrabiny i pozostałych gości.

Aleksander zauważył, że wokół hrabiny formuje się już krąg. Po jej lewej stronie stał nowicjusz – wytworny, siwowłosy generał, niski, ale wyprostowany, o przenikliwym spojrzeniu niebieskich oczu. A więc to on ma być ofiarą. Hrabina skinęła na Aleksandra. Uśmiechnął się, słysząc, jak beszta jednego z młodych pisarzy za coś, co ośmielił się powiedzieć.

– Proszę uważać, *monsieur*. – Pogroziła mu palcem. – Mnie pan nie oszuka. Ja śpię z otwartymi oczami.

Wciąż taka sama.

Hrabina Turowa nigdy nie siliła się na delikatność i to było jedną z atrakcji jej wieczorów. Gdy miała ochotę na kłótnię, chwyciła któregoś ze swoich zadziornych kogucików, jak ich nazywano, i napuszczała go na drugiego. A teraz zwróciła się do

nieszczęsnego generała.

– Słyszałam, że chce pan nam zamknąć wszystkie teatry – zaczęła oskarżycielsko. Mężczyzna patrzył na nią zaskoczony.

– Ależ w żadnym razie, droga hrabino. Powiedziałem jedynie, że jedna ze sztuk posuwa się za daleko i należy ją zdjąć. Przedstawienie podżega do buntu – dorzucił spokojnie.

– Tak pan mówi? A ty co myślisz, Aleksandrze Prokofiewiczu?

Zaczęło się.

Aleksander uwielbiał te debaty. Po pierwsze dlatego, że był w nich dobry, bo nie dawał się wyprowadzić z równowagi. A po drugie – choć hrabina była osobą płytką, dyskusje w jej salonie zawsze dotyczyły ważnych kwestii mających związek z Rosją i jej przyszłością. Chciał pokonać generała, ale miał nadzieję, że okaże się on godnym przeciwnikiem.

Hrabina wyznaczyła temat: wolność słowa. Ten kluczowy dogmat oświecenia popierała sama cesarzowa. Katarzyna nie tylko pozwoliła na legalne działanie prywatnych wydawnictw, ale napisała też satyrę społeczną w formie utworu scenicznego. Debata się rozpoczęła.

BOBROW: Jestem przeciwny cenzurze, i to z prostego powodu. Gdy ludzie będą mieli wolność wypowiedzi, głos rozumu w końcu zwycięży. Chyba że nie ma pan wiary w ludzki rozum.

HRABINA: (*złośliwie*) Ma pan wiarę, generale?

GENERAL: (*beztrosko*) Nie za wielką.

BOBROW: Historia może być po pańskiej stronie. Ale patrzmy w przyszłość. Człowiek może się zmienić i tak samo może się zmienić sposób sprawowania rządów. Proszę tylko spojrzeć, jak cesarzowa wychowuje swoich wnuków. Nie pochwała pan tego?

Wszyscy wiedzieli, że Katarzyna osobiście zajęła się wnukami, Aleksandrem i Konstantym. Oddała ich pod opiekę szwajcarskiego prywatnego nauczyciela o demokratycznych poglądach, a on miał ich nauczyć, jak być oświeconymi władcami ogromnych imperiów, które chciała im zostawić.

GENERAL: Podziwiam cesarzową. Ale gdy jej wnuk dojdzie do władzy, to bez względu na swoje oświecenie szybko się przekona, że ma dość ograniczone możliwości działania.

HRABINA: (*ze zniecierpliwieniem*) Zapewne wolałby pan, żeby władzę objął wielki książę Paweł?

Bobrow się uśmiechnął. Wielki książę Paweł, jedyny prawowity syn Katarzyny, wyjątkowo drażnił hrabinę. Był to młodzieniec humorzasty i za wzór wybrał sobie zamordowanego cara Piotra III, choć nikt nie miał pewności, czy naprawdę jest jego synem. Nienawidził cesarzowej za to, że przejęła opiekę nad jego synami, i rzadko się zjawiał na dworze. Miał chorobliwe zamiłowanie do wojskowej dyscypliny, nie interesował się oświeceniem i chodziły słuchy, że któregoś dnia Katarzyna wykluczy go z sukcesji. Mimo to żaden rozsądny urzędnik nie odważyłby się powiedzieć złego słowa o kimś, kto w przyszłości może zasiąść na tronie. Dlatego generał wolał się nie odezwać.

BOBROW: A wracając do cenzury, jaką szkodę wyrządza wystawianie tamtej

sztuki?

GENERAL: Żadnej. Ale ja się sprzeciwiam samej zasadzie wolności słowa. I to z dwóch powodów. Po pierwsze, wzmaga ducha opozycji, która nie służy niczemu. A po drugie, i to jest większe zagrożenie, nie chodzi o jej skutki dla ludu, ale dla rządzących.

BOBROW: Jak to?

GENERAL: Bo jeśli tak zwany oświecony rząd uważa, że musi uzasadnić swoje działania rozumem, to zaczyna wierzyć, że jego moralnym obowiązkiem jest zwycięstwo w każdym sporze. A jeśli jakaś potężna i zdeterminowana grupa – której wcale nie zależy na dyskusji ani na wolności słowa – sprzeciwi się takiemu rządowi? Nie trzeba pytać filozofów, czy mamy się bronić przed Czyngis-chanem. Tego nas uczy cała historia Rosji.

To był mocny argument. Hrabina posmutniała.

BOBROW: Tyle że Tatarzy najechali Rosję, bo była podzielona. Jestem przekonany, że zarówno dziś, jak i w przyszłości silna i zjednoczona będzie tylko ta władza, która zdobędzie zaufanie wolnych ludzi.

GENERAL: Nie zgadzam się. Wolność osłabia.

BOBROW: Pan się boi ludu?

GENERAL: Oczywiście. Proszę pamiętać o Pugaczowie.

Naturalnie, Pugaczow. Wśród słuchaczy rozległo się westchnienie. To zdanie miało dźwięczeć w Rosji jeszcze przez następne stulecie. Zaledwie dwanaście lat minęło od ostatniej, straszliwej rewolty chłopskiej, której przewodził Kozak Pugaczow. Jak wiele innych powstań – w tym największe, Stieńki Razina, w poprzednim stuleciu – także i to wybuchło na nadwołżańskich stepach i rozlewało się w kierunku Moskwy. I tak samo jak powstanie Razina było prowadzone bez strategii i bez organizacji, więc musiało upaść. Ale po raz kolejny przypomniało rosyjskiej szlachcie i władzy cesarskiej, że lud jest groźny i należy się go bać. Przekonanie to dawało o sobie znać przez całe dzieje Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Wystarczyło, że ktoś powiedział: „Pamiętajcie o Pugaczowie”.

GENERAL: Rosja jest wielka i zacofana, Aleksandrze Prokofiewiczu, to imperium złożone z samych wsi. Wciąż tkwimy w średniowieczu. Tylko silny autokrata wraz ze szlachtą może skonsolidować kraj. Kupcy i chłopci nie mają ze szlachtą wspólnego interesu i gdy się im pozwoli na dyskusję, nie będą potrafili niczego uzgodnić. Nasza oświecona cesarzowa dobrze o tym wie.

Owszem, było prawdą, że Katarzyna sprawowała autokratyczne rządy. Ustanowiony przez Piotra Senat Rządzący jedynie ratyfikował jej decyzje. A gdy Katarzyna – chcąc zreformować anachroniczne prawo – zwołała wielką radę złożoną z przedstawicieli wszystkich stanów, deputowani nie chcieli ze sobą współdziałać i radę rozwiązano.

BOBROW: Na takie rzeczy potrzeba czasu.

GENERAL: Nie zgadzam się. Jedynie szlachta może rządzić w Rosji – szlachta ma przywileje, bo Rosja jej potrzebuje. Jest pan za zniesieniem naszych przywilejów?

Warstwa szlachecka utworzona przez Piotra miała służyć państwu i była z tego dumna. Katarzyna, żeby zyskać poparcie, okazała jej wiele względów. Cała lokalna władza na prowincji była w rękach szlachty. Wprowadzona rok wcześniej karta praw

potwierdzała wszystkie szlacheckie przywileje. Wszystkie majątki, nawet dawne pomieszczenia nadawane w użytkowanie w zamian za służbę, stawały się własnością. Żadna inna warstwa nie mogła posiadać ziemi. Szlachcice zazwyczaj wstępowali na służbę państwową, ale nie mieli już takiego obowiązku. Nie płacili podatków. Nie podlegali karze knuta. Wolno im było nawet wyjeżdżać za granicę. W ten sposób wyłoniła się klasa uprzywilejowana, która miała niewiele zobowiązań, za to była chroniona jak nikt inny w całej Europie. Generał sprytnie przypomniał słuchaczom, gdzie leży ich osobisty interes.

Ale przywileje to jedno, a filozofia drugie. Najwyższy czas przypuścić kontratak.

BOBROW: Zapomina pan o prawie naturalnym.

Teraz hrabina uśmiechnęła się z ulgą. Prawo naturalne było jedną z ulubionych koncepcji oświecenia.

BOBROW: Chłop jest uciskany, nie umie czytać ani pisać. Ale jest takim samym człowiekiem jak ja. On też jest zdolny myśleć racjonalnie. I to jest naszą nadzieją na przyszłość.

GENERAL: Chciałby go pan edukować?

BOBROW: A dlaczego nie?

W oczach generała pojawił się błysk. Ten młody urzędnik państwowy posunął się za daleko.

GENERAL: Ależ Aleksandrze Prokofiewiczu, jeśli chłop jest tak racjonalny, jak pan mówi, a pan go wykształci, to kto będzie uprawiał ziemię? On zechce być wolny. Zechce obalić rząd i nawet samą cesarzową. Wyzwoli pan swoich chłopów, a potem zmiotą pana jego własne rządy rozumu. Tutaj nie Ameryka. Od razu zapanuje chaos. Tego pan właśnie chce, chaosu i uwolnienia chłopów?

Generał czuł się pewnie na tym gruncie. Chłopi stanowili ponad dziewięćdziesiąt pięć procent ludności: połowa to byli chłopci państwowi mający jedynie kilka mało znaczących praw, a druga połowa – chłopci pańszczyźniani należący do posiadaczy ziemskich. W ciągu tego stulecia ich prawa były coraz bardziej ograniczane, można ich było kupować i sprzedawać jak bydło. Nawet oświecona cesarzowa mogła jedynie apelować do szlachty o ich dobre traktowanie. Wedle wiedzy generała hrabina Turowa posiadała ponad cztery tysiące dusz. Dlatego wydawało mu się, że odniósł w debacie zwycięstwo.

BOBROW: Pozwoli pan, że się nie zgodzę. Wolter pokazał nam absurdalność przesądów, które są wiarą w to, co według racjonalnego rozumu nie istnieje. A rozum, generale, nie nakazuje mi twierdzić, że mój chłop pańszczyźniany jest zwierzęciem, któremu nie należą się żadne prawa. Być może ten chłop nie jest jeszcze gotowy do wolności, ale jego dzieci zapewne są. Rozum nie nakazuje mi twierdzić, że wolny chłop nie będzie obrabiał mojej roli. Kto pracuje w majątkach w krajach, gdzie chłopci są wolni? Pan mówi, że jeśli chłop zdobędzie wykształcenie, to odrzuci wszelką władzę i zechce pozbyć się cesarzowej. W takim razie dlaczego my, ludzie wykształceni, tak chętnie służyliśmy autokracji? Bo rozum nam podpowiada, że to konieczne. Chcę przez to powiedzieć, że rozum daje nam mądre prawa i tyle wolności, ile nam służy. Cieszę się, że cesarzowa rozstrzyga te kwestie i że dozwala, by racjonalnie myślący ludzie mogli o nich

dyskutować bez cenzury. Jednym słowem, służąc cesarzowej, jestem szczęśliwy, a czerpiąc inspirację z wielkiego Woltera, nie mam się czego obawiać.

Co powiedziawszy, ukłonił się hrabinie.

Doskonale zagranie. Właśnie to hrabina chciała usłyszeć. Bo podobnie jak cesarzowa ma władzę nad swoimi poddanymi, tak ona decyduje, co jest najlepsze dla czterech tysięcy racjonalnych dusz będących obecnie jej własnością. Niewątpliwie będą wdzięczne, że na tym najlepszym ze światów ich właścicielką jest tak oświecona osoba.

Rozległy się oklaski. Aleksander usłyszał, jak stara dama pomrukuje:

– Ach, mój Wolter!

Generał milczał.

Czy Bobrow wierzył w to, co mówił? Właściwie tak. Chciał jak najlepiej dla swoich chłopów. Może pewnego dnia będą wolni. Bo na razie życie w Petersburgu w epoce oświecenia za panowania Katarzyny było piękne, jeśli ktoś urodził się szlachcicem.

Czekał na swój moment. Jak zawsze na takich spotkaniach, po gladiatorskiej debacie następowała najważniejsza część wieczoru poświęcona kartom. Grał przez godzinę i szło mu raczej kiepsko. Nie mógł się skupić. Co chwila zerkał w kierunku stolika, przy którym siedziała hrabina. Gdy tylko nadarzała się okazja, pod jakimś pretekstem odchodził od stołu i stawał dyskretnie pod ścianą, patrząc na starą damę. Z tego miejsca jej plecy wydawały się takie drobne, takie przygarbione i kruche. Kiedy jednak podniosła się w końcu od gry i odwróciła do niego, cała jego nerwowość natychmiast powróciła. Zrobił krok do przodu.

– Dario Michajłowna, możemy porozmawiać na osobności?

Zmarszczyła brwi.

– Chodzi o sprawę wielkiej wagi.

Jeśli mu się wydawało, że pokonaniem generała zasłużył sobie na ciepłe przyjęcie, to najwyraźniej się pomylił. Spełnił swoje zadania i tego wieczoru nie był już jej potrzebny. Spojrzała na niego chłodno.

– No cóż, proszę – mruknęła i ruszyła do przedpokoju.

Idąc za nią, zauważył, że hrabina lekko powłóczy nogami. Gdy znaleźli się w niedużym pokoju, usiadła na małej pościelanej sofie. Była sztywno wyprostowana, nie zaproponowała mu, żeby też usiadł.

– No i jakież to masz do mnie życzenie, Aleksandrze Prokofiewiczu?

To był właśnie ten moment. Przygotował się do niego wcześniej. Mimo to jak ma, do diabła, taktownie zapytać starą kobietę, czy uwzględniła go w swoim testamencie?

– Jak pewnie pani słyszała, Dario Michajłowna – zaczął ostrożnie – prowadzę rozmowy z kilkoma osobami na temat mojego ewentualnego ożenku.

Jej twarz nie wyrażała niczego.

– Naturalnie niektórzy uczestnicy tych rozmów już na samym wstępie poprosili mnie o ujawnienie mojego stanu majątkowego. – Zmyślił to, ale innego wybiegu nie umiał znaleźć. Umilkł, nie wiedząc, czy hrabina rozumie.

A hrabina Turowa z wciąż nieruchomą twarzą położyła sobie rękę na kolanach i patrzyła na nią – jak się zdawało – z zachwytem. Potem odwróciła ją dłonią do góry. Ten

widok też musiał być zadowalający. Wreszcie oparła dłoń na połączanej poręczy sofy i zaczęła wybijać palcami rytm, jakby zaczynała się nudzić.

– Padło wręcz pytanie – ciągnął Aleksander – czy poza obecnymi majątkami mogę mieć też jakieś inne oczekiwania. – Umilkł z nadzieją, że hrabina przyjdzie mu z pomocą.

Spojrzała na niego z lekkim zainteresowaniem.

– Nie wiedziałam, że pan na coś liczy.

Dobrze. Hrabina prowadzi z nim grę, więc on będzie udawał szczerłość. To jego jedyna obrona.

– Właściwie na nic nie liczę, Dario Michajłowna. Ale ośmieliłem się mieć nadzieję, że jako moja krewna mogłaby pani wspomnieć o mnie w swoim testamencie. Ale jeśli nie, to oczywiście zachowam się odpowiednio.

Twarz starej damy była pozbawiona wyrazu. Nie miał pojęcia, czy hrabina mu wierzy ani co myśli.

– Pragniesz się ożenić?

– Oczywiście. Pewnego dnia. – Nie chciał składać żadnych zobowiązań. Zauważył, że hrabina marszczy brwi.

– Mógłbyś wymienić nazwisko chociaż jednej rodziny, z którą prowadzisz rozmowy? – Najwyraźniej mu nie wierzyła.

Podał nazwisko młodej Niemki.

– Gratulacje. Dobra bałtycka rodzina. Mogłeś trafić gorzej. – Uśmiechnęła się.

– Ale o ile wiem, Aleksandrze Prokofiewiczu, ta dziewczyna odziedziczy pokaźny majątek. Jestem pewna, że wystarczy wam to, co ona posiada. – Spojrzała na swoją dłoń, jakby współczując jej, że była zmuszona znosić tę nudną rozmowę. – Chyba że – powiedziała spokojnie, nie zmieniając wyrazu twarzy – chyba że to nie ma nic wspólnego z twoim przyszłym małżeństwem. Czyżby twoja sytuacja finansowa stała się kłopotliwa?

– Ależ skąd! – Co za wiedźma.

– Nie masz czasem długów?

– Wszyscy jakieś mają.

– Podobno. – Parsknęła lekko. – Ja nie mam żadnych.

Było to delikatnie powiedziane. Zawiadywała swoimi zarządcami żelazną ręką. I nikt nie znał jej dochodów.

Przez chwilę wydawało się, że hrabina odpłynęła gdzieś myślami.

– No cóż – odezwała się w końcu. – Podejrzewam, że gdy się ożenisz, będziemy cię tu rzadziej widywać.

Postanowił zignorować aluzję do madame de Ronville.

– Ależ broń Boże, Dario Michajłowna – zaprzeczył ze spokojem. – Chętnie będę tu przyproceedzał swoją żonę.

– Nie wątpię. – Nagle obdarzyła go promiennym uśmiechem. – Jesteś całkowitym bankrutem?

– Nie – skłamał, a ona obserwowała go uważnie.

Na moment zapadło milczenie.

– No cóż, Aleksandrze Prokofiewiczu, przyznam, że obecnie nie ma ciebie w moim



testamencie.

Pochylił głowę. Na jego twarzy nie pojawił się najmniejszy grymas, ale Bobrow wiedział, że zbladł. Jednak zdając sobie sprawę, że hrabina go obserwuje, mężnie spojrział jej w oczy.

– Jednakże twój ojciec był moim krewnym, a ty najwyraźniej popadłeś w tarapaty. – Ostatnie słowo wymówiła z łagodną pogardą. – Dlatego uwzględnę cię. Nie oczekuj wielkiego majątku. Choć myślę, że to, co dostaniesz, powinno ci wystarczyć.

Boże, nareszcie jakaś nadzieja.

– Czas zagrać w karty. – Wstała, nie czekając, aż Aleksander poda jej ramię. I znieruchomiała. – Jednak jest pewien warunek, Aleksandrze Prokofiewiczu. Tak, najwyższy czas, żebyś się ożenił. Dostaniesz spadek, ale tylko wtedy, gdy ożenisz się z tą młodą Niemką. – Uśmiechnęła się radośnie. – To wszystko, co mam ci do powiedzenia, *monsieur*. – Z tymi słowami poszła do salonu.

Patrzył za nią przez chwilę. Skąd ona to wie? Jaki diabelski instynkt podsunął jej tę jedyną odpowiedź, której nie chciał usłyszeć?

– Założę się, że ona naprawdę sypia z otwartymi oczami – mruknął rozżalony.

W wielkim domu panowała cisza. Gości już nie było. Aleksander i jego kochanka zniknęli w jej apartamencie we wschodnim skrzydle. Nareszcie mogli porozmawiać w cztery oczy. I oczywiście rozważali kwestię jego małżeństwa.

Z głównej części domu przechodziło się do apartamentu korytarzem. Wschodnie skrzydło miało też niezależne wyjście na ulicę. Co bardzo sprzyjało utrzymywaniu potajemnego romansu. Apartament Adélaïde de Ronville był pięknie urządzone, jakby pokoje przeniesiono wprost z jej rodzinnej Francji: meble w stylu Ludwika XV i XVI; dywan z Aubusson z kwiatowym motywem; grube zasłony z kwiecistego jedwabiu z ciężkimi lambrekinami i pomponami; kosztowne narzuty na meblach; gobeliny przedstawiające sceny pasterskie; miękkie róż, błękity i odpowiednia ilość złocień. Wszystkie te elementy rozmieszczono z lekkością, prostotą i ukrytym wyczuciem formy podkreślającym ich własny, wyjątkowy urok.

Słyszac o decyzji hrabiny, madame wzięła czule Aleksandra pod rękę i uśmiechnęła się.

– W takim razie musisz się ożenić, mój drogi.

Co za niezwykła kobieta! Pół Francuzka, pół Polka, była wysoka, miała dość szerokie ramiona i alabastrową skórę. Gdy skończyła trzydzieści pięć lat, jej ciemne włosy zaczęły siwieć i teraz nabrały stalowoszarego koloru. Miała owalną twarz, ciemne oczy, z których czasem wyzierał smutek, i szerokie wargi. Zachowała szczupłą sylwetkę i całkiem jędrne piersi, ale jej uda nabrały krągłości i w łóżku doprowadzały Aleksandra do największego podniecenia.

To niewiarygodne, jak mało się zmieniła przez te dziesięć lat ich romansu. Wchodziła w nową fazę życia kobiety, ale to nie miało znaczenia. Była szczupłą, poruszała się z wdziękiem i gibkością, a Aleksander, nawet gdy w miarę upływu lat napotykał w niektórych miejscach zbyt zwiotczałą skórę albo sterczące kości, po prostu zwracał dłoń ku innym pieszczotom, co pozwalało podtrzymać złudzenie, że nic się nie zmieniło. Świadomość, że oszukują czas, dodawała ich związkowi pikanterii, jakiej nigdy

wcześniej nie doświadczał. To było właśnie piękno jesieni – ciepłej i złotej.

Adélaïde była wdzięczna za ten romans. Jak powiedziała jej kiedyś pewna stara Francuzka: „Dojrzała kobieta może wiele nauczyć młodego mężczyznę. Ale on też jest jej przydatny, bo akceptuje ją taką, jaka jest”. To prawda. Rozkoszowała się faktem – będącym jej małym zwycięstwem – że wciąż potrafi doprowadzić tego dość egocentrycznego mężczyznę do erotycznej ekstazy.

Bobrow kochał ją na swój sposób. Żaden romans z młodszą kobietą tyle dla niego nie znaczył. Wystarczyły jej doskonałe, drobne gesty, jej pełne elegancji ruchy, by zapominał o innych. „Poza tym z nią można porozmawiać” – stwierdzał. Właściwie nie mieli przed sobą tajemnic. Znała wszystkie jego plany, wiedziała nawet, że gotów jest się z nią rozstać dla łoża cesarzowej. „No cóż, chodzi o karierę” – mówiła obojętnie.

Teraz też była stanowcza.

– Musisz natychmiast zapewnić sobie rękę tej dziewczyny.

– Dobrze wiesz, że się do tego nie palę.

– Ciesz się, że ona cię kocha, *mon ami*. – Uśmiechnęła się cierpko. – Może wyjdzie ci to na dobre.

– A co z tobą?

Wzruszyła lekko ramionami. Czego on się spodziewa? Przyznania się do rozpacz, z którym mógłby się obnosić jak z jakimś trofeum? Potępienia? Przebaczenia?

– Trzeba być rozsądnym – powiedziała spokojnie. – Spodoba ci się, zobaczysz. Dobrze jest mieć rodzinę.

– Być może.

– *Enfin*. – W jej głosie dźwięczało leciutkie zniecierpliwienie. – Nie będziesz już tu przychodził.

– Będę. – Chciał być dobrym mężem, jednak nie zamierzał się rozstawać z Adélaïde.

Ale ona pokręciła głową.

– Będziesz musiał poświęcać czas żonie. To bardzo ważne.

Westchnął.

– Wiem. Ale chyba nie zabronisz mi się z tobą widywać?

– Ach, o to ci chodzi. – Wzruszyła ramionami. – Kto wie? Zobaczymy.

Znajdzie sobie innego kochanka? Ta myśl go zabolą, choć wiedział, że nie będzie mógł rościć sobie do niej żadnych praw.

– Opowiedz mi o tej dziewczynie – powiedziała w końcu. – Jaka ona jest?

Zastanowił się.

– Ma okrągłą, pospolitą twarz, niebieskie oczy i jasne włosy. I zbyt silne rumieńce. Jest całkowicie niewinna, ale nie głupia. – Zawahał się. – Z pewnością powinienem być za to wdzięczny, ale po naszych wspólnych latach nabrałem przekonania, że inne kobiety ci nie dorównują.

– Co za uroczy, szarmancki młodzieniec. – Wykrzywiła z rozbawieniem usta. – Mogę jednak zapytać, czy do tych innych kobiet zaliczasz też cesarzową?

Roześmiał się. Owszem, zastanawiał się czasem, czy ten romans z bardzo dojrzałą kobietą lepiej przygotowuje go na spotkanie ze starzejącym się ciałem Katarzyny. Chyba nie.

Uśmiechnął się.

– Mówiłem o kobietach, a nie o Imperium Rosyjskim.

Jej spojrzenie powiedziało mu, że nie musi nic więcej tłumaczyć. Weszli po schodach do sypialni.

Przeciągnęła się powoli i zmysłowo, wyginając w łuk szczupłe ciało. Wciąż była taka piękna i ponętna. Poczł intensywny, piżmowy zapach, jedną z jej tajemnic, które z czasem polubił. Przesunął dłonią po jej piersiach.

Zastanawiał się czasem, czy kochanek w akcie największej namiętności może choć na ułamek sekundy wejrzeć w wieczność. To możliwe. Ale wydawało mu się, że w miłości do Adélaïde, w tej dziesięcioletniej namiętności, która zaprzeczała upływowi czasu, nie widzi wieczności, lecz coś, co bardziej do niego przemawia. Miał bowiem wrażenie, że ich miłość jest jak kropla bursztynu, która wieki temu zamknęła w swoim ciepłym uścisku maleńkie stworzenie, a razem z nim promień słońca z czasów odległych i dawno zapomnianych. Lubił to porównanie. Zagrzebany w piasku bursztyn przetrwa tak długo jak sama ziemia, myślał. I czasem wydawało mu się, że on i Adélaïde są razem na ogromnej, bezkresnej równinie i zanim znikną, mogą się cieszyć przelotną chwilą namiętności. A ponieważ ich fizyczna miłość dawała mu spełnienie, czuł, że to wystarczy. Że on tym właśnie jest. I że gdy ta miłość znajdzie swój koniec, nie będzie pragnął niczego więcej. A jeśli wielka ciemność, która potem miała nastąpić, jest wiecznością, to ją też widział. Co do jednego nie miał wątpliwości. Gdy spotkał ciało Adélaïde, był pewien, że naprawdę wrócił do domu i że już do końca życia wszystko będzie porównywał z czasem, który spędził przy niej.

Adélaïde patrzyła na to inaczej. Nie wyglądała na wieczność, bo dla niej oznaczała ona jedynie starość i śmierć. Wiedziała, że każde doznanie przemija. W młodości, gdy kończyła się kochać z mężczyzną, jej myśli gdzieś odpływały i czasem czuła się jak łódka unosząca się na wielkim oceanie. Dziś jednak w jej myślach pojawiały się inne obrazy i doznania, czuła się bardziej jak widz obserwujący przemijanie życia. Wydawało jej się wtedy, że ona i jej kochanek znajdują się nie w łodzi, ale na wyspie powoli podmywanej przez rzeczny nurt, a tą rzeką jest upływ czasu.

Aleksander obudził się o pierwszej po północy. Gdy skończyli się kochać, zapadł w głęboki sen. Ale nie był to sen spokojny, bo ciągle pojawiał się w nim obraz tak wyraźny, tak uporczywy, że wyglądał bardziej na wizję niż na zwykły sen.

Hrabina. Wyłaniała się przed nim i była bardzo blada. Spoglądała oskarżycielsko i z nieznanego mu powodu groziła palcem. „Wolter, Wolter” – mówiła głosem, który miał wszystko tłumaczyć. Wyglądało to niepokojąco, choć nie miało sensu.

Obudził się, drżąc, i przez kilka minut próbował zebrać myśli. Obecność Adélaïde podziałała na niego kojąco. Jej ciało o jasnej skórze nie było całkowicie przykryte i po kilku chwilach Aleksander poczuł się lepiej. Spojrzał na nią. Da radę kochać się z nią jeszcze raz? Chyba tak. Dotknął jej lekko, a ona powoli otworzyła oczy i uśmiechnęła się sennie.

– Chcesz więcej?

Patrzył na nią z uśmiechem.

– Właśnie widzę. – Wyciągnęła do niego ramiona. – Chodź do mnie.

Tak, może się z nią kochać.

Ale gdy łagodnie zanurzył się w tę późnonocną bliskość, przed ciałem jego kochanki pojawiła się nagle inna postać, jakby oddzielając ich od siebie.

Znów hrabina. Tym razem nie mówiła nic, miała bladą, nieruchomą twarz i można by pomyśleć, że śpi, gdyby nie otwarte, patrzące przed siebie oczy. Próbował odegnać to urojenie, ale ona uparcie tkwiła między nim a Adélaïde i patrzyła lodowato, jakby chciała powiedzieć: „Zobacz, śpię z otwartymi oczami”.

Co za absurd! Starał się ją zignorować, ale bez skutku. Tak jakby zjawa nie zamierzała dać mu spokoju. Ona naprawdę śpi z otwartymi oczami? Jego ciało z pewnym roztargnieniem wykonywało powoli miłosne ruchy, ale umysł nie mógł się oderwać od tego pytania. Czy ona teraz śpi, może nawet myśląc o nim, i przez cały czas wpatruje się w przestrzeń jak rzymski posąg? Może z powodu wcześniejszego snu, a może z powodu wieczornej rozmowy, to pytanie stawało się z każdą chwilą coraz bardziej natarczywe.

Znieruchomiał nagle i wysunął się z objąć Adélaïde.

– Co się stało?

– Muszę iść.

– Dokąd?

– Muszę ją zobaczyć. Tę staruchę.

– Hrabinę Turową? Zwariowałaś. Ona śpi.

– Muszę ją zobaczyć we śnie. Muszę to wiedzieć.

– Co wiedzieć?

– Czy ma otwarte oczy.

Adélaïde usiadła i spojrzała na niego uważnie.

– Mówisz serio?

– Tak. Dam sobie radę. Znam drogę.

– Chcesz pójść do jej sypialni? – Pokręciła głową, nie wiedząc nawet, czy jego ekscentryczność złości ją, czy bawi. – Kiepski moment sobie wybrałaś na tę wyprawę – zauważyła.

– Wiem. Przepraszam. Chcesz pójść ze mną?

Opadła na poduszki, przykładając dłoń do czoła.

– *Mon Dieu!* W żadnym razie.

– Niedługo wrócę. – Nie ubrał się całkowicie, ale obawiając się chłodu w korytarzu, włożył zakiet. Bez butów, jedynie w skarpetach, minął korytarz i wszedł do głównej części domu.

Cisza. Słabe migotanie lampy oświetlało marmurowe schody, ale kąty i boczne korytarze były pogrążone w mroku. Na dole, przy głównym wejściu, spał na ławce lokaj. Aleksander słyszał nawet jego chrapanie. Wiedział, że na górnym piętrze nie ma nikogo z wyjątkiem hrabiny i jej starej służącej, która spała w pokoiku po drugiej stronie korytarza, na wypadek gdyby jej pani czegoś w nocy potrzebowała.

Wystarczało mu słabe światło. Dobrze znał rozkład domu. Drewniane schody skrzypnęły cichutko dwa razy, gdy szedł po nich do sypialni hrabiny. Na samej górze znajdował się niewielki podest. Z prawej strony przez otwarte drzwi dobiegał ciężki, rytmiczny oddech służącej. Drzwi większego pokoju po lewej były lekko uchylone. Przez

szparę padało słabe światło, ale nie wydobywał się stamtąd żaden dźwięk. Aleksander podszedł cicho do drzwi i popatrzył przez szczelinę.

Na drewnianym stoliku zobaczył trzyramienny kandelabr. Świece już się prawie wypaliły, ale wciąż świeciły jasnym blaskiem. Widział obrazy na ścianie, krawędź połączanego lustra, ale samo łóżko znajdowało się poza zasięgiem jego wzroku. Stał tak przez dłuższą chwilę, nie wiedząc, co robić. Kiedy spróbuje otworzyć szerzej drzwi, hrabina, jeśli nie śpi, na pewno go zobaczy. Zacznie krzyczeć, obudzi cały dom i jak on się z tego wytłumaczy? Wsłuchiwał się uważnie, ale nie doszedł go nawet szum jej oddechu.

Przecież ona musi już spać. Poza tym skoro przyszedł aż tutaj, to nie chciał się wycofywać. Ostrożnie popchnął drzwi. Zaskrzypiały. Znieruchomiał i czekał, serce mu waliło. Cisza. Mocniej popchnął drzwi. Otworzyły się na całą szerokość. Wszedł do pokoju.

Łóżko stało po prawej stronie. Był to ciężki mebel z czterema rzeźbionymi słupkami i baldachimem udekorowanym girlandami z grubego jedwabiu. Po obu stronach na stolikach nocnych paliły się świece. A pośrodku tej majestatycznej sceny siedziała hrabina Turowa, oparta wysoko na poduszkach. Rozdzielone przedziałkiem włosy, spływające luźno na ramiona, były związane na końcach błękitnymi wstążeczkami. Brodę miała opartą na grubej koronce zdobiącej nocną koszulę, przez co usta wydawały się tylko lekko niedomknięte.

Aleksander patrzył wprost w jej szeroko otwarte oczy.

Stał nieruchomo, czekając, aż hrabina się odezwie. Jak miałby wyjaśnić swoją obecność? A jeśli ona zacznie krzyczeć? Albo wpadnie we wściekłość? Jej twarz była pozbawiona wszelkiego wyrazu. Oddychała ledwo zauważalnie przez usta, ale wzrok miała utkwiony w jakimś punkcie za jego głową. Przez ponad minutę trwali w ciszy, jedynym poruszeniem w pokoju było kapanie wosku ze świec. Cmoknęła lekko, a potem rozległo się ciche pojedyncze chrapnięcie. Dopiero wtedy Aleksander zrozumiał. Mój Boże, to prawda. Ona śpi z otwartymi oczami.

Powinien teraz wyjść. Dowiedział się tego, czego chciał. Ale nie mógł się ruszyć z miejsca. Rozejrzał się po pokoju. W rogu stało jeszcze jedno popiersie Woltera, na stoliku leżało kilka książek. Było tu mniej mebli, niż się spodziewał. Podłogę pokrywał tylko jeden cienki dywan. Aleksander przeszedł przez pokój, wpatrując się cały czas w jeden punkt. Stał w nogach łóżka. Co teraz? Bez żadnego konkretnego powodu złożył głęboki ukłon. Oczy hrabiny się nie poruszyły. Uśmiechnął się i jeszcze raz ukłonił.

Co do niej czuł? Nienawidził jej za to, co mu zrobiła? Niezupełnie. Zawsze była uparta i ekscentryczna. I teraz czuł jedynie ulgę i oszołomienie, że chociaż raz stoi przed nią bez lęku. Jakie to cudowne, pomyślał, móc patrzeć na drugą osobę pogrążoną we śnie! Dawało mu to poczucie niezwykłej władzy.

Podszedł do stolika, zerkając od niechcienia na książki. Były tu francuskie dramaty, Księga Psalmów i kilka czasopism. Jedno – co zauważył od razu – zawierało radykalny artykuł Radiszczewa. Ale gdy spojrział na pozostałe, uśmiechnął się ze zdziwieniem. We wszystkich były jego artykuły! Anonimowe, śmiałe eseje na krawędzi dopuszczalności tego, co można było powiedzieć na temat demokracji i chłopów pańszczyźnianych.

Napełniały go wielką dumą. Zjrzał do środka. W swoich tekstach dostrzegł mnóstwo podkreśleń i komentarzy napisanych ręką hrabiny. A więc naprawdę ją to interesowało. Więc może jednak miała o nim dobre zdanie?

Przewracając strony, zerkał na nią od czasu do czasu. Czyżby mrugnęła? Dziwne, ale w ogóle przestał się bać. Mógłbym z nią tu usiąść i dyskutować na temat moich artykułów, pomyślał z zadowoleniem.

I żeby jakoś uczcić ten przedziwny, zesłany przez opatrzność przerywnik, wykonał przed hrabiną krótki taniec. Jeszcze raz uklonił się jej z powagą i wyszedł. Gdy wracał do apartamentu Adélaïde, nikt w całym domu się nie poruszył.

Z wyjątkiem hrabiny Turowej, która przywołała służącą, gdy tylko zyskała pewność, że Aleksander naprawdę sobie poszedł.

Tatiana była zakochana niemal do bólu. Gdy Aleksander się do niej zbliżał, drżała na całym ciele. Gdy się uśmiechał, oblewała się rumieńcem. Gdy przez cały dzień nie dostawała od niego żadnej wiadomości, chodziła blada i milcząca. Dlatego bardzo zmizerniała. Przez ostatnie dwa tygodnie prawie nie jadła.

Od wczesnego rana stała przy oknie. Ulicą przejechało już tyle sań, a ona za każdym razem myślała, że to Bobrow. Przyciskała twarz do szyby i patrzyła, dopóki sanie nie zniknęły. A gdy zauważyła opatuloną postać brnącą przez śnieg, była tak pewna, że to on, iż dotrzymując mu kroku, biegła jak oszalała z pokoju do pokoju, aż sylwetka zniknęła za rogiem.

Dopiero o zmierzchu matce udało się ją przekonać, by przynajmniej usiadła. Wtedy nagle usłyszała na dole jakieś zamieszanie, potem zapanowała cisza i wreszcie w drzwiach stanął ojciec.

– Aleksander Prokofiewicz przyszedł do ciebie. Zamierza ci coś powiedzieć.

Wstała. Była bardzo blada i drżała. Z przerażeniem zauważyła, że ojciec jest zaniepokojony.

– Zanim zejdziesz na dół, Tatiano, muszę cię zapytać, czy jesteś całkowicie pewna, że pragniesz tego mężczyzny?

A więc Aleksander chce poprosić o jej rękę. Zarumieniła się. Jak ojciec może w ogóle o to pytać?

– Chwileczkę, papo.

Pobiegła do swojego pokoju, a matka za nią. Ojciec Tatiany zmarszczył brwi. Miał wobec Bobrowa pewne zastrzeżenia.

Aleksander czekał na dole. Minuty mijały, ale nikt nie przychodził. Mój Boże, a jeśli ta dziewczyna zmieniła zdanie? – pomyślał. Drzwi otworzyły się dopiero po kwadransie.

Wejście Tatiany go zaskoczyło. Miała na sobie olśniewającą błękitną suknię, która idealnie pasowała do jej jasnej cery i przy której niebieskie oczy nabrały niezwykłego blasku. Zawsze mu się wydawało, że jej twarz jest okrągła i łagodna, ale teraz wyszczuplała, zniknęła z niej dziecięca pulchność, uwydatniając kształt kości policzkowych. Świeże rumieńce dodawały jej urody. Zbliżała się do niego ze spokojnym uśmiechem.

– Aleksandrze, ojciec mówi, że chcesz ze mną rozmawiać.

A on, patrząc na tę władczą dziedziczkę, pomyślał: A niech mnie licho! Ona tu naprawdę rządzi! O tak, ta silna młoda kobieta rzeczywiście mogła napisać tamten zadziwiający list, który zmusił go do posłuszeństwa. Zaimponowała mu.

Jednak Aleksander nie wiedział o jednym: Tatiana nie była autorką listu. To znaczy napisała go, ale go nie wymyśliła. A kiedy go pisała, wahała się, drżała i ze łzami w oczach spoglądała na starszą damę, która jej wszystko dyktowała.

Bo oto matka Tatiany, nie mogąc już znieść udręki córki, zwróciła się do jedynej osoby, która mogła jej pomóc, choć się właściwie nie znały. Potajemnie zabrała Tatianę do hrabiny Turowej.

To hrabina kazała napisać stanowczy i bulwersujący list. To hrabina wyznaczyła Bobrowowi termin. Była całkiem dumna ze swojego dzieła i właściwie pewna, że przyniesie ono spodziewany efekt.

– Jeśli go chcesz, będzie twój – zapowiedziała chłodno.

A dlaczego zadała sobie ten trud? Bynajmniej nie dlatego, że zależało jej na Aleksandrze albo tej dziewczynie. Ale on był jej krewnym, a ona miała odziedziczyć majątek. Z dobrą reputacją i bogatą żoną byłby jej dodatkowym atutem. Poza tym co za cudowna okazja do wykazania się władzą! A takie okazje, co należało przyznać, już nie zdarzały się jej tak często.

Zachowała wszystko w tajemnicy. Ale gdy jeszcze tego samego wieczoru niczego niepodejrzewający Aleksander zwrócił się do niej z pytaniem o spadek, o mało nie wybuchnęła śmiechem. Żeby zachować powagę, musiała się przez chwilę wpatrywać w swoją dłoń. I czyż nie rozegrała tego po mistrzowsku? Co za przyjemność – pokonać hazardzistę jego własną bronią!

– Z pewnością wiesz, że on ma kochankę? – zwróciła się swobodnie do Tatiany, gdy tylko skończyły list, i uważnie obserwowała reakcję dziewczyny.

Tatiana się zarumieniła. Wiedziała. Od matki. Ale takich rzeczy można się było spodziewać po dojrzałym mężczyźnie. To czyniło go jeszcze bardziej tajemniczym i ekscytującym.

– Ośmielam się sądzić, że przy takiej młodej żonie jak Tatiana nie będzie musiał myśleć o kochance – stwierdziła matka.

– Wręcz przeciwnie – powiedziała hrabina. – Mężczyzna im więcej dostaje, tym więcej się domaga, oczywiście do pewnego wieku. – Odwróciła się do Tatiany. – Jeśli chcesz mieć wiernego męża, nie możesz mu dawać ani czasu, ani okazji do niewierności.

Uzbrojona w taką wiedzę i w stanowczy list, usychająca z miłości dziewczyna wróciła do domu i czekała.

Smutek i ból wzmocniły Tatianę. Czekając na odpowiedź Bobrowa, była zrozpaczona, ale teraz, w chwili tryumfu, nakazała sobie chłodny spokój. Bez względu na to, jak bardzo go pragnie, nie pozwoli na kolejne upokorzenie. Pokaże mu, że to on ma szczęście, a nie ona. I odbiorę go tej Francuzce, pomyślała. Właśnie to postanowienie sprawiło, że mogła go zaskoczyć swoją spokojną obojętnością.

I tak oto Aleksander Bobrow poprosił Tatianę o rękę.

Gdy jechał przez miasto, padał rzadki śnieg. Ogniska przed budkami stróżów na rogach ulic rzucały pomarańczowy blask, zarysy domów zacierały się jak we mgle.

Aleksander był z tego zadowolony. Wolał, żeby nikt go nie zobaczył. Przy Fontance wysiadł z sań i nakazawszy stangretowi czekać, przeszedł przez most. Po kilku chwilach zniknął.

Szedł szybko, ale ostrożnie, od czasu do czasu oglądał się niemal ukradkiem, żeby sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. To była dość dobra dzielnica, połowę domów zbudowano z drewna, a połowę z cegły i kamienia. Minął cerkiew i skręcił w małą uliczkę.

Zastanawiał się nad jednym: gdzie, do diabła, podział tę kartkę, którą nieznajomy wręczył mu poprzedniego dnia. Włożył ją do kieszeni, zamierzając spalić po powrocie do domu. Ale wyleciało mu to z głowy. Przypomniawszy sobie po południu, po powrocie od Tatiany. Sięgnął do kieszeni żakietu, ale kartki nie było. Wzruszył ramionami. To i tak nieważne; nawet jeśli ktoś ją znajdzie, nic z niej nie zrozumie.

Aleksander skręcił w bramę prowadzącą na zacienione podwórze dużego budynku. Jego ściany były pokryte łuszczącym się różowym tynkiem. Mieściły się tu, jak w wielu innych podobnych domach, obszerne apartamenty, po dwa na każdym piętrze, zajmowane przez średnio bogatych kupców. Rzuciwszy za siebie ostatnie spojrzenie, wszedł po słabo oświetlonych kamiennych stopniach na pierwsze piętro. Na schodach nie było nikogo, z wyjątkiem ogromnego czarnego kota na oknie, na którego ledwo zwrócił uwagę.

Stał pod drzwiami i ostrożnie zapukał trzy razy. Drzwi się otworzyły, ale tylko odrobinę, i z mrocznego holu padło ciche pytanie:

– Czego szukasz?

– Różanego Krzyża.

Drzwi rozwarły się na całą szerokość. Bo hazardzista Aleksander Bobrow, o czym nie wiedziała nawet jego kochanka, był członkiem najbardziej tajemnego kręgu wielkiego bractwa wolnomularzy. A tego wieczoru mieli się zająć bardzo ważną kwestią.

Po kilku latach Tatiana sama doszła do wniosku, że właściwie powinna była się tego spodziewać. Ale była wtedy taka młoda.

Kochała go. Gdy widziała, że jego powóz zajeżdża, albo gdy patrzyła, jak lokaj pomaga mu zdjąć płaszcz, przenikał ją dreszcz podniecenia. Wiedział, jak rozbudzić jej miłość. Nawet na początku ich małżeństwa to on miał nad wszystkim kontrolę. Kiedy się ze sobą kochali, a on się nasycił, potrafił podniecić ją na wiele różnych sposobów, aż cała płonęła i chciała więcej. Kochała jego wygląd, jego elegancję, jego wiedzę, do której nie miała dostępu. Nawet niewielka otyłość w talii, która pojawiła się już po roku, jej zdaniem bardzo do niego pasowała: porządny, silny mężczyzna.

Jego też podniecała ich miłość, bez wątpienia. Wiedziała to, umiała rozpoznać. I uczyła się pilnie, jak doświadczać nowych rozkoszy i jak go zadowolić. Była szczęśliwa. Pełna zapału. Chciała go zaskakiwać i często jej się to udawało.

Miała wielkie talenty. Była dobra i rozsądna. Lubiła nadzorować kobiety w kuchni. Z dumą własnoręcznie piekła pyszne ciasteczka i siadając potem naprzeciwko niego z twarzą zarumienioną z podniecenia, czekała na jego opinię. Wydawał się taki uszczęśliwiony, taki oczarowany.

Dlatego przeżyła wstrząs, gdy pół roku po ślubie nie wrócił do domu na noc. Zaczęła podejrzewać, że wciąż kocha Adélaïde de Ronville.



Nie myliła się. Aleksander wiele razy powtarzał sobie, że to przez niego. Że tak naprawdę nie może nic Tatianie zarzucić.

To przecież nie jej wina, że jest taka młoda. Ani że jak większość dziewcząt z jej warstwy ma niewielkie wykształcenie. Nie dało się z nią żartować po francusku jak z madame de Ronville albo nawet hrabiną. To nie jej wina, że gdy zabierał ją z rzadka do hrabiny Turowej, siadała potulnie z boku. Albo że hrabina, zadawszy jej kilka zdawkowych pytań o zdrowie, ignorowała ją przez resztę wieczoru.

To nie jej wina, że po kilku miesiącach znudził mu się temat ciasteczek. I że zaczął odwiedzać hrabinę sam.

Nie było też jej winą, że ich miłość fizyczna dawała Aleksandrowi tylko częściowe zadowolenie. Początkowo seks wydawał się cudowny, jej młode, nieco pulchne ciało podniecało go. Uznał, że tak właśnie wymyśliła to natura. Młoda, pełna energii dziewczyna daje się porwać pierwszym miłosnym uniesieniom. To nie jej wina, że pożądanie wyrażało się albo w uległości, albo w gwałtowności, tak dalekiej od urozmaiconej subtelności madame de Ronville.

Krótko mówiąc, stwierdził, że młoda żona jest mdła i nijaka, a małżeństwo zniszczyło w nim delikatną równowagę, poczucie spokoju, które jest znakiem zatwardziałego kawalera.

Miał wyrzuty sumienia. Umiał sprawić, by jego młoda żona pragnęła go i kochała. Przekonał się jednak, że nie umie zrezygnować z Adélaïde. Nie chciał zranić żony, ale czuł się bezradny. Tylko przy tej dojrzałej Francuzce odnajdywał spokój ducha.

– Tylko przy tobie – mówił – mogę siedzieć, *très chère amie*, i słuchać tykania zegara.

Jego namiętność była jeszcze silniejsza. Gdy patrzył na nią tkliwie, małe zmarszczki na jej twarzy, tak pięknie zarysowane i oddające jej charakter, nie były dla niego dowodem zanikania seksualności, ale jej kwintesencją. Ciało Adélaïde, wciąż młode pod wieloma względami, uwalniało w nim nowe pokłady czułości. W rezultacie zaglądał do niej coraz częściej.

Tydzień po tym, jak po raz pierwszy nie wrócił na noc do domu, miał pójść z wizytą do hrabiny Turowej. Tatiana nie powiedziała nic, ale poczyniła dyskretne przygotowania. Gdy tylko Aleksander wyszedł z domu, ruszyła za nim w zakrytym powozie. Widziała, jak wchodził, i czekała spokojnie na zewnątrz. Godzinę przed północą goście wyszli, a światła w największych pokojach zgasły. Odczekała jeszcze dwadzieścia minut. W głównej części domu nie paliło się już żadne światło. Ale we wschodnim skrzydle, tam gdzie mieścił się apartament madame de Ronville, widać było migotanie świec. Potem i one zgasły. Tatiana wróciła do domu.

Podjeżdżała, że to nieuniknione. Ale ból był dotkliwy. Jednak rozsądek podpowiadał jej, żeby nic nie mówić. Co by przez to zyskała? On by zaprzeczył, a kłamstwo między nimi byłoby jeszcze bardziej bolesne i upokarzające.

Mijały tygodnie. Próbowła ła nie myśleć o tamtej Francuzce, ale nie bardzo jej się to udawało. A Aleksander starał się okazywać jej serdeczność. Bo przecież to nie jej wina, że nie jest z nią szczęśliwy: była dobrą żoną i mimo bólu, który – jak sądził – musiał jej sprawiać, nigdy się nie skarżyła. Nie, nie miał jej nic do zarzucenia. Ale ponieważ układał

sobie to wszystko w głowie, nie widział, że w głębi serca wini ją o wszystko.

Jesienią 1787 roku w życiu Tatiany zaszły dwie nowe okoliczności. Najpierw okazało się, że jest w ciąży. Bardzo się z tego ucieszyła. Na pewno Aleksander się do mnie zbliży, myślała.

Jednak druga była bardziej zagadkowa. Tatiana przypuszczała, że w życiu Aleksandra jest coś jeszcze, jakaś tajemnica, do której ona nie ma dostępu. Świadczyły o tym w sposób oczywisty jego niewytłumaczalne nieobecności.

W ciągu ostatnich miesięcy kilka razy wychodził z domu w niewiadomych sprawach. Raz było to bardzo późno w nocy. Wiedziała jednak, że Adélaïde de Ronville nie ma w mieście. Czy to możliwe, że Aleksander ma jeszcze jedną kochankę?

A we wrześniu, gdy powiedziała mu, że jest w ciąży, nagle wyjechał do Moskwy na dwa tygodnie, jakoś mgliście się przedtem tłumacząc. Tym razem Adélaïde była w Petersburgu.

Chodzi więc o kobietę – ale kim ona jest?

Gdyby jednak Tatiana dowiedziała się całej prawdy, byłaby zaskoczona. A jej zdziwienie byłoby jeszcze większe, gdyby wiedziała, że osoba, którą Aleksander odwiedza, jest jej największym przyjacielem i jednocześnie największym wrogiem.

Dzieje wolnomularstwa w Rosji są z oczywistych powodów przesłonięte mrokiem. Wszystkie dokumenty albo ukryto, albo zniszczono. Jednak ogólna wiedza o kondycji rosyjskiej masonerii jest całkiem spora.

W Petersburgu było wielu masonów. Szczególną popularnością cieszyły się loże angielskie. W końcu modne było wszystko, co angielskie: każdy bogacz chciał mieć konia czystej krwi angielskiej, a każda dama – angielskiego psa. Najbardziej eleganckim miejscem dla ludzi takich jak Bobrow był Klub Angielski. Poza tym angielska masoneria była odzwierciedleniem tego spokojnego kraju. Nie sprawiała żadnych kłopotów. Patronami angielskich łóż, które nie angażowały się w politykę, nie były zbyt mistyczne i zajmowały się głównie filantropią, byli zarówno Rosjanie, jak i cudzoziemcy.

Gdy więc w 1782 roku znajomy Anglik zaprosił do owego szacownego grona Bobrowa, ten chętnie się zgodził.

I pewnie by się nad tym dłużej nie zastanawiał, gdyby nie przypadkowe spotkanie rok później w Moskwie. Dawny znajomy z czasów studenckich, dowiedziawszy się o jego pobycie w mieście, bardzo się ucieszył.

– Drogi przyjacielu, musisz poznać tutejsze masońskie kręgi. To najznamienitsi ludzie z towarzystwa.

I tak oto podczas kolejnej wizyty w dawnej stolicy Aleksander poznał dwie niezwykle osobistości: księcia i profesora.

Pierwszy był bogatym arystokratą i mecenasem sztuki, drugi, roztargniony, łysiejący mężczyzna w średnim wieku, kierował wydawnictwem moskiewskiego uniwersytetu. I pewnie można byłoby uznać Nowikowa za osobę nijaką i pozbawioną wyrazu, gdyby nie dziwny, choć pełen życzliwości błysk w jego jasnoniebieskich oczach. Tego właśnie człowieka Aleksander nazywał profesorem.

I właśnie z nim odbył tamtego grudniowego wieczoru potajemne spotkanie w różowym domu nad Fontanką. Profesor stał się jego mentorem i wprowadził go do

zupełnie innego, tajemniczego świata wyższej masonerii. Odkąd się poznali, Aleksander zawsze myślał o nim tak samo: jako o głosie sumienia.

Istniało wiele powodów, dla których Bobrow tak bardzo zainteresował się nowymi znajomymi w Moskwie. Byli oświeceni i wykształceni – stanowili samo serce kręgów uniwersyteckich. Książę i jego przyjaciele należeli do śmietanki arystokratycznego towarzystwa, a to z kolei przemawiało do próżności Aleksandra. Do tego, choć nie do końca to sobie uświadamiał, tajemna hierarchia wyższej masonerii przypominała mu biurokratyczną drabinę – a Bobrowowi wystarczał sam widok jakiegokolwiek drabiny, by od razu chciał się na nią wspiąć.

Aleksander studiował przez trzy lata, wielokrotnie jeżdżąc do Moskwy i prowadząc korespondencję, a jego mentor przeprowadził go przez pierwszy z wyższych stopni masonerii – najpierw do rangi Szkockiego Rycerza, a potem Teoretycznego Brata.

– Nasze mistyczne tajemnice mają korzenie u samych początków chrześcijaństwa – tłumaczył profesor. – Dla zwykłych masonów nasze tajemne znaki, czyli hieroglify, to jedynie zabawa. Ci ludzie wykonują przydatne prace, co jest godne pochwały, ale rozumieją niewiele. Prawdziwe znaczenie poznają tylko ci, którzy są tego godni.

Ten milczący uczonek miał w sobie jakąś czystość, która robiła na Aleksandrze wielkie wrażenie. On sam początkowo się wahał, czy przystąpić do wyższej masonerii, bo krążyły słuchy, że w tych zakonach praktykuje się alchemię i sztukę magii. Ale profesorowi było do tego daleko.

– Droga, którą cię poprowadzę, to czysto chrześcijańska ścieżka. Naszym jedynym motywem działania jest gorące pragnienie służenia Bogu i Świętej Rosji.

Profesor pracował niezamordowanie. Poza oficjalnymi obowiązkami w wydawnictwie uniwersyteckim prowadził prywatne wydawnictwo masońskie, które publikowało książki i broszury. Można je było kupić w dziesiątkach księgarń w największych miastach.

– Głosimy naszą nowinę – mawiał profesor uradowany.

Aleksander był zdania, że pod wieloma względami bractwo masońskie przypomina tajemny kościół. Bo odkąd Piotr Wielki uczynił Rosję państwem świeckim, pradawny prestiż Cerkwi mocno podupadł. Piotr zniósł patriarchat; Katarzyna odebrała jej ziemie i oddała je pod zarząd państwowy. I choć chłopci nadal podążali za głosem Kościoła i wielu z nich było nawet raskolnikami – bo oświecona Katarzyna tolerowała tych rozłamowców z uprzejmym rozbawieniem – ludzie wysoko urodzeni, tacy jak Bobrow, myśleli inaczej. Jego znajomi z reguły nie traktowali Cerkwi poważnie, ale jednocześnie czuli, że czegoś im w życiu brakuje. Nic więc dziwnego, że pociągała ich religijna i mistyczna aura otaczająca loże masońskie. Koilo to ich sumienia i było dowodem, że robią coś naprawdę dobrego.

Aleksander potwierdzał, że pociągała go pobożność profesora. Choć spotykali się jedynie od czasu do czasu, nieraz czuł, że starzec ma na niego wielki wpływ. Nie był on na tyle silny, by odciągnąć go od światowych zamiarów, ale niewątpliwie odzywał się w nim jak głos wewnętrznego wyrzutu. Może to też traktuję jak hazard, przyznawał przed sobą w myślach, bo jeśli nie uda mi się wygrać całego świata, to dzięki profesorowi wygram duszę.

Ale podczas tych studiów Aleksander zauważył coś jeszcze: w bractwie działała wewnętrzna siła organizująca, którą z jakichś powodów przed nim ukrywano. Musiały upłynąć kolejne dwa lata, by któregoś jesiennego dnia 1786 roku profesor zwrócił się do niego.

– Czas, byś wykonał następny krok. – Wręczył mu niewielką książkę. – Przeczytaj ją dokładnie. A potem, jeśli będziesz chciał zostać jednym z nas, zgłoś się do mnie.

W ten sposób Aleksander dowiedział się o istnieniu wewnętrznego kręgu.

– Nazywamy siebie wyznawcami Różanego Krzyża – dodał profesor.

Różokrzyżowcy – tajemniczy wybrańcy. W całej Rosji było ich zaledwie sześćdziesięciu, a to, że zaprosili Aleksandra do swojego grona, było wyrazem uznania dla jego talentów. Zwyczajni masoni nie zdawali sobie nawet sprawy z istnienia tego gremium, choć kierowało ono działalnością bractwa.

– Zwyczajni masoni znają nas, ale nie znają naszej prawdziwej tożsamości – tłumaczył profesor. – W ten sposób możemy chronić naszą misję przed oczami ignorantów.

Utrzymywali wszystko w tak wielkiej tajemnicy, że oprócz tajemnych imion masońskich mieli drugi zbiór zakodowanych pseudonimów. Dlatego gdy tamtego grudniowego wieczoru 1786 roku profesor wezwał Aleksandra na jego pierwsze zebranie różokrzyżowców w różowym domu przy Fontance, nie podpisał listu swoim imieniem z zakonu templariuszy – *eq. ab ancora* – używanym w zwyczajnych lożach masońskich, tylko tajemnym pseudonimem różokrzyżowców: Kołowion.

Pierwsze spotkanie wewnętrznego kręgu stało się dla Aleksandra objawieniem. Było ich tylko czterech – książę, profesor, on sam i jakiś mężczyzna z Petersburga. I po raz pierwszy profesor odsłonił przed Bobrowem prawdziwy cel bractwa.

– Pragniemy stworzyć nowy porządek moralny w naszym społeczeństwie. I staniemy na jego czele.

– Na czele całej Rosji? – Aleksander wiedział, że masoni zajmują wysokie stanowiska rządowe.

– Nie tylko Rosji, mój młody przyjacielu. Niedługo będziemy przewodzić światu – oznajmił z powagą starszy mężczyzna.

I choć nic więcej nie wyjaśnił, Aleksander miał wrażenie, że siatka różokrzyżowców sięga znacznie dalej. A już słowa księcia zupełnie go oszołomiły.

– Mogę ci jedynie powiedzieć, że zwróciliśmy się do wielkiego księcia Pawła z prośbą, by został naszym tajemnym protektorem. – Uśmiechnął się. – Mam nadzieję, że się zgodzi.

Następca tronu! Aleksander nie darzył tego człowieka szczególną sympatią, ale natychmiast dostrzegł, że gdyby książę do nich przystał, przed bractwem otworzyłyby się naprawdę wielkie możliwości.

Różokrzyżowcy mogliby przejąć w Rosji całą władzę, pomyślał z podnieceniem. To niezwykle, że tego samego dnia, gdy tak niechętnie zadeklarował się Tatianie, rezygnując tym samym z wejścia do wewnętrznego kręgu Katarzyny, ujrzał przed sobą nowe perspektywy. Uśmiechnął się w duchu. Może los postanowił oszczędzić hazardzistę Bobrowa, przeznaczając go do wyższych celów.

Pojawił się jednak pewien problem. Profesor bowiem nie był z niego zadowolony. „Widzę w tobie chłód, brak żarliwości” – mówił czasem, gdy razem zagłębiali się w studiowanie ksiąg. Dlatego ucieszył się, gdy Aleksander zapowiedział, że się żeni. „To bardzo dobrze, przyjacielu. To ci otworzy serce”.

Ale niecały rok później napisał:

*Muszę wspomnieć, drogi Bracie, o pogłoskach, które do mnie docierają. Podobno w Petersburgu wszyscy wiedzą, że mimo niedawnego ślubu zaniedbujesz żonę i wciąż utrzymujesz romans z pewną kobietą.*

*Dlatego jestem zmuszony Cię poinformować, że przynależność do naszego zakonu nakłada pewne zobowiązania, a takie zachowanie jest nie do przyjęcia. Proszę Cię, wejrzyj w swoje serce i podejmij konieczną decyzję.*

I chociaż Aleksander sumiennie spalił list, co było zasadą w przypadku korespondencji różokrzyżowców, to i tak cały czas miał go przed oczami. Wiedział, że profesor ma rację. Dręczyło go sumienie. Ale nie potrafił zrezygnować z Adélaïde.

Mason, który przyjechał z Moskwy, przywiózł mu wiadomość: „Profesor prosi, żeby Ci przekazać, że modli się za Ciebie”. Niedobrze. Z kolejnego listu przebijał wyraźny chłód. A gdy Aleksander spotkał się z profesorem w Moskwie pod koniec roku, jego mentor był naprawdę zły.

– Członkowie wewnętrznego zakonu muszą mieć czyste sumienie, bracie Aleksandrze. Liczymy, że podążysz za przykładem Wielkiego Księcia Pawła, który jest bardzo oddany swojej żonie. – Oczy profesora zaczęły rzucać gniewne błyski. – A nie za przykładem rozpustnego, bezecnego dworu jego matki cesarzowej. Małżeństwo bywa czasem trudne – dodał już łagodniej. – Ale wszyscy liczymy, Aleksandrze, że się poprawisz.

A Aleksander, dość poruszony gwałtownością profesora, obiecał, że postara się zmienić. I wydawało mu się, że mówi to szczerze. Tatiana nawet nie wie, że profesor jest jej największym przyjacielem, pomyślał.

Za to profesor nie miał pojęcia o innym powodzie do spięć między Aleksandrem a Tatianą. Chodziło o pieniądze.

Problem narastał tak powoli, że Bobrow nie umiał nawet powiedzieć, kiedy się pojawił. Najpierw zaczęły padać pytania o majątki albo o wydatki domowe, ale uznał to za dziecięcą ciekawość. Z czasem jednak zauważył, że w dociekaniach Tatiany jest jakiś upór.

– Wiesz, ilu mamy służących, Aleksandrze? – spytała trzy miesiące po ślubie.

Nie wiedział i wcale go to nie interesowało. Sześćdziesięciu? Osiemdziesięciu?

– A wiesz, ile oni nas kosztują? – ciągnęła.

– Nic nie kosztują – rzucił.

W pewnym sensie miał rację. Kupcy i cudzoziemcy musieli zatrudniać kosztowną służbę, ale rosyjska szlachta po prostu sprowadzała sobie chłopów z majątków. Stu to było nic. Kobiety pracowały w kuchni albo tam, gdzie nie było ich widać, mężczyźni ubierano w lokajskie liberie. Czasem widywało się lokaja, który naciągnął liberię wprost na chłopską koszulę, zapomniawszy zapiąć guziki. Żaden nie miał odpowiedniej prezencji. Ale w większości znanych mu domów służba wyglądała tak samo. Aleksander

nawet nie wiedział, gdzie oni śpią. Przypuszczał, że w piwnicy.

– Ale oni muszą jeść – przypomniała mu Tatiana. – Wiesz, ile to kosztuje?

A skąd, do diabła, miał to wiedzieć? Jedzenie po prostu było. Z majątku w Rusce dostawał część czynszów w gotówce, a resztę w naturze. Do ich petersburskiego domu przyjeżdżały całe wozy z zaopatrzeniem i natychmiast znikwały. Chłopi w rizańskim majątku wypłacali mu się pracą, barszcziną – zarządca sprzedawał potem zboże i przysyłał pieniądze. Aleksander wiedział, że wydaje wszystko, ale nie miał pojęcia na co.

Początkowo te pytania go bawiły. Ale z czasem zaczęły budzić irytację. Ile kosztuje sąg drewna na opał? Po co im tyle powozów, których i tak nie używają? Czy nie powinni dokonać inspekcji swoich majątków?

– Twój ojciec dał nam dużo pieniędzy. Nie musimy się martwić – zapewniał ją.

Ojciec Tatiany dowiedział się o sytuacji finansowej Aleksandra niedługo po ślubie i chociaż posag panny młodej był dostatecznie duży, by po spłaceniu wszystkich długów został im jeszcze jeden majątek, to relacje między teściem a zięciem mocno się oziębily.

Dlatego Aleksander był niemal pewien, że Tatiana działa pod wpływem ojca, gdy pewnego dnia, zanim jeszcze się okazało, że jest w ciąży, zadała mu zaskakujące pytanie:

– Nie uważasz, Aleksandrze, że powinienes pokazać mi wyliczenie, na co wydałeś mój posag?

Co za wyrachowana obraza! Przecież ona jest jego żoną i na dodatek ma zaledwie siedemnaście lat. Co za bezczelność!

– Przekłęci cudzoziemcy! – wybuchnął z furją. – Wszyscy jesteście tacy sami, Niemcy, Holendrzy i Anglicy, liczycie każdą kopiejkę. Jesteście jak... – Szukał obraźliwego słowa. – Jesteście jak Żydzi!

Widział jednak, że choć potulnie schyliła głowę, nie była zadowolona.

Poza tym nie mógł jej o wszystkim powiedzieć.

Masońskie wydawnictwo pochłaniało znaczne sumy. I miało ambitne plany. A profesor, co należało przyznać, dość niedbale prowadził księgowość. Gdy Aleksander żenił się z Tatianą, poza datkami na rzecz bractwa poproszono go o pomoc dla wydawnictwa. Jak mógł odmówić, skoro ludzie tacy jak książę hojnie się dokładali? Był zadziwiony, gdy się dowiedział, że niektórzy adepci wyższej masonerii gotowi byli poświęcić dla sprawy cały swój majątek. Nie chciał stracić twarzy w oczach nowych przyjaciół. Dlatego niedługo po ślubie oznajmił z niejaką satysfakcją: „Możecie liczyć na moją pomoc”.

Tatiana byłaby bardzo zaskoczona, gdyby się dowiedziała, że kiedy zaraz na początku jej ciąży Aleksander wyjechał do Moskwy, w rzeczywistości udał się na dwa tygodnie do majątku profesora, żeby się pojednać ze swoim mentorem. I że zobowiązał się do kolejnego datku, który wynosił jedną piątą jej posagu. Gdyby o tym wszystkim wiedziała, musiałaby uznać, że profesor, będąc jej przyjacielem, jest jednocześnie jej wrogiem.

*Rok 1789*

To był doniosły rok w dziejach świata. A pewnego marcowego dnia, pochmurnego i wilgotnego, gdy łód na Newie trzymał jeszcze mocno, hazardzista Aleksander Bobrow w końcu dobił targu z Bogiem. Transakcja nie zaspokajała jego ambicji, ale nie miał wyjścia.

Poranek był szary; lekki wiatr, pędząc na zachód znad lodowatych wód Syberii, przelatywał ze świstem przez rozległe place Petersburga. Aleksander był z żoną w salonie. Wrócił do domu dopiero o świcie, ale nie o tym rozmawiali. On siedział, ona stała, żeby ulżyć plecom – była w ósmym miesiącu drugiej już ciąży. Aleksander rzucał jej gniewne spojrzenia.

Do diabła! I ona mu nie ufa? Jak może się przeciwstawiać!

Trzęsła się przez chwilę, ale nie odpowiadała.

Do diabła z nią! Do diabła po tysiackroć! A może ona specjalnie go dręczy z powodu Adélaïde?

Tatiana stała nieruchomo, oparta o tył krzesła. Nie odzywała się, bo musiała się przygotować, a była zdenerwowana. Dlaczego przyszło jej się z tym mierzyć właśnie teraz, pod sam koniec ciąży?

Czy on ją w ogóle kocha? Nie chodziło tylko o tamtą Francuzkę, ale też o niewyjaśnione wyjazdy do Moskwy i tajemnicze wieczorne wyjścia w Petersburgu. Jak ma to rozumieć?

Dziwne, ale nie czuła nienawiści do Adélaïde de Ronville. Czasem spotykała rywalkę u hrabiny Turowej. Francuzka była dla niej miła i nigdy nie zrobiła najmniejszej aluzji do swojego związku z Aleksandrem. Tatiana przyjmowała to z wdzięcznością, wręcz podziwiała jej opanowanie. Madame de Ronville nawet nie próbowała traktować jej protekcyjnie. Ona się niedługo zestarzeje, myślała na początku Tatiana. To minie. Przypuszczała, że domyśla się uczuć tamtej kobiety. W końcu obie jesteście jego kochankami, ale ja jestem młoda i urodziłam mu dziecko. Musi jej być z tym niełatwo.

Wciąż kochała Aleksandra – było w nim połączenie siły i słabości, któremu nie mogła się oprzeć. Nawet jego próżność dziwnie jej się podobała. Bo rozumiała go lepiej, niż sądził. Widziała, że ambicje górują u niego nad niewątpliwie wybitnymi zdolnościami, skazując go na wieczną niepewność i poczucie niespełnienia. On kocha tamtą, ale ja będę mu kiedyś potrzebna, nawet jeśli mnie teraz wykorzystuje, przekonywała samą siebie.

Lecz w jednej kwestii nie mogła ustąpić.

Aleksandrowi zaczęło brakować pieniędzy. Do najgorszego jeszcze nie doszło, ale znów zaciągał długi i nie miał gotówki. Dlatego poprosił Tatianę, by zwróciła się do ojca. W końcu była dziedziczką jego majątku. Na co poszły pieniądze? Podejrzywał, że na ich codzienne, dość wystawne życie. I oczywiście na różokrzyżowców.

Podziw Aleksandra dla profesora wzrósł – mimo że stary mason stanowczo potępiał jego postępowanie. Ale potrafił pokonać wszystkie przeciwności losu. Ostatnio masoni spotkali się z opozycją. Wrogowie oskarżali ich nawet o świętokradztwo. Na szczęście profesor miał w Cerkwi przyjaciół, którzy wystosowali odpowiednie oświadczenie. Dług bractwa się piętrzył. Mimo to profesor nadal drukował książki na maszynach ukrytych w swoim majątku. Aleksander darzył go za to miłością i podziwem.

Lecz kosztowało go to coraz więcej. Nie było miesiąca, by nie dostawał od braci kolejnej prośby o pomoc. I gdyby chodziło o sprawę mniejszej wagi, już dawno by się wycofał. Jednak przyszłość wciąż przyprawiała go o dreszcz. Wszelkie wyrzuty sumienia z powodu wydawania pieniędzy żony tłumiła jedna myśl: różokrzyżowcy mogą kiedyś rządzić światem.

Dlatego gdy rano poprosił żonę, by zwróciła się do ojca o dodatkowe fundusze, a ona odmówiła, był wstrząśnięty. Jak ona może! Przecież to jej obowiązek. Jednak Tatiana milczała uparcie. A on, mimo jej stanu – i zapewne dlatego, że w głębi duszy czuł się winny – krzyknął:

– Rozkazuję ci to zrobić!

Dlatego aż oniemiał, gdy odwróciła się do niego i spojrzała nań z takim wyrazem twarzy, jakiego nigdy wcześniej nie widział. Była w niej złość i... Tak, pogarda. A jej słowa dotarły do niego dopiero po dłuższej chwili.

– Przykro mi, Aleksandrze, ale nie widzę żadnego wytłumaczenia, dlaczego ja i mój ojciec mielibyśmy powierzyć ci jeszcze więcej mojego majątku, skoro do tej pory nie rozliczyłeś się z posagu, który, co muszę ci przypomnieć, jest mój. A skoro nie wiesz, co z nim zrobiłeś, to być może ja, a nie ty, powinnam kontrolować nasze finanse.

Patrzył na nią bez słowa. Czuł, jak twarz mu blednie. Trzęsąc się ze złości, ryknął na nią głosem, który sam z trudem rozpoznał:

– Ty Żydówo!

A potem zerwał się na równe nogi i uderzył ją w twarz tak mocno, że aż upadła na podłogę.

Godzinę później wciąż siedział w swoim gabinecie. Jak on mógł coś takiego zrobić? Nie umiał się zmusić do wyjścia. Doskonale wiedział dlaczego – bo był winny.

Gotów jestem doprowadzić do ruiny swoją żonę i swoją rodzinę? Nawet dla różokrzyżowców i własnych wygórowanych ambicji? – zastanawiał się w myślach.

Miał przed sobą kilka listów. W jednym zrezygnował z kupna wspaniałego wierzchowca, w drugim – z nowego powozu, którego i tak wcale nie potrzebował. Ale naprawdę ważny był znacznie dłuższy list, który właśnie podpisał. Przeznaczony był dla profesora i kończył się tak:

*Może w przyszłości będzie mi dane cieszyć się tymi wszystkimi błogosławieństwami, których jedynym nieskalanym źródłem jest nasz Święty Zakon, muszę jednak wyznać, że obecnie nie mogę już składać ofiar, o które słusznie mnie prosisz, dlatego z pełnym szacunkiem wycofuję się z Bractwa z nadzieją, że kiedyś okażę się Was godny.*

Opuścił różokrzyżowców. Uśmiechnął się cierpko. To pozwoli mu uniknąć znacznych wydatków.

Ledwo zdążył zapieczętować list, gdy przyniesiono mu wiadomość: Tatiana zaczęła rodzić.

Minął dzień, potem noc. I jeszcze jeden niekończący się poranek. Tatiana wciąż nie mogła urodzić. Szarość dnia zalewała pokój matowym światłem.

Dzień wcześniej, po południu, wezwano polską akuszerkę, a wieczorem niemieckiego lekarza. Późnym rankiem oboje kręcili tylko głowami. A potem w pokoju pojawiła się jeszcze jedna postać. Chłopi z Ruski, którzy pracowali w domu, niemal od



świtu błagali Aleksandra, by ją wpuścił. Nie wierzyli akuszerce z miasta. A na niemieckiego lekarza patrzyli z lekką pogardą. Ale ta kobieta była jedną z nich. Wiejska akuszerka, prawdziwa Rosjanka z Gnojowiska. Siedziała teraz w kącie i robiła to, co ci głupcy z miasta powinni byli robić od samego początku: recytowała dziwną mieszankę chrześcijańskich modlitw i pogańskich zaklęć, bez których nie mogło się urodzić żadne dziecko na rosyjskiej wsi. Aleksander spojrzął na nią i wzruszył ramionami. Bóg wie, czy to pomoże, ale na pewno nie zaszkodzi.

Doktor wyprowadził go z pokoju. Miał posępną minę.

– Dziecko utknęło – powiedział. – Może uda mi się je uratować, ale matka...

– Nie rozumiem.

– Może się wykrwawić.

– Czy to znaczy, że umrze?

– Nie wiem. Niektórym udaje się przeżyć.

– Co mam zrobić?

– Nic. Modlić się.

Doktor wrócił do pokoju. Aleksander poszedł do swojego gabinetu i z początku mechanicznie przekładał papiery, a potem zaczął się modlić, ale odpowiedziała mu jedynie jego własna pustka. Po jakimś czasie wstał i wrócił do sypialni.

Twarz rodzącej była upiornie blada. Tatiana miała splątane, mokre od potu włosy i oczy rozszerzone lękiem. Dygotała po każdym skurczu.

– Naczynie krwionośne może pęknąć w każdej chwili – szepnął doktor.

Aleksander spojrzął bezradnie na żonę. To straszne, ale nic nie mógł zrobić. Podeszedł do łóżka i wziął ją za rękę. Mimo wszystko próbowała się uśmiechnąć. Uścisnął jej dłoń. Skrzywiła się, gdy skurcz osiągnął szczyt, i wzięła głęboki wdech, cały czas wpatrując się w męża. A on z poczuciem winy zdał sobie sprawę, że jest jej jedynym ratunkiem. Uśmiechnął się, tak by poczuła, że ją kocha. Nic więcej mu nie pozostało.

– Rodzę twoje dziecko – szepnęła.

Ścisnął jej dłoń, ale nie mógł wydobyć z siebie słowa. Ona zaraz umrze. Pomyślał, że ona też to wie. Bała się, bała się jak nigdy w życiu. Patrzyła na niego przerażonym wzrokiem, który mówił: „Nawet jeśli nie możesz mi pomóc, chociaż raz powiedz, że mnie kochasz”.

I oto tego marcowego dnia, niedługo po trzeciej po południu, Aleksander Bobrow, widząc, że w całym królestwie nieba i ziemi jest tylko jedna rzecz, dla której warto zaryzykować, zawarł swój ostatni układ z Bogiem.

Boże miłosierny, jeśli ocalisz ją i dziecko, będę jej wierny i rozstanę się z madame de Ronville, przysiągł w duchu.

Tak, została mu już tylko ta jedyna karta.

*Rok 1792*

Środek lata jest najdziwniejszą, najbardziej magiczną porą roku w Petersburgu. Przychodzą wtedy białe noce.

Na tej szerokości geograficznej w czasie letniego przesilenia dni nie mają końca

i nie ustępują przed ciemnością. Światło dzienne utrzymuje się aż do wieczora, a potem na pół godziny zapada blady, migotliwy zmierzch. Co za magiczny czas! Atmosfera jest naładowana, świat staje się nierealny. Budynki wyglądają jak szare cienie, na wodzie kładzie się mleczna poświata, a na odległym północnym horyzoncie szarość świtu przerywają rozbłyśki zorzy polarnej.

Pora białych nocy. Elektryzująca. Zapewne to unoszący się w powietrzu magnetyzm sprawił, że Aleksander Bobrow posunął się do szaleństwa. Nie nasuwa się żadne inne wytłumaczenie.

Bo tego lata świat był zupełnie inny. Wydawało się, że lada moment rozpęta się wielka, szalejąca burza. Nikt nie wiedział, które monarchie upadną, które społeczeństwa pogrążą się w chaosie. Każdego dnia Petersburg wyczekiwał na wieści z Zachodu, gdzie trzy lata wcześniej nastąpił epokowy kataklizm, którego początkiem był szturm na paryską Bastylię.

Wielka Rewolucja Francuska. Król Francji, jego żona Maria Antonina i ich dzieci zostali uwięzieni. Kto wie, do czego ci rewolucjoniści – jakobini – mogą się jeszcze posunąć. Europejscy władcy byli oburzeni. Austria i Prusy wciąż prowadziły wojnę z nową rewolucyjną potęgą. Wielka Brytania gotowa była się do nich przyłączyć. A największy wstrząs przeżyła oświecona cesarzowa Rosji Katarzyna. Zasady wolności i oświecenia były wspaniałą teorią. Ale rewolucja i rządy tłuszczy to co innego. Pamiętajcie o Pugaczowie! Wiele lat temu Katarzyna zgmiotła bunt kozackich chłopów i nie zamierzała dopuścić do następnego.

Nic więc dziwnego, że ówcześni myśliciele, od cesarzowej poczynając, patrzyli na te skutki epoki oświecenia z przerażeniem. „To poszło za daleko i za szybko” – uznali. Zamiast reform widzieli jedynie chaos. „Jakobini nas zdradzili”.

Gdy we Francji rewolucjoniści wierzyli, że są świadkami narodzin nowego świata, na odległym petersburskim dworze wydawało się raczej, że złota epoka przemija, jakby długie lato Katarzyny rozciągnęło się aż zanadto i teraz zderzyło nieoczekiwanie z ostrym, brutalnym wichrem wiejącym przez świat. Liście nagle opadły, ukazując nagi las w obliczu nieuchronnej zimy.

Cesarzowa była samotna. Twarze wokół niej się zmieniały. Ale przede wszystkim straciła jedynego przyjaciela, starego wygę, wielkiego Potiomkina.

Był jej wiernym druhem. Dał jej Krym. Dwa lata przed rewolucją zabrał Katarzynę i oniemiałych z podziwu ambasadorów największych europejskich mocarstw na wspaniałą objazd tej rozległej prowincji nad Morzem Czarnym. Drogi były dosłownie usłane kwiatami. Potiomkin kazał nawet zbudować na pokaz malownicze dekoracje – słynne wioski potiomkinowskie – które miały oczarować gości. Wsie były nieprawdziwe, ale imperium było prawdziwe i bogate. I oto nareszcie władca Rosji zasiadł w legendarnym pałacu chanów krymskich w Baczysaraju, żeby przyjąć od Tatarów ostatni hołd.

Dla Katarzyny i Potiomkina był to koniec ich długiego, późnego lata. Wicher zaczął wiać, wybuchła rewolucja francuska; nie udało im się zdobyć ostatniej nagrody, Konstantynopola. Tak jak przewidywał Aleksander Bobrow, młody kochanek Katarzyny okazał się niewierny, ale tym razem wrogom Potiomkina udało się wprowadzić do łóżka

cesarzowej swojego protegowanego, pewnego próżnego młodzieńca. Potiomkin wiedział zapewne, że jego gra dobiegła końca. Wrócił do Petersburga, wydał na cześć cesarzowej ucztę, jakiej stolica wcześniej nie widziała, i pogrążony w depresji wyjechał na południe. Po roku już nie żył.

Katarzyna była samotna. Co jej pozostało? Próżny młody kochanek – przynajmniej w łóżku nie była sama. Syn, który ją znienawidził i który z każdym dniem coraz bardziej upodabniał się do jej zmarłego okropnego męża. Dwóch wnuków, kochanych i wykształconych według jej zaleceń. Oraz imperium. Chciała je zachować i wzmocnić właśnie dla wnuków.

Petersburg też się zmienił. Francja wyszła z mody – nawet na francuskie suknie patrzono krzywo. W gazetach dopuszczano jedynie skąpe doniesienia o francuskiej zarazie. „Dzięki Bogu – mówili mądrzy ludzie – że nasi chłopcy nie umieją czytać”. Publiczne dyskusje o rewolucji były zakazane, republikańskie książki palono, nie wystawiano sztuk. A doprowadzili do tego filozofowie, przyznawali to nawet ludzie oświeceni. Katarzyna była surowa dla innych, ale była też surowa dla siebie. Zbierając siły do konfrontacji z tym nowym, mrocznym światem, ze smutkiem rozkazała usunąć ze swoich komnat wszystkie popiersia dawnego przyjaciela – Woltera.

Nic dziwnego, że zaciekle zaatakowała tych, którzy według niej mogli w tych groźnych czasach osłabić państwo. Gdy radykalny Radiszczew wykazał się głupotą, publikując książkę – w takim momencie! – otwarcie wzywającą do zniesienia poddaństwa, wpadła w taką złość, że mógł się cieszyć, iż skazano go tylko na zsyłkę na Syberię. A Katarzyna zaczęła zadawać pytania o wolnomularzy i ich sekretną działalność. Knuli z jej synem? A może są jakobinami? Nic na to nie wskazywało, ale nakazała starannie przesłuchać profesora. „Rosja potrzebuje lojalności” – ogłosiła.

W jesieni życia Katarzyny Wielkiej nie było w całym Petersburgu człowieka bardziej lojalnego niż Aleksander Prokofiewicz Bobrow.

– Jakobini to zdrajcy – mówił często. A w kwestii oświeceniawca całkowicie zgadzał się z cesarową. – Wolność słowa, podobnie jak i reformy, jest możliwa tylko wtedy, gdy sytuacja jest stabilna – twierdził stanowczo. – Musimy być ostrożni.

Bo też w całym Petersburgu nie było bardziej ostrożnego człowieka niż on. Mieszkał w skromnym domu, już nie w Pierwszej Admiralicji, ale w mniej modnej dzielnicy. Miał tylko trzydziścioro służby, rzadko wydawał obiady na więcej niż dwanaście osób. Jego powóz i ekwipaż nie rzucały się w oczy. Nawet długi miał skromne. I niemal mógł się utrzymać ze swoich dochodów.

Wciąż był radcą stanu. Ale z jakichś powodów jego kariera wyhamowała. A po śmierci Potiomkina wydawało się mało prawdopodobne, że zajdzie wyżej. „Bardzo miły z ciebie człowiek” – mówiono. A każdy rozsądny mężczyzna wie, że gdy słyszy coś takiego, to żaden awans go nie czeka. Mimo to sprawiał wrażenie szczęśliwego. Wciąż miał nadzieję na jakieś małe nominacje, które uzupełniłyby jego dochody. A nadzieja ta wypływała z faktu, że ludzie mówili o nim jeszcze coś. „Bobrow jest godny zaufania”.

Ciężko sobie na to zapracował. Gdy tylko wybuchła rewolucja, przeciął wszystkie kontakty z radykałami. Kiedy aresztowano Radiszczewa, napisał krótki artykuł ujawniający ogromne błędy dawnego znajomego. I na szczęście po wysłaniu rezygnacji

na ręce profesora nie utrzymywał z różokrzyżowcami żadnych relacji. Unikał nawet zwykłych łóż masońskich. Może jego życie było bezbarwne, ale za to bezpieczne. Zresztą jakie miało być w przypadku tak rozsądnego męża i ojca?

Tamtego straszliwego dnia 1789 roku, kiedy Tatiana była bliska śmierci, Aleksander zawarł z Bogiem układ. A Wszechmogący dotrzymał umowy. Tatiana przeżyła, urodziła zdrowego chłopca, a dwa lata później jeszcze jednego. Aleksander utrzymywał z Adélaïde de Ronville przyjacielskie stosunki, ale nie był już jej kochankiem. Mógł uchodzić za wzór męża: lekko utył, można było na nim polegać, więc przyjaciele często z niego żartowali: „Ach, ten Bobrow jest bardzo żonaty”.

Pojawił się jednak nieoczekiwany problem: ojciec Tatiany zmarł i ku zaskoczeniu wszystkich zostawił po sobie jedynie marne grosze. Jak się okazało, w tajemnicy spekulował zbożem ze swoich majątków na południu, ponosząc duże straty. Na szczęście uniknęli bankructwa, bo majątki były zastawione tylko w połowie.

– Dziękujemy Bogu za hrabinę – mówił Aleksander do Tatiany. – Bez niej nie mielibyśmy co zostawić naszym dzieciom.

Regularnie odwiedzali starą damę, a ona już dawno obiecała, że ich zabezpieczy.

– Chyba już niedługo pożyje – wzdychał Aleksander.

Tak wyglądało skromne życie rodzinne Aleksandra Bobrowa, którego ryzykanckie dni dawno minęły.

Pora białych nocy. Był jeden z pierwszych magicznych wieczorów lata, Aleksander jechał wzdłuż Newy ze zwyczajową wizytą do hrabiny.

Stara dama była coraz słabsza, ale wciąż prowadziła życie towarzyskie. Wieczory u niej nie były już tak liczne. Przychodziło tylko kilku najwierniejszych gości, ale ekscentryczna hrabina zachowywała się tak samo. Aleksander myślał czasem, że ona chyba nie wie, który jest rok, bo nigdy nie wspominała o rewolucji francuskiej. Zapewne w ogóle o niej nie pamiętała. Zwłaszcza że nic nie mogło zaburzyć spokojnej pewności jej świątyni.

Gdy Aleksander wszedł do dużego salonu, rolety były opuszczone, a wpadający przez otwarte okno lekki wiatr poruszał ich dolne fałdy. Na zewnątrz wieczór był jasny, pokój wypełniało blade światło i półcienie.

Tak jak się spodziewał, w salonie było niewielu gości, głównie starsi mężczyźni, ale zauważył też dwóch przedstawicieli młodszego pokolenia. Dostrzegł także Adélaïde de Ronville, rozmawiała z jakimś starym dżentelmenem; uśmiechnął się do niej. Była teraz nieco szczuplejsza, bardziej krucha. Szkoda, że nie miała obecnie kochanka. A pośrodku salonu, na połączanym fotelu, siedziała hrabina. Co za przedziwna, podstarzała istota – żeby przywitać gości, zasiadła majestatycznie w długiej sukni i kokardkach, jakby żywcem przeniesiona z dawnego francuskiego dworu. Kiedy się pochylił, żeby ją ucałować, wydała mu się dość apatyczna. Darzyła go sympatią? Nawet dziś, po tylu latach, nie umiał na to pytanie odpowiedzieć. Uśmiechała się do niego, a po chwili potrafiła spojrzeć z takim szyderstwem, wręcz złośliwością w oczach, że aż się kulił w środku. Kto wie, co ona sobie myśli. Dziś najwyraźniej ucieszyła się na jego widok, zamieniła z nim kilka słów i pozwoliła mu odejść.

Krażył po salonie. Pojawiło się dwóch nowych gości, ale on nie miał szczególnej

ochoty na konwersację, więc stał, obserwując innych albo słuchając ich z roztargnieniem. Nie mówili nic interesującego. Jednak w pewnym momencie dobiegły go słowa dość pobudliwego młodzieńca, który najwyraźniej właśnie wrócił z Moskwy.

– No i nie wiadomo, co wolno dziś drukować – perorował. – I nie chodzi tylko o cenzurę. Bo na przykład aresztowano starego Nowikowa, który prowadził wydawnictwo uniwersyteckie. Czy nikt nie może się czuć bezpieczny?

– Podobno był wolnomularzem – zaprotestował ktoś.

– Może. Ale mimo wszystko...

Aleksander o mało nie westchnął. To nazwisko budziło w nim tyle wspomnień. Ostatnio kontaktował się z profesorem ponad trzy lata temu, ale nagle poczuł gwałtowną chęć napisania do swojego dawnego mentora albo do jego rodziny. Zaczął wypytywać młodzieńca z Moskwy. Postawiono już jakieś zarzuty? Nie, chyba jeszcze nie.

– Kim był dla ciebie profesor? – spytał młodzieniec.

Po wahaniu, które trwało zaledwie ułamek sekundy, Aleksander usłyszał swój głos.

– Nikim. Wiele lat temu spotkałem go parę razy.

Nie, nie napisze do niego. Starzec jest głupcem, skoro wpakował się w takie tarapaty. Aleksander wolał zachować ostrożność. Odsunął się od młodzieńca.

Czas mijał. W salonie unosiła się nieco senna atmosfera, co u hrabiny Turowej zdarzało się ostatnio coraz częściej. Zamienił kilka słów z Adélaïde, która narzekała na upały. A potem stanął przy oknie, patrząc na ulicę. Co za nudny wieczór!

Nawet nie zauważył, że nastrój w pokoju się zmienił. Goście zajmowali nowe miejsca. Hrabina jakby nagle wróciła do życia. Zebrało się wokół niej małe grono, przyciągnięte najwyraźniej przez nowego przybysza. Dopiero teraz Aleksander dostrzegł, że hrabina przywołuje go do siebie. Ruszył do niej z lekkim uśmiechem, który miał ukryć nudę. Zapewne spodziewali się po nim jakiejś błyskotliwej wymiany zdań. Ale gdy zobaczył, kto stoi obok hrabiny, uśmiech zamarł mu na ustach.

Stary generał, ten sam, którego upokorzył tutaj pięć lat temu! Aż nie mógł w to uwierzyć. Nie widział go nawet od tamtego czasu i pewnie zapomniałby o jego istnieniu, gdyby nie pogłoski, że w ostatnich latach generał zyskał na dworze zaskakujące wpływy. Kłaniając się uprzejmie, zauważył z przerażeniem dwie rzeczy. Po pierwsze, oczy starego generała rzucały pełne niechęci błyski, najwyraźniej wciąż pamiętał swojego adwersarza. Drugą była twarz hrabiny. Mój Boże, pomyślał Bobrow ze zgrozą, ona chyba się spodziewa, że jeszcze raz go upokorzę.

Czy ona nie pojmuje, że minęło pięć lat? Nie wie, że oświecenie stało się już niemodne, a generał jest osobą niebezpieczną? Nie rozumiała i nie wiedziała. Albo nic jej to nie obchodziło. Po prostu łaknęła rozrywki.

Już się uśmiechała z radosną złośliwością.

– I jak tam, generale – zaczęła – o ile wiem, chcecie spalić wszystkie nasze książki i pozamykać wszystkie teatry.

Gdyby zostało mu jakieś wyjście... Niestety, nie miał żadnego i generał o tym wiedział. Aleksander znalazł się w potrzasku.

To, co nastąpiło później, było gorsze niż najgorszy koszmar. Generał rozegrał swoją kartę perfekcyjnie. Świetnie rozumiał, jak bardzo świat się zmienił od rewolucji

francuskiej, i nie musiał się nawet bronić przed ideami oświecenia. Przywołując dawną dyskusję punkt po punkcie, spokojnie i rzeczowo przedstawiał swoje stanowisko, a każde stwierdzenie kończył zastrzeżeniem:

– Ale, o ile wiem, Aleksander Prokofiewicz się z tym nie zgodzi.

Genialne. Stary generał zapędził go w kozi róg. Za każdym razem, gdy zachęcał Aleksandra, by stanął po stronie hrabiny Turowej, jednocześnie dawał mu możliwość wypowiedzenia się przeciwko rządowi. Aleksander przypuszczał, że generał z największą radością przedstawi dosłownie każde jego słowo najwyższym kręgom na dworze. W pewnym momencie z jeszcze większą drwiną generał powiedział:

– Ale pan, jako przyjaciel Radiszczewa, z pewnością się z tym nie zgodzi.

Aleksander nie wiedział, co robić. Wił się jak piskorz. Co za upokorzenie! Parę razy, dość nieudolnie, próbował stanąć po stronie hrabiny, ale przez większość czasu musiał się bronić, wręcz zgadzając się z generałem, dzięki czemu jego oponent mógł kilka razy rzucić sarkastycznie:

– Widzę, że śpiewa pan dziś na inną melodię.

Albo:

– Cieszę się, że mimo wszystko zgadza się pan ze mną.

A hrabina, czego Aleksander nie mógł nie zauważyć, była coraz bardziej zirytowana. Najpierw spojrzała na niego surowo, potem próbowała się wtrącić, wreszcie zaczęła bębnić palcami o oparcie krzesła. Po jakimś czasie uniosła dłoń i przyglądała się jej w skupieniu, jakby chciała powiedzieć: „Bardzo mi przykro, że musisz być świadkiem tej *débâcle*”. Naprawdę nie zdawała sobie sprawy, że znalazł się w niebezpiecznym położeniu? Najwyraźniej nie. Po każdej wymianie zdań bił z niej coraz większy chłód, a milczenie stawało się bardziej złowieszcze.

Wieńczący dyskusję *coup de grâce* generał zadał z pewnością karciarza, który wie, że ostatnia lewa też należy do niego. Zastawił na Aleksandra misterną pułapkę.

– Oświecenie – powiedział spokojnie – doprowadziło do rządów jakobinów. Ale może Aleksander Prokofiewicz ma coś na ich obronę?

– Nie mogę powiedzieć nic dobrego o jakobinach – oświadczył Aleksander pospiesznie.

– Znakomicie. Ale ci sami jakobini uznali za swojego bohatera Woltera, który, co przyznają otwarcie, był ich inspiracją. Jak wiadomo, cesarzowa wyrzekła się Woltera. A pan?

Pułapka się zatrzasnęła. „Proszę mówić dalej. – Oczy generała błyszczały tryumfalnie. – Niech mi pan da coś, co będę mógł wykorzystać na dworze, żeby pana zniszczyć”. I gdy Aleksander zastanawiał się, co powiedzieć, ciszę przerwał lodowaty głos hrabiny Turowej.

– Właśnie, Aleksandrze Prokofiewiczu, co masz do powiedzenia na temat wielkiego Woltera?

– Podziwiam wielkiego Woltera – zaczął ostrożnie – podobnie jak cesarzowa. A jakobini są niegodni takiego człowieka.

Sprytna odpowiedź. Generał nie mógł jej wykorzystać, a hrabina nieco się uspokoiła.

Ale generał poczuł krew.

– Świetnie – powiedział ze śmiertniczością obojętnością. – Lecz skoro jego pisma wywołały tyle niepokojów, to może byłoby lepiej, gdyby zniknęły z oczu tych niebezpiecznych dżentelmenów? – Spojrzał na gości z uśmiechem.

– Ma pan na myśli cenzurę? – wtrąciła hrabina ostro.

– Owszem.

– Ocenzuować wielkiego Woltera?

– Być może cesarzowa zechce zrobić z jego ksiąg wielkie ognisko, droga hrabino.

Ale zapewne Aleksander Prokofiewicz się z tym nie zgodzi.

Hrabina spojrzała z przerażeniem najpierw na generała, a potem na Aleksandra. Można zakazać kilku wywrotowych traktatów, ale spalić wszystkie dzieła wielkiego Woltera?

– Nie do pomyślenia – mruknęła.

Ale było to całkiem możliwe. Generał okazał się bardzo przebiegły. W jednej pułapce zastawił drugą. Oto kilka dni wcześniej przyjaciel, który często bywał na dworze, szepnął Aleksandrowi, że wrogowie oświecenia potajemnie parli ku takiemu straszemu rozwiązaniu. „A przy obecnych nastrojach cesarzowej może im się udać. Jeszcze przed końcem roku Wolter będzie zakazany”. Generał najwyraźniej liczył, że jego rozmówca o tym nie wie. Potrzebował jedynie potępienia tego pomysłu, bo wtedy mógłby ogłosić Aleksandra wrogiem władzy. Sytuacja bez wyjścia. Generał miał go w potrzasku.

– No i co pan na to, Aleksandrze Prokofiewicz? – zapytał.

– Jestem lojalnym sługą cesarzowej – odpowiedział Aleksander mało przekonująco.

Generał wzruszył ramionami. Za to hrabina parsknęła lekko i zamilkła. Goście obserwowali to wszystko zafascynowani. Generał patrzył na nich z pełną pogardy satysfakcją. W końcu hrabina przerwała milczenie.

– To bardzo interesujące, Aleksandrze Prokofiewicz, że chciałbyś spalić dzieła Woltera. Wcześniej o tym nie wiedziałam. – Spojrzała z uwagą na swoje dłonie. – Jestem pewna, że żona na pana czeka. Życzę dobrej nocy.

Wyrzuciła go. Ukłonił się i wyszedł.

Gdy Aleksander zaszedł do niej kilka dni później, powiedziano mu, że hrabina nie przyjmuje. Po dwóch kolejnych dniach o umówionej porze zjawiała się Tatiana – jej powiedziano, że hrabiny nie ma w domu. Za trzecim razem służący przy drzwiach bezczelnie oświadczył Aleksandrowi, żeby więcej nie przychodził. I jeszcze tego samego dnia dostarczono mu niepokojący list od Adélaïde de Ronville.

*Muszę Ci donieść, drogi Przyjacielu, że hrabina absolutnie nie życzy sobie Cię widzieć. Mówi też, że chce Cię wykluczyć ze swojego testamentu. Nie mogę jej przekonać. Powinieneś jednak wiedzieć, że jej prawnik za trzy dni wraca z Moskwy i jeśli ona nie zmieni decyzji, to pošle po niego natychmiast. Obawiam się najgorszego.*

Aleksander patrzył na list z tępym przerażeniem. Przepadł spadek dla dzieci. To wszystko zakrawało na jakieś szaleństwo, ale zbyt dobrze znał starą damę, by liczyć na jej ustępliwość. Obraził jej idola. Tylko to ją obchodziło. Pokazał list Tatianie.

– Spójrz, co zrobił twój głupi mąż – przyznał ze wstydem.

Ale ona bynajmniej nie zamierzała go winić.

– Ta starucha zwariowała – powiedziała stanowczo.

I Aleksander, pomimo przygnębienia, przytulił ją z uśmiechem. Obecnie byli sobie znacznie bliżsi.

Co z tym jednak począć? Następnego dnia napisał do hrabiny list. List wrócił. Potem napisała Tatiana. To samo. A trzeciego dnia rano przyszła wiadomość od Adélaïde.

*Znów z nią rozmawiałam w Twojej sprawie, ale na próżno. Ona jest uparta i nie ma serca. Posłała po prawnika, który ma przyjść jutro. Jeśli chcesz porozmawiać albo jeśli mogłabym coś jeszcze zrobić, możemy się spotkać u Iwanowów. Będę tam przez cały wieczór.*

Aleksander westchnął. Czy to ma sens? Przecież nic już się nie da zrobić.

– Obawiam się, że wszystko stracone – powiedział ze smutkiem do Tatiany.

Absurd tej sytuacji budził jego obrzydzenie. Aleksander powlókł się do gabinetu, żeby się zastanowić.

Był przygnębiony, ale nie stracił nadziei. Może wstrząs dał mu nową siłę. Jeśli nie dostanie spadku, to musi wymyślić jakiś inny sposób na zdobycie pieniędzy. Rozwagał tę kwestię przez cały ranek. Nie miał wygórowanych ambicji, hazardzista Bobrow dawno odszedł w przeszłość. Chciał jedynie spłacić długi i odłożyć trochę pieniędzy. To może potrwać lata, może być czasem upokarzające, nieważne. Postanowił zacząć od razu.

Tuż przed południem wyszedł z gabinetu, pocałował żonę i kazał przygotować najlepszy powóz i konie.

Postanowił jechać do letniego pałacu cesarzowej Katarzyny.

Wczesnym popołudniem Tatiana, bez wiedzy Aleksandra, wsiadła z dziećmi do wynajętego powozu. Udali się na drugą stronę Newy, na Wyspę Wasilewską. Wysiedli pod domem hrabiny Turowej, ale nie skorzystali z głównego wejścia.

Nie było to dla niej łatwe, uznała jednak, że Francuzka jest jedyną osobą, która ją wpuści i pomoże stanąć przed obliczem hrabiny. Jeśli zwrócenie się z prośbą o pomoc do byłej kochanki męża oznaczało upokorzenie, to gotowa była je znieść. A kiedy dzieci zapytały, dokąd jadą, odpowiedziała:

– Do mojej starej przyjaciółki.

Plan był prosty. Jeśli hrabina dowie się o jej obecności, na pewno zechce ją przyjąć. A widok dzieci zmiękczy serce starej damy. Tatiana wszystko jej wytłumaczy.

Zaskoczona Adélaïde de Ronville miała więc teraz przed sobą troje dzieci i ich matkę, która patrząc jej w oczy, oświadczyła z prostotą:

– Oddajemy się w twoje ręce.

– *Mon Dieu!*

Adélaïde nie mogła oderwać wzroku od dzieci. Dzieci Aleksandra. Dopiero teraz dotarło do niej, że nigdy ich nie widziała. Zerknęła na ich matkę, zwyczajną, silną kobietę. A ponieważ wszystko stało się tak nieoczekiwanie, nie miała nawet czasu się na to przygotować. Ogarnęło ją nagle poczucie straty i samotności, tak silne, że przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Zaczekajcie tutaj – powiedziała w końcu. – Niczego nie obiecuję, ale zobaczę, co da się zrobić.



Nie było jej przez dłuższy czas. Tatiana rozglądała się z ciekawością po pokoju. Nie знаła się na meblach ani obrazach, ale rozumiała, że w tym subtelnie urządzonej salonie Francuzki jest jakiś urok, którego zawsze będzie brakowało w jej domu. Na czym on polegał? Niektóre tkaniny były już stare i wytarte, kolory przygaszone w porównaniu z jaskrawymi błękitami i ciemnymi zieleniami domu Bobrowów. Ale jemu to się podoba, pomyślała. Nie przyszło jej jednak do głowy, że sztuka uwodzenia Adélaïde leży w umyśle, że kojąca cisza tego pokoju przywołuje całe dziedzictwo kultury, a to wszystko mówi: „W tym domu są niezliczone pokoje, po których może wędrować twoja wyobraźnia”.

Siedziała tak blisko godzinę, tuląc do siebie dzieci. W końcu wróciła Adélaïde.

– Nie przyjmie was. Przykro mi.

Tego też Tatiana nie mogła zrozumieć.

Pałac Katarzyny. Ogromny park z cesarską letnią rezydencją leżał w niewielkiej odległości na południowy zachód od Petersburga. Aleksander dotarł tam po dwóch godzinach. Kochał to miejsce.

Budowla chyba najlepiej oddawała kosmopolitycznego ducha osiemnastowiecznej Rosji. Podobnie jak wielki Pałac Zimowy, została w zasadzie zaprojektowana za czasów panowania cesarzowej Elżbiety przez wielkiego architekta Rastrellego. Rosyjski Wersal. Bogata, rokokowa fasada środkowej części miała dwa piętra i ciągnęła się na ponad trzysta metrów. Pilastry, kariatydy, okna i frontony zostały wyróżnione białą barwą, a ściany pomalowano na niebiesko. Po obu stronach niewielkie kiście cebulastych kopuł jeszcze bardziej podkreślały niewiarygodną horyzontalną linię pałacu. Część formalnych ogrodów Katarzyna zamieniła w park angielski zaprojektowany przez Johna Busha. Kazała też usunąć złocenia z kopuł i zastąpić je bardziej praktycznym matowym kolorem. „Bóg świadkiem – mawiali ludzie – że w środku zostało po Rastrellim wystarczająco dużo złota”.

To prawda. Europejska elegancja stapiała się we wnętrzach z prawdziwie rosyjskim przepychem. Ogromne korytarze wykładane wielokolorowym marmurem, komnaty zdobione jaspisem i agatem, jedyna na świecie komnata, której ściany były wykonane całkowicie z bursztynu. Wspaniałe parkiety ułożone z dziesiątków rodzajów drewna. A wszędzie, na tle alabastru, lazurytu, głębokich czerwieni i olśniewających błękitów, widać było ukochane przez Rastrellego złoto, i to w takiej obfitości, że nawet przybyszów z największych europejskich dworów zatykało z wrażenia. Ale jak mogło być inaczej, skoro znajdowali się w stolicy ogromnego eurazjatyckiego imperium, które mogło zwozić takie skarby z rozległych ziem ciągnących się od Bałtyku aż po pustynie i góry legendarnego Orientu.

Rosyjski Wersal. Mimo to bardzo się różnił od wielkiego francuskiego pałacu. Król Francji zaprojektował swoją dumną rezydencję z zimną klasycystyczną geometrią, a wspaniałe pałac rosyjski był w zasadzie prosty. Ot, długi, jaskrawo pomalowany dom w lesie. To wszystko. Pomimo swojej wspaniałości budowla miała w sobie uroczą pokorę, jakby chciała powiedzieć: „Tutaj, na skraju bezkresnej równiny z nieosiągalnym horyzontem, pod lśniącym północnym niebem, człowiek widzi swoją małość”. I w tym sensie rokokowy pałac Katarzyny był do końca rosyjski.

– Radca stanu Bobrow.

Natychmiast powiedziano mu, dokąd ma iść. Ruszył śmiało. Ale gdy szedł długimi, wykładanymi złotem korytarzami, ogarnął go wstyd. Od dawna tłumiony wewnętrzny głos zdawał się mówić z każdym krokiem: „To miało być twoje, a nie jego”.

Bo szedł na spotkanie z młodym Płatonem Zubowem, nowym kochankiem cesarzowej Katarzyny.

Jakże nieprzeniknione było przeznaczenie! Stanowisko, na którym kiedyś tak mu zależało, zajmował dziś przystojny dwudziestoparoletni mężczyzna, próżny, płytki i ambitny. Było to widać na pierwszy rzut oka. Nikt go nie lubił. Jednak wszyscy na dworze wyczuwali – i zapewne wiedziała to też cesarzowa – że w jesieni jej życia ten młody kochanek może być ostatni.

Aleksander już od jakiegoś czasu starał się o względy tego młodzieńca. Co wcale nie było przyjemne. Ale co można zrobić, kiedy ma się rodzinę na utrzymaniu, mówił sobie. Niedawno oddał młodemu faworytowi pewną przysługę, mając nadzieję, że ten zechce kiedyś spłacić dług wdzięczności. Skoro jednak sprawy przybrały zły obrót, postanowił upomnieć się o spłatę od razu.

Pawilon, w którym młody człowiek brylował w towarzystwie, został dobudowany – razem z długą galerią – z jednej strony pałacu. Wzniesiony przez szkockiego architekta Katarzyny, Camerona, był piękny, utrzymany w stylu okazałego pałacu rzymskiego, choć w nieco mniejszej skali, z prawdziwą rzymską łaźnią w piwnicy. Przed drzwiami jednego z pokojów stał tłum ludzi: szanowani dworzanie, bogaci właściciele ziemscy, ważni wojskowi. Jeszcze trzy lata temu nawet by na Zubowa nie spojrzeli, dziś potulnie czekali na audiencję. To powinienem być ja! – krzyknął Aleksander w myślach i podał swoje nazwisko. Gdy drzwi się otworzyły, ze środka dobiegł go śmiech.

Czekał zaledwie godzinę, zanim go wpuszczono.

Pokój był wspaniały, urządzony w stylu pompejańskim, z surowymi rzymskimi meblami. Uśmiechnięty Zubow stał pośrodku tłumu. Dla rozrywki ubrał się dziś w rzymską togę – a trzeba przyznać, że ze swoją urodą wyglądał w tym stroju znakomicie. Nieduża małpka trzymała go za rękę.

– Drogi Aleksandrze Prokofiewiczu! – Wyglądał na zaskoczonego, ale zadowolonego z wizyty skromnego radcy stanu. – Co pana tutaj sprowadza?

Właśnie na ten moment czekał. Wielcy ludzie często zapominają, że są winni innym jakąś przysługę, ale Bobrow nie dał mu najmniejszej szansy.

– Jak to po co? Chciałem panu pogratulować tryumfu w Polsce.

Zubow się rozpromienił.

Polska. Potiomkin dał Katarzynie Krym, a młody Zubow zamierzał połączyć swoje nazwisko z inną ważną dla Rosji zdobyczą. Oto bowiem los dał mu Polskę.

Przez kolejne stulecia zmagania Rosji z wojskami tatarskimi polscy magnaci razem z Litwinami wdzierali się na rosyjskie ziemie jak wielka fala. Ale fala ta cofnęła się już dawno temu. Co więcej, w Polsce wciąż rządził sejm – zgromadzenie ustawodawcze złożone z magnatów – który po wybraniu króla mógł sparaliżować wszelkie jego działania przez weto jednego posła. Słabość Polski była Rosji na rękę. Przed dwudziestu laty Katarzyna ze spokojem uszczknęła kolejne pograniczne tereny, a potem osadziła na

tronie Polski byłego kochanka jako marionetkowego króla. Jednak Polacy jakby w porywie szaleństwa ogłosili nową konstytucję, która wprowadzała zwyczajny system głosowania w sejmie oraz konstytucyjną monarchię dziedziczną. Król był tak głupi, że konstytucję zatwierdził. Czy ów były kochanek Katarzyny naprawdę przypuszczał, że cesarzowa pozwoli, by u jej granic wyrosła silna, stabilna Polska, na dodatek pod jego panowaniem?

Reakcja Katarzyny była natychmiastowa. „To są rewolucjoniści, jakobini!” – ogłosiła. Oczywiście nie miało to nic wspólnego z prawdą, reformatorzy byli konserwatywnymi monarchistami. Ale prawem władców jest kłamać. Coś należało przedsięwziąć.

I tu nadarzyła się okazja – dla Zubowa na zyskanie sławy, a dla Rosji na powiększenie potężnego imperium. Wielu doradców, w tym także Potiomkin, którego gwiazda mocno wówczas zbladła, sugerowało ostrożność, ale młody faworyt ponaglał: „Europejskie mocarstwa są zajęte wojną z Francją. Nie będą miały czasu, żeby się martwić o Polskę. To najlepszy moment na atak”. I wiosną, po śmierci Potiomkina, Zubow postawił na swoim. Rosyjskie wojska, realizując jego drobiazgowo opracowany plan, przetaczały się przez polskie ziemie.

– Mój drogi Aleksandrze Prokofiewiczu! – zawołał Zubow. – Przychodzi pan w samą porę. Właśnie doniesiono mi z rana, że Wilno jest nasze.

Pradawna stolica Litwy. Kolejne państwo nadbałtyckie, które dołączyło do Łotwy i Estonii, zdobytych dla Rosji przez Piotra Wielkiego.

– Jeszcze przed końcem roku – ciągnął młody człowiek – Polska będzie mniejsza o połowę. Kawalek damy Prusom, a resztę zatrzymamy dla siebie.

To byłby prawdziwy tryumf.

– Podzielam pańską radość – powiedział Aleksander głosem, który miał łagodnie przypomnieć o należnej mu przysłudze.

– Ach, tak, oczywiście. – Zubow spojrzał z namysłem na Bobrowa. – Był pan nam przydatny, prawda?

Aleksander skinął głową.

– Oczywiście, doskonale pamiętam. – Zubow uśmiechnął się szeroko.

W zasadzie nie był to powód do dumy. Gdy Zubow jeszcze nie miał pewności, czy jego zdanie w sprawie Polski przeważy, Bobrow wykonał dla niego sporo biurokratycznej pracy, świadomie zdradzając przy tym swojego dawnego protektora, chorego Potiomkina. W głębi duszy wstydził się tego. Zubow doskonale wszystko rozumiał.

– Niech pan powie, czego pan chce – dodał cicho.

Niewiele, jednego spośród licznych w rozbudowanej rosyjskiej administracji stanowisk, które dawały przyzwoitą pensję przy niezbyt angażujących obowiązkach. Aleksander wiedział, że to stanowisko nie uczyni go bogatym, ale dopóki nie pojawi się szansa lepszego awansu – uzupełni jego dochody i pozwoli mu coś zaoszczędzić. Do tej pory pogardzał takimi synekurami, jednak teraz nie mógł sobie pozwolić na wybredność. Zubow wysłuchał go do końca. A potem odwrócił się do swojej małpki.

Aleksander już wcześniej o niej słyszał. Była ulubionym zwierzątkiem Zubowa, często zabierał ją ze sobą na audiencje. Mówiono, że niektórych dworzan wypraszano

z pokoju, bo nie spodobali się małpce. Charakteryzowała się długim, zakręconym ogonem, ale Bobrow nie potrafił określić jej gatunku i patrzył na nią nerwowo.

– Aleksander Prokofiewicz chciałby od nas prezent – powiedział Zubow do zwierzęcia. – Co o tym myślisz?

Bobrow wstrzymał oddech.

To, co się teraz stało, nastąpiło tak błyskawicznie, że nie zdążył się nawet połapać w sytuacji. Wiedział tylko, że małpa musiała skoczyć – bo nagle miał ją na piersi, objęła go za szyję, pysk przypominający małą twarz staruszka przycisnęła do jego twarzy – a siła jej skoku była tak nieoczekiwana, że przewrócił się z hukiem na marmurową podłogę.

Cały pokój wybuchnął śmiechem. Małpa wciąż przyciskała pysk do jego twarzy, piszczała głośno, co chwila szczerząc zęby, aż się przestraszył, że go ugryzie. Próbował wstać, ale się poślizgnął i upadł znowu. Małpa nie dawała mu spokoju, ciągnęła go za uszy i ocierała się nosem o jego nos. A nad tym wszystkim rozległ się piskliwy z rozbawienia głos Zubowa:

– Ona cię lubi, Bobrow, ona cię naprawdę lubi!

Nagle zapanowała cisza. Aleksander odwrócił głowę: nogi w jedwabnych pończochach, mundury i wszystko nieruchome. Spojrzał w górę. Na środku pokoju stała niska, tęga postać w prostej jedwabnej szacie, która wyglądała bardziej jak szlafrok.

Katarzyna.

Zażenowany i czerwony z upokorzenia, próbując wygładzić ubranie, podniósł się i uklonił. Małpa gdzieś znikła. Był jedynie świadomy obecności jakichś dwudziestu dworzan, którzy na niego patrzyli, oraz cesarzowej o twarzy przypominającej maskę.

A więc nareszcie spotkał ją oko w oko. Mimo upokorzenia przyglądał się jej z ciekawością. Oto kobieta, z którą chciał dzielić łóżko.

Jej oblicze wciąż było ładne, ze szlachetnie zarysowanymi brwiami. Ale niskie, krępe ciało wyglądało na bardziej wulgarne i obwisłe, niż się spodziewał. Brakowało jej też kilku zębów. Złota jesień straciła już wszystkie swoje liście, a ona wiedziała, że nic tego nie ukryje. Patrząc na nią, Aleksander przestał zazdrościć Zubowowi.

– Kto to jest? – Zimny, władczy głos cesarzowej przerwał ciszę.

– Aleksander Prokofiewicz Bobrow – odpowiedział Zubow, uśmiechając się zachęcająco do Aleksandra. – Przeszedł poprosić o nominację.

Katarzyna bez słowa patrzyła na Aleksandra, szukając w przepastnych magazynach pamięci chociażby okruchów informacji. Owszem, starzała się, zdrowie jej nieco szwankowało, ale spokojne spojrzenie wyłupiastych niebieskich oczu budziło lekki lęk. Przez wiele lat Aleksander przysięgał sobie, że gdy się spotkają, wprawi ją w zadziwienie, ale teraz, po tym idiotycznym wstępie, nie mógł wydobyć z siebie słowa, jak jakiś głupiec. Poczul, że robi mu się gorąco. A potem zobaczył w jej oczach błysk.

– Radca stanu Bobrow?

Uklonił się. Może kiedyś wspomniał o nim Potiomkin, a ona to zapamiętała? Powinna przynajmniej wiedzieć o wieloletnich zasługach jego rodziny. Czy to możliwe, że długo wyczekiwana godzina wreszcie wybiła?

– Jest pan krewnym tej śmiesznej i nużącej hrabiny Turowej?

To nie było pytanie. To było zimne, pogardliwe oskarżenie. Na ten znak

cesarskiego niezadowolenia niemal poczuł chłód wiejący od reszty zebranych.

– Jestem jej bardzo dalekim krewnym. Obawiam się, że można ją uznać za niepoczytalną.

– Właśnie. Wiem, kim jesteś. – Po tych słowach odwróciła się i odeszła. Przy samych drzwiach, nawet nie odwracając głowy, zawołała: – Chodź, Płaton!

Zubow ruszył za nią pospiesznie. Małpa pojawiła się skądś znowu i pobiegła za nim. Przy drzwiach odwrócił się, z żalem wzruszył ramionami w kierunku Aleksandra i posłał mu uśmiech.

– No cóż, Aleksandrze Prokofiewiczu! – zawołał. – Przynajmniej moja małpa pana polubiła. Żegnam.

Zniknął za drzwiami, a cały pokój wybuchnął śmiechem.

A więc to koniec. Już nigdy w życiu nie spotka go ze strony dworu żadna łaska. A dlaczego? Bo cesarzowa skojarzyła go z hrabiną Turową i jej głupimi poglądami.

Mój Boże, pomyślał, równie dobrze mogłem stanąć po tej samej stronie co ta stara wiedźma i jej Wolter.

Wyszedł z opuszczoną głową. Był zrujnowany. Idąc do powozu, w ostatniej chwili zauważył starego generała zmierzającego do pałacu. Generał lekko się uśmiechał.

Wracał do Petersburga pogrążony w ponurych myślach. Był skończony. Wiedział, co go teraz czeka. Przeprowadzą się do mniejszego domu. Nie zostawią dzieciom prawie nic. Jego nadzieje, tak przecież skromne, legły w gruzach.

Może nawet będziemy musieli zamieszkać w Rusce, myślał. Nie ma tam nic do roboty, ale przynajmniej jest tanio.

– Jegomość z Riazania – mruknął. Było to popularne określenie wiejskiego prostaka.

Podczas jazdy w geście największej rozpaczony dwa razy wciskał głowę między kolana.

Była ósma wieczorem, gdy dojechał do Petersburga – jasna mgła, blednąc coraz bardziej, miała się unosić na ulicach aż do północy, a wtedy pojawiała się dziwna, elektryzująca świetlistość białej nocy. Zaraz będzie musiał stanąć przed Tatianą z wieścią o swojej klęsce. Ale gdy powóz wjechał do drugiej dzielnicy Admiralicji, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Kazał stangretowi jechać dalej, na Wyspę Wasilewską. Znowu kazał mu poczekać na Striełce, a dalej ruszył pieszo. Miał jeszcze jedną, ostatnią szansę. I nic do stracenia.

Wielki dom hrabiny Turowej był cichy i milczący. Jakby wszyscy się z niego wynieśli, a on sam, na przekór niekończącej się letniej nocy, wycofał się do swojego wnętrza ukrytego za ciężką, nieco przykurzoną fasadą. Duże kolumny i nisze przywodziły na myśl mauzoleum albo rządowy budynek w niedzielny dzień. Aleksander wiedział jednak, że stara hrabina gdzieś tam jest.

Zbliżał się ostrożnie, omijając główne wejście, gdzie mógłby go zobaczyć jakiś lokaj. Skierował się do bocznych drzwi prowadzących do apartamentu madame de Ronville. Napisała mu w liście, że tego wieczoru będzie u Iwanowów, ale to nawet lepiej. Nie chciał jej angażować, musiał jedynie wejść do środka. Wyjął z kieszeni pęk kluczy. Choć już od dawna nie byli kochankami, nie umiał się rozstać z małym kluczykiem do jej

mieszkania. Otworzył zamek i wszedł po schodach na górę.

W domu panowała cisza – żadnego szelestu, żadnego szeptu. Wszedł do apartamentu Adélaïde. Wieczorne światło padało miękko na tapety i adamaszki. W salonie unosił się lekki zapach róż. Chwilę później był już w głównej części domu. Tu też było cicho, więc uznał, że hrabina udała się wcześniej na spoczynek. Wszedł ostrożnie po wąskich schodach i zatrzymał się na podeście. Drzwi do pokoju służącej były zamknięte – najwyraźniej jeszcze nie przyszła na górę. Natomiast drzwi do hrabiny stały otworem. Zaczął nasłuchiwać.

Usłyszał jej głos. W pierwszej chwili uznał, że hrabina z kimś rozmawia, bo mamrotała coś z wielkim przekonaniem, ale ponieważ nie słyszał żadnej odpowiedzi, stanął przy drzwiach. Tak, teraz był pewny, hrabina rozmawiała sama ze sobą. Co też ona mówi? Nie mógł zrozumieć, ale nagle przyszło mu do głowy, że może staruszka popada w obłęd. Zwariowała czy nie, czas działać. Wszedł powoli do sypialni.

Czytała, siedząc w łóżku wysoko na poduszkach jak tamtej nocy pięć lat temu. Wyglądała na starszą i słabszą. Jej włosy, związane wstążkami, były mocno przerzedzone. Na odsłoniętych ramionach widać było kości obojczykowe sterczące pod obwisłą skórą. Lekko pochylona, czytała przez lupę gazetę, pomrukując coś z irytacją.

Na jego widok drgnęła i krzyknęła cicho. Zauważył, że nerwowo przełknęła ślinę. Ale szybko się opanowała, z trzaskiem złożyła gazetę i syknęła z furją:

– Czego chcesz? Jak śmiałeś tu wejść?

– Miałem nadzieję z panią porozmawiać, Dario Michajłowna. – Starał się, by jego głos brzmiał uspokajająco. – Ale nie chciała mnie pani wpuścić.

– Wynoś się.

Nie wiedział, czy ktoś ich słyszy, ale nie ruszał się z miejsca. Grał o wszystko.

– Dario Michajłowna, z największym szacunkiem, ale potraktowała mnie pani niesprawiedliwie. Nawet jeśli jest pani niesłusznie na mnie zła, to błagam, by nie niszczyła pani mojej żony i moich dzieci, które są niewinne.

– Już raz ich dziś na mnie nasłałeś, ale ich odprawiłam – odparła ostro. – A teraz wynoś się z mojego domu.

Jego żona i dzieci tutaj? O czym ona mówi?

– Nikogo nie nasylałem – zaprzeczył stanowczo.

Hrabina odpłynęła gdzieś myślami, bo zaczęła mamrotać do siebie:

– Najpierw przychodzi jedno, potem drugie. I oboje udają, że nic nie wiedzą. Kłamcy! Nic ode mnie nie dostaną.

Aleksander słuchał zdziwiony. Czy to możliwe, że dopada ją starcza demencja?

– Albo te ich dzieci – syknęła nagle stara dama. – Ohydne żmije!

Ostatnie słowa powiedziała z taką pasją, tak obraźliwie, że aż zeszywniał ze złości.

– Pani nie rozumie, Dario Michajłowna – mówił, siłąc się na cierpliwość. – Gniewa się pani na mnie, ale zapewniam, że nikt nie darzy Woltera większym podziwem niż ja. Jednak obecnie, moja droga Dario Michajłowna, nawet ci, którzy myślą tak samo jak pani, nie mogą o tym głośno mówić. Cesarzowa nie chce tego słyszeć. A ja jestem radcą stanu. Muszę zachować ostrożność.

Umilkł, nie wiedząc, czy hrabina rozumie. Przez chwilę nie odzywała się, patrząc

na gazetę. W końcu podniosła wzrok i prychnęła z pogardą:

– Oszust!

Co za głupia, podła starucha! Mamrotała coś dalej, choć nie wiadomo, czy do siebie, czy do niego.

– Temu mówi jedno, a tamtemu drugie. Dwulicowiec. Nie można mu ufać ani na jotę.

A ponieważ Aleksander wstydził się w głębi serca, że tak niegodnie opuścił swojego dawnego patrona Potiomkina, i ponieważ prawdą było, że zmieniał poglądy jak rękawiczki, oskarżenia starej wariatki tym bardziej go rozżłościły. Najpierw jazda w upale do Pałacu Letniego, potem głębokie upokorzenie, a teraz to.

– Nie rozumie pani. Zapewniam, że... – zaczął.

Ale ona mu przerwała.

– Mnie oczu nie zamydliysz. Już drugi raz się tutaj wkradasz, podstępna żmijo.

– Nigdy tego nie zrobiłem! – zaprotestował gorąco.

– Kłamiesz! – Umilkła na chwilę, a potem podjęła rozmowę z samą sobą. – Tak, widziałam, wkradł się tutaj jak wilk w środku nocy. Złodziej! Myśli, że może tu przychodzić i drwić ze mnie. Łajdak! Grzebie w moich książkach, tańczy mi przy łóżku jak jakiś wariat. Gad! Żmija! – wyrzucała z siebie wyzwiska.

Mój Boże! A więc ona miała wtedy otwarte oczy, bo nie spała! Nigdy by nie pomyślał, że hrabina od pięciu lat zastanawia się nad jego nocną wizytą. Do diabła, jak on ma się teraz wytłumaczyć?

– Za kogo ty się uważasz? – rzuciła z furią. – Mnie nie oszukasz. Jesteś zwyczajnym kłamcą!

Był zdruzgotany, ale czuł wzbierającą złość. Nie, nie jest kłamcą.

– Wszystko przez to, że powiedziałem coś o Wolterze! A moje dzieci? Przecież to pani krewni! Chce je pani wydziedziczyć?

– Chce je pani wydziedziczyć? – Powtórzyła jego słowa z szyderczą pogardą. – Nie obchodzą mnie twoje dzieci. Gadzi pomiot. Niech nawet głodują! A teraz wynoś się, ty zdrajco.

Tego już było za wiele. Jej okrucieństwo przekroczyło wszelkie granice. Wściekłość i frustracja z całego dnia, a może nawet z całego życia, rozlały się gwałtowną falą.

– Ty stara wiedźmo! – krzyknął. – Ty głupia, zgrzybiała jędzo! O niczym nic nie wiesz. Do diabła z twoim Wolterem! Niech cię diabli! – Podniósł zaciśnięte pięści. – Zabiję cię! – Zrobił krok do przodu.

Był to wyraz frustracji. Może nawet chciał ją przestraszyć. Ledwo nad sobą panował. Ale ku jego przerażeniu hrabina zatrzęsła się i przewróciła oczami. A potem opadła bezwładnie na poduszki.

Stał nieruchomo. W domu panowała cisza. Zerknął na drzwi, obawiając się służby, ale nikt nie przychodził. Pomyślał, że w tak wielkim domu służba ich nie słyszy. Znów spojrzął na hrabinę. Jej lekko otwarte usta układały się w malutkie, żalodne O. Nieliczne żółte zęby wyglądały na bardzo długie, jak u szczura. Wydawało się, że nie oddycha.

Drżąc na całym ciele, podszedł bliżej. Co teraz? Ostrożnie zbadał jej puls. Nie

poczuł nic. Przez dłuższą chwilę obserwował ją nerwowo, aż w końcu uznał, że nie żyje.

Bał się jej tak bardzo, że nie przyszła mu do głowy myśl właściwie oczywista: ta stara, słaba kobieta sama była przerażona. Przyprawił ją o atak serca.

Przeżegnał się.

Dopiero po kilku chwilach, gdy tak stał i zastanawiał się, co powinien zrobić, pojął sens tego, co się stało.

– Bogu niech będą dzięki – szepnął. Hrabina nie żyje i nie zdażyła zmienić testamentu. – A więc jestem uratowany.

Ostrożnie podszedł do drzwi i wyjrzał na schody. Wszędzie panowała cisza. Jeszcze raz zerknął na hrabinę. Nie poruszyła się. Zszedł po schodach do głównej części budynku, a potem wślizgnął się po cichu do apartamentu madame de Ronville.

Kilka chwil później był już na ulicy. Nikt go nie zauważył. Zamknął za sobą drzwi na klucz i szybkim krokiem ruszył w kierunku Strielki, gdzie czekał jego powóz.

Gdy powóz Aleksandra przejeżdżał przez most ku placowi Piotra Wielkiego, w wielkim domu na Wyspie Wasilewskiej hrabina Turowa powoli otworzyła oczy.

Popadła na jakiś czas w głębokie omdlenie. Naprawdę straciła kontakt z rzeczywistością, nie wiedziała nawet, jak długo była nieprzytomna. Aleksander uznał, że hrabina nie żyje, bo nie miał do czynienia ze starymi ludźmi i nie wiedział, że ich puls jest często prawie niewyczuwalny. Hrabina leżała przez dłuższą chwilę nieruchomo, zbierając siły. Zawołała służącą, ale ta musiała być zapewne na dole. Na twarzy hrabiny pojawił się wyraz obrzydzenia, znów zaczęła coś do siebie mówić. Ostrożnie odwróciła się na bok i powoli opuściła nogi na podłogę. Stała, opierając się o stolik nocny. Po chwili podeszła do biurka. Z jednej z szuflad wyjęła kawałek papieru i zaczęła mu się przyglądać z uwagą. Nie wiedziała, co on oznacza. Ale była pewna, że to jest ważne.

Był to liścik, który wypadł Aleksandrowi z kieszeni podczas jego idiotycznego tańca tamtego grudniowego wieczoru. Podpisany „Kołowion”.

Nie czekając na służącą, hrabina Turowa ruszyła w kierunku schodów.

Aleksander nie spał przez całą noc. Może z powodu podniecenia po tym, co się stało, może z powodu pory roku, w każdym razie niedługo po północy wyszedł z domu.

Na ulicach oświetlonych bladym światłem byli też inni ludzie: młode pary, a nawet dzieci. Spacerowali nabrzeżami Newy i wzdłuż kanałów poprzecinanych małymi mostami, rozkoszując się ciepłą magią przedświt. Od czasu do czasu mijało go rozbawione towarzystwo, śmiejąc się i śpiewając w migotliwej szarości.

Aleksander ruszył w kierunku bulwaru. Powoli przeciął ogromny plac z wielkim posągami Piotra na koniu, minął długie, nagie mury Admiralicji i znalazł się na otwartej przestrzeni przed Pałacem Zimowym i dobudowanym do niego Ermitażem. Po lewej stronie miał szeroko rozlane blade wody Newy. Pośrodku nurtu, na Strielce, błyszczało światło. Od czasu do czasu mijali go ludzie jak cienie. I gdy tak stał, patrząc na północ, za horyzontem rozbłysły światła zorzy polarnej niczym nieme błyskawice z nad arktycznych pustkowi.

Nierealna pora roku. Nierealne miasto. Patrząc na ostatnie dziesięć lat swojego życia i na wydarzenia dzisiejszego dnia, pomyślał, że na tej ogromnej petersburskiej scenie jego egzystencja jest jedynie epizodyczną rolą. Bo przecież ludzkie życie to tylko



spektakl. Biedna cesarzowa Katarzyna i jej młodzi kochankowie – czyż to nie żalosne pozory? A to wielkie miasto zbudowane na północnych mokradłach, z włoskimi fasadami patrzącymi na skute lodem pustkowia – czyż to nie jest niewiarygodne oszustwo? To miasto wzniesiono na drewnianych palach, pomyślał. Któregoś dnia pale zgniją i wszystko opadnie w bagno. A największą fikcją jest oświecona arystokracja, do której sam należał – gadająca o Wolterze, ale rządząca po staremu wielkim imperium złożonym z wiosek i chłopów pańszczyźnianych, wciąż tkwiąca w średniowieczu, w epoce największego zacofania. Czy wizja Piotra Wielkiego, wizja Rosji jako kontynentalnego imperium, czy ta nieograniczona energia i ambicje Miedzianego Jeźdźca nie były marzeniem szaleńca, niemożliwym do spełnienia? Patrzył na szeroką rzekę, potem spojrzął na rozległą przestrzeń przed pałacem i nagle ogarnęło go przytłaczające poczucie, że bezkresne rosyjskie lasy i mokradła mogą w każdej chwili wkroczyć w pustkę tego nienaturalnego miasta.

– Przecież cały Petersburg – mruknął na głos – jest jedną wielką potiomkinowską wsią, jedną wielką fasadą. A jeśli tak, to czym było moje życie, moja gra o władzę, puszenie się, pragnienie ziemskich i niebiańskich laurów? Jedną wielką iluzją.

Rozważał tę myśl, wracając wolno do domu. To tu, to tam widział odpadające tynki i zmurszałe cegły na rogach domów.

– Próżność – mruczał do siebie. – To wszystko próżność.

Był tak pogrążony w rozmyśleniach nad marnością świata, że nawet nie zauważył małego powozu stojącego przed jego domem ani czekających nań mężczyzn. Spojrzął zdziwiony, gdy jeden z nich wysunął się do przodu i powiedział cicho:

– Radca stanu Bobrow? Proszę z nami, jest pan aresztowany.

Ciemność w celi była czarna jak smoła. Żadnego światła.

Nie wiedział, jak długo tu jest, ale ponieważ drzwi otworzyły się już dwa razy i jakaś ręka wsunęła przez szparę kawałek chleba i dzbanek z wodą, podejrzewał, że jeden albo dwa dni.

Cela była bardzo mała. Gdy stał plecami do drzwi, z ramionami wyciągniętymi w bok, mógł dotknąć ścian po obu stronach. Z tego miejsca był w stanie zrobić tylko dwa pełne kroki przed siebie. W ciągu pierwszych kilku godzin wydawało mu się, że w kącie jest szczur, ale teraz już go nie słyszał. Może zwierzę uciekło przez jakąś dziurę. Był w strasznej twierdzy Pietropawłowskiej. Zastanawiał się, czy cela jest poniżej, czy powyżej poziomu wody, i uznał, że jednak poniżej.

Niepokoili go tylko jedna rzecz. Dlaczego go aresztowano? Za jakie przestępstwo? Oficer, który go zatrzymał, nic nie chciał powiedzieć – pewnie sam nie wiedział. Od kiedy trafił do celi, nikt z nim nie rozmawiał. Pozostawało mu tylko zachować spokój.

Minął kolejny dzień. Nikt się nie pojawił. Pomyślał nawet, że mogą go tu zostawić na powolną śmierć. Wreszcie, pod koniec trzeciego dnia, drzwi się otworzyły, wyciągnięto go na zewnątrz i po kilku minutach stał nieco chwiejnie w dużym pokoju; jasne światło boleśnie raziło go w oczy, a jednocześnie poczuł, że po kilku dniach spędzonych w celi zaczyna śmierdieć. W pokoju był tylko jeden strażnik, a na pytanie Aleksandra, co się dzieje, odpowiedział opryskliwie:

– Będą cię przesłuchiwać.

– Kto?

– Nie wiesz? – Strażnik uśmiechnął się. – Szeszkowski we własnej osobie.  
– Roześmiał się. – Będziesz gadał.

Aleksander zadrżał. Wszyscy wiedzieli, kim jest Szeszkowski – najbardziej przerażającym inkwizytorem w całej Rosji. Ten osławiony śledczy bez trudu złamał biednego Radiszczewa. Mówiono, że jego ofiary miały szczęście, jeśli w ogóle przeżyły. Ale przecież ja jestem szlachcicem, powtarzał sobie w duchu Aleksander. Prawo zabrania mnie torturować. Nie można mnie wychłostać knutem. Wcześniej sąd musiałby mnie pozbawić godności szlacheckiej.

Wciąż nerwowo się nad tym zastanawiał, gdy czyjeś dłonie posadziły go siłą na ławce. Przyniesiono do niego stół, a na nim postawiono lampę. Chwilę później zdał sobie sprawę, że w pokoju – gdzieś w mroku poza jasną plamą światła – jest jeszcze jedna postać, której nie może zobaczyć, tylko jedynie usłyszeć.

– A więc – powiedział łagodnie głos – powiedz mi, co wiesz o Kołowionie.

Przez kolejne trzy tygodnie Aleksander Bobrow często nie wiedział, co się dzieje. Bywały dni, gdy zostawiano go w celi, ale na ogół czekano, aż zaczynał zasypiać, a potem wywlekano go do jasnego pokoju i świecono mu w oczy lampą. Albo kazano chodzić w kółko, żeby nie mógł spać.

Jego inkwizytor pojawiał się w regularnych odstępach czasu. Początkowo Aleksander myślał, że to taka taktyka, ale po jakimś czasie uznał, że inkwizytor musi mieć też inne sprawy, a on, Bobrow, jest w sumie mało ważny. Gdy pytał, dlaczego go tu trzymają, padała odpowiedź wymijająca, więc tym bardziej budząca lęk: „Chyba pan wie, panie radco stanowy”. Albo: „Może pan zechce nam to powiedzieć, Aleksandrze Prokofiewiczu”.

Nie torturowali go, nie straszili knutem. Ale żadna tortura, jak szybko się przekonał, nie może się równać z brakiem snu. Zrozumiał też, dlaczego jego śledczy budzi takie przerażenie. Nie chodzi o ból, który może zadać ciału, ale o ból, który zadaje duszy.

Bo stopniowo, przesłuchanie po przesłuchaniu, dzień po dniu, inkwizytor przejmował władzę nad jego umysłem.

Ten proces przebiegał bardzo subtelnie. Gdy na przykład Aleksander wypierał się jakiegokolwiek wiedzy o Kołowionie, śledczy się nie sprzeciwiał. Ale pod koniec przesłuchania spokojnie i niewzruszenie rzucał kilka słów o profesorze i kręgu różokrzyżowców. Aleksandrowi przemknęło przez myśl, że być może przesłuchuje też profesora. Ale jak się dowiedział o ich znajomości? Nie zostawili przecież żadnych śladów na piśmie. Czyżby profesor zaczął mówić? Możliwe. Zaczął wręcz podejrzewać, że śledczy bynajmniej nie chce nic z niego wydobyć, jedynie sprawdza, do jakich kłamstw się posunie.

Dotyczyło to też innych kwestii. Śledczy wypytywał go o artykuły napisane wiele lat temu, zwłaszcza na temat wyzwolenia chłopów. Tyle że te artykuły nie były podpisane. Nikt nie wiedział, kto jest ich autorem. Dlaczego więc za każdym razem, gdy nie przyznawał się do ich autorstwa, niewidzialny głos cytował słowo w słowo kilka linijek z rozprawy napisanej ponad dekadę temu?

W miarę jak ten proces powoli się rozwijał, a łagodny głos, bez rzucania oskarżeń, udowadniał mu krok po kroku, że zna prawdę, Aleksander, ku swojemu zaskoczeniu, zaczął się czuć winny.

Siódmego dnia wydawało mu się, że śledczy wie o nim wszystko. Czternastego dnia jego zdeorientowany umysł nabrał przekonania, że śledczy wie o nim więcej niż on sam. Dwudziestego dnia Aleksander był pewien, że śledczy jest wszystkowiedzącym bogiem. Po co więc coś ukrywać przed tym łagodnym głosem, który jedynie pomaga mu otworzyć serce, a potem pozwoli zasnąć?

Dwudziestego pierwszego dnia zaczął mówić.

Był wilgotny październikowy dzień. Aleksander Bobrow, na tylnym siedzeniu małego wozu, z kajdanami na rękach i nogach, opuszczał twierdzę Pietropawłowską. Z przodu siedział woźnica i żołnierz z muszkietem. Eskortowało wóz dwóch jeźdźców.

Niebo było szare. Wody Newy wezbrały, ponad budynkiem Admiralicji powiewały chorągiewki ostrzegające przed powodzią. O tej porze roku wody Zatoki Fińskiej często wdzierały się aż za Wyspę Wasilewską, zalewając piwnice, a nawet ulice Piotrowego miasta.

Dziwne, lecz Aleksander był pogodzony ze światem. Mimo że skuty kajdanami, siedział spokojnie, niemal radośnie patrząc na mijane miasto. Ubranie miał w strzępach, głowę gołą, ale najwyraźniej mu to nie przeszkadzało. W oddali, po drugiej stronie rzeki, zauważył pomnik Miedzianego Jeźdźca. I Pałac Zimowy z Ermitażem. Gdzieś tam była cesarzowa i jej kochanek Zubow. Niech im się szczęści.

Dziwne, stracił wszystko, ale od wielu lat nie czuł się tak dobrze jak teraz. W więziennym wozie, z gołą głową wystawioną na wiatr i deszcz, za to uwolniony od wszelkich ziemskich trosk. Może była to cecha typowa dla Rosjan, może Aleksander się nią wyróżniał, ale uświadomił sobie, że tak naprawdę jest sobą jedynie w sytuacjach skrajnych. Tak jakby nigdy nie było mu dobrze, gdy sięgał po coś zwyczajnego, przeciętnego, jak to się zdarzało w ciągu ostatnich kilku lat. Albo pałac, albo mnisia cela, pomyślał.

Mimo wszystko miał szczęście. Skazano go tylko na dziesięć lat.

Dowiedział się o tym poprzedniego dnia. Wcześniej przesiedział kilka tygodni w malutkiej celi z oknem. Nikomu nie wolno było go odwiedzać, nie dostawał żadnych wieści ze świata. Nie wiedział nawet, o co go oskarżono. A dziś rano przyszedł śledczy i ogłosił mu wyrok.

– Twój proces przebiegł pomyślnie – oświadczył beznamiętnie. Jak wszystkie takie procesy była to krótka formalność, bez obecności oskarżonego. – Cesarzowa chciała ci dać piętnaście lat. Tyle dostał ten twój przyjaciel profesor. Ale twoja żona napisała do cesarzowej. Całkiem ładny to był list, muszę przyznać, więc byliśmy pobłażliwi. I twoje szczęście na tym się nie kończy. Żona ci o wszystkim opowie.

Tatiana pojawiła się po kilku godzinach. Dopiero wtedy się dowiedział, że hrabina wciąż żyje.

– Rozpowiedziała po całym Petersburgu, że chciałaś ją zamordować – opowiadała Tatiana. – Jeszcze tej samej nocy poszła na policję i kazała cię aresztować. A potem – zawiesiła głos – okazało się, że są też inne zarzuty. – Spojrzała na niego z niepokojem.

– Podobno byłeś masonem. Nic z tego nie rozumiem.

Aleksander westchnął. On zaczął rozumieć wszystko.

Nikt się nie spodziewał, że latem 1792 roku Katarzyna Wielka przystąpi do ostatecznej rozprawy z wolnomularzami. Powodem jej decyzji był prawdopodobnie Nowikow, który podczas przesłuchań niechcący zdradził fakt istnienia wewnętrznego zakonu różokrzyżowców. Jednak źródła historyczne wskazują, że nawet potem władze miały dość skąpą wiedzę o działaniu zakonu. Ponieważ różokrzyżowcy palili korespondencję, nie ustalono pełnej listy członków. Nie udowodniono przynależności wielkiego księcia Pawła, nie odnaleziono międzynarodowych powiązań organizacji. Jednak cesarzowa była niewzruszona. Zakon działał potajemnie, a jego członkowie byli zapewne radykałami. I mogli

spiskować z jej synem. A Katarzyna nie ufała nikomu. Masonów należało wyeliminować.

Trzeba przyznać, że wszystko zaplanowano bardzo sprytnie. Osoby o najwyższych koneksjach, między innymi księcia, zesłano po cichu do ich majątków. Księgarza, który sprzedawał masonskie rozprawy, aresztowano, a potem wypuszczono, udzieliwszy mu przerażającego ostrzeżenia. Odstraszającym przykładem miał być profesor.

– Chciałabym jednak – oświadczyła cesarzowa – żebyśmy mieli taki przykład nie tylko dla Moskwy, ale i dla Petersburga.

I oto niezwykłym zbiegiem okoliczności tuż przed zadaniem masonom ostatecznego ciosu inkwizytor Szeszkowski przyniósł Katarzynie zaskakującą wiadomość.

– Chyba udało nam się trafić na odpowiedniego człowieka. A do tego wygląda on na groźnego radykała.

Gdy cesarzowa dowiedziała się, o kogo chodzi, była uszczęśliwiona.

Jednak Aleksander nadal nie rozumiał, skąd śledczy tyle o nim wiedzieli. Tatiana miała i na to odpowiedź.

– Madame de Ronville opowiedziała mi o wszystkim. Przyszła do mnie zaraz po twoim aresztowaniu. Zdaje się, że hrabina miała jakiś list od tego masona, profesora Nowikowa. Nie wiedziała, co on oznacza, ale pokazała go władzom. Chwytała się wszystkiego, żeby postawić cię przed sądem.

Wcale go to nie zdziwiło.

– Potem odwiedził ją niejaki Szeszkowski. Znasz go?

– Owszem, znam.

– Rozmawiał z nią przez całe popołudnie. Pokazała mu mnóstwo artykułów, które napisałeś wiele lat temu. Bardzo go to zainteresowało.

– Nie dziwię się.

Łatwo wyobraził sobie tę scenę: stara hrabina i zręczny śledczy. Bez trudu wydobyl z niej informacje, których potrzebował. Potem mógł się jedynie uśmiechać i sprawiać wrażenie, że wie wszystko.

Jednak po krótkim zastanowieniu Aleksandrowi przyszła do głowy nowa myśl, jeszcze bardziej przygnębiająca. Może to wcale nie śledczy podszedł głupią starą kobietę, może ona działała z premedytacją. Może pokazała mu artykuły – te same, które wcześniej

tak chwaliła i które oddawały jej własne, najżarliwsze przekonania – wiedząc, że przypieczętuje tym los Aleksandra.

– Tak – powiedział ze smutkiem. – Mogła się zemścić.

– Ale jest też jedna dobra wiadomość – wtrąciła Tatiana. – Nie zostaniesz uwięziony w fortecy tak jak profesor. Zgadnij, gdzie ma być twoje więzienie.

Nie miał pojęcia.

– W klasztorze. – Uśmiechnęła się. – W Rusce.

Mały wóz wyjeżdżał z miasta, podskakując na wybojach. A Aleksandrowi przyszło do głowy, że nareszcie cesarzowa Katarzyna znalazła mu odpowiednie miejsce.

*Rok 1796*

Lata mijały powoli i spokojnie.

Wystarczyło, że usłyszał dzwon zwołujący mnichów na modlitwy, a wiedział, która jest godzina. Jednak czasem wydawało mu się, że mały klasztor jest w połowie wyludniony. Miał nawet taką wizję, że pewnego dnia obudzi go cisza, która będzie oznaczać, że wszyscy mnisi już wyjechali, zostawiając go w celi tylko z dziwnym towarzyszem.

Cela była całkiem obszerna, miała białe ściany i wysokie zakratowane okno. Gdy lekko podskoczył, chwycił się krat, a potem podciągnął do góry, widział szczyt klasztornego muru przy jednej z narożnych wież. Tak, mógł zobaczyć z celi świat zewnętrzny, a przynajmniej niebo.

Pozwolono mu czytać książki, ale nie miał nic do pisania. Jeden z mnichów dał mu psalterz. Tatiana, która spędzała większość czasu w Rusce, mogła go odwiedzać raz w miesiącu i zazwyczaj przyprawiała ze sobą dzieci. Jeśli chciałbym być pustelnikiem, myślał, to byłbym prawie szczęśliwy.

Lata mijały spokojnie, można by wręcz powiedzieć, że beztrąsko, gdyby za dnia nie dręczyła go pewna myśl, a w nocy nie nawiedzał zagadkowy sen.

Dziwne uczucie – być tak blisko swoich włości, a jednocześnie tak daleko. Klasztor rzeczywiście zachował już tylko resztki dawnej świetności. Gdy Aleksander był tu jako mały chłopiec, do klasztoru należały ziemie ciągnące się aż do Gnojowiska. Ale odkąd Katarzyna przejęła wszystkie kościelne grunty, pracujący na nich chłopcy stali się własnością państwa. Klasztor nie był już lokalnym posiadaczem ziemskim, tylko prawie opuszczonym zbiorowiskiem kościelnych budynków, które stały pośrodku należących do państwa pól. W młodości Aleksander popierał te zmiany. „Kościół powinien się zajmować religią” – mawiał. Ale teraz nie miał już tej pewności, bo mimo że w swojej celi był odcięty od świata, wyczuwał zupełnie inną atmosferę. Część Starej Rosji odeszła z tej ziemi; klasztor został wydrążony i stał się pustą skorupą.

Aleksandrowi przemknęło też przez myśl, że klasztor nigdy w swojej historii nie służył jako więzienie. Ale dwadzieścia lat wcześniej Katarzyna uznała, że będzie się świetnie nadawał na miejsce odosobnienia dla więźniów czekających na proces. Teraz jednak więźniów było tylko dwóch: Aleksander i jego przedziwny towarzysz.

Znaleźli się w jednej celi przypadkiem, czy może raczej za sprawą złościwości

Katarzyny? Pewnie to drugie.

Mężczyzna był wysoki i chudy, nieco starszy od Aleksandra, miał długą, potarganą brodę i głęboko osadzone ciemne oczy, w których tlił się gorączkowy żar. I pierwszego dnia oznajmił Aleksandrowi – mimo braku jakiegokolwiek podobieństwa – że jest mężem Katarzyny, zmarłym carem Piotrem.

Był całkowicie nieszkodliwy. Zapewne któregoś dnia cesarzowa uznała, że jego osoba jest kłopotliwa, i kazała go zamknąć. Może zapomniano o jego istnieniu. Kim był? Aleksander przypuszczał, że chłopem z jakiegoś państwowego majątku na północy. Nie umiał czytać ani pisać i głównie siedział nieruchomo, patrząc w ścianę. Od czasu do czasu mówił coś żarliwie o Świętej Rosji, a cesarzową nazywał ateistką i nierządnicą. W takich chwilach Aleksander kiwał spokojnie głową, powtarzając: „Tak, wasza wysokość”. Na swój użytek nazywał go Fałszywym Piotrem, tak samo jak tylu innych pretendentów do tronu z dawnych czasów.

Myśli, które w ciągu dnia burzyły mu spokój umysłu, nabierały kształtów przez wiele miesięcy. Początkowo nie był ich nawet świadomy.

Gdy przychodziła Tatiana, Aleksandra zabierano do innej celi, gdzie mogli spokojnie porozmawiać. Cieszył się na te spotkania. Tatiana była taka opanowana i okazywała mu tyle czułości. Przyprawiała dzieci i dzieliła się z nim wieściami ze świata. Od niej dowiedział się o przerażających wydarzeniach we Francji: że jakobini ścięli króla i jego nieszczęsną żonę Marię Antoninę. I że stosunki między Katarzyną a jej synem Pawłem były gorsze niż zwykle, i że cesarzowa będzie próbowała go pominąć i przekazać władzę wnukom. Dowiedział się też, że Polska została w końcu zajęta przez sąsiednie mocarstwa i większa część jej terytorium stała się praktycznie rosyjską prowincją.

– Nie da się zaprzeczyć – mówiła Tatiana – że cesarzowa Katarzyna odniosła wielkie sukcesy.

I przy każdej wizycie Aleksander pytał z lekkim uśmiechem:

– A jakie masz wieści z wielkiego miasta?

To był ich żart, bo pytanie nie odnosiło się do Petersburga czy Moskwy ani nawet do stolicy księstwa, Włodzimierza, tylko do Ruski.

Bo dawna wieś była dziś oficjalnie miastem. Owszem, liczyło ono niewiele ponad tysiąc mieszkańców, prowadząca do niego piaszczysta droga miała tak głębokie koleiny, że właściwie nie dało się nią jeździć, a rzeka wciąż zapewniała najlepszy sposób transportu, przynajmniej dopóki nie spadły śniegi. Jednak gdy Katarzyna reformowała przed piętnastu laty lokalną administrację, uznała, że prowincji należy nadać miejską godność, przynajmniej na papierze. W całym rosyjskim imperium były teraz dziesiątki, a nawet setki takich miast – pogrążonych w kryzysie wiosek, dzierżących swoje pompatyczne tytuły w oczekiwaniu na nadejście nowych czasów. Aleksandra wręcz bawił kontrast pomiędzy rzeczywistością oficjalną a faktyczną.

– Czy w wielkim mieście naprawiono już bramę? – pytał na przykład.

I bardzo podziwiał Tatianę. Podziwiał ją coraz bardziej z każdym mijającym miesiącem. Jego ojciec zbudował kiedyś skromny drewniany dom na wzgórzu powyżej Gnojowiska i nigdy w nim nie zamieszkał. Ale Tatiana odnowiła i oczyściła dom; sama

doglądała majątku i dbała o dzieci.

– Nie nudzisz się na takiej wsi? – pytał. – Może powinnaś jechać do Moskwy albo do Petersburga?

– Wcale się nie nudzę – odpowiadała. – Okazuje się, że wieś bardzo mi odpowiada. A potem dowiadywał się kolejnych rzeczy.

„Sprzedałam dom w Petersburgu” – powiedziała na samym początku ich pobytu w Rusce.

„Mam nadzieję, Alosza, że nie będziesz zły, ale zwolniłam zarządcę” – oświadczyła dwa miesiące później.

A po dobrych zbiorach w drugim roku oznajmiła: „Dobudowuję dwa małe skrzydła do starego domu. Mam nadzieję, że ci się spodobają”.

Kiedy pewnego dnia zapowiedział, że gdy tylko odzyska wolność, postara się spłacić choć część ich długów, Tatiana uśmiechnęła się, pocałowała go i szepnęła:

– Mój kochany, nie mamy już żadnych długów.

– Jak to? Ktoś nam dał pieniądze?

– Nikt nam nic nie dał, Alosza. Majątki przynoszą całkiem przyzwoite zyski. Poza tym – uśmiechnęła się cierpko – na wsi nie musimy dużo wydawać.

Nie odezwał się wtedy, ale gdy Tatiana wyszła, westchnął, mrużąc do siebie:

– Chyba pójscie do więzienia było najlepszą rzeczą, jaką mogłem zrobić dla swojej rodziny.

Nie była to przyjemna myśl, zwłaszcza że zaraz potem pojawiła się następna: Jaki będzie ze mnie pożytek, gdy wyjdę na wolność? Teraz rządzi młoda Niemka.

Te rozważania dręczyły go za dnia, mimo że kochał i podziwiał żonę.

A sen, który przychodził do niego w nocy, był tak absurdalny, że aż budził śmiech. Nawiedzał go niezbyt często, co kilka tygodni, a czasem nawet miesięcy. Śniła mu się hrabina. Wyglądała tak samo jak owej nocy sprzed wielu lat. Błada, natarczywa zjawa kiwała na niego palcem i ze zniecierpliwieniem, przerażającym i niezrozumiałym jednocześnie, syczała: „Wolter. Wolter”.

Dlaczego ten idiotyczny sen tak go wyprowadzał z równowagi? Trudno powiedzieć. Aleksander budził się po nim z trudnym do wytrzymania poczuciem pustki i osamotnienia, budził się z krzykiem, który przetaczał się echem po całym klasztorze, i w bladym świetle świtu znajdował ukojenie nawet w pełnych gniewu oczach Fałszywego Piotra.

Pewnej nocy, po trzech latach jego pobytu w celi, zjawa pojawiła się jak zwykle, ale tym razem nic nie mówiła, jedynie przyglądała mu się z satysfakcją. A potem, jakby przywołując znany tylko im dowcip z zaświatów, mrugnęła do niego lubieżnie. Sen nigdy już się nie powtórzył.

Pewnego dnia przed Bożym Narodzeniem w 1795 roku Aleksander usłyszał sanie wjeżdżające na klasztorny dziedziniec. Potem zapadła długa cisza. Dlatego zdziwił się, gdy kazano mu pójść do celi, w której zazwyczaj odwiedzała go Tatiana. Po kilku minutach oczekiwania wprowadzono gościa w futrze i kapeluszu.

Była to Adélaïde de Ronville.

Przyjechała do Włodzimierza.

– No i pomyślałam sobie, że stamtąd saniami nie jest daleko od Ruski – powiedziała z lekkim wzruszeniem ramion.

Aleksander uśmiechnął się. Rozczuliło go, że podjęła taką daleką podróż.

– Jak cię tu wpuścili? Przekupiłaś mnichów?

Skinęła głową.

– Gdzie będziesz nocować? Musisz pojechać do naszego majątku. Nie możesz wracać wieczorem do Włodzimierza.

– Muszę. Czekają tam na mnie.

Nie oponował.

– Daj mi na siebie popatrzeć – poprosił i pomógł jej zdjąć futro.

Adélaïde miała sześćdziesiąt lat. Zmarszczki na jej twarzy pogłębiły się, tworząc subtelny siateczkę. Lecz Aleksandrowi wydawało się, że te delikatne linie jedynie podkreślają i uwydatniają to, co wcześniej w niej widział. Adélaïde skrzywiła usta z leciutką ironią.

– Starzeję się. Nie ma już na co patrzeć.

– Wręcz przeciwnie.

Rozmawiali przez jakiś czas. Zapytał o hrabinę.

– Jest bardzo słaba, ale nic się nie zmieniła.

Wybaczyła mu?

– W żadnym razie.

Zapytał Adélaïde o jej życie. Ma jakiegoś kochanka?

– Może tak. A może nie. To przecież nieważne.

Rozmawiali cicho, jak za dawnych dni, aż w końcu pojawił się mnich, dając znak, że Adélaïde musi już wyjść. I gdy Aleksander podawał jej futro, leciutko dotknął jej ramienia.

Po jej wyjściu drżał jeszcze przez wiele godzin. Zrozumiał wtedy, z pewnością większą niż przez te wszystkie minione lata, że już na zawsze pozostanie więźniem jedynej chyba namiętności swojego życia.

Ostatniego dnia 1796 roku, półtora miesiąca po śmierci Katarzyny Wielkiej, cesarzowej Rosji, Aleksander Bobrow wyszedł z więzienia, odsiedziawszy cztery lata ze swojego wyroku. Jednym z pierwszych aktów prawnych nowego cara Pawła była amnestia dla niemal wszystkich wrogów jego matki, której tak nienawidził. Aleksander przeniósł się do swojego majątku.

A trzy miesiące później zmarła hrabina Turowa. Wielu ludzi uznało wtedy, że naprawdę skończyła się pewna epoka.

Hrabina zostawiła większą część majątku dalekiemu krewnemu Aleksandra. A jedna czwarta przypadła Adélaïde de Ronville, która niedługo potem wyszła za mąż.



## Pojedynek

*Rok 1802*

Wysoko na błękitnym wrześnieowym niebie wisiało blade słońce; nad bezkresną równiną przesuwały się z rzadka drobne obłoki. W swojej wędrówce przyjmowały różne kształty. Jeden przypominał rybę z otwartym pyskiem w lazurowej toni, inny wyglądał jak jeździec na koniu, a jeszcze inny jak przelatująca Baba-Jaga.

W leniwej procesji ze wschodu miały nadgraniczny Niżny Nowogród, tam gdzie majestatyczna Wołga spotyka się z ospałą Oką, i zdążyły dalej w głąb lądu, do brzuchatej pętli w literze R wyznaczanej przez rosyjskie rzeki. Płynęły na zachód, ku Moskwie i prastarym rosyjskim miastom: Riazaniowi, Suzdałowi, Muromowi i dostojnemu Włodzimierzowi. A niektóre sunęły nad wąską, lśniąca wstążką rzeki, która przez lasy docierała do miasteczka pod nazwą Ruska i do leżącej niedaleko wioski.

Jakże niepozornie wyglądały one z góry! Skromne, drewniane domy i miasteczko przycupnięte na wysokim brzegu, patrzące przez rzekę na klasztor okolony białym murem. Wszystko tu niemal zastygło w bezruchu. Czy dźwięk klasztornych dzwonów unoszący się ponad drzewami docierał do obłoków? Na pewno nie. Na cichym niebie słyhać było jedynie szum wiatru. Bo czymże jest dla obłoków ludzkie życie, ludzkie miłości i koleje losu? Obłoki wyłaniały się z niezmiernego wschodu, gdzie naturalny porządek rzeczy jest taki jak niebo: niepoznawalny, poza ludzkim zrozumieniem.

Czy dałoby się znaleźć bardziej błahy temat do rozmowy niż ten, nad którym rozwodzili się właśnie dwaj chłopcy? Rozmawiali o jedwabnych wstążkach.

Stali nad brzegiem rzeki. Za nim leżała niewielka wioska, której właścicielem był Aleksander Bobrow. Wieś zmieniła się ostatnio na lepsze. Rzekę przecinała kładka dla pieszych, w szczególnie błotnistych miejscach ułożono chodniki z desek. Drewniane chaty, w większości wyniesione ponad poziom gruntu, były w dobrym stanie. A kilka miało nawet górne piętro i bogato rzeźbione okiennice, co mimo zachowania tradycyjnego układu chłopskiej chałupy dowodziło zamożności obecnych mieszkańców.

Mężczyźni byli krewnymi, choć rozdzielonymi przez kolejne pokolenia. Jak piętnaście innych rodzin w wiosce wywodzili swoje pochodzenie od Mariuszki, jedynej, która jako dziecko przeżyła straszliwy pożar cerkwi za czasów panowania Piotra i która po wielu latach wróciła do rodzinnej wsi. Obaj dostali na chrzcie imię Iwan.

Ale na tym podobieństwa między nimi się kończyły. Iwan Suworin był olbrzymem. Można by powiedzieć, że powieliły się w nim w czystej postaci geny ojca Mariuszki zwanego kiedyś Bykiem. Był o głowę wyższy od wszystkich mężczyzn w wiosce. Miał tak silne ręce, że – jak ludzie mówili – potrafił unieść konia. Zrąbanie drzewa zajmowało mu o połowę mniej czasu niż innym. I nawet gęsta czarna broda nie mogła ukryć jego grubych rysów ani wielkiego, bezkształtnego nosa.

Z kolei jego kuzyn, człowiek średniego wzrostu i niemal kwadratowej postury, miał bujne ciemne włosy i łagodne niebieskie oczy. I potrafił pięknie śpiewać. Odznaczał się dobrym charakterem, choć dopadało go czasem przygnębienie, które prowadziło do

gwałtownych ataków gniewu albo chorobliwego płaczu. Jednak te dziwne nastroje mijały tak szybko, jak się pojawiały, nie czyniąc nikomu żadnej szkody.

Nazywał się Iwan Romanow.

Sprawiało mu przyjemność, że takie samo nazwisko nosiła rodzina panująca, choć nie było ono szczególnie rzadkie. W XVI wieku, gdy przyjęła je nowa dynastia carów, należało do pięćdziesięciu najpopularniejszych w Rosji i znaczyło po prostu „syn Romana”. Mimo to Iwan Romanow bardzo się nim chlubił.

Obaj ci chłopcy należeli do Aleksandra Bobrowa. Ale i tutaj więcej podobieństw trudno się było dopatrzeć. Bo Romanow, żeby dorobić trochę grosza i spłacić należny panu obrok, uprawiał ziemię i rzeźbił w drewnie, a Suworin był bardziej przedsiębiorczy. Zaczął od pojedynczego krosna w rodzinnej chałupie – tkął płótno i sprzedawał je na małym targu w Rusce. Jednak ostatnio zauważył, że wyższą cenę uzyska we Włodzimierzu oddalonym o dzień drogi.

Teraz zamierzał wyrabiać jedwabne wstążki. I padło pytanie, czy kuzyn Romanow zechce przystąpić do tego interesu.

Obok nich stał dziesięcioletni chłopiec, syn Suworina. Miał na imię Sawa i był niemal idealną kopią ojca. A Romanow, patrząc na nich, nawet teraz czuł jakiś dziwny niepokój. Co takiego kryło się w przenikliwym spojrzeniu tych dwóch par czarnych oczu? Najchętniej powiedziałby, że przebiegłość, ale Suworin był kryształowo uczciwy. Może po prostu byli wyrachowani. Nie, jeszcze coś. Była w nich jakaś duma i surowość, jakaś nieugiętość, która zdawała się mówić: „Jesteśmy wielcy ciałem i duchem”. I za każdym razem, gdy ich widział, przypominał sobie powiedzenie matki: „Najwyższa trawa pierwsza pada pod ostrzem kosy”.

– Na jedwabnych wstążkach można świetnie zarobić. Jeśli się do nas przyłączysz, wszyscy na tym dobrze wyjdziemy – przekonywał Suworin.

Romanow wciąż się wahał. Miał pieniądze. Spojrzał na nich z zastanowieniem. I wtedy coś go uderzyło.

Mały Sawa. Miał dziesięć lat. A mimo to Romanow nigdy nie widział, by chłopiec się uśmiechał.

– Nie – powiedział. – Zostanę przy swoim rzeźbieniu w drewnie.

– Jak sobie chcesz – odparł Suworin.

Rozstali się. Nie, nie w gniewie, ale z obustronnym przeświadczeniem, że po odmowie taka propozycja już się nie powtórzy.

Wtedy Romanow nie przywiązywał do tego wagi.

Tego samego dnia Aleksander Bobrow jeszcze raz został ojcem. Prawie.

Trzymał dziecko na rękach i mu się przyglądał, doświadczając sprzecznych uczuć. W noworodku jest coś cudownego, wręcz świętego. Spojrzał na Tatianę, która przez wiele lat tyle dla niego wycierpiała, i uśmiechnął się czule.

– To chłopiec – powiedział.

Niestety, chłopiec nie był jego.

Aleksander przeżył wstrząs, gdy się okazało, że pod koniec 1801 roku Tatiana go zdradziła. I dziwnym zbiegiem okoliczności wydarzyło się to akurat wtedy, gdy nabrał nowych nadziei na przyszłość.

Ostatnie pięć lat było przygnębiające. Wprawdzie car Paweł uwolnił go z więzienia, ale nie potrzebował już usług byłego radcy stanu, więc Aleksander został w majątku sprawnie zarządzanym przez żonę. Nic dziwnego, że czuł się bezużyteczny. W pewnym sensie miał szczęście, że nie wrócił do Petersburga, bo dziwny charakter cara zamienił się najpierw w chorobę, a potem w szaleństwo. Gdy grupa patriotycznie nastawionych oficerów zabiła Pawła i osadziła na tronie jego syna, cała Rosja odetchnęła z ulgą.

Także Bobrow miał się z czego cieszyć. Rządy objął car Aleksander, wykształcony przez Katarzynę samowładca całej Rosji, ale mimo wszystko dziecko oświecenia. Młody, o miłej powierzchowności, uroczy – całkowite przeciwieństwo ponurego ojca o ciasnym umyśle. Niektórzy wręcz nazywali go Aniołem. Bobrowowie postanowili wtedy spędzić zimę w Moskwie. W listopadzie pod wpływem nagłego impulsu Aleksander zostawił żonę i dzieci w mieście i sam wyruszył do Petersburga. Może znajdzie się jakieś stanowisko dla człowieka z jego umiejętnościami. Przez dwa miesiące krążył po stolicy, usłyszał kilka obietnic, które dały mu nadzieję, ale nic ponadto. Wrócił w styczniu.

A Tatiana, gdy była sama, poznała młodego kapitana huzarów, który przed wyruszeniem ze swoim regimentem na Ukrainę zniewolił ją swoim urokiem. Był dowcipny, zabawny i zaliczył już co najmniej dwadzieścia podobnych romansów. Miał dwadzieścia pięć lat, a Tatiana trzydzieści jeden.

Trzeba przyznać, że kapitan był dyskretny. A Aleksander mógłby się nawet o niczym nie dowiedzieć, gdyby nie niezbite dowody, które pojawiły się wiosną w wyglądzie Tatiany. Co miał robić? Najpierw pomyślał o pojedynku, ale niedługo potem się dowiedział, że młodzieniec zginął na granicy w jakiejś potyczce. Przez tydzień miał zamiar oddać bękartą jakiejś chłopskiej rodzinie – to by było nauczka dla Tatiany! Wiedział jednak, że tego nie zrobi. Bo każdy mąż, powtarzał sobie w myślach, który zostawia żonę samą w Moskwie na dwa miesiące, jest głupcem. Poza tym nie zniósłby takiego skandalu. Sprawa romansu została zamknięta. Wychowa dziecko jak swoje.

Zdażył już poprawić sobie samopoczucie, zadając się z młodą chłopką, która pracowała w domu. Do Tatiany odnosił się chłodno, ale uprzejmie. Uznał, że dziecko przyszło na świat za sprawą przypadku i dalsze roztrząsanie tej kwestii jest poniżej jego godności.

Pozostało jeszcze nadać chłopcu imię. Zgodnie z tradycją pierworodny syn otrzymywał imię po dziadku, a kolejni dostawali imię świętego, którego dzień wypadał w ich urodziny lub jak najbliżej z nimi sąsiedował.

– Masz szczęście – oświadczył ksiądz, który wkrótce pojawił się w domu.  
– Chłopiec urodził się w dzień świętego Sergiusza.

Siergiej.

A razem z patronimikiem – Siergiej Aleksandrowicz, ponieważ oficjalnie to on był ojcem. Nieźle.

– Siergiej. – Tatiana się uśmiechnęła. A potem spojrzała na dziecko i odezwała się czule: – Chodź do mamy, Sierioża.

– Oczywiście on nie dostanie po mnie żadnego spadku – oświadczył spokojnie Aleksander. – Po mojej śmierci otrzymasz należną ci wdowią część. I sama będziesz

musiała o niego zadbać. Ja jedynie zapewnię mu odpowiednie wykształcenie.

Tatiana schyliła głowę. Więcej na ten temat nie rozmawiali.

I tak oto na świecie pojawił się Siergiej Aleksandrowicz Bobrow.

Sześć miesięcy później Aleksander podjął małżeńskie współzycie z żoną. W 1803 roku urodziła się im córka. Dali jej na imię Olga.

*Marzec 1812 roku*

Nastaly burzliwe czasy, dni wojny i pokoju. Kto umiałby przewidzieć, że z ognia rewolucji francuskiej – ognia wolności, równości i braterstwa – wyłoni się zdumiewający zdobywca, przed którym będzie drżał świat? Napoleon – dla jednych bohater, dla innych potwór. Czy tak jak Juliusz Cezar, a nawet Czyngis-chan, zamierzał rządzić światem? To możliwe. I chociaż oświecony car Aleksander – wciąż nazywany Aniołem – robił wiele, żeby uchronić Rosję przed potwornościami europejskich wojen, wczesną wiosną 1812 roku wiadomo było, że Napoleon i jego Wielka Armia zamierzają wyruszyć na wschód.

Rosja zadrżała. Cerkiew prawosławna ogłosiła, że Napoleon jest Antychrystem. Car wezwał szlachtę do broni. I chociaż część szlachty uważała, że zapowiadana złota epoka Aleksandra nie spełniła ich oczekiwań, że reform było za mało i dotyczyły spraw błahych, to w obliczu zagrożenia wszystko poszło w niepamięć i cała Rosja zjednoczyła się wokół Anioła.

Był zimny, pochmurny dzień. Śnieg wciąż leżał na ziemi. Rodzina Bobrowów siedziała w salonie wiejskiego domu, czekając na wieści.

Dom był w zasadzie zwyczajny: drewniany, jednopiętrowy, długi na dwadzieścia pięć metrów, z zielonymi ścianami i framugami okien pomalowanymi na biało. Pośrodku znajdował się prosty, obszerny ganek z czterema filarami, też biały i też drewniany. Z obu stron Tatiana kazała dobudować dwa parterowe skrzydła mieszczące po dwa pokoje. Dom stał niemal na szczycie wzniesienia, wioskę zasłaniały stąd drzewa, ale za to roztaczał się piękny widok na rzekę. Z tyłu, nieco na lewo, widać było drewnianą chałupkę wkopaną do połowy w ziemię. Była to lodownia, w której przez całe lato przechowywano lód wyrąbany zimą z rzeki. Po prawej stronie domu stała łaźnia – jeszcze jeden przysadzisty budynek z wielkich niemalowanych bali. Cała zabudowa tworzyła harmonijną całość, jakby trwała tu od wieków. Ale wcześniej nie było tu nic, dom powstał dopiero za życia ojca Aleksandra, a teraz stał się symbolem głębokich zmian w życiu rodziny i całej wioski.

Pojęcie wiejskiej rezydencji pojawiło się w Rosji stosunkowo późno. Rycerskie dwory i magnackie zamki – tak powszechne w Anglii czy Francji, a dalej na wschód spotykane w Polsce – w Wielkim Księstwie Moskiewskim pozostawały całkowicie nieznane. Renesansowe wille i kojarzony z nimi ideał przyjemnego spędzania czasu wolnego były tam wręcz nie do wyobrażenia. Gdy Bobrowowie przyjeżdżali do swoich włości, zawsze zatrzymywali się w otoczonej murami Rusce. Oczywiście zdarzali się szlachcice tak biedni, że mieszkali na wsi, często w takim samym domu jak chłopci, niemniej dopiero po śmierci Piotra Wielkiego właściciele ziemscy zaczęli przejmować styl życia angielskiego ziemiaństwa.

Ale ich wiejskie domy zawsze były skromne. Wprawdzie pałace rosyjskich władców i ich faworytów mogły konkurować z pałacami we Francji czy w Niemczech, jednak w oczach angielskiego szlachcica siedziby takich ludzi jak Bobrow uchodziłyby za tymczasową prowizorkę. Rzeczywiście wielkością i konstrukcją bardziej przypominały domy właścicieli ziemskich w nowo wyzwolonych amerykańskich koloniach.

Jedna rzecz spędzała Bobrowom sen z powiek – nazwa ich wioski: Gnojowisko. Dopóki mieszkali w Rusce, nie miało to znaczenia, ale gdy się przenieśli do majątku, nazwa wydała się Aleksandrowi bezsensowna i obraźliwa. Rozważał kilka nowych, aż w końcu uznał, że najlepsza będzie wywodząca się od ich nazwiska: Bobrowo. I tak oto wieś i majątek oficjalnie zyskały nową nazwę, choć najstarsi chłopci wciąż mówili „Gnojowisko”.

W domu panowała atmosfera wyczekiwania. Wokół Moskwy pospiesznie zbierały się nowe regimenty. Poprzedniego dnia Bobrow otrzymał list, w którym gubernator wojskowy Włodzimierza prosił go o dostarczenie kolejnych rekrutów. Rano chłopci ciągnęli losy i niedługo się okaże, kto trafi do armii.

Jego drugi syn Aleksy, choć miał dopiero dziewiętnaście lat, z dumą służył jako oficer piechoty. Gdy tylko ktoś zbliżał się do domu, Tatiana biegła do drzwi z nadzieją, że to list od Aleksego. Wszystkich ogarnęło patriotyczne podniecenie.

Ale wśród tych przygotowań Aleksander Bobrow widział problem, który budził jego złe przeczucia.

– To nie wojsk Napoleona boję się najbardziej – zwierzał się Tatianie. – Boję się ludu. – Czyli chłopów.

Bo w opowieściach o wielkiej inwazji Napoleona na Rosję często się zapomina, że w ciągu miesięcy, które ją poprzedzały, wielu rosyjskich właścicieli ziemskich bardziej obawiało się wewnętrznej rewolucji. I miało ku temu powody. Oto bowiem cesarz Francuzów, głoszący w całej Europie, że w imię rewolucji wyzwoli narody spod panowania ciemnych, dla wielu stał się bohaterem. W rezultacie Francuzi stanowili zaledwie połowę jego legendarnej Wielkiej Armii, mającej wkroczyć do Rosji w 1812 roku. A spośród cudzoziemskich kontyngentów najbardziej rwali się do walki żołnierze z sąsiednich polskich terytoriów – wcześniej przejętych w wyniku rozbiórów nieszczęsnej Polski przez Austrię i Prusy – które Napoleon rzeczywiście wyzwolił. Nic więc dziwnego, że rosyjscy możnowładcy się obawiali, że ich polscy poddani, a przy okazji wyzyskiwani chłopci, zbuntują się przy wsparciu armii wyzwolicieli.

– Napoleon zrobi to, czego nie udało się dokonać Pugaczowowi, i sprowadzi na nas prawdziwą rewolucję – ostrzegał Bobrow ponuro.

W tym świecie pełnym niebezpieczeństw salon Bobrowów jawił się jako oaza domowego spokoju. Stały tu dość sztywne angielskie meble, na ścianach wisiały dwa portrety przodków i kilka mrocznych pejzaży przywiezionych z Petersburga. A wszystko to sprawiało wrażenie uroczego bezładu.

Aleksander i Tatiana siedzieli w fotelach. On miał na sobie stary angielski żakiet w niebieskim kolorze, fular i jedwabne pończochy; ona była ubrana w długą różową suknię z podniesioną talią, ramiona otulał jej jasny szal. W rękach trzymała haft. Miejsce

przy kominku zajmował ich najstarszy syn, dwudziestodwuletni Ilja. Po matce odziedziczył okrągłą twarz i jasne włosy. Czytał książkę. Zdaniem Aleksandra młodzieniec powinien być w armii jak jego brat. Ale Tatiana – pewnie dlatego, że omal nie umarł podczas porodu – nie pozwalała mu wyjeżdżać z domu, tłumacząc to jego delikatnym zdrowiem.

– On wcale nie wygląda na słabowitego – zrzędził Aleksander. – Po prostu jest gruby i leniwy.

Żałował, że pozwolił Tatianie tak go rozpieścić, bo chłopak był naprawdę inteligentny. No cóż, teraz już nic nie dało się z tym zrobić.

No i dziesięcioletni Siergiej. Aleksander nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, ale gdy tylko spoglądał na chłopca, twarz rozjaśniał mu uśmiech. Nic dziwnego, Siergiej był pogodnym, wesołym dzieckiem z ciemnymi włosami i roześmianymi brązowymi oczami. Teraz siedział przy oknie z Olgą, rysując jej dla zabawy jakieś obrazki. Praktycznie byli nierozłączni.

Dzieci doglądała czterdziestoparoletnia pulchna chłopka. Była ich nianią i miała na imię Arina. Jeszcze przed chwilą opowiadała im bajkę – jedną ze swoich niewyczerpanych zasobów. Aleksander też przysłuchiwał się jej z lekkim roztargnieniem, podziwiając jednocześnie bogactwo słowiańskiej ludowej tradycji.

Niania trzymała na kolanach roczną dziewczynkę, osieroconą siostrzenicę, której Bobrowowie pozwolili u siebie zamieszkać i która też miała na imię Arina.

Na środku pokoju stał stół, a na nim koszyk z pierożkami z ryżem i jajkiem, talerz z ciasteczkami cynamonowymi, półmisek jabłek, miseczka z syropem malinowym, który Tatiana dodawała sobie do herbaty, oraz plasterki cytryny. Na Aleksandra czekała butelka rumu. A na bocznym stoliku królował najważniejszy przedmiot: samowar.

Samowar był wspaniały. Aleksander kupił go w Moskwie i był z niego bardzo dumny. Miał sześćdziesiąt centymetrów wysokości i kształt greckiej urny. Podgrzewana węglem drzewnym woda zawsze w nim wrzała. Tatiana od czasu do czasu podchodziła do stołu, odkręcała kranik samowara i napełniała imbryk świeżym wrzątkiem.

Dzień był chłodny i śnieżny, a rodzina czekała na wieści z wielkiego świata.

Nagle mały Siergiej, spojrzawszy przez okno, zerwał się na równe nogi i zawołał:

– Papo, patrz! Goście!

Iwan i Sawa Suworinowie wyróżniali się wyglądem. Po pierwsze, dwudziestoletni Sawa dorównywał ojcu wzrostem, więc teraz wioska miała dwóch olbrzymów. Po drugie, w odróżnieniu od większości rosyjskich chłopów, którzy nosili buty z filcu albo z łyka, Suworinowie wzuwali porządne skórzane obuwie świadczące o zamożności. I po trzecie, obaj mieli na głowach wielkie kapelusze – ojciec w kształcie cebulastej kopuły, a syn wysoki, z szerokim rondem, podobny do nakrycia głowy angielskich purytanów. Gdy tak szli obok siebie, przypominali trochę kościół i dzwonicę.

Obaj przywdziali czarne płaszcze. Ojciec przywiązał sobie do paska sakiewkę. Nie robił tajemnicy z tego, że ma pieniądze. Ale też nie zdradził nikomu, że taką samą ilość monet zaszył pod podszewką płaszcza.

– Bóg wie, może będą nam potrzebne – stwierdził Iwan. – Z tymi chciwymi wilkami nigdy nic nie wiadomo.

Bo bogaty chłop szedł na rozmowę ze swoim panem Bobrowem. A pieniądze miały ocalić życie jego synowi.

– Nie smuć się, Sawa – dorzucił. – Wyciągnąłeś zły los, taka twoja dola, ale ja cię uratuję. To może trochę kosztować, lecz przecież lepszy chłop niż trup, nie?

Sawa milczał.

Bardzo rzadko się uśmiechał – nie widział powodu. Miał zaledwie dwadzieścia lat, ale coś w jego grubo ciosanej twarzy mówiło, że w tej kwestii, jak i w wielu innych, już dawno wyrobił sobie zdanie. Z czarnymi włosami, wielkim nosem i badawczym spojrzeniem budził szacunek tak jak jego ojciec. Usta miał zazwyczaj zaciśnięte w milczącym uporze, a jego stanowczy chód świadczył, że twardo zmierza do celu, bo nie dba o miejsce, które właśnie opuścił.

W milczeniu wspięli się na wzgórze.

Aleksander Bobrow aż nie mógł w to uwierzyć. Nareszcie los się do niego uśmiechnął. Patrząc na Suworinów stojących przed nim w gabinecie, z trudem ukrywał zadowolenie.

Bo to mogło oznaczać jedno: pieniądze. Pytanie tylko ile.

Bobrow nie był chciwy. Wprawdzie marzył kiedyś o bogactwie, ale zawsze potępiał zachłanność. Jednak upływ czasu, niepowodzenia życiowe i konieczność zapewnienia utrzymania dzieciom sprawiły, że od czasu do czasu bywał zachłanny.

– A więc, Suworinie, twój syn nie chce być żołnierzem? – zapytał łagodnie. A potem zwrócił się do Sawy. – Wiesz przecież, że dostałbyś wolność.

Od czasów Piotra Wielkiego, gdy do służby wojskowej musiał trafić określony odsetek wszystkich rosyjskich dusz, obowiązywało prawo, zgodnie z którym chłopci wcielani do armii – zazwyczaj w wyniku loterii, tak jak w Bobrowie – po wyjściu z wojska otrzymywali wolność. Ale co warte było takie prawo, jeżeli dwudziestopięcioletnia służba była najczęściej równoznaczna z wyrokiem śmierci? Niektórzy mężczyźni woleli się nawet okaleczyć, byle tylko uniknąć takiego losu. A teraz Sawa wyciągnął pechowy los. Aleksander Bobrow nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

Bo chociaż Suworinowie byli jego własnością, to mieli pieniądze. Od kilku lat wiodło im się znakomicie. Nie dość, że wytwarzali duże ilości jedwabnych wstążek, to jeszcze zawiadywali całą siecią innych chłopów, którzy za niewielki udział w zysku dostarczali ich wyroby do Włodzimierza. Na Suworina pracowało dziś kilkanaście krosien i ciągle ich przybywało.

Bobrow patrzył na to przychylnie. Tak czy inaczej, mówił sobie w duchu, Suworin wciąż jest moją własnością.

Bogaty chłop był opłacalny z prostego powodu. O ile chłopci z rizańskiego majątku wciąż spłacali swoje należności trzydniową pracą, barszcziną, o tyle wszyscy chłopci z Bobrowa przynosili obrok w gotówce, a jego wysokość ustalał właściciel zgodnie ze swoją wolą. W ciągu ostatnich trzech lat Aleksander dwa razy podniósł Suworinowi obrok. Suworin zrzędził, ale płacił.

– Kto wie, ile on jeszcze przede mną ukrywa – pomrukiwał Aleksander.

Teraz mógł się wreszcie przekonać.

Ta wizyta miała tylko jeden powód. Bobrow wiedział o tym doskonale i zamierzał

się rozkoszować każdą jej chwilą. Odchylił się na oparciu krzesła, przymknął oczy i spytał półgłosem:

– Co mógłbym dla was zrobić?

I tak jak się spodziewał, Suworin skłonił się nisko, a potem oznajmił:

– Aleksandrze Prokofiewiczu, przyszedłem kupić chłopą.

Bobrow się uśmiechnął. Owszem, miał dusze na sprzedaż.

Położenie rosyjskich chłopów pogarszało się przez kolejne stulecia, ale na początku XIX wieku było po prostu dramatyczne. Zarówno chłop pańszczyźniany należący do ziemianina, jak i chłop przywiązany do dóbr koronnych, przymierający głodem biedak i bogacz taki jak Suworin – wszyscy byli praktycznie niewolnikami. Chłop nie miał właściwie żadnych praw. Bobrow znał nawet właściciela ziemskiego, który domagał się prawa pierwszej nocy z każdą wychodzącą za mąż kobietą. Słyszał też o jakiejś starej damie, która wysłała dwóch chłopów na Syberię tylko dlatego, że nie ukłonili się, widząc jej powóz. Właściciel ziemski był pracodawcą, sędzią i katem. Wprawdzie nie wolno mu było skazać chłopą na śmierć, ale dało się to z łatwością obejść, poddając nieszczęśnika chłości, która okazywała się śmiertelna.

Przed wszystkim jednak chłopów można było obecnie kupować i sprzedawać, jakby byli przedmiotami. Ładna dziewczyna czy wykwalifikowany mężczyzna osiągnęli wysokie ceny. Głośny stał się przypadek pewnego magnata, który za swoją chłopską orkiestrę otrzymał prawdziwą fortunę.

Oczywiście było to niesprawiedliwe. I oburzające. Aleksander, gdy popisывał się swoim radykalizmem w petersburskich salonach, też tak mówił. I wszyscy wiedzieli, że nawet car uważa poddaństwo chłopów za rzecz odrażającą.

– Ale nawet car nie może tego zmienić. Przynajmniej na razie. Szlachta mu nie pozwoli – twierdził nie bez słuszności Aleksander. – A ja muszę dbać o byt swojej rodziny.

Przynajmniej w jego majątku w Bobrowie chłopci rzadko byli poddawani chłości i żaden z jej powodu nie umarł.

Najbardziej rozpowszechnioną okrutną praktyką było sprzedawanie chłopów jako rekrutów. I najczęściej nie kupowali ich wcale właściciele ziemscy, tylko inni chłopci.

Bo urzędnika poborowego ani trochę nie obchodziło pochodzenie nowego rekruta. Wystarczyło mu, że dostał odpowiednią ilość mięsa armatniego. Dlatego bogaty chłop, taki jak Suworin, mógł uchronić syna przed wojną. Szedł po prostu do pana i kupował na jego miejsce innego nieszczęśnika.

Pozostawało jeszcze pytanie za ile. Bobrow zastanawiał się niespiesznie, a Suworinowie czekali.

I akurat w tej chwili do pokoju weszła Tatiana z małym Siergiejem. Za długo zajmowała się majątkiem, by nie domyślić się od razu, z czym przyszli dwaj olbrzymi. Zawsze czuła do nich sympatię. Pewnie dlatego, że miała nadbałtyckie korzenie, doceniała ich poważne podejście do życia. Spojrzała pytająco na męża. A mały Siergiej uśmiechnął się do nich radośnie, tak jak uśmiechał się do wszystkich.

Ale dlaczego ich widok kazał Bobrowowi podwyższyć cenę? Bo przywołał wspomnienie upokorzenia, które przeżył przy narodzinach Siergieja? A może chodziło



o to, że jego kariera zakończyła się klęską, żona zaś z takim powodzeniem zarządzała majątkiem podczas jego pobytu w więzieniu. Tak czy inaczej zamiast pięciuset rubli, tak jak zamierzał na początku, zażądał znacznie więcej.

– Cena wynosi tysiąc rubli – oświadczył ze spokojem.

Suworinom aż odjęło mowę. A Bobrow trafił w dziesiątkę, widział to po ich twarzach. Suma była rzeczywiście szokująca. Nawet najbardziej chciwi właściciele ziemscy nie ośmielali się żądać więcej niż sześćset rubli. Zdarzali się jednak i tacy, którzy znając możliwości finansowe nabywców, jeszcze bardziej podnosili cenę.

– Ale oczywiście mogą też posłać Sawę do wojska – oświadczył chłodno. Miał taką władzę.

Suworinowie spojrzeli po sobie.

Przyniesli osiemset rubli. Dwieście musieliby wyciągnąć spod podłogi. To był cały ich majątek.

– Jutro przyniosę pieniądze, Aleksandrze Prokofiewiczu – powiedział ponuro Iwan.

– Świetnie. Poślę po jakiegoś chłopca do Riazania, żeby zastąpił Sawę.

Aleksander z trudem ukrył śmiech, lecz widział już blask swojego tryumfu. Nikt nie umiał lepiej zarządzać majątkiem niż jego niewierna żona, ale on jakiś czas temu odkrył jeszcze jedno źródło dochodów: wyciąganie pieniędzy od bogatych chłopów. I dziś był górą. Napawając się zwycięstwem, nawet nie spojrzął na młodego Sawę.

A Sawa przyglądał się Bobrowom. Tatiana mu nie przeszkadzała. Była uczciwa i konkretna. Jej trochę nieobecny wzrok powiedział mu, że nie ma z tym nic wspólnego. Ale pozostałych, ojca i synów, nienawidził i pogardał nimi. Podziwiałby ich – mimo że go wyzyskiwali – gdyby byli silni. Ale wiedział, że silni nie są. Spojrzął na Siergieja. Chłopiec różnił się trochę wyglądem od reszty rodziny. Przyglądał się Sawie z wyraźnym rozbawieniem w brązowych oczach: czyżby śmiał się z niego?

Młody chłop niewiele wiedział o przeszłości. Babka mu opowiadała, że w czasach Piotra Wielkiego, kiedy wieśniacy dokonali samospalenia w cerkwi, jej babka jako jedyna ocalała. A później wróciła do wioski. „Jesteśmy na tej ziemi tak długo jak Bobrowowie” – mawiała. To wszystko. Sawa nie miał pojęcia o dalekich przodkach oszukanych przez Bobrowa w dzień świętego Jerzego jeszcze w czasach Iwana Groźnego. Nic nie wiedział o Tatarze Piotrze i jego odciętej głowie. Wszystko to zginęło, zostało zapomniane, spoczęło w ziemi.

Sawa wiedział jedynie, że Bobrowowie są jego wrogami. A patrząc na nich teraz, podjął nieodwołalną decyzję. Uwolni się od Bobrowów. To może potrwać wiele lat, będzie wymagało od niego siły i sprytu, ale on był silny i wytrwały.

Chłop przeciwko panu – tak będzie wyglądał ten pojedynek. Być może na śmierć i życie.

*Październik 1812 roku*

Posępne, szaroniebieskie niebo; ciemne drzewa. Najpierw przeszli pierwsi uchodźcy, potem wojsko, po jednych i drugich zapadła całkowita cisza – taka sama jak

wtedy, gdy echo zamiera po wystrzale, a człowiek wsłuchuje się nadal i cisza wydaje się tym głębsza, że żaden dźwięk już nie nadchodzi.

Rosjanie walczyli dzielnie. Bronili ojczyzny. Chłopi dochowali wierności. To oczywiste, bo mieli przeciwko sobie nie tylko Francuzów, ale i odwiecznych wrogów Rosji jeszcze z czasów Aleksandra Newskiego i Iwana Groźnego, Prusaków i Polaków.

Najpierw przyszły wieści o wielkiej, ale nierozstrzygniętej bitwie pod Borodino. Niedługo potem Napoleon wkroczył do Moskwy. A potem wybuchł pożar.

Widać go było z odległości blisko pięćdziesięciu kilometrów – wieża z ognia i dymu przez trzy dni wystrzeliwała w niebo, głosząc wszem wobec, że Moskwa się spaliła, a francuski cesarz został pozbawiony cennej zdobyczy. Mimo to Napoleon nie opuszczał zgliszcz. Co będzie dalej?

W Rusce panowało poruszenie. Przez miasteczko przepływały kolejne oddziały, bo rosyjska armia miała podążać za nieprzyjacielem wzdłuż wielkiej pętli Oki. Kilka dni temu pojawił się cały regiment piechoty w zielonych kurtkach i białych spodniach. A po nim szwadron kawalerii.

Pewnego październikowego poranka Siergiej i Olga siedzieli przy kominku w pokoju dzieciennym. Towarzyszyła im niania Arina i jej malutka siostrzenica.

Codziennie przychodziły nowe wiadomości i nowe pogłoski. Napoleon wciąż tkwił w spalonej, wyludnionej Moskwie. Odważy się uderzyć na Petersburg, gdzie car budował umocnienia na drogach dojazdowych? Będzie próbował wycofać się do Smoleńska? Jeśli tak, to zrędlivy weteran, generał Kutuzow, oraz główne siły rosyjskie wyjdą mu na spotkanie. A może zechce przeczekać zimę w Moskwie?

Wszystko było takie ekscytujące. Siergiej z niecierpliwością wyczekiwał na Kutuzowa, albo chociaż na francuskie wojsko, i Aleksander powiedział do niego ze śmiechem:

– Nie uspokoisz się, dopóki Napoleon osobiście nie pojawi się w Rusce!

– Jeśli tu przyjdzie, będziemy walczyć, prawda? – dopytywał się rozemocjonowany chłopiec. Tak, będzie walczył ramię w ramię z ojcem, będzie do końca bronił matki i siostry.

Aleksander znów się roześmiał. Pogłaskał Siergieja po głowie.

– Będziemy walczyć, Sierioża – powiedział czule.

Jednak przez ostatnie dni nic się nie działo. Nie przechodziły żadne wojska. W Rusce panował zwykły spokój.

Siergiej był chłopcem pełnym pasji. Kochał rodzinę całym sercem. Jego matka w wieku czterdziestu dwóch lat stała się dojrzałą piękną o nieco germańskim typie urody. Była niepodobna do wszystkich znanych mu kobiet i z jakiegoś powodu – zbyt cudownego, nie do pojęcia – traktowała najmłodszego syna ze szczególną łagodnością, która napawała go ukrytą dumą. Surowy Aleksy, który wyjechał na wojnę, był wysoki i ciemnowłosy jak ich ojciec. Czasem Siergiej trochę się go bał, bo ten starszy brat bywał chłodny i niedostępny. Ale miał prawo tak się zachowywać. W końcu był oficerem. I bohaterem.

Natomiast Ilja mieszkał w domu. Niektórzy ludzie śmiali się z tego jasnowłosego młodzieńca, bo nic nie robił i był gruby. Ale Siergiej nigdy się z niego nie śmiał.

– On tyle czyta! – mówił z podziwem. – I wszystko wie.

No i ojciec. W oczach Siergieja Aleksander Bobrow był idealnym przykładem szlachcica. W mundurze wyglądał tak wspaniale jak Aleksy. Ale był wykształcony tak jak Ilja. Potrafił być surowy, jednak z tym swoim ledwo zauważalnym gestem dłoni sprawiał wrażenie dobrego i łagodnego. Siedział w więzieniu za swoje przekonania. I mógł się pochwalić cechą, która w oczach dziesięcioletka była najbardziej pociągająca: był człowiekiem obytym w świecie. Co za szczęście mieć takiego ojca!

Byli jego bohaterami. Oprócz nich miał też towarzyszkę zabaw, małą dziewczynkę z długimi, ciemnymi włosami i błyszczącymi oczami – Olgę. Nazywał ją małą Olgą, bo była o rok młodsza, i czuł się jej opiekunem. Ale czasem była jakby jego przedłużeniem. Jedno zawsze wiedziało, co myśli drugie.

Cóż za szczęście, cóż za błogosławieństwo mieć taką rodzinę!

Siergiej i Olga siedzieli obok Ariny. A ona jak zwykle opowiadała im bajkę. Kochana, okrągła twarz działała na nich kojąco. Arina zaczynała siwieć, latem straciła przedni ząb, a mimo to się nie zmieniała. „Jestem ładna jak nigdy” – mawiała żartobliwie. Ile miała lat? Dzieci często ją o to pytały albo same próbowały zgadnąć, ale ona mówiła jedynie: „Mam tyle lat co mój język, kochani, i jestem trochę starsza od swoich zębów”. Może sama tego nie wiedziała.

Właśnie miała zacząć nową bajkę, gdy nagle na dole powstał rumor, a zaraz potem rozległ się okrzyk matki:

– Aleksy!

Jakże on się wspaniale prezentował w swoim podbitym futrem płaszczu! W półmroku przedpokoju, z pośępnym wyrazem twarzy i poważnym spojrzeniem głęboko osadzonych niebieskich oczu, wyglądał jak wojownik z innej epoki, jak bogaty z czasów dawnej Rusi. Siergiej nie posiadał się z radości na widok swojego idola.

A Aleksy nawet się do niego uśmiechnął.

– To dla ciebie – powiedział i ku zdumieniu Siergieja podał mu karabinową kulę. – Francuski pocisk. Nie trafił we mnie, tylko wbił się w wóz z zaopatrzeniem.

Siergiej patrzył na pocisk z zachwytem.

– Widziałeś Napoleona?! – krzyknął.

– Tak. – Aleksy uśmiechnął się szeroko. – Jest prawie tak gruby jak Ilja.

Wszyscy usiedli przy stole w jadalni, żeby wysłuchać wieści. Po bitwie pod Borodino, opowiadał Aleksy z dumą, generał Kutuzow osobiście mu pogratulował. A po upadku Moskwy wybrał go do prowadzenia ataków na francuskie pozycje. Na koniec Aleksy zostawił najważniejszą wiadomość.

– Napoleon opuszcza Moskwę. Francuzi wracają do domu. – Z zastanowieniem pokiwał głową. – Ale już jest za późno. Ma niewiele zapasów i chyba mu się wydaje, że szybkim marszem dotrze do granicy, zanim nadejdą śniegi. – Uśmiechnął się do Siergieja. – Ale widzisz, Sierioża, on zapomniał o jednym. – Zawiesił głos. – O rosyjskim błocie. Ugrzęźnie. A nasi Kozacy rozbijają każdy francuski oddział wysłany na poszukiwanie pożywienia. I wreszcie dopadnie go zima, zanim jeszcze dotrze do Smoleńska.

– Znowu wojna? – spytała z niepokojem Tatiana.

– Zapewne. Ale jeśli dojdzie do kolejnej wielkiej bitwy, jak ta pod Borodino, to

tym razem ich pokonamy.

Aleksy musiał się spieszyć. Nie mógł nawet zostać na noc. Cała rodzina patrzyła, jak ojciec go ściska i błogosławi na pożegnanie. A gdy odjechał, każde z nich się zastanawiało, czy jeszcze się zobaczą.

O zmierzchu Siergiej przyszedł na werandę do ojca, który stał, patrząc na ostatni blask zachodu słońca. Aleksander go nie zauważył. Miał łzy w oczach i mówił cicho do siebie:

– Prawdziwy Bobrow. Prawdziwy Bobrow.

A Siergiej po raz pierwszy pomyślał, że ojciec kocha Aleksego bardziej niż pozostałych synów. I zaczął się zastanawiać, co mógłby zrobić, żeby zasłużyć na więcej ojcowskiej miłości.

Minęły trzy tygodnie, spadł pierwszy śnieg, wielka armia Napoleona zamieniła się w ciemny, wlokący się tłum, który niczym gigantyczny ślimak zostawiał za sobą ślad w postaci trupów.

Tego dnia do Bobrowów zawitał niespodziewany gość. Sawa Suworin.

Aleksander Bobrow już dawno stwierdził, że nie lubi ani ojca, ani syna. Zapewne miał lekkie wyrzuty sumienia za to, jak ich potraktował przy wykupie z armii. Ale w ich powściągliwości było jakieś dziwne wyrachowanie, które napawało go niepokojem. A instynkt podpowiadał mu, że oni ani nie czują przed nim strachu, ani go nie szanują. Nie miał ochoty im pomagać, chociaż żona przypominała mu ze śmiechem: „To twoje najlepsze źródło dochodów”.

A teraz ten poważny, dwudziestoletni chłop o ciężkim chodzie stał przed Bobrowem, składając zaskakującą prośbę.

– Przyszedłem, panie, prosić was o paszport. Na wyjazd do Moskwy.

Sawa jako chłop nie mógł nigdzie wyjechać bez pańskiego paszportu. Potrzebował go nawet na podróż do Włodzimierza. Sprawa nie była szczególnie znacząca, ale Bobrow spojrział na niego podejrzliwie.

– A po co, do diabła, chcesz tam jechać? Przecież całe miasto się spaliło.

Sawa zdobył się na lekki uśmiezek.

– Właśnie, panie. I ludzie będą tam najbardziej potrzebować ciepłych ubrań. To najlepszy moment, żeby dostać dobrą cenę na płótno.

Bobrow parsknął z niechęcią.

Chłop zawsze zostanie chłopem. Nawet teraz, gdy toczy się wielka wojna w obronie ojczyzny, myśli jedynie o zysku.

– Przecież to spekulanctwo.

– Nie, panie, zwykły interes – odpowiedział Sawa spokojnie.

– Nie zgadzam się – warknął Aleksander, szukając w myślach jakiejś wymówki.

– To niepatriotyczne – dorzucił i gestem dłoni odprawił Sawę.

Później często się zastanawiał, dlaczego Tatiana wróciła wieczorem do tej sprawy. Może odezwał się w niej instynkt, a może zrobiło się jej szkoda Sawy.

– Proszę, rozważ to jeszcze raz – poprosiła, gdy jej o wszystkim opowiedział.

Uległ jej namowom i podpisał paszport. W końcu nie było to takie ważne.

*Rok 1817*

Plan, który wymyślił Siergiej Bobrow, był bardzo śmiały, ale przy odpowiedniej synchronizacji powinien zaowocować sukcesem. Dwaj przyjaciele dadzą mu alibi, a trzeci odpowie za niego podczas wyczytywania listy na apelu. Jeden ze szkolnych służących, oczywiście za pieniądze, zamówił dla niego konie na kolejnych etapach podróży, i to w obie strony.

Szkoła w Carskim Siole, letniej rezydencji cara niedaleko Petersburga, była surowa i elitarna. Sąsiadowała z białym pałacem Katarzyny, a car nie tylko pozwolił studentom na korzystanie ze swojej biblioteki, ale także z całą rodziną obserwował z prywatnej galerii odprawiane w kaplicy nabożeństwa. Aleksander musiał poruszyć dawne znajomości, żeby umieścić tam Siergieja.

Potajemna podróż nie była łatwa. W kwietniu śniegi topniały, ziemia robiła się rozmokła, a drogi zamieniały się w grzęzawisko. I gdyby go złapali...

Wyciągnął spod łóżka skrzynkę, w której trzymał osobiste dokumenty. Był w niej list do rodziców, który zaczął pisać poprzedniego wieczoru. Oraz list od młodszej siostry przemycony trzy dni wcześniej – krótki, rzeczowy i napisany dużym, dziecięcym pismem.

*Kochany Sieriożo,  
jestem bardzo nieszczęśliwa, tak bym chciała się z tobą zobaczyć.  
Olga*

Przeczytał go jeszcze raz i się uśmiechnął. Życie w internacie Instytutu Smolnego dla szlachetnie urodzonych panien w Petersburgu nie było przyjemne. I Sierioża wcale się nie dziwił, że jego pełna życia młodsza siostra nie znosi tej szkoły. Chociaż wyprawa była bardzo ryzykowna, to po otrzymaniu listu zadał sobie tylko jedno pytanie: co by zrobił Puszkina? Bo Puszkina na pewno by do niej pojechał. Puszkina był jego idolem.

Siergiej lubił pobyt w Carskim Siole. Był bystry, inteligentny, a nawet utalentowany. Dobrze rysował i najlepiej w całej klasie układał wiersze po francusku i po rosyjsku. „Ale w żadnym razie nie dorównuję Puszkiniowi” – wzdychał. Puszkina – młody autor śmiałych wierszy i karykaturzysta. Puszkina z czupryną kręconych włosów, z błyskiem w oku i przewrotnym poczuciem humoru. Nieustannie pakował się w jakieś tarapaty i nieustannie rozglądał za kobietami. Uczył się w szkole ostatni już rok i chociaż część nauczycieli uważała go za sprawcę wszystkich nieszczęść, w oczach chłopców był gwiazdą.

Puszkina zwrócił uwagę na Siergieja za sprawą wspólnych zainteresowań – miłości do rosyjskich baśni. Niania Sierioży nauczyła go wszystkich historii, które sama знаła: tej o cudownym Żar-Ptaku, o bohaterskim Ilji Muromcu – „Powinieneś zobaczyć mojego grubego brata Ilję”, mówił Siergiej ze śmiechem – i wielu, wielu innych. Nawet Puszkina był pod wrażeniem. „Nigdy tych baśni nie zapominaj, młody poeto – mawiał. – W nich kryje się prawdziwy duch Rosji”.

Ale to właśnie Puszkina sprowadził na Siergieja poważne kłopoty. Wszystko zaczęło się od karykatury – nieco gorszej, ale dowcipnej – którą Puszkina narysował po ostatecznej klęsce Napoleona. Widniał na niej powracający w glorii zwycięstwa anielski

car Aleksander, który jednak tak utył podczas pobytu na zachodzie, że trzeba było pospieszyć poszerzyć czekające na niego łuki tryumfalne. A kilka miesięcy później Siergiej poszedł w ślady swojego idola. Jednak za cel wybrał sobie nowego, bardzo pobożnego ministra edukacji z książęcego rodu Golicynów. A karykatura przedstawiała ministra, który w celu sprawdzenia moralności uczennic Instytutu Smolnego przeprowadza im szczegółową kontrolę osobistą. Rysunek był oburzający, a nauczyciele, choć w większości nie darzyli sympatią despotycznego ministra, ostrzegli Siergieja: „Jeszcze jeden wybryk, a zostaniesz usunięty ze szkoły”.

Lecz mimo wielkiego ryzyka Siergiej wiedział, co powinien zrobić. Wszystko pójdzie dobrze, uspokajał się w duchu. Poza tym nie mogą zawieść Olgi.

Wymknął się, gdy na dworze było jeszcze ciemno. Kilometr od szkoły czekał na niego stajenny z koniem. Wkrótce Siergiej jechał już w kierunku Petersburga. Droga była pusta. Czasem ciemne, długie linie lasu po obu stronach zbliżały się do siebie tak bardzo, jakby chciały go udusić. Potem jednak ukazywały się otwarte, brunatne pustkowiec poprzecinane szarymi smugami niestopniałego śniegu. Parę razy wydawało mu się, że słyszy wycie wilków. Wilgotne, lodowate powietrze kłuło go w twarz.

Mimo to był szczęśliwy. Poprzedniego dnia wysłał do Olgi wiadomość z informacją, gdzie ma się z nim spotkać, i niemal miał przed oczami jej bladą twarz i słyszał jej głos: „Wiedziałam, że przyjedziesz”. Aż czuł w środku ciepło. Co za szczęściarz z niego, że ma taką piękną siostrę! I że jest jednym z Bobrowów!

Do tego los jeszcze zrządził, że dane jest mu być Rosjaninem, i to w takich czasach! Świat nigdy dotąd nie wyglądał tak ekscytująco. Wielkie zagrożenie ze strony Napoleona zostało ostatecznie zażegnane w 1815 roku w bitwie pod Waterloo. Brytyjczycy zesłali najeźdźcę Europy na małą Wyspę Świętej Heleny, skąd nie było ucieczki. A Rosja była tak silna jak jeszcze nigdy w swojej historii. Do imperium dołączono pradawne kaukaskie królestwo Gruzji. Na północy car przejął Finlandię będącą do tej pory pod szwedzkim władaniem. A daleko na wschodzie, po drugiej stronie oceanu, Rosja nie tylko zdobyła Alaskę, ale też założyła fort w Kalifornii. Ale największą zdobycz uzyskała na kongresie wiedeńskim, na którym mocarstwa europejskie na nowo narysowały mapę Europy, przyznawszy Rosji niemal wszystkie ziemie jej odwiecznego rywala, Polski, razem z piękną stolicą Warszawą.

Siergiejowi jednak najbardziej ekscytujące wydawało się to, że Rosja zajęła wyjątkową pozycję w świecie – nie była już barbarzyńskim azjatyckim królestwem odciętym od Zachodu, nie była już zacofaną uczennicą holenderskich i niemieckich awanturników, naśladowczynią Anglii i Francji. Podczas kongresu główną rolę odgrywał rosyjski car. A co więcej, Rosja podjęła się wielkiej misji. „Położmy wreszcie kres strasliwym wojnom i krwawym rewolucjom – głosił car przed reprezentantami europejskich rządów. – Niech mocarstwa Europy zjednoczą się w nowym powszechnym braterstwie, ufundowanym jedynie na chrześcijańskiej miłości bliźniego”.

Tak powstało słynne Święte Przymierze. Pod każdym względem był to zadziwiający sojusz. Rosja zaproponowała nawet utworzenie wspólnej europejskiej armii – pierwszych międzynarodowych sił pokojowych – która miała utrzymywać ów powszechny porządek.

Oczywiście podobne wielkie idee pojawiały się już wcześniej, w czasach Cesarstwa Rzymskiego czy w średniowiecznym Kościele, ale Święte Przymierze, z jego mistycznym językiem, było w swojej istocie bardzo rosyjskie. Przebiegli zachodni dyplomaci podpisali akt z cynicznym uśmieszkiem, a pragmatyczni Brytyjczycy nie zrobili nawet tego, więc wszyscy w Rosji i tak wiedzieli, że Zachód jest zdeprawowany. Święte Przymierze było jak sama Rosja: proste, szczere, pełne pasji i życzliwości. Nic dziwnego, że młody Siergiej Bobrow czuł uniesienie.

Gdy dotarł do zajazdu, w którym mógł zmienić konia, miał już w zasięgu wzroku Petersburg rozłożony pod platynowym niebem. Wjechał do stolicy późnym rankiem.

Klasztor, w którym mieścił się Instytut Smolny, znajdował się pięć kilometrów na wschód od Pałacu Zimowego, tam gdzie Newa zakręcała szerokim łukiem na południe. Siergiej miał jeszcze trochę czasu, więc ruszył na przejażdżkę wzdłuż nabrzeża wyłożonego różowym granitem, minął wielki posąg Miedzianego Jeźdźca, starą Admiralicję i Pałac. Admiralicja – choć nadal mieściły się tam stocznie – była przebudowywana w surowym neoklasycyźnym stylu. Jej zwieńczenie stanowiła wysoka złota iglica będąca odbiciem złotej wieży soboru Świętego Piotra i Świętego Pawła po drugiej stronie rzeki. Co za szczęście być w Petersburgu!

Podniecenie Siergieja miało jeszcze jeden powód.

Oto w kwietniu przychodził w Petersburgu czas pęknięcia lodu. Z ulic uprzątnięto już większość śniegu i błotnistej brei, ale w samym środku miasta lód na Newie dopiero zaczynał topnieć. Usunięto z niego resztki straganów, a niedługo, zanim jeszcze ruszą lody, znikną też pontonowe mosty. Jadąc wzdłuż brzegu, Siergiej widział wielkie pęknięcia, a od czasu do czasu, gdy odrywał się kolejny kawał kry, rozbrzmiewał trzask tak głośny jak strzał z pistoletu. Co za przyjemność czuć na twarzy wilgotne powietrze i wiedzieć, że w tym wielkim świecie północy tworzy się nowe, nieustraszone życie! Siergiej czuł, że serce mu śpiewa.

W radosnym nastroju dotarł do murów Instytutu Smolnego.

Wcześniej w liście dokładnie wytłumaczył siostrze, dokąd powinna pójść i o jakiej porze. To Puszkina powiedział mu o małym oknie w murze, przez które można się było dostać do środka. Wkrótce Siergiej je dojrzał, jakieś cztery metry nad ziemią. Zostawił konia w zajeździe i czekał w umówionym miejscu. Po godzinie okienko się otworzyło.

Wiedziała, że zauważą jej nieobecność dopiero za dwie godziny. Siedzieli obok siebie w pokoiku o bielonych ścianach i rozmawiali. Obejmował ją delikatnie, a ona od czasu do czasu opierała mu głowę na piersi.

Kochał ją. Z całej rodziny była najbardziej podobna do Aleksego. Miała szczupłą sylwetkę, ale w jej długich kończynach i smukłych dłoniach nie było słabej wiotkości. Tak jak jej brat odziedziczyła po rodzicach nieco tureckie rysy, długi, pięknie wyrzeźbiony nos oraz usta, których kąciki opadały nieco w lekko ironicznym grymasie. Ale o ile rysy Aleksego miały w sobie jakieś okrucieństwo, o tyle w jej twarzy widać było jedynie wytworność. Głębokie błękitne oczy wydawały się czasem zadziwione światem, choć potrafiły w jednej chwili rozbrzmieć wesołością. A teraz patrzyły na niego z wielką wdzięcznością.

Była nieszczęśliwa. Instytut Smolny zapewniał znakomite wykształcenie. Oprócz

haftu, tańca i gotowania – czyli umiejętności niezbędnych pannom z dobrych domów – dziewczęta uczyły się języków obcych, geografii, matematyki i fizyki. Tak postępowy program zadziwiał nawet gości z Ameryki. Jednak w szkole obowiązywała surowa dyscyplina.

– Przed każdym posiłkiem musimy śpiewać psalmy – opowiadała Olga. – Czuję się jak w więzieniu – dodała, kręcąc głową. Rzeczywiście od jesieni do początku lata, kiedy kończył się rok szkolny, uczennicom Smolnego nie wolno było opuszczać terenu klasztoru. – Nienawidzę ich wszystkich, nie znoszę nawet innych dziewcząt – szepnęła.

Rozumiał, że tak naprawdę Oldze doskwiera samotność. Objął ją czule – jej długie ciemne włosy opadały mu na ramię – i pozwolił mówić przez godzinę, aż stopniowo poweselała i nawet zaczęła się śmiać. W końcu wtuliła się w niego i powiedziała:

– Dość już o moim nudnym życiu. Co tam słysząc w wielkim świecie?

Poczuł się dumny, że siostra patrzy na niego z podziwem. A ponieważ w umyśle aż mu się kłębiło od nowych idei, zaczął z przejęciem opowiadać o swoich nadziejach na przyszłość.

– Car stworzy nową Rosję – mówił. – Koniec z poddaństwem. Będziemy mieli nową konstytucję. Spójrz tylko, co car już zrobił w Polsce i w państwach bałtyckich. Taka będzie przyszłość.

Car Aleksander nie dość, że zniósł poddaństwo w nadbałtyckich guberniach, to jeszcze wywołał powszechne zdziwienie, nadając nowo utworzonemu Królestwu Polskiemu bardzo liberalną konstytucję: praktycznie brak cenzury, wybieralny sejm i prawa wyborcze dla znacznej części społeczeństwa.

– A to dopiero początek – ciągnął z zapalem Siergiej. – Gdy Rosja też dostanie konstytucję, staniemy się tacy jak Wielka Brytania, a nawet Ameryka.

Te entuzjastyczne zapewnienia wcale nie były takie szalone. Oświecony car Aleksander rzeczywiście zasięgał porad u angielskich dyplomatów, a nawet u samego prezydenta Stanów Zjednoczonych Jeffersona. Chciał wiedzieć, jak zorganizować nowy rząd. Kilka lat wcześniej jego utalentowany minister opracował propozycję przewidującą podział władzy, wybieralny parlament, a nawet wybieralność sędziów. Grupa urzędników właśnie przygotowywała plan podziału Rosji na dwanaście prowincji o znacznej autonomii. To prawda, car był dość tajemniczy – jego poglądów nie znał nikt. Ale taka właśnie była Rosja – wszystkie zmiany zachodziły tu wolno i opornie.

– A co ty będziesz robił w tej nowej, wspaniałej Rosji? – spytała Olga.

O, wiedział to doskonale. Miał już swoje plany.

– Zostanę wielkim pisarzem – oznajmił śmiało.

– Tak jak twój przyjaciel Puszkina?

– Mam nadzieję. A wiedziałaś – ciągnął z zapalem – że do czasów Katarzyny rosyjska literatura praktycznie nie istniała? Mieliśmy tylko mnóstwo zatęchłych psalmów i nabożeństw spisanych w języku cerkiewnosłowiańskim, za diabła nie do zrozumienia. Ludzie tacy jak my pisali wiersze albo dramaty po francusku. Nikt nie pisał nic wartościowego po rosyjsku. Dopiero w latach młodości taty pojawił się Łomonosow i wspaniała poeta Dzierżawin, który dzięki Bogu wciąż żyje. Sama więc widzisz, że to my będziemy wytyczać nowe drogi! – zawołał uszczęśliwiony. – I nikt nam nie powie,



jak mamy to robić. Powinnaś usłyszeć wiersze Puszkina. Są niezwykle.

Olga uśmiechnęła się. Uwielbiała brata i jego entuzjazm.

– Będziesz musiał nad tym ciężko pracować, Sierioża – powiedziała życzliwie.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się szeroko. – A ty co zamierzasz robić, gdy już się wydostaniesz z tego klasztorowego więzienia? – spytał żartobliwie.

– Jak to co? Wyjść za męża.

– Za kogo?

– Za przystojnego oficera gwardii. – Uśmiechnęła się. – Który pisze wiersze po rosyjsku.

Pokiwał z namysłem głową i nagle, ku swojemu zdziwieniu, posmutniał. Szkoda, że to nie będę ja, pomyślał.

Wkrótce potem musieli się pożegnać.

Późnym popołudniem zmęczony, ale szczęśliwy Siergiej zwrócił konia i piechotą przeszedł ostatni kilometr błotnistej drogi do szkoły. Nie spotkawszy nikogo, wślizgnął się do środka i ruszył do swojej kwatery, gdzie mieli czekać na niego koledzy. Przy odrobinie szczęścia nikt nie zauważy nawet jego nieobecności. Otworzył drzwi. I aż drgnął ze zdziwienia.

W pokoju, w szarym świetle padającym przez okno, stała wysoka postać w mundurze i jeździeckich butach. Mężczyzna odwrócił się do niego powoli.

– Aleksey! – Sierioża poczuł, jak serce zabiło mu z radości. – Długo tu już jesteś? – I nagle uśmiech zamarł mu na twarzy.

– Gdzie byłeś? – Głos Aleksego był zimny i ostry jak brzytwa.

– Nigdzie.

– Kłamiesz! Od dwóch godzin szukają cię w całej szkole.

– Przepraszam. – Siergiej opuścił głowę. Nic więcej nie mógł powiedzieć.

– Na nic się zdadzą twoje przeprosiny! – warknął Aleksey z lodowatą wściekłością. – Przyjechałem, żeby się z tobą zobaczyć, bo akurat miałem tu sprawę do załatwienia. I czekając, sporo się o tobie nasłuchałem. Narysowałeś karykatury ministra i grozi ci wydalenie. Mam nadzieję, że o tym wiesz?

– Wiem.

– Przekonałem ich, żeby cię nie wyrzucali. Dostaniesz karę chłosty. Zaproponowałem, że wymierzę ją sam, ze względu na honor rodziny. – Urwał, żeby ostatnie zdanie wywarło odpowiedni efekt.

Nie wiadomo, co podkusiło Siergieja, by właśnie w tej chwili powiedzieć coś, czego nawet nie myślał. Może zirytował go moralizatorski ton głosu Aleksego, a może zaatakował pod wpływem nagłego impulsu, gdy zauważył, że kochany i podziwiany brat nie stoi po jego stronie. Nie wiadomo.

– Do diabła z honorem rodziny! – wybuchnął.

Aleksey aż otworzył oczy ze zdziwienia. On sam nie chodził do szkoły takiej jak ta. Gdy tylko mógł, poszedł do wojska. Służba dla cara i honor rodziny – to były jego bożyszczą. Nie mógł pojąć, że Siergiej jest aż tak nielojalny. Teraz on postąpił niewybaczalnie. Może pchnął go do tego lęk o własną karierę, spowodowany wczorajszą kłótnią z oficerem wyższym rangą; może pogarda w głosie kochanki, która zerwała z nim

tydzień wcześniej. A może odezwała się w nim skłonność do okrucieństwa, która od sześciu miesięcy, gdy dowiedział się o czymś w Moskwie, czekała w uśpieniu na pretekst do zadania bolesnego ciosu? Tak czy inaczej Aleksy syknął głosem lodowatym i pełnym jadu:

– Dla ciebie może tak. Ale dla mnie i dla reszty rodziny honor znaczy wiele. Pamiętaj jednak, że choć do nas nie należysz, to wciąż nosisz nasze nazwisko, a to wymaga odpowiedniego zachowania. Rozumiesz?

– Co to znaczy, że do was nie należę?

– Tylko tyle, brązowooki intruzie, że nie jesteś Bobrowem, jedynie hańbą dla naszych rodziców. Lecz ponieważ dbamy o honor, traktujemy cię jak jednego z nas.

– A potem dodał, jakby chodziło o katar, który przychodzi i mija po kilku dniach: – Nasza matka, gdy była sama w Moskwie, dopuściła się niewierności. To było dawno temu. Nikt o tym nie wie. Udajemy, że jesteś członkiem rodziny takim jak my. A ponieważ użyliśmy ci nazwiska, masz je szanować. – Aleksy zawiesił głos. – Jeśli piśniesz komuś choć słowo, to cię zabiję.

Bez skrupułów zniszczył bratu życie i wyszedł.

Wieczorem Siergiej skończył pisać list do rodziców, choć przez łyzy prawie nie widział liter.

*Moi kochani Rodzice, w szkole jest mi bardzo dobrze. Dzisiaj odwiedził mnie Aleksy, u niego też wszystko dobrze, co mnie wielce ucieszyło. Przekażcie pozdrowienia Arinie i jej siostrzenicy.*

Zawsze uważał, że jego matka jest ideałem, a rodzice darzą go miłością. Ale skoro nie jest Bobrowem, jeśli go nie chcą, to naprawdę nie ma znaczenia, co zrobi ze swoim życiem.

*Styczeń 1822 roku*

Tatiana rozglądała się po niewielkim targu. Po tyłu pochmurnych dniach niebo po raz pierwszy było czyste, śnieg wokół Ruski skrzył się w promieniach słońca. Za chwilę Sawa wsiądzie do sań, żeby wrócić do Moskwy. Ależ on elegancko wygląda w nowym płaszczu. Odwrócił się do Tatiany i uklonił nisko. A ona się uśmiechnęła.

Mieli wspólną tajemnicę.

Tego ranka w Rusce panował spokój, ale wiele rzeczy świadczyło, że miasto jest obecnie bardziej ruchliwe niż kiedyś. Owszem, miejskie mury patrzące groźnie z wysokiego brzegu były tak mocne i solidne jak za czasów Iwana Groźnego, a posępna wieża strażnicza ze stromym dachem wciąż sterczała ku niebu, lecz po obu stronach rynku wytyczono dwie szerokie ulice z drewnianą zabudową, przecięte trzema przecznicami. Za cerkwią biegła szeroka aleja z rzędem drzew pośrodku, po jednej stronie stały trzy kamienne domy kupieckie z klasycznymi elementami. Na końcu alei znajdował się niewielki park, a za nim mur dawnych umocnień, który po obniżeniu zamieniono w mały bulwar z widokiem na rzekę i okolice. Po przeciwnej stronie miasteczka, za murami, chałupy i gospodarstwa przysiadły wzdłuż kilku uliczek wcinających się na pół kilometra w głąb łąk i pól. Liczba mieszkańców wzrosła do dwóch tysięcy. Krótko mówiąc, Ruska,

choć nie należała do grona wielkich miast wyznaczonych przez Katarzynę, stała się solidnym miasteczkiem.

Kochany Sawa, jakże zbliżyli się do siebie przez ostatnie cztery lata! Często czuła się samotna. Aleksander zapadł na zdrowiu i stał się małomówny. Siergiej znalazł posadę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i krążył między Petersburgiem a Moskwą. Olga niedawno wyszła za mąż za przystojnego oficera gwardii i zamieszkała w jego majątku pod Smoleńskiem. A Aleksy, też już żonaty, został oddelegowany do Odessy nad Morzem Czarnym. W poprzednim miesiącu urodził mu się syn, któremu dał na imię Michaił. Ale Tatiana wiedziała, że być może upłyną lata, zanim będzie mogła zobaczyć wnuka. Został mi tylko Ilja, myślała ze smutkiem. Jednak Ilja cały czas siedział z nosem w książkach i nie dało się z nim porozmawiać o niczym praktycznym.

Za to Sawa i jego ojciec byli praktyczni i konkretni. I to w nich lubiła. Prowadzili w Rusce dwie małe manufaktury, w każdej zatrudniali po kilkunastu ludzi. W jednej tkano wełnę, w drugiej len. Do tego obaj byli tak dobrze zorganizowani, że zostawało im sporo wolnego czasu. Minionego roku nakłoniła męża, by pozwolił ojcu Sawy zarządzać riazańskim majątkiem, dzięki czemu ich dochody od razu znacznie wzrosły. A sama często jeździła do Ruski, żeby porozmawiać z Sawą o interesach.

Właśnie w wyniku tych rozmów zrodził się jej najnowszy potajemny plan.

Rosja – choć w szlacheckich domach nie było tego widać – powoli się zmieniała. I zmiana ta zachodziła też w tamtym regionie.

W Rosji istniało kilka źródeł bogactwa. Na pustkowiach na północy były złoża soli, stamtąd pochodziły także futra, na których zbili fortuny kupcy z dawnego Nowogrodu; na Ukrainie – żyzny czarnoziem; od czasów Iwana Groźnego dochodziły do tego minerały wydobywane na Uralu oraz skromny handel z leżącą jeszcze dalej na wschód, ledwo skolonizowaną Syberią.

Ale największy postęp dokonał się w sercu Rosji, w okolicach Moskwy, gdzie panował niesprzyjający klimat, a gleby nie zapewniały dobrych plonów. Tu właśnie narodził się rosyjski przemysł. Wytwarzano wyroby skórzanego i metalowego, malowano ikony, drukowano jedwab sprowadzany ze wschodu, a ostatnio tkano bawełnę: manufaktury można było zakładać we wsiach i miasteczkach. Oprócz tego działały stare kuźnie w Tule oraz duże fabryki zbrojeniowe w Moskwie. Największy rynek zbytu na żelazo, a także na wiele innych towarów, znajdował się zaledwie o kilka dni drogi na wschód, u zbiegu Wołgi i Oki – w starym przygranicznym Niżnym Nowogrodzie. Za czasów Katarzyny pewna rodzina kupiecka założyła fabrykę szkła w wiosce leżącej trzydzieści kilometrów od Ruski. Przede wszystkim jednak stolica księstwa, Włodzimierz, wraz z położonym nieco dalej na północ miasteczkiem Iwanow, stawała się wielkim ośrodkiem przemysłu włókienniczego.

W porównaniu z Europą Zachodnią rosyjski handel i przemysł nie były wysoko rozwinięte. W miastach żyło mniej niż pięć procent ludności. We Francji było to dwadzieścia procent, a w Anglii ponad trzydzieści. Ale Rosja stawiała dopiero pierwsze kroki.

A Tatiana im lepiej rozumiała te zmiany, tym bardziej była podekscytowana. Sawa często do niej mówił: „Ech, Tatiano Iwanowna, gdybym tylko miał więcej pieniędzy na

inwestycje!”. Ona dostrzegała otwierające się wielkie możliwości, a że z natury była osobą aktywną, nieustannie o nich rozmyślała. I próbowała zachęcić męża.

– Jeśli nasi chłopcy mogli założyć małe fabryki – mówiła – to my możemy założyć duże.

Brzmiało to rozsądnie. Wprawdzie większość szlachty pogardzała kupieckim zajęciem, ale zdarzały się wyjątki. Kilku magnatów było właścicielami dużych zakładów przemysłowych, w których pracowali chłopcy. Bobrow mógł założyć fabrykę podobną do pobliskiej huty szkła i nie stracić przy tym twarzy.

Ale on nie był zainteresowany.

– A kto ją będzie prowadził po mojej śmierci? – pytał. – Aleksy? On jest żołnierzem. Ilja? Nie poradzi sobie. – Kręcił głową. – Lepiej rozwijać dla nich majątki niż angażować się w przedsięwzięcia, o których nie mamy żadnego pojęcia. Niech się tym zajmą chłopcy, a my zgarniemy ich zyski w obroku. – Kiedy zaś Tatiana nie dawała się przekonać, wzdychał ze znużeniem: – Ależ z ciebie Niemka!

Tatiana już od dawna była niemal pewna, że przejrzała Sawę. Ale dopiero przed rokiem zdradził się z ukrytą pasją, która zmuszała go do działania. Wszystko wydało się tego dnia, gdy delikatnie wypytywała go o życie osobiste. Obaj Suworinowie wyróżniali się nie tylko tym, że mieli w sobie ducha przedsiębiorczości. Obaj też byli samotni. Ojciec był wdowcem, a Sawa, choć skończył trzydzieści trzy lata, jeszcze się nie ożenił. Pop z Ruski wiele razy z nim o tym rozmawiał, Bobrow groził, że zmusi go do żeniaczki. Ale on ciągle się migał. A w końcu wyznał wszystko Tatianie:

– Nie ożenię się, dopóki nie będę wolny. Wolałbym pójść do klasztoru.

– A z kim chciałbyś się ożenić? – spytała Tatiana.

– Z córką kupca – odparł. – Ale żaden kupiec nie wydałby córki za poddanego chłopca, bo wtedy ona też zostałaby chłopką.

A więc o to chodziło. Chciał kupić sobie wolność. Kilka razy zwracał się z tym do Bobrowa, lecz nigdy nic nie wskórał.

– Ale każdy pan ma swoją cenę – powiedział do Tatiany. – A potem...

Była pewna, że Sawa mógłby dokonać czegoś wielkiego.

I tak oto w jej głowie zrodził się plan. Prosty, choć dość niezwykły. Opierał się na porozumieniu i zaufaniu, które połączyło ją z Sawą.

Początkowo Aleksander Bobrow był zaskoczony, że żona namawia go do uwolnienia Sawy i jego ojca.

– A jaki ty masz w tym interes? – pytał.

Mijały tygodnie i miesiące, a ona wciąż nalegała:

– Daj im wolność, Aleksandrze Prokofiewiczu. Sam mówisz, że chcesz odłożyć trochę pieniędzy. Możesz to zrobić już teraz, przecież oni zapłacą za wyzwolenie.

– Czasem mi się zdaje, że wolisz tych chłopów od własnej rodziny – rzucił kiedyś sucho.

Ona jednak była uparta i w końcu, mniej więcej przed tygodniem, miał już tego dosyć.

– Niech będzie – oświadczył znużonym głosem. – Ale skoro chcą wolności, to muszą mi zapłacić piętnaście tysięcy rubli, ani kopiejki mniej.

Przez tyle lat wysysał z nich ostatni grosz, był więc pewien, że nie zbiorą takiej sumy.

Ale Tatiana jedynie się uśmiechnęła.

Jej umowa z Sawą była szczerą.

– Przekonam Aleksandra Prokofiewicza, żeby wam sprzedał wolność. I jeśli znajdzie taka potrzeba, pożyczę wam pieniędzy. Ale w rok po tym, jak uzyskacie wolność, oddacie mi dwa razy tyle. Zgoda?

Sawa uklonił się nisko.

– W takim razie zostaw wszystko mnie. I nikomu o tym nie wspominaj.

Rzadko się zdarzało, by dama aż tak bardzo przejmowała się losem chłopca – i to za plecami męża – ale plan wydawał się rozsądny. Suworin zyska wolność, Bobrow znaczną sumę pieniędzy, a ona będzie mogła odłożyć jakieś zaskórniaki dla Siergieja.

I chociaż cena za wolność Suworinów, którą wymienił Bobrow, była zatrważająco wysoka, wierzyła w Sawę. Wierzyła, że zarobi te pieniądze, nawet jeśli to potrwa kilka lat.

Do tej pory pożyczyła mu tysiąc rubli. A w ten pogodny styczniowy dzień przywiozła do Ruski kolejny tysiąc.

– Zabierz je do Moskwy i zrób z nich dobry użytek – powiedziała.

Sawa wsiadł do sań i jeszcze raz się uklonił. Jednak Tatiana nie wiedziała, że ten olbrzym ukrywa przed nią tajemnicę. Już teraz miał dość pieniędzy, by do końca roku wykupić się z poddaństwa.

Pojedynek między panem a jego chłopcem miał się niedługo zakończyć.

*Lipiec 1822 roku*

Olga patrzyła czule na męża. Ostatni miesiąc spędzili razem w majątku pod Smoleńskiem i nigdy jeszcze nie była taka szczęśliwa. Kiedy miała go przy sobie, jej twarz rozświetlał ciepły blask i nawet miejscowi chłopcy mówili z uśmiechem: „Ot, prawdziwi mąż i żona”.

A teraz podała mu ze śmiechem list od Siergieja.

Od czasów szkolnych pisał do niej regularnie, nieraz dołączał jakiś wiersz albo zabawny rysunek. Zbierała te listy i gdy nie miała nic do roboty, lubiła czytać je od nowa. A ten był typowym przykładem jego stylu.

*Kochana Olgo,*

*na pewno zgodnie z dawnymi zwyczajami mąż bije Cię regularnie, więc posyłam ci trochę wieści, żebyś się rozweseliła. Znalazłem sobie uroczych przyjaciół. Spotykamy się w archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych i nazwaliśmy się Miłośnikami Wolności (bo wiesz, ta bogini, jak wszystkie kobiety, potrzebuje licznych kochanków). Czytamy dzieła wielkich niemieckich filozofów, szczególnie Hegla i Schellinga. Dyskutujemy o sensie życia i duchu Rosji, mamy wiele zapału i w sumie jesteśmy z siebie zadowoleni.*

*Czy wiedziałas, że wszechświat ciągle się zmienia? Naprawdę tak jest. A każda idea ma swoje przeciwieństwo. Kiedy się ze sobą łączą, powstaje idea nowa, jeszcze lepsza, która też znajduje swoje przeciwieństwo, i tak dalej, dopóki cały wszechświat nie osiągnie*

*doskonałości. Tak samo jest z ludzkim społeczeństwem na ziemi. Wszyscy jesteśmy zmieniającymi się ideami w wielkim kosmicznym porządku. Czy to nie cudowne?*

*Czujesz wielkie kosmiczne siły, Oleńko, czy może twój mąż za bardzo Cię bije? Bo ja czasem je czuję. Widzę drzewo i mówię do siebie: „Oto zmienny kosmos”. Ale czasem nie czuję nic. Wczoraj na przykład uderzyłem się głową o drzewo i wcale nie czułem się kosmicznie. Może gdybym uderzył się mocniej...*

*Muszę kończyć. Ja i moi przyjaciele chcemy podążyć za naszym kosmicznym przeznaczeniem i trochę się napić. A potem wyruszę na poszukiwanie kosmosu z jakąś poznaną damą.*

*Zdradzę Ci jeszcze coś ciekawego. Otóż nasz szanowany minister edukacji jest tak podejrzliwy wobec filozofii, że w całym Petersburgu nie ma ani jednej katedry poświęconej tej dziedzinie. Znam pewnego człowieka, który potajemnie wykląda filozofię na wydziale botaniki, drugi robi to podobno na rolnictwie. Tylko w naszej ukochanej Rosji istotę wszechświata uważa się za część rolnictwa!*

*Tak mi przykro, że masz męża brutala. Jeśli będziesz chciała, żebym Cię uratował, to napisz do mnie natychmiast.*

*Twój kochający*

*Sierioża*

*Wrzesień 1822 roku*

Tego roku lato było długie. Mały powóz toczył się po polnej drodze. Jechali powoli, bo Suworin uważnie omijał liczne dziury. Poza tym z Ilją Bobrowem nie da się spieszyć. Minęły trzy dni, odkąd wyjechali z Riazania. Jutro dotrą do Ruski.

– Bylibyśmy tam dzisiaj, panie, gdybyście wcześniej wstawali – zauważył Suworin.

– Chyba masz rację – przyznał Ilja z uśmiechem. – Nie rozumiem, dlaczego to dla mnie takie trudne.

Promienie słońca zabarwiły się już na czerwono. Droga biegła wśród brzoź i modrzewi, które mieniły się żółto na tle błękitnego nieba. Niedługo, gdy słońce się zniży, na czubkach drzew przysiądą gołębie.

Teraz jednak drzewa się przeredziły, ustępując miejsca rozległym polom. Jak wszędzie w okolicy, i w tej wiosce uprawiano len, jęczmień i żyto. Żniwa już się skończyły. Tu i ówdzie stały żółtobrazowe stogi słomy. Rosnące na miedzy piolun i pokrzywy wydierały gorzkawy zapach. Przy pierwszej chacie powitał ich szczekający pies i tęga kobieta z koszem pełnym grzybów. Niedługo potem dotarli do zajazdu.

– Będziemy musieli tu przenocować – stwierdził Suworin niechętnie.

Zajazd wyglądał jak wiele innych: obszerna sala ze stołami i ławami, duży piec w kącie, zręczliwy karczmarz, który na widok Ilji od razu zrobił się służalczy. Suworin zajął się końmi, a Ilja usiadł przy piecu i poprosił o herbatę.

Mieli za sobą udaną podróż. Był zadowolony, że Tatiana przekonała go do wyjazdu z Suworinem. Dokładnie obejrzelili rizański majątek – a raczej obejrzał go Suworin

– zebrali czynsz, sprzedali zboże i trochę drewna, a teraz wracali do Ruski ze znaczną sumą pieniędzy. Ilja uznał, że skoro rizański majątek przypadnie kiedyś jemu – Aleksy miał dostać Ruskę – to powinien powoli zapoznawać się z tym miejscem. Suworin zmusił go nawet do przechadzki, dzięki czemu jego ziemista cera nabrała trochę rumieńców.

Ilja Bobrow nie był kaleką, ale skutek szalonego postępowania Tatiany sam nie wiedział, czy jest chory, czy nie. Nie był też głupi. W dzieciństwie musiał dużo leżeć w łóżku, więc czytał zachłannie, a po ojcu przejął miłość do literatury francuskiej i oświeceniowej filozofii. Niestety, jego ojciec poniósł w końcu życiową porażkę, a on sam, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, uznał podświadomie, że wszystko jest bez sensu. Klęska i bezradność wydawały mu się nieuniknione. Popadł w swojego rodzaju otępienie. Czasem nawiedzało go bolesne poczucie, że marnuje życie, że powinien się wyrwać z letargu, ale ponieważ nic go do tego nie zmuszało, trwał w nim nadal. A teraz, w wieku dwudziestu ośmiu lat, był miłym, leniwym i zdecydowanie grubym kawalerem.

– Jestem za tęgi – mawiał przepraszająco. – Ale nic na to nie poradzę.

Jednak ta podróż coś w nim poruszyła. Podsunęła mu nowy pomysł, który rozważał już przez cały dzień. Więc gdy Suworin przyniósł bagaż, a oberżysta podał szklanek parującej herbaty, skinął im głową, oparł nogi na kufrze podróżnym, przymknął oczy i popijając herbatę, zatopił się w myślach. Tak, najwyższy czas skończyć z tą wegetacją. Powiniennem wyjechać za granicę. Najlepiej do Francji.

Pora wreszcie coś zmienić w życiu.

A stary Suworin, patrząc na niego, pomyślał: Gdyby miał choć połowę energii Sawy, to też by czegoś dokonał.

Czas płynął powoli, słońce zachodziło, a młody szlachcic i starzejący się chłop zastanawiali się nad swoim losem. Ich podróż skończyłaby się następnego dnia bez żadnych zakłóceń, gdyby nie właściciel zajazdu.

Zatrzymywali się u niego jedynie skromni goście. A teraz trafił mu się bogacz. Dlatego postanowił wycisnąć z niego jak najwięcej. I gdy tylko Ilja skończył pić herbatę, wymknął się z zajazdu, popędził gdzieś drogą i wrócił dopiero po półgodzinie.

Ilja był zachwycony propozycją oberżysty. Zdażył się już zdrzemnąć i teraz, pobudzony podróżą i nowymi planami lęgnącymi mu się w głowie, poczuł chęć do życia.

– Przestań zrzędzić, Suworin – rzucił. – To znakomity pomysł. – Odwrócił się do oberżysty, który kłaniał mu się w pas. – Przyrowadź ich. I podaj wino i wódkę.

Oberżysta się uśmiechnął. Co za szczęście, że ci Cyganie akurat przejeżdżali przez wieś. Zabawią tego grubego jegomościa, a potem podzielią się z nim zarobkiem. Zapadł zmierzch, a mała gospoda dosłownie tętniła życiem. Rozszedł się zapach jedzenia, pojawiło się wino i wódka. Oraz jacyś dziwni goście. A gdy podano jedzenie, przyszli Cyganie.

Było ich ośmioro – ładni, o śniadej cerze, w kolorowych strojach. Zaczęli śpiewać, dwie kobiety tańczyły. Ilja stukał do rytmu nogą, uśmiechając się szeroko. Dawno nie był tak ożywiony. Zazwyczaj nie pił dużo, ale dziś...

– Więcej wina! – zawołał do oberżysty.

Jedna z dziewcząt śpiewała, mężczyźni pobrzękiwali na swoich instrumentach. Co za dziwną melodię miała ta pieśń! Gdzie się narodziła? W Azji? Nie wiedział.

Dziewczyna miała może piętnaście lat, była chuda i koścista. Mimo to poczuł wyraźne podniecenie. Podeszła blisko, niemal się o niego otarła. Mój Boże, pomyślał, tak właśnie muszę żyć. Muszę podróżować.

Zanim jeszcze wieczór dobiegł końca, postawił wszystkim gościom po kilka kieliszków, zatańczył niezgrabnie z piętnastoletnią dziewczyną i zakochał się – nie tyle w niej, ile w samym życiu.

Było już dobrze po północy, gdy oberżysta, uprzątnąwszy trochę bałagan, przygotował mu na ławie posłanie. Ilja położył się spać.

– Prawda jest taka, drogi Suworinie, że chyba jestem trochę pijany – mruknął.

– Tak, panie. – Znużony chłop ułożył się na drugiej ławie i zamknął oczy.

Minęło może pięć minut. Ilja jeszcze nie spał. Nagle uderzyła go myśl. Stojący obok ławy kufer nie był zamknięty na kłódkę. To jego wina. Jeszcze w Riazaniu zapodział gdzieś klucz. I pewnie nie miałoby to znaczenia, gdyby nie to, że w kufrze były wszystkie pieniądze.

Ta myśl coraz uporczywiej przebijała się przez opary pijaństwa. Nie dawała spokoju. Niewyraźne przeświadczenie, że bawiąc się z Cyganami, zrobił z siebie głupca, zamieniło się w podejrzliwość: to oni chcą zrobić ze mnie głupca. Jeden z tych diabłów, na pewno dziewczyna, wślizgnie się do gospody i ich obrabuje. I to z pomocą oberżysty.

Ilja usiadł wyprostowany.

– Suworin, obudź się – syknął. – Chodź tutaj i otwórz kufer.

Olbrzym spełnił polecenie.

– Wyjmij pieniądze. Woreczek i paczkę. Świetnie.

W woreczku znajdowały się srebrne ruble, w pakiecie banknoty używane od czasów panowania Katarzyny, nazywane przez Rosjan asygnatami.

– Suworin, ty je weź. Ciebie nikt nie okradnie.

Chłop wzruszył ramionami, ale posłuchał. Znów się położyli.

– Porządny z ciebie człowiek – mruknął Ilja. I zapadł w głęboki sen.

Godzinę później coś go obudziło. Jakiś dźwięk albo światło księżycy za oknem. W nie do końca przytomnym umyśle pojawiła się niewyraźna obawa, że zapomniał o czymś ważnym. Ale o czym, do diabła? A tak, pieniądze. Gdzieś z zakamarków snu wyłoniło się przypuszczenie: a jeśli wszyscy Cyganie rzucą się na biednego Suworina i zabiorą mu pieniądze? O nie, on ich przechytry.

Podniósł się z trudem, przeszedł po omacku do Suworina i zaczął go szarpać.

– Paczka z pieniędzmi. Daj mi ją.

Suworin posłusznie wygrzebał pakiet z fałdów ubrania.

Ilja chwiejnie wrócił na swoją ławę. Gdzie schować pieniądze? Otworzył kufer, usiłując wypatrzeć coś w jego wnętrzu. Głowa mu opadła. Ależ był śpiący... O, to wystarczy!

Na dnie kufra leżał tomik poezji Dzierżawina. Grzbiet się w nim oderwał i Ilja musiał związać książkę sznurkiem. Teraz rozsuptał sznurek, wsunął pakiet pod okładkę i zawiązał znowu. Żaden Cygan nie spojrzy nawet na książkę, pomyślał, zamykając wieko.

– Muszę czuwać – mruknął do siebie Ilja i podobnie jak Suworin, który już głośno



chrapał, natychmiast zapadł w głęboki sen. Obudził się dopiero późnym rankiem.

Zaraz po przyjeździe do domu Ilja odstawił tomik Dzierżawina na półkę. Nie pamiętał, że w nocy się budził i schował w nim pieniądze.

Dlatego był niebywale zaskoczony, gdy ojciec, przejrawszy dostarczone przez Suworina rozliczenia, stwierdził, że brakuje połowy pieniędzy.

– Suworin, przecież ty je miałeś – usprawiedliwiał się Ilja płaczącym tonem.

– Ale zabraliście ode mnie banknoty, panie – odpowiedział olbrzym z lekkim zniecierpliwieniem.

– Przysięgasz, że to prawda? – spytał ostro Bobrow.

– Przysięgam.

Biedny Ilja był skonsternowany.

– Pamiętam jedynie, że dałem je tobie.

Tatiana przeszukała walizkę i ubrania Ilji i wróciła zatroskana, kręcąc głową. Wtedy Aleksander Bobrow podjął straszną decyzję.

– Ukradłeś je, Suworin. Jutro zdecyduję, co z tobą zrobić.

W pewnym sensie Aleksander Bobrow był zadowolony. Zawsze żałował, że w sprawie Suworinów uległ naleganiom żony, ale nie zamierzał cofnąć danego słowa. Jednak teraz, gdy nadarzyła się okazja, by uznać Suworina ojca za złodzieja, zamierzał ją wykorzystać.

– Albo on jest kłamcą, albo twój syn – rzucił ostro, gdy Tatiana próbowała wstawić się za biednym chłopem. A kiedy przypomniała mu, że według słów Suworina Ilja był pijany, stwierdził: – Tym łatwiej było go okraść. Zrozum – ciągnął – jeśli dasz takiemu człowiekowi szansę na wykup, to będzie go korcić, żeby kraść, byle tylko mieć czym zapłacić.

Była to bzdura. Tatiana powiedziała mu to wprost. W głębi serca on też się z nią zgadzał. Jednak fakty były niepodważalne, nawet Tatiana musiała to przyznać. A to, co się wydarzyło, było Bobrowom bardzo na rękę.

Następnego dnia Aleksander Bobrow zwołał sąd. Czyli wezwał do siebie Suworina, a sam zgodnie z prawem pełnił funkcję oskarżyciela, sędziego, ławy przysięgłych i kata. Ponieważ oskarżył Suworina o poważną kradzież na swoją szkodę, wyrok musiał być surowy.

– Zsyłam cię na Syberię – oświadczył.

Nie musiał nawet dodawać, co ten wyrok oznacza: wszystko, co należy do rodziny skazańca, przejdzie w ręce Bobrowów, w tym pieniądze, które Suworin zapłaciłby za swoją wolność. A jego syn, teraz zupełnie bez grosza, nadal będzie poddanym chłopem. Co za szczęśliwe zrządzenie losu!

– Nie możesz tego zrobić – zaprotestowała Tatiana. – To wbrew prawu.

Prawo mówiło, że pan nie może zesłać na Syberię chłopca, który skończył czterdzieści pięć lat. A Suworin miał czterdzieści osiem.

Jednak prawo traciło swoją siłę w konfrontacji z właścicielem ziemskim.

– Wyślę go do wojskowego gubernatora Włodzimierza – oświadczył Aleksander twardo. – To mój przyjaciel.

I nie zmienił zdania, choć Tatiana nagabywała go przez cały dzień.

Aleksander Bobrow po cichu świętował swój tryumf. Postąpił zgodnie z prawem, mniej więcej. Przechytrzył tych przebiegłych chłopów i znacznie podniósł wartość majątku. A pewne drobne znaki mówiły mu ostatnio, że ma na to coraz mniej czasu.

W jakimś sensie współczuł Suworinowi – choć uparcie obstawał przy jego winie. Tłumaczył sobie jednak, że takie nieoczekiwane i przypadkowe odmiany losu mogą się przytrafić każdemu. On też to przeżył, gdy Katarzyna wtrąciła go do więzienia. Takie rzeczy zawsze będą się w Rosji zdarzać.

Następnego dnia Suworina zakuto w kajdany i przewieziono do Włodzimierza, skąd niewielkie oddziały regularnie wyruszały w bardzo długą podróż na Syberię.

I tego samego dnia Tatiana zasiadła do pisania listu.

Sawa wziął w dłonie mały, poczerniały przedmiot. Uśmiechnął się. Od dawna miał ochotę na ten skarb, a teraz mógł sobie na niego pozwolić.

Wreszcie się im udało. Jeszcze dwa tygodnie w Moskwie, a będzie miał pieniądze na wolność dla siebie i ojca. Jedyne, co mi pozostaje, pomyślał z uśmiechem, to wydostać się z tego sklepu.

– Ładna – powiedział siwobrody sprzedawca. – I stara. Chyba sprzed Iwana Groźnego.

Sawa skinął głową. Też tak myślał.

Była to nieduża, niepozorna ikona. W sklepie wisiało wiele innych, większych i bardziej kolorowych. Tak jak na wszystkich starych ikonach, farba na niej poczerniała, potem nałożono nową warstwę, a ta znów poczerniała. W swoim długim życiu ikona przechodziła przez ten proces dwa albo trzy razy. Nawet teraz poważne postacie Matki Bożej z Dzieciątkiem słabo odcinały się od pociemniałego bursztynowego tła. Dlaczego więc Sawa przykładał do niej taką wagę?

Otóż wiedział, że prawdziwe piękno ikony jest widoczne jedynie dla wyszkolonego oka i że tylko ktoś z duchowym wyczuciem może ją docenić. Ikona była nie tylko wizerunkiem, była też modlitwą. W zmieniającym się świecie te niewielkie obrazy poważano za ich wdzięk i prostotę – te zaś wywodziły się z religijnej intencji dłoni, która je malowała. Dlatego większość ikon była fałszywa, skalana: tylko w niewielu, bardzo niewielu widać było ogień ducha tak czysty jak z początków chrześcijaństwa. Takie ikony, malowane i przemalowywane przez religijne dłonie, były czczone przez tych, którzy rozumieli. Przez ludzi takich jak Sawa.

Sawa zapłacił, czując wielkie zadowolenie. Teraz musiał wyjść.

Ale jak zawsze nie było to łatwe. Stary sprzedawca już zagradzał mu drogę do drzwi. Dołączyli do niego dwaj młodszy mężczyźni, przyjaźni, ale o poważnych twarzach.

– Zostałbyś ciepło przyjęty, przecież wiesz – przypomniał mu starzec po raz chyba dwudziesty. – Dołącz do nas. Nie sprzedałbym tej ikony byle komu – dorzucił uroczyście.

– Dziękuję, ale nie – odparł Sawa jak wiele razy przedtem.

– Pomożemy ci się wykupić – zaproponował jeden z młodszych mężczyzn.

Ale i teraz Sawa nie zareagował. Nie miał ochoty się do nich przyłączyć.

To byli starowiercy. Tak nazywano obecnie dawnych raskolników, którzy oderwali się od Cerkwi półtora wieku wcześniej. W Rusce po samospaleniu nie pozostał ani jeden, a w wyniku prześladowań większość i tak przeniosła się do dalekich prowincji. Za

panowania Katarzyny przyznano im wolność wyznania, dzięki czemu w Moskwie powstała dość duża społeczność starowierców. Podzielili się nawet na kilka rywalizujących grup: jedni mieli własnych popów, inni ich nie uznawali. A najbardziej znaczące było grono, do którego należał właściciel sklepu.

Sekta teodozjańska była bogata i wpływowa. Ich główna siedziba znajdowała się w dawnej wiosce Preobrażenskoje, która obecnie stała się przedmieściem Moskwy. Kilka gmin działało w mieście i poza nim. Sekta miała łaźnię publiczną. Jej członkowie zajmowali się przemysłem i trudnili handlem, a dzięki wyłącznej koncesji nadanej przez Katarzynę to oni sprzedawali najpiękniejsze ikony. Jednak w tej wspólnocie najbardziej zadziwiająca była organizacja ekonomiczna.

Teodozjanie prowadzili – jak byśmy dziś powiedzieli – spółdzielnie. Członkowie wspólnoty mogli otrzymać ze wspólnej kasy nisko oprocentowaną pożyczkę na rozpoczęcie działalności gospodarczej. We wszystkich przedsiębiorstwach – a zaliczały się do nich także duże fabryki włókiennicze – biednych otaczano opieką. Ale nawet jeśli komuś udało się zgromadzić za życia wielki majątek, po śmierci jego zasoby przechodziły na rzecz wspólnoty. Teodozjanie mieli surowe zasady, byli uczciwi, a co bardziej rygorystyczni przestrzegali też celibatu. To dziwne, niemal monastyczne połączenie kapitalistycznego przemysłu i wiejskiej komuny było unikatową, rosyjską odpowiedzią na wyzwania początków rewolucji przemysłowej.

Wiele razy namawiali Sawę, by przyłączył się do wspólnoty. Daliby mu pieniądze na wykup. Ale za każdym razem, gdy mijał otaczające ich teren wysokie mury, nawiedzała go ta sama myśl: O nie, nie oddam im wszystkiego, chcę być wolny.

W końcu udało mu się wyjść ze sklepu. Ruszył przez Moskwę do swojej skromnej kwatery. Mieściła się w ładnym drewnianym domu stojącym przy piaszczystej uliczce. Nad drzwiami wisiała tabliczka z nazwiskiem – nie, nie jego, bo zgodnie z prawem jako chłop pańszczyźniany nie mógł niczego posiadać na własność, tylko z nazwiskiem jego pana, Bobrowa. Ale już niedługo na tabliczce pojawi się „Suworin”. Zadowolony z siebie, wszedł do środka.

Pięć minut później posłaniec dostarczył mu list od Tatiany.

Niczego przed nim nie ukrywała. Pisała, że jego ojciec jest już w drodze na Syberię, że utracił wszystko, że Bobrow zamierza wysłać człowieka, który ma go sprowadzić do Ruski, gdzie czeka nań jedynie los biednego chłopca. List kończył się niezbyt zawoalowaną radą:

*Cokolwiek postanowisz, pieniądze, które Ci pożyczyłam, należą do Ciebie. Nie musisz mi nic spłacać. Najważniejsze, żeby Tobie nic się nie stało.*

Oto żona jego pana mówi mu, żeby uciekał i zatrzymał jej pieniądze. Zaskakujące postępowanie szlachcianki wobec chłopca.

Jednak Sawa tylko westchnął. To się nie uda. Jeśli złapią mnie z pieniędzmi, uznają, że je ukradłem. Nie pomoże mi nawet jej list. Odliczył sumę potrzebną do spłacenia długu i starannie zapakował banknoty. Zostawi je zaufanemu kupcowi, ten zaś przekaże Tatianie.

Zaczął się zastanawiać, co robić. Nie wróci do Bobrowów. Wolałby umrzeć. Co i tak mnie czeka, pomyślał. A więc ucieknie. Było na to kilka sposobów. Wiosłowanie na

barkach pływających po Wołdze. Katorżnicza praca. Co roku pochłaniała kilka tysięcy ofiar. Ale można było uciec daleko na południowy wschód – i nikt nie zadawał zbędnych pytań. Mógł też wyruszyć na wschód, do odległych syberyjskich osiedli, gdzie ciągle brakowało ludzi. Może udałoby mu się odnaleźć ojca. Na szczęście, myślał, jestem silny.

Wydawało się, że przegrał swój pojedynek z Bobrowem. Mimo to nie zamierzał się poddawać.

Jedno było pewne: już nigdy w życiu nie zobaczy przeklętej Ruski.

Tego dnia, gdy jego ojciec wydalil biednego Suworina z Ruski, Aleksy Bobrow dokonał w prowincji nowogrodzkiej niezwykłego odkrycia.

Kiedy dotarł na miejsce, wiał ostry, wilgotny wiatr. Trzej towarzyszący mu młodzi oficerowie byli w wesołych nastrojach.

– Na pewno nie spodoba mi się nic, co wymyślił ten prostak – stwierdził jeden z pogardą.

Aleksy jednak, minawszy bramę i jadąc dalej po dobrze utrzymanej drodze, czuł coraz większą ciekawość.

Prostakiem był słynny generał Arakcejew.

Zaskakującym wyróżnikiem panowania oświeconego, a dla niektórych wręcz anielskiego cara Aleksandra był fakt, że na najbliższego doradcę wybrał sobie generała Arakcejewa. Może dlatego, że przeciwnieństwa lubią się przyciągać. Generałowi brakowało wykształcenia, był wybuchowy, miał grubo ciosane rysy i chodził lekko pochylony do przodu, jakby przygniatał go ciężar trudnych zadań, które przed sobą postawił. Aleksy zaczął go podziwiać podczas wielkiej kampanii 1812 roku, kiedy to Arakcejew wspianale dowodził artylerią.

– Może i jest nieokrzesany – powiedział do towarzyszy. – Ale jest wierny carowi i umie działać skutecznie.

Jak wielu szczerých żołnierzy – tak Aleksy lubił o sobie myśleć – ucieszył się, gdy car mianował Arakcejewa najbliższym doradcą.

I właśnie w prowincji nowogrodzkiej na polecenie cara generał wprowadzał jeden z największych eksperymentów społecznych w historii Rosji.

Już od pierwszej chwili Aleksy zauważył, że ogromny majątek, do którego wjechali, ma w sobie coś dziwnego. Chłopi wyglądali tam inaczej, na drodze nie było kolein. Ale gdy dotarli do wioski, aż wybałuszył oczy ze zdumienia.

To nie była rosyjska wieś. Zamiast chaotycznego zbiorowiska chłopskich chałup stały tu rzędy schludnych domów. Wszystkie takie same – pomalowane na niebiesko, z czerwonymi gankami i białymi płotami.

– Dobry Boże – mruknał Aleksy. – Wyglądają jak koszary.

A potem zauważył dzieci. Małych chłopców, najwyżej sześcioletnich. Pod kierunkiem sierżanta maszerowali idealnie równym krokiem i śpiewali. Mieli na sobie mundury. Dopiero teraz Aleksy się zorientował, co go tak zaskoczyło na samym początku: wszyscy byli identycznie ubrani, a żaden z mężczyzn nie miał zarostu.

– U nas panuje idealny porządek – wyjaśnił młody oficer, który ich oprowadzał. – Dla chłopców mamy mundury w trzech rozmiarach. To ich codzienny ubiór. Mężczyźni muszą się golić, tak jest porządniej. Do tego żelazna dyscyplina. Kiedy przychodzi czas

pracy na polu, słycać bęben. – Uśmiechnął się. – Potrafią nawet kosić łąkę w jednym rytmie.

A gdy po kilku minutach wprowadzono ich do jednej z chat, Aleksy nie posiadał się ze zdumienia. Dom był nieskazitelnie czysty.

– Jak wy to robicie? – spytał.

– Kontrole. Proszę spojrzeć. – Oficer wskazał kartkę wiszącą na ścianie. – To spis wszystkich przedmiotów. I wszystkie muszą aż lśnić.

– A jak się wam udaje utrzymać dyscyplinę?

– Wystarczy trzcina. Za każde niedociągnięcie chłosta. Posypujemy trzcinę solą – dorzucił.

Aleksy zauważył coś jeszcze. W odróżnieniu od zwykłych wiosek było tu tyle samo kobiet co mężczyzn.

– Każdy musi wziąć ślub – tłumaczył im przewodnik. – Wszystko jedno, czy chce, czy nie chce. Kobiety powinny być nam wdzięczne. Nie ma tu wdów ani starych panien, każda dostaje męża.

– Więc pewnie macie tu dużo dzieci – zauważył Aleksy.

– Owszem. Jeśli jakaś kobieta nie rodzi regularnie, dostaje karę finansową. Imperium potrzebuje ludzi.

– Czy oni są tu szczęśliwi? – zapytał ktoś.

– Oczywiście. Choć niektóre stare kobiety popłakują – przyznał młody oficer.

– Ale system działa doskonale, sami widzicie. Wszyscy pracują, wszyscy są posłuszni, a my się o wszystkich troszczymy.

Wojskowe osiedle generała Arakczejewa zajmowało rozległy teren – stacjonowało tu wojsko, chłopcy byli siłą wcielani do rezerwy, a w czasach pokoju stanowili zmilitaryzowaną siłę roboczą. Podobne osiedla powstawały też na południu, na Ukrainie.

– Za trzy lata – opowiadał przewodnik – jedna trzecia rosyjskiej armii zamieszka w takich wsiach.

Niewątpliwie przedsięwzięcie robiło wielkie wrażenie.

Dlaczego jednak ten car epoki oświecenia pozwolił swojemu poplecznikowi na tworzenie takich enklaw totalitaryzmu? Dla zwykłej korzyści? Z pewnością był to najtańszy sposób na zapewnienie wojsku zajęcia i pożywienia w czasie pokoju. Może, jak niektórzy podejrzewali, car zdecydował się na ten eksperyment, licząc, że kiedyś uda mu się osłabić kontrolę konserwatywnej szlachty nad armią? A może car Aleksander, mając, jak jego ojciec, militarne skłonności i nie mogąc już znieść chaotycznej, odpornej natury bezkresnych rosyjskich ziem, postanowił – wzorem wielu reformatorów przed nim i po nim – narzucić gdzieś porządek bez względu na cenę? Nie wiadomo, które wyjaśnienie jest najbliższe prawdy, ale te wojskowe osiedla – ze swoją żelazną dyscypliną, straszliwą symetrią i całkowitym oddaniem państwu – na pewno spodobałyby się Piotrowi Wielkiemu.

Aleksy patrzył na osiedle jak na objawienie. Przecież sam poświęcił się służbie wojskowej. Nigdzie nie widział czegoś tak doskonałego jak dzieło Arakczejewa. Jakże daleko temu miejscu do obscurnego chaosu Ruski i niezliczonych podobnych jej majątków! I jak armia była dla niego ucieczką od nieudacznictwa, które dostrzegał we

własnej rodzinie, tak to osiedle wydało mu się lekiem na wszystko, co go w Rosji irytowało. Widział jedynie, że ludzie są tu pracowici i mają co jeść – widział to, co chciał widzieć. Bo podczas gdy jednych pociąga władza, innych fascynuje porządek. Aleksy był zauroczony.

Tego dnia w jego umyśle zakorzenił się prosty, sztywny nakaz, który bez względu na okoliczności wszystkiemu nadawał sens: najlepiej można służyć carowi, wprowadzając porządek. Z tego nakazu wyrastała druga zasada: wszystko, co sprzyja zaprowadzeniu porządku, jest słuszne.

– Mnie, prostemu żołnierzowi, to wystarcza – mówił do siebie.

A latem następnego roku, gdy Ilja wyjechał z przyjacielem rodziny w zagraniczną podróż, Aleksy, będąc w Rusce, przez przypadek zdjął z półki zniszczony tomik poezji Dzierżawina. Znalazłszy banknoty, od razu się domyślił przebiegu wydarzeń. Ale nic już się nie dało zrobić. Suworin był na Syberii. Jego syn uciekł. Aleksander Bobrow zapadł na zdrowiu.

Poza tym przyznanie się, że wyrok na Suworina był pomyłką, nie przyniosłoby nic dobrego ani ich rodzinie, ani ich klasie, nie mówiąc o tym, że zaburzyłoby porządek.

Schował pieniądze w bezpiecznym miejscu, nic nikomu nie powiedziałwszy.

*Rok 1825*

Gdyby zapytać Rosjanina, jaką datę w XIX wieku uważa za najbardziej pamiętną, odpowiedź byłaby jedna: grudzień 1825 roku.

Była to data pierwszej rosyjskiej rewolucji.

Spisek dekabrystów był wyjątkowym wydarzeniem historycznym ze względu na swój szczególny charakter. Oto bowiem garstka arystokratów, działając ze szlacheckich pobudek, postanowiła – niestety, było to przedsięwzięcie bardzo dyletanckie – zapewnić wolność ludowi.

Żeby zrozumieć, jak do tego doszło, należy wrócić do czasów panowania Katarzyny, gdy idee oświecenia i wolności po raz pierwszy zakorzeniły się wśród szlachty. Pomimo wstrząsu, jakim była rewolucja francuska, i pomimo lęku przed Napoleonem – pod panowaniem Aleksandra idea zreformowania Rosji nadal się rozwijała. A było co reformować: niemal średniowieczny system prawny, instytucję poddaństwa, rząd, który mimo formalnego istnienia Senatu tak naprawdę był prymitywną autokracją. Ale co można było na to poradzić? Brakowało zgody. Zwołani przez Katarzynę przedstawiciele szlachty, kupców i chłopów zwyczajnie się ze sobą pokłócili. Brakowało starych, zakorzenionych instytucji – takich jak na Zachodzie – na których by się dało coś zbudować. Na podobne przeszkody natknął się car Aleksander: powstawały wspaniałe plany, ale każda próba wprowadzenia ich w życie szybko tonęła w morzu rosyjskiej obstrukcji i nieudolności.

Choć szlachta była lojalna, nawet nie chciała słyszeć o uwolnieniu chłopów: w 1822 roku car przywrócił nawet prawo zsyłania ich na Syberię. Wszyscy bali się jakiegoś nowego Pugaczowa. A rząd przekonał się, że szukając nowych sposobów na wydobycie kraju ze społecznej stagnacji, tak naprawdę może jedynie dokonywać

małych zmian w systemie, próbować utrzymywać porządek i przeprowadzać takie eksperymenty jak ten w wojskowych osiedlach.

Nic więc dziwnego, że po kilku latach część młodej, liberalnie nastawionej arystokracji uznała, że anielski car ich oszukał. Do otwarcia ich umysłów przyczyniły się oświeceniowe idee, a zwycięstwo nad Napoleonem – a w niektórych przypadkach także kontakt z mistycznym wolnomularstwem – przepełniło ich patriotycznym zapałem. Święte Przymierze cara Aleksandra było inspirujące, gdy sięgano wzrokiem poza granice kraju, ale tu, na miejscu, Rosję coraz bardziej przytłaczał surowy autorytaryzm generała Arakczejewa. I tak oto w kilka lat po kongresie wiedeńskim związała się luźna grupa oddana zmianie, a nawet rewolucji.

Właściwie byli sami. Idealistyczna garstka nawet we własnej klasie społecznej. Klasa średnia, wciąż bardzo nieliczna, była konserwatywna i nieskora do działania, a lud ciemny i niedouczony.

Brakowało im też wspólnego planu. Jedni opowiadali się za monarchią konstytucyjną na wzór angielski, inni, pod przywództwem zapalczywego oficera Pestela, chcieli zabić cara i ustanowić republikę. Snuli potajemne plany, spiski, nadzieje i nie robili nic.

A potem, zupełnie nieoczekiwanie, w listopadzie 1825 roku car Aleksander zmarł – prawdopodobnie zabiła go gwałtowna gorączka – nie pozostawiając po sobie syna. Sukcesja przechodziła na jego braci: Konstantego, wnuka Katarzyny, który w jej marzeniach miał władać Konstantynopolem, oraz młodszego Mikołaja, pełnego dobrych chęci, ale pozbawionego wyobraźni.

Konspiratorzy zastanawiali się, co robić, a tymczasem doszło do całej serii dziwnych wydarzeń. Wielki książę Konstanty, dowodzący armią w Polsce, już wcześniej ożenił się z polską arystokratką i rzekł pretensji do tronu. Car Aleksander przyjął to do wiadomości i wydał manifest, w którym następcą tronu mianował Mikołaja. Jednak całą sprawę utrzymywano w tak głębokiej tajemnicy, że nawet biedny Mikołaj o niczym nie miał pojęcia. W efekcie po śmierci cara Konstanty natychmiast złożył przysięgę Mikołajowi, a Mikołaj z rosyjską armią złożył przysięgę jemu. Gdy w końcu wyjaśniono nieporozumienie, postanowiono, że w grudniu 1825 roku wszyscy jeszcze raz złożą przysięgę, tym razem ogłupiałemu Mikołajowi.

I właśnie w tym momencie konspiratorzy, też raczej zdezorientowani, postanowili przeprowadzić zamach stanu. Było ich naprawdę niewielu i większość wpadła w panikę na myśl o prawdziwym działaniu. Zamierzali wzniecić bunt, zachęcając wojsko do opowiedzenia się po stronie Konstantego. Co się potem stało – nie ma pewności. Były dwie grupy

spiskowców, jedna w Petersburgu i jedna na Ukrainie dowodzona przez Pestela. Nie potrafili się jednak porozumieć i mieli odmienne cele.

Czternastego grudnia rano, kiedy armia i Senat przygotowywały się do złożenia przysięgi, grupa oficerów poprowadziła trzy tysiące zdezorientowanych żołnierzy na plac Senacki. Przybyli późno, kiedy senatorowie złożyli już przysięgę. Na polecenie spiskowców żołnierze zaczęli wołać: „Konstanty i konstytucja!”. Podobno żołnierze byli przekonani, że to dziwne słowo „konstytucja” jest imieniem żony wielkiego księcia.

Żeby uniknąć przelewu krwi, Mikołaj kazał otoczyć oddział. Jednak o zmierzchu, gdy konspiratorzy wciąż nie chcieli ustąpić, oddano kilka salw z kartaczy, zabijając kilkudziesięciu ludzi. I tak oto zdławiono bunt. Niedługo potem stłumiono w zarodku rebelię Pestela na południu. Tylko pięciu przywódców skazano na śmierć.

Tak przebiegło powstanie dekabrystów. Elitarne, nieudolne i nieco bezsensowne. Mimo to – a może właśnie dlatego – heroiczne szaleństwo tych arystokratów niczym męczeństwo pierwszych chrześcijan stało się inspiracją dla przyszłych rewolucjonistów.

Młody car Mikołaj przeżył wstrząs. Był człowiekiem prostym, wierzącym w służbę. I uważał, że tak samo myśli arystokracja. Z jakiego powodu ci ludzie odważyli się poderwać jego święte zaufanie? Miał ich zeznania zebrane w książce, która zawsze leżała na jego biurku i którą czytał z wielką uwagą. Dowiedział się z niej, że Rosja potrzebuje praw, wolności i konstytucji. Nie był szczególnie inteligentny, ale dobrze to sobie przemyślał.

Najpierw jednak należało zaprowadzić porządek.

*Rok 1827*

Zaczynało się lato i Tatiana była szczęśliwa: oto bowiem nagle, po ciszy i smutku, dom wypełniły radosne głosy. Wytrąciły ją ze stanu bezruchu, dlatego tak się cieszyła na nadchodzące letnie miesiące. Moje dzieci przyjechały do domu, myślała z uśmiechem.

Przez półtora roku po śmierci Aleksandra często czuła się samotna, mając do towarzystwa jedynie Ilję, który od czasu do czasu wyjeżdżał do rizańskiego majątku. Rok wcześniej Olga straciła męża – zginął na służbie – a była wtedy w ciąży z drugim dzieckiem. Dzięki Bogu, nie musiała się martwić o utrzymanie, bo majątek pod Smoleńskiem był naprawdę duży. A jesienią poprzedniego roku podczas epidemii cholery zmarła też żona Aleksego. Niedługo potem on sam miał wyruszyć ze swoim regimentem na wojnę, więc pewnego zimowego ranka do Bobrowa przybyły sanie, a w nich drobny, wychudzony i przemarznięty pięcioletni Michaił, którym miała się zająć babcia.

– Tylko dopóki Aleksy nie ożeni się ponownie – oświadczyła Ilji.

Podeszła do tego ze spokojem. Na nowo przyjęła na służbę nianię, starą Arinę, i jej siostrzenicę do pomocy. Pod ich opieką mały Michaił – zwany Miszą – okazał się miłym, grzecznym dzieckiem, podobnym do ojca. Arina znalazła we wsi malucha w tym samym wieku – najmłodszego syna Iwana Romanowa, Timofieja – i wkrótce obaj chłopcy bawili się radośnie całymi dniami.

– Niedługo mały całkiem wydobrzeje – orzekła Arina.

A wiosną nadeszły dobre wieści: Olga zapowiedziała przyjazd z dziećmi na lato. Tydzień później doręczono list od Aleksego. Jesienią spodziewano się kampanii przeciwko Turkom. „Ale dostałem trzy tygodnie urlopu, który zamierzam spędzić z Tobą i ze swoim synem” – pisał Aleksy.

– Będziemy miały pełne ręce roboty – zapowiedziała Tatiana niani z radością w głosie.

Z czworga jej dzieci miało zabraknąć jedynie Siergieja.

– Może to i lepiej – przyznała.



Początkowo Olga nie widziała żadnego zagrożenia.

Ależ była szczęśliwa, mogąc znów zamieszkać w prostym, zielono-białym domu, patrzeć w dół zbrocza na rzekę, gdzie rosły słodko pachnące sosny! To było jak powrót do czasów dzieciństwa, na łono rodziny. Z radością patrzyła na dzieci oddane pod czułą opiekę Ariny. Stara niania miała już tylko trzy zęby, na kochanym okrągłym obliczu pojawił się ślad zarostu. Za to jej siostrzenica – nazywali ją młodą Ariną – była ładną, wesołą szesnastolatką, szybko uczącą się wszystkiego od starej ciotki. Olga całymi godzinami przesiadywała z nimi na werandzie, słuchając cudownych baśni, które Arina opowiadała Miszy.

Ból po śmierci męża, najpierw niemal nie do zniesienia, powoli ustępował. Ciche rosyjskie lato niosło ukojenie.

W domu panowała atmosfera szczególnej łagodności. Także Aleksy doświadczył wielkiej straty – i to zmiękczyło mu serce.

– Zawsze się pocieszałem – zwierzał się Oldze – że gdy ja zginę, co się przecież może zdarzyć jesienią podczas wojny z Turcją, Misza będzie miał przynajmniej matkę. A teraz uczyniłbym go sierotą.

Nie pokazywał tego po sobie, ale Olga widziała, że każdy dzień spędzony z synem jest dla niego jak skarb.

Może tylko śmiechu było mniej niż dawniej. Kiedy siadała obok starej Ariny, myślała o Siergieju i jego zaraźliwej wesołości. Od kilku tygodni nie miała od niego listu i często się zastanawiała, co się z nim dzieje. Jednak i ona była wdzięczna losowi, że go tu nie ma.

Półtora roku wcześniej, podczas pogrzebu ojca, i tak napięte stosunki między Siergiejem a Aleksym osiągnęły punkt krytyczny. Mijały wtedy dwa miesiące od buntu dekabrystów. Ubrana na czarno rodzina zebrała się w salonie, a Aleksy oznajmił z powagą, że dzięki Bogu wszyscy spiskowcy zostali z łatwością schwytani. Olga nie mogła pojąć, czemu Siergiej musiał się wtedy odezwać, ale on oświadczył beztrasko: „Znam kilku z nich. Gdyby mnie tylko uprzedzili, od razu bym się do nich przyłączył. – A potem niemal płacząco dodał: – Nie rozumiem, czemu nikt mi nie powiedział”.

Mimo żałoby Olga nie mogła powstrzymać śmiechu. Doskonale rozumiała, czemu konspiratorzy nie zdradzili się przed jej gadatliwym bratem.

Ale słowa Siergieja wstrząsnęły Aleksym. Jego blada twarz zrobiła się biała ze złości. A po chwili milczenia odezwał się głosem, który – mimo że ledwo głośniejszy od szeptu – mógłby poruszyć mury: „A ja zupełnie nie rozumiem, dlaczego jesteś wśród nas. Wolałbym, żeby cię tu nie było”. Potem już się do siebie nie odzywali.

Kochała Siergieja, ale była zadowolona, że nic nie psuje spokoju tego lata.

I być może z powodu tej sielskiej atmosfery nie dostrzegła zagrożenia.

A nazywało się ono Fiodor Piotrowicz Piniegin. Fiodor był przyjacielem – choć może raczej tylko znajomym – Aleksego, który zaprosił go do Bobrowa. Nie skończył jeszcze trzydziestu lat, jak sądziła Olga; miał surowe rysy twarzy, piaskowe włosy i niebieskie oczy o nieodgadnionym wyrazie.

– To dobry człowiek, nieco samotny – tłumaczył jej Aleksy. – Widział w wojsku wiele, ale nie lubi o tym mówić.

Rzeczywiście, gdy inni rozmawiali, on siedział w milczeniu, pykając krótką fajkę i z rzadka wyrażając swoje zdanie. Miał jedno dziwactwo: zawsze nosił białą wojskową tunikę i spodnie – choć Olga nie umiała zgadnąć, czy to z powodu upodobań, czy może braku innych ubrań. A kiedy go zapytała, co lubi najbardziej, odparł:

– Polowanie.

Ponieważ Aleksy był zajęty w majątku, a Ilja rzadko się ruszał ze swojego fotela, to właśnie Fiodor najczęściej towarzyszył jej na przechadzkach. Co się okazało zaskakująco przyjemne. Mało mówił, za to umiał słuchać. I miał w sobie jakiś spokój i siłę, która jej się spodobała.

Olga była świadoma swojej urody. Miała dwadzieścia cztery lata, szczupłą sylwetkę, niebieskie błyszczące oczy, miękkie ciemne włosy i żywiołowy wdzięk, który miłośnikowi koni przywodził na myśl araba czystej krwi. W małżeństwie zyskała też pogodę ducha, którą udało jej się ocalić podczas wdowieństwa i która sprawiała, że zarówno kobiety, jak i mężczyźni czuli się przy niej swobodnie. Wydawało jej się, że podoba się Pinieginowi, ale nie poświęcała temu szczególnej uwagi.

W okolicy było wiele pięknych miejsc. Zaraz za domem zaczynała się długa ocieniona alejka prowadząca przez brzozowy zagajnik. Można też było spacerować nad rzeką, w pachnącym cieniu sosen. Jednak Olga najbardziej lubiła chodzić przez las do klasztoru.

Kochała klasztor. Po panowaniu Katarzyny w wielu rosyjskich monasterach – czerpiących tak jak przed wiekami inspirację ze świętej góry Athos w Grecji – odrodziła się żarliwa duchowość. I przed dziesięcioma laty ten prąd dotarł także do Ruski. Mnisi przywrócili do życia starą pustelnię, skit, leżącą po drugiej stronie rzeki niedaleko źródełek.

Olga dwa razy odwiedziła monaster w towarzystwie Piniegina. Z dumą pokazała mu małą ikonę Rublowa, którą Bobrowowie ofiarowali klasztorowi dawno temu. Piniegin niewiele mówił, ale najwyraźniej zrobiło to na nim wrażenie.

Za drugim razem Olga zabrała ze sobą małego Miszę. Chłopiec czuł się przy Pinieginie onieśmielony i nie chciał iść obok niego. Ale gdy się zmęczył w drodze powrotnej, Fiodor chwycił go na ręce i zaniósł do domu. Olga podziękowała mu za to uśmiechem.

– Jeśli będziesz chciał, to któregoś dnia możemy się wybrać do starych źródeł i do mnisiej pustelni – zaproponowała.

Piniegin chętnie się zgodził.

Dzień mijał za dniem. Piniegin udawał się czasem wczesnym rankiem na polowanie; Ilja nieustannie czytał, Olga chodziła na popołudniowe spacery. A wieczorami grali w karty. Zazwyczaj wygrywała Tatiana, Piniegin z reguły był tuż za nią. Olga przypuszczała, że gdyby tylko chciał, mógłby wygrywać znacznie częściej.

Jedyny powód jej zmartwień nie miał nic wspólnego z Pinieginem. Dotyczył majątku.

Właściwie nie działo się nic złego. Ot, ciąg drobnych problemów, dla których z pewnością można było znaleźć lepsze rozwiązanie. Oczywiście o ile Aleksy wyraziłby na to zgodę. Bo gdy na przykład potrzebowano nowego wozu, szorstko nakazywał

chłopom, by się lepiej starali i nadal używali starego. Wycinał drzewa o wiele szybciej, niż sadił nowe.

– Potrzebna jest dyscyplina, a nie pieniądze – mówił.

– Podczas jego nieobecności to ja wszystkiego doglądałam – uspokajała córkę Tatiana. – Ale on nie pozwala na wprowadzanie żadnych ulepszeń. A po odejściu Suworinów – przyznawała – dochody z majątku znacznie zmaleły.

Dwa lata wcześniej nadeszła z Syberii wiadomość, że Iwan Suworin zmarł. O Sawie nie mieli żadnych wieści. Olga ze smutkiem zauważała drobne oznaki ubożenia rodzinnego majątku, ale nie martwiła się tym nadmiernie. Gdyby wpadli w prawdziwe tarapaty, Aleksy musiałby wyciąć wiele kilometrów lasów.

Gdy później wracała myślą do tamtych dni, przychodziło jej do głowy, że powinna była dostrzec drobną wskazówkę. Pewnego poranka wychodziła na spacer do lasu i zapytała Piniegina, czy nie chciałby jej towarzyszyć.

– Chętnie – odparł. – Ale obawiam się, że towarzystwo zwykłego żołnierza może być dla pani nudne.

Żeby nie okazać nieuprzejmości, zaprotestowała z uśmiechem:

– Ależ skąd, Fiodorze Piotrowiczu! Uważam wręcz, że jest pan bardzo interesującym człowiekiem.

Ze zdziwieniem zauważyła, że chyba się zaczerwienił. Poczula coś w rodzaju nie do końca uświadomionej satysfakcji, ale zaraz o tym zapomniała.

Cennym, choć czasem męczącym nawykiem Aleksego było to, że – podobnie jak jego matka i większość wieśniaków – w każdą niedzielę szedł do cerkwi. I choć nie padło na ten temat ani jedno słowo, było oczywiste, że wszyscy domownicy powinni mu towarzyszyć. Aleksy nie chodził jednak do drewnianej cerkwi we wsi, w której raz w tygodniu pop odprawiał nabożeństwo, ale do starej kamiennej świątyni przy placu targowym w Rusce.

– Może i ja bym chodził – mówił Ilja zrzędliwie – gdyby nie ten przeklęty pop.

Rzeczywiście kapłan w Rusce nie był sympatycznym człowiekiem. W owym czasie klasztory w Rosji się odradzały, czego jednak nie dało się powiedzieć o duchowieństwie. Stanem kapłańskim pogardzano, często z powodu jego moralności, a pop w Rusce nie robił nic, żeby ten wizerunek poprawić. Był tęgim mężczyzną z rudymi włosami i gromadą dzieci, które – jak powiadano – kradły na targu jedzenie. A sam pop nigdy nie przepuścił okazji do najedzenia się u parafian albo wyciągnięcia od nich pieniędzy. Mimo to w każdą niedzielę Aleksy uczestniczył w długim nabożeństwie, żeby potem otrzymać błogosławieństwo z tłustej ręki kapłana. Olga oczywiście dotrzymywała bratu towarzystwa.

I oto pewnej niedzieli, gdy szli przez plac do powozu, Aleksy rzucił od niechcienia:

– Piniegin naturalnie nie ma pieniędzy, ale jeśli chcesz go poślubić, to nie będę się sprzeciwiał.

Poślubić? Spojrzała na niego zdumiona.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Spędzacie razem dużo czasu. On na pewno myśli, że jesteś nim zainteresowana.

– Tak ci powiedział?

– Nie. Ale jestem tego pewien.

Czyżby go bałamuciała? Nie, to niemożliwe.

– Nigdy o tym nie myślałam – przyznała szczerze.

Skinął głową.

– No cóż, jesteś wdową i jesteś bogata. Możesz robić, co ci się podoba. Ale uważaj.

– A potem powiedział coś, co zdziwiło ją jeszcze bardziej. – Nie igraj z nim. To bardzo niebezpieczny człowiek.

Nie wiedziała, co to może znaczyć, a on nie chciał nic więcej powiedzieć.

Dlatego przez cały następny tydzień zachowywała ostrożność. Nie była chłodna, bo to mogłoby wyglądać na nieuprzejmość. Traktowała gościa przyjaźnie jak do tej pory, ale kilka razy poszła na przechadzkę sama, a gdy on miał jej towarzyszyć, zabierała matkę albo Aleksego. I przez cały czas uważnie obserwowała Piniegina, zastanawiając się, dlaczego miałby być niebezpieczny.

Pewnego popołudnia na początku czerwca, gdy cała rodzina siedziała przy herbacie na werandzie, w oddali pojawiło się coś w rodzaju małej trąby powietrznej. Wir przesunął się wzdłuż alejki, zniknął za drzewami, a potem znów wyłonił się przy parkowej bramie.

– Na Boga! – zawołał Ilja. – To trojka!

Trojka – najbardziej wytworny zaprzęg w całej Rosji. Nie wiadomo dokładnie, kiedy ta moda się pojawiła – niektórzy twierdzili, że przysłała z Węgier – ale jeśli młody arystokrata chciał się popisać przed światem, znajdował sobie najlepszego stangreta i kazał zaprzęgać trojkę.

Zaprzęg składał się z trzech koni ustawionych obok siebie. W środku, pomiędzy hołoblami, biegł kłusak, a konie po jego bokach poruszały się galopem, jeden niemal z gniewem, a drugi kokieteryjnie. Trojką niełatwo było powozić, ale uchodziła za modną i bardzo elegancką. I właśnie taki zaprzęg ciągnął pojazd, który w chmurze kurzu wjeżdżał teraz na zbrocze.

Gdy zbliżył się do domu, można było w nim dostrzec dwóch pasażerów. Ale to na widok wspaniale ubranego stangreta, który z radosnym okrzykiem zeskoczył na ziemię, Aleksy mruknął pod nosem:

– A kogóż to diabli niosą?

To był Siergiej. Kiedy zgodnie z rosyjskim zwyczajem trzy razy ucałował każdego na powitanie, oświadczył beztrząskko:

– Witajcie, kochani. Zostałem tu zesłany.

Wiadomo było, że prędzej czy później wpakuje się w tarapaty. I jak Olga przypomniała Aleksemu, w dzisiejszych czasach wystarczy byle drobiazg, by narobić sobie kłopotów.

Jednym z pierwszych aktów Mikołaja mających zaprowadzić w imperium porządek polityczny było utworzenie specjalnej tajnej policji, tak zwanego Trzeciego Oddziału, nad którym kierownictwo objął jeden z najbardziej zaufanych przyjaciół cara, budzący strach hrabia Aleksander von Benckendorff. Jego zadanie było proste. Car miał się zastanowić nad reformami w odpowiednim czasie, na razie jednak – i nikt nie wiedział, jak długo miałyby to potrwać – należało się rozprawić ze wszystkimi dekabrystami. Benckendorff wziął się do tego bardzo sumiennie. Jego żandarmi

w jasnoniebieskich mundurach węszyli wszędzie. A szczególną uwagę zwracali na zapalczywych młodzieńców, którzy nie okazywali szczególnego szacunku dla władzy. Między innymi na Siergieja.

Tak naprawdę głównym obiektem zainteresowania policji był szkolny idol Siergieja. Puszkina bowiem stał się już sławny. Jego poezje ukazały się drukiem, a oda *Wolność* naraziła go na kłopoty. Car osobiście nakazał Benckendorffowi ocenzurowanie dzieł Puszkina. Nic więc dziwnego, że Siergiej postanowił pójść w ślady swojego idola i bez zwłoki napisał coś równie szokującego.

Poemat *Żar-Ptak* wydał za własne pieniądze – co było wielkim wyrzeczeniem jak na młodego człowieka ze skromną roczną pensją w wysokości siedmiu tysięcy rubli. Puszkina, któremu natychmiast przekazał jeden egzemplarz, przysłał list pełen wsparcia i zachęty – bo rzeczywiście jak na debiut poemat był całkiem niezły. Tytułowy *Żar-Ptak* był oczywiście zwiastunem wolności. Po dwóch dniach, zanim jeszcze farba drukarska zdążyła dobrze wyschnąć, Benckendorff skonfiskował cały nakład.

Autor nie był sławny, Trzeci Oddział zadziałał błyskawicznie i tydzień później Siergiej zamiast perspektywy popularności miał przed sobą nakaz powrotu do rodzinnego majątku w Rusce i pozostania tam aż do zmiany tej decyzji. Stąd jego przyjazd.

– Mam dla ciebie list, Aleksy – ciągnął Siergiej. – Bardzo ważny – dorzucił, wyciągając go z kieszeni kurtki.

List był od samego Benckendorffa. Aleksy bez słowa wziął kopertę.

Początkowo wydawało się, że wszystko ułoży się dobrze. Oprócz służącego Siergiej przywiózł ze sobą sympatycznego młodzieńca z Ukrainy nazwiskiem Karpienko, którego poznał w Petersburgu. Olga miała więc nadzieję, że dzięki obecności Karpienki i Piniegina uda jej się trzymać braci daleko od siebie.

Widziała, że Aleksy stara się być uprzejmy. Widocznie ułagodził go list od Benckendorffa. „Uważamy – pisał szef Trzeciego Oddziału – że ten młody człowiek jest nieszkodliwym rozrabiaką, ale na jakiś czas przyda mu się trochę odpoczynku na wsi. Wiem też, drogi Aleksy Aleksandrowiczu, że będziecie mieli na niego ojcowskie oko”.

– Na pewno go przypilnuję – oświadczył Aleksy Oldze.

Ale w obliczu świetnego nastroju brata nawet on kapitulował.

Kochany Sierioża. Potrafił żartować ze wszystkiego. Nikt nie mógł się oprzeć jego poczuciu humoru. Ponieważ Tatiana, podobnie jak Benckendorff, pochodziła z krajów nadbałtyckich, uparł się, że będzie jej przynosić swoje wiersze do cenzury. I napisał dla niej na nowo *Modlitwę Pańską*.

– Bo według przepisów Trzeciego Oddziału – tłumaczył – niemal całą modlitwę trzeba będzie wykreślić.

Kiedy zaś przedstawił swoje uzasadnienie, także Aleksy się uśmiechnął.

A Siergiej natychmiast zaczął się droczyć ze starą Ariną.

– Moja kochana nianiu, moja gołąbko – mówił. – Nie możemy pozwolić, żeby jakaś staruszka z głową napakowaną bajkami opiekowała się paniczem Miszą. On potrzebuje angielskiej guwernantki. To jest dzisiaj na czasie. Zaraz po jakąś pošemy.

Misza był wprost zafascynowany cudownym stryjkiem, który układał wiersze i rysował zabawne obrazki.

– Misza, jesteś moim małym misiem – zwykł mawiać Siergiej.

A chłopiec chodził za nim krok w krok.

Siergiej razem z przyjacielem tworzyli przedziwną parę. Karpienko był drobnym, ciemnowłosym dwudziestolatkiem o delikatnych rysach, do tego dość nieśmiałym. Widać było, że jest młodemu Bobrowowi oddany, a ten traktował go bardzo życzliwie. Wystarczyła ze strony Siergieja niewielka zachęta, a oczy Ukrainca rozbłyskiwały i zaczynał naśladować przeróżne osoby, od ukraińskiego chłopca po cara. Karpienko nauczył też małego Miszę tańczyć jak niedźwiedź. A pewnego dnia, po wizycie popa z Ruski, tak zabawnie i wiernie pokazał, jak gruby ksiądz chciwie domaga się jedzenia, a potem próbuje ułożyć rudą brodę na wielkim brzuchu, że Aleksy dosłownie wybuchnął śmiechem.

Mały Misza miał wrażenie, że po śmierci matki i długiej zimie znalazł się nagle w cudownym świecie słońca i magicznych cieni, które zachwycaly, ale których znaczenia nie mógł w pełni zrozumieć.

Oto bowiem w całym majątku unosiła się jakaś zmysłowa atmosfera.

Misza uważał, że Arina, ze swoim młodym, nieco pulchnym ciałem i rudozłotymi włosami, jest piękna. Jej błękitne oczy rozbłyskiwały, gdy pojawiał się stryjek Siergiej albo Karpienko. Wobec Siergieja była trochę nieśmiała, ale nie wzdragała się, gdy ciemnowłosego Ukrainiec obejmował ją ramieniem.

Stryjek Siergiej był po prostu cudowny. Wszyscy go uwielbiali. Godzinami rozmawiał ze stryjkiem Ilją, często nawet po francusku. I z wielką radością siadał u stóp Ariny, żeby posłuchać baśni.

– Przeczytałem wszystkie bajki Kryłowa, ale nawet on nie umie ich opowiadać tak jak ty – mówił wtedy.

Dlatego Misza zdziwił się, gdy pewnego dnia zauważył, że jego ojciec – gdy Siergiej stał do niego tyłem – patrzy na brata ze złością.

– Czy papa nie lubi stryjka Siergieja? – spytał potem Olgę.

– Ależ oczywiście, że lubi – zapewniła go.

Gdy nieco nieśmiało zadał to pytanie ojcu, ten udzielił mu takiej samej odpowiedzi.

Spacerując razem ze wszystkimi brzożową aleją, Misza zauważył, że Karpienko stara się iść obok Olgi. Usłyszał też, jak ona mówi do Siergieja: „Twój przyjaciel chyba się we mnie podkochuje” – a potem wybucha śmiechem.

Czy to możliwe, że Karpienko podkochuje się w dwóch kobietach? – zastanawiał się Misza. No i wreszcie ten Piniegin ze swoją fajeczką, niebieskimi oczami i białą tuniką. Wydawało się, że jest wszędzie i wszystko obserwuje, uśmiechając się lekko od czasu do czasu. Ale była w nim jakaś surowość i powściągliwość, która budziła w chłopcu lęk. Gdy siedzieli kiedyś na werandzie, Misza zapytał:

– Czy pan jest żołnierzem? – A uzyskawszy odpowiedź twierdzącą, kontynuował:

– A czy wszyscy żołnierze zabijają ludzi?

Piniegin zaciągnął się fajką i skinął głową.

– On zabija ludzi – oświadczył Misza pozostałym dorosłym, ale wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Nie widząc w tym nic śmiesznego, postanowił, że dziś już nie będzie zgłębiał tego

świata, i pobiegł bawić się z Timofiejem Romanowem.

Minął tydzień bez żadnego przykrego incydentu. Wszyscy wiedzieli, że Siergieja trzeba trzymać z dala od Aleksego. I wszyscy tego pilnowali.

Olga zdążyła już zapomnieć, jakim zabawnym człowiekiem jest jej brat. Wydawało się, że wie wszystko i zna każdego. Opowiadał jej pikantne historie o intrygach, pojedynkach i romansach moskiewskiej i petersburskiej elity, i to z takimi niewiarygodnymi szczegółami, że ze śmiechu aż musiała się o niego opierać.

Pewnego wieczoru, wysłuchawszy kolejnej opowieści, zapytała go z ciekawością o jego życie miłosne. Zastanawiała się nawet, czy miał wiele kobiet. Ale takiej odpowiedzi się nie spodziewała. Siergiej zaprowadził ją w ustronne miejsce, a potem wyjął z kieszeni mały notes. Na każdej stronie znajdowały się kolumny imion z krótkimi komentarzami.

– To są moje podboje – wyjaśnił. – Te po lewej to platoniczne przyjaźnie, a te po prawej mi się oddały.

Oburzające.

– Cnotliwa Maria Iwanowna też z tobą spała, ty łajdaku?

– Przysięgam. – Przedstawił jej plastyczny opis, a Olga wybuchnęła śmiechem.

– Naprawdę nie wiem, co my mamy z tobą zrobić, Sierioża – powiedziała.

A Siergieja Bobrowa trapiły tylko dwie rzeczy. I o żadnej nie mógł nikomu powiedzieć.

Pierwszą był drobny incydent, do którego doszło na dzień przed jego wyjazdem do Moskwy. Siergiej szedł ulicą ze służącym – młodym chłopem z majątku w Rusce. Był tak zaskoczony, kiedy to się wydarzyło, że zanim w ogóle pomyślał, z jego ust wyrwało się kilka nieostrożnych słów, które mogły mieć dla innych poważne konsekwencje. Nie wiedział, ile młody chłop zrozumiał z tego, co zaszło, ale na wszelki wypadek przykazał mu surowo: „Cokolwiek ci się wydaje, zapamiętaj sobie jedno: nic nie słyszałeś. Chyba że wolisz baty. Zrozumiano?”. Na wszelki wypadek dał mu jeszcze kilka rubli.

Po przyjeździe do Ruski obserwował służącego uważnie, lecz na szczęście nie miał podstaw do niepokoju. Po tygodniu zapomniał o wszystkim.

Jednak drugiego problemu nie dało się tak łatwo rozwiązać. Myślał o nim każdego dnia. I zupełnie nie wiedział, co począć.

Pomysł wydawał się zupełnie nieszkodliwy. Nawet Aleksy się zgodził, gdy na początku drugiego tygodnia Siergiej zaproponował wystawienie amatorskiego przedstawienia. W bibliotece znalazł francuskie tłumaczenie sztuk Szekspira.

– Przetłumaczmy z Ilją kilka scen na rosyjski – oświadczył. – A potem je odegramy.

Przynajmniej mieli jakieś zajęcia.

Dlaczego więc Olga poczuła niepokój?

Na początku nowa zabawa sprawiała jej podwójną przyjemność. Głównie ze względu na Ilję.

Prawdę powiedziawszy, nigdy nie darzyła najstarszego brata wielkim szacunkiem. Pamiętała doskonale, jak przed pięciu laty wszyscy liczyli, że podróż po Europie poprawi mu zdrowie i pchnie go do jakiegoś działania. Rzeczywiście po pobycie we Francji,

Niemczech i Włoszech wrócił szczuplejszy i bardziej zdeterminowany. Dostał w Petersburgu dobrą posadę i wydawało się, że jego kariera rozkwitnie. Ale już po roku wszystko się skończyło: złożył rezygnację i wrócił do Ruski. Owszem, próbował angażować się w sprawy lokalne, ale szybko się zniechęcił brakiem postępów i prostactwem okolicznej szlachty. Znowu popadł w dawny letarg. Mieszkał z matką, całymi dniami czytał książki i rzadko wstawał z łóżka przed południem – tak samo jak wtedy, gdy była małą dziewczynką.

Teraz jednak Ilję ogarnął zapał, o jaki nigdy wcześniej go nie podejrzewała. Pracował z Siergiejem całymi godzinami. Na jego łagodnej twarzy pojawiał się wyraz szalonej koncentracji. Dyktując tłumaczenie Siergiejowi, wstawał nawet z fotela i dreptał w kółko, wymachując z podnieceniem rękami.

– On tłumaczy, ja cyzeluję – wyjaśniał Siergiej. – Jest w tym naprawdę dobry.

Po raz pierwszy Olga zaczęła się domyślać, co biedny Ilja mógł być osiągnąć.

Przygotowania do przedstawienia zaczęły się beztrudno. Gdy nadchodził ciepły wieczór, gdy cienie powoli się wydłużały, a z pobliskich zarośli dochodził słaby, rozkoszny zapach kwiatów, zbierali się pod lipą przed domem i ćwiczyli swoje partie. Na pierwszy ogień wzięli kilka scen z *Hamleta* – Siergiej był Hamletem, a Olga Ofelią. Dołączyła do nich Tatiana oraz Aleksy jako podły stryj Hamleta. Karpienko i Piniegin podzielili się pozostałymi rolami – Piniegin sumiennie wygłaszał swoje kwestie, a młody Ukrainiec jako duch doprowadzał wszystkich do śmiechu.

– A kim ja będę? – zapytał mały Misza.

– Ty będziesz niedźwiedziem – odparł Siergiej. Gdy zaś Olga mruknęła, że przecież w *Hamlecie* nie ma niedźwiedzia, szepnął: – Ale Misza tego nie wie. Aleksy zresztą też – dorzucił po chwili, a ona zachichotała.

Drugie spostrzeżenie jeszcze bardziej ją zaskoczyło. Miało związek z Siergiejem. Po raz pierwszy uświadomiła to sobie, gdy odgrywali scenę z udziałem dwojga nieśmiałych kochanków. A potem, kiedy zaczęła uważnie przysłuchiwać się innym fragmentom, zrozumiała. Ilja przetłumaczył tekst, ale Siergiej nadał mu poetycką formę.

Zrobił to znakomicie – tak pięknie, z takim wycuciem, że aż nie mogła uwierzyć. A gdy recytował swoje wersy, jego głos stawał się melodyjny, wprost urzekający.

Kiedyś Siergiej był krnąbrnym chłopakiem, który okazywał jej mnóstwo uczucia, a dziś stał się kobieciarzem i potrafił doprowadzić ją do śmiechu. Jednak pod tą frywolną maską krył się zupełnie inny człowiek – skłonny do głębokiej refleksji poeta. To ją wzruszyło.

– Powinieneś nadal pisać, Sierioża – powiedziała z uznaniem. – Masz prawdziwy talent.

Za to Aleksemu nie szło dobrze.

Co nie było jego winą. Nie chodziło nawet o dość sztywną grę, tylko o język. Ilja i Siergiej, jako ludzie wykształceni, posługiwali się francuskim i rosyjskim z wyższych sfer, ale Aleksy – który nigdy nie był erudytą i wstąpił do wojska właściwie jako chłopiec – francuskiego nauczył się od kiepskich guwernerów, a rosyjskiego od chłopów z Ruski. Siergiej podsumował to niezbyt sympatycznie, lecz trafnie:

– On mówi po francusku jak prowincjusz, a po rosyjsku jak służący.



W owych czasach ta dziwna przypadłość była dość rozpowszechniona wśród młodej szlachty. W codziennych rozmowach nikt tego właściwie nie zauważał, ale teraz, deklamując piękną poezję Siergieja, Aleksy jąkał się nieporadnie, a młodszy brat, tłumiąc śmiech, musiał poprawiać jego gramatykę, żeby przywrócić sens jakiemuś fragmentowi.

– Mówię wystarczająco dobrze jak na prostego żołnierza – zrzędził Aleksy, ale Olga widziała, że czuje się niezręcznie.

Mimo to całkiem udanie odegrali *Hamleta* i za ogólną zgodą postanowili wystawić fragmenty *Romea i Julii*.

– W tej tragedii też występuje niedźwiedź – oświadczył Siergiej.

Pewnego popołudnia, gdy Siergiej i Ilja pracowali nad tłumaczeniem, Olga wybrała się z Karpieńką i Pinieginem na przechadzkę swoją ulubioną trasą wokół wzgórz za domem.

Pogoda była idealna. Brzozy migotały w słońcu i rzucały na ziemię nakrapiany cień. Karpienko patrzył na Olgę z uwielbieniem, ale był zbyt nieśmiały, żeby się odezwać. A Piniegin jak zwykle miał na sobie białą tunikę i pykał fajeczkę. Po dwóch tygodniach spędzonych z gadatliwym Siergiejem ich milczenie sprawiało Oldze przyjemność.

Już wcześniej doszła do wniosku, że nawet jeśli Karpienko się w niej kocha, to jest całkiem nieszkodliwy. A był tak nieśmiały, że chętnie wyciągała z niego różne rzeczy. Dowiedziała się na przykład, że pochodzi z prowincji połtawskiej na południowy wschód od Kijowa i że urodził się w starej kozackiej rodzinie. „Moi bracia są słusznej postury, tylko ja jestem taki mały” – usprawiedliwiał się. A pewnego dnia wyznał po naleganiach, że też marzy o literackiej sławie.

Jak zwykle szli przez jakiś czas w milczeniu, potem zaczęli rozmawiać i w końcu młody Kozak, zachęcany przez Olgę, zaczął opowiadać o swojej ukochanej Ukrainie. Słuchała go z zachwytem, z przyjemnością patrzyła, jak jego oczy rozbłyskują, gdy opowiada o bielonych domach krytych strzechą, o rozległych polach pszenicy rosnącej na żyznym czarnoziemiu, o winnicach i gajach cytrynowych nad Morzem Czarnym, o wielkich melonach uprawianych w jego wiosce.

– Na południu jest zupełnie inny świat – przyznał. – Mamy łatwiejsze życie. Bo nawet kiedy potrzebujemy więcej ziemi, po prostu bierzemy pług, żeby zaorać kolejny kawałek bezkresnego stepu.

Opowiadał o wszystkim tak pięknie, że nawet Piniegin pokiwał głową i mruknął:

– To prawda. Byłem tam.

I właśnie ta zdawkowa uwaga sprawiła, że Olga postanowiła go w końcu ośmielić.

Wciąż nic o nim nie wiedziała. Jak wyglądało jego życie? Skąd pochodził? Gdzie służył? Zawsze był taki samotny czy miał kiedyś rodzinę? A może ukochaną? Przede wszystkim jednak ciekawiło ją, co ten doświadczony, a jednocześnie taki małomówny mężczyzna myśli o życiu.

– Teraz twoja kolej, Fiodorze Piotrowiczu – powiedziała łagodnie. – Mówisz, że byłeś na południu. Opowiedz nam coś o tym.

– Przejeżdżałem przez Ukrainę – odparł. – Ale służyłem jeszcze dalej na południu, na Kaukazie. Naprawdę was to ciekawi?

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się.

Milczał przez chwilę, ale gdy w końcu zaczął mówić, na jego szczupłej, surowej twarzy pojawił się nieobecny wyraz. Piniegin miał cichy głos, używał prostych żołnierskich słów, ale dobierał je bardzo starannie. Olga słuchała go zafascynowana.

Opowiadał o wysokich gruzińskich przełęczach i o dolinach, w których wciąż mieszkwały dzikie plemiona. Opisywał górskie kozice i strome urwiska, skąd można było wypatrzeć pasterzy idących dnem wąwozu kilkaset metrów niżej; skłębione chmury, nad którymi wyłaniały się jak okiem sięgnąć ośnieżone, białoróżowe szczyty zawieszane na krystalicznie czystym niebie. Mówił o tamtejszych plemionach ubranych w kolorowe tuniki i baranie skóry: o Gruzinach, Czerkiesach i dumnych Osetyńcach – dalekich potomkach Alanów – którzy potrafili wyrosnąć nagle jak spod ziemi.

– Jednego dnia traktują cię jak przyjaciela, a następnego witają cię kulką.

Nigdy tam nie była, ale potrafiła to sobie wyobrazić.

– Dotarłem kiedyś na wschodnie stepy, na granicy z pustynią – mówił. – To dziwne okolice.

Opowiedział jej o małej twierdzy leżącej pomiędzy Morzem Czarnym a Kaspijskim, o Tatarach i innych tureckich plemionach, za sprawą których te pograniczne ziemie były tak niebezpieczne. Oldze zaś wydawało się, że ma przed oczami surowy bezkres, niepoznawalny, a jednocześnie bezlitośnie oczywisty.

Słuchając Piniegina, nie mogła się oprzeć myśli, że jest w nim jakaś chłodna nieprzystępność. Czyżby wchłonął w siebie swoiste cechy tamtych surowych, bezludnych ziem? I jest, tak jak mówił Aleksy, niebezpieczny? Ale nawet jeśli to była prawda, widziała w tym coś dziwnie pociągającego.

Chciała mu jeszcze zadać tyle pytań, ale nagle na ścieżce pojawił się Siergiej.

– Skończyliśmy! – zawołał. – Ja będę Romeem, a ty będziesz Julią. – A potem dodał szeptem, którego, jak miała nadzieję, Piniegin już nie usłyszał: – Zanudzał cię?

Ale jeśli nawet Piniegin usłyszał, to nie dał tego po sobie poznać. Wrócili do domu.

Misza Bobrow uważnie obserwował dorosłych. Młoda Arina siedziała obok niego. Tego dnia panował upał i wszyscy byli nieco ospali. Próbowali scenę z *Romea i Julii*.

Zauważył, że ojciec dwa razy się pomylił i stryjek Siergiej musiał go poprawić. Ale chyba nie był to straszny błąd, bo stryjek się roześmiał, a ojciec trochę zaczerwienił.

– Świetnie nam idzie, Sierioża – powiedziała ciotka Olga. – Ale dosyć na dzisiaj. Muszę odpocząć.

– Herbaty! – zawołał Siergiej do Ariny. – Herbata dobrze nam robi.

Gdy dziewczyna oddaliła się do domu, Misza podszedł do stryjka Sierioży. Jemu też upał dawał się we znaki. Miał nadzieję, że gdy wszyscy usiądą, stryjek opowie mu jakąś bajkę.

– No i co, mały niedźwiedziu? Co mógłbym dla ciebie zrobić? – Siergiej zmierzwił mu włosy.

Ale oto podszedł do niego ojciec.

Był to drobny, mało znaczący epizod. Lecz Olga powinna była dostrzec jego wagę, bo był podobny do słabych błyskawic na horyzoncie zapowiadających nadejście letniej burzy.

Aleksy nagle oświadczył, że wybiera się na przechadzkę, ale nikt nie chciał mu

towarzyszyć. I pewnie dlatego zwrócił się do syna, który akurat stał obok Siergieja.

– A ty, Misza, pójdiesz ze mną?

Drobny gest, właściwie bez znaczenia. Chłopiec spojrział na stryja i się zawahał. To wszystko. Ale wystarczyło. Olga zauważyła, że Aleksy wzdrygnął się i zeszywniał.

– Wolisz być ze stryjkiem Siergiejem niż ze mną – powiedział z goryczą.

Chłopiec, zauważywszy swój błąd, mocno się zmieszał. A potem zaczerwienił.

– Nie, nie – powiedział poważnie. A po chwili dorzucił: – Jesteś moim papą.  
– Podeszedł do Aleksego.

Odeszli wolno, ale Olga zauważyła, że Aleksy nie podał synowi ręki. I wiedząc, że niedługo wyruszy na wojnę, poczuła wielki smutek.

Ucieszyła się, gdy następnego wieczoru Siergiej wezwał z Ruski jakichś muzykantów, żeby zagrali im do tańca. Miała nadzieję, że taka rozrywka rozładuje napięcie w domu.

Co za odmiana! Olga upięła wysoko włosy, zupełnie jakby byli w wielkim mieście, włożyła muślinową suknię balową z bufiastymi rękawami i ozdobione kokardkami delikatne pantofelki na płaskim obcasie. Ubrani w mundury mężczyźni tańczyli po kolei z nią i z Tatianą przy blasku stu świec, a służba i dwie Ariny przyglądały się im z uśmiechem.

Ale gwiazdą wieczoru okazał się młody Karpienko. Pożyczył bałałajkę i razem z pozostałymi muzykantami zaczął wygrywać zapadające w pamięć ukraińskie melodie. A potem pokazał im dzikie kozackie tańce – niemal kuczał na podłodze, wyrzucając do przodu nogi, po czym wyskakiwał wysoko w górę, podczas gdy kapela wybijała szaleńczy rytm. Zademonstrował im też wspaniały gruziński taniec – w wielkiej futrzanej czapie na głowie, wyprostowany, poruszał się po parkiecie małymi krokami i kołysał na obie strony, co wyglądało, jakby płynął.

– Dobry jest – zauważył Piniegin. – Wiem, bo służyłem w tamtych stronach.  
– Uśmiechnął się cierpko. – I wydaje się nawet, jakby był pół metra wyższy.

A Olga z rozbawieniem zauważyła, że po kilku minutach młody Kozak zniknął gdzieś z młodą Ariną i przez dłuższy czas ich nie było.

Był już późny wieczór, wszyscy wyszli na zewnątrz, a Olga tańczyła sama z Pinieginem. Jego biały mundur uznała teraz za bardzo odpowiedni. Oceniała też, że Piniegin całkiem dobrze tańczy – ma spokojne, opanowane ruchy i doskonale prowadzi. Zrobiło jej się wyjątkowo przyjemnie.

I nagle wszyscy wrócili.

– Mazurka! – zawołał do grajków Siergiej.

I nie pytając nawet Piniegina o pozwolenie, porwał Olgę w ramiona i zaczął z nią wirować w szalonym tańcu, przytupując od czasu do czasu. Piniegin stanął z boku i przyglądał się temu w milczeniu.

– Miałem szczęście – powiedział Siergiej. – Uczyłem się tańca od samego mistrza Didelota.

Ale Olga stwierdziła ze zdziwieniem, że wołałaby nadal tańczyć z Pinieginem.

Pierwszy grzmot zapowiadający wielką burzę, która miała się nad nimi przetoczyć, zaskoczył wszystkich, także Olgę. Rozległ się następnego dnia, gdy Siergiej był w bani.

Nikt w całej Rosji, od biednego chłopca poczynając, a na rodzinie carskiej kończąc, nie wyobrażał sobie życia bez tradycyjnej łaźni. Bania, podobna do sauny, to drewniany domek z piecem, na którym grzeje się duże kamienie, a wylewana na nie woda wypełnia pomieszczenie parą. Osoba zażywająca sauny mogła się chłostać brzoźowymi różgami, co dodatkowo pobudzało krążenie. W miejskich łaźniach mieściło się nawet kilkadziesiąt osób, a w takiej jak ta w Bobrowie – trzy lub cztery.

Siergiej uwielbiał chodzić do bani. Zimą tarzał się potem w śniegu, a latem kąpał w rzece. I oto teraz, gdy wynurzył się z wody i chwycił łapczywie powietrze, ze stoku zbiegł mały Misza, wołając:

– Stryjku! Aresztowali popa z Ruski!

Rzeczywiście. Dwie godziny wcześniej u zaskoczonego popa pojawili się dwaj żandarmi z Trzeciego Oddziału i zaczęli metodycznie przeszukiwać dom. Wkrótce całe miasteczko, klasztor, a nawet Bobrowo, aż huczały od plotek. Co się tam mogło wydarzyć?

Olga domyśliła się od razu. I ogarnęło ją przygnębienie.

– Och, Sierioża, coś ty najlepszego zrobił – szepnęła.

– Nic takiego – wyznał jej później z szelmowskim uśmiechem.

Wysłał do Trzeciego Oddziału anonimowy list z doniesieniem, że pop prowadzi nielegalne wydawnictwo i rozpowszechnia masonskie broszury. A gdy przekonywała, że takie oskarżenie jest mało prawdopodobne, odparł:

– Owszem, nieprawdopodobne. Ale żandarmi będą zupełnie innego zdania.

– Och, Sierioża. – Nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Wszyscy wiedzieli, że policja Benckendorffa jest dosłownie zalewana fałszywymi oskarżeniami i że niektóre dochodzenia przebiegają co najmniej dziwnie. – Niech Bóg ma cię w opiece, jeśli Aleksy się o tym dowie.

Żandarmi, nic nie znalazłszy, zbierali się w południe do wyjazdu. Aleksy akurat wracał przez Ruskę z porannej przejażdżki, więc przerażony pop miał okazję mu o wszystkim opowiedzieć. I Aleksy, podobnie jak Olga, od razu się domyślił.

Gdy po południu zobaczył Siergieja, który odpoczywał z resztą rodziny, spojrzał na niego z lodowatą pogardą.

– Gorzko tego pożałujesz, przekonasz się – oznajmił bez żadnych wyjaśnień.

A wieczorem zjawił się u niego służący Siergieja, prosząc o rozmowę w cztery oczy.

Wszyscy miejscowi chłopcy dobrze wiedzieli, że po śmierci Aleksandra Bobrowa majątki odziedziczyli tylko dwaj starsi synowie. Ale choć odmienny wygląd Siergieja prowokował czasem nieprzyzwoite komentarze, to na ogół uważano, że przyczyną takiego wykluczenia były jego młodzieńcze wybryki. Gdyby jednak chłopcy mieli wybierać między panem Aleksym a Siergiejem, to byłoby oczywiste, po czyjej stronie. Pozycja najmłodszego z Bobrowów nie była dla nich do końca jasna.

Przed domową służbą nic się nie dało ukryć. Pogłębiający się rozdźwięk między Aleksym i Siergiejem od razu zauważono. A o ich popołudniowym spięciu służba wiedziała już po kilku minutach. Dlatego młody chłopak po dłuższym zastanowieniu postanowił zdać starszemu z braci szczegółową relację z pewnego zdarzenia. A pan,

usłyszawszy tę opowieść, wyglądał na bardzo zadowolonego.

– Dobrze, że mi o tym powiedziałaś – oznajmił Aleksy. – Ale nikomu ani słowa – dorzucił. – Jeśli sprawy potoczą się po mojej myśli, to na cały rok zwolnię twoją rodzinę z obroku.

Służący był wniebowzięty.

Jeszcze tego samego dnia Aleksy rozpoczął swoje śledztwo.

Olga winiła potem siebie. Choć przecież miała dobre intencje.

Następnego dnia napięcie w domu stało się nie do zniesienia. Aleksy wyglądał jak chmura gradowa. Obiad zjedli niemal w całkowitym milczeniu. Wieczorem próbowała nakłonić Siergieja, żeby poszedł z nią na przechadzkę, ale on stanowczo odmówił. Usiadł w jednym kącie salonu, Aleksy w drugim, i obaj ignorowali się wzajemnie. Wszyscy rozmawiali ściszymi głosami, a Olga, patrząc na braci, bała się, że jakieś nieostrożne słowo może w każdej chwili wywołać kłótnię. Zwłaszcza Siergiej wyglądał tak, jakby był gotów sprowokować starszego brata. Gorączkowo zastanawiała się, co zrobić, żeby załagodzić atmosferę.

I spojrzawszy nagle na Karpieńkę, uznała, że wpadła na doskonały pomysł.

– Może opowiesz nam jakąś historię o Kozakach? – zaproponowała.

Aż się zaczerwienił z zadowolenia. Doskonale rozumiał, o co jej chodzi. Z wielką radością gotów był się przysłużyć Oldze i Siergiejowi, dwojgu ludziom, których darzył miłością. Zaczął więc opowiadać cichym głosem.

Był bardzo dumny ze swojego kozackiego pochodzenia. Od pierwszej chwili roztoczył nad nimi czar opowieści o dawnych czasach, o Kozakach przemierzających szerokie stepy, o najazdach wyprowadzanych z zaporoskiego obozu i o żegludze po wielkim Dnieprze. Tatiana słuchała tego w zachwycie, Ilja odłożył książkę, a Piniegin kiwał potakująco głową i pomrukiwał:

– Tak, tak. Znakomicie.

Nawet Aleksy nie zauważył, że Siergiej przysunął bliżej swoje krzesło, aby lepiej słyszeć.

Młody Kozak otworzył przed nimi barwny, ekscytujący świat. Akty szaleńczej odwagi, dozgonna przyjaźń i dzika wolność. Olga pogratulowała sobie pomysłu. I nawet jeśli młodzieniec dał się trochę ponieść fantazji, to nie robił tym nikomu krzywdy.

Bo w jego opowieściach było też coś więcej: zapadające w pamięć piękno oraz nuta nostalgii i melancholii słyszalna w jego głosie – tak się opowiada o świecie, który zmierza ku schyłkowi.

– Starej siczy zaporoskiej już nie ma – powiedział w pewnej chwili. – Zniszczyła ją Katarzyna Wielka. – A potem dorzucił ze smutkiem: – Kozacy są dziś uczciwymi Rosjanami.

Olga wcale się nie dziwiła jego tęsknocie za tym, co minęło. Zdyscyplinowane carskie regimenty współczesnych Kozaków nie mogły narzekać na swoje położenie, ale daleko im było do dawnej wolności.

Zwłaszcza Ilja był oczarowany opowieścią.

– Na Boga! – zawołał. – Masz taki talent do opowiadania, że gdybyś to wszystko spisał, mógłbyś zdobyć literacką sławę. Zastanawiałaś się nad tym?

I właśnie to się stało zarzewiem sporu. Bo Karpienko się zaczerwienił i przyznał, że owszem, myślał o tym, ale zaraz potem zaskoczył słuchaczy.

– Tak naprawdę chciałbym spisać te opowieści po ukraińsku – wyznał. – Bo wtedy lepiej brzmią.

– Po ukraińsku? – zaciekawiał się Ilja. – Jesteś pewien?

Olga też była zdziwiona. Bo dialekt ukraiński, choć podobny do rosyjskiego, nie miał żadnej literatury z wyjątkiem jednego poematu komicznego. Nawet Siergiej, zawsze gotów wspierać przyjaciela, nie wiedział, co mógłby rzec na obronę takiego dziwaczного pomysłu.

Teraz Aleksy postanowił się włączyć do rozmowy.

Opowieści młodego Kozaka wyraźnie mu się podobały, ale – jak zauważyła Olga – jego oblicze coraz bardziej pogrążało się w zamyśleniu. Nie przywiązywała do tego wagi, lecz kiedy Ukrainiec wspominał o Rosji, Aleksy marszczył brwi. A usłyszawszy o pisarskim pomysle Karpienki, pokręcił głową.

– Wybacz mi – powiedział spokojnie – lecz Ukraina jest częścią Rosji. Powinieneś zatem pisać po rosyjsku. – Mówił to życzliwie, ale stanowczo. – Poza tym – dorzucił, wzruszając lekceważąco ramionami – po ukraińsku mówią tylko chłopci.

Zapadła cisza. Olga spojrzała z niepokojem na Karpienkę. A wtedy odezwał się Siergiej.

– Co za prostactwo!

Olga zadrżała. Czy to jest właśnie początek kłótni, której tak bardzo chciała uniknąć?

Młody Kozak popatrzył na nią i od razu zrozumiał.

– To prawda, że ukraiński to język chłopów – powiedział ugodowo. – Ale właśnie dlatego o życiu wsi chciałbym pisać w tym języku.

Niestety, jego nadzieje na zażegnanie konfliktu okazały się przedwczesne.

– Słusznie. – Siergiej z determinacją chciał stanąć w obronie przyjaciela. – W końcu literatura rosyjska istnieje dopiero od jednego pokolenia. Czemu Ukraińcy nie mieliby zapoczątkować własnej? – Uśmiechnął się z pogardą. – Chyba że zduszenie narodzin ukraińskiej literatury przez jakiegoś niepiśmiennego Rosjanina miałyby być jeszcze jedną korzyścią dla carskiej władzy.

Olga wstrzymała oddech. Zupełnie niepotrzebna obraza. Aleksy zbladł, ale opanował się i nadal ignorował Siergieja. Odwrócił się do Karpienki i spytał z powagą:

– Czy Ukraińcom nie podobają się rządy cara?

Kozak uśmiechnął się uprzejmie. Mógłby powiedzieć, że ukraińscy chłopci nie darzyli Rosji szczególną miłością. Mógłby też wspomnieć, że w ramach rusyfikacji kolejne miasta traciły swoje dawne przywileje. Mógłby opowiedzieć o tym, że w jego rodzinie przetrwała gorzka pamięć o ich przodku, dumnym kozackim posiadaczu ziemskim, którego Piotr Wielki zesłał w kajdanach do swojej nowej stolicy na północy i o którym słuch zaginął. Ale młody Kozak zachował się taktownie.

– Gdy Napoleon napadł na Rosję – przypomniał spokojnie Aleksemu – car nie miał wierniejszego wojska niż Kozacy. A na wschodnim brzegu Dniepru, tam skąd pochodzę, właściciele ziemscy już od czasów Chmielnickiego są zadowoleni z rosyjskiej protekcji.

Na zachodnim brzegu, gdzie silniejsze są polskie wpływy, władza Rosji jest akceptowana, choć niezbyt lubiana.

Była to sprawiedliwa ocena, a Aleksy, mimo że nie takich słów się spodziewał, nie miał żadnych kontrargumentów.

Karpienko, szukając w umyśle jakiegoś weselszego tematu, trajkotał dalej bez zastanowienia:

– Wiecie, to zabawne, bo jakieś piętnaście kilometrów od mojego domu jest wieś, w której moja rodzina miała kiedyś gospodarstwo. Teraz ta wieś nazywa się inaczej, ale w czasach Piotra Wielkiego nazywała się Ruska.

Miał nadzieję, że ten wątek ich wciągnie. Nikt wcześniej o tym nie wiedział, ale Ilja od razu zauważył:

– Wiele nazw geograficznych na północy pochodzi z południa. Bobrowowie przybyli tu spod Kijowa, więc wieś, o której mówisz, mogła kiedyś należeć do naszej rodziny. – Uśmiechnął się. – Chociaż to nas łączy, przyjacielu.

Ale żaden z nich nie mógł wiedzieć, że przodek Karpienki, który uciekł z majątku Bobrowów, trafił do Ruski na południu.

– Ciekawa jestem, jak ta wieś dziś wygląda – powiedziała Olga.

I wtedy Karpienko popełnił wielki błąd.

– Prawdę powiedziawszy – przyznał z niechęcią – teraz jest tam osiedle wojskowe.

Zdał sobie sprawę ze swojego błędu, zanim jeszcze skończył mówić. Aleksy usiadł sztywno wyprostowany, co wzbudziło niesmak Siergieja, ale po chwili nieoczekiwanie się uśmiechnął. Tak, nadarzyła się odpowiednia okazja, by pokazać wszystkim, gdzie jest ich miejsce.

– Osiedle wojskowe – powtórzył, patrząc tryumfująco. – To bardzo korzystna zmiana.

A Kozak, choć próbował nad sobą panować, aż się skrzywił.

Bo wśród wszystkich zmian wprowadzanych na Ukrainie przez carską administrację osiedla wojskowe budziły największą nienawiść. Obecnie było ich prawie dwadzieścia – każde na tyle duże, by utrzymać cały regiment – i zajmowały ogromne tereny. Karpienko, który nie mógł powiedzieć o tych strasznych miejscach nic dobrego, postanowił w ogóle się nie odzywać.

Jednak Siergiej, który aż się w środku gotował, nie miał takich zahamowań.

– Bo gdyby to zależało od Aleksego – zaczął spokojnie – cała Rosja byłaby jedną wielką kolonią wojskową. Coś w rodzaju opryczniny Iwana Groźnego, prawda, Aleksy?

Twarz Aleksego skamieniała.

– Młodzi ludzie powinni mówić o rzeczach, na których się znają – powiedział z chłodną pogardą. – Na przykład o układaniu wierszy – dorzucił z goryczą i usiadł tyłem do Siergieja. A potem, szukając wzrokiem osoby godnej zaufania, zwrócił się do Piniegina: – Gdyby całe imperium było rządzone jak osiedle wojskowe, wszystko działałoby o wiele sprawniej.

Piniegin skłonił w milczeniu głowę.

Najwyższy czas skończyć tę rozmowę, i to jak najszybciej. Olga rozejrzała się nerwowo, zastanawiając się, co robić. Dała znak matce, a ta skinęła głową i powiedziała

łagodnie:

– No cóż, było nam bardzo miło. – I zrobiła taki ruch, jakby chciała wstać.

Ale wyprzedził ją głos Siergieja:

– Chyba nie chcesz powiedzieć, Aleksy, że wojsko działa skutecznie?

Dlaczego, och, dlaczego on nie może zamilknąć? Olga zauważyła, że Aleksy nerwowo zacisnął szczęki. Nie odwrócił się jednak. Zignorował zaczepkę. Olga też postanowiła wstać.

– Spytałem – powtórzył Siergiej ze spokojem, który świadczył jedynie o jego wzburzeniu – czy uważasz, że wojsko działa skutecznie.

W ciszy, która zapadła, można było pomyśleć, że Aleksy rzeczywiście nie usłyszał. Ale on po chwili zwrócił się chłodno do Piniegina:

– Zdaje się, przyjacielu, że jakiś pies gdzieś ujada.

Twarz Siergieja zrobiła się purpurowa. Olga wiedziała, że teraz już nic nie może uczynić. Siergiej nie wytrzymał.

– Wiecie, jak naszych pożałowania godnych żołnierzy uczy się strzelać?!

– wybuchnął na cały pokój. – Powiem wam. Na komendę. Jednocześnie. Jest tylko jeden problem: nikt im nie pokazuje, jak mają celować. Widziałem na własne oczy. Nieważne, gdzie strzelają, najważniejsze, żeby strzelali jednocześnie. Szansa, że rosyjska kula ugodzi wroga, równa się zeru. Oto cała wojskowa skuteczność mojego brata – parsknął z pogardą.

Aleksy stracił panowanie nad sobą. Wydawało się, że za chwilę odda cios. Ale ubiegł go Piniegina. Olga nigdy go takiego nie widziała. Był bardzo spokojny, lecz oczy mu błyszczały, a głos brzmiał groźnie.

– Chcesz obrazić rosyjską armię? – spytał.

– Och, nie tylko armię – odparował Siergiej. – Krytykuję całe Imperium Rosyjskie, któremu się wydaje, że coś osiągnie, narzucając ludzkiemu duchowi porządek, i to nieważne jak absurdalny czy okrutny. Krytykuję cara i tego psa Benckendorffa z jego idiotycznymi żandarmami i cenzurą. Gardzę waszymi osiedlami wojskowymi, w których zamieniacie dzieci w maszyny, gardzę instytucją poddaństwa, która sprawia, że jeden człowiek jest własnością drugiego. I owszem, jak najbardziej obrażam armię dowodzoną przez tych samych niekompetentnych ludzi, którzy kierują ogromnym morzem głupoty i zgnilizny nazywanym rosyjskim rządem. – Znów odwrócił się do Aleksego. – Powiedz mi, mój skuteczny bracie, ile razy w roku rosyjski żołnierz ćwiczy na strzelnicy. No, ile?

Aleksy był tak wściekły, że nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– No to ja ci powiem. Trzy razy. Trzy razy w roku. Tak właśnie ćwiczyacie swoich ludzi przed wyprawą na wojnę z Turcją. – Zaśmiał się drwiąco. – Ach, oczywiście, ty niezwykle skutecznie zarządzasz tym majątkiem za pomocą wojskowej organizacji, zwłaszcza odkąd nie ma Suworinów, którzy umieli zaprowadzić tu porządek.

Olga wstrzymała oddech. Wydawało się, że Aleksy rzuci się na Siergieja. Spojrzała błagalnie na Piniegina.

A on się uśmiechnął.

– No cóż, Bobrow – powiedział, śmiejąc się ironicznie. – Gdyby twój brat powiedział mi coś takiego w moim regimencie, to na strzelnicy kazałbym celować w jego



głowę. Ale dajmy już spokój. Chodźmy zagrać w karty. – I zanim Aleksy zdążył się odezwać, stanowczo wyprowadził go z pokoju.

Dzięki Bogu za Piniegina, pomyślała Olga.

Następnego ranka Aleksy oznajmił, że musi jechać do Włodzimierza na spotkanie z gubernatorem. Miał wrócić za tydzień.

– Zostaniesz tu, przyjacielu, i będziesz miał oko na mojego brata? – zwrócił się do Piniegina.

Ten przytaknął w milczeniu.

Aleksy wyjechał w południe. Zabrał ze sobą list, który pisał do późna w nocy. List był zaadresowany do hrabiego Benckendorffa.

Wciąż kochała Siergieja? Owszem, lubiła go, ale czy można kochać kogoś tak egocentrycznego? Jego kłótnia z Aleksym była zupełnie niepotrzebna, a obraźliwe wypowiedzi wprost niewybaczalne. Gdy następnego ranka zabierał Miszę na ryby, ignorowała go ostentacyjnie.

Przez całe przedpołudnie zajmowała się swoimi dziećmi. Stara Arina zachorowała, ale przynajmniej można było liczyć na pomoc młodej.

Wczesnym popołudniem, gdy Arina usypiała maluchy, Olga wyszła na przechadzkę po brzozowym lasku. W alejce zauważyła samotnie spacerującego Piniegina. Czując, że powinna z nim porozmawiać, przyspieszyła kroku.

– Fiodorze Piotrowiczu, jestem panu winna podziękowania – powiedziała, gdy się z nim zrównała.

Rzucił jej krótkie spojrzenie. W migotliwym świetle alei i cieniach rzucanych przez brzozy jego oczy wydawały się bardziej niebieskie niż zwykle.

– Zawsze do usług – odparł spokojnie.

Szli wolno alejką. Był już środek lata, ale trawa w zacienionych miejscach wciąż pozostała zielona i sprężysta. Wiał leciutki wiatr.

– Jestem bardzo zła na Siergieja – przyznała z westchnieniem.

Piniegin nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. W końcu wyjął fajkę z ust.

– Proszę mi wybaczyć, ale to wciąż jeszcze dzieciak – powiedział łagodnie.

– Tak, to chyba prawda.

Znów na nią spojrzał.

– Ale nawet dzieci potrafią być niebezpieczne, Olgo Aleksandrowna.

Siergiej niebezpieczny? Przecież to samo powiedział Aleksy o Pinieginie. Szli dalej w milczeniu. Co ona o nim wie? Jeśli człowieka należy sądzić po czynach, to on zasłużył na dobrą ocenę. Jego milcząca obecność działała na nią kojąco. Spojrzała na jego surową, niewzruszoną twarz i przypomniała sobie, jak razem tańczyli. Uśmiechnęła się do siebie. Doskonale opanowany – umiała go sobie wyobrazić jako cierpliwego myśliwego czekającego na odpowiedni moment.

Ale była też w nim jakaś rezerwa, której nie umiała zgłębić. Osmielona bliskością, która się między nimi nawiązała, powiedziała nieoczekiwanie:

– Opowiedziałeś mi już trochę o swoim życiu, Fiodorze Piotrowiczu. Ale ja chciałabym wiedzieć, w co ty wierzysz. Wierzysz na przykład w Boga? Co cię prowadzi, gdy znajdziesz się w niebezpieczeństwie? – Urwała, mając nadzieję, że go nie uraziła.

Przez chwilę pykał fajkę, a potem wzruszył ramionami.

– Przeznaczenie – powiedział w końcu. – Kiedy nie wiesz, czy jakiś dzikus nie wpakuje ci za chwilę kulki w głowę, to zaczynasz wierzyć w przeznaczenie.

– Uśmiechnął się. – To daje spokój.

– Nie jesteś podobny do moich braci, prawda?

– Nie, nie jestem. – W zamyśleniu pokiwał głową. – Twoi bracia zawsze na coś liczą, zawsze mają nadzieję. Gdy nadzieja znika, ogarnia ich złość albo się poddają, tak jak Ilja.

– A ty nie masz nadziei.

Odwrócił do niej twarz.

– Jak powiedziałem, wierzę w przeznaczenie. Wydarza się to, co się ma wydarzyć.

A nam pozostaje jedynie uznać swój los.

Widziała wpatrzona w nią niebieskie oczy. Przyszło jej na myśl, że w jego obecności czuje się dziwnie bezpieczna, a jednocześnie jakby wystawiona na jakieś zagrożenie. Fascynujące doznanie.

– Wydaje mi się, że trochę to rozumiem – powiedziała.

Pokiwał głową.

– Owszem, Olga Aleksandrowna, ja też myślę, że dobrze się rozumiemy.

Czując, że to komplement, ale nie wiedząc, jak powinna na niego odpowiedzieć, leciutko dotknęła jego ramienia.

Ruszyli w powrotną drogę do domu.

Ale dlaczego nie? Przecież był samotny. Pożegnawszy się z Olgą, postanowił pójść na spacer ścieżką biegnącą do Ruski. A teraz siedział na jednym z kurhanów, rozkoszował się widokiem na klasztor i promieniami zachodzącego słońca, które odbijały się od złotych kopuł.

Dlaczego miałby tego nie zrobić? Przecież był przyzwoitym człowiekiem o dobrych manierach. A ta kobieta wydawała się wyjątkowa, zupełnie niepodobna do innych.

Miał wiele kobiet w życiu. Żydówkę, gdy stacjonował na Ukrainie. A w górach Czerkieskę. Prawdziwą piękność. Mieszkał wtedy z dala od wszelkich śmieci cywilizacji. Były też inne. Ale ponieważ on był wprost nedorzecznie biedny, zawsze czuł się niezręcznie w obecności szlacheckich córek. Powtarzał sobie, że są płytkie, nudne i niewarte zainteresowania. Co ja, który tyle razy stałem na krawędzi otchłani pomiędzy życiem a śmiercią, mógłbym od nich usłyszeć? – myślał czasem. Ale Olga była zupełnie inna. Cierpiała, tłumaczył sobie. I mogłaby mnie zrozumieć. Obawiał się, że nigdy nie spotka kobiety takiej jak ona.

Tak, był biedny. Zauważył jednak, że gdy inni biedni mężczyźni bogato się żenili, od razu zyskiwali uznanie, a nawet podziw. Poza tym miał inne rzeczy do zaoferowania. Nie był jakimś młodziakiem, który mógł się jedynie pochwalić posiadaniem kilku tysięcy chłopów pańszczyźnianych. On był mężczyzną, silnym i niezależnym, umiał sobie poradzić w każdych okolicznościach. I jeszcze ta tajemnica, z której był dziwnie dumny: nigdy nie czuł lęku.

Palił w milczeniu fajkę. Czemu nie?

Za kilka dni może się spodziewać powrotu Aleksego. Wtedy się oświadczy, o ile nie zmieni zdania.

Karpienko spojrział na Siergieja, marszcząc brwi. Z jego przyjacielem działo się coś dziwnego.

Pojawiło się w nim jakieś wewnętrzne napięcie i podniecenie, których źródeł Karpienko nie umiał się domyślić. Wiedział, że za maską Siergieja żartownisia, który płał ludziom najgłupsze psikusy, za maską moralisty, który tak żarliwie krytykuje państwo rosyjskie, kryje się dusza poety. I takiego Siergieja kochał. A jednocześnie wyczuwał, że z jakichś nieznanых powodów ten ukryty za fasadą pozorów człowiek jest w stanie tajemniczego pobudzenia.

A teraz ta dziwna prośba. Co on knuje? I dlaczego tak nalega?

– Zrobię, co będę mógł – powiedział. – Ale nie wiem, czy mi się uda. – Spojrział ze zdziwieniem na Siergieja. – Zupełnie cię nie rozumiem.

Siergiej westchnął. Tego nikt nie zrozumie.

– Nie martw się – pocieszył przyjaciela. – To nic trudnego. Po prostu zrób, co mówię. – Sam siebie nie mógł zrozumieć. Ale wiedział jedno. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. – To się musi udać – mruknął. – Musi. – Zaplanował wszystko bardzo starannie.

Był dwudziesty czwarty czerwca, dzień świętego Jana. Przez cały miniony tydzień, po kłótni z Aleksym i jego wyjeździe, nie było mu łatwo. Każdy zajmował się sobą, a on czuł się jak wyrzutek. Ilja siedział zatopiony w książkach, Piniegin często wychodził sam na polowanie, matka prawie się do niego nie odzywała, nawet mały Misza jakby się go wstydził. A po trzech dniach Olga oznajmiła mu ze smutkiem: „Tak się starałam, żeby było miło, Sierioża. A ty wszystko popsujesz. Sprawileś mi przykrość”.

Na szczęście nadchodzące święto poprawiło atmosferę. Wszyscy byli w lepszym nastroju. A gdy przed dwoma dniami Siergiej przedstawił swoją propozycję, spotkał się z ciepłym przyjęciem.

– Obiecywałam, że cię tam zabiorę – powiedziała Olga do Piniegina.

A Tatiana oznajmiła:

– Ilja i ja też się wybierzemy. Tyle lat tam nie byłam!

Ustalono więc, że po świątecznych obchodach wszyscy pójdą na wycieczkę do świętych źródełek.

– Zabierzmy też obie Ariny – zaproponował Siergiej. – Niania opowie nam jakieś bajki.

Wspaniały pomysł, szczególnie na ten dzień i w takim otoczeniu. Bo zgodnie ze starym obyczajem w noc świętojańską ludzie chodzili do lasu.

Święto Jana Chrzciciela było dniem dziwnym i magicznym. Wszyscy ubrali się uroczyście, a późnym rankiem obie Ariny pojawiły się w domu w swoich najpiękniejszych strojach. Jakże piękny, jakże wspaniały jest strój rosyjskich wieśniaczek! – pomyślał Siergiej. Zamiast zwykłych spódnic i koszul każda kobieta miała na sobie haftowaną bluzkę z bufiastymi rękawami, a na niej sięgającą aż do ziemi sukienkę bez rękawów – słynny sarafan – ufarbowaną na czerwono i zgodnie z miejscowym zwyczajem ozdobioną haftem z geometrycznym, nieco orientalnym ptasim

wzorem. Ukoronowaniem tego ubioru był kokosznik – wysokie, podobne do tiary nakrycie głowy, haftowane złotą i srebrną nicią i wyszywane rzeczonymi perłami. Arina, jako panna, miała włosy splecione z tyłu w jeden długi warkocz związany wstążkami. W takim stroju poruszały się niemal majestatycznie. Co wcale nie było dziwne, bo strój rosyjskich chłopek – choć oczywiście one nie mogły tego wiedzieć – wywodził się od szat noszonych przez damy na dworze w Konstantynopolu tysiąc lat wcześniej.

W południe zeszli ze wzgórza, by obejrzyć uroczyste obchody. Ten dzień był dziwnym świętem obchodzonym na cześć Jana Chrzciciela – w którym lud widział zarówno chrześcijanina, jak i pradawnego słowiańskiego poganina. Mieszkańcy Bobrowa przygotowali figury Jaryły – pradawnego boga płodności – i jego żeńskiej odpowiedniczki zwanej Kupałą. Obeszli z nimi wieś, a potem utopili je w rzece. Ceremonia, będąca połączeniem chrztu z rytualnym mordem, symbolizowała wieczne odrodzenie.

Potem w ciepłych promieniach słońca wszyscy wrócili do domu, gdzie czekał już na nich wspaniały posiłek: pierożki z mięsem, zimna *szczy*, czyli

letnia wersja zupy kapuścianej, pstrąg, indyk i bliny. A na deser ciasta z wiśniami, jabłkami i malinami, podawane z górami śmietany. Do picia był kwas, wino i kilka rodzajów wódki w różnych smakach.

Nieco później przed domem pojawiły się kobiety z wioski – wszystkie w odświętnych strojach – i ustawivszy się w kole, odśpiewały najpiękniejsze rosyjskie pieśni ludowe, pradawne pieśni Kupały.

Siergiej doszedł do wniosku, że wszystko układa się idealnie. I gdy wydłużające się popołudniowe cienie przekroczyły granicę wieczoru, pozostawało mu jedynie czekać.

Miszę i dwoje małych dzieci położono spać. Gdy czerwieniejące słońce jarzyło się miękko nad lasem, wyruszyli na wyprawę do źródełek.

Tatiana i Ilja jechali małym wozem powożonym przez jednego z chłopów, wszyscy inni szli pieszo. Wybrali ścieżkę prowadzącą przez las obok starych kurhanów i wychodzącą niedaleko klasztoru. Na wysokości miasteczka przepawili się na drugą stronę rzeki. Niedługo potem Tatiana z Ilją musieli wysiąść z powozu i dalej pójść pieszo wąską dróżką wijącą się nad brzegiem.

Panował tu łagodny spokój. Ciszę przerywał jedynie plusk rzecznych fal. Po niebie usianym gwiazdami wędrował na południe księżyc w trzeciej kwadrze.

Szli teraz parami. Na przedzie Olga z Pinieginem, za nimi Karpienko z młodą Ariną, potem Siergiej z drugą Ariną i na końcu Ilja z Tatianą.

Powietrze było ciepłe, nie poruszał go nawet najłżejszy wiatr. Siergiej poczuł w kilku miejscach delikatny zapach poziomek ukrytych w ciemności. A na polanie zauważyli w świetle księżyca niebiesko-żółte plamki kwiatów zwanych przez Rosjan kwiatami Jana i Marii.

Księżyc wystarczająco oświetlał im drogę, a Siergiej uważnie wszystkich obserwował. Zauważył, że Piniegin, jak zawsze ubrany na biało, trzyma się w odpowiedniej odległości od Olgi – ani za blisko, ani za daleko. Widział jej swobodny, kołyszący się krok. Widział, że Karpienko ukradkiem obejmuje młodą Arinę. Zauważył też, że Ilja potknął się na korzeniu, który matka zgrabnie ominęła. Przyszło mu do głowy,

że w noc taką jak ta każdy z nich ma swoje myśli, każdy ma swoje tajemne nadzieje. Ale nikt nie marzył o tym, co on.

Nigdy wcześniej tego nie doświadczył. Chyba że czuł to zawsze, ale o tym nie wiedział.

W dzieciństwie była jego przyjaciółką i powierniczką, jego bratnią duszą. Kochał jej jasną, pełną życia twarz, jej długie ciemne włosy, jej lekki, łagodny śmiech. Wydawało mu się, że ona jest częścią niego, a on niej; niemal czytali sobie w myślach, nie potrzebowali do tego słów. Ale potem, co było nieuniknione, musieli się rozstać.

Siergiejowi nie było w życiu łatwo. Jego kariera literacka rozwijała się powoli, brakowało mu pieniędzy. I często czuł się samotny. Ale mam ją, powtarzał sobie. A jego zawadiackie listy odsłaniały tylko część prawdy.

Każdej nocy siadał przy stole i pisał. Wiersze rodziły się z trudem, często się poddawał. Marzenia o sławie odsuwały się coraz dalej.

Znalazł jednak sposób, który mu ułatwiał układanie kolejnych wersów. Jego publicznością stała się Olga – widział ją przed sobą oczami wyobraźni. Jeśli napisał coś wzruszającego, ją też to poruszało; jeśli coś wesołego, to znaczy, że umiał ją rozśmieszyć. A kilka razy sprawił, że płakała. Przez wiele lat była jego wierną towarzyszką, choć o tym nie wiedziała. A on, kiedy płakał samotnie w swoim mieszkaniu, wołał do niej bezgłośnie: „Olgo, przynajmniej ty mnie rozumiesz!”.

Zastanawiał się więc, czy zamieszkanie z nią w rodzinnym domu nie okaże się rozczarowaniem. Wyszła za męża, urodziła dzieci, owdowiała – to wszystko musiało ją zmienić. Dlatego nie był przygotowany na to, co go spotkało w czerwcu.

Dokonał tego odkrycia już pierwszego dnia. Było tak obezwładniające, tak oczywiste, że czasem przyprawiało go o dreszcz, a czasem miał ochotę się śmiać. Przedzieliło niebo na pół jak bezgłośna błyskawica. Było naturalne i nieuniknione: przeznaczenie zgotowane przez bogów na samym początku dziejów i trwające, kto wie, aż do końca świata. Zajmowała wszystkie jego myśli. Cała jego egzystencja miała sens jedynie pod łagodnym spojrzeniem jej niebieskich oczu. Wszystko było dla niej. Tłumaczenie Szekspira, którym tak się zachwyciła, każde jego słowo, powstało tylko dla niej. Wszystko, co robił – głupie żarty, idiotyczna kłótnia z Aleksym – było jedynie szaloną grą, która miała odwrócić uwagę ich obojga, grą mężczyzny, który musiał zakładać maskę, bo jego największa miłość nie mogła się spełnić.

Dopiero teraz zrozumiał, że wcześniej nie wiedział, czym jest namiętność. Dłużej nie umiał tego znieść. Przysiągł sobie, że właśnie tego wieczoru, tej nocy musi znaleźć rozwiązanie.

Źródłka nie zmieniły się od stuleci. Tryskały na wysokim brzegu i srebrnymi kaskadami spływały ku rzece. Wokół panowały ciemności. Gwiazdy przygasły. Znaleźli się na małej, oświetlonej promieniami księżycy polanie i zachwyceni tym miejscem uznali, że świetnie nadaje się na odpoczynek. Usiedli na trawie, wsłuchując się w ciche plusk małych wodospadów. W końcu Siergiej zwrócił się do starej Ariny:

– Moja gołąbko, opowiedz jakąś bajkę swoim dzieciom.

Arina zaczęła opowiadać cichym, melodyjnym głosem. O świętych źródłach i mieszkających w nich duszkach. O czarodziejskich kwiatach i paprociach w lesie.

O mieszkających w rzece rusalkach, czyli duszach nieszczęśliwie zakochanych dziewcząt. Przypomniała im też opowieść o Żar-Ptaku, o Ilji Muromcu i wiele innych. Słuchali jej jak zaczarowani, wdzięczni, że mogą tak przeżyć najbardziej magiczną noc w roku.

Kiedy skończyła opowiadać, a wszyscy jakby czekali na coś więcej, Karpienko odezwał się niespodziewanie:

– Może byś nam zadeklamował jakieś swoje wiersze, Siergiej. Ostatnio napisał kilka bardzo dobrych – dorzucił.

A kiedy Siergiej zaczął się na pokaz wymawiać, wtrąciła się Olga.

– O tak, Sierioża, nie daj się prosić – powiedziała głosem, który świadczył, że mu wybaczyła.

Przygotował się bardzo starannie. Towarzystwo też było w odpowiednim nastroju. Pierwszy wiersz – stara ludowa opowieść o Babie-Jadze – rozśmieszył słuchaczy. Drugi był dedykowany jesieni. Ale trzeci mówił o miłości.

Nie był długi, zaledwie pięć krótkich zwrotek. Siergiej wiedział jednak, że nigdy nie napisał nic lepszego. Wiersz opowiadał o poecie, który po latach spotyka ukochaną przyjaciółkę, a wtedy okazuje się, że jego miłość zamieniła się w namiętność.

Pamiętać będę po kres moich dni,  
Gdym ujrzał miłość mą, me światło;  
Była jak świt, co w oddali lśni,  
Jak pióro anioła, które z nieba spadło.

I dalej wiersz mówił o tym, jak podczas tych wszystkich lat bolesnej samotności jedynie pamięć o ukochanej trzymała poetę przy życiu.

Duch twój budził mnie na jawie; we śnie  
Twarz twą widziałem w mroku nocy...

A gdy znów dane mu było spotkać swojego anioła, ona obudziła w nim namiętność; odrodził się na nowo. A jego serce wypełniły

Bóstwo i natchnienie,  
A z nimi życie, łzy i miłość.

Nikt nie patrzył na Olgę. Nie rozumieli. Gdy po chwili milczenia Tatiana zapytała, kim była ta dama, odparł:

– To kobieta, którą poznałem w Petersburgu.

Zapadła cisza. W końcu Ilja mruknął:

– To było piękne, kochany Sieriożo. Wybitne. Nosisz w sobie niezwykle serce.

Nikt nawet nie pomyślał, żeby spojrzeć na Olgę.

Siedziała za Tatianą. Wystarczyło, że cofnęła się o kilka centymetrów, i jej twarz skryła się w cieniu. Pochyliła głowę. On jednak widział, nawet w blasku księżyca dostrzegł jej rumieniec, a potem łzy na policzkach. Dobry Boże, więc ona wie. Nareszcie zrozumiała.

Siedzieli tak przez dłuższą chwilę. Wreszcie Siergiej zaproponował:

– Noc jeszcze młoda, chodźmy do skitu, gdzie mieszkają mnisi!

Niewielka pustelnia znajdowała się na końcu ścieżki. Karpienko od razu podchwycił pomysł, Piniegin też się chętnie zgodził. Ale Ilja odmówił, podobnie jak dwie

starsze kobiety.

– Pójdziemy do powozu i wrócimy do domu – oświadczyła Tatiana. – Niech młodzi idą sami.

Towarzystwo się podzieliło.

Siergiej prowadził swoją grupkę. Zaraz za sobą miał młodą Arinę i Piniegina. Olga, najwyraźniej zatopiona w myślach, szła na końcu z Karpieńką. Siergiej posuwał się szybkim krokiem, opowiadając po drodze Pinieginowi historię małej pustelni. Był tym tak zaaferowany, że dopiero po kilku zakrętach zauważył brak Olgi i Karpieńki, którzy zniknęli im z oczu.

– Idźcie dalej – powiedział do Piniegina. – A ja się cofnę, żeby ich pospieszyć.

Po kilku minutach młody Kozak dogonił Piniegina.

– Olga rozmawia z bratem. Zaraz do nas dołączą – powiedział, oglądając się przez ramię, jakby szli tuż za nimi. – Tędy. – Ruszył szybko przodem.

Dwieście metrów dalej ścieżka się rozwidła.

– Siergiej mówił, że w tę stronę – oświadczył stanowczo Karpieńko. Ale gdy przeszli prawie kilometr, ścieżka się skończyła. – Do diabła! – zawołał. – Chyba się pomyliłem.

Stali obok siebie, Siergiej i jego siostra. Zeszli ze ścieżki nad rzekę, skąd widać było odbicia gwiazd i księżyca w wodzie. Przy białej letniej sukni jej cera była jeszcze bledsza. Milczeli przez dłuższą chwilę.

– Te wiersze były dla mnie?

– A dla kogóż by?

Wpatrywała się w wodę.

– Nie wiedziałam. – Urwała, a potem uśmiechnęła się. – Kochany Sierioża. To było takie piękne. – Zawiesiła głos. – Ale takie słowa... nie są przeznaczone dla siostry.

– Wiem.

Westchnęła. Pokręciła lekko głową.

– Twój wiersz, Sierioża, mówił o szczególnej miłości...

– Mówił o namiętności.

Wzięła go za rękę i na krótką chwilę spojrzała mu w oczy. A potem znów zapatrzyła się na wodę.

– Jestem twoją siostrą.

Odezwał się dopiero po namyśle.

– Obawiam się, że już nigdy w życiu nie będziemy o tym rozmawiać. Ale zanim umrę, chciałbym wiedzieć: kochasz mnie tak samo, jak ja kocham ciebie?

Milczała tak długo, że księżyc zdążył się przesunąć kawałek na niebie. W końcu wruszyła ramionami.

– A nawet gdyby tak było? Kocham cię jak brata. – Uścisnęła lekko jego dłoń i spojrzała na niego. – Czego ty chcesz, mój bracie poeto? Czego ty chcesz?

Uśmiechnął się smutno.

– Sam nie wiem. Wszystkiego. Całego świata. Ciebie.

– Mnie?

– Chcę całego świata, czyli ciebie. Dla mnie to jedno i to samo.

– Przyprowadziłeś mnie tutaj, żeby uwieść? – Uśmiechnęła się niemal figlarnie.

– Przecież wiesz.

Zaczerwieniła się.

– Wiem. Ale to niemożliwe. Nawet jeśli byłabym zdolna do czegoś takiego. Nie z bratem.

– Czy wiesz, że jestem twoim bratem tylko w połowie? – spytał cicho.

– Wiem. – Roześmiała się, a jej śmiech popłynął ponad rzeką. – Ale czy przez to nasz występki byłby tylko połowiczny?

– Nie wiem. Może. To silniejsze ode mnie. Ten impuls.

– Impulsom można się oprzeć.

– Naprawdę? – spytał szczerze zdziwiony.

Nie poruszyła się jednak, gdy objął ją ramieniem. Nie wiedział, jak długo stali, wpatrując się w milczeniu w rozgwieżdżoną noc, ale gdy zaczęła lekko drżeć, zrozumiał.

– Pozwól mi się pocałować, ten jeden jedyny raz w życiu – powiedział cicho.

Spojrzała w ziemię i powoli pokręciła głową. Westchnęła, z dziwnym, pełnym smutku uśmiechem podniosła wzrok, a potem odwróciła się i zaplotła mu dłoń na karku.

Gdy dotarli do rozwidlenia, Piniegin był lekko zirytowany.

– Lepiej chodźmy do pustelni, oni musieli nas minąć – stwierdził Karpienko.

Jednak coś, nie wiadomo co, kazało Pinieginowi pomyśleć inaczej.

– Ja wracam – oświadczył.

– Ale oni mieli pójść tam – upierał się zaniepokojony Karpienko.

Lecz Piniegin nie zwracał na niego uwagi. Ku przerażeniu Kozaka ruszył szybko ścieżką.

– Chyba powinniśmy pójść za nim – mruknął po chwili Karpienko.

Gdyby się nie poruszyli, nie zauważyłby ich wśród gałęzi drzew. Stali, obejmując się ramionami. Odsunęli się od siebie na krótką chwilę, a wtedy w blasku księżyca wyraźnie zobaczył ich twarze. Zaraz potem znów się poruszyli i teraz stracił ich z oczu.

Znieruchomiał. Oto Olga, którą chciał poprosić o rękę, jest z innym mężczyzną, z tym swoim przeklętym bratem. Wstrząśnięty czekał, nie wiedząc, co robić. A potem owładnęła nim zimna złość. Przecież ona prawie do niego należała! Nie pozwoli na to! Zszedł ze ścieżki.

Jednak po chwili zmienił zdanie. Co to da? Kobieta, którą kochał, już dla niego umarła. Wtedy pojawił się Karpienko.

– Piniegin! – zawołał, a jego głos odbił się echem wśród drzew. – Co ty tutaj robisz?

– Nic.

– Chodźmy do źródełek i tam na nich zaczekajmy. – Karpienko mówił głośno, tak by kochankowie mogli go usłyszeć.

We dwóch wrócili na polanę. Piniegin się uspokoił. Chłodno odliczał minuty. Im dłużej to trwało, tym bardziej było prawdopodobne, że Siergiej ją posiadał.

I w chwili gdy niemal uznał, że tak, ta straszna rzecz musiała się wydarzyć, para pojawiła się na ścieżce. Olga była blada, Siergiej zachowywał się powściągliwie.

– Szukaliśmy was wszędzie – powiedział krótko Karpienko.



A Piniegin wolno pokiwał głową.

– Już późno – mruknęła Olga. – Wracajmy do domu. – Podeszła do Piniegina.  
– Arino, pójdiesz z nami – rozkazała dziewczynie.

Podczas długiej drogi powrotnej prawie się do siebie nie odzywali. Po jakimś czasie Piniegin zapalił fajkę. Siergiej i Karpienko zostali z tyłu. Gdy w końcu zobaczyli Bobrowo, wstawał świt, a Piniegin poczuł na twarzy ślad rosy.

Po drodze różne myśli przebiegały mu przez głowę. Przez krótką chwilę wydawało mu się nawet, że będzie umiał o wszystkim zapomnieć. Może to była chwila szaleństwa. Ale potem stwierdził co innego: jeśli teraz się ożeni z Olgą, to już do końca życia ten młody człowiek będzie patrzył na mnie i myślał... Właśnie, co będzie myślał? Że oto ta miernota Piniegin udaje męża jego siostry i kochanki. Poczuł lodowatą złość. Jego duma by tego nie zniosła. Może i Olga jest winna – w końcu wszystkie kobiety to słabe istoty – ale to Siergiej zrobił z niego głupca. Zobaczył, że jestem nią zainteresowany, pomyślał, i dlatego tak postąpił.

Najprostszym rozwiązaniem byłoby rzucenie rękawicy. Ale pojedynek, bez względu na wynik, zawsze był powodem do plotek, a to by sprowadziło na Olgę hańbę. I byłoby poniżej jego godności.

Jednak nie mógł tego puścić płazem. Jeszcze się na nim zemszczę, postanowił chłodno.

Bo Piniegin był bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

Świt już wstawał, a młoda Arina czekała.

Odprowadziwszy Olgę do domu, spacerowała przez jakiś czas samotnie, bo nie chciało jej się spać. Co za magiczna noc! Aż nie mogła uwierzyć w swoje szczęście, gdy ją i ciotkę zaproszono na wycieczkę do źródełek. A gdy potem została z Olgą i młodymi mężczyznami, była zachwycona.

Wydawało jej się, że Olga jest najpiękniejszą istotą na świecie. A dwóch młodzieńców obserwowała od samego początku i była nimi zafascynowana. Miała wrażenie, że zostali stworzeni w niebie, a nie na ziemi.

A teraz, po tej magicznej nocy, jej wszystkie zmysły były pobudzone. Wciąż czuła na sobie ramię młodego Kozaka. Pamiętała jego pocałunek na werandzie podczas tańców. Nie rozumiała, co się wydarzyło w lesie tej nocy – nigdy by jej to nie przyszło do głowy. Wiedziała jedynie, że wypełnia ją żar, że ma szesnaście lat, a noc jest wprost czarodziejska.

Stała nieopodal bani. Widziała, jak dwaj mężczyźni ukazują się na ścieżce, a potem zatrzymują u stóp wzgórza. Obserwowała ich uważnie. Pożegnali się, Siergiej pozostał na brzegu rzeki, a Karpienko ruszył do domu.

Dziewczyna się uśmiechnęła. Nie mogło się lepiej ułożyć. Ten, którego kocha, został sam.

Gdy kilka chwil później Siergiej podniósł wzrok, zobaczył Arinę idącą wolno ku niemu brzegiem rzeki. Pierwsze promienie słońca padały na jej włosy. Od razu pojął, czego ona chce. A niedługo potem, na ślicznej polanie w lesie powyżej domu, niemal udało mu się przekonać samego siebie, że jest z Olgą.

Stara Arina wpadła we wściekłość. Widziała ich wczesnym rankiem, jak

wślizgiwali się ukradkiem do domu. Nie musiała nawet pytać dziewczyny, od razu się domyśliła.

W południe znalazła się na werandzie sam na sam z Siergiejem. Owszem, była zwykłą chłopką, ale była też jego nianią. Nie bała się go i miała odwagę powiedzieć mu parę słów do słuchu.

– Wstydu nie masz! Pisziesz takie ładne wiersze, a w środku jesteś bezdusznym potworem. Ale Bóg cię ukarze, Siergieju Aleksandrowiczu, przysięgam. Ukarze cię.  
– Patrzyła na niego z gniewem. – I będzie miał za co.

– Tak mi przykro, moja gołąbko – powiedział ze słabym uśmiechem. – Ale chyba nic z tego nie będzie.

– Na wszelki wypadek od razu ją wydam za kogoś ze wsi – oznajmiła Arina.  
– Dostanę od twojej matki pozwolenie, a ty się ciesz, że nie powiem o niczym Aleksemu. Mam nadzieję, że uda nam się znaleźć jakiegoś kawalera. Nikt nie miałby ochoty wychowywać twoich bękartów. – Mówiła jeszcze dalej, ale dopiero po chwili się zorientowała, że Siergiej już jej nie słucha.

– Spójrz – powiedział cicho.

Arina się odwróciła.

Pod dom zajechał duży powóz. Nie zatrzymał się jednak przy głównym wejściu, tylko z boku, przy stajniach. A teraz zaczęli wysiadać z niego pasażerowie. Najpierw Aleksy z wyrazem ponurego tryumfu na twarzy. Po nim żołnierz.

I wtedy Siergiej zbladł jak ściana.

Bo oto z powozu wyprowadzono brodatą postać w kajdanach. Gdy mężczyzna się wyprostował, przewyższał wzrostem wszystkich obecnych.

Sawa Suworin został schwytany.

Siergiej wiedział, że to jego wina.

Tamta chwila nieuwagi na moskiewskiej ulicy.

Był tak zaskoczony na widok Suworina, że zawołał go po imieniu. A gdy pomyślał, że Sawa nie słyszy, jak ten głupiec podbiegł do niego i chwycił go za rękę. Dopiero kiedy poczuł, że Suworin sztywnieje, przypomniał sobie: przecież on wciąż jest zbiegiem.

Siergiej zawsze był oburzony tym, jak potraktowano Suworinów.

– Spokojnie, nie wydam cię – powiedział szybko.

Ale Sawa wołał nie ryzykować.

– To jakaś pomyłka – mruknął. – Nie nazywam się Sawa. – Odwrócił się i zniknął w jakichś drzwiach.

Siergiej nie pobiegł za nim. Stał przez dłuższą chwilę, patrząc w dół ulicy. Dopiero wtedy zauważył, że są zaledwie o kilka metrów od otoczonych murem terenów sekty teodozjańskiej.

– Teodozjanie – wyszeptał. – Oczywiście.

Słyszał wcześniej, że starowiercy przyjmowali zbiegów, czasem dając im fałszywe nazwiska i dokumenty. Z pewnością Sawa Suworin też tam trafił. Nich mu się dobrze wiedzie. Siergiej się odwrócił.

I zobaczył, że obok niego stoi służący, chłop pańszczyźniany z Ruski. Ile udało mu się usłyszeć? Właśnie wtedy zagroził mu chłostą i kazał milczeć.

Najwyraźniej służący go nie posłuchał.

Przyjechała też z nimi kobieta o okrągłej twarzy, zapewne żona Sawy. I dwuletni chłopczyk. Stali teraz w milczeniu. A potem Sawa Suworin zobaczył Siergieja. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji – po prostu patrzył. Siergiej miał ochotę podbiec do niego i wyjaśnić, że to nie on go wydał. Ale po co? I tak zawiniła jego głupota i nieostrożność. Mógł jedynie patrzeć przepaszająco.

Rozległ się głos Aleksego:

– Ej, Suworin, jutro dostaniesz baty.

Potem Aleksy się odwrócił i zauważył Siergieja.

– O, Siergiej. – Uśmiechnął się, ale jego uśmiech wyrażał ostrzeżenie. – Mam dla ciebie wieści. Chodźmy do środka.

Siergiej wszedł do domu.

Aleksy był konkretny. I niemal wesoły. Od razu przeszedł do rzeczy.

– Jak widzisz, pojaliśmy zbiegłego chłopca. Zdaje się, że widziałeś go w Moskwie, ale nie uznałeś za stosowne mnie o tym poinformować. A to czyni cię współwinnym kradzieży. Jednak nie o tym chcę mówić. Jak zapewne wiesz, hrabia Benckendorff poprosił mnie, bym miał na ciebie oko. Niestety, mój raport nie mógł być ci przychylny. Dlatego hrabia... pokażę ci później jego list... postanowił, że najlepiej będzie, jeśli na jakiś czas wyjedziesz. Jutro odeślę cię do gubernatora wojskowego we Włodzimierzu. On zorganizuje ci dalszą podróż na wschód. Nie, nie na Syberię, trochę bliżej, na Ural. Pewnie zostaniesz tam na trzy lata.

Zesłanie. Trzyletnie zesłanie na Uralu, setki kilometrów na wschód.

– A korzystając z okazji, mógłbyś zbadać warunki pracy w tamtejszych kopalniach – rzucił lekko Aleksy.

Mały Misza nic nie rozumiał. Stryjek Siergiej był blady i prawie go nie zauważał. Karpienko mruzczał coś do siebie, kręcąc głową. Ciocia Olga płakała. Nawet Piniegin, jak zawsze w białym mundurze i z fajką w dłoni, wyglądał ponuro. Podobno stryjek Siergiej musiał wyjechać, ale Misza nie wiedział, z jakiego powodu.

Nikt nie zauważył, gdy chłopiec wślizgnął się do salonu i stanął za fotelem. Babcia siedziała na sofie, a ojciec stał przed nią. Misza chciał już wyjść na środek, ale powstrzymał go głos babki.

– Jesteś zwykłym szakalem.

Misza znieruchomiał ze zdziwienia. Przecież Tatiana mówi do jego ojca.

– To wszystko przez ciebie. Wiem dobrze. Mój własny syn okazał się... zmija.

– Niemal wypłuła z siebie to słowo. – Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Wyjdź.

Zauważył, że ojciec się skrzywił, a potem z wolna odwrócił. A gdy szedł do drzwi, on schował się za fotelem. Po kilku chwilach też się wymknął, drżąc na całym ciele.

Co to znaczy? Czy jego ojciec jest złym człowiekiem?

*Rok 1844*

W 1844 roku pojedynek między Sawą Suworinem a rodziną Bobrowów wszedł w końcową fazę. Rozgrywał się między panem, który nienawidził swojego chłopca,

a jednocześnie darzył go szacunkiem, oraz chłopem, który nienawidził swojego pana i nim pogardzał.

Sawa Suworin nigdy się nie poddał. Kiedy po otrzymaniu listu od Tatiany uciekł z Moskwy, zabrał ze sobą tylko trochę zaszytych w ubranie pieniędzy oraz poczerniałą ikonę. Ukrywając się, przez dwa straszne lata był burłakiem na Włodze. To była katorżnicza praca. Na jego oczach ludzie od niej umierali. Ale Bóg dał mu siłę. Każdej nocy Sawa wyjmował swoją małą ikonę i się modlił: „Boże, zmiłuj się nade mną i uchroni od zła, które mogliby mi wyrządzić niegodziwcy”.

Po dwóch latach udał się na wielki targ do Niżnego Nowogrodu. Ponieważ jednak nie miał odpowiednich dokumentów, proponowano mu jedynie jakieś poślednie dorywcze prace. W końcu musiał wrócić do Moskwy i zgłosić się do wspólnoty teodozjan, którzy przyjęli go serdecznie i zaopatrzyli w fałszywe papiery.

Był w Moskwie szczęśliwy. Choć społeczność istniała po to, żeby opiekować się najbiedniejszymi członkami, zaliczało się do niej sporo ludzi przedsiębiorczych. Nie upłynęło wiele czasu, a Sawa został przez nich zauważony. Ożenił się z córką jednego z teodozjan, spokojną kobietą o okrągłej twarzy i zadartym nosie, która – jak się szybko przekonał – miała zadziwiający zmysł praktyczny. Urodził im się syn. Na imię dali mu Iwan.

A potem doszło do niespodziewanego spotkania z Siergiejem.

Dzień po przybyciu do Ruski Aleksy Bobrow kazał Sawę wychłostać. Gdy kolejne razy spadały mu na plecy, chłop z całych sił skupiał się na jednej myśli: przeżyję i któregoś dnia będę wolny. I dzięki Bogu, że przy dwudziestym uderzeniu rozległ się na podwórzu głos:

– Dość tego! Przestańcie natychmiast!

Gniew Tatiany był tak wielki, że nawet Aleksy nie ośmielił się jej sprzeciwić.

Sawę i Aleksego łączyła wzajemna wrogość. Gdyby nie Tatiana, jej syn zniszczyłby Suworinowi życie. Kiedy chciał zamienić biednego chłopca w domowego sługę do wykonywania poślednich prac – „żeby dać mu nauczkę i wpoić odpowiednie maniery” – jedynie Tatiana umiała się przeciwstawić.

– Miej choć trochę rozumu – mówiła. – Przecież on ci się bardziej przyda, robiąc to, co umie najlepiej.

I to ona pożyczyła Suworinowi pieniądze na nowy początek.

Mijały lata, a Sawa nie tracił czasu. Dwa razy został pozbawiony całego dorobku życia, ale nie poddawał się i niezmordowanie robił swoje. Kiedy krewny Iwan Romanow zaproponował mu pomoc – „Mam trzech dorosłych synów i jednego podrostka” – grzecznie odmówił. Nie chciał współników, nie chciał, by ktoś go opóźniał.

W 1830 roku, gdy Aleksy walczył w Polsce z kolejnym polskim powstaniem, Sawa założył niewielką manufakturę, w której drukowano tkaniny bawełniane. I czerpał z niej pokaźne zyski. Ale gdy Aleksy to zobaczył, obciążył Suworina tak wysokim obrokiem, że interes przestał się opłacać.

– Ten głupiec nie chce, żebym mu przynosił dochód, on woli mnie zniszczyć – powiedział ponuro do żony.

Jedynie pod nieobecność Aleksego, gdy majątkiem zarządzała Tatiana, Sawa mógł

nadal prowadzić swoją działalność. To dzięki niej – i dlatego, że ustaliła obrok w rozsądnej wysokości – Suworin otworzył po dziesięciu latach tkalnię, w której zatrudniał robotników z Ruski, i wzbogacił się jak nigdy przedtem.

Takie rozwiązanie było korzystne dla wszystkich, mimo to Aleksy biedniał z każdym rokiem. Z prostego powodu. Bo o ile w kwestii prowadzenia majątku Tatiana umiała mu przemówić do rozumu, o tyle była bezsilna w kwestii jego wydatków. A on, choć wyznawał surowe zasady, lubił wystawne życie. Syn Misza, przeznaczony do gwardii cesarskiej, dorósł, a Aleksy upierał się, że musi hojnie łożyć na jego utrzymanie. „Tu chodzi o honor rodziny” – powtarzał. W rezultacie dodatkowy obrok płynący z działalności Suworina, zamiast zasilać majątek, jedynie zachęcał Aleksego do coraz większych wydatków, które wkrótce zaczęły przekraczać dochody.

Natomiast Sawa wychowywał swojego syna twardą ręką. Żałował, że Bóg dał im tylko jedno dziecko, ale też mawiał: „Jedno mi wystarczy”. Mały Iwan, mimo że nie odziedziczył po ojcu potężnej budowy, był bystrym chłopcem obdarzonym pięknym głosem. Sawa umiał to docenić, jednocześnie stawiał granice muzycznym zainteresowaniom syna. Gdy trzynastoletni Iwan przyniósł do domu skrzypce, które właśnie sobie kupił, Sawa wziął je do ręki, obejrzał i jednym uderzeniem roztrzaskał osłupiałemu chłopcu na głowie. „Nie masz na to czasu”. To było jego jedyne wyjaśnienie.

Konflikt między Suworinem a Aleksym Bobrowem miał jeszcze jeden powód. Sawa był staroobrzędowcem. Nadal utrzymywał kontakty z teodozjanami i choć nie próbował nikogo nawracać, to na przykład jadał zgodnie ze zwyczajem staroobrzędowców – siadał samotnie z boku i używał drewnianej miski i małej drewnianej łyżki z krzyżykiem.

W owym czasie sekty staroobrzędowców były lojalne wobec władzy. Jednak Aleksy nawet takie milczące wyznawanie wiary uważał za niedopuszczalne – ponieważ wyglądało jak osobisty bunt Suworina, a poza tym „godziło w dobro Rosji”, jak mawiał stanowczo.

W 1832 roku rząd cara Mikołaja sformułował doktrynę, która w pewnym sensie stanowiła streszczenie poglądów wszystkich rosyjskich rządów w tamtym stuleciu, a nawet później. Była to słynna doktryna „oficjalnej narodowości”. Ogłoszona w rządzie, w armii, a zwłaszcza w szkołach, mówiła dobitnie, że dobro Rosji zasadza się na trzech filarach: prawosławiu, samowładztwie cara oraz narodowości, która oznaczała poczucie wspólnotowej przynależności do ludu rosyjskiego.

Idea była prosta. Zakładała ojcowski związek między carem a jego poddanymi, całkowicie pasujący do państwa, które lubiło się nazywać Świętą Rosją. Dla Aleksego doktryna stała się świętością, gdy tylko ją ogłoszono.

Tak więc w oczach despotycznego właściciela ziemskiego surowy staroobrzędowiec był człowiekiem zdradzieckim, nielojalnym i niepokornym. Powiniennem był go mocniej wychłostać, myślał Aleksy. I jeśli tylko nadarzy się jakiś pretekst, każe go jeszcze raz wybatożyć.

A wolność, prawdziwy cel Sawy, wciąż wydawała się nieuchwytna.

W 1837 roku zapytał Aleksego Bobrowa, ile musiałby zapłacić za wykupienie swojej rodziny.

– Nic, bo ja cię nie uwolnię – padła odpowiedź.

Następnego roku jeszcze raz zadał to pytanie i usłyszał to samo.

– Mogę wiedzieć, panie, dlaczego? – spytał.

– Oczywiście – odparł uprzejmie Aleksy. – Dlatego, Suworin, że wolę mieć cię tu, gdzie jesteś.

A Sawa, patrząc z goryczą na syna, powiedział do żony:

– Jest w tym samym miejscu, co ja w jego wieku, poddany syn poddanego chłopca.

– A gdy Maria próbowała go pocieszyć, mówiąc, że coś się zmieni, pokręcił jedynie głową. – Ciekawe co.

W 1839 roku zaczął się głód.

Wcześniej przez długi czas zbierali dobre plony. Ale od dwóch lat mieli nieurodzaj. Aleksy był daleko, aż na Ukrainie. Cały ciężar zarządzania majątkiem spadł na Tatianę, która miała już siedemdziesiąt lat.

Dwa lata słabych zbiorów oznaczały dla Ruski groźbę głodu.

– Rizański majątek jest całkowicie spustoszony – jęczał Ilja. – Zarządca pisze, że zarzynają bydło, bo nie mają paszy na zimę.

Kilkakrotnie próbowali kupić zboże w innych rejonach.

– Nawet nam się udało coś znaleźć, ale zginęło po drodze – oznajmiła Tatiana.

Zimą 1840 roku sytuacja stała się rozpaczliwa.

Każdego dnia Tatiana chodziła do wsi i zaglądała po kolei do wszystkich domów. We dworze mieli jeszcze trochę zapasów, ale starczały one jedynie dla najbardziej potrzebujących, więc za każdym razem musiała podejmować trudne decyzje. I zawsze zaglądała do dwóch domów. Odwiedzała Romanowów, bo ich syn Timofiej bawił się kiedyś z małym Miszą, oraz chałupę, w której mieszkała młoda Arina z mężem i dziećmi. Stara Arina umarła pięć lat wcześniej, a Tatiana czuła się w obowiązku pomagać jej siostrzenicy. Nie było to łatwe zadanie. Z wyjątkiem brzydkiej dziewczynki imieniem Waria wszystkie dzieci były chore. I w ciągu czterech tygodni zmarły. Ale, co gorsza, nie mogła przetłumaczyć Arinie, żeby ta jadła cokolwiek. Wszystko, co dostawała od Tatiany, oddawała Warii. Gotowa była poświęcić siebie, byle tylko ocalić ostatnie dziecko. Od długiego czasu żywiła się jedynie małymi kawałkami rzepy. Głód najdotkliwiej uderzał w chłopów, ale Tatiana, patrząc na ich cierpienie, też bardzo podupadła na zdrowiu. A latem 1841 roku, gdy dzięki Bogu plony był dobre, powiedziała ze smutkiem do Ilji: „Coś mi jest. Chyba nie dożyję starości”.

Nieco wcześniej, na początku wiosny 1840 roku, gdy sytuacja była najgorsza, pojawiły się dziwne pogłoski. Powiedział jej o nich Iwan Romanow, gdy zajrzała do ich chaty. On i jego synowie byli bardzo podekscytowani.

– Car! – zawołał Iwan. – Car do nas przyjedzie. – Uśmiechnął się. – I wtedy wszystko będzie dobrze.

– Car Mikołaj do nas przyjedzie?

– Nie – zaprzeczył z uśmiechem. – Poprzedni car. Aleksander. Anioł.

Jedna z wielu dziwnych rozchodzących się w Rosji pogłosek mówiła, że car Aleksander nie umarł w 1825 roku, ale wyruszył na wędrowkę jako mnich Fiodor Kuźmicz. Nikt nie wie, jak i gdzie ta historia się narodziła. Podobno jeszcze dziś niektórzy

twierdzą, że pewna angielska rodzina ma dokumenty potwierdzające jej prawdziwość.

Tatiana co dzień zachodziła do wsi i co dzień widziała ludzi z nadzieją wyglądających przybycia cara, który miał im przywieźć jedzenie. A któregoś razu zatrzymano i dokładnie zrewidowano mnicha z klasztoru, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie jest to car w przebraniu.

Te nadzieje wywoływały jej smutny uśmiech, ale jednocześnie były obrazą dla jej zdrowego rozsądku. I właśnie ta atmosfera oczekiwania natchnęła ją nowym pomysłem. Wezwała do siebie Sawę Suworina.

– Nie potrzebujemy tu cara, tylko innych upraw. Rozejrzyj się, rozpytaj, może coś znajdziesz.

Po trzech miesiącach Suworin przywiózł wieści. I co było bardzo do niego niepodobne, uśmiechał się przy tym półgębkiem. Trzymał w ręce mały worek, z którego wyjął brudne, szarobrazowe bulwy.

– To może być rozwiązanie – powiedział. – Niemieccy osadnicy już od dawna uprawiają tę roślinę na południu, ale do nas jeszcze nie dotarła.

– A co to takiego? – spytała.

– Ziemniaki, pani.

I tak oto ziemniaki, które są jedną z najważniejszych upraw współczesnej Rosji, zaczęto hodować w Rusce na długo przedtem, nim zadomowiły się w majątkach księstwa moskiewskiego.

Ale Sawa Suworin, choć współczuł cierpieniu innych chłopów, czerpał też ponurą radość z dwuletnich nieudanych zbiorów, bo widział w tym swoją szansę.

– Ten przeklęty Aleksy Bobrow już długo nie wytrzyma – oznajmił żonie i synowi. – Stracił dwuletnie dochody. – Pokiwał w zamyśleniu głową. – Czas złożyć im propozycję, której nie będą mogli odrzucić.

I wiosną następnego roku poprosił Tatianę o paszport na wyjazd do Moskwy.

W maju 1844 roku Sawa Suworin stanął przed Aleksym Bobrowem i przedstawił mu zaskakującą ofertę.

– Pięćdziesiąt tysięcy rubli.

Nawet Aleksy osłupiał. To była prawdziwa fortuna. Skąd, u diabła, Sawa wziął tyle pieniędzy?

– Wrócę jutro, panie, żebyście mogli rozważyć moją propozycję.

Wyszedł cicho, a Aleksy jedynie za nim patrzył. Tym razem, myślał Suworin, przyparłem go do muru.

Jego plan był bardzo ambitny, a zasadzał się na ogromnej pożyczce bez odsetek, którą wynegocjował od teodozjan. Dzięki niej mógł nie tylko kupić sobie wolność, ale także dokonać poważnej inwestycji, która pozwoliłaby mu na zawsze przejąć tkalnię na własność.

Przemysłem, który w ówczesnej Rosji rozwijał się najprężniej, była produkcja tkanin bawełnianych z importowanego surowca. Okolice na północ od Włodzimierza nazwano nawet „perkalową krainą”. Sawa zamierzał przestawić swój zakład na bawełnę, a do tego znacznie zwiększyć produkcję za sprawą wielkiej, napędzanej parą maszyny do przędzenia, którą chciał kupić w Anglii. Kilka lat wcześniej na podobny krok zdecydowali

się dwaj potężni rosyjscy przedsiębiorcy i odnieśli wielki sukces.

– Ale zrobię to dopiero, gdy będę wolny – zapowiedział rodzinie. – Nie założę wielkiej fabryki tylko po to, żeby jakiś przekłety Bobrow ukradł mi ją pod byle pretekstem tak jak kiedyś.

Pięćdziesiąt tysięcy rubli. Taką ofertę musiał rozważyć nawet właściciel ziemski.

Aleksy Bobrow w wieku pięćdziesięciu jeden lat miał potężną sylwetkę, która dodawała mu wieku. Bardzo utył. Siwe włosy były krótko przycięte, policzki mu się zaokrągliły, a jego pociągła, jastrzębia twarz zrobiła się większa i bardziej kwadratowa. Orli nos mu zgrubiał, przez co z długimi, opadającymi siwymi wąsami Aleksy wyglądał jak turecki pasza dzierżący niepodzielną władzę. Na jego mundurze widniały liczne ordery, między innymi Order Aleksandra Newskiego.

Owdowiał już drugi raz, a ponieważ wskutek rany, którą odniósł w walce z polskim powstaniem, lekko okulał, przeszedł tego roku na zasłużoną emeryturę i na stałe zamieszkał w Bobrowie.

Gdy opowiedział matce i Ilji o propozycji Suworina, oboje stwierdzili stanowczo, że powinien ją przyjąć. Tatiana argumentowała to bardzo dobitnie. Kryjąc się z sympatią do Suworina, powtarzała, że te pieniądze są im po prostu potrzebne.

– Dzięki nim mógłbyś spłacić wszystkie długi zaciągnięte podczas nieurodzaju, wprowadzić jakieś ulepszenia w majątku, a i tak sporo by jeszcze zostało. – Bobrowowie nie mieliby problemów finansowych co najmniej przez jedno pokolenie.

Stanowisko Ilji było nieco inne. Choć wciąż nie zdawał sobie sprawy, że to on się pomylił w kwestii kradzieży pieniędzy, to zawsze miał lekkie wyrzuty sumienia z powodu tego, jak jego rodzina potraktowała Sawę. Poza tym doszedł do własnych konkluzji.

– Wybacz, drogi bracie, że mówię wprost, ale prawda jest taka, że dla każdego cywilizowanego Rosjanina poddaństwo to rzecz obrzydliwa. Nawet nasz car, którego większość ludzi ma za reakcjonistę, twierdzi, że należy je znieść. Już od wielu lat rozważa to jakiś poważny komitet i co roku dochodzą ze stolicy pogłoski, że coś się w końcu zmieni. I pewnego dnia te pogłoski okażą się prawdą. Przynajmniej pojawi się jakaś idea. A co Suworin ci wtedy zaoferuje, jeśli będzie wiedział, że i tak za rok czy dwa uzyska wolność? Bez względu na moje poglądy na temat pańszczyzny radzę ci, żebyś dla własnego dobra przyjął jego propozycję.

Aleksy słuchał, ale nie dał się przekonać. Argumenty Ilji od razu odrzucił.

– Przez całe życie słyszę o uwolnieniu chłopów – oznajmił. – Ale nic się w tej kwestii nie zmieniło. Szlachta nigdy się na to nie zgodzi, ani za mojego życia, ani za życia Miszy.

Jeszcze jedno boleśnie mu doskwierało. Był wystarczająco bystry, by od razu się domyślić, skąd Sawa wziął pieniądze. Przekłęci teodozjanie. Przypomniawszy sobie, co rok wcześniej powiedział mu rudowłosy pop z Ruski: „Ci starowiercy najpierw zakładają fabryki, a potem zaczynają nawracać miejscowych chłopów, przez co Cerkiew traci swoją trzódkę”. Aleksy już widział oczami wyobraźni, co się stanie, gdy Suworin uwolni się spod jego władzy. Ruskę zaleją odszczepieńcy. A ponieważ sam był żarliwym zwolennikiem doktryny oficjalnej narodowości, taka perspektywa wydawała mu się przerażająca.



Jednak w głębi ducha kierował się innym przekonaniem. Moja matka, powtarzał sobie, to kochana kobieta, ale skoro tu mieszkam i mogę się zająć majątkiem, wiele rzeczy będzie się musiało zmienić. Żeby osiągnąć znaczny wzrost dochodu, trzeba było – jego zdaniem – jedynie wprowadzić „trochę więcej dyscypliny”, jak to nazywał. Ze względu na szacunek i miłość do Tatiany nie odważył się zrealizować swojego pomysłu już teraz, ale przecież ona nie będzie żyła wiecznie. Dlatego obiecał sobie, że po jej śmierci tak przycisnie Suworina, iż ten ani piśnie. Nie weźmie od niego pięćdziesięciu tysięcy teraz, ale w ciągu kolejnych lat wydoi z niego, co się da. Niech on sobie zarabia, myślał, a i tak umrze w biedzie.

Gdy więc następnego dnia Sawa przyszedł do dworu, Aleksy Bobrow spojrzał na niego chłodno i oświadczył:

– Dziękuję ci za tę propozycję, Suworin, ale moja odpowiedź brzmi „nie”.

A gdy zaskoczony chłop, który przecież wiedział, że ta decyzja jest wbrew interesom samego Bobrowa, zapytał, kiedy znów będą mogli o tym porozmawiać, Aleksy odparł z uśmiechem:

– Nigdy.

Dlatego wieczorem Sawa powiedział do żony:

– Ten uparty głupiec postradał resztki rozumu. Podda się dopiero, gdy straci wszystko.

Ale kiedy to będzie?

W tym czasie Ilja zaczął się dziwnie zachowywać. Nikt nie wiedział, co mu się stało. Na początku lata zazwyczaj przesiadywał przy oknie w salonie albo gdzieś na werandzie, pogrążony w lekturze. Dopiero gdy przychodziły upały, spędzał więcej czasu na dworze.

Teraz jednak całkowicie zmienił tryb życia. Przez wiele godzin zajmował się czymś w swoim pokoju, a potem wychodził ze zmarszczonym czołem, coś do siebie mrużąc. Zamykał drzwi na klucz, więc służba nie mogła nawet u niego posprzątać. Potrafił też przez godzinę spacerować w tę i z powrotem alejką za domem. A gdy Aleksy albo Tatiana pytali, czym jest tak zajęty, rzucał zdawkową odpowiedź w rodzaju: „Niczym, naprawdę niczym”. Mogli się więc jedynie zastanawiać, jaka tajemnica się za tym kryje.

Pewnego dnia, gdy Ilja przechadzał się po ścieżce, Tatiana źle się poczuła. Właściwie nic poważnego, nagle zawroty głowy. Ale kilka godzin później, gdy siedziała w salonie, na pół minuty straciła przytomność.

Nikommu o tym nie powiedziała. Nadal zajmowała się codziennymi obowiązkami. Jednak coraz częściej zaczęła nawiedzać ją myśl, że zostało jej już niewiele dni. A po tygodniu znów straciła przytomność.

W jej wieku takie objawy nie były dziwne, ale przestraszyła się, a do tego czuła się samotna. Zaczęła codziennie chodzić do cerkwi, choć wiedziała, że od rudowłosego popa w Rusce nie doczeka się pocieszenia. Odwiedzała też klasztor, gdzie czuła się lepiej, i rozmawiała z mnichami. Którejś niedzieli po mszy, gdy rozdawano pobłogosławiony chleb, podeszła do niej chłopka, którą ledwo знаła, i powiedziała z miłym uśmiechem:

– Powinna pani pójść do starego pustelnika, który mieszka za skitem.

Słyszała o nim. Był jednym z mnichów z pustelni przy źródełkach, któremu dwa

lata wcześniej pozwolono przenieść się nieco dalej w las do własnej samotni. Powiadano, że to prawdziwie święty człowiek, ale nic więcej o nim nie wiedziano. Nie wspomniano o żadnych cudach, a on prawie nikogo nie widywał. Nazywał się ojciec Bazyli.

Przez tydzień Tatiana nie myślała o słowach chłopki. Do pustelni było daleko, poza tym czuła się onieśmielona. Ale gdy znów straciła przytomność, a do tego pojawił się ból w klatce piersiowej, dwa dni później kazała zaprząć mały, jednoosobowy powóz i nie mówiąc, dokąd się wybiera, pojechała do pustelni.

Zajęło jej to całe przedpołudnie. Ostatni kawałek drogi musiała przejść pieszo, a woźnicy kazała zaczekać. Gdy dotarła na miejsce, widok ją zaskoczył.

Na środku dość dużej polany stała prosta, solidnie zbudowana chata. Przed nią znajdował się niewielki warzywnik, a z boku, przy drzewach, zauważyła dwa ule z wydrążonych pni. Przed drzwiami stał stół, na nim leżały książki i jakieś papiery. Mnich siedział przy stole i coś pisał, choć porzucona obok warzywnika motyka mówiła, że niedawno musiał tam pracować. Spojrzał na Tatianę życzliwie. Słyszała, że jest ascetą i ma siedemdziesiąt pięć lat, dlatego zdziwiła się na widok delikatnego, ale pełnego energii mężczyzny, który wyglądał na pięćdziesięciolatka. Miał czyste, piwne oczy i patrzył na nią z wielką szczerością.

– Czułem, że ktoś mnie odwiedzi – powiedział.

Przedstawiła się, a on skinął uprzejmie głową i podsunął jej zydel, żeby usiadła. A potem, jakby jeszcze na coś czekał, dodał:

– Posiedźcie tu trochę, dopóki nie wrócę. – Zniknął w chacie, jak sądziła, żeby się pomodlić.

Dzień był ciepły i pogodny. Słaby wiatr, który szeleścił liśćmi, ledwo docierał na polanę. Czekając, zastanawiała się, o co tak naprawdę chciała zapytać tego świętego męża i jak ma to ubrać w słowa. Minęło dwadzieścia minut.

Na widok niedźwiedzia o mało nie krzyknęła na cały głos. Zwierzę wyrosło jak spod ziemi i człapało ciężko w jej kierunku. Zerwała się, żeby uciec do chaty, ale mnich nagle się pojawił.

– O, Misza – powiedział łagodnie. – Szybko wróciłeś. – Uśmiechnął się do Tatiany. – Przychodzi prosić mnie o miód, bo wie, że nie wolno mu się zbliżać do uli. – Czule pogłaskał niedźwiedzia po łbie. – Idź już stąd, niegrzeczny chłopaku – powiedział serdecznie, a niedźwiedź posłusznie się oddalił.

Ojciec Bazyli wrócił na swoje miejsce przy stole, dając jej znak, by też usiadła. A potem, o nic nie pytając, zaczął mówić cichym, ale stanowczym głosem.

– Na temat życia po śmierci nasza prawosławna wiara mówi jasno i wyraźnie. Nie myśl, że w chwili śmierci utracisz świadomość, tak nie jest. Wręcz przeciwnie, nasza egzystencja nie ustaje ani na chwilę. Zobaczysz wokół siebie znajomy świat, ale nie będziesz mogła się z nim porozumieć. Jednocześnie napotkasz duchy tych, którzy odeszli przed tobą, ludzi, których znałaś i których kochałaś. Twoja dusza, uwolniona od Ignących do niej nieczystości ciała, będzie pełna życia jak nigdy wcześniej. Ale w żadnym razie nie uwolnisz się od pokus, napotkasz duchy, dobre i złe, które będą cię do siebie przyciągać zgodnie z twoimi skłonnościami. Przez dwa dni... używam miary czasu znanej na ziemi... będziesz mogła swobodnie przemierzać świat. Ale trzeciego dnia będziesz

musiała przejść wielką i straszną próbę. Bo jak mówi opowieść o zaśnięciu Marii Panny, sama Matka Boża zadrżała na myśl o dniu, w którym, jak sama to nazwała, dusza przechodzi przez rogatki. I tego dnia powinnaś się lękać. Będziesz spotykać złe duchy, a to, czy umiałaś z nimi walczyć za życia, da ci siłę... albo nie... żeby przejść na drugą stronę. Ci, którym się to nie udaje, idą wprost do piekła. Tego właśnie dnia modlitwy żyjących są wielką pomocą.

Tatiana spojrzała na niego uważnie. Nawet jeśli liczyła na pocieszenie, to go nie dostała. Kto będzie się za nią modlił tego dnia? Rodzina? A może surowy Aleksy?

Pustelnik uśmiechnął się łagodnie.

– Jeśli chcesz, to ja się za ciebie pomodłę – powiedział.

Tatiana pochyliła głowę.

– Ale skąd będziecie wiedzieć o mojej śmierci? – Pustelnia leżała z dala od wioski.

– Będę wiedział – zapewnił ją. – Potem, przez kolejne trzydzieści siedem dni, będziesz poznawała kolejne rejony nieba i piekła, ale nie będziesz wiedziała, jakie jest twoje przeznaczenie. W końcu zostanie ci przydzielone miejsce, w którym będziesz oczekiwać na dzień Sądu Ostatecznego i na Dzień Pański. Przypominam ci o tym, abyś wiedziała, że w chwili śmierci twoja dusza nie ginie, ale przechodzi do innego stanu – powiedział łagodnie. – Życie jest jedynie przygotowaniem ducha do tej ostatniej drogi. Bądź na nią gotowa i nie lękaj się. Żałuj za grzechy, które ci ciążyą. Błagaj o przebaczenie. Pamiętaj, żeby na końcu podróży twój duch zachował pokorę. – Wstał.

Tatiana też się podniosła.

– Jak szybko to się wydarzy? – spytała.

– Ten czas nigdy nie jest odpowiedni – odparł. – Dlatego musisz być gotowa. To wszystko. – Pobłogosławił ją i dał jej drewniany krzyżyk. A gdy już miała odejść, skinął, by zaczekała. – Widzę, że zanim odejdziesz, czeka cię trudna próba. – Umilkł, patrząc ponad jej głowę, a potem znów na nią spojrzał. – Módl się szczerze i przygotuj na przybycie gościa.

Idąc powoli do powozu, zastanawiała się, co te słowa mogą znaczyć.

Tydzień później przed dom zajechał skromny powóz ze źle ubranym stangretem o zręczliwej twarzy. W środku siedział Siergiej. Obok siebie miał żonę.

W wieku czterdziestu dwóch lat Siergiej Bobrow wyglądał jak zawiedziony człowiek, który nie osiągnął nic na miarę swoich możliwości. Dwaj literaccy geniusze jego pokolenia – dawny przyjaciel Puszkina, a ostatnio także Lermontow – przemknęli niczym meteory na niebie, tracąc życie w młodym wieku. Ludziom zawsze się wydawało, że Siergiej jako dojrzały mężczyzna doprowadzi do końca to, co oni sami zaczęli w młodości. Ale on nie spełnił tych nadziei i to mogło częściowo tłumaczyć głębokie zmarszczki na jego twarzy. Ciemne włosy, których nie ścinał na krótko, przerzedziły się nad czołem. Nosił teraz bokobrody, zaczynające siwieć. Miał zmęczoną twarz. Nieco wydatny brzuch sugerował skłonność do irytacji. Rzadko zaglądał do Ruski, a Tatiana wiedziała, że nieustannie zмага się z trudnościami finansowymi. Nigdy się jednak nie skarżył.

Weszli do domu i po krótkim przywitaniu Siergiej odciągnął matkę na bok.

– Przyjechałem prosić cię o przysługę – powiedział.

Jego stary przyjaciel Karpienko, który mieszkał obecnie w Kijowie, zaproponował mu wspólną podróż po Ukrainie. To miała być męcząca wyprawa, odbywana także konno, zupełnie nieodpowiednia dla kobiety.

– Jeśli chcę jeszcze zrobić coś dobrego, potrzebna mi zmiana miejsca. Muszę gdzieś wyjechać – wyznał. Miał wrócić za dwa miesiące. – Mogę zostawić u ciebie żonę? – spytał.

Tatiana nie potrafiła odmówić.

Zebrali się wszyscy przy obiedzie. To było przyjemne spotkanie. Tatiana była szczęśliwa, że ma przy sobie Aleksego i Siergieja.

W ciągu tych długich lat udało im się ze sobą pojednać. I obaj skrupulatnie przestrzegali zasady, która pozwalała uniknąć kłótni: nigdy nie rozmawiali na pewne tematy. Między innymi o wojsku i Sawie Suworinie. Wiedziała, że postępują tak jedynie ze względu na nią, i umiała to docenić.

Aleksy starał się być miły, a Ilja wprost promieniał z radości. Był człowiekiem wykształconym i o swoich przemyśleniach nie mógł porozmawiać z matką, a tym bardziej z Aleksym. Jednak od przyjazdu Siergieja niezwykle się ożywił, a przed obiadem Tatiana usłyszała, jak kręci się po swoim pokoju, wyjmując książki i inne papiery, pomrukując:

– Och, Sierioża, o tylu rzeczach musimy porozmawiać.

Tylko najmłodszy brat mógł poznać tajemnicę Ilji.

Jedyną nieodgadnioną osobą przy stole była żona Siergieja.

Pobrali się trzy lata wcześniej. Nadia była dobrze urodzoną córką generała, a jasne włosy i urocza prezencja podczas balów sprawiły, że któregoś roku nazwano ją w towarzystwie „eteryczną pięknoscią”. Wówczas Siergiej też uchodził za atrakcyjną partię. Zakochali się nawzajem w swoim wizerunku – młoda dziewczyna i niepoprawny hulaka. „Rzeczywiście jest blond pięknoscią – przyznał Ilja, gdy pierwszy raz ją zobaczył. – Ale nie widzę w niej nic eterycznego”. Po ślubie rodzina Siergieja prawie jej nie widywała. Wiedzieli, że urodziło im się dziecko i że po tygodniu zmarło. Nie mieli wiadomości o kolejnych ciążach. Nadia wyglądała przy stole na nieco znudzoną, rozmawiała głównie z Aleksym, przy którym, jak się zdawało, czuła się swobodniej niż przy Ilji. Jeśli ona ma tu zostać na całe lato, pomyślała Tatiana, to dowiem się o niej wszystkiego.

Po posiłku Nadia i Tatiana poczuły się zmęczone, więc postanowiły odpocząć, mężczyźni natomiast przenieśli się na werandę, żeby zapalić fajkę i pogawędzić. Wszyscy odnosili się do siebie przyjaźnie. Nawet Aleksy po rozmowie z żoną Siergieja był w wesołym nastroju. A wysłuchawszy najnowszych plotek ze stolicy, zwrócił się do Ilji:

– To co, braciszku, skoro Sierioża jest z nami, to może nam opowiesz, czym się tak usilnie zajmowałeś przez ostatnie tygodnie?

Dopiero teraz Ilja zdradził im swoją tajemnicę.

– Wyjeżdżam z Ruski – oznajmił z łagodnym uśmiechem. A widząc ich zaskoczone spojrzenia, wyjaśnił: – Pojadę za granicę, żeby napisać książkę. Dałem jej nawet tytuł: *Rosja a Zachód*. To będzie dzieło mojego życia.

Może był to wynik nagłej inspiracji, może kulminacja wieloletnich studiów.

A może to na widok orderów Aleksego, zwłaszcza Newskiego uroczyście spoczywającego na piersi brata, Ilję nawiedziła nagła myśl, że oto Aleksey odszedł na emeryturę, mając dowody życiowych osiągnięć, a on sam, mimo pięćdziesięciu pięciu lat, nie ma się czym pochwalić. Tak czy inaczej postanowił się zdobyć na największy wysiłek: także Ilja Bobrow zostawi coś potomności.

Przez całe życie gromadził wiedzę; był Europejczykiem, do tego postępowym, cóż mu więc pozostało, jeśli nie napisanie książki, która poprowadzi jego ukochaną Rosję ku przeznaczeniu? Tak by przyszłe pokolenia, spoglądając wstecz, mogły powiedzieć: „To Ilja Bobrow wskazał nam drogę”.

Z widoczną dumą przedstawił im swój plan:

– Moja teza jest w sumie prosta. Przez całe swoje dzieje Rosja nigdy nie umiała rządzić się sama. To cudzoziemcy przywozili do nas porządek i kulturę. Za czasów Złotego Kijowa władali nami Normanowie, a religię dali nam Grecy. Przez wiele stuleci żyliśmy w mrokach tatarskiego jarzma, a gdy się z niego wyzwoliliśmy, kto nas poprowadził ku nowoczesnemu światu? Właśnie, uczeni i inni fachowcy przywiezieni z Anglii, Holandii i Niemiec przez Piotra Wielkiego. Kto dał nam naszą dzisiejszą kulturę? Katarzyna Wielka, która sprowadziła z Francji oświecenie. A jacy filozofowie są dla nas inspiracją, Siergiej? Oczywiście wielcy współcześni filozofowie niemieccy. I nic dziwnego, bo Rosja nie ma nic do zaproponowania, a to, co mamy, należy do średniowiecza. Spójrzcie tylko na nasze prawa! – Utkwił wzrok w braciach. – Zaledwie kilka lat temu nieoceniony Spieranski ukończył wreszcie wielką kodyfikację rosyjskiego prawa. Co z niej wynikło? Pojęcie sprawiedliwości, które tysiąc lat temu uznano by na Zachodzie za barbarzyńskie. Jednostka nie ma żadnych praw; nie mamy niezależnych sądów, nie mamy rozpraw przed ławą przysięgłych. Los każdego, nawet posiadaczy ziemskich takich jak my, zależy od kaprysu cara. A Rosjanie poddają się temu jak wschodni niewolnicy. Nic dziwnego, że wszelki postęp nie wchodzi w grę. Dlatego powziąłem prosty plan. Pojadę do Anglii, Francji i Niemiec, żeby zebrać materiał, z którego powstanie zarys nowej Rosji. Rosji wzorowanej na Zachodzie. Całkowita przebudowa naszego społeczeństwa – podsumował tryumfalnie.

– Ależ, mój drogi bracie! – Siergiej się roześmiał. – Jeśli będziesz mówił takie rzeczy, to ludzie wezmą cię za szaleńca. – Rzeczywiście zaledwie kilka lat wcześniej wybitny rosyjski myśliciel głoszący podobne poglądy został oficjalnie uznany przez rozeźlone władze za osobę niepoczytalną.

Ilja jednak nie dał się zbić z tropu.

– Winą tamtego autora było to, że zatrzymał się w pół kroku – oznajmił. – I w tym właśnie tkwi prawdziwa oryginalność mojego podejścia. – Stuknął palcami w oparcie fotela. – Zamierzam wykazać, że kluczem do naszego duchowego odkupienia nie jest religia, polityka ani nawet sprawiedliwość, lecz gospodarka. Tak mówi – uśmiechnął się z zadowoleniem – moja biblia i mój prorok. Naturalnie mam na myśli wielkiego Szkota Adama Smitha i jego książkę *Bogactwo narodów*.

Dzieła Adama Smitha, ojca ekonomii kapitalistycznej i wolnego rynku, były dobrze znane ówczesnym rosyjskim intelektualistom. Pierwsze rosyjskie tłumaczenie jego pracy ukazało się jeszcze w 1803 roku. Ilja zaczął z zapałem objaśniać poglądy Smitha na temat

oświeconej korzyści własnej i efektywności gospodarczej.

– Z tego wypływa wszystko – perorował. – Nawet wyzwolenie chłopów.

Aleksy, do tej pory lekko znudzony, nagle się ożywił.

– Wyzwolenie chłopów? – zainteresował się. – Dlaczego?

– A to dlatego, mój drogi bracie – ciągnął Ilja – że w ciągu ostatnich dwudziestu lat wielu rosyjskich ekonomistów wykazało ponad wszelką wątpliwość, że ten, kto wyzwoli chłopów z poddaństwa, szybciej się wzbogaci. – Uśmiechnął się. – Pomyśl tylko. Wolny chłop, który otrzymuje wynagrodzenie za to, co produkuje, ma lepszą motywację. A twój chłop pańszczyźniany, którego zmuszasz do pracy bez zapłaty, będzie się migał od obowiązków. Proste i oczywiste. – Zawiesił głos. – Uwierz mi, ten pogląd zyskuje uznanie nawet w oficjalnych kręgach. Powstrzymuje nas jedynie nasz rosyjski bezwład.

Aleksy zadumał się na dłuższą chwilę. A kiedy w końcu się odezwał, w jego głosie dźwięczało szczere zdziwienie.

– Naprawdę chcesz powiedzieć, że każdy członek społeczeństwa powinien działać dla własnego dobra i stawiać własną korzyść na pierwszym miejscu? – spytał.

– Mniej więcej.

– A jeśli takiemu chłopu się nie powiedzie, to on sam ma ponieść wszystkie konsekwencje?

– Owszem, choć można mu też jakoś pomóc.

– A co z rodzinami takimi jak nasza? Do tej pory naszą jedyną rolą było służenie carowi i krajowi. Mamy teraz osiąść w majątkach i gonić jedynie za zyskiem jak jacyś kupcy? – Ze smutkiem pokręcił głową.

– Każdy pragnie służyć jakiejś sprawie – przyznał Ilja. – Ale ja mówię o pieniądzach i rynkach.

– Wręcz przeciwnie – zaoponował Aleksy. – Mówisz o ludzkich działaniach. A jeśli każdy ma patrzeć za swoim, to gdzie jest miejsce na religię, na dyscyplinę, na posłuszeństwo, na pokorę? Ja widzę w tym jedynie chaos i chciwość. – Aleksemu rzadko zdarzało się tyle mówić. Ale teraz przemawiał wprost z serca. – Przykro mi, Iljo, ale jeśli tak ma wyglądać twój postęp, to ja się na niego nie zgadzam. Tak właśnie zachowuje się Zachód, źle i egoistycznie. Bo masz rację, te idee płyną z Zachodu. A Rosja sprzeciwiała się im przez wiele stuleci. Ja, nasza Cerkiew, a nawet, śmiem twierdzić, nasi chłopci, będziemy temu przeciwni, dopóki nam tchu w piersi starczy.

Wstał, wyraźnie zasmucony, życzył im dobrej nocy i wyszedł.

Ilja i Siergiej jeszcze długo ze sobą rozmawiali. O podróży Ilji, która miała się zacząć jesienią, o literaturze, filozofii i wielu innych kwestiach. Dopiero późno w nocy Siergiej w końcu wyznał:

– A jednak, drogi bracie, Aleksy nie całkiem się myli co do twoich idei. Obrażasz naszą biedną, starą Rosję i masz o niej złe wyobrażenie.

– Co to znaczy?

Siergiej westchnął.

– Przede wszystkim chciałbyś zaprowadzić w Rosji efektywność. Ale powiem ci szczerze, że tego nie da się zrobić. Dlaczego? Bo Rosja jest za duża i klimat nam nie sprzyja. Tych ziem nie podbili nawet Rzymianie. Na Zachodzie wszystkie miasta są

połączone drogami. A my co mamy? Jedną jedyną drogę tłuczniową w całym imperium! Z Moskwy do Petersburga, wytyczoną przez Piotra Wielkiego, ale ukończoną w 1830 roku, sto lat po jego śmierci. Europa ma koleje. A my? W zeszłym roku rozpoczęto budowę jednego szlaku, ze stolicy Rosji do stolicy Austrii, a car ogłosił, że jego zdaniem częste podróżowanie jest dla ludzi szkodliwe. Rosja nie jest pełnym życia Zachodem, drogi bracie, i nigdy nim nie będzie. Rosja pozostanie zapóźniona i nieefektywna aż do dnia Paruzji. I powiem ci coś jeszcze: to nie ma znaczenia. A z tego wynika moje kolejne zastrzeżenie. Twój przepis na Rosję pochodzi z głowy. Jest logiczny, rozsądny, przejrzysty. I właśnie dlatego do nas nie pasuje. Rosjan takie rzeczy nie poruszają. Zachód nigdy tego nie pojmie. Na tym polega jego słabość. Zachód nie wie, że aby poruszyć Rosję, trzeba poruszyć jej serce. Serce, Iljo, a nie umysł. Inspiracja, zrozumienie, pragnienie, energia... to wszystko wypływa z serca. Nasze poczucie świętości, prawdziwej sprawiedliwości, wspólnoty to kwestie duchowe, nie da się ich ująć w prawa ani zasady. Nie jesteśmy Niemcami, Holendrami czy Anglikami. Stanowimy część Świętej Rosji, która ich wszystkich przewyższa. I mówię ci to ja, intelektualista i Europejczyk taki jak ty.

– Czy mam rozumieć, że należysz do tej nowej grupy słowianofili, którzy głoszą, że Rosja ma szczególne przeznaczenie, z dala od reszty Europy? – rzucił Ilja. Czytał o nich niedawno.

– Owszem. I uwierz mi, Iljo, to jest jedyna droga.

I w końcu, z głowami przepelnionymi wielkimi ideami, bracia objęli się czule i udali na spoczynek.

A następnego dnia o jedenastej Siergiej wyruszył na Ukrainę.

Był sierpniowy poranek. Aleksy Bobrow w dobrym nastroju przechadzał się ulicami Włodzimierza.

Tuż przed wyjazdem otrzymał list od Miszy, który donosił, że w drodze ze swojego regimentu w Petersburgu zatrzyma się na dziesięć dni w Rusce. Powinien się tam zjawić w tym samym czasie co ja, pomyślał Aleksy z zadowoleniem. Co za miły zbieg okoliczności!

Lato upłynęło całkiem przyjemnie. Przeklęty Sawa Suworin siedział cicho. I mimo nieurodzaju w różnych rejonach kraju zbiory w majątku zapowiadały się znakomicie. W wiosce odbył się ślub: córka Ariny, Waria, wyszła za mąż za młodego Timofieja Romanowa, towarzysza zabaw Miszy z dzieciństwa. Lubił ich oboje. Romanowowie zawsze okazywali mu szacunek. Dlatego okazał im swoje względy, zwolnił młodą parę na rok z obroku i podczas ślubu udzielił im błogosławieństwa. Tak właśnie powinno być w Rosji, bez względu na to, co mówił Ilja.

Aleksy miał też dużo zajęć w okolicy. Został pomocnikiem marszałka szlachty, którego obowiązki polegały głównie na prowadzeniu lokalnego rejestru szlachetnie urodzonych. To stanowisko dawało mu jednak poczucie uczestniczenia w życiu publicznym, a ponieważ miał obecnie dużo wolnego czasu, składał liczne wizyty w domach szlacheckich, żeby – jak mawiał – „trzymać rękę na pulsie”.

Przede wszystkim jednak był pozytywnie zaskoczony osobowością żony Siergieja. To zadziwiające, myślał, że taka rozsądna młoda kobieta poślubiła Sieriożę. Szybko się

przekonał, że zgadza się z nią niemal we wszystkim, i choć był zbyt dobrze wychowany, by drażnić tę kwestię, to jej drobne aluzje pozwoliły mu się domyślić, że ona równie trzeźwo patrzy na pisarstwo Siergieja.

– Muszę przyznać – wyznała przed tygodniem – że wychodząc za niego za mąż, nie miałam pojęcia, że on przez cały czas tylko coś gryzmoli. Wydawało mi się, że zajmuje się też czymś innym.

To musi być dla niej nie do zniesienia, pomyślał wtedy.

Szkoda, że Tatiana i Ilja nie polubili jej w równym stopniu. Ona jednak bardzo się starała być uprzejma dla Aleksego.

– Nie chciałam – powiedziała kiedyś do niego – żeby Siergiej zostawiał mnie samą na wsi. Tu nawet nie ma o czym myśleć. – Uśmiechnęła się miło. – Jestem ci bardzo wdzięczna, że dotrzymujesz mi towarzystwa.

Aleksy zatrzymał się we Włodzimierzu w drodze do przyjaciela, w którego majątku miał spędzić kilka dni. Właśnie odbył spotkanie z gubernatorem i zamierzał zajrzeć do wielkiego soboru, kiedy nagle zobaczył przed sobą postać, której nigdy by się tu nie spodziewał. Stał jak wryty, rozłożył ramiona i zawołał:

– Mój drogi przyjacielu! Co cię tu sprowadza? Koniecznie musisz nas odwiedzić.

Był to Piniegin.

Misza był szczęśliwy, że wrócił do domu. Zjawił się w Bobrowie kilka dni wcześniej, niż zapowiadał, i ucieszył się, zastawszy żonę Siergieja, Nadię. Była od niego starsza zaledwie o kilka lat. Uznał ją za całkiem ładną.

Łatwo było zrozumieć, dlaczego Misza Bobrow jest tak lubiany w swoim regimencie. Wprawdzie wyglądał jak jego ojciec, choć był kilka centymetrów niższy i mocniej zbudowany, ale pod względem intelektualnym znacznie go wyprzedzał. Uwielbiał prowadzić długie dysputy z Ilją.

– Nigdy nie przeczytam jednej setnej tego co on, ale mam nadzieję, że jakaś część jego wiedzy spłynie również na mnie – mawiał.

Był człowiekiem pogodnym i optymistą z natury. Sam Aleksy zwierzył się kiedyś Tatianie:

– Ktoś tak sympatyczny jak on nie zdarzył się w naszej rodzinie od dawna. Nawet ja to widzę.

Misza odziedziczył po dziadku łagodny, pieszczotliwy gest, którym tamten dotykał ramienia rozmówcy albo wprowadzał gościa do pokoju. Widok syna rozwiewał przygnębienie Aleksego.

Tak jak to miał w zwyczaju, Misza poświęcił pierwszy dzień na spotkania z najbliższymi mu osobami. Przez godzinę rozmawiał z babką, a resztę przedpołudnia spędził z Ilją. Zauważył, że stryj jest dziwnie podekscytowany, ale złożył to na karb powstającej książki. Zajrzał też do wioski, ucałował Arinę, odwiedził towarzysza zabaw z lat dziecinnych Timofieja Romanowa i jego żonę Warię. Krótko mówiąc, Misza był wreszcie w domu i cały świat wydawał mu się piękny.

Z ciekawością patrzył na Piniegina. Pamiętał go niewyraźnie z dzieciństwa – tak samo jak dziś ubranego na białą i palącego fajkę. Piniegin miał już ponad czterdzieści lat, ale prawie się nie zmienił. Jedyne wokół oczu pojawiły mu się zmarszczki, a płowe włosy



przybrały stalowoszary kolor. Przywitał Miszę z przyjaznym, choć nieco powściągliwym uśmiechem, Misza zaś pomyślał: „Oto jeden z tych milczących samotnych żołnierzy z przygranicznych fortów”. Z zadowoleniem patrzył, jak Piniegin stara się zabawić żonę Siergieja, jak przesiaduje z nią i Tatianą na werandzie, opowiadając jakieś anegdoty, albo jak towarzyszy jej w przechadzkach po leśnej alei. W końcu należało to do obowiązków gościa.

Dlatego drugiego popołudnia, gdy wyruszył z domu, żeby dołączyć do nich na spacerze, stanął osłupiały na ich widok. Byli na polanie. Piniegin trzymał Nadie w objęciach.

Misza stał w milczeniu, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. A Nadia i Piniegin wciąż się całowali.

Jakże łatwo mu to poszło! Oczywiście byłoby lepiej, myślał Piniegin, gdyby ta kobieta choć trochę kochała swojego męża.

Dziwnie się czuł, będąc znowu w Rusce. „Jedź do nas, drogi przyjacielu. Ja wracam za kilka dni. A do tego czasu, błagam, postaraj się zabawić jakoś panie”. To były słowa Aleksego. Trzęsąc się na wyboistej drodze, Piniegin wzruszył ramionami. Co za zrzędzenie losu, że się spotkali na ulicy akurat wtedy, gdy jechał do Moskwy na krótki urlop. Ale dla kogoś, kto wierzył w przeznaczenie, nie było w tym nic dziwnego.

Minęło siedemnaście długich lat. Siedemnaście lat dalekich wypraw wojennych, życia w przygranicznych twierdzach i posterunkach. Często bywał w niebezpieczeństwie, ale nigdy nie tracił spokoju, chroniony przez przeznaczenie. Cóż z tego, że człowiek jest bohaterem, skoro w stolicy nie pamięta się o nim przy awansach? Awansowali bogaci, tacy jak mąż Olgi. Piniegin wciąż był kapitanem. Może pewnego dnia doczeka się stopnia majora. Ale było w nim coś szczególnego, jakiś dystans i samotność, które kazały w to wątpić. Wydawało się, że woli być sam dla siebie prawem.

Siedemnaście długich lat. Po wojnie z Turcją w 1827 roku stracił kontakt z Aleksym. Ale nawet do najdalszych miejsc docierały do niego jakieś wiadomości. Wiedział, że Olga ponownie wyszła za mąż. I że Siergiej wrócił z zesłania. Czytał jego prace, gdy ukazywały się drukiem. Usłyszał gdzieś, że Siergiej ożenił się z córką generała, a znajomy przysłał mu nawet miniaturę z jej wizerunkiem. Wiedział też, że stracili dziecko. Wszystkie te elementy układanki o rodzinie, która go kiedyś znieważyla, gromadził w milczeniu w swojej pamięci niczym broń w arsenale, ukrytą, ale wypolerowaną i gotową do użycia, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Bo komuś takiemu jak Piniegin, który wierzył w przeznaczenie, nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać na znak od bogów. Więc czekał. A teraz najwyraźniej taki znak otrzymał i z lodowatym spokojem wziął się do realizacji swojego planu. Plan był prosty. Wet za wet, upokorzenie za upokorzenie. Postanowił uwieść żonę Siergieja.

Bo Piniegin, jak zauważył Aleksy już dawno temu, był niebezpiecznym człowiekiem.

Przez całe popołudnie Misza się zastanawiał, co ma zrobić. Kochał stryja Siergieja. Nie mógł tego tak po prostu zostawić. Na szczęście Piniegin był u nich zaledwie od kilku dni, więc sprawy nie mogły zajść za daleko.

Dlatego wieczorem, gdy reszta towarzystwa grała na werandzie w karty, pod

jakimś pretekstem zaproponował Pinieginowi spacer leśną aleją. Bardzo się pilnował, by zachowywać się miło i uprzejmie. Ale gdy znaleźli się na wysokości miejsca, w którym Piniegin całował się z Nadią, oznajmił spokojnie:

– Powinieneś wiedzieć, że byłem tu dziś po południu.

Piniegin się nie odezwał, ale spojrział na niego z zadumą, pykając fajkę.

– Prawie nie znam swojej stryjenki – ciągnął Misza. – Z pewnością czuła się tu samotna. Zapewne błędnie odczytałem to, co dziś ujrzałem. Ale rozumiesz, drogi kapitanie, że pod nieobecność ojca i stryja muszę zadbać, by nie wydarzyło się nic, co sprowadzi hańbę na naszą rodzinę.

Piniegin nadal palił w milczeniu.

W jego planie nie było miejsca dla tego młodego człowieka. Liczył się sam czyn. Nawet kwestię, czy Siergiej się o wszystkim dowie, zostawił w rękach losu. Byłoby wręcz lepiej, gdyby rzecz się wydała; Piniegin nie bał się konsekwencji. Ale z jakichś powodów bogowie postanowili dołączyć do tego spektaklu Miszę. No cóż, widać tak musiało być. Młody człowiek miał oczywiście rację. Piniegin wcale mu się nie dziwił. A teraz zastanawiał się, jak powinien odpowiedzieć.

Ruszył powoli aleją, z Miszą u boku.

– Nie zamierzam wdawać się z tobą w spór, Michaile Aleksiejewiczu – odezwał się w końcu. – Z twoich słów przebija rozsądek. Nie powiem, czy zaszło tu jakieś nieporozumienie, czy nie. Ale nie powinieneś więcej martwić się tą sprawą. Możesz być spokojny.

Misza potraktował tę obietnicę jako zadowalającą.

Dlatego osłupiał, gdy następnego ranka, wstawszy bardzo wcześnie, zobaczył, jak Piniegin po cichu wymyka się z pokoju Nadii.

Godzinę później wyzwał go na pojedynek.

– Obawiam się, że nie mogę przyjąć twojego wyzwania.

Misza spojrział na niego z bezbrzeżnym zdziwieniem.

– Słucham?

– Nie będę się z tobą pojedynkował – oświadczył spokojnie Piniegin.

– Zaprzeczasz, że spałeś z żoną mojego stryja w naszym własnym domu?

– Nie zaprzeczam.

– Więc dlaczego nie chcesz się pojedynkować?

– Bo nie chcę z tobą walczyć.

Misza był zdezorientowany.

– W takim razie muszę cię nazwać tchórzem.

Piniegin uklonił się.

– Za to możemy się pojedynkować. – Zawiesił głos. – Czy pozwolisz, że to ja wybiorę datę?

– Oczywiście. Im szybciej, tym lepiej.

– Dam ci znać, gdy będę gotowy. Może w przyszłym roku. Ale przyrzekam, że do pojedynku dojdzie. – Co powiedziawszy, odszedł, zostawiając Miszę w ogromnej rozterce.

I co ja mam z tym, do diabła, zrobić? – pomyślał Misza.

Tego samego ranka o dziesiątej miało miejsce drobne wydarzenie, którego prawie nikt nie zauważył.

Ilja Bobrow zszedł powoli na dół, wcisnął na głowę kapelusz z szerokim rondem, wziął laskę i bez słowa opuścił dom. Niedługo potem wieśniacy patrzyli ze zdziwieniem, jak idzie niezdarne, posapując, z czerwoną twarzą, na której maluje się największy wysiłek i ponura determinacja. Nigdy wcześniej go takiego nie widziano. Minąwszy wioskę, skręcił na ścieżkę wiodącą przez las do klasztoru. Idąc, pomrukiwał coś do siebie nerwowo.

Ostatnio nikt nie zwracał na niego większej uwagi. Może był bardziej nieobecny myślami niż zwykle, a w jego zachowaniu pojawiały się oznaki desperacji, jednak Tatiana kładła to na karb przepracowania. Nie mogła wiedzieć, że po wielu miesiącach wytężonej pracy nad swoim wielkim projektem Ilja napotkał kryzys graniczący z załamaniem. Nie spał przez całą poprzednią noc i gdyby ktoś go spotkał w lesie, od razu by zauważył, że jego zazwyczaj łagodny wzrok zamienił się w spojrzenie szaleńca, jakby Ilja szukał we wszechświecie czegoś, co mogłoby mu przynieść ukojenie. Wyglądał jak wynędzniały pielgrzym szukający Świętego Graala.

I w pewnym sensie tak było.

Gdy Tatiana wybrała się do Ruski, zabierając ze sobą Piniegina, a Misza został w domu sam ze swoimi myślami, dokładnie w południe rozległ się przed domem stukot kopyt, któremu towarzyszyły roześmiane głosy.

To Siergiej wrócił z Ukrainy. I przywiózł ze sobą Karpieńkę.

Wszedł sprężystym krokiem do przedpokoju, opalony, wypoczęty i pełen życia. Na widok Miszy wydał radosny okrzyk i przytulił go do siebie.

– Spójrz tylko! – zawołał do Karpieńki. – Zobacz, co wyrosło z naszego małego misia.

Misza miał przed sobą zupełnie innego mężczyznę niż tamten nieśmiały młodzieniec, który kiedyś patrzył z uwielbieniem na Olgę. Karpienko był czującym trzydziestoparolatkiem z lśniącą czarną brodą, pięknymi oczami i reputacją zdobywcy niewieścich serc. „Porzuca kobiety jedną po drugiej, a one mimo to pozostają z nim w przyjaźni” – mawiał ze zdziwieniem Siergiej. Karpienko miał powody do satysfakcji. Udało mu się spełnić prawie wszystkie marzenia. Napisał trzy sztuki teatralne i był redaktorem poczytnego pisma wydawanego w Kijowie. A do tego widział, jak ukochana Ukraina dostępuje literackich zaszczytów. Jego rodak Gogol zyskał sławę w całej Rosji. A co najważniejsze kraj doczekał się wreszcie poety wielkiego formatu – Szewczenko pisał wspaniałe wiersze po ukraińsku, zadając kłam wszystkim, którzy uważali ukraiński za język chłopów. Karpienko mógł zgodnie z prawdą głosić: „Moje ambitne młodzieńcze marzenia wcale się nie rozwiały, życie w pełni je potwierdziło”.

Misza patrzył na nich, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Jutro wyruszamy do Moskwy – oznajmił Siergiej wesole. – A potem do Petersburga. Ja i Karpienko mamy mnóstwo pomysłów. Zdobędziemy stolicę szturmem! – Rozejrzał się dookoła. – A gdzie, do diabła, jest Ilja? Nie możemy się doczekać, żeby go zobaczyć.

Natychmiast kazano służbie ruszyć na poszukiwania.

Siergiej pobiegł na górę, żeby przywitać się z żoną, a gdy wrócił, był wyraźnie zaskoczony.

– Aż nie mogę się nadziwić – powiedział do Miszy. – Wydawało mi się, że ona nienawidzi wsi. A teraz mówi, że gdy my pojedziemy do Moskwy, ona wolałaby tu zostać na tydzień lub dwa. Coś z tego rozumiesz? – Patrzył skonsternowany na zatroskaną twarz Miszy. – A tobie co się stało?

Misza uznał, że musi mu o wszystkim powiedzieć.

Po południu dyskretnie ustalono szczegóły.

Na miejsce pojedynku wybrano niewielką polanę nieopodal kurhanów przy ścieżce prowadzącej do klasztoru. O świcie nikt tamtędy nie chodził. Piniegin nie miał sekundanta, więc na prośbę Siergieja Karpienko niechętnie wziął ten obowiązek na siebie.

Kolacja upłynęła spokojnie. Siergiej, Piniegin i Karpienko prowadzili uprzejmą rozmowę, a Misza próbował się do niej włączyć. Za jednomyślną zgodą nie wspomniano o niczym Nadii ani Tatianie. Po kolacji Karpienko zgodził się dotrzymać towarzystwa damom, Siergiej zaś udał się do swojego pokoju, żeby poczynić konieczne przygotowania.

Musiał napisać kilka listów. Jeden do Olgi, drugi do matki, a trzeci do żony. Pisał je ze spokojem i w wielkim skupieniu. W liście do żony nie było żadnych wyrzutów. Ale, co dziwne, największą trudność sprawił mu list do Aleksego.

Pod wieczór, gdy słońce zaczęło się chować za wieżę strażniczą w Rusce, wieśniacy z Bobrowa ujrzeli kolejny, jeszcze bardziej zaskakujący widok.

Powrót Ilji.

Szedł, tak jak wcześniej, pieszo. Był już bardzo zmęczony, powłóczył nogami, ale zdawał się nie zwracać na to uwagi. A na jego twarzy – o tyle, o ile można to było wyczytać z rysów tak otyłego mężczyzny – malował się wyraz religijnej ekstazy.

Oto bowiem Ilja znalazł to, czego szukał.

I właśnie tym cudownym odkryciem dzielił się z Siergiejem jeszcze długo po tym, jak zaszło słońce.

Była to dość dziwna scena: jeden z braci, zmęczony, poruszony do głębi, pragnął jedynie dotrzeć w samotności do świtu; drugi, zupełnie niezdamy sobie sprawy z tego, co się dzieje, z twarzą zaczerwienioną z podniecenia, myślał tylko tym, by wyznać, co kłębiło mu się w umyśle i co wydawało się takie ważne.

– Doprawdy, Sierioża, zjawiłeś się w najbardziej odpowiednim momencie! – wykrzykiwał.

Głęboki kryzys, który przeszedł Ilja, można było dość łatwo zrozumieć. Przez całe lato pracował nad planem swojej wielkiej książki. Poświęcał na to każdą chwilę, każdą myśl. A w sierpniu miał już gotowy projekt nowej, nowoczesnej Rosji, z zachodnimi prawami i instytucjami, z ożywioną gospodarką – „trochę podobną do gospodarki kupców i wolnych farmerów w Ameryce”. Jego plan właściwie nie miał wad. Był inteligentny, praktyczny i logiczny: Ilja widział, w jaki sposób Rosja może się stać państwem wolnym i zamożnym jak wiele innych.

I wtedy dopadł go kryzys.

Słuchając pospiesznych wyjaśnień brata, Siergiej mimo wszystko dostrzegał

komizm sytuacji. Widział oczami wyobraźni Ilję chodzącego ze zmarszczonym czołem po pokoju i kręcącego głową nad problemami Rosji i całego świata. A jednocześnie rozumiał i szanował jego rozterki, w których nie było nic komicznego, odbijała się w nich bowiem tragedia jego kraju. A można ją było opisać jednym zdaniem.

– I na tym polegał problem, Sierioża. Im bardziej mój plan był rozsądny, tym głośniejszy odzywał się we mnie instynkt, który mówił: „To bzdura. To się nigdy nie uda”.  
– Ilja ze smutkiem pokręcił dużą głową. – Utracić wiarę we własny kraj, kraj, który się kocha, stwierdzić, że długo snuty plan, choć wydaje się rozsądny, jest jednocześnie skazany na porażkę, to naprawdę straszna rzecz.

Podobne dylematy nie były czymś rzadkim. Siergiej znał wielu zatroskanych ludzi, także w kręgach rządowych, którzy przechodzili takie same udręki. Bo największą kpina z planu Ilji, cywilizowanego człowieka Zachodu, i największą dla niego przeszkodą – a przecież nie był pod tym względem ani pierwszy, ani z pewnością ostatni – było jego własne, instynktowne rozumienie ojczyznej Rosji.

Mimo to pracował usilnie przez całe lato.

– To miało być dzieło mojego życia, Sierioża. Nie mogłem odłożyć wszystkiego w kącie. Trudno mi było przyjąć, że te starania są bezowocne, rozumiesz? Nie miałem nic innego.

Mijały tygodnie, a on parł przed siebie, ulepszał swój projekt i poprawiał, choć wątpliwości go nie opuszczały. Aż w końcu dziś, po bezsennej nocy, przeżył załamanie. Nie mógł zrobić ani kroku dalej.

W tym stanie najwyższego pobudzenia wyszedł rano z domu i udał się – czego nie robił już od wielu lat – do klasztoru. Sam nie wiedział, co go tam przyzywało. Może jakieś wspomnienia z dzieciństwa. A może instynkt kazał mu się zwrócić ku religii, gdy wszystko inne zawiodło.

Przez wiele godzin chodził w kółko po monasterze, nie znajdując ukojenia. I wtedy coś go skłoniło, by pójść zobaczyć małą ikonę Rublowa, którą jego rodzina ofiarowała klasztorowi kilka wieków temu.

– Początkowo niczego nie czułem – opowiadał. – Widziałem jedynie pociemniały obraz.

Potem jednak ikona zaczęła na niego dziwnie działać. Spędził przed nią godzinę. Potem drugą.

– I w końcu wszystko pojąłem. – Z przejęciem wziął brata pod ramię. – Zrozumiałem, że moje plany były błędne. To samo ty mi mówiłeś, kochany Sieriożo. Usiłowałem rozwiązać problemy Rosji za pomocą umysłu i logiki. A powinienem był użyć serca. – Uśmiechnął się. – Nawróciłeś mnie. Jestem słowianofilem!

– A twoja książka? – spytał Siergiej.

Ilja wciągnął się uśmiechał.

– Nie muszę już wyjeżdżać za granicę. Rozwiązanie rosyjskich problemów leży tutaj, w Rosji. – W kilku słowach nakreślił swoją nową wizję. – Najważniejsza jest Cerkiew – tłumaczył. – Jeśli naszą siłą wiodącą nie będzie religia, naród rosyjski będzie trwał w apatii. Możemy mieć zachodnie prawa, niezależne sądy, a nawet parlament. Ale muszą się one wyłaniać powoli z duchowego odrodzenia. Ono musi się pojawić pierwsze.

– A Adam Smith?

– Prawa ekonomii nadal działają, jednak my musimy zorganizować nasze gospodarstwa i zakłady na zasadach wspólnoty, dla dobra całej społeczności, a nie jednostki.

– Czyli nie będzie u nas tak jak na Zachodzie?

– Nie. W Rosji nigdy nie będzie tak jak na Zachodzie.

Siergiej się uśmiechnął. Nie wiedział, czy brat ma rację, czy nie, ale ucieszył się, widząc, że jego udręka się skończyła. Dyskusja między tymi, którzy spoglądali ku Zachodowi, i tymi, którzy uważali Rosję za odrębny świat, z pewnością będzie się jeszcze toczyć. I być może nigdy nie doczeka się rozstrzygnięcia.

– Jest już bardzo późno – powiedział przepaszająco. – Chciałbym trochę odpocząć. – W końcu udało mu się przekonać Ilję, by wyszedł.

Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin. Z jakiegoś powodu nieustannie myślał o Oldze.

Na małej polanie panowała całkowita cisza. Pobliskie kurhany pokrywała delikatna rosa, w której odbijały się pierwsze promienie słońca. Nieco dalej widać było klasztor; jego dzwon właśnie umilkł.

Dwaj mężczyźni rozebrali się do koszuli. Powietrze było jeszcze chłodne i Siergiej lekko zadrżał.

Karpienko i Misza, obaj bladzi, już wcześniej naładowali pistolety. Teraz wręczyli je bohaterom pojedynku.

Przez cały czas Misza myślał tylko o jednym: Wiem, że to konieczne. To jedyne honorowe wyjście. Ale to przecież szaleństwo. To się nie dzieje naprawdę.

Gdy obaj liczyli kroki, które oddalały ich od siebie, nie słychać było ani jednego ptaka, a ciszę przerywało jedynie ciche szuranie stóp na niskiej, wilgotnej trawie.

Odwrócili się twarzami do siebie. Rozległy się dwa strzały.

Obaj sekundanci z krzykiem podbiegli do Siergieja.

Kula ugodziła go prosto w serce. Piniegin nigdy nie chybiał, nawet za młodu. Ta sława szła za nim przez całe pogranicze. I właśnie dlatego wiele lat temu Aleksy powiedział, że to niebezpieczny człowiek.

Gdy po południu Aleksy pojawił się w Rusce i usłyszał, co się stało, wybuchnął płaczem. Na jego prośbę Piniegin natychmiast opuścił majątek.

Ale najbardziej nieoczekiwane wydarzenie nastąpiło wieczorem.

Siergiej zostawił Aleksemu krótki, lecz poruszający list. Prosił w nim o przebaczenie za wszelki ból, który sprawił rodzinie. Pisał też szczerze, jak trudno było mu się pogodzić z zesłaniem na Ural, którego inicjatorem był własny brat. I jednocześnie dziękował mu za umiar i powściągliwość w późniejszych latach. List kończył się prośbą:

*Wyrzuciłem w swoim życiu jedno ogromne zło – Tobie pewnie będzie trudno to zrozumieć, bo przestrzegasz przepisów prawa dotyczących poddaństwa – gdy nierozważą i nieroztropnością doprowadziłem do schwytania Sawy Suworina. Ty masz pod tym względem czyste sumienie. Jednak mnie ono dręczy i nic na to nie mogę poradzić.*

*Wiem od matki, że zaproponował Ci znaczną sumę za swoją wolność. Więc błagam Cię, jeśli choć trochę mnie kochasz, przyjmij ją i daj temu biedakowi wolność.*

Aleksy przeczytał list dwukrotnie. Dwa razy zwrócił uwagę na krótkie zdanie: „Ty masz pod tym względem czyste sumienie”. I dwa razy pokręcił ze smutkiem głową, przypominając sobie banknoty, które ukrył wiele lat temu.

Jeszcze tego samego wieczoru Sawa Suworin został wezwany do dworu i po kilkudziesięciu latach bezwzględnej walki usłyszał od Aleksego słowa, które wprawiły go w osłupienie:

– Postanowiłem przyjąć twoją propozycję. Jesteś wolnym człowiekiem.

*Rok 1855*

Sewastopol. Chwilami Misza miał wrażenie, że nikt się stąd nie wydostanie.

Jesteśmy zdani na pastwę losu, myślał każdego dnia, jak rozbitkowie na bezludnej wyspie. Ale czy wśród wszystkich obrońców, wśród wszystkich żołnierzy walczących w tej szalonej wojnie krymskiej, jest ktoś w tak pokrętnej sytuacji jak ja? Próbuję ocalić życie, ale jeśli przeżyję, i tak czeka mnie wyrok śmierci.

Absurdalna ironia jego położenia niemal go bawiła. Przynajmniej, myślał, mogę dziękować Bogu, że zostawię po sobie syna. Mały Nikołaj urodził się rok wcześniej. Chociaż tym mógł się pocieszać.

Porównanie Sewastopola do bezludnej wyspy nie było całkiem nieuzasadnione. Wielki ufortyfikowany port otoczony kręgiem żółtawych wzgórz, na południowym krańcu Półwyspu Krymskiego wcinającego się w ciepłe wody Morza Czarnego – niedaleko Bakczysaraju, dawnej tatarskiej stolicy – znajdował się prawie dwieście pięćdziesiąt kilometrów od stałego lądu. Od południa, przed potężnymi murami portu, rozłożyły się obozy wojsk trzech europejskich potęg: Francji, Wielkiej Brytanii i Turcji. Ostrzał ich artylerii – przewyższającej wszystko, czym dysponowała armia rosyjska – od jedenastu miesięcy spadał na Sewastopol. Piękne place i szerokie bulwary zamieniły się w gruzy. Port zostałby zdobyty już wiele razy, gdyby nie niezmiernie bohaterstwo i nieustępliwość zwykłych rosyjskich żołnierzy.

Ci, którzy przybywali do miasta z północy, przepławiali się przez wody po pontonowym moście. Żeby zagrozić drogę okrętom nieprzyjaciela, na zachodzie, u wejścia do portu, zatopiono przestarzałą rosyjską flotę. Przynajmniej nasze statki, zupełnie niezdatne do walki z nowoczesną marynarką Francji czy Anglii, na coś się przydały, myślał Misza. Za linią zatopionych kadłubów, na otwartych wodach Morza Czarnego, widać było okręty sprzymierzonych, które skutecznie blokowały dostęp do Sewastopola.

Wojna krymska okazała się prawdziwym szaleństwem. Choć w gruncie rzeczy, co Misza musiał przyznać, była nieunikniona. Imperium Osmańskie słabło już od kilku pokoleń, a Rosja wykorzystywała i poszerzała swoje wpływy w rejonie Morza Czarnego. Katarzyna Wielka marzyła o zdobyciu Konstantynopola. I gdyby Rosji udało się zająć kraje bałkańskie, jej okręty mogłyby wypłynąć przez wąską cieśninę z Morza Czarnego na Morze Śródziemne. Nic więc dziwnego, że europejskie potęgi z coraz większym niepokojem patrzyły na zachowanie Rosji wobec Turcji.

Jednak powodem tej wojny wcale nie była próba sił. Car, uważający się za obrońcę

prawosławia, wszedł w spór z sułtanem, który zlikwidował część przywilejów Cerkwi w swoim imperium. Jako ostrzeżenie Mikołaj wysłał wojska do Mołdawii, tureckiej prowincji nad Dunajem. Turcja wypowiedziała wojnę. A europejskie mocarstwa, nie wierząc, że car nie planuje gry na większą skalę, natychmiast stanęły po jej stronie.

Powstały trzy teatry działań wojennych. Nad Dunajem, gdzie Austriacy powstrzymywali Rosjan; na Kaukazie, gdzie Rosjanie odebrali Turkom jedną z głównych twierdz, oraz na Półwyspie Krymskim, który stał się bazą rosyjskiej floty wojennej.

Była to paskudna wojna. Owszem, pojawiały się w niej przebłyski heroizmu, jak szaleńcza szarża brytyjskiej lekkiej kawalerii pod Bałakławą. Ale głównie trwał impas – obie strony okopały się na swoich pozycjach na półwyspie, a tyfus, mimo wysiłków Florence Nightingale i innych ludzi niosących pomoc, zabierał po obu stronach więcej ofiar niż same walki.

Lecz przede wszystkim wojna była upokorzeniem dla Rosji. Jej armia oraz uzbrojenie okazały się zupełnie przestarzałe. Drewniane okręty wojenne mogły pokonać Turków, ale w starciu z Francuzami i Brytyjczykami wyglądały wręcz śmiesznie. Pozycja rosyjskiego cara za granicą legła w gruzach. A w kraju trwał dotychczas przekonanie o jego silnej władzy zostało poważnie naruszone.

„Nasze państwo po prostu nie działa” – utyskiwali ludzie. „A czy ty wiesz – powiedział do Miszy z irytacją jeden z wyższych urzędników – że pomoc dla wojsk sprzymierzonych dociera szybciej z ich krajów niż do nas z Moskwy? Te nowoczesne państwa toczą wojnę z imperium, które wciąż tkwi w średniowieczu”.

Wojna zaczęła się w 1854 roku. I zanim jeszcze ten rok się skończył, nikt, nawet najbiedniejsi wciągnięci do poboru chłopcy, nie miał najmniejszych wątpliwości: „Imperium cara, nasza Święta Rosja, po prostu nie działa”.

Jeśli wyjdę z tego cało, postanowił Misza, zrzeknę się stopnia oficerskiego i zamieszkać w Rusce. Jego ojciec i Ilja już nie żyli. Majątkiem należało się zająć. Poza tym, stwierdził, mam już tego dość.

Tydzień po przybyciu do Sewastopola natknął się na Piniegina.

Niemal o nim zapomniał i oto nagle miał go przed sobą. Piniegin właściwie się nie zmienił, wciąż był kapitanem, stalowosiwie włosy mu się przerzedziły, ogorzała twarz była spokojna jak zwykle, w ustach trzymał nieodłączną fajkę.

– O, Michaił Aleksiejewicz – powiedział, jakby to spotkanie wcale go nie zaskoczyło. – Zdaje się, że mamy jedną sprawę do załatwienia.

Czy to możliwe, zastanawiał się czasem Misza, że po tylu latach Piniegin mówi to poważnie? W pierwszej chwili gotów był uznać ich dawny konflikt za jakiś makabryczny żart.

Jednak po paru miesiącach się zorientował, że dla Piniegina, z jego sztywnym przywiązaniem do kodeksu honorowego, nie było innego wyjścia. Misza nazwał go kiedyś tchórzem, więc muszą się pojedynkować. To, że od ich ostatniego spotkania minęło dziesięć lat, było drobnym szczegółem bez znaczenia.

Pojedynek podczas działań wojennych nie wchodził w grę, bo był sprzeczny z przepisami wojskowymi.

– Ale gdy to się skończy, a my obaj przeżyjemy, zakończymy nasz spór –



oświadczył uprzejmie Piniegin.

I nic nie mogło tego zmienić. Co oznacza, pomyślał Misza, że jeśli nie wydarzy się jakiś cud, on mnie z pewnością zabije.

Podczas tego strasznego oblężenia spotykali się dosyć często. W wyniszczonym, nękanym chorobami mieście ludzie umierali tysiącami, a oni – oddzieleni dziwnym porozumieniem, niczym dwa duchy z innego świata – odnosili się do siebie spokojnie i uprzejmie. Ich spotkania były wręcz przyjacielskie. Po jakimś ciężkim ostrzale, który przyniósł setki ofiar, ramię w ramię wyciągali ciała z płonącego budynku. Innym razem Misza zauważył, że Piniegin krąży wśród chorych, jakby nie dbał, że może się od nich zarazić. Pisał dla nich listy albo po prostu siadał i pykając swoją fajkę, godzinami dotrzymywał im towarzystwa. On jest doskonałym oficerem, zauważył Misza, całkowicie pozbawionym lęku.

A jednocześnie ten człowiek zabił Siergieja i zapewne zabije także jego.

Mijały miesiące. W marcu zmarł car Mikołaj, a na tron wstąpił jego syn Aleksander II. Pojawiły się pogłoski o zakończeniu wojny, ale rozpoczęte negocjacje się załamały i oblężenie trwało. Wojska sprzymierzonych nie dopuszczały rosyjskich posiłków. Trzy tygodnie później Francuzi zajęli jedną z głównych redut i nie zamierzali ustąpić.

Wreszcie rankiem jedenastego września nadeszła wyczekiwana wiadomość. Najpierw rozchodziła się jak ciche łkanie, potem zamieniła w pomruk, a wreszcie stała się potężnym, zniecierpliwionym jękiem: „Odwrót”. Wojsko miało się wycofać. Nagle zaczęto przygotowywać konie juczne, rannych łądowano na wozy. Wszędzie, na ulicach i bulwarach, panowało zamieszanie, brakowało organizacji, ale tak zawsze jest, gdy wyniszczona armia podejmuje ostatni wielki wysiłek, by wziąć się jakoś w garść i wycofać z pola bitwy, zachowując choć pozory ładu i porządku.

Późnym rankiem do akcji wysłano oddziały specjalne. Było ich kilkadziesiąt, a miały przed sobą proste, choć ważne zadanie: wysadzenie resztek fortyfikacji Sewastopola.

– Jeśli wróg ma zająć nasze miasto, zostawimy mu tylko gruzy – oznajmił dowódca Miszy. – Mam wyznaczyć do tego kilku oficerów. Natychmiast zamelduj się w dziewiątej kompanii.

I tak oto Misza trafił pod komendę kapitana Piniegina.

Posuwali się w stronę swojego pierwszego celu, co było trudne i niebezpieczne. Gdy przechodzili przez niewielki plac, nad ich głowami przeleciał pocisk i sto metrów za nimi rozbił dom z takim hukiem, że aż zadrżała ziemia. Z trudem pokonali wąską uliczkę, gdzie w gruzach leżały dwa niewypały. W końcu dotarli do celu. Był to kawałek muru ze stanowiskiem na działo. Żeby się tam znaleźć, trzeba było przebyć niewielki odcinek, który czy to z głupoty, czy z lenistwa nie był odpowiednio osłonięty. A pilnowali go francuscy snajperzy, już zajmujący pozycje w zrujnowanym mieście. Piniegin dwa razy ściągał Miszę do ziemi, gdy kule snajperów świstały im nad głową.

Reszta zadania była prosta. Misza i Piniegin starannie ułożyli przyniesione przez żołnierzy beczułki z prochem, umocowali lont i rozciągnęli go wzdłuż muru.

Z jakiegoś powodu nagle zrobiło się cicho. Żołnierzy odesłano z resztą prochu. Snajperzy z pewnością tkwili na swoich miejscach, czekając, aż ktoś się pokaże. Ostrzał

umilkł. Wiała lekka bryza, słońce przyjemnie grzało. Niebo miało jasnoniebieski kolor.

I właśnie wtedy Misza Bobrow zdał sobie sprawę, że mógłby popełnić morderstwo.

Byli całkiem sami. Ich ludzie oddalili się już o kilkaset metrów i zniknęli z pola widzenia. Wokół było pusto. Piniegin akurat nie miał broni. Klęczał odwrócony do Miszy plecami, układając lont, a Misza kuczał przy murze, kryjąc się przed wzrokiem snajperów.

Nikt na świecie o niczym się nie dowie. Przecież to takie proste. Wystarczy, że wychyli na moment głowę, żeby ściągnąć na siebie ogień snajpera. Jeden strzał, ich ludzie na pewno go usłyszą. A potem... Położył dłoń na pistolecie. Jeden strzał, nieważne jak oddany. Najlepiej w głowę. Zostawi tu Piniegina, wysadzi umocnienie, powie żołnierzom, że snajper trafił kapitana. Nikt nie będzie niczego podejrzewał.

Czy on, Misza Bobrow, naprawdę jest gotów popełnić morderstwo? Ze zdziwieniem zauważył, że tak. Może po tych miesiącach spędzonych w piekle ludzkie życie straciło dla niego znaczenie? Nie, przyznał szczerze sam przed sobą, kierował nim prosty, ludzki instynkt samozachowawczy. Piniegin zamierzał go zabić z zimną krwią. On gotów był zrobić to samo, tyle że wystrzeliłby pierwszy.

Co go powstrzymywało? Moralność? Ale czy w pojedynku, w którym dwóch ludzi umawia się na popełnienie morderstwa, jest jakaś moralność? Czy w porównaniu z tym życie Piniegina jest naprawdę aż tyle warte? Przecież on, Misza, ma żonę i dziecko, a jego przeciwnik jedynie zimne serce i dziwne poczucie dumy. Nie, pomyślał Misza, tylko jedno powstrzymuje mnie przed zabiciem Piniegina.

Honor. Tylko to. Naprawdę był gotów dla niego umrzeć? Kodeks honorowy, który jest, gdy mu się bliżej przyjrzeć, zwyczajnie bezsensowny.

Trzymał dłoń na pistolecie. Wciąż nie wykonywał żadnego ruchu.

Wtedy Piniegin się odwrócił. Misza zauważył spojrzenie jego jasnoniebieskich oczu, któremu nic nie mogło umknąć. Wiedział, że Piniegin domyślił się wszystkiego.

A ten uśmiechnął się i pokazał mu plecy, znów zajął się lontem.

Kilka minut później podpalili lont i obaj patrzyli, jak iskra biegnie wzdłuż muru. Gdy miała dosięgnąć beczulek z prochem, przypadli do ziemi, wstrzymując oddech. Żadnego wybuchu.

– Przekłęci dostawcy – mruknął Piniegin. Ostatnio były duże problemy z zaopatrzeniem dla armii. – Bóg jeden wie, co tym razem nie zadziałało. Zaczekaj tu – rozkazał.

Pochylony, pobiegł szybko wzdłuż muru. Gdy był tuż przy ładunku, nad głową przeleciała mu snajperska kula.

I wtedy proch wybuchł.

*Rok 1857*

Gdy pod koniec 1857 roku Misza Bobrow wrócił w końcu do Ruski, zaintrygowała go jedna rzecz.

Dotyczyła Sawy Suworina i popa.

Oczywiście wokół działały się znacznie ważniejsze sprawy. Panowanie Aleksandra II zapowiadało wiele zmian. Wojna krymska zakończyła się na upokarzających dla Rosji

warunkach. Kraj stracił prawo posiadania floty wojennej na Morzu Czarnym. Ale nikt nie miał ochoty na kolejne konflikty.

– Najpierw – oznajmił Misza – car musi zaprowadzić porządek w kraju. Ta wojna o mało nas nie zrujnowała.

Wszyscy wiedzieli, że nadszedł czas na zmiany.

Spośród wszystkich reform, o których mówiono coraz głośniejszym głosem, żadna nie miała takiej wagi ani takiego wpływu na życie Miszy jak możliwe wyzwolenie chłopów. W latach 1856 i 1857 krążyło na ten ważny temat wiele plotek i pogłosek. Radykalny pisarz Hercen przysyłał z zagranicy redagowane przez siebie pismo „Kołokoł”, w którym wzywał cara do uwolnienia poddanych. Wracający z wojny żołnierze głosili – a wieść ta rozniosła się błyskawicznie – że car już dał chłopom wolność, ale panowie ukrywają jego obwieszczenie.

W tym całym ożywieniu Misza Bobrow – choć sam był przekonany, że wyzwolenie chłopów jest potrzebne – zachowywał spokój.

– Ludzie myślą się co do cara – mówił żonie. – Twierdzą, że okaże się reformatorem. Może tak będzie, ale naprawdę car jest konserwatystą, podobnie jak jego ojciec. A jedyną zaletą Aleksandra jest pragmatyzm. Zrobi wszystko, co konieczne, żeby zachować w kraju porządek. Jeśli uzna, że zapewni go wyzwolenie chłopów, nie będzie się wahać. Ale tylko pod takim warunkiem.

Jednak szlachtę ogarnął niepokój.

– Zdradzę ci pewną sztuczkę – powiedział mu znajomy, właściciel majątku. – Część z nas uważa, że po zniesieniu poddaństwa będziemy musieli dać chłopom ziemię, którą dla nas obrabiają. Dlatego wystarczy zabrać chłopów z ziemi i na jakiś czas przeznaczyć do prac domowych. A gdy ten straszny dzień nadejdzie, będziesz mógł powiedzieć: „Przecież moi chłopci nie obrabiają ziemi”. Nie dasz im ani kawałeczka.

Rzeczywiście, jak Misza się dowiedział, u jednego z okolicznych właścicieli ziemskich pola leżały odłogiem, za to w majątku pojawiło się nagle czterdziestu lokajów.

– Ten podstęp jest zarówno głupi, jak i nikczemny – oświadczył Misza żonie.

Chłopi w Bobrowie pracowali jak dawniej.

Bez względu na nadchodzące zmiany Misza cieszył się, że jest w domu. W spadku po rodzicach dostał Bobrowo, a po Ilji – majątek pod Riazaniem.

– Poświęcę się rolnictwu i studiom – zapowiedział. Po śmierci Ilji znalazł obszerny rękopis niedokończonego dzieła stryja. – Może uda mi się to za niego dokończyć – stwierdził.

Tak, miał wiele kwestii do przemyślenia. Mimo to sprawa popa i Suworina bardzo go intrygowała.

„Jeśli chodzi o uwolnienie Suworina, to żałuję jednej rzeczy – powtarzał mu zawsze Aleksy. – Bo kiedy tylko on się wyrwie spod mojej kontroli, zacznie sprowadzać tu swoich starowierców i nawracać innych. A ja przyrzekłem popu, że do tego nie dopuszczę”.

Podczas wieloletniej służby wojskowej Misza właściwie o tym zapomniał, ale po powrocie, gdy zaczął drażnić i rozpytywać, stało się jasne, że ta zmiana już zaszła.

Fabryka Suworina szybko się rozwijała. Maszyna tkacka sprowadzona z Anglii

przyniosła wielkie zyski. Sawa Suworin zatrudniał obecnie połowę mieszkańców Ruski. Jego syn Iwan doglądał interesów w Moskwie. Misza nie miał pewności, czy wszyscy pracownicy Suworina są starowiercami, ale w fabryce było ich rzeczywiście wielu. A wprowadzone niedawno przepisy, które pozwoliły rozbić wiele grup starowierców, w tym także radykalnych teodozjan, najwyraźniej nie przeszkodziły im w niemal otwartym odprawianiu części dawnych praktyk religijnych. Timofiej Romanow posłusznie pokazał Miszy dom, w którym starowiercy zbierają się na modlitwy.

Mimo to pop z Ruski w ogóle nie protestował, co wydawało się zagadkowe.

Gdy Misza po raz pierwszy go o to zapytał, pop zaprzeczył.

– Nasza parafia jest bardzo prawowita, Michaile Aleksiejewiczu. Nie macie się czym martwić.

Jego ruda broda posiwiiała. Był jeszcze grubszy niż kiedyś. Najwyraźniej dobrze mu się powodzi, stwierdził Misza.

Któregoś razu z czystej ciekawości zapytał o to samo Sawę Suworina. Ten jednak spojrział na niego pogardliwie – z góry, bo był ogromnego wzrostu – i wzruszając ramionami, oświadczył:

– Starowiercy? Nic mi o tym nie wiadomo.

Misza pojął wszystko któregoś niedzielnego grudniowego poranka. Po nabożeństwie, na którym było niewielu wiernych, zatrzymał się na pokrytym śniegiem placu targowym w Rusce. Miał wracać do domu, ale zazwyczaj o tej porze przyjeżdżały z Włodzimierza sanie z gazetami, więc postanowił zaczekać, żeby jak najszybciej poznać świeże wiadomości.

Nagle zauważył, że z cerkwi wylania się rudy pop i ociężałym krokiem idzie na plebanię. Towarzyszył mu gburowato wyglądający jegomość, też rudy, w którym Misza z trudem rozpoznał syna popa. Podobno Paweł Popow – bo tak się nazywał – był jakimś urzędniczyną w Moskwie, jednym z tych źle opłacanych pracowników administracji, którzy w owych czasach, by związać koniec z końcem, chwyтали każdą okazję do przyjęcia drobnej łapówki. Misza patrzył na dwóch rudzielców z lekką pogardą.

A potem zauważył coś przedziwnego. Na placu pojawił się Sawa Suworin. Gdy się do nich zbliżył, uprzejmie skinął popu głową, tak jakby witał się ze swoim pracownikiem. A pop i jego syn, zamiast go zignorować, odwrócili się i uklonili nisko. Sens tego gestu był łatwy do odczytania. Nie chodziło o grzeczny ukłon, jakim Misza i pop pozdrawiali się nawzajem. Tak kłaniał się służący panu, pracownik chlebobdawcy. A pop i jego syn oddali taki ukłon dawnemu chłopu pańszczyńnianemu.

Wtedy Misza zrozumiał.

W tej samej chwili na plac wjechały z brzękiem dzwonek dłużej oczekiwane sanie.

Misza nie zwracał na nie uwagi. Nie umiał opanować impulsu, który nim owładnął. Nigdy nie darzył sympatią rudego popa, a teraz nadarzyła mu się doskonała okazja. Ruszył energicznie w poprzek placu i gdy tylko napotkał popa na samym środku, zawołał na cały głos:

– Ile wam płaci Suworin i jego starowiercy, żebyście oddali im naszą parafię?

Pop spurpurowiał. Strzał był celny.

Ale Misza nigdy nie doczekał się odpowiedzi. Z przeciwnego krańca placu, gdzie rozładowywano gazety, rozległ się rozgorączkowany okrzyk. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę.

– To oficjalna wiadomość! – zawołał ktoś z podnieceniem. – Od cara. Chłopi dostaną wolność.

I Misza, zapomniawszy nawet o popie, rzucił się biegiem przez plac.

## Ojcowie i dzieci

*Rok 1874*

Dwaj podróżni wyglądali z ciekawością przez okno, gdy pociąg, sycząc i postukując, zbliżał się do Włodzimierza.

Była wiosna. Śnieg już niemal zniknął, ale tu i tam widzieli jeszcze resztki zasp albo długie szarawe pasy ziemi. Cały świat, od białych, łuszczących się ścian cerkwi po brunatne pola wokół wiosek, wyglądał na brudny i poplamiony. Wszędzie rozlewały się wielkie kałuże, rzeki wystąpiły z brzegów, drogi zamieniły się w trzęsawiska i stały nieprzejezdne.

Lecz gdy na ziemi wszelki ruch prawie ustał, niebo buzowało życiem. Ponad lasami, gdzie na bezlistnych brzozech niemal w ciągu jednej nocy pojawiły się zielone pączki, unosił się gwar krążących stad ptaków. Do Rosji zawitała wiosna, a wraz z nią wracały szpaki i gawrony.

Podróżni mieli za sobą długą drogę, ale byli w dobrych humorach. Ich uwagę przyciągnął konduktor, wysoki, przygarbiony chudzielec z wielkimi uszami, który najwyraźniej miał platfusa, a do tego dziwny zwyczaj strzelania knykciami. Zanim jeszcze dotarli do Włodzimierza, Nikołaj Bobrow osiągnął prawdziwe mistrzostwo w jego naśladowaniu.

Nikołaj miał dwadzieścia lat. Był przystojnym, szczupłym mężczyzną o typowych dla Bobrowów nieco tureckich rysach, z krótko przyciętym wąsem, miękką spiczastą bródką i gęstymi ciemnymi włosami. Błękitne oczy i ładne usta dodawały mu męskości.

Jego towarzysz miał lat dwadzieścia jeden, ale wyglądał na starszego, może z powodu nieco naburmuszonej miny. Był chudy, o pięć centymetrów wyższy. Nie nosił żadnego zarostu. Miał wąskie wargi, drobne, nierówne zęby o żółtawej barwie, jasnorudą czuprynę i zielone oczy, lekko podpuchnięte – co było bardzo widoczne – jakby zaraz po narodzinach otrzymał mocny cios w twarz i nigdy nie doszedł do siebie.

Pociąg dojechał do Włodzimierza. Wysiedli i Nikołaj udał się na poszukiwanie jakiegoś środka transportu. Jazda konno nie wchodziła w grę, bo mieli dużo ciężkiego bagażu. Wrócił dopiero po godzinie ze zrzędlivym chłopem i powozem tak zniszczonym, że mógłby uchodzić za zwykłą furmankę.

– Przykro mi – powiedział Nikołaj wesoło. – Ale nic lepszego nie znalazłem.

Kilka minut później on i jego towarzysz ruszyli w dalszą drogę.

Rozmokła brunatna ziemia ciągnęła się aż po horyzont. Nikołajowi Bobrowowi wydawało się, że błoto jest wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć. Pokrywało drogę, chwyciło koła powozu i ciągnęło je w dół, jakby jakieś złe duchy, karząc obcych za dawne przewiny, usiłowały ich zatopić w małych sadzawkach. Podróżni mieli ubrania spryskane gęstą mazią, tak samo uwalany był powóz. Błoto mówiło im otwarcie i bez najmniejszego lęku: „To moja pora roku. Nikt tędy nie przejedzie, bo ja na to nie pozwolę. Nikt nie ma nade mną władzy, ani koń, ani człowiek; ani bogaty, ani biedny; ani silny, ani słaby; ani wojsko, ani nawet sam car. To moja pora roku i teraz ja jestem królem”. Nikołaj

przypomniał sobie, że to nie śnieg, ale błoto załamało odwrót Napoleona.

Jednak mimo powolnego tempa Nikołaj czuł uniesienie. Wydawało mu się, że do tej podróży i do tej wiosny przygotowywał się przez całe swoje życie, a na pewno przez ostatni rok czy dwa.

Ależ to były przygotowania! Podobnie jak inni studenci z tej samej stacji całymi tygodniami, a potem miesiącami czytał, słuchał, brał udział w dyskusjach. Praktykował nawet na wzór mnichów umartwienie ciała. Przez miesiąc spał na gołej desce nabitej ćwiekami. Prawie zawsze nosił włosienicę. „Nie jestem jeszcze taki silny i zdyscyplinowany, jak powinienem” – wyznawał przyjaciółom. Ale teraz oto miała nadejść chwila, w której – taką żywił nadzieję – on i świat narodzą się na nowo.

Co za szczęście, myślał, patrząc na swojego towarzysza, co za niebywałe szczęście, że mogą wyruszyć w swoją misję właśnie z nim! On wie znacznie więcej niż ja, przyznawał z pokorą. Nigdy wcześniej nie spotkał kogoś takiego.

Gdy tak posuwali się w żółtym tempie przez bezkresne błoto, tylko jedna myśl nie dawała mu spokoju. Jego niepodejrzewający niczego rodzice. Jaki los ich czeka?

Zdawał sobie sprawę, że będą cierpieć: tego nie da się uniknąć. Ale przynajmniej ja tam będę, myślał. I uchronię ich przed najgorszym.

Mały powóz zbliżał się powoli do Ruski.

Był wilgotny wiosenny poranek. Timofiej Romanow stał przy oknie w swojej chałupie i patrzył z niedowierzaniem na syna.

– Nie pozwalam! – krzyknął w końcu.

– Mam dwadzieścia lat i jestem żonaty. Nie możesz mi niczego zabronić. – Borys Romanow popatrzył na swoją rodzinę. Rodzice byli bladzi jak kreda, twarz babki Ariny skamieniała, a piętnastoletnia siostra Natalia spoglądała buntowniczo jak zawsze.

– Ty gadzie! – ryknął Timofiej. A potem dodał niemal błagalnie: – Przynajmniej pomyśl o swojej biednej matce.

Ale Borys milczał, a ojciec patrzył przez okno na hałaśliwe stada ptaków krążące nad drzewami i zastanawiał się, dlaczego Bóg zsyła na jego rodzinę tyle nieszczęść.

Rodzina Romanowów nie była duża. Timofiej i Waria stracili czworo dzieci z powodu chorób i niedożywienia, ale takie tragedie zdarzały się często. Dzięki Bogu, że chociaż Natalii i Borysowi zdrowie służyło. Także Arina, choć tak naprawdę nigdy nie wydobrzała po straszliwym głodzie z 1839 roku, była wulkanem siły: niska, pomarszczona, nieco zgorzkniała, ale nieugięta. Mieszkali wszyscy razem z młodą żoną Borysa w jednopiętrowym domu pośrodku wioski. A Timofiej, obecnie pięćdziesięciodwuletni, miał nadzieję, że w końcu życie będzie dla niego łaskawsze.

Myślał tak jeszcze miesiąc temu, zanim Waria, ku jego największemu zaskoczeniu, powiedziała, że jest w ciąży. „Początkowo nie mogłam w to uwierzyć – przyznała. – Ale teraz jestem pewna”. W odpowiedzi na jej zalężnione spojrzenie uśmiechnął się dzielnie. „To dar od Boga” – odparł.

Albo przekleństwo, pomyślał teraz.

Bo Borys właśnie oznajmił, że chce ich doprowadzić do ruiny.

Wyzwolenie chłopów odmieniło życie Timofieja i jego rodziny, ale bynajmniej nie na lepsze. A było ku temu kilka powodów.

Chłopi z ziem należących do państwa otrzymali całkiem korzystną propozycję, natomiast ci z ziem prywatnych właścicieli znaleźli się w gorszym położeniu. Po pierwsze, zaledwie jedna trzecia ziemi z majątków prywatnych została przekazana w ich ręce, resztę zatrzymała szlachta. Po drugie, chłopci nie dostawali ziemi za darmo: jedną piątą należności musieli wnieść w gotówce lub odpracować, a za cztery piąte płacili obligacjami, które otrzymywali z banku państwowego jako pożyczkę na czterdzieści dziewięć lat. W praktyce oznaczało to, że własność przyznana rosyjskim chłopom od początku miała obciążoną hipotekę. Co gorsza, dotychczasowi właściciele sztucznie zawyżali ceny ziemi. „Nie chodzi tylko o te przekłete spłaty – skarżył się Timofiej. – Chłopi nadal muszą dźwigać wszystkie podatki. Nadal utrzymujemy ziemian”.

Miał całkowitą rację. Chłopi płacili podatek pogłówny, z którego szlachta była zwolniona, oraz mnóstwo podatków pośrednich – nałożonych na żywność i alkohol – które dla biednych były proporcjonalnie większym obciążeniem. W rezultacie Timofiej, mimo że stał się człowiekiem wolnym, płacił za każdą dziesiątynę swojej ziemi dziesięć razy więcej niż Bobrow za swoją. Nic dziwnego, że jak większość chłopów pomrukiwał często: „Pewnego dnia wyrzucimy stąd jaśniepanów i weźmiemy sobie całą ziemię”.

Nie czuł nienawiści do właścicieli ziemskich – w każdym razie nie do konkretnej osoby. Przecież on i Misza Bobrow bawili się razem w dzieciństwie. Ale uważał szlachtę za pasożytów. „Kiedyś car dał Bobrowom ziemię w zamian za służbę dla Rosji – tłumaczył dzieciom. – Ale car już ich nie potrzebuje. Dlatego zabierze im ziemię i odda nam”. W podobnym przekonaniu żyli chłopci w całej Rosji. „Bądźmy cierpliwi. Car nam da”. Więc Timofiej czekał na lepsze czasy.

Borys Romanow był całkiem przystojnym młodzieńcem – mocno zbudowanym jak jego ojciec, ale o jaśniejszych włosach, lekko już rzedniejących na czole. Jego niebieskie oczy patrzyły prowokująco, lecz łagodnie.

Nie chciał skrzywdzić rodziny. Jednak w ciągu ostatnich kilku miesięcy życie z nią stało się nie do zniesienia. Gdy sprowadził żonę – energiczną jasnowłosą dziewczynę – w domu ustaliła się nowa hierarchia. Wcześniej Arina i Waria wymagały posłuszeństwa od Natalii, ale teraz niemal ją ignorowały, przeniósłszy całą uwagę na żonę Borysa. „Im się wydaje, że jestem ich własnością” – skarżyła się z furją.

Jednak prawdziwy kryzys przyszedł, gdy się okazało, że matka jest w ciąży. „My też będziemy rodziną – przekonywała Borysa żona. – Ale to ich dziecko będzie najważniejsze, a nie nasze”. Także Timofiej, przytłoczony nowymi okolicznościami, wyżywał się na nich pod każdym pretekstem. „I to ma być porządnie ułożony sąg, ty Mordwinie?!” – ryczał na Borysa, a jego żonie zapowiedział: „Z synem mi się nie udało, ale swojego wnuka już ja nauczę rozumu!”. Gdy nadeszły roztopy, Borys uznał, że tak dalej być nie może.

Dlatego z samego rana oświadczył, że się wyprowadza.

W ostatnich latach kilkoro jego przyjaciół postąpiło podobnie. „Na początku zawsze jest ciężko na swoim – ostrzegali go. – Potem robi się łatwiej. Ale najważniejsze, że nie musisz już się kłócić z rodziną”. Borys uznał to za dobre wyjście.

Zdecydowałyby się na ten krok już wcześniej, gdyby nie Natalia. Co ją teraz czeka? Jak rodzice będą traktowali tę zbuntowaną piętnastolatkę o nadąsanych ustach? „Złamię



ją – tłumaczył żonie z przygnębieniem. – Zameczą ją robotą, żeby zapłacić naszą nieobecność”. Chciał nawet zabrać Natalię ze sobą, ale żona się nie zgodziła. Także Natalia stanowczo zaprotestowała. „Idźcie na swoje – namawiała go. – O mnie nie musisz się martwić”. A gdy zapytał, jak sobie poradzi, odpowiedziała: „Nic mi nie będzie, zobaczysz. – A potem z uśmiechem dorzuciła: – Mam swój plan”. Bardzo go to zaintrygowało.

Godzinę później pobladły Timofiej Romanow patrzył na rozległe pole. Obok niego stał człowiek, który miał zdecydować o jego losie.

Sołtys był niskim siwobrodym chłopem o donośnym głosie i zdecydowanych ruchach. Timofiej zwracał się do niego ze staromodnym szacunkiem, używając jedynie patronimiku „Iljicz”.

Zdenerwowany przedstawił mu swoją sytuację, nie mając nawet odwagi na niego spojrzeć, ale gdy skończył, nie mógł już znieść wyczekiwania, więc odwrócił się nagle i spytał:

– No i jak, Iljiczu, popadłem w nędzę? – Wiedział, że odpowiedź, którą usłyszy, będzie ostateczna, że nigdzie się od niej nie odwoła.

Timofiej Romanow miał wolność, a jednocześnie nie był wolny. W podobnym położeniu znajdowała się większość dawnych chłopów pańszczyźnianych. Bo kiedy carscy doradcy dali chłopom ziemię, stanęli wobec nowego, bardzo poważnego problemu: a jeśli chłop, niebędący już własnością swojego pana, zacznie się przemieszczać i robić to, co im przyjdzie do głowy? „Jak będziemy ich wtedy kontrolować? Skąd będziemy mieli pewność, że ziemia jest obrabiana, a podatki płacone na czas?” – padały pytania. Wolność – owszem, ale nie wolno dopuścić do chaosu. I tak oto władza w swojej mądrości wymyśliła proste rozwiązanie. Chłop, choć formalnie wolny, wciąż był przywiązany do swojej wsi. Ziemia odebrana właścicielowi ziemskiemu nie trafiła do pojedynczych chłopów, ale do wiejskiej wspólnoty – komuny – która była odpowiedzialna za płacenie podatków i inne sprawy. Jeśli na przykład Timofiej chciał wyjechać do Moskwy, prosił o paszport sołtysa, tak samo jak kiedyś zwracał się z tym do Bobrowa. Nawet pomniejsze kwestie prawne należały do kompetencji wspólnoty. Przede wszystkim jednak to sołtys co jakiś czas na nowo przydzielał rozproszone działki – tyle dobrej, tyle średniej i tyle gorszej ziemi dla każdej rodziny. Mówiąc krótko, Timofiej Romanow był tak naprawdę członkiem średniowiecznej wspólnoty wiejskiej, choć bez pana feudalnego, albo – używając współczesnego określenia – przymusowej spółdzielni chłopskiej. Nazwy nie mają tu znaczenia, bo jedna i druga oznaczała to samo.

I na tym właśnie polegał problem: gdyby Borys się wyprowadził, ziemia byłaby przydzielana na nowo, a Timofiej z pewnością dostałby mniej. Już teraz ziemi miał za mało, żeby wyżywić rodzinę i wywiązać się ze wszystkich należności.

– Będę musiał zmniejszyć ci przydział – powiedział szorstko Iljicz.

– O ile?

Sołtys się zastanowił.

– O połowę. – Czyli więcej, niż Timofiej się obawiał. – Przykro mi – ciągnął sołtys.

– We wsi jest coraz więcej młodych, a ziemi brakuje. – Wzruszył ze złością ramionami i odszedł.

Timofiej Romanow popadł w przygnębienie, ale gdyby wiedział, co tego ranka chodzi po głowie jego teściowej, byłby przerażony.

Arina miała sześćdziesiąt trzy lata. Była najstarsza w rodzinie i nie pozwalała o tym nikomu zapomnieć. A przede wszystkim kochała Warię. „Nie po to byłam gotowa dla niej umrzeć w trzydziestym dziewiątym, żeby teraz miała ją spotkać jakaś krzywda” – mawiała. Ślad tamtych strasznych dni pozostał w niej na zawsze. „Podczas głodu zjadłam przez miesiąc tylko jedną rzepę, przez co mój żołądek nigdy nie wyzdrowiał – wspominała. – To dlatego tak szybko się zestarzałam”. Na pierwszy rzut oka przypominała spokojną, tęgawą babuszkę, jak wiele innych we wsi, ale krył się w niej bezwzględny instynkt przetrwania, który czasem budził strach.

A teraz jej córka spodziewała się kolejnego dziecka. Arina w milczeniu patrzyła na mały dramat, który rozgrywał się na jej oczach. Kilka razy Waria mówiła do niej z rozpaczą w głosie:

– Bóg jeden wie, że byłoby najlepiej, gdyby to dziecko się nie urodziło.

A teraz, patrząc na rozwój wypadków, Arina dojrzała do podjęcia własnej decyzji.

Jeśli nic się nie zmieni na dobre, uznała, dziecko będzie musiało umrzeć. Takie rzeczy się zdarzały. Sama знаła kobietę, która swoje dziecko utopiła. Łatwiej było po prostu zostawić noworodka w jakimś odludnym miejscu. Zrobię to, jeśli trzeba, stwierdziła. Po to są babki.

Nikom o tym nie wspomniała. A Timofiej, gdy po powrocie do domu opowiedział im o rozmowie z sołtysiem, nie mógł się domyślić, co oznacza ponury wyraz twarzy teściowej.

– Będziemy musieli oddać Natalię do fabryki – powiedział do żony. – Każ jej do mnie przyjść.

Idąc za swoim dziadkiem Sawą, Piotr Suworin miał w głowie tylko jedną myśl: Chyba powinienem się zabić.

Z jakiegoś powodu to rozwiązanie wydało mu się nęcące. Ale jaki wybrać sposób? Nad tym też trzeba będzie się zastanowić. Jedno było pewne: musi się uwolnić z tej straszliwej pułapki.

Gdyby tylko ojciec żył! Iwan Suworin, który stracił żonę, gdy Piotr miał zaledwie dziesięć lat, i dobrze pamiętał surowość Sawy, był dobrym ojcem i w swojej mądrości pozwalał synom być tym, kim chcieli. Władimir, pięć lat starszy, miał smykałkę do interesów i już jako siedemnastolatek z pozwoleniem ojca kierował jednym z ich zakładów w Moskwie. Natomiast Piotr miał zdolności do nauki, więc poszedł na uniwersytet, co u Sawy wzbudziło głębokie obrzydzenie.

Ale pół roku temu Iwan miał ciężki atak serca i pogodny świat Piotra nagle się zawalił.

On ma nade mną całkowitą władzę, myślał przygnębiony. Bo stary Sawa utwierdzał swój autorytet z bezwzględną siłą. W ciągu tygodnia przejął wszystkie sprawy. Iwanowi pozwolono zostać w Moskwie, ale Piotr musiał natychmiast wrócić do Ruski.

– Najwyższy czas – oświadczył Sawa żonie – żeby się nim naprawdę zająć.

Piotr był wstrząśnięty. Gdy jako dziecko mieszkał z rodzicami w wygodnym domu w Moskwie, dziadkowie wydawali mu się odległymi postaciami, które podczas rzadkich

wizyt traktował ze swego rodzaju religijnym szacunkiem. Nigdy nie widział kogoś tak wielkiego jak jego milczący, a jednocześnie budzący strach dziadek o gęstych włosach, długiej siwej brodzie i przenikliwym spojrzeniu ciemnych oczu. Po uzyskaniu wolności Sawa nosił długi czarny płaszcz i niezwykle wysoki cylinder, a Piotr jako dziecko miał sen, w którym wielka wieża moskiewskiego Kremla zamieniła się w jego dziadka i straszyla wszystkich w mieście jak jakaś mściwa furia. Niejeden raz Iwan z cierpkim uśmiechem opowiadał synom, jak to Sawa roztrzaskał mu na głowie skrzypce. Więc Piotr unikał dziadka, jak mógł.

Teraz jednak, gdy musiał z nim zamieszkać pod jednym dachem, jego uczucia się zmieniły. Strach z dzieciństwa pozostał, ale doszło do niego coś jeszcze: nabożna cześć.

Sawa Suworin był więcej niż zwykłym śmiertelnikiem. Stanowił prawo dla samego siebie i dla innych: stałe, niezmiennie, bezlitosne. Miał osiemdziesiąt dwa lata i trzymał się prosto jak trzydziestolatek. Wszędzie chodził pieszo. W połowie stulecia władze rozbiły jego wspólnotę teodozjańską, więc podobnie jak wielu innych kupców musiał oficjalnie wstąpić do Cerkwi prawosławnej. Jednak w skrytości ducha pozostał starowiercą i nadal jadał samotnie z drewnianej miski małą cedrową łyżką z krzyżykiem. Rozbicie teodozjan oznaczało też rozcięcie ostatnich więzów łączących fabryki Suworina z jego wspólnotą religijną. Teraz wszystko należało jedynie do Sawy i jego rodziny. A było tego naprawdę dużo.

Piotr wiedział, co posiadają w Moskwie: farbiarnię nad rzeką, zakłady, w których drukowano perkal, fabrykę kleju, fabrykę krochmalu i małą drukarnię założoną przez Władimira. Ale dopiero teraz miał okazję się przekonać, czego dokonano w Rusce.

Ruska nigdy nie była ładna, ale teraz zrobiła się wprost okropna. Stłoczone chałupy otoczone płataniną płotów spływały po stromym zboczu ku rzece niczym odpady wylane przez miasto. W obrębie murów ogromna ceglana przędzalnia bawełny z rzędami okien przytłaczała wielkością cerkiew, a jej dymiący ośmiokątny komin przewyższał nawet starą wieżę przy bramie. Równie wielka była tkalnia oraz zakład lniarski mieszczący się w długich, podobnych do stajni budynkach. Pracowali tu ludzie z wiosek oddalonych o wiele kilometrów, a wszystkim zarządzał Sawa Suworin.

Siła woli, która zbudowała to miejsce, mogła budzić strach. A Piotr miał ją całą przed sobą. Duża kanciasta głowa, oczy, w których tlił się żar, krzaczaste brwi i wielki, bezkształtny nos. Czy nadal robią takie nosy? Nos jego ojca był całkiem pokaźny, jego własnemu też niczego nie brakowało, ale myślał sobie czasem, że wobec rysów Sawy nawet historia musiałaby umilknąć niczym rzeźbiarz wobec odpornej tafli granitu. Mój Boże, stwierdził Piotr, przecież on wygląda jak jeden z tych pradawnych starców znad Wołgi, tyle że został kupcem. Taki właśnie był Sawa Suworin.

Na początku jakoś znosił życie w Rusce. Dziadkowie mieszkali w skromnym murowanym domu, który wielkością nie odpowiadał nawet jednej dziesiątej ich domu w Moskwie. Stały tu meble proste i brzydkie, ale solidne i idealnie wypolerowane. Jak dziadkowie widzą jego przyszłość? Gdy Sawa zabierał go ze sobą na obchód zakładów, nie zdradzał, jakie ma zamiary. Piotrowi wydawało się, że po paru tygodniach Sawie znudzi się jego towarzystwo i pozwoli mu wrócić do Moskwy.

Ale tuż po Bożym Narodzeniu babka zadała mu cios ostateczny.

– Uznaliśmy, że powinieneś zacząć pracę w zakładzie Iniarskim – oświadczyła spokojnie. – W ten sposób będziesz mógł także poznać miasteczko.

Nawet w starszym wieku twarz Marii Suworinej była idealnie okrągła; może nos zrobił się nieco bardziej spiczasty, ale zaciśnięte wargi, mimo głębokich zmarszczek, nigdy się nie uśmiechały. Szare oczy patrzyły twardo przez wąską szparę między powiekami. Jak wszystkie proste Rosjanki rozdzielała siwe włosy przedziałkiem pośrodku i ciasno upinała z tyłu. Jedynym zbytkiem, na jaki sobie pozwalała, były suknie z ciężkiego jedwabnego brokatu, które rozszerzały się ku ziemi jak dzwony. Na głowę zarzucała najczęściej duży szal, który spinała pod brodą i który spływał jej na ramiona. Wyglądała jak wymalowana rosyjska lalka – miłe porównanie, ale całkowicie niepasujące do jej bezwzględного charakteru.

– Ależ ja się nie nadaję do takiej pracy – zaprotestował Piotr.

– Naszym zdaniem tak będzie najlepiej – odparła.

– A co z moimi studiami?

– Ze studiami koniec – powiedziała łagodnie. A potem dorzuciła życzliwie:

– Z pewnością nie wyobrażasz sobie, że twój osiemdziesięcioletni dziadek będzie pracował za ciebie, prawda?

I oto tego zimnego wiosennego dnia, gdy szpaki krążyły nad dachami domów, Piotr doszedł do wniosku, że dłużej nie wytrzyma.

Starął się wykrzesać z siebie zainteresowanie i znaleźć coś, co pobudziłoby jego wyobraźnię. Gdy Sawa mówił: „Z powodu wojny secesyjnej w Ameryce ucierpiały nasze dostawy bawełny” albo „Teraz będziemy sprowadzać bawełnę z Azji”, w umyśle Piotra pojawiał się obraz statków płynących z Nowego Świata i karawan przemierzających pustynie, a on sam wmawiał sobie, że przedsiębiorstwa Suworina są częścią wielkiej, ekscytującej przygody. Jednak każdego dnia patrzył na te same dymiące kominy, te same rzędy krosien, słyszał monotony zgrzyt fabrycznych maszyn i miał coraz mniej złudzeń: Ruska była więzieniem.

A dziś robili to, czego najbardziej nienawidził: przeprowadzali inspekcję robotniczych kwater.

We wsiach, w których uprawiano len, życie na ogół nie było zbyt ciężkie, a w każdej chałupie produkowano jakieś wyroby rzemieślnicze. Jednak w Rusce warunki były znacznie gorsze. Stały tu trzy długie rzędy drewnianych domów, całkiem przyzwoitych, gdyby nie to, że w jednym budynku tłoczyły się trzy robotnicze rodziny, a często nawet pięć. „Wszyscy jesteśmy jedną rodziną – przypominał im Sawa, gdy przechodził wśród nich jak posępny patriarcha ze Starego Testamentu. – Mieszkamy wszyscy razem”.

Poza tym były jeszcze dormitoria. I z jakiegoś powodu, gdy tylko tam wchodzili, Piotra ogarniał bezbrzeżny smutek.

Nie było to jakieś obskurne miejsce. Wręcz przeciwnie, wszędzie panowała nieskazitelna czystość, kwatery były widne, przestronne i ciepłe. Długie pomieszczenie, pomalowane na biało, miało pośrodku rząd drewnianych słupów, a z obu stron po piętnaście dwuosobowych łóżek. Każde łóżko było szeroką, płytką skrzynią przedzieloną na dwie części, w których starczało miejsca na wąski materac i kilka osobistych

drobiazgów. Pod łózkami stały zamykane na kłódki skrzynie ze skromnym dobytkiem robotników, a do sufitu przymocowano wieszaki na resztę ubrań. W jednym dormitorium spali mężczyźni, w drugim kobiety. Wszędzie panował porządek.

Piotr wiedział, co go tak przygnębia. Ludzie.

Dotychczas poza Moskwą i Petersburgiem nie wykształciła się miejska klasa robotnicza. Ludzi mieszkających w dormitoriach można było zaliczyć do dwóch grup. Pierwszą stanowiły dzieci chłopów, które od czasu do czasu jeździły do swoich odległych wiosek, żeby oddać rodzinom skromny zarobek. Drugą byli dawni chłopci zatrudnieni do prac domowych, którzy wprawdzie dostali wolność, ale nie mieli prawa do ziemi i praktycznie byli skazani na bezdomność. To właśnie oni kulili się na widok Piotra i Sawy. A czystość tego miejsca sprawiała, że wydawali się jeszcze bardziej odczłowieczeni.

I ja mam tu mieszkać i umacniać ten przerażający system, myślał Piotr. Ci ludzie i te ohydne fabryki utrzymują naszą rodzinę. Wszystko wydawało mu się straszne. Nie wiedział, czego pragnie od życia, ale pomrukiwał do siebie z żarliwą desperacją:

– Wolę już ciągnąć barki po Woldze, byle nie to.

Gdy wychodzili z dormitorium, spojrzął przypadkiem za siebie i zobaczył coś, co nie było przeznaczone dla jego oczu.

Na końcu sali jakiś młodzieniec, równolatek Piotra odwrócony do niego plecami, naśladował ku uciesze kolegów ruchy Sawy. Wyglądało to całkiem zabawnie, mimo że był drobny i wychudzony. Odwrócił się i przerwał zabawę, gdy inni, zauważywszy spojrzenie wnuka właściciela, zaczęli dawać ostrzegawcze znaki.

Piotr był wstrząśnięty. Widział wiele uczuć malujących się na ludzkich twarzach, ale po raz pierwszy zobaczył czystą nienawiść. Chłopak albo nie zdawał sobie z tego sprawy, albo nie zamierzał jej ukryć.

Boże, pomyślał Piotr, on sądzi, że jestem taki jak dziadek. Gdyby tylko mógł znać prawdę! A zresztą, i to było jeszcze gorsze, co go obchodzi, że mu współczuję, skoro nazywam się Suworin?

Chłopak wyglądał na całkiem nieszkodliwego. Piotr go znał i wiedział, że ma na imię Grigorij.

Natalia szła szybkim krokiem ścieżką prowadzącą do Ruski. Wymknęła się z domu, gdy tylko zauważyła, że ojciec wraca w ponurym nastroju z rozmowy z sołtysem. Z pewnością już jej zaczął szukać.

Dobrze wiedziała, co ją czeka. Zostanie wysłana do fabryki Suworina i będzie musiała tam harować dopóty, dopóki jej zarobki będą potrzebne rodzinie. Była przerażona. Bała się, że do końca czeka ją los starej panny i czyjejs niewolnicy.

Pragnęła lepszego życia. Misza Bobrow zawsze odnosił się życzliwie do jej ojca, więc kiedy była mała, ją i Borysa posłano na trzy lata do szkoły w Rusce, gdzie nauczyła się czytać. Może i była biedna, ale ta umiejętność dawała jej poczucie dumy i kazała myśleć, że kiedyś, choć nie wiedziała jak, będzie kimś.

Zachęcała Borysa, żeby poszedł na swoje, choć wiedziała, co to dla niej oznacza. Kochała brata. Rozumiała, że tak musi być. Przynajmniej on będzie szczęśliwy, myślała. A jej plan, o którym mu napomknęła?

Nie miała żadnego planu. Zupełnie nie wiedziała, co począć.

Szczelniej związała chustkę na głowie, bo zimne powietrze szczypało ją w twarz. Widziała tylko jedną drogę wyjścia.

Musi się zobaczyć z Grigorijem.

Misza Bobrow i jego żona Anna aż promienieli ze szczęścia.

Zmierzch już zapadał, gdy w majątku pojawił się mały powóz i ku ich zdziwieniu wyskoczył z niego Nikołaj, który natychmiast podbiegł, żeby ich uścisnąć.

– Dostałem z uniwersytetu przepustkę na wcześniejszy przyjazd do domu – oznajmił i dodał, że przywiózł ze sobą przyjaciela.

– Im nas więcej, tym weselej – odparł radośnie Misza. I wzięwszy syna za ramię delikatnym gestem Bobrowów, poprowadził go do domu.

Myśląc o swoich relacjach z Nikołajem, Misza Bobrow zawsze uważał się za szczęściarza. Doskonale pamiętał posępną atmosferę otaczającą jego surowego ojca Aleksego, więc poprzysiągł sobie, że nigdy nie pozwoli na podobny nastrój w Bobrowie, co przychodziło mu dość łatwo, bo sam był człowiekiem życzliwym i pogodnym.

I zawsze się cieszył, gdy syn się z nim spierał. „Zupełnie jak kochany Siergiej i stary stryj Ilja” – mawiał. Sam był dumny ze swojej umiejętności prowadzenia dyskusji. I nigdy mu nie przeszkadzało, że Nikołaj – z racji swojego wieku – czasem nazbyt się zapalał. „To całkiem rozsądny chłopak” – tłumaczył potem żonie. A gdy ona twierdziła, że pozwala synowi na zbyt wiele, odpowiadał: „Młodych ludzi należy słuchać, Anno. I trzeba się starać ich zrozumieć. Oni są naszą przyszłością”. Mógł sobie pogratulować, że jego strategia okazała się słuszna.

Podróżni byli zmęczeni długą drogą, więc zaraz po posiłku chcieli się udać na wcześniejszy spoczynek.

– Już widzę, że czekają nas wspaniałe dyskusje – powiedział Misza do Anny, gdy usiedli sami w salonie. – Może nam się nie podobać to, co się dzieje na uniwersytetach, ale młodzież zawsze przywozi świeże idee. – Uśmiechnął się z zadowoleniem. – Będę musiał się przed nimi wykazać.

Zaciekawiła go tylko jedna rzecz. Może bezsensowna, ale gdy zobaczył nowego przyjaciela Nikołaja, od razu mu się wydało, że widzi w nim coś znajomego. Co to, u diabła, mogło być?

Jewgienij Pawłowicz Popow. Tak się przedstawił rudowłosy młodzieniec. Nazwisko było dość popularne.

– Czy ja cię już gdzieś widziałem? – spytał Misza.

– Nie.

Nie drażył dalej. Był jednak pewien, że w tym młodym człowieku jest coś... I ta niewinna zagadka zaprzętała mu myśli, gdy przez wiele godzin przewracał się w łóżku z boku na bok, zbyt podekscytowany, żeby zasnąć.

Przyjazdy syna zawsze kazały Miszy Bobrowowi myśleć o przyszłości. Jaki majątek będzie mógł przekazać synowi? Jakie życie go czeka? A przede wszystkim – co syn myśli o świecie? Muszę go zapytać o to i o to, obiecywał sobie. Ciekawe, czy mu się spodoba, dodawał w myślach, przypominając sobie swoje przedsięwzięcia. I gdy tak leżał w ciemnościach, przez głowę przebiegało mu tysiące różnych spraw.

Wprawdzie jego życie nie układało się najlepiej, ale przy swoim charakterze był przekonany, że świat zmierza w dobrym kierunku. „Przyszłość wygląda optymistycznie” – mawiał. To była jedna z niewielu kwestii, w których żona nie mogła się z nim zgodzić.

Majątek Bobrowo był w bardzo złym stanie. Akt o uwłaszczeniu przyniósł chłopom rozczarowanie, ale dla właścicieli ziemskich też nie był korzystny.

Jeszcze przed rokiem 1861 Misza Bobrow, podobnie jak niemal wszyscy znani mu właściciele ziemscy, zastawił trzy czwarte swoich chłopów pańszczyźnianych jako zabezpieczenie kredytów zaciąganych w banku państwowym. Po uwłaszczeniu połowa pieniędzy otrzymanych w ramach rekompensaty natychmiast trafiła do banku jako spłata długu. Co więcej, obligacje państwowe powoli traciły na wartości, jako że Rosję dotknęła łagodna inflacja. „Te przeklęte obligacje mają dziś dwie trzecie pierwotnej wartości” – powiedział do Anny zaledwie tydzień wcześniej.

Ponieważ był dłużnikiem i brakowało mu gotówki, nie miał czym płacić chłopom za uprawianie jego ziemi. Część wydzierżawił chłopom i kupcom, ale obawiał się, że część przyjdzie mu sprzedać. Z każdym rokiem stawał się coraz biedniejszy.

Skąd więc ten jego optymizm?

Miał ku niemu kilka powodów. Rosyjskie imperium było z pewnością potężniejsze niż za czasów jego młodości. Po latach wojen rozciągało się w końcu aż po swoje naturalne granice. To prawda, w 1867 roku ogromne tereny na Alasce sprzedano Stanom Zjednoczonym. „Ale mieliśmy tam o wiele za daleko” – stwierdził Bobrow. Jednocześnie Rosja umocniła się na wybrzeżu Pacyfiku, a nowy port we Władywostoku, na wysokości Japonii, zapowiadał ożywiony handel z Dalekim Wschodem. Rosja odzyskała prawo posiadania floty wojennej na Morzu Czarnym; na południowym wschodzie stopniowo podbijała pustynne ludy, przejmowała włości wojowniczych książąt i bogate karawany. Zgniotła kolejne powstanie w Polsce, zawiązała bliski sojusz z Prusami i utrzymywała pokojowe stosunki z innymi zachodnimi sąsiadami. Niektórzy wprawdzie mówili, że państwo pruskie i jego błyskotliwy kanclerz Bismarck są zbyt zachłanni na władzę, jednak jakie to mało znaczenie dla carskiego imperium, które zajmowało jedną szóstą powierzchni wszystkich lądów na Ziemi?

Ale największym powodem optymizmu Bobrowa było to, co działo się w samej Rosji.

„W ciągu ostatnich piętnastu lat wprowadzono u nas więcej reform niż za panowania Piotra Wielkiego” – mawiał.

Być może carowi Aleksandrowi II chodziło jedynie o utrzymanie porządku w kraju, ale gdy uznał, że konieczne są do tego reformy, dokonał zadziwiającego postępu. Przeszarżały, trzeszczący system prawny całkowicie zreformowano. Po raz pierwszy w swojej osiemsetletniej historii Rosja miała dostępne dla wszystkich, niezależne sądy z niezależnymi sędziami i zawodowymi prawnikami, a procesy toczyły się jawnie. Wprowadzono nawet ławę przysięgłych. Zreformowano armię: pobór obejmował zarówno szlachtę, jak i chłopów, a służba trwała sześć lat, a nie jak kiedyś dwadzieścia pięć. I wszędzie, z wyjątkiem elitarnych regimentów, oficerem mógł zostać nawet człowiek niskiego pochodzenia. „To dla nas lepsze niż to, co spotkało nas kiedyś na Krymie” – przypominał Misza znajomym, którzy utyskiwali na takie mieszanie się klas.

Ale najbardziej ucieszyły Miszę reformy wprowadzające lokalne organy samorządowe: na prowincji były to ziemstwa, a w miastach dумы. Nigdy wcześniej niczego podobnego w Rosji nie widziano. Powstawały w każdym powiecie, mieście i każdej guberni, a przedstawiciele do nich wybierali wszyscy płacący podatki, szlachta, kupcy i chłopci. „Oto teraz – twierdził Misza uszczęśliwiony – także Rosja dołączyła do świata nowoczesnej demokracji”.

Prawdą jest, że ziemstwa i dумы miały skromne uprawnienia, a obsadzanie kluczowych stanowisk, takich jak gubernator czy naczelnik policji, leżało w gestii carskiego rządu.

Prawdą jest również, że wybory były przeprowadzane według specyficznych zasad. W miastach głosy liczono proporcjonalnie do wysokości płaconych podatków, co w efekcie oznaczało, że większa część ludności wybierała zaledwie jedną trzecią członków rad. Na wsiach, dzięki podobnemu wazeniu głosów oraz licznym wyborom pośrednim, ponad siedemdziesiąt procent miejsc w lokalnych ziemstwach przypadało szlachcie. „Ale liczy się sama zasada – głosił Misza. – Teraz wszystkie klasy społeczne mają prawo głosu”.

Poza tym – to Misza Bobrow pochwalał najbardziej – ludziom takim jak on ziemstwa dawały poczucie misji. Minęły czasy, gdy szlachta była klasą świadcząca służbę dla Rosji; Bobrowom odebrano chłopów. Jednak lokalne organy samorządowe, mimo ograniczonej władzy, pozwalały Miszy zachować złudzenie, że nadal może być ważny i przydatny dla kraju. „Zawsze służyliśmy Rosji” – mawiał z odcieniem satysfakcji w głosie.

Tuż przed zaśnięciem Misza Bobrow znalazł możliwe rozwiązanie zagadki dotyczącej jego gościa.

Do diabła, pomyślał, czy ten dziwny młodzieniec nie powiedział, że jego patronimik to Pawłowicz? Przecież ten odrażający stary pop z Ruski, ten z rudymi włosami, miał syna Pawła Popowa, który był w Moskwie jakimś poślednim urzędnikiem. Czyżby nasz rudowłosy Jewgienij był wnukiem popa?

Rozbawiła go ta myśl. Postanowił, że rano go o to zapyta.

Ale gdy rankiem Misza zszedł do jadalni, gdzie spodziewał się zastać przy śniadaniu obu młodych ludzi, służący przekazał mu zadziwiającą wiadomość.

– Pan Nikołaj i jego przyjaciel wyszli jeszcze przed świtem.

– Przed świtem? A dokąd to?

– Do wsi, Michaile Aleksiejewiczu. – Po czym z wyraźną dezaprobatą dorzucił:  
– Byli ubrani jak chłopci, panie.

Misza spojrział na niego. Służący nie zwykł zmyślać.

– Do diabła, po cóż mieliby to robić?

– Sam tego nie rozumiem, panie – odparł służący. – Powiedzieli... – zawahał się na moment – powiedzieli, panie, że idą szukać pracy.

Misza Bobrow zupełnie nie wiedział, co ma o tym myśleć.

Grigorij był dziewiętnastolatkiem o wychudłej twarzy i długich, ciemnych, przetłuszczonych włosach przedzielonych pośrodku przedziałkiem. Nie mógł się pochwalić siłą fizyczną, a do tego Bóg pokarał go zębami, które bolały go niemal co dzień.



Ale nosił w sobie jakąś cichą determinację przetrwania za wszelką cenę.

Oraz bał się zakochanej w nim Natalii Romanowej.

Miał siedmioro rodzeństwa. Jego ojciec, który dawniej był tak zwanym chłopem domowym zatrudnionym we dworze, imał się dorywczych zajęć we Włodzimierzu, a gdy dzieci kończyły dziesięć lat, wysyłał je do pracy. Raz w miesiącu przywiązywał Grigorija do drewnianej ławy i biczował brzoźowymi witkami, które uprzednio starannie moczył w wodzie. Mimo to Grigorij darzył go uczuciem.

Ojciec nie oponował, gdy w wieku trzynastu lat Grigorij oznajmił, że chce się wynieść z domu. Chłopak miał wręcz wrażenie, że rodzice są z tego zadowoleni. Na pożegnanie ojciec udzielił mu jednej rady na życie: „Bierz od kobiet wszystko, co się da. Niektóre są może miłe, ale tak naprawdę każda będzie chciała cię wykorzystać. Zapamiętaj to sobie”.

Zapamiętał.

A teraz ta dziewczyna. Co ona w nim widzi? Była ładna, pełna życia, jej ojciec miał własną ziemię i w oczach Grigorija zasługiwał na miano bogacza. Owszem, Grigorij umiał ją rozśmieszyć, ale przecież jego ostry, często okrutny dowcip bawił niemal każdego – zarówno tych, którzy go nienawidzili, jak i tych, których nienawidził on.

Czego ona od niego chce?

I dlaczego, na Boga, poprosiła go poprzedniego wieczoru, żeby został jej mężem? Spojrzał wtedy na nią z podejrzliwym zdziwieniem, a potem powiedział ponuro:

– Zastanowię się.

Początkowo nikt nie poznał dwóch młodzieńców, którzy rano pojawili się w wiosce ubrani jak chłopci. Dopiero Arina zawołała na ich widok:

– A niech mnie! Panicz Nikołaj! Ależ ty wyrosłeś!

Chwilę później na usilne nalegania starej kobiety byli już w chacie Romanowów, gdzie cała rodzina siedziała przy ciepłym piecu, jedząc słodkie pierożki.

Ośłupieli, słysząc, że Nikołaj i jego przyjaciel chcą pracować we wsi. Ale kto nadaży za zachciankami szlachcica? Gdy jednak się okazało, że nie spodziewają się za to żadnej zapłaty, Timofiej nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

– Nie musicie daleko szukać, Nikołaju Michajłowiczu – oznajmił. – Mam coś dla was.

A dwie godziny później Misza Bobrow patrzył ze zdumieniem, jak jego syn i młody Popow pracują w milczeniu na skraju rozległego pola. Był jednak na tyle rozważny, żeby się nie wtrącać. Pokręcił jedynie głową nad ekscentrycznością dzisiejszej młodzieży i wrócił do domu.

– Będą wieczorem głodni – powiedział do żony i zajął się lekturą.

Natalia też przyglądała się gościom z zainteresowaniem. Była mała, gdy Nikołaj Bobrow wyjechał do szkoły, więc młody panicz był w jej pamięci jedynie imieniem. Uznała, że jest przystojny. I to bardzo. Co innego jego rudowłosego przyjaciel – o nim nie umiała wyrobić sobie zdania. Prawie się nie odzywał ani do Natalii, ani do jej rodziny, pozwalając mówić Nikołajowi, więc przypisała go do szczególnej kategorii ludzi, z jakimi wcześniej nie miała do czynienia. Zresztą, stwierdziła, co on mnie może obchodzić. I tak miała o czym myśleć.

Przede wszystkim o Grigoriju.

Natalia kochała swoją rodzinę. Nie chciała im sprawić przykrości. Ale gdy Borys oznajmił, że się wyprowadza, coś w niej pękło. Nagle poczuła się samotna. Owszem, była rodzicom potrzebna, ale gdy poprzedniego wieczoru, tak jak się obawiała, Timofiej zapowiedział, że będzie musiała pójść do fabryki, poczuła nagły żal. Powinnam zadbać o swoje szczęście, pomyślała. A dla niej szczęście było równoznaczne z Grigorijem.

Dlaczego on? Wiedziała, że w wiosce nie ma dla niej żadnej przyszłości. Romanowowie byli biedni, a po narodzinach jeszcze jednego dziecka ojciec z pewnością nie da jej żadnego posagu. Nie była też szczególnie urodziwa, więc musiałyby mieć dużo szczęścia, żeby znaleźć we wsi dobrą partię. Ale jej uwagę przyciągnął ten drobny chłopak z szelmowskim poczuciem humoru. Gdy się poznali i zaczęła uczyć go czytać, zaskoczyła ją jego bystrość. Nie uczył się jak inni ludzie, ale rzucał się na wiedzę, pożerał ją łapczywie, dopóki jej nie opanował. On jest jak tygrys, myślała z podziwem. A mimo to był bardzo wrażliwy i jak stwierdziła, potrzebował opieki. Właśnie to połączenie wydawało jej się pociągające. Może nie jest doskonały, ale na całym świecie nie ma takiego mężczyzny jak on, uznała, zanim jeszcze nadeszła wiosna.

Jej plan był prosty: albo on zamieszka z nami we wsi i wtedy rodzina będzie miała dwa dodatkowe źródła dochodu, albo – jeśli nie zechcą go przyjąć – zamieszka z nim w Rusce, a oni zostaną z niczym. Tylko tak mogła zapewnić sobie niezależność.

I przez cały dzień, gdy Nikołaj i Popow pracowali z ojcem na polu, myślała o Grigoriju.

Nie kryła zdziwienia, gdy o zmierzchu Nikołaj zapowiedział, że nazajutrz znów stawia się z przyjacielem do pracy.

Nikołaj był uszczęśliwiony. Pierwszy dzień spełnił jego oczekiwania. Jewgienij też wyglądał na zadowolonego.

– Zdobędziemy ich zaufanie – stwierdził. – Tylko pamiętaj – dodał stanowczo – na razie nie wolno nam o niczym mówić. Zgodnie z planem.

– Oczywiście. – Plan był najważniejszy.

Jakie to szczęście, myślał Nikołaj, że mam przy sobie Popowa! Co prawda Popow bywał czasem tajemniczy, jakby coś w sobie taił, ale jednocześnie odznaczał się wielką stanowczością i pewnością siebie. A teraz zostali współnikami w tym niezwykle ważnym przedsięwzięciu. Któregoś dnia, marzył Nikołaj, nasze imiona pojawią się w podręcznikach historii.

Z niecierpliwością wyglądał wieczoru. Wiele razy widział, do czego Jewgienij jest zdolny, i zastanawiał się, jak przyjaciel zachowa się wobec jego rodziców.

Misza Bobrow, próbując ukryć podniecenie, czekał w salonie, aż dwaj młodzieńcy zejdą na kolację.

Był niezmiernie ciekaw, co zamierzają, a do tego, jak powiedział żonie, spodziewał się ciekawych tematów do dyskusji. Był przekonany, że dobrze wypadnie. Na pewno zrobi na młodych studentach wrażenie.

W ładnym podłużnym salonie stały proste sofy i fotele we francuskim stylu, w oknach wisały ciężkie niebieskie zasłony rozdzielone pośrodku i przymocowane z boku dużymi pomponami. Przy jednej ze ścian pyszniła się mahoniowa biblioteczka ze

szklanymi drzwiami i rzeźbionymi ozdobami w kształcie antycznych lir. Z półki nad kominkiem spoglądał z satysfakcją zegar z czarnego marmuru przypominający fronton greckiej świątyni. Okrągły stolik w rogu przykryty był tureckim kilimem. A na wszystkich ścianach wisiało, bez jakiegoś szczególnego porządku, mnóstwo rodzinnych portretów, od wielkich obrazów olejnych po drobne kamee.

Jednak ten typowy wystrój miał też kilka elementów, które wskazywały, że Misza Bobrow nie jest zwyczajnym ziemianinem.

Po obu stronach biblioteczki zawieszono obrazy – ale nie klasyczne pejzaże, jakie spodobałyby się jego dziadkowi, lecz pełne światła szkice. Jeden przedstawiał wiejski zachód słońca, a drugi pomarszczoną twarz chłopca. Obrazy, które sprawiały Miszy wielką radość, wywodziły się z grupy artystycznej nazywanej Towarzystwem Objazdowych Wystaw Artystycznych. „To pierwsi od czasów malarzy ikon prawdziwi rosyjscy artyści – mawiał. – Potrafią wiernie oddać życie w Rosji”. W swoim gabinecie Misza miał nawet niewielką rycinę najlepszego z nich, Ilji Riepina, przedstawiającą prostego burłaka, który ciągnie swoją uprząż z taką siłą, jakby chciał się wyrwać na wolność. Gdy się okazało, że młody Nikołaj wykazuje w szkole zdolności rysunkowe, Misza zachęcał go: „Spróbuj malować jak oni, tak jak naprawdę widzisz świat”.

Świadectwem szczególnego charakteru pana domu było też kilka grubych periodyków leżących na okrągłym blacie stolika. Te obszernie czasopisma uznawane są za swoisty przejaw życia intelektualnego ówczesnej Rosji. Publikowano w nich w odcinkach najnowsze dzieła wielkich powieściopisarzy: Tołstoja, Dostojewskiego i Turgieniewa, oraz komentarze polityczne i eseje, często bardzo radykalne. Zatem obecność tych czasopism w salonie miała głosić: Misza Bobrow jest na bieżąco ze wszystkim, co się dzieje w świecie.

I właśnie przy tym stoliku gospodarz przywitał obu młodzieńców. Choć jego ciekawość była aż nadto widoczna, jak gdyby nigdy nic rozmawiał z nimi od niechcienia o stolicy, o pogodzie, o żonie, która miała się za chwilę pojawić. Dopiero po kilku minutach, z ostentacyjną nonszalancją, która omal nie doprowadziła Nikołaja do wybuchu śmiechu, zauważył:

– Mam nadzieję, że podobało się wam na polu. Wolno mi jednak zapytać, co tam robiliście?

Młodzi mężczyźni udzielili odpowiedzi zgodnej z tym, co wcześniej ustalili.

Misza miał wrażenie, że kolacja jest udana. Czerwone wino było wyborne. Siedział u szczytu stołu, otulony ciepłym blaskiem świec, pod czujnym spojrzeniem przodków na portretach, i to on głównie mówił. Jego żona Anna – wysoka, ciemnowłosa, niezbyt bystra, ale o zdecydowanych poglądach – zajmowała miejsce naprzeciwko niego.

A więc młodzieńcy chcieli się przyjrzeć warunkom życia na wsi. Praca ramię w ramię z chłopami była dość nowatorską ideą, ale Miszy wydała się godna pochwały. Gdy zaś Popow dodał, że zbiera ludowe bajki, Misza wpadł w zachwyt.

– Większość bajek Kryłowa znam na pamięć – oznajmił. – Powinieneś porozmawiać z Ariną, moją dawną nianią. Ona zna setki starych opowieści.

Misza Bobrow był pewien, że znalazł ze studentami wspólny język. Przede wszystkim interesował się edukacją. Przez cały rok energicznie działał w okręgowym

ziemstwie na rzecz poprawy miejscowego szkolnictwa.

– W Rusce zapewniamy podstawowe wykształcenie co szóstemu chłopcu i co dwudziestej dziewczynce – oświadczył z dumą. – Moglibyśmy podwoić te liczby, ale Sawa Suworin na każdym kroku rzuca nam kłody pod nogi.

Zdradził też, że nienawidzi ministra edukacji. Z jakiegoś powodu car miał przekonanie do tego człowieka – niejakiego hrabiego Dmitrija Tołstoja, dalekiego krewnego wielkiego pisarza – ale jego rządy w ministerstwie były tak reakcyjne, że zyskał sobie przydomek „Dusiciel”. A kiedy się okazało, że Popow uczył się w szkole medycznej w czasach, gdy wybuchł tam strajk studentów, Misza natychmiast oznajmił:

– Doskonale rozumiem studenckie bunty, jeśli ministrem jest ktoś taki jak Tołstoj.

Swobodnie rozprawiał o literaturze, o najnowszych radykalnych esejach i o polityce, a przy okazji wygłosił opinię – bardzo zaskakującą w ustach prowincjonalnego ziemianina – że poza lokalnymi ziemstwami powinno być powstanie wybierane przez obywateli zgromadzenie ustawodawcze, które doradzałoby carowi w sprawach ogólnokrajowych. Krótko mówiąc, Misza Bobrow dał tyle dowodów na swoje postępowe poglądy, że według niego goście – choć niewiele mówili – byli pod dużym wrażeniem.

Ale gdy kolacja zbliżała się do końca, spotkała go niespodzianka.

Podczas rozmowy z zainteresowaniem patrzył na Jewgienija Popowa. Za jego czasów niemal wszyscy studenci uniwersytetów wywodzili się ze szlachty, lecz w połowie stulecia pojawiło się nowe pokolenie ludzi wykształconych: synowie duchownych, drobnych urzędników i kupców. Tacy właśnie jak Popow. Misza bardzo to popierał. Lekarze, nauczyciele, agronomowie zatrudniani przez miejscowe ziemstwo wywodzili się głównie z tej warstwy. Jednak Misza wyczuwał, że Popow odznacza się wyższą kulturą umysłową niż reszta. Kim on jest? Dało się też zauważyć, że wypowiada się dość opryskliwie, jakby celowo lekceważył zasady dobrego wychowania. Tym lepiej, pomyślał Misza. Przynajmniej jest szczery. Więc sam starał się zwracać do niego w sposób bezpośredni.

Ponieważ nie umiał jednak do końca powściągnąć ciekawości co do rodziny rudowłosego studenta, przy drugiej butelce wina zapytał taktownie:

– Zauważyłem, mój drogi, że twój patronimik to Pawłowicz. Nie jesteś przypadkiem synem Pawła Popowa, którego ojciec był kiedyś w Rusce popem?

Pytanie było bardzo grzeczne, ale Popow nawet nie podniósł głowy znad talerza.

– Owszem – odparł krótko.

– Porządny człowiek – zauważył Misza, choć było to jaskrawą nieprawdą. Nie chciał jednak urazić gościa.

– Naprawdę? Nic mi o tym nie wiadomo. – Popow nie przerywał jedzenia.

Zaskoczony i zaciekawiony jednocześnie, Misza brnął dalej, czując, że skoro już zadał to pytanie, to niegrzecznością byłoby uciąć wątek.

– Mam nadzieję, że twój ojciec dobrze się miewa.

Popow nawet nie zadał sobie trudu, by podnieść wzrok.

– On już nie żyje.

– Przykro mi – powiedziała Anna, właściwie bez zastanowienia. Tak nakazywała

grzeczność.

Ale ku jej zdziwieniu Popow spojrział na nią chłodno.

– Wcale nie.

– Słucham?

– Nie jest pani przykro. Przecież go pani nie znała.

Anna była skonfundowana. Misza zmarszczył brwi. A Nikołaj uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Jewgienij nienawidzi pozorów. Jego zdaniem należy mówić tylko prawdę.

– I słusznie – przyznał Misza, mając nadzieję, że załagodzi to niezręczną sytuację.

Popow jednak spojrział na niego z lekką pogardą.

– W takim razie czemu pan powiedział, że ten zepsuty głupiec mój dziadek był porządnym człowiekiem?

Była to wielka impertynencja, ale Misza zauważył, że się rumieni z zakłopotaniem.

– Jesteś moim gościem – mruknął. A po chwili dorzucił z irytacją: – Rodzinie należy okazać trochę szacunku.

– Dlaczego, skoro na ten szacunek nie zasługuje?

Zapadła niezręczna cisza. I wtedy odezwała się Anna. Nie była pewna, czy wszystko dobrze zrozumiała, ale w jednej kwestii nie miała wątpliwości.

– Uczucia rodzinne to najważniejsza rzecz na świecie – powiedziała stanowczo.

– Bzdura. Nie wtedy, gdy te uczucia są nieszczerze.

Aż otworzyła usta ze zdziwienia. Ale Nikołaj uśmiechnął się do niej i do ojca.

– Popow to najbardziej bezpośredni człowiek na świecie – wyjaśnił. – Uważa, że należy obnażać każde kłamstwo. Niszczyć je bez względu na wszystko.

– Czy to oznacza – Anna starała się pojąć jego słowa – że należy zniszczyć nawet życzliwość wobec innych i dobre maniery?

I oto teraz, po raz pierwszy od przyjazdu, Popow się uśmiechnął.

– Owszem – powiedział krótko.

Misza Bobrow też zdobył się na uśmiech. Nareszcie rozumiał tego młodzieńca.

– A więc jesteś tym, jak ich nazywają, nihilistą – stwierdził.

Każdy wykształcony Rosjanin miał jakieś pojęcie o radykałach. Kilka lat wcześniej opisał ich Turgieniew w swojej słynnej powieści *Ojcowie i dzieci*. Podążali śladem rosyjskiego filozofa Bakunina, który głosił, że należy się pozbyć całego społecznego fałszu i że odrzucenie przestarzałych idei, choć bolesne, jest twórcze.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – oświadczył Misza. – Doskonale to rozumiem.

– Był z siebie dość zadowolony.

– Wcale nie. – Popow patrzył na niego z chłodnym lekceważeniem. – Jest pan typowym przedstawicielem swojego pokolenia. Gadacie bez końca, robicie połowiczne reformy, ale tak naprawdę nie robicie nic. – Wzruszył pogardliwie ramionami.

Misza Bobrow aż wstrzymał oddech. Zacisnął dłonie w pięści. Milczał przez chwilę i zmusił się, by spokojnie wypić z kieliszka resztę wina. Zauważył przy tym, że ręka mu się trzęsie. Ta niegrzeczność była oburzająca, do tego w jego własnym domu. A jednocześnie – i to było straszne – dostrzegał w słowach młodzieńca ziarno prawdy. Nagle pojawił mu się przed oczami obraz stryja Ilji siedzącego w fotelu całym

tygodniami, miesiącami i latami, czytającego, dyskutującego, a jednocześnie nierobiącego nic, tak jak opisał to Popow. Ale przecież on jest inny, nieprawdaż?

– Reformy obecnego władcy są realne – powiedział w odruchu obrony. – Znieśliśmy poddaństwo chłopów, zanim Amerykanie znieśli niewolnictwo.

– W teorii, ale nie w praktyce.

– Takie sprawy wymagają czasu. – Zamilkł, spoglądając z powagą na rozmówcę.

– Naprawdę uważasz, że wszystko w Rosji jest złe?

– Oczywiście. A pan tak nie uważa?

I w tym właśnie tkwił problem. Misza Bobrow nie mógł szczerze zaprzeczyć. Rosja wciąż była żałośnie zacofana. Biurokrację przeżerała korupcja. Nawet wybieralne ziemstwa, z których był tak dumny, nie miały najmniejszego wpływu na rządy imperium, którego władza była tak samo autokratyczna jak za czasów Piotra Wielkiego, a nawet Iwana Groźnego. Tak, jego ukochana Rosja jest przegniła. Ale przecież to się zmienia. Przecież ludzie oświeceni, tacy jak on, dokonują zmian na lepsze. A może ten gburowaty i, prawdę mówiąc, niesympatyczny młody człowiek ma rację?

Rozważał w myślach to pytanie, gdy nagle odezwała się Anna. Przysłuchiwała się ich rozmowie. Z kwestii filozoficznych nie rozumiała ani słowa, ale dotarło do niej jedno zdanie.

– Twierdzi pan, panie Popow, że państwo rosyjskie gnije – zaczęła. – I ma pan całkowitą rację. To hańba.

Zaskoczony Nikołaj odwrócił się do matki.

– I co należałoby z tym zrobić, mamo?

– Co zrobić? – Wyglądała na zdziwioną. – A skąd ja mam to wiedzieć? O tym powinna zdecydować władza. – Powiedziała to tak, jakby ogłosiła rzecz najbardziej oczywistą. I nie zdając sobie z tego sprawy, wyraziła pogląd podzielany przez większość Rosjan.

– Ależ, madame. – Popow uśmiechnął się sarkastycznie. – Właśnie rozwiązała pani cały problem.

Wszyscy dostrzegli, że ona sama jest o tym święcie przekonana.

I na tym rozmowa się skończyła. Misza czuł się zraniony słowami Popowa, a do tego pojawiło się w nim nieprzyjemne odczucie, że między nim a synem powstała jakaś wyrwa: nie rozumiał ani jego, ani jego przyjaciela.

Przez następne dni robiło się coraz cieplej. W domu Bobrowa panował pozorny spokój. Obaj młodzieńcy co rano wychodzili z domu, pracowali z chłopami na polu i wieczorem wracali zmęczeni. Wszyscy unikali kolejnych dyskusji, a gdy Misza od czasu do czasu pytał, czy ich badania postępują, zapewniali go, że tak.

– Młódzież ma czasem zapał do dziwnych rzeczy – powiedział bez entuzjizmu do żony. – Ale chyba nie ma w tym niczego złego.

– Nikołajowi dobrze robi przebywanie na świeżym powietrzu – przyznała. A Bobrow musiał się zgodzić, że obaj młodzieńcy wyglądają na bardzo krzepkich. Chociaż wydawało mu się, że młody Popow czasem sprawia wrażenie znudzonego.

Natomiast Nikołaj był wszystkim zachwycony. Lubił pracę fizyczną i towarzystwo chłopów, którzy – jakkolwiek nigdy nie uważali go za swojego – przywykli do jego

obecności. A prawdziwą przyjemność sprawiło mu, gdy tydzień później Timofiej Romanow, jakby zapominając, z kim ma do czynienia, skłął go niczym własnego syna za wykopanie rowu w niewłaściwym miejscu.

Jednak przede wszystkim Nikołaj, choć obracał się wśród chłopów od dzieciństwa, dopiero teraz naprawdę pojął, jak wygląda ich życie. Dopiero teraz dostrzegł rujnujące ich spląty, brak ziemi, zrozumiał pragnienie Borysa, by wydostać się z klaustrofobicznego domu rodziców, i zobaczył wynikającą z tego żalostną przyszłość Natalii w fabryce Suworina. A to wszystko nasza, szlachty, wina, że oni muszą tak żyć, myślał. Pasożytujemy na nich, a oni nie odnoszą żadnych korzyści z tego, jak rządzona jest Rosja.

Przyglądając się wsi, zauważył też kilka innych rzeczy. Przeczytał parę książek o rolnictwie w innych krajach, więc widział, że metody uprawy stosowane w Rusce – jak i w całej Rosji – są po prostu średniowieczne. Używano drewnianych soch, bo żelazne pługi były zbyt drogie. Pola dzielono na długie pasy, przez co część ziemi przeznaczona na miedze zwyczajnie się marnowała. A ponieważ działki ciągle rozparcelowywano na nowo, chłopci nie mieli ziemi, którą mogliby uznać za swoją i którą chcieliby intensywnie uprawiać. Gdy Nikołaj zasugerował kiedyś Timofiejowi, że należałoby skończyć z takimi zwyczajami, ten spojrzał na niego z powątpiewaniem.

– Ale wtedy jedni mieliby lepszą ziemię niż drudzy. – Prawa wiejskiej wspólnoty były niezienne. – Dla nas największym problemem jest to – wyznał Timofiej – że co roku mamy gorsze plony. Ziemia rosyjska jałowuje i nic na to nie możemy poradzić.

To spostrzeżenie sprawiło, że Nikołaj zaczął szczegółowo wypytywać ojca o sprawy wsi. Czy rzeczywiście jest tak, jak mówi Timofiej? I ku jego zaskoczeniu okazało się, że Misza ma na ten temat dość rozległą wiedzę.

– Jeśli chcesz zrozumieć rosyjską wieś – tłumaczył ojciec – to musisz wiedzieć, że za wiele problemów ona sama ponosi winę. Jałowienie gleby jest tego doskonałym przykładem. Pół roku temu – ciągnął – ziemstwo zatrudniło agronoma z Niemiec, który miał się tym zająć. Główne zmartwienie polega na tym, że nasi chłopci stosują trójpolówkę. Na jednym kawałku sieją jary owies albo jęczmień i sadzą ziemniaki, na drugim żyto ozime, a trzeci leży odłogiem. Co oczywiście nie jest efektywne. W innych krajach stosuje się płodozmian co pięć, sześć lat oraz sieje koniczynę albo trawy pastewne, żeby odżywić glebę. Ale nie w naszej zacofanej Rosji. Jednak w naszej okolicy największym problemem jest Sawa Suworin i jego zakłady lniarskie.

– Dlaczego?

Misza westchnął.

– Bo on zachęca chłopów do uprawy lnu. To cenna roślina, ale oni ją uprawiają zamiast owsa czy jęczmienia, a do tego len wyciąga z ziemi więcej składników niż inne uprawy. W rezultacie ziemia nam jałowuje, a głównym winowajcą jest len. W całej okolicy jest tak samo. A wiesz, na czym polega największy paradoks? Po pierwsze, nasi chłopci sieją trawy pastewne, które mogłyby użyźnić ziemię, na oddzielnych polach wyłączonych z płodozmianu. Więc gleba na tym nie korzysta. A po drugie, żeby zrekompensować sobie słabe zbiory, zaorują pastwiska, przez co muszą zmniejszyć liczbę wypasanego bydła. A bydło dawałoby im nawóz, którym mogliby użyźnić ziemię.

– To przecież jakieś błędne koło – zauważył Nikołaj.

- Właśnie.
- Czy można coś z tym zrobić?
- Nic. Chłopskie wspólnoty niechętnie rezygnują ze swoich zwyczajów.
- A władza ziemstwa?

Misza westchnął.

- Obawiam się, że oni nie mają żadnych planów. To wszystko jest takie trudne.

Nikołaj jedynie pokręcił głową.

Ale zdarzały się też wesołe chwile. Nikołaj i Popow często zaglądali do chaty Romanowów, a Arina opowiadała im te same baśnie, którymi zabawiała w dzieciństwie małego Miszę. Popow trzymał się najczęściej na uboczu – nie zaprzyjaźnił się z nikim – za to Nikołaj siadał przy Arinie, prosząc, by opowiadała im także o własnym życiu. Kilka razy wspominała więc straszliwy głód. Albo szczęśliwe czasy, gdy jako młoda dziewczyna pracowała w domu Bobrowów.

– Widzę u ciebie ten sam gest co u twojego dziadka – powiedziała kiedyś do Nikołaja, naśladując delikatny, pieszczotliwy ruch tak charakterystyczny dla rodziny Bobrowów. – Ilja Aleksandrowicz też go miał. I twój pradziadek Aleksander Prokofiewicz.

- Naprawdę? – Nikołaj nie miał o tym pojęcia. – A stryj Siergiej?

Z niewiadomych powodów kobieta wybuchnęła piskliwym śmiechem.

- O nie, panicz Siergiej miał co innego!

Któregoś wieczoru, po jednej z takich miłych rozmów, gdy Popow już sobie poszedł, Arina odciągnęła Nikołaja na bok. Była dziwnie zdenerwowana.

- Wybacz starej kobiecie, paniczu, ale błagam cię, nie zadawaj się z nim.

– Wskazała na drzwi.

- Chodzi ci o Popowa? To wspaniały człowiek.

Arina pokręciła głową.

- Trzymaj się od niego z daleka, paniczu.

- A co on zrobił?

- Tego właśnie nie wiem. Ale proszę was, Nikołaju Michajłowiczu. On jest...

– Wyglądała na zmieszaną. – On ma w sobie zło.

Nikołaj pocałował ją ze śmiechem.

- Kochana Arina.

Uznał, że Popow musiał jej się wydać dziwny.

Pewnego popołudnia Popow szedł leśną ścieżką do Ruski. Wiele spraw zaprzętało mu głowę. Między innymi kwestia kryjówek.

Potrzebował niewielkiego, ale dyskretnego miejsca. Wystarczyłaby choćby szopa. Ale taka zamknięta na kłódkę, do której nikt by nie zaglądał. Niczego takiego nie znalazł w Bobrowie.

A przedmiot, który chciał ukryć, leżał rozłożony na części w kufrze w jego pokoju. Swojemu gospodarzowi powiedział, że trzyma w nim książki. Według jego oceny przedmiot ten niedługo będzie potrzebny.

Na pewno coś znajdzie.

Na razie był zadowolony ze swoich postępów. Miał co prawda wątpliwości co do



charakteru Bobrowa, ale uznał, że Nikołaj może się okazać przydatny. Rozglądał się też za innymi osobami. Jego uwagę przyciągnął Borys Romanow. Ma w sobie ducha waleczności, pomyślał. Rozmawiał już z nim kilka razy na ogólne tematy, ale ani jednym słowem nie zdradził mu swoich planów. Lepiej zachować ostrożność.

Po przyjeździe do Ruski zaskoczyła go tylko jedna rzecz – potęga okolicznych fabryk i Suworinów, którzy byli ich właścicielami. Najwyraźniej bardzo się tu liczyli, więc uznał, że musi się o nich jak najwięcej dowiedzieć. Dlatego zostawił tego dnia Nikołaja na polu i wyruszył do miasteczka.

Przez jakiś czas chodził wokół przędzalni bawełny, obejrzał magazyny i ponure rzędy robotniczych domów. Powoli zaczynał się nudzić, gdy nagle zauważył samotną postać, która przechadzała się smutno pomiędzy straganami.

Ruszył w tamtym kierunku.

Natalia miała wrażenie, że jej starania zaczynają przynosić efekty.

Grigorij pozwolił się pocałować.

Nie był to szczególnie przyjemny pocałunek. Smakował solą. Grigorij zeszywniał, jakby nie wiedząc, co ma zrobić z ustami. Pewnie nigdy wcześniej nie całował się z dziewczyną. Ale przecież to dopiero początek.

Nie wysłano jej jeszcze do fabryki, jednak wiedziała, że to nieuchronne. Borys nie zmienił decyzji, więc rodzina miała mu pomóc zbudować nowy dom na skraju wioski. Po wyprowadzce brata jej los będzie przypieczętowany. Nie zdradzała się ze swoimi planami i potajemnie co parę dni widywała się z Grigorijem, powoli go urabiając.

Często opowiadała mu o życiu na wsi. I o dwóch dziwnych przybyszach.

Grigorij chętnie słuchał o Nikołaju i Popowie. Nie pojmował, jak ktoś może z własnej woli pracować na polu, i próbował ich sobie wyobrazić.

Dlatego odwrócił się z ciekawością, gdy pewnego popołudnia Natalia nagle wskazała palcem na drugą stronę placu targowego w Rusce.

– No proszę! To ten rudzielec. Ciekawe, co on tutaj robi.

Grigorij też się nad tym zastanawiał. Bo Popow rozmawiał z Piotrem Suworinem.

Minął miesiąc. Ziemia wyschła, wiosna ustępowała miejsca wczesnemu latu.

W Bobrowie panował spokój.

Dlaczego więc Misza był taki zatroskany?

Chodziło o Nikołaja. Początkowo sprawiał świetne wrażenie: co dzień wracał z pola do domu zmęczony po pracy fizycznej, ale uśmiechnięty. Nawet lekko się opalił w wiosennym słońcu. Mimo że dręczyła go ciekawość, Misza nie zadawał mu pytań i unikał wszelkich dyskusji. Mijały dni i wydawało się, że nic nie mąci dobrego nastroju. A potem coś się zaczęło psuć.

Pod koniec drugiego tygodnia zauważył w swoim synu zmianę. Na początku była to lekka bladeść, potem jego twarz zrobiła się spięta, a w końcu, przy każdej rozmowie, wyrastała między nimi dziwna bariera. Nikołaj bywał w przeszłości zbuntowany, ale nigdy nie miał w sobie takiego chłodu i obojętności. A w ciągu ostatnich kilku dni łatwo wpadał w rozdrażnienie. Co w niego wstąpiło? Może we wsi spotkała go jakaś przykrość? Misza zapytał Timofieja, czy niczego nie zauważył, ale ten odpowiedział, że w pracy Nikołaj jest radosny.

Misza uznał więc, że chodzi o jego przyjaciela. Bo on na pewno miał duży wpływ na Nikołaja.

Mógł się o tym przekonać, dość nieoczekiwanie, w niedzielę.

Misza bywał w cerkwi tylko w największe święta, ale jego żona chodziła tam co niedziela, czasem nawet dwa razy. I stało się zwyczajem, że Nikołaj, gdy przyjeżdżał do domu, zawsze jej towarzyszył. Była więc rozczarowana, że od miesiąca znajdował sobie jakieś wykręty. Najgorsze jednak stało się tego ranka.

– Znów mam iść sama do Ruski? – spytała.

A Nikołaj, w obecności Popowa, odezwał się zirytowanym, bezwzględny tonem:

– Mam lepsze rzeczy do roboty, niż tracić czas na ciebie i twojego Boga.

Była tym tak wstrząśnięta i tak zraniona, że Misza włożył płaszcz i sam z nią poszedł. Po południu zaś postanowił, że musi jakoś zareagować.

Natknął się na obu młodzieńców wczesnym wieczorem. Siedzieli w salonie. Nikołaj rysował przy oknie portret przyjaciela, a że światło dnia już powoli dogasało, na widok wchodzącego do pokoju ojca zamknął szkicownik. Misza zapalił lampę i z czasopismem w ręku zasiadł w fotelu. Skinął głową Popowowi, który zamyślony wyglądał przez okno, a potem odezwał się łagodnie do Nikołaja:

– Wybacz, że ci to mówię, ale sprawiłeś dziś matce wielką przykrość.

Wyrzut był uzasadniony, lecz Nikołaj, zamiast uznać swoją winę, patrzył na ojca bez słowa. A potem, zupełnie niespodziewanie, zaśmiał się piskliwie.

– Dlatego że nie poszedłem z nią do cerkwi? – Pokręcił głową. – Cerkiew to zwykła gospoda, w której ludzie upijają się religią. Jeśli będę się chciał upić, to sięgnę po wódkę.

Misza westchnął. Nie był tym zszokowany. Od czasów oświecenia każdy wykształcony człowiek miał wątpliwości co do Boga i instytucji religijnych. Ale dlaczego Nikołaj jest taki agresywny?

– Możesz sobie nie wierzyć w Boga, ale nie musisz przy tym obrażać matki – zauważył z irytacją. – I dopóki mieszkasz w tym domu, jesteś jej winien szacunek. Mam nadzieję, że zrozumiałeś. – I uznawszy rozmowę za zakończoną, sięgnął po swoje pismo.

Zdziwiło go więc, że Nikołaj chce ciągnąć tę dyskusję. Najwyraźniej poranny incydent sprawił, że musiał wyrzucić z siebie tłumione od kilku tygodni uczucia.

– Pewnie nigdy nie słyszałeś o filozofie nazwiskiem Feuerbach – powiedział pogardliwie.

Akurat Misza słyszał o nim, jako że był to filozof modny wśród radykałów; musiał jednak przyznać, że nie czytał jego prac.

– Gdybyś go czytał – powiedział Nikołaj zimno – tobyś wiedział, że Bóg jest jedynie projekcją ludzkich pragnień. Niczym więcej i niczym mniej. – Popatrzył na Miszę z litością. – Potrzebujesz Boga i Cerkwi dlatego, że jedno i drugie jest częścią społeczeństwa, które odchodzi w przeszłość. Ale w społeczeństwie przyszłości Bóg już nie będzie nam potrzebny. Bóg umarł.

Misza odłożył pismo i zaczął się przyglądać synowi z zainteresowaniem.

– Skoro Bóg jest martwy, to czym chcecie go zastąpić?

– Nauką. – Nikołaj spojrzał zirytowany na ojca. – Nauka udowodniła, że świat jest materialny. Nie rozumiesz? Wszystko da się wyjaśnić za pomocą praw fizyki. Nie ma

Boga, który pociąga za sznurki, to najzwyczajniejszy przesąd. Tak samo jak przekonanie, że Ziemia jest płaska. Jedynie nauka uczyni ludzi wolnymi.

– Wolnymi?

– Tak, ludzie będą panami samych siebie. W Rosji pełna przesądów Cerkiew popiera despotycznego cara, a ludzie żyją w ciemnocie jak jacyś niewolnicy. Ale nauka to zmiecie, a wtedy – dokończył z przekonaniem – nastanie nowy świat.

– Jaki świat? – zapytał Misza.

– Zupełnie niepodobny do waszego – odparł Nikołaj bez ogródek. – To będzie świat prawdy i sprawiedliwości, w którym ludzie będą się wspólnie dzielić owocami swojej pracy i w którym żaden człowiek nie będzie dla drugiego panem. Świat bez wyzysku.

Misza z zamyśleniem pokiwał głową. Owszem, szlachetne przekonania. Nie mógł się jednak powstrzymać od komentarza:

– Ten wasz nowy świat wygląda mi na chrześcijańskie niebo.

– Gdzieżby! – zaprotestował Nikołaj. – Wasz chrześcijański raj to wymysł. Istnieje tylko po śmierci. Jest złudzeniem, zwykłym oszustwem. Ale nowy świat, oparty na naukowych podstawach, powstanie tu, na ziemi, i ludzie będą w nim żyli.

– A więc pogardzasz moją religią i uważasz ją za oszustwo?

– Właśnie tak.

Misza się zamyślił. Nie miał nic przeciwko temu, że jego syn chce zbudować niebo na ziemi, nawet jeśli jemu trudno było w nie uwierzyć. Ale dostrzegwał w młodzieńczej argumentacji jeden błąd.

– Mówisz, że w tym nowym świecie nikt nie będzie wyzyskiwany – zaczął. – I jednocześnie mówisz, że Boga nie ma. Ale wytłumacz mi jedno: jeśli świat jest materialny, jeśli nie będę się bał piekła ani liczył na niebo w przyszłym życiu, to dlaczego miałbym okazywać życzliwość swoim sąsiadom i dzielić z nimi plody ziemi? Przecież mogę ich wyzyskiwać, jak tylko się da, skoro po śmierci nie ma nic.

Nikołaj spojrzał na Popowa i roześmiał się lekceważąco.

– Ty jednak nic nie rozumiesz – stwierdził z pogardą. – Obawiam się, że nie mam ci nic więcej do powiedzenia – dokończył zimno.

Misza patrzył na syna ze smutkiem. Nie przeszkadzało mu, że się spierali, nie przeszkadzała mu nawet jego opryskliwość. Często zdarzało im się prowadzić zażarte dyskusje. Ale w tym ostatnim zdaniu było coś, co go głęboko zaniepokoiło. Odwrócił się do Popowa.

– Może ty mnie oświecisz.

– Może. – Popow wzruszył ramionami. – To proste. Nie umiecie tego zrozumieć, bo jesteście produktem dawnego świata. Wasze myślenie zostało tak uwarunkowane przez społeczeństwo, że trudno wam jest wyobrazić sobie moralny świat bez Boga. W nowym świecie, w którym społeczeństwo będzie zupełnie inaczej zorganizowane, inni będą też ludzie. – Patrzył na Miszę zimnymi zielonymi oczami. – Jak mówi teoria ewolucji Darwina, gatunki, które nie umieją się przystosować, wymierają. – Na twarzy Jewgienija Popowa zagościł rzadki u niego uśmiech. – Już jesteście martwi.

Misza nie umiał jedynie zrozumieć, dlaczego Nikołaj podskoczył nagle i z pobladłą

twarzą wybiegł z pokoju.

Ta rozmowa tak wytrąciła Miszę z równowagi, że jeszcze nieraz próbował znaleźć okazję do spotkania z synem na osobności. Zawsze mu się wydawało, że umięją się porozumieć. Nie mogą tego tak zostawić, powtarzał w myślach. Odpowiednia sposobność nadarzyła się dwa dni później.

Było późne popołudnie. Popow powędrował do Ruski, a Nikołaj, wróciwszy z wioski, siedział sam w salonie. Jednak Misza nie chciał go nagabywać w domu, bojąc się, że syn odmówi i schroni się w swoim pokoju. Ale Nikołaj postanowił pójść na przechadzkę do lasu za domem, więc Misza, odczekawszy chwilę, ruszył za nim.

Dogonił go na szczycie wzniesienia, gdzie ścieżka skręcała na wschód i dalej biegła wzdłuż grani. Było tu wyjątkowo pięknie. Dróżka prowadziła najpierw na wschód, potem na południe, aż w końcu urywała się nagle, a w dole znów ukazywała się rzeka. Misza nie był tu od wielu lat, choć często spacerowali wtedy, gdy Nikołaj był dzieckiem. Z lekkim niepokojem zbliżył się do syna, a ten, obdarzywszy go zdziwionym spojrzeniem, nie powiedział nic. Przez jakiś czas szli tak obok siebie.

Dopiero po kilku minutach Misza zapytał łagodnie:

– Jak byłeś mały, nosiłem cię tutaj na barana, pamiętasz?

Nikołaj skinął głową.

– Pamiętam.

– A stąd – dorzucił Misza po kolejnych stu metrach – widać Ruskę i klasztor.

Zatrzymali się, patrząc ponad lasem na błyszczące kopuły świętego przybytku i na wieżę po drugiej stronie rzeki. Było ciepło i cicho. Po kilku chwilach ruszyli dalej.

– Przykro mi, że nie potrafisz już ze mną rozmawiać – powiedział Misza, gdy ścieżka skręcała na południe. – Ojcom takie rzeczy sprawiają smutek.

I chociaż nie otrzymał odpowiedzi, wydało mu się, że syn nieco złagodniał. Na razie nic więcej nie powiem, uznał Misza. Może później, gdy dojdziemy do krańca grzbietu i zawrócimy. Szedł obok Nikołaja, zatopiony we własnych myślach, mając nadzieję, że uda mu się odzyskać synowską miłość.

Nikołajem szarpały różne uczucia, choć rzeczywiście jego stosunek do ojca nieco złagodniał. Ten spacer przywołał w nim wiele wspomnień z dzieciństwa – prostą pobożność matki i dobroć ojca. Nie mógł zaprzeczyć, że Misza jest dobrym ojcem. I choć przez ostatni miesiąc starał się go znienawidzić, czuł dla niego jedynie litość. Był rozdarty. Czy jakieś pojednanie jest jeszcze możliwe? I czy teraz, za pięć dwunasta, uda się go ocalić przed nadchodzącą burzą? Te wszystkie myśli przebiegały przez głowę Nikołaja, gdy w milczeniu kroczył obok ojca.

Aż dotarli do końca ścieżki i zobaczyli, co się stało z lasem.

To urocze miejsce zawsze zapraszało do odpoczynku. Teren opadał stromo ku rzece, a ponad srebrną wodą i ponad lasem roztaczał się na południe śliczny widok, który obaj spodziewali się zobaczyć.

Jednak krajobraz zmienił się nie do poznania. Patrzyli osłupiali, bo na sto metrów przed końcem wzniesienia cały las zniknął. Na prawo i lewo ciągnęła się szpetna blizna nagiej ziemi usiana próchniejącymi pniami ściętych drzew. Podeszli na skraj zbocza. Było zupełnie ogołoczone. Tam, gdzie kiedyś las opadał ku brzegowi, ział głęboki rów, a nieco

dalej potężne osuwisko zwęziło koryto, zamulając wodę.

Przyglądali się tym zniszczeniom, przerażeni.

– Czy to twoje dzieło, ojcze? – spytał spokojnie Nikołaj.

Misza milczał przez chwilę.

– Chyba tak – mruknął w końcu. – Przeklęty kupiec – dorzucił, kręcąc głową.

Tak naprawdę nie powinno go to dziwić. Widok, który mieli przed sobą, był skutkiem nagminnej praktyki, odciskającej swoje piętno na ogromnych obszarach Rosji: oddawania ziemi w dzierżawę.

Po uwłaszczeniu chłopów Miszy Bobrowowi, podobnie jak większości właścicieli ziemskich, zostało niewiele gruntów ornych; mieli głównie pastwiska i lasy. Zmagając się z brakiem gotówki – ale nie chcąc pozbywać się ziemi na zawsze – część lasów Misza wydzierżawił na obowiązujących powszechnie warunkach jakiemś kupcowi: za określoną sumę, w połowie wypłacaną z góry, kupiec dzierżawił las na dziesięć lat i przez ten czas mógł z nim robić, co mu się podoba. Naturalnie żeby odzyskać pieniądze, niemal natychmiast wyciął i sprzedał wszystkie drzewa. Ale przy tak krótkim okresie dzierżawy nie był zainteresowany ponownymi nasadzeniami. Zamiast tego wypasał na karczowisku bydło, które do reszty ogołacało teren z roślinności, toteż gdy dzierżawa dobiegała końca, nie było już czego ratować.

Aż do XX wieku erozja gleby i tworzące się w jej wyniku wąwozy były jedną z największych katastrof środowiskowych w Rosji.

Gdy dawno temu Misza wydzierżawił zalesione tereny w swoim majątku pod Riazaniem, las został całkowicie zniszczony. Przed kilku laty zrobił to samo z lasami w Rusce, ale zupełnie o tym zapomniał. Patrząc na ogrom spustoszeń, czuł wielki wstyd.

Na szczęście dla siebie nie mógł wejrzeć w myśli syna. Bo gdy Nikołaj zobaczył wyrwę w nagiej ziemi, gdy zrozumiał, skąd się wzięła, pozbył się wszelkich rozterek. Popow ma rację. Z tymi ziemianami, nawet z jego ojcem, już nic się nie da zrobić. Są bezużytecznymi pasożytami. A on gotów był poświęcić się bez reszty sprawie, która – w co wierzył – spoczywała teraz na jego barkach.

Gdy wracali powoli do domu, Misza skonstatował ze smutkiem, że nie padło między nimi ani jedno słowo.

Gdy tego samego wieczoru Jewgienij Popow wracał z Ruski, stwierdził, że wszystko zmierza w zadowalającym kierunku.

Młody Bobrow kierował się emocjami, ale nie miało to znaczenia. Da się go wykorzystać.

Także Piotr Suworin okazał się przydatny. Popow dostrzegł w nim idealistę. Jest trochę zagubiony, ale będzie można go urobić, stwierdził. Ten młody wnuk przemysłowca miał poczucie winy, tak samo jak Bobrow, a kimś takim łatwo jest manipulować. Ludzie z poczuciem winy, zwłaszcza wywodzący się z rodzin dysponujących władzą i pieniędzmi, byli warci szczególnego zainteresowania, bo nigdy nie wiadomo, kiedy ich zasoby okażą się potrzebne.

Na razie nie powiedział Piotrowi prawie nic. Postanowił, że będzie go trzymał w zanadrzu. Zwłaszcza że młody człowiek zapewnił mu tak potrzebną kryjówkę.

Była nią komórka na końcu rzadko używanego magazynu. Stały tam łopaty i inne

narzędzia do odgarniania śniegu, dlatego latem nikt do niej nie zaglądał. Miała kłódkę, do której Suworin, zadowolony się dość głupim wyjaśnieniem Popowa, że potrzebuje miejsca na książki, dał mu klucz. W połowie maja Jewgienij wziął się do pracy.

Mała ręczna maszyna drukarska w zupełności wystarczała na jego potrzeby. W ciągu kilku dni przygotował wszystkie ulotki, rozłożył maszynę na części i ukrył pod podłogą.

Doszedł do wniosku, że najwyższy czas zacząć działać.

Ta niewielka książka mało znanego rewolucjonisty – właściwie powieść – źle napisana i w wielu miejscach bezsensownie sentymentalna, dla Nikołaja Bobrowa i tysięcy ludzi z jego pokolenia była wielką inspiracją. Nosiła tytuł *Co robić?*

Opowiadała o ludziach wiodących społeczeństwo ku nowej epoce, w której wszyscy mieli być wolni. Opisywała ich cierpienia i poświęcenie. Pokazywała czytelnikowi nową istotę ludzką – na wpół świętego, na wpół herosa, który jedynie dzięki sile moralnej poprowadzi słabszych braci do wspólnego dobra. Próbując naśladować ten mityczny ideał, Nikołaj narzucił sobie ascetyczny reżim i spał na łożku nabijanym ćwiekami. Obraz tych dzielnych ludzi towarzyszył mu, gdy wraz z Popowem przyjechał ze swoją misją do Ruski. Także w wigilię wielkiego dnia powrócił do książki – czytał ją do późna, przygotowując się do czekającego go zadania.

Natalia patrzyła na Bobrowa jak zauroczona. Stał na drewnianym stołku przed domem jej rodziców, wokół siebie miał niewielką grupę słuchaczy.

Popołudniowe słońce padało z boku na jego twarz, przez co broda lśniła mu jak złoty strumień. Boże, jaki on przystojny!

Natalia już od dwóch tygodni pracowała w Rusce – po dziesięć, czasem dwanaście godzin dziennie. Żeby jakoś ulżyć monotonii, robotnice zagłuszały łoskot maszyn śpiewem, jak kiedyś kobiety na polach podczas żniw. Przed powrotem do domu często spotykała się z Grigorijem, który nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji. Ona była jednak tak zmęczona, że czasem było jej wszystko jedno, czy wezmą ślub, czy nie.

Teraz jednak wpatrywała się w Nikołaja Bobrowa. Ale nie z powodu tego, jak wyglądał, tylko tego, co mówił. Ledwo wierzyła własnym uszom.

Nikołaj zaczął kilka minut wcześniej. Nie chciał stanąć na stołku, bo czuł się głupio i niezręcznie, ale Popow go przekonał. Mimo wcześniejszych przygotowań poczuł się tak onieśmielony, że najchętniej oddałby głos przyjacielowi. Jednak Popow miał całkowitą rację, gdy stwierdził: „Jesteś im bliższy niż ja. Miej odwagę”.

Gdy tylko zaczął przemawiać, zebrał się niewielki tłum – mieszkańcy pięciu lub sześciu najbliższych domów. Wkrótce dołączyli do nich inni. Ćwiczył to przemówienie tysiące razy, ale nigdy nie wiedział, jak zacząć, więc teraz, zupełnie nieświadomie, odwołał się do biblijnego zwrotu, który jego zdaniem powinien do nich trafić.

– Przyjaciele, przynoszę wam dobrą nowinę.

Słuchali z uwagą, gdy opisywał ich liczne problemy. Kiedy wspominał o wysokich splatach, rozległ się pomruk aprobaty. Kiedy zaczął mówić o tym, że należy poprawić zbiory i powstrzymać grabież lasów, potakiwali głowami. A kiedy przeprosił za to, że jego rodzina też przyczyniła się do ich nieszczęść, dostrzegł zdziwione spojrzenia i nieśmiałe uśmiechy. Rozległ się ogólny śmiech, gdy czyjś życzliwy głos zapewnił:

– Wybaczymy wam, Nikołaju Michajłowiczu, jeśli pozwolicie nam powiesić ciało swojego dziadka.

Jeszcze głośniejszym śmiechem nagrodzono kolejny okrzyk:

– A jeśli chcecie odzyskać chłopów pańszczyźnianych, paniczu, to weźcie sobie Sawę Suworina.

Gdy Nikołaj spokojnie oświadczył, że powinni przejąć całą ziemię, także tę należącą do jego ojca, odpowiedział mu radosny aplauz.

– Kiedy chce nam ją dać? – spytała jakaś kobieta.

I wtedy Nikołaj doszedł do najbardziej zaskakującego fragmentu swojego wystąpienia.

– Przyjaciele, mój ojciec wam nie pomoże. Ani on, ani żaden inny ziemianin. To pasożyty, zbędny balast minionych czasów. – Od tego momentu jego mowa zaczęła nabierać tempa. – Drodzy przyjaciele! – krzyknął. – Jesteśmy na progu nowej epoki. Nadchodzi wiek wolności. Od was zależy, by ten nowy wiek wreszcie nastał. Ziemia jest własnością ludu. A zatem bierzcie, co wam się słusznie należy! Nie jesteście sami. Powiadam wam, właśnie teraz w całej Rosji mieszkańcy wsi powstają przeciwko swoim prześladowcom. Ta chwila w końcu nadeszła. Chodźcie za mną, przejmijmy majątek Bobrowa. Bierzcie wszystko, niech się stanie wasze.

Miał to za sobą.

Wypadki, do których doszło latem 1874 roku, należały do najdziwniejszych wydarzeń w historii Rosji.

Nikołaj i jego przyjaciel nie byli sami – podobne słowa rozległy się wśród chłopów w całym kraju. Był to ruch społeczny nazywany „wejściem w lud”.

Młodzi propagatorzy tych idei – zarówno kobiety, jak i mężczyźni – byli niemal wyłącznie studentami. Część uczyła się za granicą. Prawie połowa była dziećmi ziemian albo wysokich urzędników, reszta wywodziła się z rodzin kupców, popów albo drobnych urzędników. W swojej działalności kierowali się ideami głoszonymi między innymi przez francuskiego filozofa Fourniera, który twierdził, że wiejska komuna gminna jest najlepszą formą naturalnego socjalizmu. „Zacofanie Rosji może być jej zbawieniem – przekonywali – bo nie jest ona przeżarta złem burżuazyjnego kapitalizmu. Dzięki naturalnemu skomunizowaniu wsi Rosja będzie mogła od razu przejść od feudalizmu do socjalizmu”. I chociaż tylko nieliczni z nich widzieli życie chłopów z bliska, byli przekonani, że gdy będą z nimi pracować i zdobędą ich zaufanie, wystarczy jedno słowo, by wybuchła naturalna rewolucja. „Chłopi się zbuntują, ustanowią nowy, prosty porządek i podzielą się po bratersku całym Imperium Rosyjskim” – głosili.

Nic dziwnego, że Nikołaj przyłączył się do tego ruchu. Wielu jego najbardziej idealistycznych przyjaciół zgłosiło się do pracy na wsi. Co dziwne, początkowo władze nie wiedziały, co się dzieje. Ponad dwa i pół tysiąca studentów wyjechało tego lata na wieś – część do własnych, część do okolicznych majątków. Niektórzy udali się na drugi brzeg Wołgi, a jeszcze inni na dawne kozackie ziemie nad Donem. Ci ostatni przekonywali nawet kozackich chłopów: „Czasy Pugaczowa i Stieńki Razina wracają”. Wszyscy wierzyli, że narodzi się z tego nowy świat.

Nikołaj patrzył na zgromadzone przed nim twarze. A więc zrobił to. Po

wielomiesięcznych przygotowaniach kości zostały rzucone.

Przeszedł trudną drogę, ale czy mogło być inaczej? Zawsze gotów był poświęcić swoje dziedzictwo – nie dbał o nie – ale jego rodzice mieli stracić wszystko. Wiedział, że to ich zniszczy. Kochał ich, mimo przewin. Gdy spacerował z ojcem po wzniesieniu, o mało mu wszystkiego nie wyznał. Ale gdy zobaczył zniszczony las, uznał, że Miszy nie da się ocalić. Nawet lepiej, że zachował wtedy milczenie – ojciec nigdy by go nie zrozumiał. Zresztą, przekonywał sam siebie, niedługo nikt nie będzie miał majątków. Styl życia jego rodziców odchodzi w przeszłość. A po rewolucji, mówił sobie, będę przy nich i pokażę im nowy kierunek.

Stało się. Nie ma już odwrotu. Rewolucja się zaczęła. Ogarnęło go uniesienie. Zarumieniony z podniecenia czekał na reakcję chłopów.

– To jak?! – zawołał. – Pójdziecie za mną?!

Nikt się nie poruszył. Zapadła całkowita cisza. Patrzyli na niego bez słowa. Przekonał ich? Co oni myślą? Nagle zdał sobie sprawę, że nie może tego wiedzieć, dopóki ktoś się nie odezwie.

Wreszcie po długim oczekiwaniu wystąpił do przodu drobny czarnobrody mężczyzna. Patrzył podejrzliwie na Nikołaja. A potem zadał jedno pytanie.

– A więc mówicie, paniczu, że car dał nam resztę ziemi?

Nikołaj spojrzał na niego ze zdziwieniem. Jaki car?

– Nie – odparł szczerze. – Sami macie ją wziąć.

– Aha. – Mężczyzna pokiwał głową, jakby jego podejrzenia się potwierdziły.

– Czyli car nam nic nie dał. – Cofnął się o krok.

Rozległ się pomruk, bardziej znaczący niż słowa. „Ten młodzieniec nie ma pojęcia, o czym mówi”.

Nikołaj poczuł, że blednie. A więc tak wygląda rewolucja, spontaniczne powstanie chłopów? Co poszło źle? Użył niewłaściwych argumentów? Spoglądał na ich twarze, szukając jakiejś wskazówki. Ale oni przyglądali mu się chłodno, jakby ciekawi, co ten dziwny młodzieniec teraz wymyśli. Spojrzał pytająco na Popowa, który wzruszył jedynie ramionami. Minęła pełna zakłopotania minuta, w końcu kilku wieśniaków zaczęło odchodzić.

– Jutro też będę przemawiał – ogłosił Nikołaj i zszedł ze stołka, mając nadzieję, że jego uśmiech nie zdradza niepokoju.

Miał teraz przed sobą może dziesięcioro ludzi, między innymi Romanowów. Nie wiedział, co robić dalej. Wydawało mu się jednak, że jego słowa wywarły wrażenie na Timofiejju, który był zdenerwowany i bardzo chciał coś powiedzieć.

– Dobrze was zrozumiałem, Nikołaju Michajłowiczu – zaczął z zatroskaną miną – że chcecie, by wasz ojciec stracił ziemię?

– Owszem.

– Tak właśnie myślałem. – Pokręcił głową. – Nie pojmuję, co się stało z młodymi ludźmi. Mój własny syn zrobił mi to samo. Dlaczego?

– Nie rozumiesz? Ziemię przejmie wspólnota gminna, starczy wtedy dla każdego. Przecież zawsze tego chciałeś.

– I tak ma być w całej Rosji?



– Zgadza się. I to od dziś.

Timofiej znów pokręcił głową.

– To straszne – powiedział. – Czekają nas rozlew krwi. – A widząc zmieszanie Nikołaja, wziął go pod rękę. – Wiem, że macie dobre intencje, Nikołaju Michajłowiczu. I pewnego dnia, kiedy Bóg tak zechce, dostaniemy naszą ziemię, tak jak mówicie. – Uśmiechnął się. – To będzie zupełnie naturalne. Car zobaczy, czego nam trzeba, i on nam wszystko da. Może to się nawet stanie za mojego życia. A potem powie do mnie: „Timofieju, ziemia jest twoja”. A ja odpowiem: „Dziękuję, Wasza Wysokość”. I tyle. – Spojrzał z powagą na Nikołaja. – Ale musimy być cierpliwi, Nikołaju Michajłowiczu. Taka jest wola boska i tak się toczą sprawy w Rosji. Musimy znosić swoje, musimy być cierpliwi, dopóki car nie uzna, że nadszedł czas. – I zadowolony, że powiedział wszystko, co należy, puścił ramię Nikołaja, poklepując je przyjacielsko.

Nikołaj westchnął. Jeśli jego przemówienie nie oświeciło tego starca, to może chociaż udało mu się przekonać kogoś z młodszego pokolenia. Odwrócił się do Borysa.

– A co ty o tym myślisz?

Borys zastanawiał się przez chwilę. Intencje tego młodego szlachcica wydały mu się bardzo tajemnicze. Przecież tylko szaleniec pracuje z własnej woli na polu, kiedy może wygodnie siedzieć we dworze. Wiedział jednak, jak duży jest majątek Bobrowa, i umiał liczyć.

– Gdybyśmy się podzielili ziemią waszego ojca – zaczął powoli – to mógłbym zatrudnić dwóch albo nawet trzech wyrobników. – Uśmiechnął się. – Czemu nie? Po kilku latach i przy dobrych zbiorach mógłbym się nawet wzbogacić. – Pokiwał głową. – Jeśli tak ma wyglądać rewolucja, Nikołaju Michajłowiczu, to chętnie ją poprę, o ile wy i ten wasz przyjaciel jej dokonacie.

Nikołaj patrzył na niego zdumiony. Naprawdę ten młody człowiek myśli tylko o osobistej korzyści i wyzyskiwaniu innych? Co się stało ze spontaniczną rewolucją?

– Obawiam się, że nie o to mi chodziło – bąknął.

Nikołaj i Popow wracali do dworu zatopieni we własnych myślach. Nikołaj uznał, że zbyt wcześnie spodziewał się efektów. Potrzeba jeszcze paru takich wystąpień, potrzeba czasu – kilku dni, tygodni albo nawet miesięcy, ale w końcu chłopcy zaczną rozumieć. Jutro spróbuje jeszcze raz. A potem pojutrze. Tak, cierpliwość jest najważniejsza.

W końcu to Popow przerwał milczenie.

– Trzeba było powiedzieć, że car daje im ziemię – stwierdził przygnębiony. – Mógłbym nawet sfalszować jakąś proklamację.

– Ale to by się sprzeciwiało wszystkiemu, w co wierzymy – zaproponował Nikołaj.

Popow wzruszył ramionami.

– Ale byłoby skuteczne.

Jednak Nikołaj mylił się, sądząc, że nie udało mu się nikogo przekonać. Byłby zaskoczony, gdyby następnego dnia poznał myśli jednego z członków rodziny Romanowów. Natalia miała zamęt w głowie. Poprzedniego wieczoru nikt nawet nie zapytał jej, co myśli o przemówieniu Nikołaja, a ona była nim głęboko przejęta. A teraz, gdy szła przez wieś, niektóre sformułowania wciąż dźwięczały w jej umyśle: nowa epoka,

koniec wyzysku. Jeszcze do wczoraj wierzyła swojemu ojcu i pokładała ufność w dalekim carze. Tak jak wszyscy. Ale słuchając Nikołaja, miała wrażenie, że świat się przed nią otwiera.

Ależ on był piękny! Gdy słońce oświetliło mu twarz, wyglądał zupełnie jak anioł, pomyślała. Był ubrany jak chłop, ale i tak nie dało się ukryć, że pochodzi z innego świata. Jest człowiekiem wykształconym, więc z pewnością wie to, czego jej biedny ojciec nawet nie rozumie.

Czuła, że to, co powiedział o ziemi, jest prawdą. A ostatnio doświadczyła wyzysku równie dotkliwego jak dawne poddaństwo, którego sprawcą był Suworin i jego fabryki. Właśnie w takich miejscach chłopcy byli naprawdę zniewoleni. Już zdążyła ich znienawidzić, a wrogość Grigorija stała się niemal obsesyjna. Naprawdę nadchodzi ten dzień, kiedy wszyscy będziemy wolni, powtarzała w myślach. A jeśli tak, to czy chłopcy z fabryki też na tym skorzystają? Chętnie spytałaby o to Nikołaja.

Ledwo znalazła się na ścieżce prowadzącej przez las, zobaczyła przed sobą Popowa.

Wybrał się na wczesną przechadzkę. Szedł spokojnym krokiem, na głowie miał kapelusz z szerokim rondem, taki jakie nosili malarze. Uśmiechnął się na jej widok. W innych okolicznościach nie odezwałaby się do niego, bo choć nie miała mu nic do zarzucenia, czuła się w jego obecności onieśmielona, ale zachęcona jego uśmiechem zapytała:

– Ta rewolucja, o której mówił Nikołaj Michajłowicz, czy ona zmieni coś w fabrykach?

Znów się uśmiechnął.

– Oczywiście.

– Jak to się stanie?

– Fabryki zostaną oddane chłopom – odpowiedział szybko Popow.

– Nie będziemy musieli pracować po tyle godzin? I przepędzimy Suworina?

– Właśnie.

– Mam przyjaciela – zaczęła z wahaniem – który chętnie by o tym wszystkim usłyszał. Ale on pracuje teraz w fabryce.

Popow spojrzał na nią z zaciekawionym.

– Będę po południu w Rusce – powiedział. – Może twój przyjaciel zechce ze mną porozmawiać. – A widząc na jej twarzy cień niepokoju, dorzucił: – Znam jedno ustronne miejsce.

Nikołaj nie poszedł tego dnia do pracy, dopiero wczesnym wieczorem pojawił się w wiosce. Kiedy wspiął się na stołek przed domem Romanowów, zauważył, że tłum jest dziś większy. Ucieszyło go to. Tak naprawdę uważał, że jest za wcześnie na ponowne wystąpienie. Chciał to odwlec o parę dni, ale Popow, który z jakiegoś powodu musiał pójść do Ruski, bardzo go namawiał: „Odwagi, przyjacielu. Mieli czas, żeby przemyśleć twoje wczorajsze słowa. Zyskasz więcej zwolenników, niż ci się wydaje. Do dzieła, Nikołaju!”.

Tłum był liczniejszy i bardziej podekscytowany. Przyszło paru najstarszych mieszkańców, z tyłu przystanął sołtys.

Nikołajowi nawet nie przeszło przez myśl, że wieśniacy mogliby go wydać władzom. Tymczasem kilku mężczyzn chciało przyprowadzić z Ruski policjanta, ale sołtys, pamiętając, że chodzi o syna właściciela majątku, odmówił. „Najpierw posłucham, co on ma do powiedzenia, a potem podejmę stosowne działania” – stwierdził. Rzeczywiście wsłuchiwał się z uwagą w słowa Nikołaja.

– Przyjaciele, ponownie staję przed wami z dobrą nowiną. Staję przed wami, bo świta nam nowa epoka. Oto dziś, w całej Rosji, dzieją się wielkie rzeczy. I nie mówię tu o kilku protestach. Ani o stu buntach. Nie mówię nawet o wielkim powstaniu, jakiego jeszcze nigdy nie widziano. Mówię o czymś radośniejszym i większym: o rewolucji.

Tłum westchnął wyczekująco. Nikołaj dostrzegł, że sołtys poruszył się nerwowo. Nie zauważył jednak, że Arina pospiesznym krokiem opuściła zgromadzenie.

Jewgienij Popow patrzył spokojnie na wzburzonego Piotra Suworina. Doprawdy, mimo ogromnego nosa ten człowiek ma miłą, wrażliwą twarz. Dziwne, że ponury Sawa Suworin doczekał się wnuka z duszą poety.

Bo tekst, który Piotr pokazał Popowowi, był nieomal poematem. Z czego oczywiście biedny autor nie zdawał sobie sprawy. Uważał, że napisał wezwanie do rewolucji.

Relacja obu mężczyzn była nieco dziwna. Dość szybko Popow stał się mentorem Suworina. Od razu zauważył jego głęboką niechęć do fabryki, poczucie winy wobec robotników, tęsknotę za lepszym światem. Podsunął mu egzemplarz *Co robić?*, a potem długo rozmawiał z nim o odpowiedzialności za przyszłość. A niedawno dał do zrozumienia, że należy do większej organizacji mającej swój Komitet Centralny, co bardzo Piotra zaintrygowało. Rzucał też aluzje na temat przyszłych działań i niejasno wspominał o istnieniu maszyny drukarskiej. A przede wszystkim uzyskał nad Piotrem władzę za pomocą prostej metody udzielania pochwał albo ich skąpienia. To zadziwiające, jak ludzie potrzebują uznania. Ale choć dziedzic wielkich przedsiębiorstw Suworina stanowił cenny łup – potencjalnie o wiele cenniejszy niż Nikołaj Bobrow – to jednocześnie był tak zagubiony i tak idealistycznie nastawiony do świata, że Popow musiał dojść do jedyne wniosku: „Mogę z nim zrobić, co zechcę, ale nie bardzo wiem, jak go wykorzystać”.

Dzieło, które Piotr przyniósł właśnie Popowowi, wiele kartek zapisanych nerwowym pismem, było pełną pasji kwintesencją jego przemyśleń. Domagał się w nim sprawiedliwości społecznej, umieścił religijną wręcz inwokację o wolności człowieka, opisał z rozpaczą wyzysk, który zobaczył w Rusce – wyzysk nie tyle ciała, ile ducha. A zakończył wezwaniem do rewolucji. Łagodnej rewolucji.

Spisanie tego wszystkiego zajęło mu wiele godzin i teraz czekał ze zmarszczonym czołem na werdykt swojego mentora.

– Więc uważasz – zaczął Popow – że lud może przejąć władzę pokojowo, bez rozlewu krwi? Że jego wyzyskiwacze po prostu poddadzą się bez walki?

– Tak właśnie myślę.

– To będzie czymś w rodzaju pielgrzymki – zauważył Popow.

– Ależ oczywiście! – Twarz Piotra się rozjaśniła. – Nie myślałem o tym w ten sposób.

Popow spojrzał na niego z namysłem. Nie wiedział jeszcze, jak go wykorzysta, ale coś mu przyszło do głowy.

– Zatrzymam twój artykuł. Może się okazać ważny – powiedział. – Przekażę go do Komitetu Centralnego. A ty tymczasem bądź gotów.

Piotr Suworin zarumienił się z zadowolenia. Popow włożył kartki do kieszeni i odszedł. Niedługo miał się spotkać z Natalią i jej przyjacielem. Zastanawiał się, czego może się po nich spodziewać.

Gdy Misza Bobrow przybył do wioski, był aż czerwony na twarzy. Arina nalegała, żeby nie brał powozu, więc całą drogę niemal biegli. Gdyby nie znał jej od dzieciństwa, nie uwierzyłby ani trochę. A teraz, słysząc ostatnie słowa przemówienia Nikołajaja, zbladł jak ściana. Przeróżające słowa, które padły z ust jego własnego syna.

– Powstańcie! Zajmijcie ziemię Bobrowa i inne majątki. Bo to jest właśnie rewolucja, przyjaciele!

A więc Arina mówiła prawdę. Mimo to wciąż nie dowierzał. Jego syn okazał się zdrajcą. Zamierza doprowadzić do ruiny nawet własną matkę. Zaledwie tyle dla niego znaczymy? Przez dłuższą chwilę Misza Bobrow nie mógł myśleć o niczym innym. Poczł, że Arina ciągnie go za rękaw.

– Spójrzcie.

Zauważył, że wieśniacy nagle umilkli i że spoglądają nie na Nikołajaja, ale na sołtysa, który szedł w jego kierunku w towarzystwie dwóch starców.

– Zabiorą go na policję – szepnęła Arina. – Aresztują go. Musicie coś zrobić, panie. Zrozumiał, że Arina ma rację.

Misza Bobrow rzadko znajdował się w sytuacjach wymagających szybkiego działania. Ale teraz musiał coś wymyślić, i to natychmiast.

– Nikołaju! – zawołał. Zaskoczeni słuchacze odwrócili się w jego kierunku. – Mój nieszczęsny synu! – Przedzierał się przez tłum, a Arina za nim.

Kiedy chciał, umiał wyglądać władczo. Tłum rozstępował się na boki, robiąc mu przejście. Nawet sołtys i jego towarzysze się zawahali, gdy Misza podszedł do zdumionego syna.

– Dlaczego nikt mi wcześniej o tym nie powiedział?! – zagrzmiał ze złością, zwracając się do wieśniaków. A potem stanowczo skinął głową na sołtysa. – Szybko, pomóż mi go znieść. Biedny chłopak.

Nikołaj był tak zaskoczony, że zanim się zorientował, mężczyźni postawili go na ziemi. A jego zdziwienie nie miało granic, gdy ojciec z żalnym uśmiechem wszedł na stołek i oświadczył:

– Drodzy przyjaciele, to wszystko moja wina. Powiniennem był was uprzedzić. – Sprawiał wrażenie zawstydzonego. – Mój biedny syn cierpi na zaburzenia nerwowe. Moskiewscy lekarze zalecili mu wiejskie powietrze i dużo wysiłku fizycznego. To dlatego pracował w polu. – Ze smutkiem pokręcił głową. – Najwyraźniej ta terapia nie zadziałała, bo znów ma atak urojeń. – Podniósł ręce, a potem bezsilnie opuścił. – To nasza rodzinna tragedia. Możemy się jedynie modlić o jego wyzdrowienie. Czy twoi ludzie mogliby mi pomóc zanieść go do domu? – zwrócił się grzecznie do sołtysa.

Na chwilę zapadła cisza. Uwierzyli?

– Mieliśmy zamiar go aresztować – powiedział sołtys z wahaniem.

– Mój dobry człowieku – odparł ostro Misza. – On potrzebuje lekarza, a nie policjanta.

Sołtys wciąż się wahał. Tłum był najwyraźniej zdezorientowany. I wtedy zza pleców Miszy rozległ się chichot kochanej Ariny.

– Miał takie napady, gdy był jeszcze dzieckiem. Myślałam, że z nich wyrósł.

Dzięki Bogu, że pojęła jego intencje.

Przez tłum przeszedł pomruk. Teraz wszystko było jasne. Nic dziwnego, że młody człowiek tak dziwnie się zachowywał. Tu i tam ktoś parsknął śmiechem.

Ale sołtys nie dał się zbić z tropu. Stał koło Miszy.

– Będę musiał złożyć meldunek na policji, panie – powiedział cicho.

Misza spojrział na niego.

– To nie będzie konieczne – odparł ze spokojem. – Chłopak potrzebuje odpoczynku. Jest zupełnie nieszkodliwy i nie należy go denerwować. – Popatrzył przeciągle na sołtysa. – Przyjdźcie do mnie rano, wtedy wszystko omówimy.

Sołtys skinął głową. Obaj wiedzieli, że pewna suma pieniędzy przejdzie z rąk do rąk. Chwilę później jego ludzie pomagali już Bobrowowi i Timofiejowi prowadzić Nikołaja do dworu.

Poddał się im bez słowa. Bo też co miałby zrobić? Poprzedniego dnia obojętność chłopów nim wstrząsnęła, ale gdy się przekonał, że chciano go aresztować... Aż trudno mu było w to uwierzyć. A teraz, myślał z rozpaczą, wzięli mnie za szaleńca. Zwiesił głowę. Może jestem szalony. Nie zdawał sobie sprawy, w jak wielkim napięciu żył przez ostatnie dni. Nagle poczuł się dziwnie wyczerpany, niezdolny do jakiegokolwiek działania. W milczeniu wchodzili na wzgórze.

Byli już w połowie drogi do dworu, gdy Timofiejowi zaświtała pewna myśl.

– A ten drugi młodzieniec, panie, ten, który przyjechał z waszym synem? – zwrócił się do Miszy. – Ten milczący. Pewnie jest doktorem?

Bobrow uśmiechnął się posępnie.

– W pewnym sensie – mruknął – można go tak nazwać.

Godzinę później, gdy znaleźli się we dworze sami, Misza Bobrow aż kipiał ze złości.

Obaj młodzieńcy stali przed nim. I nawet nie uważali, że należą mu się od nich przeprosiny.

– Jesteś tak samo winny jak on, mój panie – zwrócił się do Popowa. – Bez względu na wasze przekonania nadużyliście mojej gościnności. – A ty – te słowa kierował do Nikołaja – podburzałeś chłopów przeciwko nam, swoim własnym rodzicom. Nie masz mi nic do powiedzenia?

Nikołaj był blady i zmęczony. Twarz Popowa nie zdradzała żadnych myśli; ten bezczelny młody człowiek sprawiał nawet wrażenie lekko znudzonego.

– Obaj mnie okłamaliście – ciągnął Misza z furją. – Te wasze opowiadki o zbieraniu ludowych bajek! I wy macie czelność mówić mi, co to moralność? – Jego oczy rzucały groźne błyski. – Słucham, co macie mi do powiedzenia?

Ale zupełnie nie spodziewał się odpowiedzi, która miała za chwilę paść.

Bo Popow wybuchnął śmiechem – ironicznym i pogardliwym.

– Biedny Michaile Aleksiejewiczu – powiedział spokojnym, grobowym głosem.  
– Ależ z pana głupiec. – Westchnął. – Wszyscy liberałowie są tacy sami. Gadacie o wolności i reformach. Wychwalacie te swoje śmieszne ziemstwa. A to wszystko jest jednym wielkim kłamstwem, zgniłym kompromisem, który ma wam zapewnić władzę i bogactwo! Ale my was przejrzelśmy. Wiemy, kim jesteście. Jesteście gorsi niż ten despota, bo deprawujecie lud, każąc mu myśleć, że czeka go jakaś przyszłość. Ale zobaczycie, wasz koniec nadejdzie i nic nie będziecie mogli na to poradzić. Marsz historii jest nieunikniony. Więc nie macie się czym denerwować.

Przez chwilę Misza miał wrażenie, że uderzy Popowa w twarz, ale się opanował. Chciał przynajmniej poznać dogłębnie poglądy człowieka, który miał taki wpływ na jego syna.

– Tak naprawdę przyjechaliście tu po to, żeby wzniecić rewolucję, która rozpocznie nową epokę, ten wasz raj na ziemi, tyle że bez Boga. Dobrze zrozumiałem?

– Owszem.

– Dla dobra chłopów rewolucja zniszczy wszystko, cara i ziemiaństwo, tak?

– Dla dobra wspólnego.

– Każecie chłopom zabijać ziemian?

– Jeśli będzie to konieczne.

– Ale chłopci wcale nie chcą was słuchać. O mało nie aresztowali Nikołaja. I co ty na to?

– Chłopi nie są jeszcze świadomi politycznie. Nie rozumieją, czym jest dobro wspólne.

– Jest nowym światem powszechnej równości?

– Tak. A chłopów należy wyedukować.

– I wy to zrobicie?

– Ludzie nowego typu.

– Bo oni rozumieją, co jest dla chłopów dobre. A żeby ten cel osiągnąć, oczywiście dla wspólnego dobra, ci ludzie nowego typu sięgną po wszelkie dostępne środki, tak?

– To możliwe. Dlaczegoż by nie?

– To oznacza, że ludzie nowego typu są lepsi niż my wszyscy. Nie podlegają zwykłemu prawom, bo realizują wyższą misję i mają szersze horyzonty. Jesteście jakimiś nadludźmi?

Popow uśmiechnął się lekko.

– To możliwe.

Misza pokiwał głową. Teraz wszystko zrozumiał.

– Jutro opuścisz mój dom – powiedział szorstko. – O świcie. A ty – zwrócił się do Nikołaja – na razie tu zostaniesz. Jedyne twoja choroba chroni cię przed policją. Jasne?

Ale jeśli Misza Bobrow uznał, że to kończy sprawę, to nie docenił Jewgienija Popowa. Bo oto rudowłosy student odezwał się z całkowitym spokojem.

– Właściwie ja też tu zostanę na jakiś czas.

Misza osłupiał. Co za impertynencja!

– Zrobisz, co mówię. Wyjedziesz o świcie – warknął.

Popow patrzył na niego niewzruszenie.

– W żadnym razie. – A widząc, że Misza czerwienieje, ciągnął: – Michaiłe Aleksiejewiczu, zważcie na swoje położenie. To wasz syn podburzał chłopów do rewolucji, nie ja. W oczach władz to Nikołaj jest przestępcą. Wasza sytuacja nie wygląda najlepiej. A mnie nie obchodzi, co władza może mi zrobić. Jeśli jednak poczuję się zmuszony, mogę bardzo zaszkodzić wam i waszemu synowi. Gdy zatem mówię, że chcę tu jeszcze zostać, powinniście się zgodzić dla własnego dobra. – Co powiedziawszy, niesympatycznie się uśmiechnął.

Misza oniemiał. Spoglądał to na jednego, to na drugiego młodzieńca.

– I ty nazywasz tego człowieka przyjacielem? – zapytał z obrzydzeniem Nikołaja. A potem zwrócił się ze złością do Popowa: – Naprawdę myślisz, że ci to ujdzie na sucho?

– Owszem.

Misza zamilkł. Ten młody awanturnik rzeczywiście może sprowadzić na Nikołaja nieszczęście. Mój Boże, powinienem był zebrać o nim więcej informacji. Ale a nuż coś znajdę. Nie chciał okazać słabości przed tym odrażającym intruzem, postanowił jednak być ostrożny.

– Możesz mi się jeszcze przydać – oznajmił. – Zgoda, zostaniesz tu na jakiś czas, ale pod pewnymi warunkami. Powstrzymasz się od wszelkiej działalności politycznej, a ludziom będziesz mówił, że Nikołaj jest chory. Jeśli jednak zaczniesz sprawiać kłopoty albo dasz do zrozumienia, że Nikołaj był z tobą w zмовie, to przekonasz się, że mam większe wpływy u władz, niż ci się wydaje. Zrozumiano?

– To mi nawet pasuje – oświadczył Popow obojętnie i wyszedł z pokoju.

Pół godziny później Nikołaj wszedł do sypialni Jewgienija. Zauważył, że przyjaciel jest spokojny, ale głęboko się nad czymś zastanawia.

– Ta groźba, że wydasz mnie policji, była bardzo sprytnym posunięciem – oznajmił. – Ojciec nie wiedział, co ma zrobić z oczami. – Jego podziw dla przyjaciela wzrósł jeszcze bardziej.

– Owszem, to było bardzo sprytnie.

– Ale co ja mam teraz robić? – spytał Nikołaj z niecierpliwością. – Nie mogę się poddać. Jak myślisz, może powinienem się udać do innej wioski i spróbować z tamtejszymi chłopami?

Był mocno zawiedziony, gdy Popow pokręcił głową.

– Uważam, że na razie powinieneś zostać w domu, tak jak każe ci ojciec – powiedział Jewgienij. – A gdy Nikołaj chciał zaprotestować, uciszył go. – Prawda jest taka, przyjacielu, że mam w Rusce pewne sprawy do załatwienia. A twój pobyt we dworze da mi dogodne wytłumaczenie.

– Skoro uważasz, że to konieczne – zgodził się niechętnie Nikołaj, a potem spojrzał zaciekawiony na Popowa. – Co zamierzasz?

Popow nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

– Twój ojciec ma jednak rację – powiedział w końcu.

– W czym?

– Chłopi za nami nie pójda.

– Może za jakiś czas.

– Boże, jak ja nimi gardzę – mruknął Popow.

Nikołaj nie wiedział, co o tym myśleć.

Minęły dwa tygodnie od dnia, w którym Nikołaj próbował wzniecić rewolucję. Życie w Bobrowie płynęło spokojnie.

Nikołaj Bobrow nie pokazywał się nikomu na oczy. Wiadomo było, że ciągle jest we dworze. Chłopi mówili, że czasem spaceruje po lesie za domem, ale głównie siedział w domu i czytał.

Za to Popowa widywano często, jak chodzi po okolicy z notesem i szkicownikiem. Wyglądał jak malarz, tym bardziej że natrafił w domu na stary kapelusze z szerokim rondem, należący kiedyś do Ilji. Wieśniacy widzieli, jak idzie przez mostek i ze ścieżki po drugiej stronie rysuje wieś. Albo wędruje do Ruski, gdzie szkicuje klasztor lub miasteczko. Gdy ktoś go pytał o Nikołaja, potrzasał ze smutkiem głową, mówiąc:

– Biedak. Musimy mieć nadzieję, że zdrowie wkrótce mu wróci.

W całej wsi jedynie Arina nie dała się zwieść. Nic nie mówiła, ale wiedziała, że Nikołaj nie jest chory. I ciągle dręczyła ją myśl, co knuje ten podły Popow. Kilka razy zwierzała się córce:

– Obawiam się, że spadnie na nas jakaś bieda. – A pytana, co by to miało znaczyć, jedynie kręciła głową. – Tego właśnie nie wiem.

Może nieszczęścia, które nękały jej rodzinę, napełniły ją złymi przeczuciami. Widziała, że po wyprowadzce Borysa Timofiej jest przybity. Chodził blady, zatopiony we własnych myślach, jakby go coś bolało. Pieniądze zarabiane przez Natalię bardzo się teraz przydawały, ale Arina patrzyła na dziewczynę z niepokojem. Ona mi się nie podoba, myślała często, ucieknij z domu albo zróbcie jakieś głupstwo. Cięża Warii też przydawała jej trosk. Córka zbladła i zmizerniała. Gdy któregoś dnia wybrały się do lasu na grzyby i Waria przewróciła się o korzeń, leżała na ziemi przez dłuższą chwilę, pojękując:

– Mamo, to dziecko mnie zabije.

Dlatego Arina była coraz bardziej przekonana, że dziecka trzeba się pozbyć. Wraz z wiekiem człowiek robi się twardszy, myślała. Wie, jak świat wygląda. A utwierdziła ją w tym postanowieniu rozmowa, jaką pewnego popołudnia przeprowadziła ze swoją rodziną Natalia.

Natalia była dumna z siebie, gdy im to obwieściła.

Właściwie miała ku temu powód: jej zaloty do Grigorija zakończyły się sukcesem.

Choć do samego końca musiała się bardzo starać. Największym wyzwaniem było jego niezdecydowanie i nieśmiałość. Przełamywanie ich stało się dla niej grą, która – mimo że Natalia nie zdawała sobie z tego sprawy – szybko zamieniła się w obsesję. Po pierwszym pocałunku sprawy postępowały bardzo powoli, dziewczyna musiała cierpliwie pielęgnować uczucie i zaufanie, które opornie wyrastały na jałowej glebie surowego życia Grigorija. Z jaką ekscytacją obejmowała jego drobne, kościste ciało, czując, jak powoli budzi się do życia. Co zrodziło się z jej usilnych starań? Miłość? Czułość? Wcześniej ich nie doświadczała, więc była pewna, że tak właśnie jest. Ale przede wszystkim dawało jej to cudowne poczucie, że nareszcie posiada kogoś na własność. On jest mój, myślała. A ponieważ na końcu tej drogi widziała jedynie ślub, wydawało jej się, że gdy już do niego dojdzie, to okaże się on rozwiązaniem dla jej wszystkich kłopotów.



A Grigorij powoli ulegał. Pieszczoty budziły w nim nieznanne wcześniej podniecenie. Nabierając pewności siebie, zaczynał pragnąć Natalii, chciał poznać jej ciało do końca i posiąść ją. Ona jednak nie zamierzała mu pozwolić na więcej, zatem uznał, że jeśli chce wkroczyć do tego cudownego świata, który się przed nim otwierał, muszą wziąć ślub.

Dobrze, zrobię to i będę ją miał, stwierdził. Pobierzemy się.

A co potem? Będzie mógł się obok niej położyć. Jej ciało będzie należało do niego. Już sama ta myśl była tak ekscytująca, że wybuchnął śmiechem. Co się jeszcze wydarzy? Nie wiedział, z wyjątkiem jednej rzeczy. Jak tylko weźmiemy ślub, wyobrażał sobie, uderzę ją w twarz, a potem spuszczę jej porządne lanie. Zostanę panem we własnym domu. Jego zdaniem tak właśnie wyglądało małżeństwo.

I oto tego słonecznego popołudnia Natalia obwieściła rodzinie radosną wiadomość. Gdy Grigorij się jej oświadczył, miała poczucie, że wreszcie czegoś dokonała. Niemal zapomniała, że rodzina wcale nie będzie z tego zadowolona. Dlatego była zaskoczona, gdy ojciec, zamiast się uśmiechnąć, zbladł i ryknął:

– Po moim trupie!

– Ale dlaczego? – wyjąkała.

– Dlaczego? Bo jest fabrycznym wyrobnikiem bez grosza przy duszy, dlatego! Nie ma ani kawałka ziemi. Nie ma konia. Cały jego majątek to łachy na grzbiecie! Co za czort cię napadł, że mnie prosisz, bym się zgodził na takiego zięcia? – Walnął pięścią w stół. A potem zwrócił się do żony. – Najpierw okazuje się, że jesteś w ciąży, potem syn nas zostawia, a teraz to. I co ja mam, do diabła, zrobić? – Ukrył twarz w dłoniach.

Natalia spojrzała na matkę. Ona też była blada. Kręciła bezradnie głową.

– Ale on by nam pomógł – próbowała wytłumaczyć swoją decyzję Natalia. – Gdyby z nami zamieszkał, mielibyśmy także jego zarobki.

Zapadło milczenie, przerwane w końcu westchnieniem ojca.

– Jasne, a potem zrobicie sobie jakiegoś bachora, i co my z tego będziemy mieli?

– Przecież mogłabyś sobie znaleźć we wsi innego – odezwała się Waria. – I powinniście mieć własny dom, Natalio. Szybko się o tym przekonasz.

– Nie wolno ci się z nim więcej spotykać – przerwał Timofiej. – Powiniennem cię zabrać z tej fabryki, tylko że... – Podniósł bezradnie ręce. Tylko że nie było go na to stać.

I tu leżał pies pogrzebany, o czym zresztą wiedzieli wszyscy. Ale Natalia, czując się dotknięta, postanowiła rzucić im prawdę w oczy.

– Nie chcecie, żebym w ogóle wyszła za mąż – zaczęła cicho – bo mam się dokładać do gospodarstwa. Gadacie o jakimś kawalerze z ziemią, ale nie macie dla mnie posagu, więc kto mnie zechce? Chłopcy ze wsi mają w czym wybierać. Ale ja wyjdę za mąż, czy wam się to podoba, czy nie. I nic lepszego niż Grigorij wam się nie trafi. – Było to upokarzające, ale szczere.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi.

– Masz tylko piętnaście lat. A ja nie wyrażam zgody! – krzyknął za nią Timofiej. – Zabraniam ci się z nim spotykać.

Wyszła na drogę, a wkrótce minęła wieś. Dopiero gdy znalazła się nad rzeką, zaczęła płakać.

Timofiej oparł twarz na dłoniach, Waria ze smutkiem kręciła głową, a Arina, która nie odezwała się ani słowem, zamyśliła się ponuro. Teraz już była pewna. Dla tego dziecka nie ma u nich miejsca.

Popow, nienagabywany przez nikogo, zajmował się swoimi sprawami. Jakże to było proste! W kapeluszu i ze szkicownikiem w ręce, rzucając od czasu do czasu uwagi na temat przypadłości Nikołaja, nie wzbudzał niczyich podejrzeń. Swobodnie kręcił się po rynku w Rusce i rysował. Nawet Sawa Suworin, widząc go niedaleko przedzalni, jedynie spojrzał ponuro. Co dla Popowa było szczególnie ważne, bo zaczął czynić w swojej pracy poważne postępy.

Bez wątpienia Grigorij był cenną zdobyczą. Kto by pomyślał, że przypadkowe spotkanie podsunie mi taki skarb! – cieszył się Popow. Chłopak był inteligentny i bystry, a przede wszystkim zgorzkniały. I kierował się rozsądkiem. Nie działał impulsywnie jak Nikołaj Bobrow albo Piotr Suworin. Ale każdy, kto znał jego szczere zdanie na temat Sawy Suworina i fabryk, wiedział jedno: w razie konieczności gotów byłby zabić. Popow uznał, że Grigorija czeka wielka przyszłość.

Dziewczyna też się dobrze zapowiadała. Nie miała w sobie tej zajadłości co chłopak, ale była zbuntowana i wiedziała swoje. Nienawidziła starego porządku. I najwyraźniej desperacko chciała poślubić Grigorija. Będzie z nich niezła para, stwierdził Popow. Już sobie wyobrażał ich długą współpracę.

Na razie jednak, dopóki się nie upewni, że może im w pełni zaufać, postanowił zachowywać ostrożność. Choć było jasne, że Grigorij z radością podpaliłby fabryki Suworina i poderznął mu gardło, gdyby uznał, że ujdzie mu to bezkarnie. Popow rozmawiał z nimi o różnych sprawach. Wspominał o nowym porządku, rzucał niejasne aluzje na temat powiązań Nikołaja Bobrowa z tajemniczym Komitetem Centralnym, a także zwierzył się, że sam jest dopiero początkującym adeptem wielkiej sprawy.

– Bobrow niewiele mi o tym powiedział, a teraz, niestety, popadł w chorobę – tłumaczył.

I w ciągu mijających tygodni dowiedział się o nich więcej, niż oni wiedzieli o nim.

Następnego dnia po kłótni Natalii z rodziną spotkali się w magazynie, w którym Popow ukrył maszynę drukarską.

– Mam dla was wiadomość od Bobrowa – powiedział, jakby zdradzał im jakąś tajemnicę. – Zrobiliście na nim wielkie wrażenie, więc postanowił powierzyć wam misję. – Zawiesił głos, a widząc ich zaciekawienie, ciągnął przyciszonym tonem: – W Rusce jest jeszcze ktoś, kto ma kontakty z Komitetem Centralnym. Jutro dostaniecie od niego trochę ulotek, które będziecie musieli rozdać zaufanym osobom w fabryce i we wsi. – Spojrzał na nich badawczo. – Ale jest bardzo ważna rzecz. Nie wolno wam z tą osobą rozmawiać i nie wolno nikomu zdradzić jej tożsamości. – Twarz mu spochmurniała. – Komitet wie, jak się postępuje ze zdrajcami.

Zauważył ich poruszenie.

– Bez obaw. Zrobimy, co trzeba – zapewnił Grigorij z uśmiechem.

Następnego dnia Piotr Suworin udał się w odosobnione miejsce w pobliżu męskiego dormitorium. Grigorij i Natalia już na niego czekali. Dał im pakunek zawinięty w biały papier.

Piotr postępował dokładnie według instrukcji. Nie miał pojęcia, co jest w paczce. Nie odezwał się ani słowem do zaskoczonej pary, oni zresztą do niego też. Ale pożegnawszy się z nimi, poczuł wielką radość.

Nic dziwnego. Czyż Popow nie powiedział mu, że Grigorij utrzymuje kontakty z Komitetem Centralnym? A ci młodzi ludzie, którzy mieli powody, by go nienawidzić i nim pogardzać, byli teraz jego towarzyszami. Uznali go za swojego. W końcu uwolnił się od strasznego dziedzictwa. Uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu tygodni.

Borys patrzył na siostrę z miłością wymieszaną z poczuciem winy. Gdy znaleźli sobie ciche miejsce nad rzeką, gdzie nikt im nie przeszkadzał, uświadomił sobie, że od bardzo dawna nie rozmawiali sam na sam.

To była jego wina? Nie chcieli z żoną zabrać jej ze sobą do nowego domu, ale też nie zamierzali zostawić na pastwę losu. Tyle że w ciągu ostatnich tygodni miał mnóstwo roboty. A ona musiała się czuć bardzo samotna. To dlatego zaczęła się uganiać za tym Grigorijem?

Słuchał uważnie, jak siostra otwiera przed nim serce.

– Niczego mi nie zabronią – zarzekła się. – Wyjdę za mąż i już. – Posmutniał jednak, gdy dodała: – Grigorij może im się nie podobać, ale kiedy zajdę w ciążę, nie będą mieli wyboru.

– Kochasz go? – spytał Borys.

– Oczywiście.

Nie odezwał się, choć nie był co do tego przekonany.

Gdyby tylko mieli więcej pieniędzy, siostra nie musiałaby pracować w fabryce i mogłaby poślubić kogoś ze wsi. A kto jest temu winien? On sam, bo wyprowadził się z domu. Jeśli to wcześniej zrozumiał, może postąpiłby inaczej. Tak, to wszystko przez niego. A największym problemem są pieniądze. Lecz co miałyby teraz zrobić? Na pewno coś wymyślę, przyrzekł sobie w duchu.

Objął ją ramieniem.

– Nie postępuj pochopnie, dopóki nie będziesz pewna – powiedział.

Siedzieli tak przez dłuższy czas, ciesząc się swoją bliskością i ciszą panującą nad rzeką.

Borys zdziwił się nieco, gdy po kilkunastu minutach Natalia nagle wyjęła z kieszeni ulotkę.

– Przeczytaj to sobie – powiedziała z lekkim uśmiechem.

Był to niezwykle tekst, zwięzły i celny. Językiem używanym przez Nikołaja Bobrowa zachęcał chłopów, by byli gotowi na dzień, gdy rewolucja poprowadzi ich ku nowemu światu. Ulotka była wymierzona przeciwko właścicielom ziemskim, ale z równą zjadliwością mówiła o nowej klasie wyzyskiwaczy, o fabrykantach takich jak Suworin, którzy „wykorzystują was gorzej niż zwierzęta”. I tych właśnie ludzi, głosił tekst, należy się pozbyć. „Organizujcie się. Bądźcie gotowi”. Krótka odezwa była przekonująca, ale Borys posmutniał.

– Skąd to masz? – spytał.

– Nieważne.

– Ale to jest niebezpieczne.

– Myślałam, że popierasz rewolucję. Powiedziałeś to Nikołajowi Bobrowowi.  
– Chcę więcej ziemi. Ale to... – Pokręcił głową. – To zupełnie inna kwestia. Trzymaj się od tego z daleka. Jeszcze się wpakujesz w tarapaty. Nikołaj Bobrow ci to dał?  
– zapytał.

Natalia jedynie wzruszyła ramionami.

– Nie.

– To kto?

– Nigdy byś nie zgadł.

– Obiecuj, że dasz sobie z tym spokój.

– Niczego nie obiecuję. Ale nikomu o tym nie wspominaj. Nikomu. Nie mów, że ci to pokazałam.

– Tego możesz być pewna. – Nagle przyszła mu do głowy inna myśl. – Grigorij też jest w to zamieszany? To on cię w to wciągnął?

– Może tak, a może nie. Może to ja go wciągnęłam.

Oddał jej ulotkę.

– Nigdy tego nie widziałem. Jeśli masz ich więcej, spal je. – Wstał.

To wszystko jego wina. Jego wina, że siostra musiała pójść do fabryki, że postanowiła poślubić Grigorija, że pakuje się teraz w wielkie niebezpieczeństwo. Wiedział, że musi coś z tym zrobić, ale czuł się bezradny.

Sawa Suworin był człowiekiem skrupulatnym. Gdy każdego dnia obchodził swoje zakłady, nic nie umknęło jego bystremu spojrzeniu. Szczycił się, że nie musi korzystać z donosicieli. Owszem, nadzorca informował go o wszystkim. „Boi się, że i tak bym się dowiedział” – mawiał. Z tego samego powodu miał pełną wiedzę o tym, co się dzieje w Bobrowie.

Sawa był w dobrym nastroju. Jeszcze dwa tygodnie temu martwił się o wnuka. Chłopak zrobił się taki ponury i markotny, że oboje z żoną obawiali się o jego zdrowie. Ale z jakiegoś powodu ostatnio twarz mu się wypogodziła, jakby odzyskał ochotę do życia. „Moim zdaniem – oświadczyła Maria – przywykł wreszcie do nas. Potrzebował czasu po życiu w wielkim mieście”. I Sawa patrzył w przyszłość z optymizmem.

Pewnego ranka, zaledwie trzy dni po tym, jak w Piotrze zaszła zmiana, zauważył, że Grigorij przekazuje jednemu z robotników jakąś kartkę. Początkowo nie przywiązywał do tego wagi. Nawet kiedy zobaczył, że robotnik wsuwa kartkę pod maszynę, nie sądził, że to coś ważnego. Jedynie zwykła ciekawość kazała mu wieczorem wyciągnąć kartkę laską. I tak znalazł ulotkę Popowa.

Ogarnęła go taka wściekłość, że złamał laskę na kolanie. Przez chwilę chciał od razu przesłuchać Grigorija i nauczyć go rozumu. Ale po tylu latach najcięższych doświadczeń wiedział, że nie należy działać pochopnie. I to była jego największa siła. Skąd Grigorij ma tę ulotkę? – zastanawiał się. Czy to możliwe, że ten młody zubożały chłop na własną rękę podżega do buntu?

Po namyśle schował ulotkę do kieszeni.

Kilka godzin później Timofiej Romanow stał na skraju pola jęczmienia, patrząc ze zdumieniem na syna.

– Chcesz powiedzieć, że pójdziesz do Bobrowa po pieniądze? – spytał. – Że

wystarczy tego na posag dla Natalii?

– I na spłatę waszych długów.

– A co miałoby go do tego skłonić?

– Powiedzmy, że zrobi to dla was z przyjaźni. Przecież w dzieciństwie bawiliście się razem. Nieraz już wam pomagał.

– On też nie ma pieniędzy – zaprotestował Timofiej. – Ja go nie poproszę, zresztą on i tak z pewnością odmówi.

– A może nie odmówi.

– Dlaczegoż to?

– Bo ma słaby punkt. Pamiętasz, jak o mało nie aresztowali Nikołaja?

– Ale on jest chory.

– Tak mówią. Tyle że mu nic nie dolega. Tak naprawdę przygotowują rewolucję. Jestem tego pewien.

– Skąd to wiesz?

– Tak mi się wydaje. Ale jeśli mam rację, jeśli choroba Nikołaja jest udawana, a Bobrow stwierdzi, że my o tym wiemy, to będzie wolał nam pomóc. Rozumiesz?

– Chcesz go zaszantażować?

Borys uśmiechnął się szeroko.

– Coś w tym rodzaju.

Timofiej patrzył na syna skonsternowany.

– Nie zrobię tego. – Było to wbrew jego naturze.

– Pójdę z tobą – zaproponował Borys. – Nie musisz być nachalny. Po prostu spróbuj go wyczuć. Zauważysz, jeśli robi się nerwowy. – A widząc, że Timofiej wciąż jest niezadowolony, dorzucił: – Przemyśl to, ojczu. Tylko tyle.

Następnego dnia, gdy słońce stało wysoko na niebie, mieszkańcy Bobrowa patrzyli z drżeniem na potężną postać Sawy Suworina, który w wysokim cylindrze, czarnym płaszczu i z nową laską szedł ścieżką od strony Ruski. Nie spoglądając ani w prawo, ani w lewo, minął wieś i skierował się do dworu.

Miał zamiar spotkać się z dziedzicem.

Ta droga wzbudziła w nim wiele ponurych wspomnień. Minęły sześćdziesiąt dwa lata od dnia, gdy szedł tędy z ojcem, żeby poprosić o pozwolenie na wyjazd do Moskwy. Czterdzieści siedem lat temu Aleksy Bobrow kazał go tu sprowadzić i wychłostać jako zbiegłego chłopca. Pamiętał wszystko w najdrobniejszych szczegółach, jakby to było wczoraj. Bo Sawa nigdy nie zapominał.

Był tak bogaty, że mógłby sobie kupić dwadzieścia, a może nawet sto takich majątków jak Bobrowo. Właściciele ziemscy, którzy kiedyś traktowali go jak psa, dziś się go bali. A jemu nareszcie nadarzyła się okazja, by ich zniszczyć.

Bo po dłuższym zastanowieniu pewne fakty już nie budziły jego wątpliwości. Słyszał oczywiście o incydencie z udziałem Nikołaja Bobrowa, wiedział, że pracował u Romanowów i nawoływał do rewolucji. Jednak jego choroba wydała mu się mało prawdopodobna. Zauważył też, że rudowłosy student kręci się koło jego fabryki, a raz widział go w towarzystwie Grigorija, tego chłopaka, który robił maślane oczy do córki Romanowa. I oto teraz okazuje się, że Grigorij rozprowadza rewolucyjne ulotki. Tych

zbiegów okoliczności było zbyt wiele. Policja z pewnością odkryje związek między jednym a drugim. „A więc młody Bobrow i jego przyjaciel to rewolucjoniści” – mrucał do siebie. Mógłby kazać zamknąć ich w więzieniu. Wtedy Bobrowowie byliby zniszczeni. Dokonałby ostatecznej, straszliwej zemsty. Rozkoszował się tą myślą przez jakiś czas.

Misza Bobrow zdziwił się na widok wysokiej postaci Suworina. Był sam, bo Nikołaj, z bólem głowy, leżał w swoim pokoju, a Anna pojechała z wizytą do przyjaciółki mieszkającej pod Włodzimierzem. Natychmiast zaprosił Suworina do salonu. Potężny fabrykant rozejrzał się z ciekawością. Nie chciał usiąść, choć gospodarz mu to zaproponował. Bobrow zatem stał przez chwilę, zanim wreszcie, czując się nieco niezręcznie, usiadł sam, spoglądając na gościa z niepokojem.

Sawa zawsze mówił wprost. Od razu więc przystąpił do rzeczy.

– Chodzi o waszego syna – oznajmił krótko. – To rewolucjonista. – A gdy Misza zaczął tłumaczyć, że Nikołaj jest chory, przerwał mu: – Oto co znalazłem u siebie w fabryce. – Wyjął z kieszeni ulotkę. – Przeczytajcie – rozkazał.

Misza Bobrow przeczytał i zbladł. Miał przed oczami całe zwroty, które padły z ust jego syna. Słowo w słowo. Z jedną tylko różnicą: ulotka nawoływała do przemocy. Zabić Sawę? Spalić mu dom?

– Mój Boże! Jesteście pewni? Naprawdę, nie miałem pojęcia... – Głos mu zamarł. Ale jego mina wystarczyła Sawie za wszelkie potwierdzenia. – I co zamierzacie? – spytał Misza bezradnie.

I oto teraz Sawa Suworin mógł okazać swoją siłę i władzę. Miał osiemdziesiąt dwa lata. Przez pięćdziesiąt dwa lata swojego życia walczył, by wyzwolić się spod tyranii Bobrowów, a przez kolejne trzydzieści pielęgnował w sobie urazę. I wreszcie mógł ich zniszczyć.

Ale nie miał takiego zamiaru. Jeszcze nie teraz. Bo Sawa Suworin lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał, czym jest władza, a pozbawieni wszystkiego Bobrowowie, choć ich z serca nienawidził, nie byliby mu do niczego przydatni. Może i Misza jest głupcem, ale ma w ziemstwie wpływy, czemu niejednokrotnie dawał wyraz, postępując w irytujący sposób. Jednak za sprawą zdobytej właśnie wiedzy Sawa będzie miał go w ręku przez długi czas. Suworin nie mści się na małych ludziach, pomyślał z dumą. On ich wykorzystuje.

Spokojnie i rzeczowo wyłuszczył Miszy, co ma robić.

– Po pierwsze, powiecie temu Popowowi, żeby się wyniósł z Ruski raz na zawsze. I to o świcie. A do tego czasu ma pozostać w waszym domu, z nikim się nie porozumiewając. Dacie radę to zrobić?

Misza skinął głową.

– Po drugie, rozmówcie się z Timofiejem Romanowem. Jego córka ciągle zadaje się z Grigorijem, którego przyłapałem na roznoszeniu ulotek. Bez wątpienia ona też bierze w tym udział. – Spojrzał ze złością na Bobrowa. – Czy nie sami wysłaliście ją kiedyś do szkoły? I widzicie, do czego to doprowadziło? – Pokręcił głową nad szaleństwem, jakim jest kształcenie chłopów. – Nakażecie też swojemu przyjacielowi Romanowowi, żeby trzymał córkę w domu, dopóki nie postanowię inaczej. I ma jej nie mówić dlaczego. Nie wolno jej się w żaden sposób kontaktować z Grigorijem. Przez parę dni będę go

obserwował, żeby się dowiedzieć, co knuje. A potem się z nim rozprawię.

Spojrzał z góry na Miszę. Pomyślał – z niejaką satysfakcją – że oto role się odwróciły, teraz to on jest panem, a Misza sługą.

– Jeśli ktokolwiek choć odrobinę sprzeciwi się moim poleceniom, oddam całą sprawę w ręce policji – zakończył. – A oni już będą wiedzieli, jak udowodnić spisek zawiązany przez Popowa, waszego syna i Romanowów. W najlepszym razie wszyscy trafią na Syberię.

Odwrócił się plecami do roztrzęsionego Miszy i stanowczym krokiem wyszedł.

W ciągu ostatniej doby Timofiej i Borys kilka razy rozmawiali o pomysłe wyciągnięcia pieniędzy od Miszy Bobrowa. Timofiej cały czas był temu przeciwny. Dlatego się zdziwił, gdy późnym popołudniem został pilnie wezwany do dworu.

– Idę z tobą – zapowiedział Borys.

Kiedy stawili się na miejscu, Misza był zdenerwowany i zamyślony. Wcześniej przez pół godziny rozmawiał z synem. Nie był pewien, czy może mu wierzyć, choć wydawało się, że Nikołaj nie ma pojęcia o ostatnich posunięciach Popowa. Wiedział natomiast, że przyjaciel dysponuje ręczną prasą drukarską. A za to można trafić na Syberię, pomyślał Misza.

Więc teraz, mając przed sobą obu Romanowów, musiał postępować ostrożnie.

– Powiedz mi, Timofieju, czy twoja córka przyjaźni się z tym Grigorijem?

– Ach, Michaile Aleksiejewiczu, gdyby tylko to! – zawołał Romanow i zaczęłyby pewnie wymieniać litanię swoich nieszczęść, gdyby Misza od razu mu nie przerwał.

– Takie rzeczy rozprawia Grigorij – powiedział, pokazując im ulotkę.

Przeczytał z niej kilka zdań, jako że Romanow był niepiśmienny. Zauważył przy tym, że Timofiej najpierw się zmieszał, potem wpadł w przerażenie, a Borys na widok ulotki zbladł jak ściana.

A więc to prawda. Suworin miał rację.

Spokojnie przekazał im polecenia Sawy. Nie wspomniał wprost o udziale Nikołaja w działalności spiskowej, podzielił się jedynie częścią swojej wiedzy.

– To Popow stoi za wszystkim. Najzwyczajniej nadużył mojej gościnności i wszystkich nas oszukał. O świcie wyjedzie stąd raz na zawsze. – Spojrzał znacząco na Borysa. – Chyba się zgadzasz, że w sprawie Natalii należy zrobić to, co nakazał Suworin?

– Zgadzam się – przytaknął ponuro młodszy Romanow.

I właśnie wtedy do pokoju wszedł uśmiechnięty Jewgienij Popow.

Tak naprawdę Popow miał za sobą ciężki dzień. Rano otrzymał list, który w zawołanym języku informował go, że chłopska rewolucja się nie powiodła. Wszędzie wieśniacy reagowali tak samo jak w Bobrowie. W wielu wioskach wezwano policję, a władze prowincji już się dowiedziały o buntowniczym ruchu. Kilku młodych idealistów trafiło do aresztu śledczego i należało się spodziewać szerokich represji.

Te wieści mocno zaniepokoiły Popowa, ale ponieważ nie miał on w zwyczaju ujawniać swoich myśli, uśmiechnął się niemal wesoło do zgromadzonych w pokoju mężczyzn.

Misza Bobrow nie tracił czasu. Zwrócił się do Popowa z nieukrywaną niechęcią.

– Twoja gra jest skończona. Suworin znalazł ulotki. – W kilku słowach streścił, co

mu przekazał Sawa. – Nawet nie chcę słuchać, co masz do powiedzenia, bo wiem, że i tak skłamięs – oświadczył z pogardą. – Dlatego proponuję, żebyś już zaczął się pakować.

Ależ ten potwór jest opanowany! Twarz mu nawet nie drgnęła, nadal lekko się uśmiechał. Jednak dopiero słysząc jego słowa, Misza wpadł w prawdziwe osłupienie.

– Nie mam najmniejszego zamiaru. Już wam mówiłem, że wyjadę, kiedy będę chciał.

– Wyjedziesz jutro.

– Ani myślę.

– Nie masz wyboru. Suworin każe cię aresztować.

– Zapewne. – Popow wzruszył ramionami. – Widzę, że wszyscy macie porządnego stracha. Ale nie musicie się bać. Nic się nie wydarzy. – Ziewnął. – Nie będę jadł kolacji, jestem zbyt zmęczony. Poza tym muszę napisać kilka listów. Ale jutro z pewnością będę głodny jak wilk – rzucił lekko i poszedł na górę.

Przez dłuższą chwilę trzej mężczyźni nie mogli wydobyć z siebie słowa. W końcu Timofiej spojrział na Miszę i powiedział bezradnie:

– To co my teraz zrobimy?

Jewgienij Popow musiał się zastanowić. Jego pozorny spokój miał ich zmylić. Zarówno poranny list, jak i groźby Suworina wskazywały, że najwyższy czas się wynosić. Ale przecież nie może pozwolić, by ten głupi ziemianin i ci przekłęci chłopci – ani nawet Sawa Suworin – tak nim pomiatali. Przecież jest rewolucjonistą, stoi wyżej niż oni.

Zatem co teraz? Popow zawsze zostawiał sobie drogi ucieczki. Z natury był skryty i podstępny, więc nie miał wątpliwości, że i tak ich przechytry. Rozmyślał nad czymś przez dłuższą chwilę, a potem na jego twarzy pojawił się uśmiech. Podszedł do stojącej przy łóżku zamykanej skrzynki i wyjął z niej ręcznie zapisany dokument. Usiadł przy stole i zerkając na ów rękopis, zaczął kreślić na czystym arkuszu litery i całe słowa, aż wreszcie nabrał pewności. Sięgnął po kolejną kartkę i skupiony przystąpił do pisania.

Po kilku minutach usłyszał na korytarzu czyjeś skradające się kroki. Umilkły przy jego pokoju, a potem rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Wzruszył ramionami. A więc im się wydaje, że mogą go uwięzić. Wrócił do pisania.

Minęło dwadzieścia minut. Skończył dwa listy i krótką notatkę. Przeczytał je uważnie i upewniwszy się, że są bez zarzutu, wstał.

Podszedł do szafy i wyjął z niej ubranie, w którym pracował w polu, oraz chłopski kapelusz skrywający jego rude włosy. Dopiero w tym stroju spróbował otworzyć drzwi. Tak jak się spodziewał, były zamknięte. Zbliżył się do okna. Otwierało się na tyle szeroko, że mógł wystawić na zewnątrz głowę i rękę. Gdyby jednak chciał się wydostać tą drogą, musiałby wyłamać framugę i skoczyć na twardą ziemię z wysokości pięciu metrów. Zauważył jednak, że trzecie okno na piętrze należy do Nikołaja. Wyjął z kieszeni monetę i rzucił nią w tamtą stronę. Potem jeszcze jedną. Przy czwartej próbie moneta zadzwęczała na szybie i przez okno wychyliła się potargana głowa przyjaciela.

– Hej, Nikołaju! – zawołał. – Zamknęli moje drzwi na klucz. Wypuść mnie.

Misza nie miał wątpliwości, co powinni przedsięwziąć.

Wystarczyło kilka słów rzuconych szeptem przez Borysa, by Timofiej w pełni pojął grożące Natalii niebezpieczeństwo. Gdy to do niego dotarło, gotów był zrobić wszystko.



Zgodnie uznali, że dla własnego dobra powinni wziąć sprawy w swoje ręce.

– Nie chcę, żeby ten przeklęty Popow rozmawiał z obcymi, nawet z moim woźnicą – przyznał szczerze Misza. – Nigdy nie wiadomo, co o nas naopowiada. – Ustalili zatem, że obaj Romanowowie przyjadą do dworu furmanką i zawiozą rudowłosego studenta do samego Włodzimierza.

– Mam solidną pałkę – oznajmił Timofiej. – A jak będzie trzeba, to i przywiążemy go do wozu.

– We Włodzimierzu wsadzicie go do pociągu do Moskwy. I nie odjedziecie, dopóki pociąg nie zniknie wam z oczu.

W ten sposób wypełniliby instrukcje Suworina. A Misza miał gorącą nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczy tego podłego człowieka.

Wtedy właśnie pomyślał, że powinien zamknąć pokój Popowa na klucz. Wrócił po paru minutach. Zdziwiło go jednak, że obaj Romanowowie wciąż nań czekają, jakby podczas jego nieobecności powzięli jakieś postanowienie.

Tym razem Borys przejął inicjatywę.

Był bystrzejszy niż obaj starsi mężczyźni. Nadal liczył, że uda mu się wyciągnąć od Bobrowa trochę pieniędzy, a do tego dostrzegł w ich planie realne niebezpieczeństwo.

– Zdążyliśmy się już przekonać, Michaile Aleksiejewiczu, do czego ten człowiek jest zdolny. Zagroziliśmy mu policją i Sawą Suworinem, a on i tak nie chciał wyjechać. Zresztą nawet jeśli wsadzimy go do pociągu, on może wysiąść na następnej stacji i po paru dniach znów się tu pojawić.

Misza musiał przyznać mu rację.

– To co w takim razie mamy zrobić? – spytał.

Borys zastanawiał się przez chwilę.

– Prawdę powiedziawszy, panie, boję się o siostrę – oznajmił spokojnie. – Zadała się z tym Grigorijem, bo nie ma posagu. A wszystko przez długi ojca. – Spojrzał znacząco na Bobrowa. – Zawsze byliście dla nas dobrzy, panie. Pośleńcie mnie i Natalię do szkoły. Może zechcielibyście nam pomóc i teraz?

Misza zmarszczył czoło.

– Niby jak?

– Powiedzmy, że wysłałbym Popowa w bardzo długą podróż. Żeby nie mógł nas już więcej nękać.

– W długą podróż?

– Tak, panie. Bardzo długą.

Misza zadrzał. Przecież to nie do pomyślenia! A jednocześnie – nie umiał temu zaprzeczyć – propozycja wydała mu się kusząca. Niczego nie pragnął bardziej, niż pozbyć się tego Popowa raz na zawsze.

– Nigdy nie pozwolę, żeby...

– Oczywiście, panie, my tylko wypełnimy wasze polecenie – powiedział chłodno Borys. – Zawieziemy go do Włodzimierza. – Spojrzał uważnie na Miszę. – Chyba nikt tam na niego nie czeka, prawda?

– Nie. – Zapadła dłuższa chwila milczenia. Wreszcie Misza pokręcił głową. – Wsadzcie go do pociągu – powiedział. – Macie tu być przed świtem.

Borys patrzył na niego niepewnie, ale Misza dał znak, by odeszli.

Został w salonie sam. Słowa Borysa go zaniepokoiły. To prawda, nic nie powstrzyma Popowa przed powrotem do Ruski. I nie wiadomo, w jakie jeszcze tarapaty mógłby ich wszystkich wpakować. Ale przecież nikt go nigdzie nie oczekiwał. Jako młody rewolucjonista mógł się pojawić wszędzie, z własnej woli pojechać gdzieś na wieś na całe lato. Gdyby zniknął, przez wiele miesięcy nikt by o niego nie pytał. A do tego czasu...

Pokręcił głową. Właśnie ludzie tacy jak ja, stwierdził w myślach, ludzie uczciwi, są bezradni wobec takich bestii jak Popow. Na moim miejscu on by się nie zawahał ani przez chwilę.

Nagle w salonie pojawił się Borys Romanow.

– Popow uciekł, panie – powiedział. – Widziano go, jak idzie przez las do Ruski. I co teraz?

Misza zerwał się na równe nogi.

– To niemożliwe!

Pobiegł na górę, otworzył drzwi, ale pokój był pusty. To diabeł! Suworin kazał mu zatrzymać Popowa w domu. A teraz ten zdąży ostrzec swoich kamratów albo napyta im nowej biedy. Co wtedy zrobi Suworin? Na jakie jeszcze niebezpieczeństwo narazi ich ten rudowłosy potwór?

– Musicie go powstrzymać! – krzyknął. – Pospieszcie się.

Ale Borys się nie poruszył.

– Dziś go schwytemy, a jutro znów tu będzie – zauważył spokojnie. – Tego chcecie, Michaile Aleksiejewiczu?

– Na miłość boską, musicie go powstrzymać – powiedział Bobrow niemal błagalnym tonem.

Borys nadal stał nieruchomo.

– A co z moją siostrą, panie? – spytał cicho. – I z moim ojcem?

Obaj milczeli przez dłuższą chwilę. W końcu Bobrow opuścił wzrok i mruknął.

– Dam twojej siostrze posag. A ojcu pomogę. Wystarczy?

– Tak, panie. Dziękuję.

– Ale... – Misza nie wiedział, jak ma to powiedzieć.

– Nie martwcie się, panie. Zabierzemy tego młodzieńca do Włodzimierza. Nie będzie wam już więcej sprawiał kłopotów. – Ruszył ku drzwiom, ale jeszcze na chwilę się zatrzymał. – Będzie musiał mieć bagaż podróżny. Spakujcie jego torby, panie, a my je zabierzemy przed świtem.

Co powiedziawszy, wyszedł.

Niestety, Romanowowie, choć bardzo się spieszyli, nie zdążyli na czas. Zanim dotarli na skraj lasu naprzeciwko klasztoru, Popow zniknął. Ścieżka prowadząca przez pola, a potem przez mostek, była pusta.

– Bóg jeden wie, gdzie go szukać – mruknął Timofiej. – Ale złapiemy go, gdy będzie wracał.

Timofiej miał pałkę, a Borys nóż. Ich plan był prosty.

– Jak już go zabijemy – tłumaczył Borys – ty schowasz ciało w lesie, a ja

przywiezę bagaż. Ułożymy Popowa na wozie, jakby spał, i pojedziemy w kierunku Włodzimierza. A gdzieś po drodze go zakopimy razem z jego rzeczami. – Nie było to niewykonalne. Na szlaku były tylko lasy i z rzadka rozrzucone wsie.

– Tu jest dużo miejsca na taki pochówek – zauważył wesoło Timofiej.

Zaczaili się na polance przy starych kurhanach, skąd mieli dobry widok na klasztor. Nawet gdyby Popow pojawił się tu po zmroku, w świetle gwiazd zauważyliby go na ścieżce.

Usiedli na trawie i czekali.

Jewgienij Popow stał cierpliwie przy dróżce prowadzącej do pustelni. Wolał nie pojawiać się w Rusce za dnia, ale na szczęście natknął się po drodze na jakiegoś chłopca i dał mu kilka kopiejek za zanieśenie listu. I już po godzinie dojrzał nadchodzącego dróżką człowieka, którego do siebie wezwał.

Piotr Suworin był bardzo podekscytowany. Co może oznaczać to nagłe wezwanie? Przeszedł go radosny dreszcz, gdy Popow wyjaśnił mu, w czym rzecz.

– Wiadomość z Komitetu Centralnego mówi jasno – powiedział. – Mamy zaledwie kilka godzin. Jesteś gotowy cierpieć za sprawę?

– O tak!

– Świetnie.

Przedstawił mu szczegóły. Młody Suworin miał pieniądze. Szybko opracowali plan. Popow zauważył ze zdziwieniem, że w sytuacji kryzysowej ten młody idealista potrafi myśleć praktycznie.

– Jak uda ci się wyjechać? – spytał.

Piotr zastanawiał się przez chwilę.

– Mój dziadek ma łódkę, którą wypływa na ryby. Wezmę ją.

– Świetnie. Masz wyruszyć o zmierzchu. – Popow go uściskał. – Jeszcze się spotkamy, przyrzekam.

Dzień powoli gasł, gdy Jewgienij Popow ruszył ścieżką w kierunku Ruski. Znalazłszy dogodny punkt obserwacyjny, usiadł w cieniu i patrzył na rzekę. Na turkusowym niebie rozblęły blade gwiazdy. Czekał, aż turkus zamieni się w indygo. Wokół było cicho i pusto.

Potem zauważył małą łódkę. Płynęła blisko brzegu. Niesiona łagodnym nurtem, zniknęła za zakrętem. Rano powinna dotrzeć do Oki. Popow uśmiechnął się do siebie. Dobrze ocenił Piotra Suworina, który łatwo wierzył w opowiastkę, że następnego dnia policja przyjdzie ich wszystkich aresztować. Naprawdę uznał, że nieistniejący Komitet Centralny chce go za wszelką cenę ocalić. I od razu zaproponował, że przez kilka miesięcy będzie się ukrywał. Ale taił się pod tym jeszcze jeden motyw, z którego zapewne sam nie zdawał sobie sprawy: nareszcie miał powód, żeby uciec od dziadka. Tak, Popow rzadko się mylił co do ludzi.

A teraz, gdy Piotra już nie było, mógł zacząć działać.

Popow był ostrożny. Wcisnął kapelusz na głowę i okrążywszy główną bramę, wszedł do miasteczka boczną ścieżką. W pobliżu kręcili się jacyś ludzie, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Tak jak przypuszczał, wąska uliczka przy magazynie była pusta. Najpierw otworzył

kłódkę przy drzwiach do komórki, w której ukrył prasę drukarską, a potem wszedł do głównego pomieszczenia magazynu. Rozglądał się przez chwilę, od czasu do czasu przyświecając sobie zapałką, aż w końcu znalazł to, czego szukał. Przy jednej ze ścian piętrzyły się snopki słomy, w kącie leżały puste worki. A na półkach zobaczył kilkanaście lamp, w których – dzięki Bogu – powinna być jeszcze nafta. Powoli, bez pośpiechu, rozłożył słomę wzdłuż wszystkich ścian. Potem zrobił ze związanych worków kilka dużych pochodni, a naftę wlał do dwóch naczyń. Na koniec, tak na wszelki wypadek, wrzucił parę snopków do komórki. Zajęło mu to zaledwie pół godziny.

Teraz miał przed sobą najtrudniejszą część planu. Wszedł do komórki. Ostrożnie wykopał rozłożoną na części prasę drukarską i paczkę z ulotkami. Upewniwszy się, że na ulicy nie ma nikogo, wyszedł na zewnątrz.

Wokół było cicho. Trzymając się w cieniu, minął cerkiew przy placu targowym i ruszył szeroką aleją prowadzącą do parku. Po prawej stronie, schowane za ogrodzeniami, stały trzy domy. Pierwszy należał do Sawy Suworina.

W oknach było ciemno. Suworinowie chodzili wcześniej spać. Rozejrzawszy się, z największą ostrożnością otworzył furtkę i wszedł na podwórze. Dom był murowany, ale przy jednej z bocznych ścian znajdowały się solidne drewniane schody z zadaszeniem, prowadzące na piętro. I właśnie pod tymi schodami zostawił swój ładunek.

Musiał przebyć drogę dwukrotnie. Za drugim razem oprócz ulotek i części prasy przyniósł także łopatę.

Przyklęknął i zabrał się do pracy.

Na razie wszystko szło zgodnie z planem. Tak naprawdę popełnił tylko jeden błąd, choć nie był tego świadomy. Wychodząc z komórki, nie zamknął drzwi na kłódkę. Nie spojrzał za siebie, więc nie mógł wiedzieć, że lekko dociśnięte drzwi same się otworzyły.

Kopał, starając się zachować ciszę. Ziemia pod schodami nie była twarda. Po kilku minutach dół miał trzydzieści centymetrów głębokości. Popow pracował dalej, uśmiechając się do siebie.

Zachwycała go idealna symetria własnych działań. Zanim zapadnie noc, Sawa Suworin i Misza Bobrow nawzajem się unieszkodliwią. A on będzie wolny od podejrzeń. Przestępcą okaże się Piotr Suworin. Któż inny by zakopał prasę drukarską i ulotki pod schodami rodzinnego domu? To ostatnie posunięcie wydawało się nazbyt ostentacyjne, ale nie mógł się powstrzymać. Wszystkich ich wyprowadziłem w pole, cieszył się w duchu.

Jego plan miał jednak kilka luk. Na przykład co zrobić z Natalią i Grigorijem? Na szczęście oboje byli nieszkodliwi. Wiedzieli jedynie, że ulotki dał im Piotr Suworin.

Nie, jego plan był doskonały, a on przewyższał ich wszystkich pod każdym względem.

Zamierzał już zakończyć kopanie, gdy nagle na głębokości pół metra łopata trafiła na coś twardego. Zaczął macać i wyczuł gładką, okrągłą powierzchnię. Zaciekawiony, odgarnął ziemię i wyciągnął białawy przedmiot.

Trzymał w ręku czaszkę. Bóg jeden wie, skąd się tam wzięła. Obejrzał ją dokładnie. Miał dość wiedzy medycznej, by stwierdzić, że wygląda bardziej na mongolską niż słowiańską. Czyżby jakiś Tatar? Wzruszył ramionami. Kto ją zakopał pod domem

Suworina?

Wrzucił prasę i ulotki do dołu, przysypał ziemią i wyrównał. Ruszył z powrotem do magazynu, zabierając czaszkę ze sobą.

Po drodze zauważył na jednym z rogów małą studnię. Zatrzymał się na moment i wrzucił do niej czaszkę. Rozległ się cichy plusk. I tak oto czaszka Tatara Piotra, nieznanego fundatora klasztoru, znalazła nowe miejsce spoczynku.

Natalia i Grigorij rozmawiali przy dormitorium. Opowiedziała mu o sprzeciwie ojca.

– Niedługo mu przejdzie – pocieszała.

Zresztą Grigorij i tak nie dbał, co powie jej rodzina.

Starania Natalii były tak skuteczne, że chłopak myślał już tylko o jednym: jak nacieszyć się jej ciałem. Dlatego gdy po zmierzchu zaproponowała, żeby poszukali sobie jakiegoś ustronnego miejsca, nie protestował.

Młodzi ludzie, gdy latem chcieli być sam na sam, chodzili zazwyczaj do lasu. Oni też ruszyli ścieżką w tamtą stronę, ale mijając magazyn, zauważyli otwarte drzwi komórki. Zajrzawszy do środka, stwierdzili ze zdziwieniem, że leżą tam snopki słomy. Natalia uznała więc, że to świetne miejsce. Po paru chwilach mieli już w rogu gotowe posłanie. Dała znak kochankowi i zamknęła drzwi. Już niedługo, obiecała sobie w myślach, już niedługo będę w ciąży i zostanę mężatką.

Popow wrócił do magazynu. Oblał naftą zrobione z worków pochodnie. Podpalił pierwszą i przyłożył do największej sterty słomy, potem kolejno podpalał pozostałe, układając je przy snopkach, które umieścił pod ścianami. Gdy skończył, pobiegł do komórki.

Nie zdawał sobie sprawy, że pożar będzie się tak szybko rozprzestrzeniał. Umieścił słomę w komórce tylko dlatego, że – jak przewidywał – ognia szalejącego w zamkniętym pomieszczeniu nie da się ugasić. Ledwo zdążył tam dotrzeć, płomienie lizały już krokwie w głównym magazynie. Nie mógł tracić czasu. Szybko otworzył drzwi, zapalił dwie cienkie świece i rzucił je na najbliższy snopek. Zatrzasnął drzwi i zamknął kłódkę. Nie zajął nawet do środka, więc nie mógł wiedzieć, że w kącie leży dwoje młodych ludzi, którzy przed paroma minutami zapadli w głęboki sen.

Chowając się w cieniach domów, wybiegł z miasteczka. Czas wracać do Bobrowa.

Misza Bobrow siedział sam w salonie. Dzięki Bogu, że Nikołaj spał na górze, bo nie umiałby spojrzeć synowi w twarz.

Miał za sobą kilka okropnych godzin. Zgodnie z radą Borysa spakował rzeczy Popowa, a potem wyniósł je na podwórze. Teraz mógł jedynie czekać.

I co on zrobił? Przekonywał sam siebie, że nic strasznego. Romanowowie schwytają Popowa i odwiozą go do Włodzimierza. Przecież tak właśnie powiedzieli. Przez blisko godzinę utwierdzał się w tym fałszywym przekonaniu, aż wreszcie musiał się poddać, czując obrzydzenie do samego siebie. Tak naprawdę zapłacił im za zamordowanie człowieka. I ten człowiek już zapewne jest martwy.

Morderstwo. Przypomniał sobie, jak niemal dwadzieścia lat wcześniej w Sewastopolu miał chęć zabić Piniegina. Ale tego nie zrobił. Czyżby teraz porzucił zasady moralne? A może po prostu wtedy nie miał się kim wysłużyć? Przerażony

i nienawidzący samego siebie, ukrył twarz w dłoniach.

– Boże, co ja narobiłem!

Dlatego gdy tuż po północy, usłyszawszy jakiś dźwięk, podniósł głowę i zobaczył przed sobą Popowa, poczuł zdumienie, ulgę i strach jednocześnie.

Otworzył usta, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

Popow wrócił do dworu bez przeszkód. Z miasteczka wymknął się boczną ścieżką. Gdy znalazł się nad rzeką, ponad dachami unosił się już czerwony blask i słychać było krzyki. Dlatego zamiast od razu przejść przez most koło klasztoru, wybrał ścieżkę biegnącą wzdłuż wijącej się rzeki. Na drugą stronę przedostał się dopiero po kładce w Bobrowie. Musiał nadłożyć spory kawał drogi, ale przynajmniej było tu pusto.

Zbliżając się do dworu, czuł głęboką satysfakcję graniczącą z radością. Wszystkie elementy układanki doskonale do siebie pasowały. W kieszeni miał dwa listy.

Z łatwością podrobił pismo Piotra Suworina. Miał talent do takich rzeczy. Ale najbardziej był dumny z tonu, jaki przebijał z dwóch krótkich listów. Z rewolucyjnego eseju, który dał mu Piotr, wydobył nie tylko charakterystyczne dla niego zwroty, ale i sposób myślenia. Rozszyfrowałem jego duszę, cieszył się, fałszując listy. Ich autentyczność nie budziła wątpliwości.

Listy były krótkie i jasne. Pierwszy, przeznaczony dla Nikołaja Bobrowa, jego rzekomego wspólnika w spisku, mówił o ucieczce i zamiarze spalenia fabryki dziadka, a także informował, że prasa drukarska i ulotki są bezpiecznie ukryte w domu Sawy Suworina, gdzie nikt ich nie znajdzie.

Teraz musiał jedynie pokazać list Bobrowowi. Gdy Misza zagrozi nim Suworinowi, stary fabrykant stanie się całkowicie nieszkodliwy. Nie będzie mógł aresztować Nikołaja, bo to pogrążyłoby jego wnuka. Właśnie ta doskonała symetria najbardziej cieszyła Popowa.

Drugi list miał stanowić dla niego dodatkowe zabezpieczenie. Piotr zapowiadał w nim swój wyjazd i dziękował Popowowi za życzliwość. A tym samym oczyszczał Jewgienija ze wszystkich zarzutów.

*Byłeś dobrym przyjacielem dla mnie i dla Nikołaja, proszę nas obu, byśmy trzymali się drogi reform i zaniechali myśli o rewolucji. Ale Ty, Przyjacielu, nie rozumiesz wielu rzeczy i nie wiesz, że sprawy zaszły już za daleko. Mam jedynie nadzieję, że pewnego dnia, gdy nastanie nowy, jasny świt, znów się spotkamy jako bliscy sobie ludzie, a wtedy się przekonasz, że służyliśmy dobrej sprawie.*

*Adieu.*

Popow był pewien, że wyprowadziwszy wszystkich w pole, ma nad nimi pełną przewagę, więc będzie mógł zostać jeszcze parę dni w Rusce, a przy okazji wydusić od Bobrowa trochę pieniędzy.

Jednak zaskoczyły go dwie rzeczy. Najpierw zobaczył na podwórzu swój bagaż. Skąd u Bobrowa pewność, że on wyjedzie jeszcze tej nocy? A teraz miał przed sobą Miszę, który patrzył na niego jak na ducha. Przecież musiał wiedzieć, że mnie nie ma, skoro zabrał z pokoju moje kufry, pomyślał.

Zastanawiał się gorączkowo, wbijając wzrok w gospodarza. Jego umysł pracował

na pełnych obrotach.

– Dziwi pana mój widok? – spytał.

– Dziwi? – Misza był zupełnie zdezorientowany. – Ani trochę, mój drogi przyjacielu. Dlaczego miałbym być zdziwiony?

– No właśnie, dlaczego. – Z jakiego powodu Bobrow zrobił się nagle czerwony i dlaczego nazywa go „swoim drogim przyjacielem”?

Nagle Miszy przyszła do głowy straszna myśl. Skoro Romanowowie nie znaleźli Popowa, to mogą się tu lada chwila zjawić. I co wtedy? Wywloką go do wozu i tam zabiją? Nie, to ponad jego siły. Co on ma, do diabła, zrobić? Nie zdając sobie z tego sprawy, spojrział zdenerwowany na drzwi.

Popow niczego więcej nie potrzebował. Nie znał szczegółów, ale zrozumiał od razu. Ktoś ma go pojmać, a Bobrow jest przerażony. Ale on, Popow, i tak wyprzedzi jego ruch.

– Co byście dali za całkowite unieszkodliwienie Suworina? – spytał łagodnie. I widząc w oczach Miszy cień rozpaczliwej nadziei, przekazał mu treść listu Piotra do Nikołaja.

– Masz ten list? – spytał niecierpliwie Misza.

– W kryjówce. Ale mogę go wydobyć. Oczywiście za odpowiednią cenę.

– Ile?

– Dwa tysiące rubli.

– Dwa tysiące? – Bobrow osłupiał. – Nie mam tyle.

Był tak zdenerwowany, że Popow mu uwierzył.

– A ile macie? – spytał.

– Może półtora tysiąca.

– Niech będzie.

Misza odetchnął z ulgą, ale tylko na krótką chwilę.

– Jeszcze jedno – powiedział z niepokojem. – Dam ci pieniądze, ale musisz natychmiast wyjechać.

– Jak to? W środku nocy?

– Natychmiast. To ważne.

Popow uśmiechnął się pod nosem. A więc jego domysły są słuszne. I kto by pomyślał, że ten głupiec gotów był mnie zabić? Oczywiście zaraz potem spanikował.

– Wystarczy, że dacie mi konia. Dobrego.

– Oczywiście.

Koń też miał jakąś wartość. To niezwykle, jaką władzę można mieć nad człowiekiem, wykorzystując jego poczucie winy.

Kwadrans później był gotowy do drogi. Dostał najlepszego konia Miszy. Miał w kieszeni półtora tysiąca rubli, a Bobrow cenny list. Przez chwilę Popow się zastanawiał, czy nie obudzić Nikołaja, żeby się z nim pożegnać, ale zrezygnował z tego pomysłu. Przyjaciel wypełnił już swoje zadanie, a on nie miał mu nic do powiedzenia. Spojrzął na przestraszonego Miszę.

– Do zobaczenia podczas rewolucji – powiedział uprzejmie. Po chwili już go nie było.

Pożar w Rusce zniszczył dwa magazyny i cztery domy szeregowy, na które spadły iskry. Dopiero rano zauważono, że nigdzie nie ma Natalii i Grigorija. Ich zwęglone ciała znaleziono kilka godzin później.

Po rozmowie, którą Misza Bobrow odbył wczesnym rankiem z Sawą Suworinem, policja nie podjęła żadnego śledztwa w sprawie pożaru. Uznano, że to był wypadek. Nigdy też nie wyjaśniono, w jaki sposób Natalia i Grigorij znaleźli się w komórce. Dało się jednak zauważyć, że po kilku tygodniach szef miejscowej policji i cała jego rodzina sprawili sobie nowe ubrania.

Waria Romanowa urodziła pod koniec roku. Dziewczynce dano na imię Arina. Waria była tak oddana dziecku, które wypełniło pustkę po jej jedynej córce, że niemowlę zdrowo przeżyło zimę, nie mogąc naturalnie wiedzieć, że jego babka, nosząca to samo imię, wiele razy stawała nad kołyską, pomrukując:

– Powinnam cię wynieść do lasu, ale nie mam serca.

Dziewczynka nie wiedziała też o innym drobnym wydarzeniu, do którego doszło w tydzień po odejściu zimy.

Każdej wiosny Misza Bobrow przeglądał i porządkował dokumenty. Robił to raz w roku, więc zajmowało mu to sporo czasu. Listy, notatki, zawiadomienia od urzędników z ziemstwa, niezapłacone rachunki... Stosy papierów leżały na dużym stole w gabinecie, na książkach ustawionych wzdłuż ścian, w szufladach biurka. Lubił tę pracę, bo pozwalała mu bez pośpiechu prześledzić wydarzenia minionego roku. Lubił zwłaszcza czytać ponownie wszystkie listy. Związywał je potem wstążkami i układał w skrzyniach na strychu. Gdy żona mówiła, że to strata czasu, odpowiadał spokojnie: „Nigdy nic nie wiadomo”, i wracał do swojego zajęcia.

A w tym roku miał co czytać i nad czym rozmyślać. Powziął nawet zamiar opisanie niezwykłych wydarzeń, które rozegrały się latem. Wnuki Nikołaja będą miały ciekawą lekturę, pomyślał. Odłożył to jednak na później – „na razie jestem zbyt zajęty” – więc jedyną pamiątką z tamtych dni był list Piotra Suworina, który dał mu Popow. Misza zdecydował, że musi go zachować. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się w jakiejś rozgrywce przeciwko Suworinowi, uznał. A ponieważ ten szczególnie dokument nie pasował do innych, obwiązał go czerwoną wstążką, opatrzył podpisem „Pożar u Suworina” i schował na strychu wraz z innymi listami.

Następnego dnia we dworze zjawił się nieoczekiwany gość – Borys Romanow. Bobrow nie widział go od dłuższego czasu. Zdziwiony nieco, że nie ma z nim ojca, zaprosił go do gabinetu i zapytał z uprzejmym uśmiechem:

– Co cię do mnie sprowadza, Borysie?

Borys mówił tak rozwleknie i tak zawile, że początkowo Misza nie mógł pojąć, o co mu chodzi. Ale zaniepokoiło go skrępowanie Romanowa i jego ponura mina. A Borys w ostrożnych słowach przypomniał mu o nędzy swojej rodziny, o tym, że potrzebują więcej ziemi i że zawsze byli wierni Bobrowom. Wreszcie przystąpił do rzeczy.

– Ciągle myślę o tym, co się wydarzyło latem, panie.

Misza zrobił się czujny.

– I co?

– Zawarliśmy umowę, panie. Że pomożecie ojcu i dacie posag mojej siostrze.



Misza milczał.

– A moja siostra nie żyje.

– Niech Bóg ma w opiece jej duszę.

– Ale jak pewnie wiecie, urodziło się nam jeszcze jedno dziecko. – Wbił wzrok w podłogę. – Więc pomyślałem, panie, czy nie zechcecie nam pomóc, tak jak to obiecaliście. Bo posag Natalii mógłby przypaść Arinie.

Misza patrzył na niego z zadumą. Słowa Borysa trafiły w czuły punkt. Od tamtego straszego wieczoru nie padło ani jedno słowo na temat przerażającego targu, którego dobił z Romanowami. Poza tym do morderstwa nie doszło, biedna Natalia zginęła w płomieniach, a Misza starał się wymazać tamten epizod z pamięci. Nie czuł się zobowiązany do ofiarowania Timofiejowi większej sumy pieniędzy – jedynie pomógł mu trochę w spłacaniu kredytu, a stary chłop nie śmiał prosić o więcej. Mimo to Bobrow nieraz przyznawał w duchu: tak naprawdę to my sprowadziliśmy na Romanowów to nieszczęście. Kiedyś powinienem im to wynagrodzić. I prośba Borysa o pieniądze dla dziewczynki wydała mu się całkiem na miejscu, może rzeczywiście da jej wkrótce jakiś prezent. Obracał ten temat w myślach, więc przez dłuższą chwilę nie odpowiadał.

I właśnie wtedy Borys Romanow popełnił duży błąd. Złe odczytawszy wahanie Miszy, podniósł nagle wzrok.

– Moja siostra zginęła w pożarze, ale przecież nie życzymy panu żadnych kłopotów – powiedział z nieprzyjemnym uśmiechem.

Misza spojrział na niego zdziwiony i poczerwieniał. Ile on, do diabła, wie?

Tak naprawdę Borys nie wiedział nic. Ale miał podejrzenia.

Policja umorzyła sprawę, uznawszy pożar za wypadek, jednak Borys nigdy się z tym nie pogodził. Wspomnienia o Natalii dręczyły go nieustannie. I im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej jego wątpliwości rosły.

Skoro to był przypadek, to dlaczego Natalię i Grigorija zamknięto w komórce? Dlaczego ktoś chciał ich zabić? – pytał. A kto mógł być mordercą? Ten rudowłosy szatan Popow. Nikt inny.

Nawet Timofiej przyznawał mu rację. Choć z jednym argumentem syna trudno było mu się zgodzić.

– W tym wszystkim jest drugie dno – przekonywał Borys. – Bo zastanów się tylko, ojcze. – Postukiwał palcem w stół. – Bobrow kazał schwytać Popowa, ale on nam się wymknął. Kto go ostrzegł? Na pewno Bobrow. Posłał okrężną drogą jakiegoś służącego albo nawet samego Nikołaja. I jak Popowowi udało się uciec, tak po prostu zniknąć? A do tego nikt nic nie mówi ani o pożarze, ani o Nikołaju. Bobrow coś przed nami ukrywa. Wie, kto podłożył ogień, wie, kto zabił moją siostrę, i być może wie też inne rzeczy.

Timofiej słuchał tego ze smutkiem, kręcąc głową.

– Nie mogę w to uwierzyć. A gdyby nawet tak było, to co my możemy zrobić?

I w tym tkwił największy szkopuł. Borysowi brakowało dowodów. Na policję nie poszedł, bo jeszcze wpakowałby się w kłopoty. Mijały kolejne miesiące, a jego ponure podejrzenia zamieniły się w obsesję. Nie daruje im tego. Gdy śniegi stopniały, podjął decyzję:

– Wyduszę z Bobrowa, co się da.

Teraz Misza poczerwieniał, ale szybko się opanował. Udało mu się zachować pozorny spokój. Ale jego umysł pracował gorączkowo.

Pożar... Ten chłop rzucił jakąś aluzję do pożaru. Ale jedynym przestępstwem Miszy było ukrycie listu, który dostał od Popowa i który nazywał winowajcę po imieniu. Czyżby Romanow o tym wiedział? Mało prawdopodobne. Z kamienną twarzą spojrzął na Borysa.

– Chyba cię nie rozumiem.

– I pan, i ja wiemy, kto to zrobił – powiedział Borys chłodno.

– Ja to wiem? Kogo masz na myśli? – spytał z lekkim uśmiechem, choć zauważył, że serce wali mu jak szalone. Naprawdę ten chłop coś wie?

– Ten rudowłosy diabeł Popow! – odparł Borys pewnym głosem.

Dzięki Bogu! Ten bezczelny Romanow blefował.

– A więc masz większą wiedzę niż ja – oznajmił Misza beznamytnie. – Ale ponieważ zachowujesz się niestosownie, muszę cię wyprosić. – Spojrzął groźnie na Borysa. – Jeśli jeszcze raz usłyszę coś na ten temat, złożę skargę na policji. – Odwrócił się plecami do Romanowa.

A ten wyszedł, czerwony ze złości.

Ta rozmowa stała się początkiem niewyrażonej wrogości między Bobrowami a Romanowami. Misza nie udzielił już żadnej pomocy Timofiejowi, po prostu ignorował jego istnienie.

Timofiej bardzo tego żałował.

– Po tym, co zrobiłeś, nie umiałbym mu spojrzeć w oczy – powiedział do syna.

Borys czuł się upokorzony, ale nie pozbył się podejrzeń. A im dłużej wszystko sobie przemyślał, tym bardziej się w nich utwierdzał. Bobrow się zaczerwienił, wspominał. Więc miał coś do ukrycia. I choć Borys nie umiał się we wszystkim połapać, nabierał coraz większego przekonania, że musiał istnieć jakiś spisek. Tamten przeklęty rudzielec, Bobrowowie, a nawet Suworinowie – wszyscy są w to zamieszani, uznał. Zabili Natalię.

Przepętniony złością, powziął dwa niewzruszalne postanowienia. Pierwszym podzielił się z ojcem.

– Pewnego dnia jeszcze spotkam na swojej drodze tego Popowa. A wtedy go zabiję.

Drugie postanowienie zachował w tajemnicy. Doprowadzę tego Bobrowa do ruiny, bo on zajmuje ziemię, która należy się nam, poprzysiągł sobie w duchu. Pozbędziemy się go stąd jeszcze za mojego życia. Zrobię to dla Natalii.

Tak oto Bobrowowie doczekali się śmiertelnego wroga.

Jednak ten podskórny niepokój nie mącił gładkiej powierzchni wiejskiego życia. Mijały kolejne miesiące i mogło się wydawać, że wydarzenia 1874 roku odeszły w zapomnienie. Najwyraźniej nikt już nie pamiętał rudowłosego Popowa. A w Rusce tylko z rzadka ktoś zadawał sobie pytanie, co też się stało z Piotrem Suworinem.

## Rewolucja

*Wrzesień 1881 roku*

Car nie żyje. Został zamordowany. Dziesięcioletnia dziewczynka nie mogła w to uwierzyć nawet teraz, kilka miesięcy po zamachu.

Skąd się biorą na świecie tacy podli ludzie? W ciągu ostatnich trzech lat zabito wiele osób – policjantów, urzędników, nawet gubernatora. A potem był zamach. I to na takiego dobrego człowieka jak Aleksander II, car reformator. Roza nie umiała tego pojąć.

Podobno stało za tym jakieś tajemnicze ugrupowanie. Nazwali się Wolą Ludu. Nikt nie wiedział, kim są ani ilu ich jest – może dwudziestu, a może tysięcy. Domagali się rewolucji, czyli zniszczenia rosyjskiego aparatu państwowego władającego całym narodem. Przez wiele miesięcy działacze Woli Ludu próbowali zabić cara, aż wreszcie im się udało, jakby chcieli powiedzieć: „Patrzcie, wasze państwo to tylko pozory. Nawet sam car jest wobec nas bezsilny”. Liczyli, że po śmierci nieszczęsnego władcy naród powstanie.

– Co tylko dowodzi, że nie mają o niczym pojęcia – oświadczył ojciec dziewczynki.

Bo nie wydarzyło się nic. Nie zbuntowała się ani jedna wioska, ani jedna fabryka. Reakcją na straszny zamach była głęboka rosyjska cisza. Na tronie zasiadł syn cara – trzeci Aleksander – który od razu zaprowadził porządek. Represje były surowe, aresztowano wielu rewolucjonistów, w niemal całym imperium wprowadzono stan wyjątkowy. Wola Ludu poniosła klęskę, do Rosji wrócił spokój.

Przynajmniej tak się wydawało. Dopóki nie doszło do kolejnych strasznych wydarzeń – niewytłumaczalnych i budzących przerażenie. I znów, nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich miesięcy, Roza nie mogła pojąć, skąd na tym świecie tyle nikczemności.

– W naszych stronach się nie pojawią – zapewniał ją ojciec.

Ale jeśli on się myli?

Było wczesne popołudnie – cicha pora w spokojnej wiosce na granicy lasu i stepu. Nawet wiejska droga opustoszała. Rodzice Rozy odpoczywali na piętrze solidnego, krytego strzechą domu. Jesień przyszła już jakiś czas temu, ale na Ukrainie wciąż było ciepło. Przez otwarte okno Roza widziała jabłonkę na podwórzu, dobiegał do niej słodki zapach wiciokrzewu.

Roza była śliczną dziewczynką. Jasna cera, owalna twarz, długa szyja i powolne, wdzięczne ruchy – wszystko to sprawiało, że mieszkańcy wioski nazywali ją łabędzią. Kruczoczarne włosy spływały na plecach grubym warkoczem. Miała długi nos i pełne usta, ale najbardziej uderzające były jej oczy. Świetliste, szaroniebieskie, z ciemnymi rzęsami, obramowane grubym łukiem czarnych brwi, patrzyły na świat poważnie jak oczy świętych na starych mozaikach.

Siedziała przy pianinie. Nie grała, ale utwór Czajkowskiego, który ćwiczyła przez cały poranek, wciąż dźwięczał w jej umyśle. Wpatrzona w błękitne niebo, przypominała sobie każdy fragment po kolei, dopóki nie była z siebie zadowolona.

Jedyna w całej wsi miała pianino. Wciąż pamiętała ten magiczny dzień, gdy dostarczono je na małej barce kursującej w górę rzeki. Ojciec oszczędzał na nie przez cały rok, a sprowadził je aż z Kijowa. Wszyscy sąsiedzi się zjawili, żeby popatrzeć, jak jej bracia z dumą wiozą to cudo do domu. Miała zaledwie siedem lat, gdy pewien kuzyn, muzyk, który akurat ich odwiedził, zobaczył w niej cudowne dziecko. Przez następny rok szkolny mieszkała u rodziny w Odessie nad Morzem Czarnym, gdzie było wielu świetnych nauczycieli muzyki. Dała nawet kilka koncertów i ludzie uważali, że zostanie profesjonalną pianistką.

– O ile zdrowie jej na to pozwoli – mówiła z przygnębieniem matka.

Niestety, choroba nękała Rozę nieustannie. Czasem dziewczyna musiała leżeć w łóżku przez cały dzień, choć bardzo pragnęła pójść do szkoły.

– Wyrośniesz z tego – zapewniał ją ojciec, a ona gorąco się o to modliła.

Chciała poświęcić się bez reszty muzyce.

Kiedy weszła do tego świata, inne sprawy straciły znaczenie. Czasem jej się wydawało, że muzyka jest wszystkim: że jest doskonała jak matematyka i nieskończona jak sam wszechświat. Muzyka była w drzewach, w kwiatach, w bezkresnym stepie, muzyka wypełniała niebo. Roza pragnęła jedynie się modlić i grać.

Jednak od kilku miesięcy dręczyło ją jedno pytanie. I to ono wprawiło ją dziś w stan smutnego zamyślenia.

Jeśli Bóg stworzył ten piękny świat, jeśli dał mu muzykę, a ona, Roza, została wybrana, by wypełnić ów wielki plan i grać na bożą cześć, to dlaczego jacyś źli ludzie chcą ją zabić?

Wygodne, kryte strzechą domy z bielonymi ścianami ciągnęły się przez półtora kilometra po obu stronach piaszczystej drogi na wschodnim brzegu rzeki. Przy kilku z nich, między innymi przy domu jej rodziców, rosły sady. Nad rzeką rozłożył się targ, a nieco dalej w dół strumienia stała gorzelnia. Na północy Rosji, gdzie osiedla były mniejsze niż na Ukrainie, taką wieś nazwano by miasteczkiem.

Wieś była bogata. Oprócz pszenicy, rosnącej na żyznym stepowym czarnoziemiu, uprawiano tu od niedawna buraki cukrowe i tytoń. Plony sprzedawano kupcom, którzy dostarczali je potem do czarnomorskich portów, a dzięki temu handlowi i obfitym zbiorom żyło się w wiosce dostatnio.

Dziadek Rozy przybył w te okolice, żeby prowadzić gospodarstwo. Umarł przed pięciu laty, a ziemię przejął po nim jej ojciec. Jako człowiek przedsiębiorczy handlował pszenicą i był przedstawicielem odeskiej firmy produkującej maszyny rolnicze, więc jej rodzina zaliczała się do najbogatszych we wsi.

Roza nie wiedziała, że dawno temu to osiedle nosiło nazwę Ruska.

Nic dziwnego, bo nazwę zmieniano już dwa razy, a z tamtych czasów przetrwało niewiele. O małym forcie na zachodnim brzegu przypominały jedynie niewielkie wzniesienia na trawie, a po spalonej przez Mongołów cerkwi nie pozostał żaden ślad. Zmienił się również krajobraz, bo przez stulecia wykarczowano wiele drzew, a na wschodnim brzegu rzeki nie było już nawet skrawka lasu. Sadzawka, w której mieszkały duchy, wyschła. Zniknął też las z pszczołami. Za ostatnim domem aż po horyzont rozpościerał się step, a z pradawnej przeszłości zachował się tylko stary kurhan.

Roza doszła na skraj wsi i zatrzymała się, patrząc na step. Świeciło blade słońce. Wysoko w górze białe obłoki sunęły wolno z zachodu, płynęły ponad brązowiejącymi trawami i znikwały na fioletowym horyzoncie.

Stała tak przez dłuższy czas, aż w oddali pojawił się wóz. Był to solidny pojazd, a siedziały w nim dwie osoby: potężny, tęgi mężczyzna z długimi czarnymi wąsami i szczupły, przystojny chłopak, także ciemnowłosy, starszy od Rozy zaledwie o rok. Taras Karpienko, jeden z kozackich chłopów, i jego najmłodszy syn Iwan.

Roza uśmiechnęła się na ich widok. Od kiedy pamiętała, bawiła się w Kozaków i rozbójników z synami Karpienki i innymi wiejskimi dzieciakami. A Iwan był jej ulubionym towarzyszem zabaw. Kilka lat wcześniej ojciec Rozy sprzedał Tarasowi jakiś sprzęt rolniczy, który okazał się bardzo przydatny, więc krzepki Kozak patrzył na ich rodzinę przychylnym okiem.

Był też inny powód, dla którego ojciec Rozy zyskał sympatię Tarasa.

Mogło się to wydawać dziwne, ale krępy chłop był siostrzeńcem wybitnego poety Karpienki, którego twarz o delikatnych rysach spoglądała z obrazów albo rysunków w kilku miejscowych domach. Taras był z tego niezwykle dumny i jednym tchem wymieniał nazwisko wuja i nazwisko najślawniejszego ukraińskiego poety Szewczenki. Dlatego gdy się dowiedział, że ojciec Rozy nie tylko ma tomik poezji Karpienki, ale też szczerze podziwia jego wiersze, a nawet zna kilka na pamięć, poklepał go po plecach. I gdy ktokolwiek w jego obecności wspominał o rodzinie Rozy, oznajmiał głośno:

– Bardzo porządny człowiek.

Co szalenie im się we wsi przydawało, a matka Rozy często kiwała głową, mówiąc:

– Twój ojciec jest niezwykle mądry.

Rzeczywiście był mądry. I wyróżniał się wśród innych, gdyż wiedza, która stała się podstawą więzi między nim a Tarasem, była już bardzo rzadka.

Kolejni carowie rządili na Ukrainie coraz twardszą ręką. Władcy Rosji lubili jednorodność, choć w tak wielkim imperium nie było o nią łatwo. W Polsce i na zachodnich terenach Ukrainy musieli tolerować katolików. A w miarę jak imperium rozrastało się na wschód, przybywało w nim coraz więcej muzułmanów. Więc w takim stopniu, w jakim to było możliwe, starano się wszystko rusyfikować. Samowładztwo, prawosławie, narodowość – liczyło się tylko to. I tak zatem w 1863 roku, z typową dla Rosji urzędniczą ślepotą, rząd ogłosił, że język ukraiński, którym posługiwała się większość mieszkańców na południu kraju, nie istnieje! W kolejnych latach zakazano książek i czasopism wydawanych po ukraińsku, zakazano ukraińskich teatrów, szkół, a nawet muzyki. Dzieła Szewczenki, Karpienki i innych bohaterów narodowych zniknęły. Intelktualiści pisali i mówili po rosyjsku. I choć na północy szkolnictwo się rozwijało, pod koniec XIX wieku osiemdziesiąt procent Ukraińców nie umiało pisać ani czytać. Carowie byli zadowoleni: na Ukrainie umilkły niepoprawne głosy. Nic więc dziwnego, że dumny Kozak Karpienko mówił czasem do ojca Rozy:

– Tak, przyjacielu, przynajmniej my dwaj wiemy, jak się rzeczy mają.

Taras i Iwan przywitali ją życzliwie: chłopak wesołym uśmiechem, a jego ojciec także skinieniem głowy. Ten widok podniósł Rozę na duchu.

Oni tu nie przyjdą. Nie mam się czego bać, pomyślała.

Bo Roza Abramowicz była Żydówką.

Zanim sto lat wcześniej Katarzyna Wielka zajęła większość terytorium Polski, w imperium mieszkało niewiele Żydów. Jednak po zdobyciu ziem na zachodzie, w Rosji pojawiła się liczna społeczność żydowska.

Jej korzenie trudno wyśledzić, bo historia diaspory jest pogmatwana i mało znana. Rosyjscy Żydzi pochodzili z Niemiec, ze śródziemnomorskich i czarnomorskich portów, a jakaś część z pewnością miała przodków wśród tureckich Chazarów, którzy zawędrowali do południowo-wschodniej Europy. Zatem o ich rodowodzie można jedynie powiedzieć, że był bardzo różnorodny.

Wszyscy jednak wierzyli w jedyne Boga Izraela.

Na ogół spotykali się z wrogiem przyjęciem. Jedni uważali ich, tak samo jak katolików, za przebiegłych oszustów; inni, jak choćby starowiercy, widzieli w nich przede wszystkim religijną zatwardziałość. Żydzi budzili powszechną podejrzliwość, bo nie byli ani chrześcijanami, ani Słowianami. W carskim imperium stanowili element buntowniczy, więc należało ich kontrolować i rusyfikować. Dlatego w 1833 roku car wydał dekret, który pozwalał Żydom zamieszkiwać tylko na wyznaczonym terenie: w żydowskiej strefie osiedlenia.

Strefa ta nie była gettem. Jej terytorium obejmowało Polskę, Litwę, Ruś Białą i znaczną część Ukrainy, w tym czarnomorskie porty – czyli tereny już wcześniej zamieszkiwane przez Żydów. Chociaż cel tego dekretu był jasny – uniemożliwienie Żydom przenoszenia się na ziemie prawosławne na północy Rosji – nie egzekwowano go zbyt surowo, więc zarówno w Moskwie, jak i w Petersburgu zachowały się dość liczne społeczności żydowskie.

Żydzi mieszkali głównie w małych miastach albo w tradycyjnych sztetlach. Zazwyczaj porozumiewali się ze sobą w języku jidysz. Zajmowali się handlem i rzemiosłem, wielu biedowało i musiało korzystać ze wsparcia współziomków. Ale byli też tacy – jak ojciec Rozy – którzy mieszkali w zwykłych wsiach, gdzie uprawiali ziemię.

Jednak wciąż uważano ich za obcych. I ten problem należało rozwiązać. Kolejne carskie rządy miały na to tylko jedną odpowiedź: niech się nawrócą.

Reżim posługiwał się w tym celu wieloma formami nacisku: Żydzi płacili dodatkowe podatki, ich system samorządności – kahały – zdelegalizowano, niesprawiedliwy sposób liczenia głosów ograniczał reprezentację Żydów w lokalnych wyborach. Owszem, przyjmowano ich do szkół, ale potem zachęcano do przejścia na chrześcijaństwo, wcielano do armii i bito, gdy nie chcieli się na to zgodzić. I chociaż osoby o żydowskich korzeniach wciąż budziły podejrzliwość, to w oczach władz każdy Żyd, który przeszedł na prawosławie, stawał się uczciwym Rosjaninem.

Taka polityka odnotowywała pewne sukcesy: wielu Żydów zmieniło wiarę. Zaczął się też proces stopniowej asymilacji: wśród młodego pokolenia zrodził się liberalny ruch pod nazwą „haskala”, którego zwolennicy twierdzili, że Żydzi powinni aktywniej uczestniczyć w życiu społecznym. Roza dowiedziała się o tym od starszego brata, który się ożenił i mieszkał w Kijowie.

– Jeśli Żydzi chcą coś osiągnąć w Imperium Rosyjskim, muszą chodzić do rosyjskich szkół i uczyć się na rosyjskich uniwersytetach. Musimy się włączyć do

społeczeństwa. Przecież od tego nie przestaniemy być Żydami.

Jednak jej ojciec zapatrywał się na to sceptycznie. Bo choć nie podzielał poglądów wielu ortodoksyjnych Żydów, którzy izolowali się od świata gojów, to na haskałę spoglądał krzywym okiem.

– To jak wejście na równię pochyłą – mówił stanowczo. – Najpierw zrównacie świeckie wykształcenie z wykształceniem religijnym i szybko się okaże, że świecki świat jest ważniejszy od religii. A potem religia pójdzie w zapomnienie. Zostaniecie wtedy z niczym.

Roza przyznawała mu rację. Słyszała już o wielu liberałach, którzy nie byli wcale lepsi od ateistów. Dlatego jej rodzina, zachowując dobre stosunki z ukraińskimi sąsiadami, ściśle przestrzegała nakazów swojej religii. Obaj bracia Rozy otrzymali religijne wykształcenie, a młodszy doszedł do najwyższego szczebla, uczył się w jesziwie. Kiedyś mógł nawet zostać rabinem.

Jednak ojciec uczynił od swoich surowych zasad jeden wyjątek, za co Roza była wdzięczna Bogu. „Nauka muzyki w rosyjskiej szkole to co innego” – powtarzał. Muzyka nie narusza wiary. Za to w Rosji jest dla Żyda najlepszą drogą do sukcesu.

Oni tu nie przyjdą. Nie mają powodu. Przecież wioska leży na odludziu. A my nie zrobiliśmy nikomu nic złego.

Zdawała sobie sprawę z wrogości pomiędzy swoim ludem a Ukraińcami. Ukraińcy pamiętali, że Żydzi byli kiedyś pełnomocnikami polskich panów. A mieszkali zazwyczaj w miasteczkach, nie na wsi – byli więc obcymi heretykami. Z kolei w oczach Żydów Ukraińcy byli nie tylko pogardzanymi gojami, ale także – i to w większości – niepiśmiennymi chłopami. Mimo to udało się żyć bez konfliktów, gdyby nie jeden czynnik: liczby.

Może w tradycji żydowskiej leżało posiadanie liczego potomstwa; może samopomoc wspólnoty pozwalała ocalić życie wielu dzieci; może ich szacunek dla wiedzy sprawiał, że zwracali uwagę na higienę i korzystali z pomocy lekarzy – powodów mogło być wiele. W każdym razie o ile w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat liczba ludności na Ukrainie wzrosła dwuipółkrotnie, o tyle liczba ludności żydowskiej powiększyła się ponad osiem razy. I rozległ się krzyk: Żydzi odbiorą nam pracę i doprowadzą nas do nędzy!

W tym roku wybuchły pierwsze niepokoje. Nikt nie wiedział, gdzie się zaczęły. „Gdy ludzi ogarnia złość, byle iskra może rozniecić pożar” – tłumaczył Rozie ojciec. Jednak bez względu na to, jaki był prawdziwy powód, w tym samym roku, w którym zamordowano cara, na południu kraju doszło do pierwszych zamieszek i świat poznał złowieszcze słowo „pogrom”.

Ale przecież nie tutaj. Nie w tej cichej wiosce na granicy lasu i stepu. Z tymi myślami Roza wracała do domu.

Wokół pojawiło się już więcej ludzi, ale wciąż było spokojnie. Znajdowała się w połowie drogi, gdy zauważyła małą grupkę. Nic szczególnego, dwie sąsiadki i trzech mężczyzn wyglądających na obcych. Stali przed jej domem. Z tej odległości wydawało się, że się kłócą. Zauważyła też, że zbliżają się do nich dwaj inni wieśniacy. Chwilę później w drzwiach ukazał się ojciec.

Miał na sobie długi czarny chałat i okrągły kapelusz z szerokim rondem. Po obu stronach twarzy zwisały mu dwa czarne loki, ale gęsta broda była już siwa. Zaczął grozić surowo palcem. Mówi wieśniakom, żeby sobie poszli, pomyślała z uśmiechem.

I wtedy usłyszała. Pojedynczy okrzyk, który przeleciał echem wzdłuż drogi i od którego zrobiło jej się zimno.

– Parchy!

Zaczęła biec.

Zanim się znalazła przy ojcu, już go poszturchiwali. Jeden z mężczyzn stracił mu kapelusz, inny splunął na ziemię. Dwaj wieśniacy próbowali opieszale ich powstrzymać, ale szybko się wycofali. Boją się trzech obcych? – pomyślała Roza ze zdziwieniem, ale zrozumiała wszystko, gdy chwilę później spojrzała w dół drogi.

Zobaczyła tam sześć wozów. Właśnie minęły mostek na rzece. Przybyło z nimi prawie pięćdziesięciu mężczyzn – jedni jechali, inni szli obok pieszo. Niektórzy mieli w rękach pałki. Kilku wyglądało na pijanych.

Spojrzała na ojca. Starając się zachować resztki godności, podniósł kapelusz. Trzej obcy przyglądali mu się uważnie. Ojciec miał pięćdziesiąt lat, był raczej delikatnej postury, o pociągłej twarzy i dużych oczach, tak jak ona. Szukając jakiejś pociechy, instynktownie chciała go wziąć za rękę, ale dostrzegła ze zdumieniem, że jest tak samo przerażony jak ona. Co mają robić? Schować się w domu? Dwaj mężczyźni już zachodzili ich od tyłu. Tłum na wozach był coraz bliżej. Roza zauważyła, że matka wyszła z domu i nie zwracając uwagi na ostrzegawcze sygnały ojca, stanęła obok. Gdyby tylko bracia byli z nami, przemknęło dziewczynie przez myśl. Ale obaj wyjechali do Kijowa. Rozejrzała się bezradnie.

Otoczył ich tłum. Roza patrzyła na ich twarze. Jedni mieli złowrogie miny, inni spoglądali z głupkowatym tryumfem. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Wreszcie ojciec przerwał ciszę.

– Czego chcecie?

Trudno było stwierdzić, czy przyjezdni mają jakiegoś przywódcę, ale jeden z nich, z ciemną brodą, wysunął się do przodu.

– Nic szczególnego, Żydzie. Chcemy tylko spalić twój dom.

– I dać ci parę batów! – krzyknął ktoś, wzbudzając głośny śmiech.

Zauważyła, że ojciec drży, choć próbuje zachować spokój.

– A co ja wam takiego zrobiłem?

Rozległ się chór drwin.

– A mało tego było?

– Lepiej powiedz, co zrobiłeś Rosji, gudłaju!

– Przekłęci żydowscy spekulanci! Lichwiarze!

Ale dopiero kolejny okrzyk, gdzieś z tyłu, sprawił, że Roza zbladła przerażona.

– A kto pije krew naszych dzieci?

Już wcześniej słyszała to potworne oskarżenie. „Dawno temu – tłumaczył jej ojciec – głupi ludzie zarzucali Żydom najdziwniejsze rzeczy. Mówili nawet, że zabijamy chrześcijańskie dzieci i pijemy ich krew. – Było to haniebne, wywodzące się ze średniowiecza tak zwane oszczerstwo krwi. – Prości ludzie w to wierzą”.



Przerażające, że te słowa padły właśnie teraz.

Inny głos zdziwił ją jeszcze bardziej. Oto przez tłum przedarł się niski starzec z całkiem łysą głową i siwą brodą. Wskazując palcem na ojca Rozy, ryknął:

– Nie oszukasz nas, Żydzie! Wiemy, kim jesteś. Zdrajcą, zabójcą cara. Jesteś rewolucjonistą!

Odpowiedział mu głośny aplauz.

Niewiarygodne. To był chyba najbardziej absurdalny zarzut, jaki mógł paść pod adresem jej ojca.

Wiedziała, że wśród Żydów są rewolucjoniści. Kilka lat wcześniej grupka radykalnych studentów żydowskiego pochodzenia dołączyła do ruchu, który podczas słynnego „wejścia w lud” w 1874 roku próbował szerzyć rewolucję wśród chłopów. Studenci ci wyznawali najbardziej skrajne poglądy dotyczące asymilacji ze świecką częścią rosyjskiego społeczeństwa. Niektórzy przeszli nawet na prawosławie – nie z powodów religijnych, ale żeby być bliżej chłopów i przeciągnąć ich na swoją stronę. I właśnie takich młodych ludzi ojciec Rozy, podobnie jak większość konserwatywnych Żydów, z serca nienawidził. Ich życie, ostrzegał swoje dzieci, pokazuje dobitnie, co się dzieje z tymi, którzy oddalają się od swojej religii. „Bo my zawsze będziemy posłuszni prawu i będziemy wspierać cara – zapewniał. – Car jest naszą jedyną nadzieją”. Rzeczywiście przed śmiercią car reformator zniósł niektóre ograniczenia nałożone na Żydów. Dlatego w owych czasach powinno się raczej uznać ich za konserwatystów. Tylko że takie argumenty nie mogły trafić do tłuszczy.

Otoczający Abramowiczów mężczyźni tydzień wcześniej spalili kilka żydowskich domów w Perejasławiu, a teraz objeżdżali okoliczne wsie, szukając kolejnej awantury.

– Czas zaczynać! – zawołał jakiś głos.

Odpowiedział mu śmiech.

Potężny mężczyzna z ciemną brodą i łysy starzec podeszli do ojca. Roza spojrzała dookoła. Chciała krzyknąć.

Nagle w odległości dwudziestu metrów pojawił się skrzypiący wóz, a na nim potężna postać Tarasa Karpieńki i jego syna. Obaj Kozacy od razu ich dostrzegli.

– Dzięki Bogu. – Roza usłyszała szept matki. – On nas uratuje.

Karpieńko się nie spieszył. Powoli jechał wozem. Tłum się rozstał, żeby go przepuścić. Z bujnymi wąsami i barczystą sylwetką Taras sprawiał władcze wrażenie. Znalazłszy się na skraju kręgu otaczającego żydowską rodzinę, zatrzymał wóz i spojrzał pytająco na brodatego mężczyznę.

– Dzień dobry – zagadnął przyjacielsko. – Co tu się dzieje?

Chłop wzruszył ramionami.

– Nic takiego. Dajemy temu Żydowi nauczkę.

Karpieńko pokiwał głową.

– To całkiem porządny człowiek – powiedział ugodowo.

Dzięki ci, Boże, żeś sprowadził tu tego Kozaka. Roza spojrzała na niego z nadzieją. On na pewno rozpedzi tych ludzi. Poczula taką ulgę, że zrazu uszła jej uwagi dalsza część rozmowy.

– Porządny, ale Żyd – upierał się chłop.

– To prawda. – Karpienko rozejrzał się dookoła. – Co macie zamiar zrobić?

– Dom spalić, a jego wychłostać.

Karpienko znów skinął głową, spoglądając ze smutkiem na ojca Rozy.

– Obawiam się, mój przyjacielu – zaczął – że czekają cię ciężkie chwile.

Co on wygaduje? Roza patrzyła na niego z niedowierzaniem. Co to znaczy? Przecież ojciec się z nim przyjaźni, ona bawiła się z jego dziećmi w Kozaków i rozbójników, a on nie chce im pomóc? A teraz bierze lejce i zawraca konia! Zostawia ich.

Oczy zaszły jej mgłą, poczuła nagłe mdłości, miała wrażenie, że otwiera się przed nią wielka lodowata otchłań, szeroka jak ocean.

On jest po ich stronie!

– Ojczy! – To krzyczał Iwan.

Roza zamruwała, mgła łez zrzędała. Spojrzała na Iwana. Chłopak był blady, drżał. Stał na wozie wyprostowany. Był szczupły, niemal kruchy, a jednocześnie biła z niego taka pasja, jakby miał w sobie niezwykłą moc. Patrzył z góry na potężnego ojca.

– Nie możemy tego zrobić!

Powoli, wręcz niechętnie, Karpienko zwrócił się do ciemnobrodego chłopca.

– Oni pojedą z nami – powiedział ponuro.

– Hej, Kozaku, nas jest pięćdziesięciu! – wrzasnął łysy starzec. – Nic nam nie zrobisz.

Ale Taras Karpienko, choć obrzucił wzrokiem tłum, pokręcił jedynie głową.

– Jestem winien temu Żydowi osobistą przysługę – powiedział z zakłopotaniem.

Skinął na Rozę i jej rodziców, by wsiedli na wóz.

– I ty nazywasz siebie Kozakiem? Żydowski sługus! Twoje gospodarstwo też puścimy z dymem! – wrzeszczał starzec.

Ale Abramowiczów nikt nie zatrzymywał.

– Obawiam się, że spalą wasz dom – zwrócił się Karpienko obojętnym tonem do ojca Rozy. – Ale przynajmniej oszczędziłem ci batów. – Potrząsnął lejcami i wóz ruszył powoli wzdłuż drogi.

Gdy wyjeżdżali z wioski, Roza obejrzała się za siebie. Przybysze wybijali szyby w oknach. Łysy starzec wszedł do domu z płonąca pochodnią. Spalą moje pianino, pomyślała, ojciec oszczędzał przez cały rok, żeby je kupić. Spojrzała na niego. Trząsał się na całym ciele. W oczach miał łzy, matka obejmowała go ramieniem. Nigdy nie widziała, żeby jej ojciec płakał. I w tej chwili poczuła, że kocha go jak nikogo na świecie.

Jej myśli wróciły do Karpienków. To Iwan ich ocalił. Nigdy mu tego nie zapomni.

Ale też nigdy nie zapomni, że jego ojciec chciał ich zostawić na pastwę losu. Przypomniały jej się dawne słowa własnego ojca: „Pamiętaj, Rozo, jako Żydówka nie możesz nikomu ufać”. Ta przestroga miała jej się wryć w pamięć na całe życie.

*Grudzień 1891 roku*

Nikołaj Bobrow tłumaczył sobie, że nie powinien się martwić na wyrost.

List od ojca był niepokojący, to prawda. Na dodatek wzbudził w nim poczucie

winy. Ale gdy już będę na miejscu, na pewno coś zaradzę, pocieszał się w myślach. Mimo to westchnął.

Czekała go długa, samotna podróż. Gdy kryte sanie wiozły go ulicami Petersburga na stację, wyglądał z zadowoleniem przez okienko. Kochał to potężne miasto. Nawet w pochmurny dzień, taki jak dzisiaj, zalewała je blada, świetlista poświata. Należało też przyznać, że Nikołaj Bobrow był człowiekiem pogodnym z natury.

Jak prawdziwy zachodni dżentelmen, miał na sobie surdut, nieco krótszy niż te noszone kilka dekad wcześniej, z rozcięciem z tyłu. Dość wąskie spodnie z bardzo grubego płótna następnemu pokoleniu wydałyby się nieco nieporządne, kanty bowiem dopiero miały się stać modne. Wypolerowane buty aż lśniły. Klatkę piersiową przecinał złoty łańcuszek kieszonkowego zegarka. Pod kołnierzykiem białej koszuli Nikołaj miał luźno przewiązany wąski jedwabny fular, który dodawał mu nieco artystowskiego wyglądu. Jedynymi prawdziwie rosyjskimi elementami jego ubioru były grube palto z futrzanym kołnierzem, które rozpiął w saniach, oraz leżąca obok na siedzeniu futrzana czapka.

Nikołaj Bobrow miał trzydzieści siedem lat. Włosy i spiczasta bródka przedwcześnie mu posiwiały. Nos się nieco zakrzywił, wyraźniej przypominając o tureckich korzeniach, ale na twarzy nie było widać zmarszczek, za to zachował się na niej ten sam wyraz zaciekawienia jak w czasach, gdy Nikołaj jako student próbował przekonać chłopów do nowego świata.

Jakże dalekie wydawały mu się tamte dni! Dziś był ojcem rodziny. Miał córkę, starszego syna, który po dziadku otrzymał imię Michaił, oraz młodszego, zaledwie rocznego Aleksandra. To jego zdjęcie nosił z dumą w kieszeni. A pytany o poglądy polityczne odpowiadał ogólnie: „Jestem liberałem”.

W zasadzie było oczywiste, że jego młodzieńcza rewolucyjna zapalczywość szybko minie. Nigdy nie zapomniał upokorzenia zaznanego w 1874 roku.

– Chłopów mało to obchodziło – stwierdził.

Czuł się też zdradzony przez Popowa.

– To zwykły oportunistą, który zrobił ze mnie głupca – wyznał rodzicom.

A gdy kilka lat później terroryści dokonali zamachu na cara, pokręcił ze smutkiem głową.

– Car jest lepszy niż chaos – stwierdził. I dodał: – Pewnego dnia Rosja będzie wolnym, demokratycznym krajem. Ale prawdę powiedziawszy, na razie nie jesteśmy na to gotowi. Może za jedno pokolenie albo dwa.

I do tej pory, dzięki Bogu, w Rosji panował spokój.

Bo spokój musiał zapanować. Po śmierci ojca nowy car Aleksander III podjął zdecydowane działania. Zbrodnicze przywództwo Woli Ludu zostało zdemaskowane i unicestwione. Stary reakcjonista, hrabia Dmitrij Tołstoj, powrócił jako minister spraw wewnętrznych i szybko utworzył specjalną służbę policyjną w liczbie stu tysięcy żandarmów. Niemal całe imperium objął stan wyjątkowy nakazany przez carskie tak zwane tymczasowe regulacje. Obowiązywały one już od dziesięciu lat, ale przecież – jak mawiał Nikołaj – „gdy nasi władcy robią coś dobrego, zapewniają, że to na zawsze, a potem odwołują. Ale gdy wprowadzają złe prawo, mówią, że to na jakiś czas, a prawo

zostaje”.

Wprowadzono cenzurę i paszporty uprawniające do podróży po kraju; zakazano wszelkich organizacji studenckich; we wsiach ustanowiono nowych urzędników, tak zwanych kapitanów ziemskich, którzy mieli za zadanie wymierzać chłopom sprawiedliwość z pominięciem niezależnych sądów. A najtrafniejszą wykładnią oficjalnego stanowiska były słowa prokuratora Świątobliwego Synodu, który zapytany o rolę rządu w szkolnictwie odpowiedział: „Chodzi o to, by ludzie nie mieli żadnych nowych pomysłów”.

Rosja zamieniła się w państwo policyjne. Mimo to Nikołaj myślał czasem, że tak jest lepiej. Przynajmniej zapanował porządek. Owszem, tu i ówdzie wybuchały strajki, na południu dochodziło do pogromów. Takich rzeczy nikt nie pochwalał. Ale nie było już zamachów. Gdy patrzył przez okno na zimowe miasto, nawiedziła go nagła myśl, do której aż się uśmiechnął.

Można przecież powiedzieć, że od dziesięciu lat rosyjskie imperium jest pokryte śniegiem. Zima była długa i sroga. Śnieg zasypał wszystko. Ludzie pewnie narzekali na ten rosyjski bezruch, ale śnieg chronił też ziemię. Dzięki niemu delikatne ziarenka mogły przetrwać najgorsze zamiecie i wichury. Może Rosja, skryta pod grubą pokrywą carskich rządów, przygotowuje się do nowej, zupełnie innej przyszłości w nowoczesnym świecie. A gdy nadejdzie odpowiedni moment, nastanie piękna rosyjska wiosna. To porównanie bardzo mu się spodobało.

Sanie przejeżdżały przez zamarznąłą Newę. Naprzeciwko stał Pałac Zimowy; po lewej stronie wąska wieżycza soboru Świętego Piotra i Świętego Pawła lśniła w bladym świetle. Na środku lodu stała niezwykła konstrukcja: ogromne drewniane rusztowania, wysokie na ponad piętnaście metrów, ze stromym oblodzonym torem do zjeżdżania. Lodowa góra, jak nazywali ją mieszkańcy, była jednym z ulubionych miejsc rozrywki. Teraz też Nikołaj zauważył tam dwie pary pędzące na małych saneczkach w dół. Uśmiechnął się, słysząc radosne okrzyki. Może i mamy państwo policyjne, ale życie w stolicy bywa przyjemne.

Po paru minutach byli już na południowym brzegu i minawszy pałac, skręcili w szeroką aleję Newskiego Prospektu. Nikołaj znów się uśmiechnął.

„Ulica Tolerancji”, tak dziś nazywano tę promenadę. Stały na niej, niemal obok siebie, świątynie holenderskich kalwinistów, niemieckich luteranów, rzymskich katolików i Ormian oraz wiele cerkwi prawosławnych. Przy bocznych ulicach funkcjonowały słynne sale koncertowe, teatry i niezwykle modny Klub Angielski. W sklepie carskiego cukiernika można było kupić czekoladki, których poprzedniego dnia nie zjedzono w Pałacu Zimowym.

Nikołaj mieszkał w Petersburgu od prawie dziesięciu lat. Nie był bogaty, ale synekura w jednym z ministerstw, gdzie musiał się stawiać tylko raz w tygodniu, zapewniała mu dochody pozwalające na godne życie. Należał do Klubu Jachtowego, w którym gotował doskonały kucharz z Francji. Często zabierał żonę do jednej z czterech petersburskich oper, gdzie wystawiano dzieła nie tylko europejskich kompozytorów, ale także genialnych rosyjskich twórców, którzy w ciągu ostatnich dziesięcioleci zadziwili świat: Czajkowskiego, Musorgskiego, Borodina i Rimskiego-Korsakowa. Chodzili też do

Teatru Maryjskiego na najlepsze przedstawienia baletowe. Lato spędzali całą rodziną w wynajmowanym domu nad Zatoką Fińską. A raz w roku Nikołaj kupował żonie prezent u słynnego jubilera Fabergé, który nie tylko wykonywał w swojej pracowni słynne jaja wielkanocne dla cara, ale też miał na sprzedaż drobną biżuterię, w sam raz na skromną kieszeń takich ludzi jak Bobrow.

Prawdę mówiąc, w 1891 roku w Petersburgu człowiek o otwartym umyśle – a Nikołaj mógł się do takich zaliczać – nie miał większych powodów do zmartwień o przyszłość.

Mimo to ponagląjące wezwania ojca go zaniepokoiły.

Tego roku w całej Rosji plony były złe. W Petersburgu nikt się jeszcze nie skarżył na zaopatrzenie, ale dochodziły wieści, że w centralnych guberniach, zwłaszcza na wsi, brakuje żywności.

– Nie ma powodów do obaw – uspokajał go znajomy z odpowiedniego ministerstwa. – Już organizujemy pomoc. Mamy nad wszystkim pieczę.

Dlatego Nikołaj z pewnym zdziwieniem przeczytał otrzymany przed tygodniem list od ojca.

„Mówiąc szczerze, kochany synu, sytuacja w okolicznych wioskach jest rozpaczliwa, a będzie jeszcze gorzej. Robimy co w naszej mocy, ale moje zdrowie już nie takie jak dawniej, więc z trudem sobie radzę. Dlatego jeśli tylko możesz, to, na miłość boską, przyjeżdżaj”.

Poczuł wyrzuty sumienia, uświadomiwszy sobie, że od dwóch lat nie odwiedził rodziców. Choć zapewne ojciec przesadza. Mimo to Nikołajowi towarzyszyły złe przeczucia, gdy tego pochmurnego grudniowego dnia wyruszał do Ruski.

Syk pary, gwizd i posapywanie rytmiczne niczym dźwięk werbla – wkrótce pociąg sunął przez przedmieścia ku zaśnieżonym pustkowiom.

Pociąg pospieszny Petersburg–Moskwa. W bogato tapicerowanych i wykładanych piękną boazerią wagonach można było jeść i spać w luksusie niespotykanym w żadnej innej kolei. Jaką rozkoszą było wsłuchiwać się w szum samowara przygotowanego w każdym wagonie i patrzeć przez okno, gdy pociąg pędził po torach przecinających bezkresną równinę.

Według Nikołaja przyszłość należała do kolei. Rząd obecnego cara, choć nazywany czasem reakcyjnym, rozpoczął w tym roku wielkie, śmiałe przedsięwzięcie: budowę linii kolejowej z Moskwy do oddalonego o tysiące kilometrów Władywostoku nad Pacyfikiem. Kolej Transsyberyjska. Czegoś takiego jeszcze świat nie widział.

Oto nowa Rosja, świat, który zbliżał się wielkimi krokami. Rosyjski chłop – muzyk w wiejskiej chałupie – wciąż był biedny i zacofany jak w średniowieczu, nowo podbite plemiona z azjatyckich pustyń wciąż tkwiły w epoce Czyngis-chana i Tamerlana, ale na powierzchni tego rozległego prymitywnego imperium nowy świat rozwijał stalowe wstęgi. Na dalekich pustyniach na północ od Mongolii wydobywano ogromne ilości węgla. Na ponurych pustkowiach wschodniej Syberii eksploatowano złoto. Napływał francuski i niemiecki kapitał, który miał sfinansować gigantyczne projekty rządowe. Rosja dopiero pokazywała, jak wielkie są jej zasoby.

I o to właśnie chodziło. Nikt nie wątpił w jej militarną potęgę. Upokorzenie

doznane podczas wojny krymskiej odeszło w niepamięć. Choć dwadzieścia lat wcześniej Rosja sprzedała Alaskę Stanom Zjednoczonym, to nadal zajmowała większą część równiny eurazjatyckiej, od Polski po Ocean Spokojny. Drżało przed nią Imperium Osmańskie. Imperium Brytyjskie patrzyło na jej marsz na wschód z ostrożnym respektem; chwiejące się Cesarstwo Chińskie zgadzało się na wszelkie ustępstwa, Japonia chętnie nawiązywała handel i współpracę. A teraz, stopniowo, korzystając z własnych bogactw, poprowadzimy nasz naród ku nowoczesności, myślał z radosną nadzieją Bobrow.

Siedział samotnie w wagonie restauracyjnym. Właśnie podano mu bliny z kawiozem i kieliszek wódki. Stół nakryto dla czterech osób, lecz krzesła były puste. Co za nuda nie mieć z kim porozmawiać!

Gdy więc kelner zapytał, czy mogą się do niego dosiąść dwaj panowie, Nikołaj skinął przyzwalająco głową i spojrzał zaciekawiony na zapowiedzianych towarzyszy podróży.

Mężczyźni zajęli swoje miejsca, prawie na niego nie patrząc. Jeden z nich miał dziwny wygląd. Drugim był Jewgienij Popow.

Nikołaj nie mógł się mylić – te same rude włosy, te same zielonkawe oczy. Nie zmienił się, jedynie w jego twarzy pojawiła się dojrzałość, twarda siła świadcząca, że musiał wiele wycierpieć. Zauważywszy, że Nikołaj mu się przygląda, odwzajemnił spojrzenie.

– O, Nikołaj Michajłowicz! Dawno się nie widzieliśmy – powiedział bez uśmiechu.

Dziwne. Choć nie widzieli się od siedemnastu lat, Nikołaj się spodziewał, że jego dawny przyjaciel będzie zakłopotany. W końcu cynicznie go wykorzystał i wyłudził od jego ojca pieniądze. Jednak Popow najwyraźniej nie miał wyrzutów sumienia. Patrząc spokojnie na Nikołaja, zapytał, dokąd się wybiera.

– Ach, do Ruski – powiedział zamyślony, usłyszawszy odpowiedź. Po czym zwrócił się do współtowarzysza: – Suworin ma tam swoje fabryki.

Dopiero teraz Nikołaj przyjrzał się drugiemu mężczyźnie. Jegomość o dziwnym wyglądzie liczył sobie może dwadzieścia kilka lat, ale rudawe włosy mocno mu się już przerzedziły. Miał spiczastą bródkę. Jego ubranie i sposób zachowania wskazywały, że pochodzi z drobnej szlachty i zapewne zamierza zrobić karierę jako niższy urzędnik.

Ale co za dziwna twarz!

– Władimir Iljicz Uljanow – przedstawił go Popow. – Właśnie zdał egzaminy z prawa w Petersburgu.

Młody prawnik skinął uprzejmie głową, obdarzając Nikołaja ponurym uśmiechem.

Uljanow? Skąd Nikołaj zna to nazwisko? Mimo rudych włosów mężczyzna miał zdecydowanie azjatyckie rysy. Kopulasta głowa, wydatne kości policzkowe, dość szeroki nos i usta oraz niewątpliwie mongolskie oczy. Nie wyglądał na Rosjanina. Ale to nazwisko... dlaczego brzmiało znajomo?

Oczywiście! Aleksander Uljanow. Cztery lata wcześniej student o tym samym nazwisku był zamieszany w nieudany spisek i zamach na cara. Pojedyncze przedsięwzięcie kilku narwanych głupców. Ale nieszczęsny młodzieniec nie chciał wyrazić skruchy i przypłacił to życiem. Nikołaj, przypomniawszy sobie własną

rewolucyjną młodość, aż zadrżał w duchu. On też byłby do czegoś takiego zdolny? Uljanow. Tak, to była szanowana rodzina: ojciec pracował jako kurator szkolny, ale powiodło mu się na tyle, że zdobył stanowisko dające rodzinie dziedziczne szlachectwo. Ciekawe, czy ten młody człowiek jest z nimi spokrewniony.

Przez pierwsze minuty rozmowa toczyła się niemrawo. Nikołaj był ciekaw, czym jego dawny przyjaciel obecnie się zajmuje, ale Popow udzielał wymijających odpowiedzi, Uljanow zaś zadawała się milczeniem. Nikołaj wywnioskował, że Jewgienij spędził jakiś czas za granicą, ale to wszystko.

Nie chciał jednak tracić takiej okazji. On na pewno coś knuje, pomyślał. A potem znów tajemniczo zniknie na kolejne dwadzieścia lat. Dlatego po kilku zawołanych pytaniach odważył się na szczerość.

– Powiedz mi, Jewgieniju, nadal działasz na rzecz rewolucji? Kiedy ona nadejdzie?

Zauważył, że Uljanow spogląda niepewnie na Popowa, a ten wzrusza ramionami. Żaden się jednak nie odezwał. Chwilę później Uljanow wstał i zostawił ich samych.

– Interesująca postać – rzucił Bobrow przyjaźnie. – Skąd pochodzi?

– Z małego nadwołżańskiego miasta na wschodzie. Ma tam nawet majątek, ale niewielki, z kilkoma biednymi chłopami. – Popow uśmiechnął się kwaśno. – Więc teoretycznie jest właścicielem ziemskim i szlachcicem. Znasz to nazwisko?

Nikołaj wspomniał o skazanym na śmierć studencie.

– Właśnie. To jego brat. Rodzina była zdruzgotana. Władimir przeżył wstrząs.

– Czy on też jest zamieszany w podobne spiski?

Popow się uśmiechnął.

– On jest znacznie bardziej ostrożny.

Nikołaj wspomniał o azjatyckich rysach prawnika, na co Popow skinął głową.

– Owszem. O ile wiem, rodzina jego matki ma korzenie niemieckie i szwedzkie, ale ojciec z pewnością pochodzi z azjatyckiego ludu Czuwaszów.

Oczywiście. Powinien był się tego domyślić po kolorze włosów. Czuwasze byli pradawnym plemieniem osiadłym nad Wołgą, rudowłosi trafiali się wśród nich często.

– Tak myślałem, że nie jest Rosjaninem – powiedział Nikołaj.

– Bo nie jest. W jego żyłach nie płynie ani kropla rosyjskiej krwi.

– A co cię z nim łączy? – spytał Bobrow.

Przez chwilę Popow patrzył na niego obojętnie. A potem mruknął cicho:

– Powiem ci jedno, Nikołaju, takiego człowieka jak on nigdy wcześniej nie spotkałem.

W tym momencie Uljanow wrócił, więc musieli przerwać tę interesującą rozmowę. Szkoda, bo Nikołaja bardzo zaciekawił milczący prawnik-ziemianin czuwaskiego pochodzenia. Jednak jego rozczarowanie nie trwało długo.

– Pytałeś, Nikołaju Michajłowiczu, o rewolucję – powiedział Popow z lekko ironicznym uśmiechem.

Rozmowa, która się po chwili wywiązała, zapisała się w pamięci Bobrowa na długie lata.

Popow umiał ciekawie opowiadać. I choć chwilami Nikołaj dostrzegał ślady dawnego spiskowca ze studenckich czasów, szybko stało się jasne, że Popow ma teraz

znacznie szersze horyzonty niż kiedyś. Zdradził też kilka szczegółów ze swojego życia. Ożenił się, ale jego żona zmarła. Został zesłany na trzy lata na Syberię, a rok spędził w więzieniu. Odwiedził kilka krajów europejskich, między innymi Wielką Brytanię.

Nikołaj dobrze wiedział, że wielu Rosjan o radykalnych poglądach musiało wyjechać za granicę. Miał też niejaki pojęcie, jak takie życie wygląda: ciągłe podróże, często z fałszywymi dokumentami, prowadzenie agitacji, udział w konferencjach rewolucyjnych, pisanie artykułów dla nielegalnych pism przemycanych potem do Rosji, skromne życie, na które ledwo starczało z udzielania korepetycji i z tłumaczeń, pożyczanie pieniędzy od sympatyków, a może nawet kradzieże. Wykorzenienie i brak własnego domu budziły jego współczucie. W oczach Nikołaja tacy ludzie tkwili w pułapce małego spiskowego środowiska, oddanego chyba z czystego przyzwyczajenia służbie wyidealizowanej rewolucji, która zapewne miała nigdy nie nadejść.

Jednak słuchając Popowa, dostrzegł wyraźnie, że dawny przyjaciel wie o świecie znacznie więcej niż on. Popow opowiadał o radykalnych ruchach w Europie Zachodniej, o robotniczych związkach zawodowych i rewolucyjnych partiach politycznych, o wiele bardziej postępowych niż wszystko, co się działo w Rosji. Przybliżył mu też postacie kilku przebywających na wygnaniu rewolucjonistów. Ale gdy objaśniał sytuację polityczną w Europie, Nikołaja uderzyła szczególnie jedna rzecz: pewność.

Bo z czasów młodości Nikołaj pamiętał człowieka, który opowiadał o rewolucji i nowym światowym porządku jak o dogmatach wiary. A teraz mówił zupełnie inaczej, jakby wszystkie wydarzenia były częścią jakiegoś konkretnego procesu historycznego, który doskonale rozumiał.

Gdy Nikołaj mu to powiedział, Popow się uśmiechnął.

– Masz rację. Nie czytałeś Karola Marksa?

Nikołaj próbował sobie przypomnieć, co o nim słyszał. Marks, ekonomista i rewolucjonista, był Żydem niemieckiego pochodzenia, przez długi czas mieszkał w Anglii i zmarł kilka lat temu. Miał też ucznia, który wciąż był aktywny, a nazywał się Engels. Jednak prace tych niezwykłych ludzi dopiero zaczęły się pojawiać w Rosji, więc Nikołaj musiał przyznać, że niczego nie czytał.

Teoria Marksa, tłumaczył Popow, wywodząca się od Hegla, wielkiego niemieckiego filozofa, zrodziła się na początku wieku.

– Przecież musisz pamiętać ze studenckich czasów wielki system Hegla – powiedział Popow lekko karcącym tonem.

– Chyba tak. – Nikołaj nerwowo szukał w pamięci. Rzeczywiście pamiętał.  
– System dialektyczny.

– Właśnie, dialektyka. To jest klucz do wszystkiego.

Teraz Nikołaj przypomniał sobie piękny, kosmiczny system Hegla, który głosił, że świat zmierza do najwyższego stanu doskonałości, do absolutu. A jaki proces miał tam prowadzić? Pozornie niekończące się zderzenia idei, ale każde takie zderzenie oznaczało kolejny krok do przodu. Każda teza – uchodząca za prawdę – napotykała swoją antytezę, a z nich wyłaniała się nowa idea, synteza, lepsza od poprzedniej, jednak wciąż niedoskonała. Teraz to ona stawała się tezą i cały proces zaczynał się od początku.



Zazwyczaj, jak sobie teraz Nikołaj przypominał, każda teza upadała, bo miała w sobie jakąś skazę, wewnętrzną sprzeczność. Na przykład ludziom wydawało się, że Ziemia jest płaska, dopóki konkretne dowody nie zaprzeczyły temu, co uznawano za oczywistość. Potem uważano, że Ziemia jest środkiem wszechświata, a Słońce krąży wokół niej – dopóki nie stwierdzono, że ten pogląd też jest fałszywy. Nikołajowi podobała się dialektyka: zapowiadała postęp. I brzmiała przekonująco.

– A największym mistrzem dialektyki był Karol Marks – oznajmił Popow. – Za jej pomocą wyjaśnił całą historię ludzkości, a nawet nakreślił jej przyszłość.

Marksizm. Nikołaj słuchał zafascynowany, jak Popow objaśnia mu ten system.

– Istnieje jedynie materia – mówił. – To prawda, która stanowi podstawę wszystkiego. Dlatego teorię Marksa nazywany materializmem dialektycznym. A o wszystkim decydują materialne środki produkcji – rozwijał dalej swoją myśl. – To, jak się żyjemy, jak się ubieramy, jak wydobywamy z ziemi minerały i jak produkujemy różne wyroby. Cała świadomość człowieka, jego społeczeństwo, jego prawa, wszystko wywodzi się ze struktury ekonomicznej. A w każdym społeczeństwie można wyróżnić na razie dwie klasy: wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Jedni posiadają środki produkcji, a drudzy sprzedają swoją pracę.

– A gdzie tu dialektyka?

– Dialektyką jest walka klas. Zastanów się. Kto był posiadaczem ziemi w feudalnej Europie? Szlachta. A ziemię uprawiali wyzyskiwani chłopci. Jednak stopniowo ta struktura uległa rozpadowi. Pojawił się nowy świat: burżuazja, która doprowadziła do narodzin kapitalizmu. Teraz wyzyskiwaczami są właściciele fabryk, a wyzyskiwanymi robotnicy, czyli proletariatus. Teza i antyteza.

– A co jest syntezą?

– Syntezą jest rewolucja. Robotnicy przejmą środki produkcji. Kapitalizm sam się zniszczy i wkroczy w nową epokę. To nieuchronne.

– A co nastanie w tej nowej epoce?

– Najpierw socjalizm. Państwo robotnicze będzie posiadaczem środków produkcji. A potem wejdziemy do doskonałego komunizmu, w którym państwo nie będzie już potrzebne.

– A więc wciąż zdążamy ku nowemu światu, o którym marzyliśmy jako studenci? Popow przytaknął.

– Owszem. Ale w siedemdziesiątym czwartym roku popełniliśmy błąd, usiłując zrobić rewolucję wśród chłopów. Tymczasem może do niej doprowadzić tylko proletariatus. Na szczęście teraz, dzięki Marksowi, wiemy, co mamy robić. Mamy odpowiedni model. – Postukał palcem w stół. – Rewolucja stała się naukowa.

Nikołaj nie był pewien, czy dobrze wszystko zrozumiał, ale wywarło to na nim spore wrażenie.

– Czy w Rosji jest wielu marksistów? – zapytał.

Popow pokręcił głową.

– Na razie niewielu. Ich przywódcą jest Plechanow, ale on mieszka głównie w Szwajcarii. – Wymienił jeszcze kilka nazwisk, które Nikołajowi nic nie mówiły.

– A co to nam mówi na temat rewolucji w Rosji? – spytał Nikołaj. – I kiedy ona

miałaby nadejść?

Popow uśmiechnął się kpiąco.

– W tej kwestii, Nikołaju Michajłowiczu, jest tyle opinii, ilu rewolucjonistów. – Twarz mu spoważniała. – Ale krótko mówiąc, są dwa punkty widzenia. Oficjalny marksizm powiada, że wszystko wydarza się w odpowiednim czasie. Najpierw gospodarka rolna, potem feudalizm, wreszcie państwo burżuazyjne. A kapitalizm w miarę rozwoju staje się coraz bardziej scentralizowany i opresyjny, aż w końcu upada. Robotnicy zrywają kajdany, wybucha rewolucja socjalistyczna. Przejrzysta, logiczna sekwencja. Tyle że Rosja – ciągnął – nadal jest zacofana. Dopiero wkroczyła w etap państwa burżuazyjnego. Nasz proletariatus jest nieliczny. Gdyby zryw nastąpił u nas, przypominałby rewolucję francuską, czyli obalenie monarchii i oddanie władzy burżuazji. Rewolucja socjalistyczna jest możliwa tylko w Europie, a wtedy, być może, Rosja zostanie wciągnięta do tworzonego tam nowego porządku.

– A zatem rewolucja nie powinna się zacząć w Rosji?

– Według klasycznego Marksa nie. Ale, jak powiedziałem, są dwa punkty widzenia. A ten drugi, dopuszczalny także przez Marksa, wygląda następująco. Załóżmy, że Rosja jest szczególnym przypadkiem. Pomyśl tylko, Nikołaju, przegniły autokratyzm, całkowicie zależna od cara i pozbawiona siły gospodarczej szlachta, nieliczna, właściwie nierozwinięta klasa średnia i chłopstwo zorganizowane w tradycyjne gminy. Coś zupełnie innego niż w Anglii czy Niemczech, czyli kruchy, anachroniczny reżim. Może więc w Rosji wybuchnie nieoczekiwana rewolucja, która przeniesie nas wprost do jakiegoś prymitywnego socjalizmu, kto wie?

Nikołaj słuchał zafascynowany.

– A jakie ty masz zdanie?

Popow wzruszył ramionami.

– Jak wiesz, nie mam najmniejszej wiary w chłopów. Jestem zwolennikiem głównej doktryny Marksa, Rosja musi przejść przez fazę państwa burżuazyjnego i kapitalistycznego. Dopiero potem może nastąpić rewolucja proletariacka.

– Więc uważasz, że rewolucja nie zacznie się u nas?

– Jestem tego pewien.

Nikołaj zauważył, że podczas całej rozmowy Uljanow zadawał się milczeniem. Jedynie parę razy, gdy Popow mówił o Marksie, przytaknął bez słowa. A teraz odezwał się cicho.

– Marksizm ma w zasadzie rację. Ale należy pamiętać, że Marks był rewolucjonistą, a rewolucja to nie tylko teoria, ale i praktyka. – Skinął głową w kierunku Popowa. – Owszem, Rosja jest straszliwie zacofana, ale przemysł rozwija się bardzo szybko. Klasa robotnicza staje się coraz liczniejsza. Jeszcze za naszego życia mogą się pojawić podstawowe marksistowskie warunki do wybuchu rewolucji. A potem, i tu tkwi sedno, trzeba będzie poprowadzić i wyedukować proletariatus. Potrzebne są nam wyszkolone kadry, inaczej nic z tego nie wyjdzie. – Mówił to spokojnie, ale stanowczo. Jakby się nie spodziewał, że ktoś mógłby zakwestionować jego przemyślaną opinię.

Nikołaj przyglądał się Uljanowowi. Kadra rewolucyjna – przywódcy albo ludzie nowego typu, jak lata temu nazywał ich Popow. Przypomniał mu się argument wysunięty

niegdyś przez niego.

– Proszę mi powiedzieć coś więcej o waszych kadrach – zwrócił się do rudowłosego prawnika. – Czy one będą gotowe użyć wszelkich środków w celu szerzenia rewolucji?

Uljanow pogładził bródkę.

– Owszem.

– Nawet terroryzmu?

– Jeśli to przyniesie oczekiwany skutek, czemu nie? – odparł spokojnie Uljanow.

Po tym rozmowa zeszła na inne tory. Nikołaj chciał się dowiedzieć czegoś więcej o Popowie, ale szybko zrezygnował. Wkrótce Uljanow stwierdził, że jest zmęczony, i poszedł odpocząć do swojego wagonu.

Ale zanim się rozstali, odbyli jeszcze jedną krótką rozmowę, której Nikołaj długo nie mógł zapomnieć. Rozważali kwestię głodu, więc przytoczył im list ojca.

– To prawda – przyznał Popow. – W centralnych guberniach sytuacja jest przerażająca.

Wtedy wtrącił się Uljanow.

– To wielki błąd – powiedział.

– Co jest błędem? – spytał Nikołaj.

– Pomoc dla ofiar głodu. Nie powinniśmy robić nic. Niech chłopci umierają z głodu.

Im gorzej jest na wsi, tym słabsza władza caratu. – Mówił to głosem opanowanym, bez śladu złości czy zajadłości, właściwie obojętnym.

– Powtarza to od tygodnia – roześmiał się Popow.

– Bo mam rację – oznajmił prawnik tym samym tonem.

A Nikołajowi przemknęło przez myśl, że ten brak uczuć u dziwnego Czuwasza może budzić grozę.

Pożegnali się po przyjacielsku. Nikołaj uznał, że zapewne nigdy więcej ich nie zobaczy. A już na pewno nie przyszło mu do głowy, że ten bezwzględny łysiejący prawnik stanie kiedyś na czele rewolucji.

Ulubionym zajęciem ludzi zajmujących się historią Rosji – a każdy z nich kieruje się przy tym własnymi teoriami – jest poszukiwanie daty oznaczającej początek niedającego się już zatrzymać procesu rewolucyjnego.

Dla Nikołaja był to bardzo konkretny dzień, w którym doszło w jego domu do błahej w sumie rozmowy. I choć później uczestniczył w wielu ważnych wydarzeniach rozgrywających się na scenie światowej historii, to zawsze wracał pamięcią do tamtej chwili, myśląc: Właśnie wtedy zaczęła się rewolucja.

Było to pięć miesięcy po rozmowie w pociągu.

Jeśli Nikołaj przypuszczał, że ojciec przesadza, opisując problemy w Rusce, to podejrzenia te rozwiały się już pierwszego dnia po przybyciu do domu.

Sytuacja była rozpaczliwa. Plony w 1890 roku okazały się słabe nie tylko w Bobrowie, ale i w majątku pod Riazaniem. Dlatego w roku 1891 Misza Bobrow i inni członkowie rady ziemstwa starali się temu zaradzić, zachęcając chłopów do zróżnicowania upraw.

– Więcej ziemniaków – mówił Misza. – Jeśli zboża się nie udadzą, to przynajmniej

będzie co jeść.

Ale i to się nie powiodło. Na wszystkie ziemniaki padła zaraza. Reszta zbiorów też była marna. Nic podobnego nie wydarzyło się od pamiętnego, straszego 1839 roku. Jesienią stało się oczywiste, że grozi im głód.

Nikołaj szybko zauważył, że dla ojca głód jest osobistą porażką. Misza Bobrow, mimo swoich siedemdziesięciu lat i szwankującego zdrowia, rzucił się w wir działań z gorliwością nadwerężającą jego siły.

– Bo jako jeden ze szlachty w ziemstwie – wyznał – czuję na sobie podwójny ciężar.

Nikołaj doskonale go rozumiał. Wprawdzie car Aleksander wśród wielu reform ustanowił ziemstwa, ale od samego początku władze ingerowały w ich skład. Zdarzało się, że obecny monarcha odmawiał uznania niektórych członków, jeśli ich lojalność budziła wątpliwości. Jednak najgorsze przyszło w 1890 roku, gdy car postanowił zmienić zasady wyborów, i to tak drastycznie, że w wielu okręgach liczba wyborców zmalała o połowę, a większość miejsc w ziemstwach przypadła szlachcie. Była to zamierzona zniewaga wobec zwykłych rosyjskich chłopów. Nikołaj widział, że ojciec, człowiek o liberalnych poglądach, czuje z tego powodu wstyd.

– My, szlachta, musimy teraz stanąć na wysokości zdania – powtarzał nieustannie Misza Bobrow. – Bo inaczej jaki z nas pożytek?

Więc zaharowywał się na śmierć, ale największy dramat polegał na tym, że niewiele mógł zdziałać.

Co nie było jego winą. Ziemstwo organizowało składy zboża, uważnie monitorowało przydziały żywności. Misza wraz z innymi nieustannie objeżdżał okolicę. Ale nic nie mogło zmienić faktu, że zapasy się kurczyły.

– Za dwa miesiące nie będziemy już mieli zboża – powiedział do syna. – A co potem, Bóg jeden wie. Próbowaliśmy kupować ziarno w innych guberniach, ale... – Rozkładał bezradnie ręce. – Nic z tego.

Im jedzenia nie brakowało, ale Nikołaj widział jasno, że rodzice ciężko przeżywają to, co się dzieje w okolicznych wsiach. Ojciec poszarzał na twarzy i popadł w przygnębienie, jego optymizm rozwiął się całkowicie. Anna, zwykle bardzo stanowcza, zmizerniała i straciła pewność siebie. Wzięła go jednak na stronę i powiedziała kategorycznie:

– Musisz się tym zająć. Ojciec już nie daje rady.

Objechał wieś. Nic się tam nie zmieniło. Ucieszył się, że stara Arina wciąż żyje – była drobną, pomarszczoną babuszką, ale wzrok miała bystry jak zawsze. Timofiej Romanow i jego żona ciepło go przywitani. Ich córka, mała Arina, jak Nikołaj nazywał ją w myślach, była dziś dość ładną siedemnastolatką o okrągłej twarzy. Jedynie Borys odnosił się do niego chłodno, ale Nikołaj nie przykładał do tego wagi. Wieś ogarnęła rezygnacja. Sołtys pilnował, żeby każda rodzina dostawała po kawałku chleba. W niektórych chatach było jeszcze trochę solonego mięsa. I prawie wszyscy starali się złowić w przeręblach jakieś ryby.

– Ale obawiam się, Nikołaju Michajłowiczu – powiedział Timofiej – że będziecie nas musieli pochować.

Klasztor miał swoje zapasy zboża, więc mnisi żywili okolicznych chłopów, dając im co dzień po trochu mąki.

– Starczy nam na dziewięć tygodni – zapewnili Nikołaja.

– Ale dziś wszystko zależy od jednego człowieka – powiedział Misza do syna. – Od Władimira Suworina.

Władimir – starszy wnuk budzącego strach Sawy i brat nieszczęsnego Piotra. Misza nigdy nie powiedział synowi o obciążającym Piotra liście ani o tym, jak zaszantażował nim starego Sawę. Dlatego Nikołaj wiedział jedynie, że Piotr uciekł, ukrywał się, a po pewnym czasie się ujawnił.

– Zdaje się, że jest jakimś profesorem w Moskwie – opowiadał Misza. – Ale nigdy tu nie przyjeżdża.

Natomiast o Władimirze Nikołaj słyszał dużo. Potężny przedsiębiorca zarządzał fabrykami w Moskwie i w Rusce twardo, ale sprawiedliwie. Robotnicy pracowali u niego nie więcej niż dziesięć godzin dziennie, nie zatrudniał dzieci, dbał o bezpieczeństwo pracy. Hale fabryczne i kwatery robotnicze były czyste, nie stosowano surowych kar za mniejsze przewinienia. I w odróżnieniu od wielu największych przemysłowców nie miał u siebie strajków. Był właścicielem dużego domu w Moskwie, lecz często przyjeżdżał do Ruski. Jednak Nikołaj, rzadko bywając u rodziców, nigdy go nie poznał.

– Jaki on jest? – zapytał.

– Ogromny. I robi wrażenie – odparł ojciec, więc Nikołaj wyobraził sobie kogoś podobnego do budzącego strach Sawy.

Władimir pojawił się we dworze drugiego dnia. Owszem, był potężny. Ale nie tak bardzo, jak przypuszczał Nikołaj.

Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i był zbudowany jak niedźwiedź. Ale na tym kończyły się wszelkie podobieństwa do świata zwierząt. Wsiadł z sań, podszedł do czekających na niego gospodarzy i zdjawszy rękawiczkę z szarej wełny, z miłym uśmiechem wyciągnął do Miszy nieco pulchną dłoń. Emanowała z niego siła i pewność siebie.

– Drogi przyjacielu!

To wrażenie wzmogło się jeszcze bardziej, gdy weszli do domu. Władimir miał na sobie doskonale skrojony płaszcz, w którym nawet jego brzuch wyglądał jak stosowny dodatek do imponującej klatki piersiowej. Duża, grubo ciosana twarz nabrała już nieco pulchności, ale jedynie tyle, by świadczyć o dostatnim, choć umiarkowanym życiu. Do tego krótko przycięte, lekko rzadziejące włosy, duży nos o regularnym kształcie, idealnie wypielęgnowane ciemne wąsy i mała bródka. Miękki fular z szarego jedwabiu spinała duża szpilka z brylantem. Wokół Władimira unosił się delikatny zapach wody kolońskiej.

Nikołaj przyglądał mu się zafascynowany. Jak wszyscy mieszkańcy stolicy patrzył na Moskwę z wyższością, widząc w niej prowincjonalne miasto kupców, podczas gdy w Petersburgu mógł się obracać w najlepszych kręgach. Miał znajomych na cesarskim dworze i wśród kosmopolitycznych arystokratów. Znał szlachtę z najzaciejszych rodów. Ale oto teraz stał przed nim człowiek – wnuk chłopca pańszczyźnianego z Bobrowa – który nie należał do wyższych klas, ale był większym kosmopolitą niż oni. Posługiwał się wytworną ruszczyzną, a z kilku uwag, które rzucił, można było wywnioskować, że

mówi też po francusku. Równie dobrze znał angielski i niemiecki, choć Nikołałaj jeszcze o tym nie wiedział.

Władimira otaczała naprawdę niezwykła aura. Wygląda jak monarcha, pomyślał Nikołałaj, jak wschodni magnat. Z jego czarnych, szeroko rozstawionych oczu biła inteligencja. I mimo doskonałych manier mówił i robił, co chciał, a wszyscy byli mu posłuszni. Po raz pierwszy w życiu Nikołałaj miał do czynienia z przedstawicielem szczególnej grupy – kosmopolitycznych bogaczy. Władimir Suworin liczył sobie dopiero czterdzieści jeden lat, ale już dawno utwierdził się w miłym przekonaniu, że gdyby tylko zapragnął, mógłby kupić wszystko. Dzięki tej wiedzy, połączonej z inteligencją i kulturą, nawet wnuk chłopa pańszczyźnianego mógł się stać księciem.

Od razu zdobył ich serca. Nikołałaja potraktował jak zaufanego przyjaciela.

– Dzięki Bogu, Nikołałaju Michajłowiczu, że was tu widzę.

Do Miszy odnosił się z troską i sympatią.

– Drogi przyjacielu, ty już swoje zrobiłeś. Niech teraz ten ciężar przejmie młodsze pokolenie. Wiem jednak, że będziesz miał na nas oko.

Już po paru minutach Nikołałaj był pod jego czarującym wpływem.

– Doszły mnie wieści od gubernatora – mówił Władimir. – Rząd dostarczy zboże. Płynie barkami z Ukrainy, do nas dotrze za miesiąc. Jak wiecie, zapasów starczy nam na osiem tygodni. Zamierzam osobiście porozmawiać z gubernatorem, aby się upewnić, że nie będzie żadnych opóźnień. My musimy jedynie dodawać ludziom otuchy. O, dziękuję, madame, chętnie wypiję kieliszek kordiału.

Podczas tej wizyty Nikołałaj dowiedział się co nieco o Suworinie. Władimir owdowiał, ożenił się powtórnie i miał syna. Zazwyczaj podróżował przez dwa miesiące w roku. Znał Paryż równie dobrze jak Moskwę. Zawarł znajomość z takimi artystami jak Renoir i Monet, odwiedzał wielkiego pisarza Tołstoja w jego majątku w Jasnej Polanie. Znał też Czajkowskiego.

– I jego biedną żonę – dodał z westchnieniem.

Był to świat literatów, salonów towarzyskich, wytrawnych gustów i rozsądnego mecenatu, świat, do którego wstęp zapewniały wysokie stanowiska albo wielkie majątki, ale w którym tolerowano jedynie talent i doskonałość stylu. A do tego wszystkiego Suworin był budzącym szacunek człowiekiem interesu.

Nikołałaj dowiedział się też wiele o działaniach ziemstwa w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

– Bez ludzi takich jak twój ojciec lokalna administracja całkowicie by się załamała – przyznał szczerze Suworin. – To ludzie zasiadający w ziemstwach, w miastach i na wsi, umieją naprawdę rządzić, nie władze centralne.

Po jego wyjściu Misza powiedział z podziwem:

– Dzięki Bogu, że przyjechał do Ruski. On umie skutecznie działać. A władze nie ośmielą się go ignorować.

Mimo że Nikołałaj zauważył chłód Borysa, byłby zaskoczony, gdyby usłyszał gorącą dysputę, która mniej więcej w tym samym czasie rozgorzała w domu Timofieja Romanowa.

Arina spierała się z Borysem. Timofiej i jego żona prawie się nie odzywali,

a siedemnastoletniej dziewczyny nikt nawet nie pytał o zdanie, choć to ona była powodem kłótni.

– Nie wolno wam tego zrobić! – Borys niemal krzyczał. – Ci ludzie to nasi wrogowie, lecz wy w swojej głupocie tego nie widzicie. – Timofiej wyglądał na zawstydzonego, ale stara Arina wzruszyła pogardliwie ramionami. – Poza tym ona powinna pomagać rodzicom.

Jednak Arina była uparta.

– Jedna gęba mniej do wykarmienia – powiedziała w końcu żona Timofieja.

– Wolałbym umrzeć z głodu – warknął Borys.

Od tragicznego pożaru, w którym zginęła Natalia, minęło wiele lat, ale uczucia Borysa Romanowa nie złagodniały. Wręcz przeciwnie, nabierał coraz mocniejszego przekonania, że Bobrowowie i cała szlachta sprzyięgli się przeciwko niemu. I umiał na to znaleźć dowody. Na przykład dziesięć lat wcześniej, gdy pojawiły się pogłoski, że rząd umorzy zobowiązania wobec dawnych właścicieli ziemskich, które od zniesienia poddaństwa obciążały chłopów, okazało się, że władze obniżyły spłaty o nędzne dwadzieścia pięć procent.

– I co nam to daje? – pytał oburzony Borys.

A niedawno niemal całkowicie pozbawiono chłopów praw wyborczych do ziemstw.

– Jeszcze jedno oszustwo szlachty – wściekał się Borys. A gdy Timofiej wspomniał, że Misza Bobrow robi, co może, by podczas głodu zapewnić im jedzenie, Borys odparł z pogardą: – To, co robi ten stary kryminalista, uczciwy chłop zrobiłby lepiej.

Dlatego postanowienie babki, że małą Arinę należy umieścić u Bobrowów, wzbudziło jego złość. Był jednak bezradny, ponieważ ojciec nie śmiał się sprzeciwić teściowej, a to on był głową rodziny.

– Niech ją zabiorą do siebie, tak będzie najlepiej – postanowił Timofiej.

A staruszka była twarda i niewzruszona. To niezwykle, ile siły mieściło jej kruche ciało. A determinacja, by zapewnić rodzinie przetrwanie, przeniosła się teraz z córki na wnuczkę. Wspomnienie wielkiego głodu sprzed wielu lat, a może także poczucie winy, że kiedyś chciała porzucić dziewczynkę w lesie, sprawiało, że gotowa była walczyć o małą Arinę z nieustępliwą stanowczością. Widziała tylko jedno miejsce, w którym nie zabraknie jedzenia.

– Porozmawiam z nimi – powiedziała cicho. – Wezmą ją do siebie.

I tak oto niedługo po wyjściu Władimira Suworina pojawiła się we dworze Arina z wnuczką. Stara kobieta nie musiała wiele tłumaczyć. Anna od razu zrozumiała, w czym rzecz.

– Oczywiście, że ją przyjmujemy – powiedziała z uśmiechem. – Mój mąż jest bardzo zmęczony. Przyda mu się pomoc.

I jeszcze tego wieczoru dziewczyna zamieszkała u Bobrowów.

– Teraz będziesz bezpieczna – szepnęła jej babka na pożegnanie.

Ale w umyśle młodej Ariny jeszcze przez długi czas dźwięczały zupełnie inne słowa. Gdy opuszczała wieś, Borys odciągnął ją na bok i mruknął:

– Idź sobie do tych przeklętych Bobrowów, skoro chcesz. Ale pamiętaj: jeśli się z nimi zaprzyjaźnisz, to ze mną możesz się pożegnać.

Przez następne sześć tygodni Nikołaj Bobrow był bardzo zajęty. Przewidywania matki, że mała Arina może im się przydać, szybko się sprawdziły. Po kilku dniach Misza Bobrow, uwolniony od ciężaru samotnej walki ze skutkami głodu, nagle zachorował. Całymi dniami leżał w łóżku, najwyraźniej zbyt słaby, żeby wstać. Nikołaj był przekonany, że gdyby nie ciągła opieka dziewczyny, mogłoby się to naprawdę źle skończyć.

Arina okazała się prawdziwym skarbem. Miała jasną cerę i ciemnoblond włosy. I choć trudno ją było uznać za piękność, jej okrągła, chłopska twarz, dobra i naturalna, promieniowała szczególnym urokiem. W zachowaniu dziewczyny była kojąca jak u zakonnicy łagodność, która miała na wszystkich dobroczynny wpływ. Arina przejawiała wielką pobożność. Często chodziła z Anną do klasztoru, obie w chustach otulających głowę, więc z daleka trudno było odróżnić, która jest panią, a która chłopką. Nauczyła się od babki wielu bajek, a gdy je opowiadała, z jej szczerzej twarzy i niebieskich oczu biła radość i delikatne rozbawienie. Misza był naprawdę szczęśliwy, mając jej opiekę i słuchając opowieści. Nikołaj niejedną raz słyszał jego słaby, ochryply głos dobiegający z pokoju: „Arino, opowiedz mi teraz o lisie i kocie”. Albo: „Podaj mi tamtą książkę, Arino. *Bajki* Puszkina. Tam jest ta sama historia, którą ty mi opowiadałaś”.

– Twoje bajki przypominają mi dzieciństwo – zwierzał się dziewczynie. – Zabawne, ale nazywaliśmy wtedy twoją babkę młodą Ariną. A bajki, które znasz, pochodzą od jeszcze innej Ariny, chyba jej ciotki, która wciąż żyła, gdy byłem mały.

Nikołajowi zaś mówił:

– A wiesz, ta mała Arina jest prawdziwym, niezniszczalnym sercem Rosji. Nigdy o tym nie zapominaj.

I czasem, patrząc na nią czule, zapadał w drzemkę i śnił o dawnych słonecznych dniach, gdy na świecie był jeszcze Puszkina, a jego stryjek Siergiej wystawiał w Bobrowie amatorskie przedstawienia.

– Jeśli ojciec odzyska zdrowie, to tylko dzięki tej dziewczynie – powiedziała kiedyś Anna do syna.

I rzeczywiście Misza powoli odzyskiwał siły.

Po trzech tygodniach Nikołaj pojechał do Petersburga, żeby odwiedzić żonę i dzieci. Wrócił po kilku dniach.

Ale wciąż mieli nierozwiązany największy problem: zapowiedziane dostawy zboża nie nadchodziły.

– Nie wyzdrowieję, dopóki tu nie dotrą – zapowiedział Misza.

Suworin i ziemstwo wysyłali posłańców do gubernatora. Nikołaj zaproponował, że jeszcze raz pojedzie do Petersburga, żeby porozmawiać z najważniejszymi urzędnikami. Co kilka dni dochodziły wieści, że transport jest już blisko, więc wszyscy czekali w gotowości. Wciąż mieli zapasy, których powinno starczyć na miesiąc. Potem na trzy tygodnie. Potem na dwa.

Wreszcie w połowie lutego za pośrednictwem lokalnego ziemstwa otrzymali krótką wiadomość.



Niestety, z powodu trudności z transportem i składowaniem zapowiedziane dostawy zboża nie nadejdą.

To wszystko.

– Czy oni rozumieją, co to oznacza? – Misza westchnął ciężko. – To oznacza, że ludzie będą umierać. Od dwóch tygodni nikomu nie udało się złowić w rzece ani jednej ryby. Dwie trzecie bydła wyrżnięto. Dla naszych chłopów to zguba. Nie do wiary! Że też ci biurokratyczni głupcy są do czegoś takiego zdolni!

Wieść rozniosła się po okolicy w ciągu kilku godzin. Nikołaj poszedł do wsi i wcale nie był zaskoczony, gdy Borys Romanow powitał go gniewnym okrzykiem:

– A więc ludzie w Petersburgu wydali na nas wyrok śmierci, tak?! Zamierzają przerobić nasze zwłoki na mięso?

Nikołaj się nie zdziwił, że inni wieśniacy, słysząc te słowa, zgodnie kiwali głowami.

Minął tydzień. Chłopi wpadli w przygnębienie. Kolejny tydzień. Większość składów zboża świeciła pustkami. We wsi panowała grobowa cisza.

I nagle, któregoś ranka, zaczęło napływać zboże.

Co za niezwykły widok: sznur sań pojawiających się nie wiadomo skąd! Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści. Wyglądały jak pociąg z zaopatrzeniem dla małej armii. Zbliżały się powoli do Ruski, gdzie zarządcy Suworina najwyraźniej już na nie czekali. Ale od tej kolumny oderwało się kilkanaście pojazdów, które skierowały się przez las do Bobrowa. Minąwszy wieś, wspięły się na zbocze i zajechały pod dwór. Zaciekawieni mieszkańcy wyglądali przez okna. W pierwszych saniach siedziała potężna postać otulona w futra, przypominająca ogromnego rosyjskiego miszkę. Był to Władimir Suworin. Kiedy wysiadł z sań, z szerokim uśmiechem podszedł do Miszy – który był tak podekscytowany, że aż uparł się, by wstać z łóżka – i pochwycił go w niedźwiedzi uścisk.

– Michaile Aleksiejewiczu, przywożłem wam i waszej wsi trochę zboża. To niedopuszczalne, żeby mój stary przyjaciel głodował.

– Wiedziałem, że on coś zaradzi! – zawołał Misza do syna i żony. – Tylko on mógł tego dokonać. Ale jak, do diabła, wycisnąłeś zboże od gubernatora, skoro nam powiedziano, że dostaw nie będzie? – zwrócił się do Suworina.

– Nie rozumiesz, przyjacielu. Władze nie mają zboża. Nikt nie dostał pomocy.

Misza zmarszczył czoło.

– A to?

Suworin znów się uśmiechnął.

– Sam kupiłem. Moi ludzie znaleźli zboże na południu i zorganizowali transport. Władze nie mają z tym nic wspólnego.

Przez dłuższą chwilę Misza nie mógł wydobyć z siebie słowa. Nikołaj zauważył, że w jego oczach zbierają się łzy. Wziął Suworina za ramię.

– Jak ja się wam odwdzięczę, Władimirze Iwanowiczu? Naprawdę brak mi słów. – Pokręcił głową.

Zapadła cisza. I właśnie wtedy Misza Bobrow wybuchnął, i to w najbardziej zadziwiający sposób. Odrzuciwszy głowę w tył, zebrawszy wszystkie siły, zawołał w przypływie frustracji, wstydu i pogardy:

– Do diabła z nimi! Do diabła z gubernatorem! Do diabła z rządem w Petersburgu! Oni wszyscy są całkiem bezużyteczni. Niech oddadzą władzę ziemstwu, bo nie potrafią rządzić.

Słyszała to służba, woźnice, kilku wieśniaków. Ale Misza nie dbał o to. Słowa płynęły wprost z serca. Misza Bobrow, właściciel ziemski, szlachcic, liberał, ale jednocześnie lojalny monarchista, miał już dość tego rządu. Tak samo jak wielu innych ziemian w centralnych guberniach.

I właśnie o tym dniu Nikołaj Bobrow miał mówić po latach: „To był początek rewolucji”.

Pierwsze oznaki pojawiły się na samym początku wiosny.

Zacząło się w chatach stojących nad rzeką poniżej Ruski. Dlaczego właśnie tam, nie wiadomo. Może z powodu wysypiska śmieci.

Najpierw u kilku osób wystąpiła biegunka, ale nikt nie przywiązywał do tego wagi. Po dwóch dniach w odchodach jednego z mężczyzn pojawiła się białozółtawa substancja przypominająca serwatkę. Niedługo potem mężczyzna ów zaczął wymiotować tą samą wydzieliną, krzyczał, że czuje w brzuchu ogień, i błagał o wodę. Nazajutrz miał w nogach bolesne skurcze, a jego ciało zrobiło się sine. Oczy wpadły mu w głąb czaszki, wyglądał jak szkielet, a kiedy się odezwał, z jego ust wydobył się jedynie ochryply szept. Miał tak słaby puls, że żona nie mogła go wyczuć. Zmarł jeszcze przed świtem.

Przez kilka godzin jego ciało było dziwnie ciepłe. Żona mówiła, że wręcz się nagrzewało. Z przerażeniem zauważyła też, że długo po śmierci zwłokami wstrząsały spazmy.

W ciągu kilku godzin wiedziała już cała Ruska, że do miasta zawitała cholera.

– Oby tylko się nam udało nie dopuścić jej do wsi. – Te słowa Misza Bobrow powtarzał codziennie jak litanie. – Gdyby Rosja była dobrze rządzona, ten rejon by odizolowano. Powstałby *cordon sanitaire*.

Ale władze nawet nie podjęły takiej próby. Ludzie przemieszczali się bez przeszkód. Na szczęście dzięki wysiłkom Bobrowów i Suworinów wprowadzono nieoficjalną kwarantannę, która ograniczyła rozprzestrzenianie się choroby.

Słuszność ich działań potwierdził wkrótce młody lekarz zatrudniony przez ziemstwo.

– W innych częściach kraju epidemia wymknęła się spod kontroli – mówił. – Ludzie są osłabieni przez głód i podatni na chorobę. A ona atakuje głównie dzieci i starców – tłumaczył Nikołajowi. – W najostrzejszych przypadkach od razu pojawia się biegunka i wymioty. Zazwyczaj chory umiera po jednym lub dwóch dniach. Ale jest też coś pocieszającego – dodał. – Najwięcej ofiar epidemia zabiera na samym początku. Najgorszy jest pierwszy tydzień. Potem wielu zdrowieje.

W miasteczku było kilkadziesiąt przypadków zachorowań, w klasztorze kilka, zdarzały się też w okolicznych wsiach. Nikołaj patrzył z podziwem na młodego doktora.

– Choć, prawdę mówiąc, niewiele mogę zrobić – przyznał lekarz. – W pierwszej fazie choroby podaję im opium albo azotan srebra. Na skurcze stosuję kompresy z gorzycy i chloroform. Jeśli chorzy słabną, a jest szansa, że mogą wyzdrowieć, brandy albo amoniak potrafią przywrócić im życie. Ale to wszystko – zakończył cierpko.

Niestety, bardzo szybko młody doktor nie miał już czym leczyć. I znów rząd w stolicy obiecał dostawy medykamentów, lecz tym razem Misza Bobrow nie uwierzył, że cokolwiek nadejdzie. I słusznie.

– Cały zapas mojej najlepszej brandy skończył się po tygodniu – powiedział ze smutnym uśmiechem.

Nikołaj udał się do stolicy guberni, żeby odnowić zapasy, ale niczego nie kupił. Na szczęście Suworin zdobył w Moskwie trochę azotanu srebra. A lekarz pracował niezamordowanie.

– Jak ci się udaje uniknąć choroby? – zapytał go Nikołaj przy pierwszym spotkaniu.

– Niektórzy ludzie myślą, że można się zarazić przez powietrze – powiedział lekarz. – Jednak moim zdaniem zakażenie następuje drogą pokarmową. Dlatego nie wolno pić ani jeść niczego, czego dotknął chory. Jeśli wymiociny albo jakieś inne płyny z organizmu chorego dostaną się na twoje ubranie, musisz się przebrać i dokładnie umyć, zanim coś zjesz lub wypijesz. Nie twierdzę, że to niezawodny sposób, ale na razie cholera mnie omija.

Nikołaj skrupulatnie przestrzegał jego zaleceń i choć kilka razy towarzyszył mu w domach, w których szalała choroba, nie doznał żadnego uszczerbku na zdrowiu.

Minął tydzień. Potem drugi i trzeci. Cholera nadal nie dotarła do Bobrowa. Co dziwne, Misza Bobrow czuł się coraz lepiej, mimo że reszta świata drżała ze strachu przed epidemią. Często chodził na spacer z żoną albo małą Ariną. Cieszył się też, że na nowo odnajduje bliską więź z synem.

– Wyobraź sobie – powiedział kiedyś zdziwiony Nikołaj do doktora – że odkąd ojciec zwrócił się przeciwko władzy, w swoich poglądach jest bardziej radykalny niż ja. A myślałem, że jest odwrotnie.

Stopniowo liczba ofiar śmiertelnych malała, było też coraz mniej zachorowań. Miesiąc później wydawało się, że cholera ustąpiła.

– Mielście szczęście – powiedział lekarz. – Właśnie wezwano mnie do ogniska epidemii pod Muromem. Muszę was pożegnać.

W połowie maja Nikołaj uznał, że powinien wracać do Petersburga.

– Przyjadę w czerwcu – obiecał rodzicom. – A jeśli do tego czasu cholera nie pojawi się znowu, przywiozę też żonę i dzieci.

Wyruszał do stolicy z wyraźnym uczuciem ulgi.

Nie podróżował samotnie. Bobrowowie dowiedzieli się ze zdziwieniem, że młoda Arina zawsze chciała zobaczyć Petersburg. A ponieważ Misza wrócił do zdrowia, a żona Nikołaja pisała, że potrzebuje na jakiś czas niani, zgodnie uznano, że Arina pojedzie z Nikołajem i spędzi lato z jego rodziną. Dziewczyna była wniebowzięta.

Jednak przed wyjazdem odbyła z Borysem przykrą rozmowę, o której nikomu nie wspomniała.

Trzy dni potem u Timofieja Romanowa wystąpiły pierwsze oznaki choroby. Po godzinie zaczął wymiotować białawym płynem, w którym znajdowały się drobiny podobne do ziaren ryżu.

Zaraził się cholerą. I od razu miał objawy drugiego, śmiertelnego stadium choroby. Zanim jeszcze zapadł zmierzch, był w agonii. Rano zmienił się nie do poznania.

Jego wyniszczone wymiotami i biegunką ciało przybrało fioletowy odcień. Oczy wyglądały jak puste jamy. Unosiło się nad nim widmo śmierci. Żona i stara Arina, które już kilkanaście razy zmieniały mu przepocone ubranie, stały w kącie izby, patrząc na niego ze smutkiem. Oczy starca spoglądały to na nie, to na małą ikonę w rogu, ale z jego ust nie wydobywało się już żadne słowo. Raz, z wielkim wysiłkiem, udało mu się uśmiechnąć, jakby chciał im powiedzieć, że się poddaje.

Gdy rano Misza Bobrow zobaczył w progu Borysa, zdziwił się. Nie pamiętał, kiedy ten ponury, podejrzliwy chłop był ostatnio we dworze. Dziś jednak zachowywał się przejmie, niemal przyjacielsko.

– Obawiam się, panie, że przynoszę wam złe wieści – powiedział. – Chodzi o mojego ojca. – Zrelacjonował Miszy szczegóły.

– Dobry Boże!

A więc gdy już im się wydawało, że zostali ocaleni, cholera dotarła do Bobrowa. Na szczęście mam dość sił, żeby zażegnać kryzys, pomyślał Misza. Natychmiast kazał posłać po lekarza i ostrzegł mieszkańców Ruski, informując ich o wybuchu choroby.

Zdziwił się jeszcze raz, gdy zauważył, że Borys wciąż kręci się w pobliżu.

– Ojciec pytał o was, panie. Chciałby się pożegnać. – Przez chwilę Miszy się wydawało, że w oczach Borysa widzi łzy. – Nie przeżyje kolejnego dnia – powiedział chłop bez ogródek.

Misza zawahał się. Prawdę mówiąc, nie chciał chodzić do domu, w którym pojawiła się cholera. Nie powinienem się tak narażać, pomyślał. Mam tyle rzeczy do zrobienia. Ale natychmiast się zawstydził. Dobry Boże, przecież sam proszę doktora, by chodził do chorych! Poza tym znam się z Timofiejem od dziecka.

– Oczywiście – powiedział i włożył płaszcz.

W domu Romanowów było strasznie gorąco. W izbach czuło się duszący zapach, mimo że okno otwarto na oścież.

Na łóżku leżał Timofiej, jego towarzysz zabaw z dzieciństwa. A właściwie to, co z niego zostało. Biedak. Zapewne jego umysł gdzieś się zagubił, bo starzec patrzył na przybysza zaskoczony. Trudno było jednak odgadnąć, co sobie myśli, bo nie był w stanie mówić. Mój Boże, on ma tyle samo lat co ja! – westchnął w duch Misza. A wygląda na sto. Ale skoro tu przyszedłem, to muszę przez to przejść.

Rozejrzał się po pokoju. Mimo wszystko Arina i jej córka utrzymywały tu nieskazitelną czystość. Podłogę i stół niedawno wyszorowano. Timofiej leżał w czystej pościeli, przy piecu. Przez okno padało światło poranka. Misza zerknął na starą ikonę w rogu, jakby szukał w niej pociechy. Borys zaproponował, że zabierze jego płaszcz. Rzeczywiście, gdy go zdjął, żar nie był już taki dokuczliwy. Podsunęli gościowi krzesło, ale on wolał stać w pewnej odległości od chorego i bardzo uważał, żeby niczego nie dotykać. I oto teraz stary, kochany Timofiej próbował się uśmiechnąć.

Misza szukał słów pociechy. Ku jego zdziwieniu nie było to takie trudne. Zaczął mówić o dawnych czasach, o ludziach, których kiedyś znali, a biedny chłop wyglądał na uradowanego. Borys uśmiechnął się z wdzięcznością i dyskretnie wyszedł z izby. Cóż, w obliczu śmierci znikają nawet głupie antagonizmy.

Borys poruszał się szybko i cicho. Aż nie mógł uwierzyć, że tak łatwo mu poszło.

Ojciec bardzo się zdziwił na widok dziedzica, ale ten wcale się nie domyślił, że umierający po niego nie posyłał. I bardzo dobrze. Borys wszedł do komórki.

W kącie leżała pościel i trzy koszule ojca. Arina kazała je spalić, ale na razie nikt nie miał czasu się tym zająć. Ostrożnie rozpiął płaszcz Bobrowa i rozłożył go na stosie bielizny. Odwrócił go na drugą stronę i lekko przycisnął. Powtarzał tę czynność kilka razy. A potem wrócił do izby, ostrożnie trzymając płaszcz.

– To za Natalię – szepnął do siebie.

Niedługo potem Misza szedł pospiesznie do domu. Ależ tam było gorąco! Na szczęście uważał, żeby niczego nie dotknąć. Ostrożności nigdy za wiele.

Był z siebie dumny. Postąpił, jak należało, a stary chłop był najwyraźniej szczęśliwy.

Ależ on się tam spocił! Wspinając się po zboczach, czuł, że jego ubranie wilgotnieje. Otarł rękawem czoło i wąsy. Tak, to nie była przyjemna misja. Dobrze, że ma ją już za sobą.

Tydzień później Nikołaj otrzymał w Petersburgu wiadomość: ojciec zachorował na cholere.

*Lato 1892 roku*

W pokoju słychać było szum rozmów. Wkrótce miał się pojawić wybitny mówca. Roza Abramowicz poczuła dreszcz podniecenia. Nigdy jeszcze nie była na takim spotkaniu. Wokół niej kręciło się około trzydziestu osób, w większości dwudziestoparolatków.

Stolicę Litwy, Wilno, i stojący na wzgórzu stary zamek zalewało miękkie pomarańczowe światło popołudniowego słońca.

Roza Abramowicz miała dwadzieścia lat, a od dziesięciu mieszkała w Wilnie. Owszem, mogła była wyjechać do Ameryki. Po pogromach z 1881 roku wielu Żydów wyruszyło za ocean. Jednak ojciec zwołał jesienią naradę rodzinną, na której postanowiono, że udadzą się na Litwę, siedemset pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód.

– W Wilnie nie ma zamieszek – przekonywał ojciec. – Z Rosji wyjedziemy dopiero wtedy, gdy i tam dojdzie do pogromów. – Wciąż miał nadzieję.

Roza pokochała swój nowy dom. Tylko jeden dzień jazdy pociągiem dzielił stolicę Litwy od wybrzeży Morza Bałtyckiego albo od Warszawy, prastarej stolicy Polski. Na północy znajdowały się tereny zamieszkałe przez Łotyszy i Estończyków. To stamtąd przed wiekami wyruszali rycerze zakonu krzyżackiego na wyprawy przeciwko Rusi.

– To są właściwie tereny przygraniczne, rozstaje dróg – zauważył ojciec.

Rzeczywiście ziemie należały obecnie do rozległego carskiego imperium, ale nie miały w sobie nic rosyjskiego. Pofałdowane, dostatnie pola uprawne i lasy Litwy – tutejsi mieszkańcy nigdy nie zapomnieli, że kiedyś razem z Polakami tworzyli jedno królestwo i władali ogromnym terytorium. Piękne, duże drewniane domy litewskich rolników przypominały Rozie kozackie gospodarstwa, które widziała na Ukrainie. Wilno było ładną europejską stolicą, pełną budynków w różnych stylach – gotyckim, renesansowym,

barokowym i neoklasycznym. Wznosiła się tam piękna katolicka katedra i wiele kościołów. Trudno natomiast było znaleźć przykłady rosyjskiej architektury. W tym kosmopolitycznym mieście rozwinęła się liczna społeczność żydowska.

Ojcu Rozy nie podobało się tylko jedno: duża grupa młodych świeckich Żydów, którzy odwrócili się od religii. Mimo usilnych starań nie udało mu się powstrzymać synów od nawiązywania z nimi znajomości. Jednak nad Rożą trzymał ścisły nadzór. Aż do nagłej śmierci przed rokiem.

I właśnie w tym niebezpiecznym gronie Roza znalazła się tego wieczoru. Była bardzo podekscytowana.

Przyprowadzili ją tu bracia i znajomi. Połowę zebranych stanowili młodzi mężczyźni i kobiety z zasymilowanych rodzin żydowskich z klasy średniej – studenci, jakiś lekarz i prawnik. Pozostali, między innymi trzy młode szwaczki, byli żydowskimi robotnikami. Wyglądali miło i sympatycznie, ale Roza nikogo nie знаła. Dlaczego tu przyszła? Głównie dlatego, że nie miała nic lepszego do roboty.

Liczyła sobie dopiero dwadzieścia lat, ale życie zgotowało jej już kilka bolesnych ciosów. Początkowo, zaraz po przyjeździe do Wilna, wszystko zapowiadało się dobrze. Jej kariera muzyczna rozwijała się błyskawicznie. Jako szesnastolatka dała kilka koncertów i odbyła krótkie tournée. A rok później miała występować ze znanym dyrygentem. Rodzice byli zachwyceni, bracia pałali dumą, choć nieco jej zazdrościli. Marzenia Rozy się spełniały. A teraz nie zostało jej nic.

Dlaczego Bóg ofiarował jej taki dar, żeby go potem zniszczyć? – zastanawiała się nieustannie. Oto kolejna niewytłumaczalna tajemnica losu. Ostatnie trzy lata były koszmarem. Czasem choroba kładła się jej na piersiach jak potworny ciężar, nawiedzały ją ataki bolesnego kaszlu. Całymi dniami leżała wyczerpana, nie mając na nic sił. Koncerty z dyrygentem odwołano. Musiała prawie zrezygnować ze studiów muzycznych.

– Jeśli nie mogę grać dobrze, to nie będę grała wcale – oznajmiła zatroskanemu ojcu.

Powoli pogrążała się w depresji, a rodzina mogła na to jedynie patrzeć bezradnie.

– Gdyby tylko miała jakichś przyjaciół, którzy mogliby jej pomóc! – rozpaczła matka.

Ale Roza przyjaźniła się głównie z innymi muzykami, a teraz nie chciała ich widywać. Pozostał jej tylko jeden bliski człowiek: Iwan Karpienko na dalekiej Ukrainie. Tamtego strasznego dnia, gdy ocalił jej rodzinę od pogromu, nawiązała się między nimi szczególna więź. I właśnie do Iwana pisała długie listy podczas swojej choroby, od niego otrzymywała ciepłe słowa pocieszenia.

Niespodziewana śmierć ojca wyrwała ją z letargu. Rodzina straciła główne źródło dochodu, braciom przyszło utrzymywać matkę. A Roza musiała postanowić, co zrobi ze swoim życiem. Kariera pianistki nie wchodziła w grę, więc cóż jej pozostało? Dawanie lekcji muzyki za marne grosze? Już sama ta myśl budziła jej przerażenie. W mieście działał Instytut Nauczycielski, w którym żydowscy studenci przygotowywali się do nauczania w państwowych szkołach. Bracia uznali to za lepszy pomysł. Ale jakie to ma znaczenie, skoro nie mogę robić tego, co kocham? – myślała. Zapisała się do instytutu. A tego wieczoru dla zabicia czasu wybrała się na zebranie żydowskich robotników.

Podobnych spotkań odbywało się wiele. Na jednych uczono robotników czytać i pisać, na innych dyskutowano, jak poprawić warunki ich życia i pracy. Jeszcze inne były zebraniem politycznymi.

Jednak to spotkanie zapowiadało się wyjątkowo. Jakiś profesor z Moskwy miał im opowiedzieć o ruchach robotniczych w Rosji i za granicą.

– Podejrzewam jednak, że rozwinie ten temat jeszcze bardziej – powiedział ktoś. – Ten profesor jest marksistą. – Róża wyglądała na zaskoczoną. – To rewolucjonista.

Rewolucjonista. Jak taki człowiek wygląda? Wszyscy trafią przez to do aresztu? Z ciekawością przyglądała się mówcy, który właśnie wszedł do pokoju.

Piotr Suworin umiał przemawiać. Na pierwszy rzut oka ze swoją szczupłą, roztargnioną twarzą, okularami w złotych oprawkach i łagodnym spojrzeniem wyglądał na dobrze ułożonego nauczyciela. Właśnie ta łagodność i prostolinijność – w połączeniu z cudowną jasnością wywodu – budziły zachwyt słuchaczy.

Piotr Suworin miał trzydzieści siedem lat, ale się nie zmienił. Należał do grona szczęściarzy, którzy zetknąwszy się z jakąś wielką ideą, związali z nią swoje przeznaczenie. A idea ta była bardzo prosta: ludzkość może – i musi – osiągnąć stan, w którym wszyscy ludzie będą wolni i w którym nie będzie wyzysku. Wierzył w to w 1874 roku, wierzył w to teraz.

Miał za sobą dziwne życie. Po nagłym wyjeździe z Ruski w 1874 roku przez kilka miesięcy włóczył się po Ukrainie, a Suworinowie zastanawiali się, czy on w ogóle jeszcze żyje. Kiedy jednak zabrakło mu pieniędzy, odezwał się do brata Władimira, który uznał, że musi zawiadomić o tym Sawę.

Być może to właśnie Sawa Suworin przypieczętował los Piotra. Był pewien, że okazał wnukowi wyrozumiałość. List, rzekomo napisany przez Piotra i będący przyznaniem się do podłożenia ognia, odebrał jak bolesny cios. Nie mógł się z tym pogodzić. „Taka napaść na własną rodzinę!” – pomrukiwał czasem do siebie. Nie wiadomo, co wstrząsnęło nim bardziej, zdrada Piotra czy przypadkowa śmierć dwojga młodych w płomieniach, w każdym razie nikomu nie powiedział o liście, nawet Władimirowi. Kiedy więc nadeszły wieści o Piotrze, wysłał mu stanowczą wiadomość: wracaj natychmiast, żeby zadośćuczynić za swój straszny czyn, albo na zawsze wykluczę cię z naszej rodziny. Sawie wydawało się, że postąpił wielkodusznie. Dlatego aż nie mógł uwierzyć, gdy Piotr odmówił.

– Jego serce zatwardziało w grzechu – oświadczył Sawa i nigdy więcej nie wspominał o Piotrze nawet słowem. Pół roku później zmarł.

Testament mówił wyraźnie: niebezpieczny rewolucjonista Piotr Suworin ma być pozbawiony jakiegokolwiek wpływu na rodzinne przedsiębiorstwa, dostanie jedynie skromną pensję.

– Możesz podważyć testament – powiedział szczerze Władimir. – Albo sam ci dam część swojego majątku.

Ale Piotr był młody i dumny.

– Nie chcę go.

Wrócił na studia do Moskwy. Zakochał się, ale bez wzajemności. Odkrył w sobie talent do fizyki, studiował ją dogłębnie, napisał nawet podręcznik, który ukazał się

drukiem. Wmawiał sobie, że jest szczęśliwy. I z nieugiętym uporem poszukiwał lepszego świata.

Z marksizmem zetknął się w latach osiemdziesiątych. Od pierwszego spotkania z Popowem wiernie służył myśli rewolucyjnej. Potem widywał się z nim wielokrotnie, a on skontaktował go z kilkoma radykalnymi ugrupowaniami. Jednak w oczach ich członków Piotr uchodził za łagodnego marzyciela. Dopiero marksizm zapewnił mu uznanie. Znalazł w nim swoją upragnioną utopię, ale tym razem uzasadnioną w sposób naukowy – można było ją osiągnąć nie poprzez brutalny, spiskowy przewrót, lecz w stopniowym, naturalnym procesie historycznym.

– Uważasz moje poglądy za utopijne – mówił do Władimira – ale ja nazywam je postępem ludzkości.

W głębi serca był przekonany, że pewnego dnia fabryki Suworina przejdą w ręce robotników bez jednego wystrzału.

Co dziwne, właśnie to wczesne zainteresowanie marksizmem przekonało carskie władze, że dobrze ułożony profesor nie stanowi żadnego zagrożenia dla państwa. Jeszcze tego samego roku wysoki urzędnik w prywatnej rozmowie przekazał Władimirowi Suworinowi opinię rządu.

– Drogi przyjacielu, dopóki twój brat będzie się trzymał marksizmu, nie mamy podstaw do niepokoju. Zbadaliśmy wszystko dokładnie. Ten Marks był ekonomistą. Pozwoliliśmy nawet na druk kilku jego prac, bo bez względu na to, czy ma rację, czy nie, i tak nikt z nich nie zrozumie ani słowa. Obawiamy się rewolucjonistów, a nie ekonomistów. I jakoś nie wyobrażam sobie, żeby twój brat podkładał bomby.

Bracia Suworinowie tworzyli dziwną parę – bogaty przemysłowiec i biedny profesor, ojciec rodziny i samotny kawaler. Lubili się, ale pewne spięcia były nieuchronne. Ich stosunkom nie pomagało to, że piękna druga żona Władimira, przyjmująca w swoim wielkim moskiewskim domu znamienitych gości, czuła niejaką litość wobec Piotra, którego uważała za nieudacznika.

– Piotr powinien się ożenić – mówiła do męża. – Obawiam się jednak, że jest na to zbyt nieśmiały.

Piotr wyczuwał jej nastawienie, a to raniło jego dumę. Z rzadka odwiedzał dom brata.

Dzisiejsze zebranie nie było szczególnie liczne, ale Piotr Suworin wierzył, że ma dużą wagę, dlatego chciał dobrze wypaść. Mówiąc, starał się wyczuć reakcje słuchaczy. Z niezwykłą precyzją opisał sytuację w Europie. Zaledwie trzy lata wcześniej zwołano Drugą Międzynarodówkę, kongres partii socjalistycznych. A przed rokiem rosyjscy robotnicy w geście solidarności z międzynarodowym ruchem robotniczym po raz pierwszy świętowali Pierwszy Maja.

– Ten ruch dopiero się rodzi, ale to on nada kształt przyszłej cywilizacji – stwierdził.

Wreszcie upewniwszy się, że zjednał sobie słuchaczy, odważył się poruszyć temat, z którym do nich przyjechał. A chodziło o żydowskie pochodzenie.

Zaczął ostrożnie, odwołując się do ich trudnych doświadczeń. Bo oto w ostatnich latach władze z niewyjaśnionych przyczyn, sięgając do nikczemnych metod, z wielką siłą



zwróciły się przeciwko żydowskiej społeczności. Żydom nie wolno było kupować ziemi, pozwolono im mieszkać jedynie w małych miastach; wprowadzono limity ograniczające liczbę żydowskich studentów na uniwersytetach, i to nawet w żydowskiej strefie osiedlenia. Z Moskwy wypędzono ludność żydowską, bo nagle zaczęto restrykcyjnie przestrzegać przepisów wyznaczających granice strefy. Co gorsza, rząd nie robił nic, żeby przeciwdziałać powtarzającym się pogromom.

Nic więc dziwnego, że od jakiegoś czasu żydowscy robotnicy zastanawiali się nad powołaniem własnych niezależnych komitetów robotniczych. Piotr wcale ich za to nie winił. Ale właśnie temu chciał za wszelką cenę zapobiec.

– Robotnicy na całym świecie powinni się zjednoczyć – mówił. – Wszystkie grupy, wszystkie narody powinny stać się jednym. – Był do tej wizji przekonany. – Poza tym w ramach większego ruchu wasz głos będzie o wiele silniejszy niż wtedy, gdy się oddzielicie.

Słuchali tego uprzejmie, ale widział, że mu nie dowierzają. Pierwszy odezwał się siedzący z przodu młody mężczyzna ze zmierzwioną czupryną.

– Twierdzicie, że powinniśmy pozostać w szerokim braterskim ruchu. Bardzo pięknie. Ale co mamy robić, jeśli nasi nieżydowscy bracia nie chcą nas bronić?

Piotr był przygotowany na takie pytanie. Zdawał sobie sprawę, że rosyjscy robotnicy żywią wobec żydowskich towarzyszy mieszane uczucia. We właściwej Rosji traktują ich jak obcych, w strefie osiedlenia jak konkurencję. Do tego pewni działacze i socjaliści, bojąc się zrazić robotników, których chcieli przekonać do swojej sprawy, nie sprzeciwiali się pogromom.

Piotr był zbyt uczciwy, żeby temu przeczyć, ale uważał to za etap przejściowy, który musi minąć.

– Pamiętajcie, że to dopiero początek. Jeszcze nie wszyscy działacze robotniczy są odpowiednio wyedukowani. Ale gdy nasze organizacje będą coraz liczniejsze, gdy wzrośnie nasza świadomość, problem zniknie – powiedział. – A wy możecie przyspieszyć ten proces, uczestnicząc w nim od środka.

Zapadła długa cisza. Nie wiedział, czy udało mu się przekonać młodego mężczyznę. Padły kolejne pytania.

Spotkanie miało się ku końcowi, gdy nagle podniosła się młoda kobieta. Siedziała z tyłu, za plecami jakiegoś osiłka, więc widział jedynie jej bujne ciemne włosy. Teraz patrzyła na niego wielkimi świetlistymi oczami, na jej twarzy malowało się szczere zdziwienie. Bo Roza Abramowicz rzeczywiście była skonsternowana. Uważnie wsłuchiwała się w słowa Piotra Suworina. Porwała ją wizja wielkiego zakrętu historii ludzkości, za którym wyłoni się lepszy świat. Była głęboko poruszona, nigdy w życiu nie słyszała, żeby ktoś tak przemawiał. Gdy jednak myślała o swoim życiu, o tym, co ich spotkało na Ukrainie, nie potrafiła zrozumieć jednej rzeczy. Nieco zmieszana, zapytała cichym głosem:

– Czy gdy już nadejdzie ten nowy świat, gdy powstanie państwo socjalistyczne, Żydzi nie będą prześladowani, a ludzie się zmienią?

Piotr patrzył na nią zdumiony. Pytanie było tak głupie, że aż nie wiedział, jak ma odpowiedzieć. Może chciała z niego zakpić? Nie. Na jej bladej twarzy, w jej poważnych

oczach malowała się szczerłość. Uśmiechnął się.

– Obawiam się, że mnie pani nie zrozumiała – powiedział dobrotliwie.  
– W socjalistycznym państwie robotników wszyscy ludzie będą równi. Prześladowanie mniejszości będzie nie do pomyślenia. – A widząc jej niezdecydowanie, dorzucił:  
– Porozmawiajmy po spotkaniu. Doradzę pani kilka lektur.

Roza usiadła. Ktoś coś mówił, ale ona już nie słyszała. Nie wiedziała, czy ma wierzyć temu profesorowi. Ale co do jednego była pewna: nigdy jeszcze nie widziała tak przystojnego mężczyzny.

Piotr Suworin nie musiał się długo starać o rękę Rozy Abramowicz, bo od pierwszego spotkania oboje mieli wrażenie, że znają się całe życie.

– On jest prawie dwa razy starszy od ciebie – ostrzegali ją bracia.

– To rewolucjonista, a do tego nie jest Żydem – oburzała się matka. Po czym dodawała z bólem: – Zanim się na to zdecydujesz, wspomnij ojca.

Roza kochała do tej pory trzech mężczyzn. Teraz już rozumiała, że jej pierwszą miłością był Iwan Karpienko. Oczywiście było to jedynie dziecięce uczucie, z którego rozwinęła się podtrzymywana w listach przyjaźń. Jednak w miarę upływu czasu Roza widziała coraz wyraźniej, że ich więź nie dość, że nie słabnie, to jeszcze nabiera dla niej coraz większego znaczenia. Drugą miłością był dyrygent, którego obserwowała z daleka jako piętnastolatka i z którym nigdy nie zamieniła ani słowa. A teraz Piotr Suworin. Żaden z nich nie był Żydem.

Co ją przyciągnęło do Suworina? Jego umysł? Choć z tego, co Piotr mówił, nie wszystko rozumiała, była zafascynowana jego błyskotliwą znajomością teorii ekonomicznej. Wydawało się, że poznał system, który w pełni wyjaśniał złożone problemy współczesnego świata. Piotr miał też w sobie jakąś czystość, żarliwy idealizm, który pokochała od pierwszej chwili. Był wiecznym wędrowcem, wyrzutkiem, wręcz męczennikiem. Nie ożenił się do tej pory, bo nigdy nie spotkał kobiety zasługującej na to, by mogła zostać jego żoną.

A teraz oczarowała go ta magiczna, poetycka istota, która niemal spadła mu z nieba. Owszem, była Żydówką, ale wyjątkową. Poza tym, przekonywał się w myślach, mogę robić to, co chcę, nie muszę się na nikogo oglądać.

Piotr miał wrażenie, jakby narodził się na nowo. A Rozie wydawało się, że jej życie nagle nabrało sensu. Nareszcie miała jakiś cel. Nawet zdrowie jej się poprawiło. I choć kochała matkę i czciła pamięć ojca, nie mogła już dłużej myśleć tak samo jak oni. Poznała wielu znajomych i przyjaciół braci. Większość tylko z rzadka chodziła do synagogi.

– Do tej pory byłam nieszczęśliwa. Dlaczego mam poświęcać swoją przyszłość dla religii, która nie dała mi żadnego pocieszenia?! – wykrzyczała kiedyś matce. – Zrobię, co zechcę, i nikt mnie nie powstrzyma. – Była zakochana. I nic więcej się nie liczyło.

– A więc mnie porzucasz – powiedziała z goryczą matka. – Nie chcę cię więcej znać.

– Przejdzie jej – pocieszali ją bracia.

We wrześniu Roza wyjechała z Piotrem do Moskwy. A tuż przed ślubem przyjęła chrzest. „Sami rozumiecie, że to nic nie znaczy – pisała do braci. – Ale chrzest ułatwia w Moskwie wiele spraw, zwłaszcza gdy ma się dzieci. Chyba musimy powiedzieć o tym

mamie” – zakończyła niepewnie.

Miesiąc później matka Rozy poprosiła przyjaciół, by towarzyszyli jej podczas szczytu. Dwa tygodnie wcześniej wspierała w ten sam sposób starsze małżeństwo, którego syn został ateistą i socjalistą.

– Roza dla mnie umarła – oznajmiła ze smutkiem.

Synowie nie wzięli w tym udziału, choć starali się ją jakoś pocieszyć. Ale przyjaciele dobrze ją rozumieli.

*Lipiec 1905 roku*

Mały Iwan uwielbiał wuja Borysa. Wuj Borys wiedział wszystko.

To on był teraz głową rodziny. Timofiej i jego żona zmarli podczas zarazy w 1891 roku, stara Arina rok później. Borys przyjął więc do siebie młodszą siostrę Arinę, która zdążyła już zostać wdową, i jej sześciolatniego synka Iwana.

A teraz wuj Borys przekazał chłopcu niezwykłą wiadomość.

– To będzie najważniejszy rok w historii Rosji. A wiesz dlaczego? Bo zaczęła się rewolucja.

Rewolucja. Słowo brzmiało ekscytująco, choć Iwan nie do końca rozumiał jego znaczenie.

– Chodzi o to – tłumaczył Borys – że przepędzimy stąd Bobrowów i zajmiemy ich ziemię. I co ty na to?

Iwan musiał przyznać, że bardzo mu się to podoba.

Wiedział, że matka darzy Bobrowów sympatią, a wielu mieszkańców wioski dobrze o nich mówi. Ale wuj Borys nigdy się nie mylił.

– Niech żyje rewolucja! – zawołał, chcąc sprawić wujowi przyjemność.

Już od jakiegoś czasu zanosilo się na niezwykle wydarzenia, do których doszło w 1905 roku. Rządy Aleksandra III były bardzo zachowawcze, ale jedenaście lat panowania jego pozbawionego wyobraźni syna Mikołaja II stanowiło żalosną kontynuację bezmyślnego ucisku poprzedniego reżimu. Czasem można było odnieść wrażenie, że Mikołaj wręcz szuka kolejnych ofiar. Przez ponad sto lat Finowie mieli w imperium swoje autonomiczne księstwo, ale oto nagle rząd uznał, że należy ich zrusyfikować tak samo jak Ukraińców. Finowie zaczęli się burzyć. Na Ukrainie wybuchło powstanie chłopskie, a w 1903 roku doszło do straszliwego pogromu. Zachowanie przestraszonego rządu stawało się coraz bardziej irracjonalne. Bez żadnego powodu wprowadzono na uniwersytetach surową kontrolę. Gdy studenci zaprotestowali, potraktowano ich jak agitatorów politycznych i wcielono do wojska. Władze zraziły do siebie nawet największych zwolenników, ograniczając liberalnej szlachcie możliwość działania w lokalnych ziemstwach.

Policyjni szpiedzy węszyli wszędzie. System nadzoru politycznego był tak skomplikowany, że pewien agent, żeby się uwiarygodnić w oczach terrorystów, których środowisko miał infiltrować, musiał zastrzelić ministra spraw wewnętrznych! Powstawały nielegalne partie polityczne.

Były też jaśniejsze punkty. Koleje i przemysł ciężki rozwijały się w szybkim

tempie dzięki znakomitemu ministrowi finansów Siergiejowi Wittemu. Kolej Transsyberyjska sięgała aż do Pacyfiku. Kapitał zagraniczny, zwłaszcza francuski, płynął szerokim strumieniem. Jednak te niewątpliwe osiągnięcia nie miały żadnego wpływu na życie zwykłych ludzi, a w ciągu ostatnich kilku lat nastąpiła recesja gospodarcza.

Ale przyczyną katastrofy była wojna.

Bo jak wiele lat wcześniej Rosja rozpoczęła katastrofalną w skutkach wojnę na Krymie, tak teraz zaczęła się rozpychać na Dalekim Wschodzie. Powstanie Kolei Transsyberyjskiej sprawiło, że coraz bardziej poszerzała swoje wpływy, zastraszając Chiny i zagrażając japońskim interesom. Potężne lądowe mocarstwo, nadmiernie ufne w siłę swojej armii i marynarki, wdało się w wojnę z małym wyspiarskim krajem. I doznało katastrofalnej klęski.

Zostało całkowicie upokorzone. Każdego miesiąca przychodziły wieści o kolejnych niepowodzeniach. Rosyjska armia, prowadząc wojnę zupełnie niezrozumiałą dla żołnierzy i ich rodzin, ponosiła ogromne straty. Koszty wojny doprowadziły do chaosu gospodarczego. Zaczął się głód. A rząd nie miał żadnych zwolenników. Nawet tymczasowe regulacje – stan wyjątkowy obowiązywał od 1881 roku – nie pomogły w opanowaniu sytuacji. Liberalna szlachta zasiadająca w ziemstwach błagała cara o ustanowienie zgromadzenia ustawodawczego.

A w styczniu 1905 roku doszło do krwawej niedzieli.

Przebieg wydarzeń – przez wielu uważanych za iskrę, która wywołała w Rosji pożogę – był dziwny i nie do końca jasny. Demonstranci prowadzeni przez ukraińskiego popa i domagający się jedynie poprawy warunków bytowych posuwali się bez żadnego planu zamierzającymi ulicami Petersburga. Wbrew temu, co się powszechnie uważa, do masakry nie doszło przed Pałacem Zimowym. (Tego dnia cara i tak nie było w mieście). W każdym razie po kilku drobnych zajściach przestraszeni żołnierze otworzyli ogień, zabijając przy Bramie Narwskiej wielu ludzi.

I wtedy rozpętało się piekło. Liberalne ziemstwa zaprotestowały przeciwko takiej brutalnej przemocy. Zaczęły wybuchać strajki. Rząd zamknął uniwersytety, co było skończoną głupotą, jako że studenci wyszli teraz na ulice. Każda niezadowolona grupa, widząc nadchodzący kryzys, postanowiła protestować. Zamieszki wybuchały w Finlandii, w krajach bałtyckich, w Polsce, a nawet w samej Rosji. Nim nadeszło lato, w policyjnych raportach zanotowano czterysta dziewięćdziesiąt dwa poważne zajścia. W dużych zakładach włókienniczych w Iwanowie, na północ od Włodzimierza, doszło do rozruchów. W krążących w miastach pismach i ulotkach pojawiały się rewolucyjne artykuły podpisane pseudonimem znanym do tej pory jedynie w kręgach rewolucjonistów: W.I. Lenin. W maju i w czerwcu nadeszły druzgocące wieści ze wschodu: cała rosyjska flota została zatopiona. A niedługo potem w Odessie zbuntowali się marynarze pancernika „Potiomkin”.

Co na to rząd? Policja nie dawała sobie rady, większość zdziesiątkowanej armii znajdowała się na wschodzie. Cała Rosja wyczekiwała.

Małego Iwana ogarnęło gorączkowe podniecenie. Coś się dzieje w Rusce!

Jeszcze rano w miasteczku i w fabryce Suworina panował spokój. Ale tuż przed południem jakiś człowiek przyniósł wiadomość:

– W tkalniach coś się ruszyło.

Po południu rozeszły się pogłoski o strajku. A niedługo potem we wsi pojawiły się trzy młode kobiety, które pracowały w przędzalni.

– Kazali nam iść do domu.

Te wszystkie znaki mówiły Iwanowi, że rewolucja dotarła do Ruski.

Ale późnym popołudniem wuj Borys zaczął się dziwnie zachowywać.

Aleksander Bobrow wszedł na plac targowy w Rusce. Wciąż czuł irytację.

Był jasnowłosym, przystojnym czternastolatkiem z młodziutkim wąsem nad górną wargą. Pospieszył do miasteczka, gdy tylko się dowiedział o niepokojach. Ale wcześniej doszło do przykrej rozmowy między nim a ojcem. I padły w niej słowa, których nie da się już odwołać. Że też nie potrafił się opanować!

Ojciec i syn stanowili dziwną parę – fizycznie byli do siebie bardzo podobni, ale mentalnie znacząco się różnili. Chyba niektórzy ludzie po prostu rodzą się konserwatystami, pomyślał rano Nikołaj, patrząc na syna.

Po śmierci starszego brata Aleksander został jedynym dziedzicem Bobrowów i potraktował to bardzo poważnie. Był szalenie religijny, chętnie chodził z babką do cerkwi, a pradawne związki swojej rodziny z monarchią uważał za powód do dumy. Ale przede wszystkim nie mógł się doczekać, kiedy przejmie majątek – już jakiś czas temu doprowadziło to do jego konfliktu z ojcem.

Nikołaj doskonale pamiętał, jak sam krytykował ojca za sposób zarządzania majątkiem. Teraz to on musiał się wykazać. Czy jemu powiodło się lepiej? Raczej nie. Kawałek po kawałku pozbywał się majątku pod Riazaniem. Dostawał liczne propozycje kupna resztek lasów i pastwisk w Rusce – jedną złożyła wiejska komuna, a dwie niewielkie działki chciał nabyć Borys Romanow. Nikołaj za każdym razem odmawiał pod naciskiem matki i małego Aleksandra. Teraz jednak wiedział, że będzie musiał się zgodzić.

– Bo prawda jest taka – tłumaczył rodzinie – że po zniesieniu poddaństwa nie starcza ziemi dla mnie i dla chłopów.

Nie tylko jego spotkał taki los. W ciągu ostatnich lat ponad połowa znanych mu właścicieli ziemskich musiała sprzedać swoje majątki. Następował powolny upadek rosyjskiego ziemiaństwa. Jednak Nikołaj nie widział potrzeby, by mówić o tym Aleksandrowi.

Ale w oczach chłopaka miał na sumieniu znacznie większy grzech.

– Dlaczego robotnicy wysuwają te niegodziwe żądania wobec cara? – pytał oskarżycielsko Aleksander. – Wszystko przez ziemstwa, ojcie. Przez ciebie.

Nikołaj wiedział, że za taką impertynencją chłopcu należy się porządna reprymenda. Ale widząc w oczach syna łyzy oburzenia, nie umiał się na nią zdobyć. Bo prawdę powiedziawszy, to oskarżenie było zasadne. Rok wcześniej, jeszcze przed wybuchem niepokoju, Nikołaj i inni liberałowie z wielu ziemstw zebrali się w Petersburgu, żeby przygotować listę postulatów, w których domagali się od cara utworzenia wybieralnego zgromadzenia ustawodawczego, czyli parlamentu. Ależ to były ekscytujące spotkania! Niektórzy twierdzili nawet, że przypominały obrady Stanów Generalnych przed wybuchem rewolucji francuskiej. Nikołaj czuł to samo cudowne

uniesienie co trzydzieści lat wcześniej, gdy jako student chciał szerzyć rewolucję wśród chłopów. Jeśli mój syn jest urodzonym konserwatystą, to ja jestem urodzonym radykałem, pomyślał z uśmiechem. Nie dało się zaprzeczyć, że po rozruchach, które nastąpiły w wyniku krwawej niedzieli, robotnicy i rewolucjoniści, nie mając żadnego planu politycznego, przejęli żądania wysłanników ziemstw i zaczęli się domagać wybieralnego parlamentu. A o zacofaniu Rosji, zauważył Nikołaj, najdobitniej świadczy to, że każdy dopominający się prawa głosu jest traktowany przez władze niemal jak zdrajca.

Lecz Aleksander Bobrow podzielał opinię władz. I gdy ze łzami w oczach wybiegał z pokoju, wyrwało mu się z ust to właśnie słowo.

– Zdrajca! – krzyknął do ojca.

Był pośrodku placu targowego, gdy zobaczył znajomą postać Władimira Suworina. Od razu się uśmiechnął.

Potężnego przemysłowca uważał za swojego idola. Suworin prawie się nie zmienił przez lata: nieco przytył, posiwiał na skroniach, ale wciąż był tak samo władczy i elegancki. Jednak to nie powalający urok Władimira pociągał Aleksandra ani jego światowe obycie, z którego chłopiec nie zdawał sobie sprawy. On widział w Suworinie człowieka czynu, a przede wszystkim konserwatystę.

Władimir Suworin wykazywał niewielkie zainteresowanie polityką, choć niewątpliwie należało go uznać za wyznawcę tradycyjnych poglądów. Wiedząc o szczerym przywiązaniu Aleksandra do cara, mówił czasem ze śmiechem: „Nie spodziewaj się po mnie zbyt wiele, przyjacielu. Kocham cara jedynie ze względu na własny interes”.

Czasem próbował chłopca edukować. „Carowie uważali największych kupców za emblemat państwa świadczący o jego sile – tłumaczył. – Piotr Wielki podatkami doprowadził kupców do bankructwa, ale późniejsze rządy były już mądrzejsze. Dziś dostajemy rządowe zamówienia, a władza chroni nas przed zagraniczną konkurencją za pomocą ceł”. Starał się też rzetelnie przedstawić sytuację w kraju. „Rosyjski przemysł rozwija się głównie dzięki eksportowi surowców i sprzedaży towarów dość niskiej jakości w całym imperium i w biedniejszych państwach na wschodzie. Car i jego imperium działają na moją korzyść, to wszystko.

Ale nawet te szczere wyjaśnienia nie podważyły zachwytu, jakim Aleksander darzył Cesarstwo Rosyjskie. Suworin popierał cara. I tylko to się liczyło.

Stary przemysłowiec kładł czasem dłoń na ramieniu chłopca i mówił z niejakim rozbawieniem: „A wiesz, przyjacielu, że mój dziadek był chłopem pańszczyźnianym w majątku twojego dziadka? Ale jeśli tobie to nie przeszkadza, to mnie tym bardziej”.

Aleksander dogonił Suworina, który najwyraźniej zmierzał do przędzalni bawełny.

– Naprawdę wybuchł strajk? – spytał.

– Owszem. – Właściciel fabryki nie tracił spokoju.

– I co teraz? Wezwiecie Kozaków? – Wiedział, że kozacka kawaleria wielokrotnie dławiała robotnicze protesty.

Ale ku jego zdziwieniu Suworin pokręcił głową.

– Nie jestem taki głupi – odparł.

Przez pół godziny chodzili wokół zabudowań fabrycznych – przędzalni, tkalni,

kwater dla robotników. Maszyny nie pracowały, ale nie było widać, by zanosilo się na jakieś zamieszki. Robotnicy stali w małych grupach i rozmawiali, a gdy Suworin ich mijał, witali go uprzejmie.

– To nie jest strajk przeciwko mnie ani przeciwko warunkom pracy – tłumaczył Aleksandrowi cichym głosem. – Tym razem pojawili się jacyś obcy ludzie i przekonali ich do strajku solidarnościowego. Domagają się reform politycznych. – Uśmiechnął się ponuro. – Wezwanie Kozaków jedynie zaogni sytuację.

Aleksander jęknął.

– To wszystko przez ziemstwa i ludzi takich jak mój ojciec, prawda? To oni wywołali wrzenie.

Lecz ku zaskoczeniu Aleksandra Suworin stanowczo pokręcił głową.

– Nie wiń o to swojego ojca – powiedział. – Zaczekaj chwilę. – Przez kilka minut się nie odzywał.

Przerwał milczenie dopiero, gdy znaleźli się na zakurzonej uliczce. Wziąwszy chłopca za ramię, zaczął mu tłumaczyć z przekonaniem:

– Nic z tego nie rozumiesz, przyjacielu. Znasz bajkę o szatach cesarza? To samo spotkało naszego cara. Pomyśl tylko, Rosja jest wielka, zacofana, pogrążona w chaosie. To ogromny chłopski kraj, w którym pozorny porządek utrzymuje despotyczny władca, jego wojsko i policja oraz uprzywilejowana mniejszość, ludzie tacy jak wy, którzy mają niewiele związków z narodem. Całe państwo to jedno wielkie oszustwo, nie widzisz tego? A dlaczego? Bo nikt nie ma prawdziwej władzy. Car nie ma władzy, bo jego wojsko jest na wschodzie, a on nie wie nic o swoich poddanych. Rząd nie działa na rzecz ludu, ale przeciwko niemu. Ty i twój ojciec też nie macie władzy, bo wasze przywileje zależą od woli cara. Władzy nie mam też ja, bo to car ma zapewniać porządek i chronić moje interesy. I wreszcie władzy nie ma naród, bo nie umie się zorganizować i tak naprawdę nie wie, czego chce. – Wzruszył ramionami. – Obecny kryzys pokazuje, że car nie jest w stanie ani przewodzić społeczeństwu, ani go kontrolować. Cesarz nie ma szat, jest nagi. A w tym wielkim bałaganie, który nazywamy imperium, wystarczy jedna iskra, by się rozszalał pożar. W każdej chwili grozi nam bunt, przy którym rebelia Pugaczowa będzie wyglądała jak niewinna zabawa. Czeka nas całkowity, bezsensowny chaos. – Suworin westchnął. – Dlatego muszę być ostrożny.

– Co car może teraz zrobić?

– Powstrzymać ich. W kraju są dwie zorganizowane siły. Rodzące się dopiero związki zawodowe, które na razie oprócz kolejarzy obejmują tylko inteligencję, lekarzy, nauczycieli i prawników, oraz ludzie zasiadający w ziemstwach, tacy jak twój ojciec. I tylko oni mają jakiś program. Car musi się z nimi dogadać, licząc, że to uspokoi nastroje. Im dłużej będzie zwlekał, tym gorzej.

– Ale co będzie z carem i Świętą Rosją?! – zawołał Aleksander. – Przecież chłopci w nich wierzą.

– Wierzą, ale jedynie od święta. – Suworin się uśmiechnął. – Tylko dwóch ludzi wierzy w Świętą Rosję każdego dnia.

– Kto to taki?

– Car i ty. – Czasem lubił sobie z chłopca żartować.

Szli dalej przez miasteczko. Aleksander zauważył, że Suworin za czymś się rozgląda. Jego oczy uważnie obserwowały ulicę, a kilka razy odwrócił się gwałtownie, żeby spojrzeć w bok. Gdy zaś Aleksander go spytał, czego szuka, uśmiechnął się lekko.

– Nie czego, przyjacielu, tylko kogo. Nie zastanowiło cię, że w fabryce widzieliśmy same znajome twarze? Ani śladu obcych, którzy wznecają niepokoje. Ale ja już wiem, kto to jest. – Pokiwał z namysłem głową. – Człowiek nazwiskiem Iwanow.

– Aresztujecie go?

– Nie. Chętnie bym to zrobił, ale sprowadziłoby to na nas więcej kłopotów.

– Chcecie z nim porozmawiać?

– Złożyłem mu taką propozycję, lecz on mnie unika. To szczwany lis. – Zawiesił głos. – Chciałbym mu się przyjrzeć. Żebym mógł go następnym razem poznać.

Szli dalej. Dotarli do małego skweru przy domu Suworina, gdzie przez chwilę patrzyli ponad balustradą na las i płynącą poniżej rzekę. W końcu wrócili na targ, mijając po drodze cerkiew. I wtedy go zobaczyli.

Stał w odległości stu metrów, rozmawiając z kilkoma mężczyznami. Nie zauważył, że Suworin go obserwuje. Wyglądał dość niezwykle. Na oko miał jakieś czterdzieści kilka lat. Gładko ogoloną twarz przecinały dwie głębokie bruzdy biegnące od kącików oczu przez policzki. Obrazu dopełniały nieco opuchnięte powieki i rudawe, krótko przycięte włosy.

– A więc to on – mruknął Suworin. – Co za dziwny jegomość. – Takiej osoby nie da się zapomnieć.

Chwilę później przybysz dostrzegł ich i pospiesznie się oddalił.

Także Aleksander przyjrzał się jego twarzy. A więc, pomyślał, tak wygląda wróg. Nawiedziło go przecucie, że jeszcze kiedyś się spotkają.

Mały Iwan wpatrywał się w wujka jak urzeczony. Borys nie zauważył, że chłopiec jest w korytarzu.

Jeszcze przed chwilą Borys rozmawiał na zewnątrz z jednym z robotników. Zachowywał się wtedy całkiem swobodnie. „Powiadasz, że jest rudy? Nie, skądże znowu. Hm, w moim wieku. Jak on się nazywa? Iwanow? Nigdy o nim nie słyszałem. I gdzie on się niby zatrzymał? Pewnie z dala od Suworina. Aha, tuż za miastem. No cóż. Życzę powodzenia, wam i jemu”.

Ale teraz cały spokój Borysa gdzieś się ulotnił. Chodził w tę i z powrotem po magazynie. Iwan nigdy jeszcze nie widział wujka tak zdenerwowanego.

– Iwanow. Akurat! Przecież to tamten diabeł – pomrukiwał do siebie. – Diabeł z rudymi włosami. Ale tym razem cię dopadnę. Tym razem mi nie umkniesz. Moja biedna Natalia.

Pomrukiwał z taką wściekłością, że mały Iwan się przestraszył. Po kilku minutach wymknął się cichutko. Co to mogło znaczyć?

Nigdy się nie zdarzało, by latem Borys wychodził w nocy na polowanie. Zwłaszcza tak daleko. Ale z jakichś powodów ta noc była szczególna.

– Wybieram się na południe, na moczary – rzucił zdawkowo. – Zaczaję się gdzieś i kto wie, może o świcie coś mi się trafi.

Noce były ciepłe i krótkie. Wczesnym rankiem na moczarach pojawiały się różne



zwierzęta. Jeszcze przed zmierzchem Borys przygotował sobie strzelbę. Iwan zauważył, że wsunął też za pas duży myśliwski nóż.

– Mogę pójść z tobą? – poprosił chłopiec.

Ale Borys jedynie zmierzwił mu włosy.

– Następnym razem.

Gdy zapadła noc, wszedł do łódki i powiosłował na południe.

Nieco później, przed pójściem spać, Iwan opowiedział matce o niecodziennym zachowaniu Borysa.

– Kto to jest Natalia? – spytał.

Tej nocy najwyraźniej wszyscy dorośli byli jacyś dziwni. Dlaczego matka zbladła? I dlaczego próbowała to ukryć? I dlaczego powiedziała, że idzie do sąsiadów, a zamiast tego wymknęła się ukradkiem z wioski?

Obserwował ją przez okno. Szła po zboczu do domu Bobrowów.

Jednak zdziwienie Iwana było niczym w porównaniu ze straszną sceną, która rozegrała się o poranku.

Chłopiec obudził się o świcie i wyszedł na dwór. Z radością wsłuchiwał się w pierwsze nieśmiałe głosy ptaków, gdy nagle z mroku wyłonił się Borys. Był wyraźnie wzburzony, ale uśmiechnął się i zatrzymał, by zamienić z chłopcem kilka słów.

– Ktoś wczoraj chodził do Bobrowów? – zapytał od niechcienia.

Pytanie było tak niewinne, że Iwan odparł bez zastanowienia:

– Tak, mama.

A niedługo potem, mając przed sobą całą rodzinę, Borys wręcz kipiał z wściekłości.

– Poszłaś go ostrzec, tak?

Arina aż się skuliła. Mimo to w jej głosie słychać było nutę buntu.

– A bo co?

– A bo co? Zaraz ci powiem. – Dосkoczył do niej i dwa razy uderzył ją z całej siły w twarz. – Ty głupia krowo! Ty Mordwinko!

– Przestań! – krzyknął chłopiec i skoczył, żeby bronić matkę.

Ale Borys chwycił go i rzucił przez całą izbę. Iwan upadł z hukiem na ławę, na wpeł osłupiały.

Przeklęta Arina! Przeklęta wiedźma! Borys przepłynął nocą kawałek w dół rzeki, ukrył łódź na przeciwległym brzegu i nadkładając drogi, w ciemnościach wrócił do Ruski. Przekradł się do domu, w którym zatrzymał się rudowłosy łotr. Noc była ciepła. Przed domem naprzeciwko siedzieli dwaj mężczyźni. Czekał cierpliwie, aż wejdą do środka. W końcu wstali z ociąganiem, drzwi się za nimi zamknęły. Odczekał jeszcze kilka minut. Uśmiechnął się sam do siebie. Zakryje ręką usta Popowa, a potem poderżnie mu gardło, mówiąc: „To za Natalię”. Tak się to skończy. Żeby ten diabeł wiedział, żeby rozumiał, kiedy będzie się osuwał w ciemność. Przy odrobinie szczęścia wszyscy uznają, że to sprawka ludzi Suworina, pomyślał. Zemsta słodko smakuje, nawet jeśli się na nią czeka trzydzieści lat.

Nagle na drodze rozległ się tętent dwóch koni. Jednego dosiadał jeździec, drugi biegł luzem. Co za czort? Konie zatrzymały się przed domem Popowa. Jeździec zeskokczył

i załomotał w drzwi. „Jewgieniju Pawłowiczu! Popow, do diabła! Wiem, że to ty. Wychodź. To ja, Nikołaj Michajłowicz. Wychodź, szybko!”

Bobrow. Skąd on się, do diabła, dowiedział? Kto mu doniósł? I dlaczego chce ocalić skórę tego drania? Niech ich szlag trafi. Wszyscy są w zмовie. Przepadła najlepsza okazja do zemsty.

Odwrócił się do siostry.

– Zdrajczyni! – ryknął. – Wiesz, coś narobiła?

– Wiem! – krzyknęła ze złością. – Poprosiłam Bobrowa, żeby cię powstrzymał. Nie wolno ci zabijać ludzi.

– Nawet tego, kto zabił mi siostrę?

– Nawet.

– Widzę, że trzymasz z Bobrowem i tym rudzielcem – powiedział lodowato. – Ale obiecuję ci jedno: nigdy ci tego nie zapomnę.

Arina i przerażony Iwan wiedzieli, że nie były to słowa rzucające na wiatr.

Dwa dni później nieznany sprawca podpalił kawałek lasu Nikołaja Bobrowa. Ludzie uznali to za kolejny znak zbliżającej się rewolucji.

*Maj 1906 roku*

Był wczesny wieczór. W dużym moskiewskim domu przygotowania toczyły się pełną parą. Służba wyczekiwała nerwowo. Wszyscy wiedzieli, że tego dnia mają się pojawić bardzo dziwni goście. Ale po niezwykłych wydarzeniach minionego roku można się było wszystkiego spodziewać.

Jedynie w wygodnie urządzonej sypialni na górze panował spokój. Pani Suworina, w długiej lawendowej sukni z jedwabiu, z lekko upiętymi włosami, które przy każdym ruchu mogły się jej rozsypać na plecach, pisała listy przy małym biurku.

Jej córka Nadieżda siedziała na francuskim empirycznym krześle. Łokcie oparła na stojącym przed nią okrągłym stoliku przykrytym grubym obrusem z frędzlami. Z uwagą patrzyła na matkę.

Piękna z niej kobieta, pomyślała, ale ja byłabym lepszą żoną dla papy. Dziwna konstatacja jak na ośmioletnią dziewczynkę.

W wyglądzie Nadieżdy Suworinej najbardziej rzucały się w oczy jej kasztanowe włosy. Mogła je nosić rozpuszczone, więc spływały w połyskliwych lokach aż do łokci. W sukience z tafty, jedwabnych pończochach, bucikach z satynowymi kokardkami i dużym kapeluszu z szerokim rondem wyglądała czarująco. Dopiero potem ludzie zauważali jej oczy. Piękne, ciemnobrązowe, wszystkowiedzące.

Niezwykłe, ile Nadieżda wiedziała. Ale jak mogło być inaczej? Los zdecydował, że jej brat urodził się znacznie wcześniej. Gdy miała sześć lat, już studiował za granicą. Nic więc dziwnego, że ojciec właśnie ją wybrał sobie na najbliższą towarzyszkę.

Znała wszystkie obrazy wiszące w ich wielkim domu. Były wśród nich dzieła współczesnych malarzy rosyjskich – cudowne przedstawienia wsi, jakie wyszły spod pędzla Riepina, Surikowa, Sierowa, Lewitana. Lewitan namalował nawet ogromny pejzaż Ruski – miasteczko na wysokim brzegu widziane z przeciwległej strony rzeki, a nad nim

błękitne niebo usiane obłokami. W jadalni wisiał portret matki autorstwa Riepina i portret ojca namalowany przez Wrubla. Ale największą przyjemność sprawiało Nadieżdzie oprowadzanie gości po pokojach z olśniewającą kolekcją malarzy europejskich. Dorośli Rosjanie, mający nikłą wiedzę o takich dziełach sztuki, ze zdziwieniem słuchali jej szczebiotania: „To jest Monet, a to Cézanne. Renoir na wszystkich obrazach maluje te same dwie twarze, zauważyliście?”. Albo: „Ten jest Gauguina. Zostawił żonę i dzieci i zamieszkał na Tahiti”. Z ostatniej podróży do Paryża ojciec przywiózł jej nawet niewielkie obrazy dwóch początkujących malarzy, Picassa i Matisse’a. „Dopiero zaczynają być znani, więc kupiłem je dla ciebie” – oświadczył.

Władimir zabierał wszędzie córkę i z przyjemnością pokazywał jej swój świat. Jako mecenas sztuki bywał wszędzie i znał wszystkich. Nadieżda była już w Petersburgu, gdzie widziała wielką Pawłową. Odwiedziła Tołstoja w jego moskiewskim domu. Znała wszystkich aktorów z Moskiewskiego Akademickiego Teatru Artystycznego, który Władimir wspierał finansowo. Poznała nawet dramaturga Czechowa. Ten skromny człowiek w binoklach wydał jej się mało porywający w porównaniu z potężną postacią wielkiego powieściopisarza, jednak ojciec powiedział jej wtedy: „Nigdy nie sądź ludzi po pozorach, Nadieżdo. Czechow też jest wielki. Liczą się dokonania, a nie wygląd”. Dlatego później zadawała znamienitym gościom odwiedzającym ich dom niewinne, jej zdaniem, pytanie: „Powiedzcie mi, Iwanie Iwanowiczu, czego wam się udało dokonać?”. Wprawiała ich tym w zakłopotanie, za to ojciec był rozbawiony.

Jednego Nadieżda nie umiała pojąć. Dlaczego matka tak chłodno odnosi się do męża? W oczach obcych stanowili doskonałą parę, jednak bystre oko dziecka widziało więcej. To ją ojciec wszędzie ze sobą zabierał. I wiele razy widziała, jak na osobności próbuje się zbliżyć do żony, a ona wyraźnie go unika. Ja bym się nim lepiej zaopiekowała, uznała.

Pani Suworina skończyła list i wstała z krzesła.

Była naprawdę piękną kobietą. Wysoka, z dumnie odchyłoną głową i ciemnymi oczami, które zdawały się patrzeć z góry na świat, bardziej przypominała księżniczkę niż żonę kupca. Przyciągała wzrok wszystkich mężczyzn, którzy nie tylko widzieli jej delikatne rumieńce, białą skórę ramion i obfite, kształtne piersi, ale też wyczuwali niezwykłą zmysłowość, której nawet nie próbowała ukryć. Tym pewniejszym siebie wydawało się, że mogliby rozpaść jej ciało, natomiast ci nieśmiali myśleli jedynie: Taka kobieta wymaga odpowiedniego mężczyzny. Wrażliwsi dostrzegali w jej oczach cień smutku, ale gdy się ją widziało w bawialni, trudno było się oprzeć wrażeniu, że to tylko element gry. Jedno nie ulegało wątpliwości: pani Suworina zachwycała urodą dojrzałej kobiety.

Wstając od biurka, zauważyła utkwiony w niej wzrok córki. Pokiwała w zamyśleniu głową.

Nadieżda byłaby zdziwiona, gdyby wiedziała, że matka zdaje sobie sprawę, co jej chodzi po głowie. Domyśliła się tego już dawno i poczuła się winna. Jednak spojrzawszy w pełne wyrzutu oczy córki, westchnęła tylko w duchu. Są rzeczy, których nie może jej wytłumaczyć. Może później, gdy dziewczynka dorośnie. A może nigdy. Mam swoje wady, pomyślała ze smutkiem, ale przynajmniej jestem dyskretna.

– Muszę się przebrać – powiedziała z ożywieniem.

Zapowiadał się interesujący wieczór. Naprawdę żyli w zadziwiających czasach.

Aleksander Bobrow wiedział, że Suworin jest bogaty. „Jest dyrektorem Towarzystwa Kupieckiego i Banku Handlowego – wyjaśnił mu wcześniej ojciec. – Należy do elity”. A o jego pozycji świadczył również dom. Aleksandrowi aż dech zapało, kiedy go zobaczył. Był to jeden z dawnych pałaców książęcych, które w ciągu ostatnich dziesięcioleci przeszły w ręce kupieckich potentatów.

Bobrowowie mieli ważną sprawę do załatwienia, więc pojawili się wcześniej niż pozostali goście. Czekając na gospodarza, Aleksander rozglądał się dookoła.

Pokój był długi, z wysokim jak w kościele sklepieniem. Pośrodku na ogromnym orientalnym dywanie stał przykryty zielonym obrusem ciężki stół, przy którym, jak sądził Aleksander, zmieściłoby się chyba ze sto osób. Złocenia na sklepieniu migotały w świetle dużych mosiężnych żyrandoli. Pod ścianami ustawiono proste krzesła z oparciami i stoliki z ciemnego drewna. Wnętrze było ciężkie, bogate, niemal przytłaczające, jak w pałacach carów dawnego księstwa moskiewskiego. Ale największe wrażenie robiły obrazy – wisiały tak gęsto, że ich ramy niemal się ze sobą stykały. Rosyjskie sceny rodzajowe, impresjoniści, malarstwo historyczne – jaskrawe kolory lśniły jak na świeżo namalowanych ikonach.

Jeden z nich szczególnie przyciągnął uwagę Aleksandra. Przedstawiał Iwana Groźnego. Potężny car w długiej, obszytej futrem szacie ze złotego brokatu trzymał w dłoni ciężką laskę, a jego oczy patrzyły oskarżycielsko w dół, wprost na Nikołaja Bobrowa. I nie bez powodu, pomyślał Aleksander, mając w pamięci haniebną sprawę, która ich tu przywiodła.

Nikołaj zamierzał sprzedać Suworinowi swój majątek.

Nie było to jego winą. I nie tylko jego spotkał taki los. Odkąd rok wcześniej na prowincji wybuchły zamieszki, szlachta w całej Rosji zaczęła się pozbywać ziemi. Na szczęście Suworin zaproponował im bardzo dobrą cenę. „To więcej, niż wynosi wartość majątku” – przypomniał Nikołaj zagniewanemu synowi. Teraz jednak, widząc jego zasmuconą twarz, mruknął z zakłopotaniem:

– Przepraszam.

Władimir Suworin nie kazał im na siebie długo czekać. Pojawił się razem ze swoim prawnikiem, uściśnął Nikołaja na powitanie, podał Aleksandrowi rękę i po chwili wszystkie dokumenty leżały już na stole.

Suworin był w dobrym nastroju. Już od dawna chciał kupić jakąś siedzibę w pobliżu fabryk w Rusce. A od paru lat interesował się też rosyjskim rzemiosłem. „Zamierzam założyć w majątku warsztat snycerski i ceramiczny – zwierzył się kiedyś Nikołajowi. – Oraz małe muzeum sztuki ludowej”. Widząc przed sobą ponure twarze ojca i syna, wiedział doskonale, jakie myśli kłębią się im w głowach.

– Twój ojciec podjął słuszną decyzję – powiedział stanowczo do Aleksandra. – Wszyscy mądrzy ludzie teraz sprzedają, a kupują tacy głupcy jak ja. – Uśmiechnął się do Nikołaja. – Właściwie to ci zazdroszczę, mój przyjacielu. Jesteś wolny jak ptak. Powinieneś wyruszyć w podróż po Europie. Wszyscy Rosjanie to robią, a ludzie z twoją pozycją są z szacunkiem witani w Paryżu i Monte Carlo. Pokaż synowi kawałek świata.

Nawet te miłe słowa nie wywołały uśmiechu na twarzy Aleksandra. Nie czuł żalu do Suworina, wręcz przeciwnie. Ale wiedział jedno: Bobrowowie mieli majątki od zarania dziejów Rosji. A ojciec utracił posiadłości przez liberalne poglądy. Uchybił swoim zobowiązaniom. Patrząc z jeszcze większym podziwem na Suworina, Aleksander pomyślał: Szkoda, że nie ty jesteś moim ojcem.

– Przyjaciele, dość już o interesach – powiedział Władimir z zapraszającym gestem. – Czas dołączyć do pozostałych gości.

Przyjęcia u pani Suworinej cieszyły się zasłużoną sławą. W jej domu bywali wszyscy. Szczególnie chętnie witano malarzy, kompozytorów i pisarzy. Ale i arystokraci nie gardzili gościnnością kupców; nawet taki światowiec jak książę Szczerbatow z Petersburga był tu częstym gościem. Suworin miał rozległe wpływy – w teatrach, redakcjach pism, akademiach sztuk pięknych. Nawet oryginalny młodzieniec nazwiskiem Diagilew, który wziął na siebie rolę ambasadora rosyjskiej sztuki i kultury, znalazł u niego pomoc i zachętę. Spośród największych sław ówczesnej Rosji jedynie Tołstoj nigdy się w tych progach nie pojawił.

Pani Suworina lubiła, by każde przyjęcie miało temat wiodący, i stosownie do tego układała listę gości.

– Dziś będzie tylko o polityce – mruknął Władimir do Nikołaja, gdy wchodzili do salonu.

Temat był bardzo stosowny. W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy miały miejsce zadziwiające wypadki. Latem sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej, a mimo to car zwlekał. Nieustannie dochodziło do zamachów terrorystycznych, wybuchały strajki. „Dlaczego on nie słucha ziemstw?” – zżymał się Nikołaj. A car się wahał. W październiku wydarzyło się coś niewyobrażalnego. Ogłoszono strajk generalny. Na dziesięć dni stanęła cała Rosja. Rząd był zupełnie bezsilny. „Albo będziemy mieli jakieś reformy – stwierdził Nikołaj – albo wszyscy zginiemy”. W końcu car uległ. Postanowił dać poddanym parlament – Dumę. „Nareszcie wrócił mu rozum – powiedział Nikołaj. – Będziemy mieli monarchię konstytucyjną jak w Anglii. Będziemy cywilizowanym państwem jak cały Zachód”.

Tylko że to wszystko działo się w Rosji.

Powstanie pierwszej Dumy w państwie rosyjskim miało następujący przebieg. Ogłoszono wybory, w których mogła uczestniczyć większość obywateli. Jednak wyborców podzielono na grupy zgodnie z przynależnością klasową, a każda klasa miała określoną liczbę deputowanych. W rezultacie głos ziemianina, takiego jak Bobrow, miał taką samą siłę jak głosy trzech kupców, piętnastu chłopów albo czterdziestu pięciu robotników. Podczas wyborów rząd uchwalił pakiet ustaw pod staromodną nazwą „prawa fundamentalne”. Ustanawiały one drugą izbę parlamentu, w połowie mianowaną przez cara, a w połowie przez najbardziej konserwatywne środowiska. To zaś całkowicie sparaliżowało Dumę. „Na wypadek gdyby chcieli coś zrobić” – zauważył cierpko Nikołaj. Nawet jeśli obie izby doszły do zgody, to i tak nie miały kontroli nad biurokracją, która w rzeczywistości rządziła państwem. Car umocnił swoją autokratyczną władzę, zachował prawo do rozwiązania Dumy według własnego uznania oraz stwierdził, że pomiędzy jej sesjami może rządzić za pomocą dekretów, jeśli tylko uzna to za właściwe.

„Mówiąc krótko – podsumował Nikołaj, gdy ogłoszono nowe przepisy – wszystko zostało załatwione po rosyjsku. Mamy parlament, a jednocześnie go nie mamy. Parlament może mówić, ale nie może działać. Car daje i car odbiera”.

Skąd więc zadowolenie, które czuł, wchodząc do salonu pani Suworinej? Przyczyny były dwie. Po pierwsze, socjaliści zbojkotowali procedurę wyborów i nie wysunęli swoich kandydatów. Po drugie, przypuszczenia cara, że większość szlachty i chłopów zagłosuje na kandydatów konserwatywnych, całkowicie się nie sprawdziły. Niemal wszyscy głosowali przeciwko reżimowi, wybierając dużą liczbę deputowanych o postępowych i liberalnych poglądach. „Nie wiem, czy następnym razem sam nie stanę do wyborów” – oznajmił Nikołaj żonie. Dlatego gdy wszedł do salonu, rozejrzał się z ciekawością.

Pani Suworina przywitała go uprzejmie.

– Chyba dobrze wykonałam swoje zadanie – powiedziała z uśmiechem. – Mamy kogoś z każdej partii politycznej.

Nikołaj też się uśmiechnął. W sensie formalnym niemal wszystkie partie polityczne działały nielegalnie – sytuacja typowa dla carskiej Rosji. Zaczynająca obrady Duma składała się z partii, które oficjalnie nie istniały!

Pani Suworina miała rację. Nikołaj rozpoznał kilku zwolenników prawego skrzydła, które domagało się rozwiązania Dumy.

– Twoi przyjaciele – powiedział z uśmiechem do syna.

Byli też konserwatywni liberałowie, którzy uważali, że Duma powinna współdziałać z carem. I byli również tacy ludzie jak on, konstytucyjni demokraci, w skrócie nazywani kadetami, gotowi popychać cara w kierunku prawdziwej demokracji.

– Przyszedł ktoś z lewicy? – zwrócił się do gospodyni.

Miał na myśli działające wówczas dwie partie. Partia Socjalistów-Rewolucjonistów reprezentowała chłopów, ale niektórzy jej członkowie byli zwolennikami terroryzmu.

– Tych akurat mi brakuje – powiedziała lekko pani Suworina. – Choć jeśli wybuchnie tu jakaś bomba, to znaczy, że któryś się jednak pojawił.

Druga była partia socjaldemokratyczna.

– Z nimi lepiej mi się powiodło. Przedstawię panu mojego szwagra, Piotra Suworina.

Piotr i Roza Suworinowie rzadko odwiedzali rodzinę. Nie dlatego, że nie byli tu mile widziani. Bracia darzyli się uczuciem, ale ich drogi dawno się rozeszły. Roza i pani Suworina nie miały o czym rozmawiać, a Piotr wyczuwał w zachowaniu szwagierki pewną protekcyjność, która mówiła: „Traktuję was uprzejmie, ale dla mnie jesteście biednymi nieudacznikami”. Obie pary nie spotykałyby się w ogóle, gdyby nie przyjaźń ich dzieci.

Roza urodziła troje, ale przeżyło tylko jedno: ciemnowłosy Dmitrij, trzy lata starszy od Nadzieży. Poznali się w Boże Narodzenie, gdy Nadieżda miała trzy lata, i od razu zapalali do siebie sympatią. Nadieżda ciągle o niego wypytywała, więc pani Suworina często zapraszała chłopca do siebie, choć nie pozwalała, by córka odwiedzała skromny dom kuzynów. Jednak bliska więź dzieci ją cieszyła. „To dobrze, że Nadieżda ma się z kim bawić” – powiedziała do Rozy całkowicie szczerze.

Dziś jednak pani Suworina z ciekawością czekała na spotkanie z profesorem marksistą. „Dzięki niemu mam dostęp nawet do skrajnej lewicy – wyjaśniła mężowi. – Chyba powinniśmy ich lepiej poznać”.

Wiedziała co nieco o socjaldemokratkach. Kilka lat wcześniej podzielili się na dwa obozy. Mniejszy był bardziej radykalny. „I nawet tu widać typowy rosyjski bałagan – zauważył Władimir. – Większość nazwała się mniejszą partią, a mniejszość większą, czyli bolszewikami”. Pani Suworina była przekonana, że dobrotliwy Piotr należy do mniej skrajnej większości, ale bolszewicy bardzo ją intrygowali, więc kilka dni wcześniej zadała mu pytanie: „Znasz kogoś od nich? Jacy oni są? Mógłbyś kogoś do nas przyprowadzić?”. Na co Piotr odparł: „Owszem, znam jednego. Akurat jest teraz w Moskwie. Nie sądzę jednak, by zechciał przyjść”. „Tak czy inaczej go zaprosz” – zaproponowała. Co też Piotr uczynił.

Nikołaj Bobrow był ciekaw spotkania z Piotrem Suworinem, którego słabo pamiętał z czasów młodości. Od razu przypadli sobie do gustu.

– My, kadeci, będziemy się sprzeciwiać carowi, dopóki nie wprowadzi u nas prawdziwej demokracji – oświadczył Bobrow.

– My też tego chcemy – potwierdził Piotr. – Ale według nas demokracja ma wieść do rewolucji, a wy wolelibyście rewolucji uniknąć. – I w odpowiedzi na kolejne pytania Nikołaja, zaczął obszernie wyjaśniać, jak widzi przyszłość. – Najważniejsza rola przypadnie organizacjom robotniczym. A zadaniem marksistów jest ich upolitycznienie, by byli oddani rewolucji, gdy przyjdzie właściwy moment.

– Kto miałby tego dokonać? – zainteresował się Bobrow.

– W zachodnich guberniach działa Bund zrzeszający żydowskich robotników – odparł Piotr.

Niestety, nie udało mu się przekonać zapalonych żydowskich reformatorów, żeby nie podążali własną ścieżką. Przyznawał jednak, że w najbardziej kryzysowych miesiącach Bund umiał się wykazać siłą. To byli prawdziwi marksści.

– A co z resztą Rosji?

Piotr się uśmiechnął.

– Nowe komitety robotnicze. Zaczęły powstawać w zeszłym roku i są bardzo skuteczne. To polityczne komórki działające w każdym mieście.

– Mają jakąś nazwę? – spytał Nikołaj.

– Sowiety.

Nikołaj wzruszył ramionami. Był przekonany, że jeśli Duma dobrze spełni swoje zadanie, to sowiety szybko pójdą w niepamięć.

W czasie rozmowy spoglądał od czasu do czasu na gospodarzy, którzy oddzielnie krążyli po salonie. Bez wątpienia umieli dbać o gości. Pani Suworina wyglądała wspaniale. Przesuwała się od jednej grupki do drugiej z wdziękiem i elegancją, które budziły szacunek wszystkich kobiet, a mężczyznom nie pozwalały oderwać od niej wzroku. Ona flirtuje, nie flirtując, zauważył Nikołaj. Z kolei Władimir, lubiany i szanowany przez mężczyzn, na kobietach wywierał szczególne wrażenie. Gdy z nimi rozmawiał, aż rumieniły się z zadowolenia. Co on w sobie ma? – zastanawiał się Nikołaj. Po kilku chwilach wydawało mu się, że już wie. On wnika w ich myśli, rozumie je jak

nikt inny, stwierdził. Oto kolejny przejaw jego niezwyklej inteligencji. A może, zaświtało mu nagle w głowie, on zdradza żonę. Z pewnością niejedna kobieta z radością przyjęłaby względy przystojnego przemysłowca.

Zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę, gdy nagle zauważył, że Władimir rozmawia z Rozą. Jego swobodny uśmiech gdzieś się ulotnił. Mówił coś z przejęciem, a na jego twarzy malował się wyraz zaniepokojenia. Co go tak poruszyło? Także Piotr patrzył ze zdziwieniem na żonę. Roza zbladła i zaczęła kręcić głową, jakby mu się sprzeciwiała. Władimir uściśnął lekko jej ramię i odszedł, a ona odwróciła się do okna. Wyglądało to dość dziwnie, zwłaszcza dla Piotra. Nikołaj poświęciłby temu drobnemu incydentowi więcej uwagi, gdyby nie to, że drzwi salonu nagle się otworzyły, przyciągając uwagę wszystkich gości.

W progu stał Jewgienij Popow.

Aleksander Bobrow znajdował się wtedy obok Władimira. Opanowanemu zwykle przemysłowcowi wyrwało się pełne zdumienia westchnienie.

– A niech mnie diabli! – Zerknął na Aleksandra. – To jego widzieliśmy podczas strajku.

Rzeczywiście. Mieli przed sobą rudowłosego jegomościa nazwiskiem Iwanow.

– Wyrzucicie go? – spytał Aleksander.

– Nie – odpowiedział Suworin z uśmiechem. – Chyba pamiętasz, że chciałem z nim wtedy porozmawiać. I oto teraz mam sposobność. Życie bywa czasem zaskakujące. – Uśmiechnął się i z wyciągniętą ręką podszedł do Popowa. – Witam.

Chwilę później zdziwienie Aleksandra zamieniło się w przerażenie. Oto bowiem rudowłosa mężczyzna podszedł do jego ojca, uściśnął go serdecznie, a gdy pani Suworina spytała zmieszana: „Wy się znacie?”, odparł spokojnie: „Oczywiście, i to od dawna”.

Ojciec przyjaźni się z tą kreaturą! Aleksandrowi przemknęło przez myśl, że głupota i nielojalność Nikołaja nie mają granic.

Zebrani wokół Popowa goście przyglądali mu się z ciekawością. Zwłaszcza Nikołaj, widząc dawnego znajomego w tak nieoczekiwanych okolicznościach, patrzył na niego z niejakim rozbawieniem. A pani Suworina, widząc nonszalancką swobodę Popowa i porównując go w myślach ze szwagrem marksistą, szybko doszła do wniosku: ten człowiek jest inny niż reszta. Nie uznaje żadnych barier.

– Chciałaś bolszewika – powiedział Piotr z przekąsem – to go masz.

Pani Suworina się uśmiechnęła.

– Miło pana widzieć.

Mówiła to szczerze. Zawsze zbierało się u niej doborowe towarzystwo, ale zdawała sobie sprawę, że od jakiegoś czasu brakuje w nim ważnego elementu: prawdziwych rewolucjonistów.

Moda na radykałów. Tak w nieco późniejszych czasach nazywano skłonność niektórych kręgów warstw uprzywilejowanych do goszczenia u siebie rewolucjonistów, a nawet udzielania im finansowego wsparcia. Niektórzy przemysłowcy, przekonani, że car wiedzie kraj ku katastrofie, umizgiwali się do rewolucjonistów, traktując to jak swego rodzaju polisę ubezpieczeniową na przyszłość. Ale dla innych była to jedynie kolejna modna rozrywka dostarczająca przy okazji dreszczyku emocji, jaki towarzyszy zabawie



z ogniem. Pani Suworina zawsze się tego wystrzegала, ale ostatnio zaczęła się obawiać, że bez jakiegoś rewolucjonisty jej salon straci na atrakcyjności. Potrzebowała Popowa. Dzięki niemu jej przyjęcie zapewniało pełną gamę poglądów.

Należało przyznać, że Popow umiał się zachować. I z pewnością był dobrze poinformowany. Wrócił niedawno ze Sztokholmu, gdzie odbywał się kongres socjalistów. Zważał na słowa, ale chętnie odpowiadał na pytania. Z całkowitą szczerością mówił pani Suworinej o bolszewikach.

– Różnica między bolszewikami a resztą socjaldemokratów, których nazywamy mienszewikami, wcale nie jest duża. Wszyscy chcemy społeczeństwa socjalistycznego, wszyscy jesteśmy zwolennikami Marksa. Spór dotyczy taktyki. – Uśmiechnął się do Piotra. – A czasem kwestii osobistych. – Wspomniał o kilku działaczach mienszewików, między innymi o Trockim i Polce Róży Luksemburg. – Ale powodem rozłamu jest przywódca bolszewików. Mój przyjaciel Lenin. – Uśmiechnął się. – On nie idzie na żadne ustępstwa.

– A kim jest ten Lenin? – zainteresował się Nikołaj. – Nie słyszałem o nim.

– Przecież go znasz. Spotkaliście się piętnaście lat temu w pociągu. Nie pamiętasz? – przypomniał mu Popow.

– Ten prawnik? Czuwasz, który miał majątek nad Wołgą?

– Ten sam. Ale żyje głównie na wygnaniu. Teraz się ukrywa, bo władze nie darzą go sympatią. To on przewodzi bolszewikom.

– Ale czego on chce? Co go wyróżnia?

– Kluczem do zrozumienia jego poglądów jest książka, którą napisał. To jego manifest.

Ta doniosła praca, opublikowana zaledwie cztery lata wcześniej i przemycona do Rosji z Niemiec, stała się dla większości rewolucjonistów biblią. Nosila taki sam tytuł jak krótka powieść, która była inspiracją dla wielu radykałów z poprzedniego pokolenia: *Co robić?* Nie był to traktat polityczny, ale instrukcja, jak dokonać rewolucji.

– Marksizm głosi, że stary porządek się załamał – powiedział Popow z uśmiechem. – A Lenin pokazuje, jak to przyspieszyć. Mówiąc w skrócie, nasi przyjaciele mienszewicy chcą czekać, aż masy będą zdolne do stworzenia socjalistycznego porządku w nowym i sprawiedliwym społeczeństwie. My, bolszewicy, jesteśmy co do tego sceptyczni. Naszym zdaniem niezbędne są niewielkie i dobrze zorganizowane kadry, które będą żądały zmian. Tak naprawdę chodzi jedynie o taktykę. My uważamy, że masy potrzebują przywództwa, nic więcej.

– A my uważamy – odezwał się Piotr Suworin – że Lenin traktuje robotników jak mięso armatnie.

Ku jego zaskoczeniu Popow skinął głową.

– To może być prawda. – Znów się uśmiechnął. – I na tym polega jego wielkość.

Zapadło milczenie, jakby wszyscy starali się pojąć sens słów Popowa. W końcu przemówił Nikołaj Bobrow.

– Kiedy mówisz, że masy potrzebują przywództwa, gotów jestem przyznać ci rację. Ale czy taka grupa, gdy stanie się zbyt potężna, nie przerodzi się w dyktaturę?

Także tym razem Popow był całkowicie szczerzy.

– Owszem. Teoretycznie takie zagrożenie istnieje. Pamiętaj jednak, Nikołaju Michajłowiczu, że mamy ten sam cel polityczny. Jedyna droga do postępu w Rosji, jedyna droga do socjalizmu wiedzie przez naród, przez demokrację. – Zawiesił głos. – Bez względu na wszystko nie wolno ci zapominać, że wszyscy socjaliści, a więc także bolszewicy, dążą do tego samego: ciała wybranego demokratycznie na zasadzie „jeden człowiek, jeden głos”. Ciało, które będzie miało suwerenną władzę. Nie chcemy obalić cara tylko po to, żeby w jego miejsce ustanowić nową tyranię. Tak samo jak wy chcemy zgromadzenia ustawodawczego. Demokracja doprowadzi nas do socjalizmu, ale demokracja to najważniejszy środek.

Powiedział to z wielką powagą i przekonaniem. Wszyscy słuchacze mu uwierzyli.

A przynajmniej tak się zdawało, dopóki milczenia nie przerwał Aleksander Bobrow.

Stał obok Władimira Suworina i przez cały czas uważnie obserwował Popowa. Owszem, słuchał go, ale nie umiał przyjąć jego argumentów. Ten rudowłosy bolszewik był jego wrogiem. Czuł to każdą komórką ciała. Wrogiem aż do śmierci. Obserwował obiekt swojej nienawiści tylko po to, żeby go lepiej poznać.

Rewolucyjne frazy wzbudziły w nim gniew. I nie chodziło o same słowa, ale o wrażenie, jakie wywarły na słuchaczach. Czy oni wszyscy są takimi samymi głupcami jak jego ojciec? Poczul gwałtowną potrzebę zdemaskowania Popowa, rzucenia mu rękawicy, upokorzenia go.

– Podobno wszyscy rewolucjoniści to żydki – powiedział cicho, ale wyraźnie. – To prawda?

Była to zamierzona impertynencja, obraźliwe uogólnienie używane przez ludzi o prawicowych poglądach – nazwać wszystkich Żydów rewolucjonistami, a wszystkich rewolucjonistów Żydami. Zapadła kłopotliwa cisza.

Ale Popow, patrząc na zaczerwienionego chłopca, jedynie parsknął śmiechem.

– Ależ oczywiście, Trocki i Róża Luksemburg są Żydami. Podobnie jak wielu innych. Ale na razie Żydzi stanowią w naszej partii mniejszość. Zauważ jednak – dorzucił, mrugając do Piotra Suworina – że Lenin, który nie jest Słowianinem, zawsze powtarza, że jedyni inteligentni Rosjanie to Żydzi. Zrozum to, jak chcesz.

Znakomita riposta. Goście roześmiali się z wdzięcznością. Aleksander poczuł na ramieniu ostrzegawczy uścisk dłoni Władimira Suworina, ale tym razem zignorował nawet swojego idola.

– A terrorizm? Podobno za niektórymi zamachami stoją bolszewicy. Do tego dopuszczają się grabieży.

Te oskarżenia były całkowicie słuszne. Lenin pochwalał obie metody, bo powiększały chaos i pozwalały bolszewikom zdobywać pieniądze. Wielu członków partii, między innymi Piotr Suworin, wstydziło się tego i próbowało tuszować haniebne incydenty.

– Doszły mnie wieści o kradzieżach – powiedział spokojnie Popow. – Ale żadne konkretne przypadki nie są mi znane.

Aleksander usłyszał szept Władimira:

– Dość tego, przyjacielu.

Nie miał zamiaru posłuchać.

– Już was kiedyś widziałem – oznajmił głośno. – Podburzaliście robotników w fabryce człowieka, do którego domu śmieliście teraz przyjść. Tylko że wtedy go unikaliście. I używaliście innego nazwiska, Iwanow. Uciekliście jak jakiś kundel. Ilu nazwisk pan używa, panie Popow?

Popow spojrział na niego swoimi zielonymi oczami i przez chwilę Aleksander miał wrażenie, że czuje na sobie wzrok węża.

– Niestety, rosyjska opozycja jest nieustannie inwigilowana przez policję – powiedział chłodno bolszewik. – Dlatego wielu ludzi używa po kilka nazwisk. O ile wiem, Lenin miał ponad sto pseudonimów. – Mimo pozornego spokoju zbladł.

– A więc zaprzeczasz, że jesteś tchórzem i złodziejem? – nie ustępował Aleksander.

Zapadła złowroga cisza.

Tym razem Popow nie odpowiadał, patrząc na chłopaka z lekkim uśmiechem. Po chwili pani Suworina zaśmiała się swobodnie i odciągnęła rewolucjonistę na bok.

– Masz teraz niebezpiecznego wroga – ostrzegł Nikołaj syna kilka minut później.

– Lepiej mieć w nim wroga niż przyjaciela – odparł chmurnie Aleksander.

Mimo żenującej napaści Aleksandra przyjęcie zgodnie uznano za bardzo udane. Na długi czas – i z odmiennych powodów – zapisało się w pamięci uczestników jako jedno z tych wydarzeń, które choć pozornie nieważne, wyznaczają w życiu punkt zwrotny.

W oczach Nikołaja Popowa tego wieczoru jego syn napotkał śmiertelnego wroga. Pani Suworina już po półgodzinie otrzymała od dziwnego rudowłosego bolszewika obietnicę, że przy następnej bytności w Moskwie z pewnością odwiedzi jej salon.

A dwoje gości zapamiętało ten raut z powodu epizodów, które miały miejsce pod sam koniec wieczoru.

Dopiero gdy wyszli z domu Władimira, Piotr zwrócił się z ciekawością do żony:

– O czym to mój brat z tobą rozmawiał?

– Och, o niczym ważnym.

Czekał na dalsze wyjaśnienia, ale Roza milczała.

– Naprawdę? Wyglądałaś na zdenerwowaną.

– Ależ skąd, nie byłam zdenerwowana.

Dlaczego więc jego ukochana żona na samo wspomnienie rozmowy z Władimirem sprawia wrażenie, jakby była bliska płaczu? Czyżby powiedział jej coś przykrego?

– Mój brat to dobry człowiek – bąknął, żeby sprawdzić jej reakcję. – Ludzie mówią, że jest mądry – dorzucił bez żadnego powodu.

A potem padły z jej ust niezrozumiałe słowa, które zapamiętał do końca życia:

– On wie wszystko. I na tym polega problem. Proszę, nie rozmawiajmy już o nim.

Naprawdę dziwne.

Aleksander Bobrow szedł za ojcem przez wielki hol. I wtedy wydarzył się incydent, który miał odmienić jego życie. Jedyne przez przypadek spojrział w górę na marmurową galerię. Aż zamarł w bezruchu. Nadzieja uwielbiała obserwować wychodzących gości. Wymykała się z sypialni w koszuli nocnej i spoglądała spomiędzy marmurowych filarów na sunące w dole postacie. Teraz jednak, gdy niemal wszyscy wyszli, stała wyprostowana,

doskonale widoczna, ze spływającą na ramiona kaskadą kasztanowych włosów.

Taką ją Aleksander zobaczył. Młody chłopak, właściwie już mężczyzna, nie mógł oderwać wzroku od ośmioletniej dziewczynki.

– To pewnie córka Suworina – mruknął.

Nigdy przedtem jej nie widział. Co za anielska twarz! Jakie lśniące włosy! Do tego jest córką Władimira, jego idola.

I w tej samej chwili nawiedziła go nagła myśl.

– Pewnego dnia – szepnął do niej, choć przecież nie mogła go słyszeć – pewnego dnia będziesz moja.

*Lipiec 1906 roku*

Nikołaj Bobrow patrzył ze smutkiem na duży drewniany dom, który był jego rodzinnym gniazdem. Aż nie mógł uwierzyć, że być może już nigdy nie przyjedzie do Ruski.

Reszta rodziny – jego matka, żona i Aleksander – wyjechała miesiąc wcześniej. Byli teraz w Moskwie, a on wrócił, żeby usunąć ostatnie ślady ich obecności w rodowej siedzibie.

Był późny ranek. Nie miał już nic do roboty. Chłopi, którzy załadowali wszystko na trzy wozy stojące teraz przy stajniach, patrzyli wyczekująco. Obchodząc dom po raz ostatni, Nikołaj znalazł na strychu jedynie kilka starych skrzyń z listami i innymi dokumentami. Uznał, że zmieszczą się na trzecim wozie.

Zostawiał dwór w dobrym stanie, z czego był dumny. Kazał uszczelnić dach i naprawić drewnianą banię. Ustalił też, że Arina przeniesie się z synem z wioski, żeby dopilnować domu. Tak, oni dobrze się nim zaopiekują. Suworin nie będzie miał się na co skarżyć. Cóż za piękne miejsce! – pomyślał, ocierając łzy, gdy podczas ostatniej przechadzki brzoową aleją patrzył na rzekę płynącą u stóp wzgórza.

Zerknął ku domowi i widząc, że Arina i jej syn przyglądają mu się uważnie, zaczerpnął głęboko powietrza. Wyprostował się. Przecież nosi nazwisko Bobrow. Niech wiedzą, że umie wyjechać stąd z godnością.

– Czas zacząć nowe życie – mruknął do siebie.

Owszem, liczył już sobie pięćdziesiąt dwa lata, ale mimo siwych włosów wciąż miał bystre spojrzenie i – w odróżnieniu od ojca i dziadka – z upływem czasu prawie nie przybrał na wadze. Utracił majątek, lecz przecież nadal miał przed sobą przyszłość.

Tylko kto wie, jak ta przyszłość będzie wyglądać. Ostatnie trzy miesiące nie napawały optymizmem. Duma się zebrała, ale na sali obrad panował chaos. Będąc w Petersburgu, widział, jak wszyscy się kłócą. Chłopscy deputowani nie mieli o niczym pojęcia. Niektórzy się upijali i wywoływali burdy w gospodach. Jednego aresztowano za kradzież świni. Ale takie ekscesy budziły jedynie rozbawienie i nie dawały się porównać z tym, co wyprawiali członkowie jego własnej partii. Oto bowiem kadeci, zażądawszy rozdania wszystkim ziemi chłopom, na co car oczywiście się nie zgodził, odmówili jakiegokolwiek współpracy z rządem. Oświadczyli nawet, że nie potępia rozlewających się po całej Rosji aktów terroryzmu, dopóki władze nie spełnią ich żądań.

– Sam jestem kadetem – skarżył się Suworinowi po powrocie do Moskwy. – Ale przecież giną tysiące ludzi. My, liberałowie, powinniśmy się wykazać odpowiedzialnością. Zupełnie tego nie pojmuję.

Suworin podszedł do tego filozoficznie.

– Zapominasz, przyjacielu, że to jest właśnie Rosja. W całej naszej historii znaliśmy tylko dwa rodzaje władzy politycznej: despotyzm i bunt. Parlament, demokracja, która wymaga zawierania kompromisów, to dla nas zupełna nowość. Twierdzimy, że chcemy demokracji, ale wcale jej nie rozumiemy. Na to potrzeba czasu.

Kilka dni wcześniej Duma, która obradowała zaledwie przez dwa miesiące, została rozwiązana. Kolejne wybory wyznaczono na koniec roku. Nikołaj usłyszał gdzieś, że tym razem partie socjalistyczne zamierzają wziąć w nich udział.

– Bóg jeden wie, czy to dobrze, czy źle – stwierdził.

Rzeczywiście, przyszłość wyglądała bardzo niepewnie.

Czas ruszać w drogę. Chłopi musieli jeszcze tylko załadować znalezione na strychu skrzynie. Jeśli się pospieszą, dotrą do Włodzimierza przed nocą. Nikołaj odwrócił się, żeby wejść do domu.

I właśnie w tej chwili zauważył postać idącą z boczem do dworu. Ze zdziwieniem rozpoznał Borysa Romanowa.

Nie spodziewał się go tutaj. Kiedy kilka dni wcześniej poszedł do wioski, żeby się pożegnać z chłopami, Borys wyraźnie go unikał. Nikołaj wiedział, że Romanow żywi do jego rodziny jakąś dawną urazę. „Uważaj na niego – ostrzegł go kiedyś Misza. – Miałem z nim pewną scysję”. Ale nie chciał zdradzić żadnych szczegółów. Nikołaj nie miał nic przeciwko Borysowi. Doskonale pamiętał – a wspomnienia te budziły jego ironiczny uśmiech – jak w latach młodości nakłaniał go do rewolucji. Ale ponieważ należę dziś do kadetów, którzy domagają się więcej ziemi dla chłopów, powinien być moim przyjacielem, przekonywał sam siebie. Może gniew Borysa osłabł, może idzie tu, żeby się pożegnać. Nikołaj wyszedł mu naprzeciw.

Spotkali się przy rogu domu. Szlachcic skinął uprzejmie głową, Borys się zatrzymał w odległości kilku kroków. Już od dawna Nikołaj nie widział go z bliska. On też, choć posiwiiał, wyglądał krzepko i zdrowo. Ale obaj stanowili typowy w ówczesnej Rosji kontrast. Z jednej strony pan w słomkowym kapeluszu i rozpiętej lnianej marynarce, z zegarkiem w kieszonce, jakby właśnie wrócił z meczu angielskiego krykieta, a z drugiej rosyjski muzyk w luźnych spodniach, kapciach z łyka i czerwonej koszuli z szerokim pasem – całkiem jak w pradawnych czasach Złotego Kijowa. Dwie kultury, obie uważające się za rosyjskie, a jednocześnie niemające ze sobą nic wspólnego oprócz ziemi, języka i cerkwi, tak naprawdę z rzadka odwiedzanej przez jedną i drugą stronę. I oto teraz, po wielu wiekach życia obok siebie, przyszło im się pożegnać.

– A więc wyjeżdżacie. – Przysadzisty chłop stał z opuszczonymi rękami. W szerokiej twarzy oczy wyglądały jak szparki.

– Jak widzisz, Borysie Timofiejewiczu – odparł uprzejmie Nikołaj.

Przez chwilę Borys w milczeniu przyglądał się wozom, potem przeniósł wzrok na stojącą w drzwiach Arinę i małego Iwana. Pokiwał głową.

– Już dawno temu powinniśmy was wykurzyć. – Powiedział to obojętnie, ale jego

głos nie brzmiał przyjacielsko.

Od wielu lat chłopci, starając się zmusić ziemian do sprzedaży majątków, dopuszczali się podpałek i innych aktów wandalizmu. Tę właśnie metodę nazywano wykurzaniem.

Nikołaj przypomniał sobie pożar lasu z poprzedniego roku. Z zadumą spojrzął na Borysa.

– Ale teraz ziemia przypadnie Suworinowi, a nie nam – dorzucił chłop z goryczą.

– Kadeci domagają się rozdziału ziemi. Może przejmiecie okoliczne państwowe majątki, w których ziemia jest znacznie lepsza od moich nędznych lasów – powiedział pojednawczo Nikołaj.

Jednak Borys zlekceważył jego słowa. Najwyraźniej podążał za własnym tokiem myśli.

– Rewolucja jeszcze się nie skończyła – oznajmił spokojnie. – Niedługo ziemia będzie nasza.

– Być może. – Nikołaja zaczęła nudzić ponura gburowatość Borysa. – Muszę już jechać – powiedział z lekką irytacją.

– Oczywiście. – Borys zdobył się na cierpki uśmiech. – Nareszcie Bobrowowie się stąd wynoszą. A więc żegnaj, Nikołaju Michajłowiczu. – Zrobił krok do przodu.

Wyglądało, że mimo wszystko chce się pożegnać po przyjacielsku. Nikołaj wyciągnął do niego rękę. Wtedy Borys się skrzywił. I splunął.

Jeszcze nikt nigdy nie splunął Nikołajowi w twarz. Była w tym większa obraza i większa przemoc niż w zwykłym uderzeniu pięścią. Zaskoczony, aż się zachwiał.

– Dobrej drogi, przeklęty Bobrowie – syknął Borys. – Lepiej tu nie wracaj, bo cię zabijemy. – Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Nikołaj był tak przerażony i oburzony, że przez chwilę nie mógł zrobić najmniejszego ruchu. Przemknęło mu przez myśl, że powinien uderzyć Borysa albo kazać go aresztować. Ale zaraz potem ogarnęło go obrzydzenie i poczucie bezradności. Spojrzął w kierunku domu. Arina i jej syn nie spuszczaali zeń wzroku. Chłopi przy wozach przyglądali mu się obojętnie. Czy oni wszyscy nienawidzą go tak samo?

– Ruszamy! – zawołał, starając się zachować w głosie resztki godności.

Kilka chwil później siedział już obok woźnicy na pierwszym wozie, który ze skrzypieniem zjeżdżał w dół zbocza.

Czerwony na twarzy, trzęsąc się z bezsilnej złości, nawet się za siebie nie obejrzał. Dopiero w połowie drogi do klasztoru przypomniał sobie o kufrach na strychu. Wzruszył ramionami. Co za różnica! Niech tam zostaną.

I tak oto Bobrowowie opuścili swój rodowy majątek.

*Rok 1907*

Dwunastoletni Dmitrij Suworin uważał, że świat jest piękny. Choć nie wszystko rozumiał.

A zwłaszcza nie rozumiał, co się dzieje z jego matką.

Był dziwnym chłopcem o drobnej budowie ciała. Jego pociągła twarz czasem

przypominała Rozie jej ojca. Natomiast po Piotrze Dmitrij odziedziczył krótkowzroczność i tak jak on nosił okulary. Przeciwwagą dla fizycznej kruchości była wyrazistość bladej twarzy przesłoniętej niesforną czarną czupryną oraz skłonność do nagłych wybuchów śmiechu.

Dmitrij był szczęśliwym dzieckiem. Jego rodzice bardzo się kochali. W ich małej rodzinie nie stosowano przymusu. Mieszkali prawie w centrum miasta, w ładnym mieszkaniu, w którym zawsze panował lekki rozgardiasz. Ich dom miał dwa piętra, fasada od ulicy była pokryta kremowym tynkiem. Na podwórku, na którym bawiły się dzieci, rosła morwa. Widać było stamtąd wyłaniającą się ponad dachami kopułę małej cerkwi, w której ochrzczono Dmitrija. Cała dzielnica odznaczała się specyficznym urokiem. Niedaleko znajdowała się Szkoła Malarstwa, a blisko niej – dziwny dom ze szklanym dachem, gdzie księżę Trubieckoj miał swoją pracownię rzeźbiarską. Dwie przecznice dalej odbywał się targ kwiatowy, za nim stał warsztat stelmacha, z wielkim wypchanym niedźwiedziem w oknie.

Jakże cudowne były letnie wieczorne spacerunki po mieście! Snobistyczny Petersburg z klasycystycznymi fasadami uchodził za głowę imperium, ale jego sercem wciąż była Moskwa. Liczyła sobie czterysta tysięcy mieszkańców, lecz stanowiła ciekawe połączenie epoki przemysłowej i czasów Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Na przedmieściach wysokie kominy fabryk wyrastały obok starych warownych klasztorów. Od dwóch dekad w architekturze modny był tak zwany styl rosyjski, stanowiący rodzimą wersję dziewiętnastowiecznego zachodniego neogotyku. Nowe stacje kolejowe i inne budynki publiczne były tak bogato zdobione, jakby rywalizowały z przepychem soboru Świętego Bazylego na Placu Czerwonym. I wszystkie miały swój ciężkawy urok. Dmitrij mógł godzinami spacerować po ulicach miasta, po szerokich, zadrzewionych bulwarach otaczających śródmieście albo po kremlowskich murach, gdzie słychać było srebrzysty dźwięk cerkiewnych dzwonów. A czasem wydawało mu się, że całe miasto jest jednym wielkim utworem muzycznym – Czajkowskiego, Musorgskiego albo innego wybitnego rosyjskiego kompozytora – w jakiś magiczny sposób zapisanym w kamieniu.

Dmitrij miał cztery lata, gdy ujawnił się jego talent. Pierwsza zauważyła go matka. Jako sześciolatek na własną prośbę uczył się gry na pianinie i na skrzypcach. A kiedy skończył siedem lat, ojciec stwierdził:

– Może zostanie pianistą.

Jednak rok później Roza uznała, że chyba jednak nie. Bo chociaż chłopiec był niezwykle uzdolniony, to wkrótce stało się jasne, że woli komponować własne krótkie utwory niż poświęcać kilka godzin dziennie na ćwiczenia, bez których nie sposób się wspinać po skalistej ścieżce sztuki muzycznej. Dziś Dmitrij uczęszczał do znakomitego V Moskiewskiego Gimnazjum przy Arbacie, a w wolnym czasie z zapałem uczył się muzyki.

Oraz przygotowywał się do rewolucji. W domu Piotra Suworina nigdy nie zwątpiono, że kiedyś nadejdzie. Wszyscy pracowali na jej rzecz. Dwa lata wcześniej zdarzało im się nie spać przez kilka nocy, kiedy Roza przepisywała na maszynie rewolucyjne odezwy i artykuły. A Dmitrij często zanosił je do punktów dystrybucyjnych. Co za porywające uczucie wiedzieć, że jest się częścią wielkiej sprawy!

A teraz działo się coś jeszcze bardziej ekscytującego. Ojciec został wybrany do Dumy i wyjechał do Petersburga.

To był naprawdę duży postęp. Po zbojkotowaniu pierwszych wyborów socjaliści postanowili wziąć udział w następnych.

– Jeśli uda nam się wprowadzić do Dumy dużą liczbę socjalistów – tłumaczył Piotr – zgnieciemy cara. Jego farsa się skończy raz na zawsze. Cara obali własny parlament!

– A co będzie potem?

– Zgromadzenie ustawodawcze wybierane przez wszystkich obywateli. Demokratyczny rząd. Wszyscy socjaliści są co do tego zgodni.

Wolność. Demokracja. Oto nadchodził nowy świat. A ojciec, uznany profesor Piotr Suworin, ma się do tego przyczynić. Życie jest piękne.

Jednak niektóre rzeczy stanowiły dla Dmitrija zagadkę. Bo na przykład dlaczego jego stryj Władimir jest taki bogaty, a oni muszą tak skromnie żyć?

– Dla twojego ojca to nie ma znaczenia – mówiła matka, machając lekceważąco ręką.

Ale gdy był starszy, takie tłumaczenie już mu nie wystarczało. Traktował Nadieżdę jak siostrę, ale widział, że ich rodzice nie utrzymują ze sobą bliskich stosunków.

– Moja mama mówi, że gdyby twój ojciec postawił na swoim, to wygnalibyście nas na ulicę – powiedziała mu kiedyś dziewczynka. A po chwili dodała niewinnie: – A czy wtedy będę mogła z tobą zamieszkać?

Zapewnił ją, że tak, ale zawsze wydawało mu się dziwne, że ten dobry stryj Władimir nie uważa rewolucji za konieczność.

No i mama. Dlaczego zawsze jest taka zdenerwowana? Czy to możliwe, zastanawiał się Dmitrij, że ludzie czasem kochają się za bardzo? Gdy ojciec wyjeżdżał do Petersburga, Władimir zaproponował, że weźmie chłopca do siebie, aby Roza mogła towarzyszyć mężowi. Ale ona odmówiła. A potem co dzień nieustannie pojękiwała:

– Myślisz, że ojciec jest tam bezpieczny? Na pewno coś mu się stanie.

Dręczyła się tym nocami, a rano miała podkrążone oczy.

Któregoś popołudnia pod koniec marca Dmitrij wracał ze szkoły i wybrawszy inną trasę, znalazł się nagle na długiej, wąskiej uliczce.

Wokół było pusto. Po obu stronach stało kilka bezlistnych drzew, w rynsztokach zauważył ciemne plamy lodu.

W połowie ulicy usłyszał odgłosy szamotaniny i zobaczył małą bandę wyrostków. Ale i to go nie zaniepokoiło.

Było ich sześciu, czterech młodych mężczyzn i dwóch chłopców w jego wieku. Wyłonili się z jakiegoś podwórka i zaczęli iść obok niego. Po kilku metrach odezwał się jeden z mężczyzn.

– Tak, myślę, że on też.

– Naprawdę? Hej, mały, jak się nazywasz?

– Dmitrij Piotrowicz. Suworin – dodał z taką pewnością siebie, na jaką udało mu się zdobyć. Nie wiedział, ku czemu to zmierza.

– Porządne rosyjskie nazwisko, panie Suworin. To co, chłopaki, damy mu spokój?

– No, nie wiem. Spójrz na niego.



– Rzeczywiście. Nie podoba nam się twoja twarz, Dmitriju Piotrowiczu.  
A dlaczego nam się nie podoba, chłopaki?

– Bo on wygląda jak gudłaj.

– Właśnie, Dmitriju Piotrowiczu. Naprawdę nie jesteś Żydem? Ani trochę?

– Nie jestem.

– A jak się nazywa twoja matka?

– Roza Abramowicz.

– Aha. A skąd ona jest?

– Z Wilna – odparł szczerze.

– Roza Abramowicz z Wilna. Czyli twoja matka to Żydówka.

– Nieprawda! – powiedział z pasją Dmitrij. Ale otoczyli go, więc musiał się zatrzymać. – Ona jest chrześcijanką! – zawołał ze złością, nie dlatego, że miał coś przeciwko Żydom, ale dlatego, że to oskarżenie było wierutnym kłamstwem. Widząc jego wzburzenie, napastnicy się zawahali.

I wtedy Dmitrij popełnił głupi błąd.

– Zostawcie mnie w spokoju! – krzyknął. – Mój ojciec jest deputowanym do Dumy. Wpakujecie się w tarapaty.

– A z jakiej partii?

– Z socjaldemokratów – oświadczył z dumą.

I od razu zauważył swój błąd. Słyszał o Czarnej Sotni, bandach prawicowych rzeźmieszaków, którzy z imieniem cara na ustach napadali na Żydów i socjalistów. Ale zawsze mu się wydawało, że zgodnie z nazwą działają w dużych grupach, a poza tym jako uczciwy Rosjanin był przekonany, że jemu nie zagrażają.

– Żydek! Socjalista! Zdrajca! – Szybko powalili go na ziemię.

Na szczęście w ulicę wjechał powóz, który spłoszył napastników, więc skończyło się na podbitym oku i kilku kopniakach w żebra. Pół godziny później Dmitrij był już bezpieczny w domu i mimo szoku zjadł nawet trochę kolacji.

Ale jedna rzecz go intrygowała.

– Mówili, że jesteś Żydówką – odezwał się do matki.

Zdziwił się, gdy przyznała, że to prawda.

– Ochrzciliśmy się przed ślubem – wyjaśniła. Nigdy mu o tym nie mówili.

Od tamtego dnia zrobiła się jeszcze bardziej nerwowa.

A Dmitrij szybko puścił przykre wydarzenie w niepamięć. Ta umiejętność wynikała z jego niezwyklej cechy charakteru.

Miała związek z muzyką.

Od wczesnego dzieciństwa Dmitrij patrzył na świat przez pryzmat muzyki. Każda nuta miała dla niego jakiś kolor. A każdy klawisz pianina zyskiwał odrębny charakter. Początkowo te odkrycia ograniczały się jedynie do świata dźwięków, kojarzącego mu się z instrumentami, na których grał. Zmiana zaszła, gdy miał dziewięć lat.

Któregoś wieczoru był na nieszporach w małej cerkwi koło domu. Śpiewał tam znakomity chór, poruszające melodie nie dawały mu spokoju jeszcze długo po skończeniu nabożeństwa. Gdy szedł ulicą, słońce właśnie zachodziło, niebo nad Moskwą przybrało barwy złota i czerwieni. Zatrzymał się i przez dłuższą chwilę patrzył na wspaniałą grę

kolorów na zachodzie.

A potem, próbując wyrazić to, co zobaczył, wybrał jeden akord w tonacji c-moll. Po chwili dodał drugi.

Pomyślał, że takie przypisywanie dźwięków do zachodu słońca jest dziwne. Ale podniósłszy wzrok, miał wrażenie, że oto niebo mu odpowiada: „Tak, to jest mój dźwięk”. Akordy i zachodzące słońce zlały się w jego umyśle w jedno.

Wszedł na podwórko. Czerwonawe światło padało na gałęzie morwy, tworząc poniżej łagodny cień. Teraz usłyszał inny akord i krótką melodię. Tym razem muzyka pojawiła się natychmiast, jakby jej w ogóle nie układał.

Co za cudowne doznanie! Wypełniło go dziwne ciepło. Gdy na podwórko wpadły dzieciaki, przestraszył się, że myśli mu się rozbiegną, jednak szybko zauważył, że potrafi siłą woli utrzymać sekwencję dźwięków. Pojawił się też cień niezrozumiałego lęku, jakby drzewo i słońce mówiły: „Jeśli zrobisz jeszcze jeden krok, zatracisz się w muzyce na zawsze”. Nie wiedząc, co to może oznaczać, postanowił zachować w pamięci ten błogi stan, tak jak się zachowuje cenny sen, żeby do niego wracać.

To był początek. Jego życie już nigdy nie było takie samo. Wystarczyło, że się skoncentrował, a mógł wrócić do tamtego snu. Potem chwile kontemplacji wydłużały się, czasem do całych godzin, a jego skupienie było tak głębokie, że choć rozmawiał wtedy z ludźmi albo jadł posiłek, to i tak nic z tego nie pamiętał.

Wkrótce zaczął też zauważać inne rzeczy. Gdy wkroczył do tego dziwnego świata, miał wrażenie, że nie układa muzyki, ale jej słucha, że ta harmonia pochodzi gdzieś z zewnątrz. Jakby ktoś lub coś – nie wiedział kto lub co – ofiarowywał mu ją w darze. Wreszcie te muzyczne zaświaty zaczęły się nakładać na codzienność, a Dmitrijowi wydawało się, że nawet najzwyczajniejsze przedmioty – powóz na ulicy albo szczekający pies – mają własną muzykę, którą mógł z radością odkrywać. Jego umysł zaludniały muzyczne duchy. Ludzie, których widywał co dzień, jego nauczyciele, matka, stryj Władimir, zyskiwali swoje głosy – ojciec był tenorem, a Władimir głębokim barytonem – niczym postaci z opery, która dopiero się przed nim odsłaniała.

A często – i to było najcudowniejsze doznanie – widział, jak życie wszystkich ludzi, także jego, roztacza się przed nim na bezkresnej symfonicznej równinie, jak jego radości i smutki stają się częścią wielkiego, dźwięczącego procesu, który wraca do niego jako muzyka. Kiedy zaatakowały go zbiry z Czarnej Sotni, jedyną ucieczką od bólu były akordy rozbrzmiewające w umyśle.

Latem doszło do dwóch wydarzeń, które głęboko poruszyły Dmitrija.

W czerwcu car rozwiązał Dumę i jeszcze tego samego dnia ogłoszono nową ordynację wyborczą.

– Car nie mógł znieść socjalistów – oznajmił Piotr po powrocie. – A nowa ordynacja jest wprost niewyobrażalna. – Według niej głos jednego właściciela ziemskiego liczy się tak samo jak głos pięciuset czterdziestu robotników. – Konserwatywna szlachta będzie miała większość. Mnie już na pewno nie wybiorą.

– Ale czy to jest legalne? – dopytywał Dmitrij. – Czy car może sobie tak po prostu łamać ustalone zasady?

Piotr wzruszył ramionami.

– Zgodnie z konstytucją uchwaloną w zeszłym roku nie. Ale car uważa, że skoro to on stanowi prawo, to może też je zmieniać. – Uśmiechnął się. – Car naprawdę wierzy, że utrzymanie władzy autokratycznej to jego obowiązek. Jego zdaniem Rosja jest jak wielki majątek rodowy, który musi przekazać synowi, tak jak ojciec przekazał go jemu. On to nazywa świętym zaufaniem. – Zniechęcony pokręcił głową. – Doprawdy ta jego głupota jest niemal zabawna.

Dmitrij widział, że choć ojciec podchodzi do tego filozoficznie, to w głębi duszy jest oburzony. Bo te wydarzenia niosły ze sobą bardzo niepokojące skutki. Stołypin, nowy carski minister, był człowiekiem zręcznym, gotowym reformować zacofane imperium. „Ale reformy wprowadzimy po pacyfikacji” – ogłosił. A pacyfikacja była gruntowna. W ciągu ostatniego roku skazano na śmierć ponad tysiąc osób podejrzanych o działalność terrorystyczną. Rosjanie nawet nazwali sznur szubieniczny „krawatem Stołypina”. Policjanci szpiedzy byli wszędzie. Popow i jemu podobni przezornie gdzieś się ulotnili, zapewne wyjechali

za granicę, a Roza nieustannie denerwowała się o męża.

– Nie zrobiłem nic, co obrażałoby Stołypina – uspokajał ją Piotr.

– Ale znasz ludzi, którzy mu się narazili – odpowiadała.

A Dmitrij po raz pierwszy zobaczył, że rewolucja to nie szczęśliwe państwo, które nieuchronnie powstanie w przyszłości, ale gorzka i niebezpieczna walka ojca z carem. I właśnie ta konstatacja, bardziej niż spotkanie z Czarną Sotnią, sprowadziła na jego życie mroczny cień.

Drugie wydarzenie miało związek z listem, który pod koniec lata nadszedł z Ukrainy i zawierał nieoczekiwaną prośbę. Iwan Karpienko, przyjaciel Rozy z dzieciństwa, miał syna o dwa lata starszego od Dmitrija – zdolnego chłopca, jak mówił – który chciał studiować w Moskwie. „Czy mógłby się u was zatrzymać? – pytał w liście Iwan. – Oczywiście zapłacę za jego utrzymanie”.

– Przecież on się u nas nie zmieści – narzekał Piotr.

Ale Roza nie chciała o niczym słyszeć.

– Poradzimy sobie – stwierdziła i natychmiast napisała do Karpienki. – Dmitrij będzie miał towarzystwo – orzekła stanowczo.

Ale zarówno Dmitrij, jak i Piotr wiedzieli, że tak naprawdę chodzi jej o to, by zapewnić synowi obrońcę.

Przyjechał do Moskwy na początku września. Miał na imię Michaił. A Dmitrij od razu stwierdził: „To geniusz”.

Michaił Karpienko był przystojnym, szczupłym, ciemnowłosym chłopcem o błyszczących oczach. Właśnie wkroczył w wiek dojrzenia, a jego wiedza rzeczywiście budziła podziw. Już po kilku minutach stało się jasne, że jest niezwykle dumny ze swojego ukraińskiego dziedzictwa i z wybitnego przodka poety.

– W ostatnich latach nastąpił bujny rozkwit ukraińskiej kultury – tłumaczył Rozie. – A ja jestem jej częścią – dodał z niejaką chełpliwością.

Miał szerokie zainteresowania. Fascynowała go kultura i sztuka, błyskawicznie przyjmował nowe idee. Gdy Dmitrij zabrał go ze sobą do Nadieždy, Karpienko był w swoim żywiole, czym zyskał sobie sympatię gospodarzy. Nawet Władimir był pod

wrażeniem.

– To doprawdy niewiarygodne, ile ty wiesz, mały Kozaku – powiedział ze śmiechem.

Władimir lubił siadać na kanapie, mając po jednej stronie córkę i Dmitrija, a po drugiej Karpieńkę. Obejmował ich wtedy ramionami i dzielił się najnowszymi wieściami ze świata sztuki.

Dla rodziny Suworinów był to szczególny czas. Oto Władimir postanowił wznieść nową rezydencję.

– Takie małe zacisze – oznajmił z uśmiechem. – Ale bardzo niezwykle.

Delikatnie powiedziane. Na całym świecie zaledwie garstka ludzi odważyła się na coś podobnego. Suworin zamierzał zbudować cały dom w stylu secesyjnym.

Projekt, który pokazał Dmitrijowi i Karpience, zapierał dech w piersi. Dom miał kształt skromnego prostopadłościanu z bocznym wejściem, ale na tym kończyła się jego prostota. Każde okno, każda kolumna, każdy sufit wiły się w falistych secesyjnych liniach. Efekt przywodził na myśl czarodziejskie rośliny.

– To jak jakaś wspaniała orchidea – zauważył Karpienko, sprawiając tym Władimirowi wielką przyjemność.

– Będą w nim wszystkie najnowsze udogodnienia – opowiadał Suworin. – Lampy elektryczne, a nawet telefon.

Nadzór nad budową mieli sprawować architekci sprowadzeni z Francji.

Nieco później Karpienko powiedział z zachwytem do Dmitrija:

– Twój stryj jest jak renesansowy książę.

Karpienko wniósł w ich życie mnóstwo radości. Wkrótce on, Dmitrij i Nadieżda stanowili nierozłączną trójkę przyjaciół. Dziesięcioletnia dziewczynka, mimo że sama obyta w świecie, jak urzeczona słuchała przystojnego chłopca z błyszczącymi oczami i poddawała się jego fascynacjom. W tym roku Michaił skierował uwagę na młodych rosyjskich poetów symbolistów.

– Muzyka to najwyższa ze sztuk, bo sięga sfery doskonałej, mistycznej! – wykrzykiwał. – Ale dzięki słowu też można tam dotrzeć.

I cytował im całe strofy Aleksandra Błoka, które przenosiły ich w świat tajemniczych bogiń albo zapowiadały nadejście jakiegoś bezimiennego mesjasza, a Nadieżda wpatrywała się w niego rozpromienionym wzrokiem. Obaj chłopcy odwiedzali ją kilka razy w tygodniu.

Czasem beztroską zażyłość ich popołudniowych spotkań zakłócała obecność poważnego szesnastolatka.

Dopiero w listopadzie zauważyli, że Aleksander Bobrow wkroczył do ich życia. Jego ojciec jako przedstawiciel partii kadetów został właśnie deputowanym w nowej konserwatywnej Dumie, co po sprzedaży majątku było dla rodziny korzystnym zrządzeniem losu. Dmitrij, którego ojciec utracił miejsce w parlamencie, nie odnosił się do niego przyjaźnie. Nadieżda traktowała go uprzejmie, ale tylko dlatego, że był znajomym ojca. Za to Karpienko, zaledwie dwa lata młodszy od Aleksandra, nie ukrywał swojej pogardy.

Aleksander zazwyczaj mówił niewiele. Przeważnie przychodził z Suworinem,

którego wcześniej odwiedzał pod jakimś pretekstem w jego biurze, czasem też wpadał sam. Zamieniał kilka uprzejmych słów z Nadieżdą, a potem towarzyszył im przez jakiś czas, przysłuchując się ich rozmowom z niejakim zakłopotaniem. Wkrótce Karpienko znalazł dla niego przezwisko:

– Uważajcie – mówił szeptem. – Nadchodzi rosyjski kalendarz.

Inteligentny dowcip. Chociaż Piotr Wielki zreformował kalendarz, to jednak zachował stary juliański sposób liczenia dni. Od tamtego czasu cała Europa zdążyła przejść na kalendarz gregoriański, natomiast Rosja wraz z Cerkwią trwała przy starym systemie. W rezultacie na początku XX wieku wielkie imperium było opóźnione o trzynaście dni wobec reszty świata. Złośliwe przezwisko doskonale pasowało do konserwatywnej mentalności Aleksandra.

Na widok młodego Bobrowa Karpienko zaczynał perorować z zapalem o nadejściu nowej epoki i głupocie cara, a potem recytował wersy Błoka o rosyjskiej martwocie:

Niechaj nad naszej śmierci łożem  
żałobnym chórem wrony kraczą  
i tylko godni, Boże, Boże,  
Królestwo Twoje niech obaczą<sup>1</sup>.

Biedny Aleksander Bobrow przysłuchiwał się temu posepnie.

W Wielkanoc 1908 roku miało miejsce drobne wydarzenie, które dobitnie pokazało, jakimi drogami podąża myśl Aleksandra Bobrowa.

Tego dnia w dużym domu Suworinów, jak we wszystkich domach w Rosji, panowało ożywienie. Władimir i Piotr, choć nie byli religijni, w wigilię Niedzieli Wielkanocnej zawsze chodzili na długie nocne nabożeństwo. A od rana przez dom płynął strumień gości. Jako że post się skończył, stół w ogromnej jadalni był zastawiony smakowitymi potrawami. Na środku królowały dwa tradycyjne dania: kulicz oraz słodka pascha w kształcie małej piramidy. I wszędzie leżały wielkanocne pisanki – jedne pomalowane na czerwono, inne ozdobione na ukraińską modłę misternymi wzorami. Ludzie obdarowywali się nimi nawzajem – a w całej wielkiej rezydencji Suworina zjadano tego dnia kilka tysięcy jajek. Wszystko popijano chłodzoną w lodzie wódką.

Bobrowowie pojawili się koło południa, zaraz po Piotrze Suworinie, więc Dmitrij i jego przyjaciele byli świadkami pewnej sceny. Nadieżda i jej matka miały na sobie tradycyjne świąteczne stroje Rosjanek. Pani Suworina założyła też kokosznik, wysoki diadem ze złota i masy perłowej, w którym wyglądała jeszcze bardziej królewsko niż zwykle. Zgodnie ze zwyczajem nowo przybyły podchodził po kolei do każdego z gości i całował go trzy razy, wymieniając przy tym wielkanocne pozdrowienie: „Chrystus zmartwychwstał”. „Prawdziwie zmartwychwstał” – padała odpowiedź.

Gdy Aleksander podszedł do Nadieżdy, wyjął z kieszeni małe pudełko.

– To dla ciebie – powiedział z powagą.

Zaskoczona dziewczynka uniosła wieczko. W środku leżało jajo wielkanocne ze srebra ozdobione barwnymi kamieniami. Jajko z pracowni Fabergé.

– Piękne. – Była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co powiedzieć. – To dla mnie?

Uśmiechnął się.

– Oczywiście.

Dmitrij i Karpienko przyglądali się temu ze zdziwieniem. Wprawdzie był to jeden z najmniejszych wyrobów Fabergé, ale taki dar od chłopca w wieku szkolnym dla małej dziewczynki bił po oczach, wydawał się wręcz niestosowny. Nie tylko oni odnieśli takie wrażenie, bo oto pani Suworina, której sokoli wzrok widział wszystko, stanęła obok nich.

– Co za uroczy prezent! – I zanim Aleksander zdążył się zorientować, odciągnęła go w drugi kąt pokoju, zabrawszy pudełeczko ze sobą. – Mimo to, drogi Aleksandrze – powiedziała miło, lecz stanowczo – nie mogę pozwolić, by Nadieżda dostawała takie podarki. Jest na to zdecydowanie za młoda.

Aleksander spurpurowiał na twarzy.

– Jeśli pani sobie nie życzy...

– Wzrusza mnie, że w ogóle o tym pomyślałeś. Ale ona nie przywykła do takich prezentów. Jeśli chcesz, zatrzymam go i dam jej, gdy będzie starsza – zaproponowała uprzejmie.

A Aleksander, widząc, że dobre wychowanie nie pozostawia mu innego wyjścia, zgodził się ze smutkiem.

Jednak wymowa tego zdarzenia była oczywista. On chciał złożyć deklarację swoich uczuć, a pani Suworina z jakichś powodów nie zamierzała do tego dopuścić. Poczul się zawstydzony i upokorzony. Nie pocieszyło go nawet, gdy Władimir objął go czule i zabrał na przechadzkę po galerii.

Natomiast Dmitrij i Karpienko nie posiadali się z radości.

– Biedny Bobrow – kpił Karpienko. – Fabergé sprzedał mu śmierdzące jajko.

A Nadieżda zupełnie nie wiedziała, co ma o tym myśleć.

*Czerwiec 1908 roku*

Latem 1908 roku wydawało się, że w Rosji wreszcie zapanował spokój. Fala terroryzmu opadła. Surowe represje Stołypina zadały radykałom dotkliwe ciosy. A niedawne rewelacje, że naczelny terrorysta z Partii Socjalistów-Rewolucjonistów był agentem policji, bardzo osłabiły organizację w oczach opinii publicznej. Pojawiły się też oznaki postępu. Wbrew obawom Duma nie była jedynie marionetką w rękach cara. Nikołaj Bobrow i inni liberałowie głośno domagali się demokracji. Nawet konserwatywna większość popierała Stołypina w jego planach ostrożnych reform. A do tego dobra pogoda zapewniła obfite zbiory. Wieś przestała się burzyć.

I właśnie na wsi jak grom z jasnego nieba spadł na Dmitrija cios, który miał zdecydować o jego losie.

To Władimir wpadł na pomysł, żeby pojechać do Ruski. Wiosną Roza zapadła na zdrowiu, więc razem z Piotrem zaczęli nakłaniać ją do wyjazdu. „Upały w mieście nie będą ci służyć”. W końcu postanowiono, że na początek wybiorą się tylko dzieci, Dmitrij i jego przyjaciele. Karpienko zostanie w Rusce przez czerwiec, a potem pojedzie na Ukrainę i tam spędzi resztę wakacji. Roza miała się zjawić w lipcu razem z Piotrem.

Dmitrija zachwyciła wieś. Niezwykła wizja jego stryja powoli przybierała realne kształty. Trzydzieści metrów od starego dworu Bobrowów stał długi, drewniany budynek, w którym mieściło się muzeum i kilka warsztatów. Władimir sprowadził nawet

znakomitego snycerza i garncarza. Dmitrij i Nadieżda lubili przyglądać się ich pracy. A muzeum miało już w swoich zbiorach prawdziwe skarby: stare kądziele, misternie rzeźbione drewniane łyżki, prasy do formowania chlebów i ciast, a także piękne haftowane stroje z charakterystycznym dla Ruski orientalnym ptasim motywem. Władimir zapoczątkował też kolekcję ikon miejscowej szkoły, która uformowała się w czasach, gdy głównym ośrodkiem sztuki sakralnej był klasztor.

W domu zgromadzono bogatą bibliotekę, sprowadzono też fortepian. Pani Suworina, najwyraźniej znudzona wiejskim życiem, zazwyczaj czytała coś na werandzie. Domem zarządzała Arina, a jej syn Iwan, w tym samym wieku co Nadieżda, kręcił się wszędzie, wypatrując okazji do zabawy. Był to pocieszny widok, gdy obyta w świecie dziewczynka biegała z chłopskim dzieckiem po wzgórzu albo bawiła się z nim w chowanego w lesie za domem.

Popołudniami Władimir zabierał dzieci nad rzekę. Mimo potężnej figury był niezwykle zwinny pływakiem. Jak się okazało, Karpienko prawie nie potrafił pływać, więc Władimir sam wprowadził go do wody, a potem uczył tak długo, aż chłopiec dorównał reszcie przyjaciół. Później wszyscy siadali na brzegu, drząc nieco po kąpieli w zimnej wodzie, i rozmawiali.

Suworin był świetnym gawędziarzem. Obejmował ramieniem Nadieżdę albo któregoś z chłopców i rozmawiał z nimi o wszystkim jak z dorosłymi. A któregoś dnia powiedział im, jak widzi przyszłość Ruski.

– To proste. Rosja ściga się teraz z czasem – tłumaczył. – Stołypin, którego osobiście popieram, wie, że musi unowocześnić kraj, dopóki trzyma siły rewolucyjne twardą ręką. Jeśli mu się uda, car zachowa tron, ale jeśli nie... – Skrzywił się. – Nastąpi chaos. Bunt w miastach i na wsi. Pamiętajcie o Pugaczowie, jak to kiedyś mawiali.

– A co Stołypin musi zrobić? – spytał Karpienko.

– Trzy rzeczy. Po pierwsze, zapewnić rozwój przemysłu, ale dzięki zagranicznemu kapitałowi jesteśmy już na dobrej drodze. Po drugie, dać wykształcenie masom. Prędzej czy później pojawi się u nas jakaś demokracja, a ludzie nie są na nią gotowi. Tu też Stołypin dokonał pewnego postępu. I wreszcie po trzecie, przeprowadzić reformę na wsi. – Westchnął. – A to, obawiam się, będzie trudne.

Dmitrij wiedział, że zmiana nastawienia rosyjskich chłopów stanowi istotę wielkich reform ministra. Przez ostatnie dwa lata wiele w tej dziedzinie dokonano. Opłaty należne dawnym właścicielom ziemskim zostały zniesione, a długi anulowane. Chłopi otrzymali wszystkie prawa, podlegali tym samym sądom co inni obywatele, mogli się swobodnie przemieszczać z paszportem, na który nie potrzebowali już zgody wiejskiej komuny. Pół wieku po wyzwoleniu byli wolnymi ludźmi nie tylko w teorii, ale i w praktyce.

– Ale co zrobić z wiejską komuną? – zastanawiał się głośno Władimir.

W komunach nadal obowiązywał niegospodarny sposób parcelacji ziemi na wąskie działki oraz jej okresowe ponowne rozdzielanie wśród chłopów. Zbiory zboża w Rosji były trzykrotnie mniejsze niż w większości krajów Europy Zachodniej. Stołypin chciał to zmienić, więc zachęcał chłopów, by występowali z komun, uprawiali swoją ziemię i stawali się niezależnymi gospodarzami. Uchwalono odpowiednie prawa, Bank Chłopski udzielał kredytów. Lecz postęp zachodził bardzo powoli.

– Ale czy Stołypin nie chce zrobić z chłopów kapitalistów? – zaniepokoił się Dmitrij.

– Oczywiście, że chce – odparł Władimir. – Ja, w odróżnieniu od ciebie, jestem kapitalistą. Ale przyznaję, że to będzie bardzo trudna droga.

– Mnie się wydawało, że to będzie łatwe – wtrącił się Karpienko.

– To dlatego, że pochodzisz z Ukrainy. – Władimir zmierzwił chłopcu włosy.

– A tam zawsze była żywa tradycja niezależnego rolnictwa. Jednak w centralnych guberniach wiejskie komuny mają się dobrze. A jeśli chcesz wiedzieć dlaczego, to rozejrzyj się po tej wsi. Spójrz na sołtysa Borysa Romanowa.

Dmitrij i Karpienko szybko go poznali. Jako sołtys Borys sprawował teraz pewną władzę i wyraźnie czerpał z tego przyjemność. Razem z trzema silnymi synami otrzymywał największy przydział parceli we wsi, a jego dom miał rzeźbiony szczyt i malowane okiennice. Wiosną, gdy za sprawą reform Stołypina część państwowych gruntów przy klasztorze wystawiono na sprzedaż, a Władimir napomknął: „No to co, Borysie Timofiejewiczu, pewnie sami trochę kupicie”, ten spojrzał na niego wilkiem i odparł: „Komuna kupi. – A potem dodał spokojnie, choć głośno: – I któregoś dnia was też wykurzymy”.

– On się nie daje przekonać, że przejęcie tego majątku niczego nie rozwiąże – mówił Władimir. – A wiecie, na czym polega ironia sytuacji? Nawet gdyby wywłaszczyć całą szlachtę, to i tak w wielu guberniach nie starczyłoby ziemi, żeby chłopci odczuli poprawę. Oni powinni się przenieść do mniej zaludnionych rejonów, do czego Stołypin bardzo zachęca. – Westchnął. – Ale chłopci popierają rewolucjonistów, a nawet terrorystów, bo ci obiecują, że rozdadzą im całą ziemię. – Suworin uśmiechnął się ponuro. – Więc należący do komuny chłop nie robi nic dla własnego dobra, tylko czeka na cud, który w mgnieniu oka rozwiąże jego problemy. Jest bierny, ale wściekły. Zamiast działać, woli dziesiątki lat niepotrzebnego cierpienia i krótką chwilę niepotrzebnej przemocy.

Dmitrij, jako że pochodził z domu socjalistów, uważał konserwatywne poglądy stryja za błąd, ale jednocześnie szanował jego inteligencję i widział w jego słowach ziarno prawdy. Zastanawiając się nad rewolucją, która miała pewnego dnia nadejść, zapytał:

– Więc myślisz, że Stołypin poniesie klęskę, a car utraci koronę?

– Tego jeszcze nie wiem – odpowiedział szczerze Suworin. – Ale pamiętaj, że w tysiąc dziewięćset piątym roku mieliśmy wojnę i braki żywności. To one doprowadziły do rewolucji. Dlatego twierdzę, że do zwycięstwa w tym wyścigu Stołypin potrzebuje dwóch rzeczy: pokoju i dobrych zbiorów. To one zdecydują o losie Rosji.

Ale tego pięknego lata nie dało się długo rozmyślać nad takimi poważnymi kwestiami.

To były radosne dni. Rankiem Karpienko wychodził zwiedzać okolicę, rysował albo wymyślał wspaniałe zabawy dla Iwana i Nadieżdy, którzy wpatrywali się w niego jak w obraz. W tym czasie Dmitrij przez trzy godziny ćwiczył na fortepianie. Skupił się na tym instrumencie, zapominając niemal o skrzypcach, i choć brakowało mu techniki wirtuoza, w jego grze słychać było niezwykle muzyczne wyrefinowanie.

Popołudniami albo pływali z Władimirem w rzece, albo siedzieli na werandzie, czytając lub grając w karty z panią Suworiną.



Pewnego dnia Suworin zabrał ich do fabryk w Rusce. Była to pouczająca wycieczka. Dmitrij z zainteresowaniem przyglądał się pracującym w milczeniu robotnikom, za to Karpieńkę bez reszty zafascynowały maszyny.

– Co za moc! – szepnął do Dmitrija. – Zauważyłeś niezwykle, surowe piękno tych urządzeń? A twój stryj wszystkim zarządza. Z każdym dniem coraz bardziej go podziwiam.

Kilka razy odwiedzili klasztor. A w drugim tygodniu czerwca Arina zabrała ich na drugą stronę rzeki, gdzie wąska dróżka wiodła do starych źródełek. Karpieńko był wniebowzięty.

– Jakie to słowiańskie! – wykrzykiwał. – Jakie pogańskie!

Dmitrij najbardziej lubił wieczory. Czasem, gdy inni żartowali i rozmawiali w bibliotece, siadał przy fortepianie i grał swoje nieśmiałe kompozycje. Przy okazji odkrył nową, niezwykłą cechę stryja. Oto bowiem Władimir wchodził czasem po cichu do pokoju i siadał w mroku. A gdy dźwięki fortepianu milkły, podchodził do Dmitrija, patrzył w zamyśleniu na klawisze, a potem swoim głębokim barytonem proponował:

– Może spróbowałbyś ten kawałek tak...?

Albo:

– Gdybyś tu zmienił trochę rytm...

I niemal za każdym razem Dmitrij dochodził do wniosku, że właśnie taki efekt chciał wyrazić.

– Skąd wiesz, co mi chodziło po głowie? – pytał. – To ja komponuję czy ty?

Na co stryj z nutą smutku w głosie odpowiadał:

– Jedni są przeznaczeni do tego, by tworzyć. A inni tylko rozumieją akt tworzenia.

Dmitrij był zachwycony tym człowiekiem, z którym czuł coraz bliższą więź.

Dzień przed wyjazdem Karpieńko wziął Dmitrija na stronę.

– Chodźmy na spacer – powiedział. – Tylko my dwaj.

– Dokąd?

– Do zaczarowanego miejsca. – Uśmiechnął się szeroko. – Do źródełek.

To była rozkoszna przechadzka. Po drodze Karpieńko śmiał się zaraźliwie, a Dmitrij pomyślał, że to wielkie szczęście mieć takiego przyjaciela. Na dodatek takiego przystojnego. Michaił skończył piętnaście lat, ale nie widać było po nim przykrych oznak wieku dojrzewania. Był zawsze w dobrym nastroju, nie musiał jeszcze golić delikatnego zarostu, na twarzy nie pojawił mu się ani jeden wyprysk. Wyglądał jak dzieło Donatella albo innego renesansowego rzeźbiarza. Różnica wieku między nimi wykluczała wszelką rywalizację: Karpieńko wiedział więcej, ale szczerze dzielił się swoją wiedzą z Dmitrijem i zawsze odnosił się do niego opiekuńczo, jak starszy brat. A przede wszystkim za fasadą żartów i doskonałych manier skrywał filozoficzną naturę. Dmitrij kochał go za to i podziwiał.

Przy źródełkach usiedli na mchu, żeby odpocząć. Wtedy Karpieńko odezwał się z nieoczekiwaną powagą.

– Powiedz mi, Dmitriju, słyszałeś kiedyś teorię o istotach pozaziemskich?

Dmitrij pokręcił głową.

– Wyobraź sobie, że przybywają do nas istoty z innej planety i widzą całą

niesprawiedliwość naszego świata. A potem pytają: „I co ty na to?”. A ty odpowiadasz: „Właściwie nic”. Co by wtedy pomyślały, Dmitriju? Zrozumiałyby takie szaleństwo? Z pewnością powiedziałyby: „Każda racjonalnie myśląca istota uznałaby zmianę takiego stanu rzeczy za swój najważniejszy obowiązek”. – Spojrzał poważnie na przyjaciela.

– Mam rację?

– Tak.

– Więc może zanim wyjadę, powinniśmy obaj, ty i ja, złożyć zobowiązanie, że zrobimy coś, by stworzyć nowy lepszy świat?

– O tak!

– Wiedziałem, że się zgodzisz. – Powoli, z pełną powagą sięgnął do kieszeni i wyjął szpilkę. Ukłuł się w palec i podał szpilkę Dmitrijowi. – Zawrzemy pakt. Będziemy braćmi krwi.

Dmitrij aż się zaczerwienił z dumy. Wśród młodych rewolucjonistów panowała wówczas moda na pradawny rytuał braterstwa krwi. Ale kto by pomyślał, że Karpienko zechce mu wyświadczyć taki zaszczyt! Dmitrij wziął szpilkę i zrobił to samo co Michaił. A potem połączyli się nierozzerwalnym węzłem.

Cztery dni po wyjeździe Karpienki również pani Suworina opuściła Rosję. Otrzymała wiadomość z Petersburga, że jej siostra zachorowała. Jednak Nadieżda i Dmitrij zostali – pod opieką Ariny i Władimira nie mogło im się stać nic złego. Minał jeszcze jeden przyjemny tydzień.

Każdego dnia chłopcy stajenni prowadzali konie do rzeki. Kiedy ktoś na nich patrzył, zachowywali się spokojnie. Ale gdy nie czuli na sobie wzroku starszych, wskakiwali na konie i pędzili na oklep w dół zbocza. Mały Iwan, gdy tylko mógł się wymknąć Arinie, dołączał do nich.

Gdyby nie to, że tamtego lipcowego dnia Nadieżda stała tuż obok, Dmitrij pewnie by się nie odważył. Ale gdy na gumnie Iwan spojrział na niego z końskiego grzbietu, podjął nagłą decyzję. Jeśli taki mały chłopak może to zrobić, to ja też. Wgramolił się na konia i wyjechał na wzgórze.

Najpierw stępem, potem kłusem. Konie były pobudzone. Uderzenia kopyt w twardą ziemię, dzikie wrzaski. Dmitrij przywarł do końskiej grzywy. Wszędzie się kłębił kurz, pachniało potem. Nagle jakaś gałąź uderzyła go w twarz. Roześmiał się. Poczł, że traci równowagę. Co za głupota! Po chwili leciał już głową w dół, obok niego pędziły inne konie. A na koniec ziemia – a może niebo – spadła na niego z wielką siłą.

Usłyszał trzask łamanej nogi. W ułamku sekundy ciszy przed rozdzierającym bólem ten dźwięk był całkiem wyraźny. Dmitrij stracił przytomność, gdy Nadieżda rzuciła się biegiem w dół zbocza.

Przez pewien czas nie zdawał sobie sprawy, że jego życie już nigdy nie będzie takie samo.

Przenieśli jego łóżko na dół, do dużego pokoju, w którym stał fortepian. Nie narzekał na nudę. Miał mnóstwo książek. Arina często do niego zaglądała, a Nadieżda siadała przy nim i gawędziła na swój uroczy sposób. Ale najbardziej się cieszył, gdy przychodził Władimir, żeby porozmawiać albo coś mu poczytać. Brakowało mu jedynie gry na pianinie.

Wtedy przyjechała matka.

Dmitrij nigdy by się nie spodziewał, że po wypadku spojrzy na Rozę zupełnie innymi oczami. Kim była dla niego do tej pory? Kochającą matką, która pomagała mu stawiać pierwsze kroki w świecie muzyki. Kobieta, która uwielbiała jego ojca. Bezinteresowną, dziwnie smutną osobą, która nieustannie martwiła się o męża i syna. Nie wyglądała dobrze. Miała zapadnięte oczy. Długie gęste włosy przetykane pasmami siwizny sprawiały wrażenie nieuczesanych. Kochał ją, ale było mu jej szkoda, bo nie umiała się cieszyć życiem.

To Władimir ujawnił przed nim nieznaną stronę matki.

– Skoro już przyjechałaś, to musisz odpocząć, Rozo – przekonywał ją. – I musisz grać – dodał stanowczo. – Nie możemy pozbawić tego młodego człowieka muzyki.

Następnego dnia ku zdziwieniu Dmitrija matka posłuchała tej rady.

Dziwne, ale nigdy nie słyszał jej gry. Wiedział, że kiedyś uczyła się muzyki. Gdy był młodszy i napotykał podczas prób jakieś trudności, pomagała mu je pokonać, więc przy okazji zauważył, że ma dobrą technikę. Ale z jakiegoś powodu sama nigdy nie chciała grać. Teraz jednak zaczęła. Najpierw niepewnie, przez pierwsze dwa dni grała proste utwory, potem odważyła się na sonatę Beethovena. A potem na kompozycje Czajkowskiego, Rimskiego-Korsakowa i innych rosyjskich twórców. Najpierw grała godzinę, potem dwie. Czasem z brwiami ściągniętymi w skupieniu, jakby prosiła palce, by zrobiły coś, czego od dawna nie robiły, a czasem z łagodnym uśmiechem. Dmitrij słuchał jej z coraz większym zdumieniem. Przecież ona ma niezwykły talent, myślał. Słyszał to w niemal każdym fragmencie. Piątego dnia zaszła w niej niezwykła zmiana. Spięła włosy, świeże powietrze i dobry sen wygładziły bruzdy na jej twarzy. Odchyliła głowę do tyłu, a spod jej palców niczym wielka fala płynęła *Appassionata* Beethovena.

Władimir często stawał obok bratowej.

– Nie wiedziałem, że potrafisz tak grać – powiedział kiedyś Dmitrij. I niemal dorzucił: „Ani że jesteś taka piękna”.

– Wielu rzeczy jeszcze nie wiesz – odparła pogodnie i śmiejąc się, wyszła na werandę do Władimira i Nadzieży.

A potem wszystko się skończyło tak nagle, jak się zaczęło. Było słoneczne popołudnie. Od przyjazdu Rozy minęło dziesięć dni. Poprzedniego popołudnia Władimir przyniósł jej nuty swojego ulubionego kompozytora, wspaniałego Skriabina. Były to piękne utwory, tak samo delikatne jak preludia Chopina i tak samo zapadające w pamięć jak wiersze Aleksandra Błoka. Roza grała, Władimir siedział wygodnie w fotelu, z rozanielonym uśmiechem na twarzy. Dmitrij zasnął.

Obudził się, gdy Roza przestała grać. Władimir stał przy pianinie. Widocznie oboje byli przekonani, że on nadal śpi, i choć rozmawiali przyciszonymi głosami, słyszał wszystko wyraźnie.

– Nie możesz tak dalej żyć. Powtarzam ci to od trzech lat – przekonywał swoim łagodnym barytonem. – Nie mogę już na to patrzeć.

– Nic na to nie poradzę. Ale wiesz, Wołoki, ja się boję... – Dmitrij nigdy nie słyszał, by ktoś zwracał się tak do stryja.

– Potrzebny ci sen, moja gołąbko. Przestań się dręczyć. Przynajmniej zostań tu ze

mną na jakiś czas. – Władimir przerwał, jakby się nad czymś zastanawiał. – Na wiosnę czeka mnie podróż do Berlina i Paryża. Wybierz się ze mną. Zawiozę cię na kurację do jakiegoś uzdrowiska. Przy mnie będziesz bezpieczna, przecież wiesz.

Dmitrij usiadł sztywno wyprostowany i aż się skrzywił z bólu. Ich twarze odwróciły się ku niemu: stryj był zirytowany, matka wyglądała na zrozpaczoną. A potem Władimir odezwał się tak spokojnie, jakby nic się nie stało:

– O mój przyjacielu, widzę, że się obudziłeś. Wobec tego napijmy się herbaty.

A Dmitrij zupełnie nie mógł pojąć słów, które padły wcześniej.

Następnego dnia Roza oznajmiła, że musi wracać do Moskwy.

– Twój ojciec już zbyt długo jest sam – powiedziała do syna. – Tak się o niego martwię.

Miała na twarzy rozpacz, która mówiła, że znów nie przespała nocy.

Kolejne dni zapowiadały się dla Dmitrija przygnębiająco. Matka wyjechała, a pani Suworina wezwała Nadieżdę do Moskwy. Został w Rusce sam, bo lekarz nie pozwolił mu jeszcze na podróż. I oto teraz Władimir, spokojnie, lecz stanowczo, zajął się jego życiem.

Dwa dni po wyjeździe Rozy położył na stoliku przy łóżku kilka książek i partytur.

– Grasz dobrze, mój drogi, a wieczorami skomponowałeś parę ładnych utworów – oznajmił. – Ale skoro musisz leżeć w łóżku, to przynajmniej spróbuj wykorzystać swoje odosobnienie. Najwyższy czas, byś zrozumiał, co chcesz robić. Oto książki o teorii muzycznej i kompozycji. Przeczytaj je.

Początkowo było to trudne zadanie, wręcz nużące. Ale każdego wieczoru stryj pilnował, by Dmitrij wykonywał kolejne ćwiczenia: harmonie, kontrapunkty i inne wymogi muzycznej dyscypliny. Władimir, choć amator, miał rozległą wiedzę i był surowym nauczycielem.

– Teraz już rozumiem, dlaczego twoje fabryki przynoszą takie zyski – zaśmiał się kiedyś Dmitrij.

Musiał jednak przyznać, że rezultaty były znakomite. W ciągu sześciu miesięcy zrobił ogromne postępy. A przy okazji zauważył coś jeszcze: w miarę jak jego wiedza teoretyczna rosła, odczuwał coraz bardziej palącą potrzebę, wręcz przymus, by wykorzystywać ją do komponowania. I gdy w końcu we wrześniu lekarz pozwolił mu na podróż do Moskwy, powiedział do Władimira:

– Chyba naprawdę zostanę kompozytorem.

A stryj ku jego zdziwieniu uśmiechnął się i odparł:

– To przecież oczywiste.

Dlatego Dmitrij Suworin długo po tym, jak zyskał sławę, wspominał tamto lato słowami: „Upadek z konia sprawił, że jestem tym, kim jestem”.

Ten upadek miał też inny skutek. Czy to przez nieuwagę stajennych, którzy zanieśli go do domu, czy z powodu nikłych umiejętności fabrycznego lekarza, który składał złamaną w kilku miejscach nogę, kość nie zrosła się prawidłowo i Dmitrij Suworin już do końca życia musiał się podpierać laską.

*Wrzesień 1908 roku*

Aleksander Bobrow odwiedzał Suworinów pod każdym pretekstem, a do tego często przechadzał się pod ich domem, żywiąc nadzieję, że uda mu się zobaczyć Nadieżdę. Mimo krępującego incydentu, do którego doszło w Niedzielę Wielkanocną, ani na chwilę nie zrezygnował ze swoich marzeń.

– Ja się z nią ożenię – powtarzał ojcu z uporem.

Któregoś dnia, znalazłszy sobie jakąś wymówkę, złożył kolejną wizytę pani Suworinej i Nadieżdzie. Przy okazji się dowiedział, że Władimir wróci do Moskwy dopiero pod koniec miesiąca.

Jednak dziś pora była już późna. Zasłony w oknach zaciągnięto, rolety opuszczono. Znalazł się pod domem Suworinów jedynie z przyzwyczajenia. Opadała lekka mgła. Światła latarni rozmywały się w żółtawe plamy. Wokół prawie nie było ludzi. Pewnie nawet nie spojrzaliby w stronę domu, gdyby nie odgłos kroków, które zatrzymały się przy drzwiach.

Spojrzał na drugą stronę ulicy. W pierwszej chwili nie zobaczył nikogo, ale potem dostrzegł przy portyku opatuloną postać w kapeluszu z szerokim rondem. Przystanął, by się jej lepiej przyjrzeć. Nagle drzwi się uchyliły i postać szybko wślizgnęła się do środka. Aleksander aż wstrzymał oddech. Bo oto zanim drzwi się zatrzasnęły, tajemniczy człowiek zdjął kapelusz, spod którego ukazały się rudawe włosy Jewgienija Popowa.

Co ona we mnie widzi? Popow zadawał sobie to pytanie wiele razy. Miała wszystko: utalentowanego męża, ogromny majątek, wszystko, co burżuazyjny świat mógł jej zaoferować. Oczywiście pozbawiona wyższych celów bogata burżuazja popadała czasem w nudę. Ostatnio słynna stała się sprawa pewnego dziedzica wielkiej kupieckiej fortuny, który w domu brata strzelił sobie w głowę – bez żadnego szczególnego powodu, wiedziony kaprysem, bo akurat zobaczył na stole rewolwer. Ot, burżuazyjna dekadencja.

Czy ona też była jedynie znudzona? W to akurat wątpił. Nieszczęśliwa, ale nie znudzona.

Pamiętał rozmowę, którą odbył kiedyś z Leninem.

– Po kobietach nie należy się wiele spodziewać – powiedział mu przyjaciel. – Nie spotkałem jeszcze kobiety, z wyjątkiem mojej żony, która grałaby w szachy albo umiała odczytać rozkład jazdy pociągów.

Popow uśmiechnął się w duchu. Wiedział, że od kilku lat Lenin ma romans z pewną hrabiną z Petersburga. Ciekawe, czy hrabina potrafi grać w szachy. A teraz, patrząc na panią Suworiną, rzucił lekko:

– Grasz może w szachy?

– Owszem – odpowiedziała. – Ale one mnie nudzą.

Jednak pani Suworinej, bez względu na jej stosunek do tej gry, nie można było odmówić inteligencji. Popow wiedział, że władze chcą go aresztować, mimo to w ciągu ostatnich dwóch lat złożył jej kilka potajemnych wizyt. Za każdym razem wypytywała go o poglądy i choć nie chciała czytać Marksa, widać było, że jego wywody bardzo ją interesują.

I widać też było, że równym zainteresowaniem darzy jego osobę.

Ale dlaczego? Początkowo Popow podejrzewał, że Suworin ją zdradza. Lecz jeśli chciała się na nim zemścić, to mogła znaleźć sobie kogoś we własnych kręgach. Chyba

że celowo wybrała rewolucjonistę, który miał zniszczyć świat jej męża. Nie wiedział jednak, czy to go bawi, czy raczej czuje się wykorzystywany.

W domu panowała cisza. Pani Suworina już dawno odesłała służbę. Siedziała na niskim fotelu przy kominku, w którym palił się słaby ogień. Miała na sobie błękitny peniuar. Wyglądała na zamyśloną, kiedy Popow usiadł, opierając łokcie na szeroko rozstawionych kolanach.

– Powiedz mi, po co do mnie przychodzisz? – spytała.

Milczał przez dłuższą chwilę. Oczywiście miał swoje powody. Przede wszystkim partia bolszewików potrzebowała funduszy. Nie był pewien, czy uda mu się wyciągnąć od niej jakieś pieniądze, ale gotów był spróbować. Doskonale pamiętał, że gdy pewien bogacz zapisał partii cały majątek, a jego córki próbowały podważyć testament, dwaj zręczni bolszewicy, ukrywając swoje polityczne afiliacje, wkradli się w łaski panien, namówili je na małżeństwo i w ten sposób przejęli majątek. Nawet Popowowi zaimponowała taka zuchwałość.

Ale nie chodziło tylko o pieniądze. Pochlebiało mu, że pociąga taką dumną, inteligentną kobietę. Musiał też przyznać, że coś do niej czuje. Owszem, na początku chciał jedynie upokorzyć kochankę, jednak coraz częściej nawiedzała go myśl, że może zdoła ją ocalić.

– Bo jesteś interesującą kobietą – powiedział w końcu.

Uśmiechnęła się.

– Kieruje tobą jedynie ciekawość?

– A dlaczego nie?

Jasne, że był ciekawy. Suworin mu imponował. To nie słabeusz jak Bobrow, którego można było zlekceważyć. Potężny i inteligentny Suworin należał do największych kapitalistów, których ostateczne obalenie miało zapoczątkować rewolucję. Czy to dziwne, że chciał poznać jego świat? Zauważył też, że dom Suworina reprezentuje coś, czego w jego życiu brakowało.

Bo Popow, choć wiele podróżował, choć studiował historię i ekonomię, nigdy nie interesował się sztuką. W obecności pani Suworinej nawiedzało go czasem wspomnienie rozmowy, którą rok wcześniej odbył z Leninem w Szwajcarii. Rozmawiali o hrabinie z Petersburga, gdy Lenin wybuchnął: „A wiesz, co ona mi kiedyś pokazała? Kartkę z portretem jakiejś Mony Lisy. – Pokręcił łysą głową. – Słyszałeś o niej? Ja nie. O co w tym chodzi? Zupełnie nie pojmuję”. I choć Popow nie był taki przyziemny jak Lenin, to przy pani Suworinej czuł się czasem ignorantem. Pozwalał prowadzić się do któregoś z pokoi z obrazami i oglądał je uważnie, słuchając jej wyjaśnień.

Teraz jednak pani Suworina patrzyła na niego w zadumie.

– Powiedz mi, co byś zrobił, gdybyś miał absolutną pewność, że przez co najmniej sto lat nic się nie zmieni, że nie dojdzie do żadnej rewolucji?

Ciekawe pytanie.

– Właściwie uważam, że Stołypinowi się powiedzie. Tego samego zdania jest też Lenin. Za mojego życia rewolucja zapewne nie wybuchnie. – Wzruszył ramionami, a potem się uśmiechnął. – Ale prawda jest taka, że przez całe życie byłem rewolucjonistą i niczego innego nie umiem. To powołanie.

– Uważasz, że w dłuższej perspektywie to wszystko – pokazała ręką pięknie umeblowany pokój – będzie musiało odejść?

– Oczywiście. Nie będzie miejsca na takie przywileje. Wszyscy ludzie będą sobie równi.

– A gdy wybuchnie rewolucja, bezwzględnie rozprawicie się z kapitalistami i ich zwolennikami.

– Owszem.

– W takim razie powiedz mi jeszcze coś – ciągnęła pogodnie. – Jeśli mimo wszystko do rewolucji dojdzie już niedługo, a ja postanowię się jej sprzeciwić, to mnie też zabijesz?

A on nie odpowiedział od razu, lecz zmarszczył brwi, jakby się nad czymś zastanawiał.

I to jej się w nim podobało. W swoich działaniach posługiwał się podstępem, a jednocześnie był szczery aż do bólu. Widziała w tym jakąś czystość. Niewątpliwie był człowiekiem niebezpiecznym, a ją ekscytowała zakazana miłość. Teraz też, zamiast kłamać, spokojnie się zastanawiał, czy mógłby ją pozbawić życia.

– I co?

– To by raczej nie było konieczne. Chybabyś przeżyła.

Często mu się wydawało, że ona jest jak ptak w klatce. Tkwi w pułapce wielkiej rezydencji i burżuazyjnego świata. A jednocześnie drzemie w niej wolny duch, gotowy zostawić to wszystko na wezwanie do wyższych celów.

– To ma być komplement? – Uśmiechnęła się.

– Tak.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, świadomi swojej obecności, ale jednocześnie zatopieni we własnych myślach.

I wtedy ogień w kominku zasyczał i sypnął iskrami. Gdyby ten mały kawałek żaru spadł na podłogę, szybko by przygasł. Ale jakimś cudem dosięgnął skrają peniuaru pani Suworinej, na którym od razu pojawił się jasny płomień. Krzyknęła i chciała strzepnąć z siebie ogień, ale zrobiła to tak nieostrożnie, że żar przeniósł się na jej kolana.

Nic groźnego. Mogła po prostu wstać i zdeptać maleńki pożar. Lecz Popow, widząc jej przerażenie, też się przestraszył i bez zastanowienia rzucił się do przodu. Gołymi rękami złapał rozżarzony kawałek, wrzucił go do kominka, a potem chwycił poduszkę i stłumił nią płomień.

Pani Suworina niemal znalazła się w jego ramionach. Patrząc mu z bliska w oczy, ze zdziwieniem zobaczyła w nich czułość.

– Nie ruszaj się – powiedziała.

Aleksander Bobrow dopiero po dwóch godzinach opuścił swój punkt obserwacyjny. Było zimno i wilgotno. Ten łotr Popow nadal nie wychodził. Dało się to wytłumaczyć tylko w jeden sposób.

I co on miał zrobić z taką wiedzą?

*Rok 1910*

Mogłoby się wydawać, że w latach 1909 i 1910 w domu profesora Piotra Suworina panowała idealna harmonia.

Każdy był zajęty swoimi sprawami. Dmitrij miał obecnie dwóch nauczycieli muzyki i robił szybkie postępy. Karpienko studiował w Akademii Sztuk Pięknych i dał się poznać jako człowiek o szerokich horyzontach. Władimir chętnie go wspierał. Zapraszał często do siebie, by chłopak mógł poznać wybitne osoby ze świata sztuki; przedstawił go kilku artystom. Piotr Suworin też nie narzekał na brak zajęć: pisał swój słynny podręcznik fizyki, dzięki któremu jego nazwisko miało się stać znane całemu pokoleniu uczniów.

Dla Rosji nastał czas spokoju. Wchodząc na zacienione podwórko, Dmitrij myślał czasem, że nawet jeśli gdzieś na świecie zdarzają się niepokoje, to ich odgłosy milkną, zanim dotrą do wąskich, zadrzewionych uliczek Moskwy. Niewiele też było słyhać o tym, co robią car, jego żona i dzieci ukryci w którymś z petersburskich pałaców.

Stołypin wraz z Dumą konsekwentnie podążał drogą powolnych reform. Jednak po lekturze gazet Dmitrij odnosił czasem wrażenie, że wielki minister, choć kraj zawdzięczał mu spokój i pomyślność, ma tylko nielicznych przyjaciół.

– Liberałowie nienawidzą go za represje – tłumaczył Władimir. – A reakcyjniści za to, że jego system rządów osłabia absolutną władzę cara. Ale na razie to on jest górą.

Ulubioną porą Dmitrija były wieczory, gdy cała rodzina zbierała się przy stole i omawiała wydarzenia mijającego dnia. Wiosną i latem matka przygotowywała herbatę i podawała truskawki, przez okno widać było turkusowe niebo, z pobliskiego kościoła dochodziły ciche śpiewy nieszporów.

Karpienko zawsze podrzucał nowy temat. Dmitrij uczył się w samotności – całymi tygodniami zgłębiał sonaty fortepianowe Beethovena albo jakąś symfonię Czajkowskiego, ale jego radości nie dało się ubrać w słowa – natomiast Karpienko tkwił w samym środku ekscytującego intelektualnego fermentu. Co tydzień przynosił jakieś odkrycie, które odmieniło świat. Czasem była to nowa szkoła malarska, obwieszczająca swoje powstanie wystawą i przedstawiająca się dziwną nazwą, jak choćby „Błękitna Róża” czy „Złote Runo”. Któregoś miesiąca przeczytał *Spowiedź* Gorkiego i kilka innych prac młodych pisarzy z Petersburga, którzy nazwali się „budowniczymi Boga”, robił rodzinie wykłady:

– Zrozumcie, przez całe stulecia człowiek był jak Prometeusz przykuty do skały przesądów. Ale teraz się zbuntował. To ludzie są Bogiem. Ludzie będą nieśmiertelni. Pomyśl tylko, profesorze, najpierw ludzie stworzą rewolucję i będą wolni. A potem, pewnego dnia, przejmą nie tylko inne planety, ale i cały wszechświat.

Razem z Dmitrijem ciągnęli te ważne dyskusje do późnych godzin nocnych.

Ale odkrycie, które Dmitrij cenił najbardziej, miało nieco skromniejszą rangę. W ówczesnej Moskwie i Petersburgu działało wielu poetów. Poezja cieszyła się taką popularnością, że dało się z niej utrzymać. Pewnego wieczoru Karpienko przyniósł zbiór wierszy, o których autorach Dmitrij jeszcze nie słyszał.

– To zupełnie nowa szkoła – tłumaczył. – Nikt z nich nie używa symboli ani pojęć abstrakcyjnych, tylko piszą wprost o swoim doświadczeniu.

Dmitrijowi najbardziej podobało się dwoje z nich.



– Tak jakby pisali o naszej ulicy, naszym mieszkaniu i rodzinie – powiedział z zachwytem.

I tak oto poznał – już na początku ich kariery – największych rosyjskich poetów XX wieku, Osipa Mandelsztama i Annę Achmatową.

Ale mimo że to Karpienko oczarowywał ich swoją błyskotliwością, te wieczorne spotkania sprawiły, że Dmitrij zaczął coraz bardziej doceniać ojca.

Piotr Suworin zazwyczaj mówił niewiele. Opuściwszy okulary w złotych oprawkach niemal na czubek nosa, czytał w milczeniu gazetę albo przeglądał rękopis swojej książki. Na gładko ogolonej twarzy miał jedynie wąską bródkę. Mimo siwych włosów i kilku zmarszczek nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt pięć lat. Jego dobrotliwa surowość przywodziła na myśl szwedzkiego pastora.

I to on nadawał wszystkiemu ton.

– A wiesz, kogo mi przypomina twój ojciec? – spytał kiedyś Karpienko ze śmiechem. – Starego mnicha z klasztoru. My wszyscy modlimy się, robimy wiele hałasu i wierzymy. Ale stary mnich mieszka w swojej pustelni, milczy i trwa w spokoju, bo w odróżnieniu od nas on wie. Tak samo jest z twoim ojcem i rewolucją.

Rzeczywiście Piotr Suworin miał prawo być zadowolony ze swojego umiarkowanego kursu. Od dwóch lat bolszewicy nie umieli się wykazać niczym innym oprócz ekstremizmu. Policijni szpiedzy wniknęli w ich szeregi, co bardzo utrudniało im działalność. Ich przywódca Lenin przebywał na wygnaniu w Szwajcarii, tracili członków. Natomiast umiarkowani mienszewicy spokojnie robili swoje, powoli zyskiwali poparcie w fabrykach, organizowali związki zawodowe, edukowali i publikowali, głównie legalnie. Niektórzy gotowi byli współpracować z Dumą. Pojawiały się nawet głosy, żeby zmienić nazwę na Partia Robotnicza. Piotr się cieszył, bo jak mówił rodzinie: „Na tym polega postęp”.

– Nowa epoka nadchodzi – przekonywał. – Nie dzięki twojej sile woli, Karpienko, ani dzięki podstępным działaniom Popowa. Nie wiemy, jak ani kiedy to się stanie, ale wiemy, że ten proces jest nieuchronny.

A któregoś dnia profesor zauważył z uśmiechem:

– Niedawno, pracując nad książką, doszedłem do wniosku, że dialektyka marksistowska jest jak prawa fizyki. Weźmy dla przykładu prąd elektryczny. Ma on ładunek dodatni i ujemny, to teza i antyteza. Wytwarzają one napięcie, różnicę potencjałów. I płyną razem, tworząc syntezę. Permanentna światowa rewolucja, o której mówi Trocki, jest jak prąd elektryczny. To proces ciągły, dynamiczny, może napędzać, co tylko się da.

Słuchając ojca, Dmitrij miał poczucie, że wszystko we wszechświecie łączy się ze sobą zgodnie z zasadami nauki, a jego mała rodzina, z tyloma różnymi formami ekspresji, podąża szeroką drogą ku ostatecznemu, wspaniałemu przeznaczeniu.

Profesor wydawał się niewzruszony. Uczył, pisał, przyjmował w swoim domu uczniów. Jego życie było spokojne i uporządkowane jak jego umysł. To, co robił, zapewniało domowi określony rytm i sens. Działał na wszystkich kojąco.

A latem 1910 roku Dmitrij bardzo potrzebował pociechy.

Powoli stawało się jasne, że Roza Suworina popada w obłąd.

Po wypadku Dmitrija przez kilka miesięcy wydawało się, że nerwowość Rozy słabnie. Tak jakby jej obawy, że wydarzy się coś złego, doczekały się w tej tragedii spełnienia, więc mogła wreszcie poczuć ulgę. Ale gdy Piotr zaczął pisać, jej stan znów się pogorszył.

Z jakiegoś powodu uparła się, że sama przepisze książkę męża na maszynie. Wiele razy ją błagał, by pozwoliła mu zlecić tę pracę komuś innemu, ale ona za każdym razem bladła i była tak zdeterminowana, jakby lekceważył jej poświęcenie, więc w końcu zrezygnował.

Co dzień po kolacji rozstawiała w małej jadalni maszynę do pisania i siadała do pracy. Mówiła, że w dzień nie ma na to czasu. Wielokrotnie poprawiała kolejne fragmenty, dopóki nie uznała, że są przepisane idealnie. Czasem zabierało jej to godzinę, ale często kończyła dopiero późno w nocy. O świcie układała kartki na małym stoliku w przedpokoju, a rano miała podkrążone z niewyspania oczy. Dmitrij nie potrafił już zliczyć, ile razy zasypiał przy cichym stukocie klawiszy.

Ale od obsesyjnej pracowitości znacznie gorsze było to, że jej dawne lęki wróciły ze zdwojoną siłą.

Przybierały czasem dziwne formy. Gdy tylko robiło się trochę zimniej, kazała Piotrowi wkładać palto i futrzaną czapkę; gdy świeciło słońce, obawiała się, że dostanie udaru; gdy na ziemi pojawiał się lód, była pewna, że gdzieś się przewróci i zrobi sobie krzywdę. Wkrótce te lęki objęły też Dmitrija. Nalegała na przykład, żeby Karpienko odprowadzał go do szkoły, choć stawiało to syna w niezręcznej sytuacji. Uspokajała się jedynie wieczorem, gdy obaj, Piotr i Dmitrij, byli bezpieczni w domu.

A potem zaczęła ich śledzić. Początkowo nawet tego nie zauważyli. Znajdowała jakiś przekonujący pretekst – wizytę u przyjaciółki, jakieś zakupy – by towarzyszyć mężowi w drodze na uniwersytet albo synowi do szkoły. Ale preteksty szybko się wyczerpały i stało się jasne, że po prostu nie chciała spuszczać ich obu z oka. Piotr, który chodził na uniwersytet tylko dwa razy w tygodniu, tolerował jej dziwne zachowanie, ale Dmitrij błagał, by puszczała go samego. Gdy jednak odwracał się na ulicy, widział za sobą jej bladą, wymizerowaną twarz.

Ale o wiele bardziej zenujące były jej podejrzenia.

Nie miały żadnych podstaw, lecz dręczyła się nimi nieustannie. Ni z tego, ni z owego stwierdzała na przykład, że jakiś profesor intryguje przeciwko Piotrowi albo że sąsiadka, z którą się przyjaźniła, donosi na nich policji. Żarliwie przekonywała Dmitrija, że Czarna Sotnia zawiązała spisek, żeby zniszczyć wszystkich Żydów i socjalistów.

– Do spisku może należeć każdy – ostrzegała syna. Podejrzewała niemal wszystkich.

W pierwszych miesiącach 1910 roku Karpienkę ogarniało coraz większe oburzenie, bo rząd, przyznawszy wcześniej Ukrainie mały zakres wolności kulturalnej, zaczął się niepokoić rozkwitem tożsamości narodowej.

– Chodzą słuchy, że władza zamierza zlikwidować ukraińskie stowarzyszenia kulturalne – mówił przygnębiony. – Chyba my, Kozacy, powinniśmy wywołać powstanie jak za czasów Chmielnickiego i przejąć Ukrainę – dorzucił cierpko.

Była to niewinna, niemal żartobliwa uwaga. Jednak Roza nagle spoważniała.

– Co to znaczy? Jakie powstanie?

I wzięła chłopców w krzyżowy ogień pytań.

Gdy później Dmitrij zapytał ją, skąd ta dziwna ciekawość, powiedziała przestraszona:

– Nie wiesz, że powstanie kozackie było największą masakrą Żydów, jaką Rosja widziała?

– Chyba nie myślisz, że...

– Tego nikt nie wie, Dmitriju. Nikogo nie można być pewnym.

Na te słowa mógł jedynie pokręcić głową.

Tydzień później, gdy akurat byli sami, Roza kazała mu usiąść przy kuchennym stole.

– Chciałabym, żebyś mi coś obiecał – powiedziała żarliwie. – Zrobisz to dla mnie?

– Jeśli tylko będę mógł.

– Obiecuj mi, że zostaniesz muzykiem. Że nigdy, przenigdy nie będziesz rewolucjonistą jak twój ojciec, ale że będziesz się trzymał muzyki.

Dmitrij wzruszył ramionami. I tak zamierzał się poświęcić muzyce, więc obietnica nie była trudna do spełnienia.

– Jasne.

– Mam twoje słowo?

– Tak. – Uśmiechnął się. Zachowanie Rozy go irytowało, ale kochał ją i było mu jej żal. Miała taką wymizerowaną twarz. – Dlaczego ci na tym zależy?

Patrzyła na niego zgnębiona. Dmitrijowi przemknęło przez myśl, że starożytna wieszczka Kasandra musiała wyglądać trochę jak jego matka: duże, smutne oczy, które zdawały się spoglądać w straszliwą przyszłość.

– Nic nie rozumiesz. Tylko muzycy będą bezpieczni. Tylko muzycy.

Nie wiedział, jak zareagować na ten oczywisty objaw obłądki.

Wiosną 1910 roku Piotr wiele razy próbował przekonać Rozę, żeby poszła do lekarza, ale ona nie chciała o niczym słyszeć. Rozmawiał o tym z Władimirem, który dwukrotnie ich odwiedził i namawiał ją na wyjazd do Ruski. Jemu też odmówiła.

– W maju jadę do Niemiec – powiedział Władimir do Piotra. – Tam na pewno są lekarze, którzy będą umieli jej pomóc.

Piotr był skłonny się zgodzić, lecz Roza uparcie odmawiała. Wszyscy czuli się bezradni.

Na początku maja Dmitrij podsłuchał dziwną rozmowę, która nawet później wydawała mu się niezrozumiała.

On i Karpienko odwiedzili wieczorem Nadieżdę. Jak zwykle czas upływał im miło. Po długiej dyskusji o muzyce Dmitrij zaproponował, że zagra *Pory roku* Czajkowskiego, ale okazało się, że w domu Suworinów nie ma nut. Pobiegł więc po nie do swojego mieszkania.

Wiedział, że matka jest sama, bo Piotr miał iść na jakieś spotkanie. Dlatego zdziwił się, słysząc głosy dobiegające z małego saloniku. Głos matki był ledwo słyszalny, natomiast głęboki baryton Władimira dźwięczał wyraźnie.

– Coraz bardziej się o ciebie martwię. Tak dalej być nie może. Na miłość boską,

jedź ze mną do Niemiec.

Potem odezwał się głos matki, ale zbyt cichy, żeby cokolwiek dało się zrozumieć.

– Nic się nikomu nie stanie.

I znów słaby szept.

– Uwierz mi, chłopcom będzie lepiej tutaj. Na całym świecie nie ma lepszych nauczycieli niż w Rosji.

Teraz zapadła nieco dłuższa cisza. Usłyszał jedynie, że matka wspomina coś o jakimś liście. Potem rozległ się głos stryja:

– Dobrze, daję słowo. Oczywiście wszystko załatwię. Jeśli coś się wydarzy, natychmiast mu pomogę. Tak, Dmitrij wyjedź do Ameryki, jeśli sobie tego życzysz.

Wydawało mu się, że słyszy szloch matki. Nie szukał już nut, wyszedł po cichu i wrócił do przyjaciół; powiedział, że nie mógł ich znaleźć.

Długo w nocy nie był w stanie zasnąć. Z kuchni dobiegał stukot maszyny do pisania, a on zachodził w głowę, co miałby robić w Ameryce.

Pani Suworina osiągnęła największy sukces w swojej dotychczasowej karierze towarzyskiej. Odniosła osobiste zwycięstwo.

Oto w połowie czerwca 1910 roku gościła u siebie mnicha Rasputina.

Obiecał, że przyjdzie po południu na herbatę. Dlatego pani Suworina zorganizowała skromne przyjęcie, zapraszając jedynie rodzinę, najważniejszych przyjaciół oraz te nieliczne kobiety, które w ciągu ostatnich lat niechęć zraniły jej próżność i teraz mogły patrzeć z podziwem na gościa utrzymującego bardzo bliskie relacje z carską rodziną.

Władimir nadal był za granicą, ale zaprosiła Piotra i Rożę, którym oczywiście towarzyszył Dmitrij z Karpieńką. W gronie prawie czterdziestu gości czekali z niecierpliwością na pojawienie się tego dziwnego człowieka.

Rasputin wniknął do carskiej świątyni pięć lat wcześniej, ale wciąż otaczała go aura tajemnicy. Ludzie nazywali go świętym człowiekiem, choć zdaniem niektórych nigdy nie był mnichem. Gdzieś na dalekim Uralu miał nawet żonę i dzieci, jednak rzadko ich odwiedzał. W stolicy krążyły pogłoski o jego rozwiąłości, ale wiele osób przypisywało mu nadnaturalne moce.

– To prawdziwy leśny pustelnik – powiedział Karpieńko do Dmitrija. – Mówią, że przeszedł na piechotę z Syberii do Moskwy. – Zaśmiał się cicho. – I podobno jest jasnowidzem. Przyjrzyj się jego oczom.

Wszyscy jednak wiedzieli – i był to też powód powodzenia tajemniczego mnicha wśród eleganckich dam – że Rasputin ma oddaną wielbicielek w osobie carycy.

Co ona w nim widziała? Tego można się było jedynie domyślać. Carska rodzina żyła we własnym świecie, oddzielona od reszty społeczeństwa kordonem dworzan ze starych rodów szlacheckich, którzy uważali, że ich obowiązkiem jest chronienie władcy przed barbarzyńskim ludem rosyjskim. Nawet najznamienitsi poddani nie widywali cara, jego żony Niemki, córek ani następcy tronu, młodego carewicza, co przypominało zwyczaj wschodnich despotii.

I nawet pani Suworina nie mogła wiedzieć, że młody następca tronu cierpi na groźną dla życia, straszną chorobę wywołującą krwotoki i że niezwykle chłop

o hipnotyzującym spojrzeniu obiecał go wyleczyć.

Rasputin bardzo się spóźniał. Pani Suworina już się zaczynała obawiać, że jej małe, lecz mające zapas w pamięć przyjęcie zakończy się klęską. W końcu jednak drzwi się otworzyły, rozmowy umilkły i do salonu wprowadzono ubraną na czarno postać. Goście patrzyli zaskoczeni. Nie tego się spodziewali.

– Myślałem, że jest wyższy – szepnął Karpienko, wyraźnie rozczarowany.

Człowiek, który cieszył się zaufaniem carskiej rodziny i który znał najbardziej przerażającą tajemnicę lekarską imperium, wyglądał właściwie nijako. Był średniego wzrostu – fryzura pani Suworinej wystawała ponad jego głowę – i szczupłej budowy. Miał wąską klatkę piersiową, obwisłe ramiona, długie ciemne włosy z przedziałką pośrodku i szorstką brodę sięgającą zaledwie mostka. Szeroki nos przekrzywiał się wyraźnie na lewą stronę. W czarnym jedwabnym płaszczu poniżej kolan mógłby uchodzić za jakiegoś wiejskiego księżulka. Mimo że miał czyste ubranie i przyczesaną brodę, jego ciało wydzielalo nieprzyjemny zapach, wskazujący, że musi się myć rzadziej niż inni ludzie.

Uklonił się uprzejmie wszystkim obecnym i wyglądał na zadowolonego, gdy pani Suworina zaprowadziła go na kanapę i zaproponowała herbatę. Dalej przyjęcie toczyło się bez przeszkód. Gospodyni, zaskakująco uniżona jak na siebie, uprzejmie konwersowała z dostojnym gościem. Wspomniano o carskiej rodzinie, wyrażając przy okazji nabożny szacunek do panujących. Goście podchodzili kolejno do Rasputina, a on miał dla każdego kilka ciepłych, skromnych słów. Gdy przedstawiono mu Nadieżdę, łaskawie zapewnił jej matkę, że dziewczyna ma dobry charakter. A do Piotra Suworina powiedział z szacunkiem:

– Studiuję pan cuda wszechświata stworzonego przez Boga.

– Nie ma w nim niczego szczególnego – odezwał się Dmitrij do Karpienki.

Jednak już kilka minut później musiał zrewidować swoją opinię. Pani Suworina skinęła na niego ręką i dopiero stanąwszy twarzą w twarz z Rasputinem, przekonał się, z czego wynika jego charyzma.

Przyglądając mu się wcześniej, odniósł wrażenie, że ukryte pod krzaczastymi brwiami oczy mają w sobie coś lisiego: ich spojrzenie było czujne, uważne, wręcz przebiegłe. Ale teraz, gdy spoczęło na nim, doświadczył ich niezwykłego działania.

Oczy Rasputina płonęły – nie dało się tego inaczej określić. Przypominały dwa przenikające ciemność reflektory, a każdy, kto poczuł ich zadziwiającą pierwotną moc, zapominał o reszcie świata. Dopiero z bliższej odległości to hipnotyczne spojrzenie łagodniało, a oczy, choć nieco przekrwione, patrzyły wręcz dobrotliwie.

– Aha, muzyk. – Rasputin nie powiedział nic więcej, jakby osoba tej profesji go nie interesowała. Jednak Dmitrij, wracając na swoje miejsce, czuł na plecach dziwne mrowienie.

I mimo tego przebłysku mocy Rasputina przyjęcie zapisałoby się w jego pamięci jako jedno z wielu spotkań towarzyskich, gdyby nie dwa drobne incydenty, do których doszło tuż przed wyjściem mnicha. Pierwszy dotyczył jego matki.

Rożę przedstawiono zaraz po Piotrze. Rasputin uklonił się jej uprzejmie, ale potem przestał zwracać na nią uwagę. Nie patrzył nawet wtedy, gdy nagle się podniósł i jakby

pod wpływem szczególnego impulsu podszedł do niej. Wziął ją za rękę i przez dobrą minutę stał w milczeniu niczym lekarz wyczuwający puls. Po czym wrócił bez słowa na kanapę i zaczął rozmawiać z panią Suworiną, jakby nic się nie stało. Wszyscy goście nieco się zmieszali, lecz Roza nawet się nie zarumieniła, nie wyglądała też na zaskoczoną. Stała nieruchomo. I nigdy nie wspomniała ani słowem o tym, co się wydarzyło.

Drugi wypadek, bardziej wytrącający z równowagi, miał miejsce, gdy Rasputin już wychodził.

Karpienko, który obserwował go krótko na początku, z jakiegoś powodu nie chciał z nim rozmawiać. Widząc, że pani Suworina zamierza go przedstawić, wycofał się w najdalszy kąt salonu. A gdy goście w końcu zaczęli się żegnać, obserwował wszystko zza pleców dwóch starszych dam.

Rasputin był już w połowie drogi do drzwi, ale nagle się zatrzymał, odwrócił na pięcie i ruszył w kierunku Karpienki.

Damy zarumieniły się i rozstąpiły na boki. Rasputin zatrzymał się w odległości dwóch metrów od chłopaka i wpił w niego swój hipnotyczny wzrok. Karpienko, pozbawiony osłony, jakby się skulił. Mnich patrzył na niego w milczeniu, a potem się uśmiechnął.

– Hm, takich jak ty poznałem na Syberii i w Petersburgu – powiedział cicho. A potem zwrócił się do pani Suworinej: – Czego ten zdolny Kozak szuka w waszym domu?

O co mogło mu chodzić? Pani Suworina wyglądała na zakłopotaną, choć wydawało się, że wszystko rozumie. Odprowadziła Rasputina do drzwi.

Natomiast Karpienko nie mógł się opanować. Był blady jak kreda i drżał na całym ciele. Gdy Dmitrij objął go ramieniem i spytał, co się dzieje, z ust Michaiła wydobył się jedynie szept:

– Przejrzał mnie. Wszystko zobaczył. To jakiś diabeł wcielony. – Dmitrij słuchał tego z bezbrzeżnym zdumieniem. Karpienko popatrzył z lękiem na panią Suworiną. – Nic nie wiecie. Niczego nie rozumiecie.

Przygnębienie i zły nastrój nie opuszczały go przez wiele tygodni.

*Wrzesień 1911 roku*

Roza czuła w piersi lód. Ale dlaczego? Szła ulicą, w chłodnym powietrzu unosił się słaby zapach dymu. Zmierzch zapadł już godzinę temu. Tu i tam świeciły latarnie.

Na rogu zatrzymała się i spojrzała za siebie. Sypialnia, którą dzieliła z Piotrem, była jedynym pokojem usytuowanym od strony ulicy. Roza nie wiedziała dlaczego, ale przed wyjściem postawiła w oknie płonąca świecę. Widziała teraz mały migotliwy płomyk, który trwał na straży jak bliski przyjaciel. Jak wyraz miłości i nadziei. Nie zostawiła żadnego listu, jedynie krótką kartkę, że wybiera się na spacer.

Skręciła na rogu. Miała dziwnie lekki krok.

Nikt się nie dowie. To dobrze. A ona robi to dla nich z miłości. Wie jedynie Władimir, ale on jest z synem w Paryżu i wróci dopiero za miesiąc. Nie napisała do niego. On się domyśli i dotrzyma tajemnicy.

Rozległ się stukot kopyt. Minał ją konny oddział Kozaków – otuleni pelerynami przed jesiennym chłodem, wracali do koszar.

Jak długo to już trwało? Może od samego początku, może poślubiając Piotra Suworina, już cierpiała na depresję. Ale przecież kochała go namiętnie. Nie, umiała dokładnie określić, kiedy to się zaczęło. W 1900 roku, gdy Dmitrij miał pięć lat, a z Ameryki przyszedł list.

Po ślubie Roza utrzymywała jedynie rzadkie kontakty z krewnymi z Wilna. Cztery lata później matka nagle zmarła, a starszy brat wyemigrował z rodziną do Ameryki. W 1899 roku jego śladem podążył drugi z braci. Ich decyzja jej nie zaskoczyła. Emigrowały setki tysięcy Żydów, a do 1914 roku ich liczba miała wynieść prawie dwa miliony. Carski rząd temu przyklaskiwał. Roza cieszyła się, że bracia urządzili się szczęśliwie za oceanem, choć ich życie wydawało się jej bardzo odległe.

I wtedy przyszedł list. Od młodszego brata, który nie lubił pisać i który ostatni raz odezwał się do niej siedem miesięcy przed wyjazdem. Ale ten list był długi, opisywał szczegółowo podróż i nową ojczyznę. A kończył się tak:

*Przybyliśmy na Ellis Island. To były przerażające chwile. Gdy zobaczyłem betonową bryłę budynku i rzędy imigrantów czekających w wielkiej sali na kontrolę, pomyślałem: „Zupełnie jak w Rosji, tylko gorzej. Jesteśmy w więzieniu”. Ale szybko nas wypuszczono. A potem... I to jest właśnie powód, dla którego do Ciebie piszę, kochana Rozo. Potem byliśmy wolni. Umiesz to sobie wyobrazić? Nie potrafię znaleźć właściwych słów, żeby opisać, jak to jest wiedzieć, że jest się wolnym. Nie ma żandarmów z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, którzy cię nieustannie obserwują, nie ma szpiegów policyjnych węszących za wrogami reżimu. Możesz jechać, dokąd chcesz. Wszyscy mają prawo głosu. A Żydom należą się takie same prawa jak innym.*

*Amerykanie są podobni do Rosjan, w każdym razie do tych dobrych. To prości, szczerzy ludzie, którzy mówią z serca. Ale od Rosjan różnią się tym, że są wolni i wiedzą o tym.*

*I właśnie dlatego do Ciebie piszę, kochana Rozo. Ciągle o Tobie myślę. Wiem, ochrzciłaś się i mieszkasz w Moskwie. Ale czy naprawdę masz pewność, że jesteście tam bezpieczni? Bo przecież Dmitrij, choć został ochrzczony dla doraźnych celów, w oczach Żydów jest Żydem z matki Żydówki. Oczywiście wiesz dobrze, że sam nie jestem specjalnie religijny. Ale błagam Cię, jeśli sprawy w Rosji zaczną iść w \*złym kierunku, na miłość boską, przyjeżdżajcie do Ameryki. Nie ma znaczenia, legalnie czy nielegalnie, jakoś to załatwisz. Błagam, przyjeďte, bo tu Wasza rodzina będzie bezpieczna.*

List poruszył Rozę do głębi. W ciągu ostatnich lat, zaabsorbowana swoim życiem i wychowywaniem syna, rzadko wspominała przeszłość, lecz teraz słowa brata przywołały ją z wielką siłą. Nieustannie myślała o biednym ojcu i o wszystkim, co dla niej zrobił. Myślała o swojej muzyce, do której po ślubie już nigdy nie wróciła. I o matce, której sprawiła taki ból. Tęskniła też za braćmi.

List ją zaniepokoił. Brat pisał o Żydach, ale zauważyła też zawołaną wzmiankę o szpiclach i wrogach reżimu. Piotr jako działacz socjalistyczny mógł się wkrótce znaleźć w niebezpieczeństwie. Rozmyślała nad tym listem przez miesiąc, w końcu pokazała go Piotrowi.

– Co o tym myślisz? – spytała.

Ale takiej odpowiedzi się nie spodziewała.

– Opuszczenie Rosji to potworność.

A gdy wspomniała, że dla własnego dobra powinni się przenieść do Ameryki, spojrział na nią z całkowitym brakiem zrozumienia i stwierdził, że jest przemęczona. Uznała więc, że lepiej nie wracać do tego tematu. Zauważyła też, że Piotr mimo swojej dobroci i łagodności ma w sobie dziwny upór, który czyni go ślepym na wszystko, co nie pasuje do jego wizji świata. Nie pojedą do Ameryki i tyle.

Miała do niego żal? Wtedy chyba nie. Kochała Piotra, był dobry i prostolinijny. Ale choć początkowo uważała go za autorytet, w miarę upływu lat widziała coraz wyraźniej, jak bardzo jest od niej zależny. Wzruszająco dawał temu wyraz. „Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie – mówił czasem. – Chyba anioły mi cię zesłały”. A raz wyznał nawet: „Ten dzień, gdy wspomniałaś o Ameryce, był najgorszym dniem w moim życiu. Przez chwilę wydawało mi się, że odrzucasz wszystko, co kocham. Dzięki Bogu, że to szaleństwo minęło”.

Potrzebował jej. I okazywał swoje uwielbienie. Jak więc miała mu powiedzieć, co się z nią dzieje?

Koszmary zaczęły ją nawiedzać w 1905 roku. Przychodziły nagle, bez ostrzeżenia. I zawsze widziała w nich to samo: pogrom.

Najczęściej była to postać ojca otoczonego przez tłuszcę. Potem pojawiał się krępy Kozak na wozie, niby życzliwy, ale gotowy zostawić ich na pastwę losu, więc była pewna, że tym razem tłum dopadnie ojca i gdzieś go powlecze. W końcu sen się zapętlął. Wracała w nim do swojej ukraińskiej wioski, ale nie jako dziecko, tylko dorosła kobieta. Ojciec nagle zamieniał się w Piotra. A najgorsze było to, że pod szarym grzmiącym niebem przyjmował postać małego Dmitrija.

Ten koszmar nękał ją co noc, budziła się przerażona, złana zimnym potem. Doszło do tego, że bała się nawet zasnąć. A za dnia nawiedzały ją straszne przeczucia – nabierała dręczącego przekonania, którego niczym nie dało się ukoić, że coś się stanie Piotrowi i Dmitrijowi.

Zaledwie kilka miesięcy po pierwszym śnie pojawił się kolejny problem. Nie wiedziała, czy ma związek z koszmarami. Mógł wynikać z ukrytych pretensji do męża albo z lęku, dla którego nie znajdowała wytłumaczenia.

Nie mogła już znieść pieszczot Piotra.

Ale nawet teraz, po pięciu latach, czuła dumę, że Piotr niczego się nie domyśla. Kochała go. Wiedziała, że jej nigdy nie zrozumie. Naturalnie czasem się kochali i tylko dzięki sile woli udawało jej się ukryć odrazę do współżycia. Ale z każdym tygodniem i miesiącem wymyślała coraz lepsze wymówki, które pozwalały jej unikać małżeńskiego obowiązku. Za to za dnia zalewała Piotra potokami miłości. I czy to z poczucia winy, czy za sprawą nawracających koszmarów – choć pewnie jedno miało związek z drugim – wciąż utwierdzała się w przekonaniu, że mąż i syn są w niebezpieczeństwie. A od napaści na Dmitrija i tamtego wieczoru, gdy dowiedział się, że jest Żydówką, to przeświadczenie nie opuszczało Rozy ani na chwilę.

Jedynie Władimir odgadł jej tajemnicę. Kochany Władimir. Wszystkiego się domyślił.



Dotarła do szerokiego bulwaru okrążającego podupadłą część śródmieścia. Wiatr zrywał liście z małych drzew i niósł je na wschód. Zaturkotał jakiś powóz.

Czy w młodości przeszło jej przez myśl, że Władimir mógłby być jej kochankiem? Uśmiechnęła się. Zakazany kochanek i niemożliwa miłość. Ale nawet miłość platoniczna, taka jak ich, miała w sobie ból i rozkosz. Bo co może czuć kobieta, wiedząc, że to nie mąż, ale jego brat prawdziwie ją rozumie? Uwielbiała towarzystwo Władimira, przy nim odyskiwała radość życia. A jednocześnie się go bała. Bo dzięki niemu odzyskała samą siebie, z jego inspiracji zaczęła znowu grać, on pokazał jej to, co próbowała przed sobą ukryć: wielką, dręczącą przepaść między nią a Piotrem. Uciekała przed Władimirem do swojego więzienia. „Musisz gdzieś wyjechać, chociażby po to, żeby się porządnie wyspać” – powtarzał. Wiedziała, że ma rację. Ale nie umiała go posłuchać. „Zniszczysz samą siebie, ptaszyno”. A więc niech tak się stanie.

Władimir obiecał, że zabierze Dmitrija do Ameryki. Tylko to się dla niej liczyło.

Minęła sklep, w którym sprzedawano gazety. Na wystawionej tablicy widniał wielki tytuł. Biedny Stołypin, lojalny minister, został zastrzelony w Kijowie na początku miesiąca. A teraz okazało się, że zamachowiec był policyjnym szpiclem i dopuścił się tej potworności tylko dlatego, że członkowie komórki rewolucyjnej, do której udało mu się przeniknąć, zaczęli go podejrzewać. Ze znużeniem pokręciła głową.

– Takie szaleństwo jest możliwe tylko w naszej nieszczęsnej Rosji – mruknęła do siebie. Może całe carskie imperium to tylko zły sen?

Musiała się z tego snu wyrwać.

Skręciła w ulicę, na której ułożono tory tramwajowe. Pierwsze tramwaje pojawiły się w Moskwie na przełomie wieków – były to szerokie piętrowe wagony ciągnięte przez konie, więc poruszały się dość wolno. Ale od roku zaczęły je zastępować tramwaje elektryczne – bez górnego piętra, za to jeżdżące znacznie szybciej. Były znakiem nowej epoki. Nieco dalej na skrzyżowaniu linie się przecinały. Roza ruszyła w tamtą stronę.

Dmitrij pojedzie do Ameryki i zostanie muzykiem. Jej ojciec zawsze powtarzał: „Wybaczają Żydom, którzy są muzykami”.

Przy oświetlonej bramie stała grupka ludzi. Przyglądali się znużeni idącej ulicą kobiecie. Jakiś mężczyzna zauważył nawet, że wyglądała na zadowoloną.

– Nie było w niej nic niezwykłego – powiedział później.

Książka Piotra dawała jej zajęcie przez ostatnie osiemnaście miesięcy. Ileż to nocy przepisywała ją niemal do świtu! Dzięki temu aktowi poświęcenia nie musiała kłaść się z nim do łóżka ani z niczego tłumaczyć. Ale w zeszłym tygodniu książka została skończona. Zaraz pójdzie do druku. Przyniesie Piotrowi sławę, a ją zostawi bez żadnej ochrony.

To wcale nie było trudne. Tramwaj – niczym dobry przyjaciel czekający na jej przybycie – ruszył ku niej z dużą prędkością, gdy tylko dotarła na skrzyżowanie. Zatrzymała się. Wcześniej zdjęła rękawiczki, jakby chciała poszukać czegoś w kieszeniach, a teraz zaczęła je znowu wkładać, nie zauważywszy nawet, że wciąga lewą na prawą dłoń. Tramwaj był coraz bliżej i wydawało się, że szepcze: „Nareszcie. Chodź ze mną”.

Dwa kroki. Trzy.

Wszyscy to widzieli. Nikt nie miał wątpliwości. Kobieta stojąca na krawężniku szukała czegoś w kieszeniach. Potem spojrzała na tramwaj, odwróciła się i poślizgnęła. Krzyknęła, próbując zachować równowagę, i niezdarnie wyrzuciła stopę w górę. Wydawało się, że upadając na bruk, szuka jeszcze jakiegoś oparcia. W tym samym momencie nadjechał tramwaj. Co za straszliwy pech.

Gdy tramwaj po niej przejeżdżał, Roza zobaczyła ojca.

To prawda, cierpiała z powodu zmiennych nastrojów, ale nikt nie miał wątpliwości, że doszło do tragicznego wypadku.

Dwa miesiące później Dmitrij Suworin ukończył trzy *Etiudy* poświęcone pamięci matki – utrzymane były w stylu Skriabina, ale uznano je za jego pierwsze dojrzałe kompozycje.

*Rok 1913*

Rok 1913 powoli się kończył, a Aleksander Bobrow patrzył z optymizmem w przyszłość. Owszem, pozostało jeszcze kilka przeszkód do pokonania, ale starannie przygotował swoją batalię, więc czuł się pewnie. Dziewczyna skończyła piętnaście lat i wyrosła na czarującą młodą kobietę. Niedługo będzie mógł przystąpić do działania.

Miał dwadzieścia dwa lata. Wysoki, mocno zbudowany, przypominał surowym wyglądem swojego pradziadka Aleksego, choć w odróżnieniu od niego nie nosił zarostu.

Zdawał sobie sprawę, że jest przystojny. I nie kierowała nim próżność. Będąc ostatnim potomkiem szlacheckiego rodu i – mimo liberalnych zapatrywań ojca – także przedstawicielem porządku stojącego na straży władzy cara, uważał, że odpowiedni wygląd to jego obowiązek. Dbał o elegancki strój, pilnował, by zachowywać prostą, wojskową sylwetkę – co w owych czasach nazywano z francuska odpowiednim *tenue* – i o ile było go na to stać, starał się bywać w najbardziej wytwornych miejscach. Ze swoją pozycją towarzyską postawił przed sobą jedynie dwa cele: zdobycie stanowiska na dworze i ślub z Nadieżdą Suworiną. Realizował swój plan stanowczo i nieugięcie.

Jego przygotowania obejmowały też zdobywanie doświadczeń seksualnych.

– Żonie dochowam wierności – tłumaczył przyjacielowi, młodemu oficerowi z carskiej gwardii. – Ale najpierw muszę się czegoś nauczyć. Postanowiłem mieć dziesięć kochanek. Co ty na to?

– Ależ, mój drogi, dlaczego nie dwadzieścia?

– Dziesięć wystarczy – odparł Aleksander z powagą.

Przystąpił do tego bardzo metodycznie. Pierwszą kochanką była żona lekarza wojskowego – ładna dwudziestoparolatka, którą najwyraźniej rozbawiła determinacja, z jaką poważny osiemnastolatek próbował zaciągnąć ją do łóżka. Romans trwał trzy miesiące. Była też urocza baletnica z Petersburga – w końcu każdy mężczyzna powinien mieć przygodę z tancerką. A żeby mieć pewność, iż posmakował wszystkiego, wdał się w flirt z cygańską śpiewaczką, choć nie mógł mieć pewności, że ona naprawdę jest Cyganką. Przez miesiąc odwiedzał regularnie pewną damę w jednym z najbardziej renomowanych burdeli – bywali tam jedynie goście z odpowiednich kręgów. Porzucił ją dla niezwykle jasnowłosej wdowy, dwudziestoparoletniej pół Niemki, pół Łotyszki,

która najwyraźniej uważała, że taki młodzieniec jak on w ogóle nie potrzebuje snu. Na razie ten związek mu odpowiadał.

Także przyszłość Rosji napawała Aleksandra nadzieją. Ostatnia Duma przetrwała pełną pięcioletnią kadencję, a teraz obradował nowo wybrany parlament. Carowi udało się wzmocnić stronnictwo konserwatywne, choć radykałowie też urosli w siłę, co oczywiście musiało osłabić centrum. Ogólnie jednak obecny skład Dumy nie różnił się na niekorzyść od poprzedniego. Niezmordowany ojciec znów został wybrany. Kraj był naprawdę w znakomitej kondycji.

– Stołypin nie żyje, a jego miejsce zajęły miernoty – mówił Nikołaj Bobrow do syna konserwatysty. – Ale dzieło przetrwało. Bo tylko popatrz. – Zaczął wyliczać na palcach. – W handlu ogromny wzrost. Tak samo rosną zbiory, tylko w jedenastym roku wyeksportowaliśmy trzynaście i pół miliona ton zboża. Dług państwowy spada, trzy lata z ostatnich czterech zakończyliśmy z nadwyżką budżetową. Na wsi panuje spokój. – Uśmiechał się z zadowoleniem.

Innym razem powiedział Aleksandrowi:

– Niedawno poznałem Francuza, który wyliczył, że utrzymując obecne tempo wzrostu gospodarczego, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym prześcigniemy całą Europę Zachodnią. Pomyśl tylko, ty możesz tego doczekać!

O rewolucji niewiele się mówiło.

– Przy odrobinie szczęścia uda nam się jej zapobiec – twierdził Nikołaj.

Jedynie za granicą pojawiały się na horyzoncie jakieś chmury. Ale ani Bobrowowie, ani ich znajomi zbyt się nimi nie niepokoiли.

– Dyplomacja wszystko załatwi – przekonywał Nikołaj syna. – Wielkie mocarstwa muszą ze sobą współżyć. Dlatego zawieramy odpowiednie sojusze.

Rozległy układ sojuszy był dla Rosji korzystny. Potrzeba francuskiego kapitału i lepsze stosunki z Imperium Brytyjskim doprowadziły do podpisania trójporozumienia, zwanego w skrócie ententą. Niemcy, Włochy i Austro-Węgry zawarły trójprzymierze.

– Stanowią dla siebie przeciwwagę – podkreślał często Nikołaj. – Jedni pilnują drugich.

Groźne sygnały dochodziły jedynie z górzystych Bałkanów na północ od Grecji. Gdy władza martwego niemal Imperium Osmańskiego słabła, Austria postanowiła rozszerzyć swoje wpływy. W 1908 roku zajęła Bośnię i Hercegowinę, dwie prowincje zamieszkałe głównie przez Serbów. Inni Serbowie poczuli się zagrożeni. Rosja, przychylna słowiańskim braciom i czujna na rozwój wypadków na terenach leżących w pobliżu Konstantynopola i Morza Czarnego, przyglądała się wszystkiemu uważnie.

– To wszystko da się uporządkować – przewidywał Nikołaj. – Wojna nie opłaca się nikomu.

Niemal wszyscy europejscy mężowie stanu mogliby się z nim zgodzić.

W ciągu ostatnich pięciu lat tylko jedna rzecz mąciła spokój ducha Aleksandra.

Nie umiał sobie odpowiedzieć na pytanie, co powinien zrobić w sprawie Jewgienija Popowa.

W jakimś sensie rozumiał, że miłości pani Suworinej to nie jego sprawa. Ale nienawidził Popowa, a Władimira szanował, więc sama myśl o tym romansie wprawiała

go w dręczącą rozterkę. Tamtego mglistego wieczoru, gdy patrzył, jak rudowłosy bolszewik wślizguje się do rezydencji Suworinów, miał wrażenie, jakby to jego prawa zostały naruszone.

I nawet wtedy, mimo wielogodzinnego czuwania w chłodzie, trudno mu było w to uwierzyć. Usiłując rozwikłać tę tajemnicę, zaczął się włóczyć wieczorami wokół domu. I jeszcze tego samego miesiąca widział, jak Popow przybywa na kolejną schadzke. A więc wszystko jasne: dom jego przyszłej żony i osoba przyszłej teściowej zostały zbezczeszczone przez tego rudego socjalistę.

Potworne.

Co miał z tym zrobić? Władimir był jego przyjacielem. A skoro ten wspaniały człowiek jest okłamywany, to obowiązkowo należało go ostrzec. Nie chodziło jedynie o dyshonor. Ktoś taki jak Popow mógł sprowadzić na rodzinę poważne kłopoty. Dlatego Aleksander musiał chronić także Nadieżdę. Nie miał jednak odwagi powiedzieć Władimirowi o wszystkim wprost, bo gdyby pani Suworina się o tym dowiedziała, zasłużyłby sobie na jej dozgonną nienawiść. Sytuacja mało przyjemna dla kogoś, kto planuje zostać jej zięciem.

Gdyby chociaż udało mu się usunąć Popowa ze sceny... Był pewien, że policja, znając jego miejsce zamieszkania, natychmiast go aresztuje. Nie mógł oczywiście sprowadzić policji do domu Suworinów, więc kilka razy czekał aż do świtu, a potem próbował śledzić sprytnego bolszewika. Niestety, zawsze gubił go kilka przecznic dalej.

Na szczęście przyszedł mu do głowy bardzo prosty pomysł. Wysłał do Władimira anonimowy list. Ułożył go z liter wyciętych z gazet i zrobił kilka błędów, żeby dać do zrozumienia, że autorem jest ktoś niewykształcony. Był dumny ze swojego dzieła. Nie wymieniał Popowa z nazwiska, nazwał go po prostu „rudym rewolucjonistą”. I kiedy tylko mógł, chodził późnym wieczorem koło domu Suworinów. Gdy przez dwa miesiące Jewgienij nie pojawił się ani razu, Aleksander uznał, że list odniósł skutek. Jednak kilka miesięcy później znów go zobaczył.

W ciągu kolejnych miesięcy pytał Władimira od niechcenia:

– Co też się może dzieć z tym przeklętym Popowem, tym bolszewikiem, który raz się tu pojawił?

Albo:

– Czy policji udało się aresztować tego podłego rudzielca, który podzegał do strajku w waszej fabryce? Ciekawe, gdzie on przepadł.

Ale Władimir zachowywał się tak, jakby nie wiedział albo jakby go to nie obchodziło, więc Aleksander uznał, że zrobił wszystko, co do niego należało. „Pewnego dnia wyrównam rachunki z tym łotrem – przyrzekł sobie w duchu. – Już ja go załatwię”.

Poza wieczornymi wartami na ulicy często odwiedzał dom Suworinów. I właśnie w tamtych latach na poważnie zaczął się interesować malarstwem – dawało mu to pretekst do spotkań z Władimirem oraz było okazją do znalezienia wspólnych tematów z Nadieżdą.

Jego studia na uniwersytecie nie były zbyt trudne. Wolny czas wykorzystywał na ciężką pracę. Dogłębnie poznał główne szkoły malarstwa zachodnioeuropejskiego, a następnie – i to sprawiało mu największą przyjemność – zaczął studiować dawną sztukę

malowania ikon. Podchodził do tego w charakterystyczny dla siebie sposób, poważnie i metodycznie, ale też czuł, że naprawdę rozumie ten temat. Kierowany ambicją, zajął się też sztuką współczesną. Syn Władimira, który spędzał więcej czasu w Europie niż w Rosji, przysłał niedawno niezwykle prace Chagalla, Matisse'a oraz jeszcze jednego niezwykle malarza, który najwyraźniej zapoczątkował nowy kierunek w malarstwie – Pabla Picassa. Nieważne, czy obraz mu się podobał czy nie, ciekawił go czy wydawał mu się bezsensowny, Aleksander studiował każde dzieło tak dokładnie, jakby było łamigłówką do odgadnięcia; zadawał wiele pytań, szukał związków z innymi pracami, aż w końcu wiedział znacznie więcej niż inni. Umiał też trafnie ocenić wartość obrazów.

– Pochodzisz z rosyjskiej szlachty, ale masz świetne zadatki na kupca – przyznał kiedyś Władimir.

Aleksander zauważył też, że dzięki tej wiedzy oraz pochwałom Władimira Nadieżda odnosi się do niego z większym szacunkiem. Chętnie zostawiała Dmitrija i Karpieńkę przy ich fortepianowych improwizacjach, a sama oglądała z Bobrowem obrazy w ojcowskiej galerii i z zainteresowaniem słuchała jego opowieści o kolejnych malarskich odkryciach.

– Ty naprawdę dużo wiesz – mówiła, patrząc na niego swoimi poważnymi oczami.

Miała piętnaście lat i jej ciało zaczynało pięknie dojrzewać, co z uznaniem dostrzegał. Ale świadomy, że niedługo Nadieżda stanie się młodą kobietą, postępował ostrożnie, zachowywał przyjacielski dystans, starając się zaimponować jej wiedzą, i czekał, żeby sama się do niego zbliżyła.

Musiał tylko przezwyciężyć jeden problem.

Nadieżda była zakochana w Karpience.

Dla Dmitrija Suworina rok 1913 był czasem nie tylko nadziei, ale i szalonego podniecenia.

Jeszcze nigdy rosyjska kultura nie wspięła się na takie wyżyny. Tak jakby wszystkie prądy z ostatniego stulecia połączyły się w jeden potężny nurt i zalały świat.

– To nie rozkwit, to eksplozja – mawiał Karpienko.

Europa już jakiś czas temu dała się porwać rosyjskiej muzyce, operze i głosowi legendarnego Szalapina. A teraz Ballets Russes Diagilewa zdobywały szturmem Londyn, Paryż i Monte Carlo. Wspaniały Niżyński dwa lata wcześniej zatańczył w balecie *Pietruszka* Strawińskiego, w zeszłym roku stworzył niezwykle przedstawienie baletowe *Popołudnie fauna*, pełne elementów pogańskich i erotycznych, a w maju 1913 roku opracował choreografię do spektaklu, który miał odmienić historię muzyki – do *Święta wiosny* Strawińskiego.

Władimir miał to szczęście, że był wówczas w Paryżu.

– Niesamowite przeżycie – opowiadał Dmitrijowi. – I lekko przerażające. Publiczność była zgorszona i wpadła we wściekłość. Widziałem później biednego Diagilewa. On naprawdę nie wie, co począć z Niżyńskim, boi się, że on się posunie za daleko. Ale spektakl był znakomity, uwierz mi. Czegóż tak ekscytującego jeszcze nie widziałem.

Przywiózł jeden egzemplarz partytur Strawińskiego, więc Dmitrij przeglądał je całymi dniami, zafascynowany pierwotną energią tych kompozycji, niesłyszany

wcześniej dysonansami i zaskakującym, nierównym rytmem.

– To jak zobaczyć nieznaną galaktykę stworzoną ręką Boga – oznajmił w końcu.

– Oto nowa muzyka oparta na nowych zasadach.

– Rosja już nie próbuje dogonić Europy – wtórował mu Karpienko. – Ona ją wyprzedza.

Rzeczywiście trudno było zaprzeczyć, że w fermencie różnych rodzajów sztuki Rosja znajdowała się w awangardzie.

Gdy Dmitrij ekscytował się muzycznymi odkryciami, życie Karpienki wirowało jak szalone. Po śmierci Rozy na nowo urządzili mieszkanie, tak że każdy z nich miał własny pokój. Taka kawalerska kwatera bardzo im odpowiadała. Dzięki szczodrości Władimira Karpienko miał dość pieniędzy na kontynuowanie studiów i wynajęcie małej pracowni nieopodal. A że tkwił w samym centrum życia artystycznego, nikt nie wiedział, kiedy się pojawi w domu.

W środowisku artystów awangardy – które w Rosji wyróżniało się tym, że należały do niego także kobiety – aż kipiało od nowych idei. Gdy Karpienko przychodził do domu, opowiadał Dmitrijowi i Piotrowi o nowych zjawiskach: o buntowniczych abstrakcjach Kandinskiego, o wspaniałej scenografii Benois albo Chagalla, o jakimś nowym „-izmie”.

– I jaki to „-izm” jest dziś modny? – pytał go żartobliwie Piotr.

W 1913 roku modny był futurizm.

Rosyjscy futuryści, tacy jak Malewicz, Tatlin czy Majakowski, chętnie łączyli malarstwo z poezją, tworzyli ilustrowane książki i broszury, a ich odwaga artystyczna nie miała sobie równych.

– Kubizm Picassa był rewolucją – tłumaczył Karpienko – ale futurizm idzie znacznie dalej.

W malarstwie futuryści wykorzystywali przełamane geometryczne kształty kubizmu i wprawiali je w eksplodujący ruch. W poezji rozkładali język na poszczególne elementy, czasem wręcz na dźwięki, i zmieniali gramatykę, uzyskując nowy, wstrząsający efekt.

Z kolei Dmitrij porównywał prace futurystów do olbrzymiego generatora energii.

– Tak wygląda sztuka nowej epoki – oznajmił radośnie Karpienko. – I ta sztuka odmieni świat, profesorze. Tak samo jak elektryczność.

Zarzucił nawet eksperymenty malarskie i zaczął pisać wiersze do nowych, futurystycznych zbiorków.

W wieku dwudziestu lat Karpienko wyrósł na niezwykle przystojnego mężczyznę: szczupły, gładko ogolony, ciemnowłosa. Jego uroda wprost rzucała się w oczy. Dmitrij, idąc ulicą, nieraz patrzył z rozbawieniem, jak szacowne damy oglądają się za jego przyjacielem. Michaił wywierał też ogromne wrażenie na młodych kobietach z kręgów artystycznych, w których się obracał. Jednak nikomu się nie zwierzał ze swojego życia miłosnego, więc Dmitrij mógł się jedynie domyślać, czy którejs z pań udało się zdobyć względy młodego artysty.

Czasem przypominało mu się dziwne zachowanie Michaiła na przyjęciu, w którym uczestniczył Rasputin. Ale nigdy więcej nie zauważył podobnej reakcji, więc powoli zapominał o osobliwym incydencie. Zresztą Karpienko właściwie nie miał wad. Mimo

atrakcyjnego wyglądu nie był próżny. Owszem, wpadał czasem w przygnębienie, ale Dmitrij tłumaczył to koncentracją twórczą i tak naprawdę dostrzegał u przyjaciela tylko jedną przywarę: jego żarty bywały niekiedy okrutne. Dało się to jednak usprawiedliwić żywą inteligencją i niezwykłym poczuciem humoru.

Prowadzili w zasadzie oddzielne życie, ale często wychodzili gdzieś razem. Czasem odwiedzali Władimira. Jego secesyjny dom był już prawie ukończony i wyglądał wspaniale. Zachwycał zwłaszcza westybul z podłogą w spiralne wzory z kolorowego marmuru i granitu, jasnioletowymi ścianami, witrażowymi oknami, jakby sprowadzonymi wprost od Tiffany'ego, i kremowymi marmurowymi schodami, których balustrady rzeźbione w misterne zawijasy zdawały się gotowe rozpuścić pod dotknięciem ludzkiej dłoni. Władimir kompletował też kolekcję współczesnych książek, którą zamierzał umieścić w nowym domu, więc spędzał tam dużo czasu. Karpienko za każdym razem przynosił mu jakąś nową publikację futurystów, zapewniając sobie w ten sposób ciepłe przyjęcie.

Naturalnie odwiedzali także Nadieżdę.

Ależ to były ożywione spotkania! Niekiedy zabierali ze sobą jakichś znajomych i zazwyczaj wywiązywały się wtedy gorące dyskusje, w których Nadieżda – choć miała zaledwie piętnaście lat – brała skromny udział. W tych ekscytujących czasach rozmawiali częściej o sztuce niż o polityce, ale spierali się tak zażarcie, jak tylko potrafią Rosjanie albo Francuzi.

- Czytaliście ostatni wiersz Iwana Siergiejewicza? Co o nim myślicie?
- Okropny. Sentymentalny, ale brakuje w nim prawdziwego uczucia. Słyszeć fałsz.
- Do tego przestarzały.
- Iwan Siergiejewicz wszystkich rozczarował. Skompromitował się do końca.
- On już jest martwy. Tylko tyle można o nim powiedzieć.
- Nieprawda, nie macie racji!

Przerzucali się opiniami, a Nadieżda wpatrywała się w Karpienkę roziskrzonym wzrokiem.

Czasem dołączał do nich Aleksander Bobrow. Wtedy Karpienko – jeśli towarzystwo skrytykowało na przykład Iwanowa – rzucał od niechcenia:

- A co ty, Aleksandrze Nikołajewiczu, myślisz o Iwanowie?

Aleksander udzielał wymijającej odpowiedzi, jak choćby: „Jest całkiem niezły”, wywołując w ten sposób chór drwin, na który mógł zareagować jedynie ponurym spojrzeniem.

– Biedny Aleksander Nikołajewicz – kpił Karpienko za jego plecami. – Wie wszystko i niczego nie rozumie.

A kiedyś rzucił mu w twarz:

– Studiuj dalej, Aleksandrze, ale i tak nie nadążysz za najnowszymi prądami w sztuce.

Dlaczego Karpienko tak nie znosił Bobrowa?

– On symbolizuje najgorszy rosyjski upór – twierdził młody Ukrainiec. Ale pewnego dnia wyznał: – Nie podoba mi się, że on interesuje się Nadieżdą. Dlatego korzystam z każdej okazji, żeby go skompromitować.

Jakie on sam miał zamiary wobec córki Władimira? Było niemal oczywiste, że dziewczyna jest w nim zakochana. A on nie robił nic, żeby ją zniechęcić.

– Naprawdę ci na niej zależy? – spytał kiedyś Dmitrij, gdy wracali do domu.

– Chcę ją chronić – odparł Karpienko szczerze. – Szkoda mi jej dla takiego dumnia jak Bobrow.

– A dla ciebie?

Karpienko się zaśmiał.

– Nie żartuj. Ja jestem tylko biednym Ukraińcem.

– Stryj Władimir cię lubi.

– Ale jego żona nie.

Dmitrij zauważył już kilka razy, że choć Karpienko umiał zauroczyć starsze damy, pani Suworina odnosiła się do niego z wyraźną wyższością.

– Ona nie ma nic przeciwko tobie – zapewniał Dmitrij. – Ale ty chyba nie podtrzymujesz uczucia Nadieżdy tylko po to, żeby wejść w drogę Bobrowowi? – spytał kiedyś wprost.

Ku jego zaskoczeniu Karpienko jęknął cicho.

– Ty nic nie rozumiesz. Takiej dziewczyny jak ona nie ma na całym świecie.

– Więc ją kochasz?

– Tak, do diabła, kocham ją.

– W takim razie jest jakaś nadzieja – stwierdził Dmitrij pogodnie.

Ale Karpienko pokręcił głową z takim przygnębieniem, jakiego Dmitrij wcześniej u niego nie widział.

– Dla mnie nie ma już żadnej nadziei – powiedział cicho.

Napięcie, które narastało pomiędzy Nadieżdą a jej matką, musiało kiedyś wybuchnąć. Stało się to pewnego grudniowego wieczoru w 1913 roku.

Iskrą, która wywołała pożar, była uwaga pani Suworinej, że Nadieżda powinna baczyć na Karpienkę.

– A co ci się w nim nie podoba?! – wybuchnęła dziewczyna. – Może jest za biedny? – Wiedziała o ambicjach towarzyskich matki.

Ale pani Suworina zaprzeczyła.

– Szczerze mówiąc, chodzi mi o jego charakter. Uwierz mi, jesteś dla niego zabawką. Nie traktuje cię poważnie. Nie strać dla niego głowy. – Nic więcej nie chciała powiedzieć.

Nadieżda znienawidziła ją za to.

Kochała Karpienkę. Był taki inteligentny i taki przystojny. Podziwiała go już w dzieciństwie, a teraz doświadczała wszystkich udręk pierwszej miłości. I może by matce wybaczyła, gdyby nie to, że rok wcześniej dowiedziała się o Popowie.

Obudziła się którejs nocy i wyszedłszy na korytarz, usłyszała cichy dźwięk. Zaskoczona zobaczyła, że matka idzie przez hol, a potem wpuszcza kogoś do domu. Ukucnęła przy balustradzie jak wtedy, gdy była małą dziewczynką. Widziała, jak razem wchodzi po schodach. Jej matka i rudowłosy Popow.

Przez chwilę nie wierzyła własnym oczom. Matka i ten socjalista? Poczwała obrzydzenie. Jak ona może to robić tacie? – pomyślała. A on jej na to pozwala. Jak jakiś



święty. Nikomu o tym nie wspomniała, ale uznała matkę za wroga.

Pechowym zbiegiem okoliczności Popow pojawił się tej samej nocy, gdy Nadieżda pokłóciła się z matką o Karpieńkę.

Zakochana dziewczyna byłaby niezwykle zaskoczona, gdyby wiedziała, co tego dnia sprowadziło Popowa. Pewnie jeszcze bardziej niż pani Suworina, gdy usłyszała słowa kochanka.

– Uciekniesz ze mną? – spytał krótko.

Dziwne. Gdy był młodszy, taki pomysł nawet by mu nie przyszedł do głowy. Ale teraz gotów był się poddać.

Jeszcze kilka lat temu chciał jedynie wyciągnąć od Suworinów jakieś pieniądze dla bolszewickiej sprawy. Był pewien, że mu się to uda. Ale nigdy nie podjął takiej próby.

Partia rzeczywiście potrzebowała pieniędzy. Niedawno bolszewicy zaczęli wydawać nową gazetę, w której ukazywały się artykuły pewnego działacza z Gruzji. Ich styl przywodził na myśl kapłana rozpoczynającego nabożeństwo. Mężczyzna przybrał pseudonim „Stalin”, człowiek ze stali. Już od roku Popow usiłował zdobyć fundusze dla „Prawdy”, ale nigdy nie poprosił o nie pani Suworinej.

Była dla niego istotą z innego świata. I chyba się w niej zakochał. A teraz, zamiast zwrócić się do niej po pieniądze, namawiał ją do wspólnej ucieczki.

Bo w 1913 roku Popow był już zmęczony. Stracił nadzieję na wybuch rewolucji. Podejmowane przez Lenina próby zjednoczenia socjalistycznej lewicy spaliły na panewce. Dochodziło do nowych aresztowań. Nawet młody Stalin został zesłany na Syberię. Dlatego Popow uznał, że nic więcej nie może zrobić.

– Moglibyśmy wyjechać za granicę – zaproponował.

Pani Suworina zastanawiała się nad tymi słowami przez dłuższą chwilę, co ją samą nieco zdziwiło.

Popow był niezwykłym człowiekiem. Tyle się od niego nauczyła. To za jego sprawą gruntownie przemyślała swoje życie, a nawet zmieniła zapatrywania polityczne. „Demokracja jest rzeczywiście konieczna – przyznała w końcu. – Tylko taki ustrój jest sprawiedliwy. Osobiście wolałabym, żeby car pozostał na tronie, ale potrzebne jest nam zgromadzenie ustawodawcze, które mogłoby uchwalić konstytucję”. Ta myśl stała się jej potajemną pasją.

Ale Jewgienij budził też niepokój. Kiedy mówił o rewolucji, otaczał się twardym pancerzem tłumiącym wszelkie ludzkie uczucia, które mogłyby przeszkodzić sprawie. Pani Suworina myślała wtedy: on byłby gotów zabić człowieka bez żadnych skrupułów.

I oto teraz ten rewolucjonista składał broń. Wręcz uśmiechał się z zakłopotaniem. Miała ochotę objąć go i przytulić.

Nagle drzwi się otworzyły z hukiem i do pokoju wpadła Nadieżda. Była ubrana w długi szlafrok, rozpuszczone włosy spływały jej na plecy. Uśmiechała się, ale drżała na całym ciele.

– A więc to tak – powiedziała spokojnie. – Moja matka ma zastrzeżenia do moich przyjaciół. Pewnie wolałaby, żeby byli bolszewikami.

Popow patrzył na nią bez słowa.

– Prawda, mamó? – spytała arogancko. A potem dorzuciła ze złością: – Dobrze

wiem, jak traktujesz tatę. A ciebie – odwróciła się do Popowa – powinni zamknąć w więzieniu. I mam nadzieję, że tak się stanie.

– Idź do swojego pokoju, Nadieżdo – rzuciła ostro pani Suworina. Po chwili ściszyła głos. – Lepiej będzie, jak już pójdziesz – powiedziała do Jewgienija.

Popow spojrzał na nią pytająco, na co pokręciła ze smutkiem głową.

– To niemożliwe.

Matka i córka wiedziały, że żadna z nich nigdy nie wspomni o tym incydencie.

*Sierpień 1914 roku*

Procesja kroczyła wolno w letnim upale. Na czele szli popi w wyszywanych klejnotami szatach i ciężkich mitrach. Jedni nieśli ikony, inni ogromne sztandary. Chór śpiewał pieśni. Dłonie kreślące znak krzyża podnosiły się na ich widok niczym morską falą rozlewająca się na brzegu, głowy i plecy zginały w głębokim ukłonie. Bo Święta Rosja nie przeminęła. Rosja przystąpiła do wojny.

Aleksander Bobrow miał w oczach łzy. Cóż to było za lato! Najpierw susza, a potem całkowite zaćmienie słońca. Każdy chłop wiedział, że to zapowiada jakiś kataklizm. A kiedy ta przepowiednia się spełniła, moskiewskie ulice stały się świadkiem cudownej religijnej przemiany. Nagle zapomniano o wszystkich sporach, wszyscy Rosjanie byli braćmi zjednoczonymi dla obrony ojczyzny.

Za ikonami ktoś niósł wielki portret cara. Gdyby się nad tym głębiej zastanowić, mogłoby się wydawać dziwne, że główną postacią tej niemal azjatyckiej uroczystości jest człowiek, w którego żyłach właściwie nie płynie rosyjska krew, który najbardziej jest podobny do swojego kuzyna Jerzego V, króla Anglii. Z obrazu patrzyła poważna, pospolita twarz z krótką ciemną brodą, niepodobna ani do świętych na ikonach, ani do ponurych władców z czasów Wielkiego Księstwa Moskiewskiego – zdezorientowany, opieszale niemiecki książę, uwięziony wyrokiem przeznaczenia w obcym mu wschodnim imperium. Ale był carem, ojczulkiem wszystkich Rosjan. Dlatego ludzie kłaniali się przed jego wizerunkiem.

Aleksander też złożył ukłon. Miał na sobie mundur. Jutro wyruszał na wojnę.

Co dało początek tej gigantycznej mobilizacji, która miała wstrząsnąć światem?

Iskrą zapalną były wydarzenia na Bałkanach. Gdy wspierane przez Niemcy Austro-Węgry zaanektowały w 1908 roku Bośnię i Hercegowinę, stało się jasne, że państwo Habsburgów ma apetyt na kolejne podboje, jednak wydawało się wówczas, że zagrożenie zostało powstrzymane. Lato 1914 roku przekreśliło te nadzieje. Kiedy bośniacki terrorysta dokonał w Sarajewie zamachu na arcyksięcia Ferdynanda, Austria ogłosiła, że za wszystkim stoi Serbia, i zażądała przeprosin na upokarzających warunkach. Serbia się podporządkowała. Lecz Austria odrzuciła przeprosiny i zaczęła podejmować wrogie kroki.

– Teraz już nie ma wątpliwości, że Niemcy i Austria chcą kontrolować wszystkie państwa bałkańskie. A to oznacza kontrolę nad Konstantynopolem i Morzem Czarnym – stwierdził Aleksander, rozmawiając z ojcem. Jednak poza oczywistymi względami strategicznymi istniał też inny czynnik, który dla niego miał równie istotną wagę.

– Serbowie są Słowianami tak jak my i wyznają prawosławie. Święta Rosja musi stanąć w ich obronie. Musimy im pomóc.

I tak też się stało.

Czy nie mogło się skończyć na lokalnym konflikcie? Przecież od stuleci na Bałkanach wybuchały różne wojny. Rzeczywiście przez chwilę się wydawało, że dzięki gorączkowym wysiłkom dyplomatycznym brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, lorda Greya, niebezpieczeństwo zostanie zażegnane. Jednak walec maszyny wojennej raz wprawiony w ruch nie dał się zatrzymać. Rosja wysłała wojsko na pomoc Serbii. Niemcy wypowiedziały Rosji wojnę. Wkrótce dołączyły Francja i Wielka Brytania. W sierpniu konflikt rozlał się na cały cywilizowany świat.

Na szczęście wojna będzie krótka. W tej kwestii nikt nie miał wątpliwości. Tego ranka Aleksander otrzymał przemyślany list od ojca, który wciąż zasiadał w Dumie.

*Sprawa, mój drogi chłopcze, przedstawia się tak: Niemcy podjęły ryzykowny plan, zakładając, że uda się im uniknąć wojny na dwóch frontach jednocześnie, z Francją na zachodzie i z Rosją na wschodzie.*

*Ten tak wychwalany plan Schlieffena mówi, że Niemcy błyskawicznie przejdą przez Belgię, okrążą Paryż i odniosą całkowite zwycięstwo na froncie zachodnim, zanim Rosja zdąży z mobilizacją. I wtedy uderzą na nas.*

*Mam wiarygodne informacje od ludzi z wywiadu, że Niemcy mają wobec nas bardzo sprecyzowane zamiary. Całe imperium ma zostać rozbite na prowincje – bałtycką, ukraińską i tak dalej – a nam zostanie jedynie dawne księstwo moskiewskie. Pomyśl tylko, chcą dokonać rozbioru naszego potężnego państwa!*

*Tak się jednak nie stanie, bo popełnili jeden błąd. Rosja jest w stanie się zmobilizować szybciej, niż myślą. A jeśli zaatakujemy ich niezwłocznie, to Niemcy staną w obliczu wojny na dwóch frontach, której przy naszych ogromnych zasobach ludzkich nie wytrzymają. Będą musiały skapitulować.*

*Zarówno w kręgach rządowych, jak i w ambasadach panuje opinia, że wojna skończy się jeszcze przed Bożym Narodzeniem.*

Aleksander natychmiast się zgłosił na ochotnika. Jako jedyny syn był teoretycznie zwolniony od służby wojskowej, ale rwał się do walki. Jego pochodzenie społeczne gwarantowało mu stopień oficerski. Już następnego dnia wyjechał na szkolenie.

– Wojna się skończy, zanim zdążymy przeszkolić rezerwistów – usłyszał na przywitaniu. – Więc nie licz, że uda ci się walczyć.

Ale już teraz chodził w mundurze. Napawało go to dumą. I wzmagało nastrój uniesienia.

Niepokoila go tylko jedna rzecz. Niedługo będzie musiał pożegnać się z Nadieżdą. Tylko czy po tym, co się wydarzyło, ona będzie chciała z nim rozmawiać?

Jak mógł być takim głupcem! Do przykrego incydentu doszło dwa dni wcześniej w domu Suworinów. Poszedł powiedzieć Nadieżdzie, że wstąpił do armii. Rozpierała go duma, a mundur oficerski dodawał mu pewności siebie.

U Suworinów natknął się na Karpieńkę.

Westchnął na jego widok. Niestety, faktom nie dało się zaprzeczyć: fascynacja Nadieżdy młodym Ukraińcem wcale nie wygasła, dziewczyna była w nim szczerze

zakochana. Co za ironia losu! Aleksander miał dwadzieścia trzy lata i kończył uniwersytet, Nadieżda była szesnastoletnią kobietą. Właśnie w tym roku postanowił uczynić decydujący krok. Ale zamiast tego zwlekał, powtarzając w myślach: To przecież jeszcze dziecko, ona wyrośnie z tego zauroczenia, muszę tylko poczekać.

Gdy wszedł do pokoju, tych dwoje stało przy oknie. Karpienko chyba powiedział coś zabawnego, bo Nadieżda się śmiała. Najwyraźniej czuli się swobodnie w swoim towarzystwie. I wtedy Karpienko go zobaczył.

Co on takiego powiedział? Dziwne, ale Aleksander prawie tego nie pamiętał. Chyba coś w rodzaju: „Oto nasz wojownik, bogaty Bobrow”. Właściwie nic przykrego, ale kpina była wyraźna.

Aleksander stracił panowanie nad sobą.

– Jesteś Ukraińcem, więc nie wiadomo, po czyjej stronie stoisz w tej wojnie – stwierdził lodowato.

W jakimś sensie miał rację. Obaj wiedzieli, że część Ukraińców mieszka na terenie Austro-Węgier i że nieliczni ukraińscy nacjonałiści dostrzegli w wojnie szansę na wyzwolenie spod rosyjskiego panowania. Mówiono, że niektórych należałoby internować. Ale prawdą było też, że setki tysięcy Ukraińców zostało zmobilizowanych do rosyjskiej armii.

Karpienko zbladł.

– Ukraińcy nie są zdrajcami. Będziemy walczyć za cara – powiedział cicho.

Lecz Aleksander, rozgoryczony i zadowolony jednocześnie, że choć raz udało mu się docisnąć przeciwnika, nie dawał za wygraną.

– Tak? To znaczy, że zobaczymy cię w mundurze? A może wolałbyś uniknąć takiego niebezpieczeństwa?

Zapadło złowrogie milczenie. Pytanie było krzywdzące, bo większość studentów nie miała obowiązku służenia w armii, a wielu młodych mężczyzn z dobrych rodzin wykorzystywało ustosunkowanych znajomych, żeby uniknąć poboru. Karpienko poczerwieniał na twarzy.

– To, co powiedziałeś, to największa podłość. – Oczy Nadieżdy błyszczały z oburzenia. – Żegnam, Aleksandrze Nikołajewiczu.

Co on najlepszego zrobił! Co go podkusiło, żeby palnąć takie głupstwo! Będzie miał teraz odwagę, żeby przed nią stanąć?

Przecież nie mogę tak wyjechać bez słowa, przekonywał się w myślach.

Zdenerwowany szedł wolnym krokiem do domu Suworinów.

Aleksander Bobrow byłby bardzo zdziwiony, gdyby usłyszał rozmowę, do której doszło zaledwie godzinę wcześniej.

To pani Suworina zmusiła do niej Karpienkę. Wezwała go do siebie z samego rana. Ich spotkanie trwało krótko. A młody Ukrainiec, choć został przyjęty bardzo chłodno, podziwiał opanowanie i rzeczowość gospodyni.

– Moja córka jest w tobie zakochana – powiedziała pani Suworina bez ogródek. – Sprawy zaszły za daleko. Oboje wiemy, jak powinieneś postąpić.

Stał zakłopotany przy dużym fotelu. Jak ludzie sobie radzą w takich okolicznościach? Nadieżda patrzyła na niego wyczekująco.

– Chyba wiesz, że bardzo cię lubię – zaczął.

Nieźle jak na początek. Kochał ją, wzbudzała w nim opiekuńcze uczucia. Wyjaśnił łagodnie, ile znaczy dla niego ich przyjaźń. A potem powoli przeszedł do sedna.

– Powinnaś o czymś wiedzieć, bo być może wbrew własnej woli wprowadziłem cię w błąd. – Zawiesił głos. – Nasza przyjaźń nigdy nie będzie niczym więcej niż przyjaźnią.

Nie utrudniała mu zadania. Zbladła, ale zachowywała spokój. Jedynie lekko zmarszczyła brwi.

– Mam rozumieć, że jest ktoś inny?

– Tak.

– Nie wiedziałam. Od dawna?

– Tak.

– Ale nie jesteś jeszcze żonaty, prawda?

– Jeszcze nie.

– Może zmienisz zdanie.

Spojrzał ze smutkiem na perski dywan leżący na podłodze. Pokręcił głową.

– Moje serce należy do kogoś innego – powiedział i od razu się zawstydził tak idiotycznego sformułowania.

Ona jednak nie zwróciła na to uwagi.

– Dziękuję, że mnie uprzedziłeś. Wolałabym zostać teraz sama.

Dla Dmitrija to ciepłe sierpniowe popołudnie już na zawsze miało w sobie coś ze snu.

Może przyczynił się do tego upał i posępne, szaroniebieskie niebo; może dźwięk dzwonów i cerkiewne śpiewy; może średniowieczny rosyjski tłum płynący niekończącym się strumieniem po dwudziestowiecznych ulicach. A może tysiące bladych twarzy w oknach i na balkonach, dziwnie małych i obojętnych, jakby wielkie miasto było teatralną dekoracją.

Gdy znalazł się obok domu Władimira, akurat miała nadejść procesja. Wiedział, że tego dnia Karpienko też się wybierał do Suworinów. Wszedł do środka, mając nadzieję, że go tam zastanie. Tymczasem Nadieżda była sama w saloniku na górze.

Stała przy oknie, patrząc na ulicę. Miała pobladłą twarz i wyglądała na dziwnie przygaszoną. Oboje się przeżegnali, gdy w dole przechodzili popi z ikonami.

– Ostatnia wojna z Japonią była dla mnie taka nierealna – powiedziała. – Chyba byłam za mała.

– Wojna toczyła się daleko – zauważył.

– Czy przed tamtą wojną ludzie też tak okazywali swój patriotyzm?

– Chyba nie.

– Święta Rosja. – Nie musiała mówić nic więcej. Dwa słowa zawisły w powietrzu.

– Nie dociera do mnie – podjęła – że ludzie, których znam, mogą zginąć.

Dmitrij skinął głową. Utykał, więc żadna komisja wojskowa nie przyjęłaby go do armii. Nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Tak chciał los.

– A kto z naszych znajomych idzie na wojnę? – spytał.

– Aleksander Nikołajewicz.

– Rzeczywiście. – Zawiesił głos. – A tak przy okazji, widziałaś się z Karpienką?

– Tak. Poszedł już.

– Wiesz może dokąd?

– Nie. – Umilkła na dłuższą chwilę. – To naprawdę duże poświęcenie – odezwała się w końcu. – No bo kiedy mówisz: „Gotów jestem oddać życie”, to naprawdę możesz je stracić.

– Pewnie masz rację.

Patrzyła na długą procesję, w której szli głównie chłopcy w wiejskich koszulach.

– Jestem zmęczona, Dmitriju – powiedziała. – Odwiedź mnie kiedy indziej.

Znalazszy się na ulicy, pomyślał, właściwie bez żadnego powodu, że mógłby zajrzeć do nowego domu stryja Władimira. Wszystkie mijane po drodze ulice były niemal puste. Popołudniową ciszę z rzadka przerywało jedynie patriotyczne bicie cerkiewnych dzwonów. Powietrze stało nieruchomo. Kurz pokrywał wszystko, nawet liście drzew.

Secesyjny dom też się wydawał zakurzony i opustoszały, jakby tynkarze, skończywszy właśnie pracę, zostawili go na pastwę losu.

Wszedł po frontowych schodach i pociągnął za dzwonek.

Wewnątrz rozległ się jego pogłos, lecz nikt nie otwierał. Dmitrij czekał. Władimir nie miał tu licznej służby, ale ktoś musiał być w środku.

– Na pewno śpią – mruknął i jeszcze raz zadzwonił, choć bez przekonania. Nadal nic.

Pewnie poszli obejrzyć procesję, stwierdził, wzruszając ramionami. Nic tu po mnie.

Jakiś impuls kazał mu jednak nacisnąć klamkę w ciężkich drzwiach. Właściwie nie oczekiwał, że się otworzą. Ale ku jego zaskoczeniu ustąpiły. Zapomnieli zamknąć je na klucz. Było mu gorąco i nie miał nic innego do roboty, więc wszedł do środka.

Co za rozkoszny chłód! Obszerny westybul z kremowymi schodami był pusty. Przez wysokie okna sączyło się zielone i fioletowe światło. Przez chwilę poczuł się jak ryba w podwodnej jaskini. Znajdowały się tu drzwi do głównej bawialni, jadalni i biblioteki. Przechodził powoli z jednego pomieszczenia do drugiego. Wszędzie ani żywej duszy.

Powinien wyjść? Właściwie tak, ale postanowił najpierw zajrzeć na górę. Spodobało mu się samotne oglądanie tego niezwykłego domu.

Znał wszystkie pokoje na parterze, ale na piętrze był tylko raz. Wiedział, że mieszczą się tam salon i gabinet, lecz nie pamiętał gdzie. Wspiął się po krętych schodach i powoli okrążył hol, otwierając kolejne drzwi. Trafił do salonu i do sypialni, ale gabinetu nie znalazł. Miał już zejść na dół, gdy po lewej stronie, na końcu małego korytarza, zobaczył jeszcze jedno drzwi. Na pewno tam. Nacisnął klamkę.

Pokój był piękny. Przez namalowane na ścianie okno widać było senny krajobraz: w oddali góry, a na pierwszym planie drzewa obwieszane złotymi i czerwonymi owocami. Na przeciwległej ścianie wisiał obraz Gauguina przedstawiający dwie nagie kobiety na tle zachodu słońca.

Nie był to jednak gabinet. Wprawdzie po lewej stronie stało biurko, a na środku szeszlony, ale najwięcej miejsca zajmowało ogromne łóżko.

Leżeli na nim Karpienko i Władimir.

Obaj byli nadzy. Władimir był odwrócony plecami, ale pomyłka nie wchodziła

w grę. Obejmował potężnym ramieniem Karpieńkę. Ten zaś odwrócił swoją przystojną twarz ku drzwiom i patrzył wprost na Dmitrija.

Dmitrij oniemiał. A Karpienko posłał mu dziwny, niemal przeprasający uśmiech, jakby chciał powiedzieć: „No to teraz już wiesz”.

Zmieszany Dmitrij wycofał się po cichu, zamykając za sobą drzwi. Zszedł po schodach do pustego westybulu i opuścił dom.

Był tak wstrząśnięty i przerażony, że idąc ulicami, nie umiał się rozeznaczyć we własnych uczuciach. Dopiero gdy się znalazł na znajomym podwórku z zakurzonym drzewem morwy, zauważył ze zdziwieniem, że przyjaciel wzbudza w nim nieznanym wcześniej instynkt opiekuńczy. Jednocześnie poczuł się zdradzony przez Władimira, a towarzyszyła temu stanowcza myśl: Nadieżda nie może się o niczym dowiedzieć.

Ten nierzeczywisty dzień przyniósł mu jeszcze jedno odkrycie: jak wielu rzeczy w innych ludziach nie potrafi zrozumieć.

Późnym popołudniem Aleksander Bobrow zebrał się w końcu na odwagę i wszedł do rezydencji Suworinów. Zdziwił się nieco, słysząc, że Nadieżda chętnie go przyjmie.

Co więcej, zanim jeszcze wyjąkał przeprosiny, które sobie wcześniej ułożył, przyłożyła mu palec do ust, mówiąc:

– Mniejsza z tym.

A potem wzięła go pod rękę i zaproponowała, żeby przeszli się po galerii.

Patrząc na jej twarz, odniósł wrażenie, że musiała niedawno płakać. I być może z tego powodu była w jej zachowaniu łagodność i delikatność, których wcześniej nie widział.

A jego szczęście i zaskoczenie nie miały granic, gdy przy pożegnaniu powiedziała:

– Zatem, Aleksandrze, jedziesz na wojnę. Pamiętaj, że masz do mnie wrócić, dobrze? – Podniosła twarz, uśmiechając się lekko. – Chciałbyś mnie pocałować?

Uniosła ramiona, żeby go objąć.

*Rok 1915*

Burza już przeszła. Wilgotna ziemia parowała w słońcu. Aleksander i jego ludzie czekali. Znajdowali się na polskich ziemiach. Przed sobą mieli rozległe pola i linię drzew.

Za chwilę zacznie się bitwa.

Aleksander Bobrow przyglądał się swoim żołnierzom. Było ich trzydziestu trzech i wszyscy, z wyjątkiem jednego, trafili do poboru zimą i przeszli jedynie podstawowe, czterotygodniowe szkolenie. Jedyńemu weteranowi, dwudziestosiedmioletniemu rezerwiście, Aleksander wyznaczył rolę sierżanta.

Stali w dość płytkim okopie. Nie miał nawet dwóch metrów głębokości, bo kapitan, który nadzorował ich linię, stwierdził: „Tyle wystarczy. Mamy tu walczyć, a nie kopać rowy”.

Niski, gruby kapitan był oficerem starej szkoły. Miał siwe, sterczące bokobrody, czerwoną twarz i zdaniem Bobrowa w głębi ducha uważał wojnę za irytującą przerwę we właściwych zajęciach wojskowego, czyli przesiadywaniu w klubie. Jednak tego ranka aż kipiał energią.

– To już nie potrwa długo – oznajmił im godzinę wcześniej. – Pokażcie swoją odwagę, chłopcy. – Po czym zniknął.

Aleksander wpatrywał się w błotniste pole. Kilometr dalej teren nieco opadał, w oddali widać było jedynie rzadko zalesione wzgórza. Czy to możliwe, że nagle ukażą się niemieckie hełmy? Albo kłęby dymu? Aleksander nie wiedział, czego się ma spodziewać. To była jego pierwsza bitwa. Dopiero teraz miał posmakować prawdziwej wojny.

Wojna. Rosyjskie dowództwo osiągnęło swój pierwotny cel. Błyskawiczny atak latem 1914 roku zaskoczył wroga. Na północy oddziały rosyjskie przemaszerowały przez Polskę i uderzyły na Prusy Wschodnie, wywołując paniczny odwrót Niemców. Na południu armia wdarła się przez Ukrainę na terytorium Austrii. Skierowała się przez Śląsk na Berlin i dopiero niedawno jej pochód został powstrzymany.

Te sukcesy miały wysoką cenę. Na północy szwankowało zaopatrzenie. Kontrataki Niemców przynosiły przerażające straty. Podczas sierpniowej ofensywy na północy zginęło ćwierć miliona żołnierzy, a pod koniec 1914 roku liczba zabitych i jeńców wojennych wynosiła milion dwieście tysięcy.

Niemcy walczyły na dwóch frontach. Ich główny plan się nie powiódł. Carskie imperium, upokorzone w dwóch poprzednich wojnach – krymskiej i japońskiej – chciało pokazać swoją militarną potęgę. Z początkiem 1915 roku Niemcy skoncentrowały największe siły przeciwko Rosji. A Rosja była tak potrzebna Anglii i Francji, że w marcu 1915 roku oba mocarstwa się zgodziły, by po zakończeniu wojny imperium otrzymało w nagrodę Konstantynopol, co było największym marzeniem carów od czasów Katarzyny Wielkiej.

Jednak w 1915 roku Niemcy zaczęli skutecznie kontratakować. I błyskawicznie posuwali się do przodu.

Aleksander Bobrow patrzył w zadumie na swoich żołnierzy. Lubił ich. I wydawało mu się, że oni też darzą go sympatią. Szkoda tylko, że byli tak źle wyszkoleni.

Wielka ofensywa z 1914 roku miała spektakularny przebieg, ale ta z roku 1915 wyglądała zupełnie inaczej.

Do dziś pamiętał, jak był zaskoczony, gdy żołnierzom wydawano broń. Jego oddział dostał dwadzieścia karabinów.

– To wszystko – warknął oficer.

– A co z resztą? – spytał zdumiony Aleksander.

– Reszta dopiero na froncie.

– Tam są jakieś magazyny?

Oficer spojrział na niego z politowaniem.

– Wezmą je po innych żołnierzach – powiedział. – Po tych, co zginęli.

Niedługo potem Aleksander sam się przekonał, że w niektórych regimentach prawie jedna czwarta ludzi w ogóle nie miała broni. Musieli ją dopiero wyjąć z rąk trupów. Jemu udało się wyblagać broń dla wszystkich. Ale słyszał o oddziale, w którym połowa była uzbrojona w widły. Krążyły też pogłoski, że jakaś kompania walczyła z wrogiem gołymi rękami.

A we wspierającej ich artylerii na każde działo polowe przypadały dwa pociski.



Tego jednak nie powiedział podkomendnym.

Do tego jeszcze ta sprawa z radiem.

Dwa dni wcześniej był w dowództwie kompanii. Akurat nawiązano połączenie radiowe i zadowolony z siebie kapitan przekazywał pułkownikowi szczegółowe dane na temat ich pozycji i rozmieszczenia sił.

– Podaje pan to wszystko tak po prostu? – spytał zdumiony Bobrow kapitana, gdy ten złożył meldunek.

– Nie rozumiem.

– Nie używał pan szyfru.

Kapitan popatrzył na niego ze zmarszczonym czołem.

– A po co mi szyfr, na miłość boską?

– Przecież wróg może przechwycić sygnały. I pozna rozmieszczenie naszych sił.

Twarz kapitana się rozjaśniła.

– Nie bądź głupi, Bobrow. – Uśmiechnął się. – Człowieku, przecież my nadajemy po rosyjsku. Niemcy ani w ząb nas nie rozumieją.

Takie postawy były w wojsku dość powszechne. Rosyjska armia nie używała szyfrów, co „ułatwiło nam sytuację na froncie wschodnim”, jak później powiedział jeden z wysokich niemieckich dowódców.

Skąd się brała ta fatalna organizacja? Jednym z powodów był fakt, że wśród najwyższych dowódców przeważali ludzie podobni do kapitana: konserwatywni oficerowie z placów apelowych, pogardzający nowoczesnym uzbrojeniem i nowoczesną taktyką. Należał do nich minister wojny Suchomlinow. Aleksander wiedział, że oprócz nich jest w armii także kadra młodych, patrzących w przyszłość oficerów, zirytowanych takim sposobem dowodzenia, jednak oni nie mieli żadnej siły przebicia.

Ale winni byli nie tylko generałowie. Nawet kapitan przyznał w nagłym przypływie szczerości:

– Amunicji mieliśmy zaledwie na krótką wojnę, na dłuższą już nie. Nasze fabryki nie nadążają z produkcją.

Co oni o tym wszystkim myślą? – zastanawiał się Aleksander, patrząc na swoich żołnierzy. Większość miała niewiele ponad dwadzieścia lat. Żaden nie chciał pójść do wojska, choć wszyscy rozumieli, że trzeba bronić Rosji. Wszyscy z wyjątkiem jednego. Aleksander lubił tego sympatycznego chłopaka z guberni riazańskiej. I często rozmawiał z nim wieczorami, choć młodzieniec nie był zbyt lotny. A zwłaszcza nie mógł pojąć jednego.

– No bo jak, panie, przecież oni nie napadli na Riazan, prawda? – stwierdził pewnego dnia z autentycznym zdumieniem. – Więc dlaczego kazali mi wstąpić do armii?

– Może dlatego, że jeśli nie zagroźmy im drogi w Polsce, to później będą mogli dotrzeć aż do Riazania – podsunął Aleksander.

Nie przekonało go to jednak. Chłopak spojrział na niego z powagą, a potem uśmiechnął się jak małe dziecko.

– Zgoda. Choć może wcale tam nie dojdą.

A Aleksandrowi przemknęło przez myśl, że takich jak on może być w rosyjskiej armii wielu.

Zaczęło się nagle. I nie tak to sobie wyobrażał.

Nie było niemieckich hełmów, oddziałów artylerii, błyskających szabel ani szeregów żołnierzy z karabinami. Jedynie odległy, przytłumiony ryk.

A potem wybuchy. Najpierw niemieckie pociski spadły na las za nimi, później na pole, wyrrywając z ziemi fontanny błota. Wróg doskonale znał ich pozycje.

Przerażeni żołnierze próbowali się kryć w płytkim okopie, a łoskot pocisków nie ustawał.

Bo wiosną i latem 1915 roku armia rosyjska doświadczyła zmasowanego, świetnie przeprowadzonego ostrzału niemieckiej artylerii.

Po dwóch godzinach pojawił się kapitan. Jego ubłocona twarz zajrzała do okopu. Trafił tu tylko jeden pocisk. Żołnierz z Riazania po prostu zniknął.

– Dalej, Bobrow, wychodźcie! – krzyknął kapitan. – Wycofujemy się.

Wygrzebali się z rowu i ruszyli za dowódcą, kryjąc się w lesie, dokąd nie dolatywały pociski. W końcu dotarli do punktu dowodzenia. Był zrównany z ziemią.

– Przekłęci Niemcy! Ale trzeba przyznać, że umieją strzelać – powiedział kapitan z ponurym uśmiechem.

On nie jest taki zły, pomyślał Aleksander. Tylko trochę nienowoczesny. Obejrzał się za siebie, żeby się upewnić, czy żołnierze są na miejscu.

Przeleciał nad nimi jeden pocisk, a potem drugi.

Po chwili rozległ się głośny huk. Niezwykle głośny. I cały świat zrobił się biały.

*Lipiec 1915 roku*

Budził się powoli, przez dziwną mgłę dochodziły do niego dźwięki pianina.

Dziwne, pomyślał. Chyba umarłem. Bo jak inaczej bym się znalazł w swoim pokoju w Rusce? Rozejrzał się z ciekawością. Najwyraźniej anioły postanowiły wymienić trochę mebli, ale wiedział, gdzie jest. Za oknem rosło znajome drzewo. I te niebiańskie dźwięki pianina. Przymknął oczy.

Kiedy je znów otworzył, zobaczył nad sobą uśmiechniętą twarz Nadzieży. Przyglądał się jej z zachwytem, a potem zmarszczył brwi. Ona też nie żyje? Zrobiło mu się przykro.

I wtedy usłyszał jej podekscytowany głos.

– Dmitrij! Dmitrij! On odzyskał przytomność.

Niebiańska muzyka umilkła.

To Władimir wpadł na ten pomysł. Kiedy półprzytomnego Aleksandra przywieziono do Moskwy, a Piotr nie wiedział, jak mu pomóc, Suworin od razu wszystko zorganizował. Aleksander przez trzy tygodnie leżał w malignie, dogładany przez lekarza i pielęgniarkę.

Powoli dowiadywał się, co zaszło. Pocisk, który o mało go nie zabił, był jedynie maleńkim ziarenkiem w wielkiej ofensywie, która odepchnęła rosyjską armię o prawie pięćset kilometrów.

– To prawdziwa katastrofa – opowiadała Nadzieża trzeciego dnia, gdy mógł już rozmawiać. – Straciliśmy prawie całą Litwę, Niemcy zajmują Łotwę. A nasze wojska

wciąż się cofają. Suchomlinowa zdymisjonowano. Szkoda, że tak późno. Wszyscy mówią, że rząd sobie nie radzi. Że jedyną nadzieją jest święty Mikołaj cudotwórca.

Ale najbardziej zadziwiające wieści przekazał mu ojciec.

Wprawdzie na początku roku car rozwiązał Dumę i rządził dekretami, ale potem, z powodu dotkliwych niepowodzeń wojennych, musiał ją zwołać na nowo. Dlatego Mikołaj Bobrow przebywał w stolicy. Po wybuchu wojny niechęć do Niemców była tak wielka, że rząd zmienił niemiecko brzmiący „Petersburg” na bardziej rosyjski „Piotrogród”. Dlatego listy Mikołaja miały w adresie nadawcy nową nazwę miasta.

Zawierały niezwykle bogactwo informacji. Chociażby krótkie opisy najważniejszych postaci w parlamencie. Rodzianko – gruby, ale mądry. Kiereński, przywódca socjalistów – „dobry mówca, lecz poza zniszczeniem cara nie ma żadnego planu politycznego”. Mikołaj przekazywał też synowi najnowsze plotki z dworu. „Przyjaciel carycy, Rasputin, prowadził tak rozpustne życie, że w końcu odesłano go z powrotem do rodziny na Syberię. Mam nadzieję, że zostanie tam już na zawsze”. Ale przede wszystkim ku zdziwieniu Aleksandra z listów ojca przebijał optymizm.

*Niemcy nie są w stanie pokonać Rosji z prostego powodu: możemy się cofać coraz dalej i zawsze będziemy mieli jakieś rezerwy. Najlepiej przekonał się o tym Napoleon. Nawet jeśli uciekniemy ze stolicy, doprowadzimy ich do wyczerpania.*

*Obecny kryzys jest naszą ostatnią i najlepszą okazją do zreformowania rządów. Car nie chciał zwołać Dumy, ale nie miał innego wyjścia. Wymusimy na nim wprowadzenie demokracji i w ten sposób ocalimy Rosję.*

*Z przegranej rodzi się zwycięstwo, mój synu.*

Aleksander miał jedynie nadzieję, że ojciec się nie myli.

Przez długi czas był bardzo słaby. Wybuch najwyraźniej uszkodził jakieś organy wewnętrzne. A rozległe rany wciąż wywoływały ból.

– Jesteś młody, dojdiesz do siebie – pocieszał go wesoło lekarz.

Urządzili mu pokój na dole, zdobyli wózek inwalidzki, na którym mógł sam się poruszać.

W domu panował ruch. Arina sprawnie zarządzała gospodarstwem. Osobiście rozpalała samowar i piekła pyszne pierożki, które każdego popołudnia pojawiały się na werandzie. Małe muzeum i warsztaty działały mimo wybuchu wojny, a Iwan, szesnastoletni syn Ariny, terminował u snycerza i zapowiadał się na świetnego rzemieślnika.

Piotr Suworin i Karpienko zostali w Moskwie, ale reszta rodziny przeniosła się na wieś. Każdy miał tu swoje zadanie. Pani Suworina pomagała w ziemstwie organizować dach nad głową dla uciekinierów napływających z linii frontu.

– Mamy nawet we wsi dwie żydowskie rodziny – opowiadała.

Władimir przekształcił tkalnię w Rusce w małą fabrykę, w której produkowano naboje i granaty. Natomiast Dmitrij całymi dniami grał i komponował. Napisał już kilkanaście suit fortepianowych i dwie części swojej pierwszej symfonii. Ich partytury leżały w zamykanej na klucz szafce, którą cała rodzina traktowała z szacunkiem należnym świętej ikonie.

No i oczywiście w Bobrowie była Nadieżda.

Władimir otworzył w Rusce mały szpital, w którym odzyskiwali zdrowie ranni żołnierze. Nadzieja chodziła tam co dzień, żeby się nimi opiekować. A tych, którzy mogli już się poruszać o własnych siłach, przywoziła czasem do dworu na herbatę. Do matki odnosiła się chłodno, co Aleksander od razu zauważył, choć innych traktowała z dobrocią i łagodnością. Zwłaszcza jego.

Lipiec minął spokojnie, potem przyszedł sierpień. Dwa razy za zgodą lekarza Aleksander pojechał powozem do klasztoru. Z zachwytem patrzył na znajome krajobrazy. Zaskoczył go jedynie widok wsi.

– To naprawdę niezwykle! Wieś nigdy nie wyglądała tak kwitnąco – powiedział do Władimira.

Miał rację. Skutki wojny dotykały głównie dużych miast, natomiast dla ogromnych terenów wiejskich wojna oznaczała czas obfitości. Jak to się stało?

– To proste – tłumaczył Władimir. – Żeby sfinansować wszystkie wydatki, rząd postępuje jak każda administracja w czasie konfliktu zbrojnego, czyli drukuje pieniądze. W efekcie mamy inflację. A jedynym towarem, którego wszyscy potrzebują, jest zboże. Jego ceny wzrosły, mieliśmy rekordowe zbiory, więc wieś nieźle zarobiła. – Uśmiechnął się. – A wiesz, że ten łajdak Borys Romanow sprawił sobie fonograf? I chyba nawet słucha na nim Czajkowskiego.

Tydzień później Aleksander zobaczył to cudo na własne oczy. Więc może, zastanawiał się w duchu, ojciec ma rację i ta wojna okaże się dla Rosji zbawieniem?

Nieszczęście przyszło pod koniec sierpnia. Car rozwiązał Dumę i jednocześnie przejął dowództwo nad armią. I postanowił jechać na front.

Na początku września Aleksander dostał od ojca długi list. Tym razem nie było w nim optymizmu. A zakończenie brzmiało wręcz złowieszczo.

*Wszyscy go błagali, nawet sam Rodzianko. Ale car jest uparty i wierzy, że autokratyczne rządy to jego obowiązek. Teraz już mam pewność, że pod władzą caratu demokracja zawsze będzie martwa. Car zamierza także ożywić armię, ale jego próby są skazane na porażkę. Doprowadzą jedynie do chaosu.*

*Rasputin znów się pojawił. Podobno spotkał się z carem. Niech Bóg ma nas w opiece.*

*2 marca 1917 roku*

Do tej pory wydawało się to niewiarygodne.

Car stracił władzę. Rosja była wolna.

Nikołaj Bobrow z ciekawością wyglądał przez okno. Z powodu zimna nie wychodził dziś na dwór. Trzy godziny wcześniej Aleksander, żeby zasięgnąć jakichś wieści, udał się do Pałacu Taurydzkiego, w którym obradowała Duma. Powinien wrócić lada chwila.

Do tej pory coś się musiało wydarzyć. Car z pewnością podpisał akt abdykacji.

– Przecież on nie może dalej rządzić – mruknął do siebie.

Zwłaszcza teraz, gdy władzę przejęli tacy ludzie jak Bobrow.

Bo oto w końcu Duma obaliła cara.

Przebieg wydarzeń był dziwny, choć tak naprawdę niezaskakujący. Obawy, które

Nikołaj wyrażał latem 1915 roku, okazały się uzasadnione.

Car często wyjeżdżał na front. Rzeczywiście armia odnosiła pewne sukcesy. Wielka ofensywa Brusilowa, która zbiegła się w czasie z potężnym atakiem Brytyjczyków nad Sommą, nie złamała wroga, lecz Rosja poczyniła nieznaczne postępy na froncie zachodnim. Rosyjskie wojsko wkroczyło też do Turcji. Jednak Niemcy i Austria doszły przez Rumunię do zachodniego wybrzeża Morza Czarnego, a Brytyjczycy musieli się wycofać z Gallipoli. W rezultacie Rosja została zablokowana na Morzu Czarnym i nie mogła eksportować zboża.

W samej Rosji i na froncie zachodnim trwał impas.

Tymczasem w kraju działy się rzeczy przerażające. Pod nieobecność monarchy rząd miała trzymać w cuglach caryca, głupia, niewykształcona Niemka. Najwyraźniej uznała, że jest drugą Katarzyną Wielką, co zresztą powiedziała wprost pewnemu osłupiałemu urzędnikowi. A za carycą stał schowany w cieniu Rasputin.

Ciąg wypadków rzeczywiście zdumiewał. Bobrowowi niekiedy przychodziło na myśl, że każdy, kto miał choć odrobinę talentu, został zdymisjonowany. Nagradzano jedynie ślepa lojalność. Z powodu niekończącej się listy zwolnień i mianowań – w ciągu jednego roku powołano ponad czterdziestu nowych gubernatorów! – w Dumie złośliwie mówiono, że administrację dopadł atak epilepsji. Obelżywe plotki o carycy i Rasputinie docierały nawet do żołnierzy na froncie. Mówiono, że para potajemnie spiskuje z Niemcami.

Dzięki Bogu w grudniu 1916 roku dwóch arystokratów patriotów zamordowało Rasputina. Ale szkód nie dało się już naprawić.

Bobrow dostrzegał oznaki rozpadu dawnego porządku. Wszystkie zasiadające w Dumie partie, nawet konserwatyści, zwróciły się przeciwko carowi. Armia radziła sobie nieźle, ale liczba dezertarów szła już w miliony. Aż w końcu zimą w stolicy zabrakło żywności i opału.

To nie mogło tak trwać. Przez kilka tygodni Duma huczała z oburzenia. Osoby bliskie carowi mówiły, że władca popadł w depresję. Nawet niektórzy spokrewnieni z nim arcyksiężęta twierdzili, że dla ocalenia monarchii powinien ustąpić, i napomykali o regencji.

– Jednak moim zdaniem – stwierdził Bobrow – cara pokonała pogoda.

Bo w lutym 1917 roku, po srogiej zimie, nagle zrobiło się ciepło. W Piotrogradzie wszyscy wyszli na ulice.

Dochodziło do spontanicznych demonstracji. Ludzie mieli już dość. Zaczęły wybuchać strajki i masowe zamieszki. Protestujący mieli przewagę liczebną nad policją i Kozakami. I wtedy władze popełniły wielki błąd: wezwały wojsko.

Nie były to regularne oddziały. Składały się głównie z młodych poborowych, zwiezionych z odległych wiosek i przetrzymywanych tygodniami w przeludnionych koszarach. A oni nie mieli powodu, by strzelać do ludzi. Zbuntowali się i dołączyli do protestujących.

Koniec nastąpił dwudziestego ósmego lutego. Car, który utkwiał na prowincji po kolejnej wizytacji frontu, wysłał wiadomość, że do kwietnia Duma ma się rozwiązać.

– A my odmówiliśmy – opowiadał Bobrow ze spokojnym uśmiechem. –

Odmówiliśmy i nagle zdaliśmy sobie sprawę, że to my jesteśmy rządem.

Deputowani ogłosili to wprost. Wydawało się, że tłumy na ulicy chętnie się z nimi zgadzają. Dzień później Duma zażądała od cara abdykacji. A rosyjski władca się przekonał, że nie ma ani jednego sojusznika.

Gdzież ten chłopak się podziewa? Nikołaj był bardzo dumny z syna. Aleksander odzyskał sprawność w kontuzjowanej nodze, wciąż był oficerem, ale ponieważ uznano go za niezdolnego do aktywnej służby, od kilku tygodni mieszkał z ojcem w stolicy. Nadal uważał się za monarchistę, lecz z pogodą ducha tolerował liberalne poglądy ojca i nawet on był poruszony postępowaniem rządu w ostatnich miesiącach. Skoro tak długo nie wraca, pomyślał Nikołaj, to na pewno przyniesie jakieś wieści.

Uśmiechnął się do siebie. Dziwne. Jest sześćdziesięciodwuletnim wdowcem. Stracił majątek. Jego kraj prowadzi straszliwą wojnę, której końca nie widać. Właśnie odebrano władzę carowi. A jednocześnie ma wrażenie, że jego życie zaczyna się od nowa.

Osobiście współczuł carowi. Nie uważał go za potwora, jedynie za człowieka, który się nie sprawdził w trudnych czasach. I choć przez wiele lat Nikołaj próbował dojść do jakiegoś kompromisu z upartym władcą, to teraz czuł ulgę. Nareszcie nadeszła demokracja.

Co to jego syn niedawno powiedział?

– Nie macie pojęcia, co robicie – ostrzegał go Aleksander. – Całe imperium jest tak zorganizowane, że kręci się wokół cara. Każdy jest z nim powiązany. Nasz kraj to wielka machina, która się obraca na jednej osi. Jeśli ją wyjmiecie, wszystko się rozpadnie na kawałki.

Rosja ma się rozpaść? Nikołaj nie widział powodu, by miało się tak stać.

– Mamy Dumę – odparł. – Zasiadają w niej rozsądni ludzie.

– Ach, wy liberałowie – westchnął Aleksander ze smutkiem. – Wam się zawsze wydaje, że ludzie postępują rozsądnie.

Nikołaj wierzył, że Duma się sprawdzi. Przynajmniej na razie. To pierwszy i jedyny demokratyczny organ w Rosji. Duma powołała Rząd Tymczasowy, a wszystkie partie zgodziły się go wspierać. Wczoraj dowiedział się, że jacyś przywódcy robotniczy razem z mienszewikami utworzyli w Petersburgu coś na kształt rady robotników, którą nazwali sowietem. Znał paru z nich i uważał za porządnych ludzi. Z pewnością pomogą w przywróceniu ładu w fabrykach.

A potem przyjdzie postęp. Program Rządu Tymczasowego mówił jasno: należy dalej prowadzić wojnę. Popierali to wszyscy z wyjątkiem bolszewików, ale oni się nie liczyli. Następnym krokiem miały być wybory do zgromadzenia konstytucyjnego oparte na całkowicie demokratycznych zasadach: jeden człowiek – jeden głos. Z tym także wszyscy się zgadzali.

– Już czuję ten ciepły promyk nadziei – mruknął Nikołaj, patrząc przez okno.

Wtedy zobaczył Aleksandra, który niemal biegł, trzymając w dłoni jakąś kartkę. A więc stało się, car abdykował. Nikołaj uśmiechnął się z zadowoleniem.

Dlaczego Aleksander ma taką marsową minę? Czyżby car powiedział jakieś głupstwo?

– Abdykacja przeszła? – spytał niecierpliwie.

– Nie. Car wciąż nie może się zdecydować. Ale podpisze. Nie ma wyboru. Wojskowi też na niego naciskają.

– Więc co to jest? – Nikołaj wskazał na kartkę.

Aleksander wręczył mu ją bez słowa.

Ulotka nie była długa. Adresowana do piotrogrodzkiego garnizonu, zawierała siedem zwięzłych zdań.

Mówiła, że każda kompania ma wybrać swój komitet, który przejmie od oficerów kontrolę nad bronią i całym wyposażeniem. Żołnierze nie muszą już używać tytułów honorowych wobec oficerów niebędących na służbie ani im salutować. Komitety mają wybrać swoich reprezentantów do Piotrogrodzkiej Rady, która ogłosiła, że to ona, a nie Rząd Tymczasowy, sprawuje ostateczną władzę w sprawach wojskowych.

Odezwę datowaną dzień wcześniej podpisał Komitet Piotrogrodzkiej Rady. U góry widniał tytuł: Rozkaz nr 1.

Nikołaj patrzył na to z niedowierzaniem. A potem wybuchnął śmiechem.

– Przecież to jakiś absurd! Piotrogrodzka Rada to jedynie nieformalne ciało. Nikt ich nie wybrał i nie mają żadnej władzy. Nikt się tym nie przejmie.

– Mylisz się. Zajrzałem do koszar. Żołnierze ich posłuchają. Kilku już mnie wyśmiało, widząc mój oficerski mundur.

– Ale regularne oddziały, żołnierze na froncie...

– Im też wysłano rozkaz. Uwierz mi, większość mu się podporządkuje.

Nikołaj umilkł oszołomiony.

– W takim razie kto sprawuje władzę?! – krzyknął.

Aleksander wzruszył ramionami.

– Tego nikt nie wie.

*Lipiec 1917 roku*

Wchodząc z zacienionej werandy do salonu, Borys Romanow westchnął z zadowoleniem. W ciszy słyszał jedynie tykanie zegara w marmurowej obudowie.

Lubił ten dom z zielonymi ścianami, białym gankiem i chłodnym wnętrzem. Przychodził tu co dzień i siadał na werandzie. Kiedyś dom należał do Bobrowów, potem do Władimira Suworina. A teraz właściwie należy do niego. Uśmiechnął się ponuro na tę myśl. Rewolucja – jego rewolucja – w końcu nadeszła.

Ostatnie miesiące w Rusce były niezwykle. Wieści o abdykacji cara i nowym Rządzie Tymczasowym powoli przedostawały się na prowincję. Borys dowiedział się wszystkiego dziesięć dni po ważnych wydarzeniach. Spotkał chłopca jadącego z guberni rizańskiej, który nawet miesiąc później nie chciał w to uwierzyć.

Co się teraz stanie? Rząd Tymczasowy obiecał rozpisać wybory do zgromadzenia ustawodawczego. To dobrze. Ogłoszono wolność słowa i zgromadzeń. To też nikomu nie szkodziło. Ale przede wszystkim obalenie cara oznaczało jedno.

– Wreszcie dostaniemy ziemię – oznajmił Borys rodzinie.

Wszyscy to powtarzali. Rząd Tymczasowy debatował, jak należy przeprowadzić reformę rolną. Przez całą wiosnę żołnierze dezercerowali z frontu, żeby zdążyć na rozdział

ziemi. W wiosce też się pojawiło dwóch.

Nic się jednak nie wydarzyło. Rząd Tymczasowy działał powoli, drobiazgowo, niezdecydowanie.

Pod koniec kwietnia Borys poprowadził wieśniaków do dworu. Poszło łatwo. Nie miał ich kto zatrzymać. Jedyne Arina zaprotestowała.

– Jakim prawem to robisz?! – krzyknęła.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Prawem ludu. – A kiedy próbowała zagrozić mu drogę, odepchnął ją ze śmiechem. – Tak wygląda rewolucja – oznajmił.

Sytuacja była dziwna. Teoretycznie dwór wciąż należał do Władimira Suworina, tak samo jak fabryki w Rusce. Ale on był w Moskwie. We dworze wciąż mieszkała Arina z synem Iwanem. A wieśniacy wycinali drzewa Suworina i wypasali bydło na zboczu przed domem. Kto miał im tego zabronić? Pozostawało jedynie kwestią czasu, by ten stan zalegalizowano, cokolwiek to miało znaczyć.

Dla Borysa Romanowa to właśnie była rewolucja.

Na czele rządu stał obecnie socjalista Kiereński. Wezwał generała Kornilowa, by zaprowadził porządek. Może on przyspieszy utworzenie konstytuandy i zalegalizuje podział ziemi.

Borys wszedł powoli po schodach. Przez ostatnie trzy miesiące z zacięciem oglądał dom. Książki i obrazy uznał za dziwne. Ale fortepian bardzo mu się spodobał. Jeden z jego synów umiał na nim zagrać prostą melodię.

Dopiero dziś uzmysłowił sobie, że nie był na poddaszu. Postanowił tam zajrzeć.

Spotkało go rozczarowanie. Najwyraźniej Suworin nie korzystał ze strychu. Długie, niskie pomieszczenie było prawie puste. Jedyne na samym końcu, pod okrągłym okienkiem, stało kilka zakurzonych skrzyń.

Otwierał je powoli, bez szczególnego zainteresowania. Skrzywił się. Same papiery. Stare listy, rachunki i inne śmiecie Bobrowów. Wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru ich przeglądać, ale zanim odszedł, zauważył kopertę z napisem: „Pożar u Suworina”.

Zmarszczył brwi i sięgnął po nią. Wyjął ze środka złożoną kartkę. Wyglądała na jakiś list.

Podpisana była przez Piotra Suworina.

*2 listopada 1917 roku*

Wybiła pierwsza po północy. Byli sami.

Poprzedniej nocy, kiedy Kreml jeszcze się bronił, na ulicach trwały walki. Ale dziś w mieście panował spokój. Lenin i jego bolszewicy przejęli władzę w Moskwie i Piotrogradzie.

Ale czy naprawdę?

Popow uśmiechnął się do pani Suworinej, a ona, mimo zdenerwowania, odpowiedziała mu tym samym.

– Co się tak naprawdę stało? – spytała.

Roześmiał się.



Wydarzenie, które wstrząsnęło światem i które nazwano rewolucją październikową, tak naprawdę nie było rewolucją, lecz zamachem stanu dokonanym przez małą partię, o której większość ludzi nawet nie słyszała.

Po abdykacji cara przez cały 1917 rok Rosja kroczyła niepewnie, przygnieciona dziwną dwuwładzą: z jednej strony Rząd Tymczasowy, który miał niewiele realnej władzy, a z drugiej Zjazd Rad, pozbawiony legitymacji prawnej, ale zdobywający coraz większe zaplecze w fabrykach, na wsiach i w małych miastach. Wybory do konstytuanty były konieczne, ale rząd, nawet gdy na jego czele stanął popularny Kiereński, działał opieszale. Tymczasem gospodarka podupadała coraz bardziej, brakowało żywności i nawet członkowie rządu byli zmęczeni.

I gdy rząd się wahał, bolszewicy zyskiwali w sowietach coraz większe wpływy. W lipcu próbowali wywołać powstanie, które zgnieciono, ale to nie powstrzymało ich politycznego marszu. Na początku sierpnia Trocki i jego poplecznicy zdobyli większość w Piotrogrodzkiej Radzie. Kilka dni później bolszewicy mieli większość także w Moskwie. Lecz w skali całego kraju wciąż znajdowali się w mniejszości. Nie było takie pewne, czy zdołają się stać główną partią lewicową. W tej dość chwiejnej sytuacji w październiku 1917 roku Lenin przekonał swoich towarzyszy, żeby zagrać o największą stawkę: natychmiastowe przejęcie władzy.

Akcja zaczęła się w nocy dwudziestego czwartego października i była dowodzona przez Trockiego z siedziby dawnej klasztornej szkoły dla dziewcząt, Instytutu Smolnego, który został przejęty na rzecz Rady Piotrogrodzkiej.

– Niewiarygodne, jak łatwo nam to poszło – powiedział Popow z uśmiechem. – To, co najważniejsze, osiągnęliśmy podstępem.

Spiskowcy dokonali rzeczy genialnej w swojej prostocie. Przemieszczali się od jednego ważnego zakładu do drugiego, obstawiali go pikietami albo przejmowali, a robotnicy, którym kazali pójść do domu, wcale im się nie sprzeciwiali. Już wcześniej buntownicy zapewnili sobie poparcie w garnizonach, choć i tak nie mieli powodów do obaw, bo wojsko było nieskore do działania, a biedny Kiereński nie przygotował wcześniej żadnych planów obrony. Nim nadszedł ranek, wszystkie kluczowe punkty w mieście zostały po cichu przejęte.

– Kiereński pojechał szukać wojskowego wsparcia poza stolicą, ale nie miał szczęścia – ciągnął Popow. – Ministrowie Rządu Tymczasowego siedzieli w Pałacu Zimowym, mając jako straż paru Kozaków i kobiecy batalion śmierci. Wyobrażasz to sobie? Do tego czterdziestu inwalidów wojennych, niech Bóg ich błogosławi.

– Szturmowaliście Pałac Zimowy?

– Mniej więcej. Tak naprawdę część kobiet umiała zrobić użytek z karabinów, więc nasi ludzie nie podchodzili zbyt blisko. Potem przybyło pięć tysięcy marynarzy. Ale oni też uciekli, gdy się zorientowali, że w powietrzu świszczą kule.

– Słyszałam, że Pałac Zimowy został ostrzelany.

– To prawda. Strzelał bohaterski krążownik „Aurora”. Niestety, nie mieli ostrej amunicji, więc walnęli ślepym pociskiem. Potem włączyła się twierdza Pietropawłowska. Ale nie trafili.

– To niemożliwe, przecież twierdza stoi na wprost pałacu!

– Chybili, widziałem na własne oczy.

– I co potem?

– No cóż, w końcu Rząd Tymczasowy się poddał, nasi ludzie wdarli się do środka i złupili pałac. – Popow zachichotał. – Chociaż w przyszłości z pewnością będziemy opowiadać tę historię nieco inaczej.

Pani Suworina popatrzyła w zadumie na Popowa. W ciągu ostatniego roku rzadko go widywała, ale ich wzajemne uczucie nie wygasło. Doskonale rozumiała, dlaczego w chwili tryumfu pojawił się właśnie u niej.

W jej głowie kłębiły się różne myśli. Co to wszystko oznacza w sensie politycznym? Wiedziała, że niektórzy są oburzeni. Służba cywilna, banki i kilka związków zawodowych wezwały do strajku w obronie Dumy. Nie dało się wykluczyć, że wojsko zostanie użyte przeciwko bolszewikom. Ale inni patrzyli na tę sytuację ze spokojem. Piotrogradzka giełda nie zareagowała w ogóle – ceny stały w miejscu. Jeden z przedsiębiorców powiedział jej wprost: „Bolszewicy to po prostu jedna z partii zasiadających w sowietach. A od wielu miesięcy to nie Kiereński, lecz sowiety sprawują realną władzę. Wątpię, by ostatnie wydarzenia przyniosły jakąś dużą zmianę”.

Rzeczywiście nowe ugrupowanie ogłosiło, że wszystkie majątki ziemskie mają zostać rozdzielone pomiędzy chłopów, ale na to się zanosilo od jakiegoś czasu. Pani Suworina już się pogodziła z tym, że chłopci przejęli majątek w Rusce.

Kto stał za zamachem? Kim byli ci ludzie? Widziała listę ministrów. O Leninie słyszała już wcześniej, o Trockim też. Ich akurat się bała. Natomiast Łunaczarski, mianowany ministrem kultury, sprawił na niej wrażenie człowieka wykształconego i sympatycznego. Pozostałe nazwiska niewiele jej mówiły. A o ludowym komisarzu do spraw narodowości, niejakiem Stalinie, nie miała żadnej wiedzy.

Wróciła myślami do Popowa. Nawet teraz, po dziesięciu latach, właściwie go nie знаła. Zdarzało się, jak na przykład w 1913 roku, że przebijała się przez jego pancerz i odkrywała człowieka zdolnego do ciepłych uczuć. Ale na ogół Jewgienij zamykał się w grubej skorupie rewolucjonisty. Pani Suworina była przekonana, że mógłby zabijać bez skrępow. A co gorsza, nie cofnąłby się przed żadnym kłamstwem.

Czuła instynktownie, że Popow jest typowym bolszewikiem. Gdyby umiała go przejrzeć, dowiedziałaby się więcej o jego towarzyszach.

Dlatego zadała mu pytanie, które najbardziej ją niepokoiło.

– Co zamierzacie zrobić w sprawie konstytuandy?

Jej zwołania domagały się wszystkie partie, także bolszewicy. Rząd Tymczasowy Kiereńskiego zdążył nawet wyznaczyć datę wyborów na listopad.

Popow spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Przecież wybory są już zaplanowane.

– Ale czy się odbędą?

– To oczywiste.

– Nic nie jest oczywiste. Skąd mam wiedzieć, czy ten twój Lenin nie jest dyktatorem?

– Daję na to swoje słowo. – W spojrzeniu Popowa malowała się szczerłość.

– Zapewniam cię, że zgromadzenie ustawodawcze zostanie zwołane. To część naszego

programu. Co więcej, wszystkie decyzje tego rządu, nawet rozdział ziemi, mają charakter tymczasowy i zgromadzenie będzie musiało je ratyfikować.

Patrzył jej prosto w oczy.

– Przyrzekasz, że to prawda? – spytała.

– Przyrzekam.

*Styczeń 1918 roku*

Piątego stycznia 1918 roku w Piotrogradzie zebrało się zgromadzenie ustawodawcze. Wybory odbyły się niedługo po zamachu stanu, więc nie dało się zaprzeczyć, że ich wyniki odzwierciedlają wolę ludu. Najwięcej miejsc w konstytuancie – trzysta siedemdziesiąt na siedemset siedem – zdobyła chłopska Partia Socjalistów-Rewolucjonistów. Bolszewicy mieli stu siedemdziesięciu deputowanych. Do zgromadzenia weszli też mienszewicy, a ponad sto mandatów przypadło kandydatom bezpartyjnym albo należącym do niewielkich ugrupowań. Co oznaczało, że bolszewicy, mając zaledwie dwadzieścia cztery procent głosów, znaleźli się w zdecydowanej mniejszości.

Konstytuanta obradowała jeden dzień. Lenin przyglądał się temu z galerii. Zgromadzenie nie wyraziło zgody, by nadrzędną władzą był rząd bolszewików, nie chciało się też podporządkować postanowieniom Rady Komisarzy Ludowych. Jeszcze tej samej nocy Lenin przy wsparciu wojska przerwał obrady, które nigdy nie zostały wznowione.

I tak oto po wieloletnim panowaniu carów, po dwóch rewolucjach, lutowej i październikowej, Rosja przeżyła tylko jeden dzień prawdziwej demokracji.

– Szkoda – jak powiedział jeden z marynarzy, którzy brali udział w rozpędzeniu konstytuancy – ale zgromadzenie nie spodobało się ojczulkowi.

„Ojczulkim” poddani nazywali kiedyś cara. Teraz żołnierze mówili tak o Leninie.

Następnego dnia pani Suworina wysłała do Popowa list.

Okłamałeś mnie. Wszystko było zaplanowane, a ty musiałeś o tym wiedzieć. Nie chcę cię dłużej znać.

*Luty 1918 roku*

Los Aleksandra Bobrowa mógł zostać przypieczętowany na oblodzonej moskiewskiej ulicy. Roztargnienie słono go kosztowało. A przecież następnego dnia planowali ucieczkę.

Obaj Bobrowowie nie mieli wątpliwości: najwyższy czas opuścić kraj.

– Najwyraźniej ta nowa epoka nas nie potrzebuje – zauważył cierpko Aleksander.

Nowa epoka rzeczywiście się zaczęła. Oficjalnie trzydziestego pierwszego stycznia. Tego dnia na podstawie rządowego dekretu Rosja przyjęła kalendarz gregoriański i już nie była opóźniona o trzynaście dni wobec reszty świata. Ale bez względu na daty i kalendarze Rosja, którą Aleksander znał, na jego oczach ulegała rozkładowi.

Kraj właściwie nie był w stanie wojny, choć o pokoju też trudno było mówić. Podpisano rozejm z Niemcami, ale jego warunki, negocjowane przez Trockiego, nie zostały jeszcze ustalone. Przekonanie części idealistycznych rewolucjonistów, że niemieccy żołnierze natychmiast skorzystają z okazji, by wrócić do domów, szybko okazało się błędne. Europejska rewolucja, na którą liczył Lenin i jego zwolennicy, jakoś nie chciała wybuchnąć. A stare rosyjskie imperium zaczynało się rozpadać. Finlandia, Litwa i Łotwa ogłosiły niepodległość. Polska też już się właściwie oderwała. Załamała się formalna władza na Ukrainie i choć bolszewicy próbowali przejąć tam kontrolę, ukraińscy nacjonałiści ogłosili powstanie nowego państwa ukraińskiego.

Cały znany świat odchodził w przeszłość. Ziemia należała dziś do ludu. Rozpoczęła się nacjonalizacja przemysłu. Cerkwi odebrano własność oraz należne jej prawa, czyli praktycznie ją zdelegalizowano.

– Za pół roku – ogłosił Lenin – zbudujemy państwo socjalistyczne.

I wszystko wskazywało na to, że mu się uda.

Bo owszem, bolszewicy stanowili mniejszość, ale bardzo zdeterminowaną. Opozycja znalazła się w rozsypce. Lenin wykonał sprytny ruch i przeciągnął na swoją stronę część najbardziej radykalnych członków partii chłopskiej – w zamian za poparcie dał im stanowiska rządowe. Czerwona Gwardia i inne jednostki były wszędzie. Bolszewickie komórki pojawiały się w każdej fabryce. Ale dla Bobrowów najgroźniejsza była Czeka – nowa organizacja dowodzona przez bezwzględnego Dzierżyńskiego.

Nadzwyczajna Komisja do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem działała bardzo skutecznie. Wynajdywała niewiarygodne rzeczy. Polityczni przeciwnicy bolszewików, między innymi liberalni kadeci, byli oskarżani o podżeganie do zamieszek. Uznano ich za wrogów ludu. Nikołaj Bobrow dowiedział się niedawno, że on też się do nich zalicza.

Aleksander szedł wolno, pogrążony w myślach. Miał na sobie stary płaszcz, robotniczą czapkę i ciężkie buty. Twarz skrywał mu wysoko postawiony kołnierz. Od miesiąca ubierał się jak robotnik. Jego ojciec się ukrywał.

Ucieczkę zorganizował Władimir. Ustalono, że pani Suworina przedostanie się do Finlandii, a stamtąd dotrze do Paryża, gdzie czekał na nią syn. Mieli jej towarzyszyć obaj Bobrowowie przebrani za robotników. W ogólnym zamieszaniu podróż nie wydawała się trudna.

– Tylko nie wpakujcie się przed wyjazdem w jakieś tarapaty – ostrzegął ich Władimir.

Sam znajdował się w dość szczególnym położeniu. Bolszewicy zamierzali znacjonalizować cały przemysł, ale nadal nie wiedzieli, co zrobić z takimi ludźmi jak Suworin, których rozległa wiedza i liczne kontakty mogły się okazać przydatne.

– Nawet oni rozumieją, że ktoś musi zarządzać przemysłem i finansami – tłumaczył Władimir Aleksandrowi. – Poza tym Łunaczarski, minister kultury, to mój przyjaciel. Ale obawiam się, że mimo to niedługo będę musiał do was dołączyć.

Nadzieja uparła się, żeby zostać z ojcem. Aleksander pożegnał się z nią godzinę wcześniej.

Po pobycie w Rusce, gdzie dochodził do zdrowia po wojennej kontuzji, stali się sobie bardzo bliscy. Dwa razy jej się oświadczył. Ale że czasy były bardzo niespokojne

i niepewne, odpowiedziała jedynie: „Nie teraz”.

Aleksander był przekonany, że w ciągu roku Nadieżda razem z ojcem też znajdą się w Europie i bez przeszkód będzie mógł ją poślubić. Dziwne, ale staną się wtedy jedynie parą zwykłych imigrantów. Jakoś go to nie martwiło.

„Uważaj na siebie, Alosza” – powiedziała, żegnając go długim pocałunkiem.

– Masz fajkę? – Stał przed nim jakiś żołnierz. – Papierosa?

Aleksander patrzył na niego, próbując zebrać myśli. Zauważył, że sześciu czy siedmiu innych żołnierzy Czerwonej Gwardii uważnie go obserwuje. Ten, który go zaczepił, wyglądał dość niechlujnie. Gdyby służył w moim oddziale, pomyślał Aleksander, kazałbym mu się umyć.

– Chcecie papierosa, żołnierzu? – rzucił z lekką irytacją. – Ale ja nie palę. – Chciał go wyminąć i pójść dalej.

Żołnierz chwycił go za połą płaszcza. Prośba w jego spojrzeniu zamieniła się we wrogość. Przywołał innych, którzy ruszyli w ich stronę, jeden już celował z karabinu.

Wtedy Aleksander zrozumiał, co się stało.

Odpowiedział odruchowo, bez zastanowienia. Zapomniał zmienić głos, w którym dźwięczał lekki, ale wyraźnie zauważalny arystokratyczny akcent. Oraz lekceważenie zabarwione dumą. A co gorsza, zwrócił się do żołnierza tak, jak oficerowie zwracali się do swoich podkomendnych.

Został zdemaskowany.

– Mamy oficera! Jak się nazywasz?

– Iwanow. I nie jestem oficerem.

– Ale kiedyś byłeś. Hej, chłopaki, chyba znaleźliśmy wroga. Nieźle macie ubranko, jaśnie panie. Ładny płaszcz. Pewnie myślisz, że wyglądasz jak muzyk, co?

Aleksander zgiął się nagle wpół, gdy kolba karabinu uderzyła go w brzuch. Przewrócił się na ziemię.

– Co z nim zrobimy, chłopcy?

– Postawić go przed trybunałem.

– Ale najpierw go przeszukajmy.

– No to teraz porozmawiasz sobie z Czeka – powiedział z uśmiechem ten, który go zaczepił. – Wstawaj, hrabio. Rusz się, ekscelencjo. Na pewno świetny z ciebie oficer.

Aleksander podniósł się niezdarnie. Dzięki Bogu nie miał przy sobie żadnych dokumentów.

– Nazywam się Iwanow – powiedział z trudem.

Nagle któryś z żołnierzy, wskazując na zbliżającą się postać, zawołał:

– Właśnie tego człowieka nam trzeba! On jest z komitetu. Zapytajmy go.

Aleksander podniósł wzrok i zobaczył Jewgienija Popowa, który patrzył nań nieco zaskoczony, słuchając relacji żołnierzy.

– Mówi, że nazywa się Iwanow.

Popow się uśmiechnął. Milczał przez dłuższą chwilę. Jego zielone oczy skierowane były na Aleksandra, ale najwyraźniej myślał o czymś innym.

– Towarzysze, ten człowiek to uczciwy bolszewik – powiedział w końcu.

Niedomyty żołnierz spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Ale gada jak szlachcic – zaprotestował. – Daję głowę, że to oficer.

Popow wciąż się uśmiechał.

– A słyszałeś, jak mówi Władimir Iljicz? – spytał.

Niektórzy podśmiewali się, że Lenin wygłasza swoje antykapitalistyczne diatryby z akcentem typowym dla wyższej klasy średniej.

– Poza tym, towarzysze, wielu oficerów, którzy służyli w carskiej armii, jest teraz lojalnymi bolszewikami. – Rzeczywiście nawet część wysokich dowódców uznała, że wykonywanie rozkazów nowego rządu jest ich patriotycznym obowiązkiem. – Innych po prostu rozstrzelujemy – dorzucił Popow pogodnie.

Żołnierze patrzyli na niego z wahaniem.

– Jesteście pewni, towarzyszu?

Popow wzruszył ramionami.

– Sami go spytajcie. – Znów się uśmiechnął do Aleksandra.

Aleksander właściwie nie pamiętał, jak zdołał przeżyć kilka następnych minut. Może pomogła mu świadomość, że gra o najwyższą stawkę. Nie był przygotowany na taką sytuację i nie miał czasu się zastanowić.

– Nazywam się Aleksander Pawłowicz Iwanow – zaczął wolno.

Wolał mówić krótko, bo bał się, że zbyt rozwlekłej historii sam może nie zapamiętać. Powiedział, że kiedy został ranny, wrócił do domu, ale miał już dość starego reżimu i po październikowym przejściu władzy natychmiast zaoferował swoje usługi bolszewikom.

– Nie mam pieniędzy – przyznał. – I niestety jeszcze nie odzyskałem zdrowia.

– Zaproponował, że pokaże im swoje rany.

– Niech żyje rewolucja – powiedział Popow cicho.

– Niech żyje rewolucja – powtórzył Aleksander.

Żołnierze spojrzeli na Popowa.

– Przecież słyszeliście – rzucił lekko Jewgienij. – Ręczę za niego.

– Dobra, jesteś nasz – stwierdził żołnierz i poklepał Aleksandra po plecach.

– Szkoda tylko, że nie masz papierosów – dorzucił.

Żołnierze odeszli.

Bobrow stał, przyglądając się Popowowi. Czuł mdłości. Nie z powodu uderzenia kolbą ani ze strachu, lecz w następstwie całkowitego upokorzenia. Oto ze strachu przed ludźmi, którymi pogardzał i których nienawidził najbardziej na świecie, posunął się do żalosego kłamstwa. Mimo woli spojrzął Popowowi w oczy.

– Dlaczego? – spytał.

Popow nie odpowiadał. On też się nad czymś zastanawiał.

– Pamiętam, jak kiedyś nazwałeś mnie kłamcą – odezwał się w końcu. – Też używałem fałszywego nazwiska. To wzbudziło twoje obrzydzenie, prawda? – Zawiesił głos, patrząc zimno na Aleksandra. – Nazwałeś mnie też tchórzem. – Pokiwał powoli głową. – A dlaczego ty tak ochoczo teraz kłamałeś, Aleksandrze Nikołajewiczu? Powiem ci. Nie kłamałeś dla sprawy, ale po to, żeby ocalić swoją skórę.

Aleksander nie mógł zaprzeczyć.

– Chciałem to zobaczyć – ciągnął Popow spokojnie. – Bardzo interesujący widok.

Ale pewnego dnia i tak cię złapią. Ja ci wtedy nie pomogę. Będziesz sam. Jeśli mnie zapytają, powiem, kim naprawdę jesteś. – Umilkł na chwilę. – Ale ty już będziesz wiedział – Popow najwyraźniej chciał, by Aleksander zapamiętał te słowa na całe życie – że nie jesteś lepszy ode mnie. Bo jesteś po prostu nikim. Żegnam.

Odwrócił się i odszedł.

Aleksander patrzył za nim, zastanawiając się, czy Jewgienij może mieć rację.

Następnego dnia Bobrowowie wyjechali do Finlandii.

*Lipiec 1918 roku*

Władimir Suworin bardzo się zmienił przez ostatnie miesiące. Nie wiadomo, czy przyczyniły się do tego burzliwe wydarzenia, czy należało raczej uznać, że po prostu się starzeje.

Wypadki, które rozegrały się wiosną, zapewne zniszczyłyby kogoś słabszego niż on.

Tydzień po wyjeździe żony został wezwany do siedziby Czeka. Zapytano go, gdzie jest pani Suworina. Zgodnie z prawdą odpowiedział, że udała się do Finlandii.

– Oceniamy wasz majątek na dwadzieścia pięć milionów rubli – stwierdził jeden z funkcjonariuszy. – Co wy na to?

– Nie wiedziałem, że mam aż tyle – odparł obojętnie.

– Niedługo nie będziecie mieli nic – usłyszał.

W marcu powiadomiono go, że państwo przejmuje jego secesyjny dom, a dwa dni później wspaniała rezydencja została przemianowana na muzeum. W kwietniu odebrano mu fabryki w Rusce. W maju przez kilka dni wyjaśniał urzędnikom, jak działają i jak są zarządzane zakłady moskiewskie, po czym je też znacjonalizowano. Zanim przyszedł czerwiec, Władimir utracił wszystkie przedsiębiorstwa.

Dziwne, ale nigdy nie prowadził żadnych interesów za granicą, kupował jedynie dzieła sztuki. W bankach w Londynie i Paryżu miał kilka kont, z których korzystał jego syn i które przez jakiś czas miały zapewnić utrzymanie pani Suworinej. Dlatego już w lipcu Władimir był biedakiem.

Nie prześladowano go. Gdy dom przekształcono w muzeum, wizytę złożył mu sam minister Łunaczarski. Z łysiną i w binoklach opartych na czubku nosa wyglądał bardziej na profesora uniwersytetu niż na rewolucjonistę.

Od razu przystąpił do rzeczy.

– Mój drogi przyjacielu, muzeum potrzebuje kuratora. A kto się do tego lepiej nadaje niż ty? Nadieżda może być twoją zastępczynią.

Pozwolono im zamieszkać na tyłach domu, w małym mieszkaniu, którego wcześniej używał dozorca.

Każdego dnia Władimir z powagą oprowadzał po domu gromady robotników, które Łunaczarski przysyłał całymi ciężarówkami, a Nadieżda próbowała wytłumaczyć zdumionym chłopkom, o co chodzi w malarstwie Picassa, albo w milczeniu zamiatała podłogi.

Zmiana w wyglądzie Władimira miała dwojaki charakter. Przede wszystkim

schudł, przez co ubranie lekko na nim wisiało, ale zmieniła mu się także twarz. Szczeka bardziej się uwydatniła, oczy zapadły głębiej, nos sprawiał wrażenie jeszcze większego i bardziej chropowatego. I choć Władimir nie był tak wysoki jak Sawa Suworin, jego podobieństwo do dziadka stało się uderzające.

Ciężkie doświadczenia życiowe sprawiły, że przypominał Sawę także pod względem temperamentu. Oto człowiek, dla którego kiedyś nie było rzeczy niemożliwych, stał się milczący i ostrożny. I jeszcze bardziej zdeterminowany.

Uważnie śledził wydarzenia. Dwa z nich miały szczególną wagę. Pod koniec wiosny stolicę przeniesiono z Piotrogradu do Moskwy. A w Brześciu Litewskim, pod osobistym nadzorem Lenina, podpisano z Niemcami traktat pokojowy. Spełniono wszystkie niemieckie żądania. Finlandia, Polska, Litwa, Estonia i Łotwa uzyskały niepodległość. Była to strata bardzo dotkliwa zwłaszcza dla rolnictwa i przemysłu wydobywczego. Ale pokój pozwolił bolszewickiemu reżimowi przetrwać, bo kraj nie był w stanie prowadzić dalej wojny. Zachodnie mocarstwa, odkąd tylko Rosja przestała być ich sojusznikiem, zaczęły uważnie obserwować nowy socjalistyczny rząd, którego przywódcy już od dawna opowiadali się za światową rewolucją. Latem pod pretekstem konwojowania transportów amunicji dla wojsk sprzymierzonych armia brytyjska zajęła przyczółek na Dalekiej Północy. Niedługo potem oddziały japońskie, zachęcane przez Stany Zjednoczone, wylądowały we Władywostoku. Na południu Kozacy dońscy szykowali się do oporu przeciwko bolszewikom, inne ugrupowania opozycyjne zbierały siły na wschodzie, po drugiej stronie Wołgi. Zaniepokojony tym Lenin pospiesznie prowadził nabór do nowo tworzonej Armii Czerwonej. Trocki sprawował nad tym osobisty nadzór. Żeby przyciągnąć rekrutów, przez całą wiosnę proponowano w Moskwie wysoki żołd.

– Znosi się na wojnę domową – powiedział Władimir do Nadieždy. – Ale nie wiadomo, kto ją wygra.

Władimir przypatrywał się temu z uwagą. Minął czerwiec, a potem lipiec. I właśnie pod koniec lipca nadeszła wiadomość, która przesądziła o wszystkim.

Zamordowano cara.

Dmitrij spojrział ze zdziwieniem na Władimira, a potem na ojca. Nigdy wcześniej nie widział, żeby się kłócili. Ale jeszcze bardziej zdumiały go słowa Piotra, który stojąc pośrodku jadalni, mówił kąśliwym tonem:

– Twoja prośba, bym wyjechał z własnego kraju, jest wprost porażająca.

Rozmawiali już od godziny. Władimir cierpliwie przedstawiał swoje argumenty: narastający terror Czeka, zagrożenie zewnętrzne.

– Reżim taki jak ten może albo upaść, albo zamienić się w tyranię – przekonywał. – A jestem pewien, że bolszewicy nie zechcą oddać władzy. Zamordowanie cara dobrze pokazuje ich intencje. Będą walczyć do upadłego. Tacy jak ja zostaną zniszczeni.

– Cara zabili miejscowi, ktoś z małego sowietu na Syberii – zaprotestował Piotr.

– Nie wierzę w to. Historia przyzna mi rację.

Jednak profesora nie interesował los cara.

Piotr potrafi być naprawdę irytujący, stwierdził Władimir, patrząc na brata. Pomyślał ze smutkiem o Rozie, a potem o dziadku. Uśmiechnął się ponuro. Ciekawe,



jakie zdanie miałby stary Sawa o swoim radykalnym wnuku. Pewnie nie najlepsze. Władimir jako człowiek o wnikliwym umyśle i szerokich horyzontach, racjonalnie patrzący na świat, ale umiejący docenić jego piękno, uważał, że wybitna inteligencja Piotra jest jednak powierzchowna. Dociekliwie wypytywał go o ostatnie wydarzenia: przejście władzy przez bolszewików i usuwanie z rządu umiarkowanych socjalistów. A Piotr przyznawał, że owszem, takie posunięcia go niepokoją, ale jednocześnie mówił:

– Być może nie dało się tego zrobić inaczej. Mamy przecież rewolucję. A rewolucja jest najważniejsza.

Ze szczerym uśmiechem patrzył mu prosto w oczy, na co Władimir mógł jedynie pokręcić głową.

– Może się mylę – powiedział posępnie – ale wydaje mi się, że widzisz tylko to, co chcesz widzieć.

Jednak Dmitrij nie mógł zrozumieć, dlaczego stryj, mimo sprzeciwu ojca, tak bardzo nalega na jego wyjazd. Bo sam nie miał najmniejszej ochoty opuszczać kraju.

Ostatnie miesiące były takie ekscytujące! W rewolucyjnym fermentie awangardowi artyści wyszli na ulice. Majakowski i inni podpisywali plakaty i odezwy. „Każdy artysta jest rewolucjonistą, a każdy rewolucjonista artystą” – zauważył niedawno jeden z jego przyjaciół. W mieście pojawiały się ogromne murale. Na dachu jednego z pobliskich domów wyrosła rzeźba najeżona metalowymi dźwigarami, jakby chciała ogłosić błękitnemu niebu nadejście nowej epoki w nauce. Na fasadzie teatru zawisł ogromny artystyczny transparent. Dmitrij i Karpienko co dzień chodzili ulicami i co dzień znajdowali coś zachwycającego. Michaił malował jak szalony, a Dmitrij zamierzał zadziwić świat swoją nową symfonią, hymnem na cześć rewolucji. Kto chciałby wyjeżdżać w takich okolicznościach?

Dopiero gdy Piotr wyszedł na chwilę z pokoju, Władimir zdobył się na szczerość.

– Błagam cię na wszystko, Dmitriju, wyjeżdż. Obiecałem to twojej matce. – Zawiesił głos. – To była jej ostatnia prośba.

– Ale dlaczego? – spytał Dmitrij. – Dlaczego jej na tym tak zależało?

Władimir westchnął.

– Miała sny.

– Jakie sny?

– Że coś ci się stanie w Rosji. – Umilkł na chwilę. – A pod koniec te sny były bardzo przerażające i bardzo sugestywne.

– Pod koniec? To znaczy przed wypadkiem?

Władimir spojrzał na niego smutno.

– Właśnie.

Chłopak pokręcił głową.

– Nie mogę zostawić ojca. Nie chcę wyjeżdżać. – Opuścił wzrok. – Mama zawsze mi powtarzała, że jeśli zostanę muzykiem, to nic złego mnie nie spotka. – Spojrzał na stryja z uśmiechem. – A ja jestem kompozytorem.

Władimir uległ, choć niechętnie. I tylko jedna osoba zgodziła się opuścić Moskwę.

– Pojadę z tobą do Kijowa – oznajmił Karpienko, który przysłuchiwał się całej rozmowie. – Chcę wrócić do domu.

Następnego dnia Dmitrij poprosił ojca o przysługę. Komponowanie symfonii rewolucyjnej szło mu nieźle, ale w wolnej części chciał umieścić fragment, który wymyślił i rozpiisał na orkiestrę dwa lata wcześniej na wsi.

– Najgorsze, że musiałem zostawić partyturę w Rusce, w domu stryja Władimira. Podobno dwór nie został zniszczony, więc pewnie nuty wciąż leżą w szafce. Niestety, nie mam czasu, żeby się tam wybrać.

Piotr się uśmiechnął.

– Chętnie pojedę za ciebie.

Nadieżda przywykła do swojego nowego życia. Czuła sympatię do prostych robotników, których oprowadzała po domu. Nie przeszkadzało jej nawet, że widzą ją przy zmiataniu podłóg. Z czystej wygody ubierała się jak zwykła chłopka, na głowie wiązała chustkę. I była szczęśliwa, że w tych trudnych chwilach może wspierać ojca. Zawsze stoję po jego stronie, nie to co matka, myślała z goryczą.

Tylko jedna rzecz wyprowadzała ją z równowagi. Wizyty Jewgienija Popowa.

– Po co on tu przychodzi? – burczała. – Żeby ze mnie szydzić? Żeby napawać się swoim tryumfem?

Popow zjawiał się dwa albo trzy razy w tygodniu, z ciekawością oglądał dom, wstępował do ich mieszkania, a potem wychodził, kiwając im na pożegnanie głową.

– Najchętniej zatrzęsęłabym mu drzwi przed nosem – rzuciła kiedyś Nadieżda.

Ale ojciec przestrzegł ją spokojnie:

– Takich ludzi nie wolno drażnić. On jest dziś niebezpieczny.

Czy wiedział o Popowie i matce? Wydawało jej się, że tak, lecz nigdy go o to nie spytała. Jak ten człowiek śmie spojrzeć jej ojcu w oczy?

Nic dziwnego, że im bliżej było do dnia ucieczki, z tym większą radością myślała, że wreszcie uwolni się od Popowa.

Plan Władimira był prosty.

O pewnych porach dnia na Dworcu Briańskim panowało wielkie zamieszanie. Właśnie stamtąd odjeżdżały pociągi w kierunku granicy z Ukrainą. Zdobycie fałszywych dokumentów wciąż nie było trudne, a Władimir musiał jedynie zadbać, by nikt go nie rozpoznał. Trzymał swój plan w tajemnicy. Nawet Piotr i Dmitrij nie znali daty ich wyjazdu.

Dzień przed ucieczką zjawiał się Popow, co nie było czymś szczególnym. Jak zwykle obszedł dom, a potem zajrzał do mieszkania, w którym zastał jedynie Nadieżdę. I pewnie oddaliłby się bez zwłoki, gdyby dziewczyna się do niego nie odezwała.

– Przyszedł pan, żeby znów okazać nam swoją wyższość? W muzeum niczego nie brakuje, o ile oczywiście pan czegoś nie wyniósł – dorzuciła cierpko.

Spojrzał na nią z zaciekawionym.

– Powinnaś grzeczniej się odnosić do komisarza ludowego. Ale przecież ty mnie nie lubisz.

Wzruszyła ramionami. I tak powiedziała za dużo, wdawanie się w dalszą rozmowę byłoby głupie. Ale ponieważ wiedziała, że wyjeżdżają, nieroztropnie dała upust swoim uczuciom.

– Na pewno jest pan złodziejem. I do tego mordercą. Próbował pan odebrać moją

matkę ojcu, który ma anielskie serce. I pan się dziwi, że panem pogardzam?

Popow nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Dlaczego ta burżuazja ciągle żyje w kłamstwie? I dlaczego ta bezczelna dziewczucha, która jest już w wieku odpowiednim do zamążpójścia, nie miałyby poznać całej prawdy? Powiedział jej o Władimirze.

W końcu to tylko drobiazg.

Przez dłuższy czas Nadieżda nie mogła się poruszyć. Wreszcie opadła na fotel. Była blada jak ściana.

To przecież nie może być prawda. Naturalnie słyszała już o podobnych rzeczach. Rok wcześniej takie same plotki krążyły o Czajkowskim. Ale ojciec? Ten anioł, którego przez całe życie uwielbiała? Była tak wstrząśnięta, że nie mogła nawet płakać.

Przekonywała samą siebie, że to nieprawda, dopóki wieczorem nie pojawił się Dmitrij.

– Wiesz o moim ojcu i Karpience? – spytała z wymuszoną lekkością.

Zaskoczony Dmitrij poczerwieniał na twarzy.

– Kto ci, do diabła, powiedział? – rzucił ochryple.

Był wieczór. Dla bezpieczeństwa mieli się pojawić na dworcu oddzielnie.

Władimir szedł wzdłuż peronu. W chłopskiej koszuli przewiązanej paskiem, z torbą na ramieniu wyglądał jak rosyjski muzyk, którym w końcu był jego dziadek Sawa. Po kilku minutach do innej części pociągu wsiadła nieśmiała para wieśniaków, dziewczyna i ciemnowłosa, przystojny chłopak. Nikt nie zwrócił na nich szczególnej uwagi.

Karpienko był w euforycznym nastroju. Traktował ucieczkę jak wielką przygodę, a do tego po raz pierwszy od roku miał zobaczyć swoich bliskich. Wracał na ukochaną Ukrainę.

Najwyższy czas. To prawda, wybuchła rewolucja, a on był jej zwolennikiem. „Kto wie, gdybym był Rosjaninem, to pewnie dołączyłbym do bolszewików” – zwierzył się wiosną Dmitrijowi. Ale nie mógł znieść tego, jak traktowano jego ojczyznę. Bolszewicy nie darzyli miłością ani Ukraińców, ani ich języka. Na początku roku komendant Czeka w Kijowie strzelał do ludzi na ulicach tylko dlatego, że mówili po ukraińsku. Tego już było dla Karpienki za wiele. Po wkroczeniu Niemców Ukraińcom pozwolono wybrać kozackiego hetmana, jak za dawnych czasów. I podobno do szkół wracały ukraińskie książki, a poeta Karpienko znów zajmował należne mu honorowe miejsce. Owszem, rosyjska rewolucja budziła emocje, ale pora wracać do domu.

Zauważył, że Nadieżda jest spięta i zamyślona, ale nie zaprzętał sobie tym głowy. Nie zaniepokoił się też, gdy go poprosiła, żeby poszedł do drugiego wagonu zawiadomić Władimira, że są bezpieczni, i już z nim został.

– Wolalabym pobyć trochę sama – powiedziała.

Nie mógł więc wiedzieć, że na kilka minut przed odjazdem Nadieżda wysiadła z pociągu.

Popow się spieszył. Zarekwirowanym wojskowym samochodem dotarł do domu Suworina, a potem odjechał z dużą prędkością.

Jak mógł być taki głupi! Powinien był się domyślić. Przecież Nadieżda nie odważyłaby się go obrazić, gdyby nie wiedziała, że już się więcej nie spotkają. Jechał

z zaciętą twarzą. Suworinowie mieli dwie drogi ucieczki z miasta. Rzucił monetą i wybrał jedną.

Nadzieжда szła po peronie, niewiele widząc przez łzy.

Od poprzedniego wieczoru ze wszystkich sił starała się nad sobą panować. Jak zwykle pocałowała ojca, gdy wrócił do domu. Przygotowała mu kolację. Rano oprowadzała robotników po muzeum, a wieczorem, tak jak zaplanowali, włożyła chłopskie ubranie, zamknęła dom na klucz i wymknęła się na spotkanie z Karpieńką.

Ale nie zamierzała wyjechać z ojcem i jego kochankiem. Nie zamierzała dzielić z nimi tego potajemnego wstydu i zdrady, które otwierały się przed nią jak straszliwa, mroczna otchłań.

To było dotkliwsze od nędzy, w którą popadli. Cały jej świat się rozpadł na kawałki.

Jeśli Karpienko zostanie z ojcem, to zauważą jej nieobecność dopiero rano, na ukraińskiej granicy. Ale wtedy będzie już za późno.

A ona? No cóż, może pozwolą jej zostać w muzeum. Może stryj Piotr i Dmitrij jej pomogą. Albo Popow każe ją rozstrzelać. Zresztą co za różnica.

Dotarła do końca peronu. Jak przez mgłę słyszała gwizdki konduktorów. Nagle ktoś na nią wpadł i mocno ją przytrzymał. Podniosła wzrok.

To był Popow.

Nawet po wielu latach nie mogła zrozumieć, co się wtedy stało. Popow mocno obejmuje ją ramieniem. A potem łagodnie, ale stanowczo zmusza, by zawróciła na peron. Słyszy jego szept.

– Chciałaś od nich uciec, ślicznotko? Po tym, co ci powiedziałem? Nie musisz odpowiadać. Wiem, co zamierzałaś. – Ścisną ją za ramię. – Uwierz mi, naprawdę mi uwierz, są na świecie straszniejsze rzeczy. Twój ojciec nie jest taki zły.

Szedł z nią wzdłuż składu pociągu, zaglądając w okna. Ich też chciał zdemaskować. Dobry Boże, co ona narobiła! Próbowała mu się wyrwać, ale łatwo ją przytrzymał.

– Nie uciekaj, ptaszyno, nie uciekaj. A, tutaj są.

Otworzył drzwi do wagonu. Jak przez mgłę widziała ojca i Karpieńkę. Popow znów coś do niej mówił. O co mu chodzi? Szepcze coś o matce. Powiedz jej... Co mam jej powiedzieć? Że on ją kocha?

Silne ramię wepchnęło ją do wagonu wprost w objęcia ojca. Drzwi się zatrzasnęły. Przez chwilę wydawało jej się, że świat znieruchomiał. Potem poczuła szarpnięcie. Pociąg ruszył.

Popow patrzył za nim z kpiącym uśmiechem na twarzy.

Od miesięcy chodził do muzeum, żeby się upewnić, że dziewczyna jest bezpieczna i niczego jej nie brakuje. Postąpił idiotycznie, budząc w niej złość. Kiedy zrozumiał, że Suworinowie planują ucieczkę, postanowił ich powstrzymać. Wchodził na dworzec z zamiarem aresztowania Władimira.

Ale coś w nim pękło. Powinien to przyznać przed samym sobą. Poruszył go widok tej głupiej płaczącej dziewczyny. Moskwa to nie miejsce dla niej. Niech stąd wyjeżdża. Niech ojciec ją zabierze tam, gdzie jej będzie lepiej. Do pani Suworinej.

Pani Suworina – samotna wyspa miłości, jedyna, na którą natrafił przez te wszystkie lata, kiedy porwała go potężniejąca lawina nieuchronnych wydarzeń.

Popow z rzadka pozwalał sobie na słabość. Przemknęło mu przez myśl, że pewnie już nigdy więcej nie zdejmie z siebie ochronnego pancerza. Odwrócił się. Stracił panią Suworiną i ostatnią osobę, która go z nią łączyła. Teraz została mu już tylko rewolucja. W końcu to jej poświęcił tyle lat.

Nikt nie umiał tego wyjaśnić.

Piotra Suworina widziano pod koniec lipca w Rusce. Z miasteczka poszedł do wioski i poprosił sołtysa, żeby wpuścił go do dworu.

Paru wieśniaków, którzy akurat stali w pobliżu, zauważyło, że Borys Romanow, usłyszawszy jego nazwisko, osłupiał. Ale pewnie się zdziwił, że ten szczupły profesor jest bratem potężnie zbudowanego Władimira.

Sołtys był bardzo pomocny. Poszedł z Piotrem do dworu i pomógł mu znaleźć nuty. Leżały w zamkniętej szafce. A potem osobiście odprowadził go przez las do Ruski.

Nikt nie wiedział, co się z nim potem stało. Wszelki ślad po nim zaginął. Jeszcze jedna niewyjaśniona tajemnica.

A Dmitrij Suworin musiał z pamięci odtworzyć wolną część swojej symfonii. Zadedykował ją ojcu.

*Sierpień 1918 roku*

Mały Iwan patrzył w napięciu na zbliżające się wojsko. Armia Czerwona. Żołnierze spędzili rano w Rusce, był z nimi jakiś ważny komisarz. I podobno ten komisarz chciał osobiście zobaczyć wieś.

Komisarz i wuj Borys. Ciekawe, kto nad kim weźmie górę.

Wioska starannie się przygotowała. Tydzień wcześniej, pewnej bezksiężycowej nocy, wszyscy mieszkańcy, zamiast spać, przenieśli całe zboże do nowych kryjówek. Iwan ze zniechęceniem przez wuję Ariną mieszkali we dworze, więc nie poproszono ich o pomoc. Ale Iwan wymknął się z domu i wszystko widział. Dwie kryjówki zrobiono w ziemiankach na skraju lasu. Pięćdziesiąt szczelnych pojemników zatopiono sprytnie w rzece. W dużym spichrzu zostawiono jedynie resztki ziarna.

– Ci złodzieje mogą je sobie wziąć – powiedział Borys. A potem dorzucił z obrzydzeniem: – Mój ojciec był chłopem pańszczyźnianym, ale nikt mu zboża nie zabierał.

We wsiach w całej Rosji wrzał bunt. Tydzień wcześniej w jakiejś wiosce na południu chłopci pogonili dwóch bolszewickich urzędników widłami i jednego z nich zabili.

Problem pojawił się rok temu, gdy Rząd Tymczasowy ogłosił, że nadwyżki zboża należy sprzedawać państwu po z góry ustalonych cenach. A ponieważ ceny były niskie, chłopcy zignorowali polecenie. W końcu od niepamiętnych czasów wolno im było handlować na targu. Ale teraz bolszewicy – albo komuniści, jak o sobie mówili – nazwali to spekulacją, a tych, których przyłapano, Czeka kazała rozstrzeliwać.

– Słyszeliście, ile ci głupcy chcą nam płacić?! – grzmiał Borys. – Szesnaście rubli za cały pud żyta! Wiecie, ile bym za to dostał w Moskwie? Prawie trzysta rubli! Niech no tylko tu przyjdą – zagroził ponuro. – Zobaczmy, czy coś znajdą.

Żołnierze właśnie wkroczyli do wioski. Trzydziestu ludzi w brudnych mundurach. Na czele szło dwóch mężczyzn w skórzanych płaszczach. Jeden młody, drugi może sześćdziesięcioletni z siwiejącymi włosami, w których przeblęskiwały jasnorude pasma. Gdy byli już blisko, Iwan usłyszał, jak wuj pomrukuje:

– A niech mnie diabli! To ten przeklęty rudzielec.

Popow zupełnie nic nie poczuł na widok wioski. Tak naprawdę zjawił się tu tylko na osobistą prośbę Lenina.

Nigdy nie widział Władimira Iljicza tak zagniewanego. Naturalnie obaj wiedzieli, że pozbycie się większości starych urzędników z Ministerstwa Rolnictwa nie przyniosło pożytku. Ktoś z Komitetu Centralnego zaproponował nawet, żeby na krótko pozwolić na wolny handel zbożem.

– Ale jeśli się zgodzimy na wolny rynek, to co z nas będą za komuniści?

– sprzeciwił się Lenin.

Tymczasem miasta się wyludniały, bo brakowało w nich żywności.

Popow miał na dziś dwojakie zadanie. Po pierwsze, zdobyć zboże. A po drugie, zdyscyplinować wieśniaków. Lenin mówił o tym wprost:

– Największym problemem, Jewgieniju Pawłowiczu, jest klasa kapitalistów wśród chłopów, czyli kułacy. To spekulanci i krwiopijcy! Jeśli będzie trzeba, wszystkich zlikwidujemy. Przeniesiemy rewolucję na wieś – dorzucił posępnie. – Musimy stworzyć wiejski proletariat.

Popow uśmiechnął się, przypominając sobie dawne przeżycia w wiosce. Kto jest we wsi kułakiem? Najbardziej samolubny chłop? Ten, któremu się powiodło? W jego oczach wszyscy chłopci należeli do drobnej burżuazji. Nigdy ich nie lubił. Najwyższy czas zrobić z nimi porządek.

– Ale zorganizowanie tych przeklętych wieśniaków nie będzie takie proste jak to, co zrobiliśmy w fabryce – powiedział do towarzyszącego mu młodego komisarza.

W fabryce nie napotkali trudności. Działał tam sowiet, na którego czele stał młody, godny zaufania bolszewik. Przez kilka ostatnich miesięcy zakładem kierował jeden z dawnych dyrektorów i to on pilnował, by produkcja szła gładko. Jednak podczas porannej narady Popow stwierdził z satysfakcją, że odtąd poradzą sobie bez niego.

– Zabiorą cię do obozu – oznajmił w południe zdumionemu dyrektorowi. Lenin i Trocki domagali się, by robić z obozów większy użytek. – Właśnie stworzono nowy w Muromie. Mam nadzieję, że ci się tam spodoba.

– Ale czym ja zawiniłem? – zaprotestował nieszczęsny dyrektor.

– O tym zdecydujemy w stosownym czasie – warknął młody komisarz, a Popow ponuro się uśmiechnął i zostawił sprawę własnemu biegowi.

Sołtys i komisarz stali naprzeciwko siebie. Żaden z nich nie dał po sobie znać, że już się kiedyś spotkali.

– Gdzie zboże? – spytał cicho Popow.

– Zboże? Tam, towarzyszu komisarzu. – Borys wskazał na spichrz.

Popow nawet nie spojrział w tamtą stronę.

– Przeszukać wieś – rozkazał stanowczo żołnierzom.

Co za dziwna komedyjka, pomyślał Iwan, obserwując obu mężczyzn. Komisarze

obeszli wieś, zaglądając do wszystkich domów, a Borys ochoczo im wszystko pokazywał. Iwan nigdy nie widział u swojego bezwzględego wuja takiej uległości. Romanow giął się w ukłonach jak karczmarz z dawnych czasów, nazywał Popowa „towarzyszem komisarzem”, „jaśnie panem”, a raz, chyba pod wpływem roztargnienia, użył należącego carskim urzędnikom tytułu *wasze błagorodije*.

Ale Popow zachowywał kamienną twarz.

– Niczego nie znaleźliśmy – zameldował sierżant.

– Tego się spodziewałem – odparł Popow. – A co jest w tamtym dużym domu?

– zwrócił się nagle do Borysa.

– Nic specjalnego, szanowny towarzyszu komisarzu. Teraz mieszka tam jego matka. – Pokazał na Iwana.

– W takim razie zobaczymy.

Gdy się wspinali po zboczach, młody komisarz zagadnął Popowa:

– Myślicie, że mają tam zboże?

Popow skinął głową.

– I co zrobicie, jeśli je znajdziecie?

– Zabierzemy wszystko.

– Wszystko? Przecież wieś będzie głodować.

– Owszem. – Popow spojrzał na niego. – Powinniście wiedzieć, towarzyszu, że głód bywa czasem przydatny. Ludzie zaczynają patrzeć na siebie wilkiem i najpierw zwracają się przeciwko kułakom, którzy mają jedzenie. A potem wieś pokorniej. To już zostało stwierdzone.

Doszli do dworu. Popow dokonał szybkiej inspekcji, zajrzał na strych, do zabudowań gospodarczych i do warsztatów. Stwierdziwszy, że nie ukryto tu zboża, stanął przed werandą i zwołał wszystkich na dziedziniec.

Oprócz kilkorga wieśniaków, którzy przyszedli tu z czystej ciekawości, zjawili się Arina, Iwan, Borys i trzech żołnierzy. Popow zwrócił się do Borysa z lekkim uśmiechem:

– Więc jako sołtys przysięgasz, że nie macie zboża?

– Przysięgam, towarzyszu komisarzu. – Borys gorliwie skinął głową.

– Znakomicie. – Popow przywołał gestem jednego z żołnierzy. – Przyłóż jej lufę do głowy. – Wskazał na Arinę, a potem odwrócił się do Iwana. – Może ty wiesz, gdzie ukryli ziarno? – spytał łagodnie.

Żołnierz zastrzelił Borysa nad rzeką, gdy tylko wyciągnięto ostatni pojemnik.

– Najwyższy czas utworzyć właściwy komitet wiejski – oznajmił Popow.

Przeniesienie rewolucji na wieś nie było łatwe. Ale wymyślony przez przywódców plan opierał się na okrutnej logice. Kułaków, oszustów i bogatszych chłopów należy wydać władzom, a kto się do tego lepiej nadaje, jeśli nie stanowiący większość biedacy? Żeby przejąć kontrolę we wsiach, należało jak najszybciej utworzyć „komitety biedoty”.

Był to jeden z tych pomysłów Lenina, z którymi Popow prywatnie się nie zgadzał.

– Z prostej przyczyny – tłumaczył. – Większość chłopów to nie biedota, tylko średniacy. Zazwyczaj nie zatrudniają siły roboczej, ale mają skromne nadwyżki zbiorów. A biedak to po prostu zwykły chłop, który za dużo pije.

No, ale skoro Władimir Iljicz domaga się komitetów, to będzie je miał.

Popow rozejrzał się dookoła.

– Ty – wskazał nagle na Iwana. – Słyszałem, że twoja matka jest wdową. Ile macie ziemi?

Tak się składało, że Iwan, będąc sierotą i nie mogąc liczyć na pomoc wuja, miał najmniejszą działkę w całej wsi.

– Mianuję cię szefem komitetu – ogłosił Popow z uśmiechem. – Zgoda?

I tak komitety działały jedynie na papierze. Ciekawe, jak długo chłopak nacieszy się tym stanowiskiem.

Zadowolony z siebie Popow wracał późnym popołudniem do Ruski. Po drodze mijął klasztor. Po styczniowych konfiskatach mnisi musieli go opuścić, ale łudząc się nadzieją, że rząd złagodnieje albo zostanie obalony, niczego ze sobą nie zabrali. Stary pop, który wciąż mieszkał w miasteczku, miał baczenie na boży przybytek.

Popowowi przyszło do głowy, że skoro już się tu znalazł, to powinien przy okazji skontrolować też klasztor.

– Wchodzimy do środka – rozkazał żołnierzom.

Wewnątrz panowała cisza. Kuchnia i magazyny zostały już wcześniej splądrowane, wybito kilka okien, ale poza tym budynki nie doznały większych szkód. Popow krążył samotnie po terenie. Był zadowolony, bo trud się opłacił. Zapisał w swoim notesie: „Klasztor w Rusce świetnie nadaje się na małe więzienie albo areszt. Zawiadomić o tym Czeka”.

Naprawdę miał za sobą udany dzień.

Zauważył, że przy bramie żołnierze rozpalili małe ognisko. Żeby podsycić ogień, młody komisarz ochoczo znosił zabrane z klasztoru rzeczy. Popow spojrzął na niego z lekkim zdziwieniem – młodzieniec miał akurat w rękach ikony.

– Nie wiedziałem, że jesteś aż tak przeciwny religii – odezwał się łagodnie.

– Chyba jak wszyscy?

Popow wzruszył ramionami.

– Może i tak.

Przyjrzał się ikonie, która właśnie trafiła do ognia. Wyglądała znajomo.

– Ta akurat jest całkiem dobra – powiedział.

– Żadna ikona nie jest dobra.

– Pewnie nie. – Patrzył, jak płomienie obejmują obraz.

I tak oto ogień pochłonął najcenniejszy dar Bobrowów dla klasztoru: ikonę wielkiego Rublowa.

Gdy zapadła głęboka noc, a ognisko na klasztornym dziedzińcu dawno zgasło, z lasu poniżej wioski wyłoniła się jakaś postać i ruszyła ku brzegowi, gdzie obok małej łódki czekała Arina.

Po odejściu żołnierzy Iwan musiał się ukryć. Po tym, co się wydarzyło, nie mógł postąpić inaczej. Synowie Borysa Romanowa na pewno mu nie darują, wieśniacy nigdy nie zapomną, że to przez niego stracili zboże. A stanowisko, które bolszewik mu zaproponował, było jak wyrok śmierci.

– Jeśli będę zwlekał, to rano zabiją mnie jak nic – oświadczył matce, a ona musiała się z tym zgodzić.



Teraz pomogła mu wsiąść do łódki.

– W którą stronę popłyniesz? – spytała.

– Na południe. Strach zbliżyć się do wioski. Dotrę do Oki, a potem jakoś dostanę się do Muromu.

– I co dalej?

Wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie wiem. Może wstąpię do wojska. – Uśmiechnął się mimo woli. – To chyba najbezpieczniejsze miejsce.

– Weź te pieniądze. – Arina wręczyła mu zawiniątko i pocałowała go. – Jesteś moim jedynym dzieckiem. Jeśli zginiesz, to chcę o tym wiedzieć. Inaczej będę przekonana, że wciąż żyjesz.

– Nie zginę.

Jeszcze raz ją uściskał.

Blady półksiężyc sunął na południe. Iwan odepchnął łódź i zaczął powoli wiosłować.

*Październik 1920 roku*

Robiło się zimno, ale zadanie zostało wykonane. Nic wielkiego, jeszcze jeden atak na siły wroga. Widniejące przed nimi działo i ciężarówka zamieniły się w kupę osmalonego żelastwa. Obok leżało kilka trupów. I jeden ranny oficer.

Iwan ruszył ostrożnie do przodu. Wokół aż po horyzont ciągnął się pusty step.

Wojna prawie się skończyła. Parę razy się wydawało, że biali i ich zagraniczni sojusznicy zwyciężą. Niemal udało im się zdobyć Piotrogród. Denikin, Wrangel i inni walczyli dzielnie. Lecz brakowało im zarówno koordynacji czerwonoarmistów, jak i ich determinacji. Front białych cofał się coraz bardziej, a kapitalistyczni sojusznicy – Wielka Brytania, Ameryka, Japonia i Włochy – już wcześniej się poddali.

A teraz ten żywy kozacki oficer. Przystojny, ale co z tego, skoro czeka go śmierć.

Karpienko obserwował zbliżającego się Iwana. Szkoda, że trzeba umierać. Dwa lata temu nawet nie przyszłoby mu do głowy, że będzie walczył na wojnie. Ale odnalazł w tym pewną satysfakcję, co przyznawał z dużym zdziwieniem. Ból w brzuchu palił go żywym ogniem.

Wydawało mu się, że młody czerwonoarmista wygląda znajomo, ale nie przywiązywał do tego wagi.

– Ej, towarzyszu, może skrócisz moją mękę – powiedział lekko.

Iwan spełnił jego prośbę, najłagodniej jak potrafił. Okazało się później, że był to jego ostatni strzał w tej wojnie.

Rewolucja zwyciężyła.

Z tomu *Ojczyzna*; przeł. Józef Łobodowski. [wróć]

Koda

*Rok 1937*

Muzyka płynęła miękko i cicho. Do północy została zaledwie godzina, ale on nie czuł się zmęczony.

Oby tylko starczyło mu czasu.

Dmitrij Suworin pospiesznie sunął piórem po kartce papieru.

Pisał suitę, niezbyt długi utwór z wątkiem przewodnim, inspirowany rosyjskim folklorem. Powinien się spodobać zarówno dorosłym, jak i dzieciom. Do skończenia została mu jedynie koda.

W sąsiednim pokoju spała jego żona i dwoje dzieci. Chłopiec, który dostał po dziadku imię Piotr, i mała Mariuszka. Ludzie mówili, że syn jest bardzo do niego podobny. Dmitrij uśmiechnął się. Suita była darem dla całej rodziny, ale szczególnie dla Piotra, któremu ją zadedykował. Gdy chłopiec usłyszy muzykę, na pewno zrozumie dlaczego.

Utwór miał być odpowiedzią na straszliwą tajemnicę, którą znali tylko oni dwaj.

Suita opowiadała o myśliwych, którzy spotykają w lesie niedźwiedzia. Udaje im się go schwytać, zakuć w łańcuchy i przyprowadzić do cyrku. W drodze powrotnej widzą czarodziejskiego Żar-Ptaka. Jeden z myśliwych, znając jego magiczne właściwości, próbuje zdobyć pióro. Jednak bez powodzenia. Ptak odlatuje, jak zawsze nieuchwytny.

Dmitrij był zadowolony z muzycznej charakterystyki postaci: niedźwiedzia opisywała powolna melodia z mocno zaznaczonym rytmem, dobrze oddająca jego prostolinijną naturę i ciężki chód. Zapadający w pamięć motyw Żar-Ptaka nagle się rozpadał w migotliwe staccato, przypominające ogniste rozbłyski.

Potem, gdy ludzie przyuczają niedźwiedzia do cyrkowych sztuczek, słychać rozkazy i uderzenia, aż w końcu obolałe zwierzę zaczyna nieporadnie krążyć wokół sceny. Utwór był pełen patosu i humoru. Dzieci będą się śmiać i klaskać.

Ale czy tylko będzie mógł zagrać suitę na scenie?

Dmitrij przerwał pracę i spojrzał przez okno ponad dachami okolicznych domów. Wysoko na niebie płynął księżyc w pełni. Pięć kilometrów dalej, w gabinecie ukrytym w głębinach Kremla, inny mężczyzna też był pochłonięty pracą.

To niezwykle, ile Stalinowi udało się osiągnąć. Na początku lat dwudziestych, wśród zniszczeń pozostawionych przez wojnę domową, los rewolucji wydawał się niepewny. Władze wprowadziły nawet na jakiś czas Nową Politykę Ekonomiczną, dopuszczającą pewne formy gospodarki kapitalistycznej. Ale później Stalin narzucił swoją wolę: postanowił dokończyć dzieło Lenina. Zmiany wprawiały w osłupienie: tereny wiejskie zamieniono w kolchozy i spółdzielnie, z Ukrainy masowo wywożono chłopów. Pierwszy plan pięcioletni zrealizowano w ciągu czterech lat. Rosja stała się prawdziwą potęgą przemysłową. Ale ceną za to było życie setek tysięcy ludzi.

Rosja wstawiała na nogi niczym wielki niedźwiedź, który przy odpowiednim przewodnictwie mógł dzięki swojej sile dokonać niemal wszystkiego.

Ale Dmitrij tęsknił za dawnymi czasami. Żył się wtedy zupełnie inaczej. Bułhakowowi, Pasternakowi i innym pisarzom nikt nie zamykał ust. Eisenstein zadziwiał świat swoimi filmami. Malarstwo było królestwem awangardy i dopiero obecna doktryna realizmu socjalistycznego skazała je na nudne przedstawianie wyidealizowanego życia proletariatu.

Dziś należało być bardzo ostrożnym. Jeden z jego przyjaciół, który w 1932 roku nierozważnie wyrecytował wiersz będący kpina ze Stalina – a działo się to w jego własnym mieszkaniu, wśród znajomych – zniknął w ciągu tygodnia. Stalin osobiście nadzorował twórczość Eisensteina. Na nowo pisano podręczniki do historii.

– Powinniśmy dziękować Bogu – mówił Dmitrij do żony – że nikt jeszcze nie znalazł sposobu na kontrolowanie muzyki.

Do pracy kompozytorów, także tych największych, Prokofiewa i Szostakowicza, nikt się nie wtrącał.

Dmitrij wrócił do pisania. Koda powoli nabierała kształtów. W mieszkaniu panowała cisza. Dmitrij skończył pierwszą część sceny finałowej z niedźwiedziem.

Najbardziej przygnębiały go wprowadzone niedawno przepisy. Jakoś przełknął socjalistyczną edukację dzieci w szkołach. A uwielbienie Stalina dla Piotra Wielkiego budziło jego uśmiech. Piotr również traktował swoich poddanych jak marionetki, których jedynym obowiązkiem jest służenie państwu. Ale nawet mu się nie śniło o tym, do czego posunął się Stalin. Jak można nastawiać dzieci przeciwko rodzicom? Nowe prawo budziło w Dmitriju największą odrazę. Mówiło jasno: jeśli dziecko zauważy u swoich rodziców jakąkolwiek antyrewolucyjną postawę, powinno zameldować o tym władzom. Gdy to ogłoszono, uśmiechnął się do syna, mówiąc: „Twoja matka jest naukowcem, a ojciec muzykiem, więc nie masz się o co martwić”. Chłopiec też się roześmiał. Miał dopiero dziewięć lat, ale Dmitrij dostrzegał jego powagę i żarliwość. „Pewnie zostaniesz uczonym albo artystą” – mawiał czasem.

W drugiej części suitę jednemu z myśliwych udaje się pochwycić Żar-Ptaka i wyrwać mu pióro. Przynosi je do cyrku. Pióro lśni i sypie iskrami. Można odnieść wrażenie, że myśliwy odkrywa cud elektryczności i widzi jej moc. Muzyka nasycy się wtedy chromatyczną energią.

Oczywiście zrobił wielkie głupstwo, pozwalając sobie na taki komentarz nawet wśród bliskich. Ale miał powody do irytacji. Rok wcześniej rząd ogłosił, że likwiduje kilka dyscyplin naukowych: pediatrię, genetykę, socjologię i psychoanalizę. A powodem była wielka konstytucja Stalina, która głosiła, że Rosja jest doskonałym państwem demokratycznym. Dlatego niepotrzebne są dziedziny nauki, które mówią o dzieciach żyjących w nędzy, o wrodzonych różnicach między ludźmi, o problemach społecznych czy ludziach mających swoje troski i problemy.

Pewnego wieczoru, gdy odwiedzili ich znajomi, Dmitrij powiedział do syna: „Chyba rozumiesz, że ta konstytucja to jawne kłamstwo?”. Nie dodał nic więcej. Ale i to wystarczyło.

Tydzień później już wiedział. Pracował akurat przy kuchennym stole, a Piotr patrzył na niego oskarżycielsko. Kiedy instynktownie przyciągnął go do siebie i objął czule, chłopiec zeszywniał i szybko się cofnął. Dmitrij zrozumiał od razu. A Piotr

zorientował się, że ojciec wie. Żaden z nich się nie odezwał.

Mimo wszystko szkoda.

Pozwolą mu wykonać suitę? Wydawała się zupełnie nieszkodliwa – ot, kilka scen w cyrku, temat zaczerpnięty z ludowych bajek. Miał nadzieję, że pozwolą, ale może powinien schować gdzieś nuty, dać je komuś na przechowanie? Tak na wszelki wypadek.

Pracował pospiesznie.

Koda przedstawiała niezwykłą scenę. Z lasu wyłania się Żar-Ptak – nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło – i wpada do cyrku. Krąży, wzbija się do góry i opada, wzbudzając przerażenie widowni, myśliwych i tresera. Powietrze wypełnia się iskrami, światła elektryczne błyskają jak szalone. I w tym chaosie niedźwiedź uwalnia się z łańcuchów i zaczyna swój własny niezdamy, tragikomiczny taniec.

Pozwolą ją grać? Zdąży ją dokończyć?

Pięć kilometrów dalej, gdzieś w samym sercu Kremla, Stalin też był pochłonięty pracą. Mówiono, że o tej porze dostaje listy z nazwiskami ludzi, których należy wyeliminować. Tak wielu już zginęło. Nazwiska, niezliczone nazwiska bez twarzy. Zniknęli z wszechświata czy tylko z Ziemi?

Koda powoli nabierała kształtu. Synkopowane rytmy zlewają się w jeden strumień, a potem znów rozdzielają, gdy ludzie krzyczą, a Żar-Ptak z niedźwiedziem tańczą ogarnięci narastającą radością, nareszcie wolni, gotowi wyrwać się z cyrku i popędzić w ciemności nocy do lasu.

Minęła północ. Wybiła godzina pierwsza.

Pukanie do drzwi.

Żar-Ptak wciąż leci wysoko, muska szczyt cyrkowego namiotu, światło rozbłyskuje szaleńczo. Niedźwiedź przytula z miłością tresera, a biedak wyje ze strachu.

Mocniejsze pukanie do drzwi.

W kuchni pojawia się żona, przestraszona i zdezorientowana.

– NKWD. Czego od nas chcą?

Mała córeczka obudziła się i płacze. Za nimi stoi synek, blady jak duch.

Żar-Ptak pikuje, woła niedźwiedzia. W szponach trzyma odzyskane pióro. Niedźwiedź kuśtyka do wyjścia. Jeszcze chwila i będą wolni.

Pukanie zamienia się w łomot. Rozlegają się wściekłe okrzyki. Piotr idzie do przedpokoju. Za chwilę ich wpuści.

I oto kłapy cyrkowego namiotu rozsuwają się szeroko i przy głośnym huku bębnow niedźwiedź i Żar-Ptak pędzą do lasu, w objęcia wolności, gdzie dźwięczy echem radosna melodia.

Dmitrij odwraca się. Jest ich trzech. Pozwalają mu pocałować żonę i córkę. Nuty zostają na stole.

Chłopiec cały czas stoi w przedpokoju. Widząc, jak zabierają ojca, wybucha płaczem.

Dmitrij bierze go na ręce i przytula z całej siły.

– Już dobrze – szepcze. – Zapamiętaj: wiem o wszystkim, ale nie martw się. Ta muzyka jest dla ciebie.

A potem on też wychodzi w zimną ciemność nocy.

*Styczeń 1938 roku*

W tym roku sekretarzem komitetu partyjnego w Rusce był Iwanow. Uważano go za całkiem sympatycznego człowieka. Jego zastępca nazywał się Smirnow.

Patrzyli obaj na kartkę z listą. Potrzebowali dwudziestu pięciu nazwisk. Zdobyli dwadzieścia trzy, potem dwadzieście czwarte. Brakowało jeszcze jednego.

Musieli kogoś znaleźć. Dwadzieścia pięć nazwisk wrogów ludu. Czystki miały dziwny przebieg. Osoby zajmujące wysokie stanowiska wybierano starannie, ale tutaj należało jedynie wypełnić wymagany limit.

– Przecież musi być ktoś taki – powiedział Iwanow.

I wtedy przypomniał sobie o Jewgieniju Popowie.

Popow przeszedł już na emeryturę i mieszkał samotnie w małym domu na skraju miasteczka. Hodował kapustę i rzodkiewki i w trosce o dobrą formę fizyczną co dzień chodził pieszo do wioski i z powrotem. Choć prawdę powiedziawszy, nie widziano go już od jakiegoś czasu.

– Ten Popow to jeszcze żyje? – spytał Iwanow.

Zastępca potwierdził.

– W takim razie on.

– Ale on ma ponad osiemdziesiąt lat – zaproponował Smirnow. – Należy do starej bolszewickiej gwardii. Zawsze był bardzo lojalny.

Sekretarz się zamyślił.

– Hm, skoro jest taki stary, to musiał poznać wielu ludzi – powiedział z wahaniem.

– Znał Lenina.

– Możliwe. I pewnie także Trockiego.

– Nie przyszło mi to do głowy.

Za to Iwanowowi przyszło do głowy, że domek Popowa świetnie by się nadawał dla krewnego żony.

– Numer dwadzieścia pięć: Jewgienij Popow – zapisał. – Podejrzany o współpracę z Trockim.

I tak oto Jewgienij Popow w wieku osiemdziesięciu czterech lat trafił do łagru.

*Sierpień 1945 roku*

Było ciepłe popołudnie. Iwan minął Ruskę i skręcił do wioski. Po błękitnym niebie sunęły na południe pojedyncze obłoki. Na polach unosił się przyjemny zapach, wszystko pokrywał kurz, jak to w czasie żniw.

Nareszcie wracał do domu. Wielka wojna ojczyźniana się skończyła.

Iwan walczył dzielnie, kilka razy otarł się o śmierć. Ale tak jak inni żołnierze na froncie wiedział, że broni ojczyzny, a armią dowodzi towarzysz Stalin. I to go podtrzymywało na duchu. Dziś nikt już nie wątpił, że wielki przywódca może wszystko. Dzięki Bogu wojna dobiegła końca. Najwyższy czas wrócić do domu i budować nową, świetlaną przyszłość.

Uśmiechnął się, gdy wyszedłszy z lasu, zobaczył przed sobą rozległe pole, na którym pochylone kobiety, jak przed wiekami, żęły sierpami zboże.

Arina podniosła głowę. Na widok syna jakby zapomniała, ile ma lat, i rzuciła się biegiem z otwartymi ramionami, żeby go przywitać.

## Epilog

*Czerwiec 1990 roku*

Paweł Bobrow wstał bardzo wcześnie i już przed szóstą rano był gotowy do wyjazdu.

Ośmiopiętrowy hotel Aurora okazał się całkiem przyzwoity. Stosunkowo nowy, usytuowany niedaleko Placu Czerwonego, został zaprojektowany i umeblowany przez fińską firmę. Ładne łóżko i komody z jasnego drewna ustawiono pod jedną ścianą, przez co wyglądały jak ławka. Łóżko było twarde i wąskie, więc Pawłowi przyszło do głowy, że hotele w Rosji nie są pomyślane jako miejsca, w których można uprawiać seks, mimo oczywistych zachęt ze strony niemal dwudziestu ładnych młodych kobiet, które pod okiem portiera każdego wieczoru przenikały do westybulu i barów, szukając klientów.

Idąc w kierunku windy, Bobrow zerknął na zegarek. Za piętnaście minut będzie w drodze do swojego dawnego majątku.

Paweł Bobrow miał trzydzieści trzy lata i był drugim z kolei spośród dziesięciorga wnuków Aleksandra i Nadieždy. Po przodkach odziedziczył nieco tureckie rysy twarzy i mimowolny, łagodny, wręcz pieszczotliwy gest.

Przyszło mu do głowy, że Aleksander byłby szczęśliwy, widząc go tutaj. A babka, wciąż piękna mimo swoich dziewięćdziesięciu dwóch lat, choć już bardzo słaba, opisała mu majątek w najdrobniejszych szczegółach i zapowiedziała:

– Nie umrę, dopóki nie wrócisz i o wszystkim mi nie opowiesz.

Rodowy majątek – żywe przypomnienie dawnych czasów. O których jednak nikt nie zapomniał.

Niewielka rosyjska społeczność, do której należał Paweł Bobrow, zamieszkiwała północne przedmieścia Nowego Jorku. Podobne wspólnoty żyły też w Londynie, Paryżu i wielu innych miastach. Różniły się jednak – co Paweł umiałby świetnie wytłumaczyć – od rzesz rosyjskich Żydów, które przybyły do Ameryki na przełomie wieków, oraz od późniejszej fali uciekinierów z czasów drugiej wojny światowej. A przede wszystkim nie należało ich mylić ze świeżymi przybyszami ze Związku Radzieckiego, którzy tłoczyli się w Brighton Beach. Bo wspólnota Pawła Bobrowa wywodziła się ze starej rosyjskiej emigracji, ze szlachty, do której nawet Nadieżda przynależała jedynie dzięki małżeństwu.

Łączyły ich bliskie więzi. W większości nie byli zamożni, wiedli skromne życie klasy średniej i choć wyglądali jak zwyczajni Amerykanie, zawierali związki małżeńskie między sobą, mówili po rosyjsku tak dobrze jak po angielsku i w odróżnieniu od innych społeczności imigranckich pielęgnowali zwyczaje i tradycje przywiezione z ojczyzny.

Głównym ośrodkiem ich życia była cerkiew. Aleksander, zawsze skłaniający się ku religii, uważał to za rzecz naturalną. Dla tych, którzy w kraju ojczystym trzymali się z daleka od wiary, Cerkiew odgrywała teraz rolę ostatniego bastionu stojącego na straży tożsamości, której zachowanie stało się kwestią moralną.

Ludzie pokroju Bobrowa należeli do jednego z dwóch odgałęzień Cerkwi, z których żadne nie uznawało patriarchatu moskiewskiego uważanego za pionek w rękach

KGB.

W każdą sobotę przywozili swoje dzieci do domu parafialnego na lekcje języka rosyjskiego i historii Rosji. A w niedziele potomkowie starych, dumnych rodów roznosili w świątyni świece albo śpiewali w chórze pięknymi basami. Stara kobieta w chuście na głowie, modląca się przed ikoną jak zwykła babuszka, mogła się okazać rosyjską księżniczką. Wszystkie niemowlęta chrzczono, trzykrotnie zanurzając je w wodzie.

Raz w roku Paweł zabierał żonę na bal arystokracji – dość senną imprezę, podczas której starzy dżentelmeni paradowali z carskimi orderami na piersi – albo na bardziej ożywiony bal Pietruszki. Oba były niezmiernie eleganckie, oba odbywały się we wspaniałych salach i przyciągały mnóstwo gości.

Rosyjska społeczność trwała z uporem i czekała.

Na co czekała? Paweł jako pierwszy w rodzinie odważył się na podróż do ojczyzny dziadków. Czy jego stryjowie i krewni liczyli na przywrócenie monarchii? Teoretycznie było to możliwe, bo wprawdzie cara Mikołaja i jego rodzinę zamordowano, ale dynastia przetrwała dzięki arcyksiążętom. Jednak Pawłowi powrót wydawał się niemożliwy. Nie umiał też sobie wyobrazić, że mógłby opuścić nowojorski dom. „Ale jeśli sytuacja się zmieni, jeśli otworzą się jakieś nowe perspektywy, to warto będzie się zaangażować” – mawiał. Te słowa nie wyrażały jasno jego pragnienia, ale dźwięczały w nich nie do końca uświadomiane uczucia.

Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że spotkał Siergieja Romanowa. Poznali się rok wcześniej na targach w Nowym Jorku. Rosjanin chciał tworzyć w Moskwie programy komputerowe na licencji zachodnich firm. Miał dobry zespół pracowników, ale nikłą wiedzę o prowadzeniu interesów, więc Paweł, który zajmował się marketingiem, chętnie pomógł mu w nawiązywaniu kontaktów, zwłaszcza że Romanow kiepsko mówił po angielsku. Już drugiego dnia Bobrow wspomniał, że chciałby pojechać kiedyś do Związku Radzieckiego i odwiedzić dawny majątek rodzinny. Problem w tym, tłumaczył nowemu znajomemu, że miasteczko leży poza turystycznymi szlakami, więc trudno do niego dotrzeć.

– Nazywa się Ruska – dodał na koniec.

– Ależ, Pawle Michajłowiczu, przecież stamtąd pochodzi mój ojciec! – zawołał Romanow. – Sam nigdy tam nie byłem. Przyjedź do Moskwy, przyjacielu – powiedział życzliwie. – Wybierzemy się razem.

I właśnie tego ranka Romanow miał go zabrać z hotelu.

Umówili się kwadrans po szóstej. Za wcześnie na śniadanie w przepastnej jadalni, ale poprzedniego wieczoru Paweł zauważył na czwartym piętrze mały bar, który otwierano o szóstej. Postanowił tam zajrzeć.

Był to typowy bufet. Pod szklaną ladą wyłożono talerze z plastrami sera i salami, pierożkami, jajami na twardo oraz białym i razowym chlebem. Obok stały wielkie dzbanki z sokiem jabłkowym i winogronowym, ekspres do kawy i samowar. Pod oknem znajdował się blat, przy którym można było zjeść na stojąco, a pod ścianą – cztery stoliki. Wnętrze oddzielały od korytarza szklane drzwi, na których wypisano godziny otwarcia.

Dotarł tam pięć po szóstej. Ładna, dwudziestoletnia blondynka, wyglądająca na znudzoną, wykładała jedzenie. Za jej plecami tęga, zrędliva pięćdziesięcioparolatka



uważnie przeglądała chleb. Paweł pchnął drzwi. Były zamknięte na klucz.

Dziewczyna zauważyła go i powiedziała coś do starszej kobiety, która nawet nie zaszczyciła go spojrzeniem. Paweł zerknął na zegarek i popukał w drzwi, wskazując na godziny otwarcia. Dziewczyna patrzyła na niego bez słowa, za to druga kobieta odwróciła się i krzyknęła:

– *Zakryto!*

Słowo doskonale znane turystom w Rosji. *Zakryto*, czyli „zamknięte”.

Na twarzy dziewczyny pojawił się uśmiech.

– *Mnie skuczno*. Nudzi mi się. *Mnie skuczno, skuczno, skuczno*.

Potrafiła tak pomrukiwać do siebie całymi godzinami niczym mnisi mamroczący modlitwę Jezusową. Powtarzała to jak litanie.

Ludmiła Suworina była inteligentna. Tak jak jej ojciec Piotr, zanim zaczął pić. A ojcem Piotra był słynny kompozytor Suworin. Tyle że jeszcze kilka lat temu nie wolno było wspominać jego nazwiska, bo zesłano go do łagru. Wprawdzie dzieła dziadka, w tym ostatnia suita, wróciły do sal koncertowych, lecz życie Ludmiły się przez to nie zmieniło. Piotr zmarł, gdy miała pięć lat. Matka powtórnie wyszła za mąż za jakiegoś kolejarza. Zakwaterowano ich w czteropokojowym mieszkaniu komunalnym, które dzielili z drugą rodziną. Mieściło się ono w betonowym bloku z odpadającym tynkiem, na pustkowiu dalekich przedmieść Moskwy. Cztery takie budynki tworzyły oddzielny szereg, a na ich szczycie umieszczono ogromny napis z pomalowanych na czerwono metalowych liter: KOMUNIZM – DROGĄ – DO LEPSZEGO – ŚWIATA. Na domu Ludmiły widniało słowo ŚWIATA.

Dziewczyna była też leniwa. Mogła sobie znaleźć jakieś lepsze zajęcie, ale jej się nie chciało. Lubiła tańczyć. Miała nawet odpowiednią sylwetkę, szczupłą i zwinną. Czasem zastanawiała się, czy nie sprzedawać się za pieniądze jak długonogie kobiety w hotelowym westybulu. Niektóre z nich studiowały. Jedna była mężatką i zarabiała w ten sposób na wiejską dachę. Wiele lat temu takie dziewczyny marzyły, że usidlą jakiegoś przybysza z Zachodu, wyjdą za niego za mąż, a potem wyjadą z nim z Rosji. Teraz jednak patrzyły trzeźwo na świat: takie rzeczy się nie zdarzały. Dlatego chętnie i z wdzięcznością przyjmowały zapłatę, oczywiście w twardej walucie.

Jednak Ludmiła nie umiała się na to zdobyć. Dlatego pracowała z Warią.

A teraz z nadąsaną miną i lekkim rozbawieniem patrzyła na Amerykanina, który – najwyraźniej nie rozumiejąc, że nic nie wskóra – machał zniecierpliwioną ręką.

Nie mógł przecież wiedzieć, że Waria prowadzi bufet według własnych zasad, z których pierwszą i absolutnie nienaruszalną są godziny otwarcia. Owszem, bar otwierano o szóstej, ale dla niej, bo o tej porze zjawiała się w pracy. „Czy ktoś nam zapłaci za to, że przyjdziemy wcześniej? – mawiała. – Poza tym musimy mieć czas, żeby wszystko przygotować”. I kiedy wykładała jedzenie na półmiski i parzyła kawę, nie wpuszczała do środka gości, bo ci jedynie by przeszkadzali. Dlatego każdego dnia przez kwadrans albo dwadzieścia minut tłumaczyła klientom, nie widząc w swoich słowach sprzeczności: „Bar jest otwarty, ale jeszcze zamknięty”.

Podobnie działo się wieczorem. Już dwadzieścia minut przed dwudziestą pierwszą – o tej godzinie bar teoretycznie zamykano – odmawiała obsługiwanie klientów. „Bo

inaczej – tłumaczyła Ludmile z całkowitą powagą – zamykałybyśmy później”.

– *Zakryto!* – krzyknęła teraz do zirytowanego Pawła.

Dopiero trzynaście po szóstej ustąpiła i kazała Ludmile otworzyć drzwi.

Ten Amerykanin mówił świetnie po rosyjsku. Z pięknym akcentem. Nawet Waria poczuła się trochę nieswojo i próbowała mu jakoś wynagrodzić długie oczekiwanie. Podała kawę, salami i jajko. I oczywiście chleb.

– Jest pan Rosjaninem?

– Amerykaninem – powiedział z uśmiechem. – Ale rosyjskiego pochodzenia.

– Wraca pan w swoje strony? – Już wcześniej poznała paru emigrantów. Wszyscy mówili tak pięknie po rosyjsku, że niemal chciało się płakać ze wzruszenia. – Słyszałam, że z waszej dawnej Rosji już niewiele zostało – dorzuciła. Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

Amerykanin usiadł przy stoliku. Napił się kawy. A potem ugryzł kawałek chleba i się skrzywił.

– Coś nie w porządku? – spytała Ludmiła z uśmiechem.

– Nic wielkiego. Tylko chleb jest trochę czerstwy. Nie macie świeżego?

Ludmiła przeniosła wzrok na Warię. Bo sprawa dotyczyła jej drugiej dziwnej zasady.

Ludmiła pracowała tu od pół roku, więc nie mogła wiedzieć, od kiedy ta zasada obowiązuje. W każdym razie pewnego wieczoru zostało trochę chleba. Każda inna osoba wzięłaby go do domu albo wyrzuciła, ale nie Waria. Z wiadomych tylko sobie powodów uparła się, żeby następnego dnia zużyć cały chleb do końca. A że tego dnia nie było wielu gości, dostarczone rano świeże pieczywo przeleżało nietknięte w kuchni. Nazajutrz Waria powtórzyła całą procedurę: gościom podawała chleb wczorajszy, a świeży czekał na swoją kolej. Wkrótce ten dziwny zwyczaj obrósł w dodatkowe normy.

Na przykład nikomu nie wolno było dotykać chleba. Nie wolno też było odwołać choć jednej porannej dostawy, żeby zużyć nagromadzone zapasy. „Zacznę węszyć i po co nam to”. Goście nie dostawali też świeżego pieczywa, nawet jeśli czerstwe się skończyło. „Tyle mamy na jeden dzień i kropka” – mówiła stanowczo Waria. Dlatego w barze na czwartym piętrze zawsze jadano chleb z poprzedniego dnia.

Paweł uporał się ze śniadaniem w dwie minuty. Wyszedł pospiesznie, skinąwszy Ludmile głową. Ani jemu, ani jej nie przyszło do głowy, że mogą być skoligaceni.

Podróż na południe była bardzo przyjemna. Za granicami miasta szeroka ulica zamieniała się w nowoczesną dwupasmową autostradę. Jednak po godzinie te dwa pasma zbiegały się w zwykłą szosę, szeroką na tyle, by dwa samochody jadące w tym samym kierunku mogły się obok siebie zmieścić, ale pozbawioną jakichkolwiek oznaczeń wytyczających pasy ruchu.

– U nas nie ma takich autostrad jak u was – powiedział Siergiej przepraszająco.

– Wcale ich nie potrzebujecie – odparł Paweł. Rzeczywiście jak na główną drogę ruch był bardzo mały.

Tak jak większość Rosjan Siergiej prowadził samochód z karkołomną prędkością, do tego jechał raz po jednej, raz po drugiej stronie drogi. Od czasu do czasu – zupełnie nieoczekiwanie – nawet na takiej trasie pojawiały się kilometrowe odcinki złej

nawierzchni, asfalt był albo dziurawy, albo pokrywały go stwardniałe bryły błota, co jednak nie skłaniało Siergieja do zmniejszenia prędkości.

Pogoda była piękna: błękitne, bezchmurne niebo i leciutka mgła nad wschodnim horyzontem. Po obu stronach drogi rosły brzozy, ich srebrne pnie i szmaragdowe liście migotały w słońcu.

Siergiej Romanow miał okrągłą twarz i jasne włosy. Zaczynał już łysieć. Na Zachodzie był dotąd dwa razy i liczył, że uda mu się znów wyjechać. Jak wielu jego rówieśników w Rosji – Paweł dawał mu trzydzieści kilka lat – niechętnie mówił o sobie, za to chciał jak najwięcej się dowiedzieć o swoim towarzyszu podróży. Ale była w tym pewna nieśmiałość, co Paweł zauważył już wcześniej w rozmowach z wykształconymi Rosjanami. Bo na przykład o Nikołaju Bobrowie Siergiej mówił: „Twój świętej pamięci pradziadek, poseł do ostatniej Dumy”, a nieco żartobliwy ton tych słów miał pokryć szacunek dla przeszłości rodu.

Dlatego Bobrow opowiadał lekko o swojej rodzinie, o wychowaniu w rosyjskiej tradycji, o wierszykach i baśniach, których się nauczył w dzieciństwie. Po godzinie Siergiej też poczuł się swobodnie.

– Nie dziw się, że wzbudzacie naszą ciekawość – powiedział szczerze. – Bo Rosja, pozbywając się takich ludzi jak wy, straciła najlepszą część swojej kultury. A teraz nie wiemy, jak ją odzyskać.

– To zależy, czego byście chcieli – odparł Paweł. – Na czym tobie zależy najbardziej?

Siergiej zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

– Przed rewolucją mieliście kapitalizm, zgadza się? Był wolny rynek?

– Owszem.

– A wolność słowa? Literatura? Filozofia?

– Oczywiście.

– A wiesz, że w rosyjskich szkołach filozofia ogranicza się do Hegla, Feuerbacha i Marksa? O Platonie, Sokratesie czy Kartezjuszu nawet się nie wspomina. – Siergiej pokręcił głową. – Ale najbardziej chcielibyśmy odzyskać naszą historię. Stalin napisał prawie wszystko na nowo, więc nawet nie mamy pojęcia, jaka jest prawda. Możesz to sobie wyobrazić? Wiesz, jak się czuje człowiek, który nie wie, co się naprawdę stało ani dlaczego? To jak stracone pokolenie. Dlatego zależy nam, żeby wszystko odzyskać.

– Z nieoczekiwaną pasją uderzył w kierownicę, aż samochód wyjechał na środek drogi.

– Wszystko!

– A Cerkiew?

– Jestem ateistą – oświadczył Siergiej. – Nie wierzę w Boga. Ale jeśli innym to odpowiada, proszę bardzo. – Uśmiechnął się. – Moja matka była religijna. Chodziła na tajne nabożeństwa, które odprawiano w prywatnych mieszkaniach. Wiedziałeś o tym?

Paweł słyszał o potajemnym życiu religijnym. Nazywano je „kościołem w katakumbach”, tak jak przed wiekami spotkania pierwszych chrześcijan. Od początku istnienia państwa sowieckiego działała szeroka sieć kapłanów, z reguły przenoszących się z jednego miasta do drugiego, którzy odprawiali nabożeństwa w wiejskich chatach, stodołach albo innych kryjówkach rozsianych w lasach całej Rosji.

– Może i ty staniesz się religijny, gdy rosyjska kultura się odrodzi – powiedział Paweł z uśmiechem.

– Wątpię.

Dojechali do Włodzimierza, a potem skręcili na południe. Kilka razy wydawało się, że Siergiej zabłądził, ale w końcu natrafili na wąską drogę prowadzącą do Ruski.

Gdy Siergiej wyrzucił z siebie to, co myślał o utraconej kulturze, z ciekawością zaczął wypytywać o inne sprawy, zwłaszcza o interesy Bobrowa.

– Ty się zajmujesz wprowadzaniem komputerów na rynek, prawda? Powiedz mi, jak to działa.

Paweł starał się opisać to jak najprościej, choć nie było to łatwe. Nakreślił cały plan marketingowy od badań rynku przez reklamę aż po tworzenie materiałów prasowych.

– A na koniec – powiedział z uśmiechem – musisz to wszystko sprzedać agentom handlowym. – Wyjaśnił też, że te zasady odnoszą się właściwie do wszystkich produktów.

A Siergiej Romanow kiwał przez cały czas głową i mówił:

– Właśnie, też musimy tak robić.

Dotarli do Ruski wczesnym przedpołudniem.

Co za rozczarowanie!

Dzięki wskazówkom od babki teraz Bobrow wziął na siebie rolę przewodnika. Miasteczko było bardzo zniszczone. Wieża strażnicza ze spiczastym dachem przetrwała, podobnie jak większość domów. Jednak najokazalsze siedziby dawnych kupców podzielono na mieszkania, a ogrody zarosły chwastami i kolczastymi krzakami. Kamienna cerkiew przy placu targowym była w opłakanym stanie, najwyraźniej od kilkudziesięciu lat nikt z niej nie korzystał.

W jednej z fabryk produkowano obecnie rowery, a w drugiej wełniane koce, co było jedyną pozostałością po tutejszych zakładach włókienniczych. Obeszli smutne miasteczko, a potem Paweł poprowadził Siergieja nad rzekę i dalej dróżką do źródełek. Tam nic się nie zmieniło, więc usiedli na porośniętym mchem brzegu, wsłuchując się w plusk rzeki.

Paweł bardzo chciał zobaczyć stary dom Bobrowów, więc wrócili do Ruski, wsiedli do auta i ruszyli wyboistą drogą przez las.

Wieś wyglądała tak, jak opisała ją Nadieżda. Nie mieszkali tu już żadni Romanowowie, a Siergiej nie wiedział, który dom należał do jego przodków. Ale Paweł, mając w pamięci wskazówki babki, pokazał mu piękny jednopiętrowy budynek z rzeźbieniami na szczytach.

– Tu mieszkał kiedyś Borys Romanow – powiedział.

Zdziwiła go tylko jedna rzecz. Spoglądając na wzgórze, nie widział dawnego dworu Bobrowów.

– Gdzie się podział duży dom? – zapytał w końcu jakiegoś wieśniaka.

– Podobno stał kiedyś na szczycie – wyjaśnił mężczyzna. – Ale ja go już nie pamiętam.

Rzeczywiście niczego tam nie znaleźli. Po dworze i zabudowaniach gospodarczych pozostał jedynie nikły ślad na murawie, a powyżej zarośnięta leśna aleja.

Dom jego przodków zniknął, a wraz z nim ostatnie ogniwo łączące go

z przeszłością. Odbył tę podróż na darmo. Wracał zasmucony do Ruski.

Gdy dojechali do klasztoru, zauważyli tam jakiś ruch. Z zewnątrz miejsce wyglądało na opustoszałe: popękane mury, zburzona dzwonnica, powybijane szyby w oknach.

Ale nagle pojawili się dwaj mnisi w czarnych habitach.

Mieli po dwadzieścia kilka lat. Jeden był wysoki i szczupły, z małą jasną bródką; błękitne oczy drugiego, szeroko osadzone w okrągłej, inteligentnej twarzy, patrzyły na świat z niezwykłą świeżością. Uśmiechnęli się na widok samochodu.

Siergiej się zatrzymał i opuścił szybę.

– Są tu jacyś mnisi? – Słyszał wcześniej, że z monasteru Daniłowskiego wysyłano mnichów do różnych klasztorów, ale nie wiedział, czy jacyś trafili też do Ruski.

– Od trzech miesięcy. – Wysoki mnich się uśmiechnął. – Jesteście ochrzczeni?

– Oczywiście – odpowiedział Bobrow z siedzenia dla pasażera.

– Bóg was sprowadził w najbardziej odpowiednim czasie – powiedział mnich o niebieskich oczach. – Sami zobaczcie.

Mnisi zawrócili i wpuścili auto na dziedziniec.

Cóż za niezwykły widok! Kilkunastu mnichów zgromadziło się obok kaplicy. Jej okna, które straciły szyby już dawno temu, zaklejono przezroczystą folią. Po remoncie część mniejszych zabudowań nadawała się do zamieszkania. Rozpoczęto też odnawianie wewnętrznej strony bramy.

Paweł zauważył stojącą z boku grupę wieśniaków, w większości kobiet, choć było też kilku mężczyzn. A tuż obok wejścia do świątyni leżała trumna przykryta fioletową tkaniną.

Wysiedli z samochodu, nie bardzo wiedząc, jak się zachować.

– Nie chcemy przeszkadzać – powiedział Paweł.

Ale mnisi nawet go nie słuchali. Oddalili się pośpiesznie, a po chwili wrócili w towarzystwie pięćdziesięcioletniego duchownego o inteligentnej twarzy, który przywitał ich ukłonem.

– Jestem archimandryta Leonid – przedstawił się. – Mogę spytać, jak się tu znaleźliście?

Gdy Paweł wyjawiał mu cel ich podróży, duchowny był bardzo poruszony.

– Nazywacie się Bobrow? Z tych Bobrowów, którzy ufundowali klasztor? I macie na imię Paweł? Jak pewnie wiecie, to jest klasztor pod wezwaniem Świętego Piotra i Świętego Pawła. – Przymknął na chwilę oczy. – To na pewno są znaki – powiedział cicho. – Takie rzeczy nie zdarzają się przypadkiem. – Uśmiechnął się do gości. – Proszę, zostańcie jeszcze trochę. Najwyraźniej Opatrzność was przysłała.

To naprawdę niezwykły zbieg okoliczności, pomyślał Paweł, że przybyliśmy do klasztoru akurat dzisiaj. Bo poprzedniego dnia mnisi odnaleźli w końcu grób jednego z najbardziej szanowanych starców. I właśnie teraz przenosili jego szczątki do cerkwi, żeby odprawić ponowne uroczystości pogrzebowe. Starzec Bazyli mieszkał w poprzednim stuleciu w pustelni przy źródłkach, a jego towarzyszem był niedźwiedź.

Nabożeństwo nie trwało długo.

Trumnę ze szczątkami Bazylego umieszczono w północno-wschodnim narożniku

cerkwi. Wnętrze przedstawiało dziwny widok: plastikowa folia w oknach i kawał materiału rozciągnięty na sznurku, który oddzielał część nienadającą się jeszcze do użytku. Za kotarą stała drabina oraz wiadra, do których najwidoczniej miała spływać deszczówka z dziurawego dachu.

Archimandryta miał na sobie felonion, ale pozostali mnisi byli ubrani w zwykłe czarne habity, pokryte niekiedy cementowym kurzem. Stłoczeni wierni wyglądali raczej na biednych. W tym prostym prawosławnym nabożeństwie nie było żadnego przepychu ani ozdób, które mogłyby zachwycić wzrok.

Odśpiewano psalm i hymn.

Kazanie archimandryty było równie proste, a jego słowa miały w sobie niezwykłą dobroć i łagodność.

Musimy być wdzięczni, mówił Leonid, za te wszystkie znaki od Opatrzności, których istotą jest to, że nie da się ich przewidzieć. Ale one właśnie przypominają nam, że mądrość boża nie ma granic. I choć możemy dostrzec jej przeblysk, to widzimy jedynie nikłą część wielkiego zamysłu. Bo jakim to zrządzeniem losu tego właśnie dnia, o tej właśnie porze potomek fundatora klasztoru zjawił się przypadkiem pod bramą, pokonawszy wcześniej tysiące kilometrów? I czy nie jest wielce wymowne, że nie znalazłszy swojego ziemskiego domu, na którego poszukiwanie wyruszył, nieświadomie dotarł do domu duchowego?

Potem archimandryta wspomniał o dawnym klasztorze, o stuleciach jego istnienia i o tym, że teraz, po krótkim okresie martwoty, wraca do niego życie.

Ale Pawłowi najbardziej wryły się w pamięć słowa o starcu Bazylim.

– Starzec Bazyli wiele lat mieszkał w swojej samotni, modląc się i udzielając potrzebującym duchowego wsparcia. Przypisuje mu się też wiele cudów. Jednak dziś, gdy modlimy się nad jego szczątkami, chciałbym wrócić do początków pustelniczego życia. Okoliczni mieszkańcy zawsze mówili, że Bazyli miał dar do zwierząt. Dowodem na to była opowieść, jak odnalazł w lesie ogromnego niedźwiedzia, a potem rozmawiał z nim niczym dobry ojciec z dzieckiem. Tymczasem prawda przedstawiała się inaczej. Na początku pustelniczego życia starzec bardzo bał się niedźwiedzia. Kiedy zwierzę pojawiło się na jego polanie po raz pierwszy, przez całą noc kulił się ze strachu w swojej chacie, a rano o mało nie wrócił do klasztoru. To samo wydarzyło się następnej nocy. I dopiero za trzecim razem Bazyli pojął, co powinien zrobić. Trzeciej nocy – ciągnął archimandryta – starzec nie schował się w chacie, lecz usiadł w milczeniu na ziemi, powtarzając modlitwę Jezusową: „Panie Jezu, Synu Boży, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem”. Nie prosił o ocalenie ciała, ale stwierdził: „Dzięki łasce bożej mam życie wieczne, więc co ten niedźwiedź może mi zrobić?”. I wtedy strach zniknął. I dlatego, moje dzieci, nas też przepełnia lęk. Wiemy, co się wydarzyło w Rosji w ostatnich dziesięcioleciach. Ale odbudowując nasz klasztor i pamiętając o przykładzie starca Bazylego, wiemy też, że nie musimy się bać niedźwiedzia. Musimy go pokochać. Bo doskonała miłość zwycięża strach.

Po tych słowach Paweł zauważył ze zdziwieniem, że Siergiej drży, a jemu zaczynają płynąć łzy.

Mnisi zaprosili ich na poczęstunek.

Późnym popołudniem goście opuścili Ruskę, czując dziwną lekkość. Jechali powoli do Moskwy, przez dłuższy czas nic nie mówiąc. Dopiero po godzinie Siergiej przerwał milczenie.

– Zrobimy to. Odbudujemy Rosję.

– Wiem.

– Ale nie wprowadzimy czystego kapitalizmu. Potrzebujemy mieszanej gospodarki.

– To się chyba da zrobić.

Siergiej nie odzywał się przez kolejną godzinę. Dopiero gdy dotarli na przedmieścia Moskwy, spytał nieoczekiwanie:

– Jak myślisz, ile to może potrwać? Pięć lat?

– Chyba dłużej.

– Pewnie masz rację. Ale nie więcej niż dziesięć. Dogonimy was za dziesięć lat.

– Mam nadzieję.

– Bo Rosja może wszystko. Wszystko.

– Z pewnością.

Siergiej Romanow się uśmiechnął.

– Potrzebujemy jedynie dobrego przywództwa – powiedział. – Wtedy nam się uda.

– A potem coś sobie przypomniał. – Chciałem cię o to zapytać rano, gdy opowiadałeś mi o swojej pracy. Nie zrozumiałem jednej rzeczy.

– Czego?

Siergiej spojrzał na niego, lekko marszcząc brwi.

– Kim jest agent handlowy?

Paweł Bobrow nie miał ochoty spędzać wieczoru w ponurym mroku hotelowej restauracji. Zerknął na zegarek. Za kwadrans dziewiąta. Jeszcze zdąży do baru na czwartym piętrze. Ruszył do windy. Parę chwil później stał przed szklanymi drzwiami.

Waria była sama. Nie miała nic przeciwko gościowi, który zjawił się rano w bufecie i tak pięknie mówił po rosyjsku. Ale minęła już dwudziesta czterdzieści pięć, a zasady to zasady.

– *Zakryto!* – krzyknęła, znikając w kuchni.

Paweł usiadł przy oknie, patrząc na słońce zachodzące ponad dachami Moskwy. Po lewej stronie widział wysokie budynki, którymi Stalin ozdobił stolicę w ostatnich latach swoich rządów. Miały być symbolami nowej epoki, tak jak Empire State Building. Symbolami niewzruszonej mocy, jak ponure mury Kremla.

Czy to jest Rosja?

Wciąż nie umiał powiedzieć, czym jest ten kraj. I raczej go to nie dziwiło. Przez wieki Rosja wymykała się wszelkim definicjom. Należała do Azji czy do Europy? I co to właściwie miałyby oznaczać? Żaden autor, żaden komentator nie umiał mu wyjaśnić, jaka przyszłość czeka Rosję. Nie wiedział tego nawet nikt na Kremlu.

Ale Paweł miał wrażenie, że dziś w Rusce zobaczył odpowiedź.

Wieczorem miasto było ciche i spokojne. Długo jeszcze patrzył w zadumie przez okno.

Wysoko na rozgwieżdżonym niebie, błyszcząc delikatnie w świetle wschodzącego

na południu półksiężyc, przesuwały się w jakiejś leniwej procesji blade obłoki.  
Ponad ziemią płynął lekki wiatr.